

GEORGE R.R. MARTIN
GARDNER DOZOIS



NIEBEZPIECZNE
KOBIETY

*KSIĘŻNICZKA I KRÓLOWA
ZE ŚWIATA GRY O TRON*

REDAKCJA I WYBÓR

GEORGE R.R. MARTIN
GARDNER DOZOIS

NIEBEZPIECZNE KOBIECY



Przekład

Krystyna Chodorowska, Mirosław P. Jabłoński,
Michał Jakuszewski, Beata Rosadzińska

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

GEORGE R.R. MARTIN GARDNER DOZOIS

Niebezpieczne kobiety

ISBN: 978-83-7785-646-8

Copyright © 2013 by George R.R. Martin and Gardner Dozois

All rights reserved

Copyright © 2015 for the Polish translation

by Zyski i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań

PROJEKT GRAFICZNY: Tobiasz Zysk

ILUSTRACJE: Jędrzej Chełmiński

REDAKCJA: Robert Cichowlas

Zyski S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26

Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90

sklep@zyskcom.pl www.zyskcom.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

*Dla Jo Playford,
mojej niebezpiecznej ulubienicy*

George R.R. Martin

GARDNER DOZOIS

Wstęp

W literaturze popularnej zawsze trwał spór o to, jak bardzo niebezpieczne są kobiety.

W świecie rzeczywistym rzecz jasna tę kwestię dawno już rozstrzygnięto. Nawet jeśli Amazonki są mitem (a nawet gdyby nim nie były, z pewnością nie ucinąłyby sobie piersi, by lepiej strzelać z łuku), inspiracją do tej legendy były straszliwe scytyjskie wojowniczkі, które z całą pewnością istniały naprawdę. Gladiatorki walczyły na śmierć i życie z innymi kobietami — a czasami również z mężczyznami — na arenach starożytnego Rzymu. Kobiety zajmowały się piractwem, jak Anne Bonny i Mary Read, a nawet były samurajami. Podczas drugiej wojny światowej służyły w rosyjskich oddziałach frontowych, budząc lękswą gwałtownością, a obecnie służą w armii izraelskiej. W Stanach Zjednoczonych do roku 2013 oficjalnie nie mogły uczestniczyć w walce, ale wiele odważnych kobiet i tak oddało życie w Iranie oraz w Afganistanie, ponieważ kule i miny przeciwpiechotne nie dbają o oficjalny status. Kobiety służące w amerykańskim ochotniczym korpusie WASP podczas drugiej wojny światowej również oficjalnie zaliczały się do personelu cywilnego (choć i tak wiele z nich zginęło podczas wykonywania obowiązków), ale Rosjanki pilotowały myśliwce i niekiedy zostawały asami. Jednej z nich zaliczono dwanaście zestrzeleń. Królowa Boudika z plemienia Icenów dowodziła jednym z najgroźniejszych buntów przeciwko rzymskiej władzy i niemalże udało się jej przegnać Rzymian z Brytanii, a młoda francuska wieśniaczka prowadziła armie przeciwko Anglikom z takim powodzeniem, że przeszła do historii jako Joanna d’Arc.

Po ciemnej stronie mamy „rozbójniczkі”, takie jak Mary Frith i lady Katherine Ferrers czy Pearl Hart (ostatnia osoba, która napadła na dylizans); osławione trucicielki, takie jak Agrypina czy Katarzyna na Medycejska, nowoczesne przestępczynie, na przykład Ma Barker i Bonnie Parker, a nawet seryjne morderczynie, jak Aileen Wuornos. Elżbieta Batory ponoć kąpała się w krwi dziewic, a nawet jeśli prawdziwość tej opowieści się podważa, nie ma wątpliwości, że torturowała i zabiła dziesiątki, być może setki dzieci. Angielska królowa Maria I spaliła na stosie setki protestantów, a królowa Elżbieta w odpowiedzi straciła wielu katolików. Szalona królowa Madagaskaru Ranavalona skazała na śmierć tak wielu ludzi, że podczas jej panowania liczba ludności wyspy spadła o jedną trzecią; nakazywała stracić nawet tych, którzy się jej przyznali.

Literatura popularna zawsze jednak miała schizofreniczne podejście do kwestii niebezpiecznych kobiet. W fantastyce naukowej z lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych kobiety, jeśli w ogóle się pojawiały, były z reguły ograniczone do roli pięknej córki naukowca, która mogła krzyczeć podczas scen walki, ale poza tym nie robiła wiele, pomijając padanie z podziwem w objęcia zwycięskiego bohatera. Legiony kobiet mdlały bezradnie, czekając, aż dzielny bohater o kwadratowej szczęce uratuje ich przed wszystkim, od smoka aż po kóregoś z przerażających kosmitów, którzy na okładkach pulpowych magazynów SF zawsze uprowadzali je w nieprawdopodobnych celach, od romantycznych aż po kulinarne. Szarpiące się bezradnie kobiety przywiązywano do torów kolejowych i mogły jedynie pisać w nadziei, że bohater na czas przybędzie z odsieczą.

Niemniej opisywano też wojowniczkę — takie jak Dejah Thoris i Thuvia Edgara Rice'a Burroughsa — które były równie groźne w walce jak John Carter i jego towarzysze; poszukiwaczki przygód, jak Jirel z Joiry, C.L. Moore, przedzierały się z bronią w rękę przez strony „Weird Tales” (torując drogę dla późniejszych bohaterek takich jak Alyx Joanny Russ); James H. Schmitz wysyłał agentki z Vegi, takie jak babcia Wannatel i nieustraszone nastolatki, jak Telzey Amberdon i Trigger Argee, do walki ze złowrogimi niebezpieczeństwami i potworami kosmicznych szlaków; natomiast niebezpieczne kobiety Roberta A. Heinleina potrafiły dowodzić gwiazdolotami albo zabijać wrogów w walce wręcz. Sprytna i tajemnicza Irene Adler stworzona przez Arthura Conan Doyle'a była jedną z nielicznych osób, którym kiedykolwiek udało się przechytryć Sherlocka Holmesa. Zapewne stała się też inspiracją dla legionów podstępnych, niebezpiecznych, sprytnych i uwodzicielskich femme fatale, które występowały w książkach Dashiella Hammetta i Jamesa M. Caina, a potem zaczęły się pojawiać w dziesiątkach filmów *noir*. Do dziś można je zobaczyć w kinie i w telewizji. Późniejsze telewizyjne bohaterki, takie jak Buffy postrach wampirów czy Xena wojowniczka księżniczka, potwierdziły, że kobiety mogą być wystarczająco groźne, by walczyć z hordami nadnaturalnych potworów, i stały się też inspiracją do powstania nowego gatunku znanego jako romans paranormalny.

Podobnie jak antologia *Warriors*, także *Niebezpieczne kobiety* zawierają opowiadania z różnych gatunków. Zwróciliśmy się do autorów science fiction, fantasy, kryminałów, powieści historycznych, horrorów i romansów paranormalnych, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, z prośbą, by napisali coś o „niebezpiecznych kobietach”. Odpowiedzieli nam niektórzy z najlepszych obecnie autorów — od najstarszych do najmłodszych — jak Diana Gabaldon, Jim Butcher, Sharon Kay Penman, Joe Abercrombie, Carrie Vaughn, Joe R. Lansdale, Lawrence Block, Cecelia Holland, Brandon Sanderson, Sherrilyn Kenyon, S.M. Stirling, Nancy Kress i George R. R. Martin.

Nie znajdziecie tu bezradnych ofiar, które jęczą ze strachu, gdy bohaterski mężczyzna walczy

ze smokiem albo krzyżuje miecze z czarnym charakterem, a jeśli zamierzacie przywiązać którąś z tych kobiet do torów kolejowych, macie przed sobą ciężką walkę. Są tu władające mieczem wojowniczkę, dzielne pilotki myśliwców i astronautki, śmiercionośne seryjne morderczynie, potężne superbohaterki, podstępne i uwodzicielskie femme fatale, czarodziejki, twarde Złe Dziewczyny, rozbójniczki i buntowniczkę, kobiety walczące o przetrwanie w postapokaliptycznej przyszłości, kobiety detektywi i surowi sędziowie, dumne, władające państwami królowe, które — kierowane zazdrością i ambicją — wysyłają tysiące ludzi na straszliwą śmierć, śmiało smocze jeźdźczynie i takdalej.

Miłej lektury!

Przetłumaczył Michał Jakuszewski

JOE ABERCROMBIE

Też mi desperado

(SOME DESPERADO)

Pełne oszłamiająco szybkiej akcji opowiadanie zamieszczone poniżej pokazuje nam, że pogoń za zbiegiem może niekiedy okazać się równie niebezpieczna dla ścigających, jak i dla ściganego, jeżeli ten ostatni przekonuje się, że nie ma już dokąd uciekać...

Joe Abercrombie jest jedną z najszybciej wznoszących się gwiazd dzisiejszego fantasy. Zarówno czytelnicy, jak i krytycy cenią go za rzeczowy, oszczędny styl. Zapewne najbardziej znanym z jego utworów jest trylogia *Pierwsze prawo*. Jej pierwszy tom, *Samo ostrze*, opublikowano w roku 2006. W następnych latach ukazały się: *Zanim zawisną na szubienicy* i *Ostateczny argument królów*. Napisał też samodzielne powieści: *Zemsta najlepiej smakuje na zimno* oraz *Bohaterowie*. Jego najnowsza książka to *Czerwona kraina*. Poza pisarstwem Joe Abercrombie zajmuje się również montażem filmowym. Mieszka i pracuje w Londynie.

TEŻ MI DESPERADO

Płoszka pogoniła wierzchowca piętami. Przednie nogi załamały się pod zwierzęciem i nim kobieta zdążyła się zorientować, przeżyła smutne rozstanie z siodłem.

Koziółkując w powietrzu, miała moment na rozważenie sytuacji. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała ona zbyt dobrze, a zbliżająca się ziemia nie dała Płoszce czasu na drugi. Spróbowała się przetoczyć na bok — jak zwykle, gdy spotykało ją coś złego — ale kontakt z gruntem zmusił ją do zmiany planów. Odbiła się i wylądowała w wyschłych od słońca chaszczach.

Kurz opadł na ziemię.

Kobieta wykorzystała chwilę na zaczerpnięcie oddechu, a potem drugą na jęknienie, czekając, aż świat przestanie wirować wokół niej. Trzecią chwilę zużyła, by poruszyć z wielką ostrożnością ręką i nogą, oczekując na przyprawiający o mdłości ból, który świadczyłby, że coś sobie złamała, i żaloszny cień, jakim było jej życie, wkrótce zniknie w nieprzeniknionym mroku. Ucieszyłaby się z tego, gdyby miało to oznaczać, że może sobie spokojnie leżeć i nie musi już uciekać. Ból jednak nie nadszedł. A przynajmniej nie silniejszy niż zwykle. Jeśli zaś chodzi o żaloszny cień jej życia, sprawa miała się dopiero rozstrzygnąć.

Płoszka podźwięnęła się z trudem, powłócząc nogami. Pokrywał ją kurz i pluła piaskiem. W ciągu kilku ostatnich miesięcy poślęła go stanowczo zbyt wiele i z przygnębieniem pomyślała, że na tym z pewnością nie koniec. Spieniony koń leżał w odległości kilku kroków. Robił bokami, a przednie nogi miał czarne od krwi. Strzała Neary'ego trafiła go w kłęb. Nie wbiła się wystarczająco głęboko, by zabić zwierzę czy choćby spowolnić je natychmiast, ale wystarczyła, żeby spowodować długotrwały krwotok, który na spółkę z szybką jazdą Płoszki zabił je równie niezawodnie jak drzewce wbite w serce.

Były czasy, gdy Płoszka przywiązywała się do koni. Czasy, gdy — choć nie bez racji uważała się za twardą wobec ludzi — dla zwierząt była niezwykle miękka. Ale te czasy dawno już minęły. W jej ciele i umyśle pozostało teraz bardzo niewiele miękkości. Dlatego porzuciła wierzchowca, by wydał ostatnie, pełne krwawej piany tchnienie bez pociechy jej uspokajającego dotyku, i pomknęła w stronę miasteczka. Z początku trochę się chwiała na nogach, ale jej mięśnie szybko się rozgrzały. W bieganiu miała bardzo wiele wprawy.

Słowo „miasteczko” mogło być lekką przesadą. Osada składała się z sześciu budynków, a w przypadku dwóch albo trzech z nich to określenie również było zbyt wyrozumiałe. Zbudował je z nieociosanych kłód ktoś, kto nigdy nie słyżał o kłatach prostych, spaliło je też słońce i zmył deszcz. Wszystkie przycupnęły wokół pozbawionego nawierzchni placu, na którym stała rozsypująca się studnia.

Największy z budynków wyglądał na karczmę, burdel albo placówkę handlową, a najprawdopodobniej był wszystkimi trzema w jednym. Na deskach nad drzwiami nadal wisiał sfatygowany szyld, ale wiatr zatarł nazwę, pozostawiając tylko kilka jaśniejszych smug na ciemnym tle. „Nic, nigdzie” — głosił obecnie napis. Wszęła na prowadzące do drzwi schody. Stare deski skrzyły pod jej bosymi stopami. Zastanawiała się gorączkowo nad tym, jak rozegra sprawę, gdy już znajdzie się wewnątrz, jakie prawdy przyprawi jakimi kłamstwami, by osiągnąć pożądaną smak.

Ścigają mnie! — zawoła, dysząc ciężko w drzwiach i starając się wyglądać na skrajnie zdesperowaną. W obecnej chwili nie będzie to wymagało zbyt wielkich talentów aktorskich. Szczerze mówiąc, w żadnej chwili od dwunastu miesięcy.

Skurwysynów jest trzech! Potem — zakładając, że nikt jej nie pozna z listu gończego, doda: *Chcieli mnie obrabować!* To fakt. Nie było potrzeby dodawać, że sama zrabowała te pieniądze z nowego banku w Homenaw w towarzystwie tychże samych trzech dzielnych mężczyzn, a także czwartego, którego władze zdążyły już zatrzymać i powiesić.

Zabili mojego brata! Upili się krwią! Jej brat siedział sobie bezpiecznie w domu — gdyby tylko była teraz z nim — a jeśli ścigający czymś się upili, to zapewne tanią gorzałką, jak zwykle. Niemniej wykrzyczy te słowa lekko śpiewnym tonem. Taki ton wychodził jej świetnie, gdy tego potrzebowała. Ćwiczyła go tak długo, aż wreszcie zabrzmiał naprawdę pięknie. Wyobraziła sobie, jak goście zrywają się z nóg, chętni pomóc kobiecie w opalach.

Zastrzelili mojego konia! Musiała przyznać, że to mało prawdopodobne, by ktoś na tyle twardy, żeby mieszkać w podobnym miejscu, dał się porwać rycerskiej pasji, ale może fortuna wreszcie się do niej uśmiechnie.

Ponoć to czasem się zdarzało.

Weszła do środka karczmy, otworzyła usta, by opowiedzieć swą historię, i nagle zamarła w bezruchu.

Nie było tu nikogo.

Nie tylko nikogo, lecz również niczego, a już z pewnością uśmiechu fortuny. W opustoszałej sali nie pozostał ani kawałek mebla. Wąskie schody wiodły na położony po lewej stronie balkon. Drzwi pustych pokojów na piętrze były szeroko otwarte. Przez liczne szczeliny w splekanych deskach do środka wnikały promyki wschodzącego słońca. Coś czmychnęło w cienie, których tu nie brakowało — może tylko jaszczurka. Wszystkie powierzchnie były szare od kurzu, a w kątach zalegały jego sterty wielkie jak kopy siana. Płozka stała przez chwilę nieruchomo, gapiąc się na to, a potem wybiegła na rozklekotany ganek i ruszyła ku następnemu budynkowi. Popchnięte przez nią drzwi wypadły z zardzewiałych zawiasów.

Ten dom nawet nie miał dachu. Ani podłogi. Tylko nagie krokwie, a nad nimi odsłonięte, różowe niebo, oraz równie nagie legary podłogowe i ziemia pod nimi, równie martwa i jałowa jak wszędzie w promieniu wielu mil.

Wróciwszy na ulicę, Płozka przyjrzała się wszystkiemu wzrokiem niezmaconym nadzieją i uświadomiła sobie, co widzi. W oknach nie było szyb ani nawet woskowanego papieru. Przy studni nie było sznura. Nigdzie nie widziała żadnych zwierząt, pomijając swego martwego konia, dodatkowo podkreślającego ten fakt.

To był wyschnięty trup od dawna martwej osady.

Sterczała przez pewien czas w tym opuszczonym miejscu, stojąc na palcach bosych stóp, jakby miała zamiar gdzieś pognać, ale brakowało jej celu. Oplotła się jedną ręką i poruszała palcami drugiej, próbując pochwycić pustkę. Przygryzała dolną wargę i wciągała szybko,

chrapliwe oddechy przez wąską szparę między przednimi zębami.

Nawet według jej obecnych standardów sytuacja wyglądała paskudnie. Jeśli jednak Płoszka nauczyła się czegoś w ciągu kilku ostatnich miesięcy, to z pewnością tego, że zawsze może być gorzej. Spojrzała w kierunku, z którego przybyła, i zobaczyła unoszące się w powietrzu tumany kurzu — trzy szare ślady widoczne na tle lśniącej w blasku słońca ziemi równie szarego koloru.

— Niech to szlag — wyszeptła, mocniej przygryzając wargę. Wyciągnęła zza pasa nóż kuchenny i wytarła krótką metalową klingę o brudną koszulę, jakby ten czyn mógł w jakiś sposób poprawić jej szansę. Zawsze jej mówiono, że ma bujną wyobraźnię, lecz mimo to nie potrafiła sobie wyobrazić marniejszej broni. Roześmiałyby się, gdyby nie była na granicy placzu. Jeśli się nad tym zastanowić, w ciągu kilku ostatnich miesięcy spędziła na tej granicy stanowczo zbyt wiele czasu.

Jak mogło do tego dojść?

To pytanie pasowało raczej do jakiejś porzuconej dziewczyny niż do wyjętej spod prawa banitki, za którą oferowano cztery tysiące marek nagrody. Mimo to nie przestawała go sobie zadawać. Też mi desperado! Desperację opanowała świetnie, ale pozostałe aspekty tej roli wciąż były dla niej tajemnicą. Smutna prawda wyglądała tak, że Płoszka świetnie wiedziała, jak do tego doszło. Tak samo jak zawsze. Katastrofy następowały po sobie tak szybko, że po prostu odbijała się od kolejnych jak ćma uwieczona wewnątrz latarni. Po pierwszym standardowym pytaniu szybko zjawiało się drugie.

I co teraz, kurwa?

Wciągnęła brzuch — właściwie nie bardzo już było co wciągać — złapała za tasieмки torby i pociągnęła ją za sobą. Monety uderzały o siebie z brzękiem, jakiego nie produkuje nic poza pieniędzmi. Około dwóch tysięcy marek w srebrze. Można by pomyśleć, że w banku będzie znacznie więcej — deponującym pieniądze mówili, że zawsze mają na podorzędziu pięćdziesiąt tysięcy — okazało się jednak, że banki wcale nie są bardziej godne zaufania od bandytów.

Wsadziła rękę do środka, wyciągnęła garść monet i rzuciła je na ulicę, by lśniły w promieniach słońca. Właściwie nie wiedziała, dlaczego to robi. Ostatnio zdarzało się jej to bardzo często. Być może ceniła własne życie znacznie wyżej niż dwa tysiące marek, nawet jeśli nikt nie zgadzał się z tą opinią. A może miała nadzieję, że zabiorą srebro i zostawią ją w spokoju, choć nie rozważyła kwestii, co zrobi w tym martwym mieście, nie mając konia, jedzenia ani broni. Najwyraźniej nie potrafiła stworzyć planu, a przynajmniej nie takiego, który mógłby się udać. Kiepskie planowanie zawsze było jej słabością.

Rozsypywała srebro po ziemi, jakby siała zboże na gospodarstwie matki, od którego dzieliło ją wiele mil i lat, a także kilkanaście gwałtownych śmierci. Kto by pomyślał, że będzie za nim tęskniła? Za nędzną chałupą, walącą się stodołą i wiecznie wymagającym naprawy płotem. Za

upartą krową, która nigdy nie dawała mleka, upartą studnię, w której nigdy nie było wody, oraz upartą glebę, na której udawały się wyłącznie chwasty. A także za upartą młodszą siostrą i bratem. Nawet za wielkim, naznaczonym bliznami, łagodnym Owcą. Czegóż by nie oddała za to, by znowu usłyszeć przeklinającą ją piskliwie matkę. Mocno pociągnęła obolałym nosem. W oczach ją szczypało, otarła je więc wystrzępionym rękawem. Nie miała czasu na łzawe wspomnienia. Widziała już trzy ciemne plamy jeźdźców, ciągnących za sobą nieuniknione chmury pyłu. Rzuciła na ziemię pustą torbę, pobiegła z powrotem do gospody i...

— Au!

Przeskakując przez próg, rozdarła sobie podeszwę bosej stopy o główkę sterczącego z desek gwoźdźcia. Prawda wygląda tak, że świat to wredny skurczybyk. Nawet wtedy, gdy wielkie katastrofy spadają ci na głowę, małe nie przepuszczą okazji, by ukąsić cię w stopę. Jakże żałowała, że nie zdążyła zabrać butów. W ten sposób mogłaby zachować choć odrobinę godności. Miała jednak tylko to, co miała, a na tej liście nie było butów ani godności. Sto wielkich życzeń nie było wartych jednego małego faktu, jak do zdudzenia powtarzał jej Owca, gdy przeklinała jego, matkę i swój los, przy sięgając, że jutro już jej tu nie będzie.

Przypomniała sobie, jak wyglądało wówczas jej życie. Gdyby tylko mogła zdzielić w gębę dawną wersję samej siebie. Będzie jednak mogła przywalić obecnej, jeśli uda się jej stąd wy dostać.

Ale najpierw musi się uchylić przed ciosami licznych obcych pięści.

Wbiegła na schody, utykając lekko i przeklinając wniebogłosey. Dotarłszy na szczyt, przekonała się, że zostawiła na każdym stopniu krwawe odciski dużego palca. Ogarnęło ją przygnębienie na myśl o tym krwawym śladzie prowadzącym prosto do końca jej nogi, lecz nagle przez panikę przesączyło się coś przy pominającego plan.

Doszła do końca balkonu, mocno dociskając krwawiącą stopę do desek i weszła do ostatniego z opuszczonych pokoiów. Tam uniosła stopę, ściskając ją mocno, by powstrzymać krwawienie, wróciła na jednej nodze do pierwszego pokoju tuż przy schodach i schowała się w cieniach.

Z pewnością była to żałosna próba. Równie żałosna jak jej bosa stopy, kuchenny nóż, dwa tysiące marek łupu i wspaniałe marzenie o powrocie na zadupie, o ucieczce z którego marzyła przedtem. Marne szanse, że tych trzech skurwysynów da się nabrać, choć byli wyjątkowo głupi. Cóż jednak jej pozostało?

Jeśli stać cię tylko na niskie stawki, musisz liczyć na łut szczęścia.

Miała za towarzystwo tylko własny oddech, niosący się echem w pustym pokoju, ostre wydechy i chrapliwe wdechy, niemalże wywołujące ból gardła. Oddech kogoś, kto zaraz może się zesrać ze strachu i nie ma już żadnych pomysłów. Po prostu nie widziała drogi wyjścia. Jeśli wróci kiedyś do gospodarstwo, codziennie rano będzie się zrywała z łóżka, by odtańczyć krótki

taniec z radości, że żyje, na każde przekleństwo matki odpowie pocałunkiem i nigdy już nie będzie warczała na siostrę ani drwiła z tchórzostwa Owcy. Obiecała to sobie, a potem pomyślała, że szkoda, że nie jest z tych, którzy dotrzymują obietnic.

Usłyszała konie, zakradła się do okna wychodzącego w połowie na podwórko i wyjrzała ostrożnie na zewnątrz, jakby zaglądała do wiadra pełnego skorpionów.

Byli tu.

Neary miał na sobie swój stary, brudny koc, przewiązany w pasie sznurkiem. Przetłuszczony włosy sterczały mu na wszystkie strony, w jednej ręce trzymał wodze, a w drugiej łuk, z którego postrzelił wierzchowca Płoszki. Ciężki topór o ostrzu wyczyszczonym równie starannie, jak reszta jego odrażającej postaci była zaniedbana, wisiał mu u pasa. Dodd naciągnął na oczy sfatygowany kapelusz, garbiąc się trwożnie w siodle jak zawsze, gdy jego brat był blisko. Wyglądał jak szczenię spodziewające się klapsa. Płoszka chętnie by go wymierzyła temu niewiernemu durniowi. Na początek Był też Jeg, wyprostowany dumnie jak lord i odziany w długi czerwony płaszcz o brudnych frędzlach opadających na zad wielkiego rumaka. Mężczyzna przyglądał się budynkom z głodnym grymasem na twarzy. Cylinder, który jego zdaniem dodawał mu godności, przekrzywił się na jego głowie i wyglądał jak komin na spalonym gospodarstwie.

— Zostawiła pieniądze — zauważył Dodd, wskazując na monety leżące na ziemi wokół studni. Parę z nich mrugało jasno w promieniach słońca.

— Na to wygląda — zgodził się Jeg twardym tonem w niczym nieprzyominającym łagodnego głosu jego brata.

Zsiedli z wierzchowców i spętali je. Nie śpieszyli się. Mogłoby się zdawać, że strzepują z siebie pył po krótkiej przejażdżce, przygotowując się na miły wieczór spędzony w kulturalnym towarzystwie. Nie mieli powodów do pośpiechu. Wiedzieli, że Płoszka tu jest, że nigdzie nie ucieknie i że nie może liczyć na żadną pomoc. Ona również o tym wszystkim wiedziała.

— Skurwysyny — szepnęła, przeklinając dzień, w którym połączyła z nimi siły. Ale z kimś trzeba współpracować, prawda? I można wybierać tylko z dostępnych opcji.

Jeg rozprostował plecy, pociągnął nosem, splunął i wyciągnął broń. Przekłętą kawaleryjską szablę, z której był taki dumny, ze sprytnie skonstruowanym koszem. Twierdził, że zdobył ten oręż w pojedynku z oficerem Unii, Płoszka wiedziała jednak, że go ukradł, podobnie jak większość swego dobytku. Okropnie wyśmiewała się z niego z powodu tej głupiej szabli, ale nie miałyby nic przeciwko temu, by to ona teraz go miała, pozostawiając jemu nóż kuchenny.

— Dym! — ryknął Jeg. Płoszka skrzywiła się boleśnie. Nie miała pojęcia, kto pierwszy nazwał ją tym imieniem. Jakis dowcipniś wypisał je na nakazie aresztowania i teraz wszyscy tak na nią mówili. Być może dlatego, że miała tendencję do znikania jak dym. A może dlatego, że

śmierdziała jak on, ludzi drapało od niej w gardle i płynęła z wiatrem.

— Wyłaż, Dym! — Głos Jega odbił się echem od martwych frontów budynków i Płoszka skryła się jeszcze głębiej w ciemności. — Wyłaż, a nie skrzywdzimy cię zbyt mocno!

Nie mieli zamiaru zabrać pieniędzy i odjechać. Chcieli również otrzymać nagrodę.

— Lachociągi — wyszeptwała, wsuwając język w szparę między zębami. Niektórzy mężczyźni są tacy, że im więcej im dać, tym więcej zabierają.

— Będziemy musieli po nią pójść — usłyszała mącący ciszę głos Neary 'ego.

— Tak jest.

— Mówiłem, że będziemy musieli po nią pójść.

— Na pewno znalazłeś się w portki z radości, co?

— Powiedziałem ci, że będziemy musieli po nią pójść.

— Przestań to powtarzać i bierz się do roboty.

— Posłuchajcie, forsa jest tutaj — zabrzmiał przy pochlebny głos Dodda. — Moglibyśmy po prostu ją zebrać i zwiać. Nie musimy ...

— Czy naprawdę wylażesz spomiędzy tych samych nóg co ja? — zapytał brata szyderczym tonem Jeg. — Jesteś najgłupszym skurczybykiem na świecie.

— Najgłupszym — zgodził się Neary.

— Myślisz, że zostawię cztery tysiące marek wronom? Ty sobie zbierz tę forszę. My poskromimy kłacz.

— Jak myślisz, gdzie ona jest? — zapytał Neary.

— Słyszałem, że jesteś wielkim tropicielem.

— W głuszy tak, ale teraz nie jesteśmy w głuszy.

Jeg uniósł brwi, wskazując głową na opustoszałe rudery.

— Twoim zdaniem to serce cywilizacji?

Przez chwilę obaj mężczyźni spoglądali na siebie nawzajem. Nagły powiew otoczył ich nogi obłokami pyłu, po czym się uspokoił.

— Gdzieś tu jest — stwierdził wreszcie Neary.

— Tak sądzisz? Całe szczęście, że towarzyszy mi człowiek mający ponoć najbystrzejszy wzrok na zachód od gór, bo inaczej mógłbym nie zauważyć pierdolonego padłego konia leżącego dziesięć kroków ode mnie. Tak, na pewno gdzieś tu jest.

— Jak myślisz, gdzie?

— A gdzie ty byś był?

Neary omiół wzrokiem budynki. Płoszka cofnęła się pośpiesznie, gdy spojrzenie jego przy mrużonych oczu padło na karczmę.

— Chyba w tym tutaj, ale ja to nie ona.

— Kurwa, pewnie, że ty to nie ona. Wiesz, po czym to poznaję? Masz większe cycki i mniej rozumu. Gdyby była taka jak ty, nie musiałbym jej teraz szukać.

Znowu zapadła cisza, której towarzyszył kolejny powiew.

— Pewnie byś nie musiał — zgodził się Neary.

Jeg zdjął cylinder, podrapał się po przepoconych włosach i ponownie włożył na bakier nakrycie głowy.

— Ty sprawdź ten, a ja zajmę się sąsiednim. Tylko nie zabij tej suki, dobra? Za martwą dają tylko połowę nagrody.

Płoszka wycofała się w cienie. Czują pot spływający jej pod koszulą. Dała się złapać na totalnym zadupiu. Tym bezwartościowym skurwysynom. Bosa. Nie zasługiwała na to. Chciała tylko stać się kimś, o kim warto mówić. Nie być zerem, o którym wszyscy zapomną w dzień jego śmierci. Teraz sobie uświadomiła, że istnieje delikatna równowaga między niedostatkiem ekscytujących wydarzeń, a ich przytłaczającym nadmiarem. Niestety, podobnie jak większość jej kławych epifanii, ta nadeszła o rok za późno.

Wessała powietrze przez szparę między zębami, usłyszawszy skrzywienie podłogowych desek na dole, a być może również brzęk wielkiego topora Neary'ego. Ogarnęło ją drżenie. Nagle poczuła się tak słabo, że ledwie mogła utrzymać nóż, nie wspominając już o zadaniu nim ciosu. Może nadszedł czas, by się poddać. Wyrzucić nóż za drzwi i zawołać: „Wychodzę! Nie będę sprawiała kłopotów! Wygraliście!”.

Uśmiechnęłaby się, skinęła głową i podziękowała im za zdradę, a także wyrozumiałość, kiedy ją skopią albo wybatożą, połamią jej nogi, czy co tam będą mieli ochotę jej zrobić po drodze pod szubienicę.

Widziała już podobne widowiska i nigdy nie przypadły jej do gustu. Związany skazaniec słuchał, jak wyczytują jego imię i zbrodnię, którą popełnił, gdy zaciskano mu pętlę na szyi, marzył o jakimś cudownym ratunku, który nigdy nie nadchodził, błagał ze łzami o zmilowanie albo rzucał przekleństwami, ale to i tak nic nie zmieniało. Potem wierzgał nogami w powietrzu, wywalał języki i srał w portki ku ucieście hołoty wcale nie lepszej od niego. Wyobraziła sobie, jak Jeg i Neary stoją w pierwszym szeregu uśmiechniętego tłumu i gapią się na jej złodziejski taniec na końcu sznura. Zapewne włożą jeszcze bardziej absurdalne stroje, nabyte za nagrodę.

— Pierdolić ich — wyszeptła w ciemności, wykrzywiając usta w złowrogim grymasie w tej samej chwili, gdy usłyszała stopę Neary'ego na najniższym stopniu.

Płoszka zawsze była przekorna. Już jako mały brzdąc, gdy tylko ktoś jej powiedział, jak ma być, zaczynała się zastanawiać, co zrobić, żeby było inaczej. Matka zawsze jej mówiła, że jest uparta jak muł. Uważała, że to wina krwi Duchów.

— To cholerna krew Duchów — irytowała się, jakby to Płoszka była winna temu, że jest

ćwierćkwi dzikuską, a nie jej matka, która postanowiła iść do łóżka z pół-Duchem — wędrowcem, który okazał się zapijaczonym nicponiem, co raczej trudno było uznać za niespodziankę.

Będzie walczyła. Z pewnością przegra, ale będzie walczyła. Zmusi skurwysynów, by ją zabili, i w ten sposób pozbawi ich przynajmniej połowy nagrody. Nie spodziewała się, że podobne myśli uspokoją drżenie jej dłoni, niemniej tak właśnie się stało. Mały nóż nadal drżał, ale tylko dlatego, że tak mocno go ścisłała.

Jak na człowieka uważającego się za wielkiego tropiciela, Nea ry miał spore trudności z zachowaniem ciszy. Usłyszała, jak oddech świszcze mu w nosie, gdy zatrzymał się u szczytu schodów, tak blisko, że mogłaby go dotknąć, gdyby nie drewniana ściana.

Przestąpił z nogi na nogę i deski skrzyknęły. Płoszka napięła wszystkie mięśnie. Poczula, że jej włosy się jeżą. Potem go zobaczyła. Nie biegł ku niej z toporem w ręce i żądzą mordu w oczach, lecz skradał się wzdłuż balkonu, podążając za pozostawionym na przynętę śladem. Gotowy do strzału łuk kierował w całkowicie niewłaściwą stronę.

Płoszka zawsze uważała, że gdy los ofiaruje jej dar, należy chwycić go obiema rękami, zamiast się zastanawiać, w jaki sposób wyrazić swą wdzięczność. Pognała w stronę mężczyzny, wyszczerzając zęby. W jej gardle zrodził się cichy warkot. Neary odwrócił głowę, wytrzeszczając oczy. Łuk podążył za nią, grot strzały lśnił w słabym świetle wnikającym do wnętrza opuszczonego budynku.

Płoszka pochyliła się nisko i złapała przeciwnika za nogi. Stęknął, gdy uderzyła go barkiem w udo. Odnalazła dłoń nadgarstek swej drugiej ręki i zacisnęła je mocno tuż poniżej tyłka Neary'ego. Jej nozdrza wypełnił odór konia i kwaśnego potu. Łuk wystrzelił, ale Płoszka prostowała się już z krzykiem i warczeniem. Choć był potężnie zbudowanym mężczyzną, uniosła go nad poręcz równie zręcznie, jak robiła to z workami ziarna na gospodarstwie matki.

Zawisł na chwilę w powietrzu, zszokowany otwierając szeroko usta i oczy, a potem poleciał w dół ze słyszalnym świstem powietrza i runął z trzaskiem na podłogę.

Kobieta zamrugała, ledwie mogąc w to uwierzyć. Owłosiona skóra jej głowy płonęła. Dotknęła jej palcem, na wpół spodziewając się, że wymaca wbitą w mózg strzałę. Lecz kiedy się odwróciła, zobaczyła ją w ścianie za swymi plecami. Z jej punktu widzenia było to znacznie lepsze rozwiązanie. Poczula jednak lepką krew we włosach i spływającą po czole. Może uderzyło ją łuczysko. Jeśli dotrze do tego łuku, będzie miała szansę. Postąpiła krok w stronę schodów, a potem stanęła jak wryta. W drzwiach stał Jeg. Jego szabla była długim, czarnym łukiem, widocznym na tle skąpanej w blasku słońca ulicy.

— Dym! — ryknął. Czmychnęła wzdłuż balkonu niczym królik, podążając donikąd swym krwawym tropem. W pełnym pędzie uderzyła barkiem w drzwi na końcu i wypadła w światło na

kolejny balkon ulokowany z tyłu budynku. Wsparła bosą stopę na niskiej poręczy — lepiej dać się ponieść własnej przekorze w nadziei, że zaprowadzi ją ona ku bezpieczeństwu, niż tracić czas na myślenie — i skoczyła ku rozklekotanemu balkonowi budynku po drugiej stronie wąskiej uliczki, wymachując w powietrzu kończykami, jakby mogło ją to zanieść dalej.

Złapała za poręcz, uderzyła żebrami o drewno i zsunęła się z jękiem w dół, poszukując dłońmi uchwytu, by podciągnąć się wyżej. Nagle coś pękło...

Rozległ się trzask udręczonego drewna i całe zwierzęłe cholerstwo oderwało się od ściany budynku.

W locie Płoszka raz jeszcze miała chwilę na rozważenie sytuacji. I znowu na pierwszy rzut oka nie wyglądała ona zbyt dobrze. Zaczynała już zawodzić z rozpaczy, gdy jej stary wróg grunt dorwał ją — jak działo się zawsze — sprawił, że noga ugięła się pod nią, a potem obrócił ją i walnął w bok, wybijając jej powietrze z płuc.

Zakaślała, jęknęła, a potem wypłuła jeszcze trochę piasku. Nie pocieszała jej zbytnio myśl, że przy poprzedniej okazji miała rację, sądząc, że nie po raz ostatni wypełnił jej usta. Zobaczyła Jega. Stał na balkonie, z którego skoczyła. Zsunął cylinder na czoło, zachichotał, po czym wrócił do środka.

Nadal miała w dłoni kawałek poręczy, chociaż mocno zbutwiały. Podobnie jak jej nadzieje. Przetoczyła się i odrzuciła go na bok, ponownie czekając na wywołujący mdłości ból, który jej powie, że już po niej. Tym razem również nie nadszedł. Mogła się ruszać. Poruszyła stopami i doszła do wniosku, że da radę wstać. Postanowiła jednak z tym zacząć. Najprawdopodobniej zrobi to ostatni raz w życiu.

Odczołgała się od sterty połamanego drewna pod ścianą. Jej cień ciągnął się ku drzwiom. Jęknęła z bólu, usłyszawszy odgłos ciężkich kroków Jega dobiegający z wnętrza budynku. Zaczęła się oddalać na tyłu i na łokciach, ukrywając nożyk za nadgarstkiem. W drugą dłoń nabrała garść piasku.

— Dokąd się wybierasz? — Jeg pochylił się pod niskim nadprożem. Był wysokim mężczyzną, ale w owej chwili wyglądał jak olbrzym. Przerastał Płoszkę o całe pół głowy, nawet kiedy stała, a ważył zapewne prawie dwa razy więcej od niej, nawet gdy ostatnio coś jadła. Ruszył ku niej dumnym krokiem, rozciągając językiem dolną wargę. Ciężką szablę swobodnie trzymał w dłoni. Wyraźnie napawał się chwilą swego triumfu.

— Nieźle podeszłaś Neary'ego, co? — Uniósł nieco rondo cylindra, odsłaniając brązowe znamię na czole. — Jesteś silniejsza, niżby się zdawało. Ale z drugiej strony chłopak jest taki głupi, że mógłby stamtąd zlecieć bez pomocy. Ja nie dam się tak łatwo załatwić.

To się dopiero okaże, ale Płoszka pozwoli, by nóż powiedział to za nią. Nawet niewielki kawałek metalu potrafi być bardzo elokwentny, jeśli wepchnie się go w odpowiednie miejsce. Cofnęła się

jeszcze bardziej, wzbijając nogami kurz, chcąc sprawić wrażenie, że próbuje wstać, a potem osunęła się z jękiem, gdy noga się pod nią załamała. Sprawianie wrażenia straszliwie cierpiącej nie wymagało wielkich talentów aktorskich. Krew wypływała spomiędzy jej włosów, laskocząc ją w czoło. Jeg wyszedł z cienia. Nisko wiszące na niebie słońce świeciło mu prosto w twarz i musiał mrużyć powieki. Tego właśnie chciała Płoszka.

— Nadal pamiętam dzień, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy — ciągnął mężczyzna, napawając się brzmieniem swego głosu. — Dodd przyszedł do mnie podekscytowany i powiedział, że widział Dym, tę samą, której twarz widniała na wszystkich afiszach wokół Rostod. Cztery tysiące marek za pojmanie. Czegóż to o tobie nie opowiadali! — Zakrzyknął radośnie i kobieta cofnęła się jeszcze dalej. Podwinęła lewą nogę, chcąc się upewnić, że nie zawiedzie, gdy będzie jej potrzebowała. — Wypowiadali twoje imię takim tonem, że można by pomyśleć, że jesteś demonicą trzymającą w każdej ręce po dwa miecze. Wyobraź sobie, jak skurwy syńsko się rozczarowałem, zobaczywszy, że jesteś tylko wystraszoną, śmierdzącą szczykami dziewczuchą ze szparą między zębami. — Jakby sam pachniał letnią łąką! Postąpił kolejny krok naprzód, wyciągając ku niej wielką dłoń. — Nie próbuj drapać. Więcej jesteś dla mnie warta żywa. Nie chciałbym...

Lewą dłonią rzuciła w niego piaskiem, wsparła się mocno na prawej i wstała. Jeg odwrócił głowę i warknął wściekle, gdy piasek pokrył mu twarz. Ciął szablą na oślep, ale Płoszka pochyliła się nisko i klinga przeleciała tuż nad jej głową. Poczula powiew we włosach, a ciężar oręża sprawił, że mężczyzna odwrócił się w bok. Lewą ręką chwyciła za powiewającą luźno poję płaszcz Jega, drugą zaś wbiła głęboko nóż w jego prawy bark.

Stęknął z bólu. Płoszka wyrwała nóż i uderzyła ponownie. Ostrze rozpruło rękaw płaszcz i ukrytą pod nim kończynę, omal nie wbijając się w jej nogę. Unosiła już nóż do następnego ciosu, gdy jego pięść trafiła z boku w jej usta. Zatoczyła się do tyłu, jej bose stopy ślizgały się po ziemi. Złapała się rogu budynku i trzymała się go przez chwilę, próbując się uwolnić od blasku wypełniającego jej czaszkę. Wtem zobaczyła, że Jeg jest tylko krok czy dwa od niej. Szczyrzył ociekające śliną zęby, usiłując przełożyć szablę z bezwładnej prawej dłoni do lewej. Palce zaplątały mu się w zdobny mosiężny kosz.

Gdy wydarzenia toczyły się szybko, Płoszka potrafiła po prostu działać, nie zaprzatając sobie głowy litością, szansami ani właściwie niczym. To właśnie pozwoliło jej przetrwać cały ten syf. I wszystko, co ją do niego doprowadziło, jeśli już o tym mowa. Prawie każdy dar ma jednak również wady, które z czasem się ujawniają. Klątwa Płoszki polegała na tym, że za dużo myślała, gdy już było po wszystkim. To już jednak była całkiem inna historia. Jeśli Jeg zdoła dobrze uchwycić oręż, będzie po niej, i tyle. Dlatego, nim jeszcze ulica przestała wirować wokół niej, kobieta znowu rzuciła się do ataku. Próbował uwolnić rękę, ale zacisnęła na niej lewą dłoń,

zbliżyła się do niego, trzymając się jego płaszcz, i zaczęła szaleńczo uderzać nożem — w brzuch, w żebra i znowu w żebra. Warczała na niego, a on stękał z bólu przy każdym uderzeniu. Uchwyt noża robił się coraz bardziej śliski w jej obolałej dłoni.

Gdy pchnęła po raz kolejny, złapał ją za koszulę, rozdzierając tkaninę, i spróbował odepchnąć, ale nie było w tym siły. Cofnęła się tylko o krok. Przejaśniało się jej już w głowie i zdołała zachować równowagę, Jeg zaś zachwiał się i osunął na jedno kolano. Uniosła wysoko nóż w obu dłoniach i dźgnęła nim ten głupi cylinder, spłaszczając go. Nóż wbił się w głowę Jega aż po rękojeść.

Zatoczyła się do tyłu, spodziewając się, że mężczyzna runie na twarz. On jednak wyprostował się chwiejnie jak wielbłąd, którego widziała kiedyś na festynie. Rondo cylindra opadło mu na oczy, zatrzymując się na nosie. Rękojeść noża sterczała pionowo w górę.

— Gdzie się podziałas? — zapytał głosem brzmiącym bełkotliwie, jakby usta wypełniał mu żwir. — Dym? — Zatoczył się w jedną stronę, a potem w drugą. — Dym?

Powlókł się w jej stronę. Szabla zwisała luźno w jego zakrwawionej dłoni. Szych drapał o ziemię, tworząc rowki wokół mężczyzny. Jeg uniósł lewą rękę — palce wyciągał sztywno, ale nadgarstek zwisał luźno — i zaczął obmacywać cylinder, jakby coś wpadło mu do oka i chciał je otrzeć.

— Dżym? — Połowę twarzy objęły mu drgawki, od których wykrzywiła się w zupełnie nienaturalny sposób. Albo może naturalny dla kogoś, komu wbito nóż w mózg. — Żym? — Krew spływała z wygiętego rądo jego cylindra, zostawiając na policzku czerwone ślady. Nasiąknęła nią już połowa jego koszuli, ale on nadal lał przed siebie. Jego zakrwawione lewe ramię drżało gwałtownie, a klinga szabli uderzała o nogę. — Żum? — Cofała się przed nim, wytrzeszczając oczy. Jej ręce zwisały bezwładnie, a po skórze przebiegały ciarki. Wreszcie poczuła za plecami ścianę domu. — Żu?

— Zamknij się! — Skoczyła na mężczyznę, wyciągając przed siebie otwarte dłonie, i obaliła go na plecy. Broń wypadła mu z dłoni, ale zbrukany krwią cylinder nadal trzymał się głowy, przybity do niej nożem. Przetoczył się powoli na twarz. Jego prawa ręka miotła się bezładnie. Lewą wsunął pod bark, jakby próbował wstać.

— Och — mruknął w piaseki znieruchomiał.

Płoszka odwróciła ostrożnie głowę i splunęła krwią. W ciągu kilku ostatnich miesięcy połknęła jej stanowczo zbyt wiele. Oczy zaszyły jej łzami. Otarła je drżącą dłonią, nie potrafiąc uwierzyć, co się stało. Mogłoby się zdawać, że w ogóle w tym nie uczestniczyła. To był koszmar i pora już się z niego obudzić. Zaciśnęła powieki, a następnie znowu je rozchyliła. Jeg nadal tam leżał.

Zaczerpnęła pośpieszny oddech i gwałtownie wypuściła powietrze z płuc, otarła płwocinę z wargi oraz krew z czoła, a następnie znowu wciągnęła powietrze i je wypuściła. Potem

podniosła z ziemi szablę Jega, zacisnęła zęby, by powstrzymać wymioty. Ich pragnienie nadchodziło falami wraz z pulsującym bólem w boku twarzy. Cholera, ależ miała ochotę usiąść! Po prostu się zatrzymać. Nakazała jednak sobie odwrócić się i ruszyć ku tylnym drzwiom karczmy. Tym, przez które przed paroma chwilami wyszedł jeszcze wówczas żywy Jeg. Żeby człowiek dorosnąć, potrzeba wielu lat ciężkiej pracy, a by zakończyć jego życie, wystarczy parę chwil.

Neary wyczołgał się z dziury, którą jego upadek wybił w podłodze. Ścisnął zakrwawioną nogawkę z bardzo niezadowoloną miną.

— Znalazłeś tę pierdoloną sukę? — zapytał, kierując spojrzenie ku drzwiom.

— Och, z pewnością.

Wybałuszył oczy i spróbował się podczołgać do leżącego nieopodal łuku, jęcząc głośno po drodze. Płozka podeszła bliżej, unosząc wielką szablę Jega. Neary odwrócił się na plecy, otwierając szeroko oczy przerażenia. Uniósł jedną rękę w geście desperacji. Uderzyła w nią z całej siły płazem szabli. Jęknął z bólu i przycisnął rękę do piersi. Następnie dzieliła szlochającego mężczyznę w skroń i przewróciła go na brzuch. Przeszła nad nim, wsuwając sobie oręż za pas, podniosła łuk i wzięła z kołczana trochę strzał. Ruszyła ku drzwiom, nakładając strzałę na cięciwę, i wyrzła na ulicę.

Dodd nadal zbierał monety z ziemi i chował je do torby, posuwając się w stronę studni. Pozostawał niewrażliwy na los, jaki spotkał jego towarzyszy. Nie było to aż tak dziwne, jakby się zdawało. Jeżeli można było określić Dodda jednym słowem, z pewnością było to słowo „niewrażliwy”.

Zeszła na dół, stąpając po bocznych częściach stopni, gdzie ryzyko ostrzegawczego skrzyknięcia było mniejsze, a następnie naciągnęła w połowie cięciwę i wycelowała w Dodda, który nadal pochylał się nad ziemią, zwrócony ku niej plecami. Pośrodku nich miał na kszuli ciemną plamę od potu. Przez dłuższą chwilę poważnie rozważała uczynienie z tej plamy tarczy strzelniczej i przeszycie go strzałą od tyłu. Niełatwo jest jednak zabić człowieka, zwłaszcza po dłuższym zastanowieniu. Zebrał ostatnią monetę i wrzucił ją do torby, a potem wstał, zawiązał jej rzemyki i odwrócił się z uśmiechem.

— Mam wszystkie...

Gapili się na siebie przez chwilę. Dodd przykucnęła na zakurzonej ulicy, trzymając w jednej ręce torbę. Na jego skąpanej w blasku słońca twarzy widniał niepewny uśmieszek, ale w skrytych w cieniu taniego kapelusza oczach wyraźnie dostrzegało się strach. Płozka zatrzymała się na najniższym stopniu schodów — bose, zakrwawione stopy, rozkwaszone, zakrwawione usta, zakrwawione włosy lepiące się do zakrwawionego czoła. Łuk jednak miała czysty i gotowy do strzału.

Dodd oblizła wargi, przełknęła ślinę, po czym znówu je oblizła.

— Gdzie jest Neary? — zapytała.

— Kiepsko z nim.

Płoszłą zaskoczył twardy ton jej głosu. Mówiła jak ktoś, kogo nie znała. Może to był głos Dym.

— A mój brat?

— Z nim jest jeszcze gorzej.

— Zabiłaś go?

— Zapomnij o tych dwóch i stój spokojnie.

— Posłuchaj, Płoszka, nie strzelisz do mnie, prawda? Nie po wszystkim, co przeżyliśmy razem.

Nie strzelisz do mnie. Nie do mnie. Prawda? — Jego głos nabierał coraz wyższej tonacji. Dodd nie przestawał też skradać się ku studni. — Nie chciałem tego. To nie był mój pomysł!

— Pewnie, że nie twój. Musisz się porządnie zastanowić, by wpaść na jakiś pomysł, a to dla ciebie zbyt wielki wysiłek. Po prostu słuchałeś tamtych. Nawet jeśli dla mnie miało się to skończyć szubienicą.

— Posłuchaj, Płoszka...

— Powiedziałam, żebyś stał spokojnie. — Naciągnęła łuk do końca. Cięciwa raniła ją w krwawiące palce. — Kurwa, ogłuchłeś, chłopcze?

— Posłuchaj, Płoszka, porozmawiajmy o tym, dobra? Po prostu porozmawiajmy. — Uniósł drżącą rękę, kierując ku kobiecie otwartą dłoń, jakby mógł w ten sposób powstrzymać strzałę. Wlepił w nią spojrzenie jasnoniebieskich oczu. Płoszka nagle przypomniała sobie chwilę, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Opierał się o ścianę stajni i uśmiechał radośnie. Może i nie był za bystry, ale za to bardzo zabawny. Odłąd Płoszka opuściła dom, w jej życiu było bardzo niewiele zabawnych elementów. Nikt by nie pomyślał, że wyruszyła w świat w ich poszukiwaniu.

— Wiem, że postąpiłem źle, ale... jestem idiotą — oznajmił z uśmiechem, równie drżącym jak jego dłoń. Dodd zasługiwał na uśmiech albo i dwa, a choć jako kochanek nie był artystą, ogrzewał jej łóżko, a to zawsze coś. Dzięki niemu miała też wrażenie, że nie jest sama przeciwko całemu światu, a to było warte jeszcze więcej.

— Stój spokojnie — powtórzyła, ale tym razem ciszej.

— Nie strzelisz do mnie. — Nadal skradał się ku studni. — To ja, tak? Ja. Dodd. Tylko teraz do mnie nie strzel. — Nie zatrzymał się. — Chcę tylko...

Wystrzeliła.

Łuki są naprawdę dziwne. Przywiązanie cięciwy i naciągnięcie jej, nałożenie strzały i wycelowanie — wszystko to wymaga wysiłku, umiejętności oraz zdecydowania. Samo wypuszczenie strzały to nic. Po prostu przestaje się ją powstrzymywać. W gruncie rzeczy, gdy już się naciągnie cięciwę i wyceluje, łatwiej jest wystrzelić, niż tego nie zrobić.

Dodd stał może z dziesięć kroków od niej. Strzała w okamgnieniu pokonała tę odległość, minęła o włos jego otwartą dłoń i wbiła się bezgłośnie w pierś. Brak dźwięku zaskoczył Płoszkę. Niemniej jednak ciało jest miękkie. Zwłaszcza w porównaniu z grotem strzały. Mężczyzna postąpił jeszcze jeden chwytajny krok, jakby nadal do niego nie dotarło, że postrzelono go z łuku. Otworzył szeroko oczy, a potem zamrugał i spojrzął na drzewce.

— Strzeliłaś do mnie — wyszeptał i osunął się na kolana. Krew plamiła już jego koszulę, tworząc ciemny owal.

— Ostrzegałam cię, do cholery!

Cisnęła łuk na ziemię, ogarnięta nagłą wściekłością na Dodda i na broń.

Wlepił w nią wzrok

— Nie myślałem, że to zrobisz.

Odwzajemniła jego spojrzenie.

— Ja też nie myślałam. — Nastąpiła chwila ciszy. Kolejny podmuch wiatru wzbił tumany pyłu w powietrze między nimi. — Przepraszam.

— Przepraszasz? — wychrypiął.

To mogła być najgłupsza rzecz, jaką powiedziała w życiu, a konkurencja była ogromna, cóż innego mogła mu jednak rzec? Żadne słowa nie wyrwą tej strzały z jego piersi. Wzruszyła ramionami.

— Pewnie tak

Dodd skrzywił się, unióś jedną ręką torbę ze srebrem i zwrócił się ku studni. Płoszka rozdziawiła usta i zerwała się do biegu w tej samej chwili, gdy mężczyzna odwrócił się na bok i rzucił torbę w górę. Przekoziółkowała kilka razy, i zaczęła spadać, łopocząc tasiełkami. Kobieta przeszła w sprint, skoczyła, upadła...

Stęknęła głośno, uderzając obolałymi żebrami w obmurowanie studni. Prawą ręką sięgnęła w mroczny otwór. Przez chwilę myślała, że wpadnie do środka w ślad za torbą — zapewne byłoby to najlepsze rozwiązanie — ale potem zaryła kolanami w ziemię na zewnątrz.

Złapała torbę za jeden z dolnych rogów, zaciskając połamane paznokcie na cienkim płótnie. Tasiełki zwiślały luźno. Piasek i kamienne okruchy sypały się w dół wokół torby.

Płoszka uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia. Być może nawet tego miesiąca.

A potem torba się otworzyła.

Monety posypały się w dół pobrzękującym deszczem, srebro odbijało się od ziemnych ścian i zniknęło w atramentowej pustce. Wreszcie zapadła cisza.

Kobieta się wyprostowała. Ogarnęło ją odrętwienie.

Odsunęła się powoli od studni, oplatając się jedną ręką, a w drugiej trzymając torbę.

Spojrzęła na Dodda. Leżał na plecach. Strzała sterczała mu z piersi. Wlepił w nią spojrzenie

załawionych oczu, poruszając szybko żebami. Usłyszała, że jego płytkie oddechy zwolniły, a następnie umilkły.

Stała tam jeszcze przez chwilę, po czym zgięła się wpół i zwymiotowała na ziemię. Nie było tego zbyt wiele, bo nic dziś nie jadła, ale jej trzewia skurczyły się boleśnie i musiała zwrócić wszystko, co w nich miała. Drżała tak gwałtownie, że myślała, że się przewróci. Wsparła dłonie na kolanach, plując i smarując zółcią.

Cholera, ależ bolały ją żebra. I ręka. I noga. I twarz. Miała tak wiele zadrapań, siniaków i innych urazów, że ledwie mogła je od siebie odróżnić. Całe jej ciało wypełniał kurewsko dokuczliwy ból.

Jej spojrzenie powędrowało ku trupowi Dodda. Nadeszła kolejna fala mdłości, ale Płoszka zdołała ją stłumić. Zmusiła się do odwrócenia wzroku i spojrzenia na horyzont, pusty i migotliwy.

Nie był pusty.

Ujrzała tam tumany pyłu. Jeszcze raz otarła twarz podartym rękawem. Był już tak brudny, że raczej pobrudziła się dodatkowo, niż oczyściła. Wyprostowała się, spoglądając w dal. Ledwie mogła uwierzyć własnym oczom. Jeźdźcy. Z całą pewnością. Jeszcze daleko, ale było ich chyba z tuzin.

— Niech to szlag — wyszeptala, przygryzając wargę. Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce przegryzie krwawiące cholerstwo na wylot. — Niech to szlag!

Zasłoniła oczy dłońmi, zacisnęła powieki i skryła się w ciemności, którą sama dla siebie stworzyła, w rozpaczliwej nadziei, że się myli. Z pewnością nie byłaby to jej pierwsza pomyłka, czyż nie?

Gdy jednak cofnęła dłonie, obłoki kurzu nadal tam były. Świat to wredny skurczybyk, tak jest, im niżej upadniesz, z tym większą przyjemnością cię kopie. Płoszka wsparła dłonie na biodrach, wygięła plecy w łuk i wykrzyczała ku niebu jedno słowo, przeciągając je tak długo, jak tylko pozwoliły jej obolałe płuca.

— Kurwa!

Jej krzyk odbił się echem od ścian budynków i umarł szybką śmiercią. Nie doczekała się żadnej odpowiedzi, chyba żeby uznać za nią ciche bzyczenie muchy, która już zaczęła się interesować Doddem. Koń Neary 'ego przyglądał się jej przez chwilę, a potem odwrócił wzrok. Nie zaimponowała mu nawet w najmniejszym stopniu. Do jej licznych nieszczęść dołączyło teraz bolące gardło. Płoszka poczuła się zmuszona zadać sobie zwyczajowe pytanie.

I co teraz, kurwa?

Zaciskając zęby, ściągnęła buty z nóg Dodda i usiadła na piasku, by je włożyć. Nie po raz pierwszy spoczywali na ziemi obok siebie, ale nigdy przedtem nie był martwy. Buty były na nią stanowczo za duże, ale z pewnością lepsze to niż chodzenie boso. Poczłapała w nich z powrotem

do karczmy.

Neary jęczał żałośnie, próbując usiąść. Kopniakiem w twarz obaliła go z powrotem na plecy, a potem zabrała resztę strzał z jego kółczana, a także ciężki nóż, który miał za pasem. Wróciła w słońce, podniosła łuki i wsadziła sobie na głowę kapelusz Dodda. On również był nieco za duży, ale przynajmniej zapewniał osłonę przed wspinającym się coraz wyżej słońcem. Następnie przyciągnęła wszystkie trzy konie i związała je w szereg, co było nieco ryzykowne, jako że wielki ogier Jega był wrednym skurczybykiem i wyraźnie miał ochotę rozwalić jej głowę kopniakiem.

Uporawszy się z tym zadaniem, spojrziała z zaszępioną miną na tumany kurzu. Zmierzały w stronę miasteczka, i to szybko. Po dokładniejszej obserwacji doszła do wniosku, że jest ich dziewięciu albo dziesięciu. O dwóch bądź trzech lepiej niż tuzin, ale to nadal cholernie niedogodne.

Agenci banku szukający ukradzionych pieniędzy. Łowcy nagród pragnący zdobyć nagrodę. Bandy ci pragnący zagarnąć jej łup, pechowym zrządzeniem losu spoczywający obecnie na dnie studni. To mógł być ktokolwiek. Płoszła miała niesamowity talent do robienia sobie wrogów. Na tę myśl zerknęła na Dodda. Leżał na ziemi twarzą w dół. Stopy miał bosc. Większego pecha miała tylko do przyjaciół.

Jak do tego doszło?

Potrząsnęła głową, splunęła przez wąską szparę między przednimi zębami i wdrapała się na siodło wierzchowca Dodda. Odwróciła głowę zwierzęcia od zbliżających się tumanów pyłu. Nie miała pojęcia, w którą stronę świata zmierza.

Ścisnęła konia piętami.

Przetłumaczył Michał Jakuszewski

MEGAN ABBOTT

Moje serce też jest złamane

(MY HEART IS EITHER BROKEN)

Megan Abbott urodziła się w okolicach Detroit. Ukończyła Uniwersytet Michigan, zdobywając licencjat z literatury angielskiej, oraz otrzymała tytuł doktora literatury angielskiej i amerykańskiej Uniwersytetu Nowojorskiego. Uczyła literatury, pisarstwa i filmu na Uniwersytecie Nowojorskim i Stanowym Uniwersytecie Nowy Jork w Oswego. Pierwszą powieść zatytułowaną *Szczypta śmierci* opublikowała w 2005 roku. Od tego czasu zaczęto uznawać ją za jedną z czołowych praktyków konwencji Modern Noir. Natomiast „San Francisco Chronicle” okrzyknął ją „kandydatką do tronu jako najlepszą autorkę kryminałów od czasów Raymonda Chandlera”. Napisała powieści: *Queenpin* (nagrodzoną nagrodą Edgara w 2008 roku), *Przebojowa dziewczyna*, *Bury Me Deep*, *Koniec wszystkiego*. Jej ostatnia powieść nosi tytuł *Dare Me*. Pod jej redakcją ukazała się również książka *A Hell of a Woman: An Anthology of Female Noir*, a także pozycja niebeletrystyczna *The Street Was Mine: White Masculinity and Hardboiled Fiction*. Autorka mieszka w Forest Hill w Nowym Jorku. Oficjalna strona internetowa: www.meganabbot.com.

W niniejszej subtelnej, a jednak wstrząsającej opowieści, pokazuje nam, że są rzeczy, nad którymi nie możemy zwyczajnie przejść do porządku dziennego, niezależnie od tego, jak bardzo się staramy — i że na tych, których kochamy, najlepiej spoglądać sercem.

MOJE SERCE TEŻ JEST ZŁAMANE

Czekał w samochodzie. Zaparkował pod jedną z dużych nadbrzeżnych latarni. Nikt więcej nie chciał tam parkować. Mógł domyślać się dlaczego. Trzy pojazdy dalej zauważył kobiece plecy przyciśnięte do szyby. Jej włosy się trzęsły. Kiedy odwróciła głowę, niemal dojrzał jej twarz i błękit zębów, gdy się uśmiechnęła.

Minęło piętnaście minut, zanim Lorie przeszła przez parking, potykając się i stukając obcasami.

Pracował do późna i nawet nie wiedział, że nie było jej w domu. Kiedy w końcu odebrała komórkę, powiedziała mu, gdzie jest, a mianowicie w barze, o którym nigdy nie słyszał, w części miasta, której nie znał.

— Po prostu potrzebowałam trochę hałasu i ludzi — wyjaśniła. — Nic poza tym.

Zapytał, czy chce, żeby po nią przyjechał.

— Dobrze — powiedziała.

W drodze do domu na przemian śmiała się i płakała. Chciał jej pomóc, ale nie wiedział jak. To przypomniawszy mu o rodzaju dziewczyn, z którymi umawiał się w szkole średniej. Takich, które pisały sobie atramentem po całych rękach i cięły się w szkolnych łazienkach.

— Od tak dawna nie tańczyłam, a kiedy zamknę oczy, nikogo nie widzę — mówiła, patrząc przez szybę, z głową przechyloną do okna. — Nikt mnie tam nie znał, aż w końcu ktoś mnie rozpoznał. Kobieta, której nigdy wcześniej nie widziałam. Nakrzyczała na mnie. Potem poszła za mną do łazienki i powiedziała, że cieszy się, że moja mała dziewczynka nie może mnie teraz widzieć.

Wiedział, co ludzie powiedzą. Że poszła tańczyć w brudnym przygodnym barze. Nie powiedzą, że płakała przez całą drogę do domu, że nie wiedziała, co ze sobą zrobić, że nie wiadomo, jak zachowaliby się, gdyby to ich spotkało coś takiego. Zresztą prawdopodobnie nie spotka.

Ale on też chciał się schować, sam chciał znaleźć łazienkę, w innym mieście, innym stanie i nigdy więcej nie widzieć nikogo znajomego, a szczególnie swojej matki albo siostry, która spędza cały dzień w Internecie, próbując rozpowszechnić wiadomość o Shelby, zbierając wskazówki dla policji.

Rączki Shelby — cóż, ludzie zawsze rozmawiają o rączkach dziecka, nieprawdaż? — były jak pączki kwiatuśzków i uwielbiał zamykać je w dłoni. Nigdy nie sądził, że będzie się tak czuł. Nie wiedział, że będzie typem faceta — że w ogóle są typy facetów — który będzie wdychał mleczny zapach kocyka córeczki i czuł zalewającą go falę ciepła. Czasami nawet wtulał w niego twarz.

* * *

Sporo czasu zajęło mu ściągnięcie ciemnoczerwonych kowbojskich butów, które nosiła, a których

nie rozpoznawał.

Kiedy ściągnął z niej jeansy, bielizny też nie rozpoznał. Przód stanowił czarny motyl, a jego skrzydła trzepotały na jej udach przy każdym szarpnięciu.

Spojrzał na nią i powróciło wspomnienie ich pierwszej randki, kiedy Lorie pochwyciła jego rękę i zaczęła nią wodzić w dół swego brzucha, a następnie w okolicach ud. Kiedyś powiedziała mu, że chce zostać tancerką. I że jeśli kiedyś będzie miała dziecko, to tylko przez cesarskie cięcie, bo przecież wiadomo, co potem dzieje się z wnętrzościami kobiety, *nie wspominając już o tym, co dzieje się z miejscem „ponizej”*. Mówiąc to, śmiała się, a potem położyła „tam” jego rękę.

Te wszystkie wspomnienia powracały teraz i doprowadzały go do szału.

Napełnił wysoką szklankę wodą i zmusił Lorie do wypicia. Następnie nalał kolejną i postawił obok niej.

Nie spała jak ktoś pijany, lecz jak dziecko. Jej powieki drgały sennie, a nikły uśmiech błąkał się na jej ustach.

Przez okno wpadało światło księżyca. Miał wrażenie, że wpatrywał się w nią przez całą noc, ale w którymś momencie musiał przysnąć.

Kiedy się przebudził, poczuł, jak głową sennie pociera o jego brzuch.

— Śniło mi się, że znów byłam w ciąży — wymamrotała. — Było tak, jakbym odzyskała Shelby. Może moglibyśmy adoptować... Jest tyle porzuconych dzieci, które potrzebują miłości.

* * *

Spotkali się przed sześcioma laty. Pracował dla swojej matki, która była właścicielką małego budynku mieszkalnego w północnej części miasta.

Lorie mieszkała na pierwszym piętrze, gdzie okno było wysoko i mogła widzieć ludzi spacerujących chodnikiem. Jego matka nazywała to mieszkanie „apartamentem zatopionego ogrodu”.

Mieszkała z inną dziewczyną i czasami wracały bardzo późno, śmiejąc się i przyciskając do siebie wzajemnie w sposób, w jaki robią to młode dziewczyny. Miały na sobie krótkie spódniczki i nieustannie szeptały między sobą. Zastanawiał się, o czym rozmawiały.

Wtedy wciąż jeszcze chodził do szkoły i pracował wieczorami oraz w weekendy, zmieniając uszczelki w kranach i wynosząc śmieci.

Kiedyś, gdy mył przed budynkiem pojemniki na śmieci, minęła go szybko, owinięta cienkim płaszczem. Rozmawiała przez telefon i poruszała się tak szybko, że prawie jej nie zauważył. Omal jej nie ochlapał z węża. Przez sekundę widział jej oczy, rozmazane i mokre.

— Nie kłamałam — mówiła do telefonu, kiedy otwierała kluczem frontowe drzwi, a potem naparła na nie ramieniem. — To nie ja jestem tu kłamcą.

Pewnego wieczoru, niedługo po tym, przyszedł do domu i pod drzwiami znalazł liścik.
Przeczytał:

Moje serce też jest złamane albo nie zapłaciłam rachunku.

Dzięki, Lorie, #1-A

Przeczytał go cztery razy, zanim zrozumiał.

Uśmiechnęła się, kiedy otworzyła drzwi, zabezpieczone łańcuchem na wysokości jej czoła.

Podniósł klucz do rur.

— Przyszedłeś w samą porę — powiedziała, wskazując grzejnik

* * *

Nikt nie przypuszczał, że cokolwiek stanie się ich córeczce. Lorie ciągle to powtarzała. Mówiła to dziennikarzom, policji, każdego dnia w ciągu trzech tygodni od zdarzenia.

Obserwował ją z detektywami. Było tak jak w telewizji, tyle że całkiem inaczej. Zastanawiał się, dlaczego nic nie było takie, jak jego zdaniem powinno być, a potem uświadomił sobie, że to dlatego, iż nigdy nie przypuścisz, że to będziesz ty.

Nie mogła usiedzieć spokojnie, palcami zakręcając pasemka włosów. Czasami na światłach ulicznych wyciągała nożyczki do paznokci i podcinała rozdwojone końcówki. Kiedy samochód ruszał, machała ręką przez okno, rozsypując ścinki na wietrze.

Była to swego rodzaju nieostrożność, dodatek, który sprawiał, że różniła się od innych dziewczyn, jakie kiedykolwiek znał. Szczególnie że robiła to przy nim.

Zaskoczyło go, jak bardzo to lubi.

Ale teraz wszystko wyglądało inaczej i widział obserwujących ją detektywów, patrzących na nią jak na dziewczynę w krótkiej spódniczce, kręcącą się na stołku barowym i odrzucającą włosy na mężczyzn.

— Będziemy musieli zacząć jeszcze raz od początku — powiedział jeden z mężczyzn, i ta część była jak w telewizji. — Wszystko, co pan pamięta.

— Przechodziła przez to już tyle razy — oznajmił, przykrywając jej dłonie swoją i patrząc na detektywa ze znużeniem.

— Miałem na myśli pana, panie Ferguson — odparł detektyw, patrząc na niego. — Tylko pana.

* * *

Zabrali Lorie do zewnętrznego biura, tak że mógł widzieć ją przez szybę, nalewającą śmietankę do kawy i obliżającą usta.

On też wiedział, jak to wygląda. Czasopisma publikowały jej zdjęcia z eleganckiego lokalu. Nagłówek brzmiał: „Co z Shelby?”. Musieli zrobić je przez frontowe okno. Zamawiała coś przy

barze i uśmiechała się. Zawsze potrafili uchwycić ją wtedy, gdy się uśmiechała. Nie rozumieli, że uśmiechała się, gdy była smutna. Czasami płakała, gdy była szczęśliwa, jak w dniu ich ślubu, gdy płakała przez cały dzień, drżąc na jego piersi, z zaróżowioną i błyszczącą twarzą.

Nigdy nie myślałam, że zechcesz, powiedziała. Nigdy nie myślałam, że ja zechcę. Że to wszystko może się zdarzyć.

Nie wiedział, co miała na myśli, ale uwielbiał czuć ją w swoich ramionach, delektować się jej udami ocierającymi się o niego, jak to się działo, kiedy nie mogła odzyskać równowagi. Wydawało się, że spoczywając w jego objęciach, powstrzymywała samą Ziemię, żeby ta nie odleciała.

— Więc, panie Ferguson — powiedział detektyw — wrócił pan z pracy do domu i nikogo pan nie zastał?

— Zgadza się — odrzekł. — Nazywaj mnie Tom.

— Tom — zaczął detektyw jeszcze raz, ale imię zdawało się lepić w jego ustach, jakby nie chciał go wypowiadać. W końcu jednak zwrócił się do Toma po imieniu. — Czy zwykle o tej porze dnia wychodziły z domu?

— Nie — odpowiedział. — Lubiła wyszukiwać im zajęcia.

To była prawda. Lorie nie potrafiła długo usiedzieć w jednym miejscu. Niekiedy pakowała Shelby do samochodu, zapinała jej pasy i wyruszały na przejażdżkę, pokonując sto albo dwieście mil.

Zabrały ją do Mineral Point i zrobiła im zdjęcia na tle wody. Potem dostałby je w pracy na swój telefon i zawsze wywoływałyby jego uśmiech.

Podobało mu się, że nie była jedną z tych kobiet, które siedzą w domu i oglądają relacje sądowe albo kanały handlowe.

Pracowała dwadzieścia pięć godzin tygodniowo w firmie Y, a w tym czasie jego matka zostawała z Shelby. Każdego ranka biegała pięć mil, wioząc małą w odpowiednio przystosowanym wózku. Każdego wieczoru przygotowywała obiad, a czasami nawet kosiła trawę, gdy był zbyt zajęty. Była w ciągłym ruchu.

To właśnie kochają ludzie z gazet i telewizji. Uwielbiają robić jej zdjęcia, kiedy biega w krótkich spodenkach, rozmawia przez telefon w samochodzie i ogląda magazyny mody w kolejce w sklepie spożywczym.

„Co z Shelby?”, głoszą zawsze nagłówki.

Nigdy jej nie rozumieli. On był jedynym.

— Więc — zapytał go detektyw, wyrывая z zamyślenia — co pan zrobił, kiedy zastał dom pusty?

— Zadzwoiłem na jej komórkę. — Nie odebrała, ale w tym też nie było nic niezwykłego.

Nie zwracał sobie głowy mówieniem im o tym, że dzwonił cztery albo pięć razy, a telefon przełączał się bezpośrednio na pocztę głosową, aż w końcu, za ostatnim razem, odebrała.

Jej głos brzmiał obco, cicho, jakby była w gabinecie lekarskim albo w damskiej toalecie. Jakby starała się zrobić mała i cicha.

— Lorie? Dobrze się czujesz? Gdzie jesteście?

Nastąpiła długa pauza i przyszło mu na myśl, że rozbiła samochód. Przez szaloną sekundę sądził, że mogły być w szpitalu, połamane i poobijane. Lorie była nieostrożnym kierowcą, zawsze wysyłała mu SMS-y z samochodu. Straszne obrazy przychodziły mu do głowy. Umawiał się kiedyś z dziewczyną, która miała dziecięcy bucik powieszony na wstecznym lusterku. Twierdziła, że to dla przypomnienia, by zawsze jeździć ostrożnie.

* * *

— Lorie, po prostu powiedz. — Starał się nadać głosowi stanowcze, ale uprzejme brzmienie.

— Coś się stało.

— Lorie — spróbował jeszcze raz, jak po walce z jej bratem albo szefem. — Po prostu weź głęboki oddech i powiedz mi.

— Dokąd ona poszła? — usłyszał jej głos. — I jak zamierza mnie odnaleźć? Jest małą dziewczynką. Nic nie wie. Powinni zakładać im nieśmiertelniki jak nam, kiedy byliśmy mali, pamiętasz?

Wcale tego nie pamiętał, a furkot w głowie utrudniał mu słuchanie.

— Lorie, musisz powiedzieć mi, co się dzieje.

Więc powiedziała.

Powiedziała, że jeździła przez cały ranek i szukała kosiarek do trawy, które wcześniej znalazła na stronie Craigslisty. Była zmęczona i postanowiła zatrzymać się na kawę w drogim lokalu.

Zawsze widywała tam kobietę. Rozmawiały w kolejce o tym, jaka droga jest kawa i jak nic nie mogą na to poradzić. I co właściwie było amerykańskie? I, tak, rozmawiały o swoich dzieciach. Była przekonana, że kobieta powiedziała, iż ma dwójkę. Dwójkę, myślała. A wszystko trwało zaledwie dwie minuty, może pięć.

— Co trwało pięć minut? — zapytał ją.

— Nie wiem, jak to się stało — odparła — ale rozlałam moją kawę. Była wszędzie. Na moim nowym białym płaszczu. Tym, który dałeś mi na Boże Narodzenie.

Pamiętał, jak otwierała pudło, aż bibuła fruwała w powietrzu. Powiedziała, że jest jedyną osobą, która kupowała jej ubrania w pudełkach z papierem w złote foki.

Okręciła się dookoła w płaszczu i rzuciła radośnie: *och, jak on ładni.*

Wpełzając mu na kolana, uśmiechnęła się i powiedziała, że biały płaszcz mężczyzna może

sprezentować jedynie matce małego brzdąca.

— Płaszcz był nasiąknięty — wymamrotała teraz. — Zapytałam kobietę, czy mogłaby popilnować Shelby, kiedy będę w toalecie. Zajęło mi to chwilę, bo musiałam dostać klucz. Jeden z tych ciężkich kluczy, które ci dają.

Kiedy wyszła z łazienki, kobieta zniknęła. I Shelby też.

* * *

Nie pamiętał nawet wrażenia, jakie wtedy odniósł. Że ta historia nie ma sensu.

Oto, co się wydarzyło. Co przydarzyło się im, a było częścią niemożliwych zbiegów okoliczności, które do tego doprowadziły. Doprowadziły do tego, że Shelby zniknęła i nikt nie wiedział gdzie.

Ale niemal od samego początku wydawało się jasne, że policja była przeświadczona, że nie dostała wszystkich informacji albo że informacje, którymi dysponowała, nie mają sensu.

— Nie lubią mnie — powiedziała Lorie. Odpowiedział jej, że to nieprawda i że nie ma to z nią nic wspólnego. Ale może miało.

Musieliby ją zobaczyć tamtego dnia. Przepychając się przez frontowe drzwi, z niezapiętą torebką, w białym płaszczu zbryzganym kawą i tak szeroko otwartymi ustami, że wszyscy mogli zobaczyć, jak bardzo cierpi i jaka jest rozdarta.

Wiele godzin później, w otoczeniu rodziny, drżała w jego ramionach, gdy jej brat mówił bez końca o systemie Amber Alert, o Prawie Megan i jego klasie wymiaru sprawiedliwości, o kumplach policjantach z sali gimnastycznej. Poczuł, że wtula się w niego i zobaczył pierzasty kędziór wetknięty za kołnierz swetra, kosmyk anielsko białych włosów Shelby.

Pod koniec drugiego tygodnia policja nie znalazła niczego, a nawet jeśli, to nic nie mówili. Wydawało się, że coś się zmieniło lub poszło gorzej.

— Mógł to zrobić kokolwiek — powiedziała Lorie. — Ludzie robią to cały czas.

Przyglądał się obserwującej ją detektyw. To była kobieta detektyw, ta z ciężkimi kucykami, która zawsze zezowała na Lorie.

— Co robią? — zapytała kobieta detektyw.

— Proszę kogoś, żeby popilnował ich dzieci, tylko przez minutę — wyjaśniła Lorie, prostując sztywno plecy. — Oczywiście, nie faceta. Nie zostawiłabym jej z mężczyzną. Nie zostawiłabym jej z bezdomną kobietą wymachującą do mnie szczotką do włosów. To była kobieta, którą widywałam tam każdego dnia.

— Jak się nazywała? — Wiele razy pytali ją o nazwisko kobiety. Wiedzieli, że go nie znała.

Lorie spojrzała na detektyw, a wtedy zauważył te delikatne niebieskie żyłki pod jej oczami. Pragnął wziąć ją w ramiona, żeby ją uspokoić. Ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, znów zaczęła

mówić:

— Pani Caterpillar — powiedziała, wyrzucając ręce w powietrze. — Pani Linguini. Madam Lafarge.

Detekty w popatrzyła na nią bez słowa.

— Spróbujmy odszukać ją w Internecie — rzekła Lorie z tym twardym błyskiem w oczach, wysuwając podbródek. Wszystkie te leki uspokajające i pigułki nasenne oraz godziny, podczas których byli przetrzymywani, spowodowały, że niekiedy mówiła o niczym, ale nadal bała się kłamać.

— Lorie — odezwał się. — Nie...

— Zawsze wszystko przydarza się mnie — powiedziała nagle miękkiem i dziwnie płynnym głosem, a jej ciało osunęło się. — To takie nie w porządku.

Widział, co się z nią dzieje, a gdy jej kończyny zwiotczały, złapał ją.

Prawie wysunęła się z jego ramion, wywracając oczy do tyłu głowy.

— Ona mdleje — wydusił. Jej ramiona były zimne jak zamarznięte rury. — Przyrowadź kogoś.

Pani detekty w wpatrywała się w nich.

— Nie mogę o tym rozmawiać, ponieważ wciąż przeżywam to na nowo — powiedziała Lorie dziennikarzom czekającym przed posterunkiem policji. — Zbyt trudno mi o tym mówić.

Ujął ją mocniej pod ramię i próbował przeprowadzić przez tłum, ściśnięty niczym węzeł w jego gardle.

— Czy to prawda, że wynajmujesz adwokata? — zapytał jeden z dziennikarzy.

Lorie spojrzała na nich. Widział, że otwiera usta, i nie było już czasu, żeby ją powstrzymać.

— Nie zrobiłam niczego złego — odparła z głupim uśmiechem na twarzy. Jakby stuknęła swoim wózkiem czyjś wózek w sklepie spożywczym.

Spojrzał na nią. Widział, co miała na myśli — miała na myśli, że zostawiła Shelby na tę chwilę, na tę krótką chwilę. Ale wiedział również, jak to brzmiało, i jak wyglądała z tym spanikowanym uśmiechem, nad którym nie mogła zapanować.

To był jedyny raz, kiedy pozwolił jej rozmawiać z dziennikarzami.

Później, wieczorem, zobaczyła się w wiadomościach.

Podeszła powoli do telewizora, po czym upadła na kolana i zrobiła dziwną rzecz.

Objęła go ramionami, jakby był pluszowym misiem, dzieckiem.

— Gdzie ona jest? — szeptała. — Gdzie ona jest?

A on chciał, żeby dziennikarze to zobaczyli, ten żal, który trawił ją jak gorączka.

Jednocześnie cieszył się, że nie mogą tego widzieć.

Był środek nocy, blisko świtu, a jej nie było obok niego.

Rozejrzał się po całym domu, serce waliło mu w piersi. Pomyślał, że musi śnić, wołając jej imię, imiona ich obydwu.

Znalazł ją na tylnym podwórku. Smukły cień pośrodku podwórka.

Siedziała na trawie, telefon oświetlał jej twarz.

— Tutaj czuję się bliżej niej — powiedziała. — Znalazłam to.

Ledwie co widział, ale przysuwając się bliżej, ujrzał małeńki kołczyk, emaliowanego motylka, którego trzymała w palcach.

Pokłócili się, kiedy wróciła do domu z Shelby z przekłutymi uszami i grubymi złotymi kołczykami w tych małych płatkach. Uszy i twarz małej były czerwone, a oczy mokre od łez.

— Dokąd poszła moja dziewczynka? — Lorie mówiła teraz do niego. — Dokąd ona poszła?

Spocony ściągnął koszulkę.

* * *

— Proszę posłuchać, panie Ferguson — powiedziała detektyw. — Cały czas pan z nami współpracował. Mam to odnotowane, ale proszę zrozumieć nasze położenie. Nikt nie może potwierdzić jej wersji. Pracownicy, którzy widzieli, jak pańska żona rozlała kawę, pamiętają, że widzieli, jak wychodziła z Shelby. Nikt nie przypomina sobie innej kobiety.

— Ile osób tam było? Rozmawialiście ze wszystkimi?

— Jest jeszcze coś, panie Ferguson.

— Co?

— Jeden z pracowników powiedział, że Lorie była naprawdę wściekła z powodu rozlanej kawy. Powiedziała Shelby, że to była jej wina. Że wszystko było jej winą. I że Lorie potem złapała pańską córkę za ramię i potrząsnęła nią.

— To nieprawda — zaprotestował. Nigdy nie widział, żeby Lorie potraktowała Shelby brutalnie. Czasami sprawiała wrażenie, jakby nie do końca zdawała sobie sprawę, że mała tam jest.

— Panie Ferguson, muszę pana zapytać: czy pańska żona miała problemy emocjonalne?

— A cóż to za pytanie?

— To standardowe pytanie w takich przypadkach — odpowiedziała detektyw. — I mieliśmy kilka zgłoszeń.

— Mówi pani o lokalnych wiadomościach?

— Nie, panie Ferguson. Nie zbieramy dowodów z telewizji.

— Zbieranie dowodów? Jakiego rodzaju dowody musicie zebrać na temat Lorie? To Shelby zaginęła. Nie jesteście...

— Panie Ferguson, wiedział pan, że pańska żona spędziła trzy godziny w Twoim Saloniku w Charlevoix wczorajszego popołudnia?

— Śledzicie ją?

— Kilku stałych bywalców i barman skontaktowali się z nami. Byli zatroskani.

— Zatroskani? Naprawdę? — Czuł pulsowanie w głowie.

— Nie powinni być zatroskani, panie Ferguson? To kobieta, której dziecko zaginęło.

— Skoro byli tacy zatroskani, to dlaczego nie zadzwonili do mnie?

— Jeden z nich zapytał Lorie, czy może po ciebie zadzwonić. Widocznie powiedziała mu, że nie.

Spojrzał na detektyw.

— Nie chciała mnie martwić.

Detektyw również popatrzyła na niego.

— Nie może pani mówić, jak ludzie mają się zachowywać, kiedy przydarzy się im coś takiego — powiedział, czując, że głowa mu opada. Nagle odniósł wrażenie, że jego ramiona są ciężkie, a w głowie miał obraz Lorie w odległym narożniku długiego, czarnego, lakierowanego baru, z powiekami ciężkimi od makijażu i oczami pełnymi mrocznych uczuć. Uczuć, których mógł nigdy nie doświadczyć. Nigdy nie miał pewności, że wie, co ona myśli. Było to częścią tego, co ich spotkało. Częścią pulsującą w jego piersi, tęsknotą, która nigdy go nie opuści. — Nie — odrzekł nagle.

— Co? — zapytała detektyw, pochylając się do przodu.

— Ona nie ma problemów emocjonalnych. Moja żona.

* * *

To był czwarty tydzień, czwarty tydzień fałszywych śladów, płaczu, pigułek nasennych i nocnych koszmarów. Musiał wrócić do pracy, bo w przeciwnym razie nie miałby z czego zapłacić hipoteki. Rozmawiali o powrocie Lorie do półetatowej pracy w sklepie ze świecami, ale ktoś musiał być w domu i czekać.

(Chociaż na co, tak naprawdę, czekali? Czy brzdące wracały nagle do domu po dwudziestu siedmiu dniach? Najwyraźniej gliniarze tak myśleli).

— Myślę, że zadzwonię jutro do biura — powiedział. — I zrobię projekt.

— A ja zostanę tutaj — odparła. — Ty będziesz tam, a ja tutaj.

To była straszna rozmowa, jak wiele takich rozmów, które pary odbywają w ciemnych sypialniach, późną nocą, kiedy wiadomo, że decyzje, które odkładało się przez cały dzień, nie mogą dłużej czekać.

Po tej rozmowie wzięła cztery duże pigułki i wcisnęła twarz w poduszkę.

Tom nie mógł spać i poszedł do pokoju Shelby, który kiedyś sam dla niej zaprojektował. Pochylił się nad kołyską, nieco dla niej za małą, ale Lorie nie chciała kupować łóżeczka, mówiąc, że jeszcze nie nadszedł czas.

Dotknął palcami miękkiego dziecięcego ochraniacza, obwieszono go jasnożółtymi rybkami. Pamiętał, że opowiadał Shelby, że to złote rybki, ale ona powtarzała: *nana, nana*, jak nazywała banany.

Jej ręczki zawsze pokrywała perlista bananowa maź, którą przy okazji umazany był przód koszulki Lorie.

Pewnej nocy, wsuwając rękę w stanik Lorie, między jej piersi, nawet tam natrafił na rozpaczanego banana.

— Są wszędzie — westchnęła. — Całkiem jakbym była zrobiona z bananów.

Uwielbiał ten zapach i zawsze wysmarowane ręczki córki.

W pewnym momencie, wspominając to, rozplakał się, ale potem przestał i siedząc w bujanych fotelu, zasnął.

* * *

W pewnym sensie powrót do pracy przyniósł mu ulgę, po tych wszystkich dniach spędzonych z sąsiadami, rodziną i przyjaciółmi stłoczonymi w domu, wymieniającymi internetowe plotki, organizującymi czuwania i poszukiwania. Ale teraz było tam kilkoro członków rodziny, tylko paru przyjaciół, którzy nie mieli dokąd pójść, i żadny ch sąsiadów.

Kobieta z narożnego domu przyszła później pewnego wieczoru i poprosiła o zwrot naczyń po zapiekance.

— Nie wiedziałam, że będziecie je tak długo trzymać — powiedziała, mrużąc oczy.

Wyraźnie próbowała zajrzeć ponad jego ramieniem do salonu. Lorie oglądała show o grupie blondynek z mocno umalowanymi twarzami i gniewnie wykrzywionymi ustami. Oglądała to przez cały czas, najwyraźniej był to jedy ny show w telewizji.

— Nie wiedziałam — powiedziała kobieta, biorąc naczynie i oglądając je — jak sprawy się potoczą.

* * *

ty sexy, sexy chłopcze, brzmiał tekst Lorie, *chcę poczuć na sobie twoje dłonie. Chodź do domu i zajmij się mną, tak brutalnie, jak lubisz, pobij mnie.*

Gwałtownie obrócił się na krześle przy biurku, niemal jakby chciał ukryć telefon, ukryć fakt istnienia tego tekstu.

Krótko potem opuścił biuro. Jechał najszybciej, jak się dało. Powtarzał w duchu, że coś jest

z nią nie tak. Że to musiał być skutek uboczny pigułek, które dał jej lekarz, albo sposób, w jaki żał i tęsknota zmieszały się w jej skomplikowanym, małym ciele.

Ale tak naprawdę nie dlatego jechał tak szybko ani nie dlatego omal nie potknął się o zwisające pasy, kiedy pośpiesznie wysiadał z samochodu.

Kiedy zobaczył ją leżącą na łóżku z odwróconą głową, uśmiechniętą, czuł, że rozpadnie się na dwoje, jeśli jej natychmiast nie posiadzie. Łóżko jęczało pod nimi, ona zaś nie wydawała żadnego dźwięku. Mimo opuszczonych rolet jej zęby błyszczały bielą w otwartych ustach.

Coś było nie tak, ale nie był pewien dlaczego. Niby znał ją, a jednak nie znał. To była Lorie, ta z dawnych czasów. A jednak inna.

Dziennikarze dzwonili przez cały czas. Wśród nich było dwóch, którzy zdawali się nie opuszczać ich przecznicy. Byli tam od samego początku, ale w końcu odeszli zająć się innymi historiami.

Wrócili, gdy zaczęły pojawiać się materiały o Lorie wychodzącej z salonu tatuażu Magnum. Ktoś zrobił jej zdjęcie telefonem komórkowym.

Lorie znów nosiła te czerwone kowbojskie buty, używała czerwonej szminki i wchodziła wprost przed aparat fotograficzny.

Zamieścili te zdjęcia w gazecie, z nagłówkiem: „Żał matki?”

* * *

Popatrzył na tatuaż.

Słowa *Mirame quemar* (Rozpal mnie spojrzeniem) napisane odręcznie, układające się dookoła jej biodra.

Zasłaniały miejsce, w którym miała rozstępy. Zawsze zasłaniała je palcami, kiedy stała przed nim naga.

Spojrzał na tatuaż w ciemnej sypialni. Z korytarza wpadała smuga światła. Obróciła się. Mógł to poczuć. Poczuć wszystko.

— Potrzebuję tego — powiedziała. — Potrzebuję czegoś, czego mogę dotknąć palcami. Żeby przypomnieć sobie siebie.

— Podoba ci się? — zapytała. Poczuł na uchu jej oddech. Atrament wyglądał, jakby się poruszał.

— Podoba mi się — odrzekł, dotykając tatuażu palcami. Czuł, że to trochę chore, ale naprawdę mu się podobał. Nawet bardzo.

* * *

Późno, późno tej samej nocy jej głos wyrwał go z głębokiego snu.

— Nie miałam pojęcia, że ona przychodziła i była tutaj — mówiła z twarzą wciśniętą w poduszkę. — Nie miałam pojęcia, że chodziła, a teraz odeszła.

Spojrzał na nią, lecz oczy miała zamknięte, z rozmazanym starym makijażem.

— I zawsze robiła, co chciała. — Oto co, jak sądził, powiedziała głosem, w którym wyczuwało się napięcie. Ale spała i dlatego nie miało to żadnego sensu.

— Podoba ci się, dopóki o tym nie myślisz — oznajmiła. — Dopóki nie przyjrzyysz się temu bliżej i nie stwierdzisz, że już tego nie chcesz. Albo że nie chcesz być facetem, który tego chce.

Miał na sobie nową koszulę, którą kupił mu dzień wcześniej. Była w kolorze głębokiej, głębokiej purpury, piękna i dobrze się w niej czuł. Jak kierownik działu, o którym rozmawiają wszystkie kobiety w biurze.

— Nie — odpowiedział. — Bardzo mi się podoba. Ale jest po prostu... droga.

Jednak nie o to chodziło. Kupowanie czegoś właśnie teraz, cokolwiek, wydawało się nie na miejscu. A tym bardziej takiej kolorowej koszuli z połyskiem. Jasne, że była bardzo ładna, ale na wyjścia do klubu nocnego, na tańce. Na ołazje, z których korzystali, kiedy jeszcze mogli. Tak, wódka, dudniąca muzyka i szalony seks w jej samochodzie.

Rodzaj pijackiego seksu, tak niechlujnego i szalonego, że potem niemal wstydzi się siebie nawzajem, jadąc do domu i trzeźwiąc z uczuciem, jakby pokazali coś bardzo prywatnego i bardzo złego.

Kiedyś, lata temu, zrobiła mu coś, czego nikt wcześniej mu nie zrobił i potem w ogóle nie mógł na nią patrzeć. Następnym razem zrewanżował się jej. Przez chwilę miał wrażenie, że to się nigdy nie skończy.

* * *

„Myślę, że ktoś powinien powiedzieć ci o twojej żonie”, napisał ktoś w mailu, a dokładniej w jego temacie. Nie rozpoznał adresu, gdyż jego pierwszy człon składał się z kombinacji liter i cyfr, żadnego tekstu. Wiadomość zawierała tylko zdjęcie dziewczyny tańczącej w jaskrawozielonym topie z wiszącymi luźno wiązaniami.

To była Lorie i wiedział, że musiało to być stare zdjęcie. Kilka tygodni temu gazety położyły łapy na paru fotkach Lorie z czasów, gdy była jeszcze nastolatką tańczącą na stole, całującą przyjaciółki. Robiącą rzeczy, które zdarzają się dziewczynom, gdy wypiją za dużo i kiedy ktoś przypadkiem ma aparat.

Na tych fotkach Lorie zawsze była upozowana, uwodzicielska, próbowała wyglądać jak modelka, gwiazda. Taką była Lorie, zanim naprawdę ją poznał. Lorie z „czasów dziekiej dziewczyny”, jaksama siebie nazywała.

Jednak na tym zdjęciu nie wyglądała na świadomie pozującą do aparatu. Sprawiała wrażenie

zatrzaconej w jakiejś muzyce, która grała, w jakichś dźwiękach, które słyszała w swojej głowie. Miała zamknięte oczy, głowę odrzuconą do tyłu i długą i opaloną, piękną szyję.

Wyglądała na szczęśliwszą niż kiedykolwiek.

Lorie z dawnych czasów, albo nigdy.

Ale kiedy zjechał niżej, zobaczył top podciągnięty w górę jej ciała, zobaczył wysuniętą kość biodrową. Zobaczył eleganckie litery: *Mirame quemar*.

* * *

Tej nocy przypomniał sobie historię, którą opowiedziała mu dawno temu. Nie mógł uwierzyć, że o niej zapomniał. Albo może po prostu teraz odbierał ją inaczej, jak coś nowego? Coś nieodkrytego, jak choćby starą zatopioną skrzynię, którą znajdujesz w piwnicy i boisz się ją otworzyć.

To było dawno, kiedy umawiali się na randki, kiedy jej współlokatorka zawsze była w pobliżu i nie mieli gdzie być sami. Odbywali porywające schadzki w jego samochodzie, a ona uwielbiała wpełzać na tylne siedzenie i leżeć na plecach, podnosząc nogi wysoko ponad zagłówek i błagając go o to.

Po pierwszym czy drugim razie, kiedy to wszystko było szalone i dezorientujące, Lorie wtuliła się w niego i mówiła, i mówiła o swoim życiu i czasie, gdy ukradła cztery cienie do powiek firmy Revlon ze sklepu CVS, i jak do dwunastego roku życia spała z wypchanym zwierzątkiem o zawilgoconych uszach imieniem Uszatek. Wyznała, że czuje, że może powiedzieć mu wszystko.

Gdzieś w mglistym wspomnieniu tamtych nocy — nocy, kiedy on również powierzył jej swoje prywatne sprawy, historie o dławiącej się opiekunce i kradzieży samochodzików Matchbox — opowiedziała mu tamtą historię.

Jak, kiedy miała siedem lat, urodził się jej braciszek i zrobiła się bardzo zazdrosna.

— Moja mama spędzała z nim cały czas, a mnie zostawiała samą na cały dzień. Więc nienawidziłam go. Każdej nocy modliłam się, żeby został zabrany. Żeby przytrafiło mu się coś okropnego. Nocą zakradałam się do jego kołyski i wpatrywałam w niego przez małe szczebelki. Pomyślałam, że może mogłabym sprawić, żeby moje życzenie się spełniło. Jeśli wpatrywałabym się w niego wystarczająco długo i intensywnie, to mogłoby się tak stać.

Pokiwał głową, bo przypuszczał, że dzieci mogą tak reagować. Był najmłodszym z rodzeństwa i zastanawiał się, czy jego starsza siostra też tak o nim myślała. Kiedyś przytrzasnęła mu palec i powiedziała, że to był wypadek.

Ale jej historia nie spełniła się. Przytuliła się bliżej do niego, tak że czuł zapach jej kruchego ciała i myślał o wszystkich jego małych zakamarkach i łukach, o tym, jak lubił odnajdywać dłońmi wszystkie miękkie, gorące miejsca na jej ciele. Czasami odnosił wrażenie, jakby jej ciało

nigdy nie było tym samym ciałem, jakby zmieniało się pod jego dłońmi. *Jestem czarownicą, czarownicą.*

— Więc pewnej nocy — powiedziała niskim i tajemniczym głosem — wpatrywałam się w niego przez szczebelki kołyski, a on wydawał te śmieszne odgłosy. — Jej oczy błyszczały w mroku samochodu. — Pochyliłam się, wkładając ręce między szczebelki. I wtedy zobaczyłam na jego brodzie sznurek od naciąganej zabawki. Zaczęłam go ciągnąć i ciągnąć.

Obserwował, jak szarpie wyimaginowany sznurek a jej oczy stają się coraz większe.

— Potem sapnęła — dodała — i znów zaczął oddychać. — Przerwała, mlaskając językiem. — Właśnie w tym momencie przyszła moja mama. Powiedziała, że uratowałam mu życie. Wszyscy tak mówili. Kupiła mi nowy sweter i jaskraworóżowe buty, które chciałam mieć. Wszyscy mnie kochali.

Przez moment oświetliły ich światła przejeżdżającego samochodu i zobaczył jej oczy, jasne i błyszczące.

— Więc nikt nigdy nie poznał prawdziwej historii. Nigdy nikomu nie powiedziałam. — Uśmiechnęła się, przytulając do niego. — A teraz mówię tobie. Teraz mam komu powiedzieć.

* * *

— Panie Ferguson, powiedział nam pan i rejestry z telefonu komórkowego potwierdzają to, że w dniu zniknięcia pańskiej córki zaczął pan dzwonić do żony o piątą trzydzieści po południu. W końcu dodzwonił się pan o szóstej czterdzieści pięć. Zgadza się?

— Nie wiem — powtarzał ósmy, dziewiąty i dziesiąty raz, gdy go wzywali. — Wiecie to lepiej ode mnie.

— Pańska żona powiedziała, że była w kawiarni około piątej. Ale sprawdziliśmy rejestr transakcji pańskiej żony. To było o trzeciej czterdzieści pięć.

— Nie wiem — powtórzył, pocierając kark. Zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co mogą mu powiedzieć. Ani czego się spodziewać.

— Więc jak pan sądzi, co pańska żona robiła przez trzy godziny?

— Szukała tej kobiety. Próbowала ją znaleźć.

— Wykonała w tym czasie kilka innych telefonów. Nie na policję, oczywiście. Ani nawet nie do pana. Zadzwoniła do mężczyzny nazwiskiem Leonard Drake. I do jeszcze jednego, Jasona Patrini.

Pierwsze skojarzył z jej dawnym chłopakiem, Lennym jakimś tam. Drugiego nie znał. Poczul w środku jakąś pustkę. Nie wiedział nawet, o kim rozmawiali, ale tak czy inaczej, nie miało to z nim nic wspólnego.

Weszła kobieta detektyw, posyłając spojrzenie partnerowi.

— Dzięki telefonom, które wykonała, możemy prześledzić jej ruchy. Pojechała do centrum handlowego Harbor View Mall.

— Chciałby pan zobaczyć ją na nagraniu z tamtejszej kamery przemysłowej? — zapytała detektyw. — Mamy je. Wie pan, że kupiła bezrękałnik

Nic nie czuł.

— Poszła też do marketu. Kasjer właśnie ją zidentyfikował. Korzystała z łazienki. Powiedział, że spędziła w niej dużo czasu, a kiedy wyszła, miała na sobie inne ciuchy.

— Chce pan zobaczyć fotki? Wygląda jak milion баксов.

Przesunęła przez biurko ziarniste zdjęcie. Młoda kobieta w obcisłym bezrękałniku i kapturze naciągniętym nisko na czoło. Uśmiechała się.

— To nie jest Lorie — powiedział cicho. Wyglądała zbyt młodo, dokładnie tak jak wtedy, gdy ją poznał, jak mała elfia piękność z płaskim brzuchem, warkoczycami i kolczykiem w pępku. Kółkiem, za które miał zwyczaj ciągnąć. Zapomniał o tym. Musiała je zdjąć.

— Na pewno trudno panu tego słuchać, panie Ferguson — odezwał się detektyw. — Przykro mi.

Tom podniósł głowę. Detektyw nie wyglądał, jakby mu było przykro.

* * *

— Co im powiedziałaś? — zapytał.

Lorie siedziała z nim w samochodzie, pół przecznic od komisariatu policji.

— Nie wiem, czy powinnaś jeszcze cokolwiek im mówić — powiedział. — Myślę, że powinniśmy zadzwonić do prawnika.

Lorie patrzyła prosto przed siebie, na migające światła skrzyżowania. Powoli podniosła rękę do włosów i, zamysłona, rozczesywała je palcami.

— Wyjaśniłam — odparła. Poza odbiciem na policzku z niebieskiego znaczka informującego o obecności dziecka w samochodzie, jej twarz skrywał mrok — Powiedziałam im prawdę.

— Jaką prawdę? — zapytał. Samochód wydawał się taki zimny. Unosił się w nim jej zapach, charakterystyczny dla kogoś, kto dawno nie jadł. Cierpki zapach kawy i zmywacza do paznokci.

— Nie wierzą mi, cokolwiek bym powiedziała — oznajmiła. — Wyjaśniłam, że tego dnia dwa razy byłam w kawiarni. Pierwszy raz po sok dla Shelby i później po kawę dla mnie. Powiedzieli, że sprawdzą to, ale widziałam, co myślą. Mieli to wypisane na twarzach. Powiedziałam im to. Wiem, co o mnie myślą.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Samochód przemieszczał się szybko, wysyłając na jej twarz smugi czerwonego światła. Przypomniało mu to obraz, który kiedyś widział w „National Geographic”, przedstawiający amazońską kobietę, z twarzą pomalowaną na czerwono i wargą

przebitą drewnianym kołkiem.

— Teraz wiem, co wszyscy o mnie myślą — rzuciła i ponownie się odwróciła.

* * *

Późną nocą, gdy leżał z szeroko otwartymi oczami, zadał jej pytanie. Najwyraźniej już spała, ale zapytał:

— Kim jest Leonard Drake? Kim jest Jason jakiś tam?

Przebudziła się i odwróciła do niego, z twarzą rozplaszczoną na prześcieradle.

— Kim jest Tom Ferguson? Kim on jest?

— To właśnie robisz? — zapytał, podnosząc głos. — Jeździsz po okolicy i dzwonisz do facetów?

Łatwiej było zapytać ją o to niż o pozostałe rzeczy. Na przykład o to, czy potrząsała Shelby, czy cały czas kłamała. I o inne rzeczy.

— Tak — odpowiedziała. — Dzwonię do mężczyzn przez cały długi dzień, a potem jeżdżę do nich. Zostawiam córkę w samochodzie, szczególnie gdy jest bardzo gorąco. Zakradam się schodami do mieszkań tych facetów i...

Patrząc na niego, wodziła dłonią po swojej klatce piersiowej.

— Powinieneś poczuć, jak bardzo ich pragnę, gdy tylko otworzą drzwi.

— Przestań — powiedział bezgłośnie.

— Moje ręce odnajdują ich paski, zanim jeszcze zamkną za mną drzwi. Wpełzam na ich kolana na brudnych kawalerskich kanapach i robię wszystko.

Zaczął potrząsać głową, ale nie przestawała mówić.

— Masz dziecko, twoje ciało zmienia się. Potrzebujesz czegoś więcej. — Zamilkła na chwilę.

— Oto, co robię, podczas gdy ty jesteś w pracy. Nie dzwoniłam do ludzi z Craiglisty, próbując zamienić twoją kosiarkę. Wcale nie chciałam tego dla ciebie zrobić.

Zapomniał o kosiarce. Zapomniał, co mówiła wcześniej, że właśnie tym zajmowała się tego dnia. Od starej porobiły mu się krwawe bąble na rękach i chciała zdobyć dla niego inną. Przecież mówiła mu o tym wcześniej!

— Nie — kontynuowała. — Wcale nie załatwiałam dla ciebie tej kosiarki. Dzwoniłam do mężczyźni, umawiając się na randki dla czystego seksu. Oto, co robię, odkąd mam dziecko i jestem w domu. Nie wiem, jak mogłabym robić cokolwiek innego. Zdziwiający, że nie przyłapano mnie wcześniej. Gdyby tylko przyłapano mnie...

Ukrył twarz w dłoniach.

— Przepraszam. Przepraszam.

— Jak mogłeś? — wykrztusiła z kluchą w gardle. Szarpnęła prześcieradło do siebie, ściągnając je z niego i odwracając się plecami. — Jak mogłeś?

Tej nocy śnił o Shelby.

Śniło mu się, że włączył się po ciemnoniebieskim domu, a kiedy wszedł do pokoju Shelby, wcale nie było tam pokoju i nagle znów znalazł się na zewnątrz.

Podwórze było ścięte mrozem i opustoszałe. Poczuł nagły smutek, jakby spadł w najbardziej samotne miejsce na świecie, a stara szopa na narzędzia pośrodku wydawała się samym centrum tej samotności.

Kiedy kupili dom, omal jej nie zburzyli. Wszyscy mówili, że powinni to zrobić, ale im się ona podobała i nazwali ją „dziecięcą stodołą”. Konstrukcja miała spadzisty dach i wyblakłą czerwoną farbę. Jednak była za mała na cokolwiek. Mieściły się w niej tylko grabie i kosiarka z pogiętym lewym kołem.

To była jedyna stara rzecz w otoczeniu ich domu. Jedyne, co pozostało z czasów, zanim się tu wprowadził.

W ciągu dnia nie myślał już o niej, nie zauważał nawet zapachu dobywającego się z niej czasami po deszczu.

Ale we śnie wydawała się czymś żywym, zaniedbanym i żalonym.

Nagle przyszło mu do głowy, że kosiarkę stojącą w szopie jednak można było naprawić, i gdyby to zrobił, wszystko byłoby w porządku i nikt nie musiałby szukać innej, a gruby koberzec trawy pod jego stopami nie sprawiałby wrażenia takiego ciężkiego. Cała ta samotność skończyłaby się.

Położył dłoń na zimnej, krzywej kłamce szopy i otworzył ją szarpnięciem.

Zamiast kosiarki na podłodze szopy zobaczył mały, czarny worek

Pomyślał sobie, jak to zwykle robi się we śnie: *Musiałem zostawić tu sadzonki. Musiały spleśnieć i stąd pewnie ten smród...*

Chwytał worek, ale rozleciał mu się w rękach.

Towarzyszył temu odgłos, jakby coś ciężkiego upadło na podłogę szopy.

Było za ciemno, żeby dojrzeć, co ześliznęło mu się na nogi, łaskocząc w kostki.

Za ciemno, żeby mieć pewność, ale kójrzyło się ze słodkimi puklami włosów jego córki.

Usiadł całkiem rozbudzony. Głos w jego głowie sycał: *zaglądałeś do szopy, zaglądałeś?*

I wtedy przypomniał sobie, że na tylnym podwórzu nie było już szopy. Wyburzyli ją, kiedy Lorie była w ciąży, ponieważ powiedziała, że zapach zgnilizny wywołuje u niej ból głowy i przyprawia ją o mdłości.

Następnego dnia na pierwszej stronie gazety widniała seria artykułów przypominających, że minęły dwa miesiące od zniknięcia Shelby.

Pod nagłówkiem brzmiącym: „Co ona wie?” zamieścili zdjęcie Lorie. Było też jego zdjęcie, ze spuszczoną głową, wychodzącego poprzedniego dnia z komisariatu policji. Nagłówek głosił: „Coraz więcej pytań bez odpowiedzi”.

Nie mógł tego czytać. Kiedy zadzwoniła jego matka, nie odebrał.

Przez cały dzień w pracy nie mógł się skoncentrować. Miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą.

Kiedy szef podszedł do jego biurka, mógł wy czuć, z jaką ostrożnością z nim rozmawiał.

— Tom, jeśli chcesz wyjść wcześniej — powiedział — to nie ma sprawy.

Kilka razy przyłapał asystentkę administracyjną, jak wpatrywała się w jego wygaszacz ekranu: zdjęcie Lorie z dziesięciomiesięczną Shelby w halloweenowym kostiumie czarnego pająka z miękkimi pajęczymi nogami.

W końcu wyszedł, o trzeciej.

Lorie nie było w domu. Stał przy kuchennym zlewozmywaku, popijając szklanek wody, kiedy zobaczył żonę przez okno.

Chociaż było zaledwie siedemnaście stopni, leżała na jednym z letnich leżaków. Ze słuchawkami na uszach, w jaskrawopomarańczowym bikini ze złotymi kółkami przy wiązaniach i na biodrach.

Przepchnęła purpurowy domek do zabawy pod tylne ogrodzenie, gdzie przechylił się pod więzem.

Nigdy wcześniej nie widział tego bikini, ale rozpoznał okulary przeciwsłoneczne, duże z białymi oprawkami, które kupiła podczas wycieczki do Meksyku, na którą wybrała się z przyjaciółką, tuż przed tym, jak zaszła w ciążę.

Pośrodku jej zgrabnego tułowia, na brzuchu, połykiwała złota obrączka.

Uśmiechała się, śpiewając do muzyki, która grała w jej głowie.

Tej nocy nie mógł się zmusić, żeby pójść do łóżka. Godzinami patrzył w telewizor, nic nie widząc. Wypił cztery piwa, czego nie robił, odkąd miał dwadzieścia lat.

W końcu piwo i benadryl, który wziął później, ścięły go i padł na ich materac.

W pewnym momencie, w środku nocy, ciało Lorie obróciło się ciężko obok niego. Czuł, że coś się stało.

— Kirsten — wymamrotała.

— Co? — zapytał. — Co?

Nagle na wół usiadła, podpierając się na łokciach i patrząc przed siebie.

— Jej córka miała na imię Kirsten — powiedziała, a jej głos brzmiał cicho i niepewnie.

— Właśnie przypomniałam sobie. Kiedyś, gdy rozmawialiśmy, powiedziała, że jej córka ma na imię Kirsten. Ponieważ podobało jej się brzmienie tego imienia w połączeniu z Krusie.

Poczuł, jak coś w jego wnętrzu rozluźniło się, a potem znów zacisnęło. Co to było?

— Jej nazwisko brzmiało Krusie przez K. — Mówiła coraz gwałtowniej, a jej twarz coraz bardziej ożywała się. — Nie wiem, jak się je pisze, ale na pewno przez K. Nie do wiary, że sobie przypomniałam. Po tak długim czasie. Powiedziała, że podobają się jej inicjały KK, ponieważ ona też ma takie, Katie Krusie. Tak się nazywa.

Spojrzał na nią i nic nie powiedział.

— Katie Krusie — powtórzyła. — Kobieta z kawiarni. Tak się nazywa.

Nie był w stanie odezwać się ani poruszyć.

— Zadzwonisz? — zapytała. — Na policję?

Odkrył, że nie może się ruszyć. Bał się. Bał się tak bardzo, że nie mógł oddychać.

Popatrzyła na niego wyczekująco, a potem sięgnęła przez niego i sama chwyciła za telefon.

Kiedy rozmawiała z policją, jej głos brzmiał czysto i zdecydowanie. Powiedziała im, co sobie przypomniała, jak również, że może przyjechać na komisariat, jeśli dadzą jej pięć minut. Obserwował ją, przy ciskając ręce do serca, które biło tak mocno, że aż sprawiało mu ból.

— Wierzmy, że zlokalizowaliśmy tę Krusie — powiedziała kobieta detektyw. — Wysłaliśmy już tam funkcjonariuszy.

Patrzył na obie kobiety. Czuł Lorie u swego boku, oddychając ciężko. Nie minął nawet dzień od pierwszego telefonu Lorie.

— Co pani mówi? — zapytał, albo raczej próbował, bo ani jedno słowo nie wyszło z jego ust.

* * *

Katie-Ann Krusie nie miała dzieci, chociaż cały czas opowiadała ludziom, że ma. Po długiej historii problemów emocjonalnych, będących następstwem poronienia, spędziła piętnaście miesięcy w szpitalu stanowym.

Przez ostatnie osiem tygodni mieszkała w wynajętym mieszkaniu w Torring, czterdzieści mil od małej blondwłosej dziewczynki, którą nazywała Kirsten.

Po tym jak policja zamieściła zdjęcie Katie-Ann Krusie na stronie Amber Alert, kobieta pracująca w sieci kawiarni w Torring rozpoznała ją jako stałą klientkę, zawsze zamawiającą dodatkowe mleko dla swoich dzieci.

— Z całą pewnością sprawiała wrażenie, że kocha swoje dzieci — powiedziała kobieta.

— Samo opowiadanie o nich wyraźnie uszczęśliwiało ją.

* * *

Kiedy po raz pierwszy znów zobaczył Shelby, nie mógł wypowiedzieć ani słowa.

Miała na sobie koszulkę, której nigdy nie widział, i buty, które na nią nie pasowały. Trzymała kartonik soku, który wcześniej dał jej policjant.

Patrzyła na niego, gdy biegł do niej korytarzem.

Było coś w jej twarzy, czego nigdy wcześniej nie widział i wiedział, że wcześniej tego nie było, taksamo jak wiedział, że musi zrobić wszystko, co możliwe, żeby to zniknęło.

Zrobiliby wszystko, nawet gdyby miało mu to zająć resztę życia.

Następnego ranka, po obdzwonieniu wszystkich, jednego po drugim, wszedł do kuchni, by popatrzeć na Lorie siedzącą obok Shelby, która jadła kawałki jabłka, wykręcając mały palec tak, jak to miała w zwyczaju.

Usiadł i patrzył na córkę, aż zapytała go, dlaczego się trzęsie, a on odpowiedział, że dlatego, że bardzo się cieszy, że ją widzi.

Trudno było wyjść z pokoju, nawet po to, by otworzyć drzwi, kiedy przyjechały jego matka i siostra, kiedy wszyscy zaczęli przychodzić.

Trzy wieczory później, na wielkim rodzinnym obiedzie, powitalnym obiedzie dla Shelby, Lorie wypila dużo wina, ale wszyscy mówili, że nie można jej za to winić.

On też nie mógł i tylko ją obserwował.

Gdy wieczór trwał dalej, gdy jego matka przyniosła tort lodowy dla Shelby, gdy wszyscy tłoczyli się wokół jego córki, która początkowo wydawała się zdezorientowana i onieśmielona, a potem stopniowo rozkwitała w coś tak pięknego, że aż znowu chciało mu się płakać — przez cały ten czas miał oko na Lorie. Na jej spokojną twarz, na uśmiech, który nie rozkwitał ani nie zniknął, nawet gdy trzymała Shelby na kolanach. Shelby wtulając się w zaróżowioną od wina szyję matki.

W pewnej chwili znalazł ją stojącą w kuchni i wpatrującą się w zlewozmywak. Jego zdaniem wyglądało to, jakby wpatrywała się w odpływ.

* * *

Było bardzo późno, albo wcześnie, gdy zauważył nieobecność Lorie.

Pomyślał, że rozchorowała się od wina, ale w łazience też jej nie było.

Coś zmieniało się w nim, nieprzyjemnie, gdy wszedł do pokoju Shelby.

Zobaczył jej plecy, nagie i białe w świetle księżycyca. I śliwkową bieliznę, w której spała.

Stała nad kołyską Shelby, spoglądając w dół.

Poczuł, że coś drgnęło w jego piersi.

Potem, powoli, ukłękła, zerkając przez szczelki koły ski, patrząc na Shelby.

Wyglądało, jakby na coś czekała.

Przez długą chwilę stał tam, pięć stóp od drzwi, obserwując ją wpatrującą się w ich śpiące dziecko.

Wsluchiwał się uważniej w oddech córki, wdech i wydech.

Nie widział twarzy żony, tylko jej długie, białe plecy, wygięcie jej kręgosłupa. I *Mirame quemar* wytrawione na jej biodrze.

Obserwował ją wpatrującą się w ich córkę i wiedział, że nie może nigdy opuścić tego pokoju. Że teraz będzie musiał być tu zawsze, jako strażnik. Nie było powrotu do łóżka.

Przetłumaczyła Beata Rosadzińska

Pieśń Nory

(NORA'S SONG)

Cecelia Holland obok Mary Renault i Larry'ego McMurtry'ego jest jedną z najbardziej uznanych i szanowanych autorek powieści historycznych na świecie. Napisała ponad trzydzieści książek, między innymi: *The Firedrake*, *Rakessy*, *Two Ravens*, *Ghost on the Steppe*, *Death of Attila*, *Hammer For Princes*, *The King's Road*, *Pillar of the Sky*, *The Lords of Vaumartin*, *Pacific Street*, *Sea Beggars*, *The Earl*, *The King in Winter*, *The Belt of Gold*, *The Serpent Dreamer* i ponad tuzin innych. Napisała również dobrze znaną powieść science fiction *Floating Worlds*, nominowaną do nagrody Locusa w 1975 roku, a później pracowała nad serią powieści fantastycznych, zawierającą *The Soul Thief*, *The Witches Kitchen*, *The Serpent Dreamer*, *Varanger* i *The King's Witch*. Do jej najnowszych książek należą powieści *The High City*, *Kings of the North* i *The Secret Eleanor*.

W niniejszej dramatycznej opowieści przedstawia nasz naród jako skrajnie dysfunkcyjną rodzinę, której bezwzględność i ścierające się ambicje wiele razy rzucały Anglię w wir krwawej wojny domowej na przestrzeni długich lat: króla Henryka II, królową Eleanorę Akwitańską i ich ośmioro kłócących się dzieci. Wszystkie śmiertelnie niebezpieczne jak koby. Nawet te najmłodsze.

PIEŚŃ NORY

Nora rozejrzała się szybko, chcąc się upewnić, że nikt nie patrzy, a następnie zsunęła się w dół, między drzewa, w stronę brzegu małego strumienia. Wiedziała, że nie znajdzie żab, na które mogłaby zapolować. Brat powiedział jej, że jak drzewa nie mają liści, to w strumieniu nie ma żab. Ale woda połyskiwała na jasnych kamieniach i dostrzegła szlaczki wyłożone w wilgotnym piasku. Przykucnęła, żeby wykopać lśniące odłamki ze strumienia. Byłoby szkoda, gdyby wysechł. Za jej plecami jej młodsza siostra Johanna pospiesznie zsunęła się na brzeg.

— Nora! Co masz?

Podala kamyk siostrze i przesła kawałek wzdłuż wąskiej strużki wody. Szlaczki okazały się śladami ptasich łapek i przypominały krzyżyki na mokrym piasku. Znow przykucnęła, żeby pogrzebać w kamieniach, a potem w żółtym piaszczystym brzegu strumienia zauważyła dziurę, jak małe okrągłe wejście.

Odsunęła zasłonę z włochatych korzeni, próbując zajrzeć do środka. Czy coś tam mieszkało? Mogła włożyć tam rękę, żeby sprawdzić, ale w natłoku chaotycznych myśli wyobraziła sobie coś puszystego, coś puszystego z zębami, zębami wbijającymi się w jej dłoń, i schowała piąstkę pod spódnicę.

Z góry, zza drzew rozległ się głos:

— Nora?

To była jej nowa opiekunka. Nie zwróciła na nią uwagi, szukając patyka do zbadania dziury. Obok Johanna nagle krzyknęła zaintrygowana i opadła na czworaki, pochylając się nad jamą. Jej sukienka zamoczyła się w strumieniu.

Rozległ się inny głos.

— Nora!

Dziewczynka poderwała się.

— Richard. — Wypowiedziawszy to imię, zaczęła wspinać się na brzeg, prawie gubiąc but. Na trawiastej krawędzi nałożyła go z powrotem. Odwróciła się i pomogła Johannie wdrapać się na górę, po czym pobiegła wśród ogołoconych drzew na otwarty teren.

Brat kroczył w jej stronę, uśmiechając się, z otwartymi ramionami, a ona biegła do niego. Nie widziała go od Bożego Narodzenia, kiedy ostatni raz byli wszyscy razem. Miał dwanaście lat, a więc był dużo starszy od niej, prawie dorosły. Pochwycił ją w ramiona i przytulił. Pachniał koniem. Johanna przybiegła, wydając okrzyki radości i ją też przytulił. Dwie opiekunki, czerwone na twarzach, nadbiegły zdyszane, ze spódnicami w garściach. Richard wyprostował się, jego niebieskie oczy płonęły, gdy wskazał na drugą stronę pola.

— Widzicie? Matka jedzie.

Nora przesłoniła oczy ręką, patrząc przez otwarte pole. Początkowo widziała tylko słoczonych

ludzi, poruszających się i kołujących na skraju pola, ale potem przez tłum przetoczył się szmer, który ze wszystkich stron przeszedł w ryk. W oddali koń przygalopował na pole i zatrzymał się. Jeździec uniósł rękę w geście pozdrowienia.

— Mama! — krzyknęła Johanna i zaklaskała w dłonie.

Teraz cały tłum krzyczał i wiwatował, a mama Nory galopowała na swoim ciemnoszarym koniu wzdłuż szpaleru ludzi, w kierunku drewnianego podium pod platanami, gdzie wszyscy mogli usiąść. Nora nabrała tyle powietrza, że omal nie pękała.

— Hura! Hura, mama! — krzyknęła.

Tam, przy podium, tuzin mężczyzn wyszło pieszo na spotkanie kobiety na koniu. Zatrzymała się wśród nich, rzuciła wodze i zsiadła. Szybko wspięła się na podium, gdzie czekały dwa krzesła, i stanęła tam, wznosząc rękę i obracając się powoli, żeby pozdrowić wiwatujący tłum. Stała wyprostowana jak drzewo, z powiewającymi wokół niej spódnicami.

Nagle, ponad podium, jej proporzec z akwitańskim orłem rozwinął się jak wielkie skrzydło, a grzmiące okrzyki rozległy się ze zdwojoną siłą:

— Eleanor! Eleanor!

Po raz ostatni pomachała do tłumy i wtedy dostrzegła swoje dzieci biegnące w jej stronę i na nich skupiła całą uwagę. Wyciągnęła do nich ręce. Richard pochwycił Johannę w ramiona i pobiegł w kierunku podium. Nora wchodziła bocznymi schodami. Wchodząc od frontu, Richard postawił siostrę u stóp matki.

Ręce matki opadły na nich. Nora ukryła twarz w spódnicach królowej.

— Mama.

— Ach. — Ich matka usiadła, lekko odsuwając od siebie Johannę. Wolnym ramieniem objęła Norę. — Ach, moje kochane. Jak ja za wami tęskniłam. — Ucałowała je obie kilka razy, gwałtownie. — Johanno, zmoczyłaś się. To nie powinno mieć miejsca. — Skinęła ręką i natychmiast przybiegła opiekunka dziewczynki. Ta piszczała, ale i tak została zabrana.

Wciąż trzymając przy sobie Norę, Eleanor pochyliła się i spojrzała w oczy Richardowi, opierającemu się skrzyżowanymi ramionami o krawędź podium na wprost niej.

— Cóż, mój synu, jesteś podekscytowany?

Odepchnął się od podium i stanął prosto z zarumienioną twarzą i jasnymi włosami dziło splątany mi przez wiatr.

— Matko. Nie mogę się doczekać! Kiedy papa tu przybędzie?

Nora pochyliła się ku matce. Kochała Richarda, ale chciała, żeby rodzicielka poświęcała jej więcej uwagi. Jej matka była piękna, nawet jeśli była naprawdę stara. Nie nosiła czepca, tylko ciężką złotą obręcz na lśniących rudokaszanowych włosach. Włosy Nory wyglądały jak wyschnięta trawa. Nigdy nie będzie piękna. Ramię królowej zacisnęło się wokół niej, ale wciąż

nachylała się do Richarda, całkowicie na nim skupiona.

— Nadjeżdża. Powinieneś przygotować się do ceremonii. — Dotknęła przodu jego płaszcza, a następnie uniosła rękę do jego policzka. — W każdym razie rozczesz włosy.

Podskakiwał oży wiony.

— Nie mogę się doczekać. Nie mogę się doczekać. Zostanę księciem Akwitanii!

Królowa roześmiała się. Rozległ się dźwięk rogu.

— Patrz, zaczyna się. Idź. Znajdź swój płaszcz. — Odwróciła się i skinęła w bok — Towarzyszcie lordowi Richardowi. Nora, teraz... — Szturchnęła dziewczynkę, by ta cofnęła się, przez co mogła zmierzyć ją wzrokiem od stóp do głów. Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu, a oczy zablęsnęły. — Co ty robiłaś, kuląłeś się po trawie? Jesteś moją dużą dziewczynką, musisz się dobrze prezentować.

— Mamo. — Nora nie chciała być dużą dziewczynką. To określenie przypominało jej, że Mattie, prawdziwa duża dziewczynka, odeszła. Ale Nora uwielbiała, kiedy matka poświęcała jej uwagę, dlatego gorączkowo szukała w pamięci czegoś, co mogłaby powiedzieć, żeby podtrzymać jej zainteresowanie. — Czy to znaczy, że nie mogę się już bawić?

Eleanor roześmiała się i znów ją przytuliła.

— Zawsze będziesz mogła się bawić, moja dziewczynko. Tylko w inne gry. — Musnęła ustami czoło Nory. Dziecko uświadomiło sobie, że powiedziało właściwą rzecz. Potem Eleanor odwróciła się. — Patrz, przyjechał twój ojciec.

Szmer emocji narastał pośród tłumu jak wiatr w suchym polu, przechodząc w pomruk i wybuchając grzmiącymi wiwatami. Wzdłuż pola podążała kolumna jeźdźców. Nora wyprostowała się, klasnęła w dłonie, wzięła głęboki oddech i wstrzymała go. Jej ojciec jechał w środku kolumny. Nie miał na sobie ani korony, ani królewskich szat, a jednak wydawało się, że wszyscy kłaniają się i pochylało wokół niego, jakby nikt, prócz niego, nie miał znaczenia.

— Papa.

— Tak — powiedziała Eleanor pod nosem. — Królewski papa. — Opuściła ramię, którym obejmowała Norę, i usiadła wyprostowana na krześle.

Nora cofnęła się. Jeśli będzie trzymała się za nimi, poza zasięgiem ich wzroku, to może o niej zapomną i będzie mogła zostać. Widziała, że Richard też nie odszedł, tylko ociągał się na wprost królewskiego podium. Jej ojciec podjechał i zsiadł z konia wprost na podium. Uśmiechał się, mrużąc oczy, w wymiętym ubraniu, z potarganą brodą i włosami. Wzdłuż tej strony pola, po obu stronach podium, jego rycerze jechali pojedynczą szarżą, strzemię w strzemię, twarzami do Francuzów po drugiej stronie pola. Król stał, rzucając szybkie spojrzenie w tamtą stronę, a potem spuścił wzrok na Richarda, stojącego przed nim sży wno.

— No, chłopcze — rzekł ojciec. — Jesteś gotów złamać lancę?

— Och, papo! — Richard aż podskoczył. — Moge?

Ojciec parsknął śmiechem, patrząc na niego z wysokości podium.

— Nie, dopóki nie możesz sam płacić swoich okupów, kiedy przegrasz.

Richard zarumienił się jak dziewczyna.

— Nie przegram!

— Nie, oczywiście, że nie. — Król machnął lekceważąco ręką. — Nikt nie myśli, że przegrasz, chłopcze. — Ponownie roześmiał się, pełen pogardy. Następnie odwrócił się. — Kiedy będziesz starszy.

Nora zagryzła wargę. To było podle, rozmawiać z Richardem w ten sposób. Jej brat przygasał. Przez chwilę kopał ziemię, po czym podążył za giernkiem przez pole. Nagle znów był tylko chłopcem. Nora przyklucnęła ukryta za spódnicami matki, mając nadzieję, że ojciec jej nie zauważy. Usadowił się na krześle obok królowej, wyciągnął nogi i po raz pierwszy zwrócił się w jej stronę.

— Muszę przyznać, że wyglądasz zadziwiająco dobrze. Jestem zaskoczony, że twoje stare kości pokonały całą tę drogę z Poi tiers.

— Nie mogłabym sobie tego darować — odrzekła Eleanor. — A podróż była dość przyjemna. — Nie dotknęli się, nie wymienili pocałunków. Nora poczuła ukłucie niepokoju. Jej opiekunka podeszła do brzegu podium i dziewczynka skuliła się głębiej w cieniu matki. Eleanor posłała królowi długie spojrzenie. Jej uwaga przeniosła się na jego tors.

— Jajka na śniadanie? Czy wczorajsza kolacja?

Przestraszona Nora wychyliła się trochę, żeby przyjrzeć się ojcu. Jego ubranie było wymięte, ale nie zauważyła żółtych śladów po jajkach. Jej ojciec rzucił matce pełne wściekłości spojrzenie i poczerwieniał na twarzy. Nie obejrzał swojego płaszcza.

— Jesteś nadętą starą kobietą.

Nora zwilżyła językiem dolną wargę. Miała wrażenie, że wnętrzości ma pełne cierni i zadziorów. Ręka matki spoczywała na jej udzie i Nora widziała, jak matka gładzi suknię raz za razem, szybkimi ruchami i zgiętych palców.

— Lady Noro, zbliż się — powiedziała jej opiekunka.

— Nie przywiozłeś swojej ukochanej — stwierdziła królowa.

Król pochylił się lekko w jej stronę, jakby chciał rzucić się na nią i pobić pięściami.

— Boi się ciebie. Nie przyjedzie nigdzie, gdzie może znaleźć się w pobliżu ciebie.

Eleanor roześmiała się. Nie bała się go. Nora zastanawiała się, o czym rozmawiali. Czyż jej matka nie była ukochaną króla? Udawała, że nie widzi przywołującej ją opiekunki.

— Nora, chodź tu! — nakazała głośno kobieta.

To zwróciło uwagę królowej, która odwróciła się, zobaczyła córkę i powiedziała:

— Idź, moja dziewczynko. Idź, przygotuj się. — Jej dłoń opadła lekko na ramię Nory.
— Proszę, rób to, co ci każą. — Nora ześliznęła się z podium i odeszła, aby ją ubrano i wystrojono.

Jej stara opiekunka odeszła z Mattie, kiedy starsza siostra Nory wyjechała poślubić księcia Niemiec. Teraz miała tę nową opiekunkę, która nie potrafiła szczotkować włosów, nie zadając jej bólu. Przebrały już Johannę w świeżą sukienkę i zaplotły jej włosy, a inni czekali na zewnątrz w małym namiocie. Nora rozmyślała o Mattie, która opowiadała jej bajki i śpiewała dla niej, gdy śniła koszmary. Teraz wszyscy spacerowali przez pole na ceremonię, najpierw jej brata, a potem jej i Johnny.

Johanna wsunęła palce w dłoń Nory, a ta uściśnęła je mocno. Wszyscy ci ludzie sprawiali, że czuła się mała. Stali w rzędach pośrodku pola, jakby byli w kościele, a zwykli ludzie stłoczyli się dookoła, żeby słyszeć, co się dzieje. Po drugiej stronie wisiały chorągwie, przed nimi zaś stał herold z opuszczonym długim, błyszczącym rogiem. Wpatrywał przybycia dzieci.

Na samym środku, na krzesłach, siedzieli ich ojciec i matka, a obok nich błądy, sprawiający wrażenie zmęczonego, mężczyzna w niebieskiej aksamitnej todzie. Stopy opierał na małym podnóżku. Wiedziała, że był to król Francji. Ona oraz jej siostra i brat podeszli przed ich oblicze, ramię w ramię, a gdy herold wymienił ich imiona, pokłonili się jednocześnie, najpierw rodzicom, a następnie francuskiemu królowi.

Teraz było ich tylko pięcioro, biorąc pod uwagę, że Mattie wyjechała, a ich najmłodszy braciszek jeszcze niemowlę, nadal przebywał w klasztorze. Henry był najstarszy. Nazywali go Henry Chłopiec, ponieważ papa również miał na imię Henry. Następny w kolejności był Richard, a potem Geoffrey. Mattie była pomiędzy Henrym Chłopcem a Richardem. Po Geoffreju byli Nora, Johanna i, pozostający z mnichami, dzidzius John. Tłum krzyczał i wiwatował na ich widok i nagle Richard odpowiedział mu, unosząc rękę nad głowę.

Człapiąc, dołączyli do tłumu stojącego za plecami ich rodziców, gdzie znów ustawili się w szeregu. Heroldowie krzyczeli coś po łacinie. Johanna pochyliła się w stronę Nory.

— Jestem głodna — zakomunikowała.

Dwa kroki przed nimi siedząca na krześle Eleanor obejrzała się przez ramię, więc Nora szepnęła:

— Ciii.

Wokół nich stali sami mężczyźni, ale za królem Francji była dziewczynka, wyglądająca na trochę starszą od Nory. Kiedy obejrzała się, Nora pochwyciła jej spojrzenie i uśmiechnęła się niepewnie, ale dziewczynka tylko spuściła wzrok.

Brzmienie rogów sprawiło, że aż podskoczyła. Johanna uściśnęła jej dłoń. Jeden z ludzi papy wystąpił i zaczął czytać ze zwoju, znów po łacinie, choć była to prostsza łacina niż ta, której uczyli

ją mnisi. Wszystko, co czytał, dotyczyło Henry'ego Chłopca, jaki to jest szlachetny, jaki dobry, a na określony znak jej najstarszy brat stanął przed obliczem dwóch królów i królowej. Był wysoki i szczupły, z opaloną twarzą usianą mnóstwem piegów. Norze podobała się ciemna zieleń płaszcza, który miał na sobie. Ukłękął przed swoim ojcem i francuskim królem, podczas gdy heroldowie i królowie przemawiali.

Uczynili Henry'ego Chłopca również królem. Miał być teraz królem Anglii, jak jego ojciec. Nagle wyobraźnia nasunęła Norze wizję obu Henrych próbujących razem wcisnąć się na jedno krzesło, z jedną koroną oplatającą obie ich głowy, i roześmiała się. Matka znów obejrzała się przez ramię, posyłając jej ostre spojrzenie i marszcząc ciemnobrązowe brwi.

Johanna przestępowała z nogi na nogę.

— Jestem głodna — powiedziała głośniejszym głosem niż poprzednio.

— Ciii!

Henry Chłopiec powstał z kłęczek, pokłonił się i wrócił na swoje miejsce wśród dzieci. Herold wymienił imię Richarda i chłopiec błyskawicznie wystąpił naprzód. Ogłosili go księciem Akwitanii. Miał poślubić córkę francuskiego króla, Alais. Nora powróciła spojrzeniem do obcej dziewczyny, stojącej wśród Francuzów. To właśnie była Alais. Miała długie, brązowe włosy i ostry, mały nos. Przyglądała się uważnie Richardowi. Nora zastanawiała się, jakie to uczucie, patrzeć po raz pierwszy na mężczyznę, wiedząc, że ma się go poślubić. Wyobraziła sobie Alais całującą Richarda i zrobiła kwaśną minę.

Przed nią, siedząc sztywno na krześle, królowa opuściła kąciki ust. Jej też się to nie podobało.

Dopóki Alais nie będzie wystarczająco dorosła, by poślubić Richarda, będzie mieszkała z nimi, jego rodziną. Nora poczuła przytępienie i niepokój: Alais przybyła w obce miejsce tak, jak Mattie wyjechała w obce miejsce i nigdy więcej jej nie zobaczy. Pamiętała, jak jej siostra płakała, kiedy jej to oznajmili. *Ależ mamo, on jest taki stary.* Nora zacisnęła usta, czując pieczenie pod powiekami.

Nie jej. Jej się to nie przydarzy. Nie zostanie odesłana. Oddana. Pragnęła czegoś więcej, ale nie wiedziała czego. Myślała o zostaniu zakonnicej, ale niewiele mogła zrobić.

Richard przyklękął i włożył swoje dłonie w długie, łoskotliwe dłonie króla Francji, a następnie wstał i skinął głową, jakby już nosił koronę. Uśmiechał się szeroko jak słońce. Wycofał się do rodziny, a herold wymienił imię Geoffreya, który miał zostać księciem Brytanii i poślubić inną obcą dziewczynę.

Nora zgarbiła ramiona. Jej nigdy nie spotka taki zaszczyt, niczego nie dostanie, będzie tylko stać i patrzeć. Ponownie spojrzała na księżniczkę Alais i zauważyła, że dziewczynka ze smutkiem wpatruje się w swoje dłonie.

Nagle Johanna ziewnęła, puściła rękę Nory i usiadła.

Przed nimi pojawił się ktoś jeszcze, z szerokimi rękami, i przemówił silnym głosem:

— Władcy Anglii, jak uzgodniliśmy, proszę was o przyjęcie arcybiskupa Canterbury, odnowienie przyjaźni i zaprzestanie kłótni dla dobra obu królestw i Świętej Matki Kościoła.

Otoczający ich tłum podniósł nagły krzyk. Z tłumy wyszedł mężczyzna i ruszył w kierunku królów. Ubrany był w długi, czarny płaszcz narzucony na biały habit, z krzyżem wiszącym na piersiach. Kostur, który trzymał w ręku, miał zakręcony koniec. Rozległ się potężny okrzyk podekscytowanych ludzi.

— Znowu Becket. Ten człowieknie odpuści — mruknął ktoś za plecami Nory.

Znała to nazwisko, ale nie mogła przypomnieć sobie, kim był Becket. Kroczył w ich stronę, wysoki wychudzony mężczyzna w wytartym ubraniu. Wyglądał jak zwykły człowiek, ale szedł jak władca. Wszyscy go obserwowali. Kiedy stanął przed jej ojcem, dudnienie i wzburzenie tłumy ucichło. Wszyscy czekali z zapartym tchem. Wyędniałały mężczyzna uklęknął przed królem, opuścił kostur, a następnie położył się na ziemi, rozciągając się jak mata na podłodze. Nora przesunęła się trochę, żeby patrzeć na niego w prześwicie między jej matką i ojcem. Tłum przysunął się bliżej, wyciągając szyje, żeby lepiej widzieć.

— Miłościwy panie — przemówił fanatycznie religijnym głosem. — Błagam o przebaczenie za wszystkie moje błędy. Nigdy nie było księcia wierniejszego niż ty i bardziej niewiernego niż ja. Przychoǳę prosić o wybaczenie, ufając nie własnej cności, lecz twojej.

Jej ojciec wstał. Nieoczekiwanie wyglądał na bardzo szczęśliwego, jego twarz zarumieniała się, a oczy błyszczały. Wymizerowany mężczyzna mówił dalej, pokornie i błagalnie, a król podszedł do niego, wyciągając ręce, żeby go podnieść.

— Poddaję się tobie, mój panie, odtąd i na zawsze, we wszelkich sprawach, ku czci Boga.

Królowa poderwała głowę. Za plecami Nory ktoś sapnął, a ktoś inny mruknął:

— Przekłęty głupiec.

Na oczach wszystkich ręce papieża zatrzymały się w połowie drogi do Becketa. Rodzaj impulsu przeszedł przez tłum.

— Co to znaczy? — zapytał król ostrym tonem.

Becket podniósł się. Błoto ubrudziło jego szatę w miejscach, w których docisnął ją kolanami do ziemi. Stanął wyprostowany, odchylając głowę do tyłu.

— Nie mogę odrzucić praw Boga, mój panie, ale we wszystkim poza tym...

Jej papa rzucił się na niego.

— To nie jest to, na co się zgodziłem.

Becket pozostał na miejscu, wysoki jak wieża kościelna, jakby miał Boga na ramieniu, i ponownie oświadczył:

— Muszę bronić honoru Pana Niebios i Ziemi.

— Ja jestem twoim panem! — Król nie był już szczęśliwy. Jego głos grzmiał na polu. Nikt więcej nie poruszył się ani nie odezwał. Zrobił krok w stronę Becketa, wygrażając mu pięścią. — Królestwo jest moje. Żadna inna władza nie będzie tutaj rządzić! Bóg czy nie Bóg, kłękaj, Thomasie, i oddaj mi się całkowicie albo odejdz, zrujnowany człowieku!

Louis zbiegał z podium w ich kierunku, lecz jego gorączkowe mamrotanie pozostało niezauważone. Becket stał nieruchomo.

— Poświęciłem się Bogu. Nie mogę wyprzeć się tej służby.

— Jestem królem, i nie ma innego, ty kreaturo, ty osłe, nie ma innego, prócz mnie! — ryknął ojciec Nory. — Wszystko zawdzięczasz mnie! Mnie!

— Papo! Mój panie... — Henry Chłopiec wyrwał się do przodu, ale matka chwyciła go za ramię i przytrzymała. Z tłumu podniosły się inne głosy. Nora nachyliła się, próbując skłonić Johannę, żeby wstała.

— Nie będziesz mi ubliżał! Oddaj cześć mnie, i tylko mnie! — Głos jej ojca był jak grzmiący róg, i tłum ponownie zamilkł. Król Francji położył rękę na ramieniu papy i powiedział coś cicho, a on odwrócił się i odrzucił ją. — Na przyszłość, za każdym razem, gdy zdecyduje się czegośkolwiek nie przestrzegać, będzie powoływał się na cześć Boga. Musisz to widzieć! Nie zrezygnował z niczego... nie będzie darzył mnie szacunkiem... Nawet szacunkiem świni dla świniopasa!

Tłum zawył.

— Boże, błogosław króla!

Nora rozejrzała się niespokojnie. Ludzie za jej plecami szurali nogami, wycofywali się, jakby powoli szykowali się do ucieczki. Eleanor wciąż mocno trzymała Henry'ego Chłopca, który teraz chlipał pod nosem. Richard zamarł, pochylony do przodu, poruszając szczęką niczym ryba. Francuski król chwycił Becketa za rękaw i odciągnął, pilnie mówiąc mu coś na ucho. Becket ani na chwilę nie odrywał wzroku od ojca Nory. Jego głos zabrzmiał jak trąba archaniola.

— Jestem zobowiązany do oddawania czci Bogu!

Pośrodku całego zgromadzenia ojciec Nory rozłożył ramiona, jakby zamierzał wbić się w powietrze. Tupnął nogą, jakby chciał rozłupać ziemię.

— Zabierzcie go stąd, zanim go zabiję! — wrzasnęła. — Cześć Boga! Okrągły biały tyłek Boga! Zabierzcie go, wypędźcie!

Jego wściekłość sprawiła, że tłum rozpierzchnął się. Francuski król, jego strażnicy i orszak pospiesznie oddalili się z Thomasem. Ojciec Nory znów ryczał, miotając przekleństwa i groźby, wymachując ramionami, z twarzą czerwoną jak surowe mięso. Henry Chłopiec wyrwał się z uścisku matki i dopadł do niego.

— Mój panie...

Król obrócił się w jego stronę, rozpostarł ramiona i powalił go, wymierzając mu cios wierzchnią stroną dłoni.

— Trzymaj się od tego z daleka!

Nora podskoczyła. Jeszcze zanim Richard i Geoffrey ruszyli się z miejsca, Eleanor już działała. Kilkoma krokami dopadła Henry 'ego Chłopca i kiedy poniósł się z ziemi, zabrała go pospiesznie. Tłum jej wasali podążył za nią.

Nora wstała. Zdała sobie sprawę, że wstrzymywała oddech. Johanna w końcu również się podniosła i objęła Norę w talii, a ona otoczyła siostrę ramionami. Geoffrey pobiegł za królową. Richard zatrzymał się, ujmując się pod boki i obserwując wybuch gniewu króla. Wreszcie odwrócił się na pięcie i również pobiegł za matką. Norze dech zaparło. Zostały z Johanną same pośrodku pola.

Król dostrzegł je. Uspokoił się. Rozejrzał się dookoła, ale nie zobaczył nikogo innego, więc ruszył majestatycznie w ich stronę.

— No, dalej... biegnijcie! Wszyscy inni mnie opuścili. Biegnijcie! Jesteście głupie?

Johanna, wciąż obejmując ją kurczowo ramionami, skuliła się za plecami Nory, która stała prosto, chowając ręce za sobą, w taki sam sposób jak wtedy, gdy rozmawiali z nią księża.

— Nie, papo — odpowiedziała.

Jego twarz była czerwona jak mięso. Na jego czoło wystąpiły krop le potu, a oddech omal jej nie zadławił. Przyjrzał się jej i zapytał:

— Więc zamierzasz mnie zrugać jak twoja podła matka?

— Nie, papo — odpowiedziała zaskoczona. — Jesteś królem.

Drgnął. Głęboki kolor spłynął z jego twarzy jak fala, a głos złągodniał.

— Cóż, przynajmniej jedna z was jest szczerą — rzekł nieco spokojniej, po czym odwrócił się i odszedł, po drodze unosząc rękę. Ze wszystkich stron nadbiegli jego ludzie. Jeden przyprowadził wielkiego czarnego konia papy. Król dosiadł go i górując nad otaczającymi go pieszymi męczycznymi, opuścił pole. Chwilę później Richard przyjechał kłusem przez trawnik, żeby zabrać Norę i Johannę.

— Dlaczego nie mogę...

— Bo znam cię — przerwał jej Richard. — Jak tylko spuszczam cię z oczu, pakujesz się w kłopoty. — Podszedł ją na wóz, gdzie siedziały już Johanna i francuska dziewczyna. Nora, wściekła, kłapnęła na siedzenie. Mieli tylko podjechać na wzgórze. Mógł pozwolić jej jechać na swoim koniu. Wraz ze strzeleniem z bicia wóz zaczął się toczyć, a ona oparła się plecami o jego boczną ścianę i zapatrzyła w dal.

— Wiem, kim jesteś — powiedziała nagle po francusku, siedząca obok Nory, Alais.

Nora odwróciła się do niej, zaskoczona.

— Ja też wiem, kim jesteś — oznajmiła.

— Masz na imię Eleanora i jesteś drugą siostrą. Mówię po francusku i łacinie i umiem czytać. A ty umiesz czytać?

— Tak Cały czas każą mi czytać — odpowiedziała Nora.

Alais obejrzała się przez ramię. Jej orszak szedł za powozem, ale nikt na tyle blisko, żeby słyszeć ich rozmowę. Johanna stała z tyłu w kłacie, rzucając słomki, a potem wychylała się, żeby zobaczyć, gdzie upadły.

— Powinnyśmy zostać przyjaciółkami — powiedziała cicho Alais. — Dlatego, że będziemy siostrami i jesteśmy prawie w tym samym wieku. — Zmierzyła Norę zamyślonym spojrzeniem od stóp do głów, co sprawiło, że młodsza dziewczynka poczuła się nieswojo. Wierciła się, myśląc lakonicznie i ze złością o tej dziewczynie, która zajęła miejsce Mattie. — Będę dla ciebie miła, jeśli ty będziesz miła dla mnie — oznajmiła Alais.

— W porządku — odrzekła Nora. — Ja...

— Ale ja idę pierwsza, bo jestem starsza.

Nora zeszywniała. Następnie podskoczyła, gdy dokoła rozległy się wiwaty. Wóz toczył się ulicą w kierunku zamku na wzgórzu, a wzdłuż niej stały tłumy ludzi, krzyczących i wołających. Nie dla niej i nie dla Alais. To imię Richarda wykrzykiwali bez końca. Brat jechał przed nimi, z odkrytą głową, nie zwracając uwagi na wiwatujących.

Alais zwróciła się do niej ponownie:

— Gdzie mieszkasz?

— Cóż, czasem w Poitiers, ale...

— Mój ojciec mówi — przerwała jej Francuzka — że wasz ojciec ma wszystko, pieniądze i klejnoty, i jedwabie, i światło słoneczne, ale wszystko, co mamy we Francji, jest pobożne i dobre.

— Jesteśmy dobrzy — zaczęła Nora, ale zadowolili ją, że Alais zauważyła wielkość jej ojca. — I pobożni też.

Francuska księżniczka odwróciła twarz o ostrych rysach, wymizerowaną, i po raz pierwszy jej głos zabrzmiał niepewnie.

— Mam nadzieję.

Serce Nory zabiło drżąc, ze współczuciem. Johanna wyszukiwała na podłodze wozu kolejne drobiazgi, które mogłaby wyrzucić. Nora znalazła w kłacie garść kamyczków i podała je siostrze. Po drugiej stronie Nory Alais siedziała zgarbiona, ze spuszczoną głową, wpatrując się w swoje dłonie. Nora zastanawiała się, czy dziewczyna jest bliska płaczu. Miała prawo płakać po tym, co jej się przytrafiło.

Przysunęła się bliżej, aż otarły się o siebie. Alais poderwała głowę i spojrzała zaskoczona

szeroko otwartymi oczami. Nora uśmiechnęła się do niej, a ich dłonie spotkały się między nimi i uściśniły.

Nie pokonali całej drogi do zamku. Wiwatujący tłum patrzył za nimi, stojąc wzdłuż ulicy i na chodniku, aż do kościoła po jednej stronie, gdzie wóz skręcił w przeciwną i pojechał w dół innej ulicy przez drewnianą bramę. Ponad nimi wznosił się dom z drewnianymi ścianami, dwoma rzędami okien i ciężkim występem dachu. Tam wóz zatrzymał się i wszystkie wysiadły. Richard zapędził je przez szerokie frontowe drzwi do środka.

— Mama jest na górze — poinformował.

Weszli do ciemnego holu, pełnego służących i bagażu. Służący odprowadził Alais. Nora wspięła się na strome, nierówne schody, ciągnąc za rękę Johannę. Siostra wciąż była głodna i powtarzała to na każdym stopniu. U szczytu schodów znajdowały się naprzeciw siebie dwa pokoje. W jednym z nich Nora usłyszała głos matki.

— Jeszcze nie — mówiła królowa. Nora weszła do dużego pokoju i w jego odległym końcu zobaczyła matkę i Henry'ego Chłopca. Królowa trzymała rękę na jego ramieniu. — Jeszcze nie nadszedł czas. Nie bądź nierozważny. Musimy sprawiać wrażenie, że jesteśmy lojalni. — Zobaczyła dziewczynki i uśmiech wykrzywił jej twarz, jak maska. — Chodźcie, dziewczynki! — Ale ręka spoczywająca dotąd na ramieniu Henry'ego Chłopca odepchnęła go. — Idź — powiedziała do niego królowa. — Przyśle po ciebie, więc lepiej, żeby cię tu nie było. Zabierz ze sobą Geoffreya.

Henry Chłopiec odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Nora zastanawiała się, co miało oznaczać określenie „nierozważny”. Przez moment wyobraziła sobie kłif i spadających z niego ludzi. Podeszła do matki, która ją uściślała.

— Przepraszam — powiedziała Eleanor. — Przepraszam za waszego ojca.

— Mamo...

— Nie bójcie się go. — Królowa ujęła ręce Johnny, a przemawiała do nich obu. — Będę was chronić.

— Ja nie...

Jej matka uniosła głowę i spojrzała ponad głowę Nory.

— O co chodzi?

— Król chce mnie widzieć — powiedział Richard stojący za plecami Nory. Poczula jego rękę na ramieniu.

— Tylko ciebie?

— Nie, Henry'ego Chłopca i Geoffreya również. Gdzie oni są?

Matka Nory wzruszyła ramionami, aż poruszyło się całe jej ciało, ramiona, głowa i ręce.

— Nie mam pojęcia — odparła. — Jednakty powinienes pójść.

— Tak, mamo.

Richard uściśnął ramię Nory i wyszedł.

— Bardzo dobrze. — Eleanor usiadła, opadając na oparcie krzesła, wciąż trzymając Johannę za jedną rękę. — Teraz, moje dziewczynki. — Nora zmarszczyła brwi, zaintrygowana. Matka wiedziała, gdzie są jej bracia, przecież sama ich odesłała. Królowa ponownie zwróciła się do niej. — Nie bójcie się.

— Mamo, ja się nie boję. — Ale potem pomyślała, że matka chciała, żeby się bała.

* * *

Johanna już spała, skulona i przyściśnięta mocno do pleców siostry. Nora wcale nie była śpiącą. Rozmyślała o minionym dniu, o wspaniałym ojcu i pięknej matce, i o tym, jak jej rodzina wszystkim rządzi, i że była jedną z nich. Wyobraziła sobie siebie na wielkim koniu, galopującą, i wiwatujących ludzi, wykrzykujących jej imię. Niosącą lancę z proporcem na końcu i walczącą na chwałę czegoś. Albo żeby kogoś uratować. Coś dumnego, ale cnotliwego. Złapała się na tym, że kiwała się w przód i w tył na wymyślonym koniu.

Świeca postawiona w odległym końcu rzucała nikłą poświatę na długi, wąski pokój. Dziewczynka widziała deski na przeciwległej ścianie i słyszała dudniące chrapanie kobiety śpiącej przy drzwiach. Inni służący zeszli do holu. Zastanawiała się, co się tam działo. Potem, ku jej zdziwieniu, ktoś przebiegł w ciemności i uklęknął przy jej łóżku.

— Nora? — To była Alais. Nora podniosła się, zaskoczona, ale gdy tylko poruszyła się, Alais już wpełzała do łóżka. — Wpuść mnie, proszę. Proszę, Noro. Kazali mi spać samej.

Z powodu Johanny nie mogła przesunąć się, żeby zrobić jej miejsce, ale i tak powiedziała:

— W porządku. — Też nie lubiła spać sama, bo było jej zimno i niekiedy czuła się samotna. Uniosła przykrycie, a Alais wsunęła się na wolny skrawek łóżka obok niej.

— Tutaj jest okropnie. Myślałam, że wszyscy mieszkacie w pięknych miejscach.

— Nie mieszkamy tutaj — odrzekła Nora. Przytuliła się mocniej do Johanny. Nie budząc się, jej mała siostrzyczka zamruczała i przewróciła się na drugi bok, robiąc więcej miejsca, ale Alais nadal przyciskała się do niej. Czuła nieświeży, kwaśny oddech Francuzki. Leżała sztywno, całkiem rozbudzona. Teraz już nigdy nie zaśnie.

Alais wcisnęła się w materac, aż liny pod nim zatrzeszczały.

— Masz już cuszki? — zapytała szeptem.

Nora drgnęła.

— Co? — Nie wiedziała, co Alais miała na myśli.

— Guzki, głuptasie. — Alais odwróciła się, pociągając przykrycie za sobą. — Piersi. Jak to. — Chwyła Norę za nadgarstki i pociągnęła, pocierając jej dłonią o swoją pierś. Przez moment

Nora wyczuła miękką krągłość pod palcami.

— Nie. — Próbowwała wyrwać rękę z uścisku Alais, ale okazała się silniejsza.

— Jesteś tylko dzieckiem.

Nora uwolniła rękę i mocniej naparła na Johannę, próbując zrobić sobie więcej miejsca.

— Jestem już duża! — Johanna była dzieckiem. Usilnie starała się przywołać uczucie galopowania na wielkim koniu, w chwale, w poczuciu dumy i wielkości. — Któregoś dnia zostanę królem — wypaliła.

Alais zagwizdała.

— Dziewczynki nie są królami, głuptasie! Dziewczynki są tylko kobietami.

— Miałam na myśli to, że będę jak moja matka. Moja matka jest równie ważna jak król.

— Twoja matka jest podła.

Nora odsunęła się, rozszoszona.

— Moja matka nie jest...

— Ciii. Obudzisz wszystkich. Przepraszam. Przepraszam. Po prostu wszyscy tak mówią. Nie myślałam tak Nie jesteś dzieckiem. — Alais dotknęła ją i było w tym geście błaganie. — Jesteś nadal moją przyjaciółką?

Nora pomyślała, że bycie przyjaciółkami jest o wiele trudniejsze, niż się spodziewała. Ukradkiem przycisnęła dłoń do swojej kościstej piersi.

Alais rozpychała się obok niej.

— Skoro mamy być przyjaciółkami, to musimy zostać blisko siebie. Dokąd dalej jedziemy?

Nora owinęła się przykryciem, odgradzając się od Francuzki grubą tkaniną.

— Mam nadzieję, że do Poitiers, z mamą. Mam nadzieję, że tam pojedę, bo to najszczęśliwszy dwór na całym świecie. — A w przyływie gniewu wypaliła: — Każde miejsce byłoby lepsze niż Fontevaut. Mam takie obolałe kolana.

Alais roześmiała się.

— Klasztor? Zamykali mnie w klasztorach. Nawet kazali nosić zakonne szaty.

— Och, nienawidzę ich! — oznajmiła Nora. — Są takie szorstkie.

— I śmierdzą.

— Zakonnice śmierdzą — stwierdziła Nora. Przypomniała sobie coś, co powiedziała jej matka. — Jak stare jaja.

Alais zachichotała.

— Zabawna jesteś, Noro. Bardzo cię lubię.

— Cóż, musisz polubić także moją matkę, jeśli chcesz pojechać do Poitiers.

I znów ręka Alais uniosła się i dotknęła Nory, głaszcząc ją.

— Polubię. Obiecuję.

Nora kołysała głową na ramieniu, zadowolona i senna. Może Alais nie była wcale taka zła. Była bezradną panienką, a Nora mogła jej bronić jak prawdziwy rycerz. Jej powieki opadły. Przez chwilę, zanim zasnęła, znów poczuła pod sobą galopującego konia.

* * *

Nora zebrała okruszki ze swojego śniadania. Właśnie wysypywała je na parapet okienny, kiedy zawołała ją opiekunka. Nie przerwała swojej czynności. Małe ptaszki są głodne zimą. Opiekunka złapała ją za ramię i odholowała.

— Chodź tutaj, kiedy cię wołam! — Kobieta szybko wcisnęła jej suknię na głowę. Nora walczyła z masą ubrania, dopóki nie wy dostała z niej głowy. — Teraz siadaj, żebym mogła wyszczotkować ci włosy.

Nora usiadła. Ponownie spojrzała w stronę okna, a opiekunka uszczy pnęła ją w ramię.

— Siedz spokojnie!

Zacisnęła usta, zła i smutna. Pragnęła, żeby opiekunkę odesłano do Niemiec. Zgarbiła się na stołku, próbując choćby łątem oka spojrzeć w okno.

Opiekunka przeciągała szczotką po jej włosach.

— Jak mogłaś tak splątać włosy?

— Auuu! — Nora wykręciła się spod szczotki szarpiącej jej włosy, ale kobieta siłą zatrzymała ją na stołku.

— Siedz! To dziecko to diabeł. — Szczotka uderzyła ją mocno w ramię. — Poczekaj, aż odeślę cię do klasztoru, mały diable.

Nora cała zeszytniała. Na sąsiednim stołku Alais odwróciła się nagle w jej stronę, z szeroko otwartymi oczami. Nora zsunęła się z siedzenia.

— Idę poszukać mojej mamy! — Ruszyła w stronę drzwi. Opiekunka wyrwała się za nią, ale dziewczynka była już poza jej zasięgiem i poruszała się szybciej.

— Wracaj tutaj!

— Idę poszukać mojej mamy — powtórzyła Nora. Posłała kobiecie surowe spojrzenie i pchnięciem otworzyła drzwi.

— Poczekaj na mnie — odezwała się Alais.

Służące poszły za nimi. Nora pośpiesznie zeszła po schodach, żeby być poza ich zasięgiem. Miała nadzieję, że mama była na dole w holu. Na schodach prześliznęła się obok służących wchodzących na górę, którzy teraz stanęli na drodze opiekunkom i zatrzymali je. Alais była tuż za nią, z szeroko otwartymi oczami.

— Wszystko w porządku? Noro?

— Chodź. — Na szczęście hol był pełen ludzi. Znaczyło to, że matka też tam była, więc szła

dalej, mijając mężczyzn w długich dostojnych szatach. Przepchnęła się na sam przód.

Tam siedziała jej matka, a obok niej stał Richard. Królowa czytała list. Obcy człowiek stał przed nią pokornie, ze złożonymi rękami. Nora wyminęła go.

— Mamo.

Eleanor podniosła głowę, unosząc brwi.

— Co wy tutaj robicie? — Spojrzała ponad Norą i Alais w tłum, po czym przeniosła spojrzenie z powrotem na Norę i powiedziała: — Chodź, usiądź i poczekaj. Jestem zajęta. — Wróciła do czytania listu, który trzymała w ręku. Richard posłał Norze szybki, zabawny uśmiech. Przeszła obok niego, za krzesło mamy, i odwróciła się do zebranych. Opiekunki przecisnęły się przez tłum dworzan, ale teraz nie mogły jej dopaść. Alais oparła się o nią, blada, energicznie mrugając.

Siedząc tyłem do nich na ciężkim krześle, Eleanor odłożyła list.

— Przemysłu to — powiedziała.

— Wasza Miłość. — Pokorny mężczyzna pokłonił się i wycofał. Kolejny, w czerwonym płaszczu, wystąpił naprzód z listem w ręku. Sięgając po niego, królowa spojrzała na Richarda, stojącego u jej boku.

— Dlaczego twój ojciec chciał cię widzieć ostatniego wieczoru?

— Co zamierzasz zrobić? — szepnęła Alais. Nora szturchnęła ją łokciem. Chciała posłuchać brata.

— Pytał mnie, gdzie jest Chłopiec — mówił Richard. Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. — Był pijany.

Królowa czytała nowy list. Odwróciła się do stołu po swojej drugiej stronie, podniosła pióro i zanurzyła w kałamarzu.

— Ty też powinieneś to podpisać, skoro jesteś teraz księciem.

Richard nadął się na te słowa, sprawiając wrażenie większego, po czym wyprostował ramiona. Królowa zwróciła się do Nory.

— O co chodzi?

— Mamo. — Dziewczynka podeszła bliżej do królowej. — Dokąd pojedziemy?

Zielone oczy matki wpatrywały się w nią przez chwilę, a potem lekką uśmiech wykrzywił jej usta.

— Cóż, myślę, że do Poitiers.

— Chcę jechać do Poitiers.

— Tak, oczywiście.

— A Alais też?

Królowa przeniosła wzrok na Alais, opartą plecami o ścianę. Jej uśmiech zbladł.

— Tak, oczywiście. Dzień dobry, księżniczko Alais.

— Dzień dobry, Wasza Miłość. — Dziewczy na skłoniła się lekko. — Dziękuję, Wasza Miłość.
— Zwróciła rozjaśnione szczęściem spojrzenie na Norę, która odpowiedziała jej triumfującym spojrzeniem. Popatrzyła na matkę, zadowolona z tej, która mogła zrobić wszystko.

— Powiedziałaś, że będziesz nas chronić, pamiętasz?

Królowa uśmiechnęła się szerzej, lekko przechylając głowę na bok

— Tak, oczywiście. Jestem waszą matką.

— A Alais też?

Teraz królowa roześmiała się.

— Noro, będziesz niebezpieczna, kiedy będziesz starsza. Tak, Alais też, oczywiście.

Po drugiej stronie krzesła Richard wyprostował się nad pisma, a Eleanor wzięła od niego list i pióro. Nora ociągała się, pozostając w centrum wszystkiego i pragnąc, żeby matka ponownie zwróciła na nią uwagę.

— Skoro naprawdę jestem księciem, to mogę wydawać rozkazy? — odezwał się.

Uśmiech powrócił na twarz królowej. Spojrzała na niego w sposób, w jaki nie patrzyła na nikogo innego.

— Oczywiście, skoro jesteś teraz księciem. — Wyglądała, jakby znów miała się roześmiać. Nora zastanawiała się, co jej matkę tak rozśmieszyło. Eleanor położyła list na stole i podpisała.

— Chcę być pasowany na rycerza — oznajmił jej brat. — I chcę nowy miecz.

— Jak sobie ży czysz, Wasza Miłość — odpowiedziała matka, wciąż głosem drżącym trochę od tłumionego śmiechu i powoli skinęła mu głową, jakby kłaniała się. Wręczyła list mężczyźnie w czerwonym płaszczu. — Możesz zaczynać od razu.

— Niech Bóg błogosławi Waszą Miłość. Dziękuję. — Mężczyzna kiwał się jak łaczelka. Ktoś jeszcze wystąpił naprzód, z kolejnym pismem w dłoni. Nora wspięła się na palce, nie chcąc odchodzić. Opiekunki wciąż czekały, stojąc ponuro z boku, ze wzrokiem wbitym w dziewczynki, jakby spojrzeniem mogły je do siebie przyciągnąć.

Nora pragnęła, żeby matka ponownie na nią spojrzała i porozmawiała z nią. Nagle na tyłach holu rozległ się donośny głos.

— Przejście dla króla Anglii!

Eleanor siedziała wyprostowana, a Richard wrócił na swoje miejsce u jej boku. W całej komnacie nastąpiło poruszenie, ludzie usuwali się z drogi, zginając się w ukłonach, a przez opustoszałą przestrzeń wszedł papa Nory. Dziewczynka szybko wycofała się za krzesło królowej, do Alais, stojącej pod ścianą.

Tylko królowa pozostała na swoim miejscu, ale uśmiech znikł z jej twarzy. Wszyscy inni stali zgęści wół, kłaniając się do stóp. Król wkroczył przed oblicze Eleanor, a hol za nim szybko opustoszał. Nawet opiekunki wyszły. Dwóch ludzi króla stanęło po obu stronach drzwi niczym

strażnicy.

— Mój panie — odezwała się królowa — powinieneś wysłać umyślnego, bylibyśmy lepiej przygotowani na twoje przyjęcie.

Papa Nory stał, patrząc na nią z góry. Miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia. Jego duże dłonie spoczęły na pasie, a głos chrząścił jak żwir pod stopami.

— Pomyślałem, że zobaczę więcej, jeśli przybędę niezapowiedziany. Gdzie są chłopcy? — Łypnął w kierunku Richarda. — Pozostali chłopcy.

Królowa wzruszyła ramionami.

— Usiądziesz, mój panie? — Służący pośpieszył z krzesłem dla niego. — Przynieś mojemu panu królowi kubek wina.

Król usiadł.

— Nie myśl, że nie wiem, co robisz. — Odwrócił głowę i zauważył Norę. Wbił nią wzrok. Dziewczynka drgnęła, niepewna.

— Mój panie — powiedziała Eleanor. — Nie jestem pewna, co masz na myśli.

— Jesteś taką złą kłamczuchą, Eleanor. — Król odwrócił się na krześle, złapał Norę za rękę i wywlókł pomiędzy dwoma krzesłami, tak że stanęła przed nimi. — Ta mała dziewczynka bardzo dobrze wczoraj mówiła, kiedy wszyscy uciekliście. Myślę, że powie mi prawdę.

Nora schowała ręce za plecy. Zaszło jej w ustach, więc przełknęła. Matka uśmiechnęła się do niej.

— Nora jest mądra. Przywitaj swojego ojca, kochanie.

— Bóg z tobą, papo — powiedziała Nora.

Popatrzył na nią. Wokół czarnych źrenic jego oczy były błękitne jak niebo. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął przodu jej sukienki. Jej ciało skurczyło się pod wpływem jego dotyku. Pogłaskał przód jej sukienki. Matka przekrzywiła się na krześle. Czuwała. Za nią stał Richard z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

— A więc. Dopiero co opuściłaś klasztor, prawda? Podoba ci się tam?

Zastanawiała się, co powinna odrzec. W końcu zamiast tego powiedziała prawdę.

— Nie, papo.

Roześmiał się. Jego źrenice rozszerzyły się, a potem zwężyły.

— Co, nie chcesz zostać zakonnicej?

— Nie, papo, chcę... — Ku jej zaskoczeniu, fabuła uległa zmianie. Nagle odnalazła w sobie gorliwą odwagę. — Chcę być bohaterem.

Eleanor zachichotała, a król parsknął:

— Cóż, Bóg obdarzył cię złą posturą. — Spojrzał ponad nią. — Gdzie idziesz?

— Nigdzie, mój panie — odpowiedział Richard chłodnym głosem.

Król znów roześmiał się, ukazując zęby. Pachniał nieświeżo, starym piwem i brudnym ubraniem. Jego oczy obserwowały Norę, ale mówił do jej matki.

— Chcę zobaczyć moich synów.

— Przestraszyli się — odparła królowa — z powodu tego zajścia z Becketem.

— Zajmę się Becketem. Trzymaj się od tego z daleka. — Przyjął kubek wina, który przyniósł mu służący. Nora przesuwała stopy, pragnąc odejść sprzed oblicza rodziców, bo ich słowa przesywały powietrze jak ostrza noży.

— Tak jednakto, jak zajmujesz się Becketem, stawia nas wszystkich w niezręcznym położeniu — odpowiedziała Eleanor.

— Na śmierć Boga! — Podniósł kubek i opróżnił go do dna. — Nigdy nie miałem pojęcia, że trawi go taki głód męczeństwa. Widziałś go. Wygląda już jak starzec. To jest przestroga przed cnotą, skoro ciebie zmieniła w takiego bociana.

Jej matka spojrzała w dal przez komnatę.

— Nie, masz rację. Nie jest zasługą twojej sprawiedliwości, że połowa ludzi w królestwie woli omijać cię z daleka.

Przechylił się do niej.

— Nikt mnie nie omija — wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Cóż. — Spojrzała mu w twarz z uśmiechem na ustach, lecz nieszczerym. — A jednak tak robią.

— Mamo — odezwała się Nora, odzyskując głos. — Za twoim pozwoleniem...

— Zostań — przerwał jej ojciec i wyciągając rękę, złapał ją za ramię, po czym wciągnął na swoje kolana.

— Nora — odezwała się matka. Za jej plecami Richard zrobił krok naprzód, z szeroko otwartymi oczami. Dziewczynka wierciła się, żeby usiąść prosto na kolanach ojca. Otoczył ją ramionami jak klatką. Wyraz twarzy matki przeraził ją. Próbowała uwolnić się, ale jego ramiona zacisnęły się wokół niej.

— Mamo...

— Puść ją, sir — powiedziała ochryple królowa.

— Co? — Król zaśmiał się krótko. — Czyż nie jesteś moją kochaną dziewczynką, Noro? — Pocałował córkę w policzek. Wciąż obejmował ją, jedną rękę zaciskając na jej ramieniu.

— Chcę moich synów. Sprowadź ich tu z powrotem, kobieto. — Nagle zepchnął Norę ze swoich kolan i wstał. Skłonił na Richarda, zaginając palec. — Będziesz mi towarzyszył. — Jego kroki zadudniły na podłodze. Wszyscy obserwowali go w milczeniu. Ociężałe wyszedł za drzwi, a Richard deptał mu po piętach.

Nora wytarła policzek wciąż wilgotny po tym, jak jej ojciec przycisnął do niego usta.

Przeniosła spojrzenie na matkę. Królowa wyciągnęła do niej ramiona, a kiedy Nora podeszła, mocno ją przytuliła.

— Nie bój się. Obronię cię. — Jej głos brzmiał chropawo. Wypuściła Norę z ramion i klasnęła w dłonie. — Teraz posłuchamy trochę muzyki.

* * *

Smugi pary unosiły się nad tacą z bułeczkami migdałowymi, stojącą na długim drewnianym stole. Nora zakradła się kuchennymi schodami, trzymając się blisko ściany i szybko zanurkowała pod stół. W głębi kuchni ktoś śpiewał, ktoś inny śmiał się. Nikt jej nie zauważył. Sięgnęła ponad krawędź stołu i zgarniała bułeczki w fałdę spódnicy, a kiedy już była pełna, szybko odwróciła się i wbiegła po schodach.

Tuż za progiem Alais skakała uradowana, z roziskrzonym wzrokiem, klaszcząc w dłonie. Nora wręczyła jej bułeczkę.

— Szybko! — Ruszyła w kierunku bramy ogrodu.

— Hej! Dziewczyno!

Alais krzyknęła. Nora natomiast odwróciła się. Znała ten głos. Spojrzała wesoło oczy Richarda.

— Podzielisz się? — zapytał.

Weszli do ogrodu i usiedli na ławce pod ścianą. Zjadali bułeczki. Richard oblizwał cukier puder z palców.

— Noro, wyjeżdżam.

— Wyjeżdżasz? — zapytała zaskoczona. — Dokąd?

— Mama chce, żebym odnalazł Chłopca i Geoffreya. Myślę, że po prostu chce odesłać mnie jak najdalej od ojca. Zatem zamierzam poszukać kilku rycerzy, żeby pojechali ze mną. Jestem teraz księciem, więc potrzebuję armii. — Uścisnął ją, przytulając policzek do jej włosów. — Wróć.

— Jesteś takim szczęściarzem — wypaliła. — Wiesz, bo jesteś księciem. Ja jestem nikim! Dlaczego jestem dziewczynką?

Roześmiał się, obejmując ją ramieniem. Przytłnął policzek do jej włosów.

— Nie zawsze będziesz małą dziewczynką. Któregoś dnia wyjdiesz za mąż, a wtedy będziesz królową, jak mama, albo przynajmniej księżną. Słyszałem, jak mówili, że chcą, żebyś poślubiła kogoś w Kastylii.

— Kastylii. Gdzie to jest? — Poczuli ostrzegawcze ułkucie. Spojrzała w twarz brata. Pomyślała, że nikt nie jest tak przystojny jak Richard.

— Gdzieś na pograniczu Hiszpanii. — Sięgnął po ostatnią bułeczkę, ale chwyciła go za rękę

i przytrzymała. Jego palce były lepkie.

— Nie chcę wyjeżdżać — oznajmiła. — Będę za tobą tęsknić. Nie będę nikogo znała.

— Nie wyjedziesz już zaraz. Kastylia oznacza zamki. Walczą tam z Maurami. Będziesz krzyżowcem.

Zmarszczyła brwi, zdziwiona.

— W Jerozolimie? — W klasztorze zawsze modliły się za krucjatę. Jerozolima była na drugim krańcu świata, ale nigdy nie słyszała, żeby nazywano ją Kastylią.

— Nie, w Hiszpanii też jest krucjata. El Cid, no wiesz, i Roland. Lubisz ich.

— Roland — powtórzyła, nagle podekscytowana. Była pieśń o Rolandzie, pełna przejmujących fragmentów. Ponownie pochyliła głowę w jego stronę. — Będę miała miecz?

— Może. — Jeszcze raz pocałował jej włosy. — Kobiety zwykle nie potrzebują mieczy. Muszę iść. Chciałem się tylko pożegnać. Jesteś teraz najstarszą, która zostaje w domu, więc opiekuj się Johanną.

— I Alais — dodała.

— Och, Alais — mruknął. Ujął jej dłoń. — Noro, posłuchaj, coś dzieje się między mamą i papą. Nie wiem co, ale coś na pewno. Bądź odważna, Noro. Odważna i dobra. — Przez chwilę przytulił ją mocniej, a potem wstał i odszedł.

* * *

— Kiedy będziemy w Poitiers? — zapytała Alais uszczęśliwiona. Usiadła na skrzyni z tyłu wozu i rozłożyła spódnice.

Nora wzruszyła ramionami. Wozy jechały bardzo powoli, przez co podróż zdawała się trwać w nieskończoność. Pragnęła, żeby pozwolono jej jechać konno. Jej opiekunka wspięła się na przód wozu, odwróciła się i podniosła Johannę. Woźnica przyprowadził konie i zaprzągnął je do wozu. Może pozwoliliby jej trzymać lejce? Wychyliła się z wozu, rozglądając się po dziedzińcu pełnym innych wozów, ludzi pakujących dobytek jej matki i czekających osiodłanych koni.

— Lady Noro, usiądź.

Nora odwróciła się do niej plecami udając, że nie słyszy. Jej matka wyszła drzwiami prowadzącymi do holu. Na jej widok wszyscy na dziedzińcu zwrócili się w jej stronę, jakby była słońcem, a reszta grzała się w jej promieniach.

— Mamó! — zawołała Nora i pomachała. Matka odwzajemniła się tym samym.

— Lady Noro! Siadaj!

Dziewczynka wychyliła się z wozu. Obok niej Alais zachichotała i szturchnęła ją łokciem. Stajenny przyprowadził konia królowej. Odprawiła kogoś czekającego, żeby jej pomóc, i sama wsiadła. Nora obserwowała, jak to robi, jak przytrzymuje spódnice na nogach, a jednocześnie

przekłada nogę ponad siodłem. Jej mama jeździła jak mężczyzna. Też będzie tak jeździć. Potem, od bramy, dobiegł ich krzyk

— Król!

Alais obróciła się na skrzyni, żeby popatrzeć. Nora wyprostowała się. Jej ojciec wjeżdżał przez bramę na wielkim czarnym koniu, a za nim rząd rycerzy zakuty ch w zbroje i uzbrojonych. Szukała wzrokiem Richarda, ale nie było go z nimi. Większość rycerzy musiała zostać za murem, ponieważ na dziedzińcu nie było miejsca.

Eleanor zawróciła konia, przejeżdżając na tyle blisko wozu, że Nora mogła ją dotknąć. Koń przeszedł obok, zarzucając łbem. Z posępnym obliczem król torował sobie drogę przez tłum, zmierzając w jej stronę.

— Mój panie, cóż to ma być? — zapytała.

Powiódł wzrokiem po dziedzińcu. Jego twarz przesłaniała broda, ale oczy miał wyraźnie zaczerwienione. Nora szybko usiadła na skrzyni. Jej ojciec spiął konia, po czym zatrzymał go równoległe do konia jej matki.

— Gdzie są moi synowie?

— Mój panie, nie mam pojęcia, doprawdy.

Wpatrywał się w nią, rozwścieczony.

— Więc wezmę zakładników. — Odwrócił się w siodle, spoglądając w kierunku swoich ludzi.

— Bierzcie te dziewczynki!

Nora ponownie zerwała się na nogi.

— Nie — zaprotestowała królowa, wciskając swojego konia pomiędzy niego a wóz, stając niemal nos w nos z mężem, i zacisnęła pięść. — Trzymaj łapy z dala od moich córek — Alais chwyciła się kuczowo sukienki Nory.

Przysunął twarz jeszcze bliżej do twarzy żony.

— Spróbuj mnie powstrzymać, Eleanor!

— Papo, czekaj. — Nora wychyliła się przez burtę wozu. — Chcemy jechać do Poitiers.

— Czego ty chcesz? — zapytał król złowrogo. Dwóch mężczyzn zsiadło z koni. Ruszyli rażno w stronę wozu. Ojciec ani na chwilę nie odrywał oczu od jej matki.

Koń królowej odgradzał mężczyzn od wozu. Pochylając się bliżej do króla, mówiła szybko niskim głosem:

— Nie bądź głupcem, mój panie, w tak błahej sprawie. Jeśli postąpisz zbyt popędliwie, nigdy ich nie odzyskasz. Alais ma pokąźny posag, weź ją.

— Mamo, nie! — Nora wyciągnęła rękę. Alais mocno objęła ją w tali.

— Proszę... proszę...

Królowa nawet nie spojrzała na nie.

— Bądź cicho, Noro. Załatwię to.

— Mamo! — Nora próbowała pochwycić ją i zmusić, żeby odwróciła się i na nią spojrzała.

— Obiecałaś. Mamo, obiecałaś, że ona pojedzie z nami! — Jej palce musnęły materiał rękawa matki.

Eleanor odepchnęła ją mocno, przewracając na środek wozu. Alais zaszlochala. Ludzie króla znów ruszyli w ich stronę, wspinając się na wóz. Nora rzuciła się na nich z pięściami.

— Wynoście się! Nie ważcie się jej tknąć!

Ktoś złapał ją od tyłu i odciągnął. Dwóch mężczyzn wdrapało się ponad burtą wozu i mocowało z małą francuską księżniczką. Wreszcie wywlekli ją na zewnątrz. Krzyknęła, a potem zwiotczała, bezwładna w ich ramionach. Nora wyrwała się z ramienia przytrzymującego ją w talii i dopiero wtedy zobaczyła, że to matka ją trzymała.

— Mamo! — Odwróciła się do Eleanor. — Obiecałaś. Ona nie chce iść.

Eleanor zbliżyła twarz do twarzy córki.

— Bądź cicho, dziewczyno. Nie wiesz, co robisz.

Za jej plecami król odjeżdżał, kołysząc się na koniu.

— Tę możesz zatrzymać. Może cię otruje. — Podążył za ludźmi, którzy mieli Alais w swoich rękach. Inni zabrali bagaż księżniczki. Ją samą również taszczyli jak bagaż. Nora wydała niemy krzyk. Padł ostry rozłaz i jej ojciec wyprowadził swoich ludzi przez bramę, zabierając Alais niczym trofeum.

Wciąż obejmując talię Nory, Eleanor rzucała gniewne spojrzenia za królem. Nora wyrwała się, a matka odwróciła się do niej.

— Noro, twoje zachowanie było niestosowne.

— Dlaczego to zrobiłaś, mamo? — Głos Nory odbił się echem. Była wściekła i nie zważała na to, kto ją słyszy.

— Chodź, dziewczyno — powiedziała jej matka i potrząsnęła nią. — Uspokój się. Nie rozumiesz.

Nora wyrwała się matce gwałtownym szarpnięciem.

— Powiedziałaś, że Alais może jechać. — Coś dogłębnego i ciężkiego zbierało się w niej, jakby połknęła kamień. Zaczęła płakać. — Mamo, dlaczego mnie okłamałaś?

Eleanor zamrugala, marszcząc czoło.

— Nie mogę robić wszystkiego. — Wyciągnęła rękę, prosząc o coś. — Chodź, bądź rozsądna. Chcesz być taka jak twój ojciec?

Łzy płynęły strumieniami z oczu Nory.

— Nie, i taka jak ty też nie chcę być, mamo. Obiecałaś mi. I skłamałaś. — Odrzuciła wyciągniętą dłoń.

Eleanor cofnęła się. Uniosła rękę i uderzyła Norę w twarz.

— Okrutne, niewdzięczne dziecko!

Nora usiadła ciężko. Ukryła pięści w fałdach sukienki i zgarbiła ramiona. Alais odeszła. Mimo wszystko nie mogła jej uratować. Nie miało znaczenia, że tak naprawdę niezbyt ją lubiła. Chciała być bohaterem, ale była tylko małą dziewczynką i nikogo nie obchodziła. Odwróciła się do skrzyni, oparła na niej ramiona, ukryła w nich twarz i zapłakała.

Później wychyliła się przez burtę wozu i zagapiła się na drogę.

Czuła się głupio. Alais miała rację, nie mogła być królem, a teraz nie mogła być nawet bohaterem.

Opiekunki drzemały na tyle wozu. Matka wzięła Johannę, żeby jechała przed nią w siodle, aby pokazać Norze, jaka była niedobra. Woźnica siedział na ławce, plecami do niej. Czuła się, jakby nikt jej nie widział, jakby w ogóle jej tam nie było.

Nie chciała już być królem, skoro oznaczało to bycie podłym, krzyczenie i porywanie ludzi wbrew ich woli. Chciała być jak jej matka, jej stara matka, dobra matka, a nie ta nowa, która kłamała i łamała obietnice, która biła i wyzywała. Alais powiedziała, że jej matka jest podła, i Nora omal nie rozplakała się na nowo, ponieważ to była prawda.

Powie o tym Richardowi, kiedy wróci. Ale wtedy coś zacisnęło się w jej żołądku jak supeł.

Jeśli wróci. Cały świat się zmienił. Może Richard też okaże się być fałszywy?

— Będziesz krzyżowcem — powiedział jej.

Nie wiedziała, czy tego chce. Bycie krzyżowcem oznaczało długie, długie podróże, a potem śmierć.

— Bądź dobra — powiedział. — Bądź odważna. — Ale ona była tylko małą dziewczynką. Była pyłkiem pod całym bezkresem błękitnego nieba.

Wóz podskakiwał na drodze. Był częścią długiego orszaku, kierującego się do Poitiers. Spojrzała dokoła na służących idących pieszo między wozami, kołyszące się łby koni i mułów, stopy bagaży powiązanych linami. Matka nie zwracała na nią uwagi. Dołączyła do grupy jeźdźców jadących na czele orszaku. Opiekunki spały. Nikt na nią nie patrzył.

Nikt już o nią nie dbał. Czekała, aż zniknie. Ale nie zniknęła.

Stała, trzymając się burty wozu, żeby nie upaść. Ostrożnie przeszła do przodu, na ławkę, unosząc spódnicę i siadając obok woźnicy, który gapił się na nią bezmyślnie. Miał szeroką, opaloną twarz i kudłatą brodę.

— No i, moja mała lady...

Wyglądziła spódnicę, stanowczo opierając stopy na podnóżku, i spojrzała na niego.

— Mogę trzymać lejce? — zapytała.

Dłonie, których nie ma

(THE HANDS THAT ARE NOT THERE)

Twórczość Melindy Snodgrass obejmuje różne gatunki oraz rozmaite media. Pisała ona scenariusze do seriali telewizyjnych, takich jak „Portret zabójcy” i „Star Trek Następne pokolenie” (była też przez kilka lat producentem tego drugiego), napisała sporo popularnych powieści science fiction i była jednym z twórców złożonego z wielu książek cyklu *Dzikie karty*. Pisała również do niego opowiadania i zajmowała się redakcją. Niektóre z jej powieści to *Circuit*, *Circuit Breaker*, *Final Circuit*, *The Edge of Reason*, *Rune Spear* (napisana na spółkę z Victorem Milanem), *High Stakes*, *Santa Fe* oraz *Queen's Gambit Declined*. Jej najnowsza powieść to *The Edge of Ruin*, ciąg dalszy książki *The Edge of Reason*. Napisała też powieść z cyklu *Dzikie karty* — *Double Solitaire*, a także nowelizację „Star Treka” — *The Tears of the Singers* i zredagowała antologię *A Very Large Array*. Mieszka w Nowym Meksyku.

W niniejszym opowiadaniu zabiera nas na odległą planetę, by nam pokazać, że nawet w społeczeństwie, w którym gwiazdoloty mkną przez noc, a obcy spotykają się z ludźmi na zatłoczonych miejskich ulicach, niektóre sprawy mogą mieć korzenie w bardzo odległej przeszłości.

DŁONIE, KTÓRYCH NIE MA

Szko uderzało o szkło z głuchym, niemelodyjnym dźwiękiem, gdy ludzki barman przygotowywał drinki. Hajsiska kelnerka o długiej, splątanej, rudej grzywie roznosiła je, stukając delikatnymi kopytkami. Klienci wyglądali posepnie niczym cienie kulące się w mrocznej speluncie, za

stolikami ustawionymi w bezpiecznej odległości od siebie. Nikt się nie odzywał. Substytutem rozmów były głosy sprawozdawców relacjonujących mecz piłkarski pokazywany na ekranie ściennym nad barem. Nawet je wyciszono jednak tak bardzo, że były tylko niewyraźnymi pomrukami. Z obłokami papierosowego dymu mieszał się odór rozlanego piwa oraz starego oleju do gotowania, nad wszytłkım jednak dominowały wonie rozpachy oraz tłącego się gniewu.

Prześiąknięta wilgocią spelunka świetnie harmonizowała z nastrojem podporucznika Tracy'ego Belmanora. Wybrał ją dlatego, że leżała daleko od kosmoportu i nie było prawdopodobne, by spotkał tu kóregoś z towarzyszy z załogi. Powinien czuć się szczęśliwy. Przed miesiącem ukończył wojskową akademię Ligi Solarnej i otrzymał pierwszy przydział. Problem w tym, że kolegów z roku na zakończenie mianowano pełnymi porucznikami, ale nisko urodzony syn krawca, który ukończył akademię dzięki stypendium, nie mógł liczyć na podobny zaszczyt. Odbierając insygnia, zerknął na gwiazdki i pojedynczą belkę, i uświadomił sobie, że znalazł się o stopień niżej od kolegów mogących się pochwalić arystokratycznym pochodzeniem, mimo że miał lepsze oceny, a umiejętnością pilotażu nie ustępował żadnemu z nich poza Mercedes, której wszyscy z nich mogli jedynie zazdrościć refleksu oraz odporności na przeciążenie. Zerknął pytająco na komendanta Górnej Bazy, wiceadmirała Sergeia Arringtona Vasqueza y Markova. Potężnie zbudowany dowódca wyjaśnił mu to od niechcienia, zupełnie nie zdając sobie sprawy, jak obraźliwe są jego słowa.

— Musisz sobie uświadomić, Belmanor, że nie byłoby dobrze, gdybyś znalazł się w pozycji zmuszającej cię do wydawania rozkazów kolegom z roku, zwłaszcza infantce Mercedes. Dzięki temu nigdy nie będziesz dowodził mostkiem sam, co oszczędzi ci zawstydzającej sytuacji.

Sugestia, że to on wstydziłby się wydać rozkaz szlachetnie urodzonym dupłom, w tym również infantce Mercedes, obudziła jego wybuchowy temperament. *To będzie dla mnie wielkim pocieszeniem, jeśli zginie, bo któryś z tych idiotów rozbije okręt.* Rzecz jasna nie powiedział tego na głos. Miał już te nierozważne słowa na języku, ale przez cztery lata wbijano mu do głowy protokół i hierarchię dowodzenia, zdołał więc przełknąć gniewną odpowiedź.

— Tak jest — odpowiedział tylko i zsalutował. Przynajmniej nie podziękował Markowowi za zniewagę.

Później zastanawiał się, dlaczego nie powiedział, co myśli. Z tchórzostwa? Czyżby Szczęśliwa Pięćsetka naprawdę go onieśmiała? To była straszliwa myśl, sugerowała bowiem, że rzeczywiście zna swoje miejsce. Szczerze mówiąc, dlatego właśnie nie poszedł na bal po rozdaniu dyplomów. Wiedział, że żadna z dam dworu Mercedes nie zechce mu towarzyszyć, a nie mógł tam przyprowadzić kobiety ze swojej warstwy. Natomiast sama Mercedes była córką cesarza i nikt nie mógł się dowiedzieć o tym, co ich łączyło. O tym, że ją kochał, a ona kochała jego.

Dlatego nie poszedł na bal. Stał na Kryształowym Moście w Pierścieniu Centralnym i gapił się

na Mercedes. Nie włożyła dziś munduru. Była wizją obleczoną w szkarłat i złoto, wspartą na ramieniu Honoriusa Sinclaira Cullena, Rycerza Łuków i Muszli, diuka de Argento, na co dzień zwanego Boho, prześladowcy i rywala Tracy 'ego. To Tracy powinien stać u jej boku, ale coś takiego nigdy nie będzie się mogło ziścić.

Pociągnął długi łyk whisky, całkowicie osuszając szklankę. Trunek był tani. Drapał go boleśnie w gardło i zalegał w żołądku niczym płonący węgielek. W przeciwieństwie do reszty ponurych i małowólnych klientów Tracy postanowił usiąść za barem. Barman, potężnie zbudowany mężczyzna w fartuchu, którego paski niezbyt skutecznie ukrywały fakt, że był brudny, wskazał głową na pustą szklankę.

— Jeszcze jedną?

— Jasne. Czemu by nie, do licha?

— Żłopiesz jedną po drugiej, chłopcze. — Tracy uniósł wzrok i zdziwił go wyraz współczucia w brązowych oczach mężczyzny. — Trafisz na okręt? — zapytał barman, nalewając z bulgotem whisky.

— Może lepiej by było, gdybym nie trafił.

Mężczyzna wyjął szmatkę z kieszeni fartucha i przetarł stalową powierzchnię baru.

— Lepiej tego nie rób. Liga wieza dezerterów.

Tracy przełknął whisky jednym haustem, tłumiąc mdłości, a potem potrząsnął głową.

— Nie mnie. Nawet nie próbowaliby mnie szukać. Ucieszyliby się, że Żenadę po cichu zamieciono pod dywan.

— Posłuchaj, chłopcze. Masz kłopoty. Widzę to.

— Kurczę, zawsze jesteś taki spostrzegawczy?

— Przestań się popisywać. — Powiedział to jednak spokojnie i z lekkim uśmiechem.

— Posłuchaj, jeśli chcesz poprawić swą opinię o stanie Galaktyki i miejscu, jakie w niej zajmujesz, powinieneś pogadać z tamtym facetem. Niewykluczone, że Rohan wcisnął kit, ale ma diabelnie dobre gadane.

Tracy spojrział w kierunku wskazywanym przez palec barmana i zobaczył tęgiego mężczyznę średniego wzrostu, który siedział za stolikiem w rogu, ściskając w dłoniach pustą szklankę. Ciemne włosy przyprószyła mu siwizna, a czoło wydawało się przesadnie wielkie z uwagi na tworzące się zakola. Barman przesunął się na drugi koniec baru i zaczął napełniać szklanki na tacy hajinki. Tracy ponownie spojrział na przygarbionego grubasa. Pod wpływem impulsu wziął w rękę szklankę i podszedł do niego.

— Ten gość mi powiedział — zaczął, wskazując kciukiem na barmana — że możesz mi opowiedzieć ciekawą historię, która pozwoli mi spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. — Odsunął kopniakiem krzesło i usiadł na nim, licząc po cichu na to, że mężczyzna się sprzeciwi

i znacznie bójkę. Miał ochotę komuś przywalić, a tutaj, na Wasua, w przeciwieństwie do Górnej Bazy, bijatyka nie przerodzi się w głupi pojedynek. Dotknął blizny na lewej skroni, pamiątki, jaką zostawił mu Boho. Przyjrzawszy się tamtemu uważniej, uświadomił sobie jednak, że bójka jest mało prawdopodobna. Mężczyzna nie ukrywał pod tłuszczem potężnych mięśni, a pod oczami miał wielkie, ciemne wory.

— Loren mi nie wierz — zaczął Rohan. — Ale to wszystko prawda.

Bełkotał nieco pod wpływem alkoholu, ale Tracy poznawał arystokratyczny akcent członka Szczęśliwej Pięćsetki. Słuchał go przez cztery cholerne lata. Bał się nawet, że zaczyna go naśladować.

— Dobra, zainteresowałeś mnie. Co jest prawdą?

Mężczyzna oblizał wargi.

— Łatwiej by mi się opowiadało, gdybym sobie zwilżył gardło.

— W porządku. — Tracy podszedł do baru, wrócił z butelką burbona i postawił ją głośno na stoliku. — Proszę bardzo, zapłaciłem za twoją opowieść. Teraz spróbuj mnie zachwyć.

Rohan się wyprostował, ale ten dumny ruch przestał robić wrażenie, gdy mężczyzna zachwiał się na krześle. Złapał się pulchną dłonią krawędzi blatu i znieruchomiał.

— Jestem kimś znacznie ważniejszym, niżby się zdawało.

— Jasne — wycedził Tracy.

Mężczyzna rozejrzał się wkoło z przesadną ostrożnością.

— Muszę uważać. Gdyby się dowiedzieli, że o tym mówię...

— Tak?

Rohan przesunął sobie palcem po gardle. Potem pochylił się nad blatem. Paskudny zapach jego oddechu mieszał się z odorem alkoholu.

— To, co ci opowiem, mogłoby wstrząsnąć fundamentami Ligi.

Moczy morda nalał sobie burbona i wypił go jednym haustem.

— Ale to wszystko wydarzyło się naprawdę — podjął. — Słuchaj i ucz się, młody człowieku.

Rohan znowu sobie nalał, trącił szklankę Tracy'ego i wzniosł swoją w toaście. Tym razem sączył trunk powoli. Westchnął, nie skupiając już tak mocno uwagi na młodym oficerze.

— Wszystko zaczęło się w dniu, gdy jeden z moich adiutantów urządził wieczór kawalerski.

* * *

Rohan pomyślał, że jeśli jakikolwiek klub ze striptizem można było uznać za elegancki, to z pewnością właśnie ten. Niemniej raczej nie był znawcą. Pierwszy raz w życiu odwiedził podobny przybytek, w którym ludzkie kobiety odsłaniały swą nagość ku wielkiej furii Kościola. Dlaczego więc zgodził się towarzyszyć swym ludziom na wieczorze kawalerskim dla uczczenia

nachodzącego ślubu Knuda? Na to pytanie łatwo było odpowiedzieć. *Dlatego, że najnowszy kochanek mojej żony jest w wieku naszej córki, a to już po prostu zbyt wiele.* Zatem jego obecność w klubie „Kosmos” miała być... właściwie czym? Rewanżem? Jakie było prawdopodobieństwo, że Juliana się o tym dowie? Bardzo małe. A że ją to obejdzie? Jeszcze mniejsze.

Zaczerwienił się, gdy prawie naga szatniarka, o piersiach i wzgórku łonowym osłoniętych ozdobioną klejnotami siateczką, wzięła od nich płaszcz i wdzięcznym gestem szkolonej kurtyzany skierowała ich do uśmiechniętego szefa sali, przystojnego mężczyzny o łopatowatej brodzie i połyskiwanych, czarnych oczach, który zaprowadził całą grupę przez wysokie dwuskrzydłowe drzwi do właściwego klubu. Światło w głównej sali było przygaszone, ale ukryte w zagłębieniach reflektory rzucały blask na obracające się powoli platformy pełne pięknych, nagich kobiet. Owe podwyższenia ukształtowane na podobieństwo spiralnych galaktyk, rolę gwiazd grały zaś fałszywe diamenty. Rohan gapił się na zaokrąglone pośladki dziewczyn, zastanawiając się, jak będą wyglądały po całej nocy siedzenia na twardym podłożu. Między platformami znajdowała się scena z przezroczystego jak szkło materiału. Z samego jej środka sterczała niczym agresywny symbol kryształowa rura.

Kelnerki ubrane w takie same obszyte klejnotami siateczki jak szatniarka, czy raczej nimi przyozdobione, krążyły między stolikami, roznosząc napoje i potrawy. Rohan zauważył na przenoszonej oboktacy *brie en croûte* z wiśniami, a zapachy dobiegające z kuchni nie ustępowały tym, które znał z najlepszych restauracji w mieście. Tak jest, to z pewnością był luksusowy lokal, przeznaczony dla bogatych i szlachetnie urodzonych członków Szczęśliwej Pięćsetki. Jego uwagę przyciągnęła kolejna anomalia. Nie było tu żadnych obcych. Cały personel składał się z ludzi, co musiało być kosztowne. Rohan pomyślał, że w głębinach kuchni hajinowie i isanjo z pewnością trudzą się jako pomywacze, niemniej lokal przedstawiał gościom agresywnie ludzki obraz.

John Fujasaki zarezerwował dla nich okrągłą łóżę przy samej scenie. Czełało już tam wiadro z lodem, a w nim butelka szampana. Gdy wszyscy siadali na miejscach, szef sali otworzył butelkę z cichym trzaskiem i napełnił im kieliszki. Fotele obito pluszową neuronalną tkaniną, która wy czuła napięcie w krzyżu Rohana i zaczęła masować to miejsce. Unoszący się w powietrzu holoblat wyświeślał zmieniający się nieustannie obraz spektakularnego zjawiska astronomicznego. Rohan gapił się z fascynacją, jak wybuchająca supernowa próbuje pochłonąć jego kieliszek.

— Czerwienisz się, sir — wyszeptał mu do ucha John Fujasaki, pomysłodawca tego wypadu, tonem sugerującym śmiech.

— Nie jestem przyzwyczajony do widoku tak.. odsłoniętych kobiecych ciał — wyszeptał w odpowiedzi Rohan.

— Wybacz mi te słowa, ale powinieneś częściej wychodzić — rzekł mu na to John. Następnie odwrócił się, by odpowiedzieć na inną uwagę.

Rohan przyglądał się bąbelkom w swoim kieliszku, zastanawiając się, co pomyślałby młody adiutant, gdyby się dowiedział, że jego przełożony odwiedza mniej szanowane lokale w Pony Town, przeznaczone dla ludzi czujących pociąg do tego, co obce i egzoty czne. Uświadomił sobie, jak wielkim jest hipokrytą, gniewając się na niewierność żony, ale potem uciekł się do prastarej obrony: od mężczyzn oczekuje się, że będą chodzić na dziwki, ale kobieta nie powinna kłaść gniazda męża kukułczy mi jajami. Nie zabrzmiało to jednak przekonująco.

John stuknął łyżką w kieliszek. Młodzi mężczyźni ucichli i Fujasaki wstał.

— Za Knuda. Ci z nas, którym udało się uniknąć stanu małżeńskiego, myślą, że oszalał, a ci, którzy przyjęli owe więzy, są podobnego zdania. Niemniej dzisiejszego wieczoru zapomnimy o takich troskach i urządzimy mu stylowe pożegnanie. Wznoszę toast za Knuda i za ostatnią noc jego wolności. Oby okazała się godna zapamiętania! — zawołał John.

Wokół stolika rozległy się krzyki. Stukano się kieliszkami, opróżniano je i napełniano na nowo. Knud się uśmiechał, ale w jego oczach pojawił się cień niepokoju. Nakrył kieliszek dłonią.

— Nie przesadzajcie, dobra? Chciałbym być jutro we w miarę dobrej formie.

— Spokojnie, Knud — uspokoił go Franz. — Jesteś z nami.

— To właśnie mnie martwi.

Kelnerka przyjęła od nich zamówienia. Alkohol nie przestawał się lać. Rohan niespodziewanie pomyślał o stopie inflacji w układzie Wasua i przeszedł od szampana do burbona. Zaczęła grać orkiestra i na scenę wychodziły kolejne dziewczyny w rozmaitych pomysłowych kostiumach, które następnie zrzucały z siebie w rytm pulsującej muzyki. Wszystkie dziewczyny były bardzo... Rohan zastanowił się nad odpowiednim słowem i zdecydował się na „giętkie”. Niemal wszystkie stoliki były już zajęte. Mężczyźni zdjęli płaszcze i poluzowali kołnierzyki oraz krawaty. Ich twarze lśniły od potu. Dziewczyny siadały im na kolanach i przeczesały włosy palcami o długich paznokciach. Szum prowadzonych rozmów brzmiał basowo i pierwotnie.

Kwintet dziewczyn tańczył na scenie, śpiewając starego marsza Floty Kosmicznej z nowymi, interesującymi słowami. Skoczna muzyka sprawiła, że Rohan najpierw zaczął nucić, a potem śpiewać głośno. Irytowało go, że dziewczyny nie potrafią utrzymać rytmu. Spóźniały się. Zaczął dyrygować z wigorem i poczuł, że jego łokieć w coś uderzył.

— Ostrożnie! — zawołał Fujasaki. Na jego spodniach pojawiła się wielka wilgotna plama.

— Jest pijany — zauważył ktoś niewyraźnym głosem.

— I co z tego? — odparł Franz. — Wszyscy jesteśmy pijani.

— Tak, ale on jest kanclerzem. Co, jeśli... — zaczął Bret, nowy adiutant.

— Spokojnie. Regularnie sprawdzają lokal i wyrzucają prasę — zapewnił John.

— Ehe, Bret, spokojnie. Bawimy się! — zawołał Rohan. — Świetnie się bawię. Jestem... jestem bardzo zabawny.

Pięć pań schodziło już ze sceny, prowokacyjnie kręcąc zgrabnymi tyłeczkami.

— Dokąd odchodzą? — zapytał Rohan. — Gdzie dziewczęta z tamtych lat?

— Za mężami poszły w świat — wyjaśnił Franz.

— Cóż za straszliwe marnotrawstwo — poskarżył się Rohan. — Musimy powołać ekspercką komisję. Dziewczęta zamieniają się w żony. To skandal. Trzeba przeprowadzić śledz...

Jego bełkotliwą przemowę przerwał werbel bębnow. W klubie zgasty wszystkie światła poza jednym reflektorem skierowanym na scenę. Do stożka światła wskoczyła dziewczyna. Jej skok szpagatowy był tak wysoki, że wydawało się, że leci, a długi płaszcz powiewający za nią wznaczał jeszcze tę iluzję.

Znowu zabrzmiała muzyka, prymitywny, niecierpliwy rytm. Kobieta stanęła twarzą do widowni, jej oblicze zakrywały zdobna maska oraz przybranie głowy.

Można było zobaczyć jedynie nienaturalnie sterczący podbródek oraz błyszczące oczy. Złapała za poły płaszcza długimi pazurkami, w które wprawiono emitujące światło diody, i zrzuciła go, odsłaniając zdobny kostium, odsłaniający znacznie mniej niż zwykle u striptizerek. Rohan zastanawiał się, czy pazurki wszyto w rękawiczki.

Zaczęła tańczyć. Nie wirowała szaleńczo ani nie przybierała sugestywnych póz. Poruszała się z zapierającą dech gracją. Jej ręce kreśliły misterne figury, a diody zostawiały w powietrzu wokół niej skomplikowane wzory. Spadały z niej kolejne warstwy ubrania. Za każdym razem tłum krzykiem wyrażał swą aprobatę, aż wreszcie kolejny element ześliznął się na podłogę, odsłaniając długi, jedwabisty ogon porośnięty gładkim, czerwono-białym futrem, który rozwinął się i okręcił wokół kobiety niczym tańczący wąż. Krzyki przerodziły się w ryk.

Tańcząca dziewczyna zbliżyła się do swych spoconych wielbicieli. Ręce wyciągały się ku niej na podobieństwo ślepych niemowląt poszukujących cycka, ale zawsze potrafiła się im wywinąć, chyba że trzymały kółce kredytowe. Te pozwalała wsuwać do aparatu kredytowego zdobiącego jej nisko zwisający pas. Rohan siedział sztywno, zaciskając dłonie na krawędzi blatu. Nakłaniał ją w myślach do zdjęcia maski. *Pokaż mi... pokaż.* Zbliżyła się do ich stolika. Młodzi mężczyźni pochyłali się nad blatem, wyciągając kółce niczym jakąś komercyjną metaforę seksu. Rohan nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Gapił się, gdy spadła kolejna warstwa, odsłaniając jasnokremowe oraz czerwone futro, porastające boki i brzuch oraz sterczące jak grot włócznie między piersiami. Gapie westchnęli. Głośno.

John osunął się na ścianę łoża.

— Na święty napletek papieża! — wydyssał.

Muzyka przyspieszyła. Z koniuszków długich pazurków tancerki sypały się skry. Klejnoty i dzwoneczki na masce oraz przybraniu głowy pulsowały w histerycznym rytmie. Kobieta wirowała coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie kolejnym wysokim skokiem wróciła na środek

sceń. Szeroko rozstawiła nogi i położyła dłonie na piersiach. Następnie uniosła je powoli, zdjęła maskę i przybrała głowę, po czym odrzuciła je na bok. Wyglądała obco, lecz jednocześnie znajomo. Rohan pożałował wzrokiem jej rysy. Małe, perkaty noski o rozwartych szeroko nozdrach oraz spiczaste uszka sterczące ze splątanej, kremoworudej czupryny. Z ich koniuszków wyrastały kosmyki włosów. Kocie, szmaragdowozielone oczy.

— Obca — odezwał się Bret. W jego głosie odraza mieszała się z pożądaniem.

Ciemność.

Zapalono światła. Scena była pusta. Przy stoliku zaczęły się ożywić rozmowy.

— Chirurgia kosmetyczna?

— Nie. To na pewno jedna z tych półkwi cara.

— Myślałem, że zabilimy wszystkich.

— Powinniśmy byli to zrobić. Są odrażający.

— E tam. Zgaś światło, zamknij oczy i wyobraź sobie, że to egzotyczna bielizna — sprzeciwił się ze śmiechem John.

Rohan miał wrażenie, że sala rozszerza się i kurczy na przemian. Serce tłukło mu w piersi. Dyszał szybko. Nagły wzwód naciskał mu na rozporek. Wszedł chwiejnym krokiem z łoża.

— Sir?

— Nic ci nie jest?

— Dokąd idziesz?

Nie odpowiedział.

* * *

— Chwileczkę — sprzeciwił się Tracy. — Krzyżówka człowieka z cara? Nic takiego nie istnieje. Po pierwsze, to nielegalne. — Młody oficer wskazał palcem na hajińską kelnerkę. — A po drugie, nasza aparatura może być zgodna, ale nie ma mowy, żebyśmy spłodzili potomstwo.

Rohan pogroził mu palcem.

— Ach, ale nie zapominaj, że cara byli mistrzami genetyki. Mieszali geny wszystkich znanych obcych gatunków na długo przed tym, nim na scenie zjawili się ludzie. Nas również chcieli dodać do tej mikstury i nie potrafili uwierzyć, że Liga mówi poważnie, gdy wprowadzono zakaz mieszania gatunków.

Tracy pociągnął łyk trunku. Wiedział, że cara nie znali pojęcia fizycznej normy. Przystosowywali swe ciała do wymogów sytuacji, a pleć zmieniali swobodnie. Przez tysiąclecia kolekcjonowali materiał genetyczny wszystkich spotkanych gatunków, mieszały go i manipulowali nim. Łatwo im było osiągnąć ów cel, ponieważ spędzali życie na pokładach ogromnych statków handlowych, wędrujących między układami planetarnymi albo w sklepach zaopatrywanych

przez te statki. Dla cara największym grzechem było ujednoczenie. Wierzyli, że różnorodność to klucz do przetrwania i postępu. Ludzi przeraziło to tak bardzo, że czystość gatunku stała się dla nich obsesją. Niemal całkowicie zakazano badań w zakresie genetyki i manipulacji genami, w obawie, że cara mogą natrafić na coś, co pozwoli im zmienić podstawy ludzkiego genomu. Tracy powiedział to wszystko Rohanowi.

Starszy mężczyzna potrząsnął głową.

— Tak, ale to ich nie zniechęciło. Znaleźli ochotników, niezadowolonych ludzi wrogo nastawionych do Ligi, i stworzyli kilka tysięcy mieszaińców.

Raz po raz unosił szklankę i odstawiał ją z powrotem, tworząc koncentryczny wzór z wilgotnych kręgów na blacie.

— Dlaczego więc ta dziewczyna wyglądała tak oryginalnie? — zapytał Tracy. — Potrafili nadać potomstwu dowolny wygląd. Nawet nieodróżnialny od ludzi.

Rohan uniósł wzrok.

— Na tym właśnie polegał ich błąd. Powinni byli to zrobić, ale starali się ograniczyć wrogie reakcje, manipulując genami, by nadać dzieciom wygląd atrakcyjny dla ludzi. A przynajmniej atrakcyjny w ich wyobrażeniu. Zauważyli, że lubimy koty, i stąd wzięła się Sammy. — Nalał sobie burbona i pociągnął długi łyk — Nie zdawali sobie sprawy, że dzieci wydadzą się przez to jeszcze bardziej przerażające.

— Ale ty nie czułeś odrazy do... Sammy?

— Samarith, jej pełne imię brzmiało Samarith. Nie czułem, ale zawsze miałem egzotyczne upodobania. Wiedzieli o tym i wykorzystali to.

* * *

Rohan czuł niepokój w żołądku. Głowę wypełniał mu pulsujący ból. Przeszedł chwiejnie przez hol i wyszedł na ulicę. Zapach morza rozjaśnił mu nieco w głowie. Dotarł do narożnika budynku i zaczął szukać wejścia dla artystów.

Co ty wyprawiasz? — zawodziła racjonalna część jego umysłu.

— Chcę skomplementować jej taniec — odpowiedział na głos.

I zapytać o życie, jakie wiodła. Poznać jej myśli. Podzielić się marzeniami. Walić ją, aż zgłupieje.

Znalazł boczne drzwi i wszedł do środka. Woń potu oraz starego makijażu sączyła się tu ze ścian i unosiła w powietrzu. Rohan przełknął z wysiłkiem ślinę, starając się ominąć panel kontroli światła. Potem skręcił w korytarz i musiał wcisnąć się w ścianę, gdy obok przebiegała grupa zmierzających na scenę dziewczyn. Ocierały się o niego w ciasnym przejściu. Poczł przez ubranie ciepło ich niemal nagich ciał i jego wzwód znowu się nasilił. Znalazł następny korytarz,

ale wejścia strzegł wysoki mężczyzna z potężnym brzuszkiem. Rohan spróbował przemknąć się obok, ale wykiadało zablokował mu drogę. Na jego nagim bicepsie widniały wojskowe tatuaże. Mięśnie nadal się uwydatniały, choć pokrywała je warstwa tłuszczu. Wygolona głowa mężczyzny lśniła w blasku sufitowych lamp.

— Dokąd się wybierasz?

— Chciałem się zobaczyć z młodą damą, która właśnie skończyła występ.

— Ty i cała reszta arystokratów... — Mężczyzna spojrzął na krocze Rohana. — Którzy myślą tylko chujem.

Rohan wytrzeszczył oczy.

— Mój dobry człowieku, nie możesz się do mnie zwracać w ten sposób.

— Pewnie, że mogę. A jeśli chcesz się zobaczyć z Sammy, to będzie cię kosztowało.

Wysunął biodra do przodu, demonstrując kredytomat. W wykonaniu tancerek robiło to zupełnie inne wrażenie. Rohan zawahał się, ale przypomniał sobie łobuzerską buzię, odpiął kolec i zapłacił.

— Gdzie mogę ją znaleźć? — zapytał.

— Podążaj za swoim kutasem. Widzę, że całkiem nieźle sprawdza się jako różdżka.

Mężczyzna odsunął się na bok i Rohan ruszył wzdłuż korytarza, zaglądając do wszystkich kolejnych pokoi. Otwierając i zamykając drzwi, słyszał chichoty oraz parę lubieżnych zaproszeń. Znalazł ją w piątym pokoju. Siedziała za toaletką, odziana w ciemnozielony szlafrok. Wysunęła dolną szufladę i wsparła na niej stopę. Szlafrok się rozchylił, odsłaniając zgrabną nogę prawie do biodra. Dymek zzymanego leniwie w dłoni styma owijał się wokół jej spiczastych uszu niczym aureola. Obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem zdumiewająco zielonych, kocich oczu.

— Ile zapłaciłeś?

— Nie rozumiem.

— Ile zapłaciłeś Dalowi, żeby cię wpuścił?

— Trzysta.

— Daleś się nabrać. Zrobiliby to za połowę tej sumy.

— Zapamiętam to sobie na następny raz.

Samarith zapaliła nowego styma i przyjrzała się Rohanowi. Przesząpił nerwowo z nogi na nogę.

— Nie chcesz się dowiedzieć, po co tu przyszedłem? — zapytał po chwili.

Opuściła wzrok ku jego kroczu.

— Dostrzegam całkiem sporą wskazówkę. — Wzwód ustąpił. — Auć, zepsułam ją — wycedziła.

— Chciałem cię zaprosić na kolację — oznajmił Rohan.

— Zaczynamy od zalotów? A to ci odmiana. — Wstała i zagasiła styma. — W Pony Town jest całkiem niezły lokal, otwarty do późna.

— Chciałem cię zabrać do Francuskiej Piekarni.

To była najlepsza restauracja w stolicy. Sądził, że w ten sposób jej zaimponuje.

Roześmiała się.

— Okropny z ciebie idiota. Słodki, ale i tak idiota. — Wytrzeszczył oczy. — Lepiej, żebyś nie przyciągała uwagi.

— Dziś wieczór raczej ją przyciągałaś — odciął się Rohan.

— To jest lokal ze striptizem. Może i przychodzą tu tacy jak ty, ale to nie zmienia jego natury. Jeśli pokażesz się ze mną publicznie, to nie będzie dobre dla żadnego z nas. Swoją drogą, kim jesteś? Z którego zdegenerowanego szlacheckiego rodu się wywodzisz?

— Skąd wiesz, że pochodzę ze Szczęśliwej Pięćsetki?

— Och, daj spokój — odparła tonem przesyconym ostrą pogardą.

Pomyślał o swej pracy i związanym z nią stresem. Pomyślał o żonie, zimnej i odległej.

— Czy nie mógłbym dziś być po prostu Rohanem?

Przechyliła głowę na bok — uroczy widok — i przyjrzała mu się z uwagą.

— Zgoda — odparła łagodniejszym tonem. — Ja będę mówiła do ciebie „Han”, ty do mnie „Sammy” i na dzisiejszą noc zapomnimy, kim i czym jesteśmy.

— A co będzie potem? — zapytał Rohan.

— To zależy od tego, jakta noc się zakończy.

* * *

Rohan pozwolił, by Sammy wydawała polecenia hajińskiemu szoferowi, Hobbowi. Ani on, ani Hobb nie zdradzali słowem czy czynem, że znają tę okolicę. On jednak znał ją świetnie. Jego ulubiony salon masażu znajdował się tylko kilka przecznic stąd. Tam mężczyźni dzielający jego upodobania mogli zaznać smaku egzotyki. Lubił dotyk miękkiego futra oraz szorstkich poduszek dłoni, gdy masażystka isanjo łaskotała jego skórę i ugniatała mięśnie.

Nocą letni upał ustąpił i na dworze było przyjemnie. Ludzie, hajinowie, isanjo, tipońskie flety i śliniaki kłębili się na chodnikach, słuchając muzyków produkujących się na rogach ulic. Oddawali się grom zręcznościowym albo hazardowym — od szachów poprzez craps aż po niepojętą grę z użyciem patyków, w której pograżyła się grupka rozkołysanych fletów. W restauracjach wciąż zalegali goście. Kochankowie tulili się na ławkach w małym parku, a starcy kontemplowali statki startujące z kosmoportu Cristóbal Colón. Hobb otworzył przed nimi drzwi autolotu. Rohan wysiadł i poczuł pod stopami wibrację. Kolejny gwiazdolit wzbijał się ku niebu. Ogień buchający z silników był czerwonomarańczową blizną przesywającą niebo. Na

chwile niemalże zaćmił blaskm gławicy.

Długa karoseria i widoczna elegancja autolotu przyciągnęły sporo spojrzeń.

— Wezwę cię, gdy będziemy gotowi wyjść — rzekł cicho hajinowi Rohan. Hajin pochylił długą, kościstą głowę, odsłaniając żółtą grzywę między kólnierzem a kapeluszem. Rohan spojrział na Sammy. Miała na sobie obcisłe spodnie włożone w wysokie cholewki oraz jedwabny top w rozmaitych odcieniach zieleni i błękitu, zawiązany na interesujące sposoby, by układał się w fałdy i ciągnął za nią. Kremoworude włosy opadały jej na ramiona. Przyciągała spojrzenia.

Rohan miał trudności z oddychaniem.

— Gdzie chciałybyś zjeść kolację? — zapytał.

— Tam — odparła, wskazując na restaurację isanjo. Pełno w niej było doniczkowych drzew, między którymi rozwieszono sieci. Isanjo przemysłali po nich, trzymając się sznurów chwytymi stopami, dłońmi oraz ogonami. Jakimś cudem nic na ta cach się nie przechylało, nie ześlizgiwało się z nich ani nie spadało.

Usiedli na sznurowych krzesłach i kelner zsunął się po drzewie do ich stolika. Bloczek do zamówień zwiślał mu z szyi razem z kredy tomatem

— Co państwo wypiją? — zapytała. Kaganiec nadawał jego głosowi sepleniące brzmienie.

— Szampana — odparł Rohan.

— Właściwie to nie lubię szampana — odezwała się Sammy.

— Hmm. Przepraszam. W takim razie co byś chciała?

— Tequilę.

Kelner skierował na Rohana ciemne, szeroko otwarte oczy. Czerń tęczówek kontrastowała ze złotym futrem, nadając oczom niezgłębiony, przerażający obcy wyraz.

— Wypiję to samo co pani — rzekł Rohan, starając się przydać swym słowom nuty galanterii. Istota wskoczyła na drzewo, złapała się sznurów i oddaliła pośpiesznie.

— Jesteś pełen kurtuazji, tak? — zauważyła Sammy. — Czy w ogóle lubisz tequilę?

— Może być.

— A co pijesz w domu? — zapytała, wlepiając w niego spojrzenie szmaragdowych, kocznych oczu.

— Szampana, martini. W letnie miesiące. Czasem też piwo albo dżin z tonikiem. Do kolacji wino. Czemu pytasz?

— A jak często pijesz?

— Każdego wieczoru — wyznał, zanim zdążył się powstrzymać. — Po co to przesłuchanie?

Mówisz jak mój lekarz.

— Pijesz, żeby się odprężyć czy żeby zapomnieć? A może i jedno, i drugie?

— Traktujesz to zbyt poważnie. Piję, bo... lubię pić wieczorami. To wszystko.

Przy pomnił sobie jednak pewien wieczór sprzed pięciu tygodni, gdy słyszał perlisty śmiech Juliany flirtującej z młodym oficerem dzielącym ostatnio z nią łożo. Urznął się wtedy do nieprzytomności.

Obok stolika wylądował kolejny isanjo. Rohan poderwał się nagle, wyrwany z zamyślenia. Istota postawiła na blacie półmisek z sosem, w którym pływały kawałki chleba. Pikantna woń sprawiła, że pociekała mu ślinka, a oczy zaszczył łzami.

— Upiłeś się dzisiaj — rzekła Sammy i włożyła do ust kawałek chleba. — Inaczej nie przyszedłbyś za kulisy.

— Tak nisko oceniasz swój urok?

— Znacznie wyżej oceniam twoje poczucie tego, co wypada — odparła z ironią.

— Pewne masz rację — przyznał Rohan.

— Zatem czemu przyszedłeś?

— Bo jesteś piękna... a ja... czuję się samotny.

— I myślisz, że dwa ciała ocierające się o siebie w ciemności pomogą ci na to? — zapytała.

Uświadomił sobie z zawstyżeniem, że czuje ucisk w gardle. Przełknął z trudem ślinę.

— Czy to propozycja, młoda kobieto? — zapytał. Miał nadzieję, że jego ton jest równie lekki jak same słowa.

— Nie. Ty musisz ją złożyć. Zostało mi jeszcze trochę dumy. Niewiele, ale trochę.

— Uważasz swoje... hmm... zajęcia... za poniżające? — Wyraz pogardy i niedowierzania w jej zielonych oczach był ostry jak nóż. Odwrócił od nich spojrzenie. — No cóż, chyba właśnie odpowiedziałś na moje pytanie.

Sammy wzruszyła ramionami.

— To ta wasza oficjalna religia. Kobiety muszą być albo madonnami, albo ładacznicami.

— A którą z nich ty jesteś? — zapytał, próbując się odgryźć.

To był właściwy ruch. Uśmiechnęła się z aprobatą.

— Którą zechcesz.

— Och, raczej w to wątpię. Nie jesteś aż takuczny na.

Przyniesiono trunki. Sammy uniosła kieliszek i uśmiechnęła się do Rohana nad jego brzegiem.

— Jak na arystokratę, wcale nie jesteś głupi.

— Dziękuję. Jak na striptizerkę, wcale nie jesteś wulgarna.

Stuknęli się kieliszkami. Pociągnęła łyk. Nagle podenerwowany Rohan wypił wszystko jednym haustem.

— Wolniej, caballero. Bo będę musiała cię stąd wynieść.

— Mój szofer sobie z tym poradzi — zapewnił Rohan.

— Tak, ale nie złoży mi propozycji — odparła Sammy i wzięła w rękę menu. — Zamówimy

coś? Okropnie zgłodniałam.

* * *

Kochała się równie biegle, jak się rozbierała.

Rohan stoczył się w niej z westchnieniem i jękiem. Ciało nie przestawało mu drżeć. Podniosła się, kłękła okrakiem nad jego brzuchem i odgarnęła z twarzy grzywę włosów. Następnie przesunęła palcem wskazującym wzdłuż jego nosa i warg, pogłaskała jego szyję i pomasaowała brzuch. Rohan nadaremnie spróbował go wciągnąć. Zachichotała gardłowo. Jego penis spróbował zareagować, ale opadł pokonany.

Gdy wreszcie dotarli do jej mieszkania, położonego w głębi StickTown, gdzie skupiały się flety, pragnął jej tak bardzo, że zdarł z niej ubranie. Potem rozpiął niezgrabnie spinki, zerwał z siebie pasek, rozpiął rozporek, ściągnął spodnie i zwałił się na nią, nie poświęcając zbyt wiele czasu na grę wstępną.

Uniósł rękę i dotknął jej łobuzerskiej buzi.

— Wybacz. Zapewne nie było ci zbyt przyjemnie.

— Jestem pewna, że nie zabraknie ci czasu, by to nadrobić — odparła cicho. Pochyliła się i pocałowała go w usta. Jej język smakował wanilią z domieszką tequili.

Potarł dłońmi jej krocze, ale zatrzymał się nagle, gdy jego palce dotknęły krętych blizn, ukrytych głęboko pod jedwabistym futrem. Jak to możliwe, że nie poczuł ich przedtem? Za bardzo pogrążył się we własnej przyjemności, we wrażeniach przepływających przez jego ciało. Zamarła w bezruchu, spoglądając na niego.

— Co to? — zaczął.

— Byłam na Insham. — Cofnęła nagle dłonie, jakby to on wyciął jej jajniki. — Oczywiście, byłam jedną z tych, którym się poszczęściło — dodała twardym, rzeczowym tonem. — Lepsza kastracja niż śmierć.

Z jego ust popłynęły wytłumaczenia, powtarzające oficjalną wersję.

— To był postęp nadgorliwego admirała. Rząd nic... powstrzymaliśmy to, gdy tylko wieści dotarły do nas.

— Ale nie wcześniej, nim zabito trzy tysiące siedemset sześćdziesięcioro dwoje dzieci. Wiesz, ile ocalało?

Spojrzał na nią, na błysk w jej oczach i potrząsnął głową.

— Dwieście trzydzieścioro ośmioro.

— Znasz dokładną liczbę?

To było głupie pytanie, ale nie przychodziło mu do głowy nic innego.

— Och, tak

— Jak udało ci się...?

— Uratował mnie jeden z waszych żołnierzy. Mnie i garstkę innych dzieci. Pilnował żłobka i zastrzelił swych towarzyszy broni, którzy nie byli tacy... przeczuleni.

— Myślisz, że to był jedyny powód? — zapytał. — Może wiedział, że to niemoralne i barbarzyńskie. Nie możesz okazać naszemu gatunkowi trochę wyrozumiałości?

— Wasz gatunek to zaczął. — Zaciśnęła usta, jakby próbowała powstrzymać dalsze słowa. — Ale być może masz rację. — Przerwała, pogrążając się w jakimś wspomnieniu. — Zastanawiam się, co się z nim stało. Czy wasz rząd postawił go przed sądem polowym i stracił za niewykonanie rozkazu?

Rohan nie mógł już dłużej patrzeć jej w oczy. Odwrócił głowę. Poczł woń bzu, gdy jego nieogolony policzek przesunął się po jedwabistej poszewce.

— Nie. Wszystkim żołnierzom, a było ich sporo — dodał, próbując się bronić — którzy odmówili wykonania rozkazów, pozwolono odejść ze służby bez wpisów do akt.

— Cieszę się z tego. To byłoby straszne, gdyby zapłacił życiem za akt miłosierdzia.

Oboje milczeli przez długi czas.

— Nikt by nie ucierpiał, gdyby cara przestrzegali prawa.

Uśmiechnęła się i przesunęła palcem wzdłuż jego nosa.

— Gdyby go przestrzegali, nie byłoby mnie tutaj, a ty nie leżałbyś zaspokojony w moim łóżku.

Na to nie potrafił odpowiedzieć. Spróbował usiąść, żeby ją pocałować. Ulatwiła mu zadanie, kładąc się obok niego i ujmując w dłonie członka. Wsparła głowę na jego ramieniu, jej włosy laskotały jego podbródek, a oddech ogrzewał szyję.

— Nienawidzisz nas? — zapytał niepewnie.

— Cóż za głupie pytanie. — Przerwała. — Pewnie, że tak — Te słowa były dla niego jak cios. — Och, nie ciebie. Ludzi jako takich, ale nie ciebie osobiście. Ludzie to wredne, gwałtowne małpy i byłoby lepiej dla Galaktyki, gdybyście nigdy nie opuścili swojej skały. Ty chyba jesteś w porządku.

— Ty również jesteś w połowie człowiekiem.

— To znaczy, że jestem w połowie tak samo wredna. Powinieneś to sobie zapamiętać — dodała z lekkim chichotem.

— Zapamiętam — wymamrotał Rohan. Sen opadał mu na powieki, delikatnie jak płatki śniegu. Cofnął się sennie myślą do wieczoru, do szybkich kroków jej drobnych, wysoko sklepionych stóp i gry mięśni jej brzucha. Owe wspomnienia, w połączeniu z ciepłem jej skóry, sprawiły, że penis znowu mu stwardniał. Przypomnił sobie błysk światła w jej pazurkach. Niepokój przegnał senność.

— To były rękawiczki, prawda? Mówię o pazurkach. Wszylaś je w rękawiczki.

Miękkiej skóry jego penis dotknęło coś ostrego. Otworzył nagle oczy i spróbował sięgnąć wzrokiem za sterczący brzuch. Nic z tego. Wsparł się na łokciach. Dotyk przeszedł w ukłucia bólu.

— Cholera! — wrzasnął, ujrawszy wysunięte pazurki z wprawionymi w nie diodami. Ostre jak brzytwy koniuszki wpijały się w różową skórę szybko mięknącego członka.

— Nie. Są prawdziwe.

Spojrzał na nią. Wypełnił go strach. Schowała pazurki, a potem opadła mu na pierś. Jej włosy okryły ich oboje niczym płaszcz. Ujął w rękę jej dłoń i przyjrzał się palcom, chcąc sprawdzić, jak chowa pazurki. Zauważył, że końce mają zupełnie gładkie, ale wtedy pocałowała go z pasją, wsuwając język między jego zęby. Wzwód powrócił, wypierając z jego głowy wszelkie myśli o jej dziwnych dłoniach.

— Nie skrzywdzę cię, Han — wyszeptała, dotykając wargami jego ust. — Tyle przynajmniej mogę ci obiecać.

* * *

Przerażony Tracy wytrzeszczył oczy.

— My... to znaczy Flota Kosmiczna... zabiliśmy dzieci?

— Tak. Wszystkie oprócz garstki. — Rohan znowu sobie nalał. — Nie okłamałem Sammy, to naprawdę zaczęło się od przesadnie pobożnego, skrajnie nietolerancyjnego admirała. — Wzruszył ramionami. — I z szoku, który wstrząsnął Ligą, gdy wieści o rzezi się rozeszły, wynikło trochę dobrego. Prawa dotyczące obcych nieco złagodzone.

— Czy to dlatego cara zniknęli? — zapytał Tracy.

— Tak. Opuścili nas kilka dni po rzezi. Ich sklepy stoją puste, frachtowce unoszą się w przestrzeni, opuszczone i ogołocone, albo leżą jak wraki na różnych księżycach i planetoidach, jakby jakiś potężny sztorm wyrzucił je na brzeg. — Rohan rozejrzał się po barze z przesadną pijacką ostrożnością. Oparł się na blacie i wyszeptał Tracy'emu do ucha: — Mogą nadal ukrywać się wśród nas. Nic byśmy nie zauważyli.

Jego oddech cuchnął alkoholem.

Tracy poczuł mrowienie między łopatkami, jakby wymierzono weń wrogie spojrzenie albo nawet coś bardziej śmiertelności.

— To głupota. Kosmos jest wielki. Pewnie po prostu przeniesli się w jakieś inne miejsce. Opuścili nas. Wrócili na świat ojczysty. Nigdy go nie odnajdziemy.

— W czym? Porzucili swoje statki.

Tracy uważnie przyjrzał się posępnym pijakom, jowialnemu barmanowi oraz kelnerce. Czy za każdą z ich twarzy kryła się mordercza nienawiść?

Rohan podjął swą opowieść.

* * *

Na drugą miesięcznicę ich związku Rohan kupił Sammy złoty naszyjnik ze szmaragdami. Był masywny, przypominał egipską biżuterię ze Starej Ziemi. Jej smułka szyja niemalże ugięła się pod jego ciężarem. Rohan początkowo kupił naszyjnik dla Juliany, ale ona nigdy go nie nosiła, uważając, że jest ordynarny, odpowiedni raczej dla żony nowobogackiego kupca niż dla kobiety ze Szczęśliwej Pięćsetki.

— To znaczy, że dostaję resztki po twojej żonie? — zapytała Sammy z ironicznym uśmiechem.

— Nie... nie w tym... nie chciałem...

Położyła miękko dłoń na jego ustach, nie pozwalając mu jąkać się dalej.

— Nic nie szkodzi. Jest piękny i raczej odpowiedni. Dostałam też po niej męża.

Byli w jego małym domku myśliwskim w górach, ciesząc się rzadko tu oglądanym śniegiem. Sypialnię oświetlały jedynie buzujące na kamiennym kominku płomienie. Na dworze słychać było smętne zawrodożenie poruszającego drzewami wiatru, przypominające płacz kobiety.

Sammy usiadła i spłótła palce z jego palcami.

— Czemu się z nią ożeniłeś? Czy kiedykolwiek ci na niej zależało?

— Byłem zastępczym mężem. Jej narzeczony zginął razem z okrętem. Nie znaleziono ciała ani żadnych fragmentów. Okręt po prostu zniknął wraz z całą załogą. Po przepisany m okresie żaloby jej ojciec zwrócił się do mojego ojca. Byłem tylko nudnym liczykrupą. Nie miałem szans dorównać śmiałości kapitanowi Floty Kosmicznej.

— Opowiedz mi o ojcu. Czy on jeszcze żyje?

Mijały godziny. Opowiedział jej wszystko o swej rodzinie i o posiadłości w układzie planetarnym Grenadine. O siostrach. O młodszym bracie. O swych hobby, ulubionych książkach i upodobaniach muzycznych. Od czasu do czasu zadawała mu jakieś pytanie, ale przede wszystkim słuchała, wspierając głowę na jego ramieniu i głaszcząc go po piersi. Opowiedział o swej córce, Rohiesie, jedynej dobrej rzeczy, jaką dało mu małżeństwo.

Wyznał jej wszystko. Swe nadzieje i marzenia, wstydlive wspomnienia i najsłabsze pragnienia. Niczego nie osądzała, tylko słuchała. Jedyne ognie czasami sprzeciwiał się głośnym trzaskiem, gdy płomienie spotykały się z żywicą.

W ciągu następnego miesiąca pożądanie, jakie do niej czuł, przerodziło się w nałóg. Wychodził z pracy wcześniej i wracał do domu o świcie albo nie wracał w ogóle. Rozmowy trwały nadal. W przeciwieństwie do Juliany, Sammy sprawiała wrażenie szczerze zainteresowanej jego ekonomicznymi teoriami w takim samym stopniu, jak nazwiskiem jego dawnego nauczyciela

szermierki.

W niektóre wieczory nie mógł się z nią spotykać, ponieważ musiał towarzyszyć Julianie i Rohiesie na rozmaitych spotkaniach towarzyskich. Ostatnia noc zaczęła się podobnie, na pierwszym wielkim balu karnawału.

* * *

Ogromna sala balowa w rezydencji lorda Palaniego wyglądała tak, jakby jej ściany i sufit zniknęły, ustępując miejsca lśniący gwiazdom oraz różnobarwnym mgławicom. Wyglądało to spektakularnie i zarazem przerażająco. Goście skupiali się w centrum sali, unikając pozornej pustki otaczającej ich ze wszystkich stron. Utrudniało to zadanie tym, którzy naprawdę mieli ochotę zatańczyć. Lady Palani była wściekła. Świadczyły o tym jej zmarszczone nozdrza oraz zaciśnięte usta. Jedna z młodych panien Palani płakała. Jutro wszyscy będą plotkowali o katastrofie, jaką okazał się bal. Rohan wręczył swój pusty talerz hajińskiemu służącemu, który przechodził obok, a z tacy drugiego zwinął kieliszek szampana. Podszedł do niego gospodarz. Jego pociągła twarz przybrała wyraz jeszcze bardziej posępny niż zwykle.

— To... zdumiewające — rzekł Rohan, wskazując ręką na holograficzne efekty.

Palani pociągnął długi łyk szampana.

— Cena też była zdumiewająca, a goście są przerażeni. Ale one się uparły. — Potrząsnął ze smutkiem głową. — Nie sposób przewidzieć, jakie szalone pomysły mogą im przyjść do głowy.

Rohan trafnie odgadł, że lord mówi o lady Palani i ich pięciu córkach. Przywołało to wspomnienie rozmowy, którą odbył z Sammy przed zaledwie trzema dniami.

Spacerowali po Królewskim Ogrodzie Botanicznym. Sammy często przystawała, by dotykać kwiatów i wąchać je. Uwielbiał na nią patrzeć. Każdy jej gest był sonetem, każdy krok pieśnią. Pogłas kała delikatnie płatki róży i odwróciła się ku niemu. Ujął ją pod rękę, a gdy ruszyli przed siebie, wspomniął od niechcienia, że córka jego znajomego przebywa w dyskretnej klinice po bardzo publicznym i żenującym załamaniu nerwowym na pikniku z okazji Dnia Założyciela.

Spojrzała na niego. Do jej niezwykłych oczu powróciły błyski.

— *Dziwi cię to? Trzymacie swoje kobiety w zamknięciu i nie pozwalacie im na żadne sensowne zajęcia. Dziwię się, że więcej ich nie wariuje. Nie dajecie im żadnych tematów rozmów poza rodziną i plotkami. Nie mogą robić nic poza planowaniem przyjęć, chodzeniem na nie, prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci.*

— *Taki zakres obowiązków wykończylby większość mężczyzn — odparł Rohan, nieudolnie próbując obrócić to w żart. — Oto dowód, że jesteście silniejszą płcią, Sammy.*

— *Na Ziemi, przed Ekspansją, kobiety były prawniczkami i lekarkami. Służyły w wojsku, mogły zostać przedsiębiorcami, a nawet prezydentami.*

— Ale kosmos to nieprzyjazne środowisko, a kolonizacja większości planet jest trudna i niebezpieczna. Kobiety są najcenniejszym, co posiadamy. Mężczyzna może wyprodukować miliony plemników, ale potrzeba kobiety, by wydać na świat dziecko.

Rohan podniósł głos i zdyszał się wyraźnie. Dziwił się, dlaczego z taką pasją broni systemu. I czemu w ogóle wspomniał o córce De Vargi? Czyżby bał się o własną Rohiesę?

— Ale te dni już minęły. Wasz konserwatyzm zabija Ligę, Han. Cara mieli rację przynajmniej w jednym. Kto się nie zmienia i nie adaptuje, ten ginie.

— Rohan?

— Słucham? Ach, przepraszam. Zamyśliłem się.

— Mówiłem o stopie inflacji — powtórzył Palani.

— Wygląda paskudnie, ale nie psujmy sobie wieczoru takimi rozmowami — odparł Rohan i oddalił się.

Zarzykował ukradkowe spojrzenie na chronometr wprawiony w rękaw eleganckiej marynarki. Czterdzieści minut. Miał wrażenie, że trwało to całą wieczność. Jeszcze kilka takich okresów i będzie mógł się wymknąć, by dołączyć do Sammy na ulicznej paradzie w Pony Town. Wyobraził sobie woń chili i pieczonego mięsa, ekspresyjne dźwięki dobywające się z instrumentów ulicznych muzyków, ciała poruszające się z szalonym zapamiętaniem przy akompaniamencie pierwotnych rytmów oraz brzęku gitar. Zrodzona w jego wyobraźni muzyka zderzała się pięknymi, ale chłodnymi dźwiękami orkiestry ukrytej we wnętrzu na górze. Rohan odstawił kieliszki i ruszył w stronę drzwi. Do diabła z tym, nie mógł już czekać dłużej.

Juliana zagroziła mu drogę. Cekiny, ręcznie naszyte na jej obcisłą suknię, błyszczały, kiedy się poruszała, w echu blasku diamentów zdobiących jej ciemne loki.

— Chyba jeszcze nie wychodzisz?

— Hmm... wychodzę.

— Opuszczasz mnie dla swojej kurwy?

Podniosła głos, jej słowa zaczęły się przebijać przez majestatyczne tony muzyki.

— O czym ty gadasz? — Wiedział, że to się nie uda. Był beznadziejnym kłamcą. Uciekł się do błagania. — Na Boga, nie zarządzaj sceny.

— Czemu by nie? Ty robisz z siebie widowisko ze swoją obcą putą.

— Skąd...

— Żona Breta dowiedziała się od niego. Powiedziała matce. Teraz mówi o tym całe Campo Royale. Stałeś się pośmiewiskiem.

— Zapewniłaś mi to już przedtem, że swym korowodem kochanków! — odwarknął. Wreszcie powiedział na głos to, co leżało między nimi, powodując irytację niczym piasek wypełniający żołądek

— Oni przy najmniej są ludźmi.

Wszyscy zaczęli się na nich gapić. Rohan rozejrzał się wkoło, spoglądając na zaciekawione twarze poruszających się bezgłośnie służących i zdobne stroje. Miał wrażenie, że zaciskają się wokół niego stalowe dłonie, nie pozwalając mu ruszyć się z miejsca. Zawodzenie gitar na ulicach Starego Miasta wydawało się mu ciche i odległe.

— Nie — odparł. Nie wiedział, co właściwie odrzuca, ale robił to z przekonaniem.

Schodząc po krętych kryształowych schodach, słyszał głos wykrzykującej za nim obelgi Juliany.

* * *

Znalazł Sammy na ulicach, przy ozdobionych wstążkami straganach, na których sprzedawano biżuterię, ceramikę, perfumy i chustki. Hałas głosów mieszał się z muzyką, skwierczący tłuszcz spływał na deski z pieczonych mięs. Przytulił się do niej, wciskając swą głowę w jej bark.

Odgarnęła delikatnie jego włosy.

— Co się stało?

— Juliana wie. Oni wszyscy wiedzą. Każą mi się ciebie wyrzec. — Zakrzuszył się. — A ja nie mogę tego zrobić. Nie mogę.

— Chodź — odpowiedziała. Ujęła go za rękę i poprowadziła przez kłębiące się tłumy. Tutaj ludzie i obcy mogli razem tańczyć, ucztować, a być może nawet zakochiwać się w sobie nawzajem.

Zaprowadziła go do swojego mieszkania i przygotowała mu drinka. Przełknął go jednym haustem i dopiero potem uświadomił sobie, że smak był dziwny. Pokój zaczął się rozszerzać i kurczyć rytmicznie.

— Przykro mi, Han. Żałuję, że nie mogliśmy spędzić razem trochę więcej czasu.

Jej głos niósł się echem, jakby docierał z bardzo daleka. Potem zapadła ciemność.

Wracając do świadomości, poczuł najpierw chłód pod gołymi plecami, pośladkami i nogami. Leżał na zimnej metalowej powierzchni. Wiedział, że jest nagi i marznie, a wnętrznościami targają mu mdłości. Poczuł urękawicznione dłonie dotykające jego ramion, a potem ukłucie igły. Następnie usłyszał głos Sammy, szepczący uspokajające słowa. Jej dłoń pogłaskała go po włosach. Znowu zapadł w ciemność.

Następnym, co pamiętał, był jasny punkcik blasku, świecący mu prosto w oko. Punkcik przesunął się z prawego oka do lewego, a potem zgasł. Światło niemal go oślepiło i gdy próbował potem skupić wzrok, widział tylko koncentryczne, niebiesko-czerwone kręgi. Później poczuł mocny ucisk na końszki palców. Ponownie go ukłuto i ciemność wróciła.

Kiedy się ocknął, był w mieszkaniu Sammy. Leżał na łóżku pozbawionym materaca i pościeli.

Wstał z wysiłkiem i zachwiał się na nogach. Powieki mu się lepiły. Po chwili wróciły chaotyczne wspomnienia. Spojrzał na wewnętrzną powierzchnię swego łokcia i zobaczył małą, czerwoną kropkę, przypominającą ukąszenie stalowego owada. Jego ubranie zwalono na stojące w kącie pokoju krzesło. Sprawdził kieszenie i przekonał się, że są puste. Klucze, portfel i komunikator zniknęły. Zabrali nawet grzebień i chusteczkę z wyszytym monogramem.

— To była tylko kurwa i złodziejka — stwierdził, wypróbując brzmienie tych słów na języku. Wzdrygnął się, usłyszawszy nieznanome tony wypływające z jego gardła. Lekki baryton zmienił się w głęboki bas. Gardło go bolało, a w ustach miał sucho jak na pustyni. Dlatego właśnie jego głos brzmiał tak dziwnie.

Nacisk na pęcherz zmusił go do pójścia do łazienki. Gdy się załatwiał, zaczęło do niego docierać, że zabrano stąd wszelkie ślady po Sammy. Nie było szczoteczki do zębów, grzebienia ani przyborów do makijażu. Zniknęła nawet buteleczka delikatnych perfum, którą jej kupił. Jeśli jednak było to tylko zwykłe oszustwo, dlaczego zwlekała tak wiele miesięcy i spotykała się z nim tyle razy, nim go obrabowała? Dowłół się do zlewu, by umyć ręce oraz twarz, i poderwał się nagle, ujrawszy odbicie w lustrze.

Patrzył na niego nieznamy.

Oczy gapiące się na niego z przerażeniem były teraz jasnoszare. Włosy miał ciemne i proste, a nie rude i kędzierzawe. Czoło zrobiło się znacznie wyższe, ponieważ te obce włosy najwyraźniej szybko cofały się ku karkowi. Skóra zdecydowanie mu pociemniała. Nos był większy i nieco kartoflowaty na końcu. Uszy przylegały do czaszki. Prawdziwe miał odstające. Opuścił wzrok. Brzuch mu urósł, zniknęło też znamię na lewym biodrze. Powłół się z powrotem do toalety. Wymiotował tak długo, aż żołądek opróżnił mu się całkowicie.

Wrócił z jękiem do zlewu, by przepłukać usta i napić się wody. Potem spojrział na ręce. Ślubna obrączka i wielki sygnet z rodzinnym herbem zniknęły. Znowu poczuł skurcze w żołądku, ale zdołał powstrzymać wymioty. Wrócił do sypialni i zaczął się ubierać drżącymi rękami. Przybrał na wadze i nie mógł dopiąć spodni. Z koszulą mu się udało, ale rozciągnęła się tak bardzo, że pod guzikami przeświecała biała skóra.

Wyszedł z sypialni. Salon również był opustoszały. Nic nie świadczyło o tym, że ktoś tu kiedyś mieszkał. Pod wpływem impulsu sprawdził kuchnię. Nie było w niej naczyń, sztućców ani nic do jedzenia. Tutaj wyraźniej poczuł lekką woń środka odkażającego, jakby wymyto nim wszystkie powierzchnie.

Zszedł na dół i znalazł się na ulicy. Zatrzymał się i zamrugał, oślepiiony blaskiem słońca. Stracił noc. Potem zdał sobie sprawę z parnego upału. Pot zbierał mu się pod pachami i spływał po bokach. Był środek lata. Kiedy spotkał się z Sammy po wyjściu z balu, była chłodna, jesienna noc. Dobry Boże, stracił wiele miesięcy!

Musiał wrócić do domu. To wydawało się jednak zadaniem o monumentalnej skali. Nie miał pieniędzy, nie miał komunikatora ani żadnego dowodu na to, że rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. Nie miał nawet swej twarzy. Pomyślał, że Pony Town dzieli pewnie ze dwadzieścia mil od Gór Kasładowych i jego rezydencji. Nie sądził, by zdołał przejść na piechotę choć jedną milę, nie wspominając już o dwudziestu. Nie będzie jednak mógł być tego pewien, dopóki nie spróbuje. Oddalił się od budynku. Choć starał się nie oglądać za siebie, zrobił to kilka razy, nim tynkłososiewej barwy zniknął wreszcie za innymi zabudowaniami.

Po dwóch godzinach stopy przesywały mu niezliczone ukłucia bólu. Czuł też pod podeszwą wilgoć wypływającą z pełniętego pęcherza. Zobaczył świecącą tarczę symbolizującą komisariat i uświadomił sobie, że jest idiotą. Porwano go, napadnięto i chirurgicznie zmieniono jego wygląd. Policja mu pomoże. Zadzwonią do jego domu, Hobb przyleci autolotem i zabierze go od tego wszystkiego. Potem ogłosi się pościg za Sammy. Rohan przełknął smak żółci. To niefortunne, ale nieuniknione. To stworzenie zasłużyło sobie na podobny los. Wszedł do budynku.

— Chcę złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa — oznajmił dyżurnemu sierżantowi.

Mężczyzna nawet nie uniósł wzroku, a tylko podsunął mu tablet.

— Napisz tu wszystko i przynieś mi go, kiedy skończysz.

Kiedy Rohan wymienił z arystokratycznym akcentem swe nazwisko i tytuł, sierżant zainteresował się znacznie bardziej. Przymrużył podejrzliwie powieki, przyglądając się jego niedopasowanemu ubraniu, ale zaproponował mu kawę i wodę. Jeśli dziwny gość rzeczywiście pochodził ze Szczęśliwej Pięćsetki, niedobrze byłoby go obrażać.

Rohan dał się ugłaskać. Usiadł na krześle i spisał relację ze swych przeżyć. Przyniesiono mu napoje, a dyżurny sierżant przekazał raport przełożonym. Po kilku minutach zjawił się kapitan. Podeszedł do Rohana i stanął przed nim, a potem zawołał sierżanta, oglądając się przez ramię.

— Nie interesujesz się polityką, Johnson? To nie jest kanclerz.

— Jak już napisałem w swym raporcie, zmieniono mój wygląd — odezwał się Rohan.

— Przed chwilą rozmawiałem z biurem kanclerza. Według Johna Fujasaki, jego asystenta, *conde* jest na spotkaniu z premierem. A teraz zmiataj stąd i spróbuj nabrać kogoś innego.

Rohan gapił się na oficera, próbując przetrwać jego słowa. Potem dwóch krępkich policjantów wyprowadziło go z budynku.

Panika opadła mu na pierś niczym kamień. Zacerpnął z wysiłkiem tchu. Stał na chodniku, blokując ruch, i gapił się na komisariat. Po chwili wznowił powolny marsz w stronę domu.

Zbyt ciasny wieczorowy strój noszony w ciągu dnia przyciągał zdziwione spojrzenia. Rohanowi nie pomagał też fakt, że utykał. Gdy hajiński goniec spojrział na niego z większą sympatią, Rohan zebrał się na odwagę i podeszedł do obcego.

— Przepraszam. Okradli mnie i muszę zadzwonić. Czy mógłbyś mi pożyczyć komunikator? Zapłacę ci, gdy tylko uzyskam dostęp do pieniędzy.

Hajin wręczył mu urządzenie.

— Oczywiście. — Stworzenie uniosło głowę. Grzywna opadała mu na oczy. — Nie musisz mi płacić.

Nagła dobroć pośrednika kłozmaru sprawiła, że oczy zaszyły mu łzami.

— Dziękuję — wykrztusił przez zaciśnięte gardło. Przyjął komunikator i otworzył prywatne połączenie z Ministerstwem Skarbu. Odpowiedział mu John.

— Biuro kanclerza. Mówi Fujasaki.

— John — odezwał się Rohan. — John, posłuchaj. Przeżywam kłozmar. Chyba...

— Kto mówi?

— Jestem Rohan. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie...

Połączenie przerwano. Otepiały Rohan oddał komunikator hajinowi.

— Dziękuję — rzekł odruchowo. Tych, którzy stali niżej, powinno się traktować z szacunkiem.

Odwrócił się i ruszył w dalszą drogę.

* * *

Dotarłszy do domu, nawet nie próbował wyjaśniać sytuacji kamerdynerowi. Odepchnął starego hajina na boki wbiegł na górę po krętych schodach, dysząc ciężko. Słyszał za sobą zaniepokojone krzyki. Przemknął przez garderobę Juliany, pełną luster i inkrustowanych złotem powierzchni. Służąca isanjo przycisnęła do piersi znięta suknię balową. Gapiła się na Rohana, otwierając szeroko oczy ze strachu.

— Gdzie ona jest? Gdzie moja żona?

Stworzenie wróciło do swej obcej natury i wspięło się na zasłony, kryjąc się na karniszu. Wielkie, złote oczy skierowało ku sypialni.

Rohan wtargnął do środka. Pierwsze, co zauważył, to szerokie plecy, białe i gołe. Barki zdobiło kilka piegów. Mężczyzna wspierał się na przedramionach, poruszając tłustym tyłkiem w prastarym tańcu.

Z kłębowiska poduszek dobiegały ciche kobiece krzyki.

Juliana otworzyła oczy, spojrzała na Rohana i wydała z siebie swój przenikliwy wrzask. Mężczyzna, który ją obrabiał, chrząknął i podniósł się.

— Co to, do licha! — ryknął i Rohan wreszcie ujrzał jego twarz.

Swoją twarz.

* * *

Policja przybyła i zabrała „szaleńca”. Próbowałem wszystko wytłumaczyć. Uświadomić im, że cara umieścili swego agenta w samym sercu rządu. Nie chcieli mnie słuchać. Pokazywałem im artykuły mówiące, że mój sobowtór wysyła pieniądze kompaniom, o których wiedziałem, że służą obcym jako przykrywkę. Audyt mógłby ujawnić, że owe sumy zniknęły, skierowane w jakieś inne miejsce, ale nikt nie chciał mnie słuchać. W końcu sobie uświadomiłem, że jeśli chcę, by kiedykolwiek mnie wypuścili, muszę zaprzestać wysuwania oskarżeń. Gdy tylko odzyskałem wolność, skierowałem się na światy zewnętrzne, by opowiadać swoją historię ludziom takim jak ty. — Podniósł się chwycenie. — Jestem Rohan Danilo Marcus Aubrey, *conde de Vargas*, i zaklinam cię, zrób coś! Zawiadom swych przełożonych. Ostrzeż ich przed niebezpieczeństwem!

To płomienne wezwanie najwyraźniej wyczerpało resztkę sił pijaka. Osunął się ciężko na krzesło i głowa opadła mu na pierś.

Zniesmaczony swą łatwowiernością i sumą zapłaconą za butelkę Tracy odsunął się gwałtownie od stolika. Zgrzyt nóg krzesła o podłogę wyrwał Rohana, czy jak tam naprawdę nazywał się pijak, z osłupienia. Mężczyzna beknął i uniósł głowę.

— Co...?

— Niezłe. Ale przekręt. W ten sposób on... — Tracy wskazał kciukiem na barmana. — ... sprzedaje więcej gorzały, a ty pijesz za darmo.

— Co...? — powtórzył cwaniaczek

— *Conde de Vargas* jest premierem. Drugim człowiekiem po cesarzu. — Tracy wpisał to nazwisko do komunikatora wszytego w kieszeń jego marynarki. — To jest prawdziwy Rohan.

Podsunał tamtemu komunikator pod nos, by pokazać mu zdjęcia.

Pijak machnął ręką, wskazując w przybliżeniu na własną twarz.

— Już ci mówiłem. Ukradli mi twarz, życie... żonę... sprawił, że znowu go pokochała, czy może pokochała go po raz pierwszy.

Tracy potrząsnął głową i ruszył ku drzwiom.

— Zaczekał! — zawołał za nim mężczyzna. Młody oficer obejrzał się za siebie i zapijaczona Szeherazada obrzuciła go błagalnym spojrzeniem. — Obowiązki każą ci podróżować po całej przestrzeni Ligi. Gdybyś ją kiedyś spotkał, powiedz jej... powiedz jej... — Głos miał ochrypliwy od nieprzelanych łez oraz nadmiaru alkoholu. — Nigdy już nie widziałem Sammy i muszę... muszę... — Rozplakał się. — Kocham ją — dokończył. — Tak bardzo ją kocham.

Zażenowanie, litość i furia walczyły w nim o prymat. Tracy wybrał gniew.

— To było świetne — skwitował, klaszcząc powoli.

Młody oficer wyszedł w ciemność. Od zimnego powietrza przejaśniło mu się w głowie, ale nadal był mocno pijany. Wbił spojrzenie w odległą lunę kosmoportu. Czy powinien spełnić swą

groźbę? Zdezertrować? Miał dopiero dwadzieścia jeden lat. Czy warto było ryzykować szubienicę, by uciec od rzucanych od niechcienia obelg i małostkowego lekceważenia? Uświadomił sobie, że z wielką łatwością mógłby się upodobnić do tego żalostnego pijaka z baru, opowiadającego fantastyczne historie każdemu, kto postawi mu flaszkę.

Ocaliłem dziedziczkę tronu przed skandalem, który mógł wstrząsnąć Ligą. Połączyła nas skrywana miłość. Wiem, że infantka Mercedes de Arango kocha mnie, syna krawca.

Jego opowieść była jednak prawdziwa, w przeciwieństwie do stęku bzdur, jakim przed chwilą go uraczono.

Ale czy twoja opowieść nie jest równie fantastyczna?

Nie, historia opowiedziana przez Rohana, czy jak tam naprawdę się zwał, nie mogła być prawdziwa. W przeciwnym razie on, Tracy Belmanor, podporucznik Imperialnej Floty Kosmicznej, poznał przed chwilą tajemnicę, która mogła nie tylko wstrząsnąć Ligą, lecz również ją zniszczyć. Zajrzał podejrzliwie w głębokie cienie zaułka po lewej, ale nie wypatrzył tam nic poza wielką sylwetką pojemnika na śmieci. Co jednak, jeśli cara rzeczywiście ukrywali się wśród nich, obserwując, słuchając i czekając? Co, jeśli dojdą do wniosku, że muszą go uciszyć?

Tracy zerwał się do biegu. Nie zatrzymywał się, dopóki nie wrócił na okręt. Zewnętrzne drzwi śluzu się zamknęły i oparł się, dysząc, o gródź. Za wykonaną ze stali i syntetycznych żywic barierą kadłuba panika go opuściła. Cóż za głupota. Wszystko to było kłamstwem. Sammy nie istniała. Cara nie ukrywali się wśród nich. Na szczycie piramidy władzy nadal stali ludzcy mężczyźni.

To była tylko bajka.

Przetłumaczył Michał Jakuszewski

JIM BUTCHER

Bombowe laski

(BOMBSHELLS)

Autor bestsellerów „New York Timesa”, najlepiej znany z cyklu Akta Dresdena opisującego przygody Harry’ego Dresdena — maga do wynajęcia, zmagającego się z mrocznymi istotami świata paranormalnego. Stał się on jednym z najpopularniejszych fikcyjnych bohaterów XXI wieku, a powieści doczekały się nawet serialowej ekranizacji. Cykl obejmuje pozycje: *Front burzowy*, *Pełnia księżycy*, *Upiorne zagrożenie*, *Rycerz królowej*, *Śmiertelne maski* (w przygotowaniu), a także niewydane dotąd po polsku: *Blood Rites*, *Dead Beat*, *Proven Guilty*, *White Night*, *Small Favor*, *Turn Coat*, oraz *Changes*. Butcher jest także autorem przygodowego cyklu spod znaku magii i miecza *Codex Alera: Furies of Calderon*, *Academ’s Fury*, *Cursor’s Fury*, *Captain’s Fury* i *Princeps’ Fury*. Jest również autorem serii opowiadań o Harrym Dresdenie: *Side Jobs: Stories from the Dresden Files*. W planach ma kolejną powieść z uniwersum Dresdena, *Cold Days*. Mieszka w Independence, wraz z żoną, synem i groźnym psem-strażnikiem.

Jim Butcher zaskoczył wszystkich, uśmiercając swojego bohatera pod koniec tomu *Changes* (następna powieść, *Ghost Story*, jest prowadzona z punktu widzenia jego ducha!). W niniejszym opowiadaniu po raz kolejny spotykamy młodą uczennicę Harry’ego, która stara się kontynuować walkę z siłami ciemności, nawet bez pomocy swego mistrza. Odkrywa, że poprzeczka jest ustawiona bardzo wysoko i że musi dosięgnąć jej szybko... albo zginie.

BOMBOWE LASKI

Tęsknię za moim szefem.

Od czasu, gdy pomogłam mu zginąć, minął rok i od tamtej chwili jestem jedynym zawodowym magiem w Chicago.

No dobrze — oficjalnie nie jestem jeszcze magiem. Raczej czymś w rodzaju czeladnika. I nikt mi za to nie płaci, chyba żeby liczyć portfele i kosztowności, które czasem zabieram ze zwłok, więc jestem raczej amatorką. Nie mam też oficjalnej licencji, jak mój szef, ani ogłoszenia w książce telefonicznej.

Ale zostałam tylko ja. Nie jestem tak potężna ani tak dobra jak Harry, ale i tak muszę wystarczyć.

W każdym razie stałam sobie, zmywając krew pod prysznicem w mieszkaniu Walda Buttersa.

Dużo czasu spędzałam na zewnątrz, co w lecie i wczesną jesienią nie było wcale takie złe, zwłaszcza w porównaniu do naszej ostatniej, arktycznej superzimy. Czulałam się, jakbym sypiała na tropikalnej plaży. Mimo wszystko brakowało mi dostępu do bieżącej wody, więc Waldo dał mi klucz i pozwalał się kąpać u siebie, ilekroć było potrzeba. Odkręciłam ciepłą wodę, ile fabryka dała, i czulałam się jak w niebie. Było to wprawdzie dość piękne, szorujące niebo, ale jednak niebo.

Podłoga w łazience na kilka sekund zrobiła się czerwona, potem różowa, a następnie znów biała, w miarę jak krew ściekała do odpływu. Nie wypływała ze mnie. Gang sługusów Fomorian porwał piętnastoletniego chłopca i unieśli go w stronę jeziora Michigan. Gdyby go tam donieśli, czekałby go los gorszy od śmierci. Zainterveniowałam, ale ten drań Listen i jego kumple uciekli. Zawiodłam. Siedziałam obok tego chłopca, czując to samo co on, jego strach, dezorientację i ból, gdy umierał.

Harry nie poczułby nic takiego. On rozrzuciłby sługusów na boki, jak kręgle, porwał chłopca na ręce, niczym bohater filmu akcji, i zaniósł w bezpieczne miejsce.

Tęsknię za moim szefem.

Zużyłam sporo mydła. Chyba też płakałam. Zaczęłam ignorować łzy już wiele miesięcy temu i czasami sama nie wiedziałam, dlaczego właściwie płynęły. Gdy już byłam czysta, w każdym razie fizycznie, postanowiłam jeszcze postać pod prysznicem, chłonąc ciepło, pozwalając, by woda obmyła mnie całą. Blizna na nodze, gdzie mnie kiedyś postrzelono, wciąż była pomarszczona, ale zmieniła kolor z purpury na wściekłą czerwień, a potem na wściekły róż. Butters przyrzekał, że za parę lat zniknie. Mogłam już normalnie chodzić, chyba że postanowiłam się sforsować. Ale, o rety... moje nogi i inne okolice naprawdę powinny odnowić znajomość z golarką. Włosy urosły tak długie, że było je wyraźnie widać, chociaż były jasne.

Zamierzałam je zignorować, ale dbanie o higienę osobistą jest ważne dla morale. W zdrowym ciele zdrowy duch i tak dalej. Nie byłam głupia. Wiedziałam, że ostatnimi czasy nie jestem

w najlepszej formie. Mojemu morale przydałoby się jak najwięcej wsparcia. Wychyliłam się z prysznic i chwyciłam różową golarkę Andi, wilkołaczycy, z którą spotykał się Waldo. Pomyślałam, że później jej odkupię.

Skończyłam mniej więcej w tym samym czasie, gdy przestała lecieć ciepła woda. Wysłam spod prysznic i wytarłam się ręcznikiem. Moje rzeczy leżały przy drzwiach, rzucone na stos — sandały z wyprzedaży garażowej, stary nylonowy plecak turystyczny i zakrwawione ubrania. Kolejne ciuchy do wyrzucenia. Sandały zostawiły odciski w kałuży krwi, więc ich też trzeba będzie się pozbyć. W tym tempie już niedługo będę musiała zrobić rundkę po lumpelsach. Zwykle taka myśl podniosłaby mnie na duchu, ale zakupy jakoś nie sprawiały już tyle radości co dawniej.

Starannie sprawdziłam powierzchnię wanny i podłogi, szukając wypadłych włosów, gdy ktoś zapukał. Nie oderwałam oczu od posadzki. W mojej pracy można zrobić naprawdę straszne rzeczy z fragmentami ludzkiego ciała. Niechlujne sprzątanie po sobie to nic innego jak proszenie się o kłopoty — na przykład o to, by ktoś zagotował mi krew na odległość. Dziękuję, postoję.

— Tak? — zawołałam.

— Hej, Molly! — odezwał się Waldo. — Jest tu ktoś, kto chce z tobą pogadać.

Mieliśmy sporo różnych ustaleń. Gdyby Waldo użył słowa „wrażenie”, od razu wiedziałabym, że za drzwiami czai się coś złego. Brak tego słowa oznaczał, że zagrożenia nie ma albo że jeszcze go nie widać. Włożyłam bransolety i pierścionek i położyłam obie różdżki tam, gdzie mogłabym je szybko chwycić. Dopiero wtedy zaczęłam się ubierać.

— Kto? — zawołałam.

Bardzo się starał, by jego głos nie zabrzmiał nerwowo. Doceniłam to. Bardzo miło z jego strony.

— Mówi, że nazywa się Justine. Mówi, że ją znasz.

Znałam Justine. Była niewolnicą wampirów z Białego Dworu... a przynajmniej osobistą asystentką jednego z jego członków i dziewczyną drugiego. Harry zawsze wyrażał się o niej dobrze, ale to dlatego, że tracił rozum przy kobietach, które potencjalnie mogły stać się damami w opałach.

— Ale gdyby tu był — mruknęłam do siebie — to pewnie by jej pomógł.

Przed wyjściem nie wytarłam pary z lustra. Nie chciałam wiedzieć, co tam zobaczę.

* * *

Justine była zaledwie o kilka lat starsza ode mnie, ale jej włosy miały olśniewająco biały kolor. Była niesamowicie atrakcyjna — należała do tych dziewczyn, do których wszyscy chłopcy boją się podejść, bo uważają, że i tak są bez szans. Ubrana była w dżinsy i koszulę na guziki, o kilka

rozmiarów za dużą — byłam pewna, że pożyczyla ją od Thomasa. Jej mowa ciała była bardzo neutralna, wyważona. Znałam naprawdę niewiele osób, które potrafiły tak doskonale ukrywać emocje, ale pod powierzchnią spokoju wyczuwałam napięcie i cichy strach.

Jestem magiem albo niewiele mi do tego brakuje. Ludzie nie są w stanie ukryć przede mną niczego.

Jeśli Justine była wystraszona, to tylko dlatego, że martwiła się o Thomasa. Jeśli przyszła do mnie, to tylko dlatego, że nie otrzymała pomocy od Białego Dworu. Mogłyśmy teraz odbyć grzeczną rozmowę dążącą do ujawnienia tej informacji, ale ostatnio miałam mało cierpliwości do towarzyskich konwenansów, więc od razu wyłożyłam kawę na ławę.

— Witaj, Justine. Czemu miałabym ci pomóc ratować Thomasa, skoro jego własna rodzina nawet nie kiwnie palcem?

Justine wytrzeszczyła oczy, Waldo również.

Przywykłam do takiej reakcji.

— Skąd wiedziałaś? — spytała cicho.

Gdy ktoś para się magią, ludzie odruchowo zakładają, że wszystko, co robi, musi być z tym w jakiś sposób powiązane. Harry zawsze uważał, że to zabawne. Dla niego magia była tylko kolejnym zestawem narzędzi, za pomocą których rozwiązywał problemy, ale to umysł stanowił najważniejszy element tej układanki.

— A jakie to ma znaczenie?

Zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok. Potrząsnęła głową.

— Przepadł. Wiem, że wyruszył załatwić jakąś sprawę dla Lary, ale ona twierdzi, że nic o tym nie wie. Kłamie.

— To chyba jasne, jest wampirem. A ty nie odpowiedziałaś na moje pierwsze pytanie — dodałam. Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż sądziłam. Spróbowałam się trochę odprężyć. Skrzyżowałam ręce na piersi i oparłam się o ścianę. — Dlaczego miałabym ci pomagać?

Oczywiście i tak zamierzałam to zrobić. Ale znałam pewną tajemnicę związaną z Harrym i Thomasem, tajemnicę znaną naprawdę niewielu osobom. Musiałam się upewnić, czy Justine też ją zna, czy muszę to przed nią ukrywać.

Spojrzała mi w oczy tylko przez chwilę. Wzrok miała bardzo przenikliwy.

— Jeśli nie możesz się zwrócić o pomoc do rodziny — powiedziała powoli — to do kogo?

Odrzuciłam oczy, zanim zdążyła wykonać pełne spojrzenie w duszę, ale jej słowa, postawa, sama jej świadomość odpowiedziały na moje pytanie.

Wiedziała.

Thomas i Harry byli przyrodni braćmi. Gdyby Harry żył, zwróciłaby się do niego. Byłam najbliższym odpowiednikiem jego spadkobiercy, a Justine miała nadzieję, że teraz wdzieję jego

buty. Jego wielkie, ciężkie, podkute buty.

— Do przyjaciół — odparłam cicho. — Będę potrzebować jakiejś części ciała. Włosy albo ścinki paznokci byłyby...

Z kieszeni na piersi wyjęła plastikową torebkę i podała mi ją bez słowa. W środku tkwiło kilka ciemnych włosów.

— Jesteś pewna, że to jego?

Wskazała na swoją białą grzywę.

— Chyba trudno byłoby się pomylić.

Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że Butters obserwuje mnie w milczeniu z przeciwległego końca pokoju. Był niski, żylasty i szybki. Jego włosy wyglądały, jakby ktoś poraził go prądem, a potem już tak zostawił. Wzrok miał opanowany, ale zmartwiony. Zawodowo zajmował się krojeniem trupów na zlecenie rządu, ale poza tym, jeśli chodziło o sprawy paranormalne, był jednym z najlepiej poinformowanych ludzi w tym mieście.

— No co? — spytałam.

Chwilę myślałam nad odpowiedzią — nie tyle obawiał się mnie samej, co zranienia moich uczuć. Większość ludzi, przy najmniej ostatnio, reagowała odwrotnie.

— Czy naprawdę powinnaś się w to mieszać, Molly?

Tak naprawdę pytał, czy mi kompletnie nie odbiło. Czy naprawdę zdołam tu pomóc, czy tylko pogorszyć sprawę.

— Nie wiem — odpowiedziałam szczerze. Spojrzałam na Justine i poleciłam: — Zaczekaj tutaj.

* * *

Pierwszą rzeczą, jakiej nauczył mnie Harry Dresden, było zakęcie tropiące.

— To prosta zasada, dziewczyno — powiedział. — Tworzymy z energii łącze pomiędzy dwoma podobnymi obiektami. Potem wyciągamy z tej energii wskaźnik, żeby wiedzieć, w którą stronę przepływa.

— Czego będziemy szukać? — spytałam.

Podniósł duży siwy włos i wskazał na swojego psa wabiącego się Mysz. Powinien go raczej nazwać Łoś. Wielkie kudłate psisko było wielkości łuca.

— Mysz! — zawołał Harry. — Idź stąd, a my cię poszukamy.

Pies ziewnął i posłusznie potruchnął do drzwi. Harry wypuścił go na zewnątrz, a potem podszedł i usiadł koło mnie. Byliśmy u niego w salonie. Kilka dni wcześniej, w nocy, rzuciłam się tutaj na niego. Nago. A on wylał mi na głowę dzbanek lodowatej wody. Wciąż byłam tym przerażona, ale prawdopodobnie postąpił słusznie. Zawsze robił to, co słuszne, nawet jeśli coś na

tym tracił. Wciąż tak bardzo pragnęłam z nim być, ale może nie nadeszła odpowiednia chwila.

Nie szkodzi. Umiałam być cierpliwa. Poza tym przecież i tak z nim byłam — chociaż w inny sposób — i to prawie codziennie.

— W porządku — powiedziałam, gdy znów usiadł. — Co mam robić?

* * *

W ciągu kilku lat, które upłynęły od tamtego dnia, nauczyłam się rzucać to zaklęcie całkiem rutynowo. Odnajdowałam zaginionych ludzi, ukryte miejsca, zgubione skarpetki i wtykałam nos w — prawdopodobnie — nie swoje sprawy. Harry mówił, że to część obowiązków maga. Jak zwykle miał rację.

Zatrzymałam się w zaułku za mieszkaniem Buttersa i nakreśliłam kawałkiem kredy okrąg na betonie. Zamknęłam krąg siłą woli, wyjęłam jeden z włosów z torebki i uniosłam w górę. Skupiłam moc na zaklęciu, dopasowując siebie kolejne elementy. Gdy zaczynaliśmy, Harry pozwalał mi korzystać z czterech różnych obiektów, pokazując, jak kojarzyć z nimi odpowiednie idee symbolizujące części zaklęcia, ale teraz nie było mi to już potrzebne. Magia dokonuje się wyłącznie w głowie maga. Można korzystać z różnych pomocy, by wszystko stało się prostsze. W przypadku naprawdę skomplikowanych zaklęć to właśnie decyduje o różnicy pomiędzy czymś niemożliwym a prawie niemożliwym. Ale do czegoś takiego nie potrzebowałam już pomocy.

Zebrałam w głowie poszczególne części zaklęcia, połączyłam ze sobą, nasączyłam odpowiednią siłą woli i mrużąc odpowiednie formułki, uwolniłam energię, aż przepłynęła przez włos, który trzymałam w ręce. Potem włożyłam włos do ust, przerwałam kredowy krąg, ścierając część stopą, i wstałam.

Podczas tropienia Harry zawsze używał jakiegoś obiektu — swojego amuletu, kompasu albo zaimprovizowanego wahadła. Nie chciałam urazić jego uczuć, ale to i tak nie było konieczne. Czułam, jak magia przepływa poprzez włos, usta mrowiły mi lekko. Wyjęłam mały, tani plastikowy kompas i dziesięciometrową miarkę. Wyciągnęłam miarkę tak, by wskazywała północ magnetyczną i nakreśliłam linię kredą. Następnie chwyciłam za drugi koniec i obróciłam się wolno, aż poczułam mrowienie centralnie w ustach. Wargi są niezwykle wrażliwe i już dawno odkryłam, że przy takich zadaniach zapewniają najlepszą reakcję.

Gdy już wiedziałam, w jakim kierunku należy iść, by dotrzeć do Thomasa, przesunęłam miarkę i odrysowałam, uzyskując bardzo ostry kąt, przypominający czubek olbrzymiej igły. Zmierzyłam odległość u podstawy trójkąta.

Potem skręciłam o dziewięćdziesiąt stopni, przesłam pięćset kroków i powtórzyłam całą operację.

Obiecacie mi, że nie powiecie o tym moim nauczycielom, ale potem usiadłam

i zastosowałam zasady trygonometrii w praktyce.

Nie była to trudna matematyka. Miałam dwa kąty zorientowane względem północy magnetycznej. Znałam dzielącą je odległość, mierzoną w krokach Molly. „Kroki Molly” nie były zbyt naukową jednostką, ale dla potrzeb tego zadania okazały się na tyle precyzyjne, by obliczyć odległość dzielącą mnie od Thomasa.

Używając tak prostych narzędzi, nie zdołałabym uzyskać na tyle dokładnych namiarów, by wiedzieć, które drzwi wywalić łopniakiem, ale ustaliłam, że porwany przebywa gdzieś w okolicy — w odległości najwyżej czterech-pięciu mil, a nie na biegunie północnym. Dużo poruszam się po mieście, ponieważ w ruchomy cel trudniej trafić. Codziennie przebywam dystans trzy-cztery razy dłuższy.

Wiedziałam, że będę musiała podejść znacznie bliżej, by ustalić położenie Thomasa. A zatem podążyłam za mrowieniem i ruszyłam przed siebie.

* * *

Thomas znajdował się w małym budynku biurowym na dużej parceli.

Budynek miał dwa piętra — nie był olbrzymi — chociaż postawiono go pomiędzy znacznie wyższymi konstrukcjami. Działka, na której go wzniesiono, wyglądała, jakby przeznaczono ją na coś znacznie większego. Pustą przestrzeń zajmowały wypielęgnowane trawniki i ogród, włącznie z oczkami wodnym i małym, oszczędnie zdobionym płotkiem z kutego żelaza. Budynek wzniesiono z kamienia i ozdobiono marmurem. Sam jego gzyms zdradzał więcej dobrego smaku niż okoliczne wieżowce całą swoją strukturą. Był przepiękny i niepozorny jednocześnie — na swojej rozległej działce wyglądał niczym pojedynczy, idealnie oszlifowany diament położony na wystawie pomiędzy słojami cyrkonii.

Nie było żadnych tabliczek. Żadnego wejścia, nie licząc bramy strzeżonej przez strażników w ciemnych garniturach. Kosztownych garniturach. Jeśli nawet strażnicy nosili do pracy takie ubrania, oznaczało to, że właściciel budynku miał pieniądze. Naprawdę dużo pieniędzy.

Obeszłam tę budowlę, by zyskać pewność i poczułam mrowienie zakłęcia, które potwierdziło miejsce położenia Thomasa. Choć pilnowałam przy tym, by iść po przeciwnej stronie ulicy, najwyraźniej zauważył mnie ktoś w środku. Czulałam na sobie wzrok strażnika, śledzący mnie zza ciemnych szkieł. Może powinnam podejść tu ukryta pod zasłoną, ale Harry zawsze był przeciwny korzystaniu z magii, jeśli nie było to absolutnie konieczne. Inaczej człowiek szybko zaczynał używać jej do wszystkiego, każdej najmniejszej pierdółki.

W pewnym sensie lepiej od niego radzę sobie z tym aspektem magii, który odpowiada na pytanie „jak”. Ale być może nigdy nie będę taksamo dobra w odpowiedzi na pytanie „dlaczego”.

Weszłam do pobliskiego Starbucksa, kupiłam sobie kubek życia w płynie i zaczęłam się

zastanawiać, jak wejść do środka budynku, gdy wyczułam szybko zbliżającą się paranormalną obecność.

Nie spanikowałam. Kto panikuje, ten nie żyje. Odwróciłam się na pięcie i zniknęłam w korytarzu prowadzącym do małej łazienki. Weszłam do kabiny, zamknęłam drzwi i wyciągnęłam różdżki z kieszeni na biodrze. Obie były gotowe. Pierścionki też były naładowane — idealna sytuacja.

Uporządkowałam myśli, skupiłam wolę, wyszeptalam formułkę i zniknęłam.

Zasłony to skomplikowana magia, ale miałam do tego talent. Całkowite zniknięcie było naprawdę kłopotliwe — należało pozwolić, by światło przenikało mnie kompletnie, a wtedy robiło się lodowato zimno. W dodatku musiałam iść na ślepo. Ale stanie się niewidocznym — to zupełnie co innego. Dobra zasłona redukowałą widoczność do kilku przypadkowych drgnięć powietrza, może kilku nieokreślonych cieni w miejscu, gdzie nie powinno ich być. Tworzyło aurę codzienności, nudnej nieciekawości, jaką odczuwało się zwykle podczas wykonywania nieulubianej pracy około wpół do czwartej po południu. W połączeniu z bardzo ograniczoną widocznością można było spokojnie przejść ulicą, nie zwracając na siebie uwagi. Było to równie łatwe jak oddychanie.

Znikając pod zasłoną, stworzyłam także inny obraz, połączenie iluzji i sugestii. Był bardzo prosty — przedstawiał po prostu mnie, tak jak wyglądałam przed chwilą w lustrze, czysta i zadowolona, z kubkiem świeżej kawy w ręku. Wrażenie, jakie wywoływała iluzja, też zawierało sporą dawkę mnie — odgłos moich kroków, moje ruchy, zapach szamponu Buttersa, aromat kawy. Przywiązałam ten obraz do jednego z pierścionków, czerpiąc z energii zgromadzonej w kamieniu księżycowym. Potem zawróciłam, okrywając się obrazem jak peleryną ze światła i wyszłam z kawiarni.

Gdy byłam już na zewnątrz, unik okazał się bardzo prosty, jak wszystkie dobre manewry. Mój obraz poszedł w lewo, a ja w prawo.

Jeśli ktoś to obserwował, zobaczył tylko, że jakaś młoda kobieta wyszła z kawiarni i podążyła ulicą, niosąc kawę w ręku. Najwyraźniej miała dobry dzień. Kazałam obrazowi iść energicznie i trochę podskakiwać, żeby lepiej zwracał (i odwracał) uwagę. Iluzja miała przejść jakąś milę, a potem po prostu zniknąć.

Tymczasem ja ukryłam się w pobliskim zaułku i obserwowałam okolicę.

Mój obraz nie uszedł nawet stu kroków, gdy z zaułka wyszedł mężczyzna w czarnym golfie. Nie ruszył jego śladem. Sługus Fomorian. Ci dranie byli teraz wszędzie, jak karaluchy, tylko bardziej obrzydliwi i trudniejsi do wytępienia.

Tyle że... to było stanowczo za łatwe. Jeden sługus nie uruchomiłby moich instynktów. Byli silni, szybcy i mieli magiczne moce, to prawda — gdyby nie to, Fomorianie nigdy by ich tu nie

wypuścili.

Ale było tu coś jeszcze. Coś, co chciało odwrócić moją uwagę, zaskoczyć mnie, gdy będę patrzeć, jak rzekłomy sługus będzie podążać za rzekomą Molly. Jeśli ktoś znał mnie na tyle dobrze, by zastawić taką pułapkę, to prawdopodobnie może mnie dostrzec nawet pod zasłoną. Naprawdę niewiele istot potrafiło tego dokonać.

Wsunęłam dłoń do plecaka i wyjęłam nóż — bagnet M9, który mój brat przywiózł z Afganistanu. Rozłożyłam szerokie ostrze, zamknęłam oczy i obróciłam się szybko, z nożem w jednej ręce i kubkiem w drugiej. Zrzuciłam kciukiem plastikową pokrywkę i wychłapałam gorącą kawę szerokim łukiem, mniej więcej na wysokości piersi.

Usłyszałam zaskoczony syk, nakierowałam się na niego, otworzyłam oczy i przecięłam nożem powietrze, na wysokości nieco powyżej mojego własnego serca.

Stalowe ostrze nagle wybuchło blaskiem, gdy przecięło zasłonę wiszącą w powietrzu zaledwie o kilka cali ode mnie. Wkroczyłam pod nią, przyciskając ostrze do szyi postaci, która nagle pojawiła mi się przed oczami. Kobieta była wyższa ode mnie, ubrana w lachmany (teraz dodatkowo poplamione kawą), a jej długie, ogniście czerwone włosy były rozpuszczone i wzburzone wiatrem. Wygięła się w bok i cofnęła, aż w końcu dotknęła plecami ceglanego muru.

Nie odpuściłam, wciąż przyciskając jej nóż do gardła, aż w końcu, w ostatniej chwili, jej blada, smukła dłoń wystrzeliła w górę i chwyciła mój nadgarstek. Szybka jak wąż, ale silniejsza, bardziej zimna. Nasze twarze dzieliło zaledwie kilka cali, gdy przyłożyłam nasadę dłoni do ostrza i napałam na nią — na tyle, by zrównoważyć jej pchnięcie, ale nie na tyle mocno, by dać się wytrącić z równowagi, gdyby kobieta wykonała szybszy ruch. Była smukła i piękna, nawet w lachmanach. Miała nieprzeniknione zielone oczy i piękne, delikatne kości, jakie można było zobaczyć jedynie u kilku supermodelek — i u wszy stkich Sidhe.

— Witaj, ciociu — powiedziałam opanowanym głosem. — To nieładnie tak się do mnie podkraść. Zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach.

Odpychała mnie jedną ręką, choć nie było to dla niej łatwe. Jej melodyjny głos zabrzmiał z wysiłkiem.

— Dziecię... — szepnęła. — Przewidziałas me nadejście. Gdybym cię nie powstrzymała, byłabyś wrażliwa to zimne żelazo w me ciało, zadając mi niewysłowione cierpienia. Rozlałabyś mą życiodajną krew na ziemię. — Oczy jej się rozszerzyły. — Byłabyś mnie zabiła.

— Byłabym była — zgodziłam się uprzejmie.

Usta rozciągnęły się w wąskim uśmiechu. Zęby miała lekko zaostrome.

— A zatem me nauki nie poszły na marne.

Okręciła się z lekkim wdziękiem, przemknęła pod ostrzem i stanęła o krok dalej. Opuściłam nóż, ale go nie schowałam.

— Nie mam teraz czasu na lekcje, ciociu Leo.

— Nie przybyłam, by cię uczyć, dziecię.

— Nie mam też czasu na twoje gierki.

— Nie przybyłam też, by z tobą igrać — odparła Leanansidhe — ale by cię ostrzec. Grozi ci niebezpieczeństwo.

Uniosłam brew, jakby zdziwiona.

— Naprawdę? Ojej.

Sidhe przekrzywiła karcąco głowę, zacisnęła usta. Przeslizgnęła się po mnie wzrokiem, spojrzała w zaułek, potem obejrzała się za siebie. Wyraz jej twarzy nagle się zmienił. Co prawda nie straciła tej aury wyższości, jaka zawsze ją otaczała, ale trochę ją ograniczyła. Zniżyła też głos.

— Naigrawasz się z tego, dziecię, jednak wisi nad tobą straszliwa groźba, jako i nade mną. Nie możemy pozostać tu długo. — Spojrzała mi w oczy. — Jeżeli pragniesz zmierzyć się z onym wrogiem i ocalić brata mego chrześniaka, muszę ci coś rzec.

Zmrużyłam oczy. Po śmierci Harry'ego jego chrzestna matka wróżka objęła posadę mojej mentorki, ale nie można powiedzieć, by była to dobra wróżka. W rzeczywistości była prawą ręką Mab, Królowej Powietrza i Mroku. Była niebezpieczną krwiożerczą bestią, która dzieliła swoich wrogów na dwie kategorie — martwych i tych, którymi się jeszcze nie zajęła. Nie wiedziałam, że zna tajemnicę Harry'ego i Thomasa, ale jakoś mnie to nie zdziwiło.

Lea była morderczą i okrutną istotą, ale jak dotąd nigdy mnie nie okłamała. Technicznie rzecz biorąc.

— Chodź — poleciła. Odwróciła się i podążyła do wyłotu zaułka, okrywając się zasłoną, by nie zwracać uwagi. Znów spojrzałam w stronę budynku, gdzie przetrzymywano Thomasa. Zacisnęłam zęby i podążyłam za nią, łącząc nasze zasłony ze sobą.

* * *

Szłyśmy ulicami Chicago niewidziane przez tysiące oczu. Przechodnie mijali nas o kilka kroków, w ogóle się nad tym nie zastanawiając. Gdy jest się w tłumie, dobrze jest dodać do zakłęcia jakieś sugestie omijania. Niewidzialność nie ma żadnego sensu, jeśli co chwila ktoś będzie na ciebie wpadać.

— Powiedz mi, dziecko — zaczęła Lea, nagle porzucając swój archaiczny język. Czasem robiła tak, gdy byłyśmy same. — Co wiesz o svartalfach?

— Niewiele — odparłam. — Pochodzą z Europy Północnej. Są małe i mieszkają pod ziemią. Są najlepszymi rzemieślnikami na świecie. Harry czasem kupował u nich różne rzeczy, ale nie za często, bo nie były tanie.

— Jakież to suche — stwierdziła elfia czarodziejka. — Mówisz, jakbyś czytała z książki, dziecko. Księgi rzadko przypominają rzeczy wistotę. — Jej jaskrawozielone oczy zapłonęły na chwilę, gdy patrzyła na przechodzącą obok kobietę z niemowlęciem. — Pytam, co o nich wiesz?

— Są groźni — odparłam cicho. — Bardzo groźni. Dawni nordyccy bogowie kupowali u nich broń i zbroje i nigdy nie próbowali z nimi zadzierać. Harry mówił mi kiedyś, jakie to szczęście, że nigdy nie musiał walczyć ze svartalfem. Są także honorowi. Przystąpili do Przymierza Unseelie i zawsze go przestrzegali. Mają opinię walecznych wojowników, którzy zawsze chronią swoich. Nie są ludźmi, nie są mili i tylko głupiec próbowałby ich oszukać.

— Lepiej — pochwaliła Leanansidhe, po czym niedbale dodała: — Tylko głupiec.

Znów zerknęłam w stronę budynku.

— To ich posiadłość?

— Ich forteca — odparła Lea — oraz ośrodek ich działania w świecie śmiertelników. Tutaj, na wielkich rozdrożach. Co jeszcze o nich wiesz?

Pokręciłam głową.

— Eee... Jedna z nordyckich bogiń straciła swój naszyjnik..

— Freja — dodała Lea.

— A złodziej, który go ukradł...

— Loki.

— Tak on. Zastawił go u svartalfów czy coś takiego i była wielka awantura, żeby go odzyskać.

— Trudno uwierzyć, że można opisać coś tak niejasno i trafnie zarazem.

Uśmiechnęłam się krzywo.

Lea zmarszczyła brwi.

— Doskonale znałaś tę historię. Po prostu chciałaś... jak to się mówi? Utrzeć mi nosa.

— Wyszczekania mi nie brakuje. Miałam dobrego nauczyciela — odparłam. — Freja poszła do nich, by odzyskać naszyjnik, a svartalfowie się na to zgodzili — pod warunkiem, że pocałuje każdego z nich.

Lea wybuchnęła śmiechem.

— Och, dziecko — wykrztusiła ze złośliwą radością. — Pamiętaj, że wiele mitów zostało spisanych i przetłumaczonych przez dość pruderyjnych skrybów.

— Co masz na myśli?

— To, że svartalfowie raczej nie zgodziliby się oddać jednego z najcenniejszych klejnotów we wszechświecie w zamian za ogólnokrajową wycieczkę do pierwszej bazy.

Zamrugałam kilka razy i poczułam, że pieką mnie policzki.

— To znaczy, że tak naprawdę musiały...

— Tak właśnie.

— Ze wszystkim?

— W rzeczy samej.

— O rany — wykrztusiłam. — Też lubię akcesoria, ale takie poświęcenie to już przesada. Duża przesada. Przesadzona na inny kontynent.

— A może — podsunęła Lea — wszystko zależy od tego, jak bardzo chce się odzyskać coś od svartalfów?

— Chcesz powiedzieć że... aby wyciągnąć stamtąd Thomasa, mam się z nimi zabawić w kolejarza? Nie ma mowy.

Lea obnażyła zęby w kolejnym uśmiechu.

— Wasza moralność jest taka zabawna.

— A ty? Zrobiłabyś coś takiego?

Wyglądała na urażoną.

— Dla innej osoby? Oczywiście, że nie. Czy zdajesz sobie sprawę, jaki dług to by stworzyło?

— Nie. Chyba nie.

— Sama nie mogłabym dokonać takiego wyboru. Sama musisz zapytać siebie: czy twoje spokojne sumienie jest warte więcej niż życie tego wampira?

— Nie. Ale musi istnieć inny sposób.

Lea sprawiała wrażenie zamyślanej.

— Svartalfowie kochają piękno. Pożądamy go, jak smok pożąda złota. Jesteś młoda, urocza i... jesteś, jak wy to mówicie, „wystrzałowa laska”. Wymiana twoich usług za życie wampira to prosta transakcja, która prawie na pewno by się powiodła. Zakładając, że Thomas jeszcze żyje.

— Nazwiemy to planem B — stwierdziłam kategorycznie. — A może planem X. Albo nawet planem XXX. Dlaczego nie możemy się po prostu włamać do środka i wyciągnąć go stamtąd?

— Dziecko — zganiła mnie Leanansidhe. — Svartalfowie są biegli w Sztuce, a to jedna z ich głównych twierdz. Nie zdołasz porwać się na takie szaleństwo i ujść z życiem.

— Chcę wiedzieć, jakie mam możliwości — upierałam się.

Elfka wzruszyła ramionami.

— A zatem czyni to jak najszybciej. Jeśli Thomas Raith jeszcze nie zginął, reszta jego życia może liczyć się już tylko w godzinach.

* * *

Otworzyłam drzwi do mieszkania Walda, weszłam do środka, po czym zamknęłam je za sobą na klucz.

— Znalazłam go! — zawołałam.

Gdy odwróciłam się do pokoju, ktoś uderzył mnie w twarz.

Nie był to lekki policzek, jakby ktoś chciał powiedzieć „hej, obudź się!”, lecz solidny cios z liścia, który naprawdę by zabolął, gdyby zadano go pięścią. Zatoczyłam się, oszołomiona.

Andi, dziewczyna Walda, stała z założonymi rękami, obserwując mnie spod zmrużonych powiek. Była średniego wzrostu, ale poza tym była wilkołaczką zbudowaną jak modelka z kalendarza, która wymarzyła sobie, że zmieni karierę na profesjonalne zapasy.

— Cześć, Molly — powiedziała.

— Cześć — odparłam. — Aua.

Andi podniosła różową golarzkę.

— Porozmawiajmy teraz o wytyczeniu granic.

Gdzieś w środku obudziło mi się coś złego, co wysunęło pazury i zastygło w oczekiwaniu. Była to część mojej istoty, która chciała schwytać Listena i zrobić z nim różne rzeczy przy użyciu gwoździ kolejowych i rynien w podłodze. Każdy z nas ma w środku taką istotę. Potrzeba czegoś naprawdę złego, by ją zbudzić, ale wszyscy nosimy ją w sobie. To ona odpowiada za wszystkie bezmyślne okrucieństwa, to ona zamienia wojnę w piekło.

Nikt nie chce o niej mówić ani myśleć, ale ja nie mogłam sobie pozwolić na życie w ignorancji. Nie zawsze tak było, ale po roku walki z Fomorianami i ciemną stroną Chicago stałam się kimś innym. Ta część w głębi mnie wciąż była teraz rozbudzona, wciąż podsuwała mi emocje walczące ze zdrowym rozsądkiem.

Kazałam jej zamilknąć i usiąść na dupie.

— Dobrze — powiedziałam. — Ale później. Jestem teraz trochę zajęta.

Chciałam ją minąć i wejść do pokoju, ale zatrzymała mnie, przykładając mi rękę do piersi i popchnęła z powrotem w stronę drzwi. Nie wyglądało, jakby włożyła w to dużo siły, ale porządnie gruchnęłam o drewno.

— Teraz jest dobry moment — stwierdziła.

Wyobraziłam sobie, że zacisłam pięści i liczę do pięciu wściekłym wrzaskiem. Jestem pewna, że Harry nigdy nie musiał się użerać z takimi idiotyzmami. Nie miałam czasu do stracenia, ale nie chciałam też zrobić krzywdy Andi. Wiedziałam, że jeśli dam się ponieść, zrobi się bardzo nieprzyjemnie. Zacisnęłam zęby — na to mogłam sobie pozwolić i skłębłam głową.

— No dobrze. O co ci chodzi?

Nie dodałam: „ty zołzo”, ale pomyślałam to naprawdę głośno. Pewnie powinnam się starać być miłsza dla ludzi.

— To nie jest twoje mieszkanie — odparła Andi. — Nie możesz tak sobie wparowywać i uciekać, kiedy ci się spodoba, niezależnie od tego, która jest godzina i co się dzieje. Zastanowiłaś się chociaż, co to oznacza dla Buttersa?

— Nic nie oznacza — odparłam. — Tylko pożyczam sobie na chwilę jego prysznic.

— Dzisiaj przyszedł tu cała we krwi. — Głos Andi zabrzmiał ostro. — Nie wiem, co się stało, ale wiesz co? Nic mnie to nie obchodzi. Obchodzi mnie tylko, w jakie kłopoty możesz tym wpakować innych.

— Nie było żadnych kłopotów — odparłam. — Posłuchaj, odkupię ci nową golarzkę.

— Tu nie chodzi o pieniądze, na rany Chrystusa! — prychnęła Andi. — Chodzi o szacunek Butters zawsze ci pomaga, a ty nawet mu nie podziękujesz. A co, jeśli ktoś by tu za tobą przyszedł? Wiesz, ile kłopotów mógłby sobie napytać tylko przez to, że ci pomógł?

— Nikt za mną nie przyszedł — powtórzyłam.

— Dzisiaj. A następnym razem? Ty potrafisz walczyć. Ja wprawdzie nie znam się na magii, ale też daję sobie radę. Butters nie. A co, jeśli któregoś dnia okaże się, że jesteś umazana jego krwią? Do czyjego prysznicza wtedy pójdziesz?

Skrzyżowałam ręce i odwróciłam wzrok. Jakaś część mojego umysłu wiedziała, że Andi ma trochę racji, ale rozsądek zajmował teraz drugie miejsce w kolejce, zaraz po nagłej chęci, by spoliczkować tę zolzę.

— Posłuchaj, Molly — powiedziała łagodniej. — Wiem, że ostatnio nie było ci łatwo. Odkład zginął Harry. I potem, gdy ukazał się jego duch. Wiem, że to nie zabawa.

Spojrzałam na nią bez słów. Niełatwe i nie zabawa. Można to było tak nazwać.

— Ale chyba jest coś, co powinnaś usłyszeć.

— Co takiego?

Andi pochyliła się i szepnęła ostro:

— Pogódź się z tym.

W mieszkaniu było bardzo cicho, ale w mojej głowie — wręcz przeciwnie. Ta brzydka, straszna część robiła się coraz głośniejsza. Zamknęłam oczy.

— Ludzie umierają — ciągnęła Andi. — Odchodzą. A życie toczy się dalej. Harry był pierwszym przyjacielem, jakiego straciłaś, ale na pewno nie ostatnim. Rozumiem, że jest ci przykro. Rozumiem, że próbujesz przejąć pałeczkę po kimś naprawdę wielkim. Ale to jeszcze nie daje ci prawa, żeby nadużywać ludzkiej życzliwości. Jakbyś nie zauważyła, ostatnio wielu ludziom jest przykro.

Jakbym nie zauważyła... Boże, byłam gotowa nawet zabić za to, by nie zauważać ludzkiego cierpienia. Nie musieć przeżywać go samej. Nie odczuwać jego echa jeszcze wiele dni później. Ta straszna istota w środku, mroczna część mojego serca, miała ochotę połączyć się z Andi tunelem parapsychoicznym i pokazać jej, przez co muszę regularnie przechodzić. Ciekawe, jak spodobałoby się jej moje życie. Zobaczymy, czy później też pałałaby takim świętym oburzeniem. Nie byłoby to słuszne, ale...

Odetchnęłam powoli. Nie. Harry nauczył mnie, po czym poznać, że właśnie zamierzasz

uzasadnić jakąś złą decyzję. Można to poznać po takich sformułowaniach, jak „nie byłoby to słuszne, ale...”. Doradzał mi, żeby w takich przypadkach zamiast przecinka postawić kropkę. „Nie byłoby to słuszne”.

A zatem nie zrobiłam nic pochopnie. Nie wypuściłam ze środka szalejącej burzy.

— Co twoim zdaniem powinnam zrobić? — spytałam tylko.

Andi sapnęła i wykonała jakiś nieokreślony gest.

— Po prostu... ogarnij się, dziewczyno. Nie sądzę, żebym wymagała zbyt wiele, biorąc pod uwagę, że mój chłopak dał ci klucze do własnego mieszkania.

Zamrugalam. O rany. Szczerze mówiąc, nigdy nawet nie rozważałam tego aspektu. Miłość i miłosne konflikty jakoś nie były ostatnio wysoko na mojej liście priorytetów. Andi nie miała się z mojej strony czego obawiać... ale chyba za mało wyczuwała ludzkie emocje, by zdawać sobie z tego sprawę. Dopiero teraz zdołałam określić, skąd bierze się część jej niepokojów. Nie była zazdrosna, ale na pewno zdawała sobie sprawę, że jestem młodą kobietą, którą wielu facetów uważa za atrakcyjną i że Waldo jest facetem.

A ona go kochała. To też wyczuwałam.

— Pomyśl czasem o nim — poprosiła cicho. — Po prostu... czasem zadbaj o niego, tak jak on dba o ciebie. Zadzwoń, zanim przyjdiesz. Gdybyś weszła tu zakrwawiona w przyszłą sobotę wieczorem, Waldo musiałby się długo tłumaczyć przed rodzicami.

Prawdopodobnie wyczułabym obecność obcych, jeszcze zanim położyłabym rękę na kłamce. Ale nie było sensu mówić o tym Andi. To nie jej wina, że nie do końca rozumiała, jaki tryb życia prowadzę. Na pewno nie zasługiwała, by przez to zginąć, nieważne, co mówił na ten temat mój wewnętrzny lord Sith.

Powinnam dokonywać wyborów głową. Serce było zbyt złamane, bym mogła mu zaufać.

— Postaram się — powiedziałam.

— Dobrze — odparła Andi.

Przez chwilę palce prawej ręki mi zadrżały i odkryłam, że ciemna strona lada chwila ciśnię w tę kobietę mocą, ogłuszy ją, osłepi, wciągnie w wir. Lea pokazała mi, jak to zrobić. Szybko opanowałam ten odruch.

— Andi? — powiedziałam tylko.

— Tak?

— Już nigdy nie próbuj mnie uderzyć. Chyba że chcesz mnie potem zabić.

Nie chciałam, by zabrzmiało to jak groźba. Po prostu w obliczu przemocy reagowałam instynktownie. Psychiczne turbulencje towarzyszące takim konfliktom wprawdzie nie były już dla mnie bolesne, ale naprawdę trudno było rozumować jasno, słysząc ten wściekły ryk dobiegający z wewnątrz. A gdyby Andi znów potraktowała mnie w ten sposób... nie jestem pewna, jak bym

zareagowała.

Nie jestem szalona. Tak mi się wydaje. Ale nauka survivalu u kogoś pokroju ciotki Lei kładła przede wszystkim nacisk na ochronę siebie, nie na pracę zespołową.

Groźba czy nie groźba, Andi widziała w życiu sporo konfliktów i nie zamierzała się wycofać.

— Obiecuję, że nie trzepnę cię w pysk, jeśli sobie na to nie zasłużysz.

* * *

Waldo i Justine wyszli, by kupić coś na obiad i wrócili po dziesięciu minutach. Przy jedzeniu omówiliśmy sytuację.

— Svartalfheim — szepnęła Justine. — Niedobrze...

— To ci Skandynawowie, tak? — upewnił się Butters.

Pomiędzy kolejnymi kęsami kurczaka w pomarańczach przekazałam im, czego się dowiedziałam od Leanansidhe. Zapadła długa cisza.

— A zatem... — odezwała się w końcu Andi. — Plan jest taki, żeby... wyciągnąć go, dając im dupy?

Spojrzałam na nią ciężko.

— Hej, tylko spytałam.

— Nie zgodzą się na to — odparła Justine. Jej głos był niski, napięty. — Nie dzisiaj.

— Dlaczego? — spytałam podejrzliwie.

— Zawarli dzisiaj sojusz — wyjaśniła. — Wieczorem odbędzie się uroczystość. Zaprosili Larę.

— Jaki sojusz?

— Pakt o nieagresji. Z Fomorianami.

Oczy prawie wyszły mi z orbit.

Sytuacja robiła się coraz gorsza. Chicago nie było może najbardziej obleganym miastem na świecie, a jednak jego ulice wciąż stanowiły koszmar dla każdego, kto miał choćby najmniejszy talent magiczny. Nie miałam dostępu do informacji, które zdobywałam, pracując z Harrym i Białą Radą, ale czasem wylapywałam wieści z paranetu i innych źródeł. Fomorianie stanowili coś w rodzaju supergrupy złoczyńców, wyrzutków i rozbitków ocalałych z kilkunastu różnych panteonów, nieistniejących już od dawien dawna. Razem utworzyli grupę istot zwanych Fomorianami i przez jakiś czas nie dawali znaku życia — a konkretnie przez tysiące lat.

A teraz wkroczyli do gry i nawet potężne państwa, takie jak Svartalfheim, bardzo starały się zejść im z drogi.

O rany. Nie byłam dość magiczna, by sobie z tym poradzić.

— Lara prawdopodobnie wysłała do nich Thomasa, by zrobił coś w tej sprawie — ciągnęła

Justine. — Może coś ukradł, zdobył informacje, jakoś sabotował sojusz. Samo wtargnięcie na ich teren byłoby obrazą. Jeśli przyłapano go na szpiegostwie...

— Zrobią pokazówkę — domyśliłam się. — Postanowią go przykładowo ukarać.

— Czy Biały Dwór nie mógłby go wyciągnąć? — spytał Waldo.

— Gdyby Dwór zgłosił się po jednego ze swoich, to tym samym przyznaliby, że wysłali agenta, żeby szpiegował Svartalfheim — odparłam. — Lara nie może tego zrobić, nie ryzykując poważnych konsekwencji. Zaprzeczy, że miała z tym cokolwiek wspólnego.

Justine wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju, całe ciało miała napięte.

— Musimy coś zrobić! Zapłacę każdą cenę. Zapłacę dziesięciokrotnie, ale musimy coś zrobić!

W zamyśleniu ugryzłam pomarańczowego kurczaka, mar szcząc brwi.

— Molly! — wykrzyknęła Justine.

Spojrzałam na jedzenie. Pomarańczowy sos ładnie kontrastował z zielenią brokołu i miękkimi konturami porcji ryżu. Trzy kolory ładnie się uzupełniały. W sumie było to dość... piękne.

— Pożądamy piękna, jak smok złota — powtórzyłam.

Butters chyba się zorientował, że wpadłam na pomysł. Odchylił się na krześle i chwycił porcję makaronu z pudełka. Bardzo precyzyjnie posługiwał się pałeczkami, nie musiał patrzeć.

Andi zorientowała się chwilę później i przekrzywiła głowę.

— Molly?

— Urządzają dziś bal — powiedziałam. — Prawda?

— Tak — potwierdziła Justine.

Andi przytaknęła niecierpliwie.

— Tak, ale co w związku z tym zrobimy?

— Jakto co? — odparłam. — Pójdziemy na zakupy.

* * *

Zawsze byłam urwisem. Lubiłam biegać po dworze, uprawiać sporty, uczyć się różnych nowych rzeczy, czytać i budować. Nigdy nie miałam ołazji zakosztować typowo dziewczyńskich rozrywek. Andi była w tym trochę lepsza — prawdopodobnie wychowanie miało tu coś do rzeczy. U mnie w domu można się było dowiedzieć, że makijaż jest dobry na niedzielę do kościoła i dla kobiet lekkich obyczajów.

Wiem, trudno o większą sprzeczność. Uwierzcie mi, miałam swoje problemy, jeszcze zanim zaczęłam się parać magią.

Nie wiedziałam, jakim cudem zdołamy załatwić wszystko przed rozpoczęciem uroczystości. Ale gdy już wyjaśniłam, o co chodzi, okazało się, że Justine ma wszystkie te dziewczyńskie rzeczy w małym palcu.

Już po kilku minutach podjechała taksówka i zawiozła nas do prywatnego salonu kosmetycznego, gdzie Justine zaprezentowała całkiem zwyczajną i zupełnie nieoznaczoną białą kartę kredytową. Jakieś dwadzieścia osób z obsługi — styliści odzieżowi, fryzjerzy, wizażyści i krawcy — zabrali się do dzieła i wyszykowali nas na misję w niecałą godzinę.

W pierwszej chwili nie byłam w stanie odejść od lustra. Próbowalam obejrzeć tę postać obiektywnie, jakby była kimś innym, nie tą dziewczyną, która zabiła ukochanego człowieka, a potem znów go zawiodła, nie mogąc ochronić nawet jego ducha. Tamta suka zasłużyła sobie, żeby wpaść pod pociąg.

Dziewczyna w lustrze była wysoka, miała naturalne blond włosy, które skręcono w skomplikowany kok i zabezpieczono dwoma czarnymi pałeczkami. Była szczupła, może nawet za bardzo, ale także za bardzo umięśniona, by wyglądać na uzależnioną od koki. Jej mała czarna sukienka wywołałaby sensację na ulicy. Zdawała się trochę zmęczona, nawet w fachowo nałożonym makijażu. Wyglądała ładnie — pod warunkiem, że ktoś jej nie znał i nie patrzył za bardzo na to, co się dzieje w tych niebieskich oczach.

Biała limuzyna podjechała pod same drzwi, a ja zdołałam do niej podbiec, nie upadając na twarz.

— O mój Boże! — wykrzyknęła Andi. Wyciągnęła przed siebie nogi i zamachała stopami. — Te buty są cudowne! Jeśli bę dę musiała się zwilżyć i odgryźć komuś twarz, to chyba się rozplaczę.

Justine uśmiechnęła się lekko, ale potem wyjrzała przez okno. Jej urocza twarz była zamysłona, zmartwiona.

— To tylko buty.

— Buty, w których moje nogi i tyłek wyglądają jak marzenie!

— Ale bolą — zauważyłam. Postrzelona noga wprawdzie już mi się zagoiła, ale chodzenie w tych spiczastych narzędziach tortur okazało się zupełnie nowym doświadczeniem. Ból zaczynał promieniować od uda aż na biodro. Ostatnie, czego mi teraz było trzeba, to skurcz mięśni, po którym padnę na ziemię, tak jak na początku rekonwalescencji, gdy próbowałam znów chodzić. Do butów na takich obcasach powinni dokladać siatkę bezpieczeństwa. Albo spadochron.

Wybrałyśmy podobne stroje: stylowe czarne minisukienki, czarne dusiki na szyję i czarne szpilki, które — mam nadzieję — sugerowały, że nie zamierzamy dużo chodzić. Każda z nas ścisnęła skórzaną włoską kopertówkę. Schowałam do swojej większość magicznych przyborów. Poprosiłyśmy też o podobne fryzury różniące się drobnymi szczegółami. Podejrzewam, że niektóre renesansowe obrazy malowano z mniejszą pieczołowitością niż nasze twarze.

— Wystarczy trochę praktyki — stwierdziła Justine. — Jesteś pewna, że to zadziała?

— Oczywiście — odparłam spokojnie. — Przecież chodzisz do klubów. Nasza trójka mogłaby

się wciąć w kolejkę do każdego lokalu. We trzy stanowimy idealny gorący zestaw.

— Dziewczyny Roberta Palmera? — podsunęła zgryźliwie Andi.

— Raczej Aniołki Charliego — odparłam. — Aha, skoro o tym mowa. — Otworzyłam kopertówkę i wydobylałam kryształ kwarcowy wielkości mojego kciuka. — Bosley, słyszysz mnie?

Chwilę później kryształ zawibrował mi w ręku i dobiegł z niego odległy głos Walda.

— Czysto i wyraźnie, moje aniołki. Myślicie, że to wciąż będzie działać po wejściu do środka?

— Zależy od tego, jak bardzo są podejrzliwi — odpowiedziałam. — Jeśli tylko mają paranoję, to wnieśli tarcze odcinające wszelką komunikację. Jeśli mają morderczą paranoję, to ustawili tarcze przepuszczające rozmowy, żeby móc nas podsłuchać, a potem zabić.

— Kupa zabawy — stwierdził Butters. — Okęj, ustawiłem czat na paraniecie. Umysł roju jest na sieci.

— Czego zdołałeś się dowiedzieć? — spytała Andi.

— Będą podobni do ludzi — odpowiedział Waldo. — Ich prawdziwa postać... są pewne niejasności, ale generalnie przypominają kosmitów.

— Bardziej Ripley czy Roswell?

— Roswell. Mogą zamieszkiwać ciała, tak jak wampiry z Czerwonego Dworu. Weźcie pod uwagę, że będą w przebraniu.

— Jasne. Coś jeszcze?

— Niewiele. Krążą różne plotki, ale nic pewnego. Możliwe, że są uczuleni na sól. Mogą być obsesyjno-kompulsywni i dostać amoku, jeśli włożysz ubranie na lewą stronę. Możliwe, że pod wpływem słońca zamieniają się w kamień.

Zawarczałam.

— Warto było sprawdzić. Śledź te dyskusje, odezwę się, jak będę mogła.

— Jasne. Marci właśnie przyszła. Wezmę laptopa i będę czekać na was po wschodniej stronie budynku, jak już skończycie. Andi, jak wyglądasz? Smakowicie?

— Przepięknie — odparła zdecydowanie ruda. — Całe szczęście, że ta sukienka nie jest o cal krótsza, wyglądałabym jak rozpustna nimfomanka.

— Niech ktoś zrobi zdjęcie! — wykrzyknął wesoło Butters, ale dosłyszałam niepokój w jego głosie. — Do zobaczenia wkrótce.

— Uważaj na siebie — powiedziałam. — Do zobaczenia.

Włożyłam kryształ do torebki i starałam się zignorować dreszcz przypominający nerwowe trzepotanie motyli w brzuchu.

— To się nie uda — mruknęła Justine.

— Jasne, że się uda — zgasiłam ją, starając się zachować optymistyczny ton. — Wejdziemy tam jak burza. Biust będzie z nami.

Justine spojrzała na mnie spod uniesionych brwi.

— Biust?

— Biust to coś więcej niż same piersi — oznajmiłam poważnie. — To pole energii żywych piersi, które nas otacza i przenika... I spaja galaktykę w jedną całość.

Andi zachichotała.

— Zwariowałaś.

— Ale w tym szaleństwie jest metoda — odrzekłam i poprawiłam gorset sukienki. — Po prostu wyłącz świadomość i działaj instynktownie.

Justine przez chwilę wpatrywała się we mnie pustym wzrokiem. Potem twarz jej się rozjaśniła.

— Biust będzie z nami?

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

— Zawsze.

* * *

Limuzyna ustawiła się w rzędzie podobnych pojazdów podwożących gości do bramy warowni svartalców. Łokaj otworzył drzwi, a wtedy wystawiłam nogi i spróbowałam wysiąść, nie pokazując wszystkim bielizny. Andi i Justine poszły za mną. Zdecydowanym krokiem podążyłam do wejścia. Nasze obcasy stuknęły prawie w jednym rytmie i nagle poczułam, że wszyscy w okolicy odwracają wzrok w naszą stronę. Znad tłumy uniosła się chmura myśli i emocji — głównie przyjemność, ale także mieszanka pożądania, otwartej żądzy, niepokoju, zazdrości i zaskoczenia. Wszystkie emocje kłębiły mi się pod czaszką, drapiąc nieprzyjemnie, ale wiedziałam, że to konieczne. Nie wyczuwałam żadnej wrogości albo agresji, a ta sekunda wyprzedzenia, jaką zyskiwałam, wyczuwając intencje napastnika, zanim wprowadził je w czyn, mogła ocalić nam życie.

Strażnik przy drzwiach przyglądał się nam uważnie. Czułam krążące w jego umyśle nieskomplikowane pożądanie. Jednak ton i wyraz twarzy miał profesjonalnie neutralny.

— Dobry wieczór paniom — oznajmił. — Czy mogę zobaczyć zaproszenia?

Uniosłam brwi i kąciaki ust w uśmiechu, który — miałam nadzieję — zdawał się uwodzicielski i odrobinę wygięłam w tył plecy.

— Nie musi pan oglądać naszych zaproszeń.

— Eee... — zająknął się. — Widzi pani... obawiam się, że muszę.

Andi stanęła obok mnie i błysnęła seksownym uśmiechem kociaka, po którym na sekundę ją znieawidziałam.

— Nie, nie musi pan.

— Um... niestety. Nadal muszę.

Justine stanęła po mojej drugiej ręce. Wyglądała raczej słodko niż seksownie, ale tylko troszkę.

— Jestem pewna, że to zwykłe niedopatrzenie. Czy mógłby pan poprosić kogoś z przełożonych?

Przez chwilę mierzył nas wzrokiem, wahając się wyraźnie. Potem powoli sięgnął do radia przy pasku i uniósł je do ust. Chwilę później ze środka budynku wyszedł niski mężczyzna w jedwabnym garniturze. Zmierzył nas długim spojrzeniem.

Strażnik był wprawdzie zainteresowany, ale jego reakcja nie wykraczała poza normę. Była to tylko iskierka, instynktowna odpowiedź mężczyzny na widok atrakcyjnej kobiety.

To, co poczułam ze strony przybysza... wyglądał jak flara sygnałowa. Płonął tysiąc razy goręcej i bardziej jasno... płonął bez końca. Już wielokrotnie wyczuwałam u ludzi lubieżność i pożądanie, ale to sięgało na tyle głębiej, że nie umiałam tego nawet nazwać. To było... wielkie, niezmierzone, nieludzkie pragnienie splecione z namiętą i zazdrosną miłością, zabarwione pociąganiem seksualnym i żądzą. Czułam się, jakby stała obok małego słońca i nagle zrozumiałam, co próbowała mi przekazać ciocia Lea.

Ogień jest gorący. Woda jest mokra. A svartalflowie mają słabość do pięknych kobiet. Nie potrafią zmienić swojej natury, tak jak nie można zmienić ruchu gwiazd.

— Moje panie — oznajmił przybysz. Uśmiechał się czarująco, ale było w tym coś odległego i niepokojącego. — Proszę, zaczekajcie chwilę, żebym mógł uprzedzić o waszym przybyciu resztę obsługi. Będziemy zaszczytzeni, jeśli do nas dołączycie.

Odwrócił się i wszedł do środka.

Justine spojrzała na mnie spod oka.

— Biust bardzo potężnie działa na słabe umysły — powiedziałam.

— Czułabym się pewniej, gdyby nie zakończył kwestią Dartha Vadera — szepnęła Andi.

— Dziwnie pachniał. Czy to...?

— Tak — szepnęłam. — To jeden z nich.

Mężczyzna w garniturze za chwilę pojawił się znowu, wciąż uśmiechnięty, i otworzył nam drzwi.

— Szanowne panie — oznajmił. — Nazywam się Etri. Proszę, wejście.

* * *

Nigdy w życiu nie widziałam bardziej okazałego wnętrza niż warownia svartalfów. Ani w magazynach wnętrzarskich, ani w filmach. Nawet w programie *W domu u...*

Były tu tony granitu i marmuru, i całe ściany wysadzane szlachetnymi kamieniami. Kinkiety wyglądały na wykonane ze szczerego złota, a kontakty — na wyrzeźbione z kości słoniowej. Co

dwadzieścia, trzydzieści kroków stali ochroniarze, wyprostowani na baczność, jak strażnicy przed pałacem Buckingham, tyle że bez tych wysokich czapek. Światło wylewało się zewsząd i znikąd, aż wszystkie cienie stawały się wąskie i kruche, ale jednocześnie blask nie raził oczu. W powietrzu unosiła się muzyka, jakiś stary, klasyczny kawałek, same struny, żadnych perkusji.

Etri poprowadził nas korytarzem do wielkiej sali balowej, przypominającej katedrę. Była naprawdę olbrzymia — miałam wrażenie, że zmieściłby się tu cały budynek, do którego właśnie wkroczyliśmy, wokół pełno było wytwornych ludzi w kosztownych strojach.

Przystanęliśmy w wejściu, gdy Etri rozmawiał z kolejnym strażnikiem. Wykorzystałam tę chwilę, by rozejrzeć się wokół. Sala nie była nabitą, ale widziałam, że ludzi jest naprawdę dużo. Rozpoznałam kilkoro celebrytów, takich których zna się z widzenia, nawet jeśli nie kojarzy się nazwisk. Wśród gości było także sporo Sidhe, ich niewiarygodna doskonałość została przytłumiona, by dawać jedynie efekt egzotycznego piękna. Bal zaszczylił swoją obecnością także Johnnie Marcone, władca chicagowskiego półświatła, w towarzystwie swego goryla Hendricksa i osobistej ochroniarce, wiedźmy Gard. W okolicy kręciło się też sporo ludzi, co do których nie byłam nawet pewna, czy są ludźmi — czułam, jak wokół nich percepcja zaczyna się rozmywać, jakby odcięta cienką kurtyną wodospadu.

Ale nigdzie nie widziałam Thomasa.

— Molly — szepnęła Justine, ledwie dosłyszalnie. — Czy on...?

Zakęcie tropiące, które wyczuwałam ustami, wciąż działało. Lekkie drzenie sugerowało, że Thomas jest gdzieś w pobliżu, prawdopodobnie w głębi tego budynku.

— Żyje — powiedziałam krótko. — Jest tu.

Justine zadrżała i odetchnęła głęboko. Zamrugnęła powoli, jej twarz ani na chwilę nie zmieniła wyrazu. Poczułam od niej falę ulgi i potwornego strachu; nagle uderzenie uczuć każących jej krzyczeć albo wybuchnąć płaczem. Oczywiście nie zrobiła nic takiego, a ja odwróciłam wzrok, by udawać, że wcale nie zauważyłam jej ledwie opanowanego kryzysu.

Pośrodku parkietu ustawiono małe, kamienne podwyższenie, do którego prowadziło kilka schodków. Na podwyższeniu umieszczono podium z tego samego materiału. Na nim leżał wysoki stos papierów i ładnie ułożony rząd wiecznych piór. Było w tym coś podniosłego i uroczystego.

Justine też spojrzała w tamtą stronę.

— To chyba to.

— Dokument paktu?

Przytaknęła.

— Svartalfowie są bardzo metodyczni. Podpiszą pakt punktualnie o północy. Zawsze tak robią.

Andi w zamyśleniu postukała palcem w biodro.

— A co, jeśli ten dokument spotka jakieś nieszczęście? Na przykład ktoś wyleje na niego

butelkę wina? To by zwróciło uwagę. Może nawet dałoby nam szansę przekraść się gdzieś dalej.

Potrząsnęłam głową.

— Nie. Jesteśmy tu gośćmi. Wiesz, co to oznacza?

— Eee... nie do końca.

— Svartalfowie są staromodni — wyjaśniłam. — Naprawdę staromodni. Jeśli przebywając na ich terenie, naruszymy porządek, wówczas złamiemy prawo gościnności i obrazimy ich jako gospodarzy, i to otwarcie, na oczach całej paranormalnej społeczności. Mogą zareagować... gwałtownie.

Andi zmarszczyła brwi.

— To co teraz zrobimy?

Dlaczego ludzie wciąż zadają mi to pytanie? Czy wszyscy magowie muszą przez to przechodzić? Prawdopodobnie sama zadałam Harry'emu to pytanie setki razy, ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jakie to trudne, gdy ludzie kierują się z nim do ciebie. Ale Harry zawsze wiedział, co robić dalej. Ja mogłam tylko improwizować i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

— Justine — spytałam po chwili namysłu. — Znasz tu jakichś gości?

Jako asystentka Lary Raith Justine miała kontakt z dużą liczbą ludzi i nie-do-końca-ludzi. Lara trzymała za ogon tyle srok, że trudno było z tego nawet żartować, a Justine widziała, słyszała i rozumiała znacznie więcej, niż się ludziom wydawało. Białowłosa dziewczyna przesunęła wzrokiem po sali, przeskakując od twarzy do twarzy.

— Kilku.

— W porządku — odparłam. — Wmieszaj się w tłum i dowiedz się jaknajwięcej. I miej oczy otwarte. Jeśli wyślą za nami oddział brutalni, uruchom kryształ i ostrzeż nas.

— Dobrze — szepnęła Justine. — Bądźcie ostrożne.

Etri wrócił, znów uśmiechnięty, choć jego oczy pozostały niepokojąco neutralne. Uniósł rękę i obok natychmiast zmaterializował się kelner w smokingu z tacą pełną kieliszków. Poczestowaliśmy się.

— Moje panie, proszę się rozgościć — oznajmił gospodarz. Uniósł kieliszek — Za piękno.

Powtórzyłyśmy toast i wypiliśmy. Ledwie pozwoliłam sobie dotknąć płynu ustami. Był to prawdziwy szampan, naprawdę dobry. Mocno musujący, prawie nie czułam w nim alkoholu. Nie obawiałam się trucizny. Etri ostentacyjnie pozwolił nam wybrać kieliszki, zanim sięgnął po własny.

Bardziej niepokoił mnie fakt, że zanim wypiałam, przez chwilę rozważałam możliwość potencjalnego otrucia i przyjrzałam się zachowaniu Etriego. Czy to już paranoja? Wtedy wydało mi się całkiem rozsądne.

— Bawcie się dobrze — dodał gospodarz. — Obawiam się, że gdy czas pozwoli, będę musiał nalegać, by każda z pań pozwoliła mi choć na jeden taniec. Która zechce być pierwsza?

Justine obdarzyła go biuściastym uśmiechem i uniosła rękę. Gdyby ktoś przystawił mi pistolet do głowy, pewnie przyznałabym, że z naszej trójki to ona była najładniejsza, a Etri zdecydowanie się z tym zgadzała. Jego oczy przybrały ciepły wyraz, tuż zanim ujął ją za rękę i wyprowadził na parkiet. Potem zniknęli w tłumie.

— I tak nie dałabym sobie rady z tym tańcem balowym — stwierdziła Andi. — Za mało trzęsienia tyłkiem. Czas na kolejny ruch?

— Czas — zgodziłam się. — Chodźmy.

Skęciłam, podążając za mrowieniem w ustach i razem przeszliśmy na tyły sali, gdzie umieszczono drzwi prowadzące w głąb budynku. Nie było strażników, ale im bardziej się zbliżyliśmy, tym bardziej Andi zwalniała krok. Zerknęła w bok, w stronę stołu z przekąskami i zaczęła się odwracać.

Złapałam ją za ramię.

— Stój. Gdzie idziesz?

— Eee... — zmarszczyła brwi. — Tam?

Rozpostarłam zmysły i poczułam subtelną siateczkę magii w powietrzu wokół drzwi, delikatną jak pajęczyna. Był to rodzaj zasłony przeznaczonej do tego, by odwracać uwagę osób podchodzących do drzwi, kierując w stronę najbliższej innej rzeczy. Przekąski wydawały się apetyczniejsze. Gdyby Andi dostrzegła w pobliżu jakiegoś faceta, wyglądałby znacznie przystojniej niż w rzeczywistości.

Od prawie roku potężna elfia czarownica regularnie rzucała we mnie zasłonami i urokami, pomagając mi zbudować skuteczne osłony, a kilka miesięcy temu przetrwałam dwanaście rund na parapsychicznym ringu bokserskim z nekromantą wagi ciężkiej. Nawet nie zauważyłam, jak delikatna siateczka ześlizguje się po moich tarczach.

— To zakłęcie — powiedziałam. — Nie daj się omamić.

— Czym? — odparła. — Nic nie czuję. Po prostu jestem głodna.

— Tak miało być. Nie powinnaś nic poczuć — wyjaśniłam. — Tak właśnie działa ten czar. Weź mnie za rękę i zamknij oczy. Zaufaj mi.

— Gdybym dostawała dolara za każdy zły wieczór, który zaczął się od takiego tekstu... — mruknęła, ale wzięła mnie za rękę i zamknęła oczy.

Podeszłyśmy do drzwi i czułam, że Andi z każdym krokiem robi się bardziej napięta, ale potem przeszłyśmy, a ona odetchnęła gwałtownie i otworzyła oczy.

— Łał. To uczucie... właściwie nic nie poczułam.

— Po tym można poznać wysokiej jakości czar — przytaknęłam. — Jeśli nie wiesz, że coś na

ciebie działa, to nie będziesz z tym walczyć.

Korytarz, w którym się znalazłyśmy, wyglądał jak wnętrze typowego biurowca. Złapałam za klamkę najbliższych drzwi — były zamknięte. Kolejne także, ale w końcu trafiłyśmy na pokój konferencyjny i wślizgnęłyśmy się do środka.

Wy ciągnęła kryształ z torebki.

— Bosley, słyszysz mnie?

— Czysto i wyraźnie, aniołki — odparł Waldo. Nikt z nas nie używał prawdziwych imion.

Kryształy były prawdopodobnie bezpieczne, ale rok znoszenia paskudnych sztuczek Lei na każdym kroku nauczył mnie, by nigdy nie robić za dużo założeń.

— Masz te plany budynku?

— Do jakichś dziewięćdziesięciu sekund. Właściciel budynku złożył wszystkie potrzebne papiery, włącznie z kopią elektroniczną, na którą, dzięki umysłowi roju, teraz właśnie patrzę.

— Dobra robota, mózgi — pochwaliłam. — Powiedz im, że dobrze się spisali.

— Powiem. Ci goście, u których teraz buszujecie, są bardzo dokładni. Bądźcie ostrożne.

— A kiedy to byłam nieostrożna?

Andi stanęła przy drzwiach, przyciśnięta do ściany, by chwycić każdego, kto wejdzie do środka.

— Mówisz poważnie?

Uśmiechnęłam się lekko.

— Nasza zagubiona owieczka jest w zachodnim skrzydle, patrząc od strony sali balowej. Co tam jest?

— Hm, chyba biura. Na pierwszym piętrze też biura. Na drugim... o, cześć, skarbie.

— Co tam znalazłeś?

— Skrytkę — odparł Waldo. — Ze stali pancерnej. Olbrzymią.

— Ha! — wykrzyknęłam. — Skrytka ze stali? Założę się o dwadzieścia dolców, że to loch.

Zacniemy od niej.

— Jest w piwnicy. Na końcu korytarza prowadzącego od sali balowej powinny być schody w dół.

— Bingo! — zawołałam. — Nie wyłączaj się, Bosley.

— Wasz rydwan już czeka.

Odłożyłam kryształ i zaczęłam zakładać pierścionki. Wyjęłam różdżki i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że nie zdołam nieść w rękach tego wszystkiego i jeszcze kopertówki.

— Trzeba było wziąć torbę listonoszkę — mruknęłam.

— Do tej sukienki? Chyba żartujesz.

— Racja. — Wyjęłam kryształ, wsadziłam za gorset sukienki, wzięłam różdżki do rąk i skinęłam

na Andi. — Jeśli to loch, to będą też strażnicy. Postaram się nas ukryć, ale trzeba będzie iść szybko.

Andi spojrzała na swoje buty i westchnęła ciężko. Następnie zrzuciła je i zdjęła małą czarną. Nie miała nic pod spodem. Zamknęła oczy, a potem jej sylwetka zaczęła jakby topnieć i rozmywać się w oczach. Wilkołaki nie przechodzą gwałtownych, bolesnych transformacji, chyba że na samym początku. Przynajmniej tak mi mówiono. Ta przemiana wyglądała równie naturalnie jak żywa istota obracająca się w kółko i siadająca na podłodze. Przez chwilę jeszcze widziałam Andi, a za moment na jej miejscu siedziała duża, ruda wilczyca.

Była to naprawdę fajna magia. Pomyślałam, że kiedyś muszę się dowiedzieć, jak to działa.

— Żadnej krwi, chyba że to będzie konieczne — przypomniałam, zrzucając z nóg własne narzędzia tortur. — Postaram się, żeby wszystko poszło szybko i bezboleśnie. Jeśli dojdzie do rękoczynów, to niezabijanie gości powinno nam zjednać punkty u svartalfów.

Andi tylko ziewnęła.

— Gotowa?

Pokiwała wilczą głową, szybko, zdecydowanie. Otoczyłam nas konturem swojej zasłony i nagle światło przygasło, barwy przybladły. Teraz prawie nie dało się nas dostrzec. Każdy, kto podszedłby do nas na pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kroków, nagle poczułby nieodpartą chęć podumania nad swoim życiem, tak głęboko kwestionując swoją dotychczasową drogę, że nie byłoby szans, by nas zauważył, pod warunkiem, że zachowywałybyśmy się cicho.

Z Andi u boku wyszłam na korytarz. Odnalazłyśmy schody, o których mówił Waldo, i otworzyłyśmy drzwi, powoli. Nie weszłam pierwsza. W takich chwilach niewiele jest rzeczy lepszych niż wilkołak przewodnik, a ja dostatecznie często pracowałam z Andi i jej znajomymi, by załapać tę rutynę.

Andi weszła pierwsza, poruszając się w absolutnej ciszy. Postawiła czujnie uszy, nos drgał. Wilki mają niezwykle wrażliwy węch i słuch. Jeśli ktoś byłby w pobliżu, Andi natychmiast by go wyczuła. Po jakichś dwudziestu sekundach usiadła, sygnalizując, że wszystko w porządku. Podkrađłam się do niej, szukając magicznych osłon i pułapek. Na pierwszym odcinku schodów było ich może pół tuzina. Proste mechanizmy, czarodziejskie odpowiedniki potykaczy.

Na szczęście ciocia Lea pokazała mi, jak omijać takie pułapki. Siłą woli zmodyfikowałam naszą zasłonę i skłębłam głowę. Razem ruszyliśmy po schodach, prześlizgując się poprzez niewidzialne magiczne pola, nie uruchamiając niczego, i trafiłyśmy do piwnicy.

Pchnęłam drzwi u podnóża schodów i odkryłam, że są otwarte.

— To zbyt łatwe — stwierdziłam. — Jeśli to naprawdę więzienie, to nie powinno być zamknięte?

Audi zawarczała gardłowo. Czulałam, że też jej się to nie podoba.

Usta wciąż mrowiły, teraz znacznie silniej. Thomas był gdzieś blisko.

— Chyba nie mamy wyboru. — Otworzyłam drzwi szerzej, poruszając się wolno i cicho.

Nie prowadziły do lochu ani do skrytki. Andi i ja patrzyłyśmy teraz w głąb korytarza równie wytworzonego co sala na górze, pełnego wielkich, ozdobnych drzwi. Każde z nich opatrzone numerkiem, najwyraźniej wykutym z czystego srebra. W strategicznych odstępach umieszczono przy ciemnione lampy, tak by korytarz był pogrążony w przytulnym półmroku, ale nie za ciemny.

Warkot Andi zmienił się w zdezorientowany pomruk. Przekrzywiła głowę.

— Aha — przytaknęłam. — Wygląda całkiem jak... hotel. Jest nawet strzałka do wyjścia pożarowego.

Andi potrząsnęła głową, a ja odebrałam na tyle dużo z jej emocji, by to zrozumieć: „Co to ma, kurwa, znaczyć?”.

— Tak właśnie. Co to jest? Kwatery mieszkalne svartalów? Pokoje gościnne?

Andi spojrzała na mnie i zastrzygła uszami. *Czemu mnie pytasz? Ja nawet nie mogę mówić.*

— Wiem. Ja tylko głośno myślę.

Andi zamrugała, nastawiając uszy i zerknęła na mnie z ukosa. *Słyszysz, co myślę?*

— Nie słyszę... po prostu rozumiem.

Odsunęłam się nieznacznie. *A już myślałam, że dziwniejsza nie będziesz.*

Uśmiechnęłam się maniaccko i wytrzeszczyłam oczy, robiąc minę, jaką zwykle straszylam moich braciszków i siostry.

Andi prychnęła, a potem zaczęła węszyć w powietrzu. Obserwowałam ją uważnie. Sierść zjeżyła się jej na karku, wilczyca przywarła do ziemi. *Coś tu jest. Za dużo zapachów, by się polapać. Coś znajomego i niedobrego.*

— Thomas jest gdzieś w pobliżu. Chodźmy.

Ruszyłyśmy naprzód, a ja wciąż kierowałam twarz prosto w stronę zakłęcia tropiącego. Zaczęło ciągnąć mnie w lewo, a gdy dotarłam do pokoju numer 6, nagle przesunęło się w kącik ust, póki nie stanęłam przed drzwiami.

— Tutaj. W szóstce.

Andi rozejrzała się po korytarzu, strzygąc uszami w różne strony. *Nie podoba mi się to.*

— Mnie też — szepnęłam. — O wiele za łatwe.

Sięgnęłam do klamki i zastygłam. Rozsądek podpowiadała, że ta sytuacja nie jest normalna, instynkt mówił to samo. Jeśli svartalowie wzięli Thomasa, to gdzie się podziały klatki, łańcuchy, zamki, kraty i strażnicy? A jeśli nie znalazł się tutaj wbrew własnej woli... to co właściwie robił?

Jeśli znajdziesz się w sytuacji, która wydaje ci się bez sensu, to zwykle dzieje się tak z jednego prostego powodu: masz złe informacje. W taką kabałę można się wpakować na kilka sposobów. Czasem po prostu znajdujesz nieprawdziwe informacje. Ale częściej — co jest znacznie bardziej

niebezpieczne — dochodzisz do złych wniosków, ponieważ dokonujesz niewłaściwych założeń.

A co najgorsze — czasem ktoś celowo podsuwa ci złe informacje, a ty, jak ostatni naiwniak, postanawiasz zaufać i łyknąć to jak gęś kluskę.

— Ciocia... — szepnęłam. — Oszukała mnie.

Lea nie wysłała mnie tutaj, żeby ocalić Thomasa, a w każdym razie nie tylko po to. To nie przypadek sprawił, że nauczyła mnie omijać magiczne zabezpieczenia svartalów. Miała inny cel i zamierzała mnie sprowadzić właśnie tutaj, tego wieczoru.

Powtórzyłam sobie w myślach całą naszą rozmowę i warknęłam. Nie powiedziała żadnego kłamstwa, ale wszystkie słowa dobierała właśnie tak, żebym doszła do niewłaściwego wniosku — że Thomas wymaga ratunku i że tylko ja mogę tego dokonać. Nie wiedziałam, dlaczego Leanansidhe postanowiła mnie tu sprowadzić, ale włożyła w to sporo wysiłku.

— Ta oszukańcza, kłamliwa, zdradliwa suka! Gdy ją w końcu dorwę...

Andi wydała nagły, bardzo niski warkot. Umilkłam w samą porę. Drzwi piwnicy otworzyły się i wyszedł zza nich ten gnojek Listen i kilku facetów w golfach.

Był mężczyzną średniego wzrostu, szczupłym i wysportowanym. Włosy miał przycięte po wojskowemu, skórę bladą, ciemne oczy przenikliwe i bezlitosne. Wraz z wilkołakami już kilka razy próbowaliśmy go dorwać, ale zawsze udawało mu się uciec albo zwrócić sytuację przeciwko nam i zmusić nas do ucieczki.

Okrutni złoczyńcy sami w sobie stanowią dostateczny problem. Okrutni, pomysłowi, bezwzględni, profesjonalni i sprytni złoczyńcy to coś znacznie gorszego. Listen należał do tej drugiej grupy i nienawidziłam go z całej siły.

Zarówno on, jak i jego sługusi ubrani byli w standardowe uniformy sług Fomorian — czarne spodnie, czarne buty i czarny sweter. Wysoki golf zasłaniał skrzydła umieszczone po bokach na szyi, dzięki temu mogli uchodzić za śmiertelników. W rzeczy wistości do nich nie należeli... w każdym razie od jakiegoś czasu. Fomorianie zmienili ich, sprawiając, że stali się silniejsi, szybsi i prawie niewrażliwi na ból. Nigdy przedtem nie udało mi się zastawić na nich porządnej pułapki, a teraz okazała sama wpadła mi w ręce. Aż mnie świerbiło, by pomścić krew, którą zmywałam z siebie zaledwie kilka godzin wcześniej.

Umysły sługusów były dziwne i stawały się coraz dziwniejsze. Trudno było dostać się im do głów, a jeśli pierwszy atak zakończyłby się niepowodzeniem, wówczas ta banda rozdarłaby mnie i Andi na strzępy.

A zatem zacisnęłam zęby. Położyłam Andi rękę na karku i ucisnęłam lekko. Następnie przycupnęłam obok, skupiając się na zasłonie. Musiałam trochę zminimalizować zakłęcie introspekcyjne — kilka miesięcy temu Listen omal mnie nie zabił, gdy zauważył u siebie efekty działania podobnego czaru. Było groźnie, ale od tego czasu sporo nad tym pracowałam.

Zamknęłam oczy i utkałam najłżejszą, najcieńszą pajęczyną sugestię, jaką tylko potrafiłam, jednocześnie zaciskając wokół nas zasłonę. Światło w korytarzu ściemniało prawie całkowicie, powietrze stało się wyraźnie chłodniejsze.

Nadeszli.

Listen szedł na czele szybkim, zdecydowanym krokiem. Sukinsyn minął mnie o dwa kroki. Mogłabym wyciągnąć rękę i go dotknąć.

Żaden z nich się nie zatrzymał.

Podeszli do pokoju numer osiem. Listen otworzył drzwi kluczem i wszyscy zniknęli w środku.

Takiej okazji nie mogłam przegapić. Mimo wszystkich potworności, jakie spowodowali Fomorianie od czasu masakry Czerwonego Dworu, wciąż nie wiedzieliśmy, dlaczego robią to, co robią. Nie wiedzieliśmy, czego chcą ani jakich obecne działania pomogą im to osiągnąć.

A zatem ruszyłam przed siebie — tak cicho, jak tylko nauczyły mnie wszystkie doświadczenia z ostatniego roku — i zrównałam się z rzędem sługusów wchodzących do środka. Po chwili zaskoczenia Andi dołączyła i ledwie zdołałyśmy wślizgnąć się do środka, zanim zamknięto drzwi,

Znalazłyśmy się w apartamencie umeblowanym z równym przepychem co reszta budynku. Oprócz sześciu ochroniarzy Listena było ich tu jeszcze pięciu, wyprostowanych jak struny, z rękami założonymi za plecami.

— Gdzie on jest? — spytał Listen, zwracając się do największego strażnika, z szyją jak hydrant uliczny.

— W środku.

— Już prawie czas. Powiadom go.

— Zostawił rozkazy, że nie życzy sobie, by mu przeszkadzać.

Listen zdawał się to rozważać.

— Brak punktualności spowoduje nieważność paktu, co uniemożliwi naszą misję. Obudź go.

Strażnik skrzywił się niechętnie.

— Nasz pan rozkazał...

Tors Listena wykonał nagły ruch. Dostrzegłam tylko smugę. Strażnik wydał bolesny syk, potem stęknął, a krew chlusnęła mu z szyi. Zatoczył się o krok, odwrócił i uniósł rękę.

Następnie z drżeniem runął na podłogę, a krew coraz szybciej wypływała z poszarpanej rany.

Listen wypuścił z zakrwawionych palców kawałek ciała wielkości piłki bejsbolowej i wytarł rękę o sweter zmarłego — na czarnej wełnie nie było widać krwi. Potem wstał i zapukał do drzwi.

— Panie? Już prawie północ.

Sześćdziesiąt sekund później to powtórzył.

Powiedział to jeszcze trzy razy, nim niewyraźny głos odparł:

— Wydałem rozkaz, by mi nie przeszkadzano.

— Wybacz, panie, ale czas nagli. Jeśli nie zadziałamy natychmiast, wszystkie wysiłki pójdą na marne.

— Nie tobie decydować o tym, które rozkłazy można ignorować — odparł głos. — Zabijcie tego głupca, który pozwolił zakłócić mój spoczynek

— Już to zrobiłem, panie.

Ze środka dobiegł jakby udobruchany pomruk, a potem drzwi się otworzyły i po raz pierwszy zobaczyłam jednego z fomoriańskich lordów.

Był wysoki i zylasty, ale jednocześnie wcale nie chudy. Ręce i stopy zdawały się zbyt duże, a brzuch — wyдутy, jakby stwór połknął piłkę do koszykówki. Szyję i podgardle miał obwisłe, a szczękę opuchniętą, jakby przechodził świniekę. Wargi były za szerokie, za grube i zbyt gumowate. Włosy miał przylizane niczym wątle pasma trawy morskiej wyrzucone na brzeg, i generalnie przypominał wielką, wychudzoną, jadowitą żabę. Okryty był tylko kocem, zarzuconym na ramiona. Fuj.

W pomieszczeniu za nim dojrzałam trzy kobiety — nagie, powykręcane i martwe. Wszystkie miały na szyi purpurowe ślady i szklane, niewidzące oczy.

Na jego widok golfiarze padli na kolana, choć Listen tylko przyklęknął na jedno.

— Jest tutaj? — upewnił się Fomorianin.

— Tak, panie — odparł Listen. — On i jego dwóch ochroniarzy.

Fomorianin zaskrzeczał i zatarł błoniaste łapy.

— Żalony, śmiertelny parweniusz. Nazywa siebie baronem. Zapłaci za to, co zrobił mojemu bratu.

— Tak, panie.

— Nikt prócz mnie nie ma prawa mordować mojej rodziny.

— Oczywiście, panie.

— Przyńś muszlę.

Listen skłonił się i skinął na trzech golfiarzy. Pospiesznie wyszli do sąsiedniego pokoju. Wrócili, niosąc skorupę ostrygi, która musiała ważyć chyba z pół tony. Była olbrzymia, pokryta pąkami, koralami czy jak tam nazywa się te narośle na kadłubach statków. Miała przynajmniej siedem stóp średnicy. Golfiarze postawili ją pośrodku pokoju.

Fomorianin podszedł do muszli, dotknął jej ręką i wymamrotał jakieś słowo. Natychmiast na całej powierzchni zablęskota światło, skręcając się i zwijając w jakieś kształty, może litery. Fomorianin przez jakiś czas pochylał się nad muszlą z wyciągniętą ręką i zmrużonymi ślepiami i recytował coś syczącym, bulgoczącym głosem.

Nie miałam pojęcia, co robi, ale przenośli przy tym dużo energii. Czulałam, jak wypełnia pokój, jak staje się coraz ciasniejszy i coraz trudniej mi oddychać.

— Panie? — spytał nagle Listen. — Co robisz?

— Szykuję podarunek dla naszych nowych sprzymierzeńców — odparł Fomorianin. — Nie mogę zlikwidować svartalfów i wszystkich innych za jednym zamachem. Jeszcze nie teraz.

— Nie taki był plan cesarzowej.

— Cesarzowa — wycedził Fomorianin. — Powiedziała tylko, że mam nie krzywdzić naszych nowych sojuszników. Nic nie wspominała o tym ścierwie, które zlezie się na ich uroczystość.

— Svartalfowie cenią honor ponad wszystko — ostrzegł Listen. — Ściągniesz na nich hańbę, jeśli kogoś spotka pod ich dachem krzywda, mój panie. To może zniweczyć cały sojusz.

Fomorianin splunął. Kropla żółtawego śluzu rozbryzgała się na podłodze u stóp Listena.

— Nie obchodzi mnie, co się stanie po podpisaniu paktu. Mój podarunek zostanie sprezentowany później. Oszczędzę ich nędzne życia. A jeśli reszta tych śmieci zwróci się przeciw svartalfom, to nie będą mieć wyboru, jak tylko zwrócić się do nas. — Uśmiechnął się złośliwie.

— Nie obawiaj się, Listenie. Nie jestem tak głupi, by zabić jednego z pupilków cesarzowej, nawet przypadkiem. Ty i twoi koledzy też przetrwacie.

Nagle rozpoznałam ładunek energii zbierającej się w olbrzymiej muszli na podłodze i serce prawie mi stanęło.

Jasna cholera.

Lord Żaba zmajstrował sobie bombę.

Tutaj, na podłodze.

— Moje życie należy do moich panów. Mogą je wykorzystać, jak im się podoba — odparł Listen. — Czy masz jeszcze jakieś rozkazy?

— Zabierzcie ze zwłok jak najwięcej kosztowności.

Listen skinął głową.

— Jak bardzo zabójczy okaże się ten prezent?

— Ten, który sprezentowałem Czerwonemu Dworowi w Kongu, okazał się dostatecznie skuteczny — odparł Żaba, bardzo zadowolony z siebie.

Serce zabiło mi jeszcze szybciej. Podczas walki z Białą Radą Czerwony Dwór użył czegoś w rodzaju gazu paraliżującego w szpitalu leczącym rannych magów. Broń zabiła dziesiątki tysięcy ludzi, i to w mieście znacznie mniejszym i mniej zatłoczonym niż Chicago.

Czułam, że stopy mam małeńkie i bardzo zimne.

Lord Żaba stęknął, zatrzepotał paluchami, a muszla zniknęła ukryta pod zasłoną, wcale nie ustępującą moim najlepszym dziełom. Fomorianin pochylił głowę i uśmiechnął się.

— Przynieście mi szaty.

Golfiarze pospiesznie ubrali lorda w prawdopodobnie najbardziej kiczowaty strój w historii świata. Pokrywały go kolorowe hafty, niczym zmarszczki na wodzie. Kolory gryzły się jak

oszalał. Wyszyto go perlami, niektóre z nich były wielkości wiśni. Na głowę włożyli mu coś w rodzaju korony, a potem skierowali się do drzwi.

Skuliłam się pod ścianą, najdalej jak mogłam, prawie przy minibarze, przyciskając do siebie Andi i okrywając się jak najmocniej zasłoną. Lord Żaba minął mnie, zamiatając szatą, a golfiarze pospieszili za nim w dwuszeregu, szli równym, precyzyjnym ruchem, aż w końcu ostatnia para zatrzymała się przy drzwiach.

Listen powoli przesunął wzrokiem po pokoju i zmarszczył brwi.

— O co chodzi? — spytał jeden z golfiarzy.

— Czujecie to? — spytał.

— Ale co?

— Perfumy.

O cholera.

Zamknęłam oczy i skłupiłam się gorączkowo na swoim zakłęciu sugestii, dodając do niej nitki niecierpliwości, mając nadzieję, że Listen nic nie zauważy.

Po chwili jeden z golfiarzy oznajmił:

— Ja tam nigdy nie lubiłem perfum. Chodźmy już. Nie powinniśmy się oddalać od lorda.

Listen wahał się jeszcze przez moment, a potem odwrócił się na pięcie.

— Molly! — zawołał w tej samej chwili głos Justine dobiegający z kryształu, który miałam za sukienkę. — Gard wpadła w panikę i prawie siłą wywlekła Marccone'a z sali. Rozesłali ochronę po budynku!

Czasem mam wrażenie, że całe moje życie ukształtował jeden wielki brak wyczuwania czasu.

Listen natychmiast odwrócił się do nas, ale Andi była szybsza. Zerwała się z podłogi jednym trzymetrowym susem i wpadła na drzwi, zamykając je całym impetem skoku. Po chwili znów była naga, ludzką kobietą. Naparła na drzwi i zamknęła je ręcznie.

Wyłowila kryształ zza sukienki i wykrzyknęłam do niego:

— W budynku jest bomba! W skrzydle gości! Powtarzam, w skrzydle dla gości, w kwaterze Fomorianina jest bomba! Znajdź Etriego albo innego ze svartalów i powiedz, że Fomorianin chce wymordować ich gości!

— O Boże! — wykrzyknęła Justine.

— O ja piernicze! — zawtórował Butters.

Coś ciężkiego i szybkiego uderzyło w drzwi od drugiej strony, aż podskoczyły w zawiasach. Andi odleciała w tył na kilka cali, następnie poprawiła pozycję i znów naparła na drzwi.

— Molly!

Była to kolejna z tych sytuacji, gdy panika potrafi zabić. A zatem mimo iż naprawdę miałam ochotę wrzeszczeć i biegać w kółko, tylko zamknęłam oczy, wypuściłam zasłonę i wzięłam głęboki

oddech, by uporządkować myśli.

Po pierwsze: jeśli Żaba i golfiarze zdołają wejść do tego pokoju, to nas zamordują. W apartamencie już teraz znajdowały się cztery martwe ciała — co im szkodzi dodać do tego jeszcze dwa? A zatem przede wszystkim należało ich nie wpuszczać, aż zainterweniuje svartalfowie.

Po drugie: bomba. Jeśli to draństwo wybuchnie, a do tego zawiera jakiś gaz paraliżujący, jak ten użyty w Afryce, to ofiary pójdą w setki tysięcy, a wśród nich znajdzie się Andi, Thomas i Justine — a do tego Butters i Marci, którzy czekali na zewnątrz w samochodzie.

I po trzecie: uratować Thomasa. Nie można zapomnieć o misji, nieważne, jak bardzo skomplikuje się sytuacja.

Drzwi znów huknęły.

— Molly! — wrzasnęła Andi. Jej głos był wibrujący, przenikliwy.

— Cholera! — warknęłam, sfrustrowana. — Co zrobiłby Harry?

Harry po prostu utrzymałby te drzwi. Jego magiczny talent przypominał niemal superbohaterską moc, jeśli chodziło o przekazywanie olbrzymich ilości energii. Jestem pewna, że zatrzymałby nawet pędzący pociąg. A przynajmniej pędzącą półciągarówkę. Ale moje zdolności jakoś nie chciały dotyczyć obiektów materialnych.

Harry mówił, że jeśli masz jeden problem, to masz jeden problem, a jeśli masz kilka problemów, to być może masz też kilka rozwiązań.

Wstałam i chwyciłam różdżki, ściskając je mocno. Zwróciłam się do drzwi.

— Przygotuj się — poleciłam.

Andi zerknęła przez ramię.

— Na co?

— Na otwarcie drzwi. A potem zamknij je za mną.

— Co?

— Zamknij oczy. Na trzy — oznajmiłam i ugięłam lekko kolana. — Raz!

Drzwi znów zadrżały.

— Dwa!

— Oszalałaś?!

— Trzy! — wrzasnęłam i pomknęłam do drzwi, unosząc obie różdżki.

Andi zacisnęła powieki, po czym otworzyła drzwi. Ja natomiast rzuciłam zakłęcie Jednoosobowe Disco.

Skupiając całą wolę, przesłałam ją poprzez obie różdżki, aż wybuchły światłem i dźwiękiem. Efekt nie przypominał krzyku ani małego wybuchu, ani nawet przejeżdżającego pociągu. Było to takie uczucie, jakby się stało na pokładzie jednego z tych starych pancerników z drugiej wojny

światowej, gdy odpalano największe działa — dźwięk potrafił ogłuszyć dorosłego mężczyznę i przewrócić go na tyłek.

Rzuciłam się naprzód, pchając przed sobą mur dźwięku i oślepiającego światła i wpadłam pomiędzy oszołomionych, zaskoczonych golfiarzy.

A potem zaczęłam grać nieczysto.

Kilka sekund później golfiarze byli już na nogach, choć wciąż potrząsali głowami i mrugali. Dalej w korytarzu jeden z nich pomagał lordowi Żabie wstać na nogi. Włosy miał rozczochrane, szatę w nieładzie. Jego brzydka gęba wykrzywiła się z wściekłości.

— Co tu się dzieje, Listen? — wrzasnął na cały głos. Słuch chyba mu szwankował.

— Panie — odparł Listen — obawiam się, że to kolejna sprawka Pani w Łachmanach.

— Co? Mów głośniej, głupcze!

Listenowi zadrgał policzek. Powtórzył to samo, tylko krzykiem.

Żaba zasyczał ze złości.

— Wścibska suka — warknął. — Wywalcie te drzwi i przynieście mi jej serce.

— Tak, panie — odparł Listen, a golfiarze znów oblegli drzwi do pokoju numer osiem.

Nie korzystali z żadnych narzędzi — nie były im potrzebne. Po prostu zaczęli kopać w nie, po trzech naraz, uderzając obcasami. Po trzech uderzeniach w drewnie pojawiły się pęknięcia, a zawiasy jęknęły. Po pięciu drzwi pękły i zwisły na zawiasach.

— Zabić ją! — warknął Żaba, podchodząc bliżej wyłamanego skrzydła.

Golfiarze, wszyscy prócz dwóch, wpadli do pokoju.

Spoglądając zza odświeżonej zasłony, uznałam, że to chyba dobry moment, by zdjęć iluzję, gdy drzwi zakołysały się z powrotem, wracając do framugi. Srebrna ósemka na drzwiach rozmyła się i przybrała kształt szóstki.

Żaba wytrzeszczył oczy, jakby nagle coś zrozumiał.

Jeden z golfiarzy wyleciał zza drzwi pokoju numer sześć i wpadł na ścianę po przeciwnej stronie. Padł na podłogę jak szmaciana lalka. Na ścianie zostało pęknięcie w kształcie ludzkiej sylwetki i drobne krople krwi.

A zza wyłamanych drzwi rozległ się głos Thomasa Raitha:

— Listen, to ty? O, rany. Ci twoi pajace naprawdę wybrali sobie zły pokój.

— Popełniliśmy błąd — przyznał Listen.

— Tak. Popełniście.

Lord Żaba zasyczał i obrócił pękły łeb.

— Nędzna kreaturo — syknął. — Wiem, że tu jesteś!

Tym razem wiedziałam dokładnie, co zrobiłby Harry. Uniosłam soniczną różdżkę i wysłałam swój głos w przeciwny kraniec korytarza.

— Cześć, Żabo. Słuchaj, czy to trudne tak ciągle klepać wyświechtane komunały, czy przychodzi ci naturalnie?

— Jak śmiesz ze mnie drwić?! — warknęła Żaba i cisnął w głąb korytarza spiralę ciemnozielonej energii, która z sykiem wypalała wszystko, czego dotknęła, aż w końcu uderzyła w drzwi. Rozległ się trzask, po czym zielone światło rozbiegło się po ich powierzchni jak rybacka sieć.

— Z taką gębą sam się o to prosisz — odparłam, tym razem umieszczając głos tuż za nim. — Zabiłeś te dziewczyny czy same to zrobiły, gdy już zobaczyły cię topless?

Fomorianin ryknął i zamachał łapami w powietrzu. Zmrużył oczy, zaczął coś mamrotać i poruszać błoniastymi łapami, kreśląc skomplikowany układ. Czuiłam bijącą od niego energię i doskonale wiedziałam, co zamierza zrobić — zerwać moją zasłonę. Ale ja ćwiczylam tę grę z cicią Leą już od wielu miesięcy.

A Lord Żaba nie.

Gdy poszukujące wici magii rozsunęły się po korytarzu, wysłałam im na spotkanie własne nitki mocy, prowadząc je, jedna po drugiej, wokół mojej zasłony. Nie mogłam pozwolić, by mnie znaleźli. Jeszcze nie teraz. Żaba nie myślał racjonalnie i wiedziałam, że jeśli go do tego nie skłonię, to może okazać się zbyt głupi, by łyknąć mój podstęp.

Nie mogłam pozwolić, by przerwał poszukiwania i odszedł, a zatem, gdy już ogłupiłam jego zakłęcie tropiące, znów użyłam sonicznej różdżki, tym razem, by przemówić z sufitu nad jego głową.

— To naprawdę nie jest zabawa dla amatorów. Jesteś pewien, że nie byłoby lepiej, gdybyś usiadł na ławce rezerwowych i wpuścił tu Listena?

Żaba zadarł głowę i zmrużył oczy. Uniósł różdżkę, zasyczał coś niezrozumiałego, a z jego palców wystrzelił w górę strumień ognia.

Po dwóch sekundach rozległ się alarm pożarowy, a po kolejnych dwóch uruchomił się system zraszaczy. Byłam już przy drzwiach do pokoju numer osiem, gdy woda rozpuściła moją zasłonę. Magia jest rodzajem energii i podlega własnym prawom. Jedno z nich głosi, że woda zazwyczaj niszczy magiczne konstrukty. Moja zasłona rozpuściła się jak wata cukrowa.

— Ha! — zawołał Fomorianin. Natychmiast mnie dostrzegł. Dojrzałam zmierzający w moją stronę błękitnozielony pocisk i rzuciłam się na posadzkę. Przeleciał nade mną, uderzając w drzwi. Przewróciłam się na plecy, w samą porę, by osłonić się tarczą przed drugim i trzecim pociskiem. Moje fizyczne tarcze nie są najlepsze, ale zakłęcie Fomorianina składało się z czystej energii i łatwo je było odeprzeć. Odpierałam ciosy na prawo i lewo, a pociski zostawiały w ścianach dziury wielkości cegieł.

Oczy Żaby robiły się coraz większe.

— Głupia śmiertelna krowa!

No, dobra, przynaję. To mnie zabolalo. Moze to troche plytkie, moze malostkowe, moze dowodzi mojego braku charakteru, ale obelga wymierzona w moj wyglad dotknęła mnie bardziej niz proba morderstwa.

— Krowa?! — wykrzyknelam. — Wygladam w tym bosko!

Upuscilam rózdzkę i wyrzucilam przed siebie dłoń, wysylajac naprzód niewidzialny pocisk czystych wspomnień, zwężonych i wzmocnionych magią, jakby ogladanych przez lupę. Czasami w ogóle nie pamięta się traumatycznych obrażeń, a wspomnienie tamtej chwili, gdy postrzelono mnie w nogę, było dość niewyraźne. Sam postrzał właściwie nie bolał za bardzo, poza tym miałam na głowie inne rzeczy. Najpierw byłam zaskoczona, potem odrętwiała, ale później, gdy opatrywano mi ranę w helikopterze — o, to dopiero był ból. Wyjęli kulę pęsetą, oczyścili ranę czymś, co piekło jak diabli, a kiedy zrobili opatrunek uciskowy i przymocowali go opaskami, bolało tak, że miałam ochotę umrzeć.

I to właśnie wysłałam w stronę Żaby, wkładając w to wszystkie pozostałe siły.

Utkął sobie tarczę, ale chyba rzadko miewał do czynienia z czymś tak nienamacalnym jak wspomnienie. Nawet poprzez strumienie wody poczułam, jak cios wchodzi i trafia w cel, a Żaba wydał piskiwy okrzyk. Zatoczył się i padł ciężko na ścianę, trzymając się za nogę.

— Zabić ją! — Jego głos zabrzmiał o dwie oktawy wyżej niż przed chwilą. — Zabić, zabić, zabić!

Pozostali na korytarzu golfiarze rzucili się na mnie. Fala zmęczenia, która przygniotła mnie po walce, sprawiła, że ledwo mogłam wstać z podłogi, ale jakoś dobiegłam do drzwi i załomotałam w nie pięścią.

— Andi! Andi! To ja, Molly! Wpuść mnie...

Drzwi otworzyły się, a ja padłam na podłogę. Natychmiast podciągnęłam nogi, a Andi zatrzęsnęła drzwi za mną i zasunęła bolce.

— Co tam się, do cholery, dzieje? — spytała. Była przemoczona do nitki — ona i wszystko inne w pokoju, łącznie z fomoriańską bombą.

Wstałam i powlokłam się w jej stronę.

— Nie mogłam zdjąć zasłony z bomby — wydyszałam. — Nie było czasu rozpaścić ognia, a ja nie potrafię wezwać dość mocy, by uruchomić spryskiwacze. Musiałam zmusić do tego Żabę.

Drzwi zadrżały pod ciosami golfiarzy.

— Zatrzymaj ich — przykazałam. — Ja rozbroję tę bombę.

— Potrafisz to zrobić?

— Och, tak Łatwizna — skłamałam.

— Dobra. — Andi skrzywiła się lekko. — Teraz przez całą noc będę pachnieć mokrym psem.

Odwróciła się do drzwi, przyjmując pozycję do walki, a ja sięg nęłam po olbrzymią muszlę. Przestałam myśleć o przeciwnikach dobijających się do pokoju i całkowicie skupiłam się na leżącym obok mechanizmie. Potem rozwinęłam zmysły i zaczęłam badać przenikającą go energię.

Było tam naprawdę dużo energii, ciasno upakowanej i gotowej wybuchnąć. Wnętrze muszli pokrywała warstewka zakłęcia, magiczny odpowiednik panelu kontrolnego. Woda przeżerała go wolno, ale konsekwentnie, choć nie dość szybko, by stopić rdzeń zakłęcia i rozproszyć nagromadzoną energię. Wiedziałam, że jeśli nie zadziałam szybko, woda zniszczy powłokę ochronną, a wtedy nikt nie zdoła rozbroić tej bomby.

Zamknęłam oczy i położyłam rękę na muszli, tak jak zrobił to Żaba. Czuałam, jak energia muszli unosi się w górę, dotyka palców, gotowa zareagować i sama zaczęłam wysyłać w nią własną moc, próbując ją wybadać. Było to proste zakłęcie, nic skomplikowanego, ale nie miałam najmniejszego pojęcia, jak działa cokolwiek w tej muszli. Przypominało to operowanie pilotem do telewizora, z którego ktoś usunął opisy przycisków. Nie mogłam po prostu zacząć ich losowo wciskać.

Z drugiej strony, musiałam coś zrobić.

Należało postawić rzetelną hipotezę.

Na pilocie do telewizora przycisk włączający znajduje się zawsze w pewnym oddaleniu od innych albo jest jakoś wyróżniony. Czegoś takiego szukałam — taki przycisk musiał wyłączyć tę bombę. Zaczęłam eliminować partie zakłęcia, które wydały mi się zbyt skomplikowane albo specjalistyczne, po kolei wykluczając różne możliwości. W końcu zostały mi tylko dwie. Jeśli odgadłam niewłaściwie...

Zachichotałam nerwowo.

— Hej, Andi. Niebieski czy czerwony kabelek?

Stopa golfiarza przebiła drzwi na wylot, a Andi obróciła się, mierząc mnie wzrokiem pełnym niedowierzania.

— Czy ty, kurwa, żartujesz? Niebieski! Zawsze przecinasz niebieski!

Połowa drzwi padła z trzaskiem na podłogę. Andi przybrała postać wilka i skoczyła naprzód, rozszarpując gardło pierwszemu golfiarzowi, który wpadł do pokoju.

Odwrociłam się do bomby i wybrałam opcję drugą. Skupiłam na niej całą wolę. Musiałam zrobić kilka podejść, bo byłam półżywa ze strachu, a paraliżujący lęk zwykle nie pomaga w skupieniu.

— Hej, Boże — szepnęłam. — To ja. Wiem, że ostatnio trochę się nie odzywałam, ale gdybyś trochę mnie teraz wsparł, to naprawdę pomogłoby wielu ludziom. Proszę, niech to będzie właściwa decyzja,

Przeciąłam niebieski kabelek

Nic się nie stało.

Poczułam ciężką, niemal paraliżującą ulgę — a potem Lord Żaba przeskoczył ponad dwoma golfiarzami mocującymi się z Andi i wpadł prosto na mnie.

Runęłam na marmurową podłogę, a Żaba usiadł na mnie okrakiem, przyciskając mnie do ziemi swoim żyłastym cielskiem. Otoczył mi szyję palcami jednej łapy i zacisnął. Był straszliwie silny. Prawie natychmiast zabrakło mi powietrza, głowa załomotała bólem, a przed oczami pociemniało.

— Mała suka — zasyczał. Drugą ręką zaczął mnie okładać po twarzy. Ciosy trafiały w lewy policzek. Powinny boleć, ale chyba coś złego stało się z moim mózgiem. Czułam uderzenie, ale wszystko inne ginęło w nadciągającym mroku. Czułam, że się szamoczę, ale nic mi to nie dawało. Żaba był silny, znacznie potężniejszy, niż na to wyglądał. Trudno było mi skupić wzrok, ale nagle odkryłam, że wpatruję się w długi, ciemny tunel, na końcu którego leży jedna z martwych kobiet porzuconych w sypialni, z purpurową obwódką wokół szyi.

A potem podłoga koło nas zafalowała i wyskoczyła z niej dziwna, szarawa istota.

Svartalf mierzył jakieś cztery stopy i sześć cali wzrostu. Był całkiem nagi. Jego skóra miała odcień nakrapianej szarości, a wielkie oczy wypełniała czerni. Głowę miał nieco większą niż u ludzi i całkiem łysą, choć obdarzoną srebrnobiałymi brwiami. Rzeczywiście przypominał ufoła z Roswell, choć nie był chorobliwie chudy — wręcz przeciwnie, wyglądał jak zawodowy bokser, szczupły i umięśniony. W rękę trzymał prosty, krótki miecz.

— Fomorianinie — oznajmił spokojnie. Rozpoznałam głos Etriego. — Nie wolno bić dam.

Żaba już miał coś odpowiedzieć, ale wtedy miecz Etriego świsnął w powietrze i łapa, która jeszcze przed chwilą wyduszała ze mnie życie, odpadła przy nadgarstku. Żaba wrzasnął i padł na podłogę. Płuł i syczał, próbując zmontować jakieś zakłęcie, jednocześnie odczołgując się w bok na trzech kończynach.

— Naruszyliście prawo gościnności — ciągnął spokojnie Etri. Wykonał jakiś gest, a wtedy podłoga pod stopami Fomorianina nagle zmieniła się w ciecz. Żaba zapadł się w nią na trzy cale, a wtedy znów stwardniała.

— Zaatakowaliście gości znajdujących się pod opieką Svartalfheimu — oznajmił, a jego głos nie zmienił się ani na jotę. Miecz znów świsnął i tym razem odciął nos, chlapiąc na boki posoką i znów wywołując przeraźliwe wycie. Etri stał nad powalonym Fomorianinem z twarzą niewyraźną niczego. — Czy macz coś na swoją obronę?

— Nie! — wrzasnął Żaba. — Nie możecie! Nie skrzywdziłem nikogo z waszego plemienia!

Poczułam od Etriego tak gorącą falę wściekłości, że odruchowo spodziewałam się zobaczyć, jak spadająca na niego woda wyparuje.

— Nie skrzywdziłeś nas? — powtórzył cicho. — Chciałeś wykorzystać nasz sojusz jako pretekst, by wymordować tysiące niewinnych i tym sposobem wmanipulować nas we współdział. — Przykucnął, a jego twarz znalazła się o kilka cali od Żaby i dodał cichym, beztrosnym wzrokiem: — Splamiłeś honor Svartalfheimu.

— Zapłacę okup! — bełkotał Żaba. — Wynagrodzę wam stratę.

— Twoje czyny może odkupić tylko jedna rzecz, Fomorianinie. Nie podlega negocjacjom.

— Nie! — protestował Żaba. — Nie, nie! NIE!

Etri odwrócił się i rozejrzał się po pokoju. Andi wciąż była w wilczej postaci. Jeden z golfiarzy wykrawiał się na marmurową podłogę, zraszacze rozlewały posokę w szeroką, różową kałużę. Drugi kulił się kącie, osłaniając głowę poranionymi rękami. Andi stała naprzeciw niego, szczerząc zakrwawione kły. Z jej piersi wydobywało się bulgoczące warczenie.

Etri odwrócił się do niej i podał mi rękę. Podziękowałam mu i korzystając z pomocy, usiadłam na podłodze. Bolało mnie gardło. Bolała mnie głowa. Bolała mnie twarz. Myślałam, że umrę z bólu, cha, cha, cha.

Kiedy twój wewnętrzny monolog zmienia się w kabaretowy skęcz, czas podejrzewać, że masz wstrząśnienie mózgu.

— Proszę wybaczyć, że zaingerowałem w tę walkę — powiedział gospodarz. — Proszę nie zakładać, że zrobiłem to dlatego, iż nie doceniłem pani umiejętności.

— To pański dom — odparłam. Głos zabrzmiał jak skrzek — W grę wchodził honor całej krainy. Miał pan prawo.

Odpowiedź najwyraźniej mu się spodobała, bo lekko skłonił głowę.

— Przepraszam także za to, iż sam nie zająłem się wcześniej tą sprawą. Wykrywanie i udaremnianie spisków takich szumowin nie powinno należeć do obowiązków gości.

— Wiem, że postąpiłam arogancko — przyznałam. — Ale należało działać natychmiast.

— Pani sojuzniczka zaalarmowała nas w porę — odparł. — Nie uczyniła pani nic niestosownego. Svartalfheim dziękuje pani za pomoc. Jesteśmy pani winni przy usługę.

Już miałam powiedzieć, że to żaden problem, ale potem coś do mnie dotarło. Etri nie wygłaszał teraz gładkich komunałów. Nie była to zwykła towarzyska rozmowa. To był audyt, podsumowanie. Odpowiedziałam skinieniem głowy.

— Dziękuję, panie.

— Nie ma za co, panno Carpenter.

Do pokoju weszli svartalfowie w mundurach ochronny. Etri podszedł do nich i cicho wydał jakieś polecenia. Fomorianin i jego sługusi zostali związani i wyniesieni z pokoju.

— Co się z nimi stanie? — spytałam.

— Rozwiążemy to pokazowo — odparł Etri.

— A co z paktem?

— Nie został podpisany. To głównie pani zasługa, panno Carpenter. Svartalfheim nie spłaca wprawdzie niezaciągniętych długów, jednak doceniamy pani rolę w tym wydarzeniu. Weźmiemy to pod uwagę.

— Fomorianie nie zasługują na tak honorowego sojusznika.

— Na to wygląda.

— A co z golfiarzami?

— Co z nimi?

— Czy ... potraktujecie ich odpowiednio?

Etri popatrzył na mnie bez zrozumienia.

— Też odegrali w tym pewną rolę.

— Są własnością Fomorianina — odparł svartalf. — Jeśli jakiś człowiek uderzy panią młotkiem, to karze się człowieka. Nie ma powodu niszczyć młotka. Nie interesują nas te istoty.

— A one? — spytałam, wskazując na martwe kobiety, wciąż leżące w komnacie Fomorianina.

— Czy one was interesują?

Etri spojrział na nie i westchnął.

— Nie należy niszczyć piękna — powiedział. — Ale te kobiety nie należały do naszych gości.

Nie jesteśmy odpowiedzialni za ich los.

— Jest u was pewien wampir — powiedziałam w końcu.

Etri przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, po czym przyznał.

— Tak

— Jesteście mi winni przy usługę. Chciałabym prosić o jego uwolnienie.

Karzeł uniósł brew, po czym skłonił się lekko.

— Proszę pójść ze mną.

Wyszłam za nim z apartamentu. Przeszłam przez korytarz i do pokoju numer sześć. Drzwi były strzaskane, ale Etri i tak zatrzymał się, by grzecznie zapukać. Po chwili kobiety głos zawołał:

— Proszę wejść!

Weszliśmy. Apartament przypominał komnatę Fomorianina, zawierał jedynie więcej połamanych mebli, potrząskanych bibelotów i połamanych golfiarzy. Svartalfowie z ochrony właśnie ich wiązali i wyносили z pokoju.

Listen wyszedł o własnych siłach, z rękami związanymi z tyłu i jednym okiem na wół zamkniętym pod opuchlizną. Obrzucił mnie spokojnym spojrzeniem i nic nie powiedział.

Gnojek

Etri podszedł do zasłony, za którą znajdowało się wejście do sypialni.

— Mamy dług wobec śmiertelniczki, która ostrzegła nas o niebezpieczeństwie. Zażądała

uwolnienia wampira.

— Niemożliwe — odpowiedział kobiecie głos. — Umowa została zawarta.

Etri odwrócił się do mnie i wzruszył ramionami.

— Bardzo mi przykro.

— Proszę zaczekać! — zawołałam. — Czy mogłabym chociaż z nim pomówić?

— Za chwilę,

Zaczekałam. Po chwili Thomas pojawił się w drzwiach ubrany w czarny frotowy szlafrok. Właśnie wyszedł spod prysznica. Miał prawie sześć stóp wzrostu — może bez cala — i nie było na jego ciele ani jednego miejsca, gdzie nie wyglądałby jak symbol seksu. Jego oczy miały barwę głębokiego, kryształicznego błękitu, ciemne włosy spadały na szerokie ramiona. Moje ciało zrobiło to, co zawsze robiło w jego obecności i zaczęło domagać się majstrowania dzieci. Zignorowałam je. W każdym razie zrobiłam, co mogłam.

— Cześć, Molly — przywitał się. — Co ci się stało?

— Nic, czego nie dałoby się naprawić wiadrem aspiryny — odparłam. — Eee... nic ci nie jest?

Zamrugał.

— Nie. A co miałyby być?

— Myślałam, że... no wiesz. Schwytano cię jako szpiega.

— No, tak

— Myślałam, że postanowią cię ukarać dla przykładu.

Znow zamrugał.

— A po co?

Drzwi do sypialni znow się otworzyły i stanęła w nich svartalflka. Była bardzo podobna do Etriego — mała i piękna, chociaż na głowie zamiast łysiny miała długie srebrzyste włosy. Ubrana była w koszulę, która mogła należeć do Thomasa — zwisiała na niej prawie do kostek. Miała... bardzo zadowolony wyraz twarzy. Za nią dostrzegłam kilka podobnych, ciemnokoch postaci, wyglądających ciękawie z zaciemnionej sypialni.

— Ach! — wykrzyknęłam. — Och... Zawarłeś... umowę.

Thomas uśmiechnął się krzywo.

— To trudne i ciężkie zadanie.

— I do tego niedokończone — przypomniała jedna ze svartalfek — Jesteś nasz aż do świtu.

Thomas spojrział w stronę sypialni, potem znow na mnie i rozłożył ręce.

— Wiesz, jak jest, Molly. Muszę wracać. Obowiązek wzywa.

— Eee... — zająknęłam się znowu. — Co mam powiedzieć Justine?

Spojrzenie wampira wyrażało całkowity brak zrozumienia.

— Prawdę. A co innego?

* * *

— Och, dzięki opatrności — westchnęła Justine, gdy wychodziłyśmy z budynku. — Myślałam, że go tam głodzą czy coś.

Zamrugalam.

— Twój chłopak właśnie posuwa cały pokój karlic, a ty się z tego cieszysz?

Justine odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem.

— Związek z inkubem trochę zmienia punkt widzenia. Ale to i tak nic nowego. Wiem, co Thomas do mnie czuje, i wiem, że musi jeść, by zachować zdrowie. Co w tym złego?

— Uśmiechnęła się krzywo. — A poza tym on zawsze ma ochotę na więcej.

— Jesteś bardzo dziwna.

Andi parsknęła i przyjaźnie szturchnęła mnie ramieniem.

— I kto to mówi.

* * *

Gdy wszyscy znaleźli się już bezpiecznie w domach, poszłam z mieszkania Walda do najbliższego podziemnego garażu. Znalazłam jakiś ciemny kąciuk, usiadłam na ziemi i czekałam. Powietrze zamigotało i Lea pojawiła się obok jakieś dwie godziny później.

— Oszukałaś mnie — stwierdziłam oskarży cielsko. — Wysłałaś mnie tam na ślepo.

— Owszem. Tak jak Lara swojego brata, tyle że moja agentka odniosła sukces.

— Ale dlaczego? Po co w ogóle było nas tam wysyłać?

— Nie mogliśmy dopuścić do zawarcia paktu svartalców z Fomorianami — odpowiedziała. — Gdyby jeden lud zgodził się zachować wobec nich neutralność, jego śladem poszłyby kolejne. Fomorianie mogliby ich podzielić, a potem przeciągnąć na swoją stronę, jeden po drugim. Sytuacja była bardzo delikatna. Obecność aktywnych agentów miała zburzyć tę kruchą równowagę i pokazać prawdziwą naturę Fomorian w próbie ognia.

— Czemu po prostu mi o tym nie powiedziałaś?

— Ponieważ nie uwierzyłybyś mi ani nie zaufała, to chyba jasne.

Zmarszczyłam brwi.

— Powinnaś mi o tym powiedzieć, mimo wszystko.

— Nie bądź śmieszna, dziecko — prychnęła Lea. — Nie mogłam tracić czasu na twoje wątpliwości i podejrzenia, i teorie, i niekończące się pytania. Lepiej było przedstawić ci jakiś prosty cel — Thomasa.

— Skąd zatem wiedziałaś, że znajdziesz bombę?

Uniosła brew.

— Bombę? — powtórzyła i potrząsnęła głową. — Nie wiedziałam, co się stanie. Ale Fomorianie to zdrajcy. Zawsze tacy byli i zawsze będą. Jedyne pytanie brzmiało, jaką formę tym razem przyjmie ich zdrada. Svartalfowie musieli zobaczyć to na własne oczy.

— Dobrze, w takim razie skąd wiedziałas, że znajdę dowody?

— Nie wiedziałam. Ale znam twojego mentora. Jeśli chodzi o wtrącanie się w nieswoje sprawy, o odkrywanie kłopotliwych sekretów, wyszkolił cię niezwykle dobrze. — Uśmiechnęła się. — Przejęłaś także jego zdolność wkraczania w uporządkowane sytuacje i sprowadzanie ich do postaci pierwotnego chaosu.

— Co to niby oznacza?

Jej uśmiech był pełen irytującej satysfakcji.

— To znaczy, że w ciebie wierzyłam. Byłam pewna, że cokolwiek byś zrobiła, nie zakończy się to gładkim podpisaniem paktu.

— Ale przecież sama mogłaś zrobić dokładnie to samo!

— Nie, dziecko. Svartalfowie nigdy nie zaprosiliby mnie na swoją uroczystość. Kochają ład i porządek. Wiedzieliby, że moje pobudki z tym nie współgrają.

— A o mnie tego nie wiedzieli?

— Nie są w stanie oceniać innych inaczej niż po czynach — wyjaśniła. — Dlatego zdecydowali się paktować z Fomorianami. Ponieważ jeszcze ich nie znają. Moje czyny świadczą o tym, że należy traktować mnie z najwyższą ostrożnością. Ty miałaś u nich czystą kartę. A do tego jesteś niezwykle atrakcyjna. Wszystko skończyło się dobrze, twoje miasto uratowane. A grupa bogatych, utalentowanych istot jest ci winna przysługę. — Na chwilę przerwała i nachyliła się ku mnie. — Może przydałyby się jakieś wyrazy wdzięczności.

— Z mojej strony? — spytałam z niedowierzaniem. — Za co?

— Mam wrażenie, że twój wieczór zakończył się pomyślnie. — Lea znów uniosła brwi. — Wielkie nieba, ależ z ciebie trudne dziecko. Jak on wytrzymuje twoją beczelność, naprawdę nie mam pojęcia. Może nawet wydaje ci się, że to ja powinnam cię wynagrodzić. — Wstała i odwróciła się, by odejść.

— Zaczęłaś, ciociu! — zawołałam.

Zatrzymała się.

Miałam wrażenie, że serce przestało mi bić. Trzęsłam się na całym ciele,

— Powiedziałaś „znam twojego mentora”. Nie „znałam”. Znam. Czas terazniejszy.

— Czy żby?

— Ciociu — wyszeptalam. Ledwie mogłam wydobyć głos. — Ciociu, czy Harry... czy on żyje?

Lea odwróciła się bardzo powoli, a jej oczy zamigotały złośliwą zielenią.

— Nie powiedziałam, że on żyje, dzieckó. I ty też nie powinnaś. Jeszcze nie.

Zwiesiłam głowę i wybuchnęłam płaczem. Albo śmiechem. Albo jednym i drugim, nie wiedziałam. Lea zniknęła. Wyrażanie uczuć było dla niej kłopotliwe.

Harry. On żyje.

Nie zabiłam go.

Najlepsza nagroda na świecie.

— Dziękuję, ciociu — wyszeptałam. — Dziękuję.

Przetłumaczyła Krystyna Chodorowska

CARRIE VAUGHN

Raisa Stiepanowa

(RAISA STEPANOVA)

Carrie Vaughn, autorka bestsellerów „New York Timesa”, jest twórczynią niezwykle popularnej serii powieści o przygodach Kitty Narville, prezenterki radiowej i wilkołaczy cy, gospodyni nocnego programu z poradami dla paranormalnych istot. Seria przygód Kitty obejmuje następujące powieści: *Kitty i nocna godzina*, *Kitty i nocny Waszyngton*, *Wakacyjne noce Kitty* oraz *Srebrna kula*, *Kitty and the Dead Man's Hand*, *Kitty Raises Hell*, *Kitty's House of Horrors*, *Kitty Goes to War* i *Kitty's Big Trouble*. Inne powieści jej autorstwa to *Voices of Dragons*, debiut w dziedzinie literatury młodzieżowej, i *Discord's Apple*, powieść fantasy. Jej opowiadania publikowano w „Lightspeed”, „Asimov's Science Fiction”, „Subterranean”, „Wild Cards”, „Inside Straight”, „Realms of Fantasy”, „Jim Baen's Universe”, „Paradox”, „Strange Horizons”, „Weird Tales”, „All-Star Zeppelin Adventure Stories”, a także innych czasopismach. Jej najnowsze książki to powieści *After the Golden Age* i *Steel*, zbiór opowiadań *Straying from the Path*, nowa powieść o Kitty — *Kitty Steals the Show* i zbiór opowiadań *Kitty's Greatest Hits*. Mieszka w Kolorado. Obecnie pracuje nad nową powieścią *Kitty Rocks the House*.

W niniejszej żywej i pasjonującej opowieści zabiera nas na rosyjski front podczas najciemniejszych dni drugiej wojny światowej, by opowiedzieć historię młodej kobiety latającej w najtrudniejszych misjach bojowych, zdeterminowanej, by wypełnić swój żołnierski obowiązek i za wszelką cenę pilotować samoloty, nawet jeśli miałyby ją to zabić... co jest bardzo prawdopodobne.

RAISA STIEPANOWA

Najdroższy Dodia!

Jeśli to czytasz, to znaczy, że już nie żyję. Najprawdopodobniej poległam chwalebnie, walcząc w obronie ojczyzny. A przynajmniej mam taką nadzieję. Ciągle śni mi się ten sam koszmar. We śnie ginę, ale wcale nie w powietrzu podczas walki z faszystami, lecz na ziemi, gdy przechodzę pod nosem swojego jaka, a wtedy łopatka śmigła odpada i ucina mi głowę. Wszyscy udawaliby, że rozpaczają, ale tak naprawdę śmialiby się za moimi plecami. Moje plecy byłyby wtedy, oczywiście, martwe, ale i tak przecież chodzi o zasadę. Na pewno nie zostałabym Bohaterką Związku Radzieckiego, prawda? Nieważne. Uznajmy, że poległam chwalebnie w bitwie.

Proszę, przekazaj mamie i tacie to, o co prosiłam: że byłam szczęśliwa, mogąc zginąć w obronie swoich rodziców, i Niny, i Ciebie, i ojczyzny, i zawsze wiedziałam, że jeśli trzeba będzie zginąć, to chcę zginąć w powietrzu. Nie smuć się, proszę. Bardzo Cię kocham.

*Twoja
Raisa*

— Raisa! — zawołała Ina zza drzwi schronu. — Nasza kolej! Chodź!

— Chwileczkę! — zawołała Raisa, dopisując kilka ostatnich słów.

PS: Moja skrzydłowa, Ina, będzie załamana, jeśli mnie zestrzelią. Pomyśli, że to jej wina, bo nie osłaniała mnie, jak należy (ale to nie będzie prawda, Ina jest bardzo dobrą pilotką i świetną skrzydłową). Powinieneś ją pocieszyć przy pierwszej nadarzającej się okazji. Jest ruda. W Twoim typie. Na pewno Ci się spodoba. Powiesiłam w schronie Twoje zdjęcia, a Ina uważa, że jesteś przystojny. Będzie płakała w Twoich ramionach i będzie to bardzo romantyczne, uwierz.

— Raisa!

Złożyła kartkę na ósemki i wepchnęła pod koc na pryczy, gdzie współlokatorki mogłyby ją znaleźć, gdyby nie wróciła. Na wierzchu wypisała imię i nazwę jednostki Dawida. Ina będzie wiedziała, co z tym zrobić. Chwyła kurtkę i hełm i wraz ze skrzydłową pobiegła na lotnisko, gdzie czekały samoloty.

* * *

Obie wyleciały z Woroneża na rutynowy patrol i dostrzegły nieprzyjacielskie samoloty, jeszcze nim dotarły do linii frontu. Raisa oddychała wolno, by uspokoić bicie serca. Czuiła, jak wypełnia ją spokój, napływa do samych rąk pomagając utrzymać stery.

— Raisa, widzisz ich? Na drugiej? — W radiu zatrzeszczał głos Iny. Leciła nieco z tyłu, z prawej — Raisa wiedziała to nawet bez oglądania się.

— Tak — Kobieta spojrzała przez owiewkę i policzyła. Kolejne samoloty, ciemne punkciki na

zachmurzonym niebie, wyglądało to, jakby przybywało ich w miarę liczenia. Spodziewała się niemieckich patroli zwiadowczych, w których nigdy nie latało więcej niż dwa samoloty. To... to była cała eskadra.

Sylwetki samolotów stawały się coraz wyraźniejsze — bliźniacze silniki, długie kadłuby pomalowane w czarne krzyże.

— Junkersy! — zawołała do Iny przez radio. — To nalot bombowy!

Naliczyła szesnaście bombowców. Ich celem mógł stać się każdy z dziesiątek obozów, magazynów albo stacji kolejowych na tym odcinku frontu. Prawdopodobnie nie spodziewali się żadnego oporu.

— Co robimy? — spytała skrzydłowa.

Podczas tego patrolu nie przewidywano żadnych walk, poza tym wróg miał nad nimi miażdżącą przewagę. Z drugiej strony — co miały robić? Niemcy zdążą rzucić bomby, zanim 586. pułk zbierze więcej myśliwców.

— A jak myślisz? — odchrząknęła. — Powstrzymamy ich!

— Lecę z tobą!

Raisa zwiększyła obroty i pchnęła drążek. Silnik zawarczał, owiewka aż zadrżała. Jak pomknął naprzód, niebo rozmyło się jej nad głową. Gdy zerknęła przez ramię, tuż za sobą zobaczyła myśliwiec Iny.

Wycelowała w środek niemieckiego roju. Poszczególne bombowce nagle zrobiły się wielkie. Mknęła jak strzała, aż w końcu cele znalazły się w zasięgu.

Maszyny rozpieczęły się, jakby rozwiane wiatrem. Samoloty lecące na skrajach szyku odleciały w bok, a te pośrodku wzbily się albo zanurkowały w losowych kierunkach. Najwyraźniej nie spodziewali się dwóch radzieckich myśliwców wypadających na nich nie wiadomo skąd.

Raisa wybrała sobie samolot, który miał nieszczęście wlecieć jej w drogę. Wystrzeliła serię z działka 20 mm i chybiła, gdy junkers wyskoczył poza zasięg. Zaknęła.

Ponad owiewką przemknęła seria — strzelec odpowiedział ogniem. Skręciła ostro, w prawo i w górę, uważając, by nie doszło do zderzenia. Manewrowanie w takim tłoku było bardzo trudne. Na szczęście jak były szybkie — mogła oblatywać junkersy w kółko i nie obawiać się trafienia. Teraz musiały tylko uniemożliwić tej grupie zbombardowanie celu, ale jeśli przy okazji uda się zestrzelić jednego czy dwa... Byle tylko przeżyć. Przeżyć i zrobić coś dobrego.

Strzelec znów do niej wystrzelił, ale wtedy Raisa rozpoznała dźwięk innego działka. Kącikiem oka dostrzegła kulę ognia — jeden z silników junkersa rozpadł się na kawałki. Samolot drgnął i zachwiał się, aż w końcu runął, ciągnąc za sobą ogon dymu. Zakotyła się jeszcze raz czy dwa, gdy pilot próbował wyrównać lot, ale potem zaczął koziółkować i było już po wszystkim.

— Raisa! Mam go! Mam go! — wrzeszczała Ina. Było to jej pierwsze zestrzelenie.

— Doskonałe! Jeszcze tylko piętnaście.

— Raiso Iwanowna, jesteś niemożliwa!

Bitwa zdawała się ciągnąć w nieskończoność, ale tak naprawdę odłód rozerwały szyk, upłynęło tylko kilka sekund. Nie mogły ciągnąć tego za długo, wkrótce miała im się skończyć amunicja, już nie mówiąc o paliwie. Nerwy Raisy śpiewały, kierowała się raczej instynktem niż rozsądkiem. Nacisnęła spust, jeszcze zanim wróg znalazł się na celowniku, ale trafiła, bo junkers wszedł na linię strzału akurat, gdy dolatywały tam pociski. Dziurawiła skrzydła i silniki, które sypały iskrami i pluły dymem. Samolot nie mógł tego przetrwać i rzeczywiście — już za chwilę nos wycelował w dół i cała maszyna wyrwała się spod kontroli.

Ina wiwatowała przez radio, ale Raisa już szukała następnego celu. Trudny wybór. Wrogowie otaczali je zewsząd i pilotka niejasno zdała sobie sprawę, że powinna się bać, ale teraz mogła myśleć tylko o zestrzeleniu kolejnego bombowca. I jeszcze jednego.

Junkersy z trudem zwierały szyk. Luźna formacja opadła o pięćset metrów z początkowej wysokości. Gdyby zdołały zestrzelić cały dywizjon — cóż to by było za zwycięstwo! Ale nie, wrogowie pierzchali na boki, uciekając przed myśliwcami.

Spod kadłuba jednego z nich spadły bomby, pozostałe poszły za jego przykładem. Upadły w las, gdzie nie było niczego ważnego, słupy dymu wbiły się nieszkodliwie w górę. Obie pilotki zdołały wystraszyć bombowce na tyle, że wyrzuciły swój ładunek przedwcześnie.

Raisa uśmiechnęła się na samą myśl.

Pozbawione bomb, nie mając już powodu, by kontynuować misję, junkersy wylały się z szyku, zawróciły na zachód. Były teraz lekkie i szybsze i nie tak łatwe do przechwycenia. Ale Raisa wiedziała, że ich piloci nie zabiją dzisiaj żadnych Rosjan.

— Ina, wynosimy się stąd! — zawołała przez radio.

— Jasne.

Z Iną za plecami zawróciła jaka i podążyła na wschód do domu.

* * *

— Trzy potwierdzone zestrzelenia, Raiso Iwanowna. Jeszcze dwa, a zostaniecie asem.

Raisa uśmiechnęła się tak szeroko, że aż zmrużyła oczy.

— Trudno było chybić, mając tyle celów do wyboru.

Ina przewróciła oczami, też uśmiechnięta. Zaliczyła dzisiaj swoje pierwsze zestrzelenie i choć teraz bardzo się starała, by zachowywać się skromnie i z godnością, tuż po wylądowaniu podbiegła do Raisy z krzykiem i rzuciła się jej na szyję tak entuzjastycznie, że obie padły na ziemię. Tyłu zabitych wrogów, a one wyszły zupełnie bez szwanku. Trudno o większy sukces.

Podpułkownik Gridniew, poważny młody człowiek o niedźwiedziej twarzy, przeglądał właśnie jakiś maszynopis, siedząc przy swoim biurku w największym skronie obok lotniska dywizjonu 101.

— Celem tej eskadry była stacja kolejowa. Batalion naszej piechoty czekał tam na transport. Wszyscy by zginęli. Uratowałyście mnóstwo ludzi.

Nawet lepiej. Wspaniale. Może Dodia też tam był, a one ocaliły mu życie. Raisa postanowiła pochwalić się tym w następnym liście.

— Dobra robota, dziewczyny. Możecie odejść.

Wybiegły z biura dowódcy, potykając się w swoich zbyt obszernych kombinezonach i śmiejąc się przez całą drogę.

W schronie mieszkali kilkanaście kobiet. Jeśli znużyło się oczy, można było uznać, że to miejsce wyglądało nawet przytulnie — łóżka polowe z kutego żelaza, wełniane posłania, bielone ściany i drewniane stoły, nawet kilka wazonów, do których ktoś nabierał polnych kwiatów. Oczywiście szybko wędły — do środka nie wpadało słońce. Po roku mieszkania w takich warunkach, kilkunastu miesiącach przeprowadzek z lepszych schronów do gorszych i z powrotem, pilotki przyzwyczyły się do robactwa i szcurów, i ciągłego huku bombardowania. Nauczyły się uważać i cieszyć się z prostych rzeczy, takich jak polne kwiaty. Inaczej można było zwariować.

Chociaż to także się zdarzało.

Drugą największą zaletą służby w lotnictwie (oprócz samej możliwości latania) było lepsze zakwaterowanie i większe racje żywnościowe. I przydział wódki za misje bojowe. Ina i Raisa przysunęły krzesła do piecyka, by pozbyć się chłodu pozostałego po locie na dużej wysokości i stuknęły się kieliszkami.

— Za zwycięstwo — powiedział Ina, bo tak nakazywała tradycja.

— Za latanie — odparła Raisa, bo naprawdę chciała za to wypić.

* * *

Przy obiedzie — wodnisty gulasz i czerstwy chleb opieczony na piecu — Raisa z niecierpliwością czekała na pochwały koleżanek. Już była gotowa pławić się w ich blasku — jeszcze dwa zestrzelenia i miała zostać asem. Chyba nikt nie mógł teraz zaprzeczyć, że była znakomitym pilotem? Ale wszystko potoczyło się inaczej.

Katia i Tamara wpadły do środka, niemal uderzając w stół i przewracając wazon z kwiatami.

— Nie zgadniesz, co się stało! — wykrzyknęła Katia.

— Właśnie byłyśmy u radiowca. Wiesz, co powiedział? — dodała Tamara. Przekrzykiwały się jedna przez drugą.

Raisa wytrzeszczyła oczy i prawie upuściła talerz z pieczywem.

— Niemcy się wycofują?!

— Nie, głuptasie — odparła z oburzeniem Katia, jakby nie mogła uwierzyć, że ktoś wpadł na podobnie niedorzeczny pomysł.

— Lilia zaliczyła dziś dwa zestrzelenia! — oznajmiła Tamara. — Teraz jest już asem!

Lidia Litwiak, zwana Lilia. Piękna, utalentowana Lilia, która nie mogła popełnić żadnego błędu. Lidia przypominała sobie ich pierwszy dzień w batalionie, gdy się tam zjawiła — drobna kobiątka o ślicznej buzi i tlenionych włosach. Po wielu tygodniach życia w schronie nadal miała śliczną buzię i jasne włosy, jak jakaś amerykańska gwiazda filmowa. Była tak drobna — wszyscy uważali, że nie będzie w stanie pilotować jaką ani służyć na froncie. A potem ona wsiadła do samolotu i poleciała, i latała lepiej niż którakolwiek z nich. Nawet Raisa musiała to przyznać, chociaż nigdy głośno.

Lidia malowała na nosie samolotu kwiaty, a pozostali, zamiast z niej kpić, uważali, że jest słodka.

A teraz została asem.

— Pięć zestrzeleń? — powtórzyła z niedowierzaniem Raisa. — Naprawdę?

— Bez żadnych wątpliwości. Miała świadków. Wiadomość rozchodzi się błyskawicznie. Czy to nie cudowne?

Oczywiście, było to cudowne. Raisa bardzo starała się zareagować miło — uśmiechnęła się i wypiła za Lilię, przeklinając przy tym faszystów. Zjadły obiad, zastanawiając się, kiedy zmieni się pogoda, czy zima ma jeszcze w zanadru jakieś mrozy, czy już nadeszło wilgotne przedwiośnie. Nikt nie pytał, kiedy wreszcie skończy się ta wojna. Od czasu niemieckiej ofensywy minęły dwa lata. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nie posunęli się ani o krok, a Rosjanie odnieśli pewne sukcesy — odbili Woroneż i stamtąd podążali naprzód. To zawsze coś.

Ale Ina za dobrze знаła Raisę.

— Przez cały obiad marszczyłaś brwi — stwierdziła, gdy zmywały naczynia na zewnątrz. — Nie zdołałaś tego ukryć.

Raisa westchnęła.

— Gdyby wysłali mnie do Stalingradu, miałabym tyle samo strąceń. Może nawet więcej. Zostałabym asem już dawno temu.

— Gdyby wysłali cię do Stalingradu, już byś nie żyła — odparła Ina. — Cieszę się, że zostałaś tutaj.

Raisa znów zmarszczyła brwi i ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć czegoś nieprzyjemnego.

— Wszyscy już nie żyjemy — odparła. — My wszyscy, którzy służymy na froncie. I tak zginemy. To tylko kwestia czasu.

Ina miała krótko przycięte włosy, które wywijały się na zewnątrz, wyglądając spod skraju

włóczkowej czapki. Z ty mi niesfornymi kosmykami i piegami na policzkach przypominała choć lika. Oczy miała ciemne, usta zaciśnięte w wąską, ponurą kreskę. Zawsze była taka poważna. Co chwila strofowała Raisę za jakieś żarty. Nigdy nie powiedziała o nikim złego słowa.

— Już niedługo będzie po wszystkim — zapewniła. Wokół panowała ciemność, niebo było zachmurzone, w okolicy schronu nie świeciła się nawet jedna latarnia, by przypadkiem nie dostrzegł jej niemiecki zwiadowca. — Musi się wreszcie skończyć. Teraz, gdy Brytyjczycy i Amerykanie napierają z jednej strony, a my z drugiej, Niemcy nie wytrwają za długo.

Raisa skłębła głową.

— Masz rację, oczywiście. Musimy wytrzymać najdłużej, jak się da.

— Tak Właśnie tak

Ina uściśnęła jej ramię, a potem wrócili do schronu, do łóżek przykrytych zbyt cienkimi kocami, nasłuchując przemykających szurów. Raisa czasem rozglądała się wokół, patrząc na klepisko, na którym ustawiono znoszone buty, na zmęczone twarze, na skromne posiłki i zaczynała wierzyć, że spędzi tak resztę życia.

* * *

Raisa stawiała się w schronie dowódcy na odprawę. Miała nadzieję, że zlecą jej misję bojową, w której przy odrobinie szczęścia zdoła zdobyć dwa pozostałe zestrzelenia, ale zanim weszła, Paweł, ich radiowiec, odciągnął ją na bok

Często wymieniali się nawzajem informacjami. Ona przekazywała mu plotki z hangaru, a on odwzajemniał się wiadomościami o innych jednostkach. Miał najświeższe informacje z frontu. Bardziej rzetelne niż to, co mówili dowódcy, bo oficjalne raporty były filtrowane, upiększane, cenzurowane i manipulowane, aż w końcu głosiły tylko to, co wierchuszka chciała ludziom wmówić. Czasami ginęły całe bataliony i nikt o tym nie wiedział, bo generałowie bali się spadku morale.

Dziś Paweł wyglądał blado, minę miał ponurą.

— Co się stało? — spytała i od razu wiedziała, że muszą to być złe wieści. Bardzo złe, jeśli sam ją odszukał. Od razu pomyślała o Dawidzie. Musiało chodzić o niego.

— Raiso — powiedział radiowiec. — Mam wieści... o twoim bracie.

Poczuła zawroty głowy, jakby zataczała beczkę, cały świat przewracał się do góry nogami. Ale stała mocno, nawet się nie zachwiała, postanawiając, że przeżyje te chwile z godnością. Musiała to zrobić dla swojego brata. Chociaż to przecież ona miała zginąć jako pierwsza. Niebezpieczne misje bojowe, te latające trumny, messerschmitty. Zawsze była przekonana, że to ona zginie i że to Dawid będzie musiał z trudem chwytać równowagę, dowiadując się o jej śmierci.

— Mów — ponagliła i głos jej nawet nie zdrzał.

— Jego oddział stoczył bitwę. Dawid... zaginął w akcji.

Raisa zamruwała. Nie tego się spodziewała. Te słowa... to nie miało sensu. Jakim cudem żołnierz mógł po prostu zniknąć, jak jakiś kłoczek albo kartka papieru, których trzeba było potem szukać po całym domu? Odwróciła się do Pawła, jakby żądała wyjaśnień.

— Raisa? Wszystko w porządku?

— Zaginął? — powtórzyła. Dopiero teraz dotarł do niej cały sens tego zdania.

— Tak — odparł radiowiec, a w jego głosie zadźwięczała rozpacz.

— Ale to przecież... Nawet nie wiem, co powiedzieć.

— Przykro mi, Raisa. Obiecuję, że nie powiem Gridniewowi. Nie powiem o tym nikomu, póki nie przyjdą oficjalne informacje. Może tymczasem twój brat się odnajdzie i nic się nie stanie.

Jego współczujące spojrzenie było nieznośne. Gdy nie odpowiedziała, odwrócił się i odszedł, brnąc w błocie.

Raisa wiedziała, co myślał w głębi duszy, co pomyślał wszyscy i co się teraz stanie. Nikt nie powiedziałby tego głośno, nie mieliby odwagi, ale ona wiedziała. „Zaginiony w akcji” — lepiej by było, gdyby zwyczajnie zginął.

Już na początku wojny towarzysz Stalin zawyrokował: „Nie ma jeńców wojennych, są tylko zdrajcy ojczyzny”. Więźniów uznano za kłoborantów, bo gdyby byli prawdziwymi patriotami, woleliby raczej zginąć, niż dać się pojmać. Na tej samej zasadzie żołnierzy zaginionych w akcji uznawano za dezertersów. Jeśli Dawid nie trafi z powrotem do swojej formacji, zostanie okrzyknięty zdrajcą, a jego rodzina poniesie konsekwencje. Raisie najprawdopodobniej zabronią latania. Wszyscy zostaną ukarani, jakby mało było tego, że Dawid najprawdopodobniej leży martwy na dnie jakiegoś bagna.

Przyszczygnęła nos palcami, by powstrzymać łzy i weszła do schronu, przygotowana na odprawę. Nie mogła zdradzić, że coś się stało, ale z trudem skupiała się na słowach dowódcy.

Dawid nie był zdrajcą, ale nikogo nie obchodziło, jak bardzo ona w to wierzyła. Mogłaby to wykrzyzczyć ze szczytu najwyższej góry i tak nic by to nie zmieniło. Dopóki nie znajdą ciała — jako dowodu, że zabito go w walce — jej brat pozostanie zdrajcą już na zawsze.

To straszne: pragnąc odnaleźć ciało własnego brata.

Nagle poczuła, że ma ochotę chwycić broń — choćby i gołymi rękami, nie musiało to być działo samolotu — i iść kogoś zastrzelić. Może nawet Stalina.

Gdyby ktoś potrafił odczytać jej myśli, pewnie wyrzucono by ją z eskadry i wysłano do łagru, może nawet rozstrzelano na miejscu. Wtedy jej rodzice i siostra znaleźliby się w jeszcze gorszej sytuacji — mieliby nie jednego, a dwoje zdrajców w rodzinie. Nie powinna myśleć źle o Stalinie, lecz skierować gniew przeciw prawdziwemu wrogowi, temu, który zabił Dawida.

Oczywiście, jeśli on rzeczywiście nie żył. Może tylko przepadł bez wieści.

Ina usiadła obok i wzięła ją pod ramię.

— Raisa, co się dzieje? Wyglądasz, jakbyś miała wybuchnąć.

— Nic takiego — odparła.

* * *

Wciąż pisała do niego listy, jakby nigdy nic. Pisanie ją uspokajało.

Drogi Dodia!

Wspominałam już, że mam na koncie trzy strącenia? Trzy! A ilu Niemców Ty zabiłeś? Nie, nie odpowiadaj. Wiem, że pewnie więcej i że dla Ciebie to trudniejsze, bo musisz stawać z nimi twarzą w twarz, tylko z karabinem i bagnietem w ręku, a ja mam do pomocy swojego pięknego jaka. Ale i tak czuję, że robię coś dobrego. Ratuję życie Twoim kolegom w piechocie. Ina i ja powstrzymałyśmy ostatnio całą eskadrę bombowców. Myślę, że to dobry powód do dumy.

Tak bardzo się o Ciebie martwię, Dodia. Próbuję być dobrej myśli, ale to trudne.

Jeszcze dwa zestrzelenia i zostaną asem. Niestety, nie będę pierwszą kobietą, która zdobyła ten tytuł. Ten zaszczyt przypadł Lili Litwiak. Nasza Biała Lilia Stalingradu. Nie żałuję jej tego. Jest świetną pilotką. Widziałam, jak lata. Nie twierdzę, że jestem lepsza od niej, ale na pewno jestem równie dobra. Właśnie: jeśli zobaczysz zdjęcie Lili w gazecie (słyszałam, że gazety dużo o niej piszą, żeby służyła za inspirację dla żołnierzy, coś w tym stylu), to musisz wiedzieć, że Ina jest dużo ładniejsza. Ciekawe, czy wydrukują moje zdjęcie w gazetach, jak już zdobędę swoje dwa strącenia? Wtedy będziesz mógł powiedzieć wszystkim, że mnie znasz. Oczywiście pod warunkiem, że nie będziesz się wstydził takiej myszowatej siostry.

Dostałam list od mamy. Martwię się, bo napisała, że tata znów źle się czuje. Myślałam, że już mu się poprawiło, ale wygląda na to, że choruje cały czas. Brakuje im jedzenia. Tata pewnie oddaje swoje porcje Ninie. Ja bym tak robiła. Boję się, że mama nie mówi mi wszystkiego, że nie chce mnie martwić. Ty byś mi powiedział, prawda?

Można by pomyśleć, że to absurd. Mam tu tyle problemów, a jeszcze martwię się tym, co się dzieje w domu. Ty pewnie powiedziałbyś mi, że nasi rodzice potrafią się sobą zająć. Ja też potrafię, więc nie martw się o mnie. Mamy dość jedzenia, do tego dobrze się wysypiam. W każdym razie trochę sypiam. Czasem słyszę bombardowanie i wtedy boję się, że następnym razem trafią w nas. Ale nie myślimy o tym więcej.

Do zobaczenia

* * *

Jak wiele innych dziewcząt, po wybuchu wojny Raisa wysłała list do słynnej pilotki Mariny Raskowej, pytając, co powinna zrobić, by zostać pilotem wojskowym. Towarzyszka Raskowa odpisała natychmiast: „Właśnie organizuję kobiety batalion. Przyjeżdżaj”.

Raisa przyjechała.

Jej ojciec był zły. Chciał, żeby została w domu i pracowała w fabryce — dobra, godziwa praca, która wymagała równie wiele wysiłku co pilotowanie jąka. Ale matka tylko spojrzała na nią i powiedziała cicho: „Pozwól jej rozwinąć skrzydła, póki jeszcze może”. Ojciec nie mógł z tym dyskutować. Jej starszy brat, Dawid, kazał jej obiecać, że będzie pisała do niego codziennie, a przynajmniej raz na tydzień, żeby mógł ją mieć na oku. Dotrzymała obietnicy.

Przydzielono ją do pułku lotnictwa myśliwskiego i wtedy po raz pierwszy spotkała takie dziewczyny jak ona, nastolatki, które zapisywały się do aeroklubów, by latać. W swoim klubie była jedyną dziewczyną. Chłopcy z początku nie potraktowali jej poważnie, śmiali się z niej, gdy powiedziała, że chce zrobić licencję pilota. Ale ona była uparta, przychodziła na każdą sesję, każde spotkanie, każdą lekcję. W końcu pozwolili jej się zapisać. Prawdę mówiąc, nie traktowali jej poważnie, nawet gdy odbyła swój pierwszy lot solo i zdała test z nawigacji lepiej od wszystkich chłopaków. Nigdy nie powiedziała tego głośno, ale aż mdliło ją od tej hipokryzji. Wielka bolszewicka rewolucja miała zapewnić równość wszystkich obywateli, nawet mężczyzn i kobiet, a jednak chłopcy z aeroklubu wciąż powtarzali, że powinna wracać do domu, pracować w fabryce z innymi kobietami, wyjść za mąż i urodzić dzieci, bo taka była rola kobiety. Kobiety nie powinny latać. Za każdym razem musiała im od nowa udowadniać, jak bardzo się mylą.

Dzięki losowi za Marinę Raskową, która tyle dla nich zrobiła. Gdy zginęła — idiotyczny wypadek z winy złej pogody — kobiety pilotki zaczęły się bać, że je odprawią i wyślą do fabryk, by tam budowały samoloty, które wcześniej pilotowały. Raskowa miała znajomości na najwyższych szczeblach — знаła samego Stalina — i tylko jej wysiłki pozwalały kobietom utrzymać się na froncie. Raisa przypięła zdjęcie Raskowej do ściany w schronie. Większość pilotek czasem zatrzymywała się przy nim z uśmiechem, a czasem marszcząc brwi albo spoglądając ze smutkiem. Od czasu jej śmierci zginęło wiele innych pilotek

* * *

— Potrzebna mi misja bojowa, nie zwiadowcza — powtórzyła Raisa, patrząc Gridniewowi w oczy. Nie zasalutowała ani nie dodała „towarzyszu podpułkowniku”. W końcu byli równymi obywatelami, prawda?

Stali przy wejściu do schronu, smagani wiosennym wiatrem, gdy wyłożył jej kolejną misję. Raisa prawie nie czuła chłodu. Piloci mieli natychmiast iść do swoich samolotów, ale ona została, by się pokłócić. Ina stała o kilka kroków dalej, zmartwiona i nerwowa.

— Raiso Iwanowna, potrzebujemy pilotów do eskorty. Jesteście na liście.

— Ale ta trasa biegnie o setki kilometrów od linii frontu! Wasza szycha nie potrzebuje eskorty, tylko niańki!

— A zatem zostaniecie niańką.

— Towarzyszu dowódco, muszę zdobyć jeszcze tylko dwa strącenia...

— Musicie służyć oczywiście tak, jak ojczyzna tego zażąda!

— Ale...

— Tu nie chodzi tylko o was. Potrzebuję pilotów do eskorty, a wy jesteście pilotem. Możecie odejść.

Gridniew odwrócił się i odszedł, zanim zdołała się odezwać. Odprowadziła go wzrokiem, wściekła. Miała ochotę krzyczeć. Latając w eskorcie, nie zdoła niczego zestrzelić.

Pomaszerowała na płytę. Ina pobiegła jej śladem.

— Raisa, co w ciebie wstąpiło?

Miała wrażenie, że przyjaciółka zadaje jej to pytanie codziennie, przynajmniej co godzinę. Raisa nie mogła tego dłużej ukrywać. Jeśli nie mogła zaufać Inie, to nie było na świecie nikogo, komu mogłaby ufać.

— Dawid zagnął w akcji — powiedziała tylko i szła dalej.

Dziewczyna otworzyła usta, na jej twarzy szok mieszał się ze współczuciem, całkiem jak u Pawła.

— Och, nie! Tak mi przykro!

— To nic takiego. Ale teraz muszę się starać dwa razy bardziej, prawda?

Resztę drogi przebyły w milczeniu.

* * *

Raisa czuła, że swędzą ją ręce. Spoczywały na drążku, nie musiała więc się martwić, jak utrzymać je w miejscu. W powietrzu było naprawdę spokojnie — Ina, Katia i Tamara leciały swoimi myśliwcami, utrzymując praktycznie prostą linię. Nie powiedziano im, kto siedzi tym w Li-2, którego kazano im ochraniać, zresztą nie miało to znaczenia, ale Raisa wyobrażała sobie, że to sam Stalin. Zastanawiała się, czy miałyby dość odwagi, by zawołać go przez radio. „Towarzyszu, pozwólcie, że opowiem wam o moim bracie...”. Ale wierchuszka na pewno nie ściągnęłaby kobiet pilotów do ochrony pierwszego sekretarza. To na pewno nie był on.

Ich VIP zresztą nie potrzebował specjalnej ochrony. Tutaj, tak daleko od frontu, najgorsze, co

mogło ją spotkać, to zderzenie z innymi pilotami, którzy wyłamali się z szyku. To naprawdę kłopotliwe.

Tuż przed wylotem radiowiec ogłosił, że Lilia zaliczyła kolejne strącenie. Sześć potwierdzonych zestrzeleń. Niemcy najwyraźniej ustawiali się w kolejce, byle tylko spotkał ich zaszczyt zestrzelenia przez piękną Lilię. Raisa tymczasem traciła czas, wiele kilometrów od pola bitwy, bawiąc się w strażniczkę.

Gdyby zginęła w bitwie, heroicznie, na oczach wielu świadków, pozostawiając zwłoki, może pomogłaby oczyścić reputację Dawida. Jeśli zostałaby bohaterką — może nawet asem — to nie mogłaby być zdrajczynią, prawda?

Wyciągnęła nogi i podrapała się po głowie, wsuwając rękę pod hełm. Jeszcze kilka godzin i zjedzą coś ciepłego. Było to jedyne, co dobrego przyszło z tej misji — eskortowali swojego podopiecznego do prawdziwej bazy, z prawdziwym jedzeniem i przed powrotem do Woroneża obiecano im ciepły posiłek. Raisa zastanawiała się, czy zdoła zawinąć coś w chustkę i schować na później.

Rozglądając się po niebie, nie zauważyła niczego podejrzanego, aż do samego horyzontu nie było nawet samotnej gęsi. Pozostałe samoloty — smukłe jak i wielki lisunow o przysadzistym korpusie, wyposażony w dwa silniki na skrzydłach — mruzczały wokół niej, a ich formacja wyglądała całkiem dostojnie. Zawsze fascynowało ją to, jak te wielkie potwory ze stali i smaru były w stanie szybować w powietrzu, tak całkowicie zaprzeczając grawitacji. Świat rozciągał się w dole, szerokie równiny nakrapiane beżem i zielenią, przetykane lasami i przecięte krętym strumieniem. Mogłaby wręcz uwierzyć, że tam w dole niczego nie ma, że to zupełnie nowy, czysty ład. Czuła się jak królowa wszystkiego w zasięgu wzroku — całej tej ziemi ciągnącej się przez wiele setek kilometrów. Żeglowała ponad nią bez żadnego wysiłku. W końcu dostrzegła jakieś gospodarstwo, rzędy kwadratowych pól, które o tej porze powinny być zielone od kiełkującego zboża. Teraz okolicę pokrywały czarne doły i kawałki rozerwanych czołgów.

Uznała, że jeśli służy się na dźwięku silnika, uspokajającym grzechotaniu płynącym przez cały kadłub, to przestanie tyle myśleć o wszystkim innym. Jeśli odchyli głowę w tył, będzie mogła patrzeć na przesuwaną się w górze niebo i mrużyć oczy w słońcu. Dzień był piękny, aż miała ochotę otworzyć owiewkę i rozkoszować się widokiem nieba. Na tej wysokości szybko przemarzłaby od lodowatego wiatru, więc oparła się pokusie. W kokpicie było ciepło i bezpiecznie jak w jajku.

Nagle coś przyciągnęło jej wzrok. Szybowały daleko, ponad równiną, tam gdzie niebo stykało się z ziemią. Ciemne punkciki na tle błękitu. Wyglądały nienaturalnie — leciały zbyt równo, zbyt gładko, by mogły to być ptaki. Miała wrażenie, że są bardzo daleko, co sugerowało, że mogą być duże. Trudno było to ocenić bez jakiegos punktu odniesienia. Ale kilka z nich poruszało się

w charakterystycznym szyku.

Włączyła radio.

— Mówi Stiepanowa. Na dziesiątej, na horyzoncie, widzicie?

Ina przytaknęła.

— Czy to bombowce?

Na pewno — pomyślała Raisa. Wyglądały, jakby leciały ciężko, posuwały się naprzód stopniowo, zamiast pędzić. Formacja zbliżała się coraz bardziej, ale wciąż nie było widać, czy wymalowano na nich krzyże czy gwiazdy.

— Nasi czy tamci? — spytała Katia.

— Sprawdź! — zawołała Raisa, wyłamując się z szyku i otwierając przepustnicę. Uznała, że podleci na chwilę, a jeśli zobaczy czarny krzyż, otworzy ogień.

W radiu odezwał się męski głos. Był to pilot Li-2.

— Mówi Osipow. Stiepanowa, wracajcie.

— Ale...

— Natychmiast wracać do szyku!

Samoloty były tuż-tuż, to trwałoby tylko chwilę...

Na kanale rozległ się błagalny głos Iny.

— Raisa, nie zdołasz ich zestrzelić sama.

Zawsze mogła spróbować...

— Powiadomiliśmy eskadrę — wylecą, by przechwycić tę formację. Mamy kontynuować zgodnie z planem.

Nie byliby w stanie jej zatrzymać... ale po wylądowaniu mogli ją oskarżyć o złamanie rozkazu, a to na pewno nie pomogłoby nikomu. Litwiak pewnie znów dziś kogoś zestrzelił. Raisa zmar szczyła brwi, patrząc na swoje blade odbicie w owiewce.

* * *

Drogi Dodia!

Obiecałam, że będę do Ciebie pisać codziennie, więc dotrzymuję słowa.

Jak się miewasz? Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku, że nie jesteś chory ani głodny. Zaczęłyśmy rozmawiać z dziewczynami o jedzeniu szczurów — pełno ich tu w schronach — ale żadna jeszcze nie spróbowała. Chyba głównie dlatego, że byłoby przy tym za dużo pracy i za mało mięsa. Te małe bestie są równie chude jak my wszyscy. Ale wcale się nie skarzę. W ostatnim rzucie dostaliśmy parę skrzynek amerykańskich zapasów — owoce, mięso i mleko. Mam wrażenie, że to tylko przedsmak tego, co nadejdzie, gdy ta wojna wreszcie się skończy. Ina tak powiedziała.

Pięknie, prawda? Ta dziewczyna własnoręcznie utrzymuje morale w całym batalionie.

Muszę Ci uprzedzić o jednej rzeczy. Napisałam list, który mają wysłać Ci po mojej śmierci. Jest dość groteskowy, a teraz pewnie będziesz się bał, że każdy kolejny list okaże się właśnie tym. Czy Ty byś tak zrobił, napisałbyś mi list na wypadek swojej śmierci? Do tej pory takiego nie dostałam, co daje mi trochę nadziei.

Cieszę się, że Nina jest jeszcze za mała, by być z nami na froncie, inaczej musiałabym napisać jeszcze więcej groteskowych listów. Dostałam od niej list, pisała mi o tym, co robi, gdy już dorośnie. Chce pójść na front i zostać pilotką, tak jak ja, a jeśli nie będzie mogła, to zostanie mechaniczką. Może nawet moją. Była bardzo podekscytowana. Odpisałam jej jeszcze tego samego dnia, napisałam, że zanim ona dorośnie, wojna już się dawno skończy. Mam nadzieję, że się nie pomyliłam.

Ucałowania

Raisa

* * *

Kolejny tydzień upłynął bez żadnych wieści o Dawidzie. Najprawdopodobniej nie żył. Oficjalna wersja będzie głosiła, że zdezerterował, a Raisa uznała, że może powinna rozważyć tę możliwość, nawet jeśli nie miała żadnego sensu. Dokład niby miałby uciec? A może po prostu się zgubił i jeszcze nie wrócił do swojego pułku? Bardzo chciała w to uwierzyć.

Gridniew wezwał ją do swojego sztabu. Gdy weszła do schronu, czekał tam jakiś nieznajomy człowiek w wykrochmalonym mundurze.

Dowódca był ponury.

— Kapitanie Sofin, to właśnie Raisa Stiepanowa — oznajmił i wyszedł z pomieszczenia.

Kobieta wiedziała, na co się zanoszą. Sofin położył na blacie teczkę i usiadł za biurkiem. Nie poprosił jej, żeby usiadła.

Nie bała się, za to musiała walczyć z narastającą, duszącą wściekłością.

— Dawid Iwanowicz Stiepanow to wasz brat?

— Tak

— Wiecie, że zaginął w akcji?

Oficjalnie jeszcze nic nie ogłoszono, ale uznała, że nie ma sensu tego ukrywać.

— Tak, towarzyszu.

— Czy macie jakieś informacje na temat jego miejsca pobytu?

Nie powinniście czasem skupić się na prowadzeniu wojny? — chciała wykrzyknąć.

— Podejrzewam, że nie żyje. To się często zdarza.

— Nie próbował się z wami kontaktować?

Raisa z przerażeniem pomyślała o tym, co mogłoby się stać, gdyby ktoś znalazł wszystkie te listy, które do niego napisała.

— Nie.

— Wiecie, że jeśli otrzymacie od niego jakąkolwiek wiadomość, waszym obowiązkiem jest powiadomić dowództwo?

— Tak jest.

— Będziemy się wam uważnie przyglądać.

Miała ochotę przeskoczyć przez biurko i zadusić tego kurdupla z wąsikiem. Miała też ochotę się rozpłakać, ale nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Jej brat zaginął, a oni natychmiast skazali go za zdradę, bez dowodów czy procesu.

Dla kogo właściwie walczyła? Dla rodziców i Niny, i nawet dla Dodi. Ale na pewno nie dla tego człowieka.

Odprowadził ją, nawet nie unosząc wzroku znad teczek. Wysłała ze schronu.

Gridniew stał przy drzwiach, jak uczeń wystający pod szkołą. Bardzo poważny i zmartwiony uczeń. Prawdopodobnie słyszał każde słowo. Raisa poczuła, że ramiona jej opadają i zwiesiła głowę, jak skopany pies.

— Raiso Iwanowna... — powiedział cicho dowódca. — W 586. pułku nadal jest dla was miejsce. Zawsze tu będzie.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale nie ufała głosowi na tyle, by coś odpowiedzieć. Wiedziała, że koniec końców Gridniew będzie miał tu niewiele do gadania.

Nie — sama musiała udowodnić własną niewinność. Jeśli zbierze wystarczająco dużo strąceń, zostanie asem, a wtedy nie będą mogli jej tknąć, nie niszcząc przy tym reputacji Lili Litwiak. Jeśli zostanie bohaterką, może zdoła zrehabilitować nawet Dawida.

* * *

Zima dobiegła końca, ale oznaczało to tylko tyle, że owady zaatakowały z całą mocą. Komary i mszki dręczyły ich nieustannie, aż wszyscy stawali się rozdrażnieni i nerwowi. Plotki głosiły, że alianci w Ameryce i Wielkiej Brytanii planują wielką inwazję i że Niemcy mają jakąś tajną broń, z pomocą której mogą zrównać z ziemią Moskwę i Londyn. Nie było żadnych wieści, do obozu docierały jedynie rozkłazy.

Raisa była coraz bardziej zmęczona.

— Raisa, wszystko w porządku?

Zaparkowała samolot w hangarze po powrocie z patrolu. Zatoczyła pętlę, lecąc wzdłuż linii frontu, szukając oznak szykującego się ataku albo przesunięcia wojsk, ale patrol okazał się całkiem

rutynowy, nigdzie nie było żadnych Niemców. Silnik z warczenia przeszedł do mrużenia, aż w końcu zamilkł. Wirlnik przestał się obracać już dawno, ale Raisa wciąż siedziała w kółpicie. Na samą myśl, że miałyby wyjść, zabierając ze sobą ciężki sprzęt, spadochron, dziennik, hełm i całą resztę, opuszczała ją cała energia. Robiła to przez wiele miesięcy, a teraz nie była już pewna, czy zostały jej jeszcze siły. Nie była w stanie nawet odczytać cyfr na tarczach, nieważne, jak długo mrugała oczami.

— Raisa! — zawołała Marta, jej mechaniczka. Raisa otrząsnęła się ze zmęczenia.

— Tak, tak, już idę. — Otworzyła owiewkę, zebrała rzeczy i wywlokła je na skrzydło.

Marta czekała na skrzydle ubrana w koszulę i ogrodniczki, z podkaszanyimi rękawami, w chustce na głowie. Nie miała więcej niż dwadzieścia lat, ale po latach pracy z silnikami ręce zrobiły się jej całkiem szorstkie.

— Wyglądasz okropnie — powiedziała.

— To zaraz minie — odparła pilotka. — Wystarczy kieliszek wódki i miesiąc spania w puchowym łóżku. — Roześmiały się obie.

— Jaktam paliwo?

— Mało go zostało. Myślisz, że spała więcej, niż powinien?

— Wcale by mnie to nie zdziwiło. Zajeżdżasz go bez litości. Zaraz to sprawdzę.

— Jesteś złota.

Podawała pilotce rękę, by pomóc jej zejść na ziemię. Raisa przyciągnęła ją do siebie i uściskała.

— Na pewno wszystko w porządku? — spytała Marta.

— Raisa! — Ina wracała właśnie ze swego samolotu, ciągnąc za sobą spadochron. — Wszystko w porządku?

Naprawdę wolałaby, żeby ludzie przestali zadawać jej to pytanie.

— Chyba jest po prostu zmęczona — Marta odpowiedziała za nią. — Wiecie, czego nam tu potrzeba? Jakiegoś wieczorku z tańcami. W okolicy jest przecież tylu przystojnych chłopaków. — Miała rację. W bazie pełno było pilotów, mechaników i żołnierzy, w większości bardzo przystojnych. Proporcje kobiet i mężczyzn były bardzo korzystne dla tych pierwszych. Raisa w sumie nigdy o tym nie myślała.

Ina westchnęła.

— Trudno myśleć o flirtowaniu, gdy ciągle do ciebie strzelają.

Marta oparła się na skrzydło, spoglądając tęsknie.

— Po wojnie będziemy mogły się ładnie ubrać. Umyć się prawdziwym mydłem i pójść na tańce.

— Po wojnie — zgodziła się Ina.

— Jak już wygramy — zaznaczyła Raisa. — Jeśli zwyciężą faszyci, to nie będzie tu żadnych

tańców.

Zapadła cisza i Raisa pożałowała, że w ogóle się odezwała. Ilekroć mówili o wojnie, wszyscy milcząco zakładali, że to oni zwyciężą. Bo jeśli przegrają, to w ogóle nie będzie żadnego „potem”.

Raisa nie spodziewała się tego dożyć tak czy inaczej.

* * *

Drogi Dodia!

Uznałam, że mogłabym nawet zrezygnować z tytułu asa, gdyby tylko oznaczało to, że oboje dożyjemy do końca wojny. Nie mów nikomu, że tak powiedziałam. Straciłabym swoją ciężko zapracowaną opinię walecznej pilotki, wściekle zazdrosnej o Lilię Litwiak. Jeśli Bóg istnieje, może mnie usłyszy i w końcu gdzieś się odnajdziesz. Żywy i nie w niewoli. Wrócimy do domu, do mamy i taty, i Niny i zapomnimy o wszystkim, co się tu działo. Od dzisiaj to będzie moje marzenie. Wciąż mam ten okropny list, który napisałam na wypadek swojej śmierci. Powinnaś go spalić, skoro teraz nie ma już go dokąd wysłać.

Tvoja siostra

Raisa

* * *

Alarm zabrzmiał o świcie.

Odruchowo stoczyła się z pryczy, szybko włożyła spodnie, koszulę, kurtkę i buty, chwyciła rękawice i szybko wypadła ze schronu. Ina biegła u jej boku. Samoloty warczały ponad głowami — zwiadowcy wracający z patrolu.

Mechanicy — wszyscy! — kręcili się wokół maszyn stojących na płycie. Uzupełniali paliwo, ładowali taśmy do działek i karabinów. To musiało być coś dużego. Nie potyczka, ale bitwa.

Podpułkownik Gridniew wygłosił przemowę na płycie lotniska. Ciężkie niemieckie bombowce przekroczyły linię frontu. Zewsząd ściągano myśliwce, żeby wyruszyły je przechwycić. On sam zamierzał poprowadzić pierwszą eskadrę. Startowali za dziesięć minut i zamierzali zaatakować wszystkie myśliwce wysłane do eskorty bombowców. Druga eskadra — kobieca — miała wystartować za kwadrans i zatrzymać same bombowce.

W powietrzu aż zaroilo się od jaków, szum silników brzmiał jak brzęczenie olbrzymich pszczół. Nie zostało już czasu na myślenie, można było tylko działać. Marta pomogła Raisie wejść do kokpitu, poklepała owiewkę, a potem skoczyła na ziemię, by wyjąć klocki spod kół. Killkanaście jaków ustawiło się przy pasie startowym, czekając na swoją kolej. Jeden za drugim, jeden za

drugim...

W końcu nadeszła kolej Raisy. W powietrzu poczuła ulgę — nareszcie mogła coś zrobić. Tu, w górze, gdy ktoś ją zaatakował, mogła zrobić unik. Zupełnie inaczej niż na ziemi, gdy spadały bomby. Wołała czuć w ręku drążek, spust broni pod palcami. Wtedy czuła, że jest na swoim miejscu.

Spoglądając przez owiewkę, zobaczyła, że Ina leci już na swojej pozycji. Zasalutowała, a Raisa zamachała w odpowiedzi. Gdy cała eskadra była już w powietrzu, ustawiły się w eszelon i podążyły za eskadrą Gridniewa. Już wielokrotnie latały z jego chłopakami, mieli czas, by zgrać się ze sobą. Kobiety czy mężczyźni — w powietrzu nie miało to znaczenia i większość pilotów w końcu zdawała sobie z tego sprawę. Gdyby się nad tym zastanowili, pewnie byliby to dla nich pewne objawienie, ale w powietrzu nikt nie miał czasu na zastanawianie. Raisie wystarczyło wiedzieć, że Aleksiej Borysow lubił nurkować w lewo i wzbijać się pętlą w górę, jeśli coś poszło nie tak. Zofia Mironowa była ostrożną pilotką i często trzymała się z tyłu. Walentyna Guszyńska była szybka i bardzo skuteczna w walce. Fiodor Baurin miał najlepszy wzrok i zawsze pierwszy zauważał cel.

Jaki leciały w luźnym szyku, gotowe rozproszyć się i uderzyć, gdy tylko dostrzegą wroga. Raisa rozglądała się na wszystkie strony, patrząc w górę i oglądając się przez ramię. Dowódca miał współrzędne, oceniał, że do pierwszego spotkania może upłynąć jakieś dwadzieścia minut. Lada chwila powinni ich dostrzec...

— Tam! — zawołał przez radio Baurin. — Na pierwszej!

— Spokojnie — oznajmił zaraz Gridniew. — Zachować szyk

Teraz Raisa też dostrzegła wroga — promienie słońca odbijające się od owiewek, samoloty zastygłe w powietrzu. Trudno było ocenić skalę i odległość. Jej własna eskadra poruszała się na tyle szybko, że wrogowie zdawali się stać w miejscu. Ale jednak się zbliżali, szybko i nieuchronnie.

Ciężkie bombowce posuwały się naprzód, lecz od głównego szyku odłączyło się kilka mniejszych kształtów — eskadra myśliwców przydzielona jako eskorta.

Cóż, zapowiadało się ciekawie.

Na rozkaz dowódcy rozciągnęli szyk i przygotowali się do walki. Raisa otworzyła przepustnicę i pomknęła naprzód, próbując ominąć myśliwce — w końcu podstawowym celem było zatrzymanie bombowców. Jej jak zanurkował w dół, skręcił w lewo, po czym z rykiem pomknął przed siebie.

Ponad głową przemknął jej rząd messerschmittów. Zaterkotały działka. Samoloty zniknęły.

Ina podążyła za nią i już za chwilę miały przed sobą bombowce — nieruchawe, jakby oczekujące. Miały do dyspozycji naprawdę niewiele czasu, zanim te messerschmitty wrócą,

niezależnie od tego, jak bardzo chłopaki postarają się je zająć.

Gdy tylko znalazła się w zasięgu, otworzyła ogień. Terkot działał aż zatrząsł kadłubem. W pobliżu odezwało się drugie; Raisa zauważyła smugi dymu mknące w stronę junkersów — Ina też strzelała.

Bombowce przyhamowały, a tymczasem myśliwce wreszcie się z nimi zrównały. Zapanował chaos.

Wpatrywała krzyży i gwiazd wymalowanych na kadłubach, próbując odróżnić przyjaciół od wrogów. Ścigali się nawzajem w trzech wymiarach, aż w końcu nie dało się już ich odróżnić, a Raisa musiała się skupić głównie na unikaniu zderzenia. Messerschmitty miały kształt torped, były smukłe i zwinne. Groźne. Piloci po obu stronach mieli za sobą dwa lata wojny i zdobywania doświadczenia. Wyglądało na to, że walka zakończy się dopiero wtedy, gdy jednej ze stron wyczerpie się amunicja.

Należało szybko uszkodzić te bombowce.

Pozostali najwyraźniej wpadli na ten sam pomysł. Dowódca kazał mierzyć do podstawowego celu, póki bombowce się nie rozpierzchną, byle tylko uciec spomiędzy pojedynków. Teraz piloci messerschmittów musieli uważać, by przez przypadek nie trafić własnych. Postępowali bardziej ostrożnie, co dawało jakimś pewną przewagę.

Niebo wokół wypełniał warkot silników, łopat śmigieł młócących powietrze. Raisa nigdy nie widziała w powietrzu tylu samolotów, nawet w czasach, gdy jeszcze trenowała w aeroklubie.

Zatoczyła pętlę po obrzeżach walki i znalazła sobie ofiarę. Pilot myśliwca namierzył jaką — chyba Katii — i był w nim tak skupiony, że leciał prosto. Pierwszy i podstawowy błąd. Wzięła go na celownik, odczekała chwilę, na tyle krótko, by opuścić nos i zanurkować, zanim ktoś inny zacznie ją namierzać.

Pociski strzaskały owiewkę tamtego, trysnęła krew. Przez chwilę miała wrażenie, że spod hełmu i gogli widzi twarz pilota — krótka sekunda, wyraz szoku, a potem nic. Me-109 wyrwał się spod kontroli, opuścił nos i runął karkociągiem. Jego widok, wstęga czarnego dymu, był fascynujący. Ale trajektoria lotu szybko wyniosła ją dalej i po chwili widziała tylko błękitne niebo.

— Cztery! — wykrzyknęła. Cztery zestrzelenia. A mając wokół tyle celów, na pewno zdoła strącić jeszcze piątego. Oba dla Dawida.

Inne samoloty spadały. Jeden z bombowców oberwał i leciał na jednym silniku, wypluwając kłęby dymu. Jakiś myśliwiec zakaszłał, zwolnił, a potem spadł, wlokąc za sobą smugę ognia i sygiac szczątkami. Czy to Aleksiej? Tak, to on. Zdoła odzyskać sterowność? A jeśli nie, to czy zdąży wyskoczyć? Raisa nie widziała, co się dzieje w kółpicie. Zamiast rozpaczać, zacisnęła zęby i namierzyła kolejny cel. Było ich tu tyle, że sama nie wiedziała, w którą stronę patrzeć.

Gridniew zarządził odwrót. Rozerwali szyk, uniemożliwili wrogowi misję. Czas uciekać. Ale przecież walczyli dopiero od kilku minut. Silnik jaka Raisy zdawał się zmęczony, miała wrażenie, że łopatkę śmigła obracają się z wysiłkiem.

Messerschmitt spadł na nią niczym grom z jasnego nieba.

Deszcz pocisków uderzył w kadłub jaka, zagrzechotał jak ciężki grad. Ból przeszył jej nogę, ale znacznie bardziej martwił ją zgrzyt i pisk dobiegający z silnika. I czarny dym wytryskujący z nosa gęstym strumieniem. Silnik zakaszał, śmigło przestało się obracać. Nagle jej piękny, smukły myśliwiec stał się martwy jak głaz.

Poderwała nos samą brutalną siłą, raz po raz otwierając przepustnicę, ale silnik nie odpowiadał. Dusila pedały, ale ster się zaciął. Nos przechylił się w dół, nie dając jej szansy, by po prostu poszybować w dół, na ziemię.

— Raisa, wychodź! — Ina krzyczała przez radio.

Opuścić posterunek? Nie, nigdy. Lepiej zginąć w wybuchu, niż zginąć w akcji.

Nos pochylił się jeszcze niżej, lewe skrzydło przekrzywiło się w górę. Początek karkociągu. Teraz albo nigdy. Niech to cholera!

Prawa noga ćmiła bólem, rękaw miała przesiąknięty krwią, bryzgi były też na owiewce, chociaż nie miała pojęcia, skąd się wzięły. Może to krew tego pilota, tego który spojrział na nią martwymi oczami. W końcu zwyciężył instynkt i wykształcenie. Raisa wyciągnęła rękę i otworzyła owiewkę. Wiatr uderzył ją jak wielka pięść. Odpięła uprząż i z trudem wyszła z fotela — noga nie poruszała się, jak należy. Nie tyle skoczyła, ile po prostu pozwoliła, by jak od niej odpadł, a potem uniosła się w powietrzu. Nie — spadała. Szarpnęła za linkę, a spadochron wystrzelił ponad nią jak biały kwiat, rozwijając płatki. Wypełnił się powietrzem i szarpnął. Wisiała w uprzęży jak połącz mięsa. Połącz mięsa, cha, cha.

Jej samolot płonął niczym ognista kometą spiralnym lotem zmierzająca ku ziemi, ciągnąc za sobą karkociąg dymu. Jej biedny samolot. Miała ochotę płakać, chociaż przez całą wojnę nie uroniła ani jednej łzy.

W górze wciąż szalała bitwa. Straciła z oczu samolot Iny, ale poprzez wybuchy wciąż słyszała terkot działek i warkot silników. Ina osłaniała jej ucieczkę, by nikt nie zestrzelił jej w powietrzu. Nie byłaby to największa tragedia — przynajmniej zginęłaby w walce. A teraz nie wiedziała nawet, po czyjej stronie spadnie. Kto ją znajdzie — Rosjanie czy naziści? Nie ma jeńców, są tylko zdrajcy ojczyzny...

Najgorsze było to, że nie mogła nic na to poradzić. Krew łąpała jej z rany i rozbryzgiwała się na wietrze. Postrzelono ją. Zawroty głowy mogły być spowodowane szokiem albo utratą krwi. Może nawet nie dożyje lądowania. Czy kiedykolwiek odnajdą jej ciało?

Niebo ucichło nagle, a myśliwce i bombowce zaroili się w oddali jak wrony. Raisa zmrużyła

oczy, próbując je dostrzec wyraźniej.

A potem straciła przytomność.

* * *

Dużo później, gdy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą niski sufit przecinany rzędami drewnianych podwiesz. Leżała na łóżku połowym ustawionym w rzędzie innych, najwyraźniej w prowizorycznym lazarecie, pełnym ludzi, przemierzających alejki między łóżkami w jakichś ważnych sprawach. Usłyszała, że mówią po rosyjsku, a wtedy wypełniła ją wdzięczność. Znaleźli ją. Była w domu.

Nie mogła się poruszyć i uznała, że nie ma ochoty. Bezmyślne leżenie na łóżku, daleko od bólu, który pewnie już niedługo miała poczuć, zdawało się jej całkiem niezłym zajęciem na najbliższych parę minut.

— Raisa! Obudziłaś się.

Ktoś przesunął krzesło po betonowej podłodze i chwilę później zobaczyła znajomą twarz. To był Dawid. Ogolony, ostrzyżony, w wyprasowanym mundurze piechoty, jakby właśnie szedł na paradę, a nie odwiedzał siostrę w szpitalu. Wyglądał jak na tym zdjęciu, które wysłał do domu zaraz po tym, gdy się zaciągnął. To musiał być sen. Może to wcale nie szpital, tylko niebo. Raisa nie była pewna, czy na nie zasłużyła.

— Proszę, powiedz coś — błagał Dawid. Twarz miał ściągniętą i był zdecydowanie zbyt zmartwiony jak na kogoś w niebie.

— Dodia! — Musiała wziąć dwa oddechy, by to wymówić. Głos zabrzmiał zgrzytliwie. Obliznęła spieczone usta. — Żyjesz? Co się stało?

Wzruszył ramionami.

— Mój oddział zgubił drogę. Walczyliśmy z jednostką pancerną w środku lasu, a potem zaskoczyła nas śnieżca. Połowa z nas dostała odmrożeń i musiała wynieść drugą połowę z lasu na plecach. Trwało to parę tygodni, ale jakos dotarliśmy.

Przez cały ten czas... rzeczywiście był zaginiony w akcji. Raisa żałowała, że w pobliżu nie ma Sofina, bo chętnie przywaliłaby mu w szczękę.

— Wiesz, ile kłopotu nam narobiłeś? Śmiałybym się z ciebie, gdyby mnie tak nie boleło.

Mina mu zrzedła, a Raisa pomyślała, że po powrocie pewnie odbył rozmowę z kimś bardzo podobnym do Sofina. Uznała, że nie wspomni, co powiedział jej ten człowiek, i obiecała sobie, że po powrocie do schronu spali wszystkie listy, jakie napisała do brata.

— Dobrze cię widzieć, Raisa. — Ujął jej dłoń, tę, która nie była zabandażowana i uściśnął, ale nie za mocno. — Twój dowódca, podpułkownik Gridniew, powiadomił mnie, że zostałeś ranna, więc wziąłem dzień urlopu i przyjechałem.

Raisa przełknęła ślinę. Mówiła bardzo wolno.

— Zestrzelili mnie. Musiałam wyskoczyć. Nie wiem, co się później stało.

— Twoja skrzydłowa cię namierzyła. Wysłali patrol naziemny, a oni cię znaleźli. Mówią, że byłaś nieźle sponiewierana.

— Ale zdobyłam czwarte strącenie, wiesz? Jeszcze jedno i zostanę asem — podkreśliła. Może nie będzie pierwszą kobietą asem, ani nawet drugą. Ale w końcu nią zostanie.

Dawid nawet się nie uśmiechnął. Poczula, że odsuwa się w tył, jego uścisk zelżał.

— No co?

Nie chciał tego powiedzieć. Zmarszczył brwi, a oczy mu załśniły, jakby sam miał się rozpłakać. A ona, jego siostra, nie zrobiła tego ani razu. No dobrze, tylko raz. Płakała za swoim samolotem.

— Posłuchaj, Raisa, chcę cię zwolnić z powodów zdrowotnych.

— Co? Niemożliwe. Nic mi nie jest. Wszystko będzie...

— Masz złamane obie nogi, połowa żeber połamana, wybiłaś bark, masz wstrząs mózgu, a do tego postrzelono cię dwa razy. Nie możesz wrócić. W każdym razie jeszcze długo nie siądziesz za sterami.

Naprawdę nie sądziła, że jest w tak kiepskim stanie. Przecież poczułaby, gdyby było z nią źle... Ale jej ciało wciąż zdawało się tak odległe. Nie czuła prawie nic.

— Wyzdrowieję...

— Proszę cię, Raisa, odpoczywaj. Po prostu odpoczywaj.

Jeszcze jedno strącenie, tylko jedno...

— Dodia, jeśli nie mogę latać, to co będę robić?

— Raisa! — zawołał głos z drugiego końca rzędu.

— Ina! — odkrzyknęła pilotka najgłośniejszym głosem, jak mogła.

Skrzydłowa pobięła przed siebie, a gdy nie mogła znaleźć krzesła, po prostu uklęknęła przy łóżku.

— Raisa, och, Raisa! Owinęli cię jak mumię. — Przez chwilę poprawiała koce i schowała z powrotem kosmyk włosów wyglądający spod bandaży na głowie. Potem znów poprawiła koce. Kochana, słodka Ina.

— To jest mój brat, Dawid.

Ina aż otworzyła szerzej oczy, ale Raisa nie zdążyła wyjaśnić, że „zaginiony w akcji” czasem naprawdę znaczy „zaginiony”, zanim Dawid wstał i zaoferował Inie krzesło. Nie chciała usiąść, więc stali po przeciwnych stronach łóżka, patrząc na siebie ponad posłaniem Raisy. Skrzydłowa w końcu wyciągnęła rękę, a Dawid wytarł dłoń o spodnie, zanim ją uściśnił. Tak, to do niego podobne.

— Raisa tyle mi o tobie opowiadała — stwierdziła Ina.

— A o tobie pisała.

Skrzydłowa tylko się zaczerwieniła. Dobrze. Może jednak wyjdzie z tego coś dobrego.

* * *

Powinna się cieszyć. W końcu spełniło się jej życzenie.

Raisa stała na peronie, czekając na pociąg, który miał ją zabrać z Woroneża. Rękę wciąż miała na temblaku i ciężko wspierała się na lasce. Nie była w stanie nieść własnych bagaży.

Kłóciła się z dowództwem o to zwolnienie. Powinni byli wiedzieć, że nie da się zbyć tak łatwo — nie wiedzieli, ile musiała przejść, by w ogóle wsiąść do kółpitu. Wciąż pisała listy i nachodziła ich osobiście, aż w końcu nie mogli jej po prostu odmówić. Zastanawiała się, czy w ten sam sposób nie sprowadziła Dawida z powrotem: pisała do niego listy tak długo, że w końcu musiał wrócić.

Gdy w końcu zaofiarowali jej kompromis — miała uczyć nawigacji w bazie nieopodal Moskwy — zgodziła się natychmiast. Oznaczało to, że nawet z laską i temblakiem, choć nie była w stanie iść prosto ani nieść własnego sprzętu, wciąż mogła nosić mundur, wstęgi i medale. Wciąż mogła chodzić z podniesioną głową.

Ale ostatecznie musiała przyznać, że już nigdy więcej nie poleci, a przynajmniej nie z misją bojową.

— Na pewno dasz sobie radę? — spytała Ina, która przysłała ją odprowadzić na stację. Dawid wrócił do swojego pułku, ale podsłuchiwała, jak obiecują sobie nawzajem, że będą do siebie pisać.

— Wszystko w porządku,

Oczy Iny błyszczały, jakby były pełne łez.

— Zrobiłaś się taka milcząca. Przyzwyczaiłam się, że wiecznie dokądś biegniesz, jak rozwścieczony kogut.

Raisa aż się uśmiechnęła.

— Będziesz do mnie pisać?

— Oczywiście. Jak najczęściej. Prześlazę ci wszystkie plotki.

— Tak muszę wiedzieć dokładnie, ile samolotów jeszcze strąci Lilia Litwiak

Zaledwie po kilku miesiącach Raisa przeczytała w gazecie, że Lilię zestrzelono nad terytorium wroga, a jej samolotu i ciała nigdy nie odnaleziono. Pierwsza kobieta as zamiast bohaterką została ogłoszona dezerterką. Ale teraz jeszcze nikt o tym nie wiedział.

Pociąg zagwizdał w oddali, było już słychać, jak z turkotem nadjeżdża po torach.

— Na pewno dasz sobie radę? — spytała Ina, a jej głos zabrzmiał niemal błagalnie.

Raisa zapatrzyła się w dal — ostatnio często jej się to zdarzało. Wiatr unosił jej ciemne włosy, gdy patrzyła przez pole, ponad zburzonym miastem, w kierunku bazy. Miała wrażenie, że gdzieś

w górze słyszy ich silniki.

— Zawsze wyobrażałam sobie, że zginę w wypadku albo zestrzelona przez wroga. Że wyjdę z tej wojny zwycięsko albo zginę bohaterską śmiercią. Nigdy nie sądziłam, że mogę zostać... kaleką. Że wojna będzie się toczyć dalej, tylko beze mnie.

Ina dotknęła jej ramienia.

— No cóż, my się cieszymy, że jednak żyjesz. Wszyscy, a zwłaszcza Dawid.

— Tak, bo inaczej nie wiedziałby, jak to przekazać rodzicom.

— Jesteś makabryczna.

Pociąg nadjechał, a bagażowy pomógł Raisie wnieść walizki.

— Uważaj na siebie — powiedziała do przyjaciółki. — Wyшкоł sobie dobrą skrzydłową.

— Będę za tobą tęsknić.

Uściskały się, mocno, ale ostrożnie. Ina została na peronie jeszcze przez chwilę, by upewnić się, że Raisa dołączyła bez przeszkód do swojego fotela. Machała jej ręką, póki pociąg nie zniknął z oczu.

Siedząc w pociągu i wyglądając przez okno, Raisa zobaczyła dwa samoloty, których wcześniej wypatrywała. Dwa jakie, prawdopodobnie zmierzające na lotnisko. Ale poprzez stukot pociągu nie słyszała warkotu silników. Może to i lepiej.

Przetłumaczyła Krystyna Chodorowska

Zapasy z Jezusem

(WRESTLING JESUS)

Plodny teksaski pisarz Joe R. Lansdale zdobył Edgar Award, British Fantasy Award, American Horror Award, American Mystery Award, International Crime Writer's Award oraz sześć nagród imienia Brama Stokera. Choć przypuszczalnie najlepiej znany z horrorów i thrillerów, takich jak *The Nightrunners*, *Bubba Ho-Tep*, *The Bottoms*, *The God of the Razor* i *The Driver-In*, pisze również popularne cykle detektywistyczne o Hapie Collinsie i Leonardzie Pine — *Savage Season*, *Mucho Mojo*, *The Two-Bear Mambo*, *Bad Chili*, *Rumble Tumble*, *Captains Outrageous* — a także jest autorem powieści westernowych: *Texas Night Rider* i *Blooddance*, oraz zupełnie niepoddających się klasyfikacji międzygatunkowych powieści: *Zeppelins West*, *The Magic Wagon* oraz *Flaming London*. Inne jego książki to *Dead in The West*, *The Big Blow*, *Sunset and Sawdust*, *Acts of Love*, *Freezer Burn*, *Waltz of Shadows*, *The Driver-In 2: Not Just One of Them Sequels* i *Leather Maiden*. Pisał także powieści do takich cykli, jak *Batman* i *Tarzan*. Wiele jego opowiadań zostało zebranych w tomach: *By Bizarre Hands*, *Tight Little Stitches on a Dead Man's Back*, *The Shadows Kith and Kin*, *The Long Ones*, *Stories by Mama Lansdale's Youngest Boy*, *Bestsellers Guaranteed*, *On the Far Side of the Cadillac Desert with the Dead Folks*, *Electric Gumbo*, *Writer of the Purple Rage*, *Fist Full of Stories*, *Steppin' Out*, *Summer '68*, *Bumper Crop*, *The Good, the Bad and the Indifferent*, *Selected Stories of Joe R. Lansdale*, *For a Few Stories More*, *Mad Dog Summer: And Other Stories*, *The King and Other Stories*, *Deadman's Road*, dzieła zebrane — *Flaming Zeppelins: The Adventures of Ned the Seal* i *High Cotton: the Collected Stories of Joe R. Lansdale*. Jako wydawca opublikował antologie: *The Best of the West*, *Retro Pulp Tales*, *Son of Retro Pulp Tales*, *Razored Saddles* (współautor Pat LoBrutto), *Dark At Heart: All New Tales of Dark Suspense* (z żoną Karen Lansdale), *The Horror Hall of Fame: The Stoker Winners*, oraz antologię w hołdzie Robertowi E. Howardowi — *Cross Plains Universe* (ze Scottem A. Cuppem). Antologia poświęcona dziełom Lansdale'a nosi tytuł *Lords of the Razor*. Jego najnowszymi dziełami są dwie kolejne powieści z cyklu o Hapie i Leonardzie — *Devil's Road* i *Hyenas*, książki

Damaged by Choice, Edge of Dark Water, nowy zbiór opowiadań *Shadows West* (z Johnem L. Lansdale'em); jest także wydawcą dwóch nowych antologii: *Crucified Dreams* i *The Urban Fantasy Anthology* (z Peterem S. Beagle'em). Mieszka z rodziną w Nacogdoches w Teksasie.

W poniższym opowiadaniu poznaje nas z najwspanialszą niegrzeczną dziewczyną, z kobietą obdarzoną czarną magią i niezwykłym seksapilem, zwracającym uwagę każdego napotkanego mężczyzny, z kobietą jak lśniące czerwone robaczywe jabłko, z taką, która może sprawić, że ksiądz, zobaczywszy ją na ulicy, pójdzie do domu i poderżnie sobie gardło. Jednym słowem: z postacią, jaką mógł wymyślić tylko Lansdale.

ZAPASY Z JEZUSEM

Najpierw zabrali Marwinowi torbę z lunchem, potem pieniądze, a później skopali mu tyłek. Gdyby ten łomot umieścić na skali od jednego do dziesięciu, Marvin odczuł to jako czternastkę. Wziął jednak pod uwagę, iż bicie było częściowo niekonsekwentne, gdyż jeden z napastników przerwał na chwilę, by zapalić papierosa, a dwaj z nich wydawali się później zmęczeni i byli zdyszani.

Leżąc i czując smak krwi, zabawiał się myślą, że zrobienie sobie przerwy na służa oraz widoczne wyczerpanie dwóch napastników pozwala odjąć punkty od ich ogólnego wyniku, w związku z czym ostateczna nota wyniosłaby zaledwie dziewięć czy dziesięć punktów zamiast czternastu.

To wszakże nie ulżyło ani trochę jego żebrom ani nie usunęło plamek wirujących mu przed oczami tuż przed tym, nim zemdleł w bólu. Gdy się ocknął, był policzkowany przez jednego z osiłków, który chciał wiedzieć, czy Marvin nie ma czasem złotych zębów. Powiedział, że nie, ale zbir uparł się, że sam chce zobaczyć, więc Marvin otworzył usta, a rabuś zajrzał do nich.

Rozczarowany bandzior zagroził, że naszcza mu do gęby albo go wydupczy, ale zarówno on, jak i jego banda byli albo zbyt zmęczeni sprawionym mu łomotem, albo nie chcieli im się sikać,

gdyż zaczęli się oddalać, dzieląc po drodze pieniądze na czterech. Każdy zarobił mniej więcej po trzy dolary i dwadzieścia centów, a z plecaka zabrali mu smaczną kanapkę z szynką i mały pojemnik galaretki owocowej. Była tam jednak tylko jedna plastikowa łyżeczka.

Marwinowi zaczęło się zdawać, iż zlewa się w jedno z betonem, kiedy usłyszał głos:

— Zdaje się wam, śmierdziele, że jesteście ważni, co?

Mrugnąwszy, Marwin zobaczył, iż powiedział to lekko zgarbiony staruch o nogach prostowanych na becze, siwych włosach oraz twarzy sprawiającej takie wrażenie, jakby rozpadła się kiedyś na części, a później została złożona do kupy w ciemnym pomieszczeniu przez pijaka i sklejona kiepskim klejem. W jego uchu — Marwin widział prawie — rosło dosyć włosów, by zrobić z nich na drutach blezerek dla małego psa. Były to jedyne widoczne włosy tego faceta, które były czarne. Te na głowie miały barwę rybiego brzucha. Jedną ręką podtrzymywał luźne portki. Skórę miał ciemną jak orzech włoski, a usta nieco zbyt pełne sztucznych zębów. Jedną z kieszeni spodni coś wyrzucało. Marwin pomyślał, że to mogą być jego jaja; przepuklina.

Banda zatrzymała się i zawróciła. To byli paskudnie wyglądający kolesie, mięśniaki o szerokich barach. Jeden miał wielki brzuch, ale twardy, a Marwin wiedział z najlepszego źródła, że mają też twarde pięści i jeszcze twardsze buty. Staruch miał się obudzić martwy.

Ten, który pytał Marvina o złote zęby, ten z twardym bandziochem, spojrział na starego, odłożył na ziemię skradzioną Marwinowi torbę i zapytał:

— Do nas mówisz, dziadku?

— Jesteście jedynymi śmierdzielami, jakich widzę — odparł stary. — Wydaje ci się, że jesteś prawdziwym twardzielem, co? Każdy może pobić takiego maminsynka, jak ten dzieciak. Mogłaby to zrobić moja kuleba babcia, a ona już nie żyje od jakichś dwudziestu lat. Dzieciak ma może szesnaście, a wy, skurwiele? Dwadzieścia? Jesteście bandą gołowłosej chcip.

Marwin starał się odpełznąć wstecz, żeby zejść im z oczu i nie ożywić ich zainteresowania swoją osobą, w nadziei, że mogłby uciec, kiedy tamci będą mordowali starucha. Był jednak zbyt słaby, by się czołgać. Bandzioch ruszył w stronę starca, szczerząc się i pusząc.

— Będziesz się ze mną bił sam, gnojku? Nie chcesz czasem, żeby twoja banda mnie przytrzymała?

— Wybiję ci kopynkami resztkę prawdziwych zębów, melsykańcu — powiedział Bandzioch.

— Nie mam już własnych, więc wal śmiało.

Chłopak podszedł i chciał kopnąć starego, ale ten zbił jego nogę lewą ręką, nie puszczając ani na chwilę portek podtrzymywanych prawą, a potem rąbnął go mocnym lewym prostym w usta, rozkrwawiając mu wargi i powalając go na ziemię. Kiedy Bandzioch usiłował wstać, stary kopnął go mocno w tchawicę. Brzuchol padł, dławiąc się i ściskając za gardło.

— A wy, dziewczynki? Macie ochotę, małe cipki?

Małe cipki pokręciły głowami.

— To dobrze — pochwalił stary i wyjął z kieszeni łańcuch. To było owo wyrzucenie, nie przepuklinowe jądro. Drugą ręką wciąż trzymał spodnie.

— Mam tutaj kompensator. Owinę wam tego skurwiela wokół głów jak łańcuch kotwiczny. Chodźcie tutaj, podnieście pana Dziurę w Dupie i zabierzcie go ode mnie, ale szybko.

Trzej chłopcy postawili Pana Dziurę w Dupie alias Twardy Bandzioch na nogi, a kiedy to zrobili, staruch przy sunął do niego twarz i powiedział:

— Nie wracaj tutaj. Nie chcę cię więcej widzieć.

— Pożałujesz tego, meksyku — odparł Bandzioch, po którego ustach i brodzie spływała krew.

Stary opuścił łańcuch na ziemię i trzasnął ponownie Bandziocha lewym prostym, łamiąc mu nos i rozbryzgując krew po całej gębie.

— Co ty masz w uszach, kurwa? — zapytał. — Błoto? Co? Masz tam błoto? Słyszysz, że do ciebie mówię? *Adios*, dupku.

Trzej chłopcy i Twardy Bandzioch, który się chwiał, odeszli w głąb ulicy i zniknęli z pola widzenia.

Starzec spojrział w dół na Marvina, który wciąż leżał na ziemi.

— Gorzej obrywałem od mojej starej matki, a nie miała jednego ramienia. Wstawaj, do diabła.

Marwinowi udało się podciągnąć stopy pod siebie, co uznał za wyczyn równy jedynie wzniesieniu jednej z wielkich piramid.

— Po coś tutaj przylazł? — zapytał starzec. — Wszyscy w tej okolicy to zwykłe gówno. Wyglądasz na dzieciaka, który przyszedł z lepszej dzielnicy.

Marvin pokręcił głową.

— Nie — odparł. — Jestem stąd.

— Od kiedy?

— Od tygodnia.

— Taaa? Przeniosłeś się tutaj celowo czy zgubiłeś mapę?

— Celowo.

— No cóż, mały. Może lepiej pomyśl o wyprowadzeniu się stąd.

Nie było nic takiego, czego Marvin pragnął bardziej, niż się stąd wynieść. Ale matka powiedziała, że nie ma mowy. Nie mieli pieniędzy. Nie, od czasu śmierci ojca. To ich siekło, i to mocno, ta sprawa ze śmiercią. Ojciec Marvina dobrze zarabiał w fabryce, ale potem umarł, i od tamtej pory ich życie toczyło się po równi pochyłej szybciej niż mały czerwony wagonik, wyładowany ceglami. On i jego matka musieli zostać tu, gdzie byli, i nie było nic więcej do

powiedzenia na ten temat. Krokiem w dół byłoby dla nich kartonowe pudło z widokiem. A stopniem w górę wkładki w butach.

— Nie mogę się przenieść. Mamy na to nie stać. Zarabia praniem.

— No cóż, to lepiej naucz się o siebie walczyć — powiedział stary. — Jeśli nie, to możesz się ocknąć ze spodniami wokół kostek i dupą niczym półmisek obiadowy.

— Naprawdę to robią?

— Są do tego zdolni — odparł starzec. — Lepiej naucz się bić.

— Możesz mnie nauczyć?

— Czego?

— Bić się.

— Nie mogę. Muszę podtrzymać gacie. Załatw sobie kij.

— Mógłbyś mnie jednak uczyć.

— Nie chcę, mały. Mam pełnoetatowe zajęcie, polegające na tym, że cały czas staram się oddychać. Mam, kurwa, niemal osiemdziesiąt lat. Od pięciu powinienem być pokarmem dla robaków. Posłuchaj. Trzymaj się stąd z daleka, a jeśli nie możesz, to... No cóż, powodzenia.

Podtrzymując jedną ręką gacie, stary odszedł, powłócząc nogami. Marvin przyglądał mu się chwilę, a potem uciekł. Jego plan polegał na przetrwaniu tygodnia, do początku wakacji, a potem siedziałby w domu aż do początku zajęć na jesieni. Do tego czasu udałoby mu się może ułożyć nowy plan.

Miał nadzieję, że z czasem chłopaki stracą zainteresowanie biciem go albo zostaną zabici w jakiś okropny sposób, albo sami się wyniosą. Podejmą pracę, chociaż miał całkiem jasny pogląd, że karierę już zaczęli — zawodowych bandytów.

Powiedział matce, że się przewrócił. Uwierzyła mu. Była zbyt zaabsorbowana zapewnianiem im utrzymania, by myśleć inaczej, a on i tak nie chciał, żeby wiedziała. Nie chciał, żeby wiedziała, że nie potrafi o siebie zadbać i że jest chodzącym workiem treningowym. Prawda była taka, że nie przejmowała się zbyt jego problemami. Miała pracę i przyjaciela, malarza pokojowego. Malarz był wysokim, chudym facetem, który przychodził, oglądał telewizję, pił piwo, a potem szedł z jego matką do łóżka. Czasami, kiedy spał na sofie, słyszał ich stamtąd. Nie pamiętał, by słyszał kiedykolwiek coś podobnego, kiedy żył ojciec, i nie wiedział, co o tym myśleć. Kiedy robiło się naprawdę głośno, owijał głowę poduszką i próbował zasnąć.

* * *

W czasie lata zobaczył w Internecie reklamówki, jak zyskać tężyznę fizyczną, i kupił płytę DVD. Zaczął robić pompki, przysiady i inne ćwiczenia. Nie miał forsy na hantle, których użycie sugerowało nagranie. Kosztowało go całe te niewielkie oszczędności, jakie udało mu się

zgrupować, głównie po pięć czy dwadzieścia pięć centów to tu, to tam. Drobne, które dawała mu matka. Uznał jednak, że jeśli te oszczędności ocala go przed laniem, to było to warte każdego grosza.

Marvin był wytrwały w swoich ćwiczeniach. Poświęcał im się bez reszty, i wkrótce jego matka wspomniała, że zdaje się sprawiać wrażenie silniejszego. Marvin też tak uważał. Prawdę mówiąc, istotnie dorobił się muskulatury. Ramiona miał węzłaste, brzuch płaski, a mięśnie ud i łydek się powiększyły. Potrafił uderzać prostymi z obu rąk. Znalazł w sieci wskazówki, jak to robić. W następnej kolejności zamierzał poćwiczyć podbródkowe, może sierpy, ale póki co znalazł proste.

— Dobra — powiedział do lustra. — Mogą przyjść. Jestem gotowy.

* * *

Jesienią, pierwszego dnia szkoły, Marvin wracał do domu tą samą drogą co tamtego brzemiennego w skutki dnia, kiedy zebrał łomot. Nie bardzo wiedział, co myśleć o tym, co robi. Z jednej strony liczył na to, że nigdy więcej tamtych nie zobaczy, a z drugiej czuł się teraz silny, czuł, że może dać sobie radę.

Wsadził rękę do kieszeni i poszperał wśród pieniędzy, które w niej miał. Niezbyt wiele. Jakis dolar w drobniakach. Kolejna forsa oszczędzona z tego, co dawała mu matka. I miał plecak. Mogą tego chcieć. Musiał pamiętać, by się go pozbyć, odłożyć na bok, gdyby musiał się bić. Niczego, co by mu przeszkadzało.

Kiedy znalazł się tam, gdzie to się wcześniej zdarzyło, na miejscu nie było nikogo. Poszedł do domu, czując lekkie rozczarowanie. Miałby ochotę walnąć ich łbami o siebie.

* * *

Szansę dostał trzeciego dnia po szkole.

Tym razem było ich tylko dwóch. Bandzioch i jeden z cwaniaków, który był z nim tamtego razu. Kiedy go zauważyli, Bandzioch uśmiechnął się i ruszył szybko ku Marvinowi, a szczur postępował za nim, jakby liczył na ochłapy.

— No, no — odezwał się Bandzioch, podszedłszy blisko. — Pamiętasz mnie?

— Tak — odparł Marvin.

— Nie jesteś zbyt bystry, co, mały? Myślałem, że się wyprowadziłeś. Sądziłem, że nigdy więcej nie będę miał okazji, żeby ci znowu dołożyć. Tamten staruch, chcę, żebyś wiedział, wziął mnie przez zaskoczenie. Mógłbym go stłuc na kwaśne jabłko.

— Nie dasz rady mnie, a co dopiero jemu.

— Och, więc przez lato urosły ci jaja.

— Duże.

— Duże, co? Mogę ci zabrać ten plecak i zmusić cię do całowania moich butów. Mogę ci kazać, żebyś mnie pocałował w dupę.

— To ja zamierzam skopać ci dupsko — oświadczył Marvin.

Mina prześladowcy się zmieniła, a potem Marvin nie pamiętał już wiele z tego, co nastąpiło.

Ocknął się dopiero wtedy, gdy Bandzioch pochylił się nad nim, mówiąc:

— A teraz, całuj to. I przyłóż się. Miło by było z językiem. Jeśli tego nie zrobisz, to obecny tutaj Pogo wyjmie nóż i urznie ci ptaka. Słyszysz?

Marvin spojrział na Bandziocha. Ten opuścił spodnie i kucnął nad nim, oparłszy dłonie na kolanach, a jego odbył mrugał do Mar vina. Szczur grzebał jego w plecaku, rozrzucając na boki różne przedmioty.

— Liź, albo cię potnie — rozkazał Bandzioch.

Marvin wykaślał nieco krwi i spróbował odpełznąć w bok

— Liź — powiedział Bandzioch. — Liź, aż mi będzie miło. Dalej, chłopcze. Zaznaj smaku gówna.

Czyjaś stopa wniknęła z rozmachem między uda Bandziocha, zderzając się z jego jajami z dźwiękiem, jaki wy daje rozpryskujący wodę ogon bobra. Bandzioch krzyknął i przewrócił się do przodu na głowę, jakby zamierzał zrobić stójkę na rękach.

— Za żadne skarby tego nie rób, mały — rozległ się głos. — Lepiej dać sobie poderznąć gardło.

To był staruch. Stał obok. Tym razem nie podtrzymał portek. Miał pasek

Pogo ruszył na starego z szerokim prawym sierpowym. Zdawało się, że starzec nie wykonał żadnego zamasy tego ruchu, ale jakimś cudem zanurkował pod ramieniem tamtego, a kiedy się wyprostował, hak, którego Marvin nie przeciwzył, był widoczny w pełnej krasie. Cios dosięgnął podbródka, rozległ się trzask i zdawało się, że szczur Pogo stracił na moment głowę. Impet uderzenia naciągnął mu szyję, jakby była z gumy. Z ust wyleciała ślina i Pogo padł na beton jak tłumok

Stary podszedł chwiejnie do Bandziocha, który ze spodniami wokół kostek stał na czworakach, usiłując się podnieść. Staruch kopnął go dwa razy między nogi. Kopniaki nie były czyste, ale potężne. Bandzioch zesrał się i padł na twarz.

— Musisz się podtrzeć — zauważył stary. Ale Bandzioch nie słuchał. Leżał na betonie, wydając dźwięki próbującej zastartować ciężarówkę.

Stary obrócił się i spojrział na Marvina.

— Zdawało mi się, że jestem gotowy — powiedział Marvin.

— Nie jesteś nawet blisko, mały. Jeśli możesz chodzić, chodź ze mną.

Marvin był w stanie iść, ledwo.

— Masz w sobie pewność siebie — stwierdził stary. — Od razu to dostrzegłem. Ale nie masz dla niej żadnych podstaw.

— Trochę trenowałem.

— Taaa, no cóż, pływanie na sucho to nie to samo co wejście do wody. Są rzeczy, które możesz po prostu robić w powietrzu albo z partnerem, co czyni wielką różnicę, ale ty nie masz o niczym pojęcia. Gdybym się tutaj nie zjawił, lizałbyś komuś dziurę w dupie, nazywając to lodowym rożkiem. Coś ci powiem, synu. Nigdy tego nie rób. Nie, chyba że to kobiety tyłek, a ty zostałeś o to poproszony. Jeśli ktoś chce cię zmusić do uczynienia czegoś podobnego, zdechnij najpierw. Zrobisz to raz, a przez resztę życia będziesz czuł w ustach smak gówna.

— Myślę, że to lepsze, niż być martwym.

— Nieee, ani trochę. Coś ci powiem. Miałem kiedyś pieska. Był malutki, ale serce miał jak wszystkie inne wagabundy. Chodziłem z nim na spacer. Pewnego dnia szedł ze mną, niezbyt daleko stąd, w istocie, a w kłuchach węszył owczarek niemiecki. Groźnie wyglądające stare psisko, które ruszyło na mojego małego. Wabił się Mike. I to była cholerna walka. Mike się nie poddał. Walczył do śmierci.

— Został zagryziony?

— Nie, owczarek zginął.

— Mike zabił owczarkę?

— Nie. Oczywiście, że nie. Jaja sobie z ciebie robię. Rąbnąłem go znaną dechą. Ale morał z tego taki, że musisz dać z siebie wszystko i mieć nadzieję, że obok ciebie jest ktoś z deską.

— Mówisz, że ja to Mike, a ty facet z drągiem?

— Mówię, że gównie wiesz o biciu się. Tylko tyle.

— Co się stało z Mikem?

— Potrafiła go ciężarówka, którą gonił. Był twardy i wyrywny, ale rozumu nie miał za grosz. Trochę jak ty. Pomijając to, że nie jesteś twardy. I kolejna wada, jaką masz, to że nie jesteś psem. Inna sprawa, że uratowałem cię dwa razy, więc jesteś mi coś winien.

— Co takiego?

— No cóż, chcesz się nauczyć bić, zgadza się?

Marvin skinął głową.

— A ja potrzebuję sparingpartnera.

* * *

Lokum starego nie leżało daleko od miejsca walki. To był duży piętrowy betonowy budynek. Okna miał zabite deskami. Kiedy dotarli do drzwi wejściowych, staruch wyjął pęk kluczy i zabrał

się do otwierania kilku zamków.

Zajęty tym, powiedział:

— Rozglądaj się. Muszę naprawdę uważać, kiedy to robię, gdyż zawsze znajdzie się jakiś dupek, który chce się włamać. Nie raz musiałem skrzywdzić jakichś frajerów. To dlatego trzymam w kuble tę kantówkę.

Marvin spojrział. Istotnie, do dużego pojemnika na śmieci wetknięty był budowlany kanciak. Był to jedyny przedmiot w kuble.

Stary otworzył drzwi i weszli do środka. Gospodarz zapalił kilka lamp i zrobiło się jasno. Potem zajęł się zamkami, przekręcając je ze szczękiem. Obaj poszli wąskim korytarzem ku rozległemu pomieszczeniu — bardzo rozległemu.

Tym, co tam się znajdowało, było łóżko i wolno stojący kibel pod przeciwległą ścianą, a pod drugą długi stół z surowych desek i kilka krzeseł. Na stole stał podgrzewacz, a nad nim były półki zastawione puszkowaną żywnością. Była też stara lodówka, jedna z tych w kształcie pocisku. Warczała głośno jak dziecko poszkodowane na głowę. Obok stołu był zlew, a nieopodal prysznic z niegdyś zieloną zasłonką, naciągniętą wokół metalowego rusztowania. Pod wiszącymi na ścianie plakatami stał telewizor i kilka tapicerowanych foteli z wyłączaną wyściółką.

Środek pomieszczenia zajmował ring bokerski z grubą matą, poklejoną taśmą izolacyjną. Wyblakłe od słońca plakaty przedstawiały mężczyzn w trykotach, przykucniętych w bokerskich lub zapaśniczych pozach. Jeden był podpisany: Danny Bacca, X-Man.

Marvin przyjrzał się afiszowi. Był lekko pomarszczony w rogach, źle oprawiony, a szkło pokrywał kurz.

— To ja — powiedział stary.

Marvin odwrócił się, spojrział na gospodarza, a potem na plakat.

— To ja sprzed zmarszczek i uszkodzonych kolan.

— Byłeś profesjonalnym zapaśnikiem? — zapytał Marvin.

— Nie, sprzedawcą butów. Masz wolny pomyślny, mały. Dobrze, że byłem ponownie na przechadzce, bo inaczej muchy miałyby cię na lunch.

— Dlaczego nazywano cię X-Manem?

— Bo kiedy wszedłeś ze mną na ring, to mogli skreślić cię z listy. Postawić na tobie krzyżyk. Cholera, myślę, że to było to. To było tak dawno temu, że nie jestem już tego pewny. Przy okazji, jak masz na imię?

— Marvin.

— Dobra, Marvin. Wejdźmy na ring.

Stary z łatwością zanurkował pod linami. Marvin przekonał się, że zostały mocno naciągnięte i trudniej mu się było między nimi przecisnąć, niż mu się wcześniej zdawało. Już na macie stary powiedział:

— Posłuchaj. Zamierzam dać ci pierwszą lekcję, a ty będziesz mnie słuchał.

— Dobra.

— Chcę, i nie pierdolę głupot, żebyś zaatakował mnie najsilniej, jak potrafisz. Staraj się mnie uderzyć, powal mnie, odgryź mi ucho. Wszystko, co chcesz.

— Nie potrafię cię skrzywdzić.

— Wiem o tym.

— Nie mówię, że nie chcę — powiedział Marvin. — Mówię, iż wiem, że nie potrafię. Pobiełeś dwa razy faceta, który mi sprawiał kłopoty, i jego kumpli, a ja nie mogłem nic zrobić, więc wiem, że nie potrafię cię skrzywdzić.

— Masz rację, mały. Chcę jednak, żebyś spróbował. To lekcja.

— Nauczysz mnie, jak się bronić?

— Jasne.

Marvin zaszarżował, nurkując nisko, zamierzając spróbować chwycić starego za stopy. Ten przykucnął, niemal przy siadł na tyłku, i zadał szybki cios podbródkowy.

Marvin śnił, że frunie. Potem spada. Światła w pomieszczeniu pokryły kropki. Potem plamki odpłynęły i zapanowała jedynie jasność. Marvin przetoczył się po macie i spróbował wstać. Cholernie bolało go oko.

— Uderzyłeś mnie — powiedział, zdoławszy usiąść.

Stary stał w rogu ringu, opierając się o liny.

— Nie słuchaj podobnych bzdur, kiedy ktoś ci mówi: „Chodź i mnie walnij”. To głupie. W ten sposób dostaniesz coś, co może ci się nie spodobać. Ty rób swoje.

— Kazałeś mi tak postąpić.

— Zgadza się, mały, kazałem. To twoja pierwsza lekcja. Myśl o sobie i nie słuchaj jakiegos gupca, dającego ci rady, i, jak powiedziałem, graj swoją grę.

— Nie mam swojej gry — odparł Marvin.

— Obaj to wiemy, mały. Ale możemy temu zaradzić.

Marvin dotknął ostrożnie oka.

— Więc zamierzasz mnie nauczyć?

— Owszem. Ale druga lekcja brzmi tak „Musisz słuchać każdego cholernego słowa, jakie powiem”.

— Mówiłeś jednak..

— Wiem, co mówiłem, ale częścią lekcji numer dwa jest to, że „życie jest pełne

Łatwo się było wyrwać, żeby iść na trening, ale nie było łatwo tam dotrzeć. Marvin wciąż musiał mieć się na baczności przed osiłkami. Wstawał wcześniej, mówiąc matce, że idzie poćwiczyć na szkolnym boisku.

Okazało się, że dom starego to pozostałość po byłym szpitalu gruźliczym, dzięki czemu, domyślał się Marvin, staruch mógł go tanio kupić w dalekiej przeszłości.

Stary uczył go, jak się poruszać, uderzać, walczyć w zapasach, rzucać przeciwnika. Kiedy Marvin rzucał X-Mana, stary łądował lekko i zrywał się szybko, po czym krytykował wykonanie rzutu. Po ćwiczeniach Marvin brał prysznic w wielkiej sali za wyblakłą zasłonką i pokonywał długą drogę z powrotem do domu, wypatrując prześladowców.

Po jakimś czasie zaczął czuć się bezpiecznie, wyobrażając sobie, że bez względu na to, jakiego planu dnia trzymały się zabijaki, to nie był to wczesny ranek, i nie wyglądało też, by chodziło o wczesny wieczór.

Kiedy skończyło się lato, a zaczęła szkoła, Marvin chodził na treningi przed i po zajęciach, powiedziawszy matce, że ćwiczy bols z chłopakami z YMCA. Nie miała nic przeciwko temu. Miała na uwadze wyłącznie pracę i swojego malarza pokojowego. Facet siedział tam każdego dnia, gdy Marvin wracał wieczorami do domu. Siedział, gapił się w telewizor, nie kiwając nawet głową, gdy Marvin wchodził, siedząc czasami w wyściełanym fotelu telewizyjnym z matką Marvina na kolanach, obejmując ją w pasie, przy czym ona chichotała jak pensjonarka. Rzygać się chciało.

Stało się więc tak, że dom nie był miejscem, gdzie Marvin chciał przebywać. Podobało mu się lokum starego. Lubił treningi. Zadawał lewe i prawe proste, sierpowe i podbródkowe workowi treningowemu, podwieszonemu przez starego. Odbynał z nim sparringi, a kiedy tamten się zmęczył — zważywszy na jego wiek, po dość długim czasie — po prostu nokautował Marvina i opierał się o liny, dysząc ciężko przez jakiś czas.

Pewnego dnia po skończonych ćwiczeniach, siedząc na krześle bokringu, Marvin zapytał:

— Więc, jak ci pomagam w treningu?

— Jesteś żywym przeciwnikiem, to raz, a mnie czeka pewna walka.

— Walka?

— Co, jesteś echem? Taaa, czeka mnie walka. Co pięć lat walczymy, ja i Jezus Bomba.

W Wigilię.

Marvin tylko się gapił na niego. Stary odpowiedział mu tym samym, po czym zapytał:

— Myślisz, że jestem za stary? Ile ty masz lat?

- Siedemnaście.
- Potrafię skopać ci tyłek, mały?
- Każdy to potrafi.
- Dobra, masz rację — przyznał stary.
- Dlaczego co pięć lat? — zapytał Marvin. — Dlaczego z tym gościem Jezusem?
- Może ci powiem innym razem — odparł stary.

* * *

Sytuacja w domu się pogorszyła.

Marvin nienawidził malarza, a malarz nienawidził jego. Matka kochała malarza i stała u jego boku. Wszystko, co Marvin robił, było skrytykowane przez malarza. Nie wynosił wystarczająco szybko śmieci. Nie był dość dobrym uczniem, jak dla malarza, tak jakby malarz ukończył coś więcej ponad przedszkole. Nic nie zadowalało malarza, a kiedy Marvin skrzyżił się z matką, ta brała stronę malarza.

Malarz nie dorastał do pięt jego ojcu, ani trochę, i Marvin go nienawidził. Pewnego dnia powiedział matce, że ma dość. Albo on, albo malarz.

Wybrała malarza.

— No cóż, mam nadzieję, że ten pokręcony malarski sukinyś cię uszczęśliwi — powiedział.

— Gdzie się nauczyłeś takiego języka? — zapytała.

Tak naprawdę to od starego, ale odparł:

— Od malarza.

— Nieprawda — stwierdziła matka.

— Prawda.

Marvin spakował swoje rzeczy do walizki należącej do malarza i wyszedł. Liczył, że matka wybiegnie za nim, ale nie zrobiła tego. Kiedy szedł ulicą, zawołała za nim:

— Jesteś już dość duży. Poradzisz sobie.

Dotarł do domu starego.

Stary spojrział na niego w wejściu, z walizką w dłoni, wskazał ruchem głowy bagaż i zapytał:

— Co robisz z tym badziewiem?

— Wyrzucili mnie — odparł Marvin. Nie do końca prawda, ale niemal tak było.

— Chcesz tu zostać? O to ci chodzi?

— Tylko póki nie stanę na własnych nogach.

— Na własnych nogach? — powtórzył X-Man. — Nie masz pracy. Nie masz jaj. Jesteś jak pieprzony włóczęga.

— Taaa — stwierdził Marvin. — Cóż, w porządku.

Odwrócił się na pięcie, myśląc, że mógłby może wrócić do domu i się ukorzyć, powiedzieć malarzowi, że jest porządnym facetem, czy co tam. Ruszył do drzwi, a stary się odezwał:

— Dokąd idziesz, kurwa?

— Odchodzę. Chciałeś, żebym sobie poszedł, no nie?

— Powiedziałem to? Powiedziałem coś podobnego? Powiedziałem, że jesteś włóczęgą. Nie mówiłem nic o twoim odejściu. Chodź. Daj mi tę cholerną walizkę.

Zanim Marvin zdołał cokolwiek zrobić, X-Man wziął jego bagaż i ruszył korytarzem do wielkiego pokoju. Przyglądał mu się, jak tamten szedł; żyłasty, łysiejący, siwowłosy starzec, z lekkim utyłaniem kabląkowatych nóg.

* * *

Pewnej nocy, oglądając w telewizji zapasy, stary, wyszczywszy swój sześciopak, powiedział:

— To jedno wielkie gówno. Banda brutalnych akrobatów. To nie zapasy. To nie boks i z całą pewnością to nie jest walka. To jak przedstawienie, czy coś takiego. Kiedy znagaliśmy się na jarmarkach, to walczyliśmy naprawdę. Te napakowane dupki nie odróżniłyby wykręcenia ręki od walenia konia. Popatrz na to dziadostwo. Facet czeka, by ten kutas wspiął się na liny i skoczył na niego. I co to za uderzenie? Gdyby było prawdziwe, to ten skurwysyn byłby martwy, rąbnięty tak w tchawicę. On go kłepie po górnej części klatki piersiowej, to wszystko. Peđały.

— Kiedy uczestniczyłeś w walkach w zapaśniczych, to gdzie to było? — zapytał Marvin.

Stary wyłączył telewizor.

— Nie mogę znieść tych bzdetów... Gdzie walczyłem? Jeździłem na gapę koleją w czasie Wielkiego Kryzysu. Miałem dziesięć lat, kiedy znalazłem się na torach, i jeździłem od miasta do miasta, by oglądać facetów walczących na targowiskach, i zacząłem to chwycać. Kiedy miałem piętnaście lat, powiedziałem, że mam osiemnaście, a oni mi uwierzyli, skoro byłem taki brzydki. Chodzi mi o to, że kto chce wierzyć, iż nastolatek może być taki cholernie brzydki, rozumiesz. No więc, pod koniec Wielkiego Kryzysu walczę już wszędzie. Niech pomyślę, jest rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi, więc robię to już jakiś czas. Przyшла wojna, nie pozwolili mi na nią iść z powodu przepukliny. Bandażowałem cholerstwo taśmami z prześcieradła i szedłem walczyć. Tak opatulony mógłbym bić żołtków, gdyby mi pozwolili. Musiałem przerywać od czasu do czasu, kiedy jądra wychodziły mi przez rozerwaną mosznę. Krzyżowałem nogi, wciągałem jaja i wsadzałem na miejsce, zaciskałem tymi pasami z prześcieradła i dalej robiłem swoje. Mógłbym tak robić na wojnie, ale co do tego byli strasznie zasadniczy. Powiedzieli, że to będzie problem. Więc nie zabiłem żadnych żołtków. Mógłbym jednak Niemców. Węgrów. Marsjan. Mógłbym zabić każdego, przed kim by mnie postawili. Oczywiście, w pewien sposób jestem zadowolony, że do tego nie doszło. Nic dobrego, zabić człowieka. Ale tamte sukinsyny prosiły się

o to. Cóż, nie jestem pewien co do Węgrów i Marsjan, ale reszta tych drani na pewno tak

Uczyłem się walczyć w twardej szkole życia. Od czasu do czasu spotykałem facetów, którzy wiedzieli to i owo, i podchwytywałem to. Pewne japońskie sztuczki i takie tam. Miałem rodzinę w Meksyku. Po dwudziestce pojechałem tam i zacząłem walczyć za pieniądze.

— To nie było udawane?

Starzy rzucił Marvinowi spojrzenie, które sprawiło, że w chłopaku zagotowała się woda.

— Byli tacy, co organizowali pokazówki, ale wtedy byliśmy my. Ja, Jezus i nam podobni. Walczyliśmy naprawdę. Uderzyliśmy, kopaliśmy, chwytailiśmy i rzucaliśmy. Spójrz na to.

Stary podciągnął gwałtownie rękaw koszuli. Miał tam znak jak po bieżniku opony.

— Widzisz. Ugryzł mnie Jezus. Trzymałem go w chwycie, ale mnie ugryzł. Skurwysyn. Oczywiście, zrobiłbym to samo. W każdym razie, dzięki temu mi się wywinął. Miał swój manewr, nazywał go Bombą, stąd jego przydomek. Zamykał cię w niedźwiedzim uścisku, od przodu lub od tyłu, podnosił, a potem przewracał się w tył, tak że lądowałeś łbem na macie. Spotkało cię to raz lub dwa, a zdawało ci się, że uszy wiercą ci się w dupie. To było coś. Co do mnie, to miałem japoński klucz. To był mój ruch, i nadal jest.

— Zastosowałeś go wobec Jezusa?

— Nie. On zastosował wobec mnie Bombę. Po tym zdawało mi się, że jestem w Afryce i pierdołę goryla. Nie odróżniałem swojego kutasa od świecowego knota.

— Ale nadal z nim walczysz?

— Jeszcze go nie pokonałem. Próbowalem każdego istniejącego trzymania, każdego manewru, wszelkiej psychologii, jaką znam, i nic. Jest kobieta. Felina Valdez. Rzuciła na mnie urok, czar, czarne wudu, i trzyma na niewidzialnej uwięzi. Cokolwiek ogłupia, ona to stosuje wobec mnie.

Marvin wcale za tym nie nadązał, ale nie odezwał się słowem. Wypił szklankę herbaty, a X-Man kolejne piwo. Wiedział, że tamten wróci w końcu do tematu. Tak miał.

— Pozwól, że ci opowiem o Felinie. Była czarnooką panną, miała gładką, ciemną skórę. Ksiądz zobaczył ją na ulicy, a potem wrócił do domu i podciął sobie gardło. Kiedy ją ujrzałem pierwszy raz, ta laska dynamitu miała na sobie niebieską sukienkę tak obcisłą, że mogłeś policzyć włoski na jej wiadomo czym.

Była w tłumie, oglądając zapasy. Siedzi w pierwszym rzędzie ze skrzyżowanymi nogami, jej sukienka podsuwa się do kolan jak pełz nący wąż, a ja mam całkiem niezły widok, kapujesz. Nie widząc tego porośniętego winoroślą kanionu, ale jestem blisko. I patrząc na tę szprychę, zostaję niemal zabity przez zapaśnika, zwanego Joey Jankeś. Facet z Maine, który podrywa mnie za nogi i zakłada mi dźwignię na ramię. Ledwo mi się udało z tego wywinąć, dorwać go, rzucić i wziąć go w mój japoński klucz. Zastosuję go na tobie, a powędrujesz przez czas, mały. Przeszłość i przyszłość, a w końcu zaglądasz do własnego pieprzonego grobu. Tamten odklepał.

W następnej chwili jestem świadom, że ta lalka w niebieskiej sukience podchodzi do mnie, bierze mnie pod ramię i, cóż, mały, od tej chwili byłem skazany. Potrafiła zrobić z kutasem więcej sztuczek niż magik z talią kart. Myślałem, że mnie zabije, ale uważałem też, że to cholernie dobry sposób, by umrzeć. Słyszysz, co mówię?

— Tak proszę pana — potwierdził Marvin.

— To wszystko to bardzo nieprzyzwoite gadanie dla dziecka ka, co?

— Nie, proszę pana — odparł Marvin.

— Pieprzyć to. Masz prawie osiemnaście lat. Musisz już wiedzieć, co to cipla.

— Wiem — potwierdził Marvin.

— Nie, mały. Mówisz tak, jakbyś wiedział, gdzie to jest, a nie czym jest. Co do mnie, zatraciłem się w tym. Równie dobrze mógłbym jej pozwolić, by mi wsadziła jaja w imadło i dokręciła śrubę. Zaczęła chodzić na wszystkie moje walki. I dosyć szybko zauważyłem coś. Dałem wspaniały pokaz, wygrałem z wielką przewagą, a seks był wspaniały. Stoczyłem przeciętną walkę, to i tak było w łóżku. Odkryłem to. Była zakochana nie tyle we mnie, co w dobrej walce i w moim zwycięskim chwycie, w tym japońskim kluczu. Zmusiła mnie, żebym ją tego nauczył. Raz pozwoliłem jej zastosować go do siebie, i, mały, powiem ci, że kiedy go zacisnęła, pożałowałem nagle wszystkich tych gości, wobec których go użyłem. W istocie musiałem się z tego wybronić, jakby to było na zawodach, bo mi nie odpuszczala. Była to jednak niska cena za całą tę dziką zwierzęcą miłość, jaką dostawałem, a potem wszystko się rozleciało.

Jezus mnie pobił. Zastosował wobec mnie Bombę. Kiedy się ocknąłem, byłem na tyłach lunaparku; leżałem w trawie, gdzie gryzły mnie mrówki. Kiedy wróciłem do siebie, Felina zniknęła. Odeszła z Jezusem. Zabrała forszę, nie zostawiając mi nic, prócz ułuszeń mrówek na jajach.

— Wydaje się płytka.

— Jak talerz, mały. Kiedy jednak raz rzuciła na mnie czar, nie mogłem się uwolnić. Powiem ci, że to było jak stać na torach w środku ciemnej nocy. Widzisz najeżdżający pociąg, jego światła omywają szyny, ale nie możesz się usunąć. Wszystko, co możesz zrobić, to tkwić tam i czekać, żeby cię przejechał. Pewnego razu, kiedy jeszcze byliśmy razem, spacerowaliśmy po Mexico City, gdzie miałem jakieś walki, a ona widzi faceta z drewnianą klatką pełną gołębi, ze sześć czy siedem ptaków. Kazała mi je wszystkie kupić, jakbyśmy je mieli zabrać z powrotem do Stanów. Ale zamiast tego wzięła je do naszego pokoju hotelowego. Musieliśmy je tam przemyścić. Stawia klatkę z ptakami na końcu stołu i tylko się im przygląda. Dają im trochę chleba, rozumiesz, bo musiały jeść, i posprzątałem klatkę, i myślę, ta dziewczyna to zwariowana miłość niczła ptaków. Idę pod prysznic i mówię jej, by zamówiła kolację.

Nie śpieszyłem się. Sranie, golenie, miły gorący tusz. Kiedy wychodzę, ona siedzi przy

jednym z tych małych stolików na kółkach, jakie przywozi obsługa hotelowa, i je pieczonego kurczaka. Nie czekała na mnie, nie powiedziała ani słowa. Taka była. Wszystko kręciło się wokół niej. Ale w tej samej chwili zauważyłem coś jeszcze. Zobaczyłem tę klatkę z ptakami, a one wszystkie były martwe. Zapytałem ją, co się stało, a ona mówi: „Znudziły mi się”.

Podszedłem i spojrzałem, a one miały ukręcone łepki.

— Ale dlaczego? — zapytał Marvin.

Stary odchylił się i lknął piwa, nie śpiesząc się z odpowiedzią.

— Nie wiem, mały. Powiniemem być wtedy natychmiast zebrać swoje graty i spieprzać stamtąd w cholerę. Ale nie zrobiłem tego. To tak, jak ci opowiadałem o tych torach. Chryste, mały. Powinieneś był ją widzieć. Nigdy nie było jej podobnej i nie mogłem pozwolić jej odejść. To jakbyś złapał najwspanialszą rybę świata i ktoś ci mówi, żebyś ją wrzucił z powrotem do wody, a ty myślisz jedynie o tym, że jest usmażona i leży na łóżku lub ryżu. Tylko że to w ogóle nie jest tak. Nie ma opisu dla tego. A potem, jak powiedziałem, odeszła z Jezusem, i każdego dnia, gdy wstaje, serce mi do niej płonie. Umysł mówi, że mam szczęście, że się jej pozbyłem, ale serce, ono nie słucha. Nawet nie winię Jezusa za to, co zrobił. Jakby mógł jej nie chcieć? Należała do każdego, kto potrafił przyszpilić innego gościa do maty. On i ja nie walczyliśmy już z nikim innym, tylko ze sobą. Co pięć lat. Jeśli zwyciężę, odzyskam ją. Wiem o tym. On to wie. I Felina to wie. Póki co, ma ją. To najlepsze, co robi. Powiniemem to sobie odpuścić, mały, ale nie potrafię.

— Naprawdę jest taka zła?

— To najlepsza niegrzeczna dziewczyna na świecie. Jest lśniącym czerwonym robaczywym jabłkiem. Odłąd ta kobieta jest z Jezusem, opuścił żonę i umarło mu dwoje dzieci — jedno w pożarze domu, kiedy wyszedł, a Felina urodziła dwoje, które zmarły przed upływem tygodnia. Takie rzeczy się zdarzają od czasu do czasu. Śmierć łódeczkowa, i takie tam. W dodatku, przeleciała wszystkich, z wyjątkiem paru eunuchów, ale jest z Jezusem, a on trzyma ją przy sobie. Trzyma ją, bo ona ma moc, mały. Potrafi przyłgnąć do ciebie tak mocno, jak rak do wątroby. Nie ma ucieczki od tej suk. Pozwoli ci odejść, a ty wciąż ją chcesz, jak chcesz pić, kiedy jesteś pijany.

— Kiedy wspomniałeś pożar i dzieci Jezusa, te dwoje niemowląt, które umarły... Brzmiało to jak...

— Jakbym nie wierzył, że pożar był przypadkowy? Że dzieci nie umarły naturalną śmiercią? Taaa, mały. Myślałem o tej klatce z gołębiaми. Myślałem o tym, jak mnie strzygła, i że miała małe puzderko, które nosiła w torebce. Widziałem, jak zawiązywała włosy na węzeł na dwóch skręconych wyciorach do fajki. Do diabła. Już myślisz, że zwariowałem.

Marvin pokręcił głową.

— Nie, nie myślę.

— No to dobra. Naprawdę uważam, że stosowała wobec mnie hoodoo. Czytałem gdzieś, że ludzie znający czary potrafią zdobyć trochę twoich włosów, których mogą użyć jako część zaklęcia, i to może cię przywiązać do takiej osoby. Czytałem o tym.

— Co nie znaczy, że to prawda — zauważył Marvin.

— Wiem, mały. Wiem, jak to brzmi. I w świetle dnia uważam, że podobne myśli to kłocie bździny, ale potem zapada noc albo jest wczesny ranek i światło zaczyna dopiero się skradać, i wierzę w to. I sądzę, że zawsze wierzyłem. Sądzę, że rzuciła na mnie urok. Nie ma nic innego, co by tłumaczyło, dlaczego chciałem z powrotem tę zdradliwą, knującą, zabijającą gołębie, podpalającą domy i mordującą dzieci sukę. To nie ma najmniejszego sensu, nie?

— Nie, proszę pana — odparł Marvin, a po chwili dodał: — Jest teraz dosyć stara, prawda?

— Oczywiście, że tak. Myślisz, że czas stanął w miejscu? Nie jest taka sama. Ale i ja nie jestem. Ani Jezus. Ale to ja i on, i jeden z nas zdobywa dziewczynę, a póki co, to on zawsze ją wygrywa. To, czego chcę, to ją odzyskać, szybko umrzeć i mieć jeden tych greckich pogrzebów. Tym sposobem zdobywam nagrodę, ale nie muszę cierpieć z tego powodu.

— Co to jest grecki pogrzeb?

— Mieli je herosi, tacy jak Herkules. Kiedy umarł, położyli go na stosie drewna i spalili ciało, wypuścili jego dym pod niebiosa. Lepsze od bycia zakopanym w ziemi czy upieczonym w jakimś piecu, po czym twoje prochy zsypują do woreczka. Lub od konieczności spędzenia swoich ostatnich lat z tą kobietą, chociaż to jest dokładnie to, co usiłuję zrobić.

— Czy Jezus i Felina mieszkają w naszym mieście? — zapytał Marvin.

— Nigdzie na stałe nie mieszkają. Mają przychepę mieszkalną. I skromne emerytury. Jak ja. Ja i Jezus mieliśmy inne zajęcia, oprócz zapasów. Nie przeżyłbyś z zapasów, zwłaszcza nielegalnych, więc mamy niewielkie emerytury, dzięki Bogu. Tamci jeżdżą z miejsca na miejsce. On trenuje i zjawia się co pięć lat. Za każdym razem, kiedy go widzę, wydaje mi się, że jego wzrok mówi: „Wygraj tym razem i uwolnij mnie od tej sukki”. Tylko że zawsze walczy jak niedźwiedź i nie mogę go pobić.

— Jeśli wygrasz, jesteś pewien, że z tobą odejdzie?

— To on albo ja, to wszystko, o co tutaj chodzi. Nie ma nikogo innego. Ja lub on. To nas postanowiła wyssać do czy sta i unieszczyćśliwić.

— Nie możesz sobie odpuścić? — zapytał Marvin.

X-Man roześmiał się. To był mroczny śmiech, niczym umierającego człowieka, który zrozumiał nagle stary kawał.

— Chciałbym, mały, bo gdybym mógł, zrobiłbym to.

Ćwiczyli przed walką.

X-Man zwykł był mawiać:

— To jest to, co robi Jezus Bomba. Idzie na ciebie, a następnie co wiesz, to że siedzisz na dupie, bo łapie cię tak albo tak i potrafi przejść z tego do tego.

I tak dalej.

Marvin robił, co mu kazano. Próbował posunąć Jezusa. Za każdym razem, gdy to robił, przegrywał. Stary obracał go, rzucał, unieruchamiał, uderzał (lekko), i nawet wtedy, gdy Marvinowi się zdawało, że robi się w tym dobry, X-Man przechytrzał go w końcu i wymyślał się z chwytu, co do którego Marvin uważał, że nie wyślizgnęłaby się z niego nawet naoliwiona łasica. Kiedy było po wszystkim, Marvin dyszał w rogu, a X-Man wycierał ręcznikiem pot z twarzy.

— Tak robi Jezus? — zapytał Marvin, kiedy zastosował wszystkie posunięcia, jakich został nauczony.

— Taaa — przyznał stary. — Tylko że on robi to lepiej.

* * *

Wszystko to trwało miesiącami, przybliżając coraz bardziej i bardziej dzień, kiedy X i Jezus Bomba mieli się spotkać. Marvin tak się skoncentrował na treningu, że kompletnie zapomniał o prześladowcach.

Aż pewnego dnia był sam i wychodził ze sklepu o dwie przecznice od domu starego, niosąc torbę z mlekiem i ciasteczkami waniliowymi, i oto jest Bandzioch. Zauważył Marvina i ruszył w poprzekulicy, wyciągając ręce z kieszeni i uśmiechając się.

— No proszę — powiedział Bandzioch, kiedy znalazł się obok Marvina. — Założę się, że o mnie zapomniałeś, co? Jakbym nie chciał wyrównać rachunków. Tym razem nie ma twojej skamieliny, żeby cię obroniła.

Marvin postawił torbę na trotuarze.

— Nie szukam kłopotów.

— Co nie znaczy, że ich nie znajdziesz — stwierdził Bandzioch, stając tuż przed Marvinem. Ten niczego naprawdę nie planował, nie myślał o tym, ale kiedy Twardy Bandzioch przysunął się bliżej, jego lewy prosty skoczył do przodu i rąbnął tamtego w nos. Poleciał na ziemię Twardy Bandzioch, jakby zarobił kijem bejsbolowym. Marvin nie mógł uwierzyć w to, jaki silny był jego cios, jaki był poprawny. Wiedział od razu, że to jest koniec pomiędzy nim i Twardym Bandziochem, gdyż już się go nie bał. Podniósł torbę i poszedł do domu starego, pozostawiając nieprzytomnego oprycha.

* * *

Pewnej nocy, kiedy nie było szkoły z powodu Święta Dziękczynienia, Marvin się obudził. Spał na

ringu, przykryty kocem, i zauważył, że przy łóżku starego zapaliło się światło. Stary, zgięty w pół, siedział na brzegu posłania, wysuwając spod niego pudełko. Sięgnął do jednego i wyjął czasopismo, potem kolejne. Rozłożył je na łóżku i patrzył na nie.

Marvin wstał, zszedł z ringu i podszedł do starego. Tamten podniósł wzrok

— Cholera, mały. Obudziłem cię?

— Sam się obudziłem. Co robisz?

— Oglądam stare czasopisma. Dotyczą nielegalnych walk. Musiałem je zamówić pocztą. Nie dało się ich kupić w kiosku.

Marvin spojrział na otwarte magazyny na posłaniu. Było w nich mnóstwo zdjęć. Dzięki plakatowi na ścianie rozpoznał na nich X-Mana.

— Byłeś sławny — stwierdził Marvin.

— W pewnym sensie chyba tak — zgodził się X-Man. — Patrzę na nie i nienawidzę starzenia się. Nie byłem brzoszkinką dla oka, ale byłem wówczas silny, wyglądałem lepiej niż teraz. Niewiele zostało z mojego młodszego „ja”.

— Jest na nich Jezus?

X-Man obrócił stronę jednego z czasopism, a tam była fotografia przysadzistego mężczyzny z szopą czarnych włosów. Klatkę piersiową miał niemal równie owłosioną. Nogi jak pnie drzew.

X-Man uśmiechnął się.

— Wiem, co sobie myślisz. Dwóch zbirów, takich jak ja i Jezus, jakiego rodzaju miłosnymi magnesami jesteśmy? Może Felina nie jest taką pierwszorzędną cipką, jak mówię, że jest?

Stary obszedł łóżko ku jego głowom, wyjął tam spod niego małe kartonowe pudełko. Postawił je między nimi na posłaniu i pogrzebał w stosie poźółłych zdjęć. Wyjął jedno. Było lekko wyblakłe, ale wystarczająco ostre. Kobieta na fotografii miała może dwadzieścia pięć lat. Zdjęcie ukazywało całą jej sylwetkę, i rzeczywiście była seksbombą. Czarne włosy, wystające kości policzkowe, wydatne usta i czarne jak otchłań oczy, których spojrzenie wychodziło z fotografii i wwiercało się gdzieś w tył głowy Marvina.

Były i inne jej zdjęcia, i stary pokazał je wszystkie Marvinowi. To były zbliżenia, fotki z oddali i ukradkowe ujęcia, skupione na jej tyłku. Była rzeczywiście uczta dla oka.

— Nie jest już taka, ale wciąż jakiś cudem ma w sobie coś. To, co chciałem zrobić, mały, to zebrać wszystkie te zdjęcia, ułożyć je w stos i spalić, a potem posłać słówko Jezusowi, że może zapomnieć o walce. Że Felina jest jego po kres dni. Ale myślę o tym mniej więcej co kilka lat, a potem tego nie robię. Wiesz, co mi raz powiedział Jezus? Powiedział, że ona lubi łapać muchy. Używa szklanki, żeby je schwytać, potem przebija je igłą i nawleka na nitkę. Dziesiątki owadów. Zawijają supełek z jednej strony, drugi koniec mocuje do ściany pinezką, a potem się przygląda, jak usiłują odfrunąć. Pacnąc muchę, to jedno. Ale coś takiego; ja tego nie łapuję, mały.

A wiedząc to, nie powinienem jej chcieć. Ale to nie działa w ten sposób... Coś ci powiem, wracaj do łóżka. Co do mnie, gaszę światło i się kładę.

Marvin odszedł i wpełzł pod swój koc, poprawiając poduszkę pod głową. Kiedy spojrzął na starego, ten miał wciąż zapalone światło, a tekturowe pudełko ze zdjęciami na kolanach. Trzymał przed oczami fotografię, wpatrując się w nią, jakby to było ręcznie wypisane zaproszenie na powtórne przyjście Zbawiciela.

Usypiając, Marvin myślał jedynie o tych muchach na nitce.

* * *

Następnego dnia stary nie obudził go na poranny trening, a kiedy Marvin otworzył w końcu oczy, było już niemal południe. Starego nie było. Marvin wstał i poszedł do lodówki, by napić się mleka. Na drzwiczkach była wiadomość.

NIE JEDZ DUŻO. PRZYNOSZĘ KOLACJĘ Z OKAZJI DNIA DZIĘKCZYNIENIA.

Marvin nie miał ochoty spędzać Dnia Dziękczynienia z matką i jej malarzem, więc właściwie w ogóle o tym nie myślał. Kiedy matka wyrzuciła go ze swojej głowy, on wyrzucił ze swojej święta. Ale teraz natychmiast o nich pomyślał, mając nadzieję, że malarz udławi się kością z indyka.

Nalał sobie mleka do szklanki i sącząc je, usiadł na krześle obok ringu.

Niedługo potem wrócił stary z torbą zakupów. Marvin wstał i podszedł do niego.

— Przepraszam, że opuściłem trening.

— Niczego nie opuściłeś. Jest pieprzone święto. Nawet ktoś tak bezwzględnie potrzebujący ćwiczeń powinien mieć wolny dzień.

Stary wyjął z torby zakupy. Była tam konserwa z indyka, żółty ser w plasterkach i bochenek dobrego chleba, takiego, który trzeba pokroić nożem. I puszka sosu żurawinowego.

— Nie jest to wielki indyk do podzielenia, ale bądźcie spokojni — powiedział stary.

Przygotowali sobie kanapki i siedli w fotelach, mając między sobą niski stolik. Postawili na nim talerze, stary włożył kasetę do wiekowego magnetowidu i oglądali film. Czarno-biały. Marvin lubił kolor i był pewien, że ten obraz nie będzie mu się podobał. Nazywał się *Noc i miasto*. Był o zapasach. Marvin nie miał nic przeciwko niemu. Był nim zachwycony. Jadł kanapkę. Spojrzął na starego, żującego bez sztucznych szczęk. Wtedy do niego dotarło, że kocha go tak bardzo, jakby tamten był jego ojcem.

* * *

Następnego dnia ostro trenowali. Marvin stał się większym wyzwaniem dla starego, ale wciąż nie potrafił go pokonać.

Rankiem przed pojedynkiem z Jezusem Marvin wstał i poszedł do sklepu. Miał trochę pieniędzy, które stary dawał mu od czasu do czasu za bycie jego sparingpartnerem, i kupił kilka rzeczy, które przyniósł do domu. Jednym z zakupów była butelka płynu do nacierania, i po powrocie zafundował starymu kompletny masaż.

Kiedy to było zrobione, stary wyciągnął się na materacu na podłodze i zasnął łatwo jak kot. Kiedy spał, Marvin zaniósł resztę zakupów do łazienki i poczynił kilka przygotowań. Wyniósł z powrotem torbę, zwinął ją i wsadził do kosza na śmieci.

Potem zrobił to, co stary polecił mu uczynić. Wyjął ze schowka składane krzesła, dwadzieścia pięć sztuk, i ustawił w pobliżu ringu. Jedno umieścił przed innymi, przy samym ringu.

O czwartej piętnaście cichym wołaniem obudził starego.

Tamten wstał, wziął tusz, nałożył czerwony trykot i czerwony T-shirt ze zdjęciem swojego młodszego wcielenia. Podpis pod fotografią głosił: X-MAN.

Była wigilia Bożego Narodzenia.

* * *

Około siódmej tego wieczoru zaczęli przybywać. O laskach, w fotelach na kółkach i z balkonikami, wspomagani jeden przez drugiego, a w dwóch przypadkach idąc bez żadnej pomocy. Zjawiali się grupkami, a Marvin pomagał im trafić na krzesła. Stary zgromadził trochę taniego wina i piwo, a nawet wykosztował się na kilka pudełek krakersów i podejrzanie wyglądającą gomółkę sera. To umieścił na długim składanym stole na lewo od krzeseł. Starcy, głównie mężczyźni, spadli nań jak stado padlinożernych ptaków, lądujących na rozjechanym ścierwie. Marvin musiał pomóc kilkorgu, którzy byli tak starzy lub zniedołężniali, że nie potrafili iść, trzymając jednocześnie papierowy talerzyk.

Nie widział nikogo, kto według niego miałby wyglądać jak Jezus i Felina. Jeśli miała nią być jedna z czterech kobiet, to z całą pewnością była pozbawiona wszelkiego seksapilu, a jeśli jednym z przybyłych był Jezus, to X-Man miał zwycięstwo w kieszeni. Ale, oczywiście, żadnego z nich jeszcze tu nie było.

Około ósmej wieczorem Marvin, w odpowiedzi na głośne pukanie, poszedł do drzwi. Kiedy je otworzył, na progu stał Jezus. Miał na sobie czarną opończę z czerwonym oblamowaniem. Z przodu rozpiętą, i Marvin widział, że tamten ma na sobie czarny trykot bez koszuli. Był siwy tam, gdzie na głowie pozostała mu reszka włosów, a na klatce piersiowej miał gęstą siwą strzechę, usadowioną tam niczym pieczołowicie zbudowane ptasie gniazdo. Miał tę samą małą budowę, co na zdjęciu. Bomba wyglądał spokojnie dziesięć lat młodziej, niż miał, i poruszał się z pewnością i z łatwością.

Towarzyszyła mu wysoka kobieta, którą łatwo było rozpoznać nawet na podstawie starych

fotografii. Włosy miała wciąż czarne, tyle że kolor pochodził teraz z pewnością z butelki, a wiek obszedł się z nią łagodnie, zachowując jędrną twarz i wysokie kości policzkowe. Marvin pomyślał, że przeszła może operacje plastyczne. Wyglądała jak hollywoodzka gwiazda po pięćdziesiątce, która nadal troszczy się o swoją urodę. Oczy miała jak dwie studnie, i Marvin musiał uważać, by w nie nie wpaść. Miała na sobie długą czarną suknię i czarny płaszcz zwisający jej z ramion w wyrafinowany sposób. Miał futrzany kołnier, który na pierwszy rzut oka prezentował się całkiem dobrze, ale na drugi ujawniał ślady rozkładu, jak śpiące zwierzę pokryte parchem.

— Jestem tutaj, by walczyć — oświadczył Jezus.

— Tak jest, proszę pana — odparł Marvin.

Kobieta uśmiechnęła się do niego, a zęby miała białe i cudowne, wyglądające równie prawdziwie co jego własne. Nie padły żadne słowa, ale tak czy inaczej wiedział, że ma wziąć od niej płaszcz, co też uczynił. Poszedł za nią i Jezusem, a obserwując chód Feliny, poczuł seksualne podniecenie. Zważywszy na jej wiek, była niesamowita, i przypomniało mu się stare opowiadanie, jakie czytał o sukubie: o kobiecym duchu, żerującym na mężczyznach, seksualnie wyczerpującym ich i zabierającym im dusze.

Kiedy Felina wkroczyła do pomieszczenia i stary ją zobaczył, w jego wyglądzie nastąpiła zmiana. Poczzerwieniał na twarzy i wyprostował się. Posiadała go.

Marvin odłożył płaszcz Feliny, a gdy wieszal go w szafie, poczuł idący od niego zapach, słodki i kuszący. Pomyślał, że to po części perfumy, ale wiedział, że większość woni pochodziła od niej.

Jezus i X-Man uściśli sobie dłonie i uśmiechnęli się do siebie, ale stary nie potrafił oderwać wzroku od kobiety. Przeszła obok nich, jakby nieświadoma ich obecności, i nieinformowana, zajęła krzesło ustawione przed wszytkimi innymi.

Stary przywołał Marvina i przedstawił go Jezusowi.

— Ten dziękuję mój podopieczny, Jezus. Jest całkiem niezły. Może jak ja, kiedy zacząłem, gdybym miał złamaną nogę.

Roześmiali się obaj. Nawet Marvin się zaśmiał. Zaczął rozumieć, że to zapaśniczy humor, i że w istocie obdarzono go wielkim komplementem.

— Sądziś, że w tym roku mnie pokonasz? — zapytał Jezus. — Czasami mi się zdaje, że nie starsz się naprawdę.

— Och, staram się, jaknajbardziej — odparł X-Man.

Jezus wciąż się uśmiechał, ale teraz jego uśmiech wyglądał na przyklejony, gdy mówił:

— Wiesz, że jeśli wygrasz, to ona z tobą odejdzie?

Stary skinął głową.

— Dlaczego wciąż to robimy? — zapytał Jezus.

X-Man pokręcił głową.

— No cóż — powiedział Jezus. — Powodzenia. Szczerze. Ale ty jesteś zdecydowany na walkę.
— Wiem — odparł X-Man.

* * *

Była dziewiąta, gdy X-Man i Jezus wyjęli sztuczne szczęki, weszli na ring i poświęcili nieco czasu na rozgrzewkę. Krzesła na widowni były w połowie puste, a ci zajmujący pozostałe byli rozproszeni jak latki na dalmatyńczyku. Marvin stał za linami w narożniku starego.

X-Man podszedł i oparł się o liny. Jeden ze staruchów na widowni noszący podciągnięte pod pachy czerwone spodnie przyciągnął krzesło w pobliże ringu, zgrzytając nim przez całą drogę o podłogę. W wolnej dłoni trzymał krowi dzwonek. Usiadł, sapiąc, i oparł dzwonek na kolanie. Wyjął z kieszeni spodni wielki zegarek, który położył na drugim kolanie. Wyglądał na sennego.

— Za pięć lat — zwrócił się X-Man do Marvina — zrobimy to gdzieś w piekle, a czasu będzie pilnował sam diabeł.

— Dobra — odezwał się sędzia czasowy. — Dziadek rządzi. Dwuminutowe rundy. Trzy minuty przerwy. Walka trwa do przewagi dwóch zwycięstw albo do poddania się przeciwnika. Wszyscy gotowi?

Rywale potwierdzili.

Marvin spojrział na Felinę. Siedziała z dłońmi złożonymi na podolku. Wydawała się pewna siebie i zadowolona, niczym pająkczekający na muchę.

Sędzia czasowy stuknął kciukiem lewej dłoni w zegarek i zadzwonił dzwonkiem trzymany w prawej ręce. X-Man i Jezus zderzyli się z mlaszczącym odgłosem, chwytając się za kolana, by wykonać rzut, podskakując i robiąc unik. A potem X-Man zadał z wysokości szybki cios lewą. Ku zdumieniu Marvina, Jezus zbił uderzenie ramieniem i zaprawił X-Mana hakiem w żebra. To był potężny cios, i Marvin widział, że stary go poczuł. X-Man zatoczył się w tył i jeden ze staruchów na nielicznej widowni wybuchnął go.

— Pierdol się! — krzyknął X-Man.

Znowu zwarł się z Bombą. Zaciśkali dłonie na barkach, a Jezus usiłował zaprawić X-Mana kolanem w jądra. Stary zdołał się obrócić na tyle, że zarobił kopniaka w udo, a nie w słabiznę. Wirowali wkoło jak gniewni kochankowie w tańcu.

W końcu X-Man wykonał zwód, zanurkował ku kolanu Jezusa, chwycił je, ale Jezus wywinął się mu, przerzucił nad głową X-Mana nogę, zagiął ją na jego szyi, chwycił ramię, wyprostował je i podsunął pod nie swoje biodro. Rozległ się dźwięk, jakby ktoś zламаł na kolanie gałąź, i X-Man odklepał w matę. To zakończyło rundę. Minęło mniej niż czterdzieści pięć sekund.

X-Man podszedł chwiejnie do swojego narożnika, tuląc delikatnie ramię. Oparł się o liny. Marvin przy sunął stołek

— Odstaw — polecił stary. — Nie chcę, żeby myśleli, że ucierpiałem.

Marvin odsunął stołki i zapytał:

— A ucierpiałeś?

— Taaa, ale ten trzask, który słyyszałeś, to tylko bańki powietrza w moim ramieniu. Nic mi nie jest. Dawaj z powrotem ten stołek

Marvin go posłuchał. X-Man usiadł. Naprzeciwko Jezus siedział na swoim miejscu, ze zwieszoną głową. On i X-Man sprawiali wrażenie dwóch mężczyzn, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, żeby ich zastrzelić.

— Wiem — odezwał się X-Man. — To moja ostatnia walka. Po niej już nic we mnie nie zostanie. Czuję, że to, co ze mnie zostało, wyczerpuje się.

Marvin zerknął na Felinę. Jedno ze świateł w górze gasło. Strzeliło i ściemniało, potem rozjaśniło się ponownie, i Marvin myślał przez moment, w tym w mroku, że Felina wygląda starzej i na bardziej zniszczoną, a jej grube włosy przypominają kłębowisko żmij. Ale kiedy się przyjrzał uważniej, to była jedynie kwestia oświetlenia.

Zagrzechotał krowi dzwonek. Zawodnicy odzyskali nieco wigoru. Okrążali się z wyciągniętymi przed siebie ramionami. W końcu sczepili się palcami obu dłoni. Nagle X-Man pchnął palce do przodu w taki sposób, że pozwoliło mu to zastosować dźwignię na palcach Jezusa i przygiąć go w bólu ku macie. To był prosty chwyt, ale sprawił, że twarz Bomby znalazła się przed kolaniem starego. Ten grzmotnął go w facjatę tak mocno, że krew spryskała X-Mana i cały ring.

Wciąż ściskając palce Jezusa, X-Man cofnął się i przykucnął, przyciągając sobie przeciwnika przed twarz. Puścił palce Jezusa, a kiedy tamten próbował się podnieść, kopnął go w facjatę. Jezus zemdlał.

Zaklekotał krowi dzwonek. Sędzia czasowy odłożył go i podszedł do ringu. Przeszedł między linami i czepiając się nich, dotarł do Jezusa. Zabrało mu to niemal tyle samo czasu, co ślepcowi znalezienie igły w stogu siana.

Sędzia przykłąkł na jednym kolanie. Jezus jęknął i usiadł wolno.

Twarc miał jak krwawy befszytk

Sędzia spojrział na niego.

— Walczysz dalej? — zapytał.

— Jasne, do diabła — odparł Jezus.

— Jeden do jednego! — zawołał sędzia czasowy i odbył swoją powolną pielgrzymkę z powrotem na krzesło.

Jezus podniósł się mozolnie i powędrował do swojego narożnika, starając się trzymać wysoko głowę. X-Man siedział na stołku, dysząc ciężko.

— Mam nadzieję, że nie uszkodziłem niczego w środku tego starego kufafona — powiedział.

Zamknął oczy i siedział, odpoczywając. Marvin milczał. Uznał, że stary usnął. Po trzech minutach rozległ się dzwonek

Jezus sapnął głośno, zatrzeszczał kośćmi, zlącząc ze stołku, i podreptał na środek ringu. X-Man powlókł się tam wolno.

Wymienili kilka ciosów, z których żaden nie trafił czysto. Zaskakujące, obaj zdawali się łapać drugi oddech. Rzucili jeden drugiego, przetoczyli się, dźgali i dusili, i dzwonek zabrzączał ponownie.

Kiedy X-Man siedział znowu na swoim stołku, powiedział:

— Serce mi trzepoce jakptak

— Powinieneś zrezygnować — zauważył Marvin. — To nie warte zawału.

— Nie trzepocze na skutek walki, tylko na widok Feliny.

Marvin obejrzał się na nią. Kobieta patrzyła na X-Mana takim wzrokiem, jakim szczeniak patrzy na psi przysmak

— Nie daj się złapać — powiedział Marvin. — Ona jest zła. Cholernie zła.

— A więc mi wierzysz?

— Owszem. Myślisz, że ma te wyciory do fajki, te twoje włosy ze sobą?

— Skąd miałbym wiedzieć?

— Może w płaszczu?

— Ponownie. Skąd miałbym wiedzieć. — A potem do starego dotarło. Pojął, do czego Marvin zmierza. — Uważasz, że jeśli je ma, a ty je zdobędziesz...

— Taaa — potwierdził Marvin.

Zostawił X-Mana siedzącego na stołku i pognął do szafy. Otworzył drzwi i macał w środku, starając się sprawić takie wrażenie, jakby to było zwykła sprawa. Zerknął na X-Mana, który obrócił się na stołku, by spojrzeć.

Rozległ się dzwonek. Dwaj starsi dżentelmeni ruszyli ponownie.

* * *

To było szaleństwo. Trzaskające ciosy w głowę i żebra, w bebechy. Zwieranie się ze sobą, uderzenia kolanami w jaja. Jezus nawet odgryzł kawałek ucha X-Mana. Lała się krew. To była walka, która byłaby zdumiewająca, gdyby mężczyźni w ringu mieli po dwudziestce i znajdowali się w szczytowej formie. W ich wieku to było fenomenalne.

Marvin stał teraz w narożniku X-Mana, starając się pochwycić jego wzrok, ale nie w nazbyt oczywisty sposób. Nie chciał, żeby tamten się zdekoncentrował, nie chciał, żeby Jezus dostał się pod starego, podniósł go i wbił jego głowę w ziemię niczym ogrodową strzałkę.

W końcu zwarli się ze sobą. Krążyli i krążyli, dysząc ciężko jak lokomotywy. Marvin

pochwycił wzrok X-Mana. Chłopak uniósł dwa skręcone wyciory do fajki, z włosami w środku splotu. Wkręcił druty i włosy uleciały jak obłok ciemnego lupiezu. Podryfowały ku podłodze.

X-Man odetchnął. Zdawało się, że się rozluźnił.

Jezus zanurkował ku jego nogom. Przy pominało to pikowanie jastrzębia po mysz. W następnej chwili zobaczył, że Jezus ma X-Mana w parterze, obejmując go ramionami, i podnosił go, wyginając się jednocześnie, żeby móc przerzucić przeciwnika nad głowę, prosto na matę.

Ale kiedy X-Man przeleciał nad Jezusem, zanurkował pod jego pośladkami i chwycił wewnętrzne strony jego ud. Jezus zrobił przewrót w tył, lecz X-Man spadł na plecy, a nie na głowę, którą wystawił teraz spomiędzy nóg Jezusa, a jego bezzębne usta, zagłębione między udami rywała, zaciskały się na jego jajach jak pięść. W tłumie podniósł się krzyk.

Jezus wrzasnął. To był tego rodzaju wrzask, który przenika do szpiku kręgosłupa, chwytając za kość ogonową i ciągnie za nią. X-Man utrzymał chwyt. Jezus wiał się, wiercił, kopał i zadawał ciosy. Spadały na głowę X-Mana, ale ten nadal trzymał. Kiedy Jezus spróbował rolowania, X-Man obrócił się wraz z nim, a jego dźiąsła były wciąż mocno zakleszczone na jajach Jezusa.

Niektórzy starcy wstawali ze swoich miejsc, krzyżując z podniecenia. Felina nie ruszyła się ani nie zmieniła wyrazu twarzy.

A potem się stało.

Jezus uderzył oboma dłońmi w matę, zawołał: „Czas!”.

I było po wszystkim.

* * *

Starcy wyszli. Z wyjątkiem Feliny i Jezusa.

Ten ostatni siedział długi czas w łazience. Kiedy wyszedł, utykał. Przód trykotów miał wybrzuszony i ciemny od krwi.

X-Man stał, wsparty jedną ręką o krzesło, i oddychał ciężko.

— Niemal odgryzieś mi jaja, X-Manie. Wziąłem jeden z twoich ręczników i wsadziłem w portki, żeby zatamować krwawienie. Niezłe masz dźiąsła, stary. Z takimi dźiąsłami nie potrzebujesz zębów.

— Na wojnie i w miłości wszystkie chwytaki są dozwolone — odparł stary. — Poza tym, do czego używasz jaj w tym wieku?

— Słyszę cię — powiedział Jezus i cała jego postawa uległa zmianie. Zachowywał się jak ptak w klatce z otwartymi drzwiczkami. Był gotów do wyfrunięcia. — Jest twoja — powiedział.

Wszyscy spojrzeliśmy na Felinę. Uśmiechnęła się leciutko. Wzięła X-Mana za rękę.

Stary odwrócił się i spojrział na kobietę. Powiedział:

— Nie chcę jej. — I puścił jej dłoń. — Do diabła, i tak przeżyłem swojego kutasa.

Na twarzy Feliny pojawił się wyraz zdumienia.

— Wygrałeś ją — stwierdził Jezus. — Taka jest zasada.

— Neeee — odparł X-Man. — Nie ma żadnej zasady.

— Nie? — zapytał Jezus i niemal dało się widzieć, jak drzewiczki kłatki się zatrząskują.

— Nie — potwierdził X-Man, patrząc na Felinę. — To hoo-doo, które wobec mnie zastosowałaś, z wyciorami do fajki. Mój chłopak odkręcił to.

— O czym ty, kurwa, mówisz? — zapytała Felina.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie.

— Wynoś się — powiedział stary. — Z Jezusem. Już więcej tego nie robimy.

— Nie chcesz jej? — zapytał Jezus.

— Nie. Wynocha. Zabierz tę dziwkę ze sobą. Jazda stąd.

Wyszli. Na zakręcie korytarza Felina zatrzymała się i obejrzała za siebie. To było spojrzenie, które mówiło: miałeś mnie, pozwoliłeś mi odejść i pożałujesz tego.

X-Man tylko się do niej uśmiechnął.

— W drogę, stara dziwko.

Kiedy zniknęli, stary wyciągnął się na łóżku, oddychając ciężko. Marvin przyciągnął sobie krzesło w pobliżu i usiadł. X-Man spojrzał na niego i roześmiał się.

— Ten wycior do fajki z włosami nie był w jej płaszczu, co?

— O co ci chodzi? — zapytał Marvin.

— O wyraz jej twarzy, kiedy o tym wspomniałem. Nie miała pojęcia, o czym mówię. Spójrz na mnie chłopcze. Powiedz prawdę.

Marvin wahał się przez moment, a potem odparł:

— Kupiłem wyciory do fajki i pastę do butów. Uciąłem kosmyk własnych włosów, przyciemniłem pastę i skręciłem pomiędzy drutami.

X-Man zawył.

— Ty podstępny sukiny nu!

— Przykro mi — powiedział Marvin.

— A mnie nie.

— Nie?

— Ani trochę. Nauczyłem się czegoś ważnego. Jestem pierdolonym naiwniakiem. Nigdy nie miała nade mną żadnej władzy, której jej sam nie dałem. Te wyciory do fajki i włosy, do diabła, zapomniała o nich zaraz po tym, jak to zrobiła. Zwyczajnie zabijała tym czas, a ja uczyniłem z tego coś niezwykłego. Sam podsuwałem sobie preteksty, żeby kochać się w kimś, kto nie jest wart prochu potrzebnego do tego, by wysadzić jej dupę w powietrze. Po prostu podobało się jej mieć władzę nad nami oboma. Być może Jezus także do tego dojdzie. Być może ja i on doszliśmy

dzisiaj do wielu rzeczy. W porządku, mały. Dobrze się spisałeś. Do diabła, nie było nic takiego, czego bym w głębi ducha nie wiedział, a teraz skończyły mi się wymówki i skończyłem z nią. Jakby ktoś przestał mnie ścisnąć za gardło i mogę znowu oddychać. Wszystkie te lata, i ta sprawa z Feliną, to byłem tylko ja i moje własne rojenia.

* * *

Koło siódmej rano stary obudził Marvina.

— Co się stało? — zapytał chłopak

X-Man stał nad nim, obdarzając go uśmiechem sztucznych szczęk

— Nic. Jest Boże Narodzenie. Wesołych świąt.

— Wzajemnie — odparł Marvin.

Stary miał T-shirt. Wyciągnął go przed siebie w obu rękach. Na koszulce był napis „X-Man” i jego zdjęcie, tak jak na tej, którą miał na sobie.

— To dla ciebie. Chcę, żebyś był X-Manem.

— Nie mogę być X-Manem. Nikt nie może.

— Wiem o tym. Ale chcę, żebyś spróbował.

Marvin siedział teraz. Wziął koszulkę.

— Włóż ją — polecił stary.

Marvin pozbył się swojej, wciąż siedząc na podłodze, i naciągnął przez głowę T-shirt starego.

Wstał.

— Ale ja nic dla ciebie nie mam.

— Taaa, masz. Uwolniłeś mnie.

Marvin skinął głową.

— Jak wyglądam?

— Jak X-Man. Wiesz, gdybym miał syna, byłbym cholernie szczęśliwy, gdyby był taki jak ty. Do diabła, gdyby był tobą. Oczywiście, musiałbym przelecieć twoją matkę, a nie chcemy o tym rozmawiać. A teraz wracam do łóżka. Potem zjemy może świąteczną kolację.

* * *

Później tego dnia Marvin wstał, przygotował kawę, dwie kanapki i poszedł obudzić X-Mana.

Stary nie obudził się. Był zimny. Na łóżku obok niego leżały zapasnicze czasopisma.

— Cholera — powiedział Marvin i usiadł na krześle obok posłania. Ujął dłoń starego. Coś w niej było. Zwinięta fotografia Feliny. Marvin wyjął ją, rzucił na podłogę i przez długi czas trzymał starego za rękę.

Potem wyrwał stronę z czasopisma, wstał i przyłożył ją do płyty grzewczej. Zapłonęła.

Podszedł, trzymając ją, palącą się, w jednej ręce, podczas gdy drugą wyciągnął pudełko z czasopismami. Podpałił je i wepchnął pod łóżko. Płomienie oblizały ramę posłania. Pozostałe pudła zajęły się ogniem. Potem pościel. Po chwili zapalił się i stary. Zapachniało gotowaną wieprzowiną.

Jak Herkules — pomyślał Marvin. Wznosi się ku swoim bogom.

Wciąż w koszulce X-mana wyjął z szafy kurtkę. Pokój wypełniał się dymem i wonią palącego się ciała. Włożył kurtkę i skręcił za róg, do korytarza. Tuż przed wyjściem poczuł, że żar ognia ogrzewa mu plecy.

Przetłumaczył Mirosław P. Jabłoński

Sąsiedzi

(NEIGHBORS)

Megan Lindholm jest autorką takich powieści fantasy, jak *Wizard of the Pigeons*, *Harpy's Flight*, *The Windsingers*, *The Limbreth Gate*, *Luck of the Wolves*, *The Reindeer People*, *Wolf's Brother* i *Cloven Hooves*, powieści science fiction *Alien Earth*, a także wspólnie napisanej ze Stevenem Brustem książki *The Gypsy*. Lindholm jest także autorką bestsellerów „New York Timesa” piszącą pod pseudonimem Robin Hobb. Jako Hobb doczekała się statusu jednego z najpopularniejszych twórców, sprzedała ponad milion egzemplarzy. Jako Robin Hobb jest najlepiej znana ze swojego cyklu fantasy *Farseer*, w tym *Uczeń skrytobójcy*, *Królewski skrytobójca*, *Wyprawa skrytobójcy*, a także powiązanych z nią serii *Żywostatki*, w tym *Czarodziejski statek*, *Szalony statek* i *Statek przeznaczenia*, a także serii *Złotoskóry*, w skład której wchodzi: *Misja błazna*, *Złocisty błazen* i *Przeznaczenie błazna*. Jest również autorką serii *Soldier Son*, w skład której wchodzi *Shaman's Crossing*, *Forest Mage* i *Renegade's Magic*. Niedawno jako Robin Hobb rozpoczęła nową serię, *Rain Wild Chronicles*, złożoną z tomów *Dragon Keeper*, *Dragon Haven*, *City of Dragons* i *Blood of Dragons*. Jako Megan Lindholm wydała ostatnio zbiór, napisany „wspólnie” z Robin Hobb, *The Inheritance: And Other Stories*.

W tej nastrojowej, jesiennej i pięknie skomponowanej historii pokazuje, że nawet najstarsze psy, z posiwiałą sierścią, drepczące powolnym krokiem, wciąż jeszcze potrafią pokąsać.

SĄSIEDZI

Linda Mason znów się wy mknęła.

Była trzecia nad ranem, a sen wciąż nie przychodził. Sarah weszła do kuchni w szlafroku, nastawiła czajnik i pogrzebała w szafie, aż w końcu znalazła pudełko herbatki relaksującej „Niebiański aromat”. Postawiła filiżankę na spodku i właśnie wkładała torebkę do imbryczka dla jednej osoby, gdy usłyszała, jak ktoś woła ją po imieniu.

— Sarah! Sarah Wilkins, jesteś tam? Pospiesz się! Czas już iść!

Serce podskoczyło jej w piersi i zawisło w gardle, bijąc mocno. Nie rozpoznała piskliwego głosu, ale nagłący ton wydał się jej bardzo niepokojący. Postanowiła nie wyglądać przez okno i przez chwilę poczuła się, jakby znów miała osiem lat. Nie zaglądał pod łóżko, nie otwierał drzwi do szafy. Dopóki nie spojrzysz, to nie znajdziesz tam potwora Schrödingera. Przypomniała sobie stanowczo, że nie ma już ośmiu lat, a raczej sześćdziesiąt osiem, i odsunęła zasłonkę.

Po ulicy snuły się wstęgi mgły, odwieczne zwiastuny jesieni na pacyficznym wybrzeżu. Gdy wzrok przyzwyczaił się jej do mroku, zobaczyła tę szaloną staruszkę, Lindę. Stała przy żelaznym płotku otaczającym ogródek Sarah. Ubrana była w różowy dres i rozdeptane klapki. W rękę trzymała aluminiowy kij bejsbolowy, a na plecy zarzuciła plecak z Hello Kitty. Sarah była prawie pewna, że te dwa przedmioty należały do jej wnuczki. Linda mieszkała z synem i jego żoną. Sarah w głębi duszy współczuła tej kobiecie, wtłoczonej w rolę opiekunki dla zdziwaczałej staruszki. Większość sąsiadów twierdziła, że Linda cierpi na chorobę Alzheimera, ale równie dobrze można by to opisać jako „po prostu jej odbiło”.

Sarah знаła Lindę od dwudziestu dwóch lat. Razem odwoziły synów na mecze futbolowe. Spotykały się przy kawie, wymieniały się słoikami domowego dżemu albo podrzucały sobie nadmiarowe cukinie z ogródka, opiekowały się domowymi zwierzętami i pod nieobecność sąsiadki, pozdrowiały się podczas zakupów w Safewayu i plotkowały o innych sąsiadach. Nie były bliskimi przyjaciółkami, lecz dobrymi sąsiadkami, w stylu lat pięćdziesiątych. Linda była jedną z najstarszych mieszańek w okolicy. Pozostali rodzice zniknęli — wprowadzili się do bloków, migrowali, jak ptaki jesienią, albo zostali wysłani do domów opieki. Domy stały puste albo wprowadzały się do nich inne młode rodziny. Oprócz Lindy z dawnych przyjaciół pozostali tylko Maureen i Hugh, którzy wciąż mieszkali na drugim końcu ulicy, ale większość czasu spędzali w Seattle, gdzie Hugh jeździł na leczenie.

— Sarah! Pospiesz się! — krzyknęła znów Linda. Dwa domy dalej zapaliły się światła. Czajnik zaczął gwizdać. Sarah zdjęła go z palnika, następnie chwyciła płaszcz i otworzyła drzwi kuchenne. Ta przekłeta lampa znów nie działała, żarówka przepaliła się w zeszłym tygodniu, ale przyniesienie stołka i wkręcenie nowej wymagało za dużo wysiłku. Ostrożnie zeszła po schodach i podeszła do płotu, mając nadzieję, że Sarge nie napaskudził na trawnik tam, gdzie akurat szła.

— Lindo, wszystko w porządku? Co się dzieje? — Próbowała zwracać się do niej jak stara

przyjaciółka, ale tak naprawdę sąsiadka ją przerażała. Czasem zachowywała się jak dawna Linda, ale potem nagle dodawała coś nietypowego albo złośliwego. Robiła jeszcze dziwniejsze rzeczy. Kilka dni temu wczesnym rankiem wymknęła się z ogródka, pozrywała dojrzałe jabłka z drzewa sąsiadów i rzuciła je na ulicę.

— Lepsze to, niżby miały opaść i zgnić, jak w zeszłym roku! — krzyczała, gdy ją złapali.
— Zmarnujecie je, jak zwykle! Nakarmcie przyszłość! Oddajcie je potrzebującym!

Gdy żona Robbiego chwyciła ją za ramię i próbowała zaciągnąć do domu, Linda uderzyła ją w twarz. Wnuczka Lindy i jej koleżanka widziały całe zajście. Dziecko wybuchnęło płaczem, ale Sarah nie wiedziała, czy to ze strachu, z rozpaczy, czy ze zwykłego wstydu, bo pół osiedla zleciało się oglądać scenę, włącznie z właścicielką jabłoni. Była wściekła i każdemu, kto chciał jej słuchać, dowodziła głośno, że już najwyższy czas „wsadzić tę starą wariatkę do domu opieki”. Kobieta mieszkała w okolicy już od paru lat, ale Sarah nawet nie wiedziała, jak się nazywa.

— Jestem w domu i mam opiekę! — odkrzyknęła Linda. — A dlaczego ty mieszkasz w domu Marilyn? Myślisz, że masz więcej prawa do tych jabłek niż ja? Pomagałam zasadzić to cholerne drzewo!

— Nie rozumie pani, że oddalibyśmy ją gdzieś, gdyby tylko było nas na to stać?! — krzyczała żona Robbiego. — Myśli pani, że podoba mi się takie życie?! — Potem wybuchnęła płaczem i w końcu zdołała zaprowadzić Lindę do środka.

A teraz staruszka stała we mgle, wpatrując się w Sarah błędnym wzrokiem. Wiatr rozwiewał jej siwe włosy, a liście z szelestem toczyły się po chodniku. Na głowie miała wełnianą czapkę, do której coś przymocowała. Podeszła do płotu i postukała w niego kijem, aż zadźwięczało.

— Nie niszc mi płotu! — wykrzyknęła Sarah. — Stój tam, Lindo. Nigdzie nie odchodź. Sprowadź pomoc!

— To tobie potrzebna jest pomoc! — zawołała Linda. Zaśmiała się dziko. — „Chodźcie, dzieci, bawmy się, księżyc jasno łśni jak w dzień!” — wyrecytowała. — Tyle że to nieprawda! Nie ma księżyc! Zabieram światło ze sobą!

— Lindo, jest bardzo zimno. Wejź do środka i opowiedz mi o tym.

Telefon — pomyślała. *Mogłabym już teraz dzwonić pod 911.* Alex radził jej, by kupiła sobie komórkę, ale nie zniósłaby jeszcze jednej dodatkowej opłaty miesięcznej. Nie stać jej było nawet na wymianę starego domowego telefonu z zepsutym dzwonkiem.

— Napijemy się herbaty i porozmawiamy. Jak za dawnych czasów, gdy dzieci były małe.
— Nagle przypomniała to sobie bardzo wyraźnie. Ona, Maureen i Linda siedziały razem, czelając, aż dzieci wrócą z treningu. Rozmawiały i śmiały się. Potem dzieci dorosły, a one poszły w różne strony. Nie spotkały się przy kawie już kawał czasu.

— Nie, Sarah! To ty chodź do mnie! Magia jest lepsza niż szaleństwo. A czas to jedyna różnica

między nimi. Zostań tam, gdzie jesteś, a będziesz szalona. Chodź ze mną, a będziesz magiczna. Patrz!

Pogmerała przy klatce piersiowej, a potem cała zaświeciła.

— Energia słoneczna! — wykrzyknęła. — To mój bilet do przyszłości.

Sarah nareszcie zrozumiała, co Linda ma na sobie. Owinęła się łańcuchem lampek choinkowych. Małe panele słoneczne, z których czerpały zasilanie, przyklejone były do jej czapki.

— Lindo, chodź do mnie! Zaraz zamarznę! — Teraz obie krzyczały. Dlaczego nikt z sąsiadów nie zapalił światła? Ktoś już powinien się zniescierpliwic, a jakiś pies powinien zacząć szczekać.

— Czas nie czeka na nikogo, Sarah! Wyruszam, by szukać szczęścia. Ostatnia szansa. Pójdiesz ze mną?

Sarah wróciła do środka, znalazła w książce telefonicznej numer Lindy. Nikt nie odbierał. Po dziesięciu sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka. Sarah odwiesiła słuchawkę, po czym znów zadzwoniła. Nie widziała już Lindy. Okna jej domu były ciemne. Co robić? Iść tam i zapukać? Może Robbie już wyszedł, odnalazł matkę i zaprowadził z powrotem? Może zadzwonić po policję? Wróciła do ogródka ze słuchawką w ręku.

— Lindo? — zawołała w zamglony mrok — Lindo, gdzie jesteś?

Nikt nie odpowiadał. Mgła zgęstniała i cała okolica pograżyła się teraz w mroku. Nawet latarnia na rogu, ta zniechwalona, która nocami świeciła jej prosto w okno, wybrała sobie tę chwilę, by zgasnąć. Sarah znów wykręciła numer Lindy, nasłuchując sygnału.

Po powrocie do domu zadzwoniła do Aleksa.

— Co, mam? — spytał zaspany głosem. Opowiedziała mu całą historię. Nie wydawał się szczególnie poruszony.

— Mam, to nie nasza sprawa. Wracaj do łóżka. Założę się, że Linda już wróciła do domu i teraz pewnie śpi. Ja też bym chciał.

— Ale co, jeśli zgubiła się w ciemnościach? Wiesz, że nie jest z nią najlepiej.

— I nie tylko z nią — mruknął Alex, po czym dodał: — Posłuchaj, mam, jest czwarta nad ranem. Idź spać. Wpadnę do ciebie po drodze do pracy i zapukamy do Lindy. Na pewno nic jej nie jest. A teraz wracaj do łóżka.

A zatem wróciła, by przewracać się z boku na boki martwić się dalej.

Obudziła się o siódmej, słysząc dźwięk klucza w zamku. Wielkie nieba! Zmusiła go, by nadłożył taki kawał drogi, jadąc do Seattle, a teraz nawet nie była gotowa.

— Zaraz zejść! — zawołała i zaczęła się pospiesznie ubierać. Trwało to dłużej, niż powinno, zwłaszcza zawiązanie butów. Gdy Russ jeszcze żył, czasem żartowali, że ta podłoga codziennie odjeżdża coraz dalej. Ale Russa już nie było. Sarge spał przy drzwiach. Sarah pogłaskała psa, a on

ruszył za nią truchtem.

Gdy otworzyła drzwi do kuchni, natychmiast uderzyła w nią fala gorąca.

— Co ty wyprawiasz? — spytała syna. Alex otworzył drzwi kuchenne i teraz wachlował nimi w tę i z powrotem. Spiorunował matkę wzrokiem.

— Gaz palił się na kuchence! Masz szczęście, że nie wybuchł pożar. Czemu nie uruchomił się wykrywacz dymu?

— Pewnie skończyły mu się baterie — skłamała. Tak naprawdę zmęczyło ją to, że urządzenie zaczynało wycić przy każdym przypalonym toście, aż w końcu trochę obluźowała baterie. — Pewnie zostawiłam zapalony gaz po tym, jak wyszłam do Lindy. Nie palił się całą noc, najwyżej trzy-cztery godziny.

Kuchenka wciąż buchała żarem, a biała ceramiczna powierzchnia wokół palnika zrobiła się beżowa. Sarah wyciągnęła rękę, ale cofnęła ją błyskawicznie.

— Jak ostygnie, wyzoruję to proszkiem. Nic się nie stało, dzięki Bogu.

— Nic się nie stało? Tylko trzy godziny? Mamo, do jasnej cholery, czy ty nie rozumiesz, jakie miałaś szczęście? — Ku niezadowoleniu Sarah mężczyzna rozłożył kuchenną drabinkę i wspiął się, by sprawdzić wykrywacz dymu. Otworzył kłapkę, a bateria wypadła na podłogę.

— Aha! Tu mamy problem — stwierdziła Sarah. — Musiało się obluźować.

— Tak musiało — wycedził Alex. Zanim Sarah zdążyła podnieść zgubę, chwycił ją i włożył na swoje miejsce. Potem zamknął kłapkę.

— Napijesz się kawy? — spytała, włączając ekspres. Nastawiła go wcześniej, jak przez ostatnich dwadzieścia lat, żeby nie musieć go co rano napełniać. Wystarczyło wcisnąć guzik, a potem siedzieć przy stole i czytać gazetę w piżamie, aż w końcu filiżanka się napełni, a Russ zejdzie z góry.

Albo i nie.

— Dzięki, ale muszę już jechać. Mamo, musisz na siebie uważać.

— Uważam. Nic by się nie stało, gdyby nie to dziwne spotkanie w nocy.

— Tak, a w zeszłym tygodniu nie zostawiłabyś karty w bankomacie, gdyby obok nie przejechał wóz strażacki, który zagłuszył piszczenie maszyny. A co z tamtym razem, kiedy zamknęłaś kluczyki w samochodzie? A ten zraszcz, który chodził przez całą noc?

— Przecież to było dawno!

— Właśnie o to mi chodzi! To twoje „roztargnienie” trwa już od wielu miesięcy. Robi się coraz gorsze. I droższe. Zapłaciliśmy ten rachunek za wodę i za ślusarza. Na szczęście bankomat wessał twoją kartę z powrotem, więc odzyskailiśmy ją z banku. Nawet nie zdawałaś sobie sprawy, że zniknęła. A w tym miesiącu możemy się spodziewać nagłego skoku rachunków za prąd. Powinnas iść do lekarza. Może są na to jakieś pigułki.

— Dam sobie radę. — Teraz to jej głos był zduszony. Nie znosiła, gdy prawil jej kazania.
— Lepiej już jedź, zanim zrobią się korki. Chcesz trochę kawy do kubka podróżnego?

Przez chwilę patrzył na nią niezdecydowany, jakby chciał dalej ciągnąć ten spór, dotrzeć do jakichś wniosków. Na szczęście nie miał na to czasu.

— Aha, zaraz go wezmę. Chyba u Masonów wszystko w porządku. Zobacz, Robbie jedzie do pracy. Chyba nie zrobiłby tego, gdyby jego matka nagle zniknęła.

Nie wiedziała, co mogłaby na to odpowiedzieć, by nie wyjść na jeszcze większą wariatkę. Gdy Alex wrócił z kubkiem, Sarah zobaczyła, że dzbanek jest pełen bladobrazowej, mętnej wody. Zapomniała wysypać do filtra zmieloną kawę. Bez mrugnięcia okiem wyjęła słoik z neską.

— Przestałam nastawiać cały dzbanek, dla mnie jednej to za dużo — wyjaśniła, wsympując łyżeczkę do podróżnego kubka i zalewając wrzątkiem. Jej syn zabrał go z westchnieniem. Gdy wyszedł, Sarah porządnie zaparzyła kawę i usiadła nad gazetą.

Policja przyjechała dopiero o jedenastej, a o pierwszej jeden z funkcjonariuszy zapukał do jej drzwi. Patrzyła, jak starannie zapisuje jej zeznanie, i czuła się okropnie.

— I nie zadzwoniła pani na policję? — spytał ten młody człowiek. Jego brązowe oczy pełne były politowania dla jej głupoty.

— Dwa razy dzwoniłam do niej do domu, a potem zadzwoniłam do mojego syna. Ale wtedy już nie widziałam jej na ulicy. Myślałam, że może wróciła do domu.

— No cóż — westchnął ciężko. — Nie wróciła. Biedna staruszka. Sama, tylko w kapturach i choinkowych lampkach. Wątpię, żeby odeszła daleko. Jakoś ją znajdziemy.

— Była ubrana w różowy dres — dodała Sarah. — Niosła kij bejsbolowy i plecak z Hello Kitty. Jakby się do kądś wybierała.

Policjant wyjął notes i to też zapisał.

— Szkoda, że pani nie zadzwoniła — powtórzył.

— Też tak myślę. Ale mój syn twierdził, że na pewno wróciła do domu, a w moim wieku człowiek trochę przestaje ufać własnemu osądowi.

— Pewnie tak. Do widzenia pani.

Był czwartek, więc po południu poszła odwiedzić Richarda w domu opieki. Jak zawsze, wzięła ze sobą album ze zdjęciami, z czasów, gdy byli dziećmi. Zaparkowała naprzeciwko kawiarni, w której następnie kupiła dużą waniliową latte. Gdy weszła do zakładu Dobra Opieka, zapach kawy zmieszał się ze wszechobecnym zapachem moczu. Przeszła przez „salonik” z kwiecistą kanapą, pełen zakurzonych plastikowych kwiatów, a potem korytarzem, mijając mieszkańców siedzących na swoich wózkach pod ścianami. Ich zgarbione plecy i pomarszczone szyje upodabniały ich do żółwi wyglądających ze skorup. Kilku pacjentów skinęło jej głową, ale większość po prostu gapiła się przed siebie. Niebieskie oczy wyblakłe jak płótno na słońcu,

brązowe oczy barwiące pigmentem białka, oczy, w których nie było już ani śladu osobowości. Znajome twarze, mieszkańcy, którzy byli tu przynajmniej od trzech lat, gdy przyjęto Richarda. Pamiętała ich imiona, ale oni już nie. Siedzieli bezwładnie, nie czekając na nic. Kółka wózków zdawało się w tym wypadku szyderstwem, bo do czego mogli ich potrzebować ludzie, którzy nie mieli dokąd pójść?

W recepcji znów siedziała nowa pielęgniarka. Sarah starała się zwracać po imieniu do wszystkich pielęgniarek i opiekunek, ale szybko okazało się, że to próżny wysiłek. Pielęgniarki zmieniały się za często, a opiekunki pielęgnujące pacjentów — jeszcze szybciej, podobnie jak języki, którymi mówiły. Niektóre z nich były miłe i zagadywały Richarda, sprzątając naczynia po posiłku albo zmieniając pościel. Jednak inne przypominały raczej strażniczki w więzieniu — oczy miały puste i sprawiały wrażenie, że nie znoszą swojej pracy. Sarah często przynosiła opiekunkom drobne upominki: słoiki dżemu, dynie z ogródka, pomidory albo papryki. Miała nadzieję, że zrozumieją ten gest, nawet jeśli nie rozumiały jej słów, gdy dziękowała im za opiekę nad bratem. Czasem, gdy nie mogła spać w nocy, modliła się, by były cierpliwe i miłe, a przynajmniej nie okrutne. Bądźcie miłe, obmywając pacjenta z łału, bądźcie miłe, wsadzając go pod prysznic. Bądźcie miłe, wykonując pracę, której nienawidzicie, za pensję, z której się nie utrzymacie. Czy ktoś może być aż tak miły?

Tego dnia Richarda nie było. Sarah siedziała z człowiekiem, który mieszkał w jego ciele i pokazywała mu zdjęcia z kempingu, z pierwszego dnia w szkole, zdjęcia rodziców. Kiwał głową, uśmiechał się i mówił, że to piękne zdjęcia. To było najgorsze — nawet w tym strasznym stanie pozostał grzeczny i życzliwy. Przesiedziała z nim godzinę — jak zawsze, nieważne, jak bolesna okazała się wizyta. Gdy nikt nie patrzył, częstowała go kawą. Richardowi nie pozwalano już pić płynów. Wszystko, co jadł, było przetarte, a napoje zagęszczane, by się nie zakrztusił. Na tym polegał problem z alz heimerem. Mięśnie gardła słabły albo pacjenci zapominali, jak się z nich korzysta. Lekarz Richarda zdecydował, że nie wolno mu już pić kawy. Sarah nie zamierzała go słuchać. Jej brat stracił już prawie wszystko: książki, palenie fajki i samotne spacerki. Kawa stanowiła jego ostatnią przyjemność w życiu, a ona zamierzała się tego trzymać, w jego imieniu. Co tydzień przynosiła mu pełen kubek, a potem ukradkiem pomagała mu go wypić, póki napój był ciepły. Richard był przeschęśliwy. Kawa zawsze wywoływała uśmiech na twarzy tej istoty, która kiedyś była jej silnym, starszym bratem.

Z pustym kubkiem wróciła do domu.

* * *

Zniknięcie Lindy opisano następnego dnia w „Tacoma News Tribune”. Sarah przeczytała cały artykuł. Wykorzystali stare zdjęcie przedstawiające pewną siebie kobietę w staromodnej

garsonce. Zastanawiała się, czy to dlatego, że akurat nie mieli żadnego zdjęcia rozczochranej staruszki. Ale na pewno nikt nie miał zdjęcia, na którym byłoby widać jej uśmiech, gdy oblała szlauchem dziesięcioletnich Thompsonów za to, że opryskali jej kota pistoletem na wodę. Nikt nie nagrał jej zduszonego chichotu, gdy zadzwoniła do Sarah o drugiej w nocy, a potem obie podkrały się do samochodów zaparkowanych obok domu Marty Sobin, gdzie jej syn urządzał akurat imprezę, korzystając z nieobecności matki. Spuścili powietrze ze wszystkich opon.

— Teraz nie będą mogli jeździć po pijanemu — szepnęła z satysfakcją Linda. Stara, dobra Linda. Sarah przypomniała sobie tamten dzień, gdy sąsiadka stanęła pośrodku ulicy na szeroko rozstawionych nogach, z zaciśniętymi zębami, zmuszając Marshę Bates do hamowania z piskiem opon, by nie potrącić kobiety jeepem, który pożyczyła od ojca.

— Za szybko jeździsz! — zawołała Linda. — Następnym razem powiadomię twoich rodziców i policję!

Linda organizowała sąsiedzkie pikniki z okazji czwartego lipca, a wszyscy schodzili się do niej chętnie, nawet nastolatki. Zawsze pierwsza zawieszała i ostatnia zdejmowała świąteczne lampki, a jej halloweenowe dynie były największe na całej ulicy. Wiedziała, jak uruchomić generator do zasilania lamp ogrodowych podczas grillu po meczu futbolowym. Dwanaście lat temu, gdy podczas śnieżycy drzewo zważyło się na ulicę, a władze miasta powiedziały, że nie zdołają go usunąć przez najbliższe trzy dni, Linda wzięła swoją piłę łańcuchową i pocięła je na kawałki. Russ otworzył okno i krzyknął na cały głos:

— Ludzie, patrzcie! Idzie szalona Norweżka z piłą! — i wszyscy zaśmiali się z dumą. Ale teraz i tamta Linda, i szalona staruszka, w którą się zmieniła, zniknęły.

Rodzina rozwiesiła plakaty. Policja przyjechała z psami. Robbie przyszedł z wizytą i spytał Sarah, co widziała tamtej nocy. Trudno było mu spojrzeć w oczy i znów wyjaśnić, dlaczego nie zadzwoniła po policję.

— Zadzwoniłam do was do domu. Dwa razy. Za każdym razem czekałam dziesięć sygnałów.

— Wyłączamy dzwonek w nocy — powiedział Robbie matowym głosem. W dzieciństwie, gdy grał w drużynie jako bramkarz, był krępy i przysadzisty, a teraz robił się po prostu gruby. Gruby, zmęczony facet z problematyczną matką, która obecnie zmieniła się w zaginioną matkę. Możliwe, że poczuł pewną ulgę, chociaż Sarah nie powiedziała tego głośno.

Mijały dni, noce robiły się coraz chłodniejsze i bardziej deszczowe. Nikt nie widział Lindy. Przecież nie mogła odejść zbyt daleko na piechotę. Czy ktoś ją porwał? Czego mogliby chcieć od starej, zdzieciniałej kobiety z kijem bejsbolowym? Czy leżała martwa w kępie jeżyn, w jakichś zaroślach? Łapała stopa na autostradzie 99? Siedziała gdzieś zmarznięta i głodna?

Teraz, gdy Sarah budziła się o drugiej, trzeciej czy piętnaście po czwartej, poczucie winy nie pozwalało jej spać już do rana. To było okropne, tak siedzieć w ciemnościach, zanim przyniosą

gazetę i zanim można będzie zaparzyć kawę. Siedziała przy stole, wpatrzona w okrągłą tarczę księżycą.

— Chodźcie, dzieci, bawmy się — szepnęła sama do siebie. Jej nieregularny tryb życia wytrącał Sarge'a z równowagi. Tłuściutki basset siadał koło jej krzesła i wpatrywał się w nią smutnymi, psimi oczami. Tęsknił za Russem. Należał do niego, a odkąd właściciel umarł, pies stał się osowiały i ponury. Sarah miała wrażenie, że teraz już tylko czekał na śmierć.

A ona?

Nie. Oczywiście, że nie! Miała przecież swoje gazety i pracę w ogródku, i zakupy, i ulubione seriale. Miała Aleksa i Sandy, nawet jeśli Sandy mieszkała po drugiej stronie gór. Miała dom i ogród, psa i inne ważne rzeczy.

O czwartej piętnaście, w ciemny, wrześnieowy ranek, trudno było sobie przypomnieć, co to za ważne rzeczy. Równomierny stukot deszczu przeszedł w zamgloną ciszę. Sarah rozwiązywała sudoku we wczorajszej gazecie — choć uważała, że to nieciekawa zagadka, sama matematyka, żadnego pola dla inwencji — gdy nagle Sarge odwrócił się do kuchennych drzwi.

Wyłączyła światło w kuchni i wyjrzała na zewnątrz. Ulica była całkiem ciemna. Pstryknęła wyłącznik, ale, oczywiście, żarówka nadal była przepalona.

Ktoś tam był, słyszała głosy. Przyłożyła dłonie do twarzy i wyjrzała przez szkło. Nic nie zobaczyła. Uchyliła drzwi i wyszła ostrożnie.

Pięciu młodych mężczyzn, trzech na przedzie, dwóch z tyłu. Nie rozpoznała ich, ale nie wyglądali na miejscowych. Ubrani byli w ciężkie płaszcze i rozsznurowane buty robocze. Poruszali się jak stado psów, wечно rozglądając się na boki. Nieśli worki. Przywódca wskazał starego pikapa po drugiej stronie ulicy. Podeszli do niego, obejrżeli, szarpnęli za kłamki. Jeden z nich spojrzął w okno, coś powiedział. Drugi podniósł ułamaną gałąź i uderzył w szybę. Przegniłe drewno pękło. Pozostali wybuchnęli śmiechem i ruszyli dalej. Ale młody wandal był uparty. Wspiął się na pakę i próbował kopniakiem wywalić tylną szybę. Nagle na Sarah spojrzała podobizna Hello Kitty.

Serce skoczyło jej do gardła. *To zwykły przypadek — pomyślała. To tylko młody maczo, nosi dziecięcy plecak, żeby wyglądać ironicznie. Nic więcej.*

Nie. To było coś więcej.

Cieszyła się, że nie zapaliła światła na ganku i że w kuchni było ciemno. Wślizgnęła się do środka, zamknęła drzwi prawie całkowicie, podniosła słuchawkę i wykręciła 911, krzywiąc się, gdy guziki piszczały. Czy ci chuligani to słyszą? Telefon zadzwonił trzy razy, nim zgłosiła się operatorka.

— Policja czy straż?

— Policja. Jacyś ludzie próbują włamać się do samochodu zaparkowanego przed moim

domem. Jeden z nich nosi różowy plecak, taki sam, jak miała moja przyjaciółka, tamtej nocy gdy...

— Wolniej, proszę. Nazwisko i adres.

Podala oba.

— Może pani opisać tych mężczyzn?

— Jest ciemno, a ja nie mam światła na ganku. Nie chcę, żeby się dowiedzieli, że dzwonię.

— Ilu ludzi? Czy może ich pani opisać?

— Wysłaliście patrol? — spytała ze złością, zirytowana tymi bezsensownymi pytaniami.

— Tak, wysłałam kogoś. A teraz proszę mi opisać tych ludzi.

Podeszła do drzwi i znów spojrzała. Mężczyzna z plecakiem zniknął, widziała tylko mgłę.

— Odeszli.

— Czy jest pani właścicielką samochodu, do którego próbowali się włamać?

— Nie. Ale najważniejsze jest to, że jeden z nich nosił różowy plecak, taki jak miała moja przyjaciółka, zanim zniknęła.

— Rozumiem. — Sarah była przekonana, że operatorka nic nie rozumie. — Proszę pani, wygląda na to, że nie jest to priorytetowa sprawa, więc wyślę jakiegoś funkcjonariusza, ale możliwe, że nie przyjedzie od razu.

— Dobrze. — Odwiesiła słuchawkę. Co za idiotyżm. Podeszła do drzwi i znów spojrzała. Na górze, w szufladzie szafki, pod roboczymi koszulami Russa leżała broń, mały czarny rewolwer, kaliber .22, którego nie używała już od lat. Z dolnej szuflady wyjęła długą, ciężką latarkę i znów wyszła do ogrodu. Sarge podążył za nią. Podeszła cicho do płotu i oświetliła stary truck. Wiązka światła ledwo do niego sięgała. Obejrzała się w prawo i w lewo, ale na ulicy nie było żywego ducha. Wróciła do domu wraz z Sarge'em. Zostawiła zapalone światło w kuchni, po czym wróciła do łóżka.

Nie mogła spać.

Policjant zjawił się dopiero o dziesiątej trzydzieści. Sarah rozumiała. Tacoma była brutalnym miastem, a policja w pierwszej kolejności jechała w miejsca, gdzie faktycznie groziło komuś niebezpieczeństwo. Przyszedł, spisał jej zeznanie, przydzielił sprawie numerek. Pikap zniknął. Nie, Sarah nie wiedziała, do kogo należał. Pięciu młodych ludzi, nastolatków w różnym wieku, ubranych w znoszone ciuchy, jeden z nich miał różowy plecak. Nie chciała określać ich wzrostu ani rasy. Było ciemno.

— Ale widziała pani ten plecak wyraźnie?

Widziała. I była przekonana, że jest identyczny jak plecak Lindy.

Funkcjonariusz to też zapisał. Oparł się na kuchennym stole i spojrział w okno. Zmarszczył brwi.

— Mówiła pani, że uderzył gałęzią w szybę i że gałąź pęka?

— Tak Ale szyba nie ustąpiła.

— Tutaj nie ma żadnych gałęzi. Nie ma też żadnych drzew na ulicy. — Spojrzał na nią współczująco. — Może to był tylko sen? Rozumiem, że martwi się pani o koleżankę.

Miała ochotę go opluć.

— Tu leży latarka, której wtedy użyłam. Nadal jest na stole.

Brwi mężczyzny zderzyły się ze sobą.

— Ale mówiła pani, że było ciemno i niczego nie widziała.

— Wysłałam z latarką po tym, jak zadzwoniłam na policję. Żeby zobaczyć, do kąd poszli ci ludzie.

— Aha. Dziękuję za zgłoszenie.

Gdy już poszedł, sama wyszła na zewnątrz. Żadnych odłamków drewna. Nawet garści liści w rynsztoku. Jej sąsiad miał obsesję na tle trawników. Wszystko było zadbane jak sztuczna trawa na boisku, rynsztoki czyste, jakby odkurzone. Sarah skrzywiła się w duchu. W nocy naprawdę widziała suche liście miotane wiatrem i wielką, gnijącą gałąź na ulicy. Ale rosnące w pobliżu młode jabłonki miały pnie niewiele grubsze niż rączka grabi. Za małe, żeby w ogóle utrzymać taką gałąź.

Wróciła do domu. Przez jakiś czas płakała, później zrobiła sobie kubek herbaty i poczuła ulgę, że nie zadzwoniła w tej sprawie do Aleksa. W myślach wykonała listę zadań na dziś: zrobić pranie, przyciąć róże, zebrać ostatnie zielone pomidory i zrobić przeciery. Weszła na górę, by się zdrzemnąć.

Po trzech tygodniach sąsiedzi przestali plotkować o Lindzie. Jej twarz wciąż uśmiechała się z plakatu „zaginiona” wiszącym w Safewayu obok lady aptekarskiej. Sarah spotkała tam Maureen, gdy kupowała pigułki dla Hugh'a i poszły razem do Starbucks'a, gdzie zastanawiały się, co może się dziać z Lindą. Wspominały dawne czasy: mecze futbolowe, wypożyczanie smoków na bal maturalny i tamten dzień, gdy Linda odpaliła samochód kablami, gdy nikt nie mógł znaleźć kluczyków, a Aleksowi trzeba było założyć szwy. Śmiały się, potem trochę płakały, aż w końcu wróciły do rzeczywistości. Maureen podzieliła się wieściami. Podobno Hugh „nieźle sobie sam radził”, a Maureen opisywała to tak, jakby jej mąż nie potrzebował do szczęścia niczego oprócz zdolności samodzielnego siadania na łóżku. Zaprosiła Sarah, by przyszła kiedyś zebrać sobie trochę jabłek z ich sadu.

— Nie mam czasu robić przetworów, a owoców jest więcej, niż możemy sami zjeść. Nie chcę, żeby po prostu spadły i zgniły.

Sarah pomyślała, że to przyjemne, tak napić się kawy i pogadać. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, od jak dawna z nikim się nie spotykała.

Wciąż myślała o tym następnego ranka, przeglądając pocztę. Rachunek za prąd, broszura

reklamowa ubezpieczenia „Długoterminowa opieka”, gazetka AARP i dwie broszury z domów opieki. Znalazła kosh i właśnie wybierała się do Maureen po jabłka, gdy wszedł Alex. Usiadł przy stole i podgrzał w mikrofalówce kawę pozostałą z rana.

— Przyjechałem do Tacomy na seminarium, więc pomyślałem, że zajrzę — oznajmił.
— Poza tym chciałam ci przypomnieć, że w tym miesiącu trzeba zapłacić resztę podatku od nieruchomości. Zapłaciłaś już?

— Nie. Ale mam te rachunki na biurku. — Powiedziała szczerą prawdę. Papiery były na biurku. Gdzieś w tej stercie.

Zobaczyła, że syn kątem oka zerka na broszury z domów opieki.

— To tylko śmieci. Odkład tata zapisał nas do AARP, dostajemy je bez przerwy.

— Tak? Myślałem, że sama to zamówiłaś. Może w końcu je przejrzysz i porozmawiamy?

— O czym? O segregowaniu śmieci? — zażartowała, ale Alex tylko spojrzął na nią ciężko. Nie, mamo, nie zjem tych brokułów. A teraz odbędziemy tę rozmowę, niezależnie od wszystkiego. Sarah wrzuciła do kawy lyżeczkę cukru i przygotowało się na niezbyt przyjemne pół godziny.

— Mamo, spójrzmy prawdzie w oczy. — Złożył ręce na blacie. — Trzeba zapłacić resztę podatku, siedemset dolarów. W listopadzie trzeba zapłacić ubezpieczenie domu. Ropa ciągle drożeje, w zimie dużo zapłacimy za ogrzewanie, a ten dom nie jest specjalnie energooszczędny. — Mówił tak, jakby wierzył, że jego matka jest nie tylko stara, ale i głupia.

— Włożę sweter i będę prznosić piecyk z pokoju do pokoju. Tak jak w zeszłym roku. Ogrzewanie sektorowe. Najefektywniejszy sposób ogrzewania domu. — Napiła się kawy.

Alex rozłożył ręce.

— Świetny pomysł, póki pleśń nie załęgnie się w nieogrzewanej piwnicy. Mamo, ten dom ma trzy pokoje i dwie łazienki, a ty nie wykorzystujesz wszystkich. Jedyne wanny jest na górze, a pralka w piwnicy. To dużo schodów. Skrzynkę elektryczną należałoby wymienić już całe lata temu. Lodówkę trzeba uszczelnić. Dywan w salonie zaczyna się przecierać.

Już dawno to wszystko wiedziała. Znow próbowała żartować.

— I przepaliła się żarówka na ganku. Nie zapomnij o tym.

Zmrużył oczy.

— Gdy opadnie ten buk, trzeba będzie zgrażyć liście i oczyścić odpływy deszczowe. A w przyszłym roku pomalować dom.

Zacisnęła wargi. Prawda, wszystko prawda.

— Zastanowię się nad tym później. Wszystko po kolei.

Alex oparł się na stole i schował twarz w dłoniach.

— Ale wiesz, co to oznacza? Znow do mnie zadzwonisz, gdy nie będziesz w stanie wyspać liści

do pojemnika. Albo gdy zapchają się odpływy. Nie zdołasz zadbać o ten dom sama. Chciałbym ci pomóc, ale zawsze dzwonisz do mnie, gdy akurat szykują prezentację albo grabię własne liście.

Zagapiła się na niego jak rażona gromem.

— Przecież... nie musisz do mnie przyjeżdżać, jeśli jesteś zajęty. Nikt nie umiera od niezgrabionych liści ani od zatłakanych odpływów... — Poczwała wstyd, a potem złość. Jak on śmiało robić z siebie męczennika? Zachowywać się, jakby matka była dla niego ciężarem. Przecież tylko pytała, czyby jej nie pomógł, nie żądała, by natychmiast przyjeżdżał.

— Jesteś moją matką — oznajmił, jakby samo to nakładało na niego jakiś nienaruszalny obowiązek — Co ludzie sobie pomyślą, jeśli pozwolę ci mieszkać w zrujnowanym domu? Poza tym ten budynek to cenny aktyw. Trzeba go utrzymywać w dobrym stanie. A jeśli to niemożliwe, musimy go upłynnić i znaleźć ci coś, z czym sobie poradzisz. Mieszkanie dla seniora. Albo może dom opieki...

— Aleksie, to mój dom, a nie żaden cenny...

Syn uniosł władczo rękę.

— Mamo, daj mi dokończyć. Nie mam dziś dużo czasu. Powiem tylko tyle. Nie mówię tu o hospicjum ani o przytułku. Wiem, że nie lubisz odwiedzać wujka Richarda. Mówię o własnym mieszkaniu, z różnymi udogodnieniami, ale bez wszystkich tych obciążeń związanych z prowadzeniem domu. Na przykład ten ośrodek? — Wskazał na broszurę, wyciągnął ją ze sterty śmieci. — Jest w Olympii. Nad wodą. Mają własną przystań i łódki do dyspozycji mieszkańców. Możesz się zaprzyjaźnić z innymi rezydentami i łowić ryby.

Uśmiechnęła się cierpko i spróbowała obrócić to w żart.

— Podobno jestem za słaba na grabienie liści, a teraz chcesz, żeby wiosłowała?

— Przecież nie ma obowiązku. — Rozdrażniła go, rozwiewając jego drobne marzenie o matce zamkniętej w małym, wesołym terrarium nad wodą. — Mówię tylko, że mogłabyś. Ten ośrodek jest doskonale wyposażony. Ma basen i salę gimnastyczną. Codziennie przejażdżki do sklepu. Możesz znów cieszyć się życiem.

Był taki podekscytowany.

— Łazienka ma zamontowany alarm. Jeśli się przewrócisz, wystarczy, że pociągniesz za kabel, a wtedy połączy cię z pomocą, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jest stołówka, więc jeśli nie masz ochoty gotować, to nie musisz. Jest sala kinowa. Są wieczorki towarzyskie, gry, wspólne grillowanie...

— Takie letnie kolonie dla starych przyków?

Przez chwilę nie mógł znaleźć słów.

— Chciałem tylko, żebyś wiedziała, ile to daje możliwości — powiedział szeptem. — Nie podoba ci się, trudno. Są inne miejsca, to po prostu mieszkania dla starszych osób. Wszystkie na

jednym piętze, uchwyty w łazienkach, korytarze dość szerokie, by zmieścić się balkonik. Po prostu myślałem, że chciałabyś coś miłszego.

— Mam coś miłszego. Mój własny dom. Poza tym nie stać mnie na pobyt w takim miejscu.

— Gdy byś sprzedała ten dom...

— Widziałeś, co się dzieje na rynku? Ha!

— W takim razie wynajęła.

Spiorunowała go wzrokiem.

— Nie patrz tak, to dobry pomysł. Agencja nieruchomości wynajęłaby go za procent z zysku.

Wiele osób tak robi. Posłuchaj, nie mam dziś czasu na kłótnie. Nigdy nie ma czasu na kłótnie. Nie mam czasu przyjeżdżać tu codziennie. Kocham cię, ale musisz mi pomóc, żebym mógł się tobą opiekować i wciąż mieć własne życie. Mam żonę i dzieci, a oni potrzebują mnie tak samo jak ty. Nie mogę pracować i jeszcze prowadzić dwóch domów. Po prostu nie dam rady.

Teraz był naprawdę zły, widziała, że jest na skraju załamania. Wbiła wzrok w podłogę. Sarge siedział pod stołem. Spojrzał na nią smutnymi, brązowymi oczami.

— A Sarge? — spytała cicho. Alex westchnął.

— Starzeje się. Musisz pomyśleć o tym, co dla niego najlepsze.

Po południu wyniosła stółek na ganek i zmieniła żarówkę. Wyciągnęła z piwnicy aluminiową drabinę, rozstawiła, wyciągnęła szlauch, wspięła się na szczyt i wymyła rynny biegnące obok garażu. Zgrabiła mokre liście, ułożyła w stertę, a potem przerzuciła je na grządkę warzywną. Kompost. Łatwiejsze, niż walczyć z pojemnikiem na liście.

Następnego dnia obudziła się o dziesiątej, zamiast jak zwykle o szóstej. Obudziło ją skłamanie Sarge'a. Musiał wyjść. Narzuciła podomkę i zesza, trzymając się poręczy. Wypuściła psa do ogrodu, znalazła w szafce paczkę Advilu i wcisnęła przy ciskna ekspresie.

— Będę to robić, dopóki zdołam — oznajmiła zawzięcie. — Nie dam się wyrzucić z domu.

Gazeta leżała na progu. Sarah wyprostowała plecy, powiodła wzrokiem po okolicy i po raz pierwszy dostrzegła, jak wiele się zmieniło. Gdy wprowadzili się tu z Russem, było to szybko rozwijające się osiedle, gdzie o trawniki dbano przez całe lato, domy odmalowywano regularnie jak w zegarku, a w ogródkach pyszniły się wypielęgnowane rabatki.

Teraz przez chwilę zawiesiła wzrok na zawalonym odpływie przy domu McPhersonów. Płacząca wierzbą, niegdyś duma Alice Carter, miała złamaną gałąź, która zwisała teraz smętnie, pokryta uschniętymi liśćmi. Jej własny trawnik też był zaniedbany, a po nasłonecznionej stronie ze ściany domu odłaziła farba. Kiedy wszystko zdążyło się tak zapuścić? Nie tak pamiętała swoją ulicę. Czy właśnie o tym mówił Alex? Oddech jej przyspieszył. Czy jej roztargnienie rzeczywiście przybrało tak niepokojące rozmiary? Przycisnęła gazetę do piersi i weszła z powrotem.

Sarge drapał w kuchenne drzwi. Wpuściła psa i zapatrzyła się na coś za płotem. Piłak znów tam stał. Czerwony i zardzewiały, z przebitą oponą. Kawałki połamanej gałęzi wciąż wały się na ulicy, a wiatr naniósł na nie suchych liści. Powoli, z bijącym sercem, uniosła wzrok, by spojrzeć na poskręcane jabłonie rosnące w miejscu patykówatych młodych drzewek.

— To niemożliwe! — powiedziała do psa.

Sztynym krokiem zeszła po schodach, a Sarge pobiegł jej śladem. Minęła różę i podeszła do płotu, wpatrując się w skłębioną mgłę. Nic się nie zmieniło. Im dłużej wpatrywała się we własne osiedle, tym mniej znajome się zdawało. Wybite okna, kominy, którym brakowało cegieł, uschnięte trawniki, zarwany dach ganku. Jej uwagę zwrócił jakiś rytmiczny odgłos. Ulicą nadszedł młody mężczyzna. Jego buty z mlaskaniem tratowały mokre liście, na ramieniu miał różowy plecak. Przed sobą niósł aluminiowy kij bejsbolowy, prawą ręką trzymał uchwyt, lewą objął czubek Sarge zawarczał gardłowo. Sarah nie mogła wydobyć głosu.

Mężczyzna nawet na nich nie spojrzął. Gdy dotarł do trucka, stanął w rozkroku, ocenił odległość, a potem uderzył w okno kierowcy. Szło wytrzymało. Uderzył jeszcze raz i znowu, aż w końcu na szybie pojawiła się pajęczyna pęknięć. Wtedy odwrócił kij i wbił w nią rękojęść. Sięgnął do środka, otworzył drzwi i szarpnął za klamkę.

— Gdzie jest Linda? Co jej zrobiliście?!

To na pewno ktoś inny wykrzyknął tak odważne słowa. Obcy zastygł, przerywając przeszukiwanie szoferki. Wyprostował się i rozejrzał, trzymając kij w pogotowiu. Sarah poczuła, że kolana jej zmiękły i chwyciła się płotu, by nie upaść. Napastnik nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Rozwiązane robocze buty były dla niego za duże, podobnie jak drelichowa kurtka. Włosy miał zmierzwione i zaniedbane, a rzadka broda najwyraźniej była dziełem przypadku. Rozejrzał się w obie strony, jakby szukając świadków. Prześlizgnął się spojrzeniem po niej i psie, zupełnie ich nie zauważając. Sarah widziała, jak oddycha, jak mięśnie napinają mu się w gotowości.

Wpatrywała się w obcego, gotowa do konfrontacji. Powinna była chwycić telefon, zadzwonić pod 911 jeszcze z domu. *Idiotka. Teraz znajdź mnie martwą w ogródku i nawet nie będą wiedzieć, co tu zaszło.*

Jednak chłopak nie podeszedł ani na krok. Po chwili opuścił ręce. Stał w miejscu, ale nie patrzył na Sarah. Najwyraźniej uznał, że to niewarte jego zainteresowania. Odwrócił się do szoferki i znów sięgnął do środka.

— Sarge! Chodź tu, piesku. Chodź. — Sarah cicho wycofała się do ogrodu. Jednak pies nie ruszył się z miejsca. Wciąż wpatrywał się w obcego, łapy miał sztywne, ogon zadarty. Słońce najwyraźniej schowało się za cięższą chmurę. Światło poszarzało, a mgła zgęstniała, aż w końcu Sarah prawie nie widziała płotu.

— Sarge! — zawołała, bardziej nagłąco. Jakby w odpowiedzi, pies znów zawarczał.

Żłodej w końcu wynurzył się z samochodu, niosąc płócienną torbę. Przeszukał ją, a ze środka wypadł klucz francuski. Zadźwięczał metalicznie, uderzając o chodnik, a wtedy Sarge zaczął ujadać. Sierść na grzbiecie stanęła mu na sztorc. Chłopak na ulicy obrócił się i spojrzał prosto na psa. Gruby basset znów zaszczekał, a gdy obcy uniósł kij, Sarge rzucił się naprzód.

Płot go nie zatrzymał.

Sarah wpatrywała się z przerażeniem, jak Sarge znika w wirującej mgle, a potem pojawia się na ulicy, wciąż ujadając. Chłopak podniósł kawałek przegniję gałęzi i rzucił w psa. Sarah miała wrażenie, że nie trafił, ale Sarge i tak pisnął, i skręcił gwałtownie.

— Zostaw mojego psa! — wykrzyknęła. — Wezwałam policję! Już tu jadą!

Chłopak nie spuszczał wzroku z psa, biegającego wokół i głośno podkreślającego, że to jego teren. Żłodej podniósł klucz francuski i znów rzucił. Tym razem Sarah usłyszała głuchy odgłos, a potem skamlenie.

— Sarge! Sarge, wracaj! Ty gnojku! Ty mendo, zostaw w spokoju mojego psa! — krzyczała, widząc, że złodej goni Sarge'a z kijem.

Wbiegła do domu, chwyciła słuchawkę, wybrała numer, wróciła do ogródka.

— Sarge! — krzyknęła, jedną ręką odsunęła zasuwkę w bramie i wybiegła na pustą ulicę.

Zupełnie pustą.

Żadnego trucka. Żadnych opadłych gałęzi i zeschniętych liści. Mgła kłębiąca się pod drzewami na końcu ulicy zniknęła, gdy tylko wyszło słońce. Stała na środku porządnego, miejskiego osiedla, z przystrzyżonymi trawnikami i zamiecionymi chodnikami. Żadnej wybitej szyby, żadnego niechlujnego złodejja. Pospiesznie przerwała połączenie. Nie było też jej basseta.

— Sarge! — zawołała łamiącym się głosem. Ale on zniknął, tak jak wszystko, co przed chwilą widziała.

Telefon zadzwonił jej w rękę.

Drżącym głosem zapewniła dyspozytorkę, że wszystko w porządku, po prostu upuściła telefon i przy padkiem wybrał się ostatni numer. Nie, nie trzeba przyjeżdżać, wszystko jest w porządku.

Siedziała przy stole w kuchni, wpatrzona w okno i płakała przez dwie godziny. Płakała za swoim zdrowiem, które najwyraźniej traciła, za zaginionym psem, za życiem wymykającym się spod kontroli. Płakała, bo była teraz całkiem sama w obcym świecie. Wyjęła z kosza broszurki domów opieki, przejrzała i rozplakała się, czytając o skrzydle dla pacjentów z alzheimerem z guzikami alarmowymi.

— Boże, tylko nie to — błagała, a potem pomyślała o pigułkach nasennych, które przepisał jej lekarz, gdy umarł Russ. Nigdy nie zrealizowała tej recepty. Przetrzęsła torebkę. Kartki nie było.

Weszła do góry, otworzyła szufladę i spojrzała na pistolet. Russ pokazał jej kiedyś, jak

odbezpieczyć broń i jak załadować magazynek. Pojechali postrzelać do puszek w kamieniołomie. Wiele lat temu. Ale pistolet wciąż tam był i gdy przesunęła bezpiecznik, magazynek wpadł jej do ręki. Obok pistoletu leżało bursztynowe plastikowe pudełko pełne naboji, zaskakująco ciężkie. Pięćdziesiąt sztuk. Spojrzała na broń i pomyślała o Russie, o tym, jak bardzo go brakowało.

Włożyła broń z powrotem, wzięła koszyki poszła do Maureen po jabłka. Nie było jej w domu, pewnie znów pojechała z Hugh do Seattle do szpitala. Wypełniła koszyk owocami i zaniósła go do domu, zastanawiając się, co z nich zrobi. Słoiki przecieru, pikantne plasterki w zalewie, przyprawione cynamonem. Puste słoje czekały, ramię przy ramieniu, obok garnka do pasteryzowania i starego szybkaru. Sarah stała w kuchni, wpatrując się w naczynia i w jabłka na stole. Dla kogo miałyby robić te przetwory? Czy ktoś w ogóle odważyłby się ich spróbować? Może należałoby po prostu to wszystko oddać?

Zamknęła szafkę. Koniec z tym. Robienie przetworów było już nie dla niej, tak jak tańce, haftowanie albo seks. Nie ma co płakać.

Umyła i wytarła sześć jabłek, włożyła je do ładnego koszyczka, ozdobiła go późną dalią i poszła odwiedzić Richarda. Zostawiła koszyk na recepcji wraz z liścikiem dla pielęgniarek i ruszyła dalej, niosąc kubek kawy. Poczęstowała Richarda, opowiadając mu o mgłę, o zniknięciu Lindy i chłopaku z plecakiem. Patrzył na nią, słuchając historii, której nie mogła opowiedzieć nikomu innemu. W jego twarzy pojawił się jakby cień życia, gdy udzielił jej najlepszej rady, na jaką mógł wpaść straszny brat:

— Zastrzel tego sukinyśna. — Potrząsnął głową, zakaszał i dodał: — Biedny psiak. Ale przynajmniej zginął szybko, prawda? To lepsze niż powolna śmierć. — Potoczył wokół kośćistą, pomarszczoną ręką. — Lepsze niż to.

Tego dnia została z nim godzinę dłużej, potem złapała autobus do domu i położyła się do łóżka. Obudziła się drugiej w nocy, zamiotła podłogę i posprzątała łazienkę, a na końcu upiekła sobie jedno, samotne jabłko. Czując znajomy zapach cynamonu, jabłka i cukru, znów się rozpląkała. Jadła z policzkami mokrymi od łez.

Tego dnia zupełnie straciła poczucie czasu. Nie było już Sarge'a, który od szóstej rano dopraszał się karmienia, więc jakież to miało znaczenie, o której wstała, czy coś ugotowała i czy zgrabiła liście. Gazeta zawsze czekała na progu, Safeway był zawsze otwarty, a Sarah nie wiedziała, którego dnia zobaczy za progiem pogodną popołudnie w spokojnej dzielnicy, a kiedy ujrzy zamglony świat, pełen zrujnowanych domów i zardzewiałych samochodów. Dlaczego nie miałyby robić zakupów o pierwszej w nocy albo czytać porannej gazety o ósmej wieczorem, jedząc obiad odgrzany w mikrofalce? Czas nie miał już żadnego znaczenia.

W końcu uznała, że na tym właśnie polega tajemnica. Zastanawiała się, czy wszyscy starzy ludzie w pewnym momencie dochodzą do wniosku, że czas ich nie dotyczy. Zaczęła celowo

wychodzić do ogrodu w mgliste dni, by patrzeć na ten obcy, przerażający świat. Trzy dni po zniknięciu Sarge'a zobaczyła małą, obdartą dziewczynkę potrząsającą gałęziami jabłoni, jakby mając nadzieję, że opadną z niej ostatnie robaczywe jabłka. Nic nie spadło, ale dziecko wciąż próbowało. Sarah wróciła do domu i przyniosła koszyk jabłek od Maureen. Stała w ogródku i rzucała je po jednym. Rzucała łagodnym, szerokim łukiem, tak jak kiedyś, gdy grała z dziećmi w softball. Pierwsze trzy po prostu zniknęły we mgle. Potem, gdy mgła zgęstniała, jedno upadło na zbrązowiały trawnik obok małej. Dziewczynka chwyciła je uszczęśliwiona, wierząc, że sama je strąciła. Sarah rzuciła jeszcze pół tuzina owoców, wszystkie piękne, czerwone, pryskane, podlewane i dojrzałe. Przy każdym owocu dziecko wpadało w coraz większy zachwyty. Wreszcie usiadła pod drzewem, przyciągnęła kolana do piersi i zaczęła chrupać jedno po drugim. Sarah sama poczęstowała się jabłkiem. Gdy skończyła, podjęła znów zabawę, rzucając owoc za każdym razem, gdy dziewczynka potrząsnęła drzewem. W końcu dziecko nie było w stanie już zjeść więcej i zapakowało zdobycz do obszarpanego plecaka. Gdy skończyły się jabłka, Sarah weszła do kuchni, zrobiła sobie herbaty i myślała o tym, co zaszło, aż w końcu mgła się rozwiła, a ona zobaczyła pierwsze rzucone jabłka, leżące na ulicy. Roześmiała się, wyszczotkowała włosy, włożyła buty i poszła na zakupy.

Przez trzy dni, mimo kłębiącej się mgły, nie było widać dziecka, ale Sarah nie zniechęcała się tak łatwo. Gdy mgła znów nadciągnęła, była na nią gotowa. Zapakowała różowe skarpetki do plastikowych siatek i zabezpieczyła je taśmą — nie wiadomo, jak długo będą leżeć, zanim dziewczynka je znajdzie. Oprócz tego kupiła dwie bluzy, różowe z cekinami, ciepłe wełniane rajstopy i mocny, niebieski plecak, do którego napałowała batoników z muesli. Jeden po drugim, przerzuciła przedmioty przez płot. Miała nadzieję, że zobaczy, jak dziewczynka nadchodzi i znajduje te podarunki. Nie doczekała się, ale następnym razem ulica była pusta.

— Była tu — stwierdziła Sarah. Pogratulowała sobie w duchu i zaczęła planować kolejne niespodzianki.

Proste rzeczy. Torebka suszonych moreli. Owsiane ciasteczka w mocnym, plastikowym pudełku. Ponad płotem i we mgle. Tym razem zobaczyła, jak dziewczynka je znajduje, a wyraz twarzy dziecka był wprost bezcenny. Noce robiły się coraz zimniejsze, zanosilo się na opady śniegu. Czy w tym obcym świecie też było zimno? Gdzie spało to dziecko? Czy miała kryjówkę gdzieś w krzakach albo w którymś z tych opuszczonych domów? Sarah znalazła druty do robótek i wyciągnęła z pudła zapas włóczki. Zapomniała już, że istnieją takie kolory, wrzosowy fiolet, żółdziowy brąz i sosnowa zieleń. Przesuwając oczka wełny między zeszytniałymi palcami, przypomniała sobie czasy, gdy sama wędrowała po okolicznych wzgórzach na jesieni. Zapakowała robótkę do torby, gdy szła odwiedzić Richarda. Nie poznał jej, ale pamiętał, że ich matka nigdy nie siadała do oglądania telewizji bez robótki w ręku. Oboje się zaśmiali, a potem

rozplakali. Richard kaszłał coraz bardziej. Sarah dała mu parę łyków ławy, żeby złagodzić podrażnienie gardła. Gdy nieśmiało zapytał ją, czy mógłby sobie zatrzymać tę zieloną, włóczkową czapkę, postanowiła mu ją dać.

Zapakowała do toreb szare wełniane rękawice, pasującą czapkę i różowe kalosze. Wiedzioną impulsem dorzuciła jeszcze słownik obrazkowy. Gdy nadeszła mgła, kłębiąca się w zimowym wietrze, przerzuciła wszystko ponad ogrodzeniem. Na początku listopada rzuciła tam torbę pomarańczowo-czarnych halloweenowych słodyczy, nadziewanych cukierków, marcepanowych dyń i żelków. Przygotowała je wcześniej dla przebierańców chodzących po domach, ale w tym roku jakoś niewielu postanowiło ją odwiedzić.

Podczas następnej wizyty odkryła, że Richard siedzi w łóżku ubrany w jej zieloną czapkę. Opowiedziała mu o dziewczynce, dla której zrobiła rękawice. Zaśmiał się, zupełnie jak dawniej, a potem rozkaszłał się, aż poczerwieniała mu twarz. Pielęgniarka spojrzała podejrzliwie na kubek z kawą. Sarah uśmiechnęła się niewinnie i sama dopiła resztę.

— Jest pani bardzo miła — powiedział Richard, gdy wychodziła. — Przypomina pani moją siostrę.

* * *

Kilka dni później w środku nocy obudziła ją burza. Sarah zeszła po schodach do kuchni. Wiatr wył i stukał gałęziami o dach. Pomyślała, że spadnie jeszcze więcej liści i jutro znów będzie musiała je zgrabić. Zdawało się jej, że poprzez wiatr słyszy głos dziecka, może nawet znajomej dziewczynki. Otworzyła kuchenne drzwi i wyszła na ganek. Gałęzie buka kołysały się na wietrze i spadały liście, ale w dole, nad powierzchnią ulicy, powoli kłębiła się mgła. Sarah przeszła przez trawnik i poszukała ręką płotu. Nasłuchiwała i wpatrywała się przed siebie, próbując przeniknąć mgłę i mrok.

Niewiele brakowało, a zostałyby tam za długo. Płot rozplynął się w powietrzu. Mgła wpełzła do jej ogrodu, odgradzając ją od schodów. Za sobą usłyszała ciężkie kroki. Dorosli, nie dziecko. Brnęła poprzez mgłę, jakby brodziła w głębokiej wodzie. Oddychała z wysiłkiem, jakby szlochała. Potknęła się na schodach. Kroki brzmiały coraz wyraźniej. Sarah dotarła do drzwi, sięgnęła do środka, wyłączyła światło, a potem zamarła na progu, wpatrzona we mgłę.

Złapali dziewczynkę. Jeden z nich trzymał ją za rękę. Drugą ręką miała wskazywała na coś. Trzymający ją chłopak potrząsnął głową. Dziecko znów coś powiedziało, uparcie wskazując jabłonkę po drugiej stronie ulicy. Sarah patrzyła, jak chłopcy metodycznie przeszukują trawę wokół drzewa. Jeden z nich otworzył drzwi i wszedł do domu. Chwilę później wynurzył się, potrząsając głową. Sarah zastanawiała się, co widzą ci ludzie, gdy patrzą na jej dom. Co znajdowało się tutaj w ich świetle? Opuszczona rudera z wybitymi szybami, jakta po przeciwnej

stronie? Spalona skorupa, jak dom Masonów w połowie ulicy?

Co się stanie, gdy mgła ogarnie jej dom?

Mężczyzna niosący plecak Lindy i kij bejsbolowy uparcie wpatrywał się w jej ganek. Wstęga mgły podążyła śladem Sarah, która wycofała się do kuchni, nie odważając się zamknąć drzwi, żeby nie skrzyknęły. Wiedziała, że dźwięki przenoszą się pomiędzy światłami. Odsunęła krzesło, krzywiąc się, gdy zazgrzytało po podłodze, i przycupnęła przy parapecie, by wyjrzeć przez okno. Sięgnęła do wyłącznika i zgasila światło. Teraz widziała wyraźniej.

Chłopak z plecakiem, wciąż wpatrując się w jej okno, przeszedł przez ulicę, uderzając kijem w otwartą dłoń. Mgła w ogrodzie zgęstniała. Patrzyła, jak obcy wchodzi do jej ogrodu, przechodząc przez żelazny płot, którego w jego świecie nie było. Stał w kępie róż, tuż pod kuchennym oknem i patrzył w górę, mijając ją wzrokiem. A potem odrzucił w tył głowę i krzyknął:

— Sarah!

Jego słowa zabrzmiały cicho, lecz wyraźnie. Odszedł o krok, jakby szukając jej wzrokiem. Kobieta zamarała. *Nie widzi mnie* — powtarzała w myślach. *Zna moje imię, ale mnie nie widzi.* Chłopak spojrział na górne okna domu i potrząsnął głową, jakby sfrustrowany.

— Sarah! — zawołał znowu. — Wiem, że tam jesteś. Słyszysz mnie. Wychodź!

Wiedzieli, jak się nazywa. Pewnie dowiedzieli się tego od Lindy, zanim ją zabili. Co jeszcze wiedzieli? Dziewczynka podjęła okrzyk, jej głos odbił się piskliwym echem. Stała obok chłopaka, który wcześniej trzymał ją za rękę. Nie była jego ofiarą. To był jej opiekun.

Sarah ześlizgnęła się z krzesła i skuliła na podłodze. Serce waliło jej tak, że ledwie mogła oddychać. Łzy popłynęły jej po twarzy, gdy skuliła się pod stołem, przekonana, że lada chwila szyba pęknie pod ciosem kija albo napastnicy wejdą przez otwarte drzwi. Ależ była głupia. To jasne, że dziewczynka należała do tej bandy. Mieli swój teren łowiecki, jak każda grupa naczelnych. Podarunki, które zostawiła z zyczliwości dla głodnego dziecka, zwały tu silniejsze drapieżniki. Chłopak z kijem nie był głupi. Widział, jak Sarge wypada na niego znikąd — pewnie upolował go później na mięso. Wiedział, że w tym domu jest coś dziwnego. Ile dowiedzieli się od Lindy? Może próbowała przed nimi uciec i dotarła aż tutaj, chcąc wrócić do swojego świata?

Zbyt wiele pytań. Wciąż drżała z przerażenia. Zaciśnęła zęby, żeby nie szczękały, i wstrzymała oddech, by napastnicy nie usłyszeli dyszenia. Zamknęła powieki i postarała się leżeć zupełnie nieruchomo. Usłyszała, jak drzwi skrzypią w zawiasach. Czy to wiatr przybierał na sile, czy człowiek z bejsbolem wszedł do środka? Skuliła się ciaśniej, zarzuciła ręce na głowę. *Nie ruszaj się* — powiedziała sobie. *Leż, póki niebezpieczeństwo nie minie.*

— Mamo, co się stało? Nic ci nie jest? Upadłaś? Czemu nie zadzwoniłaś?

Alex, błady jak ściana, kłęzczał obok na podłodze.

— Możesz się poruszyć? Możesz mówić? Czy to wylew?

Zamrugła, próbując zrozumieć, co się dzieje. Alex był w płaszczu, na ramionach widać było płatki śniegu, na uszy miał naciągniętą czapkę. Od kuchennych drzwi ciągnęło zimno.

— Chyba po prostu tu zasnęłam — powiedziała i zobaczyła, że syn wytrzeszcza oczy, próbując to jakoś zinterpretować. — Zasnęłam, czytając przy stole i zsunęłam się na podłogę.

— A co czytałaś? — spytał zmęczonym głosem.

Próbowała ukryć, jak ciężko jej poruszać kończynami, wyczołgując się spod stołu. Złapała za siedzenie krzesła, by się na czymś oprzeć. Na blacie nie było niczego.

— To dziwne! — wykrzyknęła i zmusiła się do uśmiechu. — Co cię tu sprowadza?

— Twoi sąsiedzi — odparł ciężko. — Maureen do mnie zadzwoniła. Jechała właśnie z Hugh na ostry dyżur. Nie mogła się zatrzymać, ale zobaczyła, że drzwi były otwarte, ale światło się nie paliło. Nie widziała na śniegu żadnych śladów i trochę się zaniepokoiła. Przyjechałam, żeby zobaczyć, o co chodzi.

— Jak się czuje Hugh?

— Nie wiem, nie pytałam.

Sarah spojrzała na podłogę. Trójkąt wody znaczył miejsce, gdzie śnieg napadał do kuchni. Spała skulona na podłodze, przy otwartych drzwiach podczas śnieży cy. Bez słowa pokuściła do ekspresu. Już chciała go włączyć, gdy zobaczyła przypaloną skorupę kawy na dnie dzbanka. Metodycznie wyszorowała go pod kranem, odmierzyła wodę i wsypała do czystego filtra kawę. Wcisnęła przy cisk Nic się nie stało.

— Pewnie go przepaliłaś — stwierdził Alex. Nie patrząc na Sarah, zdjął dzbanek, wyrzucił wkład i wylał wodę do zlewu. — Musiał zbyt długo stać włączony, skoro wyparowało tyle kawy. — Wyjął spod zlewu kosz na śmieci. Był przepełniony. Alex bezskutecznie próbował wepchnąć do środka ekspres, w końcu tylko postawił go na szczy cie.

W milczeniu nalał wody do dwóch kubków i wstawił do mikrofalówki. Sarah wyjęła miotłę i zamiotła śnieg przed drzwiami, a potem wytarła wodę z podłogi. Plecy bolały ją przy schylaniu, cała była zeszywniała, ale nie odważyła się nawet jęknąć. Alex zrobił kawę rozpuszczalną dla nich obojga i usiadł ciężko przy stole. Wskazał na krzesło naprzeciwko. Sarah usiadła niechętnie.

— Wiesz, kim jestem? — spytał.

Zagapiła się na niego z niedowierzaniem.

— Jesteś moim synem. Nazywasz się Alex, masz czterdzieści dwa lata, w zeszłym miesiącu miałeś urodziny. Masz żonę i dwojkę dzieci. Nie straciłam pamięci.

Alex otworzył usta, potem zamknął.

— Który mamy dziś rok?

— Dwa tysiące jedenasty. Barack Obama jest prezydentem. Nie lubię ani jego, ani Tea Party. Co teraz? Dasz mi garść drobiazków i zapytasz, ile brakuje do dolara? Bo wiesz, też czytałam niedzielną gazetę i widziałam ten głupi quiz „Czy twój rodzic choruje na alzheimera?”.

— To nie był quiz, tylko seria szybkich testów na sprawność intelektualną. Mamo, może i umiesz policzyć resztę i wiesz, kim jestem, ale nie umiesz mi wyjaśnić, dlaczego spałaś na podłodze przy otwartych drzwiach. Albo dlaczego przepaliłaś ekspres. — Rozejrzał się. — Gdzie jest Sarge?

— Uciekł. Nie widziałam go od dawna.

Zapadło milczenie. Alex spojrzął w podłogę, jakby z poczuciem winy.

— Trzeba było zadzwonić — mruknął. — Zrobiłbym to dla ciebie.

— Nie kazałam go usnąć! Wybiegł z ogródka za jakimś obcym, który na niego krzyknął. — Odwróciła wzrok — Miał tylko pięć lat. Jak na psa to wcale nie tak dużo.

— Bobbie zadzwonił do mnie kilka dni temu. Mówił, że wracał późno z pracy i widział, jak wnosisz do domu zakupy o północy.

— No i co?

— Dlaczego wychodzisz po zakupy w środku nocy?

— Bo skończyło mi się kakao. Chciałam zrobić sobie gorącą czekoladę i obejrzeć serial, więc wyskoczyłam do sklepu, a przy okazji kupiłam jeszcze parę drobiazków. — Kłamstwo na kłamstwie. Nie mogła przecież powiedzieć, że czas już się dla niej nie liczył. Że zegar nie miał nad nią władzy. Usłyszała, jak piecyk wyłącza się z cichym cyknięciem. Zdała sobie sprawę, że działał, odkąd się obudziła. Pewnie pracował przez całą noc.

Alex najwyraźniej nie wierzył.

— Mamo, nie możesz już mieszkać sama. Zachowujesz się dziwnie. A dziwne rzeczy często by wają niebezpieczne.

Zapatrzyła się w kubek. W jego głosie zabrzmiała jakaś ostateczność. Coś znacznie groźniejszego niż obcy mężczyzna z kijem bejsbolowym.

— Nie chcę zaciągać cię do sądu po ubezwłasnowolnienie. Wolałbym oszczędzić tego nam obojgu. — Przerwał, by przełknąć ślinę i Sarah widziała, że jest bliski łez. Odwróciła się i wyjrzała przez okno. Zwyczajny zimowy dzień, szare niebo, mokre ulice. Alex pociągnął nosem i odkaslnął. — Zadzwonię do Sandy. Zobaczę, czy może wziąć kilka dni wolnego i pomieszkać z tobą. Musimy się zorientować, jak to przeprowadzić. Szkoda, że nie zgodziła się na to wcześniej. — Potarł policzki, usłyszała szmer skóry pocierającej o zarost. Musiał wyjechać z domu natychmiast, ten telefon od Maureen naprawdę go wystraszył. — Mamo, trzeba posprzątać dom i dać ogłoszenie. Możesz zamieszkać u mnie albo u Sandy, póki nie znajdziemy ci jakiegos

miejsca w ośrodku opieki.

Miejsca. Nie „mieszkania”. Miejsca. Jakby odstawiał coś na półkę.

— Nie — powiedziała cicho.

— Tak — westchnął, jakby z tym oddechem uciekało z niego życie. — Nie mogę znów ustąpić, mamo. Już zbyt wiele razy ignorowałem oczywiste znaki. — Wstał. — Gdy tu wszedłem, myślałem, że nie żyjesz. I pomyślałem, że będę musiał wyjaśnić Sandy, dlaczego pozwoliłem ci umrzeć na podłodze, samotnie. Że nie miałem siły ci się przeciwstawić. — Znow westchnął. — Muszę ci znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, żebym w końcu mógł przestać się o ciebie martwić.

— Przepraszam, że tak cię wystraszyłam. — Powiedziała to szczerze, ale darowała sobie całą resztę. Nie powiedziała, że woli umrzeć na własnych nogach, że nie pozwoli trzymać się w pokoju gościnnym jak chomik w szklany akwarium ani wysłać się do jakiejś kolonii starsuszków.

Potem już tylko słuchała. Alex mówił, że zadzwoni do Sandy i że wróci jutro, a najpóźniej w czwartek. Może być? Tak. Czy mogłaby do tego czasu zostać w domu? Tak. Obiecał, że będzie dzwonił co kilka godzin i dziś wieczorem. Czy mogłaby trzymać telefon pod ręką, bo jeśli nie odbierze, to on znów przyjedzie? Tak. Przytakiwała nie dlatego, że rzeczywiście zgadzała się na jego propozycje, po prostu chciała, by poczuł się pewniej i w końcu ją zostawił.

Ale potem spytała.

— A co z Richardem? Jutro jest czwartek. Zawsze chodzę go odwiedzić we czwartki.

Przez chwilę milczał.

— On nie ma pojęcia, w jakie dni go odwiedzasz. Nie wie nawet, że to ty. Mogłabyś przestać przychodzić, a on nawet by nie tęsknił.

— Ja bym tęskniła — odparła z mocą. — Zawsze chodzę do niego w czwartek rano. Jutro też pójdę.

Alex wstał.

— Mamo, czwartek był wczoraj.

Gdy w końcu odjechał, zrobiła sobie gorącej herbaty, wzięła pastylkę ibuprofenu i usiadła. Przypomniła sobie ludzi stojących na ulicy, złodzieja z kijem bejsbolowym stojącego pod jej oknem i po plecach spłynęła jej struga dreszczy. Groziło jej niebezpieczeństwo. A do tego nie miała się do kogo zwrócić o pomoc, nie narażając się na coś jeszcze gorszego. Człowiek z plecakiem mógł ją zatłuc kijem, ale jej rodzina rozważała coś znacznie gorszego. Śmierć od kija to sprawa jednorazowa. Jej dzieci zamierzały zamknąć ją w „bezpiecznym miejscu”, gdzie budziłaby się później przez wiele dni. Dla kobiety, która uwolniła się z oków czasu, oznaczało to całą wieczność wypełnioną posiłkami w kafeerii i siedzeniem w spartańsko urządzonym pokoiku. Samotnie. Ponieważ Alex już niedługo dojdzie do wniosku, że nie ma znaczenia, jak często ją

odwiedza. Teraz już to wiedziała.

Przez kilka kolejnych dni natychmiast odbierała jego telefony. Udawała, że jest w dobrym humorze i radośnie opisywała filmy, których streszczenia zaczerpnęła z gazety. Dwa razy zapukała do Maureen i nikogo nie zastała. Zabrała z ganku piętrzące się gazety. Podejrzewała, że Hugh umiera.

Nastawiła budzik, by wiedzieć, kiedy iść spać, i leżała z głową na poduszce, przykryta kocem, aż w końcu drugi budzik powiadomił ją, że czas wstać. Nie wyglądała przez kuchenne okno przed dziesiątą ani po piątej. Gdy dostrzegła jakiś ruch i zobaczyła przebiegającą ulicą dziewczynkę w czapce koloru żółdździ, wstała od stołu, poszła do sypialni na górę, położyła się na łóżku i obejrzała talkshow Jerry'ego Springera.

Pielęgniarka z domu opieki zadzwoniła do niej z wiadomością, że Richard ma zapalenie płuc. Sarah natychmiast wymknęła się z domu i spędziła z nim cały poranek. Brat jej nie poznawał. Przyklejono mu do nosa przewód tlenowy, a syczenie respiratora przy pominało odgłos powietrza uciekającego z balonu. Sarah próbowała go zagłuszyć, uznała, że nie jest w stanie, więc tylko siedziała, trzymając Richarda za rękę. Mężczyzna wpatrywał się w ścianę. Czełał.

Następnego dnia wieczorem przyjechała Sandy. Sarah była zaskoczona, gdy córka weszła frontowymi drzwiami bez pukania, ale ucieszyła się na jej widok. Przyjechała z przyjaciółką, chudą, ponurą kobietą, która paliła w domu i co chwila przeproszała za to, że tak się „zapomniała”. Sandy kupiła chińskie jedzenie na wynos i zjadły przy kuchennym stole, prosto ze styropianowych pudełek. Rozmawiały z przyjaciółką o jej rozstaniu z „tym gnojkiem” i o zbliżającym się rozwodzie Sandy z „tym idiotą”. Sarah nie miała pojęcia, że córka planuje rozwód. Gdy ostrożnie spytała, co się stało, Sandy nagle przełknęła ślinę, wykrztusiła, że to zbyt skomplikowane, by wyjaśnić, i uciekła z kuchni. Przyjaciółka pobiegła za nią. Sarah w otępieniu posprzątała ze stołu i czekała, aż córka zejdzie na dół, ale żadna z kobiet nie wróciła, więc w końcu poszła spać.

Tak wyglądał pierwszy dzień. Drugiego Sandy wraz z przyjaciółką zaczęła wносить rzeczy z pokójów jej i Alexa, gdzie mieszkali, zanim się wyprowadzili. Sarah z mieszaniną ulgi i smutku patrzyła, jak wyrzucają z szaf i szuflad różne „cenne pamiątki”, których ona i Russ chcieli się pozbyć już dawno temu. „Trzeba się pozbyć bagażu”, stwierdziła Sandy, wyrzucając stare ubrania, sprzęt sportowy, lektury szkolne, stare czasopisma i segregatory. Jeden po drugim znosiły pękate czarne worki na dół i ustawiały przy ganku. „Czas uprościć sobie życie!”, wołała ze śmiechem przyjaciółka Sandy za każdym razem, gdy wносиły kolejny worek.

Na lunch zjadły kanapki, a na obiad pizzę. Następnie znów wzięły się do roboty. Przyjaciółka Sandy miała głośny śmiech, przypominający ryk osła. Sarah uciekała od dymu papierosów, wychodząc do ogrodu. Wieczór był deszczowy, ale gdy stanęły pod zrudziałym bukiem, woda

prawie na nią nie padała. Spoglądała na ulicę. Pusta. Pusta i bezmglista. Spokojne osiedle, pełne skoszonych trawników, zadbanej domów i lśniących samochodów. Sandy wyszła z domu, niosąc kolejny worek. Sarah uśmiechnęła się nostalgicznie.

— Lepiej go zawiąż, kochanie. Deszcz zniszczy ubrania.

— I tak trafią na wysypisko.

— Wysypisko? Nie oddasz ich do lumpeksu?

Sandy westchnęła męczeńsko.

— Lumpeksy zrobiły się strasznie wybredne. Nie wezmą wielu z tych rzeczy, a ja nie mam czasu ich segregować. Jeśli zawiozę im wszystkie te worki, to zwrócą mi połowę, a wtedy i tak będę musiała je wyrzucić. Dlatego oszczędzę sobie fatygi i od razu wyrzucę.

Sarah miała zaprotestować, ale Sandy zdążyła wrócić do środka. Potrząsnęła głową. Obiecała sobie, że jutro przejrzy te rzeczy sama i zadzwoni do jakiejś fundacji charytatywnej, żeby po nie przyjechali. Nie mogła pozwolić, żeby całkiem dobre ubrania i książki poszły na wysypisko. Przyjaciółka Sandy z rozmachem postawiła na ziemi kolejny worek. Folia pękła, a wtedy przez szparę wyjrzał znajomy wzór. Sandy nadeszła, niosąc kolejne torby.

— Czekaj! To koszula twojego ojca, jedna z tych dobrych od Pendletona! Była w twoim pokoju? — Sarah aż uśmiechnęła się na myśl, że koszula, którą córka musiała „pożyczyć” wiele lat temu, ciągle była w jej pokoju. Ale zza koszuli wyglądała kolejna kraciasta flanela. — Co to jest? — spytała kobieta, wyciągając rękaw koszuli Russa.

— Och, zaczęłyśmy sprzątać szafę taty. — Sandy została przyłapaną na gorącym uczynku, ale nie okazywała żadnej skruchy. — Ale spokojnie. To wszystko męskie rzeczy, na nic się nie przydadzą. Trzeba się pozbyć wszystkich.

— Jak to pozbyć? O czym ty mówisz?

Sandy znów westchnęła. Postawiła torbę i powoli zaczęła wyjaśniać:

— Trzeba opróżnić dom, żeby agencja mogła dać ogłoszenie. W tych workach naprawdę nie ma niczego, co byłoby ci potrzebne. — Potrząsnęła głową, widząc szok na twarzy matki i dodała łagodniej: — Opuść, mamo. Nie ma sensu czepiać się jego starych ubrań. To nie tata. To tylko jego stare graty.

Gdyby użyła innego słowa, Sarah może poczułaby raczej smutek niż złość. Jakiegokolwiek inne słowo, a może zareagowałaby racjonalnie. Ale „graty”?

— Graty? Jego graty? Nie, Sandy, to nie są żadne „graty”! To jego ubrania, rzeczy człowieka, którego kochałam. Z twoimi rzeczami rób, co chcesz, ale te są moje i nie pozwolę ich wyrzucić. Sama się ich pozbędę, jak już będę gotowa. I oddam je gdzieś, gdzie będzie z nich pożytek. Nie na wysypisko.

Sandy zacisnęła powieki i potrząsnęła głową.

— Nie da się tego dłużej odwlekać, mam. Wiesz, że po to przyjechałam. Mam tylko jeden weekend, żeby to wszystko posprzątać. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale musisz nam na to pozwolić. Nie ma czasu, żeby wybrzydzać.

Sarah nie mogła złapać tchu. Naprawdę się na to zgodziła? Gdy Alex ją naciskał, wprawdzie powiedziała „tak”, ale nie oznaczało to przecież, że zgodzi się na wszystko, że pozwoli całkiem zniszczyć swoje życie. Nie. Nie tak szybko, nie w ten sposób!

— Nie, Sandy — rzekła ostro, jakby córka wciąż była nastolatką. — Teraz wniesiesz wszystkie moje rzeczy z powrotem na górę. Słyszysz? Koniec z tym!

— Twój brat ostrzegał, że tak będzie — mruknęła przyjaciółka. — Widzisz, teraz ją zdemetrowałaś. — Upuściła niedopalek, rozdeptała na schodach i tam zostawiła. — Lepiej zadzwoń do brata. Twoja matka chyba jest trochę zdezorientowana.

Sarah odwróciła się na pięcie.

— Ja nadal tu jestem! — wykrzyknęła. — A ty możesz się wynieść z mojego domu, ty i te twoje śmierdzące pety! Nie jestem „zdezorientowana”, jestem wściekła! Sandy, powinnaś się wstydzić! Jak możesz tak grzebać w czyichś rzeczach?! Myślałam, że lepiej cię wychowałam! Co się z tobą stało?

Sandy poczerwieniała. Twarz wykrzywiła się jej złością, ale po tem zamaskowała to pełnym wyrozumiałości opanowaniem.

— Mam, naprawdę przykro mi, że jesteś w takim stanie. Tracisz pamięć. Alex wszystko mi opowiedział. Mówił, że rozmawialiście, że przejrzeście broszury i że wybraliście kilka miejsc, które ci odpowiadały. Nie pamiętasz?

— Rozmawialiśmy, owszem. Ale nie podjęliśmy jeszcze żadnej decyzji. Żadnej!

Sandy potrząsnęła głową.

— Alex mówił mi co innego. Twierdził, że się zgodziłaś, chociaż najlepiej będzie to robić powoli. Ale po tym ostatnim wypadku uznaliśmy, że trzeba działać szybko. Pamiętasz, jak cię znalazł? Pod stołem w kuchni, przy otwartych drzwiach, podczas śnieży cy?

Przyjaciółka pokiwała współczująco głową. Sarah spojrzała na nią z przerażeniem. Alex powiedział Sandy, a ona powtórzyła to znajomym.

— To nie twoja sprawa — odparła sztywno.

Sandy załamała ręce i przewróciła oczami.

— Doprawdy? Myślisz, że możemy po prostu odejść i powiedzieć „to nie nasz problem”? Nie możemy. Za bardzo cię kochamy. Chcemy dla ciebie jak najlepiej. Alex był już w kilku bardzo miłych ośrodkach z dobrymi udogodnieniami. Wszystko sobie przemyślał. Jeśli wykorzystamy twoją emeryturę i fundusz taty, być może zbierzemy dość pieniędzy, by wynająć ci jakieś ładne miejsce, póki nie sprzedamy domu. A potem...

— Nie — odparła kategorycznie Sarah. Wpatrywała się w Sandy z coraz większym niedowierzaniem. Kim była ta kobieta? Dlaczego uznała, że może tak po prostu przyjść i zacząć urządzać jej życie? — Wyjźdź.

Sarah spojrzała na przyjaciółkę, która ani drgnęła. Wpatrywała się w obie kobiety z lekko otwartymi ustami, jak widz w programie Springera.

— Lepiej już idź, Heidi — Sandy odezwała się przeprasząco. — Muszę uspokoić mamę. Może weź samochód i...

— Ty, Sandy. Do ciebie mówię. WYJDŹ!

Twarz kobiety aż zwiotczała z szoku. Oczy ożyły jako pierwsze. Przez chwilę Sarah miała wrażenie, że jej córka znów ma jedenaście lat, i dałaby wszystko, żeby cofnąć te słowa. Ale potem Heidi odezwała się porozumiewawczo:

— Mówiłam, żebyś zadzwoniła do brata.

Sandy prychnęła zniecierpliwiona.

— Miałś rację. Najpierw trzeba było załatwić ubezwłasnowolnienie i wyprowadzić mamę z domu. Miałś rację.

Sarah poczuła, że przenika ją zimny dreszcz.

— Tylko spróbuj, moja droga. Tylko spróbuj!

Łzy spłynęły Sandy po twarzy. Przyjaciółka objęła ją opiekuńczo.

— Chodź, Sandy. Napijemy się kawy i zadzwonimy po twojego brata.

Gdy drzwi zamknęły się z trzaskiem, Sarah zamknęła je na zasuwkę, ale wciąż nie mogła się uspokoić. Krążyła po domu. Ręce jej drżały, gdy nastawiała czajnik. Wspięła się po schodach i spojrzała na panoszący się chaos.

W pokojach dzieci stały pudła, sklejone taśmą i podpisane imionami. Po drugiej stronie korytarza, w sypialni jej i Russa, piętrzyły się kolejne pudła i worki na śmieci. Serce jej się ścisnęło, gdy zobaczyła, że z jednego z worków wystaje jej stara kurtka turystyczna. Wyciągnęła ją i obejrzała. Była w dobrym stanie, niczego jej nie brakowało. Włożyła ją i zapięła. Była może trochę bardziej obcisła w pasie, ale poza tym pasowała. Wciąż należała do niej. Prześlizgnęła wzrokiem od rozbebeszonych worków po równo ustawione kartony z nalepkami FedEx. Większość z nich podpisano „Sandy” albo „Alex”, ale na jednym napisano „Heidi”. Sarah zdarła taśmę i wysypała zawartość na łóżko. Kurtka narciarska Russa. Dwa ciężkie skórzane paski. Fajka. Zapalniczka zippo. Humidor na cygara. Podniosła małą, drewnianą skrzyneczkę i otworzyła. Otoczył ją aromat tytoniu Old Hickory i łzy napłynęły jej do oczu.

A potem poczuła złość. Wywaliła zawartość wszystkich pudeł i toreb na podłogę. W pudle Aleksa był stary myśliwski nóż Russa. Zimowe skarpety, jeszcze z metkami. Pistolet i amunicja trafiły do kartonu Sandy, wraz z 35-milimetrową kamerą w futerale. Spakowano też dodatkowe

soczewki i staty w. Kalkulator Texas Instrument, pierwszy, jaki w życiu miał. Sama kupiła mu go na święta i wciąż pamiętała, jaki był drogi. Kilka starych krawatów, zegarek Timex. Sarah uklękała na podłodze, trzymając go w dłoni. Podniosła go do ucha, nasłuchując. Cisza. Mechanizm był równie nieruchomy jak serce jej męża. Powoli wstała, rozejrzała się po przetrząśniętym pokoju i wyszła, cicho zamykając drzwi. Potem posprząta. Włoży wszystko na miejsce.

W połowie drogi na dół wiedziała już, że tego nie robi. Nie było sensu. Sandy przynajmniej tutaj miała rację. Jakie znaczenie miały te wszystkie rzeczy, jeśli nie było ich komu używać?

Czajnik gwizdał od jakiegoś czasu, gdy zdjęła go z gazu, w środku było prawie pusto. Zadzwoił telefon. Miała ochotę go zignorować. Na wyświetlaczu pojawił się numer Aleksa. Odebrała i odezwała się pierwsza:

— Zdemolowały mi dom. Zapakowały wszystkie rzeczy twojego ojca i chciały je wywieźć na wyspisko. Jeśli tak chcecie mi pomagać i dbać o moje bezpieczeństwo, to już wolę być...
— Nie wiedziała, jak to zakończyć, więc odłożyła słuchawkę.

Telefon zadzwonił znów. Sarah odliczała dzwonki, aż w końcu włączyła się sekretarka i głos Russa poprosił o zostawienie wiadomości. Czełała na oburzony krzyk Aleksa, ale zamiast niego rozległ się jakiś obcy, przepraszający głos. Powiedział, że wolałby nie zostawiać takiej wiadomości na poczcie, ale próbowali się do niej dodzwonić przez cały dzień. Richard zmarł dzisiaj rano. Zawiadomili dom pogrzebowy, którego adres miał wpisany w dokumentach, a pracownicy już przyjechali po ciało. Jego rzeczy osobiste zostały spakowane i są gotowe do odebrania na recepcji. Na koniec głos złożył „najszczerze kondolencje”.

Sarah stała jak sparaliżowana, niezdolna podejść do telefonu. Cisza wypełniła pokój. Gdy znów rozległ się dzwonek, Sarah zdjęła słuchawkę z widełek, otworzyła kłapkę z tyłu i wyrwała baterie. Skrzynka na ścianie nadal dzwoniła. Zerwała aparat ze ściany i odłączyła od prądu. Cisza wróciła, wypełniając jej uszy innym dzwonieniem. Co robić, co robić? Lada chwila wróci tu ktoś z jej dzieci, a może oboje. Richard nie żył. Jego ciało zniknęło, jego rzeczy spakowano do kartonu. Russ odszedł. Nie miała tu już żadnych sprzymierzeńców, nikogo, kto pamiętałby, kim była. Największe niebezpieczeństwo groziło jej teraz ze strony tych, których kochała najbardziej. Nadchodzili. Nie zostało dużo czasu. Nie było go w ogóle.

Zrobiła sobie kubek herbaty i wyniosła go na zewnątrz. Deszcz ustał, a noc była chłodna. Sarah ucieszyła się, że ma na sobie turystyczną kurtkę. Patrzyła, jak mgła gęstnieje, snuje się między mokrymi gałęziami, a potem opada i miesza z szarością wypęczającą z szemrzących rynsztoków. Spotykały się pośrodku, splatały, a potem światło na końcu ulicy nagle zgasło. Wraz z nim ucichły dźwięki ulicy, Sarah popijała gorzką herbatę i czekała, aż ten drugi świat uformuje się za mgłą.

Wyłaniał się powoli.

Oświetlone okna przygasły, aż zasnęła je czerni. Sylwetki domów po drugiej stronie ulicy

zmieniały się z wolna, dachy zapadały się niżej, młode drzewka potężniały, zmieniając się w masywne pnie. Mgła przybrała postać grubego wału i popłynęła w jej stronę. Sarah czekała, decyzja nagle stała się jasna. Gdy mgła dotknęła płotu, podniosła worek pełen porzuconych rzeczy, zakręciła nim dwa razy i cisnęła przez płot. Wleciał w mgłę i znów pojawił się na zaśmieconej ulicy. Kolejna torba. I kolejna. Przy czwartej miała już zawroty głowy, ale worki były za ciężkie, by rzucać je bez rozmachu. Sarah zmusiła się, by kontynuować, aż w końcu trawnik był pusty. To lepsze niż wysypisko — pomyślała sobie.

Zmęczona i bez tchu wspięła się po schodach i weszła do sypialni. Otworzyła okiennice i wyjrzała na ulicę. Mgła wpełzła do ogrodu. Otoczyła jej dom niczym woda portowe nabrzeże. Dobrze. Otworzyła okno i zaczęła spychać wszystko w dół. Torba po torbie, karton po kartonie. Sandy i Alex nic tu nie znajdują. Niczego nie wyrzucają. W końcu na podłodze został tylko pistolet i pudełko z amunicją.

Podniosła go. Czarny metal, chłodny w dotyku. Odsunęła zamek, a wtedy pusty magazynek wypadł jej na dłoń. Usiadła na łóżku, otworzyła plastikowe pudełko. Jeden po drugim wsunęła pociski do magazynku, aż się wypełnił. Zaklinowała go z powrotem, mechanizm wydał krótki trzask jak zamknięte drzwi.

Nie. To zamknęły się drzwi frontowe.

Wepchnęła pudełko z amunicją do kieszeni kurtki. Trzymała pistolet tak, jak nauczył ją Russ, wymierzony przed siebie, gdy schodziła po schodach. Byli w salonie. Usłyszała, jak Alex pyta o coś niecierpliwie. Sandy zaczęła tłumaczyć się płaczącym tonem, ale przyjaciółka jej przerwała.

— Nie było cię tutaj! Sandy zrobiła, co mogła.

Sarah zbiegła po schodach do kuchni. Serce waliło jej tak, że ledwie słyszała ich głosy, ale wiedziała, że nadchodzą. Otworzyła kuchenne drzwi i wybiegła.

Mgła lizała teraz dolne stopnie. Na ulicy rozbrzmiewały głosy człowieka z plecakiem i jego kolegów, wyraźniejsze niż kiedykolwiek. Znaleźli wyrzucone przez nią rzeczy.

— Buty! — krzyknął ktoś. Jacyś dwaj kłócili się o stary płaszcz Russa. Człowiek z plecakiem podszedł do nich szybkim krokiem, może chcąc go zatrzymać dla siebie. Jeden z tamtej dwójki uciekł, krzyczał coś o „innych”.

— Mamo? — Z głębi domu dobiegł głos Aleksa.

— Mamo? — W kuchni zabrzmiały lekkie kroki Sandy. — Mamo, gdzie jesteś? Wyjdź. Nie gniewamy się. Chcemy z tobą tylko porozmawiać.

Mgła pochłonęła kolejny stopień. Ganek zaczął zniknąć.

Człowiek z plecakiem pewnie ją zabije. Dzieci zamkną ją w więzieniu.

Mały pistolet ciążył jej w ręku.

Wyszła na ganek Betonowy stopień, który zamiatała przed kilkoma dniami, teraz był porośnięty wilgotnym mchem.

— Mamo? Mamo!

— Alex, powinniśmy wezwać policję! — W głosie Sandy zabrzmiała histeria. — Telefon został wyrwany!

— Nie działajmy zbyt... — Coś tam, coś tam. Głos syna zatrzeszczał jak słaby sygnał radiowy. Ich rozmowa zmieniła się w statyczny szum.

Sarah weszła do ogrodu. Ziemia pod jej stopami była nierówna. Brodziła w wysokich chwastach. Czerwony buk wciąż tam rósł, więc ukryła się w jego cieniu. Na ulicy uwijały się sylwetki ludzi, grzebiących w workach i kartonach. Co chwila nadchodzili inni. Sarah oparła się o drzewo i przywarła plecami do pnia. Obserwowała. Niektóre z postaci mogły być kobietami ubranymi w zbyt luźne stroje. Była tam dziewczynka i inne, jeszcze młodsze dziecko. Przeszukiwali pudła, spoglądając w świetle księżyca na okładki książek.

Dwóch mężczyzn chwyciło ten sam worek. Jeden złapał koszulę wystającą przez szparę, ale drugi w tej samej chwili chwycił ją za rękaw. Wściekły okrzyk, szarpnięcie, a potem w ruch poszły pięści. Jeden z walczących upadł z ochryplym krzykiem, a wtedy człowiek z plecakiem zaklął i podbiegł do nich z kijem w rękę.

Sarah skuliła się za drzewem, oceniając odległość do kuchennych drzwi. Okna wciąż się świeciły, ale ich blask był szaroniebieski, jak w starym telewizorze. Sylwetki jej dzieci wyglądały w nim niczym cienie. Jeszcze nie było za późno. Mogła tam wrócić. Heidi zapaliła papierosa, Sarah zobaczyła błysk zapalniczki, rozjarzony ogień, gdy tamta się zaciągnęła. Przyjaciółka machnęła ręką, naradzając się z Aleksem i Sandy.

Sarah odwróciła się od okna. Odetchnęła. Powietrze było chłodne i wilgotne, pachniało ziemią i zgnilizną. Człowiek z plecakiem rozdzielił walczących mężczyzn. W jednej ręce trzymał koszulę, w drugiej kij.

— Tato! — zawołała dziewczynka i pobiegła w jego stronę. Jeden z mężczyzn leżał na ziemi. Drugi stał obok, wciąż trzymając za rękaw koszuli, zgarbiony i wyzywający. Dziewczynka rzuciła mu się na szyję.

— Puście! — ostrzegł człowiek z plecakiem. Cała grupa zamilkła, czekając na sąd przywódcy. Odległe skrzywienie przybrało na sile. Człowiek z plecakiem uniósł ostrzegawczy kij.

Ściskając oburącz pistolet, Sarah wyszła zza drzewa i kciukiem odbezpieczyła broń. Nie wiedziała nawet, że zapamiętała, jak to się robi. Nigdy nie była zbyt dobrym strzelcem. Pierś mężczyzny stanowiła największy cel, a ona nie mogła sobie pozwolić na strzał ostrzegawczy.

— Hej, ty tam! — zawołała, brnąc przez zaporę mgły i wkraczając do drugiego świata. — Rzuć ten kij, albo strzelam! Gdzie jest Linda? Zabiliście ją? Co się z nią stało?

Człowiek z plecakiem odwrócił się w jej stronę z uniesionym kijem. *Nie myśl*. Wycelowała i strzeliła, przerażenie i determinacja mieszały się w jedno. Pocisk odbił się od kija i uderzył w dom Murphy'ch z głośnym łupnięciem. Mężczyzna upuścił kij i przycisnął rękę do piersi.

— Gdzie jest Linda? — wrzeszczała Sarah. Podchodziła coraz bliżej, trzymając broń oburącz, starając się celować w środek piersi. Pozostali rzucili swój łup i wycofali się w mrok.

— Tutaj jestem! Nie spieszyło ci się, co? Ale za to przyniosłaś dużo więcej niż ja! — Linda zachichotała. — Są tu jakieś porządne skarpety?

Skrzywienie dolatywało spod kół sklepowego wózka ozdobionego choinkowymi lampkami. Linda kroczyła naprzód w aureoli blasku. Wózek zawierał dwa kanistry, rolkę gumowego przewodu i zestaw narzędzi zabrany z trucka. Jej śladem toczyły się trzy podobnie oświetlone wózki niczym poważna procesja. Sarah z trudem próbowała zrozumieć, co się dzieje, gdy na chodniku zastukały pazurki i do nóg przypadł jej dużo chudszy Sarge, podskakując i machając ogonem z radości. A zatem przeżyli. Nie była sama. Sarah przykłękała i uściśkała uradowanego psa, pozwalając zlizywać sobie łzy z policzków.

Linda dała jej parę minut na dojsie do siebie, w tym czasie zaczęła wydawać rozkazy swojemu plemieniu.

— Benny, chodź tu i weź to. Pięćdziesiąt obrotów, a to się zapali. Hektor, ty wiesz, jak ściągać benzynę. Sprawdź ten stary truck. Potrzebna nam będzie każda kropla, jeśli generator ma wciąż działać. Carol, ty zajrzyj pod maskę i wyjmij akumulator.

Zbieracze wyjęli z wózka kanistry i gumową rurkę. Człowiek z kijem skłonił się i przyjął od niej latarkę na korbkę. Gdy odchodził, Linda uśmiechnęła się czule.

— To dobre dzieciaki. Trochę nieokrzesane, ale szybko się uczą. Powinnaś zobaczyć ich miny, kiedy po raz pierwszy odpałiłam generator. Wiem, gdzie szukać takich rzeczy. Stał w piwnicy tej kliniki na Trzydziestej Ulicy.

Sarah nie mogła znaleźć słów. Zmierzyła Lindę wzrokiem. Podobnie jak jej pies, straciła na wadze, ale zyskała na żywotności. Gdy pokiśtyła bliżej, Sarah zobaczyła, że na nogach wciąż ma resztki domowych pantofli.

— Tak wiem — zaśmiała się Linda. — Zwariowana staruszka. Pomyślałam o tylu różnych rzeczach: i lampki słoneczne, i aspiryna, i kostki cukru i tak dalej... a potem wyszłam z domu w łapciach. Ale tutaj to nie ma znaczenia. Wszyscy chodzą w łachach.

— W jednym z tych worków są buty trekkingowe Russa — zauważyła Sarah.

— A niech mnie, pomyślałaś o wszystkim. Ciepłe ubrania, książki... nawet pistolet! Nie sądziłam, że będziesz taka zapobiegliwa. Masz jakieś jedzenie?

Sarah pokręciła głową. Linda spojrzała na broń, którą wciąż trzymała, lufą w dół, i pokiwała głową.

— Nie planowałaś tu zostać długo?

— Mogę wrócić i coś przynieść... — zaczęła Sarah, ale gdy spojrzała na swój dom, ostatnie światła przeszłości zgasły. Jej dom był teraz starą ruiną. Wybite okna, zawalony komin. Winorośle porastały zawalony ganek

— Nie można wrócić — potwierdziła Linda. Potrząsnęła głową i dodała: — Ja to bym nawet nie chciała. — Rozejrzała się po swoich współplemieńcach. — Petey, podnieś ten kój. Przypomnij wszystkim, że mają wziąć, ile się da. Podzielimy zdobycz w klinice. Nie tutaj, w ciemnościach. Nie rozdrzyjcie tych pudeł i worków. Spakujcie wszystko do środka i wracamy do domciu.

— Tak, Lindo. — Człowiek z plecakiem znów się skłonił. Pozostali już krzątali się w ciemnościach. Dziewczynka w rękawicach wpatrywała się w obie kobiety z założonymi rękami.

— A ty co? Do roboty, panienko! — Linda pogroziła jej palcem. Potem przywołała Sarah gestem.

— I co ty na to? — spytała. — Myślisz, że Maureen będzie wkrótce gotowa?

Przetłumaczyła Krystyna Chodorowska

Wiem, jak je wybrać

(I KNOW HOW TO PICK 'EM)

Oto dreszczowiec o niebezpiecznej kobiecie z niebezpiecznym planem i najgorszymi intencjami, która powinna była może poświęcić całą sprawę trochę więcej namysłu...

Bestsellerowy według „New York Timesa” pisarz Lawrence Block, jeden z królów współczesnego kryminału, zdobył tytuł Grand Master of Mystery Writers of America, jest zdobywcą czterech Edgar Awards oraz sześciu Shamus Awards, a także został obdarowany Nero Wolfe Award, Philip Marlowe Award, Lifetime Achievement Award stowarzyszenia Private Eye Writers of America, oraz nagrodą Cartier Diamond Dagger za całokształt dokonań przez Crime Writers Association. Napisał ponad pięćdziesiąt powieści i liczne opowiadania. Być może najlepiej znany jest z cyklu książek o prywatnym detektywie Matthew Scudderze, alkoholiku i byłym gliniarzu, bohaterze takich powieści, jak *The Sins of the Father*, *In the Midst of Death*, *A Stab in the Dark*, oraz piętnastu innych. Jest także autorem bestsellerowego czterotomowego cyklu o zamachowcu Kellerze, w tym *Hit Man*, *Hit List*, *Hit Parade* i *Hit and Run*, ośmiotomowego cyklu o cierpiącym na bezsenność globtroterze Ewanie Tannerze, w tym *The Thief Who Couldn't Stop* i *The Cancelled Czech*, oraz jedenastotomowego cyklu o Bernieem Rhodenbarze, włamywaczu i antykwariuszu, w tym tytuły: *Pokorny włamywacz*, *Włamywacz w garderobie* i *The Burglar Who Liked to Quote Kipling*. Napisał również takie powieści, jak *Small Town*, *Death Pulls a Double Cross*, oraz szesnaście innych. Tworzył także pod pseudonimami Chip Harrison, Jill Emerson oraz Paul Kavanagh. Wiele jego opowiadań zostało opublikowanych w zbiorach: *Sometimes They Bite*, *Like a Lamb to the Slaughter*, *Some Days You Get the Bear*, *By the Dawn's Early Light*, *One Night Stands*, *The Collected Mystery Stories*, *Death Wish and Other Stories*, *Enough Rope: Collected Stories* i *One Night Stands and Lost Weekends*. Wydał również trzynaście tomów opowiadań kryminalnych, w tym *Murder on the Run*, *Blood on Their Hands*, *Speaking of Wrath*, oraz, z Ottonem Penzlerem, *The Best American Mystery Stories 2001*. Ponadto napisał siedem pozycji, na które składają się podręczniki pisarskie

oraz książki niebeletrystyczne, w tym *Telling Lies for Fun and Profit*. Wśród jego najnowszych dzieł jest powieść o Matcie Scudderze: *A Drop of the Hard Stuff*, nowa powieść o Bernieem Rhodenbarze: *Like a Thief in the Night*, oraz, napisana pod pseudonimem Jill Emerson, powieść *Getting Off*. Lawrence Block mieszka w Nowym Jorku.

WIEM, JAK JE WYBRAĆ

Jasne, że wiem, jak je wybrać.

Z tym, że nie wiem, jak to się stało konkretnie w tym przypadku. To właściwie nie moja zasługa. Trudno w ogóle powiedzieć, że to ja wybrałem ją. Weszła do tego przydrożnego zajazdu na obrzeżach miasta, mając wszystko zaplanowane. Jedyne, co pozostało do zrobienia, to obsadzić główną rolę.

Znaczy się, męską. Jak chodzi o prawdziwie czołową rolę, to, cóż, ta należała do niej. To się rozumiało bez słów. Taka kobieta jak ona musi być gwiazdą we wszystkich własnych produkcjach.

Mieli oczywiście szafę grającą. Głośną. Byłoby miło, gdybym pamiętał, co leciało, kiedy przekroczyła próg, ale nie zwracałem na to uwagi — ani na muzykę, ani na wchodzących z zewnątrz. Przede mną stało piwo, niespodzianka, niespodzianka, a ja wgapiałem się w nie, jakby lada chwila miało mi objawić jakąś tajemnicę.

Taaa, jasne. Wszystko, co jakiegokolwiek piwo kiedykolwiek do mnie powiedział, to: *Wypij mnie do dna, koniu. Mogę sprawić, że będzie lepiej, a z pewnością, że nie będzie gorzej.*

To była szafa grająca z muzyką country, czego moglibyście się domyślić za sprawą parkingu, na którym półciężarówki przewyższały liczebnie harleye w stosunku cztery czy pięć do jednego. Skoro zatem nie potrafię powiedzieć, jaka piosenka leciała, kiedy ona weszła, czy nawet kiedy podniosłem wzrok znad mojego piwa Pabst Blue Ribbon i spojrzałem na nią, to mogę wam powiedzieć, co nie leciało. *I Only Have Eyes for You.*

Nie to dobiegało z szafy grającej. A powinno.

Była pięknocią. Jej twarz to były wysokie kości policzkowe i ostre kąty, a dziewczyna, która byłaby zwyczajnie ładna, zniknęłaby przy niej. Nie była ładna sama w sobie, a pierwszy rzut oka

mógłby was skłonić do wniosku, że nie jest wcale atrakcyjna, ale spojrzelibyście ponownie, i ta pierwsza myśl byłaby tak bezpo wrotnie stracona, że zapomnielibyście, że w ogóle wam przyszła do głowy. Istnieją modelki o tego rodzaju twarzach. Także aktorki filmowe; i to są te, które cały czas otrzymują dobre role po czterdziestce i pięćdziesiątce, podczas gdy śliczne dziewczyny zaczynają wyglądać jak mamuśki i wścibskie sąsiadki.

I patrzyła tylko na mnie. Duże, ładnie osadzone oczy, intensywnie brązowe, i przysięgam, że poczułem na sobie ich wzrok, zanim w jakikolwiek inny sposób stałem się świadom jej obecności. Zauważyłem, że patrzy na mnie, a ona zorientowała się, że patrzę na nią, i nie uciekła wzrokiem.

Sądzę, że byłem już stracony.

Była blondynką o włosach obciętych tak, by obejmowały i komplementowały jej twarz. Wysoka na metr siedemdziesiąt pięć, metr osiemdziesiąt. Szczupła, ale kształtna. Bluzkę miała jedwabną, o śmiałym geometrycznym wzorze. Była zapięta zbyt wysoko, by ukazywać wiele z głębi szczeliny między piersiami, ale kiedy się ruszała, tkanina przywierała do niej, objawiając to, czego nie odsłaniała.

To, jak pasowały na nią džinsy, no cóż, od razu zrozumielibyście, dlaczego ludzie płacą kupę forsy za designerskie ciuchy.

Było wcześniej i knajpa nie była zatłoczona, ale między mną a nią znajdowali się ludzie. Przepłynęła przez nich, a oni rozstąpili się na boki. Barmanka, starsza laska o impertynenckiej twarzy i z tatuażami węży, podeszła, by przyjąć zamówienie na drinka.

Blondynka musiała to sobie przemyśleć.

— Nie wiem — zwróciła się do mnie. — Co powinnam wziąć?

— Co tylko sobie życzysz.

Oparła dłoń na moim ramieniu. Miałem na sobie koszulę z długimi rękawami, więc nasze ciała się zetknęły, ale równie dobrze mogło tak być.

— Wybierz mi drinka — poleciła.

Spojrzałem na jej dłoń, spoczywającą na moim ramieniu. Paznokcie miała średniej długości, w kolorze tętnicznej krwi.

Wybrać jej drinka? Te, które najszybciej przyszły mi na myśl, były zbyt wyszukane jak na tę okolicę. Obrażą byłoby zamówić jej lufę i piwo. To musiał być kółtajl, ale taki, jakiego wężowa dama nie umiałaby przyrzędzić.

Powiedziałem:

— Dla pani cuervo margarita.

Jej dłoń spoczywała na moim prawym ramieniu, zamiast więc poruszyć nim, szturchnąłem lewą dłonią pozostawioną na białej reszcie, pokazując, że margarita jest na mój koszt.

— To samo dla ciebie? Czy kolejny blue ribbon?

Pokręciłem głową.

— Ale mogłabyś mi podać podwójnego joey C. dla towarzystwa.

— Dziękuję — powiedziała moja blondynka, gdy barmanka zabrała się do pracy. — Margarita to doskonały wybór.

Zjawiły się drinki, jej w szklance z brzegiem pokrytym solą, moje podwójne cuervo w nadwymiarowej szklance do whisky. Puściła moje ramię i podniosła drinka, wznosząc nim milczący toast. Zostawiłem cuervo, gdzie stało, i odpowiedziałem na jej toast piwem.

Nie odrzuciła w tył głowy, jak marynarz, ale nie upiła też łyčka jak wróbelek. Łyknęła sporo, odstawiła szklanczkę na blat, a jej dłoń spoczęła na moim ramieniu.

Miło.

Brak obrączki ślubnej. Od razu to zauważyłem i nie potrzebowałem drugiego spojrzenia, by zobaczyć, że wcześniej nosiła na palcu obrączkę, która zniknęła na tyle niedawno, by odsłonić nie tylko nieopalony pasek skóry, ale i odcisnięte w niej wgłębienie. To wiele mówiło, ten palec. Że była mężatką i że celowo zdjęła obrączkę przed wejściem do baru.

Słuchajcie, nie mówiłem? Wiem, jak je wybierać.

* * *

Ale czy nie powiedziałem także, że to ona wybrała mnie?

I z tego samego powodu wybrała ten podły zajazd. Jeśli ja byłem w typie, jakiego szukała, to to było odpowiednie miejsce, by go znaleźć.

Mój typ: no cóż, duży. Zbudowany jak środkowy obrońca lub może końcowy skrzydłowy. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto dziesięć kilo, szeroki w barach, wąski w biodrach. Więcej mięśni niż potrzeba człowiekowi, chyba że planuje wydobyc auto z koleiny.

Co nie jest moim hobby. Nie jestem znowu taki dobry w wyciąganiu z kolein mojego biednego „ja”, o samochodzie nie wspominając.

Gładko ogolony, gdy się gołę; kiedy weszła i oparła mi dłoń na ramieniu, byłem o dzień oddalony od brzytwy. Ale bez brody czy wąsów. Włosy ciemne i proste, i nic z nich jeszcze nie utraciłem. Ale nie miałem także jeszcze czterdziestki, więc kto może powiedzieć, czy je zachowam?

Mój typ: wielki nie-domator, niedźwiedź, więcej krzepy niż mózgu, bardziej uliczny cwaniak niż książkowy mądrala. Ktoś, kto przypuszczalnie nigdy by nie zauważył, że jeszcze kilka minut temu nosiłaś obrączkę ślubną.

Och, a gdyby tak prawdopodobnie nie obesłoby go to.

* * *

— Masz ochotę zatańczyć, panienko?

Zauważyłem go wcześniej łątem oka. Typ kowboja, mojego wzrostu albo o cal czy dwa wyższy, ale noszący mniej wagi. Wysoki i chudy, zbudowany, by grać skrzydłowego wobec mojego końcowego.

I nie, nigdy w życiu nie grałem w futbol amerykański. Tylko oglądam, jeśli leci w telewizorze w pomieszczeniu, w którym jestem. Nigdy nie obchodził mnie sport, nawet jako dzieciaka. Byłem szybki, miałem warunki fizyczne i powyżej uszu słuchania, że powinienem iść do takiej czy innej drużyny.

To była tylko gra. A po cóż tracić czas na grę?

I oto tutaj był skrzydłowy, uderzając do kobiety, która ogłosiła się moją. Zacisnęła mocniej dłoń na moim ramieniu i sądzę, że podobał jej się jego kształt. Dwa ogiery wychodzące na parking, mierzące się wzrokiem, a potem dające z siebie wszystko, by się wzajemnie pozabijać. Ona zaś by tam stała, przyglądając się, krew śpiewałaby jej w żyłach, aż byłoby po wszystkich, a ona poszłaby do domu ze zwiędniętą.

Bez wątpienia był gotów grać. Oszacował mnie już pół godziny wcześniej, zanim ona pojawiła się na scenie. Jest taki typ faceta, który to robi, przyjrzy się pomieszczeniu, wybierze takiego, z którym rzecz mogłaby się zakończyć bójką, i zastanowi się, jak to rozegra. Możliwe, że sam tak postąpiłem, oceniając go wzrokiem, zgadując, jak się zachowa, zastanawiając się, co by na niego poskutkowało.

Albo mógłbym się wycofać. Odwrócić się do obojga plecami, wyjść z baru i ruszyć z przedstawieniem w swoją drogę. Nie tak trudno znaleźć lokal, w którym sprzedadzą ci cuervo i piwo na popitkę.

Pomijając to, wiecie, że nigdy niczego tak nie zostawiam. Wiedzieć, że mógłbym, nie oznacza, że mogę.

* * *

— Och, to bardzo miło z twojej strony — odparła. — Ale właśnie wychodziliśmy. Może innym razem.

Wstając, powiedziała to odpowiednim tonem, żeby nie zostawić wątpliwości, że mówiła poważnie. Nie chłodno, nie odrzucając go, ale ani trochę na tyle ciepło, by zachęcić sukinsyna.

Załatwiając to jak należy, w istocie.

Zostawiłem na blacie piwo i resztę, by dotrzymała mu towarzystwa. W drodze do wyjścia blondynka wzięła mnie pod ramię. Patrzono na nas, gdy wychodziliśmy, ale sądzę, iż oboje przywykliśmy do tego.

Kiedy znaleźliśmy się na parkingu, wciąż planowałem bójkę. Nie miało do niej dojść, ale mój

umysł i tak nad nią pracował.

Ciekawe, jak to zrobisz.

Jeśli chcesz wygrać taką bójkę, to pragniesz zadać pierwszy cios. Zanim tamten się zorientuje, że dostanie. Najpierw bombardujesz Pearl Harbor, potem wypowiedzasz wojnę.

Daj mu nawet myśleć, że odpuszczasz. *Hej, nie chcę się z tobą bić!* A kiedy tamten się obawia, że scykorujesz, walisz go z całej siły. Wybierz odpowiedni moment, zaskocz go, a jeden cios jest wystarczającym, czego potrzebujesz.

Nie zastosowałbym jednak tego wobec starego Lasha LaRue ¹. Och, nie dlatego, że to by się nie sprawdziło. Sprawdziłoby się jak najbardziej. Poleciałby pyskiem na żwir, we wranglerach, w zapinanej na zatraski koszuli, z głupim zadęciem i wszystkim innym.

Ale to podstępem pozbawiłoby ją bijatyki, którą miała nadzieję zobaczyć.

Co bym więc zrobił, gdybyśmy się znaleźli na zewnątrz i byli gotowi do odejścia, to rozpostarłbym ramiona w geście „czyż nie możemy tego załatwić normalnie?”, dając mu możliwość, żeby mnie podstępnie zaprawił. Byłbym jednak gotowy, nawet jeśli bym na to nie wyglądał, i zrobiłbym unik, kiedy by się zamachnął. Oni są łowcami głów, kolesie tacy jak on, i uchylilibym się, niemal zanim jeszcze wzięłby zamach, i wpałowałbym mu pięść w połowie drogi między jego pępkiem a jajami.

Załatwiłbym całą sprawę ciosami na korpus. Po co kaleczyć sobie dłonie na szczęce? Skoro był taki wysoki, miał mnóstwo środka, i to tam bym go rąbnął, a pierwszy cios powinien mu wybić walkę z głowy i pozbawić siły jego uderzenia, nawet gdyby był w stanie zadać drugi cios.

Celowałbym w wątrobę. To po prawej, mniej więcej na linii paska spodni. Dozwolony cios na ringu bokserskim, nie wspominając o parkingu, a jeśli trafisz właściwie, to jest po walce. Nigdy tego nie zrobiłem ani nie widziałem, ale wierzę, że można zabić człowieka ciosem w wątrobę.

Pisałem jednak scenariusz bójki, która nie miała się zdarzyć, gdyż moja blondynka napisała już wcześniej własny skrypt i okazało się, że nie było w nim sceny walki. W pewien sposób trochę szkoda, gdyż miałbym pewną satysfakcję z rozwalenia tego kowboja. Ale jego wątroba miała przetrwać. Wszelkie uszkodzenia, jakich dozna, będą pochodziły od whisky i piwa, które wspomniane trunki jej zafundują, a nie od moich pięści.

A poza tym, wiecie, to byłoby zbyt proste, żeby wszystko, czego chciała, to byli dwaj boksujący się o nią twardziele. Miała na uwadze coś dużo gorszego.

* * *

— Mam nadzieję, że nie zachowałam się niestosownie — odezwała się. — Zabierając nas stamtąd. Ale bałam się.

Nie wyglądała wcześniej na przestraszoną.

— Że go pobijesz — wyjaśniła. — Może nawet zabijesz.

Jej samochód to był ford, model, który wypożyczalnie skóre są ci wynająć. Stał wciśnięty między dwie półciązarówki, obie ujawniające pogięte błotniki i mnóstwo rdzy. Nacisnęła guzik, by odblokować drzwi; mrugnęły reflektory.

Grałem dzentelmena. Powlokłem się na jej stronę i otworzyłem przed nią drzwiczki po stronie kierowcy. Zawahała się, odwróciła do mnie, i to by była wskazówka trudna do przeczenia. Objąłem ją i pocałowałem.

I tak, była tam. Chemia, biologia, jakkolwiek chcecie to nazwać. Oddała mi pocałunek, napierając wargami, potem się powstrzymała, a później nie potrafiła się powstrzymać. Czuję jej ciepło przez nasze dżinsy i pomyślałem, by wziąć ją od razu tutaj, po prostu rzucić ją na ziemię i przelecieć na żwirze, korzystając z osłony dwóch piłaków. Wziąć ją szybko i mocno, wyjść z niej i wstać, i podczas gdy ona by nadal drżała, ja zniknąłbym stamtąd, zanim mogłaby podjąć swoją grę i wprowadzić ją ruch.

Żegnaj, panienko, bo właśnie zrobiliśmy to, po co tutaj przyszliśmy, a jeśli masz cokolwiek do powiedzenia, to cóż, dlaczego mam tego słuchać?

Puściłem ją. Wślizgnęła się za kierownicę, a ja obszedłem samochód i usiadłem obok niej. Uruchomiła silnik, ale zawahała się przed wrzuceniem biegu.

— Na imię mam Claudia — powiedziała.

Może tak, może nie.

— Gary — przedstawiłem się.

— Nie jestem stąd.

Ani ja. Prawdę mówiąc, nigdzie nie mieszkam. Och, ale patrząc na to z innej strony, to mieszkam wszędzie.

— Mój motel stoi dalej przy tej drodze. Niecały kilometr.

Czekała, żebym coś powiedział. Co? *Mają czystą pościel? Mają HBO?*

Nic nie powiedziałem.

— Powinniśmy kupić coś do picia? Bo w pokój nic nie mam.

* * *

Powiedziałem, że niczego mi nie trzeba. Skinęła głową, zaczęła na możliwość włączenia się do ruchu i wjechała na drogę.

Zwracałem uwagę na otoczenie, żebym mógł wrócić do mojego auta. Po ujechaniu kilkuset metrów zdjęła prawą dłoń z kierownicy i położyła mi ją na kroczu. Wzrokiem nie zbłądziła z drogi. Kolejne kilkaset metrów, i jej ręka wróciła na kierownicę.

Musiałem się zastanowić, dlaczego to zrobiła. Chciała się upewnić, że mam coś dla niej? Żeby

nie pozwolić mi zapomnieć, w jakim celu jechaliśmy do motelu?

A może tylko próbowała mi pokazać, że była damą w każdym calu.

* * *

Myślę, że wciąż dostaję to, czego szukam. Bo, spójrzmy prawdzie w oczy, nie idzie się szukać perfekcyjnej pani domu do podłego zajazdu, pełnego półciężarówek i harleyów. Wchodzisz do pomieszczenia i słyszysz Kitty Wells śpiewającą o tym, że to Bóg stworzył knajpiane anioły. Cóż więc znajdziesz, jak nie knajpianego anioła właśnie?

Chcesz monogamicznej kobiety, chcesz kogoś, kto poprowadzi ci dom i weźmie cię w podróż życia dookoła domku z ogródkiem, to są inne miejsca, do których idziesz polować.

A ja nie uczęszczałem na zgromadzenia metodystów, spotkania samotnych rodziców ani nie uczestniczyłem w warsztatach poetyckich w ramach programu permanentnego kształcenia. Szukałem — inna piosenka — miłości we wszystkich niewłaściwych miejscach, czemu więc winić los za zesłanie mi takiej kobiety jak Claudia?

Czy jak się ona tam nazywała.

* * *

Motel był parterową budą, nienależącą do żadnej sieci, prezentującą się dość przyzwoicie, ale nie taką, w jakiej zatrzymałaby się taka kobieta jak ona, gdyby chciała pokoju, by się wypać. Wybrałaby Ramadę lub Hampton Inn, ale to, co mieliśmy tutaj, to był zwykły niemarkowy motel. Dostyć czysty i w miarę dobrze utrzymany, i oddalony od drogi, by zapewnić prywatność. Jej pokój był od tyłu, gdzie małego forda nie było widać z drogi. Gdyby nie był wynajęty, gdyby był jej własnym autem, to cóż, nikt przejeżdżający obok nie wypatrzyłby tablicy rejestracyjnej.

Jakby to miało znaczenie.

Wewnątrz, przy drzwiach zamkniętych na klucz, odwróciła się do mnie i po raz pierwszy wydała się nieco niepewna. Jakby się zastanawiała nad tym, co powiedzieć, albo czekała na to, żebym to ja coś powiedział.

Cóż, do diabła z tym. Już macała mi genitalia w samochodzie i to powinno wystarczyć dla przełamania lodów. Wyciągnąłem ku niej ramiona, pocałowałem ją, położyłem dłoń na jej tyłku i przyciągnąłem ją blisko do siebie.

Mogłem ściągnąć te jej dzinsy, mogłem rozerwać delikatną jedwabną bluzkę. Miałem taki impuls.

Więcej, chciałem dokonać jakichś zniszczeń. Zmiękczyć ją ciosem pięści w brzuch, przekonać się, co zrobi z nią uderzenie w wątrobę.

Fakt: miewam takie myśli. Przyjdą mi do głowy, a wtedy przywołuję zawsze w pamięci przelotny obraz twarzy mojej matki. Błyskawiczne mignięcie, jak promień zieleni, który widzi się czasami, obserwując słońce zachodzące nad wodą. Znika, niemal zanim go zauważysz, a potem w zasadzie nie możesz przyjąć, że to w ogóle widziałeś.

Coś takiego.

* * *

Byłem wobec niej delikatny. No cóż, dość delikatny. Nie wybrała mnie z tłumy dlatego, że pragnęła czułych słówek i motyli pocałunków. Dałem jej to, co czułem, że miała ochotę dostać, ale nie posunąłem się ani trochę dalej, niż tego chciała. Nie było trudno znaleźć jej rytm, nie było trudno ją podkłęcić, a potem podtrzymać, a później pozwolić na to, by to wszystko się dla niej stało, pozostając w niej cały czas, wydobywając ostatni drobny dreszcz ze słodkiego mechanizmu jej ciała.

Łatwizna, w istocie. Nauczono mnie młodo. Wiedziałem, co robić i jak

* * *

— Wiedziałam, że będzie dobrze.

Leżałem z zamkniętymi oczami. Nie wiem, o czym myślałem. Czasami mój umysł po prostu wędruje, idzie dokądś sam z siebie i myśli własne myśli, potem samochód strzela w rurę albo coś zmienia energię w pokój, a ja wracam tam, gdzie byłem, a to wszystko, o czym dumałem, przepada bez śladu.

Wszyscy tak mają, jaksądzę. Nie może tak być, że jestem taki wyjątkowy, ja i moje myśli.

Tym razem to jej głos sprowadził z powrotem teraźniejszość z pewnością uderzenia pioruna. Obróciłem się i ujrzałem, że na wpół siedzi obok mnie na łóżku. Wyjęła poduszkę spod pośladków i teraz wspierała na niej głowę i plecy.

Wyglądała na taką, co pali, ale nie była palaczką ani też nigdzie nie było papierosów. Ale takie było wrażenie, papieros po, bez względu na to, czy był, czy też nie było go na obrazku.

— Wszystko, czego chciałam — powiedziała — to przyjąć tutaj, zatrzasnąć świat za drzwiami, a potem sprawić, by wszystko na świecie znikło.

— Udało się?

— Jak magia — potwierdziła. — Nie doszedłeś.

— Nie.

— Było coś...

— Czasami się powstrzymuję.

— Och.

— Co czy ni drugi raz lepszy m. Bardziej intensywnym.

— Z pewnością. Ale nie wymaga niezwykłego opanowania?

Nie starałem się powstrzymać. Chciałem zafundować jej pieprzenie, którego by szybko nie zapomniała, to wszystko. Ale nie musiałem jej tego mówić.

— Będziemy mieli czas na drugi raz, co? Nie musisz jechać?

— Spędzę tutaj całą noc — odparła. — Możemy nawet zjeść rano śniadanie, jeśli chcesz.

— Myślałem, że będziesz może chciała wrócić do domu, do męża.

Jej dłonie się poruszyły, a palce prawej zacisnęły się u podstawy palca serdecznego, upewniając ją, że nie ma tam obrączki.

— Nie obrączka — wyjaśniłem. — Tylko ślad po niej. Wgłębienie na skórze, które zostało, bo musiałaś ją zdjąć tuż przed wejściem do baru. I wąski blady pasek pokazujący, dołąd słońce nie dochodzi.

— Sherlock Holmes — stwierdziła.

Umilkła, żebym ja mógł coś powiedzieć, ale po co jej pomagać? Czekałem, a ona dodała:

— Nie jesteś żonaty.

— Nie.

— Byłeś?

— Ta sama odpowiedź.

Wyciągnęła rękę, wierzchem dłoni ku górze, jakby się przyglądała obrączce. Sądzę, że przyglądała się pozostawionemu przez nią znakowi.

— Myślałam, że wyjdę za mąż zaraz po maturze — odezwała się. — Tam, gdzie się wychowałam, jeśli jesteś ładna, tak się właśnie dzieje. Albo jeśli nie jesteś ładna, ale i tak z kimś wpadniesz.

— Ty jesteś ładna.

Skinęła głową. Po co udawać, że tego nie wie?

— Ale nie byłam w ciąży, a przyjaciółce przyszedł do głowy pomysł: wyjedźmy z miasteczka, jedźmy do Chicago i zobaczymy, co się wydarzy. Więc tak po prostu spakowałam torbę i pojechałyśmy, a jej wystarczyły trzy tygodnie, by zatęskniła za domem i wróciła.

— Ale ty nie.

— Nie, podobało mi się Chicago. Albo tak mi się zdawało. To, co lubiłam, to osobę, jaką stałam się w Chicago; nie, że to było Chicago, ale dlatego, że to nie był dom.

— Więc zostałaś.

— Póki nie pojechałam gdzieś indziej. Do innego miasta. I miałam różne prace i różnych chłopaków, i spędzałam jakiś czas, nie mając chłopaków, i wszystko to było spoko. I myślałam, no dobra, niektóre kobiety mają mężów i dzieci, a niektóre nie, i wygląda na to, że ja będę jedną

z tych, co nie mają.

Pozwoliłem jej mówić, ale nie słuchałem zbyt uważnie. Spotkała faceta, chciał ją poślubić, uznała to za swoją ostatnią szansę, wiedziała, że to błąd, ale i tak to zrobiła. To była jej historia, ale trudno powiedzieć, żeby tylko jej. Już wcześniej dość często ją słyszałem.

Wydaje mi się, że czasami była prawdziwa. Może tym razem była.

A może nie.

Kiedy miałem dosyć słuchania, położyłem dłoń na jej brzuchu i ją pogłaskałem. Nagle zaczerpnięcie przez nią oddechu powiedziało mi, że nie spodziewała się tego. Przesunąłem dłoń niżej, jej uda rozwarły się w oczekiwaniu, a ja włożyłem tam rękę i pieściłem ją palcami. Po prostu tak, leżąc obok niej i pracując w niej palcami. Zamknęła oczy, a ja przyglądałem się jej twarzy, podczas gdy palce robiły swoje.

— Och! Och! Och!

Podnieciłem się w trakcie tego, ale nie było potrzeby zrobienia z tym czegokolwiek. Kiedy doszła, leżałem jak wcześniej. Zamknąłem oczy, opadł mi. Wsłuchiwałem się w całkowitą ciszę w pokoju.

* * *

Ojciec wyprowadził się, gdy robiłem jeszcze w pieluchy. A przynajmniej tak mi powiedziała matka. Nie pamiętam go i nie jestem przekonany, że w ogóle z nią był. Ktoś ją zapłodnił, i nie był to Duch Święty, ale czy tamten gość się kiedykolwiek o tym dowiedział? Znała choćby jego nazwisko?

Byłem więc wychowany przez samotną matkę, chociaż nie przypominam sobie, żebym w tamtym czasie słyszał to określenie. Dość wcześnie zaczęła sprowadzać facetów do domu, a potem przestała. Mogła wrócić do domu, śmierdząc tym, gdzie była lub co robiła, ale wracała sama.

Potem tego także zaprzestała i spędzała wieczory przed telewizorem.

Pewnego wieczoru oglądaliśmy jakiś program, nie pamiętam jaki, a ona powiedziała:

— Jesteś już wystarczająco duży. Sądzę, że się dotykasz.

Wiedziałem, co miała na myśli. To, czego nie wiedziałem, to jak na to odpowiedzieć.

— Nie wstydz się — powiedziała. — Wszyscy to robią, to część dojrzwania. Pokaż mi go.

— A potem, gdy zakłopotanie mnie sparaliżowało, dodała: — Zdejmij spodnie od pizamy i pokaż mi swojego waćka.

Nie chciałem. Chciałem. Byłem zażenowany, byłem podniecony i...

— Powiększa się — stwierdziła. — Niedługo staniesz się mężczyzną. Pokaż mi, w jaki sposób się dotykasz. Patrz, jak rośnie! To lepsze od telewizji. O czym myślisz, kiedy się dotykasz?

Powiedziałem coś? Nie wierzę, że bym tak zrobił.

— O cycuszkach? — Rozsunęła szlafrok — Ssałeś je, kiedy byłeś mały. Pamiętasz?

Chciałem odwrócić wzrok. Chciałem przestać się dotykać.

— Zdradzę ci tajemnicę. Dotykanie własnego kutasa jest miłe, ale znacznie miłsze, gdy ktoś robi to za ciebie. Widzisz? Możesz dotykać moich cycuszków, podczas gdy ja robię to dla ciebie. Nie jest ci przyjemnie? Nie jest?

Obryzgałem jej całą dłoń. Pomyślałem, że będzie zła. Podniosła ją do twarzy i wylizła do czysta. Uśmiechnęła się do mnie.

* * *

— Nie wiem — powiedziała.

Claudia, moja blondynka. Zastanawiałem się, nie interesując się tym zbytnio, do jakiego stopnia ten blond jest naturalny. Wciąż otwarte pytanie, gdyż włosy na głowie były jedynymi, jakie miała na całym ciele.

Ciekawe, co by na to powiedziała moja matka. Golenie nóg było z jej strony jedynym ustępstwem na rzecz kobiecości, i to takim, które akceptowała niechętnie.

Więc mnie to kazała robić. Wychodziła z wanny, cała rozgrzana po kąpieli, a ja rozprowadzałem mydliny i władałem maszynką do golenia. Powiedziała mi, że za kilka lat wyrosną mi wąsy. I że równie dobrze mogę nabrać trochę wprawy przed całym życiem golenia się.

Zapytałem Claudię, czego nie wie.

— Chciałam przeżyć przygodę — odparła.

— Zatrzasnąć za sobą świat. Zatrzymać go po drugiej stronie drzwi.

— Ale ty masz władzę — stwierdziła. — To, co przyciągnęło mnie do ciebie, poprowadziło przez całą salę tam, gdzie stałeś, to mnie przeraża.

— Dlaczego?

Zamknęła oczy, ostrożnie dobierała słowa.

— Co się dzieje tutaj, zostaje tutaj. Czy nie tak to działa?

— Jak w Las Vegas?

Otworzyła oczy i spojrzała w moje.

— Robiłam już wcześniej takie rzeczy.

— Jestem wstrząśnięty.

— Nie tak często, jak mogłoby ci się zdawać, ale od czasu do czasu.

— Podczas pełni księżyca?

— I zostawiałam za sobą, kiedy odjeżdżałam. To jak masaż, jak pielęgnowanie w spa.

— Potem do domu, do mężusia.

— Jak go to raniło? Nie wiedział. A ja, znajdując ujście, byłam dla niego lepszą żoną.

Nie śpieszyła się z dochodzeniem do sedna. Przypominało to obserwowanie bejsbolowego miotacza, wykonującego skomplikowany zamach. Całkiem interesujące, kiedy już się wiedziało, jak podkręcanej piłki się spodziewać.

— Ale to wygląda na coś więcej, nie?

Spojrzała na mnie przeciągle, jakby chciała potwierdzić, ale była niechętna wypowiedzeniu tych słów.

Och, była dobra.

— Myślałaś o opuszczeniu go.

— Jasne. Ale mam... Och, jak to powiedzieć? Zapewnia mi bardzo wygodne życie.

— To zwykle oznacza pieniądze.

— Jego rodzice byli bogaci — wyjaśniła. — A on był ich jedynym dzieckiem. Kiedy zmarli, wszystko przypadło jemu.

— Domyślam się, że ford jest z wypożyczalni.

— Ford? A, samochód, którym jeżdżę? Tak, wynajęłam go na lotnisku. Dlaczego zapytałeś... Och, ponieważ przy puszczałnie mam lepsze auto od tego. To miałeś na myśli?

— Coś w tym rodzaju.

— Mamy kilka samochodów. Jest lexus, którym zwykle jeżdżę. I jeszcze kupił mi w prezencie oldskulowe sportowe auto. Aston martina.

— Nieźle.

— Chyba lubiłam z początku nim jeździć, ta moc, reagowanie. Teraz rzadko wyjeżdżam nim z garażu. To droga zabawka. Tak jak ja.

— Jego zabawka. Często cię wyprowadza i się z tobą bawi?

Nie odpowiedziała.

Położyłam dłoń tam, gdzie w ogóle nie miała włosów. Nie głaszcząc jej, tylko trzymając tam rękę. Zgłaszając roszczenie.

Powiedziałem:

— Gdy byś się z nim rozwiodła...

— Podpisałam jeden z tych papierów.

— Intercyżę?

— Tak

— Przy puszczałnie zatrzymałabyś zabawki.

— Możliwe.

— Ale eleganckie życie by się skończyło.

Skinięcie głową.

— Przyuszczam, że jest dużo starszy od ciebie.

— Tylko kilka lat. Wydaje się starszy, jest jednym z tych facetów, którzy zachowują się poważniej jak na swój wiek, ale nie jest taki stary.

— Jak z jego zdrowiem?

— Dobrze. Nie uprawia sportu, ma znaczną nadwagę, ale co roku ma znakomite wyniki badań lekarskich.

— Niemniej każdy może dostać wylewu czy zawału serca. Albo pijany kierowca przejedzie na czerwonym i rąbnie w bok jego auta.

— Nie lubię nawet mówić o takich rzeczach.

— Bo to jakby ich sobie życzyć.

— Tak

— Niemniej — stwierdziłem — byłoby wygodne, nieprawdaz?

Z moją matką tak nie było. Nie udar, atak serca ani pijany kierowca. Jednego dnia tutaj, drugiego już po niej.

Ani trochę.

Dwa, trzy lata po tym, gdy mi pokazała, o ile lepiej jest mieć kogoś, kto cię dotyka. Dwa, trzy lata, gdy wychodziłem do szkoły rano i wracałem prosto do domu po południu, zamykając za sobą drzwi przed całym światem.

Nauczyła mnie wszystkiego, co wiedziała. Plus rzeczy, o których słyszała lub czytała, ale nigdy nie robiła.

I powiedziała mi, jak postępować z dziewczynami.

— To jak sport, a ja jestem twoją trenerką — wyjaśniła. Co mówić, jak się zachowywać, jak skłonić je do robienia różnych rzeczy lub do pozwolenia, żebym ja je zrobił.

Potem wracałem do domu i opowiadałem jej o tym. W łóżku, odgrywając to, wyglupiając się.

Dwa, trzy lata. I zaczęła tracić na wadze, blednąć, i musiałem to zauważyć, ale to się działo z dnia na dzień, i nigdy to do mnie nie dotarło. A potem wróciłem pewnego dnia do domu, a jej tam nie było, tylko karteczka, że wróci niebawem. I jakąś godzinę później wróciła, i ujrzałem coś w jej twarzy, i wiedziałem, ale nie wiedziałem co, póki mi nie powiedziała.

Rak jajników. Rozprzestrzenił się w całym organizmie i nie mogli nic z tym zrobić. Nic, co by podziałało.

Z powodu miejsca, w którym to się zaczęło, zastanawiała się, czy to nie jest kara. Za to, co zrobiliśmy.

— Tyle że to bzdura i wiem, że to brednie. Zostałam wychowana w wierze w Boga, ale z niej

wyrosłam, i nigdy nie wychowywałam cię w ten sposób. A nawet gdyby Bóg istniał, to nie działałby w ten sposób. A poza tym co złego zrobiliśmy? Skrzywdziliśmy kogoś?

A chwilę później:

— Wszystko, co mogą mi dać, to chemia, a wszystko, co ona sprawi, to że będzie mnie bolało jak wszyscy diabli, wypadną mi włosy i być może przedłuży mi życie o kilka miesięcy. Nie chcę, mój słodziaku, żebyś pamiętał żółknącą staruszkę, umierającą po trochu i wariującą z bólu. Nie chcę czekać tak długo i musisz mi pomóc się uwolnić.

Szkoła. Nie uprawiałem żadnego sportu, nie należałem do klubów, nie miałem przyjaciół. Wiedziałem jednak, kto sprzedaje prochy, wszyscy wiedzieli. Mieli wszystko, co chciałeś, a ja potrzebowałem środków nasennych, co było łatwizną.

Chciała je zażyć po moim wyjściu do szkoły, żeby było po wszystkim, gdy wrócę, ale jej to wyperswadowałem. Łyknęła je na noc, a ja leżałem obok i trzymałem ją za rękę, gdy ogarniała ją sen. I zostałem tam, więc wiedziałem, kiedy przestała oddychać, ale nie potrafiłem wytrwać na jawie, więc zapadłem w sen, a kiedy się obudziłem, już nie żyła.

Posprzątałem dom, poszedłem do swojego pokoju i wzburzyłem łóżko, jakbym w nim spał. Poszedłem do szkoły i powstrzymywałem się od myślenia o czymkolwiek. Wróciłem do domu, i przekręcając klucz w zamku, miałem ten przebłysk, oczekiwanie, że będzie chodziła po domu, kiedy otworzę drzwi.

Taaa, jasne. Znalazłem ją tam, gdzie ją zostawiłem, więc wezwałem lekarza, powiedziałem, że wyszedłem rano, nie chcąc jej budzić. Poznał, że to pigułka, wiedziałem że tak, ale chciał mnie oszczędzić, więc powiedział, że nagle zawiodło ją serce, dodał, że jest mnóstwo takich przypadków jak jej.

Gdyby żyła, gdyby nie zachorowała, wciąż bym tam mieszkał. Nas dwoje w tamtym domu, z całą resztą świata zamkniętą na zewnątrz.

* * *

Powiedziała:

— Nie mogę udawać, że nigdy o tym nie myślałam. Ale nigdy sobie tego nie życzyłam. Jest dla mnie dobry.

— Dobrze się o ciebie troszczy.

— Po skończonej grze czyści kije golfowe. Ma flanelową szmatkę, którą je wyciera. Zawozi samochody na wymagane przeglądy. I tak bardzo o mnie dba.

— Może to wszystko, czego chcesz.

— Byłam gotowa zadowolnić się tym — odparła.

— A teraz już nie?

— Nie wiem — stwierdziła i położyła rękę na mnie. Tylko przez moment to była czyjaś dłoń, pewna, lecz delikatna, a ja znowu byłem chłopcem. Jedyne przez chwilę, a potem to przemинуło.

I trzymała mnie nadal, milcząc, ale ja słyszałem w głowie jej głos tak wyraźnie, jakby mówiła.

Gotowa zadowolnić się? Już nie, skarbie, bo spotkałam cię, i mój świat zmienił się na zawsze. Gdyby tylko coś mogło mu się przytrafić, a my moglibyśmy być razem, na zawsze. Gdyby tylko...

— Chcesz, żebym go zabił — stwierdziłem.

— O mój Boże!

— Nie do tego zmierzałaś?

Nie odpowiedziała, oddychając głęboko. Potem powiedziała:

— Czy kiedykolwiek...

— Rząd ubiera cię w mundur, daje giwerę i wysyła na drugi koniec świata. Człowiek ląduje, robiąc mnóstwo rzeczy, których inaczej by nie uczynił.

Sporo z tego było chyba prawdą, ale nie miało wiele wspólnego ze mną. Nigdy nie byłem w wojsku.

Raz poszedłem się zaciągnąć. Dryfujesz w życiu, różne rzeczy zaczynają cię pociągać. Wojskowy psychiatra zadał mi mnóstwo pytań, usłyszał w moich odpowiedziach coś, co mu się nie spodobało, po czym podziękowano mi za poświęcony czas i odesłano w swoją drogę.

Muszę przyznać, że facet znał się na swojej robocie. Nie spodobałoby mi się tam, a i oni niezbyt by mnie lubili.

* * *

Znalazła inny temat do rozmowy, jakąś meandrującą opowieść o sąsiedzie. Leżałem, patrząc na jej poruszające się wargi, nie myśląc o tym, co mówi.

Po co się wysilać? To, czego nie mówiła, było sensowniejsze.

Zadowolona z siebie, musiałem przyznać. Gdyż zdołała osiągnąć to, do czego zmierzała, nie wypowiadając słów. Zagrała tak zręcznie, że sam to za nią podniosłem.

Cóż, jestem dwa kroki przed tobą, panienko. Wiedziałem, dokąd zmierzasz, dostrzegłem tę okrężną drogę, jaką dla siebie wyznaczyłaś, i pomyślałem, że oszczędzę nam czas.

Teraz lepiej, patrzeć bez słuchania. To było tak, że mogłem jej nie słyszeć, jeśli chciałem; wszystko, co słyszałem, to jej głos w mojej głowie, mówiący mi to, co wiedziałem, że ona myśli. O tym, że moglibyśmy być razem przez resztę życia, że jestem wszystkim, czego pragnie i potrzebuje, że będziemy prowadzili życie w luksusie, blasku i podróżach. Jej głos w mojej głowie, kreślący jej obraz mojego wyobrażenia raj.

Głosy.

Poruszyła się. Położyła na boku. Przestała mówić, a ja przestałem słyszeć ten drugi głos. Przesunęła dłoń wzdłuż mojego ciała. I pocałowała moją twarz, szyję, przesuając się w dół.

No jasne. By dać mi zapowiedź szalonych przyjemności w menu, kiedy jej martwy mąż znajdzie się już sześć stóp pod ziemią. Bo każdy facet to uwielbia, prawda?

Rzecz w tym, że ja nie. Nie od chwili, w której inna kobieta zażyła przybione przeze mnie pigułki i już się nie obudziła.

* * *

Miałem kiedyś randkę z dziewczyną z klasy. A ona mnie szkoliła.

Możesz sprawić, żeby ci ssala. Wciąż będzie dziewicą, nie zajdzie od tego w ciążę, a uszczęśliwi cię. Poza tym, w głębi duszy umiera z chęci zrobienia tego. Ale tym, co chcesz zrobić, to pomóc jej w tym, powiedzieć jej, kiedy coś źle robi. Jakbyś to ty był jej *trenerem*, rozumiesz?

A potem już jej nie było i od tamtej pory nie lubię, gdy ktoś mi to robi.

Tamten psychiatra wojskowy? Chyba znał się na swojej robocie.

Niemniej, postawiła mi go.

To się dzieje według własnych zasad, co nie? Napływa tam krew albo nie, a ty nie możesz sprawić, by tak się stało, lub temu zapobiec. Co nie znaczyło, że mi się to podobało; nie oznaczało, że chciałem, żeby dalej to robiła. Im dłużej to trwało, tym mniej mi się podobało.

Ująłem jej głowę i odsunąłem.

— Coś nie tak?

— Moja kolej — powiedziałem i rozłożyłem ją na łóżku, wetknąłem poduszkę pod jej pośladki i wsadziłem jej palec, żeby się upewnić, że jest mokra. Następnie włożyłem palec do jej ust, dając jej poznać własny smak

Wszedłem na nią, ujeżdżałem ją długo i mocno, długo i mocno. Miała jeden z tych wielokrotnych orgazmów, które nie mijają, następują bez przerwy jeden po drugim.

Nie wiem, gdzie przebywał mój umysł, kiedy to się działo. Gdzieś indziej, dostrojony do czegoś innego. Oglądając HBO, kiedy ona była pieprzona w Showtimie.

Kiedy doszła, zostałem tam, gdzie byłem, na niej i w niej. Spojrzałem w dół na jej twarz, szczęka obwisła, oczy zamknięte, i zauważyłem coś, czego wcześniej nie widziałem.

Że wygląda jak świnka. Miała naprawdę coś świńskiego w twarzy. Wcześniej tego nie dostrzegłem.

Zabawne.

Otworzyła oczy. I jej usta zaczęły się poruszać, mówiąc mi, że nigdy w życiu jej tak nie było.

— Czy ty...?

— Jeszcze nie.

— Mój Boże, wciąż masz twardego! Jest coś...

— Jeszcze nie teraz — powiedziałem. — Wcześniej chcę się czegoś dowiedzieć. Kiedy weszłaś do baru?

— Całe życie temu — odparła. I rozluźniła się, mając na uwadze to, o czym myślała jak o przechadzce Alejki Pamięci. Jak się poznaliśmy i zakochaliśmy w sobie od pierwszego wejrzenia.

Powiedziałem:

— Nad czym się zastanawiałem. Skąd wiedziałaś?

— Skąd...?

— Skąd wiedziałaś, że to ja jestem tym facetem, który będzie gotów zabić dla ciebie twojego męża?

Wielkie oczy. Brak słów.

— Co dostrzegłaś? Co ci się zdawało, że widzisz?

I moje biodra zaczęły się poruszać; powolne, krótkie pchnięcia.

— Musiałaś wcześniej wszystko to sobie przemyśleć — powiedziałem. Przesunąłem łokieć tak, że znalazły się na jej barkach, przyszpilając ją do łóżka, a dłonie na szyi, obejmując ją. — Więc wyjechałabyś z miasta, może poderwałabyś jakiegoś innego farciarza, żeby mieć alibi. Pieprzyłabyś się z nim ostro, gdyż cały czas myślałabyś o tym, jak to robię, jak zabijam twojego męża. Zastanawiałabyś się, w jaki dokładnie sposób to robię, czy używam gnata, noża czy pałki? I myślisz, że zabijam go gołymi rękami, i to jest to, co cię naprawdę nakręca, prawda? Prawda?

Mówiła coś, ale nie słyszałem słów. Nie usłyszałbym uderzenia pioruna, nie usłyszałbym końca świata.

— Napychasz mi głowę długim i szczęśliwym życiem, ale kiedy on by już nie żył, nie potrzebowałabyś mnie więcej, co? Może znalazłabyś innego skurwiela, skłoniła go do załatwienia mnie.

Posuwałem ją teraz mocniej. A moje dłonie zaciskały się na jej szyi. Przerazenie w jej oczach. Jezu, można je było nożem kroić.

Potem światło w jej oczach zgasło, i tak po prostu odeszła.

Trzy, cztery kolejne pchnięcia, i dotarłem tam, dokąd zmierzałem. Zabawna rzecz, że w istocie nawet tego poczułem. Maszyneria działała, i spuściłem się do niej, ale nie nazwałibycie tego nadzwyczajnym doznaniem, bo, widzicie, nie było z tym związane zbyt wiele doznań. Była ulga, co było przyjemne w taki sposób, jak kiedy się wysiłek, łącząc wcześniej z pełnym pęcherzem.

Prawda jest taka, że tak jest częściej niż nie. Powiedziałbym, że wojskowy psychiatra potrafiłby to wyjaśnić, ale nie róbmy z niego geniusza. Wszystko, co wiedział, to że armia będzie

lepszą bez mnie.

Niemal każdemu jest lepiej bez mnie.

Claudii na pewno. Leżącej teraz ze zmiażdżoną tchawicą i szklistymi oczami. W chwili, gdy mój wzrok na niej spoczął, wiedziałem, że miała przygotowany w głowie cały scenariusz.

Skąd wiedziała? Jak mnie wybrała?

A skoro to wiedziałem, skoro potrafiłem odczytać jej scenariusz i wymyślić inne zakończenie niż to, które miała w głowie, to dlaczego postawiłem jej drinka? Zważywszy na wszystko, jaki w istocie miałem wybór w tej kwestii, kiedy weszła i położyła mi dłoń na ramieniu?

Pora teraz wyjechać z tego miasteczka, ale kogo oszukiwałem? To samo spotka mnie w kolejnym albo jeszcze następnym. Kolejny przydrożny zajazd, gdzie mogę się pobić z jakimś facetem lub nie, ale tak czy inaczej wyjdę w towarzystwie kobiety. Może nie wyglądać tak dobrze jak ta i może mieć więcej włosów prócz tych na głowie, ale będzie miała wobec mnie takie same plany.

A gdybym się trzymał z dala od knajp? Gdybym chodził na spotkania jakiegoś kółka różańcowego albo grupy samotnych rodziców, czy czegoś podobnego?

Mogłoby się udać, ale nie liczyłbym na to. Z moim szczęściem skończyłbym dokładnie w takiej samej sytuacji. Wspominałem już, że naprawdę wiem, jak je wybrać?

Przetłumaczył Mirosław P. Jabłoński

1. Alfred „Lash” LaRue (1917-1996) — amerykański aktor westernowy z lat 40. i 50. XX wieku, znany ze zręczności w posługiwaniu się bykowcem; uczył tego Harrisona Forda do filmów z cyklu *Indiana Jones* (przy p. tłum.). [\[wróć\]](#)

Cienie dla Ciszy w Lasach Piekła

(SHADOWS FOR SILENCE IN THE FOREST HELL)

Brandon Sanderson — kolejna z szybko się wznoszących gwiazd literatury fantasy, na równi z pisarzami takimi jak Joe Abercrombie, Patrick Rothfuss, Scott Lynch, Lev Grossman czy K. J. Parker — trafił już na listę bestsellerów „New York Timesa” i zlecono mu dokończenie sławnego cyklu *Koło czasu* po śmierci jego autora, Roberta Jordana. Sanderson uporał się z tym ogromnym zadaniem, pisząc trzy książki: *Pomruki burzy*, *Bastiony mroku* oraz *A Memory of Light*. Zasłynął też trylogią *Z mgły* zrodzony, złożoną z książek *Z mgły zrodzony*, *Studnia wstąpienia* oraz *Bohater wieków*, a także *Stopem prawa* oraz przeznaczonym dla młodzieży cyklem *Alcatraz* złożonym z tomów: *Alcatraz Versus the Evil Librarians*, *Alcatraz Versus the Scrivener's Bones*, *Alcatraz Versus the Knights of Crystallia* oraz *Alcatraz Versus the Shattered Lens*. Do jego pozostałych książek należą takie tytuły, jak *Elantris*, *Siewca wojny* oraz *Firstborn*. Rozpoczął też nowy cykl Archiwum burzowego światła, którego pierwszy tom nosi tytuł *Droga królów*. Mieszka w American Fork w stanie Utah i ma stronę internetową o adresie: brandonsanderson.com.

W niniejszym opowiadaniu prowadzi nas do złowrogiej Ciszy Lasów, w których rozgrywa się opowieść o zdesperowanej, niebezpiecznej kobiecie, zdolnej do wszystkiego i gotowej na każde ryzyko, by ocalić rodzinę, nawet w miejscu, gdzie za każdym drzewem czają się głodne, niedostrzegalne duchy i jeden fałszywy ruch może oznaczać natychmiastową śmierć...

CIENIE DLA CISZY W LASACH PIEKŁA

— To na Białego Lisa musisz uważać — ostrzegł Daggon, pociągając łyk piwa. — Powiadają, że uściśnęła dłoń samego Zła, że odwiedził Upadły Świat i wrócił stamtąd z niezwykłymi mocami. Potrafi rozniecić ogień nawet w najciemniejszą noc i żaden cień nie odważy się przyjąć po jego duszę. Tak jest, Biały Lis. To z pewnością najwredniejszy skurczybyk w tych okolicach. Módl się o to, byś nie przyciągnął jego spojrzenia, przyjacielu. Jeśli tak się stanie, będziesz trupem.

Towarzysz Daggona miał szyję cienką jak szyjka butelki wina, osadzona na niej głowa przypominała zaś przewrócony na bok worek kartofli. Mówił z akcentem z Ostatniego Portu, a jego piskliwy głos odbijał się od okapu w głównej sali gospody.

— A czemu... czemu miałbym przyciągnąć jego spojrzenie?

— To zależy, przyjacielu — odparł Daggon, spoglądając na kilku bogato wystrojonych kupców, którzy właśnie weszli do środka. Byli odziani w czarne płaszcze, zdobione z przodu koronką, na głowach zaś mieli wysokie cylindry o szerokich rondach, noszone przez ludzi z fortów. W Lasach nie przetrwają nawet dwóch tygodni.

— Zależy? — dopytywał się towarzysz Daggona. — Od czego?

— Od bardzo wielu rzeczy, przyjacielu. No wiesz, Biały Lis to łowca nagród. Jakie zbrodnie popełniłeś? Co uczyniłeś?

— Nic nie zrobiłem — zapewnił tamten piskliwym głosem brzmiącym jak zgrzyt zardzewiałego koła.

— Nic? Ludzie nie odwiedzają Lasów po to, by nic nie robić, przyjacielu.

Towarzysz Daggona zerkał z boku na bok. Przedstawił się jako „Szczerzy”, ale z drugiej strony Daggon oznajmił, że nazywa się „Przyjazny”. Imiona znaczyły w Lasach bardzo niewiele. Albo wszystko. Przynajmniej te właściwe.

Szczerzy oparł się wygodnie, pochylając przypominającą wędkę szyję, jakby próbował skryć się w swym piwie. Połknie przynętę. Ludzie uwielbiali opowieści o Białym Lisie, a Daggon uważał się za znawcę tematu. Z pewnością był znawcą, gdy chodziło o opowiadanie historii mających skłonić irytujących ludzi, takich jak Szczerzy, do postawienia mu paru kolejek.

Pozwolę mu chwilę się z tym pokisic — pomyślał Daggon. *Niech się pomartwi*. Za chwilę Szczerzy spróbuje wyciągnąć z niego więcej informacji.

Czekając na to, oparł się wygodnie i rozejrzał po sali. Kupcy wywoływali zamieszanie, domagając się jedzenia i oznajmiając wszystkim, że za godzinę muszą wyruszyć w drogę. To świadczyło, że są głupcami. Wędrować przez Lasy nocą? Doświadczeni koloniści mogli sobie na to pozwolić, ale ludzie tacy jak ci... Zapewne nie minie nawet godzina, nim pogwałcą którąś z Prostych Zasad i przyciągną uwagę cieni. Daggon utracił zainteresowanie tymi idiotami.

Natomiast mężczyzna siedzący w kącie... cały był obleczony w brąz i nawet pod dachem nie zdjął z głowy kapelusza. Wyglądał na naprawdę niebezpiecznego. *Ciekawe, czy to on*

— pomyślał. O ile wiedział, nikt, kto widział Białego Lisa, nie uszedł z życiem, by o tym opowiedzieć. Minęło już dziesięć lat i odebrał w tym czasie ponad sto nagród. Ktoś musiał znać jego prawdziwe imię. W końcu władze z fortów wypłacały mu te nagrody.

Właścicielka karczmy, pani Cisza, przeszła obok stolika i z bezceremonialnym stukiem postawiła na nim posiłek zamówiony przez Daggona. Skrzywiła się i dołała mu piwa. Dłoń mężczyzny zwilżyła odrobina przypominającej mydliny piany. Potem karczmarka pokuściła dalej. Była tęgą kobietą. Silną. W Lasach wszyscy byli silni. Przy najmniej ci, którzy przeżyli.

Nauczył się już, że ten złowrogi grymas na twarzy Ciszy oznacza przywitanie. Dała mu dokładkę dziczyzny. Zdarzało się jej to często i lubił sobie wyobrażać, że poczuła do niego sympatię. Może pewnego dnia...

Nie bądź głupi — pomyślał, zabierając się za polany grubą warstwą sosu posiłek Lepiej poślubić kamień niż Ciszę Montane. Byłby bardziej uczuciowy. Zapewne dała mu dodatkowy kawałek dlatego, że ceniła stałych klientów. Ostatnio przejeżdżało tędy coraz mniej ludzi. Za dużo cieni. I był też Chesterton. Paskudna sprawa.

— Zatem... ten Lis jest łowcą nagród?

Mężczyzna przedstawiający się jako Szczery wyraźnie zaczynał się pocić.

Daggon rozciągnął usta w uśmiechu. Tak jest, połknął haczyk

— Nie takim zwyczajnym. To największy z nich. Ale nie zwraca sobie głowy płótkami, a, bez obrazy, przyjacielu, nie wyglądasz mi na grubą rybę.

Jego przyjaciel robił się coraz bardziej podenerwowany. Co właściwie przeszkrobał?

— Ale — wyjąkał — nie przyszedłby po mnie... zakładając, że jestem winny jakiegos uczynku, oczywiście... a przy najmniej nie zrobiliby tego tutaj, prawda? Gospoda pani Ciszy jest pod ochroną. Wszyscy o tym wiedzą. Czyha tu cień jej zmarłego męża. Miałem kiedyś kuzyna, który go widział. Naprawdę.

— Biały Lis nie boi się cieni — oznajmił Daggon, pochylając się ku niemu. — Co prawda, nie sądzę, by zaryzykował pojawienie się tutaj, ale nie z powodu jakiegos cienia. Wszyscy wiedzą, że to neutralny grunt. Trzeba mieć jakieś bezpieczne miejsce, nawet w Lasach. Ale...

Uśmiechnął się do wracającej do kuchni Ciszy. Tym razem się nie skrzywiła. Z pewnością zdobywał jej sympatię.

— Ale? — pisała Szczery.

— No cóż... — odparł Daggon. — Mógłbym ci opowiedzieć parę rzeczy o tym, jak Biały Lis łapie ludzi, ale, no wiesz, piwo już prawie mi się kończy. To wielka szkoda. Na pewno bardzo byś chciał usłyszeć, jak Biały Lis dorwał Makepeace'a Hapshire'a. To wspaniała historia.

Szczery zażądał piskliwym głosem kolejnego piwa, mimo że Cisza była w kuchni i nie mogła go słyszeć. Daggon zmarszczył brwi, lecz jego towarzysz położył z bólu stołu monetę, co

znaczyło, że prosi o dolewkę, gdy wróci Ciska albo jej córka. To wystarczy. Daggon uśmiechnęła się pod nosem i rozpoczęła opowieść.

Ciska Montane zamknęła drzwi głównej sali, a potem odwróciła się i oparła o nie plecami. Spróbowała uspokoić bijące szybko serce, miarowo oddychając. Czy pozostawiła jakieś oczywiste znaki? Czy wiedzieli, że ich poznała?

William Ann przeszła obok, wycierając rękę w szmatę.

— Mam o? — zapytała. — Mam o, czy ...

— Przy nieś książkę. Szybko, dziecko!

Twarz jej córki pobladła. Kobieta zawróciła do spiżarki na zapleczu. Ciska zacisnęła rękę na fartuchu, by uspokoić nerwy, a następnie podeszła do William Ann, gdy dziewczyna wyszła ze spiżarki, niosąc ciężki, oprawny w skórę tom. Jego grzbiet i okładkę pokrywała biała mąła pochodząca z kryjóWKi.

Ciska wzięła go w rękę i otworzyła na wysokim blacie, odsłaniając stertę luźnych kartek. Na większości z nich narysowano twarze. Gdy przerzucała kartki, jej córka wyglądała przez judasza do głównej sali.

Przez parę chwil oprócz łomotania serca Cisy było słyChać jedynie szelest przeglądanych pośpiesznie kartek

— To ten z długą szyją, prawda? — zapytała William Ann. — Pamiętam jego twarz z jednego z listów.

— To tylko Lament Winebare, drobny kłoniokrad. Wart ledwie dwie miarki srebra.

— Zatem kto? Ten z tyłu, w kapeluszu?

Ciska potrząsnęła głową. Wreszcie znalazła serię kartek na samym spodzie i przyjrzała się rysunkom. *Boże Na Zewnątrz* — pomyślała. *Nie potrafię zdecydować, czy chcę, żeby to byli oni.* Przynajmniej ręce przestały jej drżeć.

William Ann podbiegła do Cisy i wyciągnęła szyję, spoglądając jej przez ramię. Miała dopiero czternaście lat, a już była wyższa od matki. W życiu zdarzają się gorsze rzeczy niż dziecko wyższe od ciebie. Choć William Ann skarżyła się, że jest chuda i pokracczna, jej szczupła sylwetka zapowiadała wielką urodę. Będzie podobna do ojca.

— Och, Boże Na Zewnątrz — odezwała się dziewczyna, unosząc rękę do ust. — Chodziło ci o...

— Chesterton Divide — rzekła Ciska. — Zarys podbródka, wyraz oczu... Wyglądają tak samo. Wszedł nam prosto w rękę, z czterema swoimi ludźmi.

Nagroda za tych pięciu wystarczyłaby na zakup zapasów na cały rok. Albo nawet na dwa.

Zerknęła na słowa pod portretem, napisane wyraźnymi, grubymi literami. **Skrainie niebezpieczne. Poszukiwany za morderstwa, gwałty, wymuszenia.** Rzecz jasna, na końcu napisano

najważniejsze. **I skrytobójstwo.**

Cisza zawsze się zastanawiała, czy Chesterton i jego ludzie zamierzali zabić gubernatora najpotężniejszego miasta na tym kontynencie, czy też był to jedynie przypadek. Zwykły napad rabunkowy, który doprowadził do nieoczekiwanych konsekwencji. Tak czy inaczej, Chesterton zdawał sobie sprawę, co uczynił. Przed tym incydentem był tylko zwyczajnym — choć sławnym — rozbójnikiem.

Teraz stał się kimś większym i znacznie bardziej niebezpiecznym. Wiedział, że jeśli zostanie pojmany, nie może liczyć na łaskę. Ostatni Port przedstawiał go jako anarchistę, źródło zagrożenia i psychopatę.

Nie miał powodów trzymać się w ryzach i nie robił tego.

Och, Boże Na Zewnątrz — pomyślała Cisza, spoglądając na listę jego zbrodni, która ciągnęła się aż po następną stronę.

William Ann wyszeptała pod nosem te same słowa.

— On tam jest? — zapytała. — Ale gdzie?

— Kupcy — wyjaśniła Cisza.

— Co?

Dziewczyna podbiegła do judasza. Drewno w drzwiach — a właściwie w całej kuchni — wyszorowano tak dokładnie, że zrobiło się niemal białe. Sebruki znowu sprzątała.

— Nie widzę tego — stwierdziła William Ann.

— Przyjrzyj się dokładniej.

Cisza w pierwszej chwili również tego nie dostrzegła, mimo że każdą noc spędzała nad książką, starając się zapamiętać wszystkie twarze.

Po paru chwilach jej córka wciągnęła nagle powietrze, unosząc ręce do ust.

— To strasznie głupie z jego strony. Dlaczego pokazuje się tak jawnie? Nawet jeśli jest przebrany.

— Wszyscy zapamiętają tylko kolejną zgraję głupich kupców z fortu, którzy myśleli, że mogą bezkarnie zapuścić się do Lasów. To sprytna przykrywką. Nawet jeśli za parę dni znikną ze szlaku, ludzie pomyślą, że dopadły ich cienie. O ile w ogóle kogokolwiek to obejdzie. Co więcej, w ten sposób Chesterton może podróżować szybko i otwarcie, a także zatrzymać się w gospodach etapowych, gdzie zbiera informacje.

Czy w ten sposób dowiadywał się, na kogo warto napaść? Czy jego ludzie odwiedzali już przedtem jej gospodę? Na tę myśl zrobiło się jej niedobrze. Wiele razy karmiła przestępców. Niektórzy byli jej stałymi klientami. Zapewne każdy człowiek w Lasach był winien jakiegoś przestępstwa, choćby tylko uchylania się od płacenia podatków narzucanych przez forty.

Chesterton i jego ludzie byli jednak inni. Nie potrzebowała listy ich zbrodni, by wiedzieć, do

czego są zdolni.

— Gdzie Sebruki? — zapytała.

William Ann otrząsnęła się, jakby wyrwała się z oszołomienia.

— Karmi świnię. Cienie! Chyba jej nie poznają, co?

— Nie — zapewniła Ciska. — Martwię się, że to ona ich pozna.

Sebruki mogła mieć tylko osiem lat, ale była zdumiewająco — szokująco — spostrzegawcza.

Ciska zamknęła książkę nagród, wspierając palce na jej skórzanej oprawie.

— Zabijemy ich, prawda? — zapytała William Ann.

— Tak

— Ile są warci?

— Dziecko, czasami nie chodzi o pieniądze.

Ciska usłyszała w swym głosie słabą nutę kłamstwa. Czasy robiły się coraz cięższe. Cena srebra z Bastionu i z Ostatniego Portu ciągle rosła.

Czasami nie chodziło o pieniądze, ale to nie był jeden z tych czasów.

— Przytnię truciznę — oznajmiła William Ann i odsunęła się od judasza.

— Coś lekkiego, dziecko — ostrzegła ją Ciska. — To niebezpieczni ludzie. Jeśli zaczną się dziać coś niezwykłego, zauważą to.

— Mamo, nie jestem głupia — odparła z przełaskiem William Ann. — Wezmę moczarnicę. Nie poczują jej w piwie.

— Połowę dawki. Nie chcę, żeby zwalili się na stół.

Dziewczyna skinęła głową, weszła do starego magazynu, zamknęła za sobą drzwi i zaczęła unosić deski podłogowe, by dostać się do trucizn. Od moczarnicy zakręci się im w głowach i nie będą mogli myśleć jasno, ale nie umrą.

Ciska nie mogła ryzykować użycia czegoś groźniejszego. Jeśli prowadzona przez nią gospoda przyciągnie podejrzenia, będzie to oznaczało koniec jej kariery i zapewne również życia. W oczach podróżnych musi pozostać zręczliwą, ale uczciwą karczmarzą, która nie zadaje zbyt wielu pytań. Jej gospodę uważano za bezpieczną nawet dla najgroźniejszych przestępców. Kobieta co noc kładła się spać z sercem wypełnionym strachem, że ktoś zorientuje się, iż podejrzenie wiele ofiar Białego Lisa zatrzymywało się tu przed śmiercią.

Odniosła książkę nagród do spiżarki. Tu również ściany wyszorowano do czysta, a półki odkurzono i wygładzono. Co za dziewczynka. Kto słyszał o dziecku, które wolało sprzątać, niż się bawić? Oczywiście, biorąc pod uwagę, przez co przeszła Sebruki...

Ciska nie mogła się powstrzymać przed sięgnięciem na najwyższą półkę i dotknięciem kuszy, która się tam znajdowała. Groty bełtów były srebrne. Przeznaczyła ją dla cieni i nigdy jeszcze nie strzelała z niej do ludzi. W lasach przelew krwi był zbyt niebezpieczny. Mimo to pocieszała ją

myśl, że w razie prawdziwego niebezpieczeństwa będzie miała broń pod ręką.

Schowała książkę nagród i poszła sprawdzić, co sły chać u Sebruki. Dziewczy nka rzeczywiście zajęła się świniami. Cisza lubiła mieć zdrową trzodę, choć oczywiście nieprzeznaczoną na mięso. Świnie ponoć odstraszały cienie. Była gotowa wykorzystać wszelkie dostępne narzędzia, by jej gospoda wydała się bardziej bezpieczna.

Sebruki kłęczała w chlewiku. Była drobną dziewczynką o śniadej skórce i długich, czarnych włosach. Nikt nie mógłby jej uznać za córkę Cizy, nawet gdyby nie znał jej nieszczęśliwej historii. Nuciła coś pod nosem, szorując ścianę.

— Dziecko? — odezwała się Cisza.

Sebruki odwróciła się ku niej z uśmiechem. Jak wiele mogło się zmienić przez jeden rok! W swoim czasie Cisza mogłaby przysiąc, że dziewczynka już nigdy się nie uśmiechnie. Przez pierwsze trzy miesiące spędzone w gospodzie Sebruki nie robiła nic poza gapieniem się na ściany. Gdziekolwiek ustawiła ją Cisza, dziewczynka przechodziła pod najbliższą ścianę, siadała na podłodze i wpatrywała się w nią przez cały dzień. Nie odzywała się ani słowem, a jej oczy były martwe jakoczy cienia.

— Dobrze się czujesz, ciociu Ciszko? — zapytała Sebruki.

— Wszystko w porządku, dziecko. Po prostu dręcą mnie wspomnienia. Sprzątasz teraz chlewik?

— Ściany trzeba było porządnie wyszorować — wyjaśniła Sebruki. — Świnie uwielbiają czystość. A przynajmniej Jarom i Ezekiel. Reszcie chyba jest wszystko jedno.

— Nie musisz aż tak się starać, dziecko.

— Lubię to robić — zapewniła Sebruki. — Dobrze się przy tym czuję. Potrafię sobie z tym poradzić. Chcę być pomocna.

No cóż, lepiej szorować ściany, niż gapić się na nie bezmyślnie przez cały dzień. Dzisiaj Ciszę cieszyło wszystko, co dostarczało dziewczynce zajęć. Byle tylko nie zaglądała do głównej sali.

— Świniom to pewnie się spodoba — stwierdziła Cisza. — Możesz tu jeszcze chwilę posiedzieć. Sebruki przyjrzała się jej z uwagą.

— Co się stało?

Cienie. Była okropnie spostrzegawcza.

— W głównej sali jest kilku mężczyzn o niewyparzonych językach — odparła. — Nie chcę, żebyś sły szała, jak przeklinają.

— Nie jestem dzieckiem, ciociu Ciszko.

— Jesteś — sprzeciwiła się stanowczo Cisza. — I będziesz mnie sły chać. Niech ci się nie zdaje, że inaczej nie dostaniesz różeg.

Sebruki zatoczyła oczami, ale wróciła do pracy. Znowu zaczęła nucić. Rozmawiając z nią,

Cisza nieraz wzorowała się na swej babci. Dziewczynka dobrze reagowała na stanowczość. Zdawała się jej pragnąć. Być może widziała w niej symbol tego, że ktoś panuje nad sytuacją.

Gdyby tylko naprawdę nad nią panowała. Była jednak Zwiadowcą. To nazwisko przyjęli jej dziadkowie i inni, którzy opuścili Rodzinny Łąd, by zbadać ten kontynent. Tak jest, była Zwiadowcą i niech ją szlag, jeśli pozwoli, by ktokolwiek się zorientował, jak bezradna często się czuje.

Idąc przez podwórko wielkiej gospody, zauważyła William Ann, mieszającą pastę, którą miała następnie dodać do piwa. Minęła ją i zajrzała do stajni. Jak można się było spodziewać, Chesterton powiedział, że odjadą zaraz po posiłku. Wielu wędrowców wolało spędzić noc w stosunkowo bezpiecznym budynku, ale on i jego ludzie byli przyzwyczajeni do nocowania w Lasach. Nawet jeśli wokół krążyły cienie, w rozbitym przez siebie obozowisku czuli się bezpieczniej niż w łóżku w etapowej gospodzie.

Dob, stary stajenny, właśnie skończył szcztokować konie. Nie musiał na razie ich poić. Zgodnie z poleceniami Ciszy zawsze czekał z tym do samego końca.

— Dobra robota, Dob — pochwaliła go. — Możesz chwilkę odpocząć.

Skinął głową.

— Dziękuję pani — wymamrotał.

Jak zwykle pójdzie na ganek, by zapalić fajkę. Dob był słaby na umyśle i nie miał pojęcia, czym naprawdę zajmuje się w swej gospodzie Cisza, ale towarzyszył jej od czasu śmierci William a i nigdy nie znała wierniejszego człowieka.

Zamknęła za nim drzwi, po czym wyjęła kilka woreczków z zamkniętej na klucz szafki ustawionej z tyłu stajni. Przyjrzała się im w słabym świetle, a potem ustawiła je na stole i dźwignęła pierwsze siodło na koński grzbiet.

Nim zdążyła osiodłać wszystkie zwierzęta, drzwi się otworzyły. Zamarła w bezruchu. Natychmiast przyszły jej na myśl stojące na stole woreczki. Dlaczego nie schowała ich pod fartuch? Była nieostrożna!

— Cisza Zwiadowca — zabrzmiał gładki głos, dobiegający od drzwi.

Kobieta stłumiła jęki zwróciła się w stronę gości.

— Theopolisie — rzekła — to nieuprzejme zakradać się do domu kobiety. Powinnam wyrzucić cię stąd jako intruza.

— No, no. To byłoby tak, jakby koń kopnął człowieka, który go karmi, hmmm?

Wysoki i chudy mężczyzna oparł się o drzwi, krzyżując ramiona na piersi. Nosił prosty strój, niezdradzający jego pozycji. Poborcy podatków z fortu raczej nie chcieli, by spotkani na szlaku ludzie wiedzieli, czym się zajmują. Na jego gładko wygolonej twarzy zawsze malował się ten sam protekcyjnalny uśmiezek. Jego ubranie było zbyt nowe i czyste, jak na kogoś, kto żył

w Lasach, nie był jednak dandysem ani głupcem. Theopolis był niebezpieczny, choć z innych powodów niż większość.

— Co tu robisz, Theopolisie? — zapytała, kładąc ostatnie siodło na grzbiet parskającego, dereszowatego wałacha.

— A czemu zawsze cię odwiedzam, Cisko? Z pewnością nie chodzi mi o twoje radosne usposobienie.

— Już zapłaciłam podatki.

— Tylko dlatego, że z większości jesteś zwolniona — zauważył mężczyzna. — Ale nie zapłaciłaś mi za transport srebra z zeszłego miesiąca.

— Ostatnio było dość trudno o pieniądze. Ale to wkrótce się zmieni.

— A co z bełtami do twojej kuszy? — zapytał Theopolis. — Zastanawiam się, czy nie próbujesz zapomnieć o cenie tych srebrnych grotów, hmmm? Był też transport części zamiennych do pierścieni ochronnych.

Skrzywiła się na jego płacziwy akcent, zajęta zaciąganiem popręgu. Cienie, Theopolis, co za dzień!

— Proszę, proszę — odezwał się mężczyzna, podchodząc do stołu. Wziął w rękę jeden z woreczków. — A cóż to takiego? Wygląda na sok z mokropora. Słyszałem, że świeci w nocy, jeśli podda się go najpierw działaniu odpowiedniego światła. Czy to jeden z tajemniczych sekretów Białego Lisa?

Wyrwała mu woreczek

— Nie wypowiadaj tego imienia — wysyczała.

— Masz kogoś na oku? — zapytał z uśmiechem. — To zachwycające. Zawsze się zastanawiałem, jak ich tropisz. Robisz dziurkę w tym woreczku, przytraczasz go pod siodłem, a potem podążasz za śladem świecących kropli? Hmmm? W ten sposób pewnie możesz ich śledzić przez długi czas i zabijać daleko stąd. To odwraca podejrzenia od twojej małej gospody.

Tak jest, Theopolis był niebezpieczny, ale potrzebowała kogoś, kto będzie przekazywał jej nagrody. Był szcurem i jak wszystkie szczury znał najlepsze nory, rowy i zakamarki. Miał kontakty w Ostatnim Porcie i mógł odbierać tam pieniądze w imieniu Białego Lisa. Dzięki temu nie musiała ujawniać swej tożsamości.

— No wiesz, ostatnio kusilo mnie, żeby cię wydać — oznajmił Theopolis. — Wiele grup prowadzi zakłady o tożsamość osławionego Lisa. Dzięki tej wiedzy mógłbym się wzbogacić, hmmm?

— Już jesteś bogaty — warknęła. — Można ci wiele zarzucić, ale z pewnością nie jesteś idiotą. Ten układ dobrze się sprawdzał przez dziesięć lat. Nie mów mi, że chcesz zamienić bogactwo na odrobinę złej sławy.

Uśmiechną się, ale nie zaprzeczył jej słowom. Zabierał dla siebie połowę każdej nagrody. Dla Theopolisa ten układ był bardzo korzystny. Nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo i wiedziała, że jest z tego bardzo zadowolony. Był urzędnikiem, nie łowcą nagród. Tylko raz widziała, jak zabił człowieka, i to takiego, który nie mógł się bronić.

— Za dobrze mnie znasz, Ciszo — rzekł ze śmiechem. — Stanowczo za dobrze. Proszę, proszę. Nagroda! Zastanawiam się, kto to może być. Będę musiał zajrzeć do głównej sali.

— Nie zrobisz nic w tym rodzaju. Cienie! Myślisz, że nie spłoszą się na widok poborcy podatków? Nie wąż się wszystkim zepsuć!

— Spokojnie, Cisza — odparł, nie przestając się uśmiechać. — Przestrzegam twoich zasad. Uważam, by nie pokazywać się tu zbyt często, żeby nie narazić cię na podejrzenia. Zresztą i tak nie mógłbym dziś tu zostać. Chciałem tylko złożyć propozycję. Ale zapewne nie będziesz jej potrzebowała! Ach, wielka szkoda. Po wszystkich tych kłopotach, na które się przez ciebie naraziłem, hmmm?

Przeszył ją chłód.

— W czym właściwie mógłbyś mi pomóc?

Wyjął z torby kartkę papieru, po czym rozwinął ją ostrożnie za długimi palcami. Chciał unieść papier, ale wyrwała mu go z ręki.

— Co to jest?

— To cię uwolni od długu, Ciszo! Nie będziesz już musiała się o nic martwić.

To był nakaz zajęcia, pozwalający wierzycielowi Ciszy — Theo polisowi — przejąć jej nieruchomości w charakterze rekompensaty. Forty rościły sobie prawa do władzy nad szlakami oraz ziemiami położonymi po obu ich stronach. Wysyłały nawet żołnierzy, by je patrolowali. Czasami.

— Cofam swoje słowa, Theopolisie — warknęła. — Z pewnością jesteś głupi. Chcesz poświęcić wszystko, co mamy, by zagarnąć kawałek ziemi?

— Z pewnością nie, Ciszo. Nie będzie trzeba niczego poświęcać! Naprawdę źle się czułem, widząc, że ciągle jesteś mi winna pieniądze. Czy nie byłoby lepiej, gdybym to ja przejął kontrolę nad finansami gospody? Nadal byś tu pracowała i zbierała nagrody, jak zawsze. Ale nie musiałabyś się już martwić o dług, hmmm?

Zmięła papier w dłoni.

— Chcesz zamienić mnie i moich bliskich w niewolników, Theopolisie?

— Och, nie dramatyzuj. Ludzie w Ostatnim Porcie zaczęli się niepokoić tym, że tak ważna placówka pozostaje w rękach nieznanego elementu. Przyciągasz uwagę, Ciszo, a to z pewnością ostatnie, czego byś chciała.

Kobieta jeszcze mocniej zmięła papier, zaciskając pięść. Konie wierciły się w boksach.

Theopolis się uśmiechał.

— No cóż — podjął. — Może to nie będzie konieczne. Może to będzie wysoka nagroda, hmm? Możesz mi udzielić jakichś wskazówek, żebym nie musiał się zastanawiać przez cały dzień?

— Zjeżdżaj — wyszeptła.

— Moja droga Ciska — odparł. — Krew Zwiadowców, uparta aż do ostatniego oddechu. Mówią, że twoi dziadkowie byli pierwszymi z pierwszych. Pierwsi badali ten kontynent, pierwsi osiedlili się w Lasach... Pierwsi zgłosili pretensje do samego piekła.

— Nie mów tak o Lasach. Są moim domem.

— Ale tak właśnie ludzie widzieli tę ziemię przed nadejściem Zła. Czy to cię nie ciekawi? Piekło, kraina potępionych, miejsce, gdzie cienie umarłych mają swój dom. Ciągłe zadaję sobie pytanie, czy gospody naprawdę strzeże cień twojego zmarłego męża, czy to po prostu kolejna historia, którą opowiadasz ludziom, żeby poczuli się bezpieczniej, hmm? Wydajesz fortunę na srebro. To zapewnia ci prawdziwą ochronę i nigdy nie udało mi się odnaleźć aktu twojego małżeństwa. Oczywiście, jeśli on nie istnieje, to by znaczyło, że nasza droga William Ann jest...

— Zjeżdżaj!

Uśmiechnął się, ale uchylił kapelusza i wyszedł. Słyszała, jak wdrapał się na siodło, a następnie odjechał. Wkrótce zapadnie noc, ale zapewne nie miało sensu liczyć na to, że Theopolisa dopadną cienie. Już od dawna podejrzewała, że ma w pobliżu kryjówkę, być może jaskinię o ścianach wyłożonych srebrem.

Oddychała miarowo, próbując się uspokoić. Theopolis był irytujący, ale nie wiedział wszystkiego. Skierowała swą uwagę z powrotem na konie. Wypełniła wiadro wodą, dodała do niej zawartość woreczków, a następnie dała zwierzętom się napić. Wszystkie były spragnione.

Woreczki wypełnione sokiem — jak sugerował Theopolis — zbyt łatwo byłoby odkryć. Co by się zdało, gdyby ścigani zdjęli siodła na noc i je zauważyli? Uświadomiliby sobie, że ktoś ich śledzi. Potrzebowała czegoś mniej oczywistego.

— Jak mam sobie z tym poradzić? — wyszeptła, gdy ostatni koń pił wodę. — Cienie. Otoczyli mnie ze wszystkich stron.

Zabij Theopolisa. Tak postąpiłaby jej babcia. Ciska rozważyła tę możliwość.

Nie — pomyślała. Nie stanę się kimś takim. Nie zmienię się w nią. Theopolis był zbirzem i lajdakiem, ale nie złamał żadnego prawa. O ile wiedziała, nie wyrządził nikomu bezpośredniej krzywdy. Zasad powinno się przestrzegać, nawet tutaj. Pewnych granic nie powinno się przekraczać. Niewykluczone, że w tej sprawie nie różniła się zbytnio od ludzi z fortów.

Znajdzie inne wyjście. Theopolis posiadał tylko kwit dłużny. Miał obowiązek go jej pokazać. To znaczyło, że Cisy pozostał jeszcze dzień albo dwa na znalezienie pieniędzy. Prawo wszystko to

regulowało. Forteczne Miasta ponoć były cywilizowane. Te zasady stwarzały jej szansę.

Wyszła ze stajni. Zajrzała przez okno do głównej sali i zauważyła, że William Ann przyniosła piwo „kapcom” z bandy Chestertona. Zatrzymała się, by się temu przyjrzeć.

Lasy za jej plecami zaszeleściły na wietrze.

Cisza wyteżyła słuch, po czym zwróciła się twarzą ku nim. Ludzi z fortów poznawało się po tym, że nie chcieli patrzeć na Lasy. Zawsze odwracali wzrok, by nie zaglądać w ich głębie. Pełne powagi drzewa porastały niemal każdy cal kontynentu, ziemia kryła się w cieniu ich liści. Nieruchome. Milczące. Żyły w nich zwierzęta, ale badacze z fortów zapewniali, że nie ma tam drapieżników. Cienie już dawno się z nimi rozprawiły, przyciągnięte rozlewem krwi.

Gdy patrzyło się na Lasy, te jakby się cofały. Ciemność ich głębi odpływała, milczenie ustępowało miejsca szelestowi gryzoni buszujących wśród spadłych liści. Zwiadowca wiedział, że Lasom trzeba patrzeć prosto w twarz. Że badacze się mylą. Czał się tam drapieżnik i to one same nim były.

Odwróciła się i podeszła do drzwi kuchni. Najważniejszym celem było dla niej utrzymanie gospody, a to znaczyło, że musi zgarnąć nagrodę za Chestertona. Nie wierzyła, by wszystko mogło zostać po staremu, jeśli nie zdoła spłacić Theopolisa. Pochwycił ją za gardło. Nie mogła opuścić gospody. Nie była obywatelką fortów, a czasy były zbyt ciężkie, by miejscowi koloniści zgodzili się ją przyjąć. Musiałaby tu zostać i pracować do Theopolisa, a on wpędziłby ją w nędzę, żądając coraz większego procentu od nagród.

Otworzyła drzwi kuchni i...

Sebruki siedziała na kuchennym stole, trzymając kuszę na kolanach.

— Boże Na Zewnątrz! — wydyszała Cisza. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

— Dziecko, co ty...

Dziewczynka spojrzała na nią. Do jej oczu powrócił udręczony wyraz, zniknęły z nich życie i uczucia. Wyglądały jakocy cienia.

— Mam gości, ciciu Ciszo — oznajmiła Sebruki zimnym, monotonnym głosem. Korba kuszy spoczywała tuż obok niej. Dziewczynka zdołała sama naładować broń i naciągnąć cięciwę.

— Pokryłam czubek grotu czarną krwią. Dobrze zrobiłam, prawda? Dzięki temu trucizna na pewno go zabije.

— Dziecko...

Cisza postąpiła krok naprzód.

Sebruki obróciła kuszę na kolanach i uniosła ją pod kątem, celując w kobietę. Jeden mały palec trzymała na spuście.

Gapiała się przed siebie, a jej oczy nic nie wyrażały.

— To się nie uda, Sebruki — rzekła stanowczym tonem Cisza. — Nawet jeśli zdołasz unieść tak

ciężką broń we wspólnej sali, nie trafiłabyś w niego. A nawet gdybyś trafiła, jego ludzie zamordowaliby w odwecie nas wszystkich!

— Wcale bym się tym nie przejęła — odrzekła cicho Sebruki. — Wystarczy mi, że go zabiję. Że nacisnę spust.

— A my cię nie obchodzimy? — warknęła kobieta. — Przyjęłam cię, dałam ci dom i tak mi się odplacasz? Kradniesz broń? Grozisz mi?

Dziewczynka zamruwała.

— Co się z tobą dzieje? — zapytała Cisza. — Chcesz przelać krew w tym miejscu azylu? Ściągnąć na nas cienie, naruszyć nasze osłony? Jeśli się przez nie przedostaną, zabiją wszystkich, którzy przebywają pod moim dachem! Ludzi, którym obiecałam bezpieczeństwo. Jak śmiesz!

Sebruki zadrżała, jakby nagle się obudziła. Spadła z niej maska. Dziewczynka upuściła kuszę. Cisza usłyszała trzask zwalnianego spustu. Bełt przeleciał cal od jej policzka i rozbił szybę za jej plecami.

Cienie! Czy ją drasnął? Czy Sebruki przelała krew? Cisza uniosła drżącą dłoń, ale na szczęście nie poczuła krwi. Bełt jej nie trafił.

Chwilę później łkająca dziewczynka wpadła w jej ramiona. Cisza uklęka, by ją przytulić.

— Sza, maleńka. Już dobrze. Już dobrze.

— Wszystko słyszałam — wyszeptala Sebruki. — Mama ani razu nie krzyknęła. Wiedziała, że tam jestem. Była silna, ciociu Ciszo. Dlatego ja też mogłam być silna, nawet gdy popłynęła krew i zmoczyła mi włosy. Słyszałam to. Słyszałam wszystko.

Cisza zamknęła oczy, przytulając ją mocno. Tyłko ona zdecydowała się na zbadanie spalonego gospodarstwa. Ojciec Sebruki zatrzymywał się niekiedy w gospodzie. To był dobry człowiek. Na tyle dobry, na ile to możliwe dla kogoś, kto przeżył, gdy Zło zawładnęło Rodzinnym Łądem.

W tłących się ruinach znalazła zwłoki kilkunastu osób. Wszystkich zamordowali Chesterton i jego ludzie. Nawet dzieci. Ocalała tylko Sebruki, najmłodsza, wciśnięta do schowka pod podłogą w sypialni.

Leżała tam, złana krwią matki, i milczała, nawet gdy Cisza już ją znalazła. Udało się to jej tylko dzięki temu, że Chesterton był ostrożny i posypał ściany oraz podłogę sypialni srebrnym pyłem dla ochrony przed cieniami, zanim dokonał zabójstw. Kobieta próbowała odzyskać choć trochę pyłu, który wniknął między podłogowe deski, i zobaczyła oczy spoglądające na nią między szparami.

W ostatnim roku Chesterton spalił trzynaście gospodarstw i zamordował ponad pięćdziesięciu ludzi. Ocalała tylko jedna Sebruki.

Dziewczynka dygotała, łkając rozpaczliwie.

— Dlaczego... dlaczego?

— Nie było żadnego powodu. Przykro mi.

Co więcej mogła zrobić? Wygłosić jakieś głupie słowa pocieszenia o Bogu Na Zewnątrz? Były w Lasach. Tutaj banały nie zapewniały przetrwania.

Tuliła dziewczynkę, aż wreszcie jej płacz zaczął cichnąć. William Ann weszła do środka i nagle znieruchomiała obok kuchennego stołu, trzymając w rękach tacę z pustymi kufkami. Zerknęła na leżącą na podłodze kuszę, a potem na wybite okno.

— Zabijesz go? — wyszeptła Sebruki. — Wymierzysz mu sprawiedliwość?

— Sprawiedliwość umarła razem z Rodzinnym Łędem — odparła Ciszka. — Ale, tak, zabiję go.

Obiecuję ci to, dziecko.

William Ann podeszła nieśmiało do kuszy i odwróciła ją, demonstrując złamane łuczysko. Ciszka wypuściła powietrze z płuc. Nie trzeba było zostawiać broni tam, gdzie mogła ją znaleźć Sebruki.

— Zajmij się gośćmi, William Ann — poleciła córce. — Ja zaprowadzę Sebruki na górę.

Dziewczyna na skinięła głowę, zerkając na rozbityą szybę.

— Nie przelano krwi — zapewniła Ciszka. — Nic nam nie grozi. Ale jeśli będziesz miała wolną chwilę, postaraj się znaleźć bełt. Grot jest ze srebra...

W tej chwili raczej nie mogły sobie pozwolić na marnowanie pieniędzy.

William Ann schowała kuszę do spiżarki, a Ciszka ostrożnie posadziła Sebruki na kuchennym stole. Dziewczynka obejmowała ją, nie pozwalając jej odejść, dała więc za wygraną i tuliła ją jeszcze przez chwilę.

William Ann zaczerpnęła kilka głębokich oddechów, jakby chciała się uspokoić, a potem wróciła do głównej sali z napełnionymi kufkami.

W końcu Sebruki zwolniła uścisk i Ciszka mogła przygotować napój nasenny. Następnie zaniósła dziewczynkę na stryżek nad główną salą, gdzie spały we trójkę. Dob nocował w stajni, a goście w lepszych pokojach na piętrze.

— Chcesz mnie uspić — odezwała się Sebruki, spoglądając zaczerwienionymi oczyma na kubek

— Rankiem świat wyda ci się weselszym miejscem — zapewniła Ciszka. *A ja nie mogę ryzykować, że wymkniesz się za mną nocą.*

Dziewczynka przyjęła z niechęcią kubek i przełknęła napój.

— Przepraszam. Za tę kuszę.

— Znajdziemy jakiś sposób, byś mogła odpracować koszt jej naprawy.

To wyraźnie pocieszyło Sebruki. Była kolonistką, urodziła się w Lasach.

— Kiedyś śpiewałaś dla mnie nocą — rzekła cicho dziewczynka, kładąc się i zamykając oczy.

— Kiedy mnie tu sprowadziłaś. Po... po...

Przełknęła ślinę.

— Nie byłam pewna, czy to zauważyłaś.

Nie była wtedy pewna, czy dziewczynka zauważyła cokolwiek.

— Zauważyłam.

Cisza usiadła na stołku przy łóżku Sebruki. Nie miała ochoty śpiewać, zaczęła więc nucić bez słów kołysankę, tę samą, którą śpiewała córce w ciężkich czasach tuż po jej przyjeździe na świat.

Wkrótce jednak słowa nadeszły same.

— Sza, małeńka... Osusz łzy. Noc nadchodzi, ale słońce musi wrócić. Śpij, małeńka... Wyśnij dobre sny. Wkoło ciemność, lecz nadejdzie pora, by się zbudzić...

Trzymała dłoń Sebruki, aż wreszcie dziewczynka zasnęła. Okno przy łóżku wychodziło na podwórko i Cisza widziała, jak Dob wyprowadza konie Chestertona. Pięciu mężczyzn w zdobnych kupieckich strojach wyszło z budynku i wdrapało się na siodła.

Wyjechali gęsiego na szlaki otoczyły ich Lasy.

Godzinę po zapadnięciu zmierzchu Cisza spakowała plecak w świetle kominka.

Ten ogień zapaliła jej babcia i od tego czasu nigdy nie zgasł. Omal nie straciła życia, rozniecając go, ale nie miała ochoty płacić za to handlarzom ognia. Cisza potrząsnęła głową. Babcia zawsze łamała konwenanse. Czy jednak jej wnuczka była lepsza?

Nie rozniecaj ognia, nie przelewaj krwi drugiego, nie biegaj nocą. To wszystko przyciąga cienie.

To były Proste Zasady, którymi kierowali się wszyscy koloniści. Wielokrotnie pogwałciła wszystkie trzy. To cud, że sama nie została cieniem.

Ciepło ognia wydawało się jej odległe. Przygotowywała się do zabijania. Zerknęła na starą kapticzkę, właściwie będącą tylko szafką. Nigdy jej nie otwierała. Płomienie przypomniały jej o babci. Niekiedy myślała, że ogień nią jest. Sprzeciwiała się zarówno ceniom, jaki fortom aż do samego końca. Cisza oczyściła gospodę z innych pamiątek po niej, poza tą kapticzką Boga Na Zewnątrz. Kryła się ona za zamkniętymi drzwiami obok spiżarki. Na ścianie przy nich wisiał kiedyś srebrny sztylet babci, symbol starej religii. Wytrawiono w nim służące jako osłony znaki reprezentujące bóstwa. Cisza zawsze nosiła go ze sobą, nie z uwagi na nie, lecz dlatego, że był ze srebra. Dla kogoś, kto wędrował po Lasach, tego metalu nigdy nie było zbyt wiele.

Spakowała bagaż bardzo starannie. Najpierw włożyła do środka apteczkę, a następnie spory woreczek srebrnego proszku, leczącego wyniszczenie. Potem poszło dziesięć worków z grubej tkaniny, impregnowanych od środka smołą, żeby nie przeciekały. Na koniec dodała lampę oliwną. Wolałaby jej nie używać, ponieważ nie ufała ogniowi. Ogień mógł przyciągnąć cienie. Niemniej podczas poprzednich wypraw lampka nieraz okazywała się użyteczna. Zabierze ją ze sobą, ale zapali tylko wtedy, gdy natrafi na kogoś, kto już rozpałił ogień.

Uporawszy się z tym zadaniem, zawahała się, po czym poszła do starego magazynu.

Podniosła parę desek podłogowych i wyjęła spod nich małą, szczerlnie owiniętą baryłkę leżącą obok trucizn.

Proch strzelniczy.

— Mamo? — odezwała się William Ann. Cisza poderwała się gwałtownie. Nie słyszała, jak dziewczyna weszła do kuchni.

Omali nie wypuściła z rąk baryłki. Na tę myśl serce niemalże jej stanęło. Przekłęła własną głupotę, wsuwając baryłkę pod pachę. Proch nie wybuchnie bez ognia. Tyle przynajmniej wiedziała.

— Mamo! — powtórzyła William Ann, wlepiając spojrzenie w baryłkę.

— Zapewne nie będę go potrzebowała.

— Ale...

— Wiem. Cicho.

Podeszła do plecaka i schowała do niego baryłkę. Przytwierdzono do niej krzesiwo babci, ze szmatką wepchniętą między metalowe ramiona. Zapłon prochu uważano za rozniecanie ognia. Tak przynajmniej sądziły cienie. Przyciągał je równie szybko jak krew, czy to za dnia, czy w nocy. Pierwsi uchodzący z Rodzinnego Łądu szybko przekonali się o tym na własnej skórze.

Pod pewnymi względami krwi łatwiej było uniknąć. Zwyczajny krwotok z nosa albo krwawienie miesięczne nie przyciągały cieni. Nawet tego nie zauważały. To musiała być krew drugiego, przelana własnymi rękami. Zawsze najpierw atakowały tego, kto ją przelał. Oczywiście, po jego śmierci często przestawało je obchodzić, kogo zabiją później. Rozjuszone cienie były groźne dla wszystkich wkoło. Dopiero po zapakowaniu prochu Cisza zauważyła, że William Ann włożyła podrózne spodnie i buty. Miała też plecak tak samo jak jej matka.

— Co ty wyprawiasz, William Ann? — zapytała.

— Zamierzasz sama zabić pięciu mężczyzn, którzy dostali tylko połowę dawki moczarnicy, mamo.

— Robiłam już takie rzeczy. Nauczyłam się pracować sama.

— Tylko dlatego, że nie miałaś nikogo do pomocy. — Dziewczyna zarzuciła bagaż na ramię. — Ale teraz to się zmieniło.

— Jesteś za młoda. Wracaj do łóżka. Zajmij się gospodą, dopóki nie wrócę.

William Ann nie ruszyła się z miejsca.

— Dziecko, powiedziałam ci...

— Mamo — przerwała jej William Ann, stanowczo ujmując ją za ramię. — Nie jesteś już młoda! Myślisz, że nie widzę, że coraz bardziej utykasz? Nie możesz wszystkiego robić sama! Kiedyś będziesz musiała pozwolić, żebym zaczęła ci pomagać, do cholery!

Cisza przyjrzała się córce. Skąd się wzięła ta gwałtowność? Trudno jej było pamiętać, że

William Ann również pochodzi ze Zwiadowców. Babcia byłaby zniesmaczona na jej widok. Cisza ta myśl wypełniała dumą. William Ann miała prawdziwe dzieciństwo. Nie była słaba, a po prostu... normalna. Kobieta mogła być silna, nie stając się nieczuła jak cegła.

— Nie przeklinaj na matkę — rzekła jej po chwili.

William Ann uniosła brwi.

— Możesz iść ze mną — dodała Cisza, uwalniając rękę z uścisku córki. — Ale będziesz robiła, co ci każę.

Dziewczyna ze świstem wypuściła powietrze z płuc, po czym pokiwała z zapalem głową.

— Powiem Dobowi, że idziemy.

Wyszła z kuchni i zniknęła w ciemności. Szła powolnym krokiem typowym dla kolonistów. Wiedziała, że musi przestrzegać Prostych Zasad nawet na terenie otoczonym przez osłaniające gospodę srebrne pierścienie. Ignorowanie ich w bezpiecznych miejscach prowadziło do popełniania błędów tam, gdzie nie można było sobie na nie pozwolić.

Cisza wyjęła dwie miseczki i przygotowała w nich dwa różne rodzaje świecącej pasty. Skończywszy, wlała je do dwóch oddzielnych słoiczków, które również schowała do plecaka.

Następnie wyszła w noc. Było chłodno i rześko. W Lasach zapadła cisza. Rzecz jasna, krążyły po nich cienie.

Kilka przecinało trawiasty obszar, można je było dostrzec dzięki ich słabemu blaskowi. To były stare cienie, eteryczne i półprzezroczyste. Prawie już utraciły ludzki kształt. Ich głowy migotały, twarze zmieniały postać jak kółka z dymu. Ciągnęły ze sobą białe smugi długości ramienia. Cisza zawsze sobie wyobrażała, że to resztki ich ubrań.

Każda kobieta, nawet ze Zwiadowców, patrząc na cienie, czuła wypełniający ją chłód. Rzecz jasna, za dnia również krążyły po lasach, tylko po prostu nie było ich widać. Ale nawet wtedy atakowały tych, którzy rozniecili ogień albo przelali krew. Nocą były jednak inne. Szybciej reagowały na pogwałcenie. Do ataku prowokowały je wtedy również szybkie ruchy, co za dnia nigdy się nie zdarzało.

Cisza wyjęła jeden ze słoiczków ze świecą pastą. Okolicę zalał bladezielony blask. Był słaby, ale stały i niezmienny, w przeciwieństwie do migotliwego światła pochodni. Pochodnie były niepewne, ponieważ jeśli zgasły, nie można ich było rozpalić na nowo.

William Ann czekała na nią przy wejściu, z tyczkami w rękach.

— Będziemy musiały poruszać się cicho — oznajmiła jej matka, przytwierdzając słoiczki do tyczek — Możesz mówić, ale tylko szeptem. Już ci powiedziałam, że masz mnie słuchać. W każdej sprawie i bezzwłocznie. Ludzie, których ścigamy, zabiją cię albo nawet gorzej. Dla nich to jaksplunąć.

Dziewczyna na skinęła głową.

— Za mało się boisz — stwierdziła Cisza, osłaniając czarnym kapturkiem słoiczek z jaśniej świecącą pastą. Zapadł mrok, ale Gwiezdny Pas był dziś wysoko na niebie i część jego światła przebija się przez korony drzew, zwłaszcza jeśli nie będą się oddalały od szlaku.

— Nie... — zaczęła William Ann.

— Pamiętasz, jak ogar Harolda wściekł się ostatniej wiosny? — zapytała Cisza. — Pamiętasz ten wyraz w jego oczach? Brak rozpoznania? Żądę mordy? Ci mężczyźni są tacy sami, William Ann. To wściekłe psy. Trzeba ich zabić, jak tego ogara. Nie widzą w tobie ludzkiej istoty, a tylko mięso. Rozumiesz?

Dziewczyna ponownie skinęła głową. Cisza widziała, że jej córka nadal jest raczej podekscytowana niż wystraszona, ale na to nic nie można było poradzić. Wręczyła córce tyczkę ze słabiej świecącym słoiczkiem. Bładoniebieski blask nie oświetlał zbyt wiele. Cisza wsparła tyczkę na ramieniu, plecak przerzuciła przez drugie i wskazała głową w stronę szlaku.

Nieopodal jeden z cieni zbliżył się do granicy terenu gospody. Gdy dotknął cienkiej bariery z ułożonego na ziemi srebra, trysnęły skry. Stworzenie cofnęło się nagle i odpłynęło w drugą stronę.

Każde takie dotknięcie oznaczało dla Ciszy wydatek. Kontakt z cieniem niszczył srebro. Za to właśnie płacili jej klienci: za pobyt w gospodzie, której granicy nie sforsowano od z górą stu lat. Od dawna się nie zdarzyło, by na jej terenie uwieczono niepożądane cienie. To było swego rodzaju bezpieczeństwo. Najlepsze, jakie można było odnaleźć w lasach.

William Ann przekroczyła granicę, zaznaczoną przez łuk wielkich srebrnych pętli sterczących z ziemi. Zakotwiczone je w betonie, nie można więc było ich po prostu wyrwać. Zastąpienie jednego z nachodzących na siebie elementów pierścienia — były trzy takie kręgi, otaczające koncentrycznie gospodę — wymagało wykopania go i zdjęcia łańcuchów. To była ciężka robota i Cisza świetnie się z nią zaznajomiła. Nie było tygodnia, by nie musieli obrócić albo zastąpić jakiegoś elementu.

Cień odpłynął, nie zwracając na nie uwagi. Cisza nie wiedziała, czy zwyczajni ludzie byli dla nich niewidzialni, o ile nie złamali zasad, czy też po prostu uważały ich za pozbawionych znaczenia.

Dwie kobiety wyszły na pogrążony w mroku szlak, tu i ówdzie zarośnięty zielskiem. Drogi w Lasach nie należały do zbyt zadbanych. Być może to się zmieni, gdy forty wreszcie dotrzymają swych obietnic. Niemniej ludzie tędy wędrowali. Koloniści podróżowali do fortów, by sprzedawać żywność. Zboże zasiane na leśnych polanach było smaczniejsze i dawało lepsze plony niż to, co można było wyhodować w górach. Za króliki oraz indyki złapane w sidła albo hodowane w kłatkach można było dostać dobre srebro.

Ale nie za świnię. Tylko ludzie mieszkający w fortach mogliby się posunąć do tego, by jeść

wieprzowinę.

Tak czy inaczej, istniał tu handel i dzięki temu szlak nie zarósł całkowicie, nawet jeśli drzewa miały tendencję do wyciągania gałęzi nad drogę na podobieństwo chciwych rąk. Chciały ją odzyskać. Lasy nie lubiły ludzi, którzy do nich wtargnęli.

Obie kobiety posuwały się naprzód powoli i ostrożnie. Unikały gwałtownych ruchów. Wydawało się, że minęła cała wieczność, nim wreszcie coś się pojawiło na drodze przed nimi.

— Tam! — wyszeptała William Ann.

Jej matka wypuściła z płuc powietrze, uwalniając się wraz z nim od napięcia. Coś na szlaku lśniło niebieskawo w świetle pasty. Domysły Theopolisa na temat tego, jak Ciszka śledzi swe ofiary, były trafne, lecz nie do końca. To prawda, sok z mokropora świecił w blasku pasty znanej jako Ogień Abrahama, lecz również tak się przypadkowo składało, że ów sok działał na konie moczopędnie.

Ciszka przyjrzała się śladowi ze zmieszanego z moczem soku. Obawiała się, że Chesterton i jego ludzie skręcą do Lasów po opuszczeniu gospody. Mało prawdopodobne, ale niepokoiła się o to.

Teraz była już pewna, że złapała trop. Gdyby Chesterton miał zamiar zagłębić się w Lasach, zrobiłby to po kilku godzinach, by się upewnić, że nikt nie przejrzy jego maski. Zamknęła oczy i odetchnęła z ulgą. Potem wyrecytowała modlitwę dziękczynną. Zawahała się. Skąd się to wzięło? Minęło już bardzo wiele czasu.

Potrząsnęła głową, wyprostowała się i ruszyła w dalszą drogę. Podała sok wszystkim pięciu koniom, dzięki czemu znaków na drodze nie brakowało.

Dzisiejszej nocy Lasy wydawały się mroczne. Światło Gwiazdowego Pasa nie przesączało się przez gałęzie tak dobrze, jak należało. Cieni też chyba było więcej niż zwykle. Krążyły między drzewami, świecąc ledwie widocznym blaskiem.

William Ann mocno ścisnęła swoją tyczkę. Rzecz jasna, nieraz już wychodziła nocą. Nikt z kolonistów nie lubił tego robić, ale też żaden tego nie unikał. Nie można było spędzać całego życia w więzieniu, kuląc się ze strachu przed ciemnością. Gdyby tak postępowali... no cóż, nie byłiby lepsi niż ludzie z fortów. W lasach trudno było żyć i łatwo zginąć. Ale za to miało się wolność.

— Mamo — wyszeptała w pewnej chwili William Ann. — Dlaczego już nie wierzysz w Boga?

— Dziecko, czy to naprawdę czas na takie rozmowy?

Dziewczy na spuściła wzrok. Minęły kolejną plamę moczu lśniącego niebieskawym blaskiem.

— Zawsze odpowiadasz mi coś takiego.

— I z reguły staram się uchylić od odpowiedzi — przyznała Ciszka. — Ale na ogół nie wędruję nocą przez Lasy.

— Po prostu w tej chwili wydało mi się to ważne. Myliłaś się, mówiąc, że za mało się boję.

Ledwie mogę oddychać, ale wiem, jak wielkie kłopoty ma gospoda. Zawsze bardzo się gniewasz po wizytach pana Theopolisa. Nie odnawiasz też naszej srebrnej bariery tak często jak kiedyś. Co drugi dzień jesz tylko chleb.

— A dlaczego uważasz, że to ma coś wspólnego z Bogiem?

William Ann nadal nie unosiła wzroku.

Och, cienie — pomyślała Cisza. *Jest przekonana, że to kara. Głupia dziewczyna. Tak samo głupia jak jej ojciec.*

Minęły Stary Most, stąpając po jego rozklekotanych deskach. Gdy było jaśniej, nadal widziało się w głębiach fragmenty Nowego Mostu, reprezentujące obietnice fortów oraz ich dary, które zawsze wyglądały ładnie, ale szybko się zużywały. Ojciec Sebruki był jednym z tych, którzy pomagali w odbudowie Starego Mostu.

— Wierzę w Boga Na Zewnątrz — zapewniła Cisza, gdy już przeszły na drugą stronę.

— Ale...

— Nie oddaję mu czci, lecz to jeszcze nie znaczy, że w niego nie wierzę. W starych księgach tę krainę zwano ziemią potępionych. Nie sądzę, by modlitwy zdały się na wiele, jeśli ktoś już jest potępiony. To wszystko.

William Ann nie odpowiedziała.

Szły tak jeszcze przez dobre dwie godziny. Cisza zastanawiała się, czy pójść na skróty przez las, ale ryzyko zgubienia tropu było zbyt wielkie. Musiałyby wtedy zawrócić do punktu wyjścia. Poza tym te plamy, lśniące bladoniebieskim blaskiem w niedostrzegalnym świetle lampy, były czymś realnym. Liną ratunkową ze światła pośród otaczających je ze wszystkich stron cieni. Reprezentowały bezpieczeństwo dla niej i dla jej dzieci.

Obie liczyły czas między kolejnymi plamami moczu, nie przeszły więc zbyt daleko od miejsca, w którym ścigani zeszli ze szlaku. Po kilku minutach drogi bez nowego śladu zawróciły bez słowa i zaczęły badać pobocze po obu stronach. Cisza obawiała się, że to będzie najtrudniejsza część łowów, okazało się jednak, że z łatwością znalazły miejsce, gdzie mężczyźni skręcili w Lasy. Umożliwił im to świecący odcisk kopyta. Jeden z koni wdepnął w mocz pozostawiony przez drugiego i w ten sposób wskazał im drogę.

Cisza postawiła plecak na ziemi, by wyjąć garotę. Potem przystawiła palec do ust i gestem nakazała córce zacząć przy drodze. William Ann skinęła głową. W mroku kobieta nie widziała dokładnie twarzy córki, usłyszała jednak, że jej oddech przyspieszył. Mogła być osadniczką, przyzwyczajoną do nocy, ale zostać sama w Lasach...

Kobieta wzięła w rękę słoiczek z niebieską pastą i osłoniła go chusteczką. Następnie zdjęła buty oraz pończochy i zakradła się w noc. Gdy to robiła, zawsze wracały wspomnienia z dzieciństwa, gdy wyruszała do Lasów w towarzystwie dziadka. Dotykała ziemi palcami stóp, poszukując

gałązek, których trzask mógłby ją zdradzić.

Niemalże słyszała jego głos udzielający jej wskazówek, uczący oceniania wiatru i wykorzystywania szelestu liści do maskowania, gdy wkraczała na głośny teren. Dziadek kochał Lasy, aż do dnia, gdy go zabrały. *Nigdy nie nazywaj tej krainy piekłem — rzekł jej kiedyś. Darz ją szacunkiem, jak niebezpieczną bestię, ale nie nienawiścią.*

Między pobliskimi drzewami przemykały cienie, niemal niewidzialne, ponieważ nie było tu nic, co by je oświetlało. Trzymała się od nich na dystans, ale i tak kilkakrotnie poczuła, że któryś z nich przez nią przenika. Zejście się z cieniem mogło zabić człowieka, ale zdarzało się to rzadko. Jeśli nic ich nie rozjuszyło, cienie szybko się oddalały od ludzi, którzy zanadto się zbliżyli, jakby unosił je od nich lekki powiew. Temu, kto poruszał się powoli — jak należało — nic nie powinno grozić.

Słoiczek z pastą osłaniała chusteczką, pomijając tylko chwile, gdy chciała sprawdzić pobliski ślad. Cienie świeciły w jego blasku. Jeśli zrobiłyby się zbyt jasne, mogły ostrzec ściganych, że ktoś się zbliża.

Nieopodal rozległ się jęk. Kobieta zamarła w bezruchu. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Rozejrzała się wokół, bezgłośnie i nerwowo, aż wreszcie wypatrzyła mężczyznę, dobrze ukrytego w zagłębieniu u stóp drzewa. Poruszył się, masując się po skroniach. Dopadł go ból głowy, spowodowany przez truciznę podaną przez William Ann.

Po chwili zastanowienia Ciska okrążyła drzewo. Przykucnęła i przez pięć bolesnych minut czekała, aż mężczyzna znowu się poruszy. Wreszcie uniośł ręce.

Skoczyła naprzód, otoczyła mu szyję garotą i zacisnęła ją mocno. Uduszenie było najlepszym sposobem na zabicie człowieka w Lasach, ale trwało straszliwie długo.

Wartownik zaczął się miotać, unosząc ręce do gardła. Pobliskie cienie zatrzymały się.

Kobieta mocniej zacisnęła garotę. Bandyta, osłabiony trucizną, zaczął wierzgać, próbując uderzyć ją nogami. Odsunęła się do tyłu, nie zwalniając uścisku. Nie spuszczała z oka cieni. Rozglądały się wkoło, jak zwierzęta łapiące górny wiatr. Kilka z nich zaczęło blednąć. Ich naturalny blask tracił moc, zarysy przechodziły z białych w czarne.

To nie był dobry znak Ciska poczuła, że serce zabiło jej jak grom. *Umrzyj, do cholery!*

Mężczyzna przestał się miotać. Jego ruchy stawały się coraz bardziej ospałe. W końcu zadrżał po raz ostatni i znieruchomiał. Ciska czekała tam jeszcze przez bolesną wieczność, wstrzymując oddech. Wreszcie pobliskie cienie przeszły z czerni z powrotem w biel i wróciły do bezładnego wędrowania. Odwinęła garotę, oddychając z ulgą. Rozejrzała się jeszcze wkoło, by odzyskać orientację, po czym oddaliła się ukradkiem, wracając do William Ann.

Dziewczyna spisała się znakomicie. Ukryła się tak skutecznie, że Ciska nie mogła jej znaleźć, dopóki nie usłyszała szeptu:

— Mamo?

— Tak? — odpowiedziała Ciska.

— Dzięki Bogu Na Zewnątrz — rzekła William Ann, wyłączając z zagłębienia, w którym schowała się pod liśćmi. Z drzeniem ujęła matkę za ramię. — Znalazłaś ich?

— Zabiłam tego, który stał na straży — odparła Ciska, kiwając głową. — Czterech pozostałych powinno spać. Będziesz mi teraz potrzebna.

— Jestem gotowa.

— Chodź ze mną.

Ruszyły naprzód tą samą drogą, którą podążała poprzednio Ciska. Gdy dotarły do trupa wartownika, William Ann przyjrzała mu się, nie okazując litości.

— To jeden z nich — wyszeptła. — Poznaję go.

— Pewnie, że to jeden z nich.

— Chciałam się tylko upewnić. W końcu, no wiesz...

Niedaleko za posterunkiem wartownika znalazły obóz. Czterech mężczyzn spało na swych posłaniach, choć wokół krążyły cienie. Tylko Zrodzeni w Lasach mogliby się odważyć na coś takiego. Pośrodku obozowiska ustawili słoiczek ze świecą pastą. Ulokowali go w małym dołku, by nie świecił zbyt jasno, co mogłoby ich zdradzić, było jednak wystarczająco widno, by zobaczyć konie przywiązane po drugiej stronie obozu. W zielonym blasku ukazała się również twarz William Ann i wstrząśnięta Ciska zauważyła, że nie ma na niej strachu, lecz skupiony gniew. Dziewczy na szybko wczuła się w rolę opiekuńczej starszej siostry Sebruki. Była gotowa zabijać.

Ciska wskazała na mężczyznę leżącego najdalej na prawo. William Ann skinęła głową. To była niebezpieczna część zadania. Dostali tylko pół dawki i każdego z nich mogły obudzić dźwięki wydawane przez konających towarzyszy.

Ciska wyciągnęła z plecaka jeden z worków i wręczyła go córce. Następnie wyjęła młotek. To nie był wojenny oręż, o jakim opowiadał jej dziadek, lecz zwykłe narzędzie służące do wbijania gwoździ. Albo do innych zadań.

Pochyliła się nad pierwszym mężczyzną. Na widok twarzy śpiącego przeszył ją dreszcz. Jakaś pierwotna część jej jaźni czekała w napięciu, aż te oczy się otworzą.

Położyła córce trzy uniesione palce, a potem podkluliła je kolejno. Gdy opuściła trzeci, William Ann wsunęła worek na głowę mężczyzny. Kiedy się szarpnął, Ciska walnęła go mocno młotkiem w skroń. Czaszka pękła i zapadła się nieco. Mężczyzna ponownie się szarpnął i oklapł bezwładnie.

Ciska uniosła niespokojnie wzrok spoglądając na pozostałych trzech. William Ann zacisnęła mocno worek. Pobliskie cienie zatrzymały się, ale to zabójstwo nie przyciągnęło ich uwagi w takim stopniu jak uduszenie. Dopóki impregnowana smołą tkanina nie pozwoli krwi wypłynąć

na zewnątrz, nic nie powinno im zagrozić. Uderzyła mężczyznę w głowę jeszcze dwa razy, a następnie sprawdziła mu puls. Nic nie wyчуła.

Ostrożnie przeszły do następnej ofiary. To była okrutna praca, jak zarzynanie zwierząt. Łatwiej było uważać tych ludzi za wściekłe psy, jak powiedziała przedtem córce. Nie pomoże jej jednak, gdy będzie myślała o tym, co zrobili Sebruki. To by ją rozgniewało, a na to nie mogła sobie pozwolić. Musiała być zimna, bezgłówna i skuteczna.

By zabić drugiego mężczyznę, potrzeba było więcej ciosów w głowę, ale za to budził się wolniej od towarzysza. Wszyscy zrobili się senni od moczarnicy. To zioło znakomicie się nadawało do jej celów. Chciała, by byli niemrawi i nieco zdezorientowani. A także...

Trzeci mężczyzna usiadł na posłaniu.

— Co...? — zapytał bełkotliwie.

Cisza skoczyła na niego, złapała go za ramiona i obaliła na ziemię. Pobliskie cienie zawirowały, jakby usłyszały nagły hałas. Założyła mu garotę na szyję. Zaczął się szarpać, próbując ją zrzucić. Wtem William Ann wciągnęła powietrze z szoku.

Cisza przetoczyła się wkoło, owijając garotę szyję ofiary. Zaciśnęła ją mocno, wytężając mięśnie. Mężczyzna nie przestawał się miotać, ekscytując cienie. Był już bliski śmierci, gdy jego towarzysz zerwał się z posłania. Oszołomiony strachem, postanowił uciec do Lasów.

A niech to! To był sam Chesterton. Jeśli przyciągnie do siebie uwagę cieni...

Zostawiła trzeciego mężczyznę, który rozpaczliwie próbował zaczerpnąć oddechu. Zapominając o ostrożności, ruszyła w pościg.

Jeśli cienie wyniszczą Chestertona, zamieniając go w proch, nie będzie miała nic. Jeśli nie przedstawi trupa, nie dostanie nagrody.

Cienie otaczające obóz zniknęły jej z oczu. Dogoniła Chestertona tuż za jego granicami, przy koniach. W geście desperacji podcięła oszołomionemu mężczyźnie nogi i obaliła go na ziemię.

— Ty suko — wybełkotał, próbując ją kopnąć. — Jesteś ober zystką. Otrułaś mnie, ty suko!

Cienie wśród drzew zrobiły się zupełnie czarne. Gdy uruchomiły wzrok ziemi, pojawiły się zielone oczy, za którymi ciągnęła się świetlista mgiełka

Cisza odrzuciła na bok ręce wyrywające go się Chestertona.

— Zapłacisz za to — zapowiedział, próbując ją drapać. — Zapłacisz za to, ty...

Walnęła go młotkiem w ramię. Krzyknął głośno. Drugi cios zadała w twarz, łamiąc z chrzęstem kości. Jęknął, szarpiąc się bezładnie. Zerwała z siebie sweter i otoczyła nim głowę mężczyzny razem z młotkiem.

— William Ann! — wrzasnęła. — Przyńś mi worek! Worek, dziewczyno! Daj mi...

Córka ukłękła obok niej i założyła worek na głowę Chestertona, nim krew zdążyła przesiąknąć przez sweter. Cisza sięgnęła rozpaczliwie w bok, złapała za kamień i walnęła nim w spowitą tkaninę

czaszkę. Sweter tłumił krzyki bandyty, lecz zarazem osłabiał siłę ciosów. Musiała go uderzać raz po raz.

Wreszcie znieruchomiał. William Ann opuściła mu worekna szyję, by krew nie wypłynęła na zewnątrz. Dyszała szybko.

— Och, Boże Na Zewnątrz. Och, Boże...

Cisza odważyła się unieść wzrok. Wśród drzew unosiły się dziesiątki zielonych oczu, świecących w mroku niczym małe ogniska. William Ann zacisnęła powieki, szepcząc modlitwę. Po policzkach spływały jej łzy.

Cisza wyciągnęła powoli rękę i ujęła w dłoń srebrny sztylet. Przypomniała sobie inną noc, inne morze świecących zielonym blaskiem oczu. To była ostatnia noc jej babci. *Uciekaj, dziewczyno! UCIEKAJ!*

Wówczas ucieczka była możliwa. Znajdowały się blisko bezpiecznego miejsca. Mimo to babci się nie udało. Mogła tam dotrzeć, ale nie dotarła.

To wspomnienie przerażało Ciszę. To, co uczyniła babcia. I jak ona się zachowała... No cóż, dzisiaj miała tylko jedną szansę. Ucieczka ich nie uratuje. Azyl był zbyt daleko.

Na szczęście oczy zaczęły powoli przygasać. Cisza usiadła, pozwalając, by srebrny nóż wysunął się jej z palców i upadł na ziemię.

William Ann otworzyła oczy.

— Och, Boże Na Zewnątrz! — wydyszała, gdy cienie znowu stały się widoczne. — Cud!

— To nie był cud — sprzeciwiła się Cisza. — Po prostu fart. Zdążyliśmy go zabić na czas. Jeszcze sekunda i wpadłby w szal.

William Ann oplótła się ramionami.

— Och, cienie. Och, cienie. Myślałam, że już po nas. Och, cienie.

Nagle Cisza coś sobie przypomniała. Trzeci mężczyzna. Nie skończyła go dusić, nim Chesterton uciekł. Dźwignęła się ciężko na nogi i odwróciła.

Leżał nieruchomo na ziemi.

— Wykończyłam go — wyjaśniła William Ann. — Musiałam go udusić własnymi rękami. Własnymi rękami...

Cisza obejrzała się na nią.

— Świetnie się spisałaś, dziewczyno. Zapewne uratowałaś życie nam obu. Gdyby nie ty, nie zdołałabym zabić Chestertona, nie rozjuszając cieni.

Jej córka nadal wlepiła wzrok między drzewa, obserwując spokojne cienie.

— Co by się musiało wydarzyć, żebyś uznała to za cud, a nie za zbieg okoliczności?

— To musiałyby być cud, oczywiście — odparła ze spokojem kobieta. — A nie zwykły zbieg okoliczności. Chodź. Wsadzimy ich do drugiego worka.

William Ann poruszała się jak pogrążona w letargu, pomagając matce wciągać worki na głowy bandytów. Po dwa na każdego, na wszelki wypadek Krew była najbardziej niebezpieczna. Uciezka przyciągała cienie, ale powoli. Ogień rozjuszał je natychmiast, lecz również oślepił i zbijał z tropu.

Ale krew...

Krew przelana w gniewie, na otwartym powietrzu...

Jedna kropla wystarczała, by cienie zamordowały tego, kto ją przelał, i w wszystkich wokół.

Sprawdzała kolejno, czy biją im serca, ale nic nie wyczuła. Osiodłały konie, dźwignęły trupy na ich grzby i przywiązały je. Zabrały też posłania i resztę ekwipunku. Miała nadzieję, że bandyci mieli przy sobie choć odrobinę srebra. Prawa dotyczący nagród pozwalały jej zatrzymać dla siebie wszystko, co znalazła przy zabitych, chyba że list gończy wyraźnie wymieniał jakieś ukradzione przedmioty. W tym przypadku forty po prostu chciały śmierci Chestertona. Podobnie jak niemal wszyscy.

Cisza zaciągnęła mocno sznur, a potem znieruchomiała.

— Mam! — odezwała się William Ann, która również to usłyszała. Szelest liści w Lasach. Odsłoniły swój słoik z zieloną pastą, dodając jego blask do światła słoika bandytów. Obozowisko było dobrze oświetlone, gdy z Lasów wyjechało na koniach ośmioro mężczyzn i kobiet.

To byli ludzie z fortów. Piękne stroje i to, jak obserwowali Lasy, wypatrując cieni. Z całą pewnością miastowi. Cisza podeszła bliżej. Żałowała, że nie ma przy sobie choćby młotka. Wyglądałaby trochę groźniej. Młotek jednak nadal tkwił w worku, razem z głową Chestertona. Z pewnością była na nim krew, nie mogła więc go wyjąć, dopóki nie zaschnie albo dopóki nie znajdą się w naprawdę bardzo bezpiecznym miejscu.

— Popatrzcie tylko — odezwał się mężczyzna jadący na czele. — Nie uwierzyłem Tobiasowi, kiedy wrócił ze zwiadu, ale najwyraźniej to prawda. Wszystkich pięciu członków bandy Chestertona zabitych przez dwie osadniczek z Lasu?

— Kim jesteście? — zapytała Cisza.

— Jestem Red Young — odpowiedział mężczyzna, uchylając kapelusza. — Śledziłem tę zgraję od czterech miesięcy.

Skinął na swoich ludzi i kilku z nich zsiadło z koni.

— Mam! — wyszczała William Ann.

Cisza spojrzała w oczy Redowi. Był uzbrojony w pałkę, a jedna z kobiet miała jedną z tych nowych kusz strzelających tępy mi bełtami. Szybko się je naciągało i miały wielką siłę strzału, ale nie przelewały krwi

— Odsuń się od koni, dziecko — rozkazała córce.

— Ale...

— Odsuń się.

Wypuściła z ręki sznur konia, którego prowadziła. Trzech ludzi z fortów podniosło sznur. Jeden z mężczyzn tyłpał lubieżnie na William Ann.

— Jesteś rozsądna — pochwalili Ciszę Red, pochylając się i przyglądając się jej z uwagą. Jedna z towarzyszących mu kobiet przeszła obok, prowadząc konia Chestertona z przerzuconym przez siodło trupem właściciela.

Cisza podeszła do niego, kładąc dłoń na siodle. Prowadząca zwierzę kobieta zatrzymała się, a następnie spojrzała na przywódcę. Cisza wysunęła nóż z pochwy.

— Dasz nam coś — rzekła do Reda, ukrywając rękę z nożem. — Za to, co zrobiłyśmy. Jedna czwarta nagrody i nic nikomu nie powiem.

— Jasne — zgodził się, ponownie uchylając kapelusza. Jego uśmiech wyglądał fałszywie, jak na obrazie. — Niech będzie jedna czwarta.

Cisza skinęła głową i dotknęła niepostrzeżenie nożem cienkich sznurów utrzymujących Chestertona na siodle. To ułatwiło jej cięcie, gdy kobieta odprowadziła konia. Cisza odsunęła się, wspierając dłoń na ramieniu William Ann, i ukradkiem schowała nóż do pochwy.

Red po raz kolejny uchylił kapelusza i po paru chwilach łowcy nagród zniknęli między drzewami, zmierzając w stronę szlaku.

— Jedna czwarta — wysyczała William Ann. — Myślisz, że nam zapłaci?

— Nie ma mowy — odparła Cisza, podnosząc plecak — Miałymy szczęście, że nas nie zabił. Chodź. — Ruszyła w drogę. William Ann szła obok niej. Obie poruszały się z wielką ostrożnością, jakiej wymagały Lasy. — Może czas już, byś wróciła do gospody, William Ann.

— A co ty zamierzasz zrobić?

— Odzyskam nasz łup.

Była Zwiadowcą, niech to szlag. Żaden zarozumiały człowiek z fortów nie będzie jej okradał.

— Chcesz przeciąć im drogę na białym przejściu, jak sądzę. Ale co wtedy zrobisz? Nie możemy walczyć z tyloma ludźmi, mamó.

— Znajdę jakiś sposób.

Ten trup oznaczał wolność dla jej córek A nawet życie. Nie pozwoli, by przemknął jej między palcami niby dym. Wkroczyły w ciemność, mijając cienie, które jeszcze przed chwilą były gotowe je wyniszczyć. Teraz duchy już się oddalały, zupełnie niezainteresowane cielesnymi istotami wędrującymi pośród nich.

Zastanów się, Cisko. Coś tu naprawdę nie gra.

Jak ci ludzie zdołali odnaleźć obóz? Światło? A może podsłuchali, jak rozmawiała z William Ann? Twierdzili, że ścigali Chestertona przez kilka miesięcy. Czy nie powinna słyszeć o nich przedtem? Ci mężczyźni i kobiety sprawiali wrażenie zbyt świeżych i eleganckich, by mogli od

miesiący ścigać morderców w Lasach.

Prowadziło to do wniosku, którego nie chciała przyjąć. Tylko jeden człowiek wiedział, że miała dziś wyruszyć na łowy i widział, jak zamierzała wytropić łup. Tylko jeden człowiek mógł sprawić, że go jej ukradziono.

Theopolisie, mam nadzieję, że się mylę. Bo jeśli to ty za tym stoisz...

Cisza i William Ann włożyły się przez trzewia Lasów. Żarłoczne korony drzew nad ich głowami wypijały tu całe światło i ziemia, po której szły kobiety, była całkowicie jałowa. Cienie patrolowały te drewniane komnaty na podobieństwo ślepych wartowników. Red i jego łowcy nagród pochodzili z fortów. Będą się trzy mali szlaków i to zapewniało jej przewagę. Lasy nie były przyjacielem kolonistów. Wpadnięcie do znajomej rozpadliny wcale nie jest mniej niebezpieczne.

Cisza jednak świetnie potrafiła żeglować po tej otchłani. Znała tutejsze wiatry lepiej niż jakikolwiek człowiek z fortów. Być może nadszedł już czas, by wywołać burzę.

„Białym przejściem” koloniści zwali odcinek szlaku prowadzący przez porośnięte grzybami pole. Był on odległy o mniej więcej godzinę drogi przez Lasy i gdy wreszcie tam dotarli, Cisza czuła już ciężar nieprzespanej nocy. Zignorowała jednak zmęczenie i weszła na pole grzybów, trzymając słoiczek z zieloną pastą, której blask nadawał złowrogi wygląd drzewom i zagłębieniom terenu.

Szlak zataczał łuk, biegnąc przez Lasy, po czym zawracał w tę stronę. Jeśli łowcy nagród zmierzali do Ostatniego Portu albo innego z pobliskich fortów, będą musieli tędy przejechać.

— Idź dalej — poleciła córce Cisza. — Do gospody została tylko godzina drogi. Sprawdź, co się tam dzieje.

— Nie zostawię cię mamó.

— Obiecałaś mnie słuchać. Czy chcesz złamać słowo?

— A ty obiecałaś, że pozwolisz sobie pomóc. Masz zamiar złamać swoje?

— Tym razem nie będziesz mi potrzebna — odparła Cisza. — I to będzie niebezpieczne.

— Co zamierzasz zrobić?

Kobieta zatrzymała się na poboczu, a potem uklekła, by pogrzebać w plecaku. Po chwili wydobyła z niego baryłkę prochu strzelniczego. Twarz jej córki zrobiła się równie biała jak grzyby.

— Mamó!

Cisza wyjęła krzesiwo babci. Nie była pewna, czy nadal działa. Nigdy nie odważyła się ścisnąć metalowych, przypominających szczytce ramion. Gdyby to zrobiła, końce potarłyby o siebie, sypiąc skrami, a sprężyna spowodowałaby, że znowu oddaliłyby się od siebie.

Spojrzała na córkę, a następnie uniosła krzesiwo do skroni. William Ann odsunęła się,

spoglądając na boki, ku pobliskim cieniom.

— Czy naprawdę jest aż tak źle? — wyszeptwała. — To znaczy z nami?

Jej matka skinęła głową.

— W takim razie w porządku.

Głupia dziewczyna. No cóż, Cisza jej nie odeśle. Prawda wyglądała tak, że zapewne będzie potrzebowała pomocy. Zamierzała odzyskać tego trupa. Ciała były ciężkie, a nie było szans, by zdołała uciąć mu głowę. Nie w Lasach, gdzie było pełno cieni.

Ponownie pogrzebała w plecaku i wydobyla stamtąd apteczkę. Lekki zapakowano między dwiema deseczkami, mającymi służyć jako łubki. Nie było trudno przywiązać je z obu stron do krzesiwa. Wykopała kielnią w miękkim gruncie szlaku małą dziurę, mniej więcej wielkości baryłki z prochem.

Następnie wyciągnęła zatyckę i włożyła baryłkę do dziury. Nasączyła chusteczkę olejem do lamp, wsunęła jeden jej koniec do baryłki, a następnie położyła schowane między deseczkami krzesiwo na drodze, umieszczając drugi koniec chusteczki tuż obok produkujących iskry końców. Na koniec nakryła całe to ustrojstwo liśćmi, tworząc prostą pułapkę. Jeśli ktoś nadeptnie na górną deseczkę, ta naciśnie na krzesiwo, a powstałe w ten sposób iskry podpalą chusteczkę. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Nie mogła sobie pozwolić na to, by osobiście rozpałcić ogień. Cienie zawsze najpierw atakowały bezpośredniego sprawcę.

— A co się stanie, jeśli na to nie nadeptną? — zapytała William Ann.

— Przeniesiemy pułapkę w inne miejsce i spróbujemy znowu.

— Oczywiście wiesz, że to może spowodować rozlew krwi.

Cisza nie odpowiedziała. Jeśli pułapkę uruchomi czyjaś stopa, cienie nie uznają Ciszy za winną. Najpierw zaatakują tego, kto nadeptnie na deseczkę. Jeśli jednak popłynie krew, wpadną w szal. Wkrótce przestanie się liczyć, kto był sprawcą. Niebezpieczeństwo zagrozi wszy stłk.

— Zostało nam jeszcze kilka godzin ciemności — rzekła. — Zasłoń słoiczek z pastą.

William Ann skinęła głową, pośpiesznie zakrywając światło kapturkiem. Cisza raz jeszcze przyjrzała się swojej pułapce, a potem wzięła córkę za ramię i pociągnęła ją na pobocze. Chaszcze rosły tu gęściej, ponieważ szlak wiał się tam, gdzie w koronach drzew były luki. W Lasach ludzie szukali miejsc, gdzie widzieli niebo.

Łowcy nagród w końcu się zjawili. W milczeniu podążali naprzód, każdy oświetlony blaskiem swego słoiczka. Ludzie z fortów nie rozmawiali nocą. Minęli pułapkę, umieszczoną przez Ciszę w najwęższym punkcie szlaku. Kobieta wstrzymała oddech, obserwując posuwające się drogą konie. Nogi kolejnych nie trafiały w wyniosłość, pod którą kryła się deseczka. William Ann skuliła się, osłaniając uszy dłońmi.

Koń wszedł na pułapkę. Nic się nie wydarzyło. Poiry towana Ciska wypuściła powietrze z płuc. Co robi, jeśli się okaże, że krzesiwo jest uszkodzone? Czy będzie mogła znaleźć inny sposób...?

Wybuch nią wstrząsnął. Fala uderzeniowa szarpnęła jej ciałem. Cienie poczerniały w mgnieniu oka, zielone oczy otworzyły się nagle. Konie stawały dęba i rżały, ludzie krzy czeli.

Ciska wyrwała się z osłupienia, złapała William Ann za ramię i wyciągnęła ją z kryjówki. Pułapka okazała się skuteczniejsza, niż na to liczyła. Płonąca chusteczka pozwoliła koniowi postawić jeszcze kilka kroków, nim nadeszła eksplozja. Nie było krwi, tylko mnóstwo zaskoczonych wierzchowców i zбитych z tropu ludzi. Mała baryła z prochem strzelniczym nie wyrządziła tak wielkich szkód, jak spodziewała się Ciska — opowieści o prochu bywały taksamo przesadzone jak historie z Rodzinnego Łądu — ale huk był niewiarygodny.

Dzwoniło jej w uszach, gdy przepychała się między oszołomionymi łowcami nagród, aż wreszcie znalazła to, co miała nadzieję zobaczyć. Trup Chestertona leżał na ziemi. Sznury pękły i wierzgający koń zrzucił go z siodła. Ciska chwyciła zwłoki za ręce, a William Ann za nogi, i zanosły je bokiem do Lasów.

— Idioci! — ryknął Red pośród zamieszania. — Zatrzymajcie ją! To...

Przerwał, gdy cienie zalały szlaki zaatakowały jego ludzi. Red zdołał przedtem zapanować nad koniem, ale teraz musiał go cofnąć, oddalając się tanecznym krokiem od cieni. Były rozjuszone i zrobiły się zupełnie czarne, choć nagle eksplozja ognia i światła wyraźnie je oszołomiła. Krążyły beładnie wkoło, jakćmy wokół płomienia. Zielone oczy. Dobrze to. Jeśli staną się czerwone...

I nagle cień uderzył jednego z łowców nagród, który stał na drodze, kręcąc się wkoło. Mężczyzna wygiął plecy, na jego ciele pojawiły się czarne żyłki. Opadł z krzykiem na kolana. Jego twarz się zapadła, przeradzając się w czaszę.

Ciska odwróciła wzrok, ale William Ann gapiła się na niego z przerażeniem na twarzy.

— Powoli, dziecko — odezwała się, mając nadzieję, że jej głos zabrzmiał uspokajająco. Sama z pewnością nie czuła się spokojna. — Ostrożnie. Możemy się od nich oddalić. William Ann, spójrz na mnie.

Dziewczyna zwróciła ku niej twarz.

— Patrz mi w oczy. Ruszaj się. Tak jest. Pamiętaj, że cienie najpierw skierują się ku źródłu ognia. Są oszołomione, zbite z tropu. Nie potrafią zwęszyć ognia, jak robią to z krwią, i dlatego, gdy odwrócą się od niego, będą szukały najbliższych szybkich ruchów. Powoli, swobodnie. Niech miotający się na osłep ludzie z miasta przyciągną ich uwagę.

Obie kobiety weszły do Lasów boleśnie powoli. W obliczu tak wielkiego chaosu i niebezpieczeństwa mogło się zdawać, że pełzną. Red zdołał zorganizować opór. Z oszalały mi od ognia cieniami można było walczyć i zabijać je srebrem. Będzie ich napływało coraz więcej, ale jeśli zaatakowani okażą się sprytni i uśmiechnie się do nich szczęście, zdołają zniszczyć najbliższe,

a następnie powoli odsunąć się od źródła ognia. Mieli szansę ukryć się i przetrwać. Być może.

Chyba że któreś z nich przypadkowo przeleje krew.

Cisza i William Ann przecięły obszar porośnięty grzybami, które świeciły jak szczerze czaszki i kruszyły się bezgłośnie pod ich stopami. Szczęście nie do końca im sprzyjało, bo gdy cienie otrząsnęły się z dezorientacji, parę z tych, które znajdowały się na skraju grupy, odwróciło się i ruszyło w pogoń za uciekającymi kobietami.

William Ann wciągnęła gwałtownie powietrze. Cisza ostrożnie położyła na ziemi ramiona Chestertona i wyjęła nóż.

— Idź dalej — wyszeptła. — Odciągnij go. Ale powoli, dziewczyno. Powoli!

— Nie zostawię cię!

— Dogonię cię — odparła Cisza. — Nie jesteś na to gotowa.

Nie zwlekała, by sprawdzić, czy William Ann jej posłuchała. Cienie — czarne jak smoła sylwetki mknące nad usianą białymi grudkami ziemią — rzuciły się do ataku. W walce z nimi siła nie miała znaczenia. Nie były materialne. Ważne były tylko dwie rzeczy — szybkość i opanowanie strachu. Cienie były niebezpieczne, ale gdy człowiek miał srebro, mógł z nimi walczyć. Wielu ludzi zginęło dlatego, że rzucili się do ucieczki, przyciągając coraz więcej cieni, zamiast stawić im opór.

Gdy cienie były już blisko, Cisza zamachnęła się nożem. *Chcesz dopaść moją córkę, piekielny kundlu?* — warknęła w myślach. *Trzeba było zadowolić się miastowymi.*

Przeszyła pierwszy cień nożem, jakuczyła ją babcia.

Nigdy nie cofaj się przed cieniami ani nie kul się ze strachu. Pochodzisz ze Zwiadowców. Lasy są twoje. Należysz do nich tak samo jak inne stworzenia. Tak samo jak ja...

Przechodząc przez cień, nóż napotkał lekki opór. Trysnęły białe iskry. Stworzenie się odsunęło. Jego czarne witki oploty się wokół siebie.

Cisza zwróciła się ku drugiemu napastnikowi. Pod czarnym jak smoła niebem widziała tylko jego oczy, przeraźliwie zielone. Sięgnął ku niej.

Skoczyła do ataku.

Dotknęły jej widmowe dłonie. Zimne jak lód palce zacisnęły się na jej ręce poniżej łokcia. Czują to. Palce cieni były materialne, mogły chwycić i przytrzymać. Tylko srebro mogło je odeprzeć. Jedyne ono umożliwiało walkę.

Wepchnęła rękę głębiej. Z pleców cienia trysnęły skry, rozprzestrzeniając się na wszystkie strony jak pomyje wylwane z wiadra. Cisza westchnęła z przeraźliwego, lodowatego bólu. Nóż wysunął się jej z palców, których już nie czuła. Zatoczyła się do przodu i osunęła na kolana. Drugi cień przewrócił się na plecy, a potem zaczął wirować w szaleńczej spirali. Pierwszy leżał na ziemi jak zdychająca ryba. Spróbował się podnieść, ale jego górna połowa odpadła.

Jej rękę wypełniało porażające zimno. Spojrzała na zranioną kończybę. Ciało jej dłoni zaczęło się zapadać, przyciągane przez kości.

Usłyszała płacz.

— *Stois tu, Ciszo.* — To był głos babci. Wspomnienie pierwszego zabitego przez nią cienia.

— *I robisz, co ci każe. Tylko bez łez! Zwiadowcy nie płaczą. Zwiadowcy NIE PŁACZĄ.*

Wtedy właśnie nauczyła się nienawidzić babci. Miała dziesięć lat, w ręce trzymała swój mały nożyk, drżała i płakała w nocy, gdy babcia zamknęła ją z wędrownym cieniem w pierścieniu ze srebrnego pyłu.

Biegała wokół kręgu, rozjuszając cień ruchem. A Cisza była zamknięta wewnątrz. Ze śmiercią.

— *Tylko dzięki praktyce można się czegoś nauczyć, Ciszo. I ty się nauczysz, tak albo inaczej.*

— *Mamo!* — odezwała się William Ann.

Cisza zamrugała, wyrwana ze wspomnień. Córka sypnęła srebrny pył na jej odsłoniętą kończybę, powstrzymując wyniszczenie. William Ann, dławiąc się z gwałtownego płaczu, wysypała na dłoń matki całe srebro z woreczka przeznaczonego na nagłe przypadki. Metal odwrócił wyniszczenie i skóra znowu zrobiła się różowa. Czerń rozpuściła się pośród białych iskier.

Za dużo — pomyślała Cisza. William Ann w swym pośpiechu zużyła cały pył, znacznie więcej niż było potrzeba na jedną ranę. Trudno jej jednak było przywołać gniew, ponieważ czucie wróciło do jej dłoni i lodowate zimno ustąpiło.

— *Mamo?* — odezwała się dziewczyna. — Zostawiłam cię, jak kazałaś. Ale on był taki ciężki. Nie zaszłam zbyt daleko. Wróciłam po ciebie. Przepraszam. Wróciłam po ciebie!

— *Dziękuję* — rzekła Cisza, wciągając oddech. — *Dobrze zrobiłaś.*

Wyciągnęła rękę i ujęła córkę za ramię, po czym wyniszczoną przed chwilą dłonią zaczęła obmacywać ziemię w poszukiwaniu noża babci. Kiedy go uniosła, zobaczyła, że ostrze w kilku miejscach poczerniało, ale nadal nadaje się do użytku.

Na szlaku ludzie z miasta ustawili się w krąg i powstrzymywali cienie włócznie o srebrnych grotach. Wszystkie konie uciekły albo zostały pochłonięte. Cisza raz jeszcze obmacała ziemię i znalazła garść srebrnego pyłu. Resztę William Ann zużyła na uzdrowienie jej ręki. Za dużo.

Nie ma sensu teraz się tym martwić — pomyślała, wsypując garść pyłu do kieszeni.

— *Chodź* — rzekła, wstając. — *Przepraszam, że nie nauczyłam cię z nimi walczyć.*

— *Nieprawda* — sprzeciwiła się William Ann, ocierając łzy. — *Opowiedziałam mi wszystko na ten temat.*

Opowiedziałam. Ale nigdy nie pokazałam. Cienie, babciu, wiem, że jestem dla ciebie rozczarowaniem, ale nigdy jej tego nie zrobię. Nie mogę. Ale jestem dobrą matką. Ochronię je obie.

Dwie kobiety opuściły grzybowe pole, taszcząc swe makabryczne trofeum, i znowu ruszyły

przez Lasy. Mijały kolejne pociemniałe cienie, napływające ku walce. Przyciągały je te wszystkie iskry. Ludzie z miasta nie mieli szans. Za dużo zamieszania, zbyt wiele uwagi. Przed upływem godziny otoczy ich tysiąc cieni.

Cisza i William Ann powoli posuwały się naprzód. Choć chłód niemal całkowicie odpłynął z dłoni starszej kobiety, coś po nim pozostało. Wnikające głęboko drżenie. Kończyna, której dotknął cień, będzie powodowała dolegliwości przez długie miesiące.

To, co mogło się wydarzyć, byłoby jednak znacznie gorsze. Gdyby William Ann nie myślała szybko, Cisza zostałaby kaleką. Gdy wyniszczenie już się dokonało — czas był zmienny, ale nigdy nie trwało to długo — było nieodwracalne.

Coś zaszeleściło pośród drzew. Cisza zamarła w bezruchu, zmuszając córkę do zatrzymania się i rozejrzenia wkoło.

— Mam o? — wyszeptala William Ann.

Cisza zmarszczyła brwi. Noc była okropnie ciemna, a one musiały zostawić śluczki. *Coś tam jest* — pomyślała, próbując przesyć wzrokiem ciemność. *Czym jesteś? Boże Na Zewnątrz, ratuj nas, jeśli walka przyciągnęła jednego z Najgłębszych.*

Dźwięk już się nie powtórzył. Cisza z niechęcią ruszyła w dalszą drogę. Słysy przez dobrą godzinę i w ciemności kobieta nie uświadomiła sobie, że znowu zbliżyły się do szlaku, dopóki się na nim nie znalazły.

Wypuściła powietrze z płuc, upuściła ciężar na ziemię i poruszyła zmęczonymi rękami, zginając je w łokciach. Odrobina blasku Gwiazdnego Pasa przesączała się tu przez zaslonę gałęzi i po lewej stronie zobaczyły coś przypominającego wydatną żuchwę. Stary Most. Były już prawie w domu. Cienie nie okazywały tutaj nawet śladu podniecenia. Poruszały się na swój leniwy sposób, niby motyle.

Ręce okropnie ją bolały. Trup z każdą chwilą wydawał się coraz cięższy. Ludzie często nie zdają sobie sprawy z tego, jak wiele ważą zwłoki. Cisza usiadła. Odpoczną tu chwilę, zanim ruszą w dalszą drogę.

— William Ann, masz jeszcze w manierce trochę wody?

Jej córka jęknęła.

Cisza wyprostowała się nagle, a potem dźwignęła na nogi. Dziewczyna stała przy moście, a za nią rysowała się jakaś mroczna sylwetka. Noc wypełnił zielony blask, gdy postać wyjęła buteleczkę ze świecącą pastą. W słabej poświacie Cisza zauważyła, że to Red.

Mężczyzna z miasta przystawił sztylet do szyi William Ann. Walka nie skończyła się dla niego zbyt dobrze. Jedno oko miał mlecznobiałe, połowę twarzy poczerniałą, a skurczone wargi odsłaniały zęby. Cień poranił mu twarz. Miał szczęście, że przeżył.

— Tak też sobie myślałem, że będziecie tędy wracali — odezwał się bełkotliwym głosem,

znięształonym przez wyniszczone wargi. Z podbródka skapywała mu ślina. — Srebro. Dajcie mi srebro.

Jego nóż był zrobiony ze zwykłej stali.

— Natychmiast! — ryknął, wciskając sztylet w skórę dziewczyny. Jeśli choć ją skaleczy, cienie rzucą się na nich w kilka uderzeń serca.

— Mam tylko nóż — skłamała William Ann, wyjmując go i rzucając na ziemię przed nimi.

— Jest już za późno dla twojej twarzy, Red. Wyniszczenie się dokonało.

— Nic mnie to nie obchodzi — wyszczał. — A teraz ciało. Odsuń się od niego, kobieto. Szybko!

Cisza odsunęła się na bok. Czy zdoła go załatwić, zanim zabije William Ann? Będzie musiał się schylić po ten nóż. Jeśli skoczy w odpowiednim momencie...

— Zabiłaś moich ludzi — warknął Red. — Wszyscy zginęli. Boże, gdybym się nie przetoczył do tej niecki... Musiałem tego słuchać. Słuchać, jak ich mordowano!

— Tylko ty zachowałeś się ostrożnie — stwierdziła Cisza. — Nie mogłeś ich uratować, Red.

— Ty suk! Zabiłaś ich!

— Sami się zabili — wyszeptła. — Chcieliście przyjść do moich Lasów i zabrać to, co należy do mnie? Musiałam wybierać między twoimi ludźmi a moimi dziećmi, Red.

— Jeśli chcesz, żeby twoje dziecko przeżyło, nie ruszaj się z miejsca. Dziewczyno, podnieś ten nóż.

William Ann ukłękła z głośnym jękiem. Red naśladował jej ruchy, trzymając się tuż za nią. Obserwował Ciszę, nie cofając sztyletu od szyi dziewczyny. William Ann podniosła srebrny nóż drżącymi rękami.

Red odebrał go jej, po czym uniósł w drugiej dłoni. Pierwszą nadal przystawiał stalowy do szyi dziewczyny.

— Ona będzie niosła trupa, a ty zaczekasz tutaj. Nie chcę, żebyś się zbliżała.

— Oczywiście — odparła Cisza, snując już plany. W tej chwili nie mogła sobie pozwolić na atak. Był zbyt ostrożny. Podąży za nim przez Lasy, wzdłuż drogi, czekając na moment jego słabości.

Red splunął w bok.

W tej samej chwili z mroku wyleciał belt o wyściełanym czubku i trafił go w bark. Nóż Reda skaleczył szyję William Ann. Po kładzie spłynęła kropelka krwi. Prerażona dziewczyna otworzyła szeroko oczy, choć to było tylko draśnięcie. Zagrożenie dla jej szyi nie miało jednak znaczenia.

Ważna była krew.

Red zatoczył się do tyłu, dysząc. Trzymał się ręką za bark. Na jego nożu lśniło kilka kropelek

krwi. Cienie wokół nich poczerniały. Rozbłyśły zielone oczy, ale ich barwa szybko przeszła w szkarłat.

Czerwone oczy pośród nocy. Zapach krwi w powietrzu.

— Niech to piekło! — zawołał Red. — Niech to piekło!

Otoczył go krąg czerwonych oczu. Nie było miejsca na wahania ani niepewność. Cienie natychmiast zaatakowały tego, kto przelał krew.

Cisza wyciągnęła rękę do córki, ale Red objął ją i popchnął na najbliższy cień, próbując go powstrzymać. Potem odwrócił się i rzucił do ucieczki.

William Ann przeszła na wylot przez cień. Jej twarz zaatakowało wyniszczenie, skóra na brodzie i wokół oczu zwiędła. Dziewczyna potknęła się i wpadła prosto w ramiona matki.

Ciszę zalala nagła, porażająca panika.

— Nie! Dziecko, nie. Nie. Nie...

William Ann poruszyła ustami, wydając z siebie stłumiony dźwięk. Jej wargi kurczyły się, odsłaniając zęby, a oczy otwierały się szeroko, w miarę jak więdła otaczająca je skóra oraz powieki.

Srebro. Potrzebuję srebra. Mogę ją uratować. Uniosła raptownie głowę, ściskając córkę. Red uciekał wzdłuż szlaku, wymachując srebrnym sztyletem. Światło i iskry tryskały wokół niego na wszystkie strony. Cienie go otoczyły. Setki cieni, jak kruki zlatujące się ze wszystkich stron.

Nie w tę stronę. Cienie wkrótce go wykończą i zaczną szukać innych ofiar. Wszystko jedno jakich. William Ann nadal miała krew na szyi. Ją zaatakują najpierw. A nawet gdyby tak się nie stało, wyniszczenie postępowało szybko.

Sztylet nie wystarczy, by uratować dziewczynę. Cisza potrzebowała pyłu, sproszkowanego srebra, które mogłaby wsypać córce do gardła. Cisza pogrzebała w kieszeni i wydobyla stamtąd garstkę pyłu.

Za mało. Wiedziała, że to nie wystarczy. Uspokoila umysł, jak uczyła ją babcia, i wszystko natychmiast stało się jasne.

Gospoda była blisko. Tam miała więcej srebra.

— M... mamó.

Cisza uniosła córkę w ramionach. Była taka lekka... Jej ciało schło.

Kobieta odwróciła się i pobiegła w stronę gospody, wyętzając wszystkie siły, jakie jej pozostały. Bolały ją ręce osłabione długim wleczeniem trupa.

Trup... Nie mogła go stracić!

Nie. Nie będzie o tym myślała. Cienie go dopadną, gdy już rozprawią się z Redem. Był jeszcze wystarczająco ciepły. Nie będzie nagrody. Musiała się skupić na William Ann.

Po twarzy Ciszy spływały zimne łzy. Biegła z wiatrem. Córka drżała i dygotała w jej

ramionach, targana spazmami agonii. Jeśli umrze w ten sposób, stanie się cieniem.

— Nie mogę cię utracić! — rzekła Ciszka pośród nocy. — Proszę! Nie mogę cię utracić...

Za jej plecami Red wydał z siebie przeraźliwy, przeciągły krzyk agonii. Gdy wreszcie ucichł, cienie przystąpiły do uczy. Blżej Ciszki inne cienie zamarły w bezruchu, a ich oczy poczerwieniały.

Zapach krwi w powietrzu. Szkarłatne oczy.

— Nienawidzę cię — wyszeptała Ciszka, nie przestając biec. Każdy krok był straszliwym cierpieniem. Starzała się. — Nienawidzę cię! Za wszystko, co mnie przez ciebie spotkało. Co nas spotkało.

Nie wiedziała, czy mówi do babci czy do Boga Na Zewnątrz. Bardzo często wydawali się jej jednym i tym samym. Czy przedtem to sobie uświadamiała?

Gdy pędziła naprzód, smagały ją gałęzie. Czy to światło? Gospoda?

Otworzyły się przed nią nieprzeliczone setki czerwonych oczu. Padła na ziemię, doszczętnie wyczerpana. William Ann w jej ramionach przypominała ciężkie naręczce gałęzi. Dziewczyna drżała, oczy uciekły jej w głąb głowy.

Ciszka uniosła garstkę srebrnego pyłu, która jej pozostała. Pragnęła wysypać ją na William Ann, by oszczędzić dziewczynie choć odrobiny bólu, lecz z pełną jasnością zdawała sobie sprawę, że to byłoby marnotrawstwo. Opuściła wzrok, płacząc, i rozsypała tę szczyptę, otaczając siebie i córkę ochronnym kręgiem. Cóż innego jej pozostało?

William Ann dopadł atak drgawek. Oddychała chrapliwie, wpijając palce w ramię matki. Dziesiątki cieni otoczyły obie kobiety ciasnym pierścieniem. Czuly zapach krwi. Zapach ciała.

Ciszka mocno przytuliła córkę. Trzeba jednak było zabrać nóż. Nie uleczyłyby William Ann, ale przynajmniej pozwoliłyby jej walczyć.

Nie miała noża. Nie miała nic. Zawiodła. Babcia słusznie ją oceniała.

— Sza, Kochanie... — wyszeptała, zaciskając powieki. — Nie bój się.

Cienie dotknęły jej wątłej bariery, sypiąc skrami. Ciszka otworzyła oczy. Odsunęły się, ale zaraz nadeszły następne. Uderzały o srebro, czerwony blask ich oczu oświetlał czarne, wijące się sylwetki.

— Noc nadchodzi — wyszeptała, dławiąc się tymi słowami — ale słońce musi wrócić.

William Ann wygięła plecy w łuk, a następnie znieruchomiała.

— Śpij, maleńka... Wyśnij dobre sny. Wkroło ciemność, lecz nadejdzie pora, by się zbudzić...

Czuła się taka zmęczona. *Po co pozwoliłam jej pójść ze mną?*

Ale gdyby tego nie zrobiła, Chesterton by się jej wymknął, a cienie zapewne by ją zabiły. William Ann i Sebruki zostałyby wtedy niewolnicami Theopolisa albo spotkałyby je jeszcze gorszy los.

Nie miała wyboru. Nie miała drogi wyjścia.

— Dlaczego nas tu wysłałeś? — zawołała, spoglądając w ciemność, poza pierścień gorejących czerwonym blaskiem oczu. — Jaki w tym sens?

Odpowiedzi nie było. Nigdy nie nadchodziła.

Tak jest, z przodu było światło. Widziała je przez zasłonę nisko zwisających gałęzi. Od gospody dzieliło ją niewiele metrów. Zginie kilka kroków od domu, jak babcia.

Zamrugła, tuląc William Ann, gdy wąta srebrna bariera pęka.

Ta... ta gałąź tuż przed nią. Miała bardzo dziwny kształt. Długa, cienka, bez liści. W ogóle nie przypominała gałęzi, lecz raczej...

Bełt kuszy.

Wbił się drzewo po tym, jak wystrzelono go z gospody. Przypomniała sobie, jak patrzyła na niego, zwracając uwagę na błyszczący grot.

Srebro.

Cisza Montane wpadła do gospody przez tylne drzwi, ciągnąc za sobą wysuszone ciało. Dotarła do kuchni, ledwie trzymając się na nogach, i wypuściła ze zwiędłej dłoni bełt o srebrnym grocie.

Skóra nadal się jej kurczyła, a ciało więdło. Nie była w stanie uniknąć wyniszczenia, nie podczas walki z tak wieloma cieniami. Bełt tylko utorował jej drogę, umożliwił ostatnią, rozpaczliwą szarżę.

Ledwie widziała. Z jej zmętniałych oczu wypływały łzy. Mimo to wydawały się zupełnie suche, jakby stała na wietrze przez całą godzinę, trzymając je szeroko otwarte. Nie mogła mrugać ani poruszać ustami.

Miała... proszek. Chyba go miała.

Myśl. Umysł. Co?

Poruszała się bez udziału myśli. Słoik na parapecie. Na wypadek przerwania kręgu. Odkręciła wielko palcami sztywnymi niczym patyki. Na ich widok jakąś odległą część jej umysłu wypełniło przerażenie.

To śmierć. Umieram.

Wysypała zawartość słoika do zbiornika z wodą, a potem spuściła go, wypełniając kubek. Powlokła się do William Ann i uklękała obok niej, rozlewając mnóstwo wody. Resztę wylała drżącymi rękami na twarz córki.

Proszę. Proszę.

Ciemność.

— Wysłano nas tu po to, byśmy byli silni — oznajmiła babcia. Stała na szczycie klifu, spoglądając na wody. Jej białe włosy łopotały na wietrze, wijąc się niczym kosmyki cienia.

Odwróciła się, spoglądając na Ciszę. Jej pomarszczoną twarz pokrywały kropelki wody

wzbijane w górę przez tłukące o brzeg fale.

— Bóg Na Zewnątrz nas tu wysłał. Wszystko to jest częścią jego planu.

— Łatwo ci to powiedzieć, prawda? — odwróciła Ciska. — Do tego twojego mglistego planu można dopasować wszystko. Nawet zagładę całego świata.

— Nie będę słuchała bluźnierstw z twoich ust, dziecko. — Jej głos brzmiał jak chrzęst żwiru pod ciężkimi buciorami. Podeszła do Cisy. — Możesz sobie złorzeczyć Bogu Na Zewnątrz, ale to niczego nie zmieni. William był głupcem i idiotą. Lepiej ci będzie bez niego. Jesteśmy Zwiadowcami. Przetrywamy wszystko. To my kogoś dnia pokonamy Zło.

Ominęła wnuczkę i oddaliła się.

Babcia nigdy się do niej nie uśmiechnęła, nie od chwili śmierci męża Cisy. Uśmiechy były marnowaniem energii. A miłość... miłość była dobra dla ludzi z Rodzinnego Łądu. Tych, których zabiło Zło.

— Będę miała dziecko — oznajmiła Ciska.

Babcia zatrzymała się nagle.

— William?

— A kóżby inny?

Znowu ruszyła przed siebie.

— Nie potępiasz mnie? — zapytała Ciska i odwróciła się, krzyżując ramiona na piersiach.

— Stało się — odparła babcia. — Jesteśmy Zwiadowcami. Jeśli nasz ród może przetrwać tylko w ten sposób, to niech i tak będzie. Bardziej się martwię o gospodę i o to, jak zapłacimy tym cholernym fortom.

Mam pewien plan — pomyślała Ciska, przypominając sobie listy gończe, które ostatnio zaczęła zbierać. *Coś, na co nawet ty byś się nie odważyła. Coś niewyobrażalnego.*

Babcia dotarła do granicy Lasów i obejrzała się na nią z zaszępioną miną. Następnie włożyła kapelusz i ruszyła w dalszą drogę.

— Nie pozwolę ci się wtrącać w sprawy dziecka! — zawołała za nią Ciska. — Wychowam je tak, jak będę chciała.

Babcia zniknęła w leśnym mroku.

Proszę. Proszę.

Zrobię to!

Nie mogę cię utracić. Nie mogę...

Ciska wciągnęła powietrze, odzyskując przytomność. Wpijała palce w deski podłogowe, gapiąc się w sufit.

Żyła. Żyła!

Obok niej klęczał stajenny Dob, trzymając w rękach dzban ze sproszkowanym srebrem.

Kasznęła i uniosła palce — były pulchne, ciało się odrodziło — do szyi. Ona również była zdrowa, choć szorstka od kawałków srebra, które wepchnięto jej do gardła. Skórę kobiety pokrywały czarne drobiny zużytego metalu.

— William Ann! — zawołała, odwracając się.

Dziewczyna leżała na podłodze przy drzwiach. Lewą stronę ciała — tam, gdzie cień dotknął w pierwszej kolejności — miała poczerniałą. Twarz nie wyglądała najgorzej, ale dłoń przerodziła się w wyniszczony szkielet. Będą musieli ją uciąć. Noga również nie wyglądała najlepiej. Ciszka nie mogła ocenić jej stanu, dopóki nie opatrzy ran.

— Och, dziecko...

Uklękła przy córce.

William Ann oddychała miarowo. Zważywszy wszystko razem, to wystarczało.

— Próbowałem — rzekł Dob. — Ale sama przedtem zrobiłaś, co tylko się dało.

— Dziękuję — odparła Ciszka. Spojrzała na postarzałego mężczyznę o wysokim czole i pozbawionych wyrazu oczach.

— Złapałaś go? — zapytał Dob.

— Kogo?

— Ściganego.

— T... tak Ale musiałam go zostawić.

— Znajdziesz następnego — zapewnił stajenny swym monotonnym głosem, wstając na nogi.

— Lis zawsze potrafi ich znaleźć.

— Od jak dawna wiedziałeś?

— Proszę pani, jestem idiotą, ale nie głupcem.

Uklonił się i wyszedł, garbiąc się jak zwykle.

Ciszka dźwignęła się na nogi i podniosła William Ann, stękając z wysiłku. Zaniosła córkę do pokójów na górze, żeby ją zbadać.

Noga nie wyglądała tak źle, jak obawiała się tego Ciszka. Trzeba będzie amputować kilka palców stopy, ale reszta była w porządku. Cała lewa połowa ciała dziewczyny zrobiła się czarna i wyglądała jak osmalona. Z czasem ten kolor wyblaknie, przechodząc w szarość.

Wszyscy, którzy ją zobaczą, będą wiedzieli, co się wydarzyło. Wielu mężczyzn nigdy nie zechce jej dotknąć, bojąc się skazy. Może ją to skazać na samotne życie.

Wiem co nieco o takim życiu — pomyślała Ciszka, zanurzając szmatkę w kuble z wodą, by przetrzeć twarz córki. Dziewczyna będzie spała przez cały dzień. Była bardzo bliska śmierci i zamiany w cień, a po czymś takim ciało nie zdrowiało szybko.

Rzecz jasna, Ciszka również omal nie zginęła. Ona jednak przeżyła już kiedyś coś takiego. To była kolejna z prób babci. Och, jakże jej nienawidziła. Niemniej to jej szkoleniu zawdzięczała to,

kim była. Dzięki niemu stała się twarda. Czy mogła być jej wdzięczna i jednocześnie darzyć ją nienawiścią?

Skończyła obmywać córkę, przebrała ją w miękką koszulę nocną i położyła do łóżka. Sebruki nadal spała dzięki napojowi, który dała jej William Ann.

Zeszła na dół, do kuchni, by przemyśleć trudne sprawy. Do trupa z pewnością dobrały się już cienie. Skóra obróciła się w proch, a czaszka była poczerniała i zniszczona. Cisza nie mogła udowodnić, że schwytała Chestertona.

Usiadła za kuchennym stołem i splótła dłonie na blacie. Wolałaby łyknąć trochę whisky, by złagodzić wspomnienie o nocnej grozie.

Rozmyślała przez długie godziny. Czy mogła w jakiś sposób spłacić Theopolisa? Pożyczyć pieniądze od kogoś innego? Od kogo? Albo może zdobyć kolejną nagrodę? Ale w gospodzie zatrzymało się obecnie bardzo niewiele ludzi. Theopolis ostrzegł ją już, że swym nakazem. Nie będzie czekał dłużej niż dzień czy dwa, zanim zagarnie gospodę.

Czy naprawdę przeszła przez to wszystko tylko po to, by i tak przegrać?

Na jej twarz padły promienie słońca, a policzek musnął wietrzyk, wpadając do środka przez wybite okno. Cisza ocknęła się z drzemki przy stole. Zamrugwała i przeciągnęła się, czując ból w kończynach.

Westchnęła i podeszła do blatu. Zostawiła tam wszystkie materiały po wczorajszych przygotowaniach. Wypełniająca gliniane miseczki pasta nadal świeciła słabo, a bełt o srebrnym grocie leżał pod tylnymi drzwiami. Będzie musiała posprzątać i przygotować śniadanie dla kilku gości. A potem wymyślić jakiś sposób, który ...

Tylnie drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do środka.

...pozwole jej policzyć się z Theopolisem. Wypuściła lekko powietrze z płuc, spoglądając na niego. Miał na sobie czyste ubranie i uśmiechał się protekcyjnie. Wszedł do środka, zostawiając na podłodze błotniste ślady.

— Ciszo Montane, miły poranek, hmmm?

Cienie — pomyślała. *Nie mam w tej chwili mentalnych sił, by sobie z nim poradzić.*

Podszedł bliżej i zamknął okiennice.

— Co robisz? — zapytała.

— Hmmm? Czy nie mówiłaś mi przedtem, że nie znosisz, jak ludzie widzą nas razem? Bo mogą się domyślić, że przekazujesz mi swoje łupy? Po prostu staram się cię ochraniać. Czy coś się stało? Wyglądasz okropnie, hmmm?

— Wiem, co zrobięś.

— Naprawdę? Ale, rozumiesz, ja robię różne rzeczy. O której z nich mówisz?

Och, jakże pragnęła zmazać ten uśmieszek z jego ust, poderżnąć mu gardło, zdeptać ten

irytujący akcent z Ostatniego Portu. Nie mogła jednak tego zrobić. Był cholernie dobrym aktorem. Miała tylko domysły, zapewne trafne, ale niepoparte żadnymi dowodami.

Babcia zabiłaby go natychmiast. Czy jednak Ciszka aż tak rozpaczliwie pragnęła mu udowodnić, że była gotowa stracić wszystko?

— Byłeś w Lasach — oznajmiła. — Kiedy Red zaskoczył mnie przy moście. Myślałam, że ten szelest w ciemności, który usłyszałam, to był on. Ale myliłam się. Z jego słów wynikało, że czekał na nas przy moście. To ty kryłeś się w mroku. Ty strzeliłeś do niego z kuszy, by wytrącić go z równowagi, skłonić do przelania krwi. Dlaczego, Theopolisie?

— Krew? — zdziwił się Theopolis. — W nocy? I przeżyłaś? Muszę przyznać, że masz wielkie szczęście. To nadzwyczajne. Co jeszcze się wydarzyło?

Kobieta milczała.

— Przyszedłem po spłatę długu — ciągnął Theopolis. — Jak rozumiem, nikogo nie złapałaś, hmm? Być może jednak będziemy potrzebowali mojego dokumentu. Bardzo dobrze się składa, że przyniosłem drugą kopię. To będzie naprawdę cudowne dla nas obojga, nie sądzisz?

— Stopy ci świecą.

Zawahał się, po czym opuścił wzrok. Błoto, które zostawił na podłodze, lśniło słabiutkim niebieskim blaskiem w świetle resztek pasty.

— Śledziłeś mnie — stwierdziła Ciszka. — Byłeś tam nocą.

Uniosł wzrok. Jego twarz miała spokojny, obojętny wyraz.

— I co z tego?

Postąpił krok naprzód.

Ciszka cofnęła się, uderzając piętą o ścianę za plecami. Wyciągnęła rękę, złapała klucz i otworzyła drzwi za sobą. Kiedy to zrobiła, Theopolis złapał ją za rękę i odciągnął od nich.

— Szukasz swojej ukrytej broni? — zapytał z drwiącym uśmiechem. — Kuszy, którą trzymasz na półce w spiżarni? Tak wiem o niej. Czuję się rozczarowany, Ciszko. Czy nie możemy być uprzejmi?

— Nigdy nie podpiszę twojego dokumentu, Theopolisie — odparła, a następnie splunęła pod jego stopy. — Wolę umrzeć. Wolę zostać wygnana z domu. Możesz odebrać mi gospodę siłą, ale nie będę ci służyć. Niech cię szlag trafi, ty skurwysynu. Nie...

Uderzył ją w twarz. Gest był szybki, ale wyprany z emocji.

— Och, zamknij się wreszcie.

Zatoczyła się do tyłu.

— Nie dramatyzuj, Ciszko. Z pewnością nie ja jeden wolałbym, byś zachowywała się stosownie do swego imienia, hmm?

Oblizła wargę, czując bolesne miejsce. Uniosła dłoń do twarzy. Gdy ją cofnęła, zauważyła,

że koniuszek jednego z palców zabarwiła kropelką krwi.

— Myślisz, że się przestraszę? — zapytał Theopolis. — Wiem, że jesteśmy tu bezpieczni.

— Ty miastowy głupcze — wyszeptała, a potem pstryknęła palcem, trafiając go kropelką krwi w policzek — Zawsze przestrzegaj Prostych Zasad, nawet jeśli myślisz, że nie musisz tego robić. I wcale nie otwierałam spizarki, jak ci się zdawało.

Theopolis zmarszczył brwi, po czym zerknął w stronę drzwi, które otworzyła. Drzwi małej, starej kapliczki. Kapliczki Boga Na Zewnątrz, zbudowanej przez babcię Ciszę.

Dolna krawędź drzwi była wysadzana srebrem.

W powietrzu za plecami Theopolisa otworzyły się czerwone oczy. W mrocznym pomieszczeniu pojawiła się widmowa sylwetka. Theopolis się zawahał, a potem odwrócił.

Nie zdążył krzyknąć, nim zjawa ujęła w dłonie jego głowę i wysała z niego życie. To był nowy cień i jego materialna postać nadal była silna, mimo że ubiór zamienił się w kłęby czarnej mgły. Wysoka kobieta o silnych rysach twarzy i kręconych włosach. Mężczyzna otworzył usta, a później jego twarz uległa wyniszczeniu, natomiast oczy zapadły się w głąb czaszki.

— Trzeba było uciekać, Theopolisie — rzekła Ciszę.

Jego głowa zaczęła się kruszyć. Ciało osunęło się na podłogę.

— Ukrywaj się przed zielonymi oczami, uciekaj przed czerwonymi — rzekła Ciszę, wyciągając srebrny sztylet. — To twoje zasady, babciu.

Cień zwrócił się w jej stronę. Kobieta zadrżała, spoglądając w martwe, szkliste oczy matriarchini, którą kochała i której nienawidziła.

— Nienawidzę cię — oznajmiła. — Dziękuję, że mnie tego nauczyłaś.

Wzięła w rękę belt o srebrnym grocie i uniosła go przed sobą. Cień jednak nie zaatakował. Ciszę ruszyła ostrożnie naprzód, zmuszając go do odwrotu. Czmychnął przed nią, kryjąc się w kapliczce o podstawach wszystkich trzech ścian wyłożonych srebrem. Uwięziła go tam przed laty.

Serce tłukło jej gwałtownie, gdy zatrzasnęła drzwi, uzupełniając barierę, i zamknęła je na klucz. Cokolwiek by się wydarzyło, ten cień nigdy jej nie niepokoił. Można by prawie pomyśleć, że pamięta. Ciszę czuła się też prawie winna na myśl o tym, że od wielu lat więzi go w maleńkiej niszy.

Znalazła tajną jaskinię Theopolisa po sześciogodzinnych poszukiwaniach.

Była mniej więcej tam, gdzie spodziewała się Ciszę, pośród wzgórz nieopodal Starego Mostu, otoczona srebrną barierą. Srebro będzie mogła zebrać. Było sporo warte.

Wewnątrz natrafiła na trupa Chestertona. Theopolis zawlókł go tam, gdy cienie zabiły Redę, a potem ruszyły w pogoń za Ciszę. „Choć raz cieszę się z twojej chciwości, Theopolisie”.

Będzie musiała znaleźć kogoś innego, by odbierał za nią nagrody. To nie będzie łatwe,

zwłaszcza w krótkim terminie. Wyciągnęła trupa z jaskini i zarzuciła go na grzbiet konia należącego do Theopolisa. Następnie wróciła na pobliski szlak, zatrzymała się i ruszyła na poszukiwanie zwłok Reda. Zostały z nich tylko kości oraz ubranie.

Znalazła sztylet babci, porysowany i poczerniały po walce, i wsunęła go do pochwy u swego boku. Potem powlokła się z powrotem do gospody i ukryła ciało Chestertona w chłodzonej piwnicy za stajnią, obok zwłok Theopolisa. Wróciwszy do kuchni, zawiesiła przy drzwiach kapliczki — gdzie kiedyś wisiał sztylet babci — bełt ze srebrnym grotem, który nieświadomie wysłała jej na pomoc Sebruki.

Jak ma wyjaśnić śmierć Theopolisa władzom z fortów? Może powie, że tak go znalazła...

Zatrzymała się, a potem uśmiechnęła.

* * *

— Wygląda na to, że masz farta, przyjacielu — odezwał się Daggon, popijając piwo. — Biały Lis raczej już nie będzie cię poszukiwał.

Patykowaty mężczyzna, który nadal uparcie twierdził, że ma na imię „Szczerzy”, skulił się jeszcze bardziej.

— Dlaczego nadal tu jesteś? — zapytał Daggon. — Zdążyłem pokonać drogę do Ostatniego Portu i z powrotem. Raczej nie spodziewałem się tu ciebie zastać.

— Wynająłem się do pracy w pobliskim gospodarstwie — odparł mężczyzna o cienkiej szyi. — No wiesz, to dobra, solidna robota.

— I płacisz za noclegi w gospodarstwie?

— Podoba mi się tutaj. Jest spokojnie. W gospodarstwach nie ma porządných srebrnych barier. Ludzie po prostu pozwalają ceniom... krążyć swobodnie. Nawet wewnątrz domów.

Mężczyzna zadrżał.

Daggon wruszył ramionami i uniósł kufel, gdy Cisza Montane podeszła, utykając, do stolika. Tak jest, wyglądała naprawdę zdrowo. Będzie musiał któregoś dnia popróbować zalotów. Łypnęła spoде łba w reakcji na jego uśmiech, po czym postawiła przed nim talerz.

— Chyba nie zdoła bronić się zbyt długo — mruknęła, właściwie do siebie, gdy odeszła.

— Będziesz się musiał zdrowo natrudzić — zauważył Szczerzy. — W ostatnim miesiącu oświadczyło się jej siedmiu mężczyznom.

— Co takiego?

— Chodzi o nagrodę! — wyjaśnił patykowaty mężczyzna. — Tę za Chestertona i jego ludzi. Cisza Montane miała wielkiego farta. Udało się jej odnaleźć kryjówkę Białego Lisa.

Daggon zajął się posiłkiem. Nie był zadowolony z takiego obrotu spraw. Ten dandyś Theopolis był Białym Lisem? Biedna Cisza. Jak musiała się czuć, gdy natrafiła na jego kryjówkę i znalazła

tam jego wyniszczone ciało?

— Mówią, że Theopolis zużył wszystkie siły na zabicie Chestertona, a potem zawleczenie go do kryjówki — ciągnął Szczery. — Wyniszczenie go wykończyło, nim zdążył dotrzeć do swego srebrnego proszku. To typowe dla Białego Lisa. Zawsze był zdeterminowany zdobyć nagrodę bez względu na koszty. Nieprędko ujrzemy drugiego takiego łowcę.

— Pewnie masz rację — zgodził się Daggon, choć zdecydowanie wolałby, by Biały Lis ocalił skórę. O kim będzie teraz opowiadał historie? Nie podobała mu się myśl o płaceniu za piwo.

Jakiś brudny mężczyzna siedzący nieopodal wstał nagle od stolika i wyłazł na dwór. Wyglądał na podchmielonego, choć było dopiero południe.

Niektórzy ludzie... Daggon potrząsnął głową.

— Za Białego Lisa — rzekł, unosząc kufel.

Szczery stuknął się z nim.

— Za Białego Lisa, najwredniejszego skurczybyka, jakiego znały Lasy.

— Pokój jego duszy — dodał Daggon. — I dzięki Bogu Na Zewnątrz za to, że nigdy nie uznał nas za godnych swej uwagi.

— Święta prawda — zgodził się Kent.

— Oczywiście — dodał Daggon — jest jeszcze Krwawy Kent, a to naprawdę pasłudny gość. Lepiej, żebyś nie wpadł mu w oko, przyjacielu. Nie patrz na mnie tak niewinnie. Jesteśmy w Lasach. Każdemu tutaj zdarza się czasem zrobić coś, o czym nikt nie powinien się dowiedzieć...

Przetłumaczył Michał Jakuszewski

SHARON KAY PENMAN

Królowa na wygnaniu

(A QUEEN IN EXILE)

Bestsellerowa autorka „New York Timesa”, Sharon Kay Penman, została określona przez „Publisher’s Weekly” mianem „historycznej powieściopisarki pierwszej wody”. Jej debiutancka powieść o Ryszardzie III, *The Sunne in Splendour*, była światowym hitem, a uznana trylogia *Welsh Princes* oraz *Here Be Dragons, Falls the Shadow* i *The Reckoning* odniosły podobny sukces. Inne jej książki nawiązywały do życia Eleonory Akwitańskiej (*When Christ and His Saints Slept, Time and Chance, Devil’s Brood* oraz Justin de Quincy, będąca zbiorem zagadek historycznych, zawierająca utwory: *The Queen’s Man, Cruel As the Grave, Dragon’s Lair*, a także *Prince of Darkness*). Najnowsza jej książka — *Lionheart* — opowiada o Ryszardzie Lwie Serce.

Pisarka mieszka w Mays Landing w New Jersey i prowadzi stronę: Sharonkaypenman.com.

W niniejszej opowieści zabiera nas do dwunastowiecznej Sycylii, by udowodnić, że królowa na wygnaniu nadal jest królową — i naprawdę bardzo niebezpieczną kobietą.

KRÓLOWA NA WYGNANIU

Konstancja de Hauteville drżała, mimo że stała tak blisko paleniska, jak tylko mogła, by ogień nie zajął jej spódnic. Miesiąc temu minęła czwarta rocznica jej ślubu, ale wciąż jeszcze nie przywykła do niemieckich zim. Zwykle nie pozwalała sobie na długie rozpamiętywania o sycylijskiej ojczyźnie. Po co sypać sól na rany? Ale nocami, gdy ziąb deszczu ze śniegiem i lodowate wiatry przenikały ją do szpiku kości, nie mogła powstrzymać tęsknoty za drzewami palmowymi, oliwnymi gajami i ciepłem skąpanego w słońcu Palermo, za pałacami królewskimi, które okalały miasto niczym naszyjnik lśniących pereł, za marmurowymi posadzkami, barwnymi mozaikami, kaskadowymi fontannami, bujnymi ogrodami i połyskującymi srebrem sadzawkami.

— Pani? — Jedna z kobiet podała jej kubek gorącego, zaprawionego korzeniami wina, który Konstancja przyjęła z uśmiechem. Jednak jej krnąbrny umysł uparcie cofał się w czasie, przywołując wspomnienie dawnych obfitych bożonarodzeniowych biesiad, którym przewodził jej bratanek, Wilhelm, i Joanna, jego młoda angielska królowa. Królewskie małżeństwa nie były zawierane z miłości, lecz podyktowane interesem państwa. Aczkolwiek, jeśli para miała szczęście, mogła stworzyć związek oparty na autentycznym wzajemnym szacunku i czułości. Wilhelm i Joanna sprawiali wrażenie kochającego się małżeństwa, dlatego Konstancja, poślubiając Henryka Hohenstaufa, króla Niemiec i następcę tronu Świętego Cesarstwa Rzymskiego, miała nadzieję znaleźć zadowolenie w ich związku. To prawda, że w wieku dwudziestu jeden lat dorobił się reputacji człowieka bezwzględniego i bezlitosnego. Ale był również utalentowanym poetą, znał biegle kilka języków, a Konstancja starała się przekonać samą siebie, że posiadał łagodniejszą stronę, którą pokazywał tylko rodzinie. Zamiast tego znalazła mężczyznę równie nieprzejednanego i zimnego jak włości, którymi władał. Człowieka zupełnie pozbawionego pasji, entuzjazmu i radości życia, które czyniły Sycylię istnym rajem na ziemi.

Dopijając wino, niechętnie odwróciła się od ognia.

— Jestem gotowa do łoża — powiedziała i znów zadrżała, gdy kobiety rozsznurowały jej suknię, odsłaniając skórę na działanie panującego w komnacie chłodu. Usiadła na stołku, wciąż w koszuli, z szlafrokiem narzuconym na ramiona, podczas gdy kobiety zdejmowały jej kwef i welon, a potem wyjmowały szpilki z sięgających jej do pasa włosów w kolorze bladoczerwitej księżycowej poświaty, tak cenionej przez trubadurów. Kiedyś była z tego dumna, dumna ze swojej urody de Hauteville'ów i jasnej karnacji. Ale kiedy spojrzała w lustro z kości słoniowej, ujrzała obcą kobietę, zbyt szczupłą i zbyt zmęczoną, zdecydowanie wyglądającą na swoje trzydzieści pięć lat.

Po wyszczykowaniu włosów swojej pani jedna z dwórek zaplotła je na noc w warkocz. Wtedy drzwi otworzyły się z hukiem i do komnaty wkroczył mąż Konstancji. Podczas gdy jej damy

dworu skłoniły się unieźenie, Konstancja wstała pospiesznie. Nie spodziewała się go, gdy ż za ledwie dwie noce temu złożył wizytę w jej sypialni, żeby wypełnić, jak to określał, „obowiązek małżeński”. Był to jeden z jego nielicznych żartów, bo jeśli posiadał poczucie humoru, to starannie je ukrywał. Na początku małżeństwa była wzruszona, że zawsze przychodził do niej, zamiast wezwać ją do swojej sypialni, myśląc, że w ten sposób okazywał jej nieoczekiwaną czułość. Teraz wiedziała już lepiej. Jeśli zlegli razem w jej łóżu, to mógł po wszystkich wrócić do swojej komnaty, jak zwykle czynił. Mogła policzyć na palcach jednej ręki, ile razy obudzili się w tym samym łóżu.

Henryk nawet nie spojrział na jej damy dworu.

— Zostawcie nas — rzekł, a kobiety posłusznie wypełniły polecenie, tak szybko, jakby frunęły w powietrzu.

— Mój panie mężu — wymamrotała Konstancja, gdy drzwi zamknęły się za ostatnią damą z jej orszaku. Niczego nie mogła wyczytać z jego twarzy. Dawno już opanował niebywałą umiejętność skrywania swoich myśli za kamienną maską. Choć, kiedy przyjrzała mu się baczniej, dostrzegła subtelne oznaki nastroju — nieznaczne skrzywienie kącika ust, zwykłą bladłość ocieploną lekkim rumieńcem. Miał najdziwniejszy kolor oczu, jaki kiedykolwiek widziała, tak bladoszary jak lodowate zimowe niebo, ale teraz światło płonących świec zdawało się rozświetlać je niezwykle blaskiem.

— Przyślano wieści z Sycylii. Ich król nie żyje — oznajmił.

Konstancja patrzyła na niego, nagle wątpiąc w swoją znajomość niemieckiego. Z pewnością musiała się przesłyszeć.

— Wilhelm? — szepnęła głosem ochryplym z niedowierzania.

Henryk uniosł brew.

— Czy jest inny król Sycylii, o którym nie wiem? Oczywiście, że mam na myśli Wilhelma.

— Co... co się stało? Jak...?

Wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że jakaś podła sycylijska zaraza. Bóg wie, że wyspę często nawiedzają gorączki, zarazy, plagi i choroby, które wybijają połowę chrześcijan. Wiem tylko, że zmarł w listopadzie, tydzień po dniu świętego Marcina, więc jego korona przechodzi na nas.

Kolana ugięły się pod Konstancją i chwiejnie podeszła do łóża. Jak Wilhelm mógł umrzeć? Między nimi był tylko rok różnicy. Byli bardziej jak brat i siostra niż jak bratanek i ciotka. Mieli sielankowe dzieciństwo, a potem wzięła pod swoje skrzydła jego małą narzeczoną, stęsknioną za domem jedenastolatkę, zbyt młodą jeszcze, by być żoną. A teraz, w wieku dwudziestu czterech lat, Anna została wdową. Co się z nią stanie? Co stanie się z Sycylią bez Wilhelma?

Uświadamiając sobie obecność Henryka, podniosła wzrok i ujrzała go stojącego przy łóżu

i spoglądającego na nią z góry. Odetchnęła rześkim powietrzem i wstała. Była wysoka jak na kobietę, dorównywała wzrostem Henrykowi i czerpała satysfakcję z faktu, że mogła patrzeć mu prosto w oczy. Nie posiadał królewskiej prezencji. Miał cienkie blond włosy, rzadką brodę i wątlą budowę ciała. W chwili niezyczliwości stwierdziła, że przywodzi jej na myśl grzyba, który nigdy nie widział światła dziennego. Nie mógł być większym przeciwieństwem swojego charyzmatycznego, ekspansywnego i krzepkiego ojca, cesarza Fryderyka Barbarossy, który kroczył dumnie przez dwór cesarski niczym kolos. A jednak to Henryk wzbudzał strach w poddanych, a nie Fryderyk. Te oczy w kolorze lodu mogły przesyć człowieka równie pewnie jak pchnięcie mieczem. Nawet Konstancja nie była odporna na ich przesywającą moc, jednak poruszyła niebo i ziemię, żeby tego nie odkrył.

— Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy, Konstancjo? Królowa Wihelma była bezpłodna, co czyni cię prawowitą i jedyną dziedziczką sycylijskiego tronu. A ty siedzisz, jakbyś przyniósł ci wieści o jakimś nieszczęściu.

Konstancja wzdygnęła się, gdyż wiedziała, co ludzie mówią za jej plecami. Trzeba przyznać Henrykowi, że nigdy nie nazwał jej „bezpłodną”, przynajmniej jeszcze nie. Ale musiał tak myśleć, skoro byli małżeństwem od czterech lat, a ona nie poczęła dziecka. Jak dotąd nie udało się jej wypełnić najważniejszego obowiązku królowej. Czasami zastanawiała się, co Henryk myślał o małżeństwie, które zaaranżował dla niego ojciec — z cudzoziemską żoną jedenaście lat starszą od niego. Czy był mu równie niechętny jak ona? Czy skłonny był zaryzykować, by któregoś dnia ta wadliwa nowa żona przyniosła mu Sycylię, najbogatsze królestwo chrześcijańskiego świata?

— Joanna nie była bezpłodna — powiedziała zdenerwowana. — Urodziła syna.

— Który nie żył. I nigdy nie poczęła kolejnego dziecka. Jak sądzisz, dlaczego Wilhelm kazał przysiąc swoim lordom, że uznają twoje prawo do korony, jeśli umrze bezpotomnie? Chciał zapewnić sukcesję.

Konstancja wiedziała lepiej. Wilhelm nigdy nie wątpił, że któregoś dnia będą mieli z Joanną kolejne dziecko. Byli młodzi, a on był optymistą z natury. A ponieważ był tego tak pewien, nie przejął się poruszeniem, jak wywołało jej małżeństwo. Jakże to miało znaczenie, że jego poddani byli przerażeni perspektywą niemieckiego władcy, skoro nigdy nie miało do tego dojść? Ale teraz nie żył, w wieku trzydziestu sześciu lat, a obawy poddanych nagle stały się całkiem realne.

— To może nie być takie łatwe, jak ci się wydaje, Henryku — powiedziała, ostrożnie dobierając słowa. — Nasze małżeństwo nie było zbyt popularne. Sycylijczycy niechętnie powitają niemieckiego króla.

— Nie mają wyboru — oznajmił chłodno, okazując życzeniom Sycylijczyków taką samą obojętność jak Wilhelm.

— Nie jestem tego taka pewna. Mogą zwrócić się do kuzyna Wilhelma, Tankreda.

— Zamierzała bliżej przedstawić Tankreda, ale nie było takiej potrzeby. Henryk nigdy nie zapomniał o niczym, co mogło mieć wpływ na jego interesy.

— Hrabia Lecce? Jest z nieprawego łoża!

Otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Nie było sensu tłumaczyć mu, że Sycylijczycy będą woleli nawet człowieka z nieprawego łoża niż Henryka. Choć wiedziała, że to prawda. Prędkiej przyjmą z otwartymi ramionami jej kuzyna bękarta, niż zaakceptują jej niemieckiego męża.

Henryk przyglądał się jej zamyślony.

— Chcesz tej korony, Konstancjo? — zapytał w końcu. Poczwała płomień oburzenia, że nawet nie przyszło mu do głowy, że może opłakiwać Wilhelma, ostatniego z jej rodziny, więc ledwie skinęła głową.

Wydawał się usatysfakcjonowany tą niemą odpowiedzią.

— Przyślę z powrotem twoje dwórki — oznajmił. — Śpij dobrze, bo wkrótce zyskasz nową koronę do swojej kolekcji.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Konstancja opadła na łożo, a po chwili zrzuciła buty ze stóp i wsunęła się pod przykrycia. Znów trzęsła się z zimna. Rozkoszując się chwilą prywatności, zanim wróci jej orszak, zamknęła oczy i znówiła modlitwę za nieśmiertelną duszę Wilhelma. Postanowiła, że rankiem zamówi mszę za niego, i dzięki temu poczuła się trochę lepiej. Będzie modliła się także za Joannę, która znalazła się w potrzebie. Następnie podpierając się puchowymi poduszkami, próbowała zrozumieć sprzeczne, zagmatwane uczucia, które wzbudziła w niej przedwczesna śmierć Wilhelma.

Nie spodziewała się tego. Myślała, że Wilhelm ma przed sobą długie, pomyślne panowanie i rzeczywiście doczekała się syna, który będzie po nim dziedziczył. Jakże byli arogancy, ona i Wilhelm, sądząc, że znają wolę Wszchemogącego. Powinni pamiętać słowa Biblii: *Serce człowieka obmyśla jego drogę, ale to Pan kieruje jego krokami.* Ale Henryk miał rację. To ona była pełnoprawną dziedziczką sycylijskiego tronu. Nie Tankred. I pragnęła go. Miała pierwszeństwo wynikające z urodzenia. Sycylia należała do niej poprzez więzy krwi, kochała ten kraj. Więc dlaczego czuła się taka rozdarta? Gdy poprawiała się na poduszkach, jej spojrzenie padło na jedyny klejnot, który nosiła, obrączkę z kutego złota wysadzaną szmaragdami — jej ślubny pierścień. Równie bardzo jak pragnęła Sycylii, nie chciała oddać jej Henrykowi. Nie chciała być tą, która wpuści węża do edenu.

* * *

Złe przecucia Konstancji, związane z Tankredem z Lecce, okazały się uzasadnione. Sycylijczycy zebrali się wokół niego i w styczniu 1190 roku został koronowany na króla Sycylii. Konstancja posłusznie wtórowała oburzeniu męża, chociaż wiedziała, że tak będzie. Nawet nie

była zdziwiona, gdy dowiedziała się, że Tankred przejął ziemie będące wianem Joanny, ponieważ miały strategiczne znaczenie, a jej kuzyn dobrze wiedział, że niemieckie wojska będą kwestionować jego roszczenia do korony. Jednak zupełnie zaskoczył ją, kiedy wziął Joannę do niewoli i uwięził w Palermo, najwyraźniej obawiając się, że wdowa wykorzysta własną popularność w imieniu Konstancji. Henryk chciał uderzyć mocno i szybko na człowieka, który przywłaszczył sobie tron jego żony. Jednak zemsta musiała poczekać, ponieważ jego ojciec przywdział krzyż i planował przyłączenie się do krucjaty, której celem było uwolnienie Jerozolimy od sultana Egiptu, Saracea Salah al-Dina, znanego wśród krzyżowców jako Saladyn, i potrzebował Henryka, żeby rządził Niemcami pod jego nieobecność.

Fryderyk Barbarossa wyruszył do Ziemi Świętej tej wiosny. Siły niemieckie zwołane przez Henryka skierowały się na Tankreda, który wciąż umacniał swoją władzę i odniósł sukces na dworze papieskim, tak że papież uznał Święte Cesarstwo Rzymskie za większe zagrożenie niż nieślubne pochodzenie Tankreda. We wrześniu niewola Joanny skończyła się wraz z przyjazdem na Sycylię nowego króla Anglii, jej brata Ryszarda, znanego wśród przyjaciół i wrogów jako Lwie Serce. Podobnie jak Fryderyk był w drodze do Ziemi Świętej i towarzyszyła mu olbrzymia armia. Był rozwścieczony, kiedy dowiedział się o sytuacji siostry, i zażądał natychmiastowego uwolnienia jej oraz zwrócenia ziem, będących jej wianem. Tankred mądrze się zgodził, ponieważ Ryszard znał wojnę tak jak ksiądz znał *Ojciec nasz*. Dla Konstancji to był jedyny błysk światła w ciągu tego ciemnego, posępnego roku. A potem, w grudniu, dowiedzieli się, że ojciec Henryka nie żyje. Nigdy nie dotarł do Ziemi Świętej, bo utonął, przepływając się przez rzekę w Armenii. Henryk nie tracił czasu. Odważając się na styczniową przeprawę przez Alpy, oboje z Konstancją poprowadzili armię do Włoch. Zatrzymali się w Rzymie, żeby papież koronował ich, a potem ruszyli na południe. Zaczęła się wojna o sycylijską koronę.

* * *

Salerno dosłownie smażyło się w promieniach sierpniowego słońca. Zwykłe morska bryza sprawiała, że żar stawał się znośny, ale to było jedno z najgorętszych, najsuchszych lat, odkąd pamiętano. Niebo było bezchmurne, w kolorze wyblakłego błękitu, który w południe wydawał się wręcz żbielały. Dziedzińce i ogrody dawały niewiele cienia i zwykły miejski zgiełk przycichł, a ulice opustoszały. Stojąc na balkonie królewskiego pałacu, Konstancja chciałaby wierzyć, że to upał zatrzymał mieszkańców w domach. Wiedziała jednak, że zadziałała tu potężniejsza siła — strach.

Królestwo Sycylii obejmowało kontynent na południe od Rzymu oraz samą wyspę, i kiedy wojska niemieckie posuwały się w dół półwyspu, jedno miasto po drugim otwierało swe bramy przed Henrykiem. Mieszkańcy Salerno nawet szukali go. Mimo że ich arcybiskup zdecydowanie

należał do obozu Tankreda, Salernianie przysięgli lojalność Henrykowi i zaprosili Konstancję, żeby została w ich mieście podczas obłężenia Neapolu.

Początkowo Konstancja cieszyła się z pobytu w Salerno. Cudownie było znaleźć się z powrotem na ojczyźnie. Była zachwycona swoją luksusową rezydencją — pałacem królewskim, który zbudował jej ojciec, wspomniały król Roger. Delektowała się pysznym jedzeniem, które zdobiło jej stół, frykasami rzadko dostępnymi po drugiej stronie Alp — melonami, granatami, pomarańczami, migdałami w cukrze, ryżem, krewetkami, ostrygami, rybami, które jeszcze tego ranka pływały w błękitnym Morzu Śródziemnym, a po południu skwierczały w garnkach pałacowej kuchni. A przede wszystkim mogła wreszcie skonsultować się z najlepszymi lekarzami chrześcijańskiego świata w kwestii swojej niemożności zajścia w ciążę. Nigdy nie mogła rozmawiać o tak intymnej sprawie z mężczyzną lekarzem. Ale w Salerno pozwolono kobietom uczęszczać do słynnej szkoły medycznej i prowadzić praktykę medyczną. Wkrótce odszukała panią Martinę, której wizyta okazała się rewelacją.

Konstancja całą winą za bezpłodne małżeństwo obarczała siebie. Panowało powszechne przekonanie, że zawsze było to winą kobiety. Martina zapewniła ją raźnie, że to nieprawda. Tak samo, jak kobieta mogła mieć wadę macicy, taki mężczyzna mógł mieć wadę nasienia. Ponadto istniały sposoby na sprawdzenie, który z małżonków miał problem. Jedno małe naczynie należało napełnić moczem kobiety, a drugie jej męża. Potem do obu naczyń dodać otrębów pszennych i tak zostawić na dziewięć dni. Jeśli robaki pojawią się w moczu mężczyzny, to wina leżała po jego stronie, i tak samo w przypadku kobiety.

— Wątpię, żeby mój pan mąż zgodził się na taki test — powiedziała kwaśno Konstancja, wyobrażając sobie pełną niedowierzania, oburzoną reakcję Henryka, że w ogóle śmiała sugerować, iż może to być jego wina. Ale postanowiła przeprowadzić test na sobie, i jeśli dziewiątego dnia jej mocz okaże się wolny od robaków, to ucieszy się w duchu. Nawet jeśli nikt więcej nie będzie o tym wiedział, to ona będzie wiedziała, że nie ma wady macicy. Nie była skazana na bycie tą najsmutniejszą ze wszystkich istot, bezpłodną królową.

Martina dała jej również nadzieję, wyjaśniając, iż czasami ani mąż, ani żona nie mają wad, a jednak jego nasienie nie zapuszcza korzeni w jej łonie. Ale zapewniła Konstancję, że temu można zaradzić. Musi wysuszyć męskie części kura, a następnie zetrzeć je na proszek, który potem wypije z dobrym winem. Żeby zapewnić sobie narodziny męskiego potomka, Konstancja i Henryk muszą wysuszyć macicę zająca i również wypić z winem. Konstancja skrzywiła się na samą myśl o tym, zadowolona, że uniknie takich nieapetycznych mikstur, dopóki nie dołączy znowu do męża. Ale jak skłoni go do współpracy? Musiałaby znaleźć sposób na dosypanie mu proszku do wina, ale tak, żeby się nie zorientował, podczas jednej z jego nocnych wizyt w jej sypialni. Była tak wdzięczna Martinie, że zaproponowała starszej kobiecie ogromną sumę, żeby

została jej osobistą lekarzką, a kobieta zgodziła się skwapliwie, skuszona zarówno zaszczytem służenia cesarzowej, jaki korzyściami materialnymi.

Ale potem zaczęły docierać do Salerno raporty z oblężenia Neapolu. Po raz pierwszy Henryk napotkał zacięty opór ze strony przyrodniego brata Tankreda, hrabiego Acerry i samego arcybiskupa Salerno. Henryk wynajął statki z Pizy, ale nie były dość liczne, by zablokować półwysep, a więc tym samym nie był w stanie zmusić Neapolitańczyków głodem do kapitulacji. Tankred zajął pozycję na wyspie Sycylii, wiedząc, że jego najbardziej niebezpieczną bronią było gorące, wilgotne, włoskie lato. Niemieckie oddziały Henryka nie przywykły do takiego dusznego upału i wkrótce jego ludzie zaczęli chorować. Obozy wojskowe były szczególnie podatne na śmiertelne zakażenia jak krwawa biegunka. Konstancja dowiedziała się, że w Ziemi Świętej więcej krzyżowców umierało z powodu choroby niż od mieczy Saracenów.

Miała nadzieję, że Salernianie pozostaną nieświadomi porażki, jakiej doświadczał Henryk, ale była to płonna nadzieja, jako że Neapol leżał niecałe trzydzieści mil na północ od Salerno. Przekonała się o tym, gdy tylko wiadomości zaczęły docierać do miasta, bo ludzie, których spotykała na placu, sprawiali wrażenie pokonanych i ponurych, a pałacowa służba nie potrafiła ukryć przerażenia. Nawet Martina pytała z niepokojem, czy Konstancja jest pewna zwycięstwa Henryka, i nie wyglądała na całkiem przekonaną jej zapewnieniami. Mieszkańcy Salerno zakładali, że Tankred nie będzie godnym przeciwnikiem dla licznej armii niemieckiej i instynkt samozachowawczy wygrał z lojalnością wobec sycylijskiego króla. Teraz zaczęli się obawiać, że postawili na niewłaściwego konia.

Kiedy minęły prawie dwa tygodnie bez żadnych wieści od Henryka, Konstancja wysłała sir Baldwina, dowódcę rycerzy z jej straży przybocznej, do Neapolu, żeby dowiedział się, jak źle faktycznie wyglądała sytuacja. Stojąc teraz na pałacowym balkonie, przesłoniła oczy przed oślepiającym blaskiem południowego słońca i zastanawiała się, czy nadszedł już dzień powrotu Baldwina. Nigdy nie przyznałaby tego głośno, ale pragnęła, by został daleko tak długo jak to możliwe. Była pewna, że przyniesie złe wieści.

— Pani? — Hildegund stała przy drzwiach. Większość orszaku Konstancji stanowili Sycylijczycy, łącznie z panią Adelą, która towarzyszyła jej od dzieciństwa, i Michaeliem, saraceńskim eunuchem, który przyciągał tak wiele uwagi na dworze Henryka. Niemcy byli zszokowani, że pozwolono Saracenowi żyć wolno na chrześcijańskim dworze, i przerażeni, że Wilhelm polegał na ludziach nazywanych „pałacowymi eunuchami” w kwestiach zarządzania królestwem. Konstancja zadbała, żeby nie wyszło na jaw, że Wilhelm mówił po arabsku ani że był to jeden z oficjalnych języków Sycylii, i upierała się, żeby Michael przyjął prawdziwą wiarę, mimo że wiedziała, iż często nawrócenie eunuchów na chrześcijaństwo było udawane. Jak miała wyjaśnić to wszystko Henrykowi i jego poddanym, żeby zrozumieli skomplikowaną

mozaikę, jaką była sycylijska społeczność? Hildegund była jedyną niemiecką damą dworu, opanowaną, stateczną wdową, która okazała się wielką podporą dla Konstancji w jej zmaganiach z nauką języka niemieckiego. Konstancja uśmiechnęła się do niej czule i skinęła głową, gdy kobieta przypominała jej, że nadeszła pora głównego posiłku.

Obiady bardzo różniły się teraz od tych z początku jej pobytu w Salerno. Wtedy miejscowi magnaci i ich damy konkurowali gorliwie o zaproszenie od cesarzowej, a wielki hol był zwykle zatłoczony pięknie ubranymi gośćmi, pokazującymi swoje jedwabie i klejnoty, i starającymi się zdobyć przychyłość Konstancji. Jednak od ponad tygodnia jej zaproszenia na obiad spotykały się z jasnymi do zrozumienia wymówkami, i tego niedzielnego południa jedynymi osobami dzielącymi z nią stół byli członkowie jej własnego orszaku.

Pałacowi kucharze przygotowali różnorodność smacznych dań, ale Konstancja ledwie skubnęła pieczonego kapłona na swojej deseczce. Spoglądając dookoła, zauważyła, że kilka innych osób również nie miało apetytu. Przypominając sobie, że powinna świecić przykładem dla ludzi ze swojego otoczenia, zaczęła ożywić rozmowę z Martiną i kapłanem, gdy nagle przez otwarte okna dobiegły ich krzyki z dziedzińca. Przybywali jeźdźcy. Konstancja odstawiała kubek wina i powoli wstała, kiedy do sali wpuszczono Baldwina. Jedno spojrzenie na jego twarz powiedziało jej wszystko, co powinna czy chciała wiedzieć, ale zmusiła się do wyciągnięcia ręki i odebrania listu, który podał jej, przyklękając.

Gestem nakazując mu wstać, złamała pieczęć swego męża i szybko przejrzała treść listu. Oczywiście, nie był napisany ręką Henryka. Zawsze dyktował swoje listy skrybie, dlatego nigdy nie przysłał jej wiadomości, która nie byłaby przeznaczona dla oczu innych. W holu rozległ się szmer cichych rozmów, gdy obserwujący cesarzową poddani zauważyli, że zbliża tak bardzo, że jej skóra wydawała się niemal przejrzysta. Jednak kiedy podniosła wzrok, jej głos nie zdradzał żadnego wewnętrznego niepokoju.

— Nie będę was oszukiwać — powiedziała. — Wieści nie są dobre. Wielu zmarło z powodu krwawej biegunki i samego cesarza również dotknęła ta podła choroba. Zdecydował, że lepiej będzie zakończyć oblężenie i jutro jego wojska zaczną wycofywać się z Neapolu.

Rozległy się sapania, stłumione okrzyki, a kilku rycerzy zakłęło pod nosem.

— Co z nami, pani? — wyrwało się młodej dziewczynie. — Co z nami będzie?

— Cesarz chce, żebyśmy pozostali w Salerno. Twierdzi, że moja obecność tutaj będzie dowodem, że zamierza wrócić i że wojna jeszcze się nie skończyła.

Zapadła przeraźliwa cisza. Korzystając z tego, Konstancja skinęła na Baldwina i podążyła na dziedzińiec. Promienie słońca oślepiały, a kiedy przysiadła na brzegu marmurowej fontanny, czuła ich żar przez jedwab sukni.

— Jak bardzo jest chory, Baldwinie? — odezwała się tak cicho, iż poczuła, że musi przełknąć

ślinę, by powtórzyć pytanie.

Rycerz przyklęknął przed nią, uważnie wpatrując się w jej twarz.

— Bardzo chory, pani. Jego lekarz powiedział, że z pewnością umrze, jeśli tu zostanie. Obawiam się, że rozum pomieszał mu się od gorączki, dlatego najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jaki się znalazłaś teraz, kiedy jego tu nie ma.

Zdaniem Konstancji powodem tego była nie gorączka, lecz raczej nadmierna pewność siebie Henryka. Nie rozumiał, że strach Salernian przed nim uzależniony był od jego obecności. Kiedy rozejdą się wieści, że jego wojska wycofują się, ludzie zaczną postrzegać to jako klęskę, a wtedy bardziej niż Henryka będą się bali Tankreda, ponieważ zdradzili go, zapraszając ją do swego miasta. Czuła nadchodzący ból głowy i potarła skronie w daremnej próbie odpędzenia go. Gniewu króla rzeczywiście należało się bać. Ojciec Henryka zrównał Mediolan z ziemią, jako karę za dawną zdradę, a jej brat, ojciec Wilhelma, zniszczył miasto Bari, jako brutalne ostrzeżenie dla niedoszłych buntowników. Czy Tankred był zdolny do tak bezlitosnej zemsty? Nie sądziła, ale skąd przerażeni mieszkańcy Salerno mieli to wiedzieć?

— Pani... uważam, że powinniśmy jeszcze dzisiaj opuścić to miejsce. Zdrowa armia pokonuje mniej niż dziesięć mil dziennie, a ta jest pobita i krwawi. Jeśli się pospieszymy, to możemy ich dogonić.

Konstancja przygryzła wargę. Zgadzała się z Baldwinem. Nie była tu bezpieczna, nie teraz. Ale jej duma buntowała się przeciwko ucieczce nocą jak złodziej. Jak Sycylijczycy mieliby uznać ją za godną rządzenia nimi, gdyby poddała się swoim lękom jak głupia, strachliwa kobieta? Jej ojciec nie uciekałby. A Henryk nigdy nie wybaczyłby jej, gdyby nie posłuchała go i uciekła z Salerno, skoro z jego listu jasno wynikało, że jej obecność tutaj była ważna, jako gwarancja dla jego zwolenników i ostrzeżenie dla wrogów — jako dowód, że wróci. Nie chciała Henryka za męża, ale jeszcze mniej chciała mieć w nim wroga. Jak miałyby żyć z mężczyzną, który jej nienawidzi... a on z powodu jej ucieczki nie mógłby udawać, że nie poniósł upokarzającej klęski.

— Nie mogę, Baldwinie — odparła. — Życzeniem mojego męża było, żebym czekała na niego tutaj w Salerno. Nawet jeśli wydarzy się najgorsze i Tankred przybędzie oblegać miasto, Henryk przyśle oddziały, żeby broniły go... i nas.

— Oczywiście, pani — odpowiedział Baldwin, starając się odzyskać możliwie jak najwięcej pewności siebie. — Wszystko będzie dobrze. — Ale nie wierzył w to i wątpił, by Konstancja wierzyła.

* * *

Wystarczyły zaledwie dwa dni, by do Salerno dotarła wiadomość o wycofaniu się niemieckiej armii. Wkrótce na ulice wyległy tłumy przerażonych mężczyzn i kobiet, próbujących przekonać

samych siebie, że nie popełnili fatalnego błędu. Konstancja rozesłała heroldów, żeby zapewniali ich, że Henryk niedługo wróci. Lecz kiedy kurz opadł, przez miasto przetoczyła się nowa, przerażająca plotka — że niemiecki cesarz zmarł z powodu krwawej biegunki. I to była iskra rzucona w stóg siana, wzniecająca pożogę.

Konstancja i jej orszak właśnie kończyli wieczorny posiłek, kiedy usłyszeli dziwny hałas, niemal jak ryk morza, odległy, tępy huk, który stawał się coraz głośniejszy. Wysłała kilku rycerzy na zwiad i wkrótce wrócili z niepokojącymi wieściami. Olbrzymi tłum zebrał się przed bramami pałacu, wielu piło, wszyscy bali się tego, co nierozsądnie na siebie ściągnęli.

Baldwin i rycerze zapewnili Konstancję i inne kobiety, że tłum nie będzie w stanie sforsować wejścia na teren pałacu, po czym oddalili się, żeby dołączyć do strażników na murach. Ale wkrótce potem biegiem wrócili do wielkiego holu.

— Zostaliśmy zdradzeni — wysapał Baldwin. — Te tchórzliwe skurwysyny otworzyły przed nimi bramy! — Kiedy już zaryglowali grube dębowe drzwi i pospiesznie zatrasnęli okiennice, Baldwin wysłał rycerzy, by upewnili się, że wszystkie inne wejścia do pałacu są zabezpieczone. Kobiety zebrały się wokół Konstancji w sposób, w jaki gromada kurczaków chowa się pod skrzydłami kwoki, gdy cień jastrzębia przesłoni słońce. Świadomość, że wszystkie one oczekują jej odpowiedzi, dodała jej siły i odwagi, których potrzebowała, by stawić czoło temu nieoczekiwanemu kryzysowi. Obawiała się, że Salerno wkrótce będzie oblężone przez armię przyslaną przez Tankreda do obrony Neapolu. Nie zdawała sobie sprawy, że największe niebezpieczeństwo nadejdzie z wewnątrz.

Uspokajała je najlepiej, jak potrafiła, przekonując, że mieszkańcy miasta rozejdą się, kiedy zorientują się, że nie zdołają sforsować wejścia do samego pałacu. Jej słowa brzmiały pusto nawet dla niej samej, bo nic nie wskazywało na to, by gwałtowność tłumy słabła. Jego reakcja była aktem spontanicznej paniki i był źle przygotowany do ataku. Ale do zgromadzonych w holu docierały już wołania o topory i taran. Kiedy Konstancja usłyszała jeszcze wołania o podpałkę i pochodnie, wiedziała, że nie odważą się dłużej czekać, aż tłum ochłonie, albo na interwencję tchórzliwych władz miasta.

Wzywając Baldwina, poprowadziła go w stronę podium.

— Muszę do nich przemówić — powiedziała cicho. — Może uda mi się przywrócić im rozsądek

Rycerz był przerażony.

— Pani, oni oszaleli ze strachu. Nie ma w nich ani krztyny rozsądku.

Podejrzała, że miał rację, ale cóż innego mogła zrobić?

— Tak czy inaczej, muszę spróbować — powiedziała z niezłomnością, do której było jej daleko. — Chodź ze mną do komnaty nad holem. Mogę przemówić do nich z balkonu.

Dalej próbował jej to wyperswadować, lecz bez entuzjazmu, bo sam nie wiedział, co jeszcze mogliby zrobić, a kiedy ruszyła w stronę schodów, deptał jej po piętach. W komnacie na poddaszu panowała ciemność, bo nie paliła się żadna lampka oliwna, i duchota. Constance czekała, aż Baldwin odrygluje drzwi prowadzące na mały balkon. Czula strużki potu spływające jej po żebrach i bicie własnego serca tak gwałtowne, że aż kręciło jej się w głowie.

Scena rozgrywająca się poniżej była straszna. Ciemność rozświetlały płonące pochodnie, oświetlając twarze wykrzywione złością i strachem. W kołującej się ciżbie zobaczyła kobiety i, co niewiarygodne, nawet kilkoro dzieci biegających na obrzeżach tłumu, jakby to był świąteczny festyn. Niektórzy podawali sobie bukłaki z winem z rąk do rąk, ale większość czerpała odwagę z desperacji. Wciąż wołali o drwa, namawiając tych, którzy znajdowali się bliżej ulicy, żeby szukali czegokolwiek, co da się podpalić. Minęło kilka minut, zanim zauważyli kobietę stojącą nieruchomo na balkonie ponad nimi, trzymającą się balustrady, jakby była jej ostatnią deską ratunku.

— Dobrzy ludzie z Salerno! — Konstancja przełknęła z trudem, martwiąc się, że jej nie usłyszeli. Zanim mogła kontynuować, zaczęli wskazywać na nią palcami i krzyczeć. Słyszała swoje imię i okrzyki „dziwka!” i „czarownica!”, a potem „niemiecka dziwka!” — Nie jestem Niemką! — Tym razem nie było obawy, że jej nie usłyszeli. Jej głos rozniósł się echem po dziedzińcu, przepełniony gniewem. — Jestem Sycylijką z krwi i kości, tak jak wy wszyscy. Jestem córką świętej pamięci króla Rogera. To jest moja ojczyzna tak samo jak wasza. — Nie była pewna, czy to pod wpływem wspomnienia imienia jej czcigodnego ojca, ale tłum ucichł na chwilę. — Wiem, że jesteście zdezorientowani i przerażeni. Ale usłyszeliście fałszywe plotki. Cesarz Henryk nie umarł! W rzeczy wistości wraca już do zdrowia. Tego ranka dostałam od niego list, w którym pisze, że zamierza bardzo szybko tu wrócić. — Przerwała, by złapać oddech. — Znacie mojego pana męża. Pamiętaj o tych, którzy dobrze mu służą. Kiedy sprowadzi swoją armię z powrotem do Salerno, będzie wam wdzięczny za zapewnienie bezpieczeństwa jego żonie. Zostaniecie nagrodzeni za swoją lojalność. — Tym razem celowo zrobiła pauzę. — Ale musicie wiedzieć jeszcze jedno. Cesarz Henryk nigdy nie zapomina wyrządzonego mu zła. Jeśli zawiedziecie jego zaufanie, jeśli skrzywdzicie mnie albo członków mojego orszaku, nigdy wam tego nie wybaczy. Zmieni wasze miasto w tłące się ruiny. Czy kókolwiek z was śmie temu zaprzeczyć? W głębi serca wiecie, że mówię prawdę. O wiele bardziej powinniście bać się cesarza, jeśli ściągnięcie na siebie jego gniew, niż uzurpatora w Palermo.

Myślała, że już ich ma, widząc, jak niektórzy przytakują, kłaniając głowami, a mężczyźni opuszczają maczugi i łuki podczas jej przemowy. Ale wspomnianie o Tankredzie okazało się błędem taktycznym. Przy pomniło im, że jego poplecznicy znajdowali się w odległości zaledwie trzydziestu mil w Neapolu, podczas gdy armia Henryka była zdziesiątkowana przez krwawą

biegunkę, uciekając z podwiniętymi ogonami. Czar przysł i tłum zaczął mruczeć między sobą, a potem dobrze ubrany młodzieniec z mieczem u boku krzyknął:

— Ona kłamie! Ta niemiecka świnia wydała ostatnie tchnienie dzień po ucieczce z obozu obłąnczego! Wysłać ją za nim do piekła!

Zanim słowa przebrzmiały, jeden z jego sojuszników uniósł łuk, wycelował i wypuścił strzałę, która przeszła ciemność w kierunku balkonów. Dobrze wycelował, ale Baldwin obserwował tych, którzy mieli broń i gdy tylko łucznik się ruszył, zanurkował z cienia, przewracając Konstancję na ziemię. Ludzie zamilkli wstrząśnięci, a potem jakaś kobieta krzyknęła:

— Święta Matko Maryjo, zabiłeś ją!

Ktoś odparował, że w takim razie nie mają nic do stracenia, i posypało się więcej strzał. Czołgając się na czworakach, Konstancja i Baldwin wycofali się do komnaty. Kobieta usiadła pod ścianą, łapiąc oddech, a mężczyzna nerwowo przytrzymywał drzwi. Kilką głuchych odgłosów powiedziało im, że strzały trafiły w cel.

Kiedy znów mogła wciągnąć dość powietrza do płuc, Konstancja wyciągnęła rękę, pozwalając, żeby rycerz pomógł jej wstać.

— Dziękuję — powiedziała. Łzy piekły ją pod powiekami, gdy Baldwin przysiągł, że będzie jej bronił do ostatniego tchu, bo nie były to puste przechwałki. Umrze tutaj w Salerno. Wszyscy umrą, jeśli Wszchemogący nie sprawi szybko cudu w ich imieniu. Domagała się, żeby rycerz odprowadził ją z powrotem do holu, by chociaż tyle mogła zrobić dla członków orszaku. Zostanie z nimi do końca.

Spodziewała się hysterii, ale kobiety sprawiały wrażenie oszołomionych. Konstancja kazała przynieść wino, bo cóż innego mieli tu robić? Słyszeli odgłosy szturm i wiedzieli, że było tylko kwestią czasu, by tłum wylał drzwi. Kiedy hałas nasilił się, Martina odciągnęła Konstancję na bok, po kryjomu pokazując jej garść ziół, które ścisnęła w dłoni.

— Działają szybko — wymamrotała i wrzuciłaby je do kubka z winem, gdyby Konstancja nie zdążyła go cofnąć.

— Jezu, Martina! Samobójstwo jest śmiertelnym grzechem!

— To lepszy los niż ten, który nas czeka, pani. Oszaleli i nikt nimi nie dowodzi. Jak sądzisz, co ci zrobią, kiedy dostaną się do środka? Nazajutrz będą przerażeni tym, co zrobili tej nocy. Ale ich skrucha i poczucie winy niczego nie zmienią.

Konstancja nie mogła powstrzymać dreszczy, ale nie przestawała kręcić głową.

— Nie mogę — wyszeptowała. — I ty też nie możesz, Martino. Jeśli to zrobimy, to spłonimy w piekło.

Martina nic nie odpowiedziała, po prostu wsyłała zioła z powrotem do sakiewki przy pasku. Stała u boku Konstancji, od czasu do czasu posyłając młodej kobiecie znaczące spojrzenie, jakby

przypominała jej, że wciąż jeszcze miała czas, żeby zmienić zdanie. Konstancja weszła na stopnie podwyższenia i unosząc dłoń, nakazała ciszę.

— Musimy modlić się do Boga Wszechmogącego, żeby dokonała się Jego wola — powiedziała, zaskoczona, że jej głos brzmiał tak spokojnie. Jej damy dworu tłumili szloch, ale kiedy uklęka, poszły za jej przykładem. To samo uczynili mężczyźni, ostrożnie odkładając broń w zasięgu ręki. Ci, którzy nie wypowiadali się z grzechów, odszukali kapelana cesarzowej, idąc z nim za dekoracyjny drewniany parawan, który posłużył za prowizoryczny konfesjonał.

Michael nie dołączył do innych, żeby wypowiadać się, potwierdzając podejrzenia Konstancji, że jego wiara chrześcijańska była kamuflażem. Tym niemniej był dobrym człowiekiem i miała nadzieję, że Wszechmogący będzie dla niego miłosierny. Eunuch stał we wnęce okiennej, nasłuchując odgłosów postępującego szturmującego do holu.

— Pani! — zawołał nagle. — Coś się dzieje! — Zanim ktokolwiek go powstrzymał, uchylił okiennicę i wyjrzał w ciemność. A potem otworzył je szeroko.

Teraz wszyscy mogli usłyszeć krzyki. Baldwin pospieszył do okna.

— Tłum został rozpedzony przez ludzi na koniach, pani! — zawołał. — Bóg wysłuchał naszych modlitw!

Tłum rozproszył się, gdy rycerze wjechali w sam jego środek. Wkrótce dziedziniec opustoszał i zostali na nim tylko jeźdźcy oraz stratowane ciała tych, którzy okazali się zbyt powolni lub uparci. Otarłszy się tak blisko o śmierć, Konstancja bała się uwierzyć, że wybawienie jest w zasięgu ręki. Klęcząc na ławie pod oknem, patrzyła, jak ostatni buntownicy uciekają. Ale nie miała czasu rozkoszować się uczuciem ulgi, bo wtedy właśnie rozpoznała mężczyznę dowodzącego rycerzami. Jakby czując na sobie jej spojrzenie, zwrócił się w jej stronę i niezwłocznie pozdrowił eleganckim gestem, nieco tylko zepsutym przez zakrwawiony miecz, który trzymał w ręku.

— Dobry Boże — szepnęła Konstancja, siadając na ławie okiennej. Martina była tuż obok niej, a kiedy zapytała, kim był ten mężczyzna, cesarzowa zdobyła się na słaby, pozbawiony radości uśmiech. — Nazywa się Elias z Gesualdo, a jest zarówno moim ocaleniem, jak i upadkiem. Przybył w samą porę, by uratować nam życie, ale rankiem odda mnie w ręce swego wuja... Tankreda z Lecce.

* * *

Kolejne cztery miesiące okazały się trudne dla Konstancji. Znała Tankreda wystarczająco dobrze, by mieć pewność, że będzie dobrze traktowana, i była. Tankred i jego królowa, Sybilla, zachowywali się, jakby była raczej honorowym gościem niż więźniem, aczkolwiek pod stałym dyskretnym nadzorem. Jednak czuła się upokorzona, będąc całkowicie zależną od łaski człowieka,

kóry przywłaszczył sobie jej tron, i nic nie mogła poradzić na kontrast między własną bezpłodnością a płodnością Sybilli, matki dwóch synów i trzech córek. Czuli się tym bardziej upokorzona, że Henryk stanowczo odmówił jakichkolwiek ustępstw, dzięki którym odzyskałaby wolność. To nie jej mąż miał w końcu wyważyć drzwi jej pozłacanego więzienia. Papież Celestyn zgodził się dać Tankredowi to, czego ten pragnął najbardziej — papieskiego uznania jego panowania jako króla — ale w zamian za przewiezienie Konstancji do jego aresztu. Tankred zgodził się niechętnie i pewnego styczniowego dnia 1192 roku Konstancja wyruszyła w drogę do Rzymu w towarzystwie trzech kardynałów i zbrojnej eskorty.

W Rzymie nie znalazła wolności, gdyż papież widział w niej cennego zakładnika, którego mógł wykorzystać w interesach z Henrykiem, ale przynajmniej nie mieszkała w tym samym pałacu z Tankredem i jego królową. Długotrwały pobyt w Rzymie nie był jej tak całkiem niemiły, bo nie miała ochoty wracać do mężczyzny, który naraził ją na takie niebezpieczeństwo, a potem nie zrobił nic, żeby uratować ją z kłopotliwego położenia, do którego sam się przyczynił.

Kardynałowie wyraźnie źle się czuli w roli strażników więziennych i narzucili tempo bardziej znośne dla Konstancji i jej dam dworu. Zostały tylko trzy, Adela, Hildegund i Martina, bo Sycylijki postanowiły zostać w swojej ojczyźnie, a po chwilach grozy przeżytych w Salerno Konstancja nie mogła ich za to potępiać. Podróżowali od kilku godzin, gdy zobaczyła zwiadowcę powracającego z ponurą miną. Trącając kłacz piętami, dołączyła do naradzających się z nim kardynałów. Kiedy zatrzymała się obok nich, z wymuszonymi uśmiechami wyjaśnili, że przed nimi widziano bandę podejrzanie wyglądających ludzi, którzy równie dobrze mogą być bandytami. Ich zdaniem lepiej byłoby ich ominąć i uniknąć konfrontacji.

Konstancja przyznała uprzejmie, że rzeczywiście tak będzie lepiej. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Zapomnieli, że łacina była jednym z oficjalnych języków Sycylii, i choć nie władała nim tak płynnie jak Henryk, wyłapała dwa słowa z rozmowy, która urwała się gwałtownie, gdy tylko Konstancja znalazła się w zasięgu słuchu — *praesidium imperatoris*. To nie bandytów się obawiali. Ludzie przed nimi byli członkami elitarnej gwardii cesarskiej Henryka.

Konstancja nie miała pojęcia, skąd się tu wzięli, ale nie miało to znaczenia. Dołączywszy do swoich dwórek, poleciła im po cichu, żeby były gotowe do działania, kiedy da im znak. Teraz już sama widziała jeźdźców w oddali. Kiedy kardynałowie i ich ludzie skręcili z głównej drogi w błotnistą ścieżkę wiodącą nad rzekę Liri, Konstancja podążyła za nimi. Odczekała, aż strażnik jadący u jej boku wysunie się przed jej kłacz, i nagle smagnęła batem koński zad. Spłoszone zwierzę rzuciło się do przodu jak ugodzone strzałą i zanim kardynałowie i ich eskorta zorientowali się, co się stało, była już daleko przed nimi. Słyszac krzyki, odwróciła się i zobaczyła, że kilku ludzi kardynałów ruszyło za nią, a ich ogiery były wystarczająco szybkie, by dogonić jej kłacz. Ale wtedy straż cesarska wyjechała jej naprzeciw. Odrzucając do tyłu kaptur płaszcz, żeby nie mieli

wątpliwości, zawołała:

— Jestem waszą cesarzową! Oddaję się pod waszą opiekę!

Kardynałowie robili, co w ich mocy, głośno ostrzegając Niemców, że ściągną na swoje głowy gniew Ojca Świętego, jeśli będą się wtrącać, podkreślając, że cesarzowa była w areszcie papieża. Gwardziści cesarscy po prostu ich wyśmiali. Konstancja i jej damy dworu odjechały wkrótce z nowymi opiekunami, rycerzami przejętymi odzyskaniem takiej nagrody, wiedząc, że szczęście im dopisało. Dwórki również były podekscytowane. Jednak Konstancja, chociaż czuła ponurą satysfakcję, nie podzielała ich poczucia triumfu. Nadal była zakładnikiem. Nawet cesarska korona nie mogła tego zmienić.

* * *

Dwa lata po przypadkowym spotkaniu Konstancji z gwardią cesarską Henryka, Tankred umierał w swoim pałacu w Palermo. Spotkał go przykry koniec, gdyż jego dziewiętnastoletni syn zmarł nagle w grudniu, pozostawiając po sobie czteroletniego następcę, a wiedział, że strach przed cesarzem rzymskim zwycięży nad lojalnością wobec dziecka. Na wieść o śmierci Tankreda Henryk ponownie poprowadził swoją armię przez Alpy do Włoch.

* * *

W maju, po przybyciu do Mediolanu, Konstancja poszła się położyć, mówiąc, że musi odpocząć przed wieczorną ucztą wydawaną na ich cześć przez biskupa tego miasta. Adela niepokoiła się o swoją panią już od kilku tygodni, ale to otwarte przyznanie się do zmęczenia skłoniło ją do poszukania pani Martyny. Kiedy znalazły ustronne miejsce, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać, Adela wyznała, że obawia się, iż cesarzowa jest chora. Martina nie była zaskoczona, bo również zauważyła słabnący apetyt, wyczerpanie i bladeść Konstancji.

— Rozmawiałam z nią — przyznała — ale zapewniała, że nic jej nie jest. Obawiam się, że jej duchowe przygnębienie wpływa również na zdrowie... — Pozwoliła, by jej słowa przebrzmiały, pewna, że Adela zrozumie. Obie wiedziały, że Konstancja martwi się o przyszłość Sycylii i jej mieszkańców. Niewiele mówiła, ale nie było potrzeby ubierania jej niewypowiedzianych lęków w słowa, bo znały mężczyznę, którego poślubiła. — Porozmawiam z nią jeszcze raz po wieczornej uczcie — obiecała, a Adela musiała się tym zadowolić.

Kiedy Adela wróciła do komnaty Konstancji, ulżyło jej, że cesarzowa już wstała i ubrała się, bo dzięki temu łatwiej było uwierzyć, że nie jest chora, tylko zmęczona. Gdy była gotowa do zejścia do wielkiego holu, gdzie oczekiwali jej Henryk i biskup Mediolanu, dwórki rozwdziły się nad pięknem jej sukni z brokatowego jedwabiu, w kolorze sycylijskiego wschodu słońca, oraz klejnotów godnych królewskiego okupu, ale Konstancja czuła się jak bogato opakowany

podarunek pusty w środku.

Henryk czekał niecierpliwie.

— Spóźniłaś się — mruknął, gdy wsunęła rękę pod jego ramię. Dwa tygodnie temu mieli najgorszą kłótnię w ciągu całego małżeństwa i wciąż panowało między nimi napięcie. Zawarli pokój, zachowywali uprzejmość publicznie i prywatnie, ale nic się nie zmieniło. Nadal nie zgadzali się w sprawie Salerno. Konstancja uznawała, że salernianie zasłużyli na karę. Zadowoliliby ją zburzenie murów miasta i nałożenie uciążliwej kary na mieszkańców, za to, że dopuścili się terroru, nie zdrady. Henryk widział to inaczej, mówiąc, że mają u niego dług krwi, który zamierza odebrać. Konstancja uważała, że nieprzejednana nienawiść męża do mężczyzn i kobiet z Salerno była ogniem podsyconym przez jego nieświadomość, że popełnia wielki błąd. Błąd, do którego nigdy się nie przyzna. Ale pomimo gniewu nie sięgnęła po tę broń, wiedząc, że obróciliby się to przeciwko niej. Teraz spoglądając na niego kątem oka, poczuła przypływ męczącej urazy, a potem uśmiechnęła się z przyzwoitym do zbliżającego się do nich mężczyzny.

Poznała biskupa Milo dwa lata temu w Lodi i dość łatwo było nawiązać do tamtego spotkania na potrzeby uprzejmej rozmowy. Przywykła do prowadzenia takich małych towarzyskich pogaduszek. Jednak tym razem było inaczej. Zaledwie zdążyła odwzajemnić jego kwieciste powitanie, kiedy ziemia zakolysała się pod jej stopami, jakby nagle znalazła się na pokładzie statku. Zaczęła mówić, że musi usiąść, ale było już za późno. Osunęła się w ciemność.

* * *

Konstancja opadła na poduszki, obserwując, jak Martina bada szklaną fiolkę z jej moczem. Nie zadawała żadnych pytań podczas badania lekarskiego, niepewna, czy chce usłyszeć odpowiedzi, ponieważ już od jakiegoś czasu podejrzewała, że może być poważnie chora. Właśnie miała poprosić o wino, gdy drzwi otworzyły się i wszedł jej mąż, a za nim drugi mężczyzna, którego nieproszone pojawienie się w komnatach cesarzowej oburzyło damy dworu.

— Chcę, żeby zbadał cię mój lekarz — oznajmił Henryk bez żadnych wstępów. — Jesteś poważnie chora i potrzebujesz opieki, której ta kobieta nie może ci zapewnić.

Konstancja usiadła w łóżku.

— Ta kobieta jest licencjonowanym lekarzem, Henryku. Chcę, żeby mnie leczyła. — Nie mogąc oprzeć się drobnemu ukłuciu, dodała: — Studiowała w Salerno i była przy mnie podczas szturm na pałac, gdzie dowiodła zarówno odwagi, jak i lojalności. Ufam jej opiniom.

Wykrzesał uśmiech, który nigdy nie dosięgał jego oczu.

— Jestem pewien, że jest kompetentna w kwestii kobiecych przypadłości. Niemniej jednak chcę, żeby pan Conrad przejął opiekę nad tobą. Muszę nalegać, moja droga, bo twoje zdrowie jest dla mnie bardzo ważne.

W to akurat Konstancja nie wątpiła. Bardzo niefortunnie by się złożyło, gdyby umarła, zanim zostanie koronowany na króla Sycylii, bo wtedy nie miałyby żadnego innego prawa do tronu, prócz prawa podboju.

— Nie — oznajmiła stanowczo. Widziała mięsień drgający na policzku męża, gdy zmrzył oczy. Ale Martina wybrała ten moment na interwencję.

— Czuję się usatysfakcjonowana wiarą cesarzowej w moje zdolności — powiedziała płynnie. — Jestem też pewna, że pan Conrad jest renomowanym lekarzem. Jednak nie ma potrzeby stawiania kolejnej diagnozy. Już wiem, co powoduje dolegliwości cesarzowej.

Henryk nawet nie próbował kryć sceptycyzmu.

— Wie pani, naprawdę?

Martina potraktowała go chłodno.

— Tak Cesarzowa spodziewa się dziecka.

Konstancji dech zaparło z wrażenia i otworzyła szeroko oczy. Henryk był niemniej oszołomiony. Wyciągając rękę, chwycił Martinę za ramię.

— Jesteś pewna? — zapytał. — Niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli kłamiesz!

— Henryku! — Protest Konstancji pozostał bez odzewu. Martina patrzyła Henrykowi w oczy bez jednego mrugnięcia i po chwili puścił jej ramię.

— Zdecydowanie jestem pewna — powiedziała ufnie Martina, i tym razem zwróciła się do Konstancji: — Z moich obliczeń wynika, że zostaniesz matką, zanim ten rok dobiegnie końca.

Konstancja leżała na plecach, zamknięwszy oczy. Kiedy znów je otworzyła, Henryk pochylił się nad lożem.

— Musisz teraz odpocząć — powiedział. — Nie możesz robić nic, co naraziłoby dziecko na niebezpieczeństwo.

— Będziesz musiał kontynuować swoje plany beze mnie, Henryku, bo ja muszę podróżować bardzo powoli.

Zgodził się tak łatwo, że zdała sobie sprawę, jak bardzo teraz liczył się z jej zdaniem, po raz pierwszy w ciągu trwania ich małżeństwa. Pochylił się jeszcze niżej, musnął ustami jej policzek, a potem wyprostował się i oznajmił Martinie, że jego żona ma mieć wszystko, czego zapagnie, a jej polecenia mają być wykonywane natychmiast, jakby wychodziły z jego własnych ust. Skinąwszy na pana Conrada, który przestępował niezgrabnie z nogi na nogę, ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się w progu, oglądając się na Konstancję, i roześmiał, co było tak rzadkim dźwiękiem, że kobiety drgnęły, jakby usłyszały grom z czystego, bezchmurnego nieba.

— Bóg naprawdę mnie pobłogosławił — oznajmił triumfalnie. — Któż teraz może wątpić, że moje zwycięstwo w Sycylii jest uświęcone?

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, Konstancja wyciągnęła rękę do Martiny i ich palce

splotły się.

— Jesteś pewna? — Powtórzyła jak echo słowa Henryka, tyle że w jego pobrzmiwała groźba. W jej natomiast usilna prośba i modlitwa.

— Naprawdę jestem pewna, pani. Powiedziałaś mi, że ostatnie krwawienie miałaś w marcu. Czy nie przyszło ci na myśl...?

— Nie... krwawienia były nieregularne od roku czy dwóch. Myślałam... Bałam się, że osiągnęłam ten wiek, kiedy kobiety nie mogą już począć dziecka. — Jednak kryło się za tym coś więcej. Nie sądziła, że może być w ciąży, ponieważ straciła już nadzieję.

Adela płakała, nazywając ją „swoim jagniątkiem”, jakby znów znajdowały się w pokoju dziecinnym. Hildegund padła na kolana, dziękując Wszchemogącemu, a Katerina, najmłodsza z dwórek tańczyła dookoła komnaty tak lekko, jakby była listkiem na wietrze. Konstancja też miała ochotę płakać, modlić się i tańczyć. Zamiast tego, śmiała się śmiechem beztroskiej dziewczyny, którą kiedyś była, w czasach młodości, kiedy jej świat wypełniały tropikalne promienie słońca i nigdy nie wyobrażała sobie losu, który przypadł jej w udziale — wygnania w zimnym, obcym kraju i małżeństwa, które było równie bezpłodne jak jej łono.

Oddalwszy innych, by wrócili na uroczystości, ponieważ teraz chciała mieć przy sobie tylko Adelę i Martinę, Konstancja położyła dłoń na brzuchu, próbując wyobrazić sobie tę małą istotkę, z którą dzieliła teraz ciało. Tak wielka była jej radość, że mogła wreszcie powiedzieć prawdę.

— Nie świętowałam śmierci Tankreda — zwierzyła się. — Nie mogłam, bo wiedziałam, co to oznacza dla Sycylii. Byłaby tylko kolejnym dodatkiem do Świętego Cesarstwa Rzymskiego, ograbionym z bogactwa, pozbawionym niezależności i tożsamości. Ale teraz... przejdzie na mojego syna. Będzie rządził Sycylią jak mój ojciec i bratanek. Będzie kimś więcej niż tylko jej królem. Będzie jej wybawcą.

Słyszac te słowa, Adela rozplakała się na dobre, a Martina uśmiechała się przez łzy.

— Powinnaś przy najmniej rozważyć, pani, że możesz mieć córkę.

Konstancja znów roześmiała się.

— I powitam ją z radością, Martino. Ale to dziecko będzie chłopcem. Wszchemogący pobłogosławił nas cudem. Jakże inaczej mogłabym stać się brzemienna w wieku czterdziestu jeden lat, po ośmiu latach bezpłodnego małżeństwa? To wola Boga, że urodzę syna.

* * *

Pomimo euforii Konstancja zdawała sobie sprawę, że nie miała większych szans, że w jej wieku poczęcie pierwszego dziecka wiązało się z poważnym ryzykiem, z bardzo realnym niebezpieczeństwem poronienia i urodzenia martwego dziecka. Najbardziej ryzykowne miesiące

ciąży postanowiła spędzić w żeńskim klasztorze benedyktynek w Medzie, na północ od Mediolanu, a podróż odbyć łatwymi do pokonania etapami. Na odpoczynek wybrała włoskie miasto Jesi, położone na grzbiecie wzgórza, z widokiem na rzekę Esino, otoczone murami obronnymi i przyjazne Cesarstwu Rzymskiemu. Henryk zapewnił jej ochronę gwardii cesarskiej, ale Konstancja nie przewidywała drugiego Salerno.

Chociaż w dużej mierze uniknęła porannych mdłości, których doświadczało wiele kobiet, jej ciąża nie należała do łatwych. Miała paskudnie opuchnięte kostki i stopy, bolesne i wrażliwe piersi, i cały czas była wyczerpana, cierpiąc z powodu bólu pleców, zgagi, duszności i nagłych zmian nastroju. Niektóre z jej lęków złagodził przyjazd do Jesi, ponieważ Martina zapewniła ją, że w ostatnich miesiącach ryzyko poronienia jest mniejsze. Otuchy dodawała jej także życzliwość mieszkańców Jesi, którzy wydawali się autentycznie zadowoleni, że postanowiła urodzić dziecko w ich mieście. Gdy listopad ustąpił miejsca grudniowi, cesarzowa była spokojniejsza niż kiedykolwiek w czasie ciąży.

Wojska Henryka napotkały niewielki opór i oblężenie Neapolu w sierpniu doprowadziło do powszechnej ucieczki osaczonej królowej i młodego syna Tankreda. Konstancja zatrzwożyła się na wieść o krwawej zemście na Salerno, której Henryk dokonał we wrześniu, ale posłuchała upomnień Martiny, że nadmiar zmartwień może zaszkodzić dziecku i starała się wyrzucić z myśli wizję płonących domów, ciał, pograżonych w żałobie wdów i przerażonych dzieci. W listopadzie była zachwycona przyjazdem Baldwina, Michaela i kilku rycerzy z jej orszaku. Kiedy Henryk zdobył Salerno i zostali uwolnieni, odesłał ich do Jesi. Konstancja mówiła żartem do Martiny, że jej małżeństwo byłoby o wiele szczęśliwsze, gdyby tylko mogła przez cały czas być w ciąży. Były teraz dla siebie kimś więcej niż lekarzem i pacjentką, dzieląc trudy jej ciąży, tak jak dzieliły niebezpieczeństwa w Salerno.

W grudniu Konstancja dowiedziała się, że Heinrich został przyjęty w Palermo, a Sybilla ustąpiła, otrzymawszy od niego obietnicę, że jej rodzina będzie bezpieczna, a synowi wolno będzie odziedziczyć ziemie Tankreda w Lecce. Konstancja mimo woli czuła sympatię do Sybilli i cieszyła się, że Henryk niespodziewanie złagodził warunki. Przebywała w pałacu biskupa Jesi, gdzie świętowano zbliżającą się koronację Henryka, na tyle hucznie, na ile pozwalał adwent. Później tego dnia skuszona łagodną pogodą odważyła się wyjść do ogrodów.

Siedziała w zabudowanej pergolami altanie, w towarzystwie Hildegund i Kateriny, gdy w końcu ogrodu zapanowało poruszenie i kilku młodych mężczyzn nadeszło, podrzucając piłkę ze świńskiego pęcherza. Konstancja rozpoznała ich — jednego z urzędników biskupa i dwóch rycerzy z orszaku Henryka, którym powierzył przyniesienie jej wieści o zwycięstwie. Odkładając haft, uśmiechnęła się, obserwując ich wygłupy i pomyślała, że pewnego dnia to jej syn będzie grał w piłkę z przyjaciółmi.

— Cesarzowi naprawdę Bóg pobłogosławił w tym roku. — Konstancja nie widziała już mężczyzn, ale знаła ich głosy. Ten należał do Pietra, urzędnika, który kontynuując, zadał retoryczne pytanie, ilu mężczyzn zdobywa koronę i dziedzica w ciągu jednego roku. — Dałby Bóg — dodał pobożnie — żeby cesarzowa urodziła syna. — Rycerze Henryka parsknęli śmiechem, a kiedy Pietro odezwał się ponownie, w jego głosie pobrzmiwało zdziwienie. — Dlaczego się śmiejecie? Przecież to jest w rękach Wszchemogącego.

— Naprawdę jesteś naiwny. — Usłyszała głos Johanna, starszego z rycerzy. — Rzeczywiście sądzisz, że cesarz zadałby sobie tyle trudu, by zapewnić sobie dziedzica, a potem zaprezentował światu dziewczynkę? Prędszej świnie zaczną latać!

Konstancja poderwała głowę i unosząc dłoni, uciszyła Katerinę, zanim ta zdążyła się odezwać.

— Nie rozumiem, co masz na myśli — odpowiedział Pietro, i tym razem w jego głosie zabrzmiała nuta ostrożności.

— Ależ rozumiesz. Tylko nie chcesz powiedzieć tego głośno. Po ośmiu latach, lord Henryk doskonale wiedział, że został przeklęty bezpłodną żoną. Potem, ni tego, ni z owego, ta cudowna ciąża. Myślisz, że dlatego cesarzowa wybrała to zapomniane przez Boga miasto, naprawdę na końcu świata? W Neapolu czy Palermo byłoby o wiele trudniej, za dużo podejrzliwych oczu. Tutaj będzie to łatwe. Rozejdź się wieść, że zaczęła rodzić, a pod osłoną nocy dziecko zostanie przemycone do pałacu — pewnie jeden z błękartów Henryka — a potem kościelne dzwony ogłoszą radosną nowinę, że cesarz ma silnego, zdrowego syna.

Konstancja wciągnęła powietrze, a jej dłoń zacisnęła się na tkaninie, którą haftowała. Nawet nie poczuła, że igła wbiła się jej w palec. Katerina poderwała się, ale Hildegund powstrzymała ją, kładąc rękę na jej ramieniu.

— Najwyraźniej wypiliśmy za dużo wina do obiadu — powiedział Pietro oschle, czym sprowokował młodych rycerzy do kolejnej salwy śmiechu. Tym razem to Konstancja wstała. Kiedy wyłoniła się z altany, Pietro zobaczył ją pierwszy i pokłonił się głęboko. — Pani!

Krew odpłynęła z twarzy Johanna, pozostawiając go bledszym niż gromnica.

— Pa-pa-pani — wyjąkał. — Ja... bardzo przepraszam! To był tylko żart. Jak... jak powiedział Pietro, wyłopałem za dużo wina. — Wyrzucał z siebie słowa tak szybko, że aż plątał mu się język i bełkotał, a jego głos brzmiał piskliwie i drżał. — Naprawdę, musiałem się upić, żeby pozwolić sobie na taki podły żart...

Głos Konstancji był jak lód, jeśli lód może płonąć.

— Zastanawiam się, czy mój pan mąż będzie równie ubawiony twoim żartem jak ty sam.

Z gardła Johanna wyrwał się zdławiony dźwięk, po czym on sam padł na kolana.

— Pani... proszę — skamlał. — Proszę, błagam was, nie mówcie mu...

Konstancja patrzyła na niego z góry, dopóki nie zaczął łkać, a potem odwróciła się i odeszła.

Johann zgiął się do ziemi, a Pietro i drugi rycerz wciąż stali zmrózeni, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Hildegund spojrzała na płaczącego rycerza i pospieszyła za Konstancją, a Katerina tuż za nią.

— Czy ona powie cesarzowi? — wyszeptwała młodsza dwórka, czując ukłucie niepożądanego litości wobec panicznego strachu Johanna.

Hildegund pokręciła głową.

— Myślę, że nie — odpowiedziała bardzo powoli, a potem parsknęła: — Niech diabli wezmą tego bękart, nieopierzony kpiarz zasłużył za to na wieczne potępienie! Ze wszytskich rzeczy, jakie nasza pani powinna usłyszeć, gdy zbliża się jej czas...

* * *

— Moje jagniątko, co za różnica, co taki głupiec myśli?

Konstancja nie zwracała na nią uwagi. Chodziła w tę i z powrotem, kipiąc z oburzenia, rzucając przekleństwa, których kobiety nie spodziewały się usłyszeć z ust swojej pani. Ale kiedy zbladła i zaczęła dyszeć, Martina objęła ją ramieniem i podprowadziła do krzesła. Wracając kilka minut później z kubkiem wina, włożyła go w dłoń Konstancji.

— Wypij to, pani. Ukołi twoje nerwy. Adela ma rację. Denerwujesz się bez powodu. Z pewnością wiedziałaś, że będą pojawiać się takie złośliwe plotki. Ludzie chętnie wierzą w najgorsze cechy cesarza.

Konstancja odstawiła kubek tak gwałtownie, że wino chlapanęło jej na rękaw.

— Oczywiście, że wiedziałam, Martino! Henryk ma więcej wrogów niż Rzym księży. Ale nie widzisz? To byli jego własni rycerze, ludzie, którzy przysięgali umrzeć za niego, jeśli będzie trzeba. Jeśli nawet oni wątpią w moją ciężę...

Adela ukłękła przy krześle, krzywiąc się, gdy jej stare kości zaprotestowały.

— To bez znaczenia — oznajmiła stanowczo. — Trajektanie srok, nic więcej.

Oburzenie Konstancji ustąpiło teraz miejsca rozpacz.

— To ma znaczenie! Mój syn przyjdzie na świat w cieniu podejrzeń. Ludzie nie będą wierzyli, że jest ciałem z mego ciała, prawowitym dziedzicem korony Sycylii. Całe życie będzie musiał walczyć z oszczerstwami i pomówieniami. Buntownicy mogą wykorzystać to jako pretekst do powstania przeciwko niemu. Antagonistyczny papież może równie dobrze ogłosić go nieślubnym dzieckiem. Nigdy nie uwolni się od szeptów za plecami, wątpliwości... — Zamknęła oczy, a na jej rzęsach zabyły sły łzy. — A co jeśli sam w to uwierzy...?

Adela też zaczęła płakać. Martina ujęła Konstancję pod ramię i łagodnie, aczkolwiek stanowczo pociągnęła ją, żeby wstała.

— Jak powiedziałam, to niczemu nie służy. Nawet jeśli masz rację i twoje obawy są

uzasadnione, nic nie możesz zrobić, żeby odeprzeć plotkę. A teraz chcę, żebyś się położyła i trochę odpoczęła. Musisz myśleć o dobru dziecka, dopóki jest w twoim łonie, a nie o tym, co spotka go w przyszłości.

Konstancja nie sprzeczała się, pozwalając, żeby położyły ją do łóża. Ale nie spała, leżąc z otwartymi oczami, podczas gdy niebo pociemniało, a potem powoli zajaśniało, słysząc głos Johanna, gdy wyśmiewał sam pomysł, że Henryk starzeje się, a bezpłodna żona jest w ciąży.

* * *

Baldwin był zażenowany, bo nie wypadalo, żeby wzywano go do prywatnej komnaty jego pani. Był przekonany, że Henryk nie pochwaliby tego.

— Posyłaś po mnie, pani? — zapytał, próbując ukryć konsternację na widok wymizerowanej i bladej cesarzowej.

— Mam dla ciebie zadanie, sir Baldwinie. — Konstancja siedziała na krześle, z rękami złożonymi tak ciasno, że pierścień wpijał się jej w ciało. — Chcę, żebyś postawił pawilon na placu. A potem chcę, żebyś rozesłał ludzi na ulice, by mówili wszystkim, że tam będzie moje miejsce położu, w tym namiocie, i że matrony i panny z Jesi są zaproszone, żeby asystować przy narodzinach mojego dziecka.

Baldwinowi szczęka opadła. Pierwszy raz w życiu nie wiedział, co powiedzieć. Tylko dwórkom Konstancji nie zabrakło słów i podniosły pełen oburzenia protest. Wysłuchała je, a następnie kazała Baldwinowi sprawdzić, czy wykonano jej polecenie. Raz już widział ten wyraz na twarzy swojej pani, gdy miała wyjść na balkon w Salerno, a on uklęknął i ucałował jej dłoń.

— Tak jest, pani — odpowiedział.

Adela, Hildegund i Katerina przycichły, patrząc na nią ze zgorzeniem. Martina pochyliła się w jej stronę i wymamrotała:

— Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

Konstancja wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby.

— Chryste na krzyżu, Martino! Oczywiście, że nie chcę tego robić! — powiedziała, podnosząc głowę. — Ale zrobię! Zrobię to dla mojego syna.

* * *

Dzień po Bożym Narodzeniu plac był tak zatłoczony, jakby to był dzień targowy. Panowała atmosfera festiwalu, gdyż mieszkańcy miasta wiedzieli, że będą świadkami czegoś niezwyklego — a przynajmniej ich żony. Od czasu do czasu jedna z nich wychodziła z namiotu, by zameldować, że wszystko przebiega tak, jak powinno, a potem znów znikala w środku. Ludzie żartowali i plotkowali o płci dziecka, które właśnie się rodziło. W namiocie panował całkiem inny

nastrój. Początkowo kobiety z Jesi były podekscytowane, szepcząc między sobą, czując się jak widzowie bożonarodzeniowego przedstawienia. Ale niemal wszystkie z nich miały własne doświadczenia z izby porodowej, cierpiały tak jak teraz Konstancja, i kiedy patrzyły na nią, wijącą się na stolek porodowym, zlaną potem, z twarzą wykrzywioną cierpieniem, zaczęły identyfikować się z nią do tego stopnia, że zapomniały, iż jest cesarzową, wysoko urodzoną, zamożną i uprzywilejowaną, co wykraczało poza ich najśmielsze marzenia. Czuły się zaszczycone, będąc świadkami tego historycznego wydarzenia. Dodawały jej otuchy, jakby była jedną z nich, bo przecież wszystkie były córkami Ewy, a kiedy przyszło do porodu, były pokrewnymi duszami.

Martina konsultowała się z dwoma miejscowymi położnymi, zniżały głosy i miały troskę wypisaną na twarzach. Adela namawiała Konstancję, żeby połknęła łyżeczkę miodu, twierdząc, że doda jej sił, aż w końcu zmusiła ją, by wzięła go na język. Wiedziała, dlaczego są takie zaniepokojone. Kiedy odeszły wody, powiedziały jej, że poród jest bliski, ale mimo że bóle wciąż powtarzały się i stawały coraz bardziej dotkliwe, jak dla niej nie było żadnego postępu.

— Chcę Martinę — wybełkotała, a kiedy lekarka pochyliła się nad nią z boku, cesarzowa chwyciła kobietę za nadgarstek — Pamiętaj... jeśli nie będziesz mogła uratować nas oboje, ratuj dziecko... — Jej słowa brzmiały niewyraźnie i cicho, ale oczy płonęły tak dziko, że Martina nie mogła odwrócić wzroku. — Obiecuj... — upierała się. — Obiecuj — i druga kobieta skinęła głową, nie ufając własnemu głosowi.

Czas nie miał już dla Konstancji znaczenia. Nie istniał już świat poza granicami dusznego namiotu. Kobiety dały jej wino zmieszane z korą strączyńca cewiastego, unosząc jej poplamioną koszulę, żeby pomasaować brzuch, smarując jej kobiece części ciała gorącym olejem ty miankowym, a kiedy walczyła dalej, kilka kobiet wyknęło się do pobliskiego kościoła na placu, żeby modlić się za nią. Martina wciąż zapewniała cesarzową, że zaraz będzie po wszystkim, że jej łono rozciąga się, trzymając się tej nadziei jak świecy rozświetlającej ciemność. Po upływie całej wieczności Konstancja usłyszała jej okrzyk, że widzi główkę dziecka. Ponownie zacisnęła zęby i ramionka jej dziecka były wolne.

— Jeszcze raz — ponagliła ją Martina i po chwili małe ciało o czerwonej i pomarszczonej skórze wysliznęło się wprost w umazane krwią i śluzem oczekujące go ręce położnej.

Konstancja opadła do tyłu, wstrzymując oddech, dopóki nie usłyszała cichego kwilenia, które było dowodem, że dziecko żyje. Uśmiech Martiny był równie promienny jak wschód słońca.

— Męski potomek, pani! Masz syna!

— Pozwól mi go potrzymać... — powiedziała anemicznie. Tak wiele jeszcze było do zrobienia. Pępowinę należało zawiązać i odciąć. Dziecko należało umyć i natrzeć solą, zanim zostanie przewinięte. Łożysko i błony płodowe musiały zostać wydalone, a następnie spalone,

żeby nie zwabiły demonów. Jednak Martina wiedziała, że to wszystko może poczekać. Wzięła dziecko i ułożyła je w ramionach matki. Kobiety patrzyły, jak Konstancja po raz pierwszy przytula syna, a wiele z nich ocierało łzy.

* * *

Gdy sześć dni później rozeszła się wieść, że cesarzowa pokaże syna publicznie, plac był zatłoczony już kilka godzin przed jej pojawieniem się. Ludzie słyszeli opowieści kobiet o porodzie i byli ciekawi zobaczyć to cudowne niemowlę na własne oczy. W końcu pochodziło z Jesi, żartowali, było jednym z nich. Tłum rozstał się, gdy na plac wniesiono leżytko Konstancji i kłaskał uprzejmie, gdy wysiadła z niej i ruszyła powoli w kierunku czekającego na nią krzesła. Kiedy usiadła, dała znak Martinie, by podała jej małe zawiniątko. Konstancja odchyliła kocyk, odsłaniając główkę pokrytą miękkimi jak puch, rudymi włoskami. Kiedy niemowlę zamachało drobnymi piąstkami, podniosła je, żeby wszyscy mogli je zobaczyć.

— Mój syn Fryderyk — powiedziała głośno i wyraźnie — który pewnego dnia zostanie królem Sycylii.

Kiedy nagle Fryderyk rozplakał się głośno, ludzie znów klasnęli i uśmiechali się. Konstancja również się uśmiechnęła.

— Myślę, że jest głodny — powiedziała, a inne matki z tłumu przytaknęły ze znanstwem, rozglądając się za mamką. Wysoko urodzone kobiety, jak Konstancja, nie karmiły same swoich dzieci. Dlatego bardzo zaskoczyło je to, co wydarzyło się chwilę później. Dwórki cesarzowej podeszły bliżej, chwilowo zasłaniając widok tłumowi. Kiedy odsunęły się, przez tłum przetoczyło się westchnienie, bo Konstancja rozpięła suknię, poprawiła stanik i zaczęła karmić syna. Gdy ludzie uświadomili sobie, co robi — dając ostateczny, niepodważalny, publiczny dowód, że to dziecko jest z jej ciała i krwi — zaczęli głośno wiwatować. Nawet ci, którzy byli wrogo nastawieni do jej męża Niemca, przyłączyli się, bo odwaga zasługiwała na uznanie, na uhonorowanie, a wszyscy wiedzieli, że są świadkami aktu wyzywającej odwagi, najwyższego wyrazu matczynej miłości.

* * *

Od Autorki

Konstancja niewątpliwie była odważną kobietą, ale czy również niebezpieczną? Wydarzenia, które miały miejsce po narodzinach Fryderyka, dają nam odpowiedź na to pytanie. Wspaniałomyślne warunki pokojowe Henryka okazały się przynętą, by wciągnąć przeciwnika w pułapkę. W czasie bożonarodzeniowej koronacji pokazał swe prawdziwe oblicze, wywlekając ciała Tankreda i jego syna z królewskich grobowców. Cztery dni później ogłosił, że wykrył spisek

przeciwko sobie i rozkazał pojmać Sybillę, jej dzieci oraz najważniejszych sycylijskich magnatów i zabrać ich do Niemiec. Sybilla i jej córki ostatecznie uciekły, ale jej pięcioletni syn zmarł wkrótce po odesłaniu do klasztoru, gdzie ponoć przed śmiercią został oślepiony i wykastrowany. Brutalne rządy Henryka spowodowały prawdziwy bunt w 1197 roku i istnieją dowody, że Konstancja była zaangażowana w spisek Henryka w pewności domyślał się tego, gdyż zmusił ją do oglądania egzekucji prowodyra poprzez wbicie mu na głowę rozpalonej do czerwoności korony. Ale we wrześniu 1197 roku Henryk nieoczekiwanie zmarł w Messynie. Konstancja natychmiast przejęła kontrolę nad rządem, otaczając się sycylijskimi doradcami i usuwając wszystkich Niemców. Jednak przeżyła Henryka zaledwie o rok, w ciągu którego pracowała gorączkowo, by zabezpieczyć przyszłość syna. Koronowała go, a następnie zawarła przymierze z nowym papieżem, Innocentym III, mianując go opiekunem Fryderyka, tuż przed swoją śmiercią w listopadzie 1198 roku, w wieku czterdziestu czterech lat. Fryderyk okazał się jednym z najbardziej błyskotliwych, kontrowersyjnych i wybitnych władców średniowiecza — był królem Sycylii, cesarzem Świętego Cesarstwa Rzymskiego, a nawet królem Jerozolimy. A Konstancja? Dante umieścił ją w Raju.

Przetłumaczyła Beata Rosadzińska

Dziewczyna w lustrze

(THE GIRL IN THE MIRROR)

Lev Grossman, dziennikarz i powieściopisarz, jest redaktorem i krytykiem literackim „Time”, a także współautorem TIME.com blog TechLand. Jego niecodzienna powieść fantasy *The Magicians* z 2009 roku wywołała sensację na rynku międzynarodowym i trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”, zdobyła także tytuł Najlepszej Książki 2009 Roku według „New Yorkera”, a jej kontynuacja *The Magician King*, wydana w 2011 roku, odniosła podobny sukces. Inne powieści Grossmana to *Warp* i *Codex*. Mieszka na Brooklynie. Prowadzi stronę Levgrossman.com.

W niniejszym opowiadaniu zabiera czytelnika do starej, szacownej szkoły magii z tysiącletnimi tradycjami, nawiedzanej przez różnego rodzaju duchy, by pokazać, że nawet najbardziej niewinne psoty mogą mieć śmiertelnie niebezpieczne konsekwencje.

DZIEWCZYNA W LUSTRZE

Można by powiedzieć, że wszystko zaczęło się od niewinnego żartu, ale nie byłoby to do końca prawdą. Żart nie był taki niewinny. Poszło o to, że Wharton zachowywał się karygodnie i zdaniem Ligi należało go za to ukarać. Uznano, że być może wtedy zacznie się zachowywać porządnie albo chociaż mniej karygodnie, a przynajmniej jego cierpienie dostarczy Lidze satysfakcji, a samo to musiało się liczyć za coś. Właściwie to za całkiem dużo.

Trudno to uznać za niewinne pobudki, ale trzeba przyznać, że były całkiem sensowne. A poza tym — czy w ogóle istnieje coś takiego jak niewinny żart?

Plum była przewodniczącą Ligi — niewybraną, ale niekwestionowaną — a także jej założycielką. Rekrutując kolejne członkinie, przedstawiła Ligę jako starą, chwalebłą tradycję

Brakebills, którą prawdopodobnie nie była, choć z drugiej strony szkoła miała coś koło czterystu lat, a zatem w którymś momencie musiała istnieć jakaś Liga albo coś bardzo podobnego, co można by uznać za historyczny precedens. W każdym razie nie można było wykluczyć takiej możliwości. Ale tak naprawdę zaczerpnęła ten pomysł z opowiadania P.G. Wodehouse'a.

Spotykały się po lekcjach w dziwnej, małej, trapezoidalnej salce w zachodniej wieży, która, o ile potrafiły stwierdzić, jakos wypadła z magicznej sieci bezpieczeństwa, więc bez problemu można tam było naruszać ciszę nocną. Plum leżała na podłodze, ponieważ w takiej pozycji zwykle załatwiała sprawy Ligi. Pozostałe dziewczęta wylegiwały się na kanapach i krzesłach, niczym konfetti pozostałe z udanego, ale dość wyczerpującego przyjęcia, które na szczęście już się prawie skończyło.

Plum uciszyła salę — zakłęcie pożerało wszelkie dźwięki w promieniu jakichś dziesięciu kroków — i uwaga wszystkich nagle skupiła się na niej. Gdy Plum robiła jakąś sztuczkę, wszyscy natychmiast to zauważali.

— Zagłosujemy — oznajmiła poważnie. — Wszyscy, którzy są za splataniem Whartonowi figla, niech powiedzą „tak”.

Potakiwanie wróciło do niej jak echo, wypowiedziane różnym tonem, od słusznego oburzenia poprzez ironiczne zdystansowanie, aż po senne przytakiwanie. Prowadzenie potajemnych spotkań po godzinach bardzo rozregulowało cykl dobowy. Było to trochę nie w porządku wobec pozostałych, bo sama Plum była zdolną uczennicą, która przedzierała się przez pracę domową jak gorący nóż przez masło, ale wiedziała, że nie wszyscy mają tak łatwo. Ze swego miejsca na podłodze, z zamkniętymi oczami, długimi, brązowymi włosami rozsypanymi po dywanie, który był kiedyś miękką i wełnisty, ale od tego czasu zdeptano go w zbitą, szarą masę, uznała, że wynik głosowania jest mniej więcej jednomyślny.

— To skandal — powiedziała Emma, przerywając ciszę, jaka zapadła po głosowaniu, jakby wybijała piłkę. — Absolutny skandal.

Była to pewna przesada, ale zebrane puściły ją mimo uszu. Zbrodnia Whartona nie była kwestią życia i śmierci, ale należało położyć jej kres. Liga przysięgła zemstę.

Darcy siedziała na kanapie naprzeciw długiego lustra w białej, obdrapanej ramie, opartego o ścianę. Bawiła się swoim odbiciem — smukłymi, wytwornymi dłońmi kształtowała zakłęcie, które rozciągało je i ścisnęło, rozciągało i ścisnęło. Plum nie do końca rozumiała techniczne szczegóły tego zakłęcia, ale lustrzana magia stanowiła specjalność Darcy. Trochę się popisywała, ale trudno ją było za to winić. Nie miała zbyt wielu okazji, by użyć tej mocy.

Fakty w sprawie Whartona wyglądały następująco. W Brakebills większość posług przy stole była wykonywana przez uczniów pierwszego roku, którzy jedli później oddzielnie. Jednak tradycja nakazywała, by to jeden wybraniec z czwartego roku pełnił rolę podczaszego. Wharton

został wybrany na to stanowisko nie bez racji. Rzeczywiście dużo wiedział o winie, a w każdym razie znał nazwy wielu regionów, szczepów winogron i innych takich rzeczy. (Właściwie na stanowisko podczasgo przeznaczona była uczennica imieniem Claire Bear. Wharton poniżył ją publicznie, bez trudu odróżniając Gigondas od Vacqueyras w ślepej próbie smaku).

Jednak w pojęciu Ligi Wharton zgrzeszył straszliwie i naruszył powagę swego urzędu, systematycznie nalewając zbyt mało wina, zwłaszcza uczniom piątego roku, którym pozwalano wypić do obiadu dwa kieliszki. Doprawdy — nalewał co najwyżej trzy czwarte porcji. Wszyscy byli zgodni. Takiej zbrodni nie można wybaczyć.

— Co on z nim właściwie robi? — spytała Emma.

— Z czym?

— Z całym tym winem. Musi je gdzieś chować. Założę się, że co wieczór zostaje mu cała butelka.

Do Ligi należało osiem dziewcząt, z czego na zebraniu obecnych było tylko sześć. Emma była najmłodsza — jedyna drugoroczna w całym klubie — ale wcale jej to nie onieśmiało. Zdaniem Plum była może nawet zbyt entuzjastycznie nastawiona do Ligi jako takiej i do własnej w niej roli. Może od czasu do czasu przydałyby się jej odrobina onieśmienia.

— Nie wiem — odparła. — Pewnie wypija.

— Nie dałby rady wypijać całej butelki dzień w dzień — zauważyła Darcy. Miała wielkie, pierzaste afro, jakby z lat siedemdziesiątych, nawet wystawał z niego grzebyk

— W takim razie wypija je z tym swoim chłopakiem. Jak on się nazywa? Jakos po grecku.

— Epifanio — powiedziały jednocześnie Darcy i Chelsea.

Chelsea leżała na drugim końcu kanapy naprzeciw Darcy. Jej głowa w kolorze miodowy blond spoczywała na poręczy. Przyciągnęła kolana do piersi i leniwie próbowała przeszkadzać koleżance w jej lustrzanych sztuczłach. Zakłęcia Darcy były niezwykle precyzyjne, ale zepsuć zakłęcie było znacznie łatwiej, niż rzucić je samemu. Takie były arka magii.

Darcy zmarszczyła brwi i skupiła się, odpychając wrogą magię. Interferencja wywołała słyszalne brzęczenie, odbicie Darcy skłęciło się i zwinęło w dziwne kształty.

— Przestań! — upomniała koleżankę. — Bo się rozbije.

— Pewnie rzucił jakieś zakłęcie, które potrzebuje paliwa. Musi je codziennie poić winem. Zakłęcie jurności.

— Wiedziałam, że to powiesz — stwierdziła Plum.

— No wiesz — Emma splonęła rumieńcem. — Facet jest napakowany.

Chelsea dostrzegła szansę i sprawiła, że odbicie Darcy zapadło się w sobie, jakby wessane w czarną dziurę, a potem całkiem zniknęło. W lustrze wyglądało to tak, jakby młodej czarodziejki w ogóle tam nie było, jej koniec kanapy był pusty, choć w poduszce widniało lekkie wgłębienie.

— Ha! — wykrzyknęła Chelsea triumfalnie.

— Ale „napakowany” wcale nie znaczy „jurny” — zauważyła Lucy, poważna, filozoficzna piętoroczniaczka. W jej tonie dźwięczała nuta goryczy, którą można by uznać za pochodzącą ze złych, osobistych doświadczeń. Pulchna, skośnooka i blada, siedziała ze skrzyżowanymi nogami i unięła się w pod sufitem w jednym z nieregularnych kątów pokoju. Jej ciemne włosy były rozpuszczone i zwisały poniżej pośladków.

— Założę się, że daje to wino duchowi — dodała.

— Nie ma żadnego ducha — odparła Darcy.

Co jakiś czas ktoś powtarzał, że Brakebills ma własnego ducha. Trochę przypominało to twierdzenie Plum na temat Ligi — nie sposób było dowiedzieć, że coś takiego nie istniało.

— A właściwie... — Chelsea, która postanowiła świętować zwycięstwo nad Darcy, oparła koleżance stopy na kolanach. — Co to znaczy „jurny”?

— To znaczy, że ma ikrę.

— Dziewczęta, proszę o spokój — oznajmiła Plum, próbując wrócić do konkretów. — Ikra Whartona nie jest tu sednem sprawy. Pytanie brzmi: Co zrobimy w sprawie braku wina? Kto ma plan?

— Ty — odparły jednocześnie Darcy i Chelsea. Były jak kabaretowe bliźniaczki.

— Owszem.

— Plum ma plan! — zawołała mała, wesola Holly z jedyne go dobrego fotela.

Plum zawsze miała plan, nie mogła nic na to poradzić. Miała wrażenie, że jej mózg po prostu wydziela je naturalnie. Plan Plum zakładał wykorzystanie tego, co postrzegała jako piętę achillesową Whartona, czyli jego ołówków. Nie korzystał z ołówków szkolnych, które zdaniem Plum były doskonale funkcjonalne i wystarczające do wszelkich zadań. Miały kolor głębokiego błękitu i pionowy złoty napis „Brakebills”. Ale Wharton ich nie lubił — twierdził, że są za grube, że leżą w ręce, a do tego są zbyt miękkie i mażące. Przywoził sobie własne z domu.

Należało przyznać, że ołówki Whartona były naprawdę wyjątkowe: oliwkowozielone, wykonane z jakiegoś oleistego, aromatycznego drewna i wydzielały żywiczny aromat przywodzący na myśl egzotyczne drzewa lasów deszczowych. Gumki oprawiono w matową stal, która wyglądała stanowczo zbyt przemysłowo i wysokowęglowo jak na zwykłe narzędzie do mocowania gumek, które zamiast mięsnego rózgu miały barwę pożerającej światło czerni. Wharton trzymał je w płaskim, srebrnym pudełku, które (w osobnej przegródce z marszczonego aksamitu) mieściło także mały, ostry nożyk, którym temperował im zabójczo ostre końcówki.

Plum planowała ukraść ołówki i przetrzymać je dla okupu — okupem było w tym przypadku wyjaśnienie, co, u diabła, Wharton robi z całym tym winem, i uprzejma prośba, żeby przestał. O jedenastej trzydzieści Liga zaczęła ziewać, a Darcy i Chelsea przywołały z powrotem odbicie

Chelsea i znów zaczęły je sobie wyszarpywać, ale plan Plum został szczegółowo wyjaśniony, dopracowany, zatwierdzony, ulepszony, a potem niepotrzebnie skomplikowany. Dodano do niego małe zadziory z drutu kolczastego i rozpisano role.

Była to brutalna sprawiedliwość, ale ktoś musiał ją wymierzyć. Jeśli grono pedagogiczne nie zamierzało się tym zająć, Liga nie miała wyboru. Nauczyciele może i patrzyli przez palce na podobne występki, ale oczy Ligi były bystre i czujne.

Odbicie Darcy zdrzało i rozmyło się w oczach.

— Przestań! — zawołała dziewczyna, teraz już naprawdę zirytowana. — Mówiłam ci, że...

Mówiła, gdy właśnie do tego doszło. Lustro pękło, rozległo się głośnie „pyk” i w prawym dolnym rogu na szkle pojawiła się biała gwiazdka, jakby trafił je jakieś niewidzialny pocisk Plum pomyślała o wersie z Tennysona „Zwierciadło pęka w odłamków stos” ¹.

— O cholera! — wykrzyknęła Chelsea, łapiąc się za usta. — Mam nadzieję, że nie było strasznie drogie, co?

W tej samej chwili powierzchnia lustra pociemniała i przestała odbijać cokolwiek w pokoju. Najwyraźniej nie było to prawdziwe lustro, ale magiczne urządzenie, które tylko je przypominało. Z początku Plum miała wrażenie, że jest zupełnie ciemne, ale potem pojawiły się miękkie, cieniste kształty: kanapa i fotele. Zwierciadło, czymkolwiek było, ukazywało im to samo pomieszczenie, ale puste i pograżone w ciemności. Co to mogło być? Przeszłość? Przyszłość. Było w tym coś niepokojącego — sala wyglądała tak, jakby ktoś jeszcze przed chwilą tam był i właśnie wyszedł, wyłączając po drodze światło.

* * *

Plum wstała o ósmej rano — jak na jej standardy było to dość późno, ale dodatkowy sen, zamiast dodać jej energii, tylko ją oszołomił. Miała nadzieję, że perspektywa splątania figla wprawi ją w dobry nastrój, pełen radosnego ożywienia, ale po wstaniu z łóżka tylko półprzytomnie powlokła się pod prysznic, potem znów do pokoju, wciągnęła czyste ubrania i powędrowała w stronę odpowiedniej klasy. Jej umysł, jak już zauważyła, był jak soczewka, która miała tylko dwa ustawienia — ostre przybliżenie i bezużyteczne rozmycie, a ona najwyraźniej nie miała wpływu na jej regulację. Ten poranek spędziła w trybie rozmycia.

Jako uczennica piątego roku, która zaliczyła już wszystkie obowiązkowe przedmioty, zapisała się w tym semestrze na wszystkie seminaria. Pierwsza lekcja dotyczyła magii historycznej — a konkretnie szesnastowiecznej magii niemieckiej. Dużo informacji o żywiołach, dziwne techniki wróżbiarskie i Johannes Hartlieb. Mała Holly siedziała naprzeciwko. Plum była tak rozkojarzona, że koleżanka aż dwa razy dotknęła wymownie swojego małego, ostrego nosa, by zasygnalizować, że faza pierwsza i druga zostały zakończone pomyślnie. Plum gwałtownie

przeszła w tryb ostrości.

Faza pierwsza: „Prymitywna, ale skuteczna”. Kilka godzin wcześniej chłopak Chelsea przesznuł ją do Wieży Chłopców pod pretekstem nocnej schadzki, co dla tej dwójki nie było niczym dziwnym. Po zakończeniu spotkania Chelsea miała uciec z ramion ukochanego, stanąć pod drzwiami Whartona, przyciśnięta do nich plecami, odruchowym gestem wygładzić swoje miodowe włosy, przewrócić oczami, aż uciekną w tył głowy i wkroczyć do pokoju w postaci srebrzystej, astralnej mgiełki. Przeszukała jego pokój, znalazła pudełko z ołówkami, chwyciła je swoimi widmowymi dłońmi. Nie byłaby w stanie wynieść go z pokoju, ale wcale nie musiała. Wystarczyło wyrzucić je przez okno.

Wharton mógł to widzieć albo nie, w zależności od tego, czy akurat spał, ale to było bez znaczenia. Niech sobie widzi.

Gdy Chelsea zaniósła już pudełko do okna, entuzjastyczna Lucy była w stanie dostrzec ją z okna w pustej klasie naprzeciwko pokoju Whartona, co oznaczało, że mogła przelewitować pudełko. Najwyżej o trzy stopy, ale tyle wystarczyło.

Pudełko miało następnie spaść jakieś czterdzieści stóp w dół, gdzie już czekała Emma, drząc w krzakach w lutowym chłdzie, i złapać pudełko w nadstawiony koc. Bez pomocy magii.

Skuteczne? Niewątpliwie. Niepotrzebnie skomplikowane? Być może. Ale niepotrzebne komplikacje stanowiły ich znak charakterystyczny. Tak się bawiła Liga.

Po zakończeniu fazy pierwszej należało przejść do drugiej: „Śniadanie mistrzów”. Wharton pewnie zszedłby na dół spóźniony, spędziwszy cały rano na szukaniu swoich ołówków. Poprzez mgiełkę zaniepokojenia pewnie nie zauważyłby, że jego poranna owsianka została podana nie przez anonimową pierwszoroczniczkę, ale przez małą Holly w przebraniu. Pierwszy łyk wydałby mu się jakiś dziwny. Wtedy przerwałby jedzenie i obejrzał swój posiłek dokładnie. Odkryłby, że posypano go nie, jak zwykle, brązowym cukrem, lecz drobnymi wiórkami zielonych ołówków. Poczęstunek na koszt Ligi.

* * *

Z upływem czasu Plum coraz bardziej wkręcała się w ten figiel. Wiedziała, że tak będzie. Zwykle tylko poranki były takie byle jakie.

Kontynuowała swój plan zajęć, pochłaniając go wielkimi łykami, jak anakonda połykająca antylopę. Przyspieszona kinetyka zaawansowana, kwantowy grymuar, magija tandemowa, manipulacja roślinna na poziomie komórkowym. Dobrze, pożyteczne, amerykańskie przedmioty. Plan zajęć Plum byłby dość imponujący nawet dla doktoranta, może nawet dla kilku doktorantów, ale dziewczyna przybyła do Brakebills, mając w głowie więcej teorii i praktyki, niż większość ludzi miewała, wychodząc. Nie należała do tych zupełnie świeżych nowicjuszy, którzy przez cały

pierwszy rok chodzili po korytarzach z obolałymi dłońmi i oczami pełnymi zachwytu. Plum przybyła tu dobrze przygotowana.

Brakebills stanowiło niezwykle tajną i ekskluzywną instytucję. Jako jedyna akredytowana wyższa szkoła magii na kontynencie amerykańskim, mogła wybierać z bardzo konkretnej puli kandydatów i wypijała ją do sucha. Technicznie rzecz biorąc, nikt nie składał tam podań. Fogg po prostu zbierał śmietankę z ostatnich klas szkół średnich — właściwie nawet śmietankę śmietanki. Ekscentrycy, młodzi geniusze i obsesjonaci posiadający odpowiednie umysły i wysoką tolerancję na ból konieczne, by sprostać intelektualnym i fizycznym wymogom studiowania magii.

Nie trzeba chyba dodawać, że grono studenckie Brakebills stanowiło niezwykle menażerię. Dźwiganie takiego bagażu kognitywnego często wypaczało osobowość. A poza tym każdy, kto zgadzał się tak ciężko pracować, musiał być choć trochę pieprznęty.

Plum była trochę pieprznęta, ale w ogóle tego po sobie nie pokazywała. Prezentowała się jako dowcipna i pewna siebie. Gdy przybyła do Brakebills, podkasała rękawy, strzeliła palcami, wykonała kilka innych gestów znamionujących pewność siebie, a potem weszła pomiędzy uczniów. Koleżanki, dopóki nie zobaczyły jej w klasie, początkowo wzięły ją za kogoś z wyższego roku.

Z drugiej strony, bardzo się starała, żeby nie przesadzić i, na przykład, nie ukończyć szkoły za szybko. Nigdzie jej się nie spieszyło. Lubiła Brakebills. Właściwie nawet uwielbiała. Potrzebowała. Czuła się tu bezpieczna. Nie była aż tak dowcipna i pewna siebie, by radzić sobie bez pocieszających marzeń. Czasem zasyiała, wyobrażając sobie, że jest Padmą Patil (wybacz, Hermiono, ale Ravenclaw rządzi). W głębi duszy była romantyczką, podobnie jak większość studentów, a Brakebills stanowiło ziszczony sen romantyka. Kim bowiem byli magowie jak nie romantykami — marzycielami, którzy marzyli tak gorąco i intensywnie, i rozpaczliwie, że sama rzeczywistość ustępowała pod naporem marzeń i pękała jak stare lustro?

Plum przybyła do Brakebills przygotowana, napięta, zabezpieczona i gotowa do jazdy. Ilekroć ludzie pytali, jak wyglądało jej dzieciństwo i jakim cudem przybyła tu w takim stanie napięcia, zabezpieczenia i gotowości, mówiła prawdę. Dorastała w Seattle jako jedyne dziecko mieszanej pary — magiczki i miłośnika nintendo, który doskonale wiedział o istnieniu magii, jednak nigdy nie wykazywał do niej talentu. Uczyli ją w domu, dając jej całkiem niezły wczesny start. Ogólnie rzecz biorąc, wiedziała o magii bardzo dużo, ponieważ wcześniej zaczęła, miała talent i nikt jej nie przeszkadzał.

Taka była prawda. Ale gdy już dotarła do końca części prawdziwej, przechodziła do kłamstw, byle tylko nie wspominać o rzeczach, o których nie lubiła mówić, a nawet myśleć. Plum była tajemnicza i bardzo jej się to podobało. Czuła się bezpieczna. Nikt nigdy nie miał poznać o niej

całej prawdy. Nawet ona sama.

Ale nieomyślenie o prawdzie wymagało pewnych tematów zastępczych. Stąd przyspieszona kinetyka zaawansowana i kwantowy grymuar, i inne trudne przedmioty. I stąd Liga.

Dzień rozwijał się dla Plum całkiem pomyślnie, zdecydowanie lepiej niż dla Whartona. Podczas pierwszej lekcji znalazł kolejną warstwę wiórków na swoim krześle. Idąc na lunch, odkrył, że w kieszeniach pełno ma wiórków czarnych gumek. Przypominało to scenę z horroru — jego ukochane ołówki umierały, minuta po minucie, a on nie mógł temu zapobiec. Już niedługo miał gorzko pożalować swojego skąpstwa.

Mijając go na dziedzińcu, Plum pozwoliła sobie zerknąć w jego stronę z uśmiechem satysfakcji. Wyglądał jak człowiek opętany przez ducha — cień dawnego Whartona. Nad jego głową niemal unosił się komiksowy dymek w którym napisano wielkimi literami: „Co, u jasnej cholery?!”.

Wreszcie na czwartej lekcji, ćwiczeniach z diagramów energii magicznych, nadszedł czas na ostatni ruch — to był pomysł Plum i osobiście uważała go za najsprytniejszy. Wharton odkrył, że ołówek Brakebills, z którego korzystał, zaczął się dziwnie zachowywać. Nie dość, że był niewygodny i źle leżał w ręku, teraz jeszcze nie chciał narysować tego, co mu kazano. Ilekroć próbował nakreślić diagram, linie, strzałki i wektory, kreski nieuchronnie składały się w napis: POZDROWIENIA OD LIGI.

* * *

Plum nie była złym człowiekiem i podejrzewała, że w głębi serca Wharton też nie jest zły. Szczercze mówiąc, gdy zobaczyła go na dziedzińcu, poczuła drobne ukłucie. Na drugim roku trochę podkochiwała się w zgrabnym, napakowanym i podobno jurnym chłopaku, zanim ten przyznał się do innej orientacji. Nie mogła wykluczyć możliwości, że cały ten figiel stanowił jakąś pasywno - agresywną formę wyrażenia tejże miłości. Tak czy inaczej, poczuła ulgę, że już wkrótce, przy obiedzie, miała nadejść faza dziewiąta (za dużo ich?) i że nie będą tego dłużej ciągnąć. Zniszczyły tylko dwa z jego wyjątkowych ołówków. Z drugiego nawet trochę zostało.

Obiady w Brakebills odbywały się z miłą, oficjalną pompą. Ilekroć ktoś spotykał na przyjęciu smutnych, nostalgicznie nastrojonych absolwentów tej uczelni, wszyscy z nich wcześniej czy później zaczynali wspominać posiłki w sali jadalnej. Sala była ciemna i wąska, wyłożona ciemnym drewnem i obwieszona ponurymi, olejnymi portretami dawnych rektorów w różnych szatach historycznych (Plum uważała, że portrety z połowy dwudziestego wieku są agresywnie kubistyczne i popowe, co trochę psuje ogólny nastrój powagi). Jedyne światło rzucały okropne srebrne świeczniki ustawione na stole co dziesięć stóp, a płomienie świec ciągle dymiły, skwierczały, gasły albo zmieniały kolor pod wpływem jakiegoś zaklęcia. Wszyscy ubrani byli

w identyczne szkolne mundurki. Imiona studentów umieszczono na tablicach obok przypisanych im miejsc, które zmieniały się co wieczór, najwyraźniej pod wpływem kaprysów stołu. Rozmawiano zniżonymi głosami. Kilka osób — nigdy Plum — zawsze się spóźniało i przychodzili, gdy ich krzesła były już zajęte i musieli jeść na stojąco.

Plum zjadła przystawkę — dwa niczym niewyróżniające się krabowe kroiety — a potem przeprosiła, mówiąc, że idzie do łazienki. Gdy przechodziła za plecami Darcy, koleżanka dyskretnie podała jej srebrne pudełko, które Plum schowała do kieszeni. Oczywiście nie szła do łazienki. To znaczy, szła, ale tylko dlatego, że musiała. Nie zamierzała wracać.

Szybkim krokiem przemierzyła korytarz prowadzący do pokoju nauczycielskiego, którego grono pedagogiczne prawie nigdy nie zamykało, przekonani, że żaden student nie waży się przekroczyć progu. Ale Plum się ważyła.

Cicho zamknęła za sobą drzwi. Wszystko poszło zgodnie z planem. Pokój nauczycielski miał kształt litery L, był wielki jak pieczara, a po bokach obrzeżały go regały biblioteczne, lśniące, czerwone kanapy i przysadziste drewniane stoliki, które wyglądały, jakby wykonano je z drewna prawdziwego Krzyża. Było tu całkiem pusto albo prawie pusto. W kącie siedział tylko profesor Coldwater, całkowicie oderwany od rzeczy wistoci.

W tej chwili wydawał się raczej zajęty. Cała jego uwaga, z wyjątkiem wykładów, zawsze zdawała się skierowana gdzie indziej. Wiecznie przechadzał się w tę i z powrotem, przeczesał palcami pasmo siwych włosów, a drugą ręką rzucał małe, trzaskające zakłęcia. Mruczał przy tym i mamrotał pod nosem, jakby rozwiązywał równania matematyczne i pewnie rzeczywiście tak robił, bo ilekroć nie rozwiązywał zadań w głowie, to rozwiązywał je na tablicach i serwetkach, i w powietrzu przed sobą.

Studenci nie mogli się zdecydować, czy facet jest tajemniczym romantykiem, czy po prostu błaznem. Jego studenci z seminarium dotyczącego magii fizycznej odnosili się do niego z nabożnym szacunkiem, ale reszta szkoły raczej traktowała go z góry. Był młody jak na profesora, miał może trzydziestkę — przez to siwe pasmo trudno to było ocenić — i technicznie rzecz biorąc, był najmłodszym nauczycielem w szkole, więc zawsze przydzielano mu zadania, na które nikt inny nie miał ochoty, na przykład spożywanie posiłków z pierwszorocznymi. Jemu to nie przeszkadzało. A może po prostu nie zauważał.

Teraz profesor Coldwater stał po przeciwnej stronie sali, zwrócony do Plum plecami. Był wysoki i chudy, i wyprostowany jak struna. Stał naprzeciw biblioteczki, ale nie zdejmował z półek żadnej książki. Plum odetchnęła, zmówiła krótką modlitwę dziękczynną do świętego patrona rozrągnionych profesorów, prosząc, by nadal pozostali rozrągnieni. Bezgłośnie przemknęła po grubych, orientalnych dywanach, znikając w krótszej odnodze wielkiego L, gdzie profesor już jej nie widział. Nawet gdyby ją zobaczył, to raczej by tego nie zgłosił, w najgorszym razie po prostu

wyrzuciły ją z pokoju. Tak czy inaczej, warto było zaryzykować.

Ponieważ nadszedł już czas na wielki finał, Wharton miał otworzyć szafę z winem, która właściwie stanowiła osobny pokój wielkości apartamentu, i stanąć oko w oko z Plum, która już wcześniej niej dotarła tam tajnym przejściem. Wtedy zamierzała przedstawić mu żądania Ligi i dowiedzieć się wszystkiego.

Była to najbardziej niepewna część planu, ponieważ nikt nie był przekonany, czy rzeczywiście istnieje tam tajne przejście. Jeśli nie, Plum zawsze mogła wejść w sposób normalny, choć mniej dramatyczny. Jednak plotki wyglądały na tyle rzetelnie, że Plum była niemal przekonana o jego istnieniu. Mówiono, że prowadzi — albo kiedyś prowadził — spod pokoju nauczycielskiego do szafy z winami, tak by profesorowie mogli z łatwością wybierać najlepsze butelki do użytku prywatnego. Plotka została jej sprzedana przez profesor Desante, jej promotorkę z czasów licencjackich, gdy akurat była po kilku głębszych — a zwykle była. Starsza pani lubiła wypić i zwykle preferowała mocniejsze trunki od wina. Plum zapamiętała tę informację dobrze, właśnie na taką okazję.

Profesor twierdziła, że nikt już właściwie nie korzysta z tego przejścia, choć Plum nie rozumiała, dlaczego nauczyciele mieliby zrezygnować z czegoś tak użytecznego. Teraz uznała, że nawet jeśli przejście zostało zablokowane, to na pewno będzie w stanie je odblokować. Przyszła tu w imieniu Ligi, a Liga nie cofała się przed niczym.

Zerknęła przez ramię — Coldwater wciąż był daleko i wciąż zajęty czym innym, i ukłękła przy boazerii. Trzeci panel po lewej. Hmm — panel w samym narożniku był w zasadzie połówką panelu, nie wiedziała, czy powinien się liczyć. Uznała, że spróbuje obu metod. Wypisała słowo palcem w alfabecie runicznym — starszym futharku — jednocześnie wyrzucając z umysłu wszystko prócz smaku dębowego chardonnay i gorącego, maślanego tosta.

Wyciśnięcie cytryny. Poczula, jak zakłęcie ustępuje, jeszcze zanim panel otworzył się na zewnątrz, jakby umocowany w wcześniej niej niewidocznych zawiasach. Były to drzwi, chociaż bardzo nieduże, jak dla hobbita albo dwóch trzecich człowieka. Wszyscy profesorowie, którzy tędy przechodzili, musieli pochylać swoje szlachetne głowy. Ale może warto było znosić takie niedogodności dla dobrego, darmowego wina.

Z irytacją odkryła, że przejście rzeczywiście jest zablokowane. Jakieś trzy kroki dalej wznosił się ceglany mur, a cegły tworzyły wzór, w którym Plum rozpoznała pewien brutalny czar utwardzający. Tylko czar, tak, ale niezwykle potężny. Powyżej możliwości studenta. Jacyś profesorowie uznali, że należy go tu zbudować i naprawdę się do tego przyłożyli. Plum zacisnęła wargi i prychnęła przez nos.

Przez pięć minut wpatrywała się we wzorec w mroku korytarza, zagubiona we własnych myślach. Wyobrażała sobie, jak wzorec zakłęcia odrywa się od ściany i zawisa przed nią

w powietrzu, lśniący i abstrakcyjny. Cały jej świat skurczył się do tej jednej rzeczy. Wkroczyła do środka wzorca, popychając go w różne strony, szukając słabych połączeń albo nierównowagi.

Coś tu musi być. No dalej, Plum, przecież wiesz, że łatwiej jest zepsuć zakłęcie, niż je rzucić. Chaos jest łatwiejszy niż porządek. Ktokolwiek założył tę pieczęć, był bardzo mądry. Ale czy mądrzejszy od Plum?

W tych kątach było coś dziwnego. Esencja takiego glifu nie tkwiła w samych liniach, tylko w topologii — można go było zdeformować i nie utracić mocy, dopóki zachowano podstawowe właściwości geometryczne. Kąty i połączenia były do pewnego stopnia arbitralne. Ale najzabawniejsze w tych kątach było to, że były zabawne. Ostrzejsze, niż należało. Niearbitralne. Tkwił w nich jakiś wzorzec, wzorzec wewnątrz wzorca.

Siedemnaście stopni. Trzy stopnie. Siedemnaście i trzy. Dwa tu i dwa tu, jedyne kąty, jakie pojawiły się dwukrotnie. Aż parsknęła, gdy zrozumiała, co jest grane. Prosty kod alfabetyczny. Idioty cznie prosty. Siedemnaście i trzy. Q i C. Quentin Coldwater.

Był to kod podpisu. Znak wodny. To profesor Coldwater zakładał tę pieczęć. Gdy Plum to zrozumiała, nagle zrozumiała wszystko. Może zrobił to celowo — może świadomie zachował taki słaby punkt na wypadek, gdyby pieczęć trzeba było szybko zdjąć. Tak czy inaczej, jego podpis był słabym punktem wzorca. Wyjęła z pudełka nożyk Whartona i wbiła w zaprawę obok jednej konkretnej cegły. Przejechała nim wokół i naprężyła wzorzec — nie mogła go całkiem zdjąć, ale mogła go naciągnąć, szarpnąć za naciągnięte struny, aż rezonowały. Zawibrowały tak mocno, że jedna z cegieł wypadła z muru. Bum.

Mur pozbawiony jednej z cegieł, a zatem także integralności wzorca, rozpadł się na kawałki. Dziwne, że właśnie Coldwater go postawił — wszyscy wiedzieli, że nie wylewa za kolanek. Plum pochylała głowę, przeszła przez próg i zasunęła za sobą panel. Przejście było wilgotne i chłodne, znacznie zimniejsze niż przytulny pokój nauczycielski. Ściany były stare, na ceglach spoczywały niedokończone fragmenty boazerii.

Od pokoju nauczycielskiego do szafy z winami było najwyżej sto kroków, ale Plum przeszła mniej więcej dwadzieścia, gdy natknęła się na drzwi, tym razem niezamknięte i niezabezpieczone. Zamknęła je za sobą. Znowu tunel i kolejne drzwi. Dziwne. Nigdy nie było wiadomo, co znajdzie się w takich miejscach, nawet po czterech i pół roku życia w tej szkole. Brakebills było naprawdę stare. Przebudowywane wiele razy i przez różnych ludzi.

Więcej drzwi, aż w końcu czwarte albo piąte otworzyły się na zewnątrz — na mały, kwadratowy dziedziniec, którego Plum nigdy jeszcze nie widziała. Trawa, jakieś drzewo owocowe, podparte na wysokim, kamiennym murze. Plum zawsze uważała, że podpieranie gałęzi wygląda trochę upiornie. Jakby ktoś ukrzyżował roślinę.

Nie miało to wprawdzie większego znaczenia, ale dzisiaj nie powinien świecić księżyc.

Przebiegła poprzez dziedziniec do kolejnych drzwi, ale były zamknięte.

Lekko dotknęła klamki. Sprawdziła obecność magicznych pieczęci i odkryła, że ktoś mądrzejszy od niej i profesora Coldwatera zamknął je na glucho.

— A niech mnie kule biją — mruknęła.

Jej wewnętrzny GPS mówił wprawdzie, że powinna iść prosto, ale na innej ścianie dziedzińca były inne drzwi — drewniane i ciężkie. Nacisnęła klamkę, a one otworzyły się powoli, ale z łatwością.

Podjeżdżała to już wcześniej, ale teraz była pewna, że przekracza jakąś magicznie nieciągłą przestrzeń — te drzwi otworzyły się bezpośrednio na jedno z wyższych pięter. Nie było to niemożliwe, ale należało to możliwych rzeczy niemożliwych, jak ująłby to Donald Rumsfeld, gdyby w rzeczywistości był magiem (ale nie był. To właśnie była jedna z niemożliwych rzeczy niemożliwych).

Biblioteka Brakebills została urządzona wokół zewnętrznych ścian wieży, która zwięzła się ku górze, a to musiało być jedno z jej najwyższych pięter. Plum widywała je tylko z dołu i podejrzewała, że są tam jedynie dla efektu. Nie wierzyła, że naprawdę trzymają tam książki. Co właściwie mogłoby tam stać?

Gdy patrzyła z dołu, piętro wyglądało na maleńkie. Zdała sobie sprawę, że wyższe piętra wybudowano, by osiągnąć efekt fałszywej perspektywy, tak jakby wieża wyglądała na wyższą niż w rzeczywistości. Pomieszczenie było naprawdę małe, ledwie balkonik, przypominający domki, które średniowieczni władcy budowali dla swoich dworskich karłów. Musiała przejść na czworakach. Ale rzeczywiście trzymano tu książki. Ich brązowe grzbiety luszczły się jak ciasto francuskie. Na okładkach wybito złote napisy — w większość dotywały duchów.

I, podobnie jak inne książki w bibliotece Brakebills, nie były ani ciche, ani nieruchome. Wychylały się z półek, gdy Plum czołgała się obok, jakby zapraszały do czytania, błagały albo zaczepiały. Kilka z nich dziabnęło ją w zębra. *Pewnie nie ma tu wielu gości* — pomyślała. Prawdopodobnie tak to musiało wyglądać, gdy ktoś przychodził do schroniska, a psiaki rzucały mu się do nóg, prosząc o głaskanie. Nie, dziękuję — pomyślała Plum. Wołała, gdy książki czekały, cierpliwie i z godnością, póki sama nie postanowiła po nie sięgnąć. Z ulgą przeczołgała się przez miniaturowe drzwiczki na końcu balkonu — była to praktycznie klapka dla kota — po czym wyszła do normalnego korytarza. Ta wędrówka trwała stanowczo za długo, ale ona nadal jeszcze się nie spóźniła. Drugie danie zostało już prawie zakończone, ale był jeszcze deser, a do tego dziś mieli podać deskę serów. Pomyślała, że jeszcze zdąży, jeśli się pospieszy.

Ten korytarz z kolei był wąski. Właściwie miała wrażenie, że znajduje się wewnątrz ściany jadalni. Słyszała ciche pomruki rozmów i szczełk sztucców, mogła nawet wyjrzeć oczami kilku portretów — miały wycięte otwory, jak w starych filmach o nawiedzonych domach. Właśnie

podawali główne danie — pieczone jagnię, lekko krwiste, przyprawione rozmarynem. Na sam widok poczuła skurcze głodu. Miała wrażenie, że znajduje się gdzieś o milion mil dalej. Poczuła nostalgię, jak ci smutni absolwenci, tęskniąc do tamtej chwili, gdy siedziała przy stole, nad swoim mdłym krokietem, pół godziny temu, gdy wiedziała dokładnie, gdzie się znajduje.

A potem zobaczyła Whartona roznoszącego nędzne, niepełne kieliszki czerwonego wina, kompletnie bez skruchy. Ten widok dodał jej śmiałości. Właśnie po to tu przysła. Dla Ligi.

Ale, dobry Boże, ile to jeszcze miało trwać? Kolejne drzwi otworzyły się na dach. Nocne powietrze było zimne, chłód przeniknął ją do kości. Nie była tutaj od czasu, gdy profesor Sunderland zamienił ich w gęsi i polecieł na Antarktydę. W porównaniu do jadalni było to cicho i samotnie — znajdowała się bardzo wysoko, wyżej niż najwyższe bezlistne konary najwyższych drzew. Musiała iść na czworakach, bo dach był spadzisty i czuła pod palcami zapiaszczone dachówki. Widziała w oddali rzekę Hudson, długi srebrzysty zygzak. Sam ten widok przyprawiał ją o dreszcze.

Którędy teraz? Nie było żadnej oczywistej drogi. Traciła ślad. W końcu zaczarowała zamek najbliższego okna i wślizgnęła się do środka.

Znalazła się w pokoju studenta. Od razu domyśliła się, że to pokój Whartona, chociaż nigdy go nie oglądała, bo jej dawna miłość pozostała nieodwzajemniona. Jakie było prawdopodobieństwo, że akurat tu trafi? Jej wędrówka wykraczała poza przestrzeń nieciągłą. Zaczęła podejrzewać, że ktoś w Brakebills, może nawet sama szkoła, postanowił jej spletać figla.

— O mój Boże! — wykrzyknęła na głos. — Co za ironia!

No cóż — dodała w duchu. *To pofiglujemy. Ten najlepiej figluje, kto figluje ostatni.* Na wpół podejrzewała, że zaplątała się w jakiś magiczny pojedynek z samym Whartonom, tyle że on nigdy nie zdołałby zmagistrować czegoś takiego. Może miał jakąś pomoc — jakiejś tajemniczej Anty-Ligi próbującej pokrzyżować im plany. To byłoby nawet ciekawe.

W pokoju panował straszny bałagan, co było dość rozczulające. Plum zawsze podejrzewała, że Wharton jest pedantem. Ładnie pachniało. Uznała, że nie będzie już walczyć z logiką snu napierającą na nią ze wszystkich stron. Popłynęła z prądem. Wyjście drzwiami mogłoby zaburzyć estetykę snu, więc otworzyła szafę Whartona i — tak, w głębi widniały małe drzewiczki.

Natychmiast zauważyła, że jego szafa jest pełna, praktycznie napchana pudełkami ołówków. Dlaczego właściwie uznała, że chłopak spanikuje z powodu utraty dwóch ołówków? Miał ich tu chyba z pięć tysięcy. Aromat tropikalnego drewna był wręcz duszący. Otworzyła drzwi.

Od tej pory jej wędrówka biegła wyłącznie po torach snu. Drzwi szafy Whartona zaprowadziły ją na kolejny dziedziniec, ale teraz panował tam dzień. Najwyraźniej traciła też ciągłość czasową, nie tylko przestrzenną. Był ten sam dzień, tyle że wcześniej, ponieważ Plum zobaczyła samą siebie, jak przechodzi przez dziedziniec, mija Whartona i зерka na niego spod oka.

Był to dziwny widok, ale jej tolerancja na rzeczy dziwne gwałtownie wzrosła przez ostatnie pół godziny.

Patrzyła na siebie, jak opuszcza dziedziniec. To właśnie cała jej historia w pigułce. *Stoję i patrzę, jak mija moje życie* — pomyślała. Zastanawiała się, czy gdyby krzyknęła i zamachała rękami, byłaby się w stanie usłyszeć, czy działało to raczej jak fenickie lustro. Zmarszczyła brwi. Przy czynowości zaczęła się gmatwać. Przy najmniej jedno było jasne: jeśli tyłek tak wyglądał z tyłu, to nie było złe.

Kolejne drzwi były jeszcze bardziej nieciągle, ponieważ zaprowadziły ją do zupełnie innego Brakebills, dziwnie zredukowanego. Sufity były niższe, korytarze węższe, a powietrze pachniało dymem drzewnym. Przeszła przez otwarte drzwi i zobaczyła grupkę dziewcząt skulonych na wielkim łóżku. Nosily białe koszule, miały długie, proste włosy i zepsute zęby.

Plum wreszcie zrozumiała, na co patrzy. To było Brakebills z dawnych czasów. Duch przeszłości. Dziewczęta tylko na chwilę podniosły głowy, gdy je mijała. Wiedziała, co knują.

— Inna Liga — powiedziała do siebie. — Wiedziałam, że jakaś tu była.

Następne drzwi prowadziły do pokoju, który wydawał się jej znajomy. Nie — był znajomy, po prostu nie chciała o tym myśleć. Była tutaj kiedyś, dawno temu. Pokój był pusty, ale coś nadchodziło, już było w drodze, a widziała, że gdy tu dojdzie, rozpęta się piekło. To ta istota, o której nie chciała myśleć. Już kiedyś widziała to na własne oczy i nie potrafiła temu zapobiec. Teraz wiedziała, co nadciąga i wiedziała, że znów stanie się to samo.

Musiała stąd wyjść, zanim znów zacznie się ten horror.

— Nie! — wykrzyknęła. — Nie, nie, nie, nie!

Pobiegła. Próbowwała zawrócić — po raz pierwszy — ale drzwi zamknęły się za nią, więc na ślepo pognęła naprzód i wpadła w kolejne drzwi. Gdy znów otworzyła oczy, była w sali, gdzie odbywały się zebrania Ligi.

„O Boże”. Plum oddychała ciężko, raz nawet zaszlochala. To nie działo się naprawdę. A może działo się kiedyś, ale się skończyło. Cała ta popieprzona magiczna wycieczka dobiegła końca. Nie zamierzała wracać ani iść naprzód. Tu była bezpieczna. Nie zamierzała o tym myśleć. Nikt nie musiał wiedzieć.

Roziadła się na kanapie, bezwładnie, jakby zniknęły jej wszystkie kości. Mebel był tak powyciągany, że prawie połknął ją w całości. Mogłaby tu zasnąć. Gdy spojrzała w lustro stłuczone wcześniej przez Chelsea i Darcy, przez chwilę zastanawiała się, czy rzeczywiście nie śpi. Nie było tam jej odbicia. Oczywiście — magiczne lustro. Plum poczuła ulgę, że nie widzi własnego odbicia. Potem ulga zniknęła.

W lustrze stała inna dziewczyna. A przy najmniej ta istota miała kształt dziewczyny. Była naga i niebieska, miała nawet niebieskie zęby. Jej oczy były pełne szaleństwa.

To był inny horror.

— Ty — szepnął duch.

To ona — duch Brakebills. Naprawdę istniała. Jezu Chryste, to ona się z nią bawiła. Ona była pajakiem siedzącym pośrodku sieci.

Plum wstała, ale na tym skończyły się jej ruchy. Wiedziała, że jeśli tylko drgnie, nie pożyje długo. Spędziła wystarczająco dużo czasu w pobliżu magii, by instynktownie zrozumieć, co się dzieje. Znalazła się w obecności tak pierwotnej i potężnej mocy, że gdyby jej dotknęła, magia zabiłaby ją w sekundę. Niebieska dziewczyna była jak zerwana linia wysokiego napięcia. Izolacja została zdarta, a przez nią płynął czysty, nagi, magiczny prąd.

To było coś więcej niż strach — Plum czuła się zupełnie spokojna, oderwana od rzeczywistości. Wplątała się w tryby czegoś znacznie większego niż ona, a teraz tryby mogły ją zmiążdżyć, jeśli chciały. Koła poszły w ruch. Nie mogła temu zapobiec. Częściowo nawet chciała, by do tego doszło. Od tak dawna czekała, aż doścignie ją przeznaczenie.

Ale potem rozległo się uderzenie. Dobiegało zza ściany po lewej i brzmiało, jakby coś uderzyło w nią od drugiej strony. Odpadło trochę gipsu. Potem męski głos wykrztusił coś w rodzaju „ufff”. Plum spojrzała.

Duch w lustrze nie.

— Wiem — szepnęła niebieska dziewczyna. — Widziałam.

Ściana eksplodowała, syjąc na wszystkie strony gipsem i przebiegł przez nią człowiek, całkowicie przysypyany białym pyłem. Był to profesor Coldwater. Otrząsnął się jak mokry pies, by oczyścić się z pyłu. Jego ręce jarzyły się białym blaskiem jak rzymskie świece, tak jasno, że Plum zobaczyła purpurowe flary przed oczami.

Celując jedną dłonią w niebieskiego ducha, podszedł do Plum, aż stanął pomiędzy nią a zwierciadłem.

— Ostrożnie — powiedział przez ramię. Bardzo spokojnie, zważywszy na okoliczności.

Odsunął w tył długą nogę i kopnął lustro. Potrzeba było aż trzech kopniaków — po pierwszych dwóch tafli tylko się ugięła, ale za trzecim jego stopa przebiła szkło. Nogawka spodni zaczęła się odłamać, gdy próbował ją wyjąć.

Stłuczenie lustra nie odeгнаło ducha — wciąż na nich patrzyła, chociaż musiała wyglądać z odłamków wokół dziury. Profesor Coldwater odwrócił się twarzą do ściany za plecami Plum i splótł dłonie.

— Padnij — zakomenderował.

Powietrze wokół nich zadrżało i załśniło. Plum musiała przykryć oczy przedramieniem, a włosy zatrzeszczały jej od statyki tak, że zabolą ją skóra na głowie. Cały świat został naszpikowany światłem. Niczego nie widziała, ale usłyszała i poczuła, jak drzwi za jej plecami

zostają wyrwane eksplozją z framugi.

— Biegnij — zawołał profesor Coldwater. — Jestem tuż za tobą.

Pobiegła. Przeskoczyła kanapę jak lekkoatletka i poczuła cios fali uderzeniowej, gdy profesor cisnął w ducha jakimś ostatnim zakęciem. Uniosło Plum w górę, aż się zatoczyła, ale biegła dalej.

Powrót był szybszy niż wędrówka w tamtą stronę. Miała wrażenie, że biegnie w siedmiomilowych butach i najpierw myślała, że to adrenalina, a potem zrozumiała, że nie. To magia. Jeden krok przeprowadził ją przez piekielny pokój, drugi przez kolonialne Brakebills, trzeci przez pokój Whartona, a potem znalazła się na dachu, w wąskim korytarzu, w bibliotece, a w końcu na dziedzińcu z upiorną gruszą. Drzwi zatrząskwały się za nią jak wybuchające fajerwerki.

Zatrzymała się przy wejściu do pokoju nauczycielskiego, oddychając ciężko. Profesor Coldwater rzeczywiście biegł tuż za nią, tak jak obiecał. Zastanawiała się, czy właśnie ocalił jej życie. W każdym razie poczuła się głupio, że tak natrzęsała się z niego wcześniej. Ponownie zamknął przejście. Patrzyła, jak pracuje, oszołomiona, ale zafascynowana. Poruszał się jak na przyspieszonym filmie, ręce latały mu jak szalone. Złożył cały skomplikowany wzór ceglanoego muru w jakieś pięć sekund.

Zauważyła, że tym razem złapał wzorzec rezonansowy, który wykorzystał, by złamać ostatnią pieczęć, i poprawił ten słaby punkt.

Potem znaleźli się sami w pokoju nauczycielskim. To wszystko mogłoby się wydawać tylko snem, gdyby nie warstwa pyłu na blezerze profesora.

— Co ci powiedziała? — spytał.

— Kto? Ach, duch. Nic. Powiedziała „ty” i nic więcej.

— „Ty”... — powtórzył. Wpatrywał się w coś ponad jej ramieniem, znów pogrążył się w myślach. Jeden z jego palców wciąż jarzył się białym ogniem; mężczyzna potrząsnął ręką, a wtedy zgasł. — Hmm. Nadal chcesz się dostać do szafy z winem? O to przecież chodziło, prawda?

Plum zaśmiała się wbrew sobie. Szafa z winem. Kompletnie o niej zapomniała. Wciąż miała w kieszeni to idiotyczne pudełko Whartona. Teraz cały plan wydał się jej żałosny i bezsensowny.

Ale jego niezrealizowanie byłoby jeszcze żałośniejsze.

— Jasne — odparła, starając się, by zabrzmiało to bez troski i prawie jej się udało. — Czemu nie. Naprawdę istnieje tajne przejście?

— Oczywiście. Bez przerwy z niego korzystam, żeby podkraść butelki.

Nakreślił runy na panelu tuż obok tego, z którego skorzystała.

— Półpanel się nie liczy — wyjaśnił.

Aha. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Od szafy nie dzieliło ich nawet sto kroków, raczej siedemdziesiąt.

Napięła ramiona i spojrzała na siebie w lustrze. Włosy miała trochę potargane, ale to nie szkodzi, dodawały efektu. Z zaskoczeniem i może odrobiną rozczarowania spojrzała na własną twarz. Zastanawiała się, do kogo należał ten niebieski duch, jak zginęła i dlaczego wciąż tu była. Prawdopodobnie nie dla zabawy. Raczej nie z nostalgii. Pewnie czegoś potrzebowała. Plum tylko miała nadzieję, że nie chodziło tu o jej śmierć.

Ale jeśli tak, to przecież mogła ją zabić i nie zabiła. Plum nie była duchem. Musiała powiedzieć to sobie w myślach. Do tej pory nie widziała żadnego ducha, nie sądziła nawet, że istnieją, ale człowiek codziennie uczy się czegoś nowego. *Nie umarłam wtedy — pomyślała. I nie umarłam w tamtym pokoju. Miałam wrażenie, że tak się stało i chciałam umrzeć, ale nie umarłam, bo gdyby tak było, to teraz bym nie żyła. Nie chcę być duchem. Nie chcę nawiedzać własnego życia.*

Właśnie zamykała za sobą drzwi do szafy — ukryto je za stojakiem — gdy do środka wpadł Wharton. Doskonale wybrała moment. Wszystko bardzo w stylu Ligi.

Wharton zamarł, trzymając w ręku odkorkowaną butelkę, a w drugim — dwa kieliszki zwisające czaszami w dół. Plum zmierzyła go wzrokiem.

— Nalewałeś nam za mało wina — oznajmiła.

— Tak — przyznał. — Macie moje ołówki.

Obserwowała go. Duża część uroku Whartona brała się z asymetrii jego twarzy. Kiedyś musiał mieć zajęczą wargę, ale operacja najwyraźniej przebiegła pomyślnie, bo została mu po niej tylko maleńka blizna, jak u twardego faceta, tak jakby oberwał kiedyś pięścią prosto w twarz, ale w ogóle się tym nie przejął.

A poza tym miał naprawdę uroczy klin pośrodku linii włosów. *Niektórzy faceci to mają szczęście.*

— Tak naprawdę nie chodzi mi o te ołówki, tylko o pudełko. I nożyk. To stare srebro, Smith & Sharp. Teraz już takich nie robią.

Plum wyjęła pudełko z kieszeni.

— Dlaczego nalewałeś nam za mało wina?

— Bo potrzebuję tej nadwyżki.

— Rozumiem, ale po co? — drążyła. — Oddam ci te ołówki, chcę tylko wiedzieć.

— A jak myślisz? Daję je temu cholernemu duchowi. Przeraża mnie śmiertelnie.

— Głupi jesteś — stwierdziła Plum. — Temu duchowi wcale nie zależy na winie.

— Z jakiegoś powodu czuła się teraz ekspertem od tego, na czym zależało duchowi. — Nie zależy jej też na tobie. A gdyby jej zależało, to nie mógłbyś na to nic poradzić. Na pewno nie da się jej

udobruchać winem.

Podala mu pudełko.

— Ołówki są w środku. Nożyk też.

— Dziękuję.

Wharton schował obie rzeczy do kieszeni fartucha i postawił na półce dwa puste kieliszki.

— Wina? — spytał.

— Dziękuję — odparła Plum. — Chętnie się napiję.

Przełożyła Krystyna Chodorowska

1. Fragment utworu Alfreda Tennysona *The Lady of Shalott*, przeł. Piotr W. Cholewa. [\[wróć\]](#)

NANCY KRESS

Druga arabeska, bardzo powoli

(SECOND ARABESQUE, VERY SLOWLY)

Nancy Kress zaczęła publikować swe wyrafinowane utwory w „Asimov's Science Fiction”, „The Magazine of Fantasy and Science Fiction”, „Omni”, „SCI FICTION” i w innych czasopismach. Wśród jej dzieł znajduje się powieściowa wersja opowiadania nagrodzonego Hugo i Nebulą *Hiszpańscy żebracy*, jej druga część *Żebracy nie mają wyboru*, a także *Prince Of Morning Bells*, *The Golden Grove*, *The White Pipes*, *An Alien Light*, *Brain Rose*, *Oaths & Miracles*, *Stinger*, *Maximum Light*, *Crossfire*, *Nothing Human*, *The Floweres of Aulit Prison*, *Crossfire*, *Crucible*, *Dogs*, *Steal Across the Sky* i trylogia z gatunku space opera: *Probability Moon*, *Probability Sun* i *Probability Space*. Jej krótsze utwory zostały zebrane w tomach: *Trinity And Other Stories*, *The Aliens of Earth*, *Beaker's Dozen* i *Nano przybywa do Clifford Falls* i inne opowiadania. Jej najnowsze utwory to powieść *After the Fall*, *Before the Fall*, *During the Fall* i dwa nowe zbiorki *The Fountain of Age* i *Five Stories*. Poza *Hiszpańskimi żebrakami* otrzymała także nagrodę Nebula za następujące opowiadania: *Wśród wszystkich tych jasnych gwiazd* i *Kwiaty więzienia Aulit*. Powieść *Probability Space* przyniosła jej The John W. Campbell Memorial Award w 2003 roku, a opowiadanie *Więź Erdmanna* kolejną nagrodę Hugo. Mieszka w Seattle, z mężem, Jackiem Skillingsteadem.

W tym opowiadaniu przenosi nas do postapokaliptycznej Ameryki, by zadać pytanie: czy w świecie, gdzie liczy się tylko przetrwanie, jest jeszcze miejsce na piękno? I gdybyście je znaleźli, to czy potrafilibyście je zabić?

DRUGA ARABESKA, BARDZO POWOLI

Gdy dotarliśmy do nowego miejsca, nastąpiła noc i nic nie widziałam. Mike zwykle unikał marszu o tej porze, ale wędrówka na południe trwała dłużej, niż zapowiadali zwiadowcy. Była to częściowo moja wina, bo nie jestem już w stanie chodzić tak szybko jak kiedyś, a częściowo wina Ślicznej, bo tego dnia nastąpił jej Początek.

— Brzuch mnie boli — jęczała.

— Już niedaleko — zapewniałam, mając nadzieję, że to prawda. Miałam też nadzieję, że nie będę musiała jej grozić. Śliczna robiła się nieprzyjemna, gdy źle się czuła. Przez resztę czasu po prostu grymasiła, chociaż nigdy w obecności Mike'a. — Jeszcze trochę, a jutro odprawimy ci ceremonię.

— I będą słodycze?

— Będą słodycze.

A zatem dreptała poprzez ulice pokryte gruzem wraz ze mną i szczęsioma innymi dziewczętami, idąc śladem rozkołysanej latarni. Noc była chłodna jak na lipiec. Mężczyźni idący najbliżej — wciąż mam opory, by nazywać piętnastolatków mężczyznami, nawet jeśli Mike tak robi — szli zgięci pod ciężarem naszych bagaży. Ci idący najbardziej po zewnętrznej nieśli naszykowaną broń. Niebezpieczeństwo groziło nam głównie ze strony innych stad próbujących powiększyć terytorium zbierackie, chociaż ostatnio zdarzało się mniej walk terytorialnych niż za mojej młodości. Mimo wszystko nasze stado miało bardzo cenne atuty — siedem młodych kobiet, przynajmniej dwie z nich płodne, troje dzieci i ja. Poza tym w okolicy włóczyły się psy. Miasta zawsze były pełne dzikich psów.

Słyszałam w oddali ich wyć. Zbliżaliśmy się do miasta coraz bardziej. Mike wciąż kazał nam brnąć naprzód przy świetle księżycy i jednej latarni. Zostawiłam dziewczynki pod opieką Bonnie i wyszłam naprzód, by go odnaleźć.

— Co tu robisz? — spytał ostro, patrząc przed siebie w mrok i celując z broni. — Wracaj do dziewczyny!

— Martwię się właśnie o dziewczynki. Daleko jeszcze?

— Natychmiast wracaj, pielęgniarco!

— Pytam, bo Śliczna skarży się na ból. Nadchodzi jej Początek.

To zwróciło jego uwagę skuteczniej niż wszelkie zagrożenia w mroku.

— Tak? Jesteś pewna?

— Tak — odparłam, chociaż nie byłam.

Na ustach Mike'a pojawił się uśmiech. Nie był złym przywódcą. Wielki, silny i niepiśmienny — wszyscy byli tacy — naprawdę troszczył się o swoich ludzi i nie był bardziej brutalny, niż wymagała tego dyscyplina. Dużo lepszy niż Lew, nasz poprzedni dowódca. Czasem nawet stać go było na gest dobrej woli, tak jak teraz.

— Wszystko z nią dobrze?

— Tak — odparłam. Nie stało się nic takiego, czego nie dałoby się wyleczyć okładami i odrobiną słodyczy.

A potem, co dziwniejsze, dodał:

— Z tobą wszystko dobrze, pielęgniarco?

— Tak

— Ile masz років?

— Sześćdziesiąt — odparłam, ujmując sobie cztery lata. Nie miałam złudzeń — wiedziałam, co zrobi Mike, gdy już nie będę mogła dotrzymać stada kroku. Bonnie nauczyła się już połowę tego, co mogłam jej przekazać. Nikt nie zaryzykowałby spowolnienia ruchu wędrującego stada, nawet dla pielęgniar ki.

Ruszyliśmy naprzód.

— Zrobię to pierwszy. Ze Śliczną.

— Ona o tym wie.

Mruknął coś pod nosem, nawet nie myśląc, by spytać ją o zdanie. Jeśli Śliczna była płodna, to musiała się zbliżyć z płodnym mężczyzną, a nikt nie miał pojęcia, który z naszych mężczyzn jest płodny. Nie wiedzieliśmy też, jak to sprawdzić. A zatem Śliczna, tak jak wcześniej Junie i Lula, musiała zbliżyć się do nich wszystkich po kolei. Była urodzoną flirtiarą — jeśli akurat nie była zajęta grymaszeniem, to odrzucała przez ramię swoje długie, jasne włosy i pokazywała kształtne nogi.

Psy podeszły bliżej, a Mike skupił na nich całą uwagę. Przystanęłam, czekając, aż zrównają się ze mną moje podopieczne.

Zanim dotarliśmy do nowego budynku, księżyc zniknął za chmurami i zaczęła padać deszcz. Nie widziałam już nic. Mężczyźni przeprowadzili nas pomiędzy wielkimi konstrukcjami — miasta były pełne dużych konstrukcji, zwykle zrujnowanych w środku — poprzez metalowe drzwi. Schody w dół. Zimno, wilgotno. Prosty korytarz. Ale miejsce było łatwe do obrony — znajdowało się pod ziemią i niemal nie miało okien. Zawodowcy przy gotowali pomieszczenie dla kobiet. Znajdowało się tam małe okienko, przy którym ustawili naszą kuchenkę propanową. Pokój był ciepły i wyłożony kocami. Junie i Lula położyły na posłaniach dzieci, które już i tak na wpół spały. Same również padły jak muchy. Odpaliłam kuchenkę i przygotowałam Ślicznej wywar — tylko zioła, żadnych proszków — by złagodzić skurcze, po czym sama się położyłam.

Rano obudziłam się pierwsza i wyszłam, by się wysikać. Strażnik, szesnastolatek imieniem Guy, skinął do mnie głową.

— Dzień dobry, pielęgniar ko.

— Dzień dobry, szlachetny panie. — Guy wyszczerzył zęby. Jako jeden z nielicznych

interesował się historią i książkami. Nawet umiał trochę czytać — sama go uczyłam. — Gdzie jest siłownia?

Pokazał mi. Wyszłam na zewnątrz, mrugając w ostrym słońcu. Obeszłam budynki za rogiem stanęłam jak wryta.

Znałam to miejsce. Nigdy tu nie byłam, ale wyglądało znajomo.

Trzy ogromne budynki stojące wokół wielkiego placu, teraz zrujnowanego, dziurawego i porośniętego chwastami. Stopnie po drugiej stronie prowadziły na opustoszałą ulicę. Na najwyższej z budowli pięć wysokich łuków wznosiło się ponad morzem potłuczonego szkła. Pozostałe budynki, także ze szklanymi fasadami, teraz rozbitymi, jeżyły się balkonami i marmurami, i kamiennymi budowlami, zbyt dużymi, by je rozbić albo unieść ze sobą. W środku widać było resztki starożytnego, zniszczonego dywanu.

— To jest Lincoln Center — powiedziałam głośno. Ale strażnik pilnujący kordonu, ze strzelbą opartą na kolanie, był za daleko, by mnie usłyszeć. Zresztą nie mówiłam do niego. Mówiłam do mojej babci.

* * *

— Najlepsza praca w moim życiu, Susan — stwierdziła. — Sprzątanie w Lincoln Center.

— Opowiedz mi o tym — poprosiłam, chociaż słyszałam tę historię już tyle razy, że mogłam ją wyrecytować. Nigdy nie miałam jej dosyć.

— Byłam wtedy bardzo młoda, jeszcze zanim poszłam do szkoły pielęgniarskiej. Przez ostatnie dwa tygodnie sierpnia i dwa pierwsze tygodnie września przeprowadzono gruntowne sprzątanie budynku Metropolitan Opera, gdy nie było tam spektakli — zaczynała zawsze tymi samymi słowami. — To było jeszcze przed plagą bezpłodności.

Wiedziałam. Moja babcia była wtedy bardzo stara, starsza niż ja teraz, i umierała. Ja miałam dwanaście lat, a babcia gorączkowo próbowała nauczyć mnie pielęgniarstwa, na wypadek gdybym okazała się bezpłodna (rok później rzeczywiście tak się stało). Stada, którym nie zależy na towarzyszkach do łóżka, nie mają żadnego zastosowania dla bezpłodnych kobiet, chyba że dziewczyna wykaże się w walce. Ale ja nie umiałam walczyć.

— Opuszczaliśmy po kolei dwadzieścia jeden elektrycznych żyrandoli — pomyśl tylko, Susan, dwadzieścia jeden! — i myśliśmy każdą kryształową leżkę osobno. Co roku wymieniano też czerwony dywan — kosztowało to ponad siedemset tysięcy dolarów. W latach dziewięćdziesiątych! Co pięć lat wymieniano fotele w New York State Theater — tak go wtedy nazywano, chociaż później zmienili mu nazwę, nie pamiętam na jaką. Pięć osób codziennie, każdego dnia w roku, myło te okna, żeby zawsze lśniły. A w nocy, gdy wszystkie budynki zapłonęły światłami, wszystko wokół lśniło jak płynne złoto. Ludzie śmiali się i stawali w kolejce

setkami, by usłyszeć jakąś operę albo koncert, albo obejrzeć balet. Jakie występy tam widziałam... nie jesteś w stanie sobie nawet wyobrazić!

Teraz nie było płynnego złota. Żadnych występów, żadnych światła, ani oper, ani baletów, ani koncertów. Babcia opowiadała o czasach, które minęły, zanim się urodziłam, a teraz jestem stara.

Wróciłam do środka. Śliczna nie spała, jej wielkie, niebieskie oczy były pełne zachwytu.

— Pielęgniarko! Zaczęło się... krew! To mój Początek!

— Gratulacje — odparłam. — Dziś odprawimy ci ceremonię.

— Teraz jestem kobietą — oznajmiła z dumą. Spojrzałam na jej okrągłą, dziecianną buzię, chude ramiona i nogi, zapadnięty brzuch, nawet niezbyt wzdęty od zatrzymanej wody. Miała trzynaście lat. Mało jak na Początek. Kara była o rok starsza i nie zdradzała ani śladu krwawienia.

— Tak, Śliczna — powiedziałam łagodnie. — Jesteś kobietą. Możesz urodzić stado dziecko.

— Wy, bezdzietne, macie mnie teraz słuchać! — oznajmiła zarozumiale.

Młodsze dziewczynki, Seela i Mała, skrzywiły się z niezadowoleniem.

* * *

Babcia nauczyła mnie nie tylko pielęgniarstwa — potrafię też czytać. Książki wprawdzie przetrwały rozruchy, które wybuchły, gdy świat zdał sobie sprawę, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent kobiet złapało wirusa, który zniszczył ich komórki jajowe, ale większość nie przetrwała działania czasu i wilgoci. Ale niektóre tak.

Ilu ludzi zostało na świecie? Trudno powiedzieć. Spisy powszechne, radia, stacje telewizyjne, centralne organy rządowe zniknęły wiele lat temu. Za mało ludzi, by je utrzymać. Współczesny świat — a przynajmniej jego część — składał się ze wspólnot i stad. Wspólnoty żyją poza miastami, uprawiają ziemię. Nigdy takiej nie spotkałam. Urodziłam się w stadzie — chociaż nie w tym — moja mama i babcia były jego jeńcami. Stada zamiast uprawy ziemi zajmują się zbieractwem na obszarach miejskich. Polujemy na mięso — królik, sarny i psy — i zbieramy puszkę. Nie do końca przypomina to życie w epoce kamiennej, ale dajemy sobie radę. Co jakiś czas pojawiają się plotki o jakichś miejscach, gdzie przetrwało więcej cywilizacji, zwykle są to małe miasta na północy i zachodzie. Endicott, Bath albo Itaka — ale ja nic o nich nie wiem.

Otrzymałam jednak, że jedno stado ocalałych rozbiło obóz zaledwie o kilka przecznic od naszego, w starym hotelu, na ulicy Central Park South. Miłe był wściekły na swoich zwiadowców.

— Nikt z was tego nie zauważył?

Mężczyźni zwiesili głowy, zawstyżeni.

— Naraziliście nas! Teraz trza będzie rozmawiać.

Byłam zaskoczona. Rozmawiać, nie odejść? Ale potem Guy wyjaśnił mi to, gdy czyścił broń

po służbie.

— W okolicy jest duży las, dużo zwierząt. Mike chce tu zostać.

A zatem przywódca wyruszył wraz z połową stada, ciężko uzbrojoną, by wynegocjować prawa łowieckie i zbierackie z drugim stadem. Tymczasem Bonnie i ja, strzeżone przez Guya i jego przyjaciela Jemmy'ego, szukałyśmy odpowiedniego miejsca na ceremonię Ślicznej.

Bonnie, moja uczennica, mogła kiedyś zostać dobrą pielęgniarką. Była mądra i silna i już teraz wiedziała o wiele więcej, niż zdradziłam Mike'owi. Doskonale korzystała z kurczących się zapasów leków pochodzących jeszcze z czasów przedplagowych, ale co ważniejsze, potrafiła znaleźć, przyrządzić i zastosować leki z ziół. Borówka na biegunkę, skrzyp na krwawienie, czarny bez na gorączkę, prymulka na wysypkę. Potrafiła nastawić kość, wyjąć kulę i wykorzystać robaki, by oczyścić ranę.

Jednak Bonnie nie miała w sobie ani ciepła, ani tej szorstkiej zyczliwości, równie ważnych w leczeniu. Była jak gład. Nigdy nie widziałam, by się uśmiechała, rzadko się odzywała i tylko w odpowiedzi na pytanie. Nigdy też nie widziałam na jej twarzy zachwytu czy radości. Duża, niezgrabna, boleśnie zwyczajna, miała bezbarwne włosy i prawie niezaznaczony podbródek. Podejrzałam, że przy Początku spotkało ją coś złego — było to jeszcze, zanim dołączyłam do stada. Na piersiach i udach miała wyraźne blizny. Lew pewnie kazałby ją zastrzelić, gdy w końcu uznano ją za bezpłodną, tyle że akurat wtedy zginął w jakiejś walce stad. Przekonałam Mike'a, żeby pozwolił mi przyjąć Bonnie jako uczennicę. To uratowało ją także od dyżurów łóżkowych, ponieważ pielęgniarki — nawet uczennice — jako jedyne mogły wybierać sobie partnerów. Bonnie nigdy nie wybrała żadnego.

Nie powiedziała ani słowa, gdy wraz z Guyem i Jemmy weszliśmy do zrujnowanego Lincoln Center. Rozpoznałam wszystko z opowieści babci. Wysoko ponad nami w New York State Theater ciągnęły się rzędy krzeseł, kiedyś podtrzymujących tyłki widzów oglądających tancerki. W naszych kwaterach pewnie mieściły się sale do ćwiczeń. W Metropolitan Opera House, budynku z pięcioma łukami na dachu, znajdowała się zawałona scena, na której kiedyś występowały śpiewaczki. Tutaj, w tej sali (nie pamiętam nazwy, pamięć już nie ta) orkiestra grywała koncerty. Wszyscy muzycy byli ubrani na czarno, kobiety stroiły się w długie, połyskliwe suknie. Tak mówiła babcia. W Vivian Beaumont Theater, budynku z zawałonym dachem, występowali aktorzy teatralni. Mała biblioteka spłonęła zupełnie i teraz porastały ją chwasty, dzikie kwiaty i młode drzewka.

Ale to właśnie w podziemiach Vivian Beaumont, poniżej poziomu ulicy, za dwójgciem zamkniętych drzwi, znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Przyniosłam latarnię, którą teraz zapaliłam, chociaż zostawiliśmy oboje drzwi otwartych. Pierwsze z nich otwierały się do środka, prowadząc na pochyłą, betonową rampę. Drugie prowadziły do mniejszego teatru, tylko osiem rzędów

ustawionych w półokrąg. Sala była pozbawiona okien i wszystko pozostało nietknięte, nie licząc śladów buszujących szczurów. Łupieżcy nie zabrali ani nie zniszczyli foteli, deszcz nie zmoczył drewnianej sceny, żadne dzikie psy nie zagnieździły się w małych pokojkach.

Jemmy zawył radośnie i wspiął się do budki umieszczonej z tyłu. Pewnie miał nadzieję, że znajdzie tam jakieś ocalałe urządzenia — drugi okrzyk potwierdził, że tak. W budce zabłyśło słabe światło.

— Jemmy! — zawołałam. — Jeśli będziesz tak marnował świece, Mike każe cię wychłostać! Nie było odpowiedzi, a światło nie zgasło. Guy zaśmiał się i wzruszył ramionami.

— Znasz Jemmy 'ego, pielęgniarzkę.

— Pomóż mi wejść na tę scenę — poleciłam.

Pomógł mi, a potem sam wskoczył na nią i postawił latarnię na deskach. Rozejrzałam się po ciemnych fotelach. Co to musiało być za uczucie: stać tu jako aktor, muzyk, tancerz? Występować przed ludźmi, którzy patrzyli na ciebie z zachwytem? Kontrolować publiczność?

— Jakie występy tam widziałam... nie jesteś w stanie sobie nawet wyobrazić.

Na korytarzu zabrzmiały czyjeś kroki, a potem ktoś krzyknął z ciemności:

— Pielęgniarzko? Rusz tyłek i wracaj do dziewczynki! Śliczna czeła!

— To ty, Karl?

— Aha.

— Nigdy więcej nie mów do mnie tym tonem albo powiem Mike'owi, że obraziłeś pielęgniarzkę. A wtedy trafisz na sam dół łóżkowej listy... jeśli w ogóle cię na niej zostawią.

Cisza, a potem ponure:

— Tak proszę pani.

— Właściwie... przy prowadź tu wszystkie dziewczynki. Tutaj odprawimy Ślicznej ceremonię.

Zrobimy to teraz.

— Tutaj? Teraz?

— Słyszałeś, co powiedziała.

— Tak, psze pani. — Następnie dodał: — Pielęgniarzko, powiesz Mike'owi, że cię obraziłem?

— Jeśli zrobisz, o co proszę, to nie powiem.

Karl odbiegł pędem. Jego buty zadudniły na betonowej rampie. Guy uśmiechnął się szeroko. Potem spojrzął w mrok i zrozumiałam, że robił to samo co ja: wyobrażał sobie, że jest artystą w dawnych, minionych czasach. Później nagle chwycił mnie w pasie i porwał do tańca.

Nigdy nie byłam dobrą tancerką, a teraz jestem stara. Połknęłam się, a wtedy chłopak mnie puścił. Tańczył sam, tak jak pewnie nie robił tego nigdy w obecności innych ludzi, może nie licząc najbliższego przyjaciela. Jemmy nawet na niego nie patrzył, był zbyt zajęty swymi bezcennymi urządzeniami. Patrzyłam, jak Guy z wdziękiem wykonuje dwukrokowy taniec, któremu

oddawano się podczas rzadkich u nas wieczornych zabaw. Ogarnął mnie smutek, że Guy nigdy nie zostanie niczym więcej jak tylko szeregowym żołnierzem. Był zbyt miły i zbyt marzy cielski, by kiedykolwiek zostać przywódcą, tak jak Mike, i zbyt męski, by zyskać tak ważną rangę jak płodna kobieta.

Bonnie patrzyła na niego z kamienną twarzą. W końcu odwróciła wzrok.

* * *

Ceremonia Ślicznej odbyła się przy świetle trzynastu świec, każda za rok jej życia, tak jak nakazywała tradycja. Nie było żadnych mężczyzn — nawet dwójki dzieci, jednorocznego Daveya i ośmioletniego Ricka, którego matka Emma zmarła rok temu, rodząc martwą dziewczynkę. Żadne moje wysiłki nie były w stanie ich uratować i gdyby Lew ciągle był przywódcą stada, pewnie zastrzelono by mnie na miejscu.

Dwie młode matki, Junie i Lula, siedziały na krzesłach. Lula trzymała na kolanach swoją córkę, Jaden, która w pewnej chwili zaczęła grymasić, a wtedy matka podała jej pierś. Bonnie jako moja uczennica, ale także bezpłodna kobieta, stała za plecami matek Dziewczynki, które jeszcze nie przeżyły Początku, siedziały na jednej stronie z rękami pełnymi kwiatów. Dziesięcioletnia Seela i dziewięcioletnia Mała patrzyły z zainteresowaniem. Kara, której Początek sądząc po napęcznieniu piersi, miał nadejść już za kilka miesięcy, obserwowała to z dziwną miną, której nie mogłam zrozumieć.

Śliczna, która nie była obecnie ani dzieckiem, ani matką, siedziała pośrodku na tronie zrobionym z krzesła przykrytego kocem, na którym rozłożono ręczniki. Były równie stare i zniszczone jak wszystko, co znajdowaliśmy w opuszczonych budynkach. Kiedyś miały kolor słonecznej żółci. Śliczna siedziała z rozłożonymi nogami, umazanymi świeżą krwią, z której była tak dumna. Jedna po drugiej dziewczynki składały jej kwiaty pomiędzy nogami.

— Niech los obdarzy cię dziećmi — oznajmiła z podekscytowaniem Mała.

— Niech los obdarzy cię dziećmi — wycedziła Seela. Jej drobna twarz wykrzywiła się z zazdrością.

— Niech los... obdarzy cię... dziećmi. — Kara ledwie zdołała wykrztusić te słowa. Twarz jej się ściągnęła, ręce drżały.

Śliczna spojrzała na nią, zaskoczona.

— Co się z tobą dzieje?

Bonnie przepchnęła się naprzód.

— Źle się czujesz? Jesteś chora? Co cię boli?

— Nie jestem! Dajcie mi spokój!

— Chodź tu, Karo — oznajmiła tonem, którego wszystkie dziewczynki i większość młodych

mężczyzn słuchała odruchowo. Opiekowałam się tymi dziewczynkami, odkąd przygarnęło je stado. Kara miała wtedy cztery lata. Zawsze była życzliwa i — w przeciwieństwie do Ślicznej — pracowita, ale zbyt emocjonalna. Śmierć za bardzo ją przygnębiała, radość wprawiała w pojenie, piękno ją oszałamiało. Czasami widziałam, jak mruga przez łzy, patrząc na zachód słońca.

— Nie psuj ceremonii Ślicznej — upomniałam ją, zniżając głos, a wtedy trochę się uspokoiła.

Jednak później, gdy dwie matki zabrały Śliczną na bok, by udzielić jej tradycyjnych wskazówek dotyczących seksu — wskazówek, które rzadko bywały potrzebne — a Niezapoczątkowane dziewczynki zaczęły bawić się z Jaden, zaprowadziłam Karę na zaplecze teatru.

— Siadaj.

— Tak pielęgniarko. Co to za miejsce?

— To był teatr. Karo, co cię dręczy?

Odwrociła wzrok, spojrzała w podłogę, wszędzie, tylko nie ma mnie, aż w końcu ujęłam jej podbródeki zmusiłam, by spojrzała mi w oczy. Wtedy wypaliła:

— Nie chcę!

— Czego nie chcesz?

— Niczego! Nie chcę Początku ani tej ceremonii, nie chcę sypiać z Mikiem i z nimi wszystkimi. Nie chcę rodzić dzieci... Nie chcę!

— Wiele dziewcząt na początku się boi — powiedziałam uspokajająco. Przypomniałam sobie własne pokładziny — i to z dowódcą znacznie mniej łagodnym od Mike'a. Tak dawno temu... A jednak później polubiłam seks i czasem zapraszałam do siebie Buddy'ego, póki nie zabił go dziki pies.

— Boję się, tak Ale to nie wszystko. Po prostu nie chcę!

— A co wolałabyś robić? — Bałam się, że powie „Jeczyć”. Miałam już jedną uczennicę, a poza tym Kara, nawet jeśli okazałaby się bezpłodna, nie byłaby dobrą pielęgniarką. Żadna ilość pracy nie zastąpiłaby jej braku opanowania i inteligencji.

— Nie.

— A zatem co? — Dla dziewcząt nie istniała inna droga — mogły zostać matkami, pielęgniarkami albo bezpłodnymi kochankami. Te ostatnie znajdowały się na samym dole drabiny, jeśli stado w ogóle postanowiło trzymać przy sobie bezpłodne kobiety. Nasza ostatnia, Daisy, w końcu uciekła i nawet nie chciałam myśleć o tym, co mogło ją spotkać. Kara przecież to wiedziała.

— Nie wiem! — zawyla. Był to krzyk czystej rozpacz. Nie miałam czasu na takie cackanie. Egoistyczna dziewczyna bez żadnego celu w życiu, nic więcej jak tylko przeszkoda. Kobiety

musiały robić to, co do nich należy, tak jak mężczyźni. Zostawiłam ją na tym wytartym, aksamitnym fotelu i wróciłam do Ślicznej. W końcu był to jej dzień, nie Kary.

Bonnie wciąż stała nieruchomo obok krzesła zarzuconego kwiatami.

* * *

Mike wrócił z rozmów całkiem zadowolony z siebie — rzadko tak wyglądał. Sąsiednie stado, mniejsze od naszego, nie tylko nie miało zamiaru toczyć wojny o ten mały, miejski laszek, ale byli też zainteresowani handlem i może nawet wspólnym polowaniem i wyprawami zbierackimi. Nawet bez słów domyśliłam się, co chodzi Mike'owi po głowie — miał nadzieję, że uda mu się zjednoczyć stada i zostać przywódcą obydwu. Mężczyźni przynieśli dary od drugiego stada. W ich obozie najwyraźniej znalazło się dużo rzeczy zafoliowanych w plastik — koce, poduszki, nawet ubrania — do których nie dobrały się szczury i teraz wyglądały prawie jak nowe. Każda z dziewczynek dostała mięką, białą szatę z napisem „St. Regis Hotel”.

— A my nie mogliśmy się wprowadzić do hotelu?! — wykrzyknęła Lula, okręcając się wokół siebie.

— Są zbyt trudne do obrony — odparł Karl. Chwycił Lulę w ramiona i posadził sobie na kolanach. Zachichotała. Karl zawsze jej się podobał. Utrzymała, że to on jest ojcem Jaden. To prawda, że dziecko miało tak samo błękitne oczy.

Wszyscy zebraliśmy się na ceremonialnej uczcie w sali wspólnej w podziemiach budynku, który moja babcia pamiętała jako New York State Theater. Sala miała drewnianą podłogę, dziwne drewniane poręcze z trzech stron, a w kącie nieużywane, rozbite pianino. Chłopcy pozamiatali potłuczone szkło, które jeszcze wczoraj pokrywało całą podłogę. Junie rozłożyła na podłodze koce. Jedzenie było wyśmienite — królik upolowany tego samego dnia rano, pieczony z dziką cebulą na otwartym ogniu rozpalonym na kamiennym tarasie przed wejściem do Vivian Beaumont. Puszki fasoli przyniesione przez Erica z wyprawy zbierackiej. Sałatka z liści mlecza i cukierki, które Śliczna tak lubiła — syrop klonowy zmieszany z orzechami — i dlatego zbierałam je dla niej już od zimy. Zapaliliśmy wszystkie latarnie i cała sala skąpana była w nastrojowym świetle.

Mike zerkał na Śliczną, a ona czerwień się i spoglądała na niego spod rzęs. Młodszy mężczyźni patrzyli na to z zazdrością. Trudno było im współczuć. Znajdowali się na samym dole listy łóżkowej i rzadko mieli okazję się na coś załapać. Dobrze im tak — powinni byli lepiej traktować Bonnie.

Obok niej siedzieli dwaj przyjaciele, najwyraźniej nieświadomi ciężkiego zapachu seksu, który unosił się w powietrzu. Co chwila rzucali mi wymowne spojrzenia, aż w końcu wstałam i podeszłam bliżej.

— Potrzebujecie czegoś, chłopcy?

— Boli mnie, pielęgniarko — powiedział Jemmy, na tyle głośno, by Mike to usłyszał. Był tragicznie kiepskim aktorem. Oczy mu błyszczały, wszystkie mięśnie aż napięły się w oczekiwaniu. Nigdy w życiu nie widziałam kogoś, kto mniej wyglądał na chorego.

Podeszłam do Mike'a.

— Jemmy źle się czuje. Zabiorę go do izolatki na badanie, muszę się upewnić, że to nie jest zaraźliwe.

Mike tylko skinął głową, zbyt skupiony na Ślicznej, by się tym przejmować.

Jemmy i ja wyslizgnęliśmy się na zewnątrz, Guy ruszył za nami z latarką. Gdy tylko znaleźliśmy się na tyle daleko, by nie usłyszał nas ponury strażnik — zły, że nie może być na uczcie — odwróciłam się do do Jemmy'ego.

— No i?

— Chcemy ci coś pokazać, pielęgniarko! Proszę, chodź z nami.

Stado wychowywało Jemmy'ego od czasu śmierci matki, gdy miał sześć lat. Był bardzo ciekawskim chłopcem, ale w przeciwieństwie do Guya nigdy nie nauczył się czytać. Nie dlatego, że wzorem innych mężczyzn pogardzał czytaniem jako czymś bez użytecznym i kobiecym. Mówił, że litery skaczą mu przed oczami, co nie miało sensu, ale coś musiało w tym być, bo poza tym nie brakowało mu bystrości. Był zbyt drobny, by walczyć, ale potrafił uruchomić każde urządzenie mechaniczne. To Jemmy odkrył, jak uruchomić generatory za pomocą paliwa, które czasem znajdowaliśmy. Generatory nigdy nie żyły długo, a większość urządzeń, które miały zasilać, zepsuła się albo zardzewiała już dawno. Ale czasem sprzyjało nam szczęście.

— Czy to kolejny generator? — spytałam.

— Coś o połowę lepszego! — odparł Jemmy.

— Nie, o dwie trzecie! — dodał tajemniczo Guy.

Ale ta arytmetyka to było już za wiele dla Jemmy'ego, którego wiedza na temat maszyn była czysto instynktowna. Zignorował Guya i pociągnął mnie naprzód.

Wyszliśmy z budynku, przeszliśmy przez plac aż do Vivian Beaumont i na tyły budynku. Na zewnątrz było już ciemno i lekko mżyło, ale chłopcom to nie przeszkadzało. W małym podziemnym teatrze paliła się nasza samotna latarnia, rzucając słaby blask.

— Wejź tutaj — pokazał Jemmy. — Schody się zawaliły, ale znalazłem drabinę.

— Nie wejść na żadną drabinę! — zaprotestowałam, ale oczywiście weszłam. Ich entuzjazm był zaraźliwy. I trochę niepokojący. Mike nie aprobowałby takich zachowań u swojego stada. Jego zdaniem wojownicy powinni mówić mało i okazywać jeszcze mniej.

Nie byłam już młoda ani zwinna i wejście na drabinę kosztowało mnie dużo wysiłku. Ale w świetle latarni wniesionej przez Guya zobaczyłam stertę książek.

— Och!

— To później! — zastrzegł radośnie Guy, nie pozwalając mi zabrać ani jednej. — Najpierw to drugie.

— Oddaj mi tę książkę! — zażądałam.

Jemmy wspiął się na drabinę jak wiewiórka i powtórzył:

— Najpierw ta druga rzecz.

— Gdzie znaleźliście te książki? — spytałam.

— Tutaj!

Salę wypełnił szum — był to kolejny generator Jemmy’ego. Wciąż bardziej interesowały mnie książki.

— Nie mogę uwierzyć, że wciąż działa! — zachwycił się chłopak — Dobrze, że jest podłączony, sam nie wiedziałbym, jak to zrobić. Patrzcie!

Płaskie okienko stojące na stole zamigotało i rozbłysło. Chwila zaskoczenia, a potem przyszło mi do głowy odpowiednie słowo: „telewizor”. Babcia opowiadała. Nigdy nie widziałam takiego urządzenia, a gdy byłam dzieckiem, czasem myliłam słowa „wizor” i „wigwam” i wydawało mi się, że w tym okienku mieszkają mali ludzie, tak jak my mieszkaliśmy w wigwamach podczas letnich wypraw.

Na ekranie pojawiła się samotna kobieta, a pod nią wypisano słowa.

PAS DE DEUX: CZTERY TEMPERAMENTY

MUZYKA PAUL HINDEMITH

CHOREOGRAFIA GEORGE BALANCHINE

Dziewczyna była ubrana w obcisły strój, na jaki Mike nigdy nie pozwoliłby swoim kobietom. Zbyt prowokująco działałby na mężczyzn znajdujących się na dole listy. Na nogi włożyła delikatne różowe buty zawiązane różowymi wstążkami. Uniosła jedną ręką ponad głowę, a potem stanęła na czubku jednej stopy — jak ona to robiła? Zagrała muzyka. Kobieta tańczyła.

Usłyszałam własne westchnienie.

Na ekranie pojawił się mężczyzna i oboje ruszyli w swoją stronę. Kobieta odwróciła się na chwilę, następnie znów zawróciła i podeszła do mężczyzny. On ją chwycił i unióś, tak że zdawała się szybować, rozciągnięta w pięknym łuku. Tańczyli razem, wszystkie ich ruchy były lekkie, precyzyjne i szybkie — tak bardzo szybkie! Wyglądali tak pięknie, że aż bolało. Owijali się wokół siebie, dziewczyna była w stanie unieść nogę aż nad głowę i to stojąc na palcach. Przepływali z jednej pozy w inną, jakby rzucając wyzwanie grawitacji. Nigdy nie widziałam czegoś tak delikatnego i wzruszającego, nigdy w całym swoim życiu.

Nie trwało to długo. Wkrótce telewizor pociemniał.

— Nie mogę uwierzyć, że to pudło nadal działa! — ekscytował się Jemmy. — Chcecie zobaczyć coś innego?

Ale Guy nie odpowiedział. W cieniach na skraju światła latarni jego twarz wydawała się starsza i jakby pełna bólu.

— Co to jest? — spytał mnie. — Jak to się nazywa?

— Balet — odpowiedziałam.

W milczeniu podał mi książki. Trzy, cztery, pięć. Na pierwszej złotymi literami wypisano: *Historia Giselle*. Pozostałe zatytułowano *Podręcznik baletnicy: taniec klasyczny, Podstawowe pozycje baletowe, Tańcząc dla pana B.* i bardzo mała broszurka *Trasa występów 2016*.

Guy zdrzął. Jemmy, nieświadomy niczego prócz swego mechanicznego cudu, wciąż trajkotał:

— Ten drugi będzie dłuższy. Widzicie? Te kostki pasują do tego otworu. Ale tylko dwie działają.

Biały napis na czarnym ekranie *LEKCJE WIDEO*. Potem zobaczyliśmy całą salę kobiet i mężczyzn stojących przy drewnianych drabinkach przed lustrami. Przypominało to naszą salę wspólną przed wieloma laty. Słodszy popłynął dźwięk pianina i jakaś kobieta oznajmiła:

— *Plié...* raz, dwa, trzy, cztery. Martine, rozluźnij rękę. Carolyn, oddychaj zgodnie z ruchem...

Dopiero w połowie „lekcji” zaczęły stawać na palcach. Przedtem od strony niewidocznej kobiety padało dużo poleceń: *battement tendu, rondes de jamba a terre, porte de bras*. Gdy w końcu stanęły na palcach — ale tylko kobiety — znów posypały się polecenia:

— Jorje, twoja ręka wygląda jak zdechły kurczak. Rozluźnij palce!

— Nie, nie, Terry, robisz tak, a powinieneś tak..

Następnie pojawiła się sama kobieta. Wyglądała na równie starą — może nawet starszą — niż ja, tyle że była dużo szczuplejsza.

— A teraz środek.. Nie, nie, John, to o wiele za wolno... i raz, raz, raz... dobrze. A teraz arabeska *penchée*... Oddychajcie w rytmie, powoli, powoli...

Tancerze na kranie dokonywali niemożliwych, hipnotyzujących rzeczy.

— Jeszcze raz... Timon, proszę, zacznij tuż przed arabeską...

Sala pełna tancerzy, każde z nich powoli unosiło nogę w tył, z rękami wyciągniętymi przed siebie, by utrzymać równowagę, ich ciała tworzyły tak piękną linię, że aż oczy mi zaszczyły łzami.

Ekran znów poczerniał.

— Nie puszczajmy już więcej — stwierdził Jemmy. — Nie chcę marnować paliwa.

Ku mojemu zaskoczeniu Guy ukląkł przede mną na podłodze.

— Pielęgniarko, potrzebuję pomocy.

— Wstawaj, głuptasie!

— Potrzebuję pomocy — powtórzył. — Chciałbym tu przeprowadzić Karę, a bez ciebie nie dam rady.

Kara. Nagle przypomniały mi się wszystkie te kalkulujące spojrzenia, które rzucał jej przy uczcie. Odepchnęłam go zbulwersowana.

— Guy! Nie możesz z nią spać! Ona jeszcze nie miała Początku, ale nawet gdyby miała... Mike by cię zabił!

— Nie chcę z nią spać! — Wstał z kolan. Wydawał się równie zdesperowany i jeszcze bardziej zdeterminowany. — Chcę z nią zatańczyć.

— Zatańczyć?

— Tak jak oni — Wskazał na ekran telewizora i z szacunkiem wymówił nowe słowo: — Balet.

Powiedziałam pierwsze, co mi przyszło do głowy — i, jak to się zwykle zdarza, było to kompletnie idiotyczne.

— Ta pielęgniarka w telewizji mówiła, że nauka takiego tańca trwa całe lata.

— Wiem — odparł Guy. — Potrzeba wiele lat, żeby tańczyć tak jak oni. Ale Kara i ja moglibyśmy się nauczyć tylko trochę i może zatańczyć dla stada. Mike'owi by się to spodobało.

— Spodobało? Żebyś dotykał Niezapoczątkowanej dziewczyny? Oszalałeś, Guy!

— Muszę zatańczyć — powtarzał uparcie. — Balet. Z Karą. Tylko ona się nadaje.

Miał rację. Śliczna, leniwa i rozpieszczona, nigdy nie nauczyłaby się tak trudnych ruchów, jakich wymagała tamta pielęgniarka. Mała i Seela były za młode, Lula i Junie — zajęte dziećmi. Bonnie była za duża i zbyt niezgrabna — dlaczego w ogóle o tym rozmyślałam? Jego marzenie było nie tylko niedorzeczne — było groźne.

— Zapomnij o tym balecie — powiedziałam surowo. — A jeśli tego nie zrobisz, powiem Mike'owi.

Ostrożnie zeszedłam po drabinie i sama wyszłam z budynku wąskim, ciemnym korytarzem. Ale wzięłam ze sobą tamte pięć książek i w swoim pustym pokoiku w podziemiach teatru David H. Koch Theater (wreszcie znalazłam sztyl z właściwą nazwą) zużyłam całą świecę, czytając je do późna.

* * *

Dwa dni później przywódca stada z St. Regis przyszedł, by zrewanżować się za wizytę Mike'a. Dużo ryzykował, bo przybył tylko w towarzystwie dwóch adiutantów. Był to ewidentnie gest współpracy, nie agresji, co od razu wprawiło wszystkich w dobry nastrój. Zjedliśmy posiłek w południe, na niezbyt splekany tarasie, obok długiego, płytkiego basenu pełnego śmieci i dwóch ogromnych fragmentów skały, które pod pewnym kątem przypominały leżącego człowieka. W myślach usłyszałam słowa babci: „Każdej jesieni mieli problem z liśćmi wpadającymi do basenu Vivian Beaumont”.

Dziewczynki rozpały ogień i przez cały ranek gotowały. Oczywiście nie wzięły udziału

w posiłku — Mike nie pozwoliłby obcym zobaczyć, ile kobiet liczyło stado i które z nich mogły być płodne. Ja podawałam do stołu i jako jedyna byłam ponura.

Mike popełnił poważny błąd.

Wiedziałam to już w chwili, gdy Keither, dowódca sąsiedniego stada, przemówił. Nie, nawet wcześniej — wtedy gdy obserwował Mike'a i nasze stado, patrzył, jak rozmieszczone są strażę, zbierał wszelkie informacje. Miał podłużną, inteligentną twarz i bystry, rozbiegany wzrok. Mówił ładnie i elokwentnie — postawiłabym swoją skrzynkę z lekami, że ten mężczyzna potrafił czytać. Co więcej, doskonale wiedział, co powiedzieć, by zjednać sobie słuchaczy, nie wpadając w zbyt oczywiste pochlebstwa. Mike, obdarzony wiele prostszym umysłem, nie zdawał sobie z tego sprawy. Potrafił wyczuć szukającą się zdradę, ale nie wówczas, gdy była tak subtelna. Nie widział, że Keith, dowodzący znacznie mniejszym i gorzej uzbrojonym stadem, miał ochotę przejąć dowództwo nad naszym. Nie teraz, może nawet nie w najbliższej przyszłości, ale kiedyś.

Oczywiście nie było sensu mówić tego Mike'owi. Nie posłuchałby mnie. Byłam pielęgniarką, ale poza tym byłam tylko kobietą.

— Przynoszę podarunek — oznajmił Keither, gdy posiłek został spożyty i pochwalony. Wyciągnął z worka butelkę jacka danielsa. Mike, oczywiście, już wiedział, co się tam znajduje. Do obozu nie można było wnieść żadnych bagaży bez uprzedniego przeszukania. Ale nawet jeśli mężczyźni nie byli tym zaskoczeni, to i tak się ucieszyli. Napelniono kubki, które puszczono w krąg, wzniesiono toasty, rzucono kilka żartów. Młodszy mężczyźni wypili dużo. Ani Mike, ani Keith nie wypili więcej niż jeden grzecznościowy łyk.

— Nie mamy pielęgniarki — oznajmił w końcu Keither. — Czy nie odstąpilibyście waszej? A może ma jakąś uczennicę?

— Nie — odparł Mike, grzecznie, ale bez wyjaśnienia. Keither nie poruszał więcej tego tematu.

Zmęczyłam się. Obsługiwanie szesnastu mężczyzn i siedzenie godzinami po turecku na betonowym tarasie to nie jest zajęcie dla kogós w moim wieku. Gdy na niebie pojawiły się pierwsze różowe smugi, podchytyłam spojrzenie Mike'a. Skinął głową i pozwolił mi odejść.

W sali kobiecej dziewczynki natychmiast otoczyły mnie kręgiem.

— Jacy oni są? — dopytywały się. — Przynieśli jeszcze jakieś podarunki? Wiadomo, ile mają kobiet? — Dziewczynki były podekscytowane i podchodziły zbyt blisko, jakby starały się coś ukryć.

— Jesteś zmęczona, pielęgniarko? Może powinnaś odpocząć?

Odepchnęłam od siebie falę białych szat.

— Gdzie Kara?

Siedziała sama w kącie. Ale gdy tylko uniosła wzrok błyszczący zachwytem, już wiedziałam.

A może wiedziałam od początku. W końcu mogłam opuścić ucztę kilka godzin wcześniej, ale tego nie zrobiłam.

Dzięki temu mogłam udawać zupełnie nieświadomą. Przy najmniej na razie.

* * *

Moja fałszywa nieświadomość nie przetrwała kolejnego popołudnia. Mike wraz z dziewiątką naszych mężczyzn wyruszył na polowanie, zostawiając dowództwo w rękach swojego zastępcy, Joego. Joe przydzielił mi trzech ludzi i wysłał do pobliskiej apteki, żeby zobaczyć, czy nie zostały tam jakieś zdatne do użytku leki. Nie zostały — to miejsce przeczesano już wielokrotnie. Większość moich zapasów pochodziła z domów — znajdowałam je w zrujnowanych łazienkach, szafkach, szufladach, obok łóżek rojących się od robactwa. Daty przydatności na opakowaniach już dawno minęły. Jednak zadziwiająco dużo z nich nadal działało, a skalpele, nożyczki, gazy i alkohol nie poddawały się rozkładowi.

Zanim wróciliśmy, było już popołudnie. Mieliśmy akurat piękną, letnią dzień. Mężczyźni siedzieli na słońcu z bronią na kolanach, śmiejąc się i rozmawiając. Lula i Junie posadziły dzieci na kocykach, by mogły wywijać tłustymi nóżkami. Śliczna usiadła, czesząc swoje długie włosy, w zasięgu wzroku strażników. Wyglądało na to, że seks przypasował jej jak wiewiórcę orzechy, a teraz, gdy już obsłużyła Mike'a, jej lista miała się trochę rozszerzyć.

Nie pytałam, gdzie są pozostałe dziewczęta. Mała i Seela pewnie bawiły się gdzieś pod okiem strażników. Bonnie przygotowywała zioła, ucierała suszki, gotowała korę i suszyła jagody. Obeszłam Vivian Beaumont, pchnęłam drzwi prowadzące do podziemnego korytarza i weszłam do środka. Drzwi były zamknięte. Załomotałam w nie pięścią, aż w końcu Jemmy otworzył.

— Pielęgniarko...

Spoliczkowałam go i podeszłam do sceny.

Stali tam, nawet mnie nie słysząc, tak głośno grała muzyka, tak bardzo byli skupieni, tak niemożebnie zachwyceni.

Guy ocknął się pierwszy.

— Pielęgniarko...

Kara poszarzała na twarzy i mocniej chwyciła przedmiot, który — jak już wiedziałam — nazywano „drażkiem”. Chłopcy pewnie przynieśli go z głównego budynku. Ciężka drewniana belka, niezamocowana do ściany, jak te w naszej sali wspólnej, lecz zaopatrzona na końcach w metalowe wsporniki. Znieśli z budki telewizor i generator — nie mam pojęcia jak — i rozstawili oba na scenie. Muzyka w telewizorze nagle ucichła i starsza kobieta powiedziała:

— Nie, nie, Alicio, opuść prawe ramię!

Kara opuściła prawe ramię.

Twarz Guya przybrała kamienny wyraz. Tak dobrze naśladował Mike'a, że aż mnie to zaskoczyło.

— Co tu robicie? — spytałam.

— Uczy my się.

Uczyli się. Naśladowując ruchy tancerzy na ekranie. Nagle wyparowała ze mnie cała wściekłość i zastąpił ją żal. Oboje byli tacy młodzi. Dorastali w jałowym świecie (znów głos babci: „Jakie występy tam widziałam!”), ale nie mieli nawet pojęcia, jak bardzo jest jałowy. A teraz się dowiedzieli i uznali, że mogą to zmienić.

— Dzieci, nie możecie. Jeśli Mike się dowie, że dotknęłaś Niezapoczątkowanej dziewczyny...

— Nie dotknąłem jej! — zaprotestował Guy.

— ...to każe cię zastrzelić. Na miejscu. Guy, pomyśl tylko!

Podszedł do skraju sceny i spojrzał na mnie.

— Pielęgniarko, ja muszę. Po prostu muszę to zrobić. Ale nie mogę tańczyć sam. Balet jest kobietą.

Sama przeczytałam to poprzedniej nocy. Powiedział to jakiś słynny baletmistrz, którego nazwiska nawet nie zapamiętałam.

— Ukradłeś moje książki..

— Poży czyłem. I tylko jedną. Były w niej obrazki. Pielęgniarko, ja muszę...

— Ja też — wtrąciła się Kara.

— Kara, chodź ze mną. Natychmiast.

— Nie — odparła. Jej opór zaskoczył mnie jeszcze bardziej niż ten ich niedorzeczny pomysł, że sami mogą nauczyć się tańczyć.

Spojrzałam na Jemmy'ego.

— A co z tobą? Wiesz, że możesz za to zginąć? Czy ta twoja szalona miłość do maszyn jest tego warta?

Po jego twarzy zobaczyłam, że nawet tego nie rozważał. Spojrzał na Guya, potem znów na mnie, w końcu wbił wzrok w ziemię. Wiedziałałam, że tu go mam.

— Idź stąd, Jemmy. Natychmiast. Nikt z nas nie wspomni, że w ogóle tu byłeś.

Popędził wzdłuż rzędów krzeseł jak królik ścigany przez psy. Jednego młodego idiotę mniej.

— Jeśli Mike się dowie, że byłeś tu sam z Karą...

— Nie byliśmy sami! — zaprotestowała Kara. — Mieliśmy przyzwoitkę!

— Kogo? Bo jeśli masz na myśli Jemmy'ego...

— Mnie — odparła Bonnie, wyruszając się z cienia.

Reakcja Kary może była szokiem, ale to, co zrobiła Bonnie, przypominało trzęsienie ziemi. Bonnie, która nigdy nie złamała żadnej reguły, zawsze traktowała Karę z leką pogardą za jej

emocjonalność i jej kruchą urodę. Nie mogła rozkazywać Guyowi, ale dzięki mnie miała u Kary coś w rodzaju pożyzonego autorytetu.

— Bonnie? Ty na to pozwoliłaś?

Dziewczyna nie odpowiedziała. W półmroku nie widziałam jej twarzy.

— Pielęgniarko... — nalegał Guy. — Musimy.

— Nie, nie musicie. Kara, chodź ze mną.

— Nie — powtórzyła, a potem gwałtownie dodała: — Nie będę taka jak Śliczna! Nie pozwolę mężczyznom się dotykać i grzmocić, aż w końcu brzuch mi spuchnie i umrę tak jak Emma. Nie pozwolę, nie pozwolę, nie pozwolę! — Jej głos zmienił się w piskliwy krzyk, co zaskoczyło Guya. Kara właśnie złamała podstawową zasadę stada: zasadę lojalności. Należało słuchać przywódcy i starszych i nie robić problemów. Swoje lęki należało zachować dla siebie.

Starałam się, by mój głos zabrzmiał łagodnie.

— Kara, słyszałaś, co mówiła kobieta w telewizorze. Potrzeba wielu lat, by zostać tancerką. Lat. To niemożliwe, kochanie.

— Wiemy — odparł Guy. — Na pewno nie nauczymy się tego wszystkiego co oni. Ale nauczymy się chociaż trochę.

— I chcecie za to zginąć?

— Nikt nie zginie, jeśli tylko powiesz Joemu, że dajesz nam tu lekcje czytania. Wszyscy wiedzą, że uczysz nas liter.

— Nie — odparłam. — To zbyt duże ryzyko i wszystko to na próżno.

Wtedy odezwała się Bonnie.

— Nie na próżno, pielęgniarko. Najpierw zobacz, jak tańczą.

Guy chwycił w jaktonący linę.

— Tak! Tylko raz! To takie piękne.

Nie było. Kara i Guy zajęli miejsca przy poręczu, chłopak włączył telewizor. Kobieta oznajmiła:

— *Battement tendu!* — A wtedy Guy i Kara zamachnęli się nogami — do przodu, w dół, na bok, w tył i znowu na bok. Nie podnosili nóg równie wysoko co tancerze na ekranie i nie wykonywali tak czystych figur, ale nie robili tego całkiem bez wdzięku. Guy okazał siłę i zwinność, o jaką go nie podejrzewałam, a ruchy Kary były delikatne i płynne. Ale to i tak niczego nie zmieniało.

Przećwiczyli jeszcze kilka kroków, a potem Guy wyłączył telewizor.

— Musimy się tego nauczyć, zanim w generatorze skończy się paliwo. Ale mamy też książki. A potem przećwiczymy różne kombinacje tych kroków!

Pięć osób codziennie, każdego dnia w roku myło te okna, żeby zawsze lśniły. A w nocy, gdy

wszystkie budynki zapłonęły światłami, wszystko wokół błyszczało jak płynne złoto.

Tak niewiele rzeczy w naszym życiu lśniło, a już zupełnie nic nie przypominało płynnego złota. Ale nie było warto. Nie za cenę życia.

— Nie — powiedziałam.

* * *

Dwa dni później przewróciłam się w lesie — według starej mapy kiedyś nazywano go „Central Parkiem” i rozciąłam sobie kolano o ostry kamień.

— Och! — Ból był natychmiastowy i bardzo ostry, ale nie tak ostry jak mój strach. Byłam już stara. „Jeśli nie będę w stanie nadążyć za stadem, to będzie mój koniec”.

Bonnie natychmiast znalazła się przy mnie.

— Pielęgniarko?

Próbowałam wstać, ale nie mogłam. Złapała mnie silnymi ramionami. Zamrugałam przez łzy, gdy obie wpatrywałyśmy się w białą kość wystającą spod ciemnej skóry.

Potem zemdlałam.

* * *

Izolotka pod New York State Theater była pusta i ciemna, nie większa niż duża szafa. Lula siedziała koło mnie, karmiąc Jaden. Madonna z dzieciątkiem przy świetle kopcącej świeczki.

— Pielęgniarko? — Lula odłożyła dziecko, które natychmiast się rozpląkało, i podniosła kubek — Wypij to, teraz musisz spać...

Zapach mięty, gorzki smak wyuczulny pod słodyczą miodu. Spałam.

* * *

Wciąż byłam w izolotce, leżałam sama w kompletnej ciemności. Pomacałam swoją nogę. Poczułam warstwę bandażu i drewniane łupki na nodze. Słumiony ból. Od jak dawna tu leżałam?

Mijały godziny, aż w końcu weszła Bonnie, z twarzą bez żadnego wyrazu, niosąc śniadanie i gorącą herbatę.

— Jak to wygląda, Bonnie? Będę mogła jeszcze chodzić?

— Nie mogę powiedzieć na pewno, póki nie wstaniesz.

— Czy Mike wrócił?

— Jeszcze nie. Wypij to...

— Co to...

— Tylko herbata.

Potrzeba mi było czegoś więcej niż herbaty. Musiałam zacząć chodzić.

* * *

— Pielęgniarko? Pielęgniarko, słyszysz?

Słyszałam i powoli wywlokłam się z ciemności, w której tkwiłam. A może to Śliczna była w ciemności? Nie, nie była. Klęczała koło mnie, tyle że było jej dwie, a potem trzy. Jak to możliwe? Jedna Śliczna to już było w zupełności dość. Chyba że okazała się płodna i urodziła sama siebie, i jeszcze raz, i jeszcze raz...

— Jestem w ciąży! — wykrzyknęła triumfalnie. I dodała: — Czy ona mnie słyszy?

— Nie wiem — odparła Bonnie.

— To dziecko Mike'a. Bonnie, czy ona mnie słyszy?

— Nie wiem.

A potem już nie słyszałam.

* * *

Byłam babcią i szłam przez Lincoln Center, patrząc, jak światło wylewa się z wysokich, łukowatych okien, jak płynne złoto. Zdjęłam z sufitu dwadzieścia jeden żyrandoli i wypolerowałam je tak mocno, że aż piekły mnie dłonie. Potem ogień rozprzestrzenił się na bibliotekę i spalił ją do gruntu. Okna pękły na kawałki i przebiły mnie odłamki szkła.

— Lincoln Kirstein nie będzie zadowolony! — wykrzyknęła moja babcia. — Wydał fortunę, by to zbudować!

Tylko się zaśmiałam i wciąż przybijałam do podłogi nowy czerwony dywan.

* * *

W końcu wróciła mi jasność umysłu. Wiedziałam już, kim jestem i gdzie jestem. Obok mojego posłania stała Bonnie, lecz Joe, zastępca Mike'a, który dowodził naszym stadem pod jego nieobecność. Ile to już dni?

— Jak się miewasz, pielęgniarko? — spytał załopotany.

Znałam Joego, odkąd miał dziesięć lat. Nieustraszony wojownik, lojalny, ostrożny, pilnie strzegł granic obozu, ale swobodnie podchodził do tego, co się działo w środku. Teraz jednak nie wyglądał swobodnie.

— Mogę myśleć jasno — powiedziałam.

Najwyraźniej moje myśli go nie obchodziły.

— Możesz chodzić?

— Nie wiem.

— Sprawdź — odparł krótko i wyszedł bez uśmiechu. Dreszcz przeszedł mi po krzyżu.

Chwilę później weszła Junie, zdyszana po biegu, niosąc Davey'a.

— Och, pielęgniarcko! Czujesz się lepiej?

— Tak Przyślij tu Bonnie.

— Nie wiem, gdzie jest! Chciałam, żeby dała coś Jaden na ząbkowanie. Jest strasznie marudna. Lula powiedziała, że Bonnie może ma coś na uspokojenie, ale...

Junie paplała, a ja tymczasem oparłam się ręką o ścianę i spróbowałam wstać. Byłam w stanie utrzymać się na nogach, ale ledwo-ledwo.

— Junie, ile czasu to spędziłam?

— Niech pomyślę... może z miesiąc? Może więcej.

Ponad miesiąc. Znarkotyzowana na cały miesiąc tylko przez złamaną nogę.

— Znajdź Bonnie i przyślij ją do mnie — powtórzyłam.

— Tak zrobię. Ale, pielęgniarcko, Joe mówi, że... nie, Tony, on wrócił i powiedział...

Tony udał się na wspólną wyprawę łowiecką ze stadem Mike'a i Keithera. Spojrzałam na Junie i zobaczyłam na jej twarzy strach. Davey też go poczuł, bo zacisnął swoje małe pięści.

— Czy Mike żyje?

— Tony uciekł. Napadli ich dwa dni temu. Pielęgniarcko, stado Keithera jest duże. Gdy nasi poszli ich odwiedzić, większości nie było w hotelu. Chcą wymienić Mike'a na kogoś innego, nie wiem, kogo ani dlaczego. Tony uciekł, a Joe mówi, że jutro rano wyruszamy! Tu nie jest bezpiecznie. Och, pielęgniarcko, możesz chodzić?

— Znajdź Jemmy'ego. Powiedz mu, żeby wyciął mi kij — o, taki duży — żebym miała się czym podpierać. Powiedz, że ma tu przyjść natychmiast.

— Ale mówiłaś, że mam zawołać Bonnie...

— Nie ją. Jemmy'ego. Natychmiast.

Zanim Jemmy przybył z wystruganym patykiem, zdążyłam już stanąć na chorej nodze, przewrócić się, odkryć, że łupki wytrzymały i znowu wstać. Łupki założone przez Bonnie były ciężkie, ale laska pomagała mi je zrównoważyć. Wspierając się na ramieniu Jemmy'ego, weszłam do korytarza, nie uszkadzając sobie nic innego. W kobiecej sali dziewczynki pakowały się gorączkowo, chociaż wyruszenie zapowiedziano dopiero o świcie, a nie było dużo do pakowania. Wszystko trzeba było nieść na własnych plecach. Każda z dziewcząt miała swój tobolek, a matki także nosiła dla dzieci. Kieszonki zimowych płaszczy napchano prowiantem. Ubrania trzeba było włożyć na siebie, niezależnie od upału, bo nie mogliśmy sobie pozwolić na ich utratę. Rano wszyscy zwiną maty, zawijając w nie przybory do gotowania, a gotowe rulony zostaną wręczone Rickowi — ośmiolatkowi, który nie mógł jeszcze walczyć — i wybranym przez Joego ludziom.

Na zewnątrz zablęsnęły pierwsze gwiazdy, ledwie widoczne na tle błękitnego nieba, choć nad

zachodnim horyzontem piętrzyły się chmury. Powietrze pachniało deszczem, a drzewa kołysały się na wietrze. Budynki rysowały się ciemną bryłą na tle kobaltu. A w nocy, gdy wszystkie budynki zapłonęły światłami, wszystko wokół lśniło jak płynne złoto. Ludzie śmiali się i stawali w kolejce setkami, by usłyszeć jakąś operę albo koncert, albo obejrzeć balet.

W oddali zaszczekał pies, potem drugi. Polujące stado.

— Zabierz mnie do nich — poleciłam Jemmy 'emu.

* * *

Cienie obok Vivian Beaumont, cienie w podziemnym korytarzu. Jemmy uchylił drzwi i zastawił je kamieniem, żeby w razie czego było słycać strzały. W teatrze poruszały się kolejne cienie.

Nie widzieli mnie. Drążek odsunięto w tył. Guy był boso, nagi do pasa. Kara, także bosa, miała na sobie białe rajstopy i coś zwiewnego, pełnego dziurek, wygrzebanego z jakiejś zrujnowanej garderoby. Muzyka zagrała. Nie była piskliwa, nie był to też metaliczny dźwięk pianina przygrywającego podczas „lekcji”. Był to pełny, szlachetny, potężny dźwięk *Czterech temperamentów*. Dopiero teraz zrozumiałam, co właściwie zrobił Guy.

Wymyślając układ kroków dla siebie i Kary, robił to z myślą o muzyce Paula Hindemitha. Kroki idealnie zgrzywały się z muzyką, stapały, tworzyły jedność. W tej jedności niedoświadczenie tancerzy stawało się nieważne, ponieważ Guy tak dobrze wybrał ruchy, które mogli wykonać z wdziękiem. Potrafiłam nawet rozpoznać niektóre z nich: *bourée, pas de chat, battement*.

Nazwy były nieważne — liczyły się ruchy. Oboje ani razu się nie dotknęli, ale młode ciało Kary stojące w półpoincie pochylało się naprzód ze smutkiem i tęsknotą, nawet nie dotykając Guya. W jego ruchach także była tęsknota, ale wiedziałam, że nie tęsknią za sobą. Tęsknili za tańcem, którym mogli się cieszyć tylko dziś, by jutro go utracić. Tęsknili za pięknem, które kiedyś byłoby na wyciągnięcie ręki, gdyby tylko świat był inny. Guy uniósł nogę, wyciągnął rękę i wykonał idealną arabeskę. W miękkim świetle latarni ich sylwetki wyglądały jak płynne złoto i rozświetlały scenę rozpaczliwym żalem za znikającym pięknem.

Ale to znów Bonnie zaskoczyła mnie najbardziej.

Stała pod sceną niczym przyzwoitka, strażniczka i coś więcej. Nawet nie podejrzewałam, że jej pospolita twarz może tak wyglądać. Nie tylko lśniła życiem — biła z niej determinacja jak z anielicy strzegącej bram edenu. Nie wiedziałam, że jest do tego zdolna.

— Bonnie... — szepnęłam. Mój głos zabrzmiał cicho, usłyszał go chyba tylko Jemmy. Ale zanim zdolałam odezwać się głośniej, drzwi za moim plecami otworzyły się z trzaskiem i męski głos krzyknął:

— Co tu się, kurwa, dzieje?!

Mike.

Połowę twarzy miał umazaną krwią, lewą rękę przywieszoną na temblaku. Za nim stało trzech czy czterech mężczyzn. Mike odepchnął mnie i podbiegł do sceny.

Rzuciłam się za nim, najszybciej jak zdołałam, nie zwracając uwagi na ból w kolanie.

— Zaczekaj! Zaczekaj! Nie...

Mężczyźni odepchnęli mnie na bok. Mike stanął pod sceną, na której zamarli Kara i Guy.

— Nie rób tego! — dokończyłam. — Bonnie była z nimi, ani na chwilę nie zostali sami.

Jeden z pozostałych mężczyzn — stał do mnie plecami, nie widziałam, kto to — unosił latarnię i wtedy zobaczyłam to co Mike. Krew na udach Kary, jaskrawoczerwona plama na białych rajstopach. Nadszedł jej Początek

Chwycałam Mike'a za zdrową rękę.

— Ani na chwilę nie zostali sami! Rozumiesz! On jej nie dotknął!

Gdyby na jego miejscu był Joe, pewnie zastrzeliliby Guya jeszcze na scenie. Lew pewnie zastrzeliliby oboje. Mike obrzucił Guya wzrokiem pełnym obrzydzenia — jego nagą pierś, dziwną pozę, wszystko, czego Mike nie rozumiał i nie miał zrozumieć nigdy. Odwrócił się do mnie.

— Zabierz dziewczęta tam, gdzie ich miejsce — warknął, najwyraźniej nie dostrzegając mojej nogi.

Ktoś strzelił do telewizora, a wtedy muzyka umilkła.

* * *

Bonnie nie odpowiadała na pytania. Siedziała tyłko, drewniana i milcząca, aż w końcu Mike po nią posłał.

— Co mi podałaś? — dopytywałam się. — Jaką dawkę? Dlaczego, Bonnie? Dlaczego?

Nie odpowiadała.

Lincoln Kirstein zbudował to wszystko — powiedziała mi kiedyś babcia. Zapłacił za to z własnych pieniędzy i z darów od innych i założył wielkie przedsiębiorstwo baletowe. Nie był tancerzem, ani choreografem, ani muzykiem. Nie pisał baletów, ale to dzięki niemu mogły powstawać takie dzieła.

Kary nie było z nami. Odesłano ją do sali kobiet. Za jakiś tydzień, gdy przestanie krwawić, wyślą ją do łóżka Mike'a, Joego i Karla, i każdego, który może okazać się płodny. Nawet jeśli będzie trzeba ją tam zawlec siłą.

Kilka godzin później Mike posłał po mnie. Dwaj mężczyźni wprowadzili mnie do pokoju na końcu korytarza. Był mały, miał nagie betonowe ściany i wciąż stały tam zardzewiałe wraki tych wielkich, starych maszyn, które kiedyś wydawały ludziom jedzenie i napoje w zamian za

monety. Stała tu też stara kanapa pogryziona przez szczury, rozkołysany stół i kilka krzesel. Wyobraziłam sobie tancerki przychodzące tu z sali ćwiczeń i rzucające się na kanapę, gdzie mogły odpocząć, pogryzając słodycze.

Ludzie Mike'a posadzili mnie na najbardziej stabilnym krześle.

— Dlaczego, pielęgniarko? — spytał przywódca.

To samo pytanie zadałam Bonnie. Teraz zamierzałam tylko osłaniać ją, jak najlepiej zdołam.

— Młodzi chcieli zatańczyć. To wszystko. Ani na chwilę nie zostali sami i nigdy ...

— Nie wiesz tego. Przez cały czas byłaś nieprzytomna. — Spojrzał na moją nogę. Ktoś zmył mu krew z twarzy i brody.

— To prawda, ale jeśli Bonnie mówi, że ani na chwilę nie spuściła ich z oka, to tak było. Ona zawsze słucha rozkazów. Powiedziałam jej, że udzielam Karze i Guyowi pozwolenia na lekcje tańca i że musi ich pilnować.

— Ty? Ty dałaś im pozwolenie?

— Tak. Przecież znasz Bonnie. Czy jest typem kogoś, kogo interesują tańce?

Mike zmarszczył brwi. Nie był przyzwyczajony zastanawiać się nad tym, „jakim typem” jest dana kobieta.

— To twoja sprawa, pielęgniarko? To twój pomysł? Nie Bonnie?

— Nie. Bonnie jest dobrą pielęgniarką. Potrafi robić leki i pielęgnować chorych równie dobrze jak ja.

W końcu przeniósł wzrok z mojego zabandażowanego kolana na twarz.

— Wolisz, żeby cię zastrzelić czy zostawić?

Zastrzelenie byłoby szybsze. Ale powiedziałam:

— Zostawić.

Wzruszył ramionami i stracił zainteresowanie. Wciąż miał pielęgniarkę, Kara była nietknięta, do tego musiał teraz zaplanować manewry obronne. Odważyłam się spytać:

— A Guy?

Mike tylko się skrzywił. Skinął na swoich ludzi.

— Zabierzcie ją tam, gdzie chce być zostawiona, i przyprowadźcie mi nową pielęgniarkę.

Wychojąc z pokoju, już o mnie nie pamiętał.

* * *

Ludzie Mike'a zostawili mnie w Vivian Beaumont, za drzwiami, na początku korytarza. Namacałam w kieszeni świeczkę i zapalnik. Niełatwo było iść, trzymając się ręką ściany, w drugiej trzymając laskę i świecę. Z bólem pokonałam korytarz i przeszłam przez drugie drzwi. Zanim dotarłam do niskich schodków po przeciwnej stronie sceny, musiałam się zcołgać.

Pięć książek o balecie leżało w kątku, poukładane w ładny stosik. Guy musiał je tu czytać nocami, podczas gdy ja leżałam znarkotyzowana, a Kara, zamknięta w sali kobiet, obciągała palce i marzyła o baletkach. Otworzyłam *Historię Giselle* i przewracałam strony przy świetle świecy, aż w końcu znalazłam zdjęcie tancerki w długiej, zwiewnej spódnicy, uniesionej niewiarygodnie wysoko w ramionach partnera, szybującej nad nim łukiem. Może będzie mi dane umrzeć, patrząc na piękne rzeczy. Z drugiej kieszeni wyciągnęłam paczuszkę liści tojadu. To będzie szybkie i nie tak bolesne jak inne metody.

Coś jęknęło mi za plecami.

Zbili go na miazgę i przykuli do betonowej kolumny w jednej z garderób za sceną. Guy oddychał ciężko, jakby bardzo go bolało, ale nie znalazłam żadnych złamań. Mike nie chciał, żeby umarł za szybko. Miał umrzeć z głodu albo znaleziony przez stado Keithera, gdy nadejdą, szukając zemsty, kobiet albo po prostu rozrywki.

— Guy?

Znów jęknął. Przeszukałam pokój, ale nie znalazłam klucza. Usiadłam koło niego, trzymając w ręku paczuszkę tojadu, którego nie mogło wystarczyć dla nad obojga, a drugiej *Historię Giselle*. A potem, ponieważ byłam stara, miałam uszkodzone kolano i przez miesiąc leżałam bez ruchu, podczas gdy Guy i Kara ćwiczyli kroki baletowe, straciłam przytomność.

* * *

— Pielęgniarko? Pielęgniarko? — A potem: — Susan!

Świeczka zgasła, ale w garderobie było jasno. Palila się latarnia... dwie latarnie. Bonnie i Kara stały koło mnie, ubrane w męskie stroje, z plecakami na plecach. Obie niosły broń półautomatyczną. Kara wyglądała z karabinem jak motyl niosący maczetę. W świetle Guy zamrugał oczami.

— Och! — Kara złapała się za usta. Karabin zadrzął.

— Nie rób scen! — prychnęła Bonnie, a mnie aż zatkało, gdy usłyszałam ten ton. To był mój głos. — Pielęgniarko, czy dasz radę...

— Nie.

Bonnie nie dyskutowała. Przykłęka i fachowo, beznamytnie obmacała Guya.

— Już sprawdzałam — powiedziałam. — Nic nie jest złamane.

— A zatem będzie mógł chodzić. Karo, zabierz stąd pielęgniarkę, idźcie z powrotem na scenę. Guy, odejść jak najdalej od tego słupa.

Odszedł, zaciskając spuchnięte, zakrwawione oczy. Kara pociągnęła mnie za sobą. Nawet ze sceny słyszałam huk — to był ten drugi karabin, nie półautomatyczny — gdy strzeliła w łańcuch. Nawet od rykoszetów dzwoniło mi w uszach. Po chwili Guy i Bonnie wyszli na scenę — chłopak

opierał się o nią, wlokąc łańcuchy na obu nogach. Chwycałam Bonie za kolano.

— Jak to zrobi...

— W zupie. Kara i ja roznosiłyśmy obiad.

— Nie żyją?

— Nie wiem. Może niektórzy?

— Czego użyłaś? Szkarłatki? Szaleju? Ageratyny?

— Niebianki. Suszone nasiona.

— Tylko mężczyźni, inne dziewczęta — nie! — wtrąciła z naciskiem Kara. — Tego byśmy nie zrobiły. — Po chwili dodała jeszcze: — Nie będę z nikim sy piąć!

— Poza tym musisz tańczyć — zgodziła się Bonnie.

Wpatrywałam się w nie, zdumiona. To Guy pierwszy chciał tańczyć, ale to Bonnie była najbardziej zdeterminowana, by im to umożliwić.

— Dokąd pójdziecie? — spytałam powoli.

— Na północ. Daleko od miasta. Zapowiada się ulewny deszcz, woda zmyje ślady, zanim stado się ocknie.

— Spróbujcie znaleźć jakąś wspólnotę rolników. Albo któreś z tych żyjących miast. Itakę, Endicott albo Bath. Nie jestem pewna, czy one istnieją, ale to możliwe. Macie tę mapę, którą znalazłam? I mój worek z lekami?

— Tak Czy masz...

— Tak

— Musimy już iść, pielęgniarce. Jemmy też idzie z nami.

Jemmy. Może znajdą gdzieś kolejny generator. Bonnie wyjęła dwie kostki. *Cztery temperamety* i *Lekcja baletu ze zniszczonego telewizora*. Kara pomogła Guyowi ubrać się w płaszcz, buty i przeciwdeszczowe ponczo. Zakołysał się na nogach, ale ustał. Podała mu karabin, a to najwyraźniej pomogło mu utrzymać równowagę. Potem odwróciła się do mnie i usta jej zadrżały.

— Nie rób tego — powiedziałam swoim najostrzejszym tonem. Kara nie zrozumiała, wyglądała na zranioną. Ale Bonnie wiedziała.

— Żegnaj, pielęgniarce — powiedziała bez żadnych bolesnych sentymentów i chwyciła pozostałą dwójkę za ręce, by odejść.

Odczekałam, aż tupot ich butów na scenie umilkł, aż zamknęły się drzwi do teatru, aż minęło dość czasu, by zdążyli opuścić obóz. Potem wyczołgałam się z Vivian Beaumont. Właśnie zaczął padać deszcz. W upalnym powietrzu smakował niemal słodko. Ogniska na placu przyskały i syczały. Koło nich leżeli pokotem mężczyźni. Dalej rozciągała się granica i byli strażnicy, którzy po suty m obiedzie wrócili na swoje posterunki — na dachach i ulicach.

Dwaj mężczyźni leżący przy ogniu już nie żyli. Podejrzałam, że większość pozostałych, w tym Mike, pewnie zdoła to przeżyć, ale nasiona niebianki są podstępne. Tak wiele zależy od tego, jak zostały wysuszone, utłuczone i przechowane. Bonnie wiedziała dużo, ale nie tyle co ja. Zebrałam broń i ułożyłam w stos pod ponczo, a potem usiadłam obok, okryta płaszczem przeciwdeszczowym, z naładowanym karabinem na kolanach.

Sytuacja mogła się rozwinąć na kilka sposobów. Jeśli stado Keithera pokazałoby się niebawem, najlepsze, co mogłam zrobić, to zastrzelić Mike'a i pozostałych, zanim by się obudzili. Stado Keithera zagarnie dla siebie dziewczęta, których los właściwie się przy tym nie zmieni. Płodne kobiety były bezcenne.

Jeśli Mike i pozostali obudzą się, gdy Bonnie będzie wystarczająco daleko, połknę swój tojad i zostawię Mike'a, żeby sam walczył z Keitherem.

Ale znalazłam działanie niebianki i wiedziałam, że zdecydowanie więcej tych ludzi powinno być zwymiotować przed nadejściem paraliżu. Jeśli Bonnie źle przygotowała zioła albo nieodpowiednio dobrała dawkę, stado mogło się przebudzić na tyle wcześniej, by ją ścigać. Wtedy musiałabym zrobić to, co konieczne.

Opuszczaliśmy po kolei dwadzieścia jeden elektrycznych żyrandoli — pomyśl tylko, Susan, dwadzieścia jeden! — i myśliśmy każdą kryształową leżką osobno. Co roku wymieniano też czerwony dywan — kosztowało to ponad siedemset tysięcy dolarów. W latach dziewięćdziesiątych! Co pięć lat wymieniano fotele w New York State Theater — tak go wtedy nazywano, chociaż później zmienili mu nazwę, nie pamiętam na jaką. Pięć osób codziennie, każdego dnia w roku myło te okna, żeby zawsze lśniły. A w nocy, gdy wszystkie budynki zapłonęły światłami, wszystko wokół lśniło jak płynne złoto. Ludzie śmiali się i stawali w kolejce setkami, by usłyszeć jakąś operę albo koncert, albo obejrzeć balet. Jakie występy tam widziałam... nie jesteś w stanie sobie nawet wyobrazić.

Nie, nie jestem. Podobnie jak nie potrafiłam sobie wyobrazić, co się stanie z Guyem i Karą, i ich baletem. Podobnie jak nie wyobrażałam sobie wcześniej, że Bonnie mogłaby poddać się czarowi zaklęcia, którego istnienia nawet nie podejrzewała — urokowi straconej przeszłości powstającemu niczym tancerka w arabesce. Czy ta burza tkwiła w niej od początku, czekając tylko na coś, co mogłaby pokochać?

Istnieją różne burze i różne występy. Okryta peleryną, ścisłam karabin, słuchałam kropli deszczu padających na Lincoln Center i czekałam.

Przełożyła Krystyna Chodorowska

DIANA ROWLAND

Miasto Łazarz

(CITY LAZARUS)

Pieńko nie zna większej furii niż kobiety, której miasto zostało wzgardzone...

Diana Rowland pracowała jako barmanka, krupierka przy stole blackjacka, szefowa krupierów, policjantka patrolowa, detektyw, biegła sądowa w zakresie komputerów, technik kryminalistyczny i pomocniczka koronera. Zdobyła nagrodę dla najlepszej snajperki w swojej grupie w Akademii Policyjnej, ma czarny pas w hapkido i miała do czynienia z wieloma zwłokami w różnym stanie rozkładu. Jest absolwentką Clarion West. Spod jej pióra wyszły takie powieści, jak *Mark of the Demon*, *Blood of the Demon*, *Secrets of the Demon*, *Sins of the Demon* oraz *My Life as a White Trash Zombie*. Ostatnie jej książki to *Touch of the Demon* i *Even White Trash Zombies Get the Blues*. Całe życie przeżyła poniżej linii Masona-Dixona ¹ i jest głęboko wdzięczna za wynalazek klimatyzacji.

MIASTO ŁAZARZ

Szary świt i odpływ odsłoniły ciało na skraju wody. Było skierowane twarzą w dół i częściowo zagrzebane w mule. Jedno ramię unosiło się w niemrawym nurcie, trącane przez prąd rzeki. Wstrętny smród dryfował ku ludziom stojącym na grobli, chociaż odór miał więcej wspólnego z nielegalnym odprowadzaniem ścieków niż z trupem.

Rzadkie krople deszczu spadały z pluskiem w błoto, gdy płaskodenna łódka zbliżała się wolno do ciała, a gruba lina ciągnęła się w jej kłwaterze, wydawana oszczędnie przez robotników, stojących na pewniejszym gruncie. Kapitan Danny Faciane przyglądał się temu ze swojego

punktu obserwacyjnego na grobli i mar szczył brwi pod kapturem płaszcza przeciwdeszczowego. W pełni rozumiał konieczność wolnego posuwania się w poprzek szlamu, ale i tak się irytował. Przyплыw nie będzie czekał, aż załatwi swoje sprawy, jednak w tej chwili bardziej frustrowała go wczesna pora i brak kofeiny w organizmie. Trzeba było jednak uważać z tą rzeką. Od zaważenia się budowli Old River Control nie miała już może tych zębów co dawniej, ale nadal chowała w zanadrzu kilka sztuczek.

Uwaga Danny'ego popłynęła w prawo, w stronę dwóch mostów spinających rzekę. Światła reflektorów samochodowych poruszały się tylko na jednym z nich. Nie było już takiego ruchu, który by upoważniał do wykorzystywania obu. Po drugiej stronie rzeki wyrzucony na mieliznę statek rozpierał się pijacko w szlamie. W wielu miejscach migwały światła palników robotników starających się ocalić wszystko, co się da, z unieruchomionej bryły. Danny zastanawiał się, czy ekipa spawaczy zaatakuje w następnej kolejności nieużywany most, jak termity rzucające się na drewno.

— Muszę się nauczyć spawać — mruknął ktoś za jego plecami. Danny zerknął za siebie i zobaczył, że uwagę detektywa Farbera także przykuwają światła, pełzające po martwym statku.

Danny pokręcił głową.

— Znikną stąd, jak tylko skończą. Do pocięcia zostało tylko kilka statków. Przypuszczalnie nie więcej jak roboty.

— Możliwe, ale przez rok ci skurwiele zarobią trzy razy tyle co my. Poza tym, ciągle myślę, że miasto znajdzie dla nich zajęcie. Nowy Orlean potrafi o siebie zadbać.

Danny prychnął. Nie wątpił, że spawacze zarabiają więcej od Farbera, ale cholernie dobrze wiedział, że płacą nie zbliżyli się do jego uposażenia. I jasne jak diabli, że nie podzielał optymistycznego poglądu Farbera na przyszłość miasta.

— Brudna robota — rzekł zamiast tego. — I niebezpieczna.

— Niebezpieczne jest to, co my robimy — sprzeciwił się Farber.

Danny uniósł brew, patrząc na niego, po czym zaśmiał się chrapliwie.

— Tylko wtedy, gdy robisz to źle — powiedział, a potem skulił ramiona przed podmuchem wiatru, który usiłował cisnąć mu w twarz niemrawy deszcz. — Jak to. Pierdolić ten gówniany poranek

Przyплыnęły ku niemu stłumione polecenia i przekleństwa ludzi na łódce, gdy tamci dotarli do zwłok. Zmagali się ze ssaniem uporczywego blocka, gdyż rzeka przywarła do swojej zdobyczy, ale w końcu zdołali wyciągnąć trupa z jego częściowego grobu. Plasnął na dno łódki, z jedną ubłoconą stopą widoczną na burcie, gdy robotnicy na brzegu zaczęli z powrotem ściągać łódź.

Danny podszedł tam, gdy mężczyźni wyciągnęli ciało z łódki i złożyli na ziemi.

— Możecie mu oplukać twarz? — poprosił, nie zwracając się do nikogo konkretnie. Odczekał, aż ktoś znalazł butelkę wody i oblał nią twarz ofiary. Kucnąwszy przy zwłokach, Danny skrzywił się, co tylko częściowo było wywołane wstrętnym smrodem szlamu.

— To Jimmy Ernst.

— Jezu — mruknął jeden z ludzi na łodzi. — Brnęliśmy przez to cuchnące błocko po tę kupę gówna?

Danny skrzywił usta w kwaśnej zgodzie, obrzucając ciało wyćwiczonym spojrzeniem. Pani technik z laboratorium kryminalistycznego wyjęła z kieszeni spodni rękawiczkę i wyciągnęła je ku Danny'emu, ale ten pokręcił głową. Nie miał zamiaru dotykać zwłoki i ryzykować, że się ubrudzi. Koroner zatroszczy się o zmycie pierdolonego błocka, zanim zabiorą się za sekcję.

— Hm, to bardzo interesujące — powiedział, przechylając głowę.

— Co tam masz? — zapytał Farber, kucając obok niego.

— Został zamordowany. — Danny wskazał dwa ślady przypaleń na szyi martwego faceta. Może było ich więcej, niewidocznych pod brudem, ale i te dwa by wystarczyły. Najnowsze modele paralizatorów elektrycznych zostawiały tego rodzaju znaki, dając wystarczającego kopa, by obezwładnić gościa na jakieś pół minuty. Dość czasu, by zakuć przestępcę w kajdanki. Albo na kilka ciosów. Cokolwiek, na co bardziej zasługiwał.

Danny wstał, jego spojrzenie powędrowało wzdłuż tego, co pozostało z Missisipi. To nie były pierwsze zwłoki wyciągnięte ze ssącego błocka i nie będą ostatnimi. Brzegi stanowiły gąszcz zapadłisk i nieprzewidywalnych prądów. Łatwo umrzeć, zwłaszcza od paru wstrząsów z tasera.

— Widziałem dość — zwrócił się do laborantki, która bezcelowo, chaotycznie robiła zdjęcia. Miała tak samo głęboko w dupie Jimmy'ego Ernsta, jak Danny.

— Do zobaczenia na posterunku — powiedział Farber.

Danny skinął głową, odwrócił się i odszedł w stronę kamieni beżowej terasowej teraz grobli, przez zarośniętą trawą torę kolejową i podążył w górę ulicy. Deszcz przestał padać, a rzut oka na niebo powiedział mu, że ma dość czasu na wypicie ławy i dokończenie wędrówki, zanim niebiosa otworzą się ponownie. Nie ma naglącej potrzeby, by wracać na posterunek. Jasne jak cholera, że nie ma żadnego pośpiechu, by zamknąć taką sprawę. Da jej tydzień lub dwa, a potem umorzy z barku dowodów.

„Café du Monde” była otwarta i obsługiwano już kilku wytrzymałych turystów, ale poszedł dalej wzdłuż North Peters, a odgłos jego kroków doganiał go, odbijając się echem od milczących witryn sklepowych. Trzy lata temu, zanim rzeka zmieniła koryto, Quarter byłaby już o tej porze ruchliwa, sprzedawcy dostarczaliby towary, sklepikarze polewaliby wodą chodniki, a śmieciarze nawoływaliby do siebie, podczas gdy ciężarówki toczyłyby się z hurkotem wąskimi uliczkami.

W pobliżu French Market skierował się ku Decatur Street i powędrował do kafejki na rogu St.

Peters. Błysnął odznaką, by dostać kawę i croissanta za darmo, a potem wyszedł na zewnątrz i usiadł przy stoliku pod zielono-białą markizą.

Wychudzony pies, cuchnący wilgocią, ścielkami i rozpaczą, skradał się w jego stronę chodnikiem. Szary, pomijając jedno czarne ucho, z błyszczącą w oczach nadzieją, że Danny rzuci mu kawałek croissanta, upuści okruszek. Kiedyś był przypuszczalnie domowym pieszczochem. Mnóstwo zwierząt zostało porzuconych po Zmianie, kiedy ich właściciele opuścili swoje domy i zerwali wszelkie więzi z okolicą w desperackiej ucieczce w celu znalezienia okazji gdzieś indziej, gdy w Nowym Orleanie wysechł cały przemysł związany z rzeką.

Pies zaskamlał i usiadł niecałe pół metra od stolika.

— Spadaj — powiedział Danny, odsuwając ostrożnie zwierzę stopą. Ku jego irytacji kontakt zdawał się jedynie zachęcać kundla. Pies wrócił i tym razem położył łapę na jego kolanie. Detektyw zaklął i cofnął nogę, wkurzony widokiem plamy z chuj wie czego, jaka po tym kontakcie pozostała.

— Ty pierdolony kundlu!

Wyrzucił ponownie stopę przed siebie. To nie był brutalny kopniak, ale dopilnował, by był na tyle silny, aby przesłać wiadomość. Kundel wydał z siebie wysoko nastrojone skomlenie i przewrócił się w tył, a następnie przykucnął, wlepiając wzrok w Danny'ego. Przez moment policjant zastanawiał się, czy pies go zaatakuje. W mieście było mnóstwo zdesperowanych zwierząt, i mądry człowiek miał się na baczności. Sięgnął dłonią ku broni, gotów zastrzelić kundla, gdyby się na niego rzucił, ale po chwili zwierzak spuścił łeb i odbiegł, zabierając ze sobą swój smród.

Danny odetchnął z ulgą i chwyciwszy serwetki, zaczął wycierać plugastwo ze spodni. Zastrzelenie psa wywołałoby cholerne zamieszanie. Nie miałoby znaczenia, że to zwierzak go zaatakował; znalazłby się tłum ludzi, skorych do porannego dzielenia włosa na czworo, tłumaczenia mu, że nie powinien się być posuwać do brutalnych środków albo mógł upewnić się ponad wszelką wątpliwość, że pies chciał go ugryźć. Znalazłby się nawet tacy, którzy by stwierdzili, iż jako przedstawiciel prawa powinien być dać się ugryźć; i czy musiał tak szybko posunąć się do użycia śmiertelnej siły?

Pieprzyć to — powiedział sobie Danny ponuro. *Zrobileś, co musiałeś zrobić, żeby przeżyć, zwłaszcza w tym mieście. Zatrzaszczyłeś się o siebie, bo nikt inny nie miał za ciebie tego zrobić.*

Rzucił przemoczone serwetki na stół i wstał, marszcząc brwi na widok pozostałej plamy. Wziął kawę i croissanta i zaczął przechodzić przez ulicę, ale zatrzymał się na widok kobiety na przeciwległym rogu, trzymającej w dłoni złożoną czerwoną parasolkę.

Była piękna, miała ciemne włosy i jaśniejsze od nich oczy, a skórę bladobrązową, co każało mu się zastanowić, czy jej przodkowie mieli w sobie kreolską krew. Nosila szorty i sandaalki, a do

tego koszulkę na ramiączkach, obejmującą jej szczupłe i silne ciało, które wciąż miało swoje krzywizny we właściwych miejscach.

Młoda, przypuszczalnie tuż po dwudziestce. Z pewnością niezbyt zamożna. To było widać na pierwszy rzut oka. Bogacze, którzy pozostali w mieście, byli obrzydliwie bogaci, znalazłszy sposoby na powiększenie zysków dzięki zmianie biegu rzeki. Daleko im było do subtelności i nieobnoszenia się z bogactwem i wpływami. A więc może kelnerka? Striptizerka? Jasne jak cholera, że miała do tego odpowiednią figurę.

Ale to nie tylko jej wygląd sprawił, że rzuciła się Danny'emu w oczy. Bardziej chodziło o to, że nie otaczała jej ta znajoma aura przygnębienia, nie rzucała desperacko wzrokiem, jakby szukała możliwości ucieczki z tej pierdolonej skorupy miasta. Wydawała się opanowana, być może z nutą niepokoju czy smutku w oczach, kiedy spotkały się z jego spojrzeniem. Potem uśmiechnęła się, a on wiedział, że do niego. Śmiała i skromna jednocześnie, z cieniem rozbawienia przemyskającego po twarzy. Zanim zerwała kontakt wzrokowy, odwróciła się i ruszyła ulicą, oddalając się od niego.

Zrobił krok za nią, a potem zatrzymał się. Jego komórka wydała z siebie znajomy sygnał. Zmełł przekonstwo, wyszarpnął komórkę z etui na pasku i rzucił okiem na tekst SMS-a.

Włożywszy telefon do futerału, obserwował wędrowną dziewczynę, póki nie zniknęła za rogami. Następnie obrócił się na pięcie i w odpowiedzi na wezwanie ruszył w przeciwną stronę.

* * *

— Ty i ja, Danny — powiedział Peter Bennett, patrząc z góry na pozostałości po rzece. Deszcz bębnił w wielkie okno apartamentu, rozmazując widok opustoszałego Riverwalk i pustych przystani. — Jesteśmy do siebie bardzo podobni. — Rzucił za siebie wzrokiem na gliniarza. — Wiemy, jak się przystosować do zmian, jak znaleźć sposób na to, by działały na naszą korzyść.

Danny rozparł się na czarnej skórzanej kanapie, mając ręce wetknięte do kieszeni, i uśmiechnął się potwierdzająco do mężczyzny.

— Jestem wporzo, robiąc to, co musi być zrobione — odparł.

Po tym, gdy Old River Control się zawałiła skutkiem naporu wiosennej powodzi i niewystarczającego finansowania, Peter był jednym z tych bardzo bogatych, którzy nie tylko pozostali w mieście, ale zdołali się wzbogacić jeszcze bardziej. Rozsądne inwestycje w Zbiornik Atchafalaya opłaciły się znakomicie, gdy rzeka zmieniła bieg, ale prawdziwa forsa napłynęła dzięki niesamowitej zdolności zdobywania przez Petera kontraktów na oczyszczanie terenu. Trzykrotny wzrost ilości wody przepływającej rzeką Atchafalaya spowodował, oczywiście, spore szkody, a facet wiedział, że w czasie katastrof można wiele zarobić. Mnóstwo ludzi, takich jak Peter, zbiło majątki po przejściu Katriny.

— I to jest klucz do tego wszystkiego — stwierdził Peter ze zdecydowanym kiwnięciem głową. — Bardzo wielu ludzi trzyma się za serce i przejmuje odbudowę, przywróceniem wszystkiego do stanu, w jakim było. — Prychnął. — Wiedziałaś, że rada miasta wciąż skomli do gubernatora w sprawie pogłębienia rzeki, żeby można było podjąć transport wodny? — Nie czekała na odpowiedź. — Strata czasu. Pora pozwolić zdechnąć staremu Nowemu Orleanowi. Ta rzeka to bezzębna kurwa w porównaniu z ostrą dziwką, jaką była, ale nadal można bardzo wiele zrobić z tym miastem. Trzeba iść z duchem czasu.

— Zgadza się — przyznał Danny. Nie wypowiedział pierwszej myśli, jaka przyszła mu do głowy, że nawet bezzębna kurwa może ci sprzedać kość. Jimmy Ernst mógł to potwierdzić. Jednak Peter nie chciał słuchać podobnych rzeczy, a Danny bardzo dobrze wiedział, kiedy trzymać język za zębami. — Masz coś, co trzeba zrobić? To właśnie mówił SMS. „Jest coś, co musisz zrobić”.

Peter odwrócił się od ponurego widoku, podniósł kubek kawy ze stolika pod oknem i upił łyk.

— Zimna. — Skrzywił się. — Przynieś mi nową, Danny. Możesz? Sobie też nalej. — Uśmiechnął się wspaniałomyślnie.

Danny skinął głową, odepchnął się od sofy i powędrował do kuchni, lśniącej czernią i chromem.

— Z przyjemnością. Masz cholernie dobrą kawę.

Wiedział, gdzie są kubki, wiedział, jaką kawę pije ten facet.

— To kwestia wolnej przedsiębiorczości — mówił Peter, podczas gdy Danny nalewał i mieszał. — Jest taki sklep na Dumaine w Quarter. Kupiłem go jakiś rok temu i wynajęłem facetowi sprzedającemu książki i inne bzdurki. Nie wiem, kurwa, jak tym zarabia na życie, ale płaci czynsz. — Zachmurzył się z powodu tego ostatniego stwierdzenia, wziął podany mu przez Danny'ego kubek

— Chcesz się go pozbyć?

Peter siorbnął łyk

— Bardzo dobra. — Spojrzał ponownie na Danny'ego. — Mam plany wobec tego lokalu. Rada ma zagłosować na moją korzyść w sprawie sali pokerowej. Dopilnowałem tego. — Jego uśmiech się poszerzył. — Ty tego dopilnowałeś.

Danny zachichotał. Najłatwiejsze aresztowanie za prowadzenie po pijaku, jakiego dokonał. Pomogło, że Peter dał mu cynk, iż radny Walker wychodzi z degustacji wina, by przejechać półtora kwartału do swojego domu.

— Ale w umowie najmu tego faceta jest drobny zapis, który mówi, że mogę go eksmitować, jeśli istnieje dowód na jego działalność przestępczą — ciągnął Peter.

Danny skinął głową i upił łyk z własnego kubka. Kawa była ciepła, nieco zbyt mocno wypalona, jak na jego gust, i wolał ją z dużą ilością śmietanki, ale Peter pił czarną i Danny nie

chciał się czepiać.

— Z pewnością mogę coś zrobić w tej sprawie — powiedział.

Otworzyły się drzwi sypialni. Wyjrzała z nich młoda kobieta o rozczochranych od snu blond włosach, mająca na sobie jedynie majtki i koszulkę na ramiączkach. Spojrzała na Danny'ego, olała go, a potem jej wzrok spoczął na Peterze. Zrobiła kwaśną minę lub przynajmniej taki wyraz twarzy — zdaniem Danny'ego — usiłowała przybrać. Była nieco zbyt niezdecydowana i za mało pewna siebie, żeby to zagrać, i Danny nie mógł się powstrzymać od myśli, że dziewczyna z rogu ulicy mogłaby to osiągnąć, czyniąc grymas jednocześnie wabiącym i zabawnym.

— Witaj, kotku — zwróciła się do Petera, opierając się o futrynę drzwi w pozie, która miała być podniecająca. — Wracaj do łóżka. Potrzebuję porannego treningu.

Danny upił łyk kawy, by ukryć uśmiech wywołany żalonym przedstawieniem. Widział to już dziesiątki razy, obserwując dziewczyny miesiąca Petera, starające się zarzucić sieć, by odzyskać jego zainteresowanie, i widział, jak to zawsze zawodzi. Peter lubił nówki i pozbywał się wszystkiego, co nosiło ślady zużycia. Nie miało znaczenia, że on to niszczył. Był przystojniakiem — niebieskie oczy, ciemne włosy, atletyczna budowa — oraz jednym z najbogatszych ludzi w mieście. Ciągłe można było mieć lśniące nówki, kolejne dziewczyny, przekonane, iż mogą zostać kolejną panią Peterową Bennetową.

Peter odprawił ją machnięciem dłoni, ze wzrokiem wbitym w zalane deszczem okno.

— Jestem zajęty.

Jej kwaśna mina pogłębiła się.

— Ale ja jestem gotowa teraz. Chodź i daj mi trochę.

Teraz Peter spojrzał w jej stronę. Przyjrzał się jej minie i negliżowi. Po jego twarzy przemknął grymas zniecierpliwienia, zamiast pożądania, na które liczyła, a potem zamieniło się to w rozbawienie, gdy wskazał ruchem głowy Danny'ego.

— Daj jemu — powiedział, patrząc na nią.

Na jej twarzy odmalował się wyraz szoku. Z martwymi oczami zwróciła swój kwaśny uśmiech ku policjantowi. Nie miała nic do stracenia, nawet jeśli to oznaczało kupienie sobie zaledwie kilku dni opieki Petera, a tak właśnie było. Jej się to opłacało, a Danny o tym wiedział.

Odstawił kubek, podszedł do niej i pchnął ją lekko w stronę sypialni.

* * *

Kiedy z niej wyszedł, od razu wstał, opuścił sypialnię i zamknął za sobą drzwi. Przynajmniej nie biadoliła. Przepuszczalnie zniknie przed upływem dnia, a Peter wyjdzie zapolować na kolejną laskę, którą wykorzysta i wyrzuci.

— Nie trwało długo — stwierdził Peter, nie podnosząc wzroku znad laptopa.

— Nie chciałem jej uszczęśliwić — odparł Danny. Owinął szyję krawatem i szybko uformował węzeł.

Usta Petera wykrzywił uśmiech, kiedy postukał palcem w kopertę na biurku. Danny zgarnął ją i wsadził do kieszeni. Nie zwracał sobie głowy liczeniem.

— Myślę, że pójde teraz do księgarni — powiedział z uśmiechem.

— Powiedz mi, jeśli znajdziesz coś trefnego.

* * *

Kiedy Danny wszedł ze swoim aresztantem na posterunek, powitał go bukiet woni potu i zleżałej kawy. Trzymał dłoń na ramieniu skutego mężczyzny, manewrując nim między innymi mętami i gliniarzami.

— Nie możesz tego robić — powtarzał cały czas gość, jakby liczył, że jeśli powie to wystarczającą ilość razy, to stanie się prawdą, iż ten glina nie mógł tak po prostu wejść do jego księgarni i znaleźć prochów, których wcześniej tam nie było. — Proszę. Proszę! Mam rodzinę. Nie możesz tego zrobić. Te prochy nie były moje. Ty...

Danny szarpnął go mocno, wytrącając z równowagi. Facet krzyknął, starając się utrzymać na nogach, po czym opadł na jedno kolano. Danny przykłęknął i udając, że pomaga mu się podnieść, nachylił się do jego ucha.

— Lepiej, żebyś się, kurwa, uspokoił i był grzecznym chłopcem — powiedział cicho i spokojnie. — To się stanie bez względu na to, czy będziesz się zachowywał, czy nie. Chcesz, żeby było gorzej? — Spojrzał facetowi w oczy. — Może być gorzej.

Pot płynął po policzku zatrzymanego. Danny patrzył, jak w jego oczach budzi się do życia iskierka buntu.

— Przy takim aresztowaniu jak twoje jest mnóstwo papierkowej roboty — ciągnął Danny gładko. — Niektóre kwity mogą się zapodziać. Może ten opisujący dowody i protokół zatrzymania. Albo ten, że siedzisz i trzeba ustalić kaucję. Który wolisz, żeby zginął? Chcesz, żeby sprawa została oddalona, zanim znajdzie się w sądzie? Czy też wolisz spędzić ponad tydzień w miejskim więzieniu?

Iskierka buntu zgasła. Głowa mu opadła.

— Właśnie — stwierdził Danny, pomagając nieopierającemu się mężczyźnie wstać na równe nogi. — Bądź greczny, a wszystko się wkrótce skończy.

* * *

Danny zarejestrował zatrzymanego i wypełnił wstępne dokumenty. Szedł korytarzem do swojego gabinetu, kiedy ujrzał ją, siedzącą w pokoju przesłuchań. Dziewczynę z rogu. Przebrała się

w dżinsy i brązową bluzkę, ale poznałby ją bez względu na to, co by nosiła. Wyglądała na drobną i przestraszoną na metalowym krześle, z dłońmi obejmującymi mocno papierowy kubek z kawą i wzrokiem wbitym w detektywa Farbera, siedzącego naprzeciwko niej.

Stanął na progu i zastukał w futrynę. Podniosła gwałtownie wzrok i spojrzała mu w oczy. Cień uśmiechu musnął jej usta, i uznał, że może teraz nie wygląda na taką przestraszoną.

— Co masz? — zapytał Farbera, nie odrywając od niej spojrzenia.

— Późno w nocy rozmawiała z Jimmym Ernstem — wyjaśnił detektyw. — Może być ostatnią osobą, która widziała go żywego. Dopiero zaczęliśmy.

— Ja się tym zajmę — powiedział Danny, wchodząc do pokoju. Przeniósł spojrzenie, napotykając wzrok Farbera. Tamten się zawahał, po czym zerknął na dziewczynę i ukrył uśmiech.

— Taaa, nie ma sprawy. — Wstał i zebrał swoje rzeczy. — Przy okazji, Ernst miał przy sobie broń. Posłałem do laboratorium.

Testy balistyczne to była rutyna. Może mogliby przypisać Ernstowi jakieś nierozwiązane sprawy i poprawić sobie statystykę.

Wzrok Farbera skoczył ku dziewczynie, a potem ponownie ku Danny'emu.

— Daj mi znać, jak do czegoś dojdiesz — dodał, zawieszając dwuznaczność w powietrzu.

Danny odczekał, aż tamten wyjdzie, zamknął za nim drzwi i usiadł na zwolnionym krześle.

— Jestem kapitan Danny Faciane — przedstawił się. — Chciałbym ci zadać kilka pytań.

— Dobra. — Zawahała się. — Jestem Delia — powiedziała, rozluźniając chwyt na papierowym kubku.

— Nazwisko?

Usiadła prosto.

— Rochon. Delia Rochon. Rozmawiałam z Jimmym minionej nocy. Koło północy, jak sądzę. Bardzo często przychodził do klubu. — Jej rysy ściągnął grymas obrzydzenia.

Naskrobał nazwisko dziewczyny w notesie.

— Do klubu?

— „U Freddy'ego Z”. — Opuściła wzrok na dłoń na podolku. — Jestem tancerką.

Striptizerka. Lokal „U Freddy'ego Z” był jednym z najlepszych w tym, co zostało z miasta. Danny zapisał informację. Nie dlatego, że była istotna dla sprawy, ale dlatego że chciał, by uważała, że jest.

Następnie zapytał o jej rozmowę z Jimmym Ernstem, odwalił tę samą procedurę, co przy większości podobnych spraw. Przekazała mu jasną, ale oszczędną relację ze spotkania. Jimmy zapytał ją o dziewczynę, która pracowała niegdyś w klubie, chciał wiedzieć, gdzie tamta teraz jest. Delia nic mu nie powiedziała. Nic ekscytującego.

Nie lubiła ofiary. Nigdy nie przyznała tego głośno, ale jasno to wynikało z jej zachowania,

z twardego spojrzenia, kiedy o nim mówiła. Niemniej Danny wiedział, że trudno jest znaleźć kogoś, kto by tamtego lubił. Jimmy był alfonsem, specjalizującym się w dziewczynach, które wyglądały naprawdę młodo.

Danny odłożył w końcu pióro na notes. Spojrzała na pióro, a potem na niego.

— Jestem aresztowana? — zapytała głosem cichym, ale pewnym.

Prychnął.

— Z powodu Jimmy 'ego? Nieee. Gównu nas obchodzi.

Nikt nigdy nie pójdzie za to morderstwo do pudła. Nie, chyba że ktoś taki przyjdzie na posterunek i złoży pełne przyznanie się do winy — i tak było w przypadku większości zabójstw w mieście, nie tylko w przypadku takiej szumowiny jak Ernst. Danny i wszyscy inni robili tylko tyle, by nie zostać oskarżonymi o wykroczenia służbowe.

Miejscy gliniarze wiedzieli, jak przetrwać. A kilku cwaniaków, takich jak on, wiedziało, jak prosperować.

Odprowadził ją, zaproponował, że funkcjonariusz odwiezie ją do domu, ale tylko się uśmiechnęła i pokręciła głową. Znowu padało — mocna ulewa, która zmyje z ulic wszystkie śmieci i zatka ścieki — ale ona rozłożyła tylko parasolkę i bez wahania wyszła na deszcz. Przyglądał się, jak czerwona parasolka maleje w oddali, po czym znikła w szarym woalu deszczu.

* * *

Później tego samego dnia Danny rozmawiał z barmanem „U Freddy 'ego Z” i dowiedział się, że Delia zaczęła pracę jakieś trzy miesiące wcześniej. Nikt dużo o niej nie wiedział. I zdaniem barmana nikogo ona zbytnio nie obchodziła. Gównu mieli do prywatnego życia dziewczyn. Dopóki przychodziły na czas, wszystko było w porządku. A swoje problemy, jakiegokolwiek by one były, trzymały z dala od klubu. Delia robiła jedno i drugie.

Pracowała tamtej nocy. Robił wszystko, aby tam być i ją zobaczyć. Nawet nie próbował przekonać samego siebie, że szuka potencjalnych świadków. Cholernie dobrze wiedział, że chce zobaczyć więcej — nie tylko to „więcej”, które widział, gdy zdjęła ubranie.

Neon mrugał w rytm basowego bębna podkładu muzycznego. Zmieszana woń potu i seksu, pieniędzy i nędzy snuła się wokół tancerek i gapiących się na nie mężczyzn. Delia tańczyła na rurze z gibkim wdzikiem i pewnością, które mówiły o latach ćwiczeń, i Danny się zastanowił, czy w jakiejś odległej przeszłości była zupełnie innego rodzaju tancerką. Jednak mimo oczywistej siły i opanowania emanowała taką zmysłowością i pierwotną seksualnością, że zwątpił, by nauczyła się tego w klasie baletu.

Spojrzała na niego tylko raz. To było jak utrzymująca się pieszczota uwagi, połączonej z nieśmiałym uśmiechem, stojąca w opozycji do gorących spojrzeń, jakimi obdarzała innych

klientów. Nie chcąc być nieuprzejmy, podniósł piątkę i wsunął ją pod jej stringi, kiedy się przed nim zatrzymała. Później poczuł się zbrukany tym, że zrobił to z tą dziewczyną.

— Kurewsko gorąca laska — usłyszał za sobą znajomy głos.

Odrzucił głowę i uśmiechnął się z przymusem do Petera. Wzrok pozostałych facetów był wlepiony w Delię. Oceniający. Podziwiający. Głodny.

— Jest świadkiem w jednej z moich spraw. — Może Petera to zniechęci. Zwykle był na tyle ostrożny, by nie zadawać się ze światem przestępczym. Jakby nie było, od tego miał Danny 'ego.

Ale Peter tylko się uśmiechnął, wpatrując się w Delię.

Danny wiedział, co się dalej stanie. Peter zamówi lap dance, następnie zapłaci za prywatny gabinet. Możliwe, że zaprosi Danny 'ego z jakąś inną dziewczyną, a sam odejdzie i się zabawi.

Danny wstał i poszedł do baru pod pretekstem zamówienia kolejnego drinka. Koperta zaszeleściła w jego kieszeni; zmarszczył brwi. Tak bardzo pochłonęły go myśli o dziewczynie, że zapomniał wyjąć forszę i schować ją w jakimś bezpiecznym miejscu. Teraz jednak czuł jedynie ulgę. Nawet się nie zastanowił, tylko przywołał kierownika klubu, zapłacił za prywatny gabinet z Delią i za kolejny, dla Petera i innej tancerki. Częściowo wiedział, że wszystko przemawia za tym, że to się nie uda. Peter miał pieniądze i wpływy i przywykł do otrzymywania tego, co chciał. Jednak Danny miał własne wpływy. Wsunął kierownikowi setkę, którą poparł obietnicą udzielenia mu pomocy, gdyby tamten kiedykolwiek wpałował się w tego rodzaju kłopoty, z jakich Danny byłby w stanie go wyciągnąć. Kilka minut później druga najładniejsza tancerka w klubie podeszła do siedzącego Petera.

Peter uniósł brwi, kiedy blondynka udrapowała na jego barkach. Zachichotał pod nosem, gdy otarła się piersiami o jego kark. Rozejrzał się po sali w poszukiwaniu Delii, a potem zapytał o coś blondynkę. Wzruszyła ramionami i wskazała w stronę Danny 'ego. Detektyw przykleił na twarz uśmiech i uniósł swojego drinka, gdy Peter spojrzał w jego kierunku, starając się sprawić wrażenie, jakby kupił mu tę dziewczynę tylko dlatego, że to jedna z tych fajnych rzeczy, jakie jeden facet może zrobić dla drugiego. Spojrzeli sobie w oczy; kontakt został zerwany, gdy blondynka wzięła Petera za rękę i pociągnęła go do pokoju na zapleczu. Ruszył za nią, przystając na moment przy barze. Pochylił się ku Danny 'emu.

— Wiem, co zrobiłeś — powiedział Peter ustami, które ukazywały rozbawienie, jakiego oczy nie podzielały. — Myślę, że to miłe, że lubisz tamtą dziewczynę na tyle, by wyciąć taki numer... — Urwał. — Nigdy więcej, kurwa, nie wcinaj się w ten sposób.

Odrzucił się, nie czekając na odpowiedź, i zniknął za zasłoną oddzielającą prywatne gabinety.

Danny został na miejscu, z dłońmi zaciśniętymi w pięści w kieszeniach marynarki, powtarzając sobie, że się opanuje i nie pójdzie za Peterem, a potem nie zetrze mu z gęby tego filisterskiego uśmiechu wyższości. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę tłumi

w sobie przykrą świadomość, iż on i Peter mogą być w istocie zrobieni z tego samego materiału, ale jasne jak cholera, że nie są sobie równi, nie są żadnymi partnerami. Chociaż tak bardzo nienawidził w tej chwili Petera, to wiedział, że kiedy tamten wezwie go ponownie, on pójdzie i robi, co mu się powie, jak cholerny tresowany piesek. Miał zbyt wiele do stracenia, by postąpić inaczej.

Wiedział także, że nie chce iść do prywatnego gabinetu z Delią. Odwrócił się do barmana.

— Ten rudy chłopak przy estradzie po lewej. Zachowuje się jak kutas wobec dziewczyn?

Barman pokręcił głową.

— Nieee... Przychodzi parę razy w tygodniu z dwudziestakiem. Nigdy nie sprawia kłopotu.

— Daj mu mój pokój. I życz wszystkiego najlepszego z okazji pierdolonych urodzin.

— Oddzielił kolejną setkę jako napiwek — I powiedz mu, że gdy przebierze miarłę z Delią, to mu, kurwa, skręć kark

* * *

Wyszedł z klubu i zaczął w barze po drugiej stronie ulicy, aż skończy swoją zmianę. Kiedy w końcu zobaczył, że wynurza się z bocznych drzwi, rzucił dwudziestkę, by pokryć rachunek i wyszedł jej na spotkanie.

Była w towarzystwie dwóch innych kobiet. Drobnutkiej, myszowatej laseczki, której nie udało zrobić się na „seksy bibliotekarkę”, i kształtnej Latynoski o wielkich cyckach i długich nogach. Kiedy się zbliżył, przerwały pogawędkę. W oczach Delii pojawił się cień niepewności, ale tamte dwie przyglądały mu się z jawną czujnością królika obserwującego lisa.

Chciał warknąć na dwa króliczki, by zjeżdżały, i patrzeć, jak pierzchają, ale zamiast tego zapytał Delię:

— Mogę ci postawić kawę?

Odwróciła się do koleżanek, jakby nie usłyszała pytania.

— Do zobaczenia jutro wieczorem — powiedziała, wymieniając z nimi szybkie uściski. Dopiero kiedy się oddaliły o pół kwartału, zwróciła uwagę na Danny'ego. Usta miała zaciśnięte w wąską kreskę.

— Nie jestem dziwką — oznajmiła zdecydowanie.

Danny zauważył, że się uśmiecha.

— Wiem. Chcę ci tylko postawić kawę. Słowo.

Spojrzenie, jakim go obdarzyła, było oceniające, wątpliwe. Zastanawiał się, czy wiedziała, co zrobił w klubie, a jeśli tak, to czy będzie umiała to zrozumieć. On sam do końca tego nie pojmował.

— Jest taka kafejka na Decatur — odezwała się w końcu. — Naprawdę miła, ale nie lubię tam

chodzić sama w nocy.

— Obronię cię — obiecał.

* * *

Lubiła kawę słodką i z dużą ilością śmietanki, której dodawała tyle, aż napój odpowiadał barwą odcieniowi *mocha* jej skóry. Croissantą rozrywała na małe kawałeczki, po czym zjadała je w postaci eleganckich kęsów między łykami kawy i fragmentami konwersacji.

Z początku, jak wszyscy inni w Nowym Orleanie, rozmawiali o tym, dlaczego są tutaj nadal po Zmianie, dlaczego nie porzucili miasta tak samo, jak uczyniła to rzeka. W końcu wszyscy, którzy mogli, odeszli, pozostawiając jedynie bardzo biednych i bogaczy, którzy wiedzieli, jak zarobić na katastrofie, oraz tych niewielu, których bogaci potrzebowali, by się jeszcze bardziej wzbogacić.

— Wielu gliniarzy przeniosło się do Morgan City — powiedział. — Jest tam mnóstwo roboty. Ale... nie wiem. Nie chciałem wyjeżdżać, a mam wystarczający staż pracy, by uniknąć zwolnienia.

I mnóstwo układów — dodał w duchu. Oddał wiele przyśług, by zapewnić sobie nie tylko to, że zostanie tutaj, ale że ci w kolejce przed nim do awansu dostaną zamiast tego kopa w tyłek. Został kapitanem przed upływem pół roku.

— To mój dom. — To było wszystko, co miała mu do powiedzenia na temat powodów, dla których została. — Kocham to miasto.

— Nawet teraz? — zapytał, unosząc brew z niedowierzaniem.

— Zwłaszcza teraz — odparła z delikatnym uśmiechem na wargach.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, popijając swoją *café au lait*. Nocny wiatr przyniósł stęchlą woń rzeki, zmieszaną z aromatem piwa i szczyń z ulicy. Nawet przed świtem duszne powietrze oplatało ich ciepłymi mackami, obiecując nadejście brutalnego lata. Ale to miasto pasowało mu, pasowało osobiście. Zmiana była najlepszą rzeczą, jaką mu się kiedykolwiek przytrafiła.

— Ja też — powiedział w końcu, gdyż wiedział, że ona tego oczekuje. Odsunął od siebie dziwne ukłucie smutku, wynikające ze zrozumienia, że kochał je z zupełnie innych powodów niż ona.

* * *

Chociaż nie wszedł więcej do klubu, czekał na nią każdej nocy, a potem szedł z nią do kafejki. Trzeciej nocy wsunęła mu po drodze rękę pod ramię. Piątej przywitała go pocałunkiem i uśmiechem.

Siódmej zapytała:

— Masz w domu ekspres do kawy?

* * *

Jego lokum znajdowało się na południe od Quarter. Lokum było więcej niż przyzwoite. Mieszkał tam za darmo dzięki desperacji właściciela domu, który uznał, że lepiej mieć w chałupie gliniarza niż squatterów, którzy mogliby przejąć nieruchomość. W związku z mnogością wolnych domów i mieszkań do rzadkości należało, by jakikolwiek policjant płacił czynsz.

Znajdowało się półtora kilometra od kafejki, ale upierała się, że nie ma nic przeciwko spacerowi.

W jego mieszkaniu może nie panował bałagan, ale to jasne jak cholera, że nie było urządzone jako miłe gniazdko, do celów towarzyskich. Zasłony pozostawili poprzedni lokatorzy, i przypuszczalnie już wtedy były stare. Wystrój ograniczał się do stosu czasopism ze skąpo odzianymi kobietami na ołładkach, skupiska butelek po piwie na stoliku do kawy oraz, przy drzwiach, oprawionego w ramki artykułu gazetowego z nagłówkiem: Świadek odwołuje zeznania. Nowoorleańscy policjanci oczyszczeni z zarzutów o przekroczenie prawa.

Nigdy nie przyprowadzał tutaj dziewczyn, nigdy się nie zastanawiał, jak mieszkanie mogłoby wyglądać w oczach kobiety. Dziwnie zawstydzony, zaczął przeproszać, ale przerwała mu uśmiechem.

— Nie ma sprawy. Jest dobrze. Jesteś dobrym człowiekiem.

To tylko wzmogło jego zawstyżenie, gdyż wiedział, że nie jest, chociaż nigdy wcześniej nie miało to dla niego znaczenia.

Objął ją w pasie i przyciągnął mocno do siebie. Pisnęła cicho z zaskoczenia.

— Neeee, jestem niegrzecznym chłopcem — powiedział, starając się być nonszalancki, a jednak odbierając to, jakby się zwierzył. Nagle poczuł się głupio, że to powiedział, i było mu przykro, że okazał się szorstki. Nie chciał, żeby ta dziewczyna myślała tak o nim. Nie chciał, żeby była taką, którą pociągają jedynie dupki i palanty.

Ale ona uśmiechnęła się tylko i dotknęła dłonią jego policzka.

— Nie oszukasz mnie — powiedziała cicho chrapliwym głosem. — Jesteś moim grzecznym chłopcem.

* * *

Danny wiedział, jak dupczyć, jak dostać to, czego się chce, jak się nie przejmować. Stracił rachubę dokonanych aresztowań „za prostytutkę” — dziewczyn, które grzywnę płaciły bezpośrednio jemu swoimi ustami bądź ciplami. Upłynęło sporo czasu, odkąd troszczył się o zaspokojenie partnerki, i dotykając Delii, czuł się jak nieporadny prawiczek, zażenowany

i przerażony, gdy niepewność przełożyła się na zdradę ze strony organizmu.

Jednak nie kpiła ani nie wzięła tego za zniewagę. Opuściwszy głowę, pieściła go delikatnie, relaksując go, podniecając. Wkrótce obrócił ją na plecy i odwzajemnił jej uwagę. Smakowała słodko i ekscytująco, a gdy zacisnęła dłonie na prześcieradle i krzyknęła, nie potrafił nie poczuć rozkoszy, równej niemal jej własnej. Kiedy leżała wyczerpana i drżąca, dopiero wtedy podsunął się wyżej i znalazł swoją ulgę, przejęty ponad wszelkie pojęcie, kiedy objęła go ramionami i nogami, i wykrzyknęła jego imię.

Potem obejmował ją mocno, głaszcząc po włosach, podczas gdy jej oddech ogrzewał mu pierś. Smakował to niemal obce doznanie bycia całym, bezpiecznym. Szczęśliwym.

* * *

Następnego dnia poszli w stronę tego, co zostało z Missisipi. Ruszyli w górę rzeki i stanęli w dołach, gdzie zaledwie przed trzema laty Canal Street Ferry przyjmował na pokład i wypuszczał z niego tysiące samochodów oraz ludzi. W tym miejscu woda miała trochę więcej temperamentu z powodu zakrętu koryta rzeki oraz osadzenia się mułu. Woda płynęła za pasem błota, ale w oczach Danny'ego wyglądało to tak, jakby starsza kobieta próbowała udowodnić, że jest młoda i atrakcyjna. *Spójrz na mnie*, wyobrażał sobie słowa rzeki. *Wciąż to mam. Nadal jestem ostrą laską*. Za kilka lat mułu przybędzie, woda się cofnie, mamrocząc, zawiedziona i zraniona, że jest niedoceniona.

— Kiedy byłem dzieckiem, w niemal każde niedzielne popołudnie mama zabierała mnie na groblę — powiedział. — Siedzieliśmy i przyglądaliśmy się statkom i barkom płynącym w dół i w górę rzeki, i zmyśialiśmy historie o tym, co wiozą i dokąd zmierzają.

— To miłe — rzekła Delia, przechylając głowę, by spojrzeć na niego.

— Taaa, było fajnie. Pakowała kanapki i chipsy, i zamienialiśmy to w piknik

Oparła się o niego.

— Twoi rodzice nadal żyją?

— Ojciec odszedł, gdy miałem jakieś sześć lat — odparł. — Mama umarła dziesięć lat temu.

Rak — Wzruszył ramionami, by pokazać, jak dalece się już z tym pogodził. Chciał jej powiedzieć, że wrzucił prochy matki do rzeki, rozsypał na grobli czy gdzieś indziej, gdzie miałyby to jakieś znaczenie, ale prawda była taka, że nie odebrał ich z domu pogrzebowego. Nie obchodziło go, co stało się z prochami. Nie dlatego, że nie kochał matki, ale dlatego, iż uważał, że to kolejny głupi, sentymentalny przesąd, co do którego ludzie chcą wierzyć, że jest ważny.

Spojrzał na szkielet statku, który spawacze ogołocili niemal do czysta. *Tak to właśnie jest* — pomyślał. *Nikogo nie obchodzi, gdzie skończy ten metal. Ten statek nie zostanie nigdy odbudowany*.

— Pamiętasz, gdzie byłeś, kiedy to się stało? — zapytała, i przez chwilę myślała, że mówi o śmierci jego matki.

— Masz na myśli Zmianę? — upewnił się. Skinęła głową. — Jasne — odparł, myśląc szybko. Tak naprawdę to nie pamiętał dokładnie. Przypuszczalnie pracował. Może był w domu. Dopiero po jakimś tygodniu zaczęło wszystkim świtać, że nic już nie będzie takie samo, ale nie pamiętał, żeby nawet wtedy był zaniepokojony czy się nad tym zastanawiał. Ta kapryśna dziewczka, rzeka, uciekla, nie wracała, i to było wszystko na ten temat.

— Na interwencji w sprawie przemocy domowej — zdecydował się powiedzieć. — Właśnie zakulem faceta za bicie żony, kiedy partner mi powiedział, że przelew się zawałił i rzeka zmienia koryto.

Spojrzała na niego, jakby się spodziewała, że powie coś więcej. Zastanowił się, czy nie zmyślić jakichś bzdur, nie dołożyć szczegółów i powiedzieć jej, że tamten pracował na statku, wrócił do domu i przekonał się, że jego żona pieprzy się z innym facetem. Albo że gość spoliczkował ją na oczach sześciolatniego syna i że gdy tylko wyszedł za kaucją, wsiał na inny statek i tyle go widziano.

Nie — uznał Danny. *Najlepiej zostawić, jak jest.* Jedno, czego się nauczył od aresztowanych przez siebie przestępców, to że większość z nich wpadała, bo wymyślali zbyt skomplikowane kłamstwa. Lepiej, żeby było proste i krótkie. W ten sposób łatwiej nad tym zapanować.

— A gdzie ty byłaś? — zapytał Delię.

Mrugnęła, zacisnęła usta.

— Na pogotowiu, z sąsiadką. Ona... upadła i złamała nadgarstek. Bawiłam się z jej córeczką w poczekalni, kiedy powiedzieli o tym w telewizji.

Odrzuciła się z powrotem ku wodzie, zacierając dłonie z powodu lekkiego wiatru.

— Zastanawiam się, jak ją nazwą?

Objął ją ramieniem, przytulił i uśmiechnął się, gdy umościła się pod jego pachą.

— Wydaje się nie w porządku, by nie nazywać jej Missisipi.

Pokręciła głową.

— Ale jej już nie ma. Porzuciła nas. Teraz ma ją Atchafalaya.

— Myślisz, że miasto musi przejść nad tym do porządku i żyć dalej? — zapytał ją z pobłażliwym uśmiechem.

Grymas musnął jej usta.

— Nigdy jej nie odzyska. Nowy Orlean musi przestać się zachowywać jak porzucona kochanka. Musi wziąć prysznic i zacząć ponownie chodzić na randki. Może być lepiej, niż było.

Zachichotał i przytulił ją mocniej, ale myślał i był przy takich ludziach jak Peter i ich planach wobec miasta. Nie zostanie oczyszczone. Nie polepszy się, a przy najmniej nie ludziom, którzy nie

kierują przedstawieniem. Jedyne, co miastu zostało, to turystyka, a tamci nie zamierzali uczynić Nowego Orleanu „przyjaznym dla rodzin” ani nic podobnego.

Rada miasta ugnie się w końcu pod naciskiem. Nowy Orlean się wyprzeda, zapełni kasynami i jeszcze większą liczbą barów i prostytutek. Poczłł smutek, co go zaskoczyło. Tego rodzaju otoczenie odpowiadałoby jemu i jego temperamentowi.

— Nowy Orlean zostanie dziwką — powiedział bardziej do siebie niż do niej.

— Nie, jeśli mam cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie — mruknęła, po czym westchnęła i wsparła na nim głowę. Danny zastanowił się, czy wiedziała, że nie ma nic takiego, co mogłaby uczynić; nic, co mogłoby powstrzymać obsunięcie się miasta w całkowitą rozpustę i zepsucie. Przeciwnie stało w kolejce zbyt wielu graczy. Skręciło go w brzuchu z powodu świadomości, że nie tylko on był jednym z nich. I że nie był pewny, czy potrafi robić cokolwiek innego.

* * *

Tydzień później spotkał się z nią jak zwykle, ale wydawało się, że na powitanie pocałowała go z rozszargnieniem, a uśmiechnęła się z przymusem. Zapytał ją, o co chodzi, ale tylko pokręciła głową.

— Nic takiego — zapierała się. — Po prostu facet proszący o rzeczy, jakich nie robię.

Zanim zdołał się nadąć w słusznej obronie swojej kobiety, oparła dłoń na jego piersi i obdarzyła go uśmiechem, który zawsze trafiał w to jego miejsce, które mówiło mu, że dla niej, jeśli nie dla nikogo innego, jest wyjątkowy i silny.

— Wszystko w porządku — zapewniła go, chociaż grymas wątpliwości dotknął kącików jej ust.

Wątpliwość pozostała, mrocząc jej oczy i kuląc ramiona. Niekiedy mu się zdawało, że zaraz wybuchnie płaczem. Zabrało mu kilka dni, by wydobyć z niej to przymilaniem, cierpliwie zbywając zaprzeczenia, fałszywe uśmiechy i zapewnienia, że wszystko jest w porządku. Nie był najuczciwszym gliną w okolicy, ale nadal wiedział, jak dojść do prawdy.

— Jest taki jeden facet — wyznała wreszcie, opierając głowę na jego piersi, gdy leżeli spleceni w pościeli jego łóżka. — Jest bogaty i wpływowy, i dlatego właściciele go nie wyrzucają. — Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. — Nie w tym rzecz, by był podły czy żeby był palantem. Ale on chce mnie. — Przełknęła, a potem zdobyła się na chichot. — Czy to nie brzmi egoistycznie?

Uśmiechnął się i odgarnął włosy z jej twarzy.

— Nie dla mnie. Doskonale rozumiem, że cię pożąda.

Delia opuściła z powrotem głowę na jego pierś.

— Chce, żebym była jego dziewczyną. Powiedziałam mu, że nie interesuje mnie to. — Westchnęła. — Jestem przekonana, że to wszystko przycichnie, ale póki co jest cholernie

natarczywy. I jest... ech.

— Obsłizły?

— Nie, nie w tym rzecz. Jest schludny, wygląda przyzwoicie. Ale chodzi o... o sposób, w jaki postrzega innych ludzi. Jako rzeczy do użycia. Nie jest miły.

Objął ją, przytulił i pocałował w czubek głowy, czując w brzuchu narastające napięcie.

— Kim jest ten facet? — zapytał, chociaż miał wrażenie, że już wie. — Zajmę się tym.

Ponownie podniosła głowę, zmarszczki poznały jej czoło.

— Nie chcę, żebyś z mojego powodu kogokolwiek krzywdził.

— Nie skrzywdzę — skłamał. Cholernie dobrze wiedział, jak się maskować. Pod warunkiem, że nie chodziło o Petera. Proszę, niech to nie będzie Peter. — Powiedz mi, jak się nazywa, a dopilnuję, żeby poznał swoje granice. Miło i po przyjacielsku.

* * *

W odpowiedzi na pukanie Peter otworzył drzwi swojego apartamentu i uśmiech rozbawienia wykrzywił mu usta na widok Danny'ego, stojącego na progu.

— Cóż za miła niespodzianka. Wejść.

Danny skinął głową i wszedł.

— Muszę z tobą pogadać.

— Zawsze mam czas dla przyjaciela — powiedział Peter, zamykając drzwi. — Przy okazji, nigdy ci nie podziękowałem za zajęcie się sprawą właściciela księgarni. — Poszedł do kuchni i wyjął z szafki dwa kubki. — Nie wiem, co mu powiedziałeś, ale przyjął eksmisję bez jęków. — Nalał sobie kawy, potem spojrzął na Danny'ego. — Bardzo miło, gdy ludzie robią to, co się im każe. Wszystkim łatwiej się żyje. Kawy?

Danny skinął głową. Peter wie, po co tutaj przyszedł, pojął. Spodziewał się go. Przyjął kubek od tamtego, zmusił się do upicia łyku cierpkiego napoju.

— Zrobiłem dla ciebie bardzo dużo rzeczy — zaczął, po czym urwał. Żadna z nich nie miała w tej sytuacji najmniejszego znaczenia. Przygotował sobie przemowę, chwytając za serce tyradę pod hasłem „Odwal się od mojej kobiety”, ale jedno spojrzenie w oczy Petera powiedziało mu, że to błędna taktyka, że to będzie bezcelowe. Przełknął, by pozbyć się z ust smaku goryczy, a potem wziął głęboki wdech. — Posłuchaj, jest taka dziewczyna, którą bardzo lubię. Delia. Ona, hm, mówi, że zamierzała się z nią umówić, więc chciałem z tobą pogadać, jak facet z facetem, poprosić cię, żebyś zostawił ją w spokoju. — Znienawidził się, gdy tylko wypowiedział te słowa. To nie było jak „facet z facetem”. To pies płaszczył się przed panem.

Peter spojrzął wilkiem znad kubka.

— Delia? Czy to nie ta striptizerka, do której robisz maślane oczy?

— Spotykały się — wyjaśnił Danny. Mięśnie szczęk miał napięte.

Peter spojrzął na niego, unosząc brew.

— Doprawdy? Z pewnością była przyjacielska wobec mnie w klubie. — Zachichotał, pokręcił głową. — Ale taką ma pracę, no nie? Muszę powiedzieć, że jest całkiem dobra. Prawie wierzyłem, że jest całkiem zadowolona, widząc mnie co noc.

— Taaa — zdołał powiedzieć Danny. — Jest dobra. My jesteśmy dobrzy... razem. Proszę cię, hm, proszę, wycofaj się. — Nie wiedział, że Peter chodził tak często do klubu. Ile razy był z Delią w prywatnym gabinecie, podczas gdy Danny czekał jak podniecony szczeniak w barze po przeciwnej stronie ulicy?

— Dla ciebie, nie ma sprawy — powiedział Peter ze wspaniałomyślnym skinieniem głową. — Życzę wam obojgu jak najlepiej. — Upił łyk kawy, podszedł do okna, by spojrzeć na błotnistą wstęgę, będącą teraz bardziej ściekiem niż rzeką. — Oczywiście, że względu na ciebie mam nadzieję, że nie dostanie lepszej propozycji. — Zerknął przez ramię na Danny'ego. — Czy raczej, że jeśli dostanie lepszą propozycję, to ją odrzuci.

— Racja — stwierdził Danny. — Dziękuję, że to rozumiesz.

Peter odstawił kubek na stolik pod oknem.

— Przy okazji, ostateczne głosowanie w sprawie tego salonu pokłowego odbędzie się pojutrze. Chcę, żebyś przycisnęła radnego Nagle'a. Przyłap go na czymś. — Jego uśmiech się poszerzył. — Może twoja Delia mogłaby ci w tym pomóc? — Wzruszył ramionami. — Albo nie. Lepiej nie mieszać interesów z przyjemnością, zgadza się?

— Racja — powtórzył Danny. To było wyzwanie, próba sił. Peter chciał wiedzieć, na ile może mu zaufać. Chciał wiedzieć, jak daleko Danny się posunie, by zachować wpływ, który chronił go od tak dawna.

Jednak Danny wiedział, że to nie ma znaczenia. Było już za późno. Danny próbował obnażyć kły. Od tej pory Peter będzie się oglądał za siebie, będzie czekał na chwilę, kiedy będzie mógł rzucić go wilkom na pożarcie i zachować czyste ręce.

Danny musiał po prostu znaleźć sposób, by to samo zrobić z Peterem, tylko odpowiednio wcześniej.

Skinął energicznie głową.

— Jasne. Zajmę się tym.

Peter uśmiechnął się szerzej.

— Jesteś dobrym kumplem. Pozdrów Delię.

* * *

Następny tydzień był cichy i spokojny. Danny przygotowywał się, zdecydowany nagrać

rozmowę czy zrobić cokolwiek innego, co w jego mocy, gdy Peter wezwie go następnym razem, ale telefon milczał. Delia spędzała wszystkie noce w jego mieszkaniu, wracając do siebie tylko po to, by się przebrać i podlać kwiaty. Powiedziała mu, że Peter przestał przychodzić do klubu, i chciała wiedzieć, co Danny zrobił. Uśmiechnął się tylko i powiedział:

— Wolisz nie wiedzieć.

Nie mógł jej wyjaśnić, że tylko się płaszczył i że jedynym powodem, dla którego Peter zostawił ją w spokoju, było to, że mu to odpowiadało.

I, jak się Danny obawiał, nie trwało to długo.

— Przyszedł do mojego mieszkania! — powiedziała mu, gdy otworzył drzwi i zobaczył ją na progu. Dolna warga jej drżała, a oczy miała czerwone od łez. Szybko wciągnął ją do środka, podprowadził do sofy i obejmował ją, podczas gdy ona wylewała przed nim łzę.

Peter postawił jej ultimatum — odejdzie z nim albo nie tylko doprowadzi do jej eksmisji, ale sprawi także, że nigdy więcej nie znajdzie pracy w tym mieście.

— Nie wiem, co robić — powiedziała, wyglądając na pokonaną i wyczerpaną. — Nie mogę... Nie opuszczę Nowego Orleanu. Zbyt wiele dla mnie znaczy. — Spojrzała mu w oczy. — Tacy ludzie jak on niszczą to miasto. Nienawidzę tego. Nienawidzę ich wszystkich! — Głos jej się załamał na ostatnim słowie.

Danny'emu spocily się dłonie. Mógł zabić Petera. Były setki sposobów upozorowania wypadku lub samobójstwa. Albo może poszedłby do federalnych i opowiedział im wszystko, co wie o sprawkach Petera.

— Zajmę się tym — rzekł, całując ją. Wstał, ale złapała go za rękę.

— Nie chcę, żebyś się wpakował w kłopoty — powiedziała. Oczy miała wielkie i przerażone.

— Nic mi nie będzie. Obiecuję. — Uwolnił się delikatnie z jej uścisku. — Możesz na mnie polegać.

* * *

Danny szedł Chartres Street w stronę Dumaine, skręcił ku Jackson Square i przyjrzał się gołębiom, rojącym się wokół menela z torbą czerstwego chleba. Garść artystów ulicznych odważnie wystawiała swoje towary, rzucając desperackie spojrzenia ku skromnemu strumyczkowi przechodzących obok turystów, ignorując przechodzącego mężczyznę, ponieważ było oczywiste, że jest miejscowy i niewart tracenia energii na pozory przyjaźnielkości.

Powiedział sobie, że zabije Petera Bennetta. To było jedyne wyjście. Pójście do federalnych nie załatwiłoby sprawy. Cokolwiek Danny by im powiedział, pogrążyłby tak samo siebie, jak i Petera, a nie miał żadnych dowodów, prócz własnych słów.

Kiedy siedział na ławce w parku, rozważając możliwości, planując następne posunięcia, późne

popołudnie zamieniło się w zmierzch. Po zapadnięciu ciemności powędrował wzdłuż Decatur, wstąpił do nędznego sklepiku z T-shirtami, pełnego badziewia dla turystów, i kupił czapkę. Następnie przeszedł na skróty do Riverwalk, wszedł do budynku Petera i wjechał windą na jego piętro, mając czapkę naciągniętą nisko na oczy, by jego twarzy nie zarejestrowały kamery.

Peter otworzył drzwi, unosząc w lekkim zdziwieniu brwi na widok Danny 'ego. Jego spojrzenie skoczyło do czapki i z powrotem na twarz gościa.

— Nic ci nie jest? Wydajesz się zdenerwowany.

— Taaa — odparł. — Trochę. Mogę wejść?

— Oczywiście. — Peter odsunął się na bok i zamknął za nim drzwi. Danny omiótł wzrokiem apartament. Nikogo więcej nie było. Ani w tym pomieszczeniu, ani na całym piętrze. Nikt nie widział, jak wchodził. Wszystko to zaplanował. W kieszeni miał składaną pałkę, by powalić nią Petera, a potem zaaranżować to jako fatalny upadek pod prysznicem. Wątpliwe, by uznano za morderstwo, nawet gdyby doszło do należytego śledztwa.

Peter oparł się o kontuar, obserwował Danny 'ego beznamiętnie. Może wiedział, po co gliniarz tutaj przyszedł. Przy puszczałnie wiedział. Musiał wiedzieć, że do tego dojdzie.

— Prawie zapomniałem — powiedział nagle, odpychając się od blatu i podchodząc do biurka. — Zapomniałem dać ci tę, hm, pożyczkę, o którą prosiłeś.

Pot wystąpił Danny 'emu na plecy, a jego dłoń powędrowała ku broni. To było idealne. Peter miał zamiar wyjąć gnata z szuflady, a Danny będzie mógł go zastrzelić w samoobronie.

Ale to była grupa koperta. Danny opuścił rękę, zanim Peter zdołał to zauważyć. Serce waliło mu nierówno. Facet płacił mu za przyłapanie na początku tygodnia Nagle'a z prostytutką. Radny zgodził się głosować po myśli Petera i salon pokerowy został zaaprobowany, niewątpliwie pierwszy z wielu.

Peter wyciągnął do niego kopertę.

— Myślę, że będziesz zadowolony. Wiem, że ja jestem. Dobra robota, przy okazji.

Nie ruszył się przez kilka sekund, a potem podszedł w końcu i wziął kopertę. Otworzył ją i zobaczył, że zawiera co najmniej dziesięć pacyków.

Danny zamknął kopertę i wetknął ją do kieszeni marynarki.

— Doceniam to — powiedział głosem, który brzmiał w jego uszach obco i szorstko. Nie musiał zabijać Petera. Miał inne możliwości. Mógł zabrać stąd Delię. Przekonałby ją do wyjazdu. Mogłoby zacząć na nowo gdzieś indziej. Z dala od tego spierdalonego miasta. Z dala od Petera.

— Wpadnij w przyszłym tygodniu — powiedział Peter. — Pogadamy. — Urwał. — Powinieneś kiedyś przyprować Delię. Chyba że już zerwaliście ze sobą? — Podniósł butelkę wody i napił się, nie odrywając wzroku od policjanta.

— Nie — odparł Danny, czując wagę pytania.

Tamten się wyszczerzył.

— To naprawdę słodkie. Jaksądzisz, jak długo to potrwa?

Nie mówił o Delii. Peter bawił się z nim, chciał wiedzieć, jak długo potrwa ten mały płomień rebelii, zanim Danny się uspokoi i zacznie się ponownie dobrze sprawować.

Jak tamten pies w kafejce, który oszedł chyłkiem, zamiast zaatakować. *Przypuszczalnie ten kundel już teraz nie żyje* — pomyślał Danny — *albo w najlepszym wypadku wciąż głoduje, gotowy zarobić kilka kopniaków w zamian za jakiś ochłap.*

Żadnego więcej odchodzenia z podkulonym ogonem. Żadnych ochłapów.

— Na zawsze — odparł. Wyćwiczonym ruchem wyjął z kieszeni pałkę i rozłożył ją z traskiem. Obnażywszy zęby, podszedł do Petera, wywołując wyraz szoku i strachu na twarzy faceta.

W końcu pies zwrócił się przeciwko swojemu panu.

* * *

Zadzwonił do niej z windy i poprosił, aby spotkała się z nim przy Canal Street Ferry. Zdawało mu się, że zdąży tam przed nią, ale kiedy dotarł do doków, ujrzał, że opiera się o poręcz na samym końcu nabrzeża, obserwując płynącą rzekę i migające światła samochodów, przejeżdżających przez most.

Napięcie, którego istnienia nie był nawet świadom, ulotniło się. Do pewnego stopnia nie był pewien, czy Delia przyjdzie, obawiając się, że postanowiła zmniejszyć straty i go porzuciła. Teraz jednak pojął, że wiedziała, dokąd poszedł, i czekała na niego w pobliżu.

Odwróciła się na dźwięk jego pośpiesznych kroków, przyglądając się, jak podchodzi.

— Danny? — odezwała się, wyciągając rękę, by dotknąć jego twarzy. — Co się dzieje?

Ujął jej dłoń i pocałował.

— Kocham cię, skarbie. Zawsze będę cię chronił, przyśięgam.

Wstrzymała oddech.

— O Boże! Co zrobiłeś?

— Jest dobrze — powiedział. — Przyśięgam... jestem okej.

Zagryzła wargę, zamknęła oczy i objęła go.

— Tak jesteś.

Opuścił głowę, wdychając jej zapach, czując, jak odpływa cały gnój i brud jego życia.

— Chodźmy — odezwał się. — Porzucmy na zawsze to miasto i zacznijmy od nowa gdzieś indziej.

Nie chciał tutaj zostać, ale wiedział także, że nie może jej zostawić. Skończy pobita i splukana, jak inne dziewczyny... Ale kiedy o tym pomyślał, wiedział, że to wymówka. Wiedział, że nie ma

dość sił, by wyjechać bez niej. Ale może gdyby oboje wyjechali, gdyby zaczęli od początku... może on mógłby ocalać.

Odsunęła się, a przez jej twarz przemknął wyraz szoku i rozczarowania.

— Chcesz, żebym wyjechała? Nie mogę!

— To tylko miasto, skarbie — powiedział, trzymając jej twarz w dłoniach. — Tylko kupa budynków, ulic, gówna i palantów.

— Nie, to coś więcej. — Usiłowała pokręcić głową. — To miejsce ma duszę, bogatą i cudowną. Przeżyliśmy Katrinę, przetrzymamy i to. My... ja... muszę zostać. Dlaczego tego nie rozumiesz? — Zdjęła z twarzy jego dłonie, ale nie puściła ich. — Och, Danny — westchnęła. — Petera już nie ma. Już nie musisz być tym, kim byłeś.

Ona wie — zrozumiał, kiedy resztką napięcia się rozproszyła. Wiedziała, że zabił Petera, rozumiała, jak daleko się dla niej posunął, i nie zienawidziła go za to.

— Nie, mogę być lepszy — upierał się. — Mogę być... jeśli będę z tobą. — Ścisnął jej dłonie. — Ale nie tutaj. Nie mogę tutaj pracować. Nowy Orlean umarł, kiedy rzeka zmieniła bieg. Tutaj zawsze będą tacy faceci jak Peter, chcący zarobić na ruinach. Rozdrapią to miasto i zagarną każdy jego strzęp, i będą mieli w dupie, kto przy tym ucierpi.

Nie widział w mroku wyrazu jej twarzy, ale usłyszał westchnienie, w którym brzmiała rezygnacja. Może zaczęła widzieć sytuację jego oczami?

— Mam forszę — powiedział jej. — Możemy wyjechać do Lafayette. Zacząć od nowa. Będziemy razem. — Zadzwoił jego telefon. Danny zaklął, wyjął komórkę i zobaczył, że dzwoni detektyw Farber. Lód ścisnął go w żołądku. Już znaleziono Petera? — Pomyśl o tym — powiedział do Delii, po czym odsunął się i odebrał telefon.

— Posłuchaj tego — odezwał się Farber bez wstępów. — Broń Ernsta pasuje do pocisków znalezionych w ciele Jacka-D.

Jack-D był alfonsem jeszcze bardziej szmatławym od Jimmy'ego Ernsta i specjalizował się w dziewczynach, które nie wyglądały na bardzo młode, ale takimi naprawdę były. Znaleziono go na Basin Street dzień przed tym, jak Ernst zanurkował w błocie.

— Zakład, że chłopaki Jacka-D załatwili Ernsta w odwecie — ciągnął detektyw. — Tak czy inaczej mamy dość, by zamknąć obie sprawy.

— Taaa — przyznał Danny. — To dobrze. Zrób to.

Rozłączył się, spojrzął na rzekę i zmarszczył brwi. To nie miało sensu, żeby taka cipa jak Jimmy załatwił Jacka-D. Nie miało żadnego sensu, żeby kogokolwiek obeszło to na tyle, by w rewaniu zdmuchnąć Jimmy'ego. Muśnięcie niepokoju uniosło mu włoski na karku. Delia wiedziała, że Peter mnie żyje. Chciała, żeby Danny go zabił?

Zaczął się do niej odwracać i poczuł na szyi dwa zimne metalowe zęby na moment przed

tym, gdy dwie gorące błyskawice przemknęły przez jego ciało. Padł na beton nabrzeża, podczas gdy ból tańczył mu w koniuszkach nerwów, a on walczył, starając się odzyskać kontrolę nad mięśniami.

Podeszła i wsunęła paralizator do torebki, podciągnęła go w górę i oparła o balustradę. Była silna. Mięśnie tancerki dobrze jej służyły, kiedy przewaliła go przez poręcz w czelające w dole błoto.

Wylądował płasko na plecach. Uderzenie pozbawiło go tchu, ale szlam poddał się szybko pod ciężarem jego ciała. Przechyliła się ponad balustradą i patrzyła mu w oczy, gdy tonął.

Delia spojrzała na zegarek, czelając, aż woda prześlizgnie się wzdłuż brzegów, z westchnieniem ulgi, zadowolenia. W oddali jęknął metal, gdy statek przechylił się skutkiem przyływu. Światło księżycy pokryło rzekę warstwą jasnej szarości. Elegancka kobieta, moszcząca się na wygodnej emeryturze.

Delia spojrzała na muł w dole. Ledwie zmarszczyła, ukazująca, że cokolwiek zburzyło jego powierzchnię. Westchnęła z żalem.

— Byłeś dobrym chłopcem, Danny — mruknęła z cieniem smutnego uśmiechu na ustach.
— Do tej pory najlepszym.

Dotknęła palcami warg, posłała dmuchnięciem czuły pocałunek w stronę mułu w dole, a potem odwróciła się i skierowała ku sercu swojego miasta.

Przetłumaczył Mirosław P. Jabłoński

1. Linia Masona–Dixona — linia demarkacyjna w USA w latach 1763–1767, wytyczona w celu rozwiązania sporu granicznego między czterema koloniami: Pensylwanią, Wirginią (teraz Zachodnią), Delaware i Marylandem. Umowna granica między Północą a Południem USA (przy p. tłum.). [\[wróć\]](#)

Prawiczki

(VIRGINS)

Książki Diany Gabaldon wielokrotnie trafiały na listy bestsellerów „New York Timesa”. Ponadto pisarka zdobyła nagrody Quill Award oraz Rita Award przyznawaną przez organizację Romance Writers of America. Jest autorką bardzo popularnego cyklu powieści o podróżach w czasie pt. *Obca*, złożonego z międzynarodowych bestsellerów, takich jak *Obca*, *Uwięziona w bursztynie*, *Podróżniczka*, *Jesienne werble*, *Ognisty krzyż*, *Technie śniegu i popiołu* oraz *Kość z kości*. Do serii historycznych opowieści o niezwykłych przygodach lorda Johna należą między innymi *Lord John i sprawa osobista*, *Lord John and the Brotherhood of the Blade*, nowela *Lord John and the Hell-Fire Club* oraz zbiór opowiadań *Lord John and the Hand of Devils*. Wśród jej najnowszych pozycji można wymienić dwie kolejne książki o lordzie Johnie: *The Scottish Prisoner* i *Red Ant's Head*, a także *A Trail of Fire* będący łącznym wydaniem czterech powieści z cyklu *Obca*. Napisała też współczesną powieść kryminalną, *The White Knight*. Przewodnikiem po jej dokonaniach jest *The Outlandish Companion*.

W niniejszym, cechującym się wartką akcją opowiadaniu, młody Jamie Fraser, mający w przyszłości stać się jednym z bohaterów cyklu *Obca*, jest zmuszony opuścić swój szkołcki dom i wyruszyć na wędrówkę po świecie, gdzie czeka go wiele nowych doświadczeń, niekiedy przyjemnych, czasami zaś mrocznych i niebezpiecznych.

PRAWICZKI

Gdy tylko Ian Murray ujrzał twarz swego najlepszego przyjaciela, zorientował się, że wydarzyło się coś strasznego. Wystarczającym dowodem na to był fakt, że w ogóle widzi oblicze Jamiego Frasera, nie wspominając już o jego wyglądzie.

Jamie stał obok wozu zbrojmistrza, trzymając naręczne różności, które przed chwilą dostał od Armanda. Twarz miał białą jak mleko i kołysał się w przód i w tył niczym trzciny nad Loch Awe. Ian podszedł do przyjaciela w trzech krokach i złapał go za ramię, nim ten zdążył się przewrócić.

— Ian. — Twarz Jamiego wypełniła na jego widok ulga tak wielka, że Ian bał się, iż się rozplacze. — Boże, Ian.

Ian objął go mocno. Jego przyjaciel zeszywniał i wciągnął powietrze w tej samej chwili, gdy Murray wymacał bandażę pod jego koszulą.

— Jezu! — zawołał zaskoczony, ale zaraz powstrzymał się i kaszlnął. — Jezu, chłopie, cieszę się, że cię widzę. — Poklepał go lekko po plecach i wypuścił z objęć. — Musisz coś zjeść, tak? Chodź ze mną.

Było oczywiste, że nie mogą w tej chwili rozmawiać, ale skinął dyskretnie głową do przyjaciela, wziął od niego połowę ekwipunku i poprowadził go do ogniska, by przedstawić towarzyszom.

Jamie wybrał dobrą porę dnia, by się tu zjawić — pomyślał. Wszyscy byli zmęczeni, ale cieszyli się, że mogą wreszcie usiąść. Czekali na kolację i codzienną rację trunku. Byli gotowi na rozrywkę, jakiej mógł im dostarczyć żółtodziób, ale brakowało im energii, by posunąć się do bardziej fizycznych aktów.

— To jest Duży Georges — zaczął Ian, upuszczając na ziemię ekwipunek przyjaciela i wskazując na przeciwną stronę ogniska. — A ten mikrus z brodawkami obok niego to Juanito. Nie mówi za dobrze po francusku, a po angielsku w ogóle.

— A czy któryś z nich zna angielski?

Jamie również upuścił swój ekwipunek i usiadł ciężko na posłaniu, wciskając roztargnionym ruchem kilt między kolana. Zatoczył krąg spojrzeniem i skinął głową z bladym, nieśmiałym uśmiechem.

— Ja znam. — Kapitan pochylił się i wyciągnął rękę do Jamiego, ponad siedzącym między nimi mężczyzną. — Jestem *capitaine*... Richard D'Eglise. Możesz mnie zwać kapitanem. Wielki z ciebie chłop. Przydasz się nam. Twój kompan mówi, że nazywasz się Fraser?

— Tak jest, Jamie Fraser.

Ian ucieszył się, widząc, że Jamie spojrział kapitanowi prosto w oczy i odnalazł siłę potrzebną, by odwzajemnić mocny uścisk dłoni.

— Radzisz sobie z mieczem?

— Tak i z łukiem też, dalibóg. — Jamie spojrział na leżący u jego stóp łuk oraz topór o krótkiej ręczce. — Ale z toporkiem nie miałem za dużo do czynienia, chyba że do rąbania drewna.

— Nic nie szkodzi — odezwał się po francusku jeden z mężczyzn. — Do tego właśnie będziesz go używał.

Kilku innych roześmiało się, co świadczyło, że przynajmniej rozumieją po angielsku, nawet jeśli nie chcą mówić w tym języku.

— Czy wstąpiłem do oddziału wojska czy do węglarzy? — zapytał Jamie, unosząc jedną brew. Powiedział to po francusku. Mówił biegle, z lekkim paryskim akcentem. Niektórzy mężczyźni otworzyli szeroko oczy. Ian odwrócił głowę, by ukryć uśmiešek, który pojawił się mimo dręczącego go niepokoju. Chłopak czuł się tak słabo, że lada moment mógł paść twarzą w ognisko, ale nikt — może poza Ianem — nic nie zauważył, nawet gdyby miało go to zabić.

Ian jednak to zauważył i obserwował ukradkiem przyjaciela. Wepchnął mu chleb w rękę, by pozostali nie zauważyli jej drżenia, i siedział wystarczająco blisko, żeby móc go złapać, gdyby rzeczywiście zemdlał. Robiło się już szaro, a kłębiaste chmury o różowych podbrzuszkach wisiały nisko na niebie. Najpewniej rano nadejdzie deszcz. Jamie zamknął oczy, tylko na moment, i poruszył grdyką, jakby przełykał. Jego udo zadrżało.

Co się stało, do diaska? — pomyślał przygnębiony Ian. — *Dlaczego tu przybyłeś?*

* * *

Doczekał się odpowiedzi dopiero, gdy wszyscy położyli się spać.

— Rozłóż twój ekwipunek — wyszeptał do Jamiego, wstając. — Posiedź jeszcze momencik przy ogniu. Żeby odpocząć, tak?

Twarz Jamiego wydawała się rumiana w blasku ognia, Ian podejrzewał jednak, że jego przyjaciel w rzeczy wistoci jest bledy jak prześcieradło. Nie zjadł zbyt wiele.

Wróciwszy, zauważył ciemne plamy z tyłu kosczi młodzińca. Przez bandaże przeciekała świeża krew. Na ten widok ogarnęła go furia, pomieszana ze strachem. Znał ten widok. Chłopaka wychłostał. Mocno i niedawno. *Kto? Dlaczego?*

— No to chodź — rzekł szorstko. Pochylił się, ujął przyjaciela pod ramię, podniósł na nogi i odprowadził od ogniska oraz pozostałych mężczyzn. Zaniepokoił się, poczuwszy jego wilgotną dłoń i usłyszawszy płytki oddech.

— Co się stało? — zapytał, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu reszty.

Jamie usiadł.

— Myślałem, że do kompanii najemników wstępuje się dlatego, że tam nie zadają pytań.

Ian zbyt te słowa pogardliwym prychnięciem, na jakie zasługiwały. Poczul ulgę, usłyszawszy

w odpowiedzi cichy śmieszek

— Ty idioto — mruknął. — Chcesz łyczek? Mam w plecaku flaszkę.

— Nie zaskłodzi — wyszeptał Jamie. Rozbili obóz na skraju maleńkiego przysiółka i D'Eglise załatwił im możliwość spania w paru obórkach, ale nie było bardzo zimno i większość ludzi wolała nocować przy ognisku albo na polu. Ian rozłożył ich posłania w niewielkiej odległości od reszty, pod rosnącym na skraju pola platanem, z uwagi na to, że mogło się rozpadać.

Otworzył butelczynę whisky — nie była zbyt dobra, ale zawsze to whisky — i podsunął ją przyjacielowi pod nos. Gdy jednak Jamie wyciągnął rękę, odsunął trunek

— Nie dostaniesz ani łyczka, dopóki mi nie opowiesz — oznajmił. — Musisz to zrobić teraz, *a charaidh*.

Jamie siedział przygarbiony, na tle gruntu wyglądał jak biała plama. Milczał. Gdy słowa wreszcie nadeszły, wypowiadał je tak cicho, że Ian w pierwszej chwili miał wrażenie, że właściwie ich nie usłyszał.

— Mój ojciec nie żyje.

Chciał wierzyć, że ich nie usłyszał, ale serce zamarło mu w piersi.

— O Jezu — wyszeptał. — O Boże, Jamie...

Ukłęknął i gwałtownym ruchem wcisnął głowę przyjaciela w swój bark próbując nie dotknąć jego zranionych pleców. W głowie miał zamęt, ale jedno było dla niego jasne: Brian Fraser nie umarł naturalną śmiercią. W przeciwnym razie Jamie byłby w Lallybroch. Nie tutaj i nie w takim stanie.

— Kto? — zapytał ochrypłym głosem, łagodząc nieco uścisk — Kto go zabił?

Znowu zapadła cisza. Następnie Jamie wciągnął haust powietrza z dźwiękiem przypominającym trzask rozdieranej tkaniny.

— Ja — wyznał. Z jego oczu popłynęły łzy, a ciałem targnęło gwałtowne, bezgłośnie łkanie.

* * *

Minęło trochę czasu, nim Ian zdołał wyciągnąć z Jamiego wszystkie szczegóły. *Nic w tym dziwnego* — pomyślał. On również nie chciałby rozmawiać o podobnych sprawach ani o nich pamiętać. Z angielskich dragonach, którzy przybyli do Lallybroch, by łupić i plądrować, a gdy Jamie próbował z nimi walczyć, zabrali go ze sobą do Fort William. Ani o tym, co mu tam uczyniono.

— Sto batów? — powtórzył z niedowierzaniem i grozą. — Za to, że broniłeś domu?

— Tylko sześćdziesiąt, za pierwszym razem. — Jamie otarł nos. — Za ucieczkę.

— Za pierwszym ra... Jezu, chłopie! Co... jak...

— Mógłbyś puścić moją rękę, Ian? Mam już od czorta siniaków i nie potrzebuję nowych.

Z ust Jamiego wyrwał się cichy, drwiący śmiešek Ian puścił go pośpiesznie, ale nie pozwolił, by to odwróciło jego uwagę.

— Dlaczego? — zapytał cichym, gniewnym głosem. Jamie ponownie wytarł nos. Pociągał nim, ale jego głos brzmiał już pewniej.

— To była moja wina — przyznał. — To... co powiedziałem przedtem. O oj... — Musiał przerwać, by przełknąć ślinę, ale potem mówił dalej, pośpiesznie wyrzucając z siebie słowa, nim zdążyły go ugryźć w bolesne miejsca. — Pyskowałem dowódcy. W garnizonie, no wiesz. I on... nieważne. Przez to, co mu powiedziałem, kazał mnie wychłostać. A tata... przyjechał. Do Fort William, żeby mnie uwolnić. Ale nie dał rady i... był przy tym, kiedy... to zrobili.

Ian poznał po ochrypłym tonie, że jego przyjaciel jest o włos od wybuchnięcia płaczem, ale próbuje powstrzymać łzy. Położył dłoń na kolanie chłopaka i uściśnął je, nie za mocno, tylko tak, żeby Jamie wiedział, że go słucha.

Młodzieniec zaczerpnął bardzo głęboki oddech i wy cisnął z siebie resztę opowieści.

— To było... trudne. Nie krzy czałem ani nie okazałem im, że mam stracha, ale nie mogłem się utrzymać na nogach. W połowie po prostu... osunąłem się na słu p i zwi sałem na linach, a krew spływała mi po nogach. Przez chwilę myśleli, że nie żyję, i tata... na pewno też. Powiedzieli mi, że unióśł wtedy rękę do głowy, wydał z siebie cichy jęk i... upadł. Mówili, że to apopleksja.

— Święta Mario, Matko Boża, zmiłuj się nad nami — odezwał się Ian. — Umarł... na miejscu?

— Nie wiem, czy był już martwy, kiedy go podnieśli, czy pożył jeszcze chwilę — odparł Jamie z rozpaczą w głosie. — Dowiedziałem się o wszystkim dopiero potem, gdy zabrał mnie wujek Dougal. — Znowu kaszlnął i otarł twarz rękawem. — Ian... czy mógłbyś puścić moje kolano?

— Nie — odparł cicho Ian. Cofnął rękę, ale tylko po to, by objąć przyjaciela. — Nie puszcze cię, Jamie. Wytrzymaj... po prostu wytrzymaj.

* * *

Jamie obudził się z suchością w ustach i ciężką głową. Ledwie zdołał otworzyć oczy, opuchnięte od ukąszeń meszek. W dodatku padał deszcz, przez liście na górze przesączała się wilgotna mgiełka. Mimo to od dwóch tygodni nie czuł się lepiej, choć z początku nie wiedział, jaki jest tego powód ani gdzie właściwie się znajduje.

— Masz.

Pod nos podsunięto mu kawałek przy palonego chleba z czosnkiem. Usiadł i złapał go.

Ian. Widok przyjaciela stał się dla niego kotwicą. Pomógł mu również wypełniający brzuch

chleb. Żuł teraz wolniej, rozglądając się wkoło. Mężczyźni wstawali, odchodzili na bok, żeby się odlać, mruzcili pod nosem, pocierali głowy i ziewali.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał. Ian przyjrzał się mu z uwagą.

— Do diaska, jak udało ci się nas znaleźć, jeśli tego nie wiesz?

— Murtagh mnie tu przywiozł — mruknął Jamie. Gdy wspomnienia wróciły, chleb w jego ustach obrócił się w klej. Nie był w stanie go przełknąć i wypluł przeżuty kawałek. Przypomnił sobie wszystko i natychmiast tego pożałował. — On znalazł tę kompanię, ale potem odjechał. Powiedział, że lepiej będzie wyglądało, jeśli zjawię się tu sam.

W rzeczy wistości ojciec chrzestny rzekł mu: „Teraz zaopiekuj się tobą chłopak Murrayów. Trzymaj się go. I nie wracaj do Szkocji. Nie wracaj, rozumiesz?”. Zrozumiał. Ale to jeszcze nie znaczyło, że zamierza go posłuchać.

— Aha. Zastanawiałem się, jak zdołałeś zająć tak daleko na piechotę. — Ian zerknął z niepokojem na drugi koniec obozu, gdzie parę krzepkich koni zaprzęgano do nakrytego plandeką wozu. — Dasz radę iść? Jak myślisz?

— Oczywiście. Nic mi nie jest — obruszył się Jamie. Ian przyjrzał mu się ponownie, jeszcze uważniej niż poprzednio.

— Skoro tak mówisz — odparł z nieskrywanym niedowierzaniem w głosie. — No cóż, do Bordeaux jest stąd około dwudziestu mil, a tam właśnie się wybieramy. Eskortujemy ten wóz do żydowskiego lichwiarza w mieście.

— To znaczy, że jest w nim pełno pieniędzy?

Jamie spojrział z zainteresowaniem na masywny pojazd.

— Nie — zaprzeczył Ian. — Jest tam tylko mały kuferek, diabelnie ciężki, więc może ze złotem, i kilka worków, w których coś pobrzękuje, być może srebro, ale przede wszystkim dywany.

— Dywany? — Jamie zerknął ze zdumieniem na przyjaciela. — Co to za dywany?

Ian wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Juanito mówi, że są tureckie i diabelnie drogie, ale chyba sam nie wie, o czym gada. On też jest Żydem... — dodał po chwili namysłu. — Żydzi są... — Wykonał sugestywny gest płaską dłonią. — Ale we Francji właściwie już na nich nie polują ani nie skazują ich na wygnanie. Kapitan mówi, że nawet ich nie aresztują, dopóki siedzą cicho.

— W dodatku pożyczają pieniądze ludziom z rządu — dodał cynicznie Jamie. Ian zerknął na niego ze zdziwieniem. Młodzieniec odpowiedział mu zarozumiałym spojrzeniem mówiącym: *Uczyłem się na paryskim Université i wiem więcej od ciebie.* Był pewien, że przyjaciel mu nie przywali, bo w końcu był ranny.

Iana kłóciło, by to zrobić, nauczył się już jednak odpowiadać chłopakowi spojrzeniem

mówiącym: Jestem starszy od ciebie i wiem, że nie potrafisz nawet odnaleźć drogi w deszczu, więc lepiej nie zadzieraj nosa. Jamie się roześmiał, czując się lepiej.

— W porządku — rzekł, pochylając się do przodu. — Czy moja koszula upałała się krwią?

Ian skinął głową, przypinając pas z mieczem. Jamie podniósł z westchnieniem skórzaną kamizelę, którą dostał od zbrojmistrza. Będzie go ocierała, ale przynajmniej przestanie przyciągać uwagę.

* * *

Poradził sobie. Oddział utrzymywał dość zwawe tempo, ale to nie było problemem dla szłockiego górala przyzwyczajonego do wędrowek pośród wzgórz i pogoni za jeleniami. Co prawda, od czasu do czasu kręciło mu się w głowie, serce waliło mu gwałtownie albo zalewała go fala gorąca, ale nie chwiał się na nogach silniej niż kilku tych, którzy wypili za dużo przy śniadaniu.

Ledwie zauważał krajobraz, był jednak świadom obecności maszerującego obok Iana. Od czasu do czasu zerkał na przyjaciela i kiwał głową, by ukoić jego wyraźny niepokój. Szli tuż za wozem, głównie dlatego, że nie chciał przyciągać uwagi, wlokąc się z tyłu, ale również ze względu na to, że obaj z Ianem byli wyżej od reszty co najmniej o głowę i stawiali też znacznie dłuższe kroki. Czuł się trochę dumny z tego powodu i nie przychodziło mu na myśl, że być może inni nie chcą iść blisko wozu.

Pierwszą zapowiedzią kłopotów był krzyk woźnicy. Jamie włożył się przed siebie z przykniętymi powiekami, skupiając się na stawianiu nogi za nogą, ale wrzask alarmu i nagły, głośny huk przyciągnęły jego uwagę. Spomiędzy drzew przy trakcie wypadł jeździec. Zatrzymał się i wypalił do woźnicy z drugiego pistoletu.

— Co...

Jamie sięgnął po miecz. Był nieco oszołomiony, ale ruszył przed siebie. Konie rżały i szarpały lejce. Woźnica przeklinał. Stał na koźle, próbując nad nimi zapanować. Kilku najemników pobiegło w stronę jeźdźcy, który również wy dobył oręż i przemknął między nimi, sieląc na oślep na lewo i prawo. Ian złapał Jamiego za ramię i zawrócił go.

— Nie tam! Do tyłu!

Jamie popędził za przyjacielem. Kapitan faktycznie był z tyłu grupy. Siedział na koniu, zmagając się z kilkunastoma wrzeszczącymi napastnikami, uzbrojonymi w szable i maczugi.

— *Caisteal DHOON!* — ryknął Ian. Uniósł miecz nad głowę i uderzył płazem w głowę napastnika. Cios odbił się rykoszetem, ale mężczyzna zachwiał się i osunął na kłęczki. Duży Georges złapał go za włosy i z całej siły zdzielił kolanem w twarz.

— *Caisteal DHOON!* — powtórzył Jamie takszybko, jak tytko mógł. Ian odwrócił się ku niemu na moment, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

To przypominało trochę kradzież bydła, tyle że trwało dłużej. Nie chodziło o to, by dokopać przeciwnikom i zwiać. Nigdy przedtem nie był obrońcą i przekonał się, że to ciężka robota. Napastników było jednak mniej i wkrótce zaczęli się wycofywać. Niektórzy zerkali za siebie, wyraźnie myśląc o ucieczce do lasu.

Gdy zaczęli realizować ten zamiar, Jamie się zatrzymał. Ociekał potem, a miecz w jego dłoni zdawał się ważyć cetnar. Wyprostował się jednak i dostrzegł kątem oka jakiś ruch.

— *Dhooon!* — zawołał i pobiegł ociężałe w tę stronę, dysząc z wysiłku. Przy wozie pojawiła się kolejna grupa mężczyzn. Ściągali cicho ciało woźnicy z koźła, a jeden z nich złapał szarpiące się konie za uzdy, zmuszając je do pochylecia łbów. Dwaj kolejni odsłonili plandekę i zdejmowali z wozu długi, zwinięty cylinder, zapewne jeden z dywanów.

Dotarł do nich akurat na czas, by złapać kolejnego napastnika próbującego wdrapać się na wóz i ściągnąć go niezgrabnie na drogę. Mężczyzna przetoczył się i zerwał na nogi, zgrabnie jak kot. W ręce trzymał nóż. Ostrze odbiło się od skórzanej kamizeli i pomknęło w górę, mijając o całą twarz Jamiego, który zatoczył się do tyłu, ledwie utrzymując równowagę. Zaatakowało go dwóch kolejnych skurczybyków.

— Z prawej, chłopie! — zabrzmiał nagle przy jego ramieniu głos Iana. Bez chwili wahania zwrócił się w prawo, by rozprawić się z napastnikiem. Usłyszał stęskającego z wysiłku przy jaciela.

Nagle coś się zmieniło. Nie wiedział co, ale walka się skończyła. Napastnicy wycofali się, zostawiając paru towarzyszy leżących na tracie.

Woźnica żył. Przetoczył się na bok i sięgnął ręką ku twarzy. Wtem Jamie zorientował się, że on również siedzi na tracie. Przed oczami tańczyły mu ciemne plamki. Zdyszany Ian pochylił się nad nim, wspierając dłonie na kolanach. Z podbródka skapywał mu pot. Ciemne ślady, które zostawiał w pyłe, mieszały się Jamiemu z czarnymi plamami krążącymi mu przed oczami.

— Wszystko... w porządku? — zapytał Ian.

Jamie otworzył usta, chcąc zapewnić, że tak, ale szum w jego uszach zagłuszył słowa, a plamy połączyły się nagle w nieprzenikloną zasłonę ciemności.

* * *

Kiedy się ocknął, kłęcząc nad nim ksiądz, odmawiający po łacinie modlitwę pańską. Nie przerywając recytacji, duchowny sięgnął po buteleczkę, wylał sobie na dłoń odrobinę olejku, zanurzył w niej kciuk i pośpiesznie nakreślił na czole Jamiego znak krzyża.

— Jeszcze nie umarłem, tak? — zaprotestował młodzieniec, po czym powtórzył tę informację po francusku. Ksiądz pochylił się nad nim, mrużąc krótkowzroczne oczy.

— Ale jesteś umierający? — zapytał.

— Też nie.

Ksiądz wydał z siebie cichy, pełen niesmaku dźwięk, ale i tak nakreślił krzyż na wewnętrznych powierzchniach dłoni, powiekach i ustach rannego.

— *Ego te absolvo* — rzekł, pośpiesznie robiąc ostatni znak krzyża na leżącym młodzieńcu.

— Na wypadek, gdybyś kogoś zabił.

Następnie wstał szybko i zniknął za wozem, zamiatając ciemnymi szatami.

— Dobrze się czujesz?

Ian wyciągnął rękę i pomógł mu usiąść.

— Aha, mniej więcej. Kto to był?

Wskazał głową w kierunku duchownego.

— *Père Renault*. To bardzo dobrze wyposażona jednostka — poinformował go Ian, podnosząc przyjaciela na nogi. — Mamy własnego księdza. Przed bitwą nas spowiada, a po bitwie udziela ostatniego namaszczenia.

— Zauważyłem. Ale trochę za bardzo się z tym śpieszy, co?

— Jest ślepy jak nietoperz — wyjaśnił Ian, oglądając się przez ramię, by się upewnić, że ksiądz nie może go usłyszeć. — Pewnie robi to na wszelki wypadek.

— Chirurga też macie? — zapytał Jamie, zerkając na dwóch ściągniętych na pobocze napastników. Jeden z pewnością nie żył, ale drugi zaczął się poruszać i jęczeć.

— Ach — odparł z namysłem Ian. — Te obowiązki również pełni ksiądz.

— Zatem jeśli zostanę ranny w walce, lepiej, żebym się postarał od razu umrzeć? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

— Tak Chodź, poszukajmy wody.

* * *

Znaleźli wyłożony kamieniami rów irygacyjny, biegnący między dwoma polami nieopodal traktu. Ian zaprowadził przyjaciela w cień drzewa, wyciągnął z plecaka zapasową koszulę i wręczył ją Jamiemu.

— Włóż ją — powiedział cicho. — Możesz wyprać swoją. Ludzie pomyślą, że krew wzięła się stąd, że zostałeś ranny w walce.

Jamie był zaskoczony, ale wdzięczny. Skinął głową, ściągnął skórzaną kamizelę i z wielką ostrożnością zdjął przepoconą, zakrwawioną koszulę. Ian się skrzywił: bandaże były brudne i zlażyły, poza miejscami, gdzie przyklepiły się do czarnych strupów z zakrzepłej krwi i ropy.

— Czy mam je zdjąć? — mruknął do ucha Jamiego. — Zrobię to szybko.

Młodzieniec wygiął plecy i potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Wtedy zacznę krwawić jeszcze gorzej.

Nie było czasu na spory. Zbliżało się kilku mężczyzn z oddziału. Jamie pośpiesznie włożył nową

koszulę i ukłękął, by spryskać twarz wodą.

— Hej, Szkoćcie! — zawołał do niego Alexandre. — Co do siebie krzy czeliście?

Otoczył usta dłońmi i zawołał niskim, niosącym się echem głosem:

— GOOOOOON!

Pozostali mężczyźni parsknęli śmiechem.

— Nigdy nie słyszeliście okrzyku wojennego? — zdziwił się Jamie, potrząsając głową na myśl o podobnej ignorancji. — Wydaje się go podczas bitwy, by przywołać do siebie kuzynów i klan.

— A czy to coś znaczy? — zapytał z zainteresowaniem Mały Philippe.

— Ehe, mniej więcej — potwierdził Ian. — Zamek Dhuni jest siedzibą wodzów klanu Fraserów z Lovat. W *gaidhlig*, to nasz rodzinny język, ta nazwa brzmi *Caisteal Dhuin*.

— A to jest nasz klan — uściślił Jamie. — Fraserowie mają więcej niż jedną gałąź, a każda nich posiada własny okrzyk wojenny i własną dewizę.

Wyjął koszulę z wody i wykręcił ją. Ślady krwi nadal były widoczne, ale Ian zauważył z aprobatą, że przerodziły się w bladobrazowe plamy. Nagle spostrzegł, że Jamie otwiera usta, chcąc dodać coś więcej.

Zamknij się! — przemknęło mu przez głowę, ale Jamie jak zwykle nie czytał w jego myślach. Ian zamknął z rezygnacją oczy, wiedząc, co zaraz się wydarzy.

— Nasz klan ma francuską dewizę — dodał z lekką nutą dumy młodzieniec. — *Je suis prest.*

To znaczyło „Jestem gotowy” i zgodnie z przewidywaniami Iana wywołało huragan śmiechu oraz serię wulgarnych domysłów na temat tego, do czego mogą być gotowi młodzi Szkoćci. Po bitwie ludzie byli w dobrym humorze i żarty ciągnęły się przez pewien czas. Ian wzruszył z uśmiechem ramionami, zauważył jednak, że uszy Jamiego poczerwieniały.

— Gdzie reszta twojego warłoczka, Georges? — zapytał Mały Philippe, zauważywszy, że Duży Georges już się odlał i otrzepuje członka. — Ktoś ci go przyciął?

— Twoja żona mi go odgryzła — odparł Georges ze spokojem sugerującym, że często się tak przekomarżają. — Ma usta jakssaące prosię. A *cramouille* jak..

To wywołało kolejną serię obelg, ale rzucając z ukosa spojrzenia jasno świadczyły, że ludzie wygłupiają się tylko na użytek dwóch Szkoćców. Ian ignorował ich słowa, zauważył jednak, że Jamie patrzy na nich dziwnie. Nie był pewien, czy jego przyjaciel słyszał przedtem słowo *cramouille*, ale z pewnością domyślił się jego znaczenia.

Nim jednak zdążył wpakować ich w jakieś kłopoty, rozmowę przy strumieniu przerwał stłumiony krzyk, dobiegający zza drzew zasłaniających trakt przed ich oczami.

— To jeniec — wyszeptał po chwili Alexandre.

Ian kłęczał obok Jamiego. Ze złączonych dłoni skapywała mu woda. Wiedział, co się dzieje, i na tę myśl zrobiło mu się niedobrze. Wypuścił wodę z dłoni i otarł je o uda.

— Kapitan — rzekł cicho do przyjaciela — musi dowiedzieć się, kim byli i skąd się wzięli.

— Tak — Jamie zacisnął mocno usta, słysząc stłumione głosy, nagły głuchy łoskot uderzenia w ciało i głośnie stęknęcie. — Wiem.

Opluskał gwałtownie twarz wodą.

Ludzie zaprzestali żartów, ale nie wszystkie rozmowy ucichły. Alexandre i Josef z Alzacji wdali się w nerwową kłótnię. Mówili głośno, próbując zagłuszyć dźwięki dochodzące z drzew. Większość ludzi umilkła, kończąc mycie i zaspokajanie pragnienia, a potem usiadła zgarbiona w cieniu drzew.

— *Père Renault!* — zawołał kapitan, przywołując księdza. Duchowny mył się w dyskretnej odległości od pozostałych ludzi, ale podniósł się na wezwanie, wycierając twarz o rąbek szaty. Przeżegnał się i ruszył w stronę traktu. Po drodze zatrzymał się jednak obok Iana, wskazując na jego kubek.

— Czy mógłbyś mi go pożyczyć, synu? Tylko na chwilę.

— Oczywiście, ojcz — odpowiedział zdziwiony Szkot. Kapłan skinął głową, pochylił się, by napełnić kubek wodą, i ruszył w dalszą drogę. Jamie odprowadzał go spojrzeniem. Potem zerknął na Iana, unosząc brwi.

— Słyszałem, że jest Żydem — wyjaśnił bardzo cicho siedzący obok Juanito. — Chcą go najpierw ochrzcić.

Uklęknął przy wodzie, wspierając o uda zaciśnięte mocno pięści.

Pomimo upału Ian poczuł, że pierś przeszło mu lodowate ukłucie. Wstał szybko, jakby chciał podążyć za księdzem, ale Duży Georges wyciągnął rękę i złapał go za ramię.

— Zostaw to — rzekł. On również mówił cicho, ale zacisnął mocno palce na ciele Szkota. Ian nie próbował się wyrywać. Stał spokojnie, patrząc Georges'owi prosto w oczy. Poczuł, że Jamie poruszył się konwulsyjnie.

— Nie! — mruknął pod nosem i jego przyjaciel znieruchomiał.

Od strony traktu dobiegały ich francuskie przekleństwa, mieszające się z głosem *père Renaulta*.

— *In nomine Patris, et Filii...*

Potem rozległy się odgłosy walki, charkot oraz krzyki. Jeniec, kapitan, Mathieu, a nawet ksiądz używali języka, od którego Jamie aż zamrugał. Ian mógłby się roześmiać, gdyby nie lęk, który sparaliżował wszystkich siedzących nad wodą mężczyzn.

— Nie! — zawołał jeniec, przekrzykując pozostałych. Gniew w jego głosie ustąpił miejsca przerażeniu. — Proszę, nie! Powiedziałem wam wszystko...

Rozległ się cichy dźwięk, jakby ktoś rozbił kopniakiem melon, i głos ucichł.

— Nasz kapitan jest oszczędny — mruknął pod nosem Duży Georges. — Po co marnować

kułę?

Zdjął rękę z ramienia Iana, potrząsnął głową i ukłęknął nad wodą, by umyć ręce.

* * *

Pod drzewami zapadła upiorna cisza. Od strony traktu dobiegały ciche głosy — kapitan i Duży Mathieu rozmawiali ze sobą, a *père* Renault powtarzał *In nomine Patris, et Filii...*, ale zupełnie innym tonem niż poprzednio. Ian zauważył, że włoski na przedramieniu Jamiego się zjeżyły. Młodzieniec wycierał też dłonie o kilt. Być może nadal były śliskie od krzyżma.

Najwyraźniej nie mogąc już dłużej tego słuchać, zwrócił się w stronę Dużego Georges'a:

— Warłoczysz? — zapytał, unosząc brew. — Tak go nazywacie w tych stronach?

Wysoki mężczyzna zdobył się na ironiczny uśmiezek

— A jakiego słowa wy używacie? W waszym języku?

— *Bot* — odparł Ian ze wzruszeniem ramion. Istniały też inne określenia, ale nie miał zamiaru narażać ich na wyrazy takie jak *clipeachd*.

— Najczęściej mówimy po prostu „kutas” — dodał Jamie, również wzruszając ramionami.

— Albo „penis”, jeśli chcemy się bawić w Anglików — zauważył Ian.

Kilku mężczyzn słuchało ich z uwagą. Byli gotowi przyłączyć się do każdej rozmowy, by zapomnieć o echu ostatniego krzyku, nadal unoszącym się w powietrzu niczym mgłą.

— Ha! — zawołał Jamie. — Penis to nawet nie jest angielskie słowo, ty żałosny ignorancie. I po łacinie też nie oznacza najbliższego towarzysza mężczyzny, a tylko ogon.

Ian obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

— Mówisz „ogon”? Nawet nie potrafisz odróżnić kutasa od dupy, a chcesz mnie uczyć łaciny?

Najemnicy ryknęli śmiechem. Twarz Jamiego natychmiast poczerwieniała. Ian również się roześmiał i mocno trącił przyjaciela barkiem. Młodzieniec zachnął się, ale wymierzył mu kulszańca, a po chwili również się roześmiał, choć z oporami.

— Skoro tak mówisz — rzekł z zawstydzoną miną. Zwykle nie popisywał się przed przyjacielem swym wykształceniem. Ian nie miał mu tego za złe. W pierwszych dniach pobytu w kompanii on również popełniał błędy. Gdy człowiek starał się odnaleźć grunt pod nogami, często odwoływał się do tego, w czym był dobry. Jeśli jednak zacznie się przechwalać znajomością łaciny i greki przed ludźmi takimi jak Mathieu albo Duży Georges, szybko będzie musiał dowieść swojej wartości za pomocą pięści, a w tej chwili sprawiał wrażenie, że nie zdołałby pokonać nawet królika.

Szepty, i tak już ciche, umilkły natychmiast, gdy zza drzew wynurzył się Mathieu. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, choć raczej szerokim w barach niż wysokim. Miał twarz wściekłego dzika i odpowiednie do tego usposobienie. Nikt nie zwał go „świńskim ryjem” prosto w oczy.

— Hej, żółtodziobie, pochowaj tego zasańca — rozkazał Jamiemu, mrużąc powieki poczerwieniałych oczu. — Głęboko w lesie. Ruszaj się, zanim dam ci kopa w dupę. Szybko!

Jamie podniósł się powoli, gapiąc się na Mathieu. Ianowi nie spodobał się wyraz jego oczu. Wstał, podszedł do przyjaciela i złapał go za ramię.

— Pomogę ci — zapewnił. — Chodź.

* * *

— Dlaczego chcą go pochować? — mruknął Jamie do Iana. — I to „po chrześcijańsku”?

Wbił jedną z łopatek, które dostali od Armanda, w miękką humus z gwałtownością, która powiedziała by Ianowi, jak wściekły jest jego przyjaciel, nawet gdyby nie zauważył tego przedtem.

— Jak widzisz, to nie jest zbyt cywilizowane życie, *a charaidh* — odezwał się. Sam również nie był zadowolony z tego, co się wydarzyło, i przemawiał ostrym tonem. — Nie to, co na *Université*.

Szyja Jamiego poczerwieniała jak podpałka, którą nagle ogarnęły płomienie. Ian wyciągnął otwartą dłoń, próbując go uspokoić. Nie chciał bójk, a Jamie mógłby jej nie znieść.

— Mamy go pochować dlatego, że D’Eglise sądzi, że kompani mogą go szukać, a lepiej, żeby nie zobaczyli, co mu zrobiliśmy, tak? Po tym drugim widać, że zabito go w walce. Interes to jedno, a zemsta to coś całkiem innego.

Jamie poruszał przez chwilę szczęką, ale w końcu rumieniec zniknął, a zaciśnięte na trzonku dłonie się rozluźniły.

— Ehe — mruknął i wrócił do kopania. Po szyi wkrótce spłynął mu pot. Oddychał ciężko. Ian odsunął go łokciem na boki dokończył kopania dołu. Bez słowa ujęli ciało pod pachy i za kostki, by zawlec je do płytkiego grobu.

— Myślisz, że D’Eglise czegoś się dowiedział? — zapytał Jamie, gdy zasypywali skopaną ziemię pozlepianymi bryłkami zeschniętych liści.

— Mam taką nadzieję — odparł Ian, nie przerywając pracy. — Nie chciałbym, żeby to poszło na marne.

Wyprostował się. Obaj stali tam jeszcze przez chwilę, wyraźnie zażenowani. Nie patrzyli na siebie nawzajem. Nie wydawało się właściwe odejść od grobu bez słowa modlitwy, nawet jeśli zmarły był nieznanym i Żydem. Odmówienie chrześcijańskiej modlitwy byłoby jednak jeszcze gorsze. W tej sytuacji należałoby to uznać raczej za zniewagę niż błogosławieństwo.

* * *

Wreszcie Jamie skrzywił się, pogrzebał w liściach i wy dobył spomiędzy nich dwa małe kamyczki.

Jeden wręczył Ianowi, po czym obaj uklęki i położyli je na grobie. To była mizerna mogiła, ale lepsze to niż nic.

* * *

Kapitan nie miał w zwyczaju niczego tłumaczyć swym ludziom. Ograniczał się do prostych, jednoznacznych rozkazów. Wrócił do obozu wieczorem. Twarz miał chmurną i mocno zaciskał usta. Jednakże trzech innych ludzi również słyszało przesłuchanie nieznanego i dzięki metafizycznym procesom zwykle zachodzącym przy ogniskach rankiem wszyscy już wiedzieli, co powiedział Żyd.

— Efraim bar Sefer — rzekł Ian Jamiemu, który przyszedł do ogniska później niż wszyscy, oddalwszy się przedtem dyskretnie, by znowu wyprać koszulę. — Tak się nazywał.

Trochę się martwił o chłopaka. Jego rany nie goiły się jak należy, a do tego zemdłał... Miał też gorączkę — Ian czuł fale promieniującego od niego ciepła. Poza tym od czasu do czasu dygotał, choć noc nie była zimna.

— Czy lepiej jest to wiedzieć? — zapytał młodzieniec z przygnębieniem w głosie.

— Możemy modlić się za niego po nazwisku — zauważył Ian. — Tak jest lepiej, prawda?

Jamie zmarszczył czoło, ale po chwili skinął głową.

— Masz rację. I co jeszcze powiedział?

Ian zatoczył oczami. Efraim bar Sefer zeznał, że napastnicy byli bandą zawodowych złodziei, głównie Żydów, którzy...

— To byli Żydzi? — przerwał mu Jamie. — Żydowscy bandyci?

Z jakiegoś powodu wydało mu się to zabawne. Ian jednak się nie śmiał.

— Czemu by nie? — zapytał krótko. Nie czekając na odpowiedź, zaczął opowiadać dalej.

Bandyci zbierali informacje o cennych przesyłkach i atakowali z zasadką, by je zrabować. — Napadają głównie na innych Żydów, nie ma więc większego ryzyka, że będzie ich ścigać francuska armia albo miejscowy sędzia.

— Aha. A o te informacje pewnie też jest łatwiej, jeśli atakują Żydów. Oni trzymają się razem i mieszkają w grupach — wyjaśnił, widząc zaskoczenie na twarzy Iana. — Wszyscy umieją też czytać i pisać, a do tego ciągle piszą do siebie listy. Między różnymi grupami przepływa mnóstwo wieści. Łatwo mogliby poznać nazwiska lichwiarzy i kupców, a potem przechwytywać korespondencję między nimi, tak?

— Pewnie masz rację — przyznał Ian, spoglądając z szacunkiem na przyjaciela. — Bar Sefer powiedział, że dostali wiadomość od kogoś, nie miał pojęcia od kogo, kto wie bardzo dużo o przewozie kosztowności. To nie był jeden z członków bandy, tylko ktoś z zewnątrz, kto dostaje procent od łupów.

To było wszystko, co udało się wyciągnąć z Sefera. Jeniec nie chciał zdradzić nazwiska żadnego ze współników — co prawda D'Eglise nie dbał o to zbytnio — i umarł, uparcie zapewniając, że nic nie wie o planowanych napadach.

— Myślisz, że to może być jeden z naszych ludzi? — zapytał cichym głosem Jamie.

— Jeden z naszych... ach, masz na myśli naszych Żydów. — Jamie znarszczył brwi na tę myśl. W kompanii D'Eglise'a było ich trzech, pochodzących z Hiszpanii: Juanito, Duży Georges i Raoul, ale wszyscy byli dobrymi żołnierzami, lubianymi przez towarzyszy. — Wątpię. Wszyscy trzej walczyli jak szatany. Przynajmniej kiedy ich widziałem — dodał, by być sprawiedliwym.

— Chciałbym się dowiedzieć, jak udało im się uciec z tym dywanem — dodał z namysłem Jamie. — Ważył pewnie z dziesięć kamieni.

— Co najmniej — zapewnił Ian, napinając mięśnie barków na to wspomnienie. — Pomagałem ładować te cholerstwa. Pewnie mieli gdzieś w pobliżu wóz na łupy. Czemu pytasz?

— No tak, ale... dywany? Kto by je kradł? Nawet wartościowe? A jeśli z góry wiedzieli, że się zjawimy, pewnie poinformowano ich też, co przewozimy.

— Zapominasz o złocie i srebrze — przypomniał mu Ian. — Były z przodu wozu, pod dywanami. Musieli je ściągnąć, żeby się dostać do wartościowszych łupów.

— Hmm.

Jamie miał lekko niezadowoloną minę. Było prawdą, że bandyci zadali sobie trud, by zabrać dywan ze sobą. Dalsza dyskusja byłaby jednak bezużyteczna i gdy Ian powiedział, że pora kłaść się spać, młodzieniec zgodził się bez oporu.

Położyli się w wysokiej, poźółkłej trawie, owinięci w klanowe kilty, ale Ian nie zasnął natychmiast. Był zmęczony i obolały, lecz wspomnienie ekscytujących wydarzeń dzisiejszego dnia nadal mu towarzyszyło. Przez pewien czas leżał, patrząc w gwiazdy, przypominając sobie pewne sprawy i mocno starając się zapomnieć o innych — na przykład o tym, jak wyglądała głowa Efraima bar Sefera. Być może Jamie miał rację i lepiej byłoby nie wiedzieć, jak się naprawdę nazywał.

Spróbował skierować swe myśli na inne ścieżki i udało mu się do tego stopnia, że poczuł się zaskoczony, gdy Jamie poruszył się nagle, przeklinając pod nosem z bólu, jak w ten sposób spowodował.

— Robiłeś to już kiedyś? — zapytał go Ian.

Rozległ się cichy szelest, gdy jego przyjaciel układał się wygodnie.

— Czy co robiłem? — odpowiedział pytaniem. Jego głos brzmiał nieco ochryple, ale nie aż tak źle. — Czy kogoś zabiłem? Nie.

— Nie, chodzi mi o to, czy byłeś z dziewczyną.

— Ach, o to.

— Tak jest, o to, ćwoku.

Ian potoczył się ku Jamiemu i udał, że chce uderzyć go w brzuch. Choć było ciemno, młodzieniec zdążył go złapać za rękę.

— A ty?

— Ach, zatem nie byłeś. — Ian bez trudu uwolnił się z uścisk. — Myślałem, że w Paryżu miałaś po dziurki w nosie kurew i poetek

— Poetek? — W głosie Jamiego pojawiło się rozbawienie. — Skąd ci przyszło do głowy, że kobiety piszą poezję? Albo że te, które ją piszą, są rozwiązłe?

— Pewnie, że są. Wszyscy o tym wiedzą. Słowa wnikają im do głów i wpędzają je w obłąd, aż szukają pierwszego mężczyzny, który ...

— Spałeś kiedyś z poetką? — Jamie szturchnął go lekko pięścią w środek piersi. — Czy twoja mamuśka o tym wie?

— Nie powiem mamuśce nic o poetkach — zapewnił stanowczo Ian. — Ja nie, ale Duży Georges spał i wszystkim o niej opowiedział. Poznał ją w Marsylii. Ma tomik jej wierszy i przeczytał nam niektóre.

— I były dobre?

— Skąd mam wiedzieć? Pełno w nich było omdlewania, obrzmiewania i pękania, ale chyba mówiły głównie o kwiatach. Był też kawałek o trzmielu, który robił co swoje ze słonecznikiem. To znaczy go szturchał. Pyskiem.

Na chwilę zapadła cisza. Jamie próbował przyswoić sobie tę wizję.

— Może po francusku to brzmi lepiej — stwierdził wreszcie.

* * *

— Pomogę ci — odezwał się nagle Ian śmiertelnie poważnym tonem.

— Pomożesz...?

— Zabić tego kapitana Randalla.

Młodzieniec leżał przez chwilę bez ruchu, czując ucisk w piersi.

— Jezu, Ian — odezwał się wreszcie bardzo cicho.

Zamarł na kilka minut, wpatrując się w widmowe korzenie drzew tuż przy swojej twarzy.

— Nie — stwierdził wreszcie. — Nie możesz. Chcę, żebyś zrobił dla mnie coś innego, Ian. Żebyś wrócił do domu.

— Do domu? A...

— Chcę, żebyś wrócił do domu, żeby się zaopiekować Lallybroch i moją siostrą. Ja... nie mogę tego zrobić. Jeszcze nie.

Mocno przygryzł dolną wargę.

— Masz tam dzierzawców i przyjaciół — sprzeciwił się Ian. — Jestem ci potrzebny tutaj, chłopie. Nie zostawię cię samego, jasne? Wrócimy razem.

Odrzucił się, dając do zrozumienia, że teraz chce spać.

Jamie zacisnął mocno powieki, starając się ignorować śpiewy i rozmowy dobiegające od strony ogniska, piękno nocnego nieba oraz uporczywy ból pleców. Być może powinien się pomodlić za duszę zabitego Żyda, ale w tej chwili nie miał na to czasu. Próbował odnaleźć ojca.

Dusza Briana Fräsera z pewnością nadal istniała. Nie wątpił też, że jego ojciec poszedł do nieba. Musiał istnieć jakiś sposób, by do niego dotrzeć, wyczuć jego obecność. Gdy Jamie po raz pierwszy opuścił dom, oddany na wychowanie Dougalowi w Beannachd, czuł się samotny i tęsknił, ale tata ostrzegł go, że tak będzie, i powiedział mu, by nie przejmował się tym zbytnio.

— Wystarczy, że pomyślisz o mnie, Jamie, o Jenny i o Lallybroch. Nie zobaczysz nas, ale my też będziemy o tobie myśleć. Popatrz nocą na gwiazdy i uświadom sobie, że my też je widzimy.

Uchylił nieco powieki, ale gwiazdy pływały przed jego oczami, a ich blask był rozmazany. Znowu zamknął oczy i poczuł ciepłą łzę spływającą mu po skroni. Nie mógł myśleć o Jenny. Ani o Lallybroch. Tęsknota, którą czuł podczas pobytu u Dougala, wreszcie się skończyła. Do niezwykłości Paryża z czasem się przyzwyczaił. To nie skończy się nigdy i będzie musiał z tym żyć.

Gdzie jesteś, tato? — pomyślał z bólem. *Tato, tak mi przykro!*

* * *

Następnego dnia modlił się podczas marszu, przechodził uparcie od zdrowaśki do zdrowaśki, używając palców zamiast różańca. Przez chwilę pomagało mu to nie myśleć i dało odrobinę spokoju, potem jednak podstępne myśli zakradły się z powrotem, rozbłyśki wspomnień ulotne jak blask słońca na powierzchni wody. Niektóre zdołał odeprzeć — drwiący ton kapitana Randalla biorącego w rękę biczą; włoski na jego ciele jeżące się ze strachu na zimnym wietrze, kiedy zdjął koszulę; głos chirurga mówiącego: „Widzę, że paskudnie cię poharatał, chłopcze...”.

Innych wspomnień jednak się uczepił, nawet jeśli były bolesne. Dotknięcie twardych dłoni taty na jego ramionach, kiedy pomagał mu zachować równowagę. Strażnicy prowadzący go dołądś, nie pamiętał dołąd i nie miało to znaczenia, aż nagle ujrzał przed sobą tatę na więziennym podwórku. Brian Fraser zobaczył syna i podszedł do niego z niecierpliwą radością na twarzy, która nagle przerodziła się w szok, kiedy spostrzegł, co mu uczyniono.

— Bardzo ucierpiałeś, Jamie?

— Nie, tato. Czuję się dobrze.

Przez krótką chwilę rzeczywiście tak było. Widok ojca dodał mu otuchy, poczuł się pewien, że

wszystko będzie dobrze, aż nagle przypomniał sobie, jak Jenny zaprowadziła tego ***[epitet] do domu, poświęcając się dla...

Tę myśl również powstrzymał, mówiąc głośno i z pasją:

— Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą... — ku zaskoczeniu Małego Philippe'a, który siedł obok niego na swych krótkich, pałkowatych nogach.

— Błogosławionaś ty między niewiastami — dodał posłusznie Philippe. — Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinie śmierci naszej, amen.

— Zdrowaś Maryjo — podjęła za jego plecami niski głos *père* Renaulta i po paru sekundach modlitwę recytowało już siedmiu albo ośmiu mężczyzn, maszerując z powagą w rytm jej słów. Jamie umilkł, ale nikt tego nie zauważył. Czuł jednak mur modlitwy oddzielający go od podstępnych, niegodziwych myśli. Zamknął na moment oczy i poczuł, że ojciec maszeruje obok niego. Ostatni pocałunek Briana Frasera złożony na jego policzku był delikatny jak muśnięcie wiatru.

* * *

Dotarli do Bordeaux tuż przed zachodem słońca. D'Eglise odprowadził gdzieś wóz z nieliczną eskortą, pozwalając reszcie ludzi nacieszyć się urokami miasta — choć ową radość krępował nieco fakt, że jeszcze im nie zapłacono. Dostaną pieniądze jutro, po dostarczeniu towaru.

Ian, który był już w Bordeaux, zaprowadził przyjacielą do wielkiej, hałaśliwej oberży, gdzie wino nadawało się do picia, a posiłki były obfite.

— Karczmarki też są ładne — zauważył, patrząc, jak jedna z nich przesuwą się zrecznie przez tłum wyciągających łapska mężczyzn.

— Czy na górze jest burdel? — zapytał z zainteresowaniem Jamie, który słyszał opowieści na ten temat.

— Nie mam pojęcia — przyznał Ian z odrobiną żalu. Prawdę mówiąc, nigdy nie był w burdelu, zarówno z braku środków, jak i ze strachu przed francją. Niemniej serce zabiło mu szybciej na tę myśl. — Chciałbyś potem to sprawdzić?

Jamie się zawahał.

— Hmm... nie, nie sądzę. — Skierował twarz ku przyjacielowi. — Obiecałem tacie, że w Paryżu nie będę się zadawał z kurwami — dodał bardzo cicho. — A teraz... nie mógłbym tego zrobić, nie myśląc o nim, tak?

Ian skinął głową, czując ulgę pomieszaną z rozczarowaniem.

Będzie na to czas kiedy indziej — stwierdził filozoficznie i skinął dłonią, domagając się kolejnego dzbanka. Karczmarka go nie zauważyła, Jamie wyciągnął więc swą długą rękę i złapał ją za fartuch. Odwróciła się z groźną miną, ale na widok uśmiechniętego, niebieskookiego Szkota

postanowiła odwzajemnić uśmiech i przyjąć zamówienie.

W oberży przebywało też kilku innych ludzi z kompanii D'Eglise'a i ten incydent nie umknął ich uwagi.

Siedzący przy pobliskim stoliku Juanito zerknął na Jamiego, uniósł drwiąco brew i powiedział coś do Raoula w żydowskiej odmianie hiszpańskiego, zwanej ladino. Obaj mężczyźni ryknęli śmiechem.

— Wiesz, co powoduje brodawki, przyjacielu? — zapytał miłym tonem Jamie, przemawiając w biblijnej postaci hebrajskiego. — Siedzące w człowieku demony próbują się wydostać przez skórę.

Mówił wystarczająco powoli, by Ian mógł zrozumieć jego słowa. On również roześmiał się w głos zarówno ze słów przyjaciela, jaki na widok twarzy obu Żydów.

Gruźlowate oblicze Juanita pociemniało, ale Raoul spojrział nagle na Iana — najpierw na jego twarz, a potem demonstracyjnie na krocze. Szkot potrząsnął głową, nie przestając się uśmiechać. Raoul wzruszył ramionami, ale odwzajemnił uśmiech, po czym złapał Juanita za ramię i pociągnął go w stronę pokoju na zapleczu, gdzie grano w kości.

— Co mu powiedziałaś? — zainteresowała się karczmarza. Zerknęła na oddalających się mężczyzn, a następnie spojrzała z powrotem na Jamiego, otwierając szeroko oczy. — I co to był za język?

Młodzieniec ucieszył się, że może spojrzeć w jej brązowe oczy. Szyja go bolała od powstrzymywania się przed dalszym pochYLENIEM głowy, by zajrzeć w jej dekolt. Czarujące zagłębienie między piersiami przyciągało wzrok..

— Och, to był tylko drobny żarcik — odpowiedział, uśmiechając się do niej. — Mówiłem po hebrajsku.

Pragnął zrobić na niej wrażenie i udało mu się, ale nie w taki sposób, jak zamierzał. Z twarzy dziewczyny zniknął uśmiešek. Odsunęła się nieco od niego.

— Och — odezwała się. — Przepraszam pana... jestem potrzebna...

Machnęła ręką w lekko przepaszającym geście, a potem zniknęła w tłumie gości, trzymając w dłoni dzbanek

— Ty idioto — rzekł Ian, pochylając się ku niemu. — Po co jej to powiedziałaś? Teraz myśli, że jesteś Żydem.

Jamie otworzył usta, porażony nagłym szokiem.

— Ja? Jak to? — zapytał, patrząc po sobie. Miał na myśli swój szłocki strój, ale Ian obrzucił go krytycznym spojrzeniem i potrząsnął głową.

— Masz wielki nochal i rude włosy — zauważył. — Połowa hiszpańskich Żydów, których widziałem, tak wygląda, a niektórzy są też całkiem wysocy. A jeśli chodzi o kilt, równie dobrze

mogłeś go ukraść komuś, kogo zabiłeś.

Jamie czuł się raczej skonsternowany niż urażony. Było to jednak bolesne.

— A gdybym nawet nim był? — zapytał. — Co z tego? Nie prosiłem jej o rękę, tak? Na Boga, chciałem tylko z nią pogadać!

Ian obrzucił go irytująco wyrozumiałym spojrzeniem. Jamie wiedział, że nie powinien mieć nic przeciwko temu. Sam często patrzył z góry na przyjaciela, gdy ten czegoś nie wiedział. Mimo to nie czuł się zadowolony. Pożyczona koszula była za ciasna i piła go pod pachami, a kościste, pocierane nadgarstki sterczały z rękawów. Nie wyglądał na Żyda, ale z pewnością przy pominał kniotka i dobrze o tym wiedział. Stąd brała się jego irytacja.

— Większość Francuzek, mówię o chrześcijankach, nie lubi sypiać z Żydami. Nie dlatego, że są zabójcami Chrystusa, ale z powodu ich... hmm... — Ian opuścił wzrok, wskazując dyskretnie na krocze przyjaciela. — Uważają, że to śmiesznie wygląda.

— Różnica nie jest aż taka wielka.

— Jest.

— No dobra, kiedy on... ale kiedy jest... to znaczy, kiedy jest w stanie, w którym może go zobaczyć dziewczyna, to wtedy... — Zobaczył, że Ian otwiera już usta, by go zapytać, skąd wie, jak wygląda stojący, obrzezany kutas. — Zapomnij o tym — burknął i wstał, odpychając przyjaciela. — Chodźmy gdzie indziej.

* * *

O świcie ludzie spotkali się w gospodzie, w której czekał D'Eglise z wozem, gotowi eskortować ładunek do miejsca przeznaczenia — magazynu na brzegu Garonny. Jamie zauważył, że kapitan przebrał się w najlepszy strój, włożył kapelusz z piórem i tak dalej. To samo dotyczyło czterech mężczyzn — chyba najpotężniej zbudowanych w kompanii — którzy pilnowali nocą wozu. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby. Jamie zastanawiał się, czy to tylko na pokaz, czy też D'Eglise chciał, by mu towarzyszyli, kiedy będzie tłumaczył, dlaczego brakuje jednego dywanu, żeby zniechęcić odbierającego transport kupca do zgłaszania skarg.

Spacer przez miasto sprawił mu przyjemność, choć zgodnie z rozkazem trzymał oczy szeroko otwarte, wypatrując możliwości zasadzki w którymś z zaułków albo złodziei skaczących na wóz z dachów bądź balkonów. Tę drugą możliwość uważał za mało prawdopodobną, ale posłusznie spoglądał od czasu do czasu w górę. Opuściwszy za którymś razem wzrok, zauważył, że kapitan zwolnił nieco i jedzie teraz obok niego na swym wielkim, siwym wałachu.

— Juanito powiedział mi, że mówisz po hebrajsku — odezwał się D'Eglise, spoglądając na Jamiego z góry, jakby Szłotowi wyrosły nagle rogi. — Czy to prawda?

— Tak — przyznał ostrożnie Jamie. — Choć lepiej byłoby powiedzieć, że potrafię czytać

Biblię w tym języku, przynajmniej trochę, bo u nas w górach nie ma zbyt wielu Żydów, z którymi można by ćwiczyć konwersację.

W Paryżu było ich więcej, ale Jamie wiedział, że lepiej nie wspominać o *Université* i o studiowaniu filozofów, takich jak Majmonides. Ukręciliby mu łeb jeszcze przed kolacją.

Kapitan chrząknął, ale nie sprawiał wrażenia niezadowolonego. Milczał przez pewien czas, lecz nadal posuwał się naprzód stępa u boku Jamiego. Po kilku chwilach zaniepokojony młodzieniec obejrzał się nagle za siebie.

— Ian też potrafi czytać po hebrajsku.

Zaskoczony D'Elgise spojrział na niego, po czym obejrzał się za siebie. Iana łatwo było zauważyć, ponieważ przerastał o głowę trzech mężczyzn, z którymi rozmawiał po drodze.

— Czy cudom nigdy nie będzie końca? — mruknął kapitan, jakby mówił do siebie. Popędził konia do kłusa i oddalił się, pozostawiając Jamiego w obłokach kurzu.

* * *

Dopiero następnego popołudnia ta rozmowa wróciła zniенаcka i ugryzła Jamiego w tyłek. Przekazali dywany, złoto i srebro w magazynie nad rzeką, D'Elgise odebrał zapłatę, a potem ludzie rozproszyli się po całej *allée* pełnej lokali oferujących tanie posiłki i napoje. Wiele z nich miało też na piętrze albo na zapleczu pokoi, w których mężczyźna mógł wydawać pieniądze w inny sposób.

Obaj Szkoci nie wspominali już o burdelach, ale Jamie ciągle wracał w myślach do ładnej karczmarki. Naciągnął teraz na grzbiet własną koszulę i miał ochotę wrócić tam i powiedzieć jej, że nie jest Żydem.

Nie miał jednak pojęcia, jak zareagowałyby na tę informację, a do tego oberża znajdowała się na drugim końcu miasta.

— Myślisz, że szybko znajdziemy kolejną robotę? — zapytał od niechcienia, pragnąc wyrwać Iana z milczenia i uciec od własnych myśli. Przy ognisku rozmawiano o ich perspektywach. Obecnie nie toczyły się żadne dobre wojny, choć król Prus zaczął ponoć zbierać ludzi na Śląsku.

— Mam taką nadzieję — mruknął Ian. — Nie mogę znieść objiania się. — Zabębnił po białej długimi palcami. — Muszę pozostawać w ruchu.

— Dlatego właśnie opuściłeś Szkocję, tak?

Jamie starał się tylko podtrzymać rozmowę i zdziwił się, gdy przyjaciel obrzucił go nieufnym spojrzeniem.

— Nie miałem ochoty pracować na roli, a ciężko tam było o inną robotę. Tu zarabiam sporo forsy. I większą część wysyłam do domu.

— Ale nie sądzę, by twój tata się z tego cieszył.

Ian był jedynym synem. Stary John z pewno nadal się wściekał, choć nie wspomniał o tym ani słowem podczas krótkiego pobytu Jamiego w domu, przed nadejściem czerwonych kurtek

— Siostra wyszła za mąż. Jej mąż sobie poradzi, o ile...

Ian znowu pogrążył się w ponurym milczeniu.

Nim Jamie zdążył zdecydować, czy drążyć dalej temat, do stolika podszedł kapitan, zaskakując ich obu.

D'Eglise stał przez chwilę bez ruchu, przyglądając się Szkotom.

— W porządku — rzekł wreszcie z westchnieniem. — Chodźcie obaj ze mną.

Ian wepchnął do ust resztę chleba z serem, a następnie wstał, przeżuując go. Jamie chciał zrobić to samo, gdy kapitan spojrział na niego z zaszępioną miną.

— Masz czystą koszulę?

Młodzieniec poczuł krew podchodzącą mu do policzków. Nikt dotąd nie zbliżył się tak bardzo do jego pleców. Większość ran pokryły już strupy, ale te najgorsze nadal się paprały i otwierały, ocierane bandażami, jeśli Jamie pochyłał się zbyt nagle. Nadal musiał pracować koszulę niemal co noc i ciągle była mokra, co mu nie pomagało. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy w kompanii znają prawdę, ale nikt nie wspominał o tym ani słowem.

— Tak — odpowiedział krótko i wyprostował się na pełną wysokość, spoglądając z góry na D'Eglise'a.

— W takim razie w porządku — odpowiedział tylko kapitan. — Chodźcie.

* * *

Potencjalny nowy klient był lekarzem znanym jako doktor Hasdi. Uważano go za bardzo wpływową osobistość wśród Żydów z Bordeaux. Przedstawienia dokonał poprzedni klient, najwyraźniej więc D'Eglise zdołał jakoś załagodzić sprawę zaginionego dywanu.

Dom doktora Hasdiego stał przy porządnej, ale skromnej uliczce, dyskretnie ukryty za otynkowanym murem i zamkniętymi bramami. Ian pociągnął za sznurek dzwonka i po chwili mężczyzna ubrany jak ogrodnik wpuścił ich do środka, wskazując na ścieżkę prowadzącą do drzwi frontowych. Najwyraźniej spodziewano się ich.

— Żydzi nie przechwalają się swoim bogactwem — wyszeptał kącikiem ust D'Eglise, zwracając się do Jamiego. — Ale są bogaci.

No cóż, ci Żydzi z pewnością — pomyślał młodzieniec. Hol, w którym przywitał ich lokaj, miał pozbawione ozdób, wyłożone kafelkami ściany. Gdy jednak otworzył przed gośćmi drzwi pokoju, aż zakręciło się im w głowach. Na półkach z ciemnego drewna stały nieprzeliczone książki, na podłodze leżały grube dywany, nieliczne fragmenty ścian wolne od regałów zdobiły małe gobeliny oraz oprawne w ramki płytki, być może mauretańskiej roboty. Ale przede wszystkim

zapach! Jamie wciągnął go w płuca, wypełniając je aż po samo dno. Poczł się z lekką oszołomiony. Zrejeżał się w poszukiwaniu jego źródła i po chwili zauważył właściciela tego ziemskiego raju. Siedzący za biurkiem mężczyzna gapił się... na niego. Albo może na niego i na Iana. Przenosił spojrzenie oczu okrągłych jak długo ssane cukierki toffi z jednego na drugiego z nich.

Jamie wyprostował się instynktownie i uklonił nisko.

— Pozdrawiamy cię, panie — wygłosił po hebrajsku starannie przygotowane słowa. — Pokój twojemu domowi.

Mężczyzna rozdziawił usta. Łatwo to było zauważyć, ponieważ jego długa, ciemna, krzaczasta broda wokół nich przybierała biały kolor. Na nieporośniętej włosami części jego twarzy pojawił się jakiś nieokreślony wyraz — z pewnością nie mogła to być wesołość?

Cichy dźwięk, który z pewnością wyrażał wesołość, spowodował, że Jamie skierował swą uwagę w bok. Na okrągłym stoliku o pokrytym kafelkami blacie stała mosiężna miseczka. Unosił się z niej leniwie dym, widoczny w snopie blasku popołudniowego słońca. Za słońcem i dymem można było z trudem wypatrzeć sylwetkę stojącej w cieniach kobiety. Podeszła bliżej, wynurzając się z mroku, i serce Jamiego zabiło mocno.

Nieznamoma pochylała z powagą głowę, pozdrawiając żołnierzy.

— Jestem Rebeka bat Lea Hauberger — rzekła, zwracając się do wszystkich. — Dziadek prosił, bym przywitała was w jego domu, szlachetni panowie.

Bezbłędnie mówiła po francusku. Staruszek nie odezwał się dotąd ani słowem. Jamie zaczerpnął z ulgą wielki haust powietrza. Zatem nie będzie musiał rozmawiać o interesach po hebrajsku. Oddech był tak głęboki, że młodzieniec aż się rozkasał. Perfumowany dym laskotał go w pierś.

Spróbował powstrzymać kaszel i poczuł, że twarz mu czerwienieje. Ian zerknął na niego kąciakiem oka. Dziewczyna — tak jest, była młoda, być może w jego wieku — szybko wzięła w rękę pokrywkę i zakryła naczynie. Następnie wezwała dzwonkiem sługę i powiedziała mu coś w języku przydominającym hiszpański. *Ladino?* — pomyślał Jamie.

— Usiądźcie, proszę — rzekła. Wskazała na krzesło stojące przed biurkiem, a potem odwróciła się, by przynieść drugie spod ściany.

— Ja to zrobię, mademoiselle!

Ian pośpieszył jej z pomocą. Jamie, który wciąż się krztusił, tak cicho, jak tylko mógł, podążył za nim.

Miała ciemne włosy, bardzo mocno kręcone, związane z tyłu głowy różową wstążką, ale opadające swobodnie na plecy, prawie do talii. Jamie uniósł mimo woli rękę, by je pogłaskać, ale zdołał się powstrzymać. Dziewczyna się odwróciła. Miała jasną cerę i wielkie ciemne oczy

o dziwnie mądrym wyrazie. Gdy postawił przed nią trzecie krzesło, spojrzała w jego oczy bardzo bezpośrednio.

Annalise. Przełknął z wysiłkiem ślinę i odchrząknął. Zalała go fala przyprawiającego o zawrót głowy ciepła. Nagle zapragnął, by otworzono okno.

D'Eglise również ucieszył się z tego, że będzie miał tłumaczkę bardziej godną zaufania niż Jamie. Bezwzględnie rozpoczął uprzejmą przemowę wstępną, ozdobioną mnóstwem francuskich kwiecistych zwrotów. Kłaniał się co chwila, na przemian dziewczynie i jej dziadkowi.

Jamie nie zwracał uwagi na jego słowa, cały czas obserwując Rebekę. W pierwszej chwili jego uwagę przyciągnęło jej lekkie podobieństwo do Annalise de Marillac, dziewczyny, w której zakochał się w Paryżu, gdy jednak przyjrzał się jej uważniej, zorientował się, że Rebeka wygląda inaczej.

Zupełnie inaczej. Annalise była maleńka i delikatna jak kotek. Rebeka również była drobna — kiedy usiadła, sięgała mu głową tylko do łokcia, a jej miękkie włosy muskały jego nadgarstek — ale nie miała w sobie nic delikatnego ani bezbronnego. Zauważyła, że Jamie się jej przygląda, i sama również się na niego gapiła z lekkim grymasem różanych ust, od którego krew napłynęła mu do policzków. Kaszlnął i opuścił wzrok.

— Co się stało? — mruknął Ian półgębkiem. — Wyglądasz, jakby rzep wlał ci między pódupki.

Jamie skrzywił się z irytacją, a potem zeszywniał, poczuwszy, że jedna z gorzej gojących się ran na jego plecach znowu się otworzyła. Miejsce, w którym się znajdowała, szybko robiło się chłodniejsze, czuł też wypływającą powoli ropę, czy może krew. Siedział sztywno wyprostowany, starając się oddychać jak najpłycej, w nadziei, że bandaże wchłoną płyn, nim zdąży się pokazać na koszuli.

Ta niepokojąca perspektywa odwróciła przynajmniej jego uwagę od Rebeki bat Lei Hauberger. Chcąc zapomnieć o bólu pleców, Jamie skupił się na rozmowie D'Eglise'a z dwojgiem Żydów.

Kapitan pocił się intensywnie, czy to od gorącej herbaty, czy to z wysiłku wkładanego w próby perswazji, mówił jednak swobodnie, wskazując od czasu do czasu na dwóch wysokich, znających hebrajski Szkotów bądź też na okno i świat zewnętrzny, gdzie czekały nieprzeliczone legiony podobnych wojowników, gotowych spełniać rozkazy doktora Hasdiego.

Staruszek z uwagą przyglądał się D'Eglise'owi, czasami mrucząc pod nosem do wnuczki coś niezrozumiałego. Język brzmiał jak ladino, którym posługiwał się Juanito. Z pewnością nie przypominał hebrajskiego, którego Jamie nauczył się w Paryżu.

Wreszcie staruszek zerknął na trzech najemników, wydał z namysłem wargi i skinął głową. Później wstał i podszedł do wielkiego pojemnika na pościel, ustawionego pod oknem. Ukłękął

przed nim i ostrożnie wy dobył długi cylinder owinięty w ceratę. Doktor wyprostował się bardzo powoli i Jamie uświadomił sobie, że przedmiot musi by wyjątkowo ciężki jak na swoje rozmiary. W pierwszej chwili pomyślał, że to pewnie jakiś złoty posążek. Jego następna myśl brzmiała tak, że Rebeka pachnie wanilią i płatkami róż. Bardzo ostrożnie wciągnął powietrze w płuca i poczuł, że koszula lepi mu się do pleców.

Czykolwiek mógł być przedmiot, pobrząkiwał lekko, kiedy nim poruszano. Jakiś żydowski zegar? Doktor Hasdi postawił cylinder na biurku, po czym pokiwał palcem na żołnierzy, każąc im podejść bliżej.

Staruszek rozpakował obiekt, powoli i z namaszczeniem zdejmując kolejne warstwy płótna, brezentu i ceraty. Faktycznie miał on złote elementy i nieco przypominał posążek, ale w większej części wykonano go z drewna i miał kształt pryzmatu, zwieńczonego na jednym końcu czymś w rodzaju korony. Gdy Jamie się zastanawiał, co to, do diaska, może być, doktor dotknął artretycznymi palcami małego zameczka i pudełko się otworzyło, odsłaniając kolejne warstwy tkaniny, od których płynęła inna woń, delikatna i korzenna. Wszyscy trzej żołnierze wciągnęli głęboko powietrze. Z ust Rebeki znowu wyrwał się cichy dźwięk znamionujący rozbawienie.

— Pojemnik wykonano z cedrowego drewna — wyjaśniła. — Z Libanu.

— Aha — rzekł z uznaniem D'Eglise. — Oczywiście!

Znajdujące się wewnątrz zawiniątko było odziane — nie można było tego określić innym słowem; miało na sobie coś w rodzaju opończy z kapturem i pas z miniaturową sprzączką — w aksamit i haftowany jedwab. Z jednego końca sterczały na podobieństwo bliźniaczych głów dwa masywne, złote kwiatony. Przypominały wieże, wyżłobiono w nich okienka, a wzdłuż dolnych krawędzi ozdobiono je maleńkimi dzwoneczkami.

— To bardzo stary zwój Tory — wyjaśniła Rebeka, zachowując pełen szacunku dystans. — Z Hiszpanii.

— Z pewnością jest bezcenny — stwierdził D'Eglise, pochyłając się, by przyjrzeć się lepiej.

Doktor Hasdi chrząknął i powiedział coś do wnuczki.

— Tylko dla tych, dla których to święta księga — przetłumaczyła dziewczyna. — Dla innych ma określoną i bardzo atrakcyjną cenę. W przeciwnym razie nie potrzebowałbym waszych usług. — Doktor spojrział znacząco na Jamiego i Iana. — Torę będzie transportował szanowany Żyd. Nie wolno jej dotykać. Będziecie jej strzegli. A także mojej wnuczki.

— Oczywiście, czcigodny. — D'Eglise zacerwienił się lekko, ale był zbyt zadowolony, by mógł wyglądać na zawstydzonego. — Twe zaufanie wielce mnie zaszczyca, panie, i zapewniam...

W tej chwili Rebeka znowu pociągnęła za sznurek dzwonka i lokaj przyniósł wino.

Ich zadanie było proste: Rebeka miała wyjść za mąż za syna naczelnego rabina paryskiej

synagogi. Starożytna Tora była częścią jej posagu, podobnie jak suma pieniędzy, na wspomnienie o której w oczach kapitana pojawił się błysk. Doktor pragnął zlecić D'Eglise'owi zadanie bezpiecznego dostarczenia dziewczyny, zwoju i pieniędzy do Paryża. Staruszek również wybierał się na wesele, ale dopiero pod koniec miesiąca. Na razie interesy nie pozwalały mu opuścić Bordeaux. Pozostawało tylko uzgodnienie ceny za usługi najemników, wyznaczenie terminu wykonania zadania oraz omówienie kwestii gwarancji, jakie mógł zaoferować D'Eglise.

Doktor wyduł wargi, wspominając o tym ostatnim punkcie. Jego przyjaciel Ackerman, który polecił mu D'Eglise'a, nie był zbyt zadowolony z faktu, że jeden z jego cennych dywanów skradziono po drodze, i staruszek pragnął otrzymać zapewnienie, że nic z jego cennej własności — Jamie zauważył, że Rebeka skrzywiła się, wypowiadając to ostatnie słowo — nie zaginie po drodze między Bordeaux a Paryżem. Kapitan obrzucił Iana i Jamiego surowym spojrzeniem, a następnie z pełnym przekonaniem zapewnił doktora, że nie będzie żadnych trudności. Wykonaniem zadania zajmą się jego najlepsi ludzie i może zaoferować wszelkie gwarancje, jakich zażył sobie Hasdi. Na jego górnej wardze pojawiły się kropelki potu.

Jamie również się pocił z powodu żaru ognia i gorącej herbaty. Przydałby mu się kieliszek wina. Staruszek jednak wstał nagle, uklonił się uprzejmie D'Eglise'owi, wyszedł zza biurka, ujął Jamiego za ramię i pociągnął go delikatnie ku drzwiom.

Młodzieniec pochylił się akurat na czas, by nie wyróżzać głową w niski łuk, po czym znalazł się w małej, prosto urządzonej izdebce. Na krokwiach suszyły się tu wiązki ziół. Co...

Nim jednak zdążył sformułować jakiegokolwiek pytanie, staruszek złapał go za koszulę i wyciągnął ją z kiltu. Jamie spróbował się odsunąć, ale nie było tu miejsca i chcąc nie chcąc, usiadł na stołku. Doktor Hasdi zrogowaciałymi palcami zerwał z niego bandażę, mruknął niskim głosem z dezaprobatą, a potem wykrzyknął w kierunku drzwi coś, w czym można było rozpoznać słowa *agua caliente*.

Jamie nie mógł wstać i uciec, by nie zagrazić zawartej przez D'Eglise'a umowie. Dlatego siedział na stołku, płonąc ze wstydu, podczas gdy lekarz obmacywał jego plecy, a gdy przyniesiono już miskę z gorącą wodą, zaczął je szorować czymś boleśnie szorstkim. Nic z tego nie przeszkadzało jednak młodzieńcowi tak bardzo jak widok Rebeki, która pojawiła się nagle w drzwiach, unosząc ciemne brwi.

— Dziadek mówi, że twoje plecy wyglądają paskudnie — oznajmiła, tłumacząc słowa staruszka.

— Serdeczne dzięki. Sam bym się tego nie domyślił — mruknął po angielsku, później jednak wyraził to samo po francusku w uprzejmiejszych słowach. Policzki płonęły mu ze wstydu, ale w jego sercu zabrzmiało ciche, zimne echo. *Paskudnie cię poharatał, chłopcze.*

Tak powiedział chirurg z Fort William. Żołnierze zawlekli do niego Jamiego po chłoscie,

ponieważ nie był w stanie utrzymać się na własnych nogach. Chirurg miał rację i doktor Hasdi też, ale młodzieniec nie miał ochoty znowu tego słuchać.

Rebeka okrążyła Jamiego, wyraźnie pragnąc zobaczyć, co miał na myśli jej dziadek Szkot zeszywniał i doktor dźgnął go mocno w łarkę, każąc mu znowu się pochylić. Dwoje Żydów wymieniło obojętnym tonem kilka słów na temat widowiska, jakie sobą prezentował. Po chwili poczuł, że delikatne palce dziewczyny nakreśliły linię między jego żebrami. Omal nie zerwał się ze stołka. Jego ciało nagle pokryła gęsia skórka.

— Jamie? — dobiegł go z korytarza zaniepokojony głos Iana. — Wszystko w porządku?

— Tak! — zdołał wykrztusić młodzieniec. — Nie... nie musisz tu przychodzić.

— Masz na imię Jamie? — Rebeka stała teraz przed nim. Pochyliła się, spoglądając mu w oczy. Na jej twarzy malowały się zainteresowanie i troska. — James?

— Ehe, James.

Zacisnął zęby, gdy lekarz z cichym cmoknięciem ucisnął go mocniej.

— Diego — powiedziała dziewczyna, uśmiechając się do niego. — Tak byś się nazywał po hiszpańsku. Albo w ladino. A twój przyjaciel?

— Ma na imię Ian. To znaczy... — Zastanawiał się przez chwilę nad angielskim odpowiednikiem. — John. To będzie...

— Juan. Diego i Juan. — Dotknęła lekko jego gołego barku. — Jesteście przyjaciółmi? Braćmi? Widzę, że pochodzicie z tego samego miejsca. Skąd?

— Przyjaciółmi. Ze... Szkołci. Z gór. Z miejsca o nazwie Lallybroch.

Mówił bez zastanowienia i gdy wymienił tę nazwę, przeszło go ukłucie, boleńsze niż to, co lekarz robił z jego plecami. Odwrócił wzrok. Twarz dziewczyny była za blisko. Nie chciał, aby zauważyła jego reakcję.

Nie odsunęła się. Przyklucnęła wdzięcznie i ujęła go za rękę. Dłoń miała bardzo ciepłą i włoski na jego nadgarstku zjeżyły się w odpowiedzi, pomimo poczynań doktora Hasdiego.

— Wkrótce będzie po wszystkim — zapewniła. — Dziadek usuwa zakażone fragmenty. Mówi, że rany zabliznią się teraz czysto i przestaną się sączyć. — Staruszek mruknął coś pytającym tonem. — Chce się dowiedzieć, czy nocami dręczy cię gorączka? Złe sny?

Zaskoczony Jamie zerknął na dziewczynę, ale jej twarz wyrażała tylko współczucie. Zacisnęła rękę, by go uspokoić.

— T... tak Czasami.

Hasdi chrząknął. Padły łojne słowa. Rebeka puściła dłoń młodzieńca, głaszcząc ją lekko, i oddaliła się z szelestem spódnicy. Jamie zamknął oczy, próbując zachować w pamięci jej zapach. W nosie nie mógł go zatrzymać, ponieważ doktor smarował mu teraz plecy jakąś cuchnącą obrzydliwie substancją. Czuł też własny smród. Przebiegły go ciarki z zawstyżenia. Cuchnął

zaszchłym potem, dymem obozowego ogniska i świeżą krwią.

Słyszał dobiegające z salonu głosy D'Eglise'a oraz Iana. Rozmawiali cicho, zastanawiając się, czy powinni przyjść mu z pomocą. Zawołałby ich, ale nie mógł znieść myśli, że kapitan zobaczy... Zacisnął mocno usta. Tak jest, koniec był już blisko. Ruchy Hasdiego zrobiły się wolniejsze, niemalże delikatne

— Rebeka! — zawołał doktor niecierpliwym tonem. Dziewczyna pojawiła się po chwili, trzymając w dłoni małe zawiniątko czystych tkanin. Staruszek wypuścił z siebie krótką serię słów, a potem przytknął do pleców Jamiego jakąś cienką szmatkę, która przylepiła się do cuchnącej maści.

— Dziadek mówi, że tkanina będzie chroniła twoją koszulę, dopóki lekarstwo się nie wchłonie — wyjaśniła dziewczyna. — Nie ściągaj jej, musi zejść sama. Rany pokryją się już strupami, które powinny być miękkie i nie pękać.

Doktor Hasdi zdjął rękę z jego ramienia i Jamie zerwał się ze stołka, rozglądając się wkoło w poszukiwaniu koszuli. Rebeka mu ją podała. Wlepiła spojrzenie w jego pierś i młodzieniec pierwszy raz w życiu poczuł się zawstydzony faktem, że posiada brodawki sutkowe. Niezwykłe, ale przyjemne mrowienie sprawiło, że kędzierzawe włoski na jego ciele zjeżyły się.

— Dziękuję... Hmm, to znaczy... *gracias, señor*. — Twarz mu płonęła, ale pokłonił się doktorowi z tak wielką gracją, na jaką mógł się zdobyć. — *Muchas gracias*.

— *De nada* — mruknął staruszki machnął lekceważąco ręką. Następnie wskazał na zawiniątko trzymane przez wnuczkę. Napój. Nie będzie gorączki. Nie będzie snów. — Ku zaskoczeniu Jamiego uśmiechnął się. — *Szalom* — rzekł na koniec i przegonił go skinieniem dłoni.

* * *

D'Eglise, wyraźnie zadowolony z nowego zadania, zaprowadził Iana i Jamiego do wielkiej oberży o nazwie „Le Poulet Gai”, gdzie niektórzy z pozostałych najemników zabawiali się już na różne sposoby. „Wesoły Kurczak” z całą pewnością mógł się pochwalić ulokowanym na piętrze burdelem. Niezręczne kobiety w słupych strojach przechadzały się po salach na dole, znajdując klientów, z którymi mi następnie zniknęły na piętrze.

Dwóch młodych, wysokich Szkotów wzbudziło ich spore zainteresowanie, ale gdy Ian z poważną miną pokazał im pustką sakiewkę — pieniądze dla bezpieczeństwa schował pod koszulę — wywracając ją na lewą stronę, zostały chłopaków w spokoju.

— Nawet bym nie spojrział na żadną z nich — stwierdził Ian, odwracając się plecami do kurew, by słupić swą uwagę na piwie. — Nie po tym, jak obejrzałem z bliska tę Żydóweczkę. Widziałeś kiedyś coś podobnego?

Jamie potrząsnął głową, pochłonięty piciem. Piwo było kwaśne i świeże. Wchodziło mu

bardzo dobrze, zawłaszcza że był spragniony po cierpieniach, jakie spotkały go w gabinecie doktora Hasdiego. Nadal czuł pozostałość zapachu Rebeki. Wanilia i róże zdołały jakoś przetrwać pośród odorów oberży. Pogrzebał w sporraniu i wy dobył zawiniątko, które dostał od dziewczyny.

— Powiedziała... To znaczy doktor powiedział, że mam to pić. Jaksię do tego zabrać?

W zawiniątku była mieszanina kruszonych liści, małych patyczków oraz gruboziarnistego proszku, pachnąca silnie czymś, czego Jamie nigdy dotąd nie czuł. Zapach nie był nieprzyjemny, a po prostu dziwny. Ian zmarszczył brwi.

— No cóż, pewnie musisz to zaparzyć jak herbatę. Nie widzę innego sposobu.

— Nie mam w czym tego zrobić — odparł Jamie. — Tak sobie pomyślałem, że może by dosypać tego do piwa?

— Czemu by nie?

* * *

Ian nie zwracał na to wszystko zbytnej uwagi. Obserwował Mathieu Świńskiego Ryja, który stał pod ścianą, wołując przechodzące obok kurwy. Oglądał je od stóp do głów, obmacując niekiedy towar, a na koniec odsyłał je kłapsem w tyłek.

Nie czuł wielkiej pokusy — szczerze mówiąc, bał się kobiet — ale był zaciekawiony. Gdyby kiedyś się zdarzyło... od czego powinien zacząć? Po prostu ją złapać, jak robił to Mathieu, czy też powinien najpierw zapytać o cenę, by się upewnić, czy go na to stać? I czy należało się targować, jak o bochenek chleba albo o połącz wędzonego boczu, czy może kobieta kłpnęłaby go wtedy we wstydlive części i poszła poszukać kogoś mniej słałego?

Zerknął na Jamiego, który krztusił się przez chwilę, nim wreszcie przełknął piwo z ziołami. Oczy mu się zaszklily. Ian nie sądził, by jego przyjaciel znał odpowiedź na te pytania, ale wołał go nie pytać, na wypadek, gdyby je jednak znał.

— Idę do wychodka — oznajmił nagle Jamie i wstał. Twarz miał pobladłą.

— Masz sraczkę?

— Jeszcze nie.

Wypowiedziawszy te złowieszcze słowa, oddalił się, objijając się w pośpiechu o stoliczki. Ian podążył za nim, uprzednio zatrzymawszy się na chwilę, by dopić piwo przyjaciele, podobnie jak własne.

Mathieu znalazł dziewczynę, która mu się spodobała. Łypnął lubieżnie na Iana i powiedział nieprzyzwoite słowo, popychając wybrankę w stronę schodów. Ian odpowiedział serdecznym uśmiechem i rzekł coś znacznie gorszego w *gaidhlig*.

Gdy wyszedł na podwórko za oberżą, Jamie już gdzieś zniknął. Ian doszedł do wniosku, że jego przyjaciel wróci, gdy tylko uwolni się od kłopotu, oparł się więc spokojnie o tylną ścianę budynku,

radując się nocnym chłodem oraz obserwując chodzących po podwórku ludzi.

Paliły się tu dwie zatknięte w ziemię pochodnie. Widok przypominał mu przedstawiający Sąd Ostateczny obraz, który kiedyś widział — po jednej stronie dmące w trąby anioły, a po drugiej grzesznicy, wleczeni do piekła w płataninie nagich kończyn oraz złego zachowania. Tutaj przeważali grzesznicy, choć od czasu do czasu odnosił wrażenie, że dostrzeżę kącikiem oka anioła. Obliznął z namysłem wargi, zastanawiając się, jaką właściwie substancję dał jego przyjacielowi doktor Hasdi.

Jamie po chwili wyszedł ze znajdującego się na końcu podwórza wychodka. Wyglądał trochę lepiej. Zauważył Iana i ruszył ku niemu, omijając grupki pijaków. Niektórzy z nich siedzieli na ziemi i śpiewali, inni zaś wałęsali się beładnie z niewyraźnymi uśmieškami, jakby czegoś szukali, ale nie wiedzieli czego.

Iana dopadła nagle odraza, bliska niemal przerażeniu. Bał się, że nigdy już nie zobaczy Szkocji, lecz umrze tutaj, pośród obcych.

— Wracajmy do domu — oznajmił nagle, gdy Jamie wszedł w zasięg słuchu. — Jak już uporamy się z tą robotą.

— Do domu?

Przyjaciel popatrzył na niego dziwnie, jakby Ian mówił w jakimś niezrozumiałym języku.

— Masz tam coś do załatwienia. Ja również. Powinniśmy...

Ich rozmowę przerwał krzyk, połączony z łoskotem przewracającego się stołu i grzechotaniem spadających na podłogę naczyń. Tyłne drzwi oberży otworzyły się nagle. Wypadła z nich kobieta krzycząca w jakimś dialekcie francuskiego. Ian nie rozumiał słów, po tonie jednak poznawał, że są wśród nich przekleństwa. Następnie rozległy się podobne słowa, wykrzyczane donośnym, męskim głosem. Za kobietą z oberży wypadł Mathieu.

Złapał ją za ramię, odwrócił i zdzielił w twarz grzbietem mięsistej dłoni. Ian wzdygnął się, usłyszawszy dźwięk. Przyjaciel zacisnął dłoń na jego nadgarstku.

— Co... — zaczął Jamie, ale zaraz ucichł.

— *Putain de... merde... tu fais... chier* — dyszał Mathieu, policzkując ją przy każdym słowie. Nie przestawała krzyczeć, próbując się wyrwać, ale trzymał ją mocno za ramię. Wtem odwrócił ją znowu, walnął mocno na plecy i obalił na kolana.

Jamie rozluźnił uścisk. Ian złapał go mocno za ramię.

— Nie rób tego — rzekł z napięciem w głosie i zaciągnął przyjaciela w cienie.

— Nic nie zrobiłem — odparł Jamie, ale mówił bardzo cicho, właściwie nie zwracając uwagi na słowa. Podobnie jak jego przyjaciel wlepiął wzrok w to, co się działo.

Padający przez drzwi blask oświetlał kobietę — jej obwisłe piersi, odsłonięte przez rozdartą bluzkę, a także wielkie okrągłe pośladki. Mathieu uniósł jej spódnice i stanął za nią. Jedną ręką

otwierał rozporek, drugą zaś trzymał dziwkę za włosy, odciągając jej głowę do tyłu. Poruszała spazmatycznie gardłem i wybałuszała oczy jak spanikowany koń.

— *Pute!* — zawołał i uderzył ją głośno w tyłek otwartą dłonią. — Mnie nikt nie odmawia!

Wziął kutasa w rękę i wepchnął go w kobietę tak gwałtownie, że jej pośladki zdrzały. Ian stał jak sparaliżowany.

— *Merde* — mruknął Jamie, równie cicho co przedtem. Na podwórko wyszli też inni mężczyźni oraz parę kobiet. Wszyscy ustawili się w krąg, ciesząc się widowiskiem, podczas gdy Mathieu zabrał się rzeczowo do roboty. Puścił włosy kobiety i złapał ją za pośladki. Jej głowa zwisała w dół, a twarz zakryły włosy. Stękała przy każdym pchnięciu, wysapując szpetne przekleństwa, rozśmieszające gapiów.

Ian był wstrząśnięty — w równym stopniu własnym podnieceniem, jak tym, co wyprawiał Mathieu. Nigdy dotąd nie widział stosunku, słyszał tylko chichoty i sapanie dobiegające spod koca, a od czasu do czasu dostrzegał też kawałek bladego ciała. Zdawał sobie sprawę, że powinien odwrócić wzrok. Ale tego nie zrobił.

Jamie zaczerpnął oddechu, ale nie sposób było odgadnąć, czy chce coś powiedzieć. Mathieu odrzucił wielką głowę do tyłu i zawył jak wilk. Wszyscy gapie nagrodzili go brawami. Potem wykrzywił konwulsyjnie twarz, odsłaniając krzywe zęby w uśmiechu. Wydał z siebie odgłos przyominający kwik szlachtowanej świni i zwałił się na kurwę.

Ta wyśliznęła się spod cielska mężczyzny, nie przestając go przeklinać. Ian rozumiał już jej słowa. Przeżyłby szok, gdyby był jeszcze do tego zdolny. Kobieta zerwała się na nogi — najwyraźniej nic się jej nie stało — i kopnęła Mathieu w żebra raz, a potem drugi. Nie miała jednak butów i nie wyrządziła mu zbyt wielkiej krzywdy. Sięgnęła po sakiewkę, nadal przytroczoną do jego pasa, wyciągnęła z niej garść monet, kopnęła Mathieu jeszcze raz na szczęście i wróciła dumnym krokiem do oberży, unosząc wysoko dekolt bluzki. Mężczyzna leżał na ziemi, śmiejąc się i charcząc. Spodnie opadały mu do połowy ud.

Ian usłyszał, że jego przyjaciel przełknął ślinę, i uświadomił sobie, że nadal ściska go za ramię. Puścił go. Twarz i szyja płonęły mu aż do połowy piersi. Nie sądził też, by twarz jego towarzysza zawdzięczała swą barwę pochodniom.

— Chodźmy... w jakieś inne miejsce — zaproponował.

* * *

— Trzeba było... coś zrobić — wygarnął Jamie. Po opuszczeniu „Le Poulet Gai” w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Przeszli na drugą stronę ulicy, skręcili w pobliski zaułek i po chwili dotarli do małej, względnie spokojnej oberży. Siedzieli tam Juanito i Raoul, zajęci grą w kości z grupką tubylców, ale spojrzeli tylko przelotnie na obu Szkotów.

— Nie wiem, jak moglibyśmy coś poradzić — stwierdził rozsądnie Ian. — No wiesz, gdybyśmy zaatakowali Mathieu we dwójkę, może wykręcilibyśmy się tylko okaleczeniami. Ale wiesz, że skończyłoby się na bijatyce z udziałem wszystkich gości. — Zawahał się i zerknął pośpiesznie na przyjaciela, nim znowu spojrzął na kielich. — A ona... była kurwą. To nie tak, jak...

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwał mu Jamie. — Ehe, masz rację. I sama z nim poszła. Bóg wie, co zrobił, że zwróciła się przeciwko niemu, ale na pewno jest mnóstwo możliwości. Gdyby tylko... Chrzanić to. Chcesz coś zjeść?

Ian potrząsnął głową. Karczmarzka przyniosła dzbanek wina, zerknęła na nich i zlekceważyła obu jako niegodnych uwagi. Trunek był cierpki i palił w usta, ale pod aromatami żywicy ukrywał się całkiem niezły smak. Nie rozcieńczono go też zbyt. Jamie pił więcej i szybciej niż zwykle. Czuł się nieswojo, był poirytowany i drażliwy, i pragnął, by to wrażenie minęło.

Były tu kobiety, ale nieliczne. Jamie doszedł do wniosku, że kurewstwo zapewne nie jest zbyt opłacalnym zajęciem, ponieważ większość tych biednych stworzeń wyglądała mizernie. Były wypaczone i brakowało im połowy zębów. Być może męczyło je, kiedy musiały... Odwrócił się od tej myśli, i przekonawszy się, że dzbanek jest pusty, poprosił karczmarzkę o następną.

Juanito wydał z siebie radosny okrzyk i powiedział coś w ladino. Jamie zerknął w tamtym kierunku i zauważył, że jedna z kryjących się w cieniu nierządnic podeszła ostentacyjnie do stołika i pocałowała zgarniającego wygraną najemnika. Młody Szkot prychnął cicho, próbując uwolnić nos od jej zapachu, który poczuł, gdy przechodziła obok. Cuchnęła zaschniętym potem i zepsutymi rybami. Alexandre powiedział mu kiedyś, że to od niemytych wstydliwych części, i Jamie mu wierzył.

Ponownie zajął się winem. Ian dotrzymał mu kroku, kielich po kielichu. Zapewne pił z tego samego powodu. Ian zwykle nie ulegał podobnym nastrojom, ale gdy już coś go wkurzyło, często nie puszczało aż do rana. Porządny sen uwalniał go od irytacji, ale do tej chwili lepiej go było nie drażnić.

Jamie zerknął z ukosa na przyjaciela. Nie mógł opowiedzieć mu o Jenny. Po prostu... nie mógł. Nie był też jednak w stanie o niej nie myśleć. Została sama w Lallybroch, być może z...

— O Boże — mruknął pod nosem. — Nie. Proszę. Nie.

Nie wracaj — rzekł mu Murtagh, i z pewnością mówił poważnie. No cóż, wróci, ale dopiero za pewien czas. Nie pomógłby siostrze, gdyby zjawił się teraz, przyciągając Randalla i czerwone kurtki, jak świeżo zabity jeleni przyciąga muchy... Przerażony młodzieniec pośpiesznie odepchnął od siebie tę analogię. Prawda wyglądała tak, że na myśl o Jenny robiło mu się niedobrze ze wstydu. Próbował powstrzymać tę reakcję i czuł się z tego powodu jeszcze bardziej zawstydzony, gdyż na ogół mu się to udawało.

Ian wlepił spojrzenie w inną ladacnicę. Była stara, z pewnością po trzydzieście, ale miała większość zębów i była też czystsza niż pozostałe. Ona również flirtowała z Juanitem oraz Raulem i Jamie zadał sobie pytanie, czy miałyby coś przeciwko temu, gdyby się dowiedziała, że są Żydami. Może kurwy nie mogły wybrzydzać.

Zdradziecki umysł natychmiast kazał mu wyobrazić sobie własną siostrę, zmuszoną wkroczyć na tę drogę życia, by nie umrzeć z głodu, przyjmować każdego mężczyznę, który... Matko Boża, co by jej zrobili sąsiedzi, dzierżawcy i służący, gdyby się o tym dowiedzieli? Gadaliby... Zacisnęła powiekę, licząc na to, że przegoni tę wizję.

— Tamta nie jest taka zła — odezwał się z namysłem Ian i Jamie otworzył oczy. Kurwa o lepszym wyglądzie pochylała się nad Juanitem, celowo pocierając piersią jego brodawkowate ucho. — Jeśli nie ma nic przeciwko Żydowi, może również...

Do twarzy Jamiego napływała krew.

— Jeśli chcesz myśleć o mojej siostrze, nie będziesz... plugawił się z francuską kurwą.

Twarz Iana utraciła wszelki wyraz, a potem znowu się zaczerwieniła.

— Tak? A jeśli powiem, że twoja siostra nie jest tego warta?

Pięść Jamiego trafiła go w oko. Ian zwałił się na plecy, przewracając ławę i uderzając w sąsiedni stolik. Jamie ledwie to zauważył, ponieważ ból wypełnił mu rękę ogniem i siarką, od zmiążdżonych kostek aż po przedramię. Młodzieniec zakłysał się, wciskając zranioną dłoń między uda. Przeklinał swobodnie w trzech różnych językach.

Ian siedział na podłodze, zgięty w pół, trzymając się za oko i oddychając płytko przez ustach. Wprostował się po jakiejś minucie. Wokół oka tworzył mu się już obrzęk, a po zapadniętym policzku spływały łzy. Wstał, potrząsnął powoli głową i postawił ławę na miejscu. Potem usiadł na niej, wziął kielich w rękę, pociągnął głęboki łyk, odstawił naczynie i wypuścił powietrze z płuc. Wziął chusteczkę, którą podał mu towarzysz, i przyłożył ją do oka.

— Przepraszam — zdołał wydusić Jamie. Ból w jego ręce słabł już, ale serce nadal wypełniało mu cierpienie.

— Ehe — odparł cicho Ian, nie patrząc mu w oczy. — Też żałuję, że czegoś nie zrobiliśmy. Może zjemy miskę gulaszu?

* * *

Dwa dni później wyruszyli do Paryża. Po dłuższym zastanowieniu D'Eglise zdecydował, że Rebeka i jej służąca będą podróżowały karetą, eskortowane przez Jamiego oraz Iana. Kapitan i reszta oddziału zajmą się pieniędzmi. Część ludzi wyśle się przodem w małych grupkach, by sprawdzali drogę. W ten sposób będą też mogli jechać na zmianę, nie urządzając postojów. Kobiety rzecz jasna będą się musiały zatrzymywać, ale ponieważ nie będą miały ze sobą nic

cennego, powinny być bezpieczne.

Dopiero gdy przyjechali po nie do rezydencji doktora Hasdiego, dowiedzieli się, że zwój z Torą oraz opiekujący się nim poważnie wyglądający mężczyzna w średnim wieku, którego przedstawiono im jako monsieur Peretza, mają towarzyszyć Rebecę.

— Panowie, powierzam wam swe najcenniejsze skarby — oznajmił im Hasdi za pośrednictwem córki, po czym ukłonił się uprzejmie.

— Obyś się przekonał, że zasługujemy na twe zaufanie, czcigodny — zdołał wydukać Jamie po hebrajsku. Ian pokłonił się bardzo głęboko, kładąc dłoń na sercu. Doktor Hasdi przeniósł parę razy spojrzenie z jednego na drugiego z nich, pochylił lekko głowę i podszedł do Rebeki, by pocałować ją w czoło.

— Jedź z Bogiem, dziecko — wyszeptał w języku na tyle zbliżonym do hiszpańskiego, że Jamie go zrozumiał.

* * *

Pierwszego dnia wszystko szło zgodnie z planem i pierwszej nocy również. Utrzymywała się piękna jesienna pogoda, w powietrzu unosił się przyjemny chłodek, a konie były zdrowe. Doktor Hasdi wręczył Jamiemu sakiewkę na pokrycie kosztów podróży i wszyscy dobrze się najedli oraz spędzili noc w bardzo przyzwoitej gospodzie — Iana wysłano przodem, by ją sprawdził oraz upewnił się, że nie czekają ich tam żadne paszkiwne niespodzianki.

Następny dzień zaczął się pochmurną pogodą, ale wkrótce nadszedł wiatr, który rozpędził chmury, pozostawiając czyste, szafirowe niebo. Jamie jechał przodem, a Ian był w tylnej straży. Mimo że droga była kręta i pełna kolein, karetka posuwała się naprzód w szybkim tempie. Gdy jednak wjechali na szczyt niewysokiego wzgórza, młodzieniec zauważył, że trakt jest przecięty przez wąski strumień i utworzyło się szerokie na jakieś dziesięć stóp bajoro. Zatrzymał nagle konia i uniósł rękę, każąc stanąć karecie. Podjechał do niego Ian.

— Co... — zaczął, ale zaraz umilkł. Stangret przez chwilę ściągał lejce, lecz usłyszawszy ostrzegawczy krzyk dobiegający z karety, popędził konie i wehikuł ruszył naprzód, mijając o włos Jamiego. Jego wierzchowiec spłoszył się gwałtownie, strącając jeźdźca w krzaki.

— Jamie! Nic ci się nie stało?

Rozdarty między troską o przyjaciela a obowiązkiem Ian powstrzymał konia, rozglądając się na boki.

— Zatrzymaj ich! Dogoń! *Ifrinn!*

Jamie wygramolił się bokiem z chaszczy. Twarz miał podrapaną i czerwoną z gniewu. Ian nie czekał na niego. Popędził konia kopniakiem i ruszył w pogoń za ciężką karetą, która przechyliła się teraz na boki, wjechawszy na podmokły odcinek. Rozległy się pisłkiwie, kobiece krzyki sprzeciwu,

zgałszył je jednak wrzask stangreta.

— *Ladrones!*

To hiszpańskie słowo Szkot znał — „złodzieje”. Jeden z *ladrones* wdrapywał się już na bok karety niczym pająk. Stangret natychmiast zeskokczył z koźła i zwiął.

— Tchórz! — ryknął Ian, po czym wydał z siebie ogłuszający szkocki okrzyk bojowy. Zaprzężone do karety konie zatańczyły, miotając na boki łbami. Kandydat na porywacza nie był w stanie poradzić sobie z lejcami. Ian zdołał wprowadzić własnego konia — któremu okrzyk również nie spodobał się nawet w najmniejszym stopniu — w wąską lukę między karetaą a krzakami. Kiedy zrównał się z napastnikiem, miał już w ręce pistolet. Wycelował w bandytę — młodego mężczyznę o długich blond włosach — i krzykiem nakazał mu się zatrzymać.

Tamten zerknął na niego, pochylił się nisko i smagnął lejcami grzbiety koni, poganiając zwierzęta głosem twardym jak żelazo. Ian wystrzelił i chybił, ale chwila zwłoki pozwoliła Jamieu ich dogonić. Zobaczył rude włosy przyjaciela, który wdrapał się od tyłu na karetaę. Ze środka dobiegły kolejne krzyki, gdy młodzieniec przebiegł po dachu i skoczył na jasnowłosego bandytę.

Ian zostawił ten problem przyjacielowi i pogonił wierzchowca kopytami. Chciał przesunąć się nieco do przodu i złapać za lejce, ale ubiegł go kolejny złodziej, który chwycił uzdę jednego z koni. *No cóż, za pierwszym razem się udało* — pomyślał Ian. Wypełnił płuca powietrzem tak bardzo, jak tylko mógł, i wydał z siebie kolejny wrzask.

Konie w zaprzęgu spłoszyły się, tryskając błotem na wszystkie strony. Jamie i jasnowłosy napastnik spadli z koźła, a skurwysyn na trakcie zniknął. Być może leżał stratowany w kałuży. Ian miał taką nadzieję. Oczy zaszyły mu krwią. Ściągnął wodze podeksycowanego wierzchowca, wyciągnął miecz i ruszył do szarży, wrzeszcząc jak *ban-sidhe* i wymachując orężem na boki. Dwaj złodzieje spojrzeli na niego, rozdziawiając usta, a potem rzucili się do ucieczki.

Ściagał ich przez krótką chwilę, ale zarośla były za gęste dla jego konia. Zawrócił i zobaczył, że Jamie tarza się na drodze, okładając pięściami jasnowłosego chłopaka. Ian zawahał się — pomóc przyjacielowi czy zająć się karetaą? Głośny trzask oraz przeraźliwe krzyki pomogły mu podjąć decyzję. Popędził wzdłuż traktu.

Pozbawiony powożącego pojazd zjechał z drogi, ugrzązł w błocie i przewrócił się na bok. Sądząc po dobiegającej ze środka paplaninie, kobietom najprawdopodobniej nic się nie stało. Zeskokczył z siodła, pośpiesznie owiązał wodze wokół drzewa i poszedł zająć się końmi z zaprzęgu.

Minęło sporo czasu, nim zdołał w pojedynkę uporać się z tym zadaniem. Na szczęście zwierzęta nie wyrządziły sobie zbyt wielkiej krzywdy. Nie pomagały mu też dobiegające z karety głosy dwóch podeksycowanych kobiet, rozmawiających w niezrozumiałej dla niego mieszance francuskiego i ladino.

I całe szczęście — pomyślał, machając do nich od niechcienia ręką, której potrzebował obecnie do innych zadań. — *W niczym by mi nie pomogło, gdybym rozumiał, co mówią.* Potem jednak usłyszał słowo „martwy” i zmienił zdanie. Monsieur Peretz był z reguły tak małowówny, że w całym tym zamieszaniu Ian zapomniał o jego istnieniu. Teraz mówił jeszcze mniej. Skręcił sobie kark, gdy karetka się przewróciła.

— O Jezus! — zawołał Ian, usłyszawszy tę wiadomość. Podbiegł do karety, by to sprawdzić. Mężczyzna z całą pewnością nie żył, a konie nadal powodowały zamieszanie, ślizgając się i tupiąc w wypełniającym rów błocie. Przez chwilę był zbyt zajęty, by martwić się o Jamiego, ale gdy zdołał wyprząc drugiego konia i bezpiecznie przywiązać go do drzewa, zaczął się zastanawiać, gdzie się podział chłopak.

Nie uważał, by mógł bezpiecznie zostawić kobiety same. *Banditti* mogli wrócić, a gdyby tak się stało, wyszedłby na kompletnego matola. Nigdzie nie było widać ich stangreta, który najwyraźniej uciekł, zostawiając damy na pastwę losu. Ian kazał im usiąść pod jaworem i podał im manierkę, by się napiły. Po chwili przestały mówić tak okropnie szybko.

— Gdzie jest Diego? — zapytała Rebeka całkiem zrozumiałym tonem.

— Och, wkrótce się zjawi — zapewnił Ian, mając nadzieję, że to prawda. Zaczynał się jednak niepokoić.

— Może jego również zabili — odezwała się służka. Pani przesyła ją pełnym irytacji spojrzeniem.

— I jakbyś się wtedy poczuła? Jestem pewna, że on nie... że tak się nie stało. Jestem pewna — powtórzyła Rebeka, choć w jej głosie nie pobrzmiwała pewność.

Okazało się jednak, że miała rację. Gdy tylko Ian zdecydował się wrócić z kobietami do miejsca napadu, by się rozejrzały, Jamie wyłonił się zza zakrętu, osunął na suchą trawę i zamknął oczy.

— Nic ci się nie stało? — zapytała Rebeka, pochylając się z niepokojem nad młodzieńcem. Przyjrzała mu się spod ronda słomianego podróżnego kapelusza. Ian pomyślał, że jego przyjaciel nie wygląda najlepiej.

— Ehe, nic mi nie jest. — Dotknął potylicy i skrzywił się nieco. — Tylko trochę oberwałem w głowę. Od tego, który przewrócił się na drodze — wyjaśnił Ianowi, znowu zamykając oczy. — Podniósł się i przywalił mi od tyłu. Nie straciłem przytomności, ale przez chwilę nie wiedziałem, co się dzieje. Kiedy wróciłem do siebie, obaj już zniknęli. Ten, który mnie uderzył, i ten, którego biłem.

— Mhmm — mruknął Ian i przykucnął obok przyjaciela. Uniósł kciukiem jedną z jego powiek i wpatrzył się z uwagą w niebieskie, przekrwione oko. Nie miał pojęcia, czego tam szukać, ale widział, jak robił to *père* Renault. Potem z reguły przystawiał gdzieś pijawki. Oczywiście Jamiego

wydawały się jednak Ianowi normalne, a poza tym nie dysponował żadnymi pijawkami. Wręczył młodzieńcowi manierkę i poszedł obejrzyć konie.

— Dwa są w niezłym stanie — oznajmił po powrocie. — Jasny gniadosz okulał. — Czy twojego zabrali bandyci? I co ze stangretem?

— Zapomniałem, że miałem konia — wyznał Jamie z zaskoczoną miną. — Nie wiem, co się stało ze stangretem, ale nie widziałem, żeby leżał na tracie. — Rozejrzył się wkoło z niepewną miną. — Gdzie monsieur Korniszon?

— Nie żyje. Zostań tutaj, dobra?

Ian wyprostował się z westchnieniem, po czym cofnął się kawałek wzdłuż traktu. Nigdzie nie zauważył stangreta, choć krążył przez jakiś czas, nawołując go. Na szczęście udało mu się znaleźć konia Jamiego, spokojnie skubiącego trawę na poboczu. Gdy wrócił na nim, kobiety stały na trakcie, cicho rozmawiając. Co chwila rozglądały się na obie strony albo stawały na palcach, starając się wypatrzeć coś pomiędzy drzewami.

Jamie nadal siedział na ziemi z zamkniętymi oczyma, ale przynajmniej się wyprostował.

— Dasz radę jechać, chłopie? — zapytał cicho Ian, kucując obok przyjaciela.

Ku jego uldze młodzieniec natychmiast otworzył oczy.

— Ehe. Myślisz, że powinniśmy pojechać do Saint-Aubaye i wysłać kogoś z powrotem po karetę i Peretza?

— A co innego możemy zrobić?

— Nic mi nie przychodzi do głowy. Raczej nie możemy go zabrać ze sobą. — Jamie wstał. Zachwiał się lekko, ale nie musiał się trzymać drzewa. — Jak myślisz, czy nasze kobiety umieją jeździć?

Okazało się, że Marie to potrafi, przynajmniej w niewielkim stopniu, ale Rebeka nigdy w życiu nie siedziała na koniu. Dyskusja na temat zwłok monsieur Peretza trwała tak długo, że Ian nie wierzył własnym uszom. Wreszcie ułożył ciało porządnie na siedzeniu karety i zakrył mu twarz chusteczką dla osłony przed muchami. Wszyscy dosiedli koni. Jamie siedział na swoim wierzchowcu, przytroczywszy za siodłem zwój z Torą owinięty w brezent. Mając do wyboru sprofanowanie świętego tekstu dotykaniem goja oraz pozostawienie go w karecie, gdzie każdy mógłby go znaleźć, kobiety z niechęcią zdecydowały się na tę pierwszą opcję. Służka dosiadła jednego z koni z zaprzęgu, niosącego prowizoryczne juki zrobione z siedzeń karety. Wypełniono je tyłoma rzeczami obu kobiet, ile tylko dało się do nich wepchnąć. Ian posadził Rebekę na siodle przed sobą.

Dziewczyna wyglądała jak laleczka, ale była zaskakująco masywna. Przekonał się o tym, gdy postawiła nogę na jego stopie i podrzucił ją na siodło. Nie dała rady przerzucić nogi przez koński grzbiet, a po prostu leżała na siodle jak zabity jelen, energicznie wymachując wszystkimi

kończynami. Posadzenie jej pionowo i zajęcie miejsca za nią okazało się znacznie trudniejszym zadaniem niż uporanie się z końmi. Twarz miał poczerwieniałą i zalewał go pot.

Jamie spojrział na niego, unosząc brwi. Na jego twarzy zazdrość szła o lepsze z rozbawieniem. Ian mrugnął w odpowiedzi do przyjaciela i objął talię Rebeki, by przycisnąć ją do siebie. Miał nadzieję, że on sam nie śmierdzi zbyt mocno.

* * *

Zapadł już zmierzch, gdy dotarli do Saint-Aubaye i gospody, w której znaleźli dwa wolne pokoje. Ian pogadał z właścicielem i udało się załatwić pochówek monsieur Peretza. Kobiety nie były zadowolone z braku odpowiednich przygotowań do pogrzebu, upierały się jednak, że zmarłego trzeba pochować przed następnym zachodem słońca, nie mogli więc zrobić nic więcej. Następnie Ian sprawdził pokój kobiet, zajrzał pod łóżka, zamknął stanowczo okiennice i powiedział „dobranoc”. Obie kobiety ledwo trzymały się na nogach.

Wróciwszy do drugiego pokoju, usłyszał cichy dźwięk dzwoneczków. Jamie klęczał na podłodze, wpychając pod łóżko zawiniątko z Torą.

— To wystarczy — stwierdził, kucając z westchnieniem. Ian pomyślał, że jego przyjaciel wygląda na prawie tak samo wykończony jak Rebeka i Marie, nie powiedział jednak tego na głos.

— Pójdę zamówić jakąś kolację — oznajmił. — Czulem zapach pieczonego. Kawalek mięsa, a do tego może...

— Cokolwiek mają — przerwał mu z pasją Jamie. — Niech przyniosą wszystko.

* * *

Wszyscy najedli się do syta w swych pokojach. Jamie zaczynał już odnosić wrażenie, że druga porcja *tarte tatin* z maślaną śmietaną była błędem, gdy nagle do ich izby weszła Rebeka. Za nią podążała służąca, niosąca tacę. Z ustawionego na niej dzbanka buchała aromatyczna para. Jamie usiadł prosto, tłumiąc krzyk, gdy ból przeszył mu głowę. Rebeka przyjrzała mu się z zaszępioną miną i troską w oczach.

— Bardzo boli cię głowa, Diego?

— Nie, wszystko w porządku. Tylko trochę oberwałem w łeb.

Pocił się i czuł niepokój w brzuchu, ale wsparł się mocno dłońmi na stoliku i był pewien, że wygląda dobrze. Najwyraźniej jednak dziewczyna była innego zdania. Podeszła bliżej i z uwagą spojrziała mu w oczy.

— Chyba nie — sprzeciwiła się. — Jesteś... ośliszły.

— Hmm. Naprawdę? — odparł słabym głosem.

— Jeśli chciała przez to powiedzieć, że wyglądasz jak świeżo wyjęty z muszli małż, to tak — poinformował go Ian. — No wiesz, bład, wilgotny i...

— Wiem, co to znaczy „oślizły”, tak?

Jamie tyknął spode łba na przyjaciela, który w odpowiedzi uśmiechnął się półgębkiem. Cholera, rzeczywiście musiał wyglądać okropnie. Ian naprawdę się o niego martwił. Przełknął ślinę, zastanawiając się nad jakąś dowcipną uwagą, która uspokoiłaby jego przyjaciela, lecz nagle dopadł go atak mdłości i był zmuszony mocno zacisnąć usta oraz powieki, ze wszystkich sił starając się powstrzymać wymioty.

— Herbaty — zażądała stanowczo Rebeka. Wzięła dzbanek i napełniła kubek jego zawartością, a następnie włożyła naczynie w dłonie Jamiego, objęła je własnymi i uniosła kubek do ust młodzieńca. — Wypij. To ci pomoże.

Posłuchał jej i rzeczywiście pomogło. Wnętrznosci natychmiast się uspokoiły. Poznawał smak herbaty, choć napój zawierał chyba też kilka innych składników.

— Jeszcze.

Kubek napełniono ponownie. Tym razem Jamie zdołał wypić jego zawartość samodzielnie. Poczł się wyraźnie lepiej. Głowę nadal wypełniał mu ból, pulsujący w rytm uderzeń serca, ale z jakiegoś powodu wydawał się teraz bardziej odległy.

— Przez pewien czas nie powinieneś zostawać sam — poinformowała go Rebeka. Usiadła, elegancko zawijając spódnice wokół kostek Jamie otworzył usta, chcąc powiedzieć, że przecież nie jest sam, bo towarzyszy mu Ian, ale zauważył na czas spojrzenie przyjaciela i nie odezwał się ani słowem.

— Ci bandyci — zwróciła się Rebeka do Iana, marszcząc ładne czoło. — Jak sądzisz, kim byli?

— Hmm... to zależy. Jeśli wiedzieli, kim jesteśmy, i chcieli cię porwać... to jedna z możliwości. Ale może to byli tylko przypadkowi złodzieje, którzy zobaczyli karetę i pomyśleli, że spróbują ją obrabować. Nie rozpoznałaś przy padkiem któregoś z nich?

Rebeka szeroko otworzyła oczy. Oszołomiony Jamie pomyślał, że jednak nie mają takiego koloru jak oczy Annalise. Ich brąz był delikatniejszy... jak pióra na piersi kuropatwy.

— Wiedzieli, kim bylam? — wyszeptwała. — Chcieli mnie porwać? — Przełknęła ślinę. — Myślisz, że to możliwe? — zapytała z lekkim drżeniem.

— Nie wiem, oczywiście. Hej, *a nighean*, chyba też powinnaś wypić łyczek tej herbaty.

Ian wyciągnął długą rękę po dzbanek, ale Rebeka odsunęła go, potrząsając głową.

— Nie. To lekarstwo i Diego go potrzebuje. Mam rację? — zapytała, podchodząc do Jamiego i spoglądając mu z powagą w oczy. Zdjęła kapelusz i ukryła włosy — a przy najmniej ich większą część — pod białym, koronkowym czepkiem ozdobionym różową wstążką. Młodzieniec skinął posłusznie głową.

— Marie, przy nieś, proszę, trochę brandy. Szkok..

Ponownie przełknęła ślinę i opłota się na moment ramionami. Jamie zauważył, że uniosła w ten sposób piersi, które wysunęły się nieco nad gorset. W jego kubku zostało jeszcze trochę herbaty i dopił ją odruchowo.

Marie przyniosła brandy i nalała Rebecę, a na jej gest również Ianowi. Gdy Jamie odchrząknął uprzejmie, wypełniła do połowy jego kubek, dopełniając naczynie herbatą. Smak był osobliwy, ale Szkot mógł go zaakceptować. Ból odsunął się na drugi koniec pokoju. Młodzieniec widział go tam — małe, fioletowe stworzenie, łypiące na niego ze złośliwym wyrazem oblicza. Roześmiał się do niego i Ian zmarszczył brwi.

— Z czego tak chichoczesz?

Jamie nie potrafił opisać małej bestii, która była bólem, potrząsnął więc tylko głową, co okazało się błędem. Ból nagle zrobił radosną minę i wskoczył ponownie pod jego czaszkę z dźwiękiem przypominającym trzask rozdzieranej tkaniny. Pokój zawirował i młodzieniec musiał złapać się stolika obiema dłońmi.

— Diego!

Krzesa zaszczyły o podłogę i znowu rozległa się paplanina, na którą nie zwracał uwagi. Kiedy się ocknął, leżał na łóżku, patrząc na sufitowe belki. Miał wrażenie, że jedna z nich rozdława się powoli, jakrosnące pnącze.

— ...i powiedział kapitanowi, że wśród Żydów znajdzie się ktoś, kto coś wie... — Głos Iana brzmiał poważnie i uspokajająco. Mężczyzna mówił powoli, by Rebeka mogła pojąć jego słowa. Jamie pomyślał jednak, że dziewczyna może rozumieć więcej, niżby się zdawało. Rozszczepiająca się belka nieśpiesznie porastała zielonymi listeczkami. Przez głowę młodzieńca przemknęła niejasna myśl, że to niezwykle, ale ogarnął go spokój tak wielki, że nic mu nie przeszkadzało.

Rebeka mówiła coś cichym, pełnym niepokojem głosem. Jamie ze sporym wysiłkiem zwrócił głowę w jej stronę. Pochyliła się nad stolikiem ku Ianowi, który ujął dłonie dziewczyny w swe wielkie łapska, zapewniając, że on i Jamie nie pozwolą, by spotkało ją coś złego.

Nagle pojawiła się inna twarz. Służąca Marie spoglądała na Jamiego z zaszępioną miną. Brutalnie odciągnęła jego powiekę i zajrzała mu do oka z tak bliska, że czuł woń czosnku w jej oddechu. Zamrugał intensywnie.

— Hmm — mruknęła i odwróciła się, aby powiedzieć coś Rebecę. Ta odpowiedziała jej pospiesznie w języku ladino. Służąca potrząsnęła niepewnie głową, ale wyszła z pokoju.

Twaz jednak tu zostawiła. Jamie nadal ją widział. Spoglądała na niego z góry z zaszępioną miną. Przytwardziła się teraz do liściastej belki. Młodzieniec uświadomił sobie, że jest tam wąż. Wąż z głową kobiety, trzymający w ustach jabłko. Coś tu było nie w porządku. Z pewnością to

powinna być świnia? Gad spelzł w dół po ścianie i znalazł się na piersi Szkota, przy suwając jabłko do jego twarzy. Pachniało cudownie i Jamie pragnął je ugryźć, ale nim zdążył to zrobić, poczuł, że ucisk ciała węża zmienił charakter. Stał się miękki i ciężki. Wygiął plecy w lekki łuk, czując, że dotykają go wielkie, krągłe piersi. Ogon stworzenia — w większej części zmieniło się już w kobietę, ale tylna część pozostała wężowa — głaskał go delikatnie po udzie od wewnętrznej strony.

Z ust Jamiego wyrwał się przenikliwy dźwięk. Ian podbiegł do jego łóżka.

— Co ci jest, chłopie?

— Och... Och! Jezu, zrób to jeszcze raz!

— Co mam... — zaczął Ian, ale Rebeka podeszła bliżej i położyła dłoń na jego ramieniu.

— Nie obawiaj się — rzekła, przyglądając się z uwagą Jamiemu. — Nic mu nie jest. To lekarstwo... czasami wywołuje dziwne sny.

— Nie wygląda na śpiącego — odparł z niedowierzaniem Ian. W gruncie rzeczy Jamie wiercił się w łóżku, a przynajmniej tak mu się zdawało, próbując skłonić dolną połowę ciała kobiety węża, by również się zmieniła. Z pewnością dyszał. Słyszał to.

— To sen na jawie — wyjaśniła uspokajająco Rebeka. — Chodź, zostawmy go. Wkrótce zapadnie w głęboki sen, sam zobaczysz.

Jamie nie sądził, by zasnął, ale po pewnym czasie stało się jasne, że ma za sobą niezwykłą schadzkę z wężową demonicą — nie był pewien, skąd wie, że była demonicą, ale przecież musiała nią być — która nie zmieniła swej dolnej połowy, ale za to miała bardzo kobiece usta — a także z grupą jej przyjaciółek, małych demoniczek, które z wielkim entuzjazmem lizaly mu uszy... oraz inne części ciała.

Odwrocił głowę na poduszce, by dać jednej z nich lepszy dostęp i zobaczył bez zaskoczenia, że Ian całuje Rebekę. Pusta butelka po brandy leżała przewrócona, miał też wrażenie, że widzi widmo woni trunku, które unosiło się w powietrzu niczym dym, otaczając ich dwoje poprzeshywaną tęczmami mgiełką.

Zacisnął powieki, by móc poświęcić więcej uwagi wężycy, która miała teraz wiele nowych, interesujących towarzyszek. Gdy po pewnym czasie otworzył oczy, Iana i Rebeki już nie było.

W pewnej chwili usłyszał stłumiony krzyk przyjaciela i zadał sobie niejasno pytanie, co się stało. Nie wydawało się to jednak zbyt ważne. Myśl odpłynęła i Jamie zasnął.

Obudził się po pewnym czasie. Był bezwładny jak zamrożony liść kapusty, ale ból głowy zniknął. Przez jakiś czas młodzieniec leżał bez ruchu, ciesząc się tym wrażeniem. W pokoju było ciemno. Dopiero po dłuższej chwili poczuł woń brandy i uświadomił sobie, że Ian spoczywa obok niego.

Wróciły wspomnienia. Potrzebował trochę czasu, by oddzielić prawdę od złudzeń, był jednak

pewien, że widział, jak Ian i Rebeka się obejmują. Co tu się wydarzyło, do diaska?

Wyczuł, że jego przyjaciel nie śpi. Ian leżał sztywno jak jedna z figur nagrobnych w St. Denis. Oddech miał szybki i urywany, jakby przed chwilą przebiegł miłą pod górę. Jamie odchrząknął i Ian poderwał się gwałtownie, jak ukłuty szpillką.

— I jak było? — wyszeptał Jamie. Jego towarzysz przestał nagle oddychać i przełknął głośno ślinę.

— Jeśli powiesz siostrze choć jedno słowo — zaczął pełnym pasji szeptem — zadżgam cię we śnie, urnę ci głowę i kopnę ją aż do Arles i z powrotem.

Jamie nie chciał myśleć o siostrze, miał za to ochotę wysłuchać opowieści o Rebecce.

— I jak było? — powtórzył więc tylko.

Ian chrząknął cicho, zastanawiając się, od czego zacząć. Odwrócił się, spoglądając na przyjaciela.

— No dobra. Bredziłeś coś o nagich diabolicach, z którymi się zabawiałeś. Pomyślałem sobie, że dziewczyna nie powinna słuchać takich rzeczy, więc zaproponowałem, żebyśmy przeszli do drugiego pokoju i...

— To było, zanim jeszcze ją pocałowałeś, czy już potem? — przerwał mu Jamie. Ian wciągnął mocno powietrze przez nos.

— Potem — odparł zwięźle. — I ona też mnie całowała, tak?

— Ehe, zauważyłem to. I co...?

Poczuł, że Ian wierci się powoli, jak robak na haczyku, ale czekał cierpliwie. Jego przyjaciel często potrzebował dłuższej chwili, by odnaleźć słowa, lecz z reguły oczekiwanie było tego warte. W tym przypadku z pewnością.

Jamie przeżył lekki szok połączony z atakiem jawnej zazdrości. Zastanawiał się, co się stanie, gdy narzeczony Rebeki odkryje, że nie jest dziewicą, podejrzewał jednak, że może się nie zorientować. Dziewczyna była sprytna. Na wszelki wypadek lepiej jednak byłoby opuścić oddział D'Eglise'a i skierować się na południe.

— Myślisz, że obrzezanie jest bardzo bolesne? — zapytał nagle Ian.

— Z pewnością. Jak mogłoby być inaczej? — Odszukał dłonią własny członek i dla pewności otarł kciukiem kontrowersyjny fragment. Co prawda, nie był zbyt wielki, ale...

— Robią to małym chłopcom — zauważył Ian. — To nie może być aż takie straszne, co?

— Mhmm — mruknął bez przekonania. — Pewnie masz rację — dodał jednak, chcąc być sprawiedliwy. — I Chrystusowi też to zrobili.

— Naprawdę? — zdumiał się Ian. — Ehe, pewnie tak. O tym nie pomyślałem.

— No cóż, na ogół nie pamiętamy, że był Żydem, tak? Ale urodził się jako jeden z nich.

Na moment zapadła pełna zamyślenia cisza. Wreszcie Ian odezwał się znowu:

— Myślisz, że Jezus kiedyś to robił? No wiesz, z dziewczyną, zanim zaczął nauczać?

— Myślę, że *père* Renault zaraz dorwie cię za bluźnierstwo.

Ian zdrzął, jakby bał się, że ksiądz ukrywa się w cieniach.

— Tu go nie ma, dzięki Bogu.

— Ehe, ale będziesz musiał się u niego wyświadczyć, tak?

Ian wyprostował się nagle, otulając się kiltiem.

— Co?

— Bo w przeciwnym razie pójdziesz do piekła, jeśli cię zabiją — zauważył Jamie, wyraźnie zadowolony z siebie. Przez okno do środka wpadał blask księżyca. Widział twarz Iana, zapadniętą i głęboko zaniepokojoną. Jego głęboko osadzone oczy przesuwają się z prawej ku lewej i z powrotem — między Scyllą a Charybdą. Nagle odwrócił głowę w stronę Jamiego, zauważywszy szansę otwartego kanału między groźbami piekła i *père* Renaulta.

— Poszedłbym do piekła tylko wtedy, gdyby to był grzech śmiertelny — oznajmił. — Jeśli jest powszedni, spędzę może z tysiąc lat w czyścisku. To by nie było takie złe.

— Pewnie, że śmiertelny — odparł poirytowany Jamie. — Wszyscy wiedzą, że cudzołóstwo jest grzechem śmiertelnym, ty głupku.

— Tak ale... — Ian wykonał ręką gest znaczący „zaczęła chwilkę” i pogrążył się w głębokim zamyśleniu. — Żeby grzech mógł być śmiertelny, musi spełniać trzy warunki. To znaczy... — Uniósł palec wskazujący. — Materia musi być poważna. — Palec środkowy. — Musisz go popełnić w pełnej świadomości. — Palec serdeczny. — I musisz to zrobić dobrowolnie. Tak to wygląda, zgadza się?

Opuścił rękę i spojrzał na Jamiego, unosząc brwi.

— Ehe, a którego z tych warunków nie spełniłeś? Dobrowolności? Czy cię zgwałciła? — Kpił, ale przyjaciel odwrócił od niego twarz na sposób, który obudził w Jamie w wątpliwości. — Ian?

— Niece... — zaprzeczył starszy z mężczyzn, ale w jego głosie również słyszało się niepewność. — To nie było do końca tak. Miałem na myśli tę poważną materię. Nie sądzę, by... Jego głos ucichł.

Jamie uniósł się, wsparty na jednym łokciu.

— Ian — rzekł twardym jak stal głosem. — Co właściwie zrobiłeś tej dziewczynie? Jeśli zabrałeś jej dziewictwo, to jest poważna sprawa. Zwłaszcza że jest zaręczona. Och... — Nasunęła mu się pewna myśl. Pochylił się ku przyjacielowi. — Czy nie była dziewczyną? — zapytał cichym głosem. — Może to co innego.

Jeśli dziewczyna była zwykłą ladacnicą, być może... jeśli się nad tym zastanowić, pewnie pisała też poezję.

Ian oplótł kolana ramionami i wsparł na nich czoło. Tkanina kiltu tłumiała jego głos.

— Nie wiem... — wykrztusił ochryple.

Jamie wyciągnął rękę i wpił mocno palce w łydkę przyjaciela. Ian wyprostował się z nagłym krzykiem, tak głośnym, że ktoś w sąsiednim pokoju poruszył się i stęknął przez sen.

— Czego nie wiesz? — wyszczał. — Jak mogłeś tego nie zauważyć?

— Hmm... no cóż... ona... hmm... obsłużyła mnie ręką — wyznał Ian. — Zanim mogłem...

— Och.

Jamie przetoczył się na plecy, nieco podupał na duchu, choć nie na ciele. Jego kutas nadal pragnął usłyszeć dalsze szczegóły.

— Czy to jest poważna materia? — zapytał Ian, ponownie zwracając twarz ku przyjacielowi.

— A może... no cóż, nie mogę powiedzieć, że zrobiłem to z własnej woli, bo miałem na myśli coś zupełnie innego, ale...

— Myślę, że zmierzasz do złego miejsca — skwitował Jamie. — Chciałeś to zrobić, bez względu na to, czy ci się udało, czy nie. I jak do tego doszło, skoro już o tym mowa? Czy po prostu... złapała za niego?

Ian wydał z siebie bardzo długie westchnienie i skrył głowę w dłoniach. Wyraźnie cierpiał.

— No wiesz, całowaliśmy się przez dłuższą chwilę, a potem wypiliśmy więcej brandy. Znacznie więcej. Hmm... wypełniła nią usta, pocałowała mnie i hmm... przelała ją do moich ust, a potem...

— *Ifrinn!*

— Prześtań mówić o piekle, dobra? Nie chcę o nim słuchać.

— Przepraszam. Mów dalej. Czy pozwoliła ci pomacać piersi?

— Tylko trochę. Nie chciała zdjąć gorsetu, ale czułem sutki przez tkaninę... Czy coś powiedziałaś?

— Nie — zaprzeczył z wysiłkiem Jamie. — I co wydarzyło się potem?

— Wsadziła mi rękę pod kilt i cofnęła ją nagle, jakby dotknęła węża.

— A dotknęła?

— Ehe, dotknęła. I przeżyła szok. Mógłbyś tak nie prychać? — zapytał poirytowany Ian. — Obudzisz całą gospodę. Dlatego, że nie jestem obrzezany.

— Aha. Czy dlatego nie chciała tego zrobić... normalnie?

— Nie powiedziała tego, ale może i tak. Potem jednak zapragnęła go obejrzeć, a później... no wiesz.

— Mhmm. — Porównując nagie demonice z ryzykiem potępienia, Jamie doszedł do wniosku, że Ian miał tej nocy więcej szczęścia. Wtem nasunęła mu się pewna myśl. — Czemu zapytałeś, czy obrzezanie boli? Chyba nie masz ochoty tego zrobić? Dla niej?

— Nie mogę rzec, że to mi nie przyszło do głowy — przyznał Ian. — No wiesz... pomyślałem

sobie, że w tej sytuacji może powinienem się z nią ożenić. Ale pewnie nie mógłbym zostać Żydem, nawet gdybym zdobył się na odwagę. Mamuśka urwałaby mi głowę, gdybym to zrobił.

— Masz rację — zgodził się Jamie. — Na pewno by urwała. A ty poszedłbyś do piekła. — Myśl o niezwyklej, delikatnej Rebecce ubijającej masło w górskiej chacie albo deptającej bosymi stopami nasączoną moczem wełnę była śmieszniejsza niż wizja Iana w jarmułce i z bokobrodami... ale tylko odrobinę. — Zresztą nie masz pieniędzy, zgadza się?

— Trochę mam — odparł z namysłem Ian. — Ale za mało, by przenieść się do Timbaktu, a musiałbym uciec przy najmniej tak daleko.

Jamie przeciągnął się z westchnieniem. Zapadła pełna zamyślenia cisza. Ian z pewnością rozważał perspektywę potępienia, Jamie zaś wspominał najlepsze chwile opiumowych snów. Tym razem jednak wężycy miała twarz Rebeki. Po chwili przerwał milczenie, zwracając się w stronę przyjaciela.

— Czy warto było ryzykować dla tego piekło?

Ian znowu westchnął przeciągle. Tym razem jednak było to westchnienie człowieka, który zawarł pokój z samym sobą.

— Och, tak

* * *

Jamie obudził się o świcie. Czuł się już dobrze i stan jego umysłu również znacznie się poprawił. Jakaś dobra dusza przyniosła mu dzban kwaśnego piwa oraz trochę chleba z serem. Posilił się, po czym się ubrał, rozmyślając o czekających dziś na nich zadaniach.

Będzie musiał zebrać kilku ludzi i wrócić z nimi do karety. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie przywieźć monsieur Peretza tutaj, a potem sprawdzić, czy w okolicy mieszkają jacyś Żydzi, których można by przekonać do zajęcia się pochówkiem. Kobiety upierały się, że zmarłego trzeba pogrzebać przed zachodem słońca. Jeśli się tego nie zrobi... no cóż, będzie się o to martwił później.

Jeśli kareta nie jest zbyt poważnie uszkodzona, może do południa uda się ją przygotować do podróży. Jak daleko stąd leżało Bonnes? To było najbliższe miasteczko z gospodą. Jeśli było zanedo odległe, a uszkodzenia okażą się zbyt poważne bądź też nie zdołają pochować monsieur Peretza jak należy, będą zmuszeni zatrzymać się tu na nocleg. Dotknął sakiewki, pomyślał jednak, że wystarczy mu pieniędzy na kolejną noc w gospodzie oraz wynajęcie ludzi. Doktor Hasdi był hojny.

Jamie zaczynał się zastanawiać, co zatrzymało Iana i ich podopieczne. Wiedział, że kobiety potrzebują na wszystko więcej czasu od mężczyzn — a już szczególnie na to, by się ubrać, bo musiały sobie poradzić z gorsetami i tak dalej, ale... Popił łyk piwa, kontemplując wizję gorsetu

Rebeki. Odkąd Ian opowiedział mu o tym, co robił z dziewczyną, umysł młodzieńca wytwarzał bardzo jaskrawe obrazy. Niemalże widział sutki sterczące pod cienką tkaniną, gładkie i okrągłe jak kamyki...

Ian wpadł do środka z szaleństwem w oczach. Włosy zjeżyły mu się na głowie.

— Zniknęły!

Jamie zakrzuszył się piwem.

— Co? Jak?

Przyjaciel zrozumiał, o co mu chodziło, i ruszył w stronę łóżka.

— Nikt ich nie porwał. Nie ma żadnych śladów walki. Ich rzeczy również zabrano. Okna są otwarte, a okiennic nikt nie wyłamał.

Jamie ukląkł na podłodze obok Iana, wsuwając pod łóżko najpierw ręce, a potem głowę i ramiona. Znalazł zawinięty w brezent pakunek i na moment poczuł ulgę, która szybko zniknęła, gdy tylko wyciągnął go na zewnątrz. Rozległ się hałas, lecz nie był to delikatny brzęk złotych dzwoneczków, a zwyczajny grzechot. Jamie złapał za róg płachty i rozwinął ją. W środku były tylko patyki i kamienie, pośpiesznie okutane w halkę, by nadać pakunkowi odpowiednie rozmiary.

— *Cramouille!* — warknął. To było najpaskudniejsze słowo, na jakie wpadł bez zastanowienia. Było też odpowiednie, jeśli rzeczywiście wydarzyło się to, co podejrzewał. Spojrzał na Iana. — Uśpiła mnie, uwiodła ciebie, a jej cholerna służka zakradła się tu i zabrała pakunek podczas gdy ty wsadzałeś swój tępy łeb w jej... hmm...

— Wdzięki — odpowiedział krótko Ian, odsłaniając zęby w przelotnym, złowieszczym uśmiechu. — Zazdrościsz mi, i tyle. Jak myślisz, doład uciekły?

Zarzut był prawdziwy i Jamie zaprzestał dalszych wymówek. Wstał i zapiął pas, pośpiesznie umieszczając za nim szylet, miecz i toporek.

— Raczej nie do Paryża. Chodź, wypytamy stajennego.

Mężczyzna oznajmił, że nic nie wie. Spał pijany na sianie i nawet jeśli ktoś zabrał ze stajni dwa konie, on nic nie widział.

— No pewnie — warknął zniecierpliwiony Jamie. Złapał stajennego za koszulę, unióś go nad ziemię i wałną nim o mur gospody. Głowa mężczyzny odbiła się od kamieni i stajenny okłapał w jego uścisku. Nie stracił przytomności, ale był oszołomiony. Szkot wyciągnął lewą ręką szylet i przystawił go do ogorzałego gardła tamtego.

— Spróbuj raz jeszcze — zasugerował uprzejmie. — Nie dbam o pieniądze, które ci dały. Możesz je zachować. Chcę wiedzieć, kiedy i w którą stronę odjechały.

Mężczyzna spróbował przełknąć ślinę, ale dał sobie z tym spokój, gdy jego grdyka dotknęła sztychu noża.

— Jakies trzy godziny po wschodzie księżyca — wychrypiał. — Zmierzały w stronę Bonnes.

Nie dalej jak trzy mile stąd jest skrzyżowanie dróg — dodał, gorliwie próbując okazać się pomocny.

Jamie puścił go ze stęknieniem.

— W porządku — rzekł z niesmakiem. — Ian... hmm... mamy je. — Jego przyjaciel poszedł prosto po ich konie, pozwalając Jamiemu policzyć się ze stajennym, i wyprowadzał już pierwszego z nich. Założył mu uzdę, a siodło niósł pod pachą. — Pójdę zapłacić rachunek

Nie ukradły mu sakiewki. Dobrze i to. Albo Rebeka bat Lea Hauberger zachowała odrobinę sumienia — w co bardzo wątpił — albo po prostu o tym nie pomyślała.

* * *

Był wczesny poranek Kobiety mogły mieć jakieś sześć godzin przewagi.

— Uwierzymy temu stajennemu? — zapytał Ian, wdrapując się na siodło.

Jamie wyjął sakiewkę, wyciągnął z niej miedziaka, rzucił go w powietrze i złapał na grzbiecie drugiej dłoni.

— Reszka uwierzymy, orzeł nie uwierzy my. — Uniósł rękę i spojrzął na monetę. — Reszka.

— Tak, ale droga powrotna biegnie przez sam środek Yvrac — zauważył Ian. — A stajenny powiedział, że do skrzyżowania dróg są najwyżej trzy mile. Czego by nie powiedzieć o tej dziewczynie, na pewno nie jest głupia.

Jamie zastanawiał się przez chwilę nad tymi słowami. Wreszcie skinął głową. Rebeka nie mogła być pewna, jak wielką przewagę zdobędzie, a jeśli nie kłamała, mówiąc, że nie umie jeździć konno (z pewnością była do tego zdolna, ale takie rzeczy trudno jest udawać, a ona trzymała się w siodle diabelnie niezgrabnie), będzie musiała odnaleźć jakąś kryjówkę, nim ścigający zdążą ją dopaść. Poza tym ziemia wciąż była wilgotna od rosy i być może...

— No to ruszajmy.

Szczęście im sprzyjało. Późną nocą nikt nie mijał gospody i choć na trakcie pełno było odcisków kopyt, świeże ślady pozostawione przez wierzchowce obu kobiet łatwo było rozpoznać. Wilgotna ziemia nadal kruszyła się na ich brzegach. Upewniwszy się, że odnaleźli trop, mężczyźni pocwałowali ku skrzyżowaniu dróg, licząc na to, że przybędą tam, nim inni wędrowcy zatrą ślady.

Tym razem nie mieli szczęścia. Wozy wyruszyły już z gospodarstw, wioząc płody rolne do Parcoul albo La Roche-Chalais. Skrzyżowanie dróg przerodziło się w labirynt kolein oraz odcisków kopyt. Jamie wpadł jednak na bystry pomysł. Wysłał przyjaciela traktem w stronę Parcoul, sam zaś skierował się ku La Roche-Chalais. Mieli zatrzymać wszystkie wozy i wypytywać woźniców. Po godzinie Ian wrócił z wiadomością, że kobiety widziano na drodze do Parcoul. Jechały powoli, obrzucając się nawzajem przekleństwami.

— A to jeszcze nie wszystko — dodał, dysząc ciężko.

— Tak? Dobra, resztę opowiesz mi po drodze.

Ian to zrobił. Gdy pędził z powrotem do przyjaciela, spotkał w pobliżu skrzyżowania Josefa z Alzacji, który zawrócił, by ich poszukać.

— D'Eglise'a zatrzymano w pobliżu Poitiers! — poinformował krzykiem przyjaciela. — To była ta sama banda, która zaatakowała nas w okolicach Marmande. Alexandre i Raoul rozpoznali kilku Żydowskich bandyci.

Jamie był wstrząśnięty. Zwolnił na chwilę, pozwalając, by Ian go dogonił.

— Czy zabrali posag?

— Nie, ale walka była zawzięta. Trzech naszych ludzi odniosło poważne rany i potrzebowali pomocy chirurga, a Paul Martan stracił dwa palce lewej ręki. D'Eglise zabrał ich do Poitiers i wysłał Josefa, by sprawdził, czy z nami wszystko w porządku.

Serce podeszło Jamiemu do gardła.

— Jezus. Powiedziałaś mi, co się stało?

— Nie — odparł krótko Ian. — Tylko tyle, że karetka miała wypadek, ty pojechałaś przodem z kobietami, a ja wróciłem po coś, co zostawiliśmy w gospodzie.

— Ehe, to dobrze.

Serce młodzieńca wróciło na właściwe miejsce. Ostatnie, czego pragnął, to powiedzieć kapitanowi, że stracili dziewczynę i żwój z Torą. Prędeż go diabli wezmą.

* * *

Podróżowali szybko, zatrzymując się od czasu do czasu tylko po to, by zadawać pytania. Gdy wpadli do wioski o nazwie Aubeterre-sur-Dronne, byli pewni, że kobiety są najwyżej godzinę przed nimi. O ile rzeczywiście przejechały przez tę osadę.

— Och, te dwie — odpowiedziała wieśniaczka, przerywając szorowanie schodów. Wyprostowała się powoli, przeciągając plecy. — Tak, widziałam je. Przemknęły tuż obok i skręciły w tę dróżkę.

Wyciągnęła rękę.

— Dziękuję pani — rzekł Jamie ze swym najlepszym paryskim akcentem. — A dokąd prowadzi ta dróżka, jeśli można zapytać?

Kobieta wyraźnie się zdziwiła, że tego nie wiedzą. Zmarszczyła brwi na myśl o podobnej ignorancji.

— Do zamku wicehrabiego Beaumonta, oczywiście!

— Oczywiście — powtórzył Jamie, uśmiechając się do niej. Ian zauważył, że na policzku kobiety pojawił się dołeczek — Merci beaucoup, madame!

* * *

— Co to, do diaska? — wyszeptał Ian. Jadący obok niego Jamie również ściągnął wodze i zatrzymał się, by przyjrzeć się budynkowi. To był mały dwór, trochę zaniedbany, ale o ładnej sylwetce. Musiał przyznać, że to ostatnie miejsce, w którym kokolwiek szukałby zbiegłej Żydówki.

— Jak myślisz, co powinniśmy teraz zrobić? — zapytał Ian. Jamie wzruszył ramionami i trącił konia nogą.

— Pewnie zapukać do drzwi i zapytać.

Ian podążył za przyjacielem w stronę wejścia. Czuł się mocno skrępowany na myśl o swym brudnym ubraniu, kilkudniowym zaroście i ogólnie podejrzanym wyglądzie. Zapomniał jednak o tych zmartwieniach, gdy Jamie zapukał głośno i spotkał się z odpowiedzią.

— Dzień dobry panom! — rzekł jasnowłosy skurwysyn, którego Ian ostatnio widział wczoraj, gdy ten bił się z Jamiem na trakcie. Mężczyzna uśmiechnął się do nich. Był w świetnym nastroju, pomimo podbitego oka i świeżo rozciętej wargi. Wdział śliwkowy surdut z aksamitu — ostatni krzyk mody — włosy miał upudrowane i wyfiokowane, a blond brodę krótko przystrzyżoną. — Miałem nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Witajcie w moim domu!

Odsunął się na boki unióś rękę w geście przywitania.

— Dziękuję, monsieur...? — zaczął powoli Jamie, zerkając z ukosa na przyjaciela. Ian unióś jeden bark w bladym cieniu wzruszenia ramionami. Czy mieli jakiś wybór?

Jasnowłosy skurwysyn uklonił się uprzejmie.

— Pierre Robert Heriveaux d'Anton, wicehrabia Beaumont, z łaski Wszchemogącego, przez jeszcze jeden dzień. A wy, panowie?

— James Alexander Malcolm MacKenzie Fraser — odpowiedział Jamie, z powudzeniem naśladowując wyniosłe zachowanie tamtego. Tylko Ian mógłby zauważyć lekkie wahanie oraz drżenie głosu, z jakim dodał: — Dziedzic Broch Tuarach.

— Ian Alastair Robert MacLeod Murray — dodał Ian, kłaniając się krótko i rozprostowując ramiona. — Jego... to znaczy dziedzica... dzierzawca.

— Wejdźcie, proszę, panowie.

Jasnowłosy skurwysyn poruszył lekko oczami i Ian usłyszał chrzęst żwiru za nimi. Chwilę później poczuł sztych sztyletu dotykający jego krzyża. Tak jest, nie mieli wyboru.

Zaprowadzono ich do środka i po odebraniu broni wprowadzono szerokim korytarzem do obszernego salonu. Tapety były tu wyblakłe, a meble solidne, ale tanie. W przeciwieństwie do nich wielki turecki dywan na podłodze lśnił, jakby zrobiono go z klejnotów. Wielka, okrągława figura ulokowana pośrodku była barwy zielonej, złotej i czerwonej, otaczały ją zaś koncentryczne kręgi o falujących brzegach — niebieskie, czerwone i kremowe, otoczone delikatną, głębołą czerwinią. Całość pokrywały ornamenty o niezwykłych kształtach, tak liczne, że potrzeba by

całego dnia, żeby przyjrzeć się wszystkim. Gdy zobaczył je po raz pierwszy, był tak zafascynowany, że gapił się przez kwadrans na dywan, nim Duży Georges przyłapał go na tym i kazał mu krzykiem zwijać to cholerstwo, bo nie mogli tam siedzieć przez cały dzień.

— Skąd to masz? — zapytał nagle Ian, przerywając coś, co wicehrabia mówił do dwóch prosto odzianych mężczyzn, którzy zabrali im broń.

— Co takiego? Ach, dywan! Tak czyż nie jest cudowny? — Wicehrabia rozpromienił się radośnie i skinął na swoich zbirów, każąc im odsunąć się pod ścianę. — To część posagu mojej żony.

— Twojej żony — powtórzył z namysłem Jamie. Zerknął z ukosa na Iana, który zrozumiał tę wskazówkę.

— Mówisz o mademoiselle Hauberger, prawda? — zapytał. Wicehrabia się zarumienił — naprawdę zarumienił — i Ian uświadomił sobie, że arystokrata nie jest starszy od nich obu.

— No cóż... jesteśmy zaręczeni od dawna. Według żydowskich zwyczajów to prawie, jakbyśmy byli małżeństwem.

— Zaręczeni — ponownie powtórzył Jamie. — A właściwie od kiedy?

Wicehrabia przygryzł dolną wargę, przyglądając się obu mężczyznom. Jeśli nawet planował zachować ostrożność, ustąpiła ona pod naciskiem wyraźnie radosnego nastroju.

— Od czterech lat — odpowiedział. Nie mogąc się powstrzymać, przywołał ich skinieniem do stolika pod oknem, gdzie okazał im zdobny dokument, pokryty barwnymi esami-floresami i spisany w jakimś bardzo dziwnym języku, pełnym ukośnych kresek i pochyłych linii.

— To jest nasza kętuba — oznajmił, bardzo starannie wymawiając to słowo. — Nasz kontrakt małżeński.

Jamie pochylił się i przyjrzał uważnie dokumentowi.

— Ehe, bardzo ładny — pochwalili go uprzejmie. — Ale widzę, że jeszcze nie jest podpisany. To znaczy, że małżeństwa nie zawarto?

Ian zauważył, że jego przyjaciel zerknął na biurko, z pewnością rozważając w swym umyśle rozmaite możliwości: chwycić leżący na blacie nożyk do otwierania listów i wziąć wicehrabiego jako zakładnika? A potem znaleźć tę małą, podstępna sukę, zawinąć ją w jeden z mniejszych dywanów i zawlec do Paryża? Z pewnością to ostatnie zadanie przypadłoby w udziale jemu.

Jeden ze zbirów przestąpił z nogi na nogę. Ian zauważył jego poruszenie. *Nie rób tego, ty idioto!* — przesłał myśl Jamiemu, tak intensywnie, jak tylko potrafił. Choć raz wiadomość chyba do niego dotarła. Jamie rozluźnił nieco ramiona i wyprostował się.

— A czy wiesz, że dziewczyna ma wyjść za kogoś innego? — zapytał prosto z mostu. — Wcale bym się nie zdziwił, gdyby ci o tym nie powiedziała.

Wicehrabia zarumienił się jeszcze mocniej.

— Pewnie, że wiem! — warknął. — Jej ojciec najpierw obiecał ją mnie!

— Od jak dawna jesteś żydem? — zapytał z ostrożnością w głosie Jamie, okrążając stół.

— Nie sądzę, byś się nim urodził. Bo jesteś żydem, prawda? Znałem paru w Paryżu i, jak rozumiem, oni nie zawierają małżeństw z innymi. — Rozejrzał się po ładnie urządzonej sypialni.

— Jak rozumiem, nie bywają też arystokratami.

Twarz wicehrabiego zrobiła się już zupełnie czerwona. Stanowczo kazał odejść obu swym biurom, mimo że wyraźnie nie mieli na to ochoty. Podczas krótkiej dyskusji, która nastąpiła, Ian zbliżył się ukradkiem do Jamiego i szepcząc w *gaidhlig*, opowiedział mu o dywanie.

— Boże Świąty — mruknął Jamie w tym samym języku. — Nie widziałem go pod Marmande i tych dwóch też nie. A ty?

Ian nie miał czasu mu odpowiedzieć. Potrząsnął tylko głową, gdy dwaj mężczyźni z niechęcią wykonali władcze rozkazy wicehrabiego i opuścili pokój, spoglądając spod przymrużonych powiek na obu Szkotów. Jeden z nich trzymał w dłoni sztylet Jamiego i wychodząc, przesunął nim powoli po swym gardle w znaczącym geście.

Tak jest, oni mogliby sobie poradzić w walce — pomyślał młodzieniec, odwzajemniając złowrogie spojrzenie — *ale nie ten fircykowaty, niewyrośnięty przygłup*. Kapitan D'Eglise z pewnością nie przyjąłby wicehrabiego do swej kompanii i banda zawodowych rozbójników również by go nie chciała, nawet jeśli byli Żydami.

— W porządku — odezwał się nagle arystokrata, wspierając pięści na biurku. — Opowiem wam wszystko.

Spełnił swą obietnicę. Matka Rebeki, córka doktora Hasdiego, zakochała się w chrześcijaninie i uciekła z nim. Doktor ogłosił swą córkę za umarłą, jak zwykle robi się w takich przypadkach, i odbył oficjalną żałobę. Ale była jego jedynym dzieckiem i nie potrafił o niej zapomnieć. Zadał, by informacje o niej docierały do niego, i dowiedział się o narodzinach Rebeki. A potem jej matka umarła.

— Wtedy właśnie poznałem Rebekę — kontynuował. — To znaczy, mniej więcej w tym czasie. Jej ojciec był sędzią i mój ojciec go znał. Miała czternaście lat, a ja szesnaście. Zakochałem się w niej. A ona we mnie — dodał, przesywając obu Szkotów twardym spojrzeniem, jakby chciał ich sprowokować do wyrażenia niedowierzania. — Zareczyliśmy się, z błogosławieństwem jej ojca. Ale potem on zapadł na dyzenterię i umarł po dwóch dniach. Wtedy...

— Dziadek zabrał ją do siebie — dokończył Jamie. — I została Żydówką?

— Zgodnie z żydowskimi tradycjami była nią od urodzenia. Żydowskość dziedziczy się po matce. I matka opowiedziała jej potajemnie o jej dziedzictwie. Rebeka zaakceptowała je, gdy zamieszkała z dziadkiem.

Ian poruszył się lekko, unosząc brwi z cynicznym wyrazem twarzy.

— Tak? A dlaczego nie zmieniłeś wyznania wtedy, skoro teraz jesteś gotowy to zrobić?

— Powiedziałem, że to zrobię! — Wicehrabia zacisnęła pięść na nożyku do otwierania listów, jakby chciał go udusić. — Ale ten wredny, stary skurczybyk mi nie uwierzył. Był przekonany, że nie wyrzeknę się... tego życia.

Machnęła lekceważąco ręką, wskazując na cały pokój. Być może miał na myśli tytuł i majątek, które utraci, gdy tylko wyjdzie na jaw, że zmienił wiarę.

— Oznajmił, że to będzie fałsz i gdy tylko dostanę Rebełę, znowu stanę się chrześcijaninem i ją również zmuszę do nawrócenia. Tak właśnie zrobił jej ojciec — dodał posępnym tonem.

Pomimo ich sytuacji Ian zaczynał odczuwać pewną sympatię dla tego niewyrośniętego fircyka. To była bardzo romantyczna opowieść, a on takie lubił. Jamie jednak nadal powstrzymał się przed osądem. Wskazał na leżący na podłodze dywan.

— Mówisz, że to jej posąg?

— Tak — potwierdził wicehrabia, lecz tym razem jego głos nie brzmiał już tak pewnie. — Mówiła, że należała do jej matki. Kazała kilku ludziom przywieźć go tu w zeszłym tygodniu, razem z kufrem i kilkoma innymi rzeczami. Tak czy inaczej — ciągnął, odzyskując pewność siebie i łypiąc na nich spode łba — kiedy ten stary potwór zaaranżował jej małżeństwo z jakimś paryżaninem, postanowiłem...

— Porwać Rebełę. Za jej zgodą, tak? Mhmm — mruknął Jamie tonem wyrażającym jego opinię na temat rozbójniczych talentów wicehrabiego. Uniósł rudą brew, spoglądając na podbite oko Pierre'a, ale dzięki Bogu powstrzymał się od uwag. Ian zauważył fakt, że są więźniami, choć Jamie mógł to przeoczyć.

— Czy możemy porozmawiać z mademoiselle Hauberger? — zapytał uprzejmie Ian. — Żeby się upewnić, że przybyła tu z własnej woli.

— To raczej oczywiste. W końcu przyjechaliście za nią. — Wicehrabiemu nie spodobał się pomruk, jaki wydał z siebie Jamie. — Nie. Nie możecie. Jest zajęta.

Uniósł ręce i klasnął w nie ostro. Dwóch zbirów wróciło, prowadząc ze sobą posiłki pod postacią sześciu służących, dowodzonych przez kamerdynera o groźnej minie, uzbrojonego w grubą łaskę.

— Idźcie z Ecrivisse'em, panowie. On zaprowadzi was w wygodne miejsce.

* * *

„Wygodnym miejscem” okazała się zamkowa piwnica na wino, pełna apetycznych woni, ale zimna. I do tego ciemna. Gościnność wicehrabiego nie obejmowała nawet zwykłej świecy.

— Gdyby zamierzał nas zabić, już by to zrobił — stwierdził Ian.

— Mhmm.

Jamie usiadł na schodach, podciągnąwszy kilt na ramiona dla ochrony przed chłodem. Słychać było dobiegającą skądś muzykę — ciche tony skrzypek oraz ręcznego bębna. Dźwięki na moment ucichły, po czym rozległy się znowu.

Ian spacerował nerwowo po piwnicy, która nie była zbyt wielka. Jeśli wicehrabia nie chciał ich zabić, co właściwie zamierzał z nimi zrobić?

— Czeka, aż coś się wydarzy — odezwał się nagle Jamie, odpowiadając na własną myśl.

— Pewnie to ma coś wspólnego z dziewczyną.

— Ehe, też tak myślę. — Ian usiadł na schodach, przesuając przyjaciela na bok — *A Dhia*, ale są zimne!

— Hmm — mruknął zamyślony Jamie. — Może zamierzają uciec. — Jeśli tak, mam nadzieję, że zostawi tu kogoś, kto nas wypuści, żebyśmy nie umarli z głodu.

— Nie umarlibyśmy — zauważył logicznie Ian. — Moglibyśmy przeżyć długo na samym winie. Ktoś by tu przyszedł, zanim by się skończyło.

Umilkł na chwilę, próbując sobie wyobrazić, jakby to było nie trzeźwieć przez kilka tygodni.

— Niezła myśl.

Jamie wstał, nieco zeszywniały z zimna, i poszedł zbadać półki. Było tu bardzo niewiele światła, tylko tyle, ile wnikało do środka przez szparę pod drzwiami, ale Ian słyszał, jak jego przyjaciel bierze w ręce butelki i obwąchuje korki.

Po chwili wrócił z jedną z nich, znowu usiadł na schodach, wyciągnął korek zębami i odrzucił go na bok. Pociągnął łycecz i drugi, a potem przechylił butelkę, by wypić więcej trunku. Następnie wręczył ją Ianowi.

— Całkiem niezłe — zapewnił.

Rzeczywiście było niezłe i przez chwilę nie rozmawiali zbyt wiele. Wreszcie jednak Jamie odstawił pustą flaszkę, beknął cicho i powiedział:

— To ona.

— Co ona? Chodzi ci o Rebekę, jak sądzę. Co ona? — powtórzył po krótkiej chwili.

— To ona — zapewnił Jamie. — Pamiętasz, co powiedział ten Żyd? Efraim bar Sefer? Że jego banda wiedziała, gdzie zaatakować, bo mieli informatora. To ona. Ona im powiedziała. — Oznajmił to z tak wielką pewnością, że Iana na moment zatkało. Po chwili jednak odzyskał równowagę.

— To dziewczątko? To prawda, że nas nabrała, i pewnie wiedziała przynajmniej o tym, że Pierre planuje ją porwać, ale...

Jamie prychnął pogardliwie.

— Tak jest, Pierre. Czy ten chłopczy na wygląda ci na przestępcę albo sprytnego spiskowca?

— Nie, ale...

— A ona?

— Hmm...

— No właśnie.

Jamie wstał i znowu podszedł do półek. To, co przyniósł tym razem, pachniało jak jedno z miejscowych, bardzo dobrych, czerwonych win. Ian pomyślał z aprobatą, że smakuje jak truskawkowe konfitury mamuśki na grzance, z filizanką mocnej herbaty.

— Co więcej — ciągnął Jamie, jakby nic nie przerwało toku jego myśli — przypominasz sobie, co powiedziała jej służka, kiedy omal nie rozwalili mi łba: „Być może jego również zabili. I jakbyś się wtedy poczuła?”. Nie, ona zaplanowała to od początku. Pierre i jego chłopaki mieli zatrzymać karetę i uciec z Rebeką, zwojem, a zapewne również z monsieur Korniszonem. Ale potem — dodał, podsuwając wyprostowany palec pod twarz przyjaciela, by nie pozwolić mu przerywać — Josef z Alzacji powiedział ci, że złodzieje, ci sami, co przedtem, a przynajmniej niektórzy z nich, zaatakowali grupę wiozącą posag. Wiesz, że to nie mógł być Pierre. To znaczy, że ona ich zawiadomiła.

Ian był zmuszony przyznać, że to logiczne. Pierre'owi nie brakowało entuzjazmu, ale nie sposób było go uznać za zawodowego rozbójnika.

— Ale ta dziewczyna... — sprzeciwił się bezradnie. — Jak mogłaby...

Jamie chrząknął.

— D'Eglise mówił, że Żydzi z Bordeaux bardzo szanują doktora Hasdiego. Najwyraźniej znają go aż w Paryżu. Jak w przeciwnym razie mógłby znaleźć tam męża dla wnuczki? Ale on nie mówi po francusku. Chcesz się założyć, kto się zajmował jego korespondencją?

— Nie chcę. — Ian pociągnął kolejny łyk — Mhmm. Ten dywan — odezwał się po paru chwilach. — I kilka innych rzeczy, o których wspomniał monsieur wicehrabia. Jej posag.

Jamie mruknął z aprobatą.

— Tak jest. Raczej udział w łupach. Jak widzisz, nasz młody Pierre nie ma zbyt wiele pieniędzy, a gdyby zmienił wyznanie, straciłby wszystko. Mościła ich gniazdko, chciała się upewnić, że będą mieli z czego żyć. I to dobrze.

— No cóż — odparł Ian po chwili milczenia. — Chyba masz rację.

* * *

Popołudnie ciągnęło się bez końca. Skończywszy drugą butelkę, zgodzili się, że na razie dadzą sobie spokój z piciem, na wypadek gdyby drzwi się otworzyły i wskazane byłoby szybkie myślenie. Siedzieli na schodach, tyłko od czasu do czasu oddalając się za najdalsze półki z winem, żeby się odlać.

Jamie śpiewał cicho do melodii granej przez odległe skrzypki, gdy drzwi otworzyły się niespodziewanie. Umilkł nagle i podźwiął się z wysiłkiem, omal się nie przewracając. Kolana zeszywniały mu z zimna.

— Panowie? — rzekł kamerdyner, spoglądając na nich z góry. — Czy zechcielibyście podążyć za mną?

Ku zaskoczeniu obu Szkotów poprowadził ich na zewnątrz. Potem ruszyli wąską ścieżką w kierunku dobiegającej z oddali muzyki. Rzeźkie powietrze wydawało im się cudowne po piwnicznym zaduchu. Jamie wypełniał nim płuca, zastanawiając się, co, do diaska...

Minęli zakręt i ujrzeni przed sobą plac ogrodowy, oświetlony wbitymi w ziemię pochodniami. Zarósł nieco zieliskiem, ale pośrodku szemrała fontanna, przy której ustawiono coś w rodzaju baldachimu. Tłanina lśniła blado w półmroku. W jej pobliżu zebrała się grupka pogrążonych w rozmowie ludzi. Kamerdyner stanął, unosząc jedną rękę, by powstrzymać obu Szkotów. Wicehrabia Pierre odłączył od grupy i podszedł do nich z uśmiechem.

— Przepraszam za te niedogodności, panowie — rzekł. Na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. Wyglądał na pijanego, ale Jamie pomyślał, że tak nie jest. Nie czuł zapachu alkoholu. — Rebeka musiała się przygotować. I chcieliśmy też zacząć do zmierrchu.

— Zaczekać z czym? — zapytał podejrzliwie Ian. Wicehrabia zachichotał. Jamie nie chciał myśleć o nim źle, ale to rzeczywiście był chichot. Zerknął na Iana i przyjaciel odwzajemnił jego spojrzenie. Tak jest, to był chichot.

— Z zawarciem małżeństwa — odparł Pierre i choć jego głos nadal był przepojony *joie de vivre*, wypowiedział te słowa z szacunkiem tak głębokim, że Jamie poczuł ucisk w piersi. Pierre odwrócił się i wskazał dłonią na ciemniejące niebo, na którym zaczynały świecić i migotać pierwsze gwiazdy. — No wiecie, na szczęście. Żeby nasi potomkowie byli liczni jak gwiazdy na niebie.

— Mhmm — mruknął uprzejmie Jamie.

— Ale pozwólcie ze mną, jeśli łaska.

Pierre ruszył już z powrotem ku grupie... no cóż, Jamie przypuszczał, że to goście weselni. Wicehrabia skinął dłonią, wzywając Szkotów do podążenia za sobą.

Była tam służąca Marie, a także kilka innych kobiet. Obrzuciła Jamiego oraz Iana nieufnym spojrzeniem. Wicehrabia martwił się jednak o opinię mężczyzn. Wymienił z gośćmi kilka słów i wrócił do Szkotów w towarzystwie trzech ludzi w eleganckich, choć nieco osobliwych strojach. Wszyscy mieli małe aksamitne mycki ozdobione paciorkami oraz bujne brody.

— Czy mogę wam przedstawić monsieur Gershoma Ackermana i monsieur Leviego Champfleura, którzy będą naszymi świadkami, oraz rebe Cohena, który odprawi ceremonię?

Mężczyźni uściśli ich dłonie, szepcząc coś uprzejmie. Jamie i Ian zerknęli na siebie

nawzajem. Po co ich tu przy prowadzono?

Wicehrabia zauważył ich spojrzenia i zinterpretował je prawidłowo.

— Chcę, żebyście wrócili do doktora Hasdiego — oznajmił. Radość w jego głosie ustąpiła na chwilę miejsca twardemu jak stal tonowi. — Powiedzcie mu, że wszystko — wszystko! — odbyło się zgodnie ze zwyczajami i Prawem. Tego małżeństwa nikt nie rozwiąże. Nikt!

— Mhmm — mruknął Ian, tym razem mniej uprzejmie.

Tak oto po kilku minutach znaleźli się pośród zaproszonych na ślub mężczyzn — kobiety stały po drugiej stronie baldachimu — i ujrzeli Rebekę, która zbliżała się ścieżką, pobrząkując cicho. Miała na sobie ciemnoczerwoną jedwabną suknię. Kiedy kroczyła, blask pochodni tańczył i migotał w fałdach tkaniny. Na obu rękach miała złote bransolety, a głowę i twarz zakrywał welon z małym stroikiem ze złotych łańcuszków kołyszących się przed jej czołem. Obwieszono je medalionikami oraz dzwoneczkami, i to te ostatnie były źródłem pobrząkiwania. Przy pominięto Jamieu zwój z Torą. Młodzieniec zeszywniał na tę myśl.

Pierre i rabin czekali pod baldachimem. Gdy Rebecka pod niego weszła, odsunęli się od siebie, pozwalając jej podejść do pana młodego. Nie dotknęła go jednak, lecz okrążyła siedem razy. Włoski na barku Jamiego zjeżyły się na ten widok. Przy pominięto to nieco magię. Albo czary. Coś w tym, co robiła, wiązało z nią mężczyznę.

Przy każdym obrocie zwracała się twarzą ku Jamieu i z pewnością widziała go w blasku pochodni, ale wlepiła spojrzenie przed siebie, nie zwracając uwagi na nikogo, nawet na Pierre'a.

W końcu jednak zatrzymała się i stanęła u boku wicehrabiego. Rabin przywitał gości kilkoma słowami, po czym zwrócił się w stronę państwa młodych, wypełnił kielich winem i wypowiedział po hebrajsku słowa, które zapewne były błogosławieństwem. Jamie zrozumiał pierwsze z nich — „Błogosławionyś Ty, Adonai, Boże nasz...” — ale potem stracił wątek. Gdy rebecka przestał mówić, Pierre sięgnął do kieszeni, wyjął z niej obrączkę i wsunął ją Rebecke na palec wskazujący prawej dłoni, uśmiechając się z czułością, która bez względu na wszystko bardzo ujęła młodego Szkota. Następnie Pierre uniósł welon i Jamie zauważył podobną czułość na twarzy panny młodej, zanim mąż ją pocałował.

Wszyscy zebrani westchnęli jednocześnie.

Rabin wziął w ręce kartę papieru leżącą na pobliskim stoliku. Kontrakt ślubny — kętuba, jak nazwał ją Pierre.

Duchowny przeczytał tekst kontraktu, najpierw w języku, którego Jamie nie poznawał, a potem po francusku. Nie różnił się zbyt od nielicznych tego typu umów, jakie Szkot w życiu widział. Zasady podziału majątku, co należy się pannie młodej i tak dalej... Jamie zauważył jednak z dezaprobatą, że kontrakt przewiduje możliwość rozwodu. Potem przestał na chwilę uważać: twarz Rebecki lśniła w blasku pochodni niczym perły i kość słoniowa, a kiedy oddychała, krągly

zarys jej piersi uwydatniał się wyraźnie. Bez względu na wszystko, czego — jak sądził — się o niej dowiedział, przez chwilę zazdrościł Pierre'owi.

Po przeczytaniu kontrakt ostrożnie odłożono na bok i rabin wyrecytował serię błogosławieństw. Tak przynajmniej przypuszczał Jamie, który raz po raz słyszał słowa „Błogosławionyś Ty, Adonai”, choć, o ile potrafił to określić, błogosławiono wszystko — od gości weselnych aż po Jeruzalem. Państwo młodzi upili kolejny łyk wina.

Nastała chwila przerwy. Jamie spodziewał się, że rabin wypowie jakieś oficjalne słowa, ogłaszające dwoje młodych mężem i żoną, lecz tak się nie stało. Zamiast tego jeden ze świadków wziął pusty już kieliszek, zawiąnął go w lnianą serwetkę i położył na ziemi przed Pierre'em. Ku zdumieniu Szkota pan młody nadepnął na kieliszek i goście odpowiedzieli aplauzem.

Na parę chwil uroczystość upodobniła się do wiejskiego wesela. Wszyscy tłoczyli się do nowożeńców, pragnąc im pogratulować. Potem jednak szczęśliwa para ruszyła w stronę domu, goście zaś podążyli ku zastawionym jadłem i napojami stołom po drugiej stronie ogrodu.

— Chodź — mruknął Jamie, łapiąc Iana za ramię. Poszli pośpiesznie za nowożeńcami i Ian zapytał, co, do diabła, kombinuje jego przyjaciel.

* * *

— Chcę z nią porozmawiać. W cztery oczy. Zatrzymaj go, pozwól mu gadać, najdłużej, jak tylko możesz.

— Ale jak?

— Skąd mam wiedzieć? Wy myślisz coś.

Dotarli do domu i podążając tuż za Pierre'em, Jamie zauważył, że pan młody zatrzymał się, by powiedzieć coś służącemu. Los się do nich uśmiechnął. Rebeka zniknęła już w długim korytarzu. Dotknęła dłonią kłamki.

— Kupę szczęścia, chłopie! — zawołał, kłapiąc Pierre'a w barktakmocno, że pan młody aż się zachwiał. Nim zdążył odzyskać równowagę, Ian, wyraźnie polecając duszę Bogu, podszedł do niego i uściśnął mu z całej siły dłoń, obrzucając jednocześnie Jamiego spojrzeniem mówiącym: „Pośpiesz się, do cholery!”.

Jamie uśmiechnął się i sprintem pokonał krótki odcinek dzielący go od drzwi, za którymi zniknęła Rebeka. Gdy jednak dotknął kłamki, uśmiech zniknął i twarz, którą jej zaprezentował, miała wygląd tak surowy, jak tylko potrafił jej nadać.

Na jego widok Rebeka otworzył szeroko oczy z szoku i oburzenia.

— Co tu robisz? Nie powinien tu wchodzić nikt poza mną i moim mężem!

— Pierre jest już w drodze — zapewnił Szkot. — Pytanie brzmi, czy tu dotrze?

Zacisnęła małą piąstkę. Ten widok wydałby mu się komiczny, gdyby nie wiedział o niej tak

wiele.

— Próbujesz mnie zastraszyć? — zapytała tonem przepojonym groźbą i niedowierzaniem.

— Tutaj? Śmiesz mi grozić tutaj?

— Tak Chcę dostać ten zwój.

— Nie ma mowy — warknęła. Zauważył, że jej spojrzenie powędrowało ku stołowi. Zapewne szukała dzwonka, który pozwoliłby jej wezwać pomoc, albo czegoś, czym mogłaby zdzielić go w głowę. Na blacie stała jednak tylko taca z faszerowanymi bułeczkami i egzotycznymi słodyczami. A także butelka wina. Zauważył, że w oczach Rebeki pojawił się na jej widok błysk namysłu, wyciągnął więc długą rękę i złapał butelkę, nim zdążyła to zrobić dziewczyna.

— Nie chcę go dla siebie — zapewnił. — Oddam go twojemu dziadkowi.

— Jemu? — Jej twarz przybrała twardszy wyraz. — Nie. Jest dla niego wart więcej niż ja — dodała z goryczą — ale to przynajmniej oznacza, że może być dla mnie ochroną. Dopóki mam Torę, nie będzie mógł próbować zaszkodzić Pierre'owi ani zawlec mnie z powrotem do domu, z obawy, że uszkodzię zwój. Zatrzymam go.

— Myślę, że będzie dla niego znacznie lepiej, jeśli się ciebie pozbędzie, i nie wątpię, że on też o tym wie — poinformował Jamie i musiał utwardzić swe serce, by nie ulec jej zranionemu spojrzeniu. Pewnie nawet pająki miawały uczucia, w tej chwili nie miało to jednak znaczenia.

— Gdzie Pierre? — zawołała, wstając. — Jeśli spadnie mu choć jeden włos z głowy...

— Nigdy nie tknąłbym biednego głuptasa i Ian też nie. To znaczy Juan. Mówiąc, że nie wiadomo, czy tu dotrze, miałem na myśli to, że może dojść do wniosku, że nie wyszedł najlepiej na tym interesie.

— Co?

Miał wrażenie, że lekko pobladła, ale trudno to było ocenić.

— Dasz mi zwój, żeby mi mógł go odwieźć twojemu dziadkowi. Nie zaszkodziłby też mały liścik z przeprosinami, ale nie będę na to nalegał. W przeciwnym razie ja i Ian odprowadzimy Pierre'a na boki powiemy mu parę słów prawdy o jego nowej żonie.

— Mówcie sobie, co chcecie! — warknęła. — Nie uwierzy w wasze wymyślone opowieści!

— Tak myślisz? A jeśli mu powiem, co właściwie spotkało Efraima bar Sefera? I dlaczego?

— Kogo? — zapytała, ale tym razem wyraźnie pobladła. Złapała się też ręką blatu, by zachować równowagę.

— A czy ty wiesz, co mu się przydarzyło? Nie? No to ci opowiem, kochanie.

Zrobił to w zwięzłych, brutalnych słowach. Usiadła nagle, a na opadających na jej czoło medalionach pojawiły się kropelki potu.

— Myślę, że Pierre wie już trochę o twojej małej bandzie rozbójników, ale może jeszcze się nie domyślił, jaka z ciebie mała, okrutna, chciwa wiedźma.

— To nie ja zabiłam Efraima!

— Ale gdyby nie ty, nadal by żył i myślę, że Pierre to zrozumie. Mogę mu powiedzieć, gdzie jest ciało — dodał delikatniejszym tonem. — Sam go pochowałem.

Zacisnęła usta tak mocno, że przerodziły się w wąską, białą linię.

— Nie masz wiele czasu — podjął, tym razem cicho, cały czas patrząc jej w oczy. — Ian nie zdoła go powstrzymać już długo. Jeśli Pierre tu przyjdzie, powiem mu wszystko na twoich oczach i będziesz mogła spróbować go przekonać, że jestem kłamcą.

Zerwała się nagle z brzękiem łańcuszków i bransoletek, podeszła do drzwi wewnętrznego pokoju i otworzyła je gwałtownie. Wstrząśnięta Marie odskoczyła do tyłu.

Rebeka powiedziała coś do niej ostro w języku ladino. Służka wciągnęła powietrze i oddaliła się pośpiesznie.

— Zgoda — warknęła dziewczyna przez zaciśnięte zęby, odwracając się ku Jamiemu. — Zabieraj zwój i niech cię diabli porwą, ty psie.

— Z pewnością to zrobię, mała suko — odparł bardzo uprzejmym tonem. Rebeka zacisnęła dłoń na bulecce, ale zamiast cisnąć nią w Jamiego, zgniotła ją tylko mocno. Resztki rzuciła na tacę z cichym okrzykiem złości.

Słodki dźwięk dzwoneczków zapowiedział przybycie Marie wracającej w pośpiechu z Torą. Służąca ścisnęła cenny przedmiot w ramionach. Zerknęła na swą panią i gdy Rebeka skinęła krótko głową, z wielką niechęcią przekazała zwój chrześcijańskiemu psu.

Jamie uklonił się — najpierw służce, a potem pani — i wycofał się ku drzwiom.

— Szalom — rzekł i zamknął je za sobą na krótko przed tym, nim srebrna taca uderzyła w nie z głośnym brzękiem.

* * *

— Czy to bardzo bolało? — Ian pytał z ciekawością Pierre'a, gdy Jamie podszedł do nich.

— Mój Boże, nawet nie masz pojęcia — odpowiedział z pasją Francuz. — Ale było warto. — Obdarzył promiennym uśmiechem obu Szkotów i uklonił się im, nawet nie zauważając zawiniątka trzy manego przez Jamiego. — Musicie mi wybaczyć, panowie. Czeka na mnie żona!

— Co tak bardzo bolało? — zapytał Jamie, prowadząc ich pośpiesznie ku bocznemu wyjściu. Lepiej było nie przyciągać uwagi.

— Wiesz, że urodził się jako chrześcijanin, ale zmienił wyznanie, by poślubić tę małą wiedźmę — odparł Ian. — Dlatego musiał się obrzezać.

Przeżegnał się na tę myśl i Jamie ryknął śmiechem.

— Jak się nazywają te patylkowate owady, u których samica odgryza głowę samcowi, gdy ten już się zabierze do roboty? — zapytał, trącając tyłkiem drzwi, by je otworzyć.

Ian zmarszczył na chwilę czoło.

— Chyba modliszki. Czemu pytasz?

— Tak sobie myślę, że noc poślubna naszego małego przyjaciela Pierre'a może się okazać ciekawsza, niż się tego spodziewa. Chodź.

Bordeaux

To nie było najgorsze z rzeczy, które Jamie musiał zrobić w życiu, nie cieszył się jednak na myśl o tym zadaniu. Zatrzymał się pod bramą domu doktora Hasdiego, trzymając w ramionach zawinięty w brezent zwój z Torą. Ian miał nieszczęśliwą minę i Jamie podejrzewał, że wie dlaczego. Musieć powiedzieć doktorowi, co się stało, to jedno, a wyznać mu prosto w oczy, że całkiem niedawno poczuło się dotyk jej sutków... albo ręki... to coś całkiem innego.

— Nie musisz iść ze mną, chłopie — rzekł mu Jamie. — Poradzę sobie sam.

Ian poruszył nerwowo ustami, potrząsnął jednak głową i podszedł do przyjaciela.

— Po prawej, chłopie — rzekł. Jamie się uśmiechnął. Kiedy miał pięć lat, tata Iana, Stary John, przekonał tatę Jamiego, by pozwolił synowi trzymać miecz w lewej ręce, jak miał to w zwyczaj.

— A ty, chłopcze — rzekł z wielką powagą synowi — masz obowiązek stać po prawicy swego dziedzica, by bronić jego słabej strony.

— Ehe — zgodził się Jamie. — Po prawicy.

Pociągnął za sznurek dzwonka.

* * *

Potem waleśali się leniwie po ulicach Bordeaux, właściwie nie zmierzając donikąd i nie rozmawiając ze sobą zbyt wiele.

Doktor Hasdi przyjął ich uprzejmie, choć na widok zwoju na jego twarzy pojawił się wyraz grozy zmieszanej ze zdumieniem. Ustąpił on jednak miejsca uldze, gdy starsuszek usłyszał — łokaj mówił po francusku wystarczająco dobrze, by służyć jako tłumacz — że jego wnuczce nic się nie stało, bo czym przeszedł w szok, a na koniec przerodził się w nieruchomą maskę, z której Jamie nie potrafił nic odczytać. Czy to był gniew, smutek, czy może rezygnacja?

Wreszcie Jamie skończył opowieść. Obaj Szłoci czekali skępowani, nie wiedząc, co robić dalej. Doktor Hasdi siedział za biurkiem z pochyloną głową, a jego dłonie spoczywały lekko na zwoju. Wreszcie uniósł głowę i pochylił ją lekko w stronę jednego, a potem drugiego z nich. Jego twarz była teraz spokojna i niczego nie zdradzała.

— Dziękuję — rzekł po francusku z silnym akcentem. — *Szalom*.

* * *

— Jesteś głodny? — Ian wskazał na pielarenkę, oferującą bułeczki oraz okrągłe, pachnące bochny. Sam umierał z głodu, choć ledwie przed półgodziną czuł w brzuchu bolesny ucisk

— Ehe, może i tak

Jamie nie zwolnił jednak kroku. Ian wrzuszył ramionami i podążył za nim.

— Jak myślisz, co zrobi kapitan, kiedy mu o tym opowiemy?

Ian nie przejmował się zbytnio tą perspektywą. Rosły mężczyzna, który potrafił posługiwać się mieczem, zawsze znajdzie pracę. A jego broń należała do niego. Musieliby jednak kupić miecz Jamiemu. Cała jego broń, od pistoletu aż po toporek, była własnością D'Eglise'a.

Iana tak zaprzętnął problem, czy to, co im zostało, wystarczy na kupno porządnego miecza, że nie zauważył, iż Jamie mu nie odpowiedział. Dotarło jednak do niego, że jego przyjaciel przyśpieszył kroku. Dogonił go i zobaczył, dołąd zmierzają. Do ober ży, w której ładna karczmarza wzięła Jamiego za Żyda.

Och, a więc tak to wygląda — pomyślał. No cóż, istniał tylko jeden niezawodny sposób, który pozwoli chłopakowi udowodnić, że nim nie jest.

Gdy weszli do środka, panowało tam ożywienie. Ian natychmiast wyczuł, że nie należy ono do tych dobrych. W karczmie byli żołnierze, regularni i innego rodzaju — najemnicy tacy jak oni. Wyraźnie nie darzyli się nawzajem sympatią. Atmosfera była tak gęsta, że można by ją krajać nożem, a sądząc po plamie na wpół zaschniętej krwi na podłodze, ktoś już sięgnął po to narzędzie.

Były tu też kobiety, ale mniej liczne niż poprzednio. Karczmarzki nie odrywały spojrzeń od tac. Dzisiaj nie próbowały flirtować.

Jamie nie zwracał uwagi na atmosferę. Ian zauważył, że jego przyjaciel rozgląda się w poszukiwaniu ciemnowłosej dziewczyny. Na tym piętrze jej nie było. Mogliby o nią zapytać, gdyby wiedzieli, jak ma na imię.

— Może na górze? — zapytał Ian, pochylając się ku przyjacielowi i niemalże wrzeszcząc mu do ucha, by przekrzywić hałas. Jamie skinął głową i zaczął się przepychać przez tłum. Ian podążył za nim, licząc na to, że szybko znajdą dziewczynę i będzie mógł spokojnie się najieść, podczas gdy chłopak będzie zajęty.

* * *

Na schodach było tłoczno. Ludzie schodzili na dół. Na górze coś się działo. Jamie pchnął łokciem na ścianę z głośnym łoskotem, próbując dostać się tam szybciej. Wzdłuż jego kręgosłupa przebiegło ukłucie nienazwanego strachu. Był już na wpół przygotowany, gdy przedarł się przez grupkę gapiów stojących na szczycie schodów i zobaczył ich.

Mathieu i ciemnowłosa dziewczyna. Na górze była rozległa, otwarta sala, od której odchodził korytarz z licznymi pokojkami. Mathieu złapał dziewczynę za rękę i ciągnął ją w tamtą stronę,

trzymając rękę na jej tyłeczku. Nie zważał na jej sprzeciwy.

— Puść ją! — zażądał Jamie. Nie krzyknął, ale podniósł głos na tyle, że łatwo można go było usłyszeć. Mathieu nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, choć wszyscy poza nim odwrócili się i spojrzeli ze zdumieniem na Szkota.

— Józefie Świąty i Maryjo, miejcie nas w swojej opiece — wyszeptał Ian za jego plecami, ale Jamie go zignorował. Podszedł w trzech krokach do Mathieu i kopnął go w dupę.

Uchylił się odruchowo, ale Mathieu odwrócił się tylko i przeszył go gorejącym spojrzeniem, ignorując śmiechy i radosne okrzyki gapiów.

— Później, chłopcze. Teraz jestem zajęty.

Objął młodą kobietę potężnym ramieniem i pocałował ją niezgrabnie, drapiąc zarostem jej twarz tak mocno, że karczmarza aż pisnęła i spróbowała się wyrwać.

Jamie wyciągnął pistolet zza pasa.

— Powiedziałem, żebyś ją puścił.

Hałas ucichł nagle, ale on ledwie to zauważył. Uszy wypełniał mu szum krwi.

Mathieu odwrócił z niedowierzaniem głowę. Następnie prychnął pogardliwie, uśmiechnął się złowrogo i popchnął dziewczynę tak mocno, że jej głowa uderzyła z łoskotem o ścianę. Następnie przycisnął ją swym ciężarem do muru.

Pistolet był gotowy do strzału.

— *Salop!* — ryknął Jamie. — Nie dotykaj jej! Puść ją!

Zacisnął zęby i wycelował, trzymając broń w dwóch drżących z gniewu i strachu rękach.

Mathieu nawet na niego nie spojrział. Potężnie zbudowany mężczyzna odwrócił się bokiem, trzymając dłoń na piersi dziewczyny. Pисnęła, gdy ją uszczypnął, i Jamie wystrzelił. Mathieu odwrócił się błyskawicznie, trzymając w ręce pistolet, który ukrywał dotąd za pasem, i powietrze wypełniła eksplozja huku oraz białego dymu.

Zabrzmiały krzyki, pełne strachu bądź podniecenia. Gdzieś za plecami Jamiego wypalił kolejny pistolet. *Ian?* — pomyślał niejasno młodzieniec, ale nie, jego przyjaciel pobiegł w stronę Mathieu i skoczył na niego, gdy potężna ręka unosiła się, trzymając drugi pistolet. Jego lufa zataczała kręgi, kiedy Mathieu próbował wycelować w Jamiego. Broń wypaliła i kula uderzyła w jedną ze stojących na stołach lamp, która eksplodowała z głośnym świstem. Płomienie trysnęły na wszystkie strony.

Jamie odwrócił pistolet lufą ku sobie i tłukł przeciwnika w głowę jego uchwytem. Nawet nie pamiętał, kiedy do niego podszedł. Oczka Mathieu, przy pominające ślepia wściekłego dzika, były niemal niewidoczne. Przymrużył je z radości wywołanej walką. Krew, która nagle zalała mu twarz i spływała między zębami, tylko poszerzyła jego uśmiech. Strząsnął z siebie Iana tak gwałtownie, że Szkot uderzył o ścianę, a potem, niemalże od niechcienia, otoczył potężnym

ramieniem tułów Jamiego, pochylił głowę i walnął go bykiem w twarz.

Młodzieniec odwrócił odruchowo głowę, unikając złamania nosa, ale pod wpływem uderzenia wewnętrzna strona jego policzka wbiła się w zęby i usta wypełniła mu krew. Zakręciło mu się w głowie od siły ciosu, ale zdołał wsunąć rękę pod zuchwę Mathieu i z całej siły pociągnął ją ku górze, próbując złamać mu kark. Jego dłoń ześliznęła się jednak na zlanym potem ciele. Mathieu zwolnił uścisk, próbując kopnąć go w jaja. Kolano tamtego uderzyło z wielkim impetem w udo młodzieńca. Jamie odsunął się chwiejnie i złapał przeciwnika za ramię. W tym samym momencie Ian zaatakował go z przeciwnej strony i chwycił za drugie. Bez chwili wahania Mathieu zgiał w łokciach potężne kończyny. Złapał obu Szkotów za karki i uderzył ich głowami o siebie.

Jamie nic nie widział i ledwie był w stanie się ruszać, nie dawał jednak za wygraną, wyciągając na oślep ręce. Leżał na podłodze, czuł deski, wilgoć. Jedna z jego rąk natrafiła na ciało. Skoczył do przodu i ugryzł Mathieu w łydkę tak mocno, jak tylko mógł. Usta wypełniła mu świeża krew, gorętsza od jego własnej. Zakrzusił się, ale nadal zaciskał zęby na owłosionym ciele, uparcie trzymając się wierzgającej szaleńczo nogi. W uszach mu dzwoniło, do jego świadomości niejasno docierały krzyki i wrzaski, ale nie poświęcał im uwagi.

Coś nim zawładnęło, przyćmiewając wszystko inne. Jakaś drobna pozostałość jego świadomości czuła się zaskoczona, ale po chwili ona również zniknęła. Nie było bólu ani myśli. Pozostała tylko czerwona pasja. Widział przedmioty, twarze, krew i fragmenty pokoju, lecz nic z tego nie miało znaczenia. Zawładnęła nim krew. Gdy odzyskał choć częściowo świadomość, siedział okrakiem na przeciwniku, zaciskając ręce na jego szyi. W dłoniach pulsowało mu tętno — nie wiedział, czy jego własne, czy jego ofiary. On... Zapomniał, jak się nazywa przeciwnik. Oczy tamtego wychodziły z orbit, z rozdziawionych ust płynęła mu ślina. Coś pękło pod kciukami Jamiego z cichym, słodkim trzaskiem. Zaciskał je ze wszystkich sił, tak długo, aż wreszcie poczuł, że potężne ciało pod nim zrobiło się dziwnie bezwładne.

Nie był w stanie zwolnić uścisku, aż wreszcie ktoś złapał go za barki mocno nim potrząsnął.

— Przestań — wychrypiał ktoś z pasją prosto do jego ucha. — Jamie, przestań.

Zamrugał, widząc przed sobą bladą, kościstą twarz. Nie potrafił przypisać do niej imienia. Zacerpnął tchu — chyba po raz pierwszy od dłuższego czasu — i poczuł intensywny odór krwi, gówna oraz potu. Nagle sobie uświadomił, jak okropnie gąbczaste jest ciało, na którym siedzi. Zlął z niego niezgrabnie i osunął się na podłogę. Mięśnie drżały mu spazmatycznie.

I wtedy ją zobaczył.

Leżała skulona pod ścianą. Jej ciemne włosy rozsypały się na podłodze. Podniósł się na kolana i poczołgał do niej.

Jęczał cicho, próbował coś powiedzieć, ale brakowało mu słów. Dotarł do ściany i wziął

dziewczynę w ramiona. Ciało miała bezwładne, a jej głowa opadała. Głaskał jej ramię oraz miękkie włosy pokrywające mu twarz. Pachniały dymem oraz jej słodkim piżmem.

— *A nighean* — zdołał wykrztusić. — Chryste, *a nighean*. Czy...

— Jezu — odezwał się ktoś u jego boku. Jamie poczuł drżenie, gdy Ian — dzięki Bogu, przypomniał sobie jego imię, to był Ian — osunął się na podłogę obok niego. Jego przyjaciel nadal ścisnął w dłoni zakrwawiony sztylet. — O Jezu, Jamie.

Młodzieniec uniósł wzrok, zdziwiony i zdesperowany. Potem opuścił spojrzenie, gdy ciało dziewczyny wysunęło się z uścisku i opadło na jego kolana z nienaturalną, bezkrotną gracją. Z małego otworu w jej białej piersi wyciekła odrobina krwi. Tylko odrobina.

* * *

Zmusił Jamiego do pójścia z nim do Katedry Świętego Andrzeja i nalegał, by jego przyjaciel się wyspowiadał. Ten jednak odmówił, co nie zaskoczyło Iana.

— Nie. Nie mogę.

— Pójdziemy razem.

Ian ujął go stanowczo za ramię i dosłownie przeciągnął przez próg, licząc na to, że, gdy już znajdą się w środku, atmosfera tego miejsca skłoni Jamiego do pozostania.

Jego przyjaciel stanął jak wryty i rozejrzał się wkoło, świecąc białkami oczu.

Kamienna kopuła sufitu niknęła w mroku nad ich głowami, ale na wytarte kafelki podłogi padały plamy barwnego światła wnikającego do środka przez witraże.

— Nie powinienem tu przychodzić — mruknął pod nosem Jamie.

— A cóż mogłoby być lepsze, ty idioto? Chodź — odburknął Ian i pociągnął za sobą przyjaciela nawą boczną prowadzącą do kaplicy Świętego Szczepana. Większość umieszczonych pod ścianą kaplic była pięknie ozdobiona, stanowiły one pomniki na cześć miejscowych bogatych rodzin. Ta była mała, pozbawiona dekoracji kamienną niszą. Zawierała tylko ołtarz, wyblakły gobelin przedstawiający pozbawionego twarzy świętego oraz mały lichtarz, w którym można było zostawiać świece.

— Zostań tu.

Ian ustawił przyjaciela na wprost przed ołtarzem i wysunął się z niszy, by kupić świece od staruszki, która sprzedawała je przy głównych drzwiach. Postanowił dać sobie spokój z próbą nakłonienia Jamiego do pójścia do spowiedzi. Wiedział, kiedy można do czegoś nakłonić jednego z Fraserów, a kiedy nie jest to możliwe.

Martwił się trochę myślą, że Jamie może sobie stąd pójść, wrócił więc pośpiesznie do kaplicy, ale on nadal stał pośrodku małej wnęki. Zawiesił głowę, wpatrując się w podłogę.

— Chodź — odezwał się Ian i pociągnął go do ołtarza. Wetknął świecę — była wielka i droga,

zrobiona z pszczelego wosku — do lichtarza, wyciągnął z rękawa zwitek papieru, który dostał od staruszki, i podał go Jamieu. — Zapal go. Odmówimy modlitwę za twój ojciec. I... i za nią.

Widział ły drzące na rękach przyjaciela. Lśniły czerwonym blaskiem w świetle lampy wiszącej nad ołtarzem. Jamie strząsnął je jednak mrużeniem i zacisnął zęby.

— Dobra — rzekł cicho, ale potem się zawahał. Ian westchnął, wyjął zwitek z jego dłoni i wspiął się na palce, by zapalić go od płomienia lampy.

— Zrób to — wyszeptał, wręczając zwitek przyjacielowi — albo zaraz przywalę ci w nerkę.

Jamie wydał z siebie odgłos, który mógł być śmiechem albo westchnieniem, po czym dotknął płonącym papierkiem knota świecy. Pojawił się płomień, czysty i wysoki, o błękitnym sercu. Następnie się uspokoił, gdy młodzieniec cofnął rękę i potrząsnął zwitkiem, gasząc go wśród obłoków dymu.

Stali tam przez pewien czas, splatając luźno dłonie przed sobą, i wpatrywali się w płonąca świecę. Ian pomodlił się za rodziców, za siostrę i jej dzieciaki oraz z pewnym wahaniem (czy można się było modlić za Żydówkę?) za Rebekę bat Lee, a potem — zerknąwszy z ukosa na Jamiego, by się upewnić, że tego nie widzi — za Jenny Fraser. Następnie odmówił modlitwę za duszę Briana Fräsera i wreszcie, zacisnąwszy mocno powieki, za przyjaciela, który stał u jego boku.

Wypełniające kościół dźwięki ucichły — szepty kamieni, echa drewna, szuranie stóp oraz nieustanne gruchanie gołębi na dachu. Ian przestał wypowiadać słowa, ale nadal się modlił. Później tego również zaprzestał i pozostał tylko spokój oraz ciche bicie serca.

Usłyszał westchnienie Jamiego dobiegające z głębin i otworzył oczy. Wyszli razem bez słowa, pozostawiając świecę w kaplicy, by pełniła straż.

— A czy ty nie chciałeś się wypowiedzieć? — zapytał Jamie, zatrzymując się przy głównych drzwiach kościoła. W konfesjonale siedział ksiądz, dwie albo trzy osoby czekały w kolejce, trzymając się w dyskretnej odległości od rzeźbionej, drewnianej budki, poza zasięgiem słuchu.

— Wstrzymam się z tym — odparł Ian, wzruszając ramionami. — Jeśli ty pójdziesz do piekła, równie dobrze mogę pójść tam z tobą. Bóg wie, że sam sobie nie poradzisz.

Jamie się uśmiechnął — bledziutko, ale dostrzegalnie — i popchnął drzwi, wychodząc w słońce.

Przez pewien czas wałęsali się bez celu, nie odzywając się ani słowem, aż wreszcie dotarli na brzeg rzeki. Ciemne wody Garonny niosły ku morzu szczątki po niedawnej burzy.

— To znaczy „pokój” — zmącił wreszcie ciszę Jamie. — To słowo, które powiedział mi doktor „Szalom”.

Ian świetnie o tym wiedział.

— Ehe — zgodził się. — Ale na razie nie zajmujemy się pokojem. Jesteśmy żołnierzami.

- Wskazał podbródkiem w kierunku najbliższego pirsu, gdzie cumował statek pocztowy.
- Słyszałem, że król Prus potrzebuje ludzi do walki.
- To prawda — zgodził się Jamie, rozprostowując ramiona. — No to ruszajmy.

Od Autorki

Chciałabym podziękować za pomoc kilku osobom, które wyszukały dla mnie szczegóły dotyczące żydowskiej historii, praw oraz obyczajów. Elle Druskin (autorce książki *To Catch a Cop*), Sarah Meyer (dyplomowanej położnej), Carol Krenz, Celi K. i jej rabinicznej mamie, a zwłaszcza Darlene Marshall (autorce książki *Castaway Dreams*). Wiele zawdzięczam też bardzo pomocnej księżce rabina Josepha Telushkina *Jewish Literacy*. Za wszystkie błędy odpowiadam wyłącznie ja.

Przetłumaczył Michał Jakuszewski

SHERRILYN KENYON

Piekło nie zna furii

(HELL HATH NO FURY)

Uważaj, czego szukasz — bo możesz to znaleźć.

Bestsellerowa autorka „New York Timesa” Sherrilyn Kenyon jest jedną z czołowych pisarek paranormal romance. Najbardziej znana jest z cyklu *Mroczny łowca*, zawierającego takie tytuły, jak *Objęcia nocy*, *Taniec z diabłem*, *Pocałunek nocy* czy *Bad Moon Rusing*. Napisała również serię *League*, w skład której wchodzi: *Born of the Night*, *Born of Fire*, *Born of Ice: Love in Another Time, Another Place* oraz *Born of Shadows*, a także serię *Chronicles of Nick*, zawierającą powieści *Infinity* oraz *Invincible*. Ponadto jest twórczynią czterech tomów antologii *B.A.D.* (Bureau of American Defence — Biuro Obrony Amerykańskiej). Dwa z nich napisała z Dianą Love: *Bad Attitude* i *Phantom In the Night*. Jej dziełem jest również książka *Born to be B.A.D* oraz trzyczęściowy zbiór *Belador Code*, także napisany z Dianą Love. Najnowsze powieści Sherrilyn Kenyon to piąta część cyklu *League*, zatytułowana *Born to Silence* oraz *Infamous*, kolejna część cyklu *Chronicles of Nick*. Kenyon jest również autorką książek non-fiction, takich jak *The Writer’s Guide to Everyday Life In the Middle Ages* i *The Writer’s Digest Characters Naming Source Book*. Pisarka mieszka w Spring Hill w Tennessee. Jej strona internetowa to: Sherrilynkenyon.com.

PIEKŁO NIE ZNA FURII

NA PODSTAWIE PRAWDZIWEJ LEGENDY

— Sądzę, że nie powinno nas tu być.

— No chodź, Cait. Uspokój się. Wszystko jest w porządku. Mamy ustawiony sprzęt i...

— Czuję się, jakby mnie ktoś obserwował. — Cait Irwin odwróciła się powoli, badając wzrokiem gęsty las, który teraz, gdy słońce zachodziło, wydawał się jeszcze bardziej złowrogi. Drzewa rozgałęziały się we wszystkie strony, tak grube i liczne, że nie widziała nawet, gdzie zaparkowali jej samochód. Droga natomiast musiała być bardzo daleko, gdyż nie docierały z niej żadne dźwięki. *Moglibyśmy tu umrzeć i nawet nikt by nie wiedział...*

Anne, jej najlepsza przyjaciółka z dzieciństwa, uśmiechnęła się głupawo, opuszczając kamerę termowizyjną.

— Mam nadzieję, że coś cię jednak obserwuje... W którą stronę powinnam skierować kamerę?

Cait pokręciła głową, w ten sposób kwitując jej wesołość. Anne niczego nie kochała bardziej niż możliwości zaobserwowania ducha.

— Anne, ja nie żartuję. Tutaj coś jest. — Spojrzała wilkiem na przyjaciółkę.

— Przyprowadziłaś mnie tutaj, bo jestem medium, tak?

— Tak

— Więc uwierz mi. To... — Cait poczuła dreszcze i potarła ramiona. — To nie jest dobre.

— Co się dzieje? — Dołączywszy do dziewczyn, Brandon położył futerał swojej kamery u stóp Anne. On i Jamie odeszli wczesniej, żeby rozstawić swoje kamery DVR i aparaty na noc. Cait i Anne były drobnej budowy ciała, zaś Brandon i Jamie byli potężnie zbudowani, pierwszy bardziej z powodu piwa i surfowania po kanałach telewizyjnych, drugi zaś dzięki godzinom spędzonym w sali gimnastycznej. Mimo to jasnowłosy i niebieskooki Brandon był przystojny na swój chłopięcy sposób. Natomiast Jamie miał to mroczne, zamysłone i seksowne spojrzenie, pod wpływem którego większość kobiet topniała i chichotała, gdy tylko spojrzał w ich stronę.

Anne wskazała na nią skłineniem podbródka.

— Cudowne dziecko już coś tutaj wy czuwa.

Brandon otworzył szeroko oczy.

— Mam nadzieję, że masz na myśli ducha, a nie jakąś leśną zarazę, na którą nie jesteśmy odporni. Witaminę C zostawiłem w domu.

Cait zadrżała, gdy przepłynęła przez nią kolejna fala niepokoju. Tym razem nawet silniejsza niż poprzednia.

— A tak przy okazji, czyj był ten świetny pomysł? — zapytała.

Anne wskazała na uśmiechającego się dumnie Brandona.

— Daj spokój, Cait. — Mrugnął do niej. — To jest miasto duchów. Nie co dzień mamy okazję

takie badać. Na pewno taka z natury niewzruszona osoba jak ty nie piszczy jak mała dziewczynka, oglądając horror.

— Buu!

Cait wrzasnęła, gdy Jamie złapał ją od tyłu.

Śmiejąc się, obszedł ją, zrzucił z ramion firmowy plecak Alienware i położył go obok torby od kamery.

Spojrzała na tę chodzącą górę.

— Niech cię diabli, Jamie! Wcale nie jesteś zabawny!

— Nie — zgodził się. — Ale ty jesteś. Nie wiedziałem, że potrafisz tak wysoko skakać. Jestem pod wrażeniem.

Sycząc na niego niczym dzika kocica, zamachnęła się pazurami w jego stronę.

— Gdybym nie uważała, że to do mnie wróci, rzuciłabym na ciebie kłutwę.

Błysnął tym diabelskim uśmiechem, ograniczonym dołeczkami tak głębokimi, że odcinały się na policzkach dwoma księżycami.

— Ach, kochanie, możesz mnie przeklinać, kiedy tylko zechcesz!

Cait stłumiła chęć uduszenia go. Cała irytacja na bok Nauki instruktora sztuk walki, zbudowanego jak Rambo, któregoś dnia mogły się przydać. A zmysły Spidermana wciąż przyprawiały ją o mrowienie, ostrzegając, że ten dzień może wcale nie być aż tak odległy.

— Nie powinniśmy tu przebywać. — Zagryzła wargę, rozglądając się dookoła i próbując odkryć, co wprawilo ją w takie roztrzęsienie.

— Nikt nie powinien — odpowiedział Brandon upiornym tonem. — Ta ziemia jest przeklęta. Uuuu-uuuu-uuuu...

Zignorowała go. Ale miał rację. Niegdyś hrabstwo Randolph było najbogatsze w całej Alabamie. Dopóki miejscowi nie zmusili właścicielki rdzennie amerykańskiego przedsiębiorstwa do zostawienia go i podążenia Szlakiem Łez.

— Louina...

Cait obróciła się gwałtownie, gdy usłyszała wypowiedziane cichym szeptem imię kobiety — taksamo brzmiała nazwa miasta duchów, w którym znajdowali się. To raczej okrutne nazywać miasto imieniem kobiety, która została z niego wypędzona bez żadnego powodu.

— Louina — powtórzył głos, nawet bardziej natarczywie niż wcześniej.

— Słyszeliście to? — zapytała pozostałych.

— Niby co? — Jamie sprawdził DVR. — Niczego nie wyłapuję.

Coś uderzyło Cait mocno w pierś, zmuszając ją do cofnięcia się o krok. Jej przyjaciele i las zniknęły. Nagle znalazła się w starym składzie handlowym. Zapach ścian i podłogi z sosnowych desek mieszał się z zapachem przypraw i mąki. Ale najintensywniej pachniało mydło ułożone na

ładzie.

Starsza Indianka, z włosami zaplecionymi w warkocz i upięty mi dookoła głowy, wyrównywała stołki stojące na ładzie, podczas gdy młodsza kobieta w ciąży, wyglądająca podobnie, opierała się o jej przeciwległy koniec.

Ale najbardziej zaszokowało Cait jej niezwykle podobieństwo do starszej kobiety, aż po czarne włosy i wysokie brwi.

Młodsza kobieta o mieniu Elizabeth — Cait nie miała pojęcia, skąd to wie, ale wiedziała — sięgnęła do jednego ze szklanych słoików i wyciągnęła kawałek lukrecji.

— Chcą zmusić cię do wyjazdu, Lou. Podśluchałam, jako tym rozmawiali.

Louina wyśmiała ostrzeżenie siostry, zanim przykryła słoik wiekiem i odsunęła się od niej.

— Nasi ludzie byli tutaj na długo przed nimi i będziemy tu jeszcze długo po ich odejściu.

Wspomnisz moje słowa, Lizzie.

Elizabeth przełknęła kawałek lukrecji.

— Nie słyszałaś, co zrobili Czirokezom w Georgii?

— Słyszałam. Ale Czirokezi nie są Krik. Nasz naród jest silny.

Elizabeth drgnęła, po czym położyła dłoń na nabrzmiałym brzuchu, tam, gdzie kopnęło ją dziecko.

— Niepokoi się za każdym razem, gdy pomyślę, że mogą zmusić cię do odejścia.

— Więc nie myśl o tym. To się nie zdarzy — powiedziała Louina. — Dopóki tu jestem.

— Cait!

Cait podskoczyła, gdy Jamie wrzasnął jej prosto w twarz.

— Co? — zapytała zdeorientowana.

— Jesteś z nami? Odpłynęłaś na chwilę.

Mrugając, potrząsnęła głową, żeby oczyścić ją z wizji, które wydawały się tak realne, że czuła smak lukrecji, którą jadła Elizabeth.

— Gdzie znajdował się ten oryginalny skład handlowy, o którym wspominaliście?

Brandon wrzucił ramionami.

— Nie mam pojęcia. Nie mogliśmy znaleźć żadnej informacji na ten temat. Nic poza tym, że należał do Indianki, której imieniem nazwano miasto. Dlaczego pytasz?

Ponieważ miała złe przeczucie, że właśnie stoją na jego terenie. Ale nie mieli nic na potwierdzenie tego faktu. Nic, prócz złego przeczucia w dole brzucha.

Rzeczywiście nic nie zostało z tego kwitnącego niegdyś miasta, poza rzędami krzyży na zapomnianym cmentarzu i znaku głoszącego, że to Louina w Alabamie.

Ledwie skończyła tę myśl, znów oczyma duszy zobaczyła Louinę. Stała kilka stóp na lewo od Cait, z dwoma wozami wypełnionymi taką ilością pieniędzy i dobytku, jaką była w stanie

przewieźć. Wściekła, splunęła na ziemię, a potem przemówiła w narzeczu Krik do ludzi, którzy przyszli skonfiskować jej dom i skład, i zmusili do wyjazdu.

Cait wiedziała, że to było narzecze Krik, język którego wcale nie знаła, a jednak słowa były dla niej tak zrozumiałe, jakby rozmawiali po angielsku.

— Przeklinam tę ziemię i wszystkich, którzy tu mieszkają. Za to, co mi zrobiliście... za okrucieństwo, które okazujecie innym. Nikomu nie uda się rozwinąć mojego przedsiębiorstwa, a kiedy moja siostra przejdzie z tej egzystencji do następnej, w ciągu dziesięciu lat od tego dnia, z tego miasta nie zostanie nic, prócz nagrobków.

Szeryf i jego zastępcy, których przysłano, żeby eskortowali kobietę z domu, roześmiali się jej w twarz.

— Nie bądź taka, Louino. To nie jest nic osobistego przeciwko tobie.

— Nie, ale to jest coś osobistego przeciwko wam. — Obrzuciła ich wszystkich zjadliwym spojrzeniem. — Nikt nie będzie o was pamiętał. Nie będzie wiedział, że kiedykolwiek oddychaliście. Ale będą pamiętać moje imię, Louina. A także okrucieństwo, jakiego doznałam z waszych rąk.

Jeden z zastępców wyszedł zza drugiego wozu z marsową miną.

— Louina? To nie może być wszystko, co posiadasz.

Okrutny uśmiech wykrzywił jej usta.

— Nie jestem w stanie zabrać całego mojego złota.

To wzbudziło zainteresowanie zastępców.

— Gdzie je zostawiłaś? — zapytał szeryf.

— W najbezpieczniejszym miejscu, jakie znam. W ramionach mojego ukochanego męża.

Szeryf przeciągnął kciukiem po krawędzi ust.

— Tak, ale nikt nie wie, gdzie go pochowałaś.

— Ja wiem i nie zapomnę... — Powiodła po nich wszystkich mrozącym krew w żyłach spojrzeniem. — Niczego — dodała, następnie wdrapała się na wóz i ruszyła, nie oglądając się za siebie. Ale w jej oczach nie brakowało również wyrazu zadowolenia z siebie.

Zostawiała za sobą znacznie więcej niż tylko sklep.

Cait słyszała zjadliwe słowa Louiny, jakby były jej własnymi. *Będą rozszarpywać się wzajemnie, szukając złota, którego mój mąż nigdy nie wypuści...*

To była ostateczna zemsta Louiny, której wyrazem były niesamowite rzędy zaznaczonych krzyżami grobów na starym cmentarzu Wolnego Baptystycznego Kościoła Misyjnego. Słabość naszych wrogów jest naszą siłą. Uczyni swego wroga odważnym, mądrym i silnym, żebyś nie wstydził się, jeśli zostaniesz pokonany.

Cait wyczuwała Louinę obok siebie, jak własny cień. Część siebie, którą mogła dostrzec tylko

w odpowiednio padającym świetle.

Louina szeptała jej do ucha, ale tym razem Cait nie rozumiała słów. A mimo to towarzyszyły jej uczucie trawiącego wszystko strachu, który nie opuszczał jej bez względu na to, jak bardzo starała się go odegnąć.

Westchnęła, zanim ponownie spróbowała przekonać grupę.

— Powinniśmy wyjechać.

Wszyscy troje zaprotestowali.

— Dopiero co rozstawiliśmy sprzęt.

— Co? Teraz? Byliśmy tu cały dzień!

— Naprawdę, Cait? Co ty sobie myślisz?

Mówili wszyscy naraz, ale każdy głos był tak wyraźny jak Louiny.

— Nie powinno nas tu być — upierała się Cait. — Ta ziemia mówi mi, że powinniśmy stąd odejść. Pieprzyć sprzęt, jest ubezpieczony.

— Nie! — zaprotestował stanowczo Brandon.

Wtedy zrozumiała, dlaczego byli tacy uparci, mimo że Brandon przez całe życie powtarzał, że jeśli natkniesz się na wrogie nawiedzenie, to rezygnujesz z tego miejsca. Ponieważ nic nie jest warte ryzyka opętania.

Tylko jedno mogło sprawić, by Brandon i Jamie zapomnieli o własnych przekonaniach.

Chciwość.

— Nie przyjechaliście tu z powodu duchów. Tylko z powodu skarbu.

Jamie i Brandon wymienili nerwowe spojrzenia.

— Ona jest medium — przypomniała im Anne.

Brandon zaklął.

— Kto ci powiedział o skarbie?

— Louina — odpowiedziała Cait.

— Czy może powiedzieć ci, gdzie on jest? — zapytał z nadzieją Jamie.

Cait odwróciła się do niego.

— To naprawdę wszystko, co was interesuje?

— Cóż... nie wszystko. Jesteśmy tutaj z powodu nauki. Naturalna ciekawość. Ale stawmy temu czoło, sprzęt nie jest tani i trochę zwrotu kosztów nie byłoby takie złe.

Dobór jego słów tylko pogłębił jej obawy.

— Naprawdę nie wyczuwacie tutaj zła? — Wskazała w stronę cmentarza, pierwszego miejsca, w którym rozstawili sprzęt, czyli tam, gdzie zaczęły nawiedzać ją złe przeczucia. — Jest tak gęste, że mogę wyczuć jego zapach.

— Ja czuję zapach wilgoci.

Jamie uniósł rękę.

— Zaloguj mnie do igrzysk śmierci — powiedział.

— Irytujesz mnie — zawtórował mu Brandon. — Słuchaj, to tylko jedna noc. Ja i Jamie zamierzamy trochę się zmotyczyć i spróbować znaleźć miejsce do kłapania.

Jak on mógł tak kpić sobie z tego, co planowali?

— Zamierzacie rozkopać grób?

Zamarli.

— Co? — zapytał Brandon.

Cait skinęła głową.

— Skarb jest zakopany razem z mężem Louiny, Williamem, który był jednym z wodzów plemienia Krik w czasie Wojny Czerwonego Kija.

Jamie zmrużył oczy, przyglądając się jej podejrzliwie.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Mówiłam wam, Louina. Cały czas mówi do mnie.

— A ja wydam pieniądze na Google. — Brandon parsknął. — Prawdopodobnie wiesz, gdzie znajdują się pieniądze, i próbujesz nas od nich odstraszyć. Nie ma sprawy, siostrzo. Chcę swoją działkę.

Śmiejąc się, Jamie klepnął go w plecy, a potem podszedł do lodówki, żeby wziąć sobie piwo.

Anne podeszła bliżej do przyjaciółki.

— Mówisz to wszystko poważnie?

Cait przytaknęła.

— Chciałabym, żeby mi uwierzyli. Nie powinno nas tu być. Ta ziemia jest przesiąknięta wrogością. To jest jak rzeka płynąca pod powierzchnią ziemi.

I po tych słowach straciła poparcie Anne.

— Ziemia nie może być zła czy przeklęta. Wiesz o tym — oznajmiła i odeszła do mężczyzn.

Cait wiedziała lepiej. Sama była w połowie Kriki wyrosła na wierze swojej matki, że jeśli ktoś nienawidzi wystarczająco mocno, to może przenieść tę nienawiść na przedmioty lub ziemię, które były jak gąbki i mogły nosić w sobie tę nienawiść przez całe pokolenia.

Louina była tam. I była zła.

A przede wszystkim była mściwa.

I nadchodziła po nas...

* * *

Cait czuła się jak trędowata, gdy siedziała sama przy ognisku, jedząc proteinowego batona. Pozostali wyruszyli do lasu, próbując przywołać istotę, o której wiedziała, że jest z nią.

— Louina? — zawołał Jamie głębokim głosem rezonującym wśród drzew. — Jeśli mnie słyszysz, daj mi znak

Choć było to zwyczajne wyrażenie, z jakiegoś powodu tego wieczoru zaniepokoiło ją. Przedrzeźniała go cicho, zsuwając niżej opakowanie batona.

Nagle rozległ się krzyk

Cait zerwała się na nogi i nasłuchiwała uważnie. Co to było i gdzie byli jej przyjaciele? Serce dudniło jej w uszach.

— Brandon! — zawołała Anne, a jej głos odbił się echem wśród drzew.

Cait pobiegła w ich stronę najszybciej, jak mogła.

Po chwili znalazła ich. Brandon leżał na plecach z ramieniem przebitym gałęzią.

— Powiedział, że chce działkę...

Dziewczyna rozejrzała się szybko, próbując zlokalizować głos, który przemawiał głośno i wyraźnie.

— Słyszeliście to? — zapytała pozostałych.

— Wszystko, co słyszę, to Brandona skamlącego jak suką. Wyciągnij ją wreszcie, koleś. Do diabła. Zachowuj się, bo kupię ci stanik

— Pieprz się! — warknął do Jamiego. — Pozwól, że dźgnę cię patykiem i zobaczymy, jak będziesz się czuł. Sam jesteś suką. Dupek!

— Chłopaki! — Cait weszła między nich. — Co się stało?

— Nie wiem. — Brandon syknął, gdy Anne próbowała obejrzeć ranę. — Szedłem, kierując się termicznym skanerem, gdy nagle potknąłem się i wpadłem na drzewo. Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest... to! — Unosił ramię, żeby jej pokazać.

Przestraszona Cait odwróciła wzrok od przerażającej rany.

— Powinniśmy zawieźć go do szpitala.

— Nie w twoim życiu — warknął Brandon. — Nic mi nie będzie.

— Wyciągnę to. Nie jesteś suką. Jesteś szalony. Popatrz na tę ranę. Nie lubię zgadzać się z Cait, bo wątpię, czy gdzieś tu w pobliżu jest szpital, ale potrzebujesz pomocy.

— To powierzchowna rana.

Cait pokręciła głową.

— Anne, nigdy nie powinnaś pozwalać mu oglądać Monty Pythona.

— Nigdy nie powinnam pozwalać mu chodzić samodzielnie do łazienki — warknęła na niego Anne. — Mają rację. Powinien obejrzeć cię lekarz. Mogłeś zarazić się wściekłą albo czymś.

Tak, bo wściekłe drzewa są olbrzymim problemem tutaj w Alabamie. Cait ledwie powstrzymała się od parsknięcia śmiechem. Anne nienawidziła, gdy ktoś się z niej śmiał.

— Nie odjadę stąd, póki nie znajdę tego skarbu!

Chciwość, pycha i głupota. Trzy najgorsze cechy, jakie człowiek mógł posiadać.

Nagle wokół nich zerwał się wiatr. Tym razem nie była jedyną, która usłyszała niesiony nim śmiech.

— Co to było? — zapytał Jamie.

— Louina.

— Możesz skończyć z tym gównem? — wycedził Brandon przez zaciśnięte zęby. — Naprawdę działasz mi na nerwy.

A oni jej.

W porządku. Co jej tam. Nie zamierzała dłużej dyskutować. To było ich życie. Jego rana. Kim ona była, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo, skoro sam najwyraźniej nie był tym zainteresowany?

Jamie westchnął, ujmując się pod boki.

— Jaksądziecie, jakie są szanse, zakładając, że Cait ma rację, że mąż Louiny ma złoto w swoim grobie, którego nie ma na cmentarzu? Czy większość rdzennych Amerykanów w tej okolicy nawróciła się na baptyzm?

Cait potrząsnęła głową.

— Jego tam nie będzie.

— Na jakiej podstawie taktwierdzisz?

— Gdyby tak łatwo było znaleźć to miejsce, to odnaleziono by je już dawno temu.

— Tak trafna uwaga. Utknęliśmy w punkcie wyjścia. Do kitu. — Jamie spojrzał na Brandona. — Jesteś pewien, że nie potrzebujesz lekarza?

— Tak

— W porządku. Ja wracam. Cait? Idziesz?

— Nie możesz iść sam. — Podążyła za nim, kiedy włączył latarkę i zawrócił do swojego czujnika EMF i licznika jonów powietrza.

— Zechcesz to wziąć? — Wręczył jej pełnoogniskową kamerę.

— Jasne. — Otworzyła ją i odwróciła tak, żeby mogła widzieć świat przez okular na małym ekranie.

Po kilku minutach zatrzymał się.

— Naprawdę wierzysz w te wszystkie bzdury, które wygadywałaś?

— Znasz mnie, James. Czy kiedykolwiek gadałam bzdury, będąc na miejscu?

— Nie. I to mnie martwi. — Spojrzał na nią, mrużąc oczy. — Czy wspomniałem kiedyś, że moja wspaniała babcia pochodziła z plemienia Czirokeów?

— Nie, nie wspominałeś.

Skinął głową.

— Umarła, kiedy miałem sześć lat, ale wciąż ją pamiętam, a coś, co zawsze powtarzała, rozbrzmiewa echem w mojej głowie.

— Co?

— Słuchaj albo własny język cię zagłuszy.

Cait już miała pochwalić jej mądrość, kiedy spojrzała na ekran.

Matko Święta...

Lapiąc powietrze, upuściła kamerę i odskoczyła do tyłu.

— Co? — Jamie odwrócił się, żeby zobaczyć, co znajduje się w pobliżu.

Przerażona i roztrzęsiona Cait nie była w stanie mówić. Nie mogła pozbyć się obrazu z pamięci. Wskazała na kamerę.

Z miną wyrażającą dezaprobatę Jamie podniósł ją i cofnął nagranie. Nawet w ciemności dziewczyna wiedziała, w którym momencie zobaczył to, co odebrało jej mowę. Zbladł.

Tuż przed tym, jak powiedział o swojej wspaniałej babci z plemienia Czirokězów, olbrzymie „coś” z kłami miało rzucić się na niego. Bezduzne czarne oczy spojrzały w dół, a paszcza rozwarła się, by pożreć chłopaka. W chwili, gdy powtórzył cytat, to coś cofnęło się i zniknęło.

Z wytrzeszczony mi oczami przełknął ślinę.

— Musimy uciekać — wykrzusił.

Cait skłębła głową, ponieważ nadal nie mogła mówić. Jamie ujął delikatnie jej ramię i poprowadził ją z powrotem przez las, tam, gdzie zostawili Anne i Brandona.

Para już stamtąd odeszła. Jamie warknął zawiedziony.

— Brandon! — zawołał. — Anne?

Odpowiedziała im tylko cisza.

— Wszyscy, którzy zatrzymają się tutaj, zapłacą... — Głos Louiny brzmiał teraz bardziej natarczywie. — Ale ranię tych, których nie powinnam przeklinać.

Cait wzdrygnęła się, gdy ujrzała Elizabeth jako starą kobietę w całkowicie ręcznie zbudowanej chacie. Siwe włosy miała ściągnięte do tyłu i upięte w kok. Zapaliła świecę i postawiła ją w oknie, szepcząc modlitwę Krik

Och, Duchu Wielkiego Ojca, którego głos słyszę w wietrze.

Którego oddech daje życie wszystkiemu na świecie i z którym starałam się przejść przez moje dni.

Usłysz mnie. Potrzebuję twojej siły i mądrości.

Pozwól mi chodzić piękną i spraw, by moje oczy ujrzały kiedyś chwałę zachodu słońca, który nam dałeś.

Spraw, by moje ręce szanowały rzeczy, które stworzyłeś, i wyostrz mój słuch, abym słyszała twój głos, gdy jest jeszcze niż cichym szepcem.

Uczyń mnie mądrą, żebym mogła rozumieć rzeczy, których uczysz moich ludzi. I dlaczego odebrałeś mi rzeczy, które sprawiały mi ból.

Pomóż mi zachować spokój i siłę w obliczu wszystkiego, co mnie spotka. Przeciw moim wrogom i tym, którzy chcą mnie skrzywdzić.

Pozwól mi poznać naukę, którą ukryłeś w każdym liściu i kamieniu. W radości strumienia. W świetle księżycy i słońca.

Pomóż mi szukać czystych myśli i czynów w intencji pomagania innym, a nigdy sobie.

Pomóż mi znaleźć współczucie bez przytłaczającej mnie empatii.

Szukam siły nie po to, żeby być wspanialszą niż mój brat, lecz po to, by walczyć z moim największym wrogiem...

Mną samą.

Spraw, żebym była zawsze gotowa przyjść do ciebie z czystymi rękami i szczerym spojrzeniem. Żeby, kiedy moje życie zgaśnie, jak gaśnie zachodzące słońce, moja dusza mogła przyjść do ciebie bez wstydu.

A przede wszystkim, Wielki Dziadku, zachowaj moich synów bezpiecznych i w ciepłe, gdziekolwiek mogą być.

Elizabeth pochyliła się i pocałowała stare fotografie dwóch młodych mężczyzn w mundurach kawalerii. Postawiła je w oknie obok świecy, którą zapalała każdej nocy — na wszelki wypadek, żeby w końcu odnaleźli drogę do domu. Był to rytuał, który powtarzała każdej samotnej nocy przez ostatnie pięćdziesiąt dwa lata. Odkąd skończyła się wojna, a jej chłopcy nie wrócili do domu, żeby zebrać plony.

Nie chciała uwierzyć, że nie żyją. Tak jak nie chciała umrzeć i pozwolić, żeby kłtwa jej siostry wyrządziła krzywdę miastu, w którym obie się urodziły.

Z bólem serca wyciągnęła z kieszeni dwa skruszałe listy, ostatnie, jakie jej chłopcy napisali do niej, i usiadła przy stole. Starość odebrała jej wzrok tak, że nie mogła już przeczytać słów, nawet w okularach. Ale nie miało to znaczenia. Już dawno temu ich słowa wyryły się w jej sercu.

Marzę tylko o powrocie do domu, żeby poślubić Annabelle. Pozdrów ją, Matko. Wkrótce znów obie was zobaczę.

Robert

Miał tylko dziewiętnaście lat, kiedy opuścił jej dom wraz ze starszym bratem Johnem, gdy zostali powołani, żeby walczyć na wojnie, która nie miała z nimi nic wspólnego. Osiemnaście miesięcy starszy John przysiągł, że będzie pilnował Roberta i przyprowadzi go z powrotem do domu.

— Przyśięgam na moje życie, Eckle. Przyprowadzę go z powrotem całego i zdrowego.

— A ja będę wypatrywać was każdego dnia, a każdej nocy będę zapalała świecę, żeby

doprowadziła was do moich drzwi.

Łzy napływały jej do oczu, ale nie stoczyły się po policzkach. Była na to zbyt silna. Zamiast tego sięgnęła po ręcznie rzeźbiony róg, który ojciec dał jej, gdy była jeszcze dzieckiem.

— Weź to, Lizzie. Nikt nie powinien przychodzić do naszych drzwi, kiedy wraz z twoimi braćmi jestem w polu, ale w razie czego zadmij głośno, żebyśmy wiedzieli, a potem schowaj się z matką i siostrami, dopóki nie przybędziemy.

Tak wiele się zmieniło. Po dziś dzień nie żałowała, że poślubiła swojego męża. Kochała Johna ponad wszystko. Ale opuścił ją o wiele za szybko. Pochowała go w zimny lutowy poranek, kiedy Robert miał zaledwie siedem lat. Odkąd jej bracia i siostra Lou zostali zmuszeni do wyjazdu, samotnie wychowywała chłopców oraz córkę Mary.

Nie ma śmierci, tylko zmiana światów...

Wkrótce czeka ją taka zmiana. Coraz wyraźniej czuła obecność Wielkiego Ducha.

Nie martw się o to, co jest przeszłością, ani o to, czemu nie możesz zapobiec.

— Wkrótce znów was zobaczę, moi synowie. — I będzie ze swoim Johnem...

Cait wzdygnęła się, kiedy poczuła ból Louiny.

Musisz przeżyć swoje życie od początku do końca. Nikt nie może zrobić tego za ciebie. Ale uważaj, kiedy starasz się zniszczyć innych. Bo to twoja dusza zostanie zniszczona i to ty będziesz płakać. Nigdy nie pozwalaj, żeby zatrąła cię złość i nienawiść.

Jestem trucizną...

Te słowa odbijały się echem w głowie Cait, gdy podążała za Jamiem w poszukiwaniu przyjaciół.

— Może w końcu pojechali do szpitala. — Miała taką nadzieję, dopóki nie dotarli do namiotów, które rozbili wcześniej.

Namiotów, które teraz leżały poszarpane i rozrzucone po ziemi. Jamie pobiegł przodem, po czym zatrzymał się na chwilę. Przeklinając, odwrócił się i złapał Cait za ramiona, zanim zdążyła podejść zbyt blisko.

— Nie chcesz wiedzieć.

— Cz-czego?

Jego spojrzenie było straszne. Objął ją mocniej ramionami.

— Zaufaj mi, Cait. Nie chcesz ich widzieć. Musimy wezwać władze.

Łzy napływały jej do oczu.

— Anne?

Pokręcił głową.

— Wygląda, jakby zaatakowało ich jakieś zwierzę.

— Dlaczego!

— Nie wiem.

Ale jej pytanie nie było skierowane do Jamiego, tylko do Louiny.

Słowa wypowiedziane w złości mają potężną moc i nie mogą się nie spełnić. Tym, którzy mają szczęście, mogą być z czasem wybaczone. Ale innym...

Zawsze to nasze własne słowa i uczynki ściągną na nas potępienie. Nigdy złe intencje czy życzenia naszych wrogów

Nie babraj się w tym, czego nie rozumiesz. Nie wyważaj drzwi, które są otwarte. Drzwi, które nigdy już nie zostaną zapieczętowane.

— Witajcie w moim piekle.

Obejrzeni się gwałtownie, gdyż głos rozległ się obok nich.

Tam, w ciemności, stała Louina. Siwe włosy powiewały wokół jej ramion. Jej stara perkalowa suknia była wyblakła pod białym fartuchem.

— Moja siostra was chroni. Powinniście za to dziękować. Teraz idźcie i nigdy więcej tu nie wracajcie.

Ale to nie było takie proste.

— Nie odejdę i nie pozwolę ci dalej krzywdzić innych — oznajmiła Cait.

Louina roześmiała się.

— Nie możesz mnie powstrzymać.

Pierwszy raz w życiu Cait domyśliła się swojej przynależności do rodu, który zawsze był tajemniczy i niezidentyfikowany. Była pra-pra-prawnuczką Elizabeth.

Nagle wszystko ułożyło się w jej umyśle w jedną całość. Babcia opowiadała jej historię Elizabeth, która zginęła w pożarze swojej chaty, podczas snu. Coś przewróciło świecę, którą zapalała w oknie dla swoich synów.

— To ty ją zabiłaś! — oskarżyła Cait Louinę.

— Chciała umrzeć. Była zmęczona.

Ale dziewczyna wiedziała, że to nieprawda. Owszem, Elizabeth była zmęczona. Miała prawie sto dziesięć lat. Jednak była tak zdecydowana powstrzymać kłutwę swojej siostry, że odmawiała Śmierci za każdym razem, gdy ta upominała się o nią.

Dopóki nie wtrąciła się Louina.

W tym momencie Cait poczuła więź z Elizabeth. Jakby ją obejmowała.

Jamie puścił ją.

— Co ty robisz?

Cait spojrzała w dół i ujrzała otulającą ją poświatę. Ciepłą i słodką, pachnącą jak promienie słońca. To była Elizabeth.

— To już koniec, Louino. Jak sama powiedziałaś, jesteś trucizną, którą należy usunąć.

Louina rzuciła się na nią, wrzeszcząc.

Wierna swojemu wojowniczemu dziedzictwu Cait dotrzymała jej pola. Nie wycofała się. Nie w tym przypadku.

Duch Louiny uderzył w Cait z wystarczającą siłą, by powalić ją na ziemię. Dziewczyna jęknęła, gdy przeszył ją ból. Jednak wstała. Zamknęła oczy.

— Nie pokonasz mnie. Czas, żebyś udała się na spoczynek. Nie okazujesz szacunku tym, którzy żyją na tej ziemi.

— To oni nie okazali go mnie!

— A ty pozwoliłaś, żeby zawrócili cię z drogi do Wielkiego Ducha, który kocha nas wszystkich. Żebyś robiła rzeczy, które, jak wiesz, nie były w porządku!

— Splunęli mi w twarz!

— Odpowiedziałaś na ich nienawiść jeszcze silniejszą nienawiścią. — Cait wyciągnęła rękę do Louiny. — Jesteś zmęczona, jak Elizabeth. Nic nie jest bardziej wyczerpujące niż podtrzymywanie płomieni nienawiści.

— Nic nie jest bardziej wyczerpujące.

— Nie będziesz ze mną walczyć?

Cait pokręciła głową.

— Chcę, żebyś znalazła ukojenie. Czas odejść, Louino. Wyzbądź się nienawiści — powiedziała, a potem usłyszała w uchu głos Elizabeth, podpowiadającej jej, co ma mówić. — Przypomnij sobie słowa Szalonego Konia. Po cierpieniu ponad cierpienie Czerwona Rasa podniesie się i będzie to błogosławieństwem dla chorego świata. Świata pełnego złamanych obietnic, egoizmu i podziałów. Świata tęskniącego znów za światłem. Widzę czas Siedmiu Pokoleń, kiedy ludzkość wszelkich kolorów zbierze się pod Świętym Drzewem Życia i cała Ziemia znów stanie się jednym kręgiem. Tego dnia znajdzie się wśród nich Lakota, który przyniesie wiedzę i zrozumienie jedności pośród wszystkiego, co żyje, a młodzi biali przyjdą do moich ludzi i poproszą o ich mądrość. Oddaję honor światłu w twoich oczach, w których mieści się cały Wszechświat. Bo kiedy znajdziesz w tym centrum siebie, ja będę tym centrum, a wtedy staniemy się jednością.

Louina cofnęła się, słysząc te słowa.

— Jesteśmy jednością — powtórzyła.

Elizabeth odsunęła się od Cait i wyciągnęła rękę do Louiny.

— Tęskniłam za moją siostrą.

— A ja za moją.

Jamie położył ręce na ramionach Cait.

— Dobrze się czujesz?

Nie była pewna.

— Widziałeś coś?

— Tak, ale zaprzeczę, jeśli kiedykolwiek zapytasz mnie o to publicznie.

Łzy wypełniły jej oczy, gdy przypomniała sobie o Anne i Brandonie.

— Dlaczego tu przyjechaliśmy?

— My z powodu chciwości. A ty, żeby pomóc przyjacielce.

Nagle rozległ się niski jęk

— Wezwij pomoc! — polecił Jamie. Puścił ją i pobiegł z powrotem do ich obozu.

Wybrała numer 911, mając nadzieję, że ktoś odbierze.

— Anne jeszcze oddycha. — Jamie zdjął kurtkę i okrył nią przyjaciółkę.

— Co z Brandonem?

Poszedł sprawdzić, kiedy zadzwonił telefon.

— Jest słaby, ale tak... Myślę, że także przeżyje.

Cait modliła się o cud, który, miała nadzieję, będzie im dany.

* * *

Epilog

Cait usiadła przy łóżku Anne, podczas gdy pielęgniarka kończyła sprawdzać jej parametry życiowe. Nie odzywała się, dopóki kobieta nie zostawiła ich samych.

— Przykro mi, że nie mamy żadnych odczytów, żeby wam pokazać.

Anne pokręciła głową.

— Kogo to obchodzi? Po prostu cieszę się, że żyję. Ale...

— Ale co?

— Czy ty i Jamie zamierzacie kiedykolwiek powiedzieć nam, co się naprawdę stało?

Cait dotknęła małej złotej obrączki, którą znalazła na siedzeniu swojego samochodu, kiedy wyjechała na drogę, żeby pomóc medykom trafić do miejsca, gdzie byli Brandon i Anne. Wewnątrz obrączki wygrawerowano imiona: John i Elizabeth. Było to jedyne złoto znalezione w Louinie.

Skarb, którego tak wielu ludzi szukało, został przeznaczony na ufundowanie szkoły i kościoła ponad sto lat temu.

Wiele lat później resztki złota, które dostała od siostry na utrzymanie siebie i dzieci, Elizabeth przetopila na tę obrączkę.

Uśmiechając się, Cait napotkała spojrzenie Anne.

— Może któregoś dnia — odpowiedziała.

— A co ze skarbem?

— Anne, nie nauczyłaś się jeszcze, że to nie złoto jest najcenniejsze, tylko ludzie? A ty jesteś

największym skarbem mojego życia. Cieszę się, że nadal mam najlepszą przyjaciółkę.

Anne wzięła ją za rękę i uściśnęła.

— Jestem wdzięczna, że tutaj jestem, i naprawdę jestem wdzięczna, że mam ciebie. Ale...

— Nie ma żadnych ale.

Anne skinęła głową.

— Masz rację, Cait. Straciłam z oczu to, o czym mówił mój dziadek

— A co to było?

— Kiedy wszystkie drzewa zostaną wycięte i wszystkie zwierzęta upolowane, tak że wyginą, kiedy wszystkie wody zostaną zatrute, a powietrzem nie będzie można bezpiecznie oddychać, dopiero wtedy odkryjesz, że nie możesz jeść pieniędzy.

Jamie roześmiała się, przyciągając ich uwagę do drzwi, gdzie stał z pękiem balonów dla Anne.

— Co cię tak śmieszy? — zapytała Cait.

— Myślę, że każde z nas wyciągnęło z tego weekendu inną lekcję.

Cait uniosła brew.

— To znaczy?

— Anne właśnie wyraziła swoją. Ty nauczyłaś się, że zemsta jest ścieżką, której lepiej unikać.

Brandon nauczył się, że lepiej zamknąć się i użyć pomocy, kiedy jest ranny.

— A ty? — zapytała Anne.

— Nauczyłem się dwóch rzeczy. Po pierwsze, że najniebezpieczniejsze miejsce, w jakim może znaleźć się mężczyzna, jest między dwoma walczącymi kobietami. A po drugie, że bez względu na gatunek najbardziej zawziętą plcią jest zawsze kobieta. Mężczyźni będą walczyć, aż do śmierci. Kobiety zabiorą chęć zemsty do grobu i następnie znajdą drogę powrotną.

Przetłumaczyła Beata Rosadzińska

S.M. STIRLING

Ogłaszając wyrok

(PRONOUNCING DOOM)

Kiedy jedynym, co stoi między nami a całkowitym upadkiem cywilizacji, jest prawo, potrzebujemy kogoś twardego, kto będzie wymuszał jego przestrzeganie bez względu na koszty.

Gwiazda S.M. Stirlinga — uważanego przez wielu za naturalnego dziedzica Harry'ego Turtledove'a, noszącego obecnie tytuł króla historii alternatywnych — wznosi się szybko. Jest on autorem bestsellerowej trylogii *Island of the Sea of Time* (*Island of the Sea of Time*, *Against the Tide of Years*, *On the Ocean of Eternity*), w której wyspa Nantucket zostaje przeniesiona z naszego czasu do roku 1250 p.n.e., oraz serii *Drakanie* (złożonej z powieści *Szturm przez Gruzję*, *Under the Yoke*, *Piąta Kolumna i Drakon*, a także redagowanego przez Stirlinga zbioru opowiadań innych autorów *Drakas!*, w której torysi uciekający przed amerykańską wojną o niepodległość założyli w Afryce Południowej agresywne społeczeństwo i z czasem zdołali podbić większą część Ziemi. Napisał też serię *Dies the Fire* (*Dies the Fire*, *The Protector's War*, *A Meeting at Corvallis*), pięciotomowy cykl *The Fifth Millennium*, siedmiotomową serię, *Generał* (z Davidem Drakiem), a także samodzielne powieści *Conquistador* i *The Peshawar Lancers*. Stirling pisał też powieści na spółkę z Raymondem E. Feistem, Jerryem Pournelle'em, Holly Lisle, Shirley Meier, Karen Wehrstein oraz ze znanym ze *Star Treka* aktorem Jamesem Doohanem. Wniósł też swój wkład do produkcji filmowych, takich jak *Babilon 5*, *Terminator 2*, *Brainship*, *War World* oraz cyklu *Man-Kzin Wars*. Jego najnowsze dzieła to cykl *Change*, złożony z powieści *The Sunrise Lands*, *The Scourge of God*, *The Sword of the Lady*, *The High King of Montival* i *The Tears of the Sun*, a także duologia *Lords of Creation* złożona z powieści *The Sky People* i *The Courts of the Crimson Kings*. Rozpoczął też nowy cykl, *Shadowspawn*, w którym powstały dotąd dwie powieści — *A Taint in the Blood* i *The Council of Shadows*. Jego najnowszą

powieścią jest kolejny tom cyklu *Change — The Lord of Mountains*. Stirling urodził się we Francji i wychowywał w Europie, Afryce oraz Kanadzie, obecnie zaś mieszka z rodziną w Santa Fe w stanie Nowy Meksyk

OGŁASZAJĄC WYROK

Dun Carson

(środkowowschodnia Dolina Willamette)

dùthchas klanu Mackenzie

(dawniej zachodni Oregon)

5 sierpnia 1 roku Zmiany/1999 n.e.

Jadę tam po to, by wydać wyrok na złoczyńcę — pomyślała Juniper Mackenzie. To wchodzi w skład obowiązków naczelniczki, ale zdecydowanie wolalam grać folk! Dawne opowieści były znacznie mniej stresujące jako pieśni niż w rzeczywistości.

— Wkrótce dotrzemy do wody, Riona — zapewniła wierzchowca. Klacz zastrzygła nerwowo uszami.

Woń potu dwunastu koni należących do jej oddziału była intensywna, ale Juniper przyzwyczała się do tego jeszcze przed Zmianą. Zaprzężony w konie cygański wóz był elementem jej publicznego wizerunku, a przy tym ją bawił. Był gorący dzień po suchym tygodniu. Idealna pogoda na żniwa, co było ważniejsze niż wygoda. W tych stronach latem z reguły nie padało, ale to jeszcze nie znaczyło, że deszcz nie jest możliwy.

W dawnym świecie, nim maszyny się zatrzymały, deszcz byłby drobną uciążliwością. Teraz, w nowym świecie — gdzie żywność zdobywało się w odległości możliwej do pokonania na piechotę albo nie zdobywało się jej w ogóle — byłby katastrofą. Dlatego upał i słońce zagrażające jej piegowatej skórze rudzielca były powodem do radości, bez względu na pot i swędzenie. Przynajmniej w powietrzu unosiło się mniej dymu niż ubiegłego lata, w pierwszym roku Zmiany.

Zacisnęła lekko usta na to wspomnienie. Wtedy płonęły miasta i ogień trawił też lasy, w których nagromadziły się wielkie ilości suchego drewna, ponieważ ludzie od pokoleń próbowali powstrzymać cykl pożarów. Dym wisiał wówczas niczym smog nad całym Willamette, uwięziony w dolinie między Górami Kaskadowymi a Nadbrzeżnymi, nim w końcu zmyły go

jesienne deszcze.

Smak świata pożeranego przez płomienie i grozę zawsze był nieco gorzki w ustach Juniper. Nieustannie jej przypominał, co się działo z dala od azylu, w którym mieszkała.

Z wysiłkiem wprawnej woli zmusiła się do powrotu do chwili bieżącej, do powolnego rytmu kopyt uderzających o asfalt, poskrzypywania siodła między jej udami oraz twarzy syna śpiącego w lekkiej kołysce, wspartej o łęk siodła przed nią. Na jej twarz padały kolejne smugi cienia rzucanego przez przydrożne drzewa.

Musiła się tego nauczyć, bo w przeciwnym razie wspomnienia doprowadziłyby ją do szaleństwa. Wielu rzeczywiście oszalało po tym, co zobaczyli, zrobili albo musieli znieść w czasie po zatrzymaniu się maszyn. Krzyczeli w atakach szału; płakali, kołyszając się w przód i w tył; albo po prostu popadali w apatię, zabijającą równie niezawodnie jak nóż, pęta albo *Yersinia pestis* w płucach. Wielu z nich mogłoby przeżyć, gdyby nie to. Nadal mogli poświęcić bardzo niewiele zasobów dla tych, którzy nie byli w stanie wnieść swego wkładu, choć definicja „zdrowia psychicznego” stała się znacznie bardziej elastyczna.

Wszystkie nadwyżki trzeba było przekazywać dzieciom. Uratowali tyle sierot, ile tylko zdołali. Gdy znowu uczyły się śmiać, ludziom łatwiej było uwierzyć, że świat przetrwa.

W tym roku nie zawsze już czujesz smród ognia. Ciesz się tym. Myśl o dzieciach. Musisz spowodować, by dorastały w świecie, w którym warto będzie żyć. O dzieciach swoich i cudzych. O reszcie zapomnij. A zwłaszcza o tym, jak cuchnęły masowe groby w obozach dla uchodźców wokół Salem po nadejściu czarnej śmierci. Nie zbliżyła się do nich zbyt podczas tej wyprawy wiadowniczej. Ale była wy starczająco blisko.

Nie.

Woń pyłu, łączące się ze sobą roślinne zapachy trawy, drzew i zboża, słodki, lekko piżmowy aromat ścierniska. Z większości pól wokół Dun Carson zebrano już plony, brązowawe plamy skoszonego zboża mieszały się z pastwiskami oraz zagajnikami intensywnie zielonych daglezi i dębów oregońskich. Niekiedy mijali też powolne strumienie. Nadeszło lato i poziom wody był niski.

Żniwiarka zaprzężona w dwa bezcenne konie rasy quarter horse, pozyskane drogą wymiany z jednego z rancz położonych na wschód od Gór Kaskadowych, kończyła właśnie pracę. Proste ustrojstwo z drutów i drewna słucono zimą, na podstawie modelu ocalonego z muzeum. Obracający się nóż ścinał już ostatnie źdźbła na falującym, żółtawym polu, a umieszczony za nim grzechoczący pas pozostawiał za sobą szeroki pokos. Kierująca maszyną kobieta odwróciła się i pomachała im, a potem wróciła do pracy.

W zeszłym roku musieli się posługiwać kosami znalezionejmi w sklepach ogrodniczych albo na ścianach domów, gdzie od pokoleń wisiały jako pamiątki, bądź też prowizorycznymi sierpami czy

nożami do chleba. Dzierzyli je w gołych rękach rozpaczliwie niewprawni uchodźcy, którzy pracowali, dopóki nie padli ze zmęczenia. Tego typu rolnictwo wymagało straszliwie ciężkiej pracy, nawet gdy człowiek wiedział, co robi, a takich było bardzo niewiele. Na szczęście mieli też takich, którzy potrafili pokierować ich pracą — garstkę prawdziwych farmerów, odrobinę hobbyistów oraz kilku absolutnie bezcennych amizów, których wyгнаły z ich osad fale głodujących uchodźców albo gangi porywaczy pozostających na usługach Normana Armingera, północnego watażki.

Zebrałiśmy prawie wszystko, co zasialiśmy w zeszłym roku. Pora przejść na pola ochotników

W zeszłym roku znaczna część — większość — zbóż zasianych przed Zmianą stała niezbrana, aż ziarna powypadały z kłosów. Chaos, walki, tłumy uciekające z miast, które przestały się nadawać do zamieszkania, gdy tylko zabrakło prądu i maszyny się zatrzymały, epidemie, bandyci, a wreszcie zwykły brak narzędzi oraz umiejętności. Pole pozostawione w taki sposób zasiewało się samo i w kolejnym roku pojawiało się tam zboże, rosnące w z rzadka rozrzuconych plamach i pełne chwastów, ale tysiąc razy cenniejsze od złota.

Blask słońca odbijał się we włóczniech ludzi podążających za żniwiarką. Odkładali broń za każdym razem, gdy zabierali się do wiązania kolejnych naręczy zżętej pszenicy w snopki, które następnie ustawiali w zgrabne trójnogi. Juniper zamruwała. Blask zaostrego metalu przypominał jej...

...małą dziewczynkę służącą Ludojadom jako przynęta, która wyciągnęła z chichotem nóż i spróbowała ciąć ją w gardło, a także dobiegający z ruin za jej plecami zapach, tak bardzo przypominający woń pieczonej wieprzowiny...

— Skup się — odezwała się jadąca obok niej Judy Barstow MacKenzie.

Pomagamy sobie nawzajem... może nie do końca zapomnieć... przejść nad tym do porządku dziennego. Czy ktokolwiek z nas zachował całkowicie zdrowe zmysły? Czy ktokolwiek nie cierpi na... jak to się nazywało? Zespół stresu pourazowego? Nie ulega wątpliwości, że po Zmianie najlepiej poradzili sobie ci, którzy byli najpłycej zakorzenieni w bieżącej rzeczywistości. Reszta po prostu polegała na nas.

— Dziękuję — odparła Juniper.

— Po co jest dziewczica, jeśli nie po to, by trzymać w ryzach wielką kapłankę? — oznajmiła stanowczo Judy.

Wyrzekała te słowa lekkim tonem, ale Juniper pochyliła się i dotknęła jej ramienia.

— I przyjaciele — dodała. — Przyjaciele też to robią.

Poznały się, gdy zostały nastolatkami, już piętnaście lat temu, i wspólnie odkryły sztukę. Były zupełnie niepodobne do siebie — Juniper niska i drobna, o zielonych oczach barwy liści wierzby, Judy zaś grubokoścista, o wyrazistych rysach twarzy, oliwkowej cerze i kruczych włosach.

W dawnych czasach miała też tendencję do tycia.

— Zaiste masz rację, dalibóg! — odpowiedziała Judy i mrugnęła znacząco. Udawany irlandzki akcent niemal całkowicie przytłumił typowe dla niej nowojorskie tony. — Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że może być inaczej.

Juniper skrzywiła się nieco na tę fanfaronadę. Gdy ona mówiła w ten sposób, brzmiało to autentycznie. Jej matka była rodowitą Irlandką, pracowała w londyńskim pubie, gdzie poznała młodego amerykańskiego lotnika na przepustce. Co więcej, pochodziła z Achill Island w zachodniej części hrabstwa Mayo i w domu mówiła po gaelicku. Ów szmerzący zaśpiew lekko tylko zabarwiał standardową amerykańską wymowę Juniper, chyba że używała go na pokaz, podczas występów. Przed Zmianą była śpiewaczką występującą na jarmarkach renesansowych oraz pogańskich festiwalach i zlotach.

W dzisiejszych czasach odwoływała się do niego znacznie częściej, zwłaszcza gdy przemawiała publicznie. Jeśli ludzie i tak chcieli mówić w ten sposób, mogła im przynajmniej ofiarować wzór do naśladowania lepszy niż blaknące wspomnienia o kiepskich filmach i nocnej telewizji.

— To będzie nieprzyjemne, ale nieskomplikowane — oznajmiła z powagą Judy. — Przeprowadziła badanie i nie ma żadnych wątpliwości. Jest winny i zasługuje na karę.

— Wiem. — Juniper zaczerpnęła głęboki oddech. — Nie jestem pewna, czemu czuję się... jakbym nie panowała nad sytuacją — dodała. — Ale to jest fakt. Wydaje się...

Spojrzała w górę. Na niebie było tylko kilka białych chmur.

— Wydaje się, jakby nadchodziła burza, ale tak nie jest.

Orszak z Dun Juniper minął zakręt i kobieta westchnęła na widok namiotów rozbitych przy skrzyżowaniu dróg, między daglezjami, dębami i topolami czarnymi. Po części chodziło o to, że stęskniła się za cieniem, po części zaś...

Jej córka zamigała palcami. Eilir była głucha od urodzenia.

Czemu te pełne frustracji westchnienia, Wielka Matko? — zapytała. Zrobili to, o co ich prosiłaś.

Juniper obrzuciła ją pośpiesznym, pełnym irytacji spojrzeniem. Eilir sprawiała wrażenie równie zmęczonej jak matka, choć miała tylko czternaście lat i była bardzo sprawna. Przerosła już matkę o kilka cali, była silna i pełna gracji jak lania, a wspaniałe ciało odziedziczyła po ojcu, który był sportowcem i grał w futbol.

Był też bezmyślnym, samolubnym sukinsynem i zrobił dzieciaka nastolatce, dla której to był pierwszy raz. W dodatku na tylnym siedzeniu jego samochodu. Bystry umysł i dobre serce Eilir z pewnością ma po Mackenziech!

Juniper wypełniła płuca powietrzem i wypuściła złość razem z wydechem. Tę metodę opanowała już dawno.

Czujesz to? — zamigłała do córki. Gniew jest w powietrzu. W ziemi, w aurze wszystkiego, jak jakaś posępna groźba.

Eilir przy mrużyła powieki jasnoniebieskich oczu, a potem się zamylała.

Chyba masz rację, niesamowita mamo — odparła po chwili. *Trochę tego jest.*

Obie spojrzały na Judy, która potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami.

— Nic nie czuję. To ty władasz mistycznymi mocami. Ja tylko pilnuję, żebyśmy miały czyste szaty i mnóstwo świec na każdy sabat.

Ziemia jest Matką — zamigłała Eilir. Jej twarz choć raz przybrała całkowicie poważny wyraz. *Może to Jej gniew czujemy.*

Zatrzymały się w samym środku skrzyżowania, gdzie drogi spotykały się ze sobą. Juniper wręczyła swego dziewięciomiesięcznego syna, Rudiego, Melissie Aylward Mackenzie, która wkrótce miała wydać na świat własne dziecko.

— Ja też to czuję — oznajmiła z powagą młodsza kobieta.

Melissa dopiero niedawno przyjęła starą religię, podobnie jak wielu innych, ale została już wielką kapłanką Dun Fairfax i przybyła tu po to, by pomóc w odprawieniu obrządku.

— Mijmy zatem nadzieję, że to, co czynimy, jest słuszne w Jej oczach — odparła Juniper. — Mij oko na maleństwa, dobra, Mellie? To będzie dla nich trudne.

Melissa skinęła z powagą głową, po czym uśmiechnęła się lekko, wprawnie unosząc Rudiego w rękach. Juniper potrząsnęła głową i przeciągnęła się przy akompaniamencie poskrzypywania siodła. Od konnej jazdy człowieka bolały plecy. Jakaś odległa część jej osobowości zauważyła, że wszyscy bez obaw stają teraz na środku skrzyżowania. Samochody osobowe i ciężarówki stawały się już zanikającym wspomnieniem.

Mamy lepsze rzeczy do roboty — oznajmiła córce. Jej palce i dłonie tańczyły równie elokwentnie, jakby mówiła na głos. *Jest pora żniw i nikt nie ma wolnego czasu. Większą część wczorajszego dnia i całą noc poświęciliśmy na tworzenie rytuału oraz wskazówek potrzebnych na tę okazję. To nie było łatwe, mimo że dziesięć umysłów połączyło swe wysiłki. Nienawidzę być zmuszana do improwizacji, zwłaszcza kiedy tworzę precedens... ale co innego możemy zrobić?*

Eilir wzruszyła ramionami.

Zamknąć go, jak robili to kiedyś, do chwili, gdy będziemy mieli czas?

Juniper nie zaszczyła tej propozycji odpowiedzią. Dziewczyna nie traktowała jej poważnie. Nie mogli też pozwolić sobie na oddelegowanie kogoś do pilnowania pracującego przestępcy, nawet gdyby chcieli wkroczyć na tę drogę, a przecież nie chcieli.

Sam Aylward, dowódca zbrojnych Juniper, przytrzymał jej strzemię, kiedy zsiadała z konia. Gdy jej stopy dotknęły asfaltu, przeciągnęła się jeszcze raz, poruszając płaszczem w szkołką kratę zapiętym na ramieniu. Cały oddział z Dun Juniper wdział takie same szkołkie stroje. Zaczęło

się to jako coś w rodzaju żartu, a następnie się przyjęło, ponieważ było bardzo wygodne. Wszystkie płaszcze miały taki sam wzór — kratę w kolorach ciemnozielonym i jasnobrązowopomarańczowym, mającą bardzo wiele wspólnego z magazynem pełnym przedmianowych koców i absolutnie nic ze Szłocją.

Mniej więcej jedna trzecia mieszkańców Dun Fairfax również nosiła kilty, a widok ubrań pozostałych tłumaczył dlaczego. Wszystkie były porozdzierane, polatane i wystrzępione. Przed zmianowe stroje niszczyły się przeraźliwie szybko. Po prostu nie sztyło ich z myślą o codziennej ciężkiej pracy pod gołym niebem, jaką w dzisiejszych czasach musieli wykonywać niemal wszyscy. Pozyskiwanie nowych ubrań z niespalonych części wielkich miast stawało się coraz niebezpieczniejsze i bardziej pracochłonne, a wszystkie okoliczne miasteczka już ogołoco. Tylko liczne, dobrze uzbrojone oddziały mogły się tego podjąć, ponieważ wszędzie było teraz pełno bandytów oraz kieszonkowych watażków, a co więcej, nadal utrzymywał się strach przed czającymi się wśród ruin bandami Ludojadów z ich obmierzłymi polowaniami oraz ucztami.

Z ogromnego umysłowego segregatora, jaki musiała teraz wszędzie ze sobą dźwigać, wyskoczyła kolejna notatka.

Jak już uporamy się ze zniwami, przyjrzyj się ponownie projektom dotyczącym lnu, wełny oraz kołowroteków. Nie potrzebujemy jeszcze szyci ubrań dla siebie, ale musimy zdobyć nasiona, narzędzia oraz umiejętności niezbędne na tę chwilę.

Przed Zmianą sama była całkiem niezłą tkaczką amatorką, a zimą urządzili lekcje tej umiejętności. Na szczęście to było coś, co można bez szkody przerwać, by wrócić do tego później.

Melissa oddaliła się od grupy, kierując się do brezentowego schronienia ustawionego na południowy zachód od skrzyżowania. Siedziały tam dzieci i karmiące matki. Rudi gaworzył, machał pulchnymi rączkami i uśmiechał się bezzębnie, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

To dobre dziecko, dzięki Panu i Pani. Z Eilir było znacznie więcej kłopotów. Oczywiście, mniej wtedy wiedziałam i miałam znacznie mniej pomocników. Rzeczywiście potrzeba całej wioski, żeby wychować dziecko, a przynajmniej to znacznie ułatwia zadanie.

— Wszystkie duny chcą mieć flagi — zauważyła, zwracając się do Chucka Barstowa. — To dobry pomysł. Ludzie potrzebują symboli.

— Dennie miał rację, upierając się przy zielonej chorągwi — odparł Chuck — Musimy mieć też symbol całego klanu. Gdzie chcesz ją umieścić?

Juniper wyduła wargi. Umieściła na fladze dawne godło kowenu Śpiewającego Księżyca: ciemne poroże i srebrny półksiężyc na zielonym jedwabiu. Haft był kolejną umiejętnością, która zmieniła się z hobby w bezcenną linię ratunkową. Typowa dla późnego lata bezwietrzna pogoda sprawiała, że wszystkie chorągwie zwisały bezwładnie, jakby czekały na coś, wstrzymując

oddech. Na szczęście, jej sztandar wspierał się na poziomej poprzeczce, dzięki czemu można było zobaczyć, co na nim widnieje.

— Obok Dun Carson.

Srebrny labrys na krwawoczerwonym polu reprezentujący Dun Carson umieszczono obok północno-zachodniego schronienia, gdzie szosa biegnąca w przybliżeniu ze wschodu na zachód krzyżowała się z wiodącą mniej więcej z północy na południe. Chuck wbił tyczkę klanowej flagi w ziemię i zakręcił nią mocno. Brian Carson stał z wdową po swym bracie oraz osieroconymi bratankiem i bratanicą obok dwóch ustawionych pośrodku stołów, zamówionych przez Juniper. Żona Briana, Rebekah, zajęła miejsce po jego drugiej stronie. Wyglądała na nieco podchmieloną.

Melissa i jej pomocnice zaopiekowały się maleństwami. Południowo-wschodni kwadrant zajęli reprezentanci innych dunów znajdujących się w promieniu piętnastu mil. Zgłosili się ochotnicy, którzy zaopiekowali się końmi: rozsiadali je, spętali i napoiili, a potem wypuścili na pastwisko.

Zmiana bardzo ograniczyła nasze możliwości — pomyślała Juniper. Piętnaście mil to znowu wielka odległość! Wszystko się zapisze i przedstawi w kręgu słońca. Świadectwo to dobry pomysł, ale nie powinniśmy robić z tego cyrku.

W namiocie sądu było z górą pięćdziesięciu dorosłych oraz może dziesięcioro do piętnaścioro nastolatków.

Eóghann — poprawiła się w myśli Juniper. Mówimy na nich teraz eóghann.

W języku jej matki znaczyło to „młodzieniec” albo „pomocnik”.

Potrzebujemy jakiegoś słowa na określenie nastolatków, którzy mogą się już uczyć potrzeb i obowiązków dorosłych, ale nie mają jeszcze prawa głosu. Eóghann się nada, skoro wszyscy koniecznie chcą udawać Celtów

Potrząsnęła lekko głową. Głęboką ciszę mąciły tylko płaczące od czasu do czasu dzieci, tupanie przestępujących z nogi na nogę koni albo wyraźnie słyszalne kasznięcie. W tle nie słyszało się nawet śladu nieustannego pisku i szumu maszyn. Od czasu do czasu nadal ją to zaskakiwało. Przed Zmianą podobny spokój znajdowała tylko podczas wybieżek w głąsę. Przez to znajome miejsca wydawały się je teraz obce.

Stała za wielkim składanym stołem. Przygotowano dla niej wysokie krzesło...

Stolek barowy! — pomyślała. To zabawne z tak wielu powodów, że nie jestem dziś w stanie poradzić sobie ze wszystkimi.

Większość ludzi siedziała na solidnych skrzynkach albo koszach ustawionych w równe rzędy. Nie przypominało to chaosu panującego zwykle na zebraniach klanu. Pośrodku pierwszego rzędu posadzono mężczyznę, z powodu którego zorganizowano dzisiejsze spotkanie. Od reszty oddzielały

go biała płachta, na której zasiadał, oraz wyraźnie dostrzegalny krąg odraży.

Po obu jego bokach stali mężczyźni z dunu. Za pasami mieli noże, ale to były po prostu narzędzia, noszone obecnie przez wszystkich. Pierwszy dzierzył też jednak kilof, a drugi kij bejsbolowy.

Potrzebują ich — pomyślała Juniper, spoglądając z grymasem wstrętu na oskarżonego. *W jego przypadku tak.*

Był muskularnym mężczyzną średniego wzrostu, o przyciągających uwagę, rzeźbionych rysach oraz czarnych, kędzierzawych, krótko ostrzyżonych włosach. Jeden z tych, którzy aż drżą od tłumionego gniewu na cały świat, dla których wszystko, co sprzeciwia się ich woli, jest fundamentalną zniewagą.

Nie boi się, nie naprawdę — pomyślała. Zawsze łatwo jej było przejrzeć ludzi. *To znaczy, że jest bardzo arogancki albo wyjątkowo głupi. Albo i jedno, i drugie.*

Na jej oczach obejrzał się przez ramię i na jego twarzy pojawił się wyraz czegoś przypominającego triumf. Ukrył go natychmiast i znowu spojrział przed siebie.

— Zbrojni, przejmijcie straż nad więźniem — rozkazała chłodno i przez chwilę ujrzała na jego twarzy zwątpienie.

Ludzie z dunu odsunęli się na boki, ustępując miejsca Samowi i Chuckowi, a potem usiedli razem z resztą. Wyraz ich twarzy świadczył, że z radością przekazują swe zadanie umundurowanym przedstawicielom władzy. Nie stanowili w tej kwestii wyjątku.

Oprócz kiltów obaj zbrojni mieli bojowy rynsztunek klanu Mackenzie, którego nie zdążono jeszcze wykonać dla wszystkich — brygantyny z dwóch warstw zielonej skóry (zdjętej z tapicerki), z małymi stalowymi płytkami przynitowanymi między nimi, kołczany i długie cisowe łuki zarzucone na plecy, krótkie miecze, długie szylety oraz tarcze wielkości talerzy na zupę u pasa, a także małe, ostre noże *sgian dub*, wetknięte do jednej z cholew. Dzięki prostym, miskowatym hełmom, ozdobionym na czole pękami kruczych piór, przypominali nie tyle ludzi, ile chodzące symbole.

Chuck Barstow miał oprócz tego wszystkiego również włócznię. Więzień nie byłby tak gburowaty, gdyby zdawał sobie sprawę, co ona oznacza. Chuck był wielkim kapłanem kowenu Śpiewającego Księżyca, a także zastępcą dowódcy ich pospolitego ruszenia. Gładzone drzewce długości sześciu stóp wykonano z *rudha an*, tej samej świętej jarzębiny, z której robiono różdżki. Długi na stopę grot wykonano z samochodowego resoru, przerobionego na śmiertelnie groźną obusieczną klingę, rozgrzanego do białości i zatkniętego w drewno, a następnie zahartowanego w wodzie morskiej z domieszką krwi oraz pewnych ziół.

Wyryto na niej również ogamy, te same, które pojawiały się raz po raz, gdy Juniper rzucała wróżebne cisowe pałeczki na ozdobioną symbolami płachtę *Briatharogam*. To były tylko dwa

znaki:

Úath, przerażenie.

Którego kęnniemiem było *bánad gnúise*, poblednięcie twarzy. Symbol grozy, strachu oraz Ogarów Anwyn.

Gétal, śmierć.

Którego znaczeniem było *tosach n-écho*, zwane początkiem zabijania. Symbol odbierania życia i składania ofiar.

Juniper zaczerpnęła głęboki oddech i zamknęła na chwilę oczy, by przekonać samą siebie, że naprawdę tu jest, że to nie wytwór wyobraźni. Uporczywy żar, który czuła poprzednio, powrócił zwielokrotniony, jakby sama ziemia pod jej stopami gorzała gniewem.

— Przyprowadźcie go przede mnie.

Zdumiał ją ton jej własnego głosu, choć modulowanie go tak, by niósł się jak najdalej, było dla wszystkich śpiewaków drugą naturą. Brzmienie jej sopranu było ostre jak nóż.

— Słyszałeś, co powiedziała pani Juniper, zasańcu — odezwał się Sam, tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Dłoń, która spoczęła na ramieniu oskarżonego, by popchnąć go naprzód, nawet z bliska mogła wyglądać przyjaźnie. Nadgarstek i muskularne, naznaczone bliznami przedramię poruszyły się nagle, po czym więzień wybałuszył oczy, uściśnięty z miażdżącą precyzją. Sam urodził się i wychował na małej angielskiej farmie i przez połowę życia parał się specyficznym rodzajem żołnierki, nim — tuż po Zmianie — los, czy może Tkaczki, porzuciły go, rannego i zagubionego w lasach nieopodal domu Juniper.

Jego hobby była produkcja długich łuków, jakimi posługiwali się jego przodkowie, oraz strzelanie z nich. Był krępy facetem średniego wzrostu i potrafił łupać orzechy między kciukiem a drugim i trzecim palcem swych łopatowatych dłoni. Juniper wiedziała też, że nienawidził mężczyźni takich jak oskarżony z czystą, śmiercionośną pasją.

Chuck Barstow wyglądał groźniej. Przed Zmianą uprawiał sztuki walki i pracował jako ogrodnik, oprócz tego, że był członkiem Śpiewającego Księżyca. Nie był zawodowym wojownikiem, lecz w ciągu osiemnastu minionych miesięcy wszyscy widzieli walkę i śmierć. Był też równie zdeterminowany co jego towarzysz. Wlepił spojrzenie niebieskich oczu w jeden punkt, pokazując białka, co sugerowało, że on również czuje coś więcej niż tylko powagę chwili, i to wyraźnie mu się nie podoba.

Judy Barstow zajęła pozycję na prawym końcu stołu, obok kobiety siedzącej w sztywnej, pełnej napięcia pozycji. Na bladej twarzy tamtej malował się strach, starannie unikała skupiania spojrzenia.

Nasz najważniejszy eksponat — pomyślała Juniper. *Dopiero co karmiłam Rudiego, ale piersi już*

mnie bolą. Czemu tak trudno mi oddychać?

Eilir podeszła bliżej i usiadła za mniejszym, niższym stołem, ustawionym obok większego na kształt litery L. Spojrzała na matkę i jej palce ożyły.

Mam ci przynieść zimnej herbaty?

Tak, dziękuję.

Popijała chciwie letnią herbatkę z rumianku, podczas gdy jej córka wyjęła z juków książkę. Lód latem był tylko wspomnieniem oraz wizją na przyszłe czasy, gdy będą mogli sobie pozwolić na wybudowanie lodowni, ale można było zdobyć odrobinę chłodu dzięki miękkiej porcelanie.

Książka była oprawna w czarną skórę, na której starannie wytłoczono słowa:

Procesy sądowe klanu Mackenzie, drugi rok Zmiany

A pod spodem:

Zbrodnie główne

Eilir otworzyła tom na nowej stronie, wyciągnęła kałamarz oraz pióro ze stalówką, które wróciło do obiegu po odnalezieniu w sklepie z antykami w Sutterdown. Nikogo nie dziwiło, że czternastolatka pełni funkcję kancelisty. Standardy się zmieniły.

Na pierwszych stronach książki opisano rytuały, które wymyślili wczoraj wieczorem, zastanawiając się nad prawną i moralną podstawą procesu. Wszystko to uwieczniła swym ładnym pismem Eilir.

Juniper zerknęła na świadków z Dun Carson, siedzących w południowo-wschodnim kwadrancie. Wszyscy trwali w bezruchu. Ich skupiona uwaga przypominała jej występy, lecz zarazem była zupełnie inna.

— Wezwano mnie tu po to, bym wysłuchała, jakdun osądzi Billy 'ego Peersa Mackenzie...

— Hej! — wykrzyknął mężczyzna. — Nie jestem żaden Mackenzie. To wy się tak nazywacie. Ja jestem William Robert Peers.

Juniper zawahała się, a następnie odwróciła głowę.

— Powiem to tylko raz, panie Peers. Będzie pan milczał, dopóki nie pozwolę panu mówić. Jeśli jeszcze raz odezwie się pan bez pozwolenia, strażnicy pana zakneblują. Kneble są bardzo nieprzyjemne. Radzę być cicho.

— Nie może pani tego zrobić! To nielegalne!

Sam poruszył dłonią tylko raz i mężczyzna umilkł z szeroko rozdziawionymi ustami. Strażnik sięgnął do sporranu, wyjął z niego knebel i wepchnął go oskarżonemu do ust z dużą wprawą, sprawdzając uważnie, czy jego język leży płasko i czy knebel nie uniemożliwi mu przełykania. Szmaty owinięte wokół drewnianego kołka nasączono herbatką z rumianku i nasion kopru, a następnie wysuszono, by smak nie był zbyt obrzydliwy. Pasy zawiązane wokół głowy utrzymywały knebel na miejscu, nie raniąc kącików ust. Mężczyzna próbował się szarpać, ale

w rękach Sama był bezradny jak szczenie.

— Ostrzegalam, że powiem to tylko raz. Wszyscy słuchajcie uważnie. Jeśli powiem, że nastąpią konsekwencje, to znaczy, że nastąpią. Drugie szanse należą do czasów przed Zmianą, gdy byliśmy tak bogaci, że mogliśmy sobie pozwolić na tracenie czasu na argumenty. Ma pan jedną minutę na to, żeby się uspokoić.

Zerknęła na zegarek

— Dziesięć sekund... dwadzieścia... trzydzieści...

Spoglądała beznamietnie na oskarżonego, który nadal się szarpał, próbując wypłuć starannie skonstruowany knebel. Potem zaczęła odliczać sekundy na głos. Po dziesięciu Peers zwrócił na nią uwagę. Po dwudziestu przestał się wyrywać.

— Tak lepiej. Jeśli jeszcze raz wywoła pan zamieszanie, każę pana ogłuszyć. Nie mam czasu do stracenia. Jest środek żniw.

Peers szarpnął się, znowu próbując się wyrwać, lecz nagle zauważył łącikiem oka, że Sam uniósł wyprostowaną sztywno dłoń. Wzdrygnął się i dał za wygraną. Juniper odczekała chwilę, po czym znowu zwróciła się ku drodze wiodącej na północ. Uniosła ręce i Judy włożyła w nie laskę. Jej jarzębinowe drzewce zdobił Potrójny Księżyca — przybywający, w pełni i ubywający — nad dwiema kruczymi głowami ze srebra.

— Wezwali mnie tu óenach i ollam Dun Carson; Sharon Carson, pani ogniska domowego, Cynthia Carson, kapłanka i pierwsza zbrojna Dun Carson, Ray Carson, drugi zbrojny i uczący się na pana trzód, oraz Brian Carson, tymczasowy pan trzód i żniw, i jego żona Rebekah Carson, garbarka. Jestem Juniper MacKenzie, naczelniczka klanu MacKenzie. Jestem *ollam brithem*, wielkim sędzią nad naszym ludem.

Juniper skrzywiła się na myśl o władzy, jaką sobie przypisuje. *Ale jestem potrzebna jako naczelniczka i dlatego muszę udźwignąć to brzemie. Trójka, wszystko zawsze nadchodzi trójkami. Mów dalej, kobieto, nie przeciągaj sprawy.*

— Óenach, ollam i bogowie wezwali mnie tu po to, bym wysłuchała, osądziła i przemówiła. Ktokolwiek pragnie zaprzeczyć mojemu prawu, zobowiązaniu bądź powołaniu, niech zabierze głos albo zachowa milczenie na zawsze, albowiem ten czas i to miejsce są uświęcone przez nasze zgromadzenie. Wszystko, co tu robimy, jest święte. I legalne.

Zdawała sobie niejasno sprawę, że Peers znowu spróbował się wyrwać, ale szybko się uspokoił, gdy Sam ścisnął jego łark.

Zapadła długa cisza, nim podjęła przemowę, zwracając twarz ku słońcu i zamykając oczy dla osłony przed jego palącym światłem.

— Bądźmy pobłogosławieni!

Manawyddan, Niespokojne Morze, omyj mnie.

Słona woda skapnęła na nią z zielonej gałęzi. Juniper poczuła na ustach smak soli przywodzący na myśl lzy. Zielone gałęzie przyniosły tu cztery kapłanki, a za każdą podążało dziecko niosące miszkę słonej wody. Każda z nich oczyściła ludzi w jednej z ćwiartek. Ostatnia para skrzętnie zrobiła to z pustą ćwiartką północno-wschodnią.

— *Manawyddan, Niespokojne Morze!* Oczyść i uswięć mnie! Czynień z siebie naczynie, które słucha i słyży.

Rhiannon, Biała Klaczy, stań u mojego boku, pobiegnij ze mną, ponieś mnie! Niech stanę się jednością z krainą i z mądrością Ziemi.

Pochyliła się, podniosła z drogi szczyptę suchego piasku i rozsypała ją przed sobą. Przez tłum przebiegła powolna fala, gdy ludzie z Dun Carson oraz świadkowie robili to samo.

— *Rhiannon, Biała Klaczy,* daj mi oparcie.

Arianrhod, pani o Gwiazdzistych Warkoczach, zatańcz w naszych sercach, umysłach i oczach, przynieś nam swe światło.

Wzięła pochodnię z rąk Eilir i zapaliła ją. Przesycone żywicą drewno łatwo zajęło się ogniem. Dziewczyna zanosła ogień do czterech kątów pola i zapaliła umieszczone tam żagwie.

— *Arianrhod, Pani o Gwiazdzistych Warkoczach,* przynieś swe światło mnie, nam i całemu światu.

Morze, Ziemio i Niebo, wzywam was;

Usłyszcie, zapamiętajcie i bądźcie świadkami

Wszystkiego, co mówimy,

Wszystkiego, co do czego się zgadzamy,

Wszystkiego, co razem robimy.

Chwała naszym Bogom! Niech zapamiętają

Nasze przysięgi,

Nasze prawdy.

Przeszła do oficjalnej przemowy.

— Niech wszyscy tu obecni postępują w zgodzie z prawdą, honorem i obowiązkiem, by nasz klan służył celom sprawiedliwości, bezpieczeństwa i ochrony. Niech Ogma o Miodowym Języku użyczy nam swej elokwencji, by pomogła nam w poszukiwaniu prawdy. Zaczyna się óenach tego dunu! Decyzja, jaką podejmujemy, będzie obowiązywała nas wszystkich i każdego z osobna.

Obróciła się wkoło, patrząc na zebranych, i uderzyła w ziemię końcem laski.

— Jestem tutaj, jesteście tutaj, bogowie są tutaj. Niech to się ziści!

— Niech to się ziści! — odpowiedział chór głosów.

Juniper zauważyła, że Rebelah również powtórzyła te słowa. Ucieszyło ją to. Ich sens nie był właściwie religijny, znaczyło to więc, że żona Briana uczestniczy w sprawach klanu zamiast

trzymać się z boku, powołując się na swoją wiarę. Juniper podeszła do krzesła i usiadła na nim. Poczuła, że Chuck zajął miejsce za nią, nadal trzymając włócznie pionowo jako symbol jej sprawiedliwości.

Na brezentowe płachty padały promienie porannego słońca. Było coraz goręcej. Juniper czuła struzki potu spływające po piersiach i plecach. Kilt był wygodny podczas jazdy przez las... ale teraz miękka wełna przylegała jej do nóg, a od sięgających kolan skarpetek swędziały ją nogi.

No cóż, nie tylko ja muszę tu nosić wszelkie możliwe niewygody.

Postukała palcami w stół i ujęła w dłoń sędziowski młotek. Sam zrobił go dla niej wczoraj, gdy pracowali nad procedurą. Walnęła nim raz w drewno i przemówiła uroczystym tonem:

— Zebrałiśmy się tu po to, by rozważyć sprawę seksualnej napaści na Debbie Meijer, której dopuścił się wczoraj William Robert Peers, znany nam jako Billy Peers Mackenzie, który przeczy, jakoby zaakceptował nazwisko Mackenzie i członkostwo w klanie.

Zmarszczyła brwi i uniosła rękę, by uratować wyrywającego się Billy'ego przed kolejnym ciosem.

— Będzie pan miał szansę przemówić, gdy nadejdzie stosowna chwila.

Mężczyzna potrząsnął głową. Oczy miał pełne gniewu i desperacji. Wydęła wargi i potrząsnęła głową, wskazując na uniesioną rękę. Uspokoił się, ale złowrogi grymas nie zniknął z jego twarzy.

— Najpierw zajmę się najważniejszą sprawą. Co daje nam prawo sądenia członków naszej społeczności oraz tych, którzy mieszkają na naszych ziemiach, wydawania na nich wyroków i wykonywania ich? Od z górą roku gnamy od incydentu do incydentu, uciekając się do prowizorycznych rozwiązań.

Przerwały jej śmiechy. Ten sam zarzut często stawiano przedmianowym wiccanom. *Oni po prostu wymyślają nowe rytuały, kiedy ich potrzebują.*

— Jednakże wszystkie sprawiedliwe prawa opierają się na potrzebach, precedensach i woli ludu, niekoniecznie zaś wywodzą się z prawnego systemu służącego wymogom skomplikowanego, wysoce zurbanizowanego społeczeństwa złożonego z setek milionów ludzi i tak bogatego, że mogło poświęcać czas na powolne, staranne rozważanie wszystkich zarzutów oskarżenia i argumentów obrony. Nie żyjemy już w dawnym świecie miast i biurokratów. Mieszkamy w małych, izolowanych wioskach, w których kwestię winy często można łatwo rozstrzygnąć. Nie potrzebujemy skomplikowanego systemu biegłych, którym posługiwano się przedtem, by ustalić ją „ponad wszelką wątpliwość”, czego wymagały ówczesne kryteria.

Spojrzała w gniewne oczy Billy'ego.

— Tak właśnie postępowaliśmy dotąd i tak będziemy postępowali w przyszłości, póki nie dojdziemy do wniosku, że potrzebujemy czegoś innego. Na spółkę z doradcami rozważyłam

starannie nasze metody oraz kwestię ich sukcesu albo porażki. Omówiliśmy siedemnaście miesięcy pracy i dysput we wszystkich dunach, a potem skódy fikowaliśmy rezultaty.

Wskazała na książkę leżącą pod dłonią Eilir.

— Klan Mackenzie jest konglomeratem niezależnych osiedli, które poprosiły o członkostwo w nim. Wspieramy się nawzajem i pomagamy w obronie w świecie, w którym żaden człowiek ani żadna rodzina nie mogą przetrwać sami. Odkryliśmy sposób, który pozwolił nam żyć razem, i to żyć porządnie. Ten sposób okazał się skuteczny. Żyjemy, podczas gdy miliony... setki milionów... niemal na pewno miliardy... zginęły.

Wśród zebranych rozszedł się cichy szept. Juniper rozglądała się wkoło, spoglądając wszystkim w oczy. Dlatego właśnie tak wielu ludzi przyłączyło się do grupy, którą założyła na spółkę z kilkorgiem przyjaciół oraz członków kowenu spotykających się w jej wiejskim domu. Przyłączyło się i przyjęło ich zwyczaje. Tego właśnie pragnęła, gdy owego pierwszego dnia powiedziała im: *Jeśli chcemy przetrwać, musimy stać się klanem, jak za dawnych dni.*

Odpowiedział jej cichy pomruk aprobaty. Te słowa stały się już elementem folkloru. Być może zewnętrzna otoczka towarzysząca temu pomysłowi nie była konieczna i stanowiła odbicie ich obsesji oraz rozrywek z czasów poprzedzających Zmianę... ale nikt nie mógł przeczyć, że odnieśli sukces. A już z pewnością nie ona.

— *Salus populi, suprema lex*, dobro ludu jest najwyższym prawem — podjęła. — Ten, kto mieszka w jednym z dunów klanu, staje się jego członkiem, czerpie korzyści z przynależności do grupy, lecz jednocześnie musi przestrzegać jej praw i dźwigać zobowiązania. Nikt nie zmusza takich osób do pozostania tutaj, ale jeśli to robią, warunki określa grupa. W skład tych warunków wchodzi obowiązek pracy, wzajemnej obrony oraz okazywania szacunku jej członkom. Ollam i óenach dunu mają wszelkie prawo osądzać przestępstwa popełnione na ich terytorium, czy to przez ich ludzi, czy przeciwko nim. Kto wybiera ollam? Ludzie z dunu. Przywódcami Dun Carson byli John i Sharon Carson Mackenzie, aż do chwili śmierci Johna w walce z ludźmi protektora, którzy w zeszłym roku próbowali zdobyć Sutterdown. Obecnie Dun Carson przewodzi ollam złożony z pięciu osób, które wspólnie poprosiły, by wyrok w tej sprawie wydała naczelna ollam klanu, w obecności ty lu trzeźwych i wiarygodnych ludzi z innych dunów, ilu ty lko będzie mogło tu przybyć. Po to właśnie zebraliśmy się dziś w tym miejscu.

Dwoje innych ludzi również stenografowało jej słowa. Juniper mówiła powoli, by jej córka skryba łatwiej mogła odczytać je z warg.

— Najpierw wysłucham słów Debbie Meijer, która również mieszka w Dun Carson, ale nie przyjęła nazwiska Mackenzie.

Pokrzywdzona kobieta wbiła w nią spojrzenie, jakby nagle wyrwano ją z jakiegoś wewnętrznego więzienia, które zapewniało jej ochronę. W dzisiejszych czasach wszyscy

wydawali się szczupli oraz wysportowani, a cerę mieli ogorzałą od słońca. Zbolała twarz Debbie wyglądała jednak łagodnie. Kobieta miała niebieskozielone oczy i brązowe włosy schowane pod chustką. Skuliła się na moment, ale potem wstała, odpowiadając na ciche naleganie Judy, i podeszła bliżej. Zatrzymała się, przełknęła ślinę i zacisnęła zęby. Juniper skinęła lekko dłonią i twarz Debbie znieruchomiała. Kobieta drżała jeszcze przez chwilę, a potem zwróciła się ku ludziom z dunu.

— Jestem Debbie Meijer. Mieszkam z wami w Dun Carson, odłąd... odłąd ludzie protektora porwali nas z Lebanon i... hmm... uciekałam. Nie przyjęłam klanowego nazwiska, bo czekałam na powrót męża, Marka. Wszyscy tu wiedzą, że wędrowcy szukają wieści o ludziach porwanych z Lebanon, ale nie zdołali się dowiedzieć zbyt wiele. Zro... zrobiłam wszystko, żeby się przystosować i być użyteczna. To było trudne. Przez z górą rok nic, tylko się uczyłam. Zmieniłam się z niezależnej, kompetentnej obywatelki w zależną, głupią członkinię rolniczej wspólnoty.

Przez ówczesną przebiegła fala ruchu. Rebekah wystąpiła z grupy, unosząc zieloną gałąź.

— Udzielałam głosu Rebekah Carson — rzekła Juniper, uśmiechając się do Debbie, i uniosła rękę w delikatnym geście, by powstrzymać na chwilę jej słowa.

— Debbie jest dobrą i pracowitą kobietą, dręczoną żalobą po mężu i rodzinie, którzy byli na wschodnim wybrzeżu. Wszyscy ją polubiliśmy i służyliśmy jej wsparciem.

Juniper zawahała się, tłumiąc nagłe ukłucie gniewu. Pod pewnymi względami tego wsparcia rozpaczliwie zabrakło. Na początku powiedziała wszystkim, że muszą być jak klan, a to znaczyło, że powinni zapewniać sobie nawzajem ochronę.

Nie, to trzeba będzie powiedzieć, ale później. Najpierw Debbie musi skończyć.

Uniosła wzrok Peers garbił się, przybierając postawę tak bezczelną, jak tylko było to możliwe dla zakneblowanego człowieka, w dodatku trzymanego za ramię przez Sama Aylwarda. Odwrócił głowę, spojrzął Debbie w oczy i poruszył biodrami, lekko, lecz zauważalnie.

Juniper wskazała palcem. Sam Aylward pamiętał, by się nie uśmiechnąć.

Trzask

Sam spoliczkował więźnia z dźwiękiem przywodzącym na myśl pasek uderzający w deskę. Wykonany z niedbałym spokojem ruch był zaskakująco szybki. Głowa Peersa odskoczyła do tyłu. Więzień zachwiał się na nogach. Z jego warg i nosa popłynęła krew. Wybałuszył oczy pod wpływem szoku.

— Będzie pan okazywał szacunek — oznajmiła spokojnie Juniper. — Proszę, Debbie, mów dalej. Opowiedz nam, co się wydarzyło.

Kobieta przygryzła wargę, spoglądając w oczy Juniper. Wyprostowała się nieco, a jej głos nabrał bardziej stanowczych tonów.

— To nie zaczęło się wczoraj. Wczoraj się skończyło. Jestem tu od sierpnia zeszłego roku. Billy

Bob zjawił się tu w marcu albo w kwietniu...

— W kwietniu! — zawołał ktoś w tłumie.

Debbie skinęła głową.

— To się zaczęło natychmiast. Przy kolacji stanął za mną i zaczął się o mnie ocierać. Cynthia to zauważyła i ochrzaniła go przy wszy stkich. Odpowiedział, że chciał mi tylko okazać sympatię. Nazwał mnie zimną suką, a Cynthię zarozumiałą cipą.

Juniper poczuła, że zaciska usta. Spojrzała na córkę Carsonów. Cynthia skinęła głową, ale nie odezwała się ani słowem.

— Potem — ciągnęła Debbie — zrobił się ostrożniejszy. Nie chciał, żeby ktoś zauważył, co robi. Łaził za mną wszędzie, gdy tylko mógł, dotykał i obmacywał przy każdej okazji. Ten numer z biodrami, który przed chwilą wykonał... robił to zawsze, gdy wszyscy byliśmy razem. Ray przyłapał go na tym parę razy i kazał mu przestać, a Brian go poparł... ale on po prostu bardziej potem uważał. Próbował... Zapukał do moich drzwi... to chyba było pod koniec kwietnia, późną nocą. Nawet nie pomyślałam o niebezpieczeństwie. Uchyliłam drzwi, a on je popchnął i spróbował wejść do środka. Uderzył mnie w twarz i w pierś. Zaczęłam krzyczeć i wszyscy wypadli na dwór. Mówił, że sama go zaprosiłam, ale nikt mu nie uwierzył. Potem musiałam zawsze zamykać drzwi. W maju próbował wleźć przez okno i zatrzasnęłam je na jego palcach. Od tego czasu okno też musiałam zamykać, pomimo upału. Ray i Brian byli wkurzeni, bo powiedział im, że przytrzasnęłam mu palce drzwiami, nie oknem, a on nic mi nie zrobił. Ale Tammy widziała, jak upadł, i wtedy mi uwierzyli. Od tej pory starali się, żeby się do mnie nie zbliżał. Kazali mu pracować daleko od domu, podczas gdy ja pracowałam blisko. Sharon i Rebelah powiedziały mi, żebym nie robiła nic, co mogłoby go sprowokować. Ale ja nigdy nic takiego nie robiłam. To wszystko była jego wina. Wczoraj zbieraliśmy zboże i po kolacji poszłam do siebie, żeby zmienić koszulę. Cieszę się, że mam kilt. Spodnie byłyby okropne w takim upale, a szortów nie lubię. Musiałam jednak włożyć lżejszą koszulę, bo było mi za gorąco. Schował się za drzwiami mojego pokoju. Uderzył mnie w plecy i się potknęłam. Odwróciłam się, żeby krzyknąć, ale walnął mnie w żołądek, obalił na podłogę, ściągnął mi majtki i...

Juniper spojrzała w oczy Judy i podeszła do Debbie. Kobieta zeszywniała, jej głos i twarz utraciły wszelki wyraz.

— ...zgwalił mnie. Po ciosie w brzuch nie mogłam oddychać. Potem odwrócił mnie, położył w połowie na łóżku i zrobił to samo przez tylny otwór. Zakneblował mnie moją koszulą, pogryzł mi całe piersi, a wreszcie znowu mnie uderzył i zostawił tam. Później znalazła mnie Cynthia.

— Niewiele później — dodała dziewczyna. — Debbie nie schodziła na dół, więc poszłam do niej na górę. To było dziesięć minut, góra piętnaście.

Juniper skinęła głową i wskazała na Briana.

— Jak zdołał umknąć przed waszą czujnością?

— Właściwie to nie zdołał — odparł mężczyzna z niezadowoleniem na twarzy. — Jest takim leniem, że po prostu nie przyszło mi to do głowy. Myślałem, że uciął sobie gdzieś drzemkę. Ray chciał go poszukać, ale powiedziałem mu, że mamy za dużo roboty. Źle zrobiłem, że zignorowałem jego słowa.

— Ładna mi drzemka! — zawołała Debbie. Po jej zaczerwienionych policzkach spływały łzy.

Judy odprowadziła kobietę, kładąc rękę na jej ramieniu.

Juniper skinęła głową. Czuła gniew malujący się na jej twarzy i wiedziała, że ten widok przestraszył Briana Carsona.

— Judy? — odezwała się.

Judy Barstow ponownie wystąpiła przed grupę. Wszyscy wiedzieli, że przed Zmianą była dyplomowaną pielęgniarką i położną, a po Zmianie dbała o zdrowie klanu. Nie była tak popularna jak Juniper, ponieważ jej rzeczowa, merytoryczna osobowość mogła niektórych drażnić, nikt jednak nie wątpił w jej kompetencję.

— Zbadałam Debbie wczoraj wieczorem. Pobito ją. Ma siniak na plecach, między łopatkami. Jest też rana od pierścienia, który jest dowodem rzeczowym. Rzeczywiście uderzono ją w splot słoneczny. W miękkich tkankach brzucha siniaki nie tworzą się tak łatwo, ale znalazłam dwa ślady podobne do tych po znakach po pierścieniu na plecach. Jestem przekonana, że jutro z przodu też będzie miała wielki siniak. Sądzę też, że doszło do uszkodzeń narządów wewnętrznych, prawdopodobnie śledziony. Mam nadzieję, że wszystko się zagoi, ale na razie powinno się ją uważać za chorą i może wykonywać tylko lekkie prace. Nie ulega wątpliwości, że padła ofiarą gwałtu, pochwowego i analnego. Widoczne są też poważne uszkodzenia otaczających tkanek oraz ślady z zadrapania po paznokciach. Spermą była obecna w obu miejscach.

Juniper skinęła głową, czując mdłości. *Gdybyż tylko Eilir nie musiała być tego świadkiem! Ani żadne z klanowych dzieci! Niestety, wszyscy powinni to usłyszeć, głośno i wyraźnie.*

— Jeszcze jedno, zanim przemówię jako ollam i brithem. Brian wyliczył dla mnie wartość główszczyzny za Billy 'ego Boba i Debbie.

Opuściła wzroki wydeła usta.

— Wartość główszczyzny za Billy 'ego Boba nie zaskoczy zbyt wielu. Zjawił się tu z pustymi rękami, pomijając tylko nóż u pasa oraz siekiere, ale nie był głodny. Przyjechał na rowerze pod koniec kwietnia bieżącego roku. Twierdził, że przybywa z Hood River, gdzie władzę przejął Portlandzki Związek Protekcji w osobie niejakiego Conrada Renfew... łączącego się obecnie tytułować hrabią Conradem Renfew. Przyjęto go do Dun Carson. Od tej pory wykazał się lenistwem i wywoływaniem kłopotów. Brian uważa, że swą pracą nie pokrył kosztów wyżywienia i dachu nad głową. Co więcej, objął się, oszukiwał i dwukrotnie opuścił wartę, nim całkowicie

zwolniono go z tego obowiązku.

— Wyśle zawiadomienie do wszystkich dunów. Dotarli do nas informacje o Hood River. Władzę nad miasteczkiem przejął Port landzki Związek Protekcji, ale tym razem mieszkańcy naprawdę się z tego cieszą.

To wywołało kolejną falę szeptów, tym razem wyrażających zaskoczenie. Lord protektor PZP był w najlepszym razie psychopatą, choć bardzo zdolnym i nadszpiewanie przewidującym. Jego zwolennicy zaliczali się do różnych kategorii — od wyjątkowo bezlitosnych ludzi aż do zwyczajnych bandytów. Jednakże w czasach takich jak obecne ludzie nieraz akceptowali nawet najsurowszą władzę, jeśli zapewniała im życie oraz pokój, niezbędny, by siać i zbierać, a Związek bardzo się starał przywrócić uprawę ziemi na swych terytoriach. Nie tolerował też band łupieżców.

Dlatego, że nie lubi konkurencji — pomyślała cynicznie.

— Mieli tam problem z miejscowymi bandytami — podjęła. — Bardzo poważny. Każdy dun, który przyjął ludzi z Hood River w okresie od marca do końca kwietnia, musi im się bardzo uważnie przyjrzeć. Mogą się okazać bandytami, których Renfrew nie zdołał powiesić albo ściąć. Podejrzewam, że z tym właśnie mamy do czynienia w naszym przypadku. Wróćmy do rzeczy. Karta głów szczyzny Debbie mówi, że przybyła tu ona z prawami do siedemdziesięciu akrów ziemi pod Lebanon i dodatkowych stu pod Silverton. Oddała je klanowi w listopadzie, gdy Kyklos poprosił o przekazanie praw do ziemi przejętych we wrześniu. Otrzymaliśmy w zamian bardzo wiele towarów oraz prawa do kilku innych nieruchomości. Na karcie Debbie zapisano proporcjonalną wartość tego wszystkiego. Debbie jest pracowita, wykazuje się prospołeczną postawą i wszyscy ją lubią. Nauczyła się wielu umiejętności przydatnych w świecie po Zmianie, jak dbanie o mleczne krowy, wyrób masła i sera, sycie oraz konserwowanie żywności. Wykonuje też standardowe zadania.

Juniper złożyła dłonie nad papierami i spojrzała w beczelne, orzechowe oczy zakneblowanego mężczyzny stojącego przed nią.

— Nim wypowiem się na temat bieżącej sprawy, mam do powiedzenia coś, co będzie przekazane na wszystkie klanowe terytoria. Dun Carson nie zapewnił Debbie Meijer należytej ochrony.

Przerwała na chwilę, by zapanować nad sobą i pozwolić, żeby Eilir ją dogoniła. Zerknęła w oczy Briana, a potem Rebelah. Opuścili spojrzenia, czerwiejąc się ze wstydu.

— Molestowanie, zastraszanie, znęcanie się, złośliwe prowokowanie... takich zachowań nie można tolerować w świecie, w którym każdy musi polegać na każdym i nikt nie może usunąć się na bok. Dzieci karcą się i służą im przykładem, ponieważ niewiele wiedzą. Dorośli jednak mają słuchać poleceń, rozumieć je i wykonywać. Nie można pozwolić, by chroniczne problemy

stawały się przyczyną zakażenia. Członkowie klanu muszą być godni zaufania. Od tego zależy życie nas wszystkich.

Juniper zabębniła palcami o blat i łypnęła złowrogo na wykrzywiającego twarz w drwiącym grymasie więźnia.

— Billy Bob próbował podważyć legalność naszych poczynań. Tym punktem zajmę się najpierw.

Poczuła gniewną satysfakcję, widząc, że wścieka go, gdy nazywa go przydomkiem, którym się posługiwał w chwili przybycia na terytorium klanu Mackenzie.

— Klan Mackenzie jest suwerennym państwem. Nie obowiązują nas prawa dawnych Stanów Zjednoczonych Ameryki, całkowicie nieprzystające do świata, w którym żyjemy. W związku z tym, panie Peers, nie jest pan już w Kansas i nie pozwolimy panu uciekać się do kruczków prawnych i marnujących nasz czas prób wykręcenia się od zasłużonej kary. Z całą pewnością nie pozwolimy! Teraz dopuścimy pana do głosu. Gdy każę panu zamilknąć, zamknie pan usta i zamilknie. Gdy zadam panu pytanie, odpowie pan na nie bezpośrednio. Ograniczy się pan do odpowiadania na pytania, dopóki nie zezwolę panu przemówić swobodnie. Zrozumiano?

Zauważyła przebiegły wyraz jego oczu, gdy skinął głową, ale odwzajemniła ten gest.

— Zgadza się pan ograniczyć do odpowiadania na pytania, a także umilknąć na rozkaz?

Odsłonił zęby, przekonując Juniper, że trafnie odczytała sytuację. Potem skinął powoli głową, jakby musiał walczyć ze sztywnością ścięgien.

— Jeśli okaże się to konieczne, ponownie użyjemy knebla. Ostrzegam, że próby zrzucenia odpowiedzialności na ofiarę zostaną ukarane zakneblowaniem. Gwałt jest zbrodnią przeciwko Bogini i zniewagą dla Rogatego Boga, Jej małżonka i kochanka. Jest obmierzłą drwiną z Wielkiego Rytułu, za pomocą którego oboje stworzyli świat i podtrzymują jego istnienie. Pozwalając, by uszedł bezkarnie, narazilibyśmy się na Ich gniew. Mamy tu wolność wyznania. Zostanie pan ukarany za zbrodnię przeciwko Debbie Meijer, nie przeciwko Mocom, które tworzą i kształtują świat, cokolwiek rozumiemy pod tymi słowami. Niemniej znieważanie naszych obyczajów jest bluźnierstwem, za które grozi surowa kara. A pan... no cóż, jest pan gwałcicielem.

Skinęła głową do Alexa, który rozwiązał knebel. Billy Bob wypluł go z ust, zaczerpnął oddechu... i zamarł, spojrzawszy w oczy Juniper. Nie opuściła spojrzenia, aż wreszcie wypuścił powietrze z płuc i okłapał nieco.

— Tak lepiej — pochwaliła go. — Czy zgwałcił pan Debbie Meijer?

Ponownie zaczerpnął oddechu i spojrzął jej w oczy... a potem się zawahał.

— Nie możecie tego dowiedzieć — oznajmił.

— A to dlaczego? Jest pan pewien, że nikt pana nie widział?

— Oczywiście... że nikt mnie nie widział. Nie było mnie tam!

Juniper skrzywiła się z niezadowolaniem.

Szybko odzyskuje równowagę — pomyślała. Nie złapię go na sztuczki Perry'ego Masona.

Skinęła głowę.

— To nie jest konieczne. Dowód, jak pan to nazywa, jest kwestią wiary. Wszyscy w ónach tego dunu wierzą, że pan jest winny, na podstawie obserwacji pańskich ruchów oraz świadomości tego, kim pan jest. Dun jest przekonany o pańskiej winie, a ja zgadzam się z jego opinią. Zeznania Debbie oraz stan jej ciała stanowią wystarczający dowód, że ją zgwałcono. Fakt, że nieustannie musiała się zmagać z molestowaniem przez pana, potępia pana w oczach wspólnoty. Ślady pozostawione w trzech miejscach jej ciała przez pański pierścień również są bardzo wymowne. Proszę nie zapominać, że nie zaproszono mnie tutaj, bym stwierdziła, czy jest pan winny. To ustalono już wczoraj po południu, gdy pana zamknięto, a Judy Barstow Mackenzie zbadala Debbie. To pan ją zgwałcił. Moim zadaniem jest zdecydowanie, co z panem zrobić. Dla członków klanu Mackenzie zasadą przewodnią jest główszczyzna, rekompensata. Za uszkodzenie własności albo niewykonanie obowiązków człowiek może być ukarany pracą albo grzywną w naturze, mającą wynagrodzić spowodowane straty. W przypadku recydywy cała społeczność może przegłosować wygnanie. W przypadku zranienia, co obejmuje złośliwe plotki, fizyczny atak oraz szkodę wyrządzoną własności lub zwierzętom, liczy się wyłącznie kwestia, jak groźny jest sprawca. Musimy być odpowiedzialni. Nie możemy wypuścić na świat niebezpiecznej osoby, jeśli mamy wystarczające powody, by sądzić, że może wyrządzić krzywdę innym. W przypadku morderstwa przyczynę śmierci musi określić koroner wyznaczony przez ollam dunu. Decyzja podjęta przez ollam i ónach zależy od tego, co ustalili.

Billy Bob wyraźnie się uspokoił. Wzruszył ramionami. Po kilkusekundowym zastanowieniu skinęła do niego głowę.

— Podjęłam już decyzję. Ma pan coś do dodania na koniec?

— Jasne! — zawołał, znowu siadając. — Oddajcie mi rower, wypełnijcie torby prowiantem i odjadę na północ, nim brama uderzy w tylne koło!

Ludzie z Dun Carson poruszyli się niespokojnie. Na wielu twarzach malował się gniew. Z kilku ust wyrwały się nieartykułowane krzyki wściekłości bądź sprzeciwu. Juniper zaczęła, aż wszyscy się uspokoją. Billy Bob znowu zaczął się szarpać, ale Sam nadal trzymał go za bark z siłą stalowego imadła.

— W opinii dunu przez cztery miesiące pobytu tutaj nie zapracował pan na swoje utrzymanie. Jedyнным pańskim wkładem był stary rower, który dawno już rozebrano na części.

— Kurwa! — wrzasnęła Billy Bob. — To był mój rower! To wy musicie spłacić mi dług!

— Nie — zaprzeczyła Juniper. — Jest pan winien klanowi za cztery miesiące mieszkania i wyżywienia. Pokój wycenia się na pintę pszenicy dziennie, a wyżywienie na trzy pinty. Za sto

dwadzieścia sześć dni to będzie w sumie nieco ponad pięć buszli pszenicy.

— Zwariowałaś! — zawołał, gapiąc się na nią. — Skąd wezmę pszenicę?

— Z własnego potu! — odezwał się Brian przesyconym gniewem głosem.

Billy Bob odwrócił się nagle, ale Juniper powstrzymała go ostrym jak diament głosem.

— Stop. To drugorzędna sprawa. Pierwszeństwo ma zadanie obrażeń.

Zapadła cisza.

— Czy ktoś w óenach ma coś do powiedzenia na temat możliwości, że Billy Bob po wygnaniu zgwałci inną kobietę?

Jeden ze starszych chłopców — *eóghann*, przypomniała sobie — podniósł rękę.

— Czy mogę przemówić? — zapytał. Juniper zmarszczyła brwi, gdy matka chłopaka wyciągnęła rękę, a potem ją cofnęła.

— Tak. Możesz przemówić, ale nie głosować.

— Wczoraj... wcześniej rano... i przedtem też... często pracował obok mnie. Prosiłem o zmianę miejsca, ale Brian powiedział, że to zaszkodziłoby morale i że powinienem się nauczyć go ignorować. Ale on nie przestawał gadać. Opowiadał o Debbie naprawdę paskudne rzeczy. Zawsze o niej mówił. Niekiedy też o innych kobietach, które nie były stąd. Czasami nawet nie z Hood River. Śmiał się i chichotał... jakby uważał... że opowiadanie mi o tym i słuchanie, jak wrzeszczę, każąc mu się zamknąć... było równie zabawne, jak robienie tych okropnych rzeczy.

Juniper nie waliła głową w stół, nie krzyczała ani nie tańczyła z wściekłości, ale z pewnością miała ochotę to zrobić.

— Czy ktoś jeszcze ma do opowiedzenia podobną historię?

Skrzywiła się, a wraz z nią całe óenach. Wszystkie uniesione ręce należały do *eóghann*, pomijając garstkę, która pojawiła się w sektorze dla dzieci.

Czerwona twarz Briana zbieła. Objął ramieniem Rebekah. Ich trzynastoletnia córka machała wysoko uniesioną ręką. Juniper policzyła wszystkie.

— Przez brak właściwej reakcji z waszej strony naraziliście własne dzieci na kontakt z gwałcicielem. A on wykorzystał waszą nieostrożność. Dziewięcioro *eóghann* i troje dzieci padło ofiarą molestowania, fizycznego albo słownego. Nim przejdę dalej, muszę o coś zapytać. Óenach Dun Carson, wasi ollam was zawiedli. Czy chcecie wybrać nowych?

Przez óenach przebiegła nerwowa fala. Ludzie odwracali się i rozmawiali ze sobą. Cynthia i Ray stali blisko matki, wszyscy troje płakali. Rebekah i Ray rozpostarli ramiona, i Sara w nie wpadła. Po jej policzkach spływały łzy.

— Powiedzieliście Debbie, żeby nie robiła zbyt wiele hałasu i nie prowokowała go...

Eilir odwróciła się. Pióro w jej ręce zawisło nieruchomo, a twarz miała złowrogi wyraz.

Otworzyłaś puszkę Pandory, o moja matko. Juniper skinęła głową. *Ciągle mi się wydaje, że*

rozumiemy Zmianę i wszystkie małe zmiany, ale ona nie przestaje nas zaskakiwać.

Jakiś mężczyzna wstał i spojrzął na resztę óenach, międląc w rękach czapkę. Ludzie kiwali głowami i machali rękami, zachęcając go, by przemówił.

— Jestem Josh Heathrow. Przed Zmianą uważałem się za coś w rodzaju poganina. Łatwo mi było zaakceptować Boginię, ale właściwie nie chciałem zostać pełnoprawnym kapłanem. Niemniej óenach poprosiło mnie, bym przemówił w imieniu wszystkich. Rzecz w tym, że nie sądzimy, by ktokolwiek z nas mógł sprawić się lepiej. Nie jest przyjemnie wypędzić kogoś, żeby umarł z głodu... albo padł ofiarą Ludojadów... a tak właśnie by się to skończyło. Niemniej... wszystko się zmieniło. Musimy jakoś sobie radzić, ale nie jest łatwo przyzwyczaić się do nowej sytuacji. Gdy już doszło do aktu fizycznej przemocy, Brian podjął stosowne kroki i to szybko. Chyba wszyscy czuliśmy, że to jedna z potrzebnych nam lekcji, i musimy się upewnić, że nic w tym rodzaju już się nie wydarzy. Nikt jednak nie chce wywalić Carsonów. To dobrzy i uczciwi ludzie, a do tego te ziemie od pokoleń należą do nich. Hmm, może połam by się nie spodobało, gdybyśmy zmienili ten stan rzeczy.

Rozejrzał się wkoło i usiadł nagle. Podczas jego przemowy Juniper z uwagą przyglądała się twarzom zebranych.

— Zatem osiągnęliśmy konsensus? — zapytała po chwili.

— Tak jest!

— Znakomicie. Brian. Będziecie musieli przyjść z Rebekah do sali. Ja pewnie też się tam zjawię. Poświęcimy trochę czasu na omówienie różnych sytuacji oraz możliwych do zastosowania strategii. Sharon, Cynthia i Ray spędzą dodatkowe godziny z Judy, by zapoznać się z obowiązkami, jakie ich czekają. Następnie ogłoszę wyrok

— Hej! Chwileczkę! Jeszcze nie uznano mnie za winnego... ani nie skazano!

Peers nagle wybałuszył oczy z przerażenia, gdy jego złudzenia wreszcie prysły.

— Nie słyszał pan, jak powiedziałam, że nie wezwano mnie tu po to, bym ustaliła pana winę? Mam wydać na pana wyrok

Billy Bob uniósł wzrok, wykrzykując przekleństwa i słowa sprzeciwu. Sam wepchnął mu do ust knebel, a potem obalił na kolana szybkim kopniakiem w tył nogi. Oskarżony oddychał spazmatycznie przez nos, a strażnik trzymał go za włosy.

Juniper wstała i znowu uniosła łaskę.

— Wysłuchajcie słów ollam brithem klanu Mackenzie!

Zapadła cisza, mącona tylko wilgotnym oddechem zakneblowanego mężczyzny oraz odległym rżeniem konia.

— Dun Carson przyjmie dwie wyszkolone kapłanki oraz jednego kapłana, by pomogli tym, których serca zraniły uczynki tego człowieka. Nie zostaną oni członkami dunu, ale będą pracować

jak wszyscy. Debbie ma sześć miesięcy na podjęcie decyzji, czy zostanie w Dun Carson, przeniesie się do innego dunu, czy też poprowadzi grupę ludzi na północ, by odzyskać swe ziemie w okolicach Lebanon i zostać samodzielną ollam. Gdyby opuściła Dun Carson, otrzyma posag stanowiący ekwiwalent jej ciężkiej pracy, zgodnie z tym, co zaprezentował nam Brian Carson. Dun Juniper udzieli jej wsparcia stosownego do wartości gruntów w Silverton, prawa do których odstąpiła klanowi. Dun Carson wypłaci jej też dodatkową jedną piątą w charakterze główszczyzny za molestowanie seksualne, które musiała znosić przez cztery miesiące, oraz przeprosi ją oficjalnie.

Juniper wstała, wzięła włócznię z rąk Chucka i wskazała nią na leżącego na ziemi Billy'ego Boba. Wyryte na drzewcu ogamy rozbłysły w świetle słońca.

— Ten mężczyzna jest wściekłym psem. Atakuje młodych i niszczy reputację swych ofiar, podobnie jak ich honor oraz uczciwość. Wygnanie go nie zapewni nam bezpieczeństwa. W każdej chwili mógłby wrócić i zaatakować nas z ukrycia, ponieważ zna luki w naszej obronie. Albo mógłby znaleźć gdzieś inne ofiary. Musimy go usunąć z kręgu świata. To nasza odpowiedzialność. Znaleźliśmy go w naszym gnieździe, na naszej ziemi, gdzie plugawił naszych ludzi. Dzisiejszej nocy przedyskutowałam ze swymi doradcami możliwe rozwiązania. Opracowaliśmy rytuał i zastosujemy go, zadając śmierć. Niech Strażnicy Północnej Bramy go osądzą. Niech zadośćuczyni za swe postęпки i pozna samego siebie w Krainie Lata. Śmierć jest czymś strasliwym. W ciągu ostatniego roku nieraz spotykaliśmy się z nią samą oraz ze strachem przed nią. Zabiłam człowieka zaledwie kilka godzin po nadejściu Zmiany, ratując życie innemu. Nie możemy jednak znieczulić się na nią ani odgrodzić się od niej, wyprzeć jej ze swych umysłów. Dlatego Dun Carson wykona wyrok. Nie będziemy ukrywać przed sobą tego, co postanowiliśmy zrobić, ani nie pozwolimy, by ktoś inny dźwigał to brzemie.

Billy zaczął wierzgać, spazmatycznie próbując się podnieść. Knebel tłumił jego krzyki, ale mężczyzna nie zaprzestawał wysiłków, aż włosy zaczęły mu się wyrywać z korzeniami.

Sam ze spokojem kopał go piętą w brzuch.

— Na twoim miejscu dałbym sobie spokój, stary. Bo inaczej będzie bolało bardziej.

Chuck uniósł w górę garnek

— W urnie są pięćdziesiąt trzy kamyki. Sześć zielonych, cztery czerwone, jeden czarny oraz czterdzieści dwa niebieskie. Każda dorosła osoba wyciągnie jeden kamyk. Sześć osób, którym dostaną się zielone, wykopie grób. Sześć stóp głębokości, sześć długości i trzy szerokości.

Wskazała na północno-wschodnią część skrzyżowania dróg, gdzie nie było ludzi. Stały tam trzy wbite w ziemię łopaty.

— Cztery czerwone kamyki wyznaczą ludzi, którzy zaprowadzą go na miejsce egzekucji i przytrzymają tam. Czarny kamyk wskaże kłata. Wszyscy powyżej szesnastu lat będą świadkami.

Rodzice mogą też pozwolić na to dzieciom od czternastego do szesnastego roku życia. Młodsze dzieci mają wrócić do dunu, poza zasięg wzroku i słuchu od miejsca stracenia.

Billy Bob nadal miotał się i wierzgał. Nagle w powietrzu uniół się smród, gdy jego książki nie wytrzymały. Mężczyzna zemdłał. Judy wezwała skiniem niektórych świadków z innych dunów. Ci rozebrali nieprzytomnego skazańca, wytarli go szmatami i włożyli mu stary poliestrowy szlafrok cały czas krzywiąc się z niesmaku.

Sam Aylward prychnął pogardliwie.

— Ja bym mu łązał samemu wykopać grób — rzekł spokojnie.

Garnek krążył po óenach. Niektórzy szybko łapali kamyki, inni się wahali; niektórzy unosili je wysoko, inni zaś przyglądali się im przez zacisnięte palce, zanim je rozpostarli. Parę osób załkało z ulgi, ujrawszy, że ich kamyki są niebieskie. Sześcioro ludzi podeszło kolejno do miejsca wyznaczonego na grób, wytyczyło jego brzegi i zaczęło kopać, sypiąc ziemię na brezentowe płachty. Cztery dalsze osoby, trzech mężczyzn i jedna kobieta, stanęło nad leżącym na ziemi skazańcem. Nagle rozległ się krzyk. Kobieta, której Juniper nie знаła, podeszła do Billy'ego Boba i otworzyła dłoń. Na jego kuszulę spadł czarny kamyk

— Dobrze się stało — stwierdził Brian. — Nakłaniała nas, żebyśmy w końcu go powstrzy mali. I groziła, że robi to sama.

— Jeśli nie jest zimną jak głaz zabójczynią — odparła Juniper z grymasem na twarzy — otrzyma nauczkę na temat kary i ceny za nią, której chciałam udzielić całemu dunowi i społeczności klanu Mackenzie.

— Pani — rzekł Brian. — Sarah ma tylko trzynaście lat, ale chce zostać... a ja i Rebekah uważamy, że powinna.

Juniper sięgała właśnie po Rudiego, poprawiając bluzę i szal tak, by móc karmić marudne niemowlę. Zawahała się, skłupiona na przystawieniu Rudiego do piersi. Co prawda, z reguły nie potrzebował zbyt wiele pomocy, ale na ogół nie karmiła go pod szalem.

Co zrobimy, kiedy biustonosze się rozleczą? Wtedy... brr!

Gdy Rudi zaczął ssać, Juniper spojrzała w oczy Sarah.

— Dlaczego? — zapytała po prostu.

Dziewczyna sprawiała wrażenie gniewnej, a jednocześnie bliskiej łez.

— On... on groził, że mnie zabije. Powiedział... powiedział, że zabił króliczka FooFoo i że mną zrobi to samo.

Wyglądało na to, że dziewczyna nie czuła się najlepiej. Juniper musiała się zmusić do uniesienia brwi i spojrzenia na Briana. Masywny mężczyzna potrząsnął głową z przygnębioną miną.

— Pani, wiesz, że nie należałem do zwolenników twojej religii. Ale wygląda na to, że

porządnie oberwałem po łbie za nieostrożność. Królik zginął, to prawda. Próbowalem ją przekonać, że to był kojot, ale sam w to nie wierzyłem, a tym bardziej ona. Naprawdę potrzebowaliśmy tego zwierzęcia. To była angora i mieliśmy nadzieję rozpocząć hodowlę królików na wełnę. Sarah próbuje wzmocnić jego cechy u potomstwa, ale byłoby nam znacznie łatwiej, gdybyśmy nadal mieli samca. Gadam od rzeczy. Sarah prag nie się upewnić, że on naprawdę nie żyje. I ja również. Żałuję, że nie może umrzeć dziesięć razy.

Juniper potrząsnęła głową, kołysząc dziecko.

— To naturalne i normalne sądzić, że wymierzacie mu karę. I ostrzegacie innych. Ale to nie działa w ten sposób. Wyobraź sobie, że to selekcja stada. To jest działanie obronne i musimy je przeprowadzić jaknajszybciej.

Przełożyła niemowlę do drugiej piersi i spojrzała na Sarah.

— Nie chcę, żebyś to widziała. Rozumiem, dlaczego tego prag niesz, ale uważam, że to niezdrowe.

Zerknęła na Briana, a potem na Rebekah.

— Czy macie jakiś lepszy powód, by jej na to pozwolić? Nie będzie wątpliwości, że umarł.

Brian potrząsnął głową i zawahał się.

— No wiesz, pani, w Biblii napisano „zapłatą za grzech jest śmierć”. Ale minęło bardzo wiele czasu, odkąd traktowaliśmy te słowa poważnie. Wszyscy się skupiamy na Bożym darze życia. Ilu ludzi stara się żyć dla świętości, jak kłan Mackenzie... i co to oznacza dla sprawiedliwości?

Stojący obok Chuck potrząsnął głową.

— Jeśli uważasz, że w starym świecie mieliśmy prawdziwą, czystą sprawiedliwość...

— Nie — przerwała mu Rebekah. — Ona była niedoskonała i wielu udawało się uniknąć kary... o mało co nie pozwoliliśmy, by ten człowiek również jej uniknął, ale to jeszcze nie znaczy, że stare sposoby były lepsze. Prawo było surowe i okrutne. Czy naprawdę musiało takie być?

Potrząsnęła głową i spojrzała na córkę.

— Czy o to chodzi? Boisz się, że pozwolimy mu odejść, jak temu nauczycielowi, na którego skarżyła się Melly?

Sarah skinęła głową. W jej oczach pojawiły się łzy. Czworo dorosłych potrząsnęło głowami. Rebekah odwróciła córkę w stronę grupy dzieci.

— Idź. On umrze. A jeśli ucieknie w tym podartym szlafroku twojego wuja, obiecuję, że ci o tym powiem.

Sarah opierała się przez chwilę, a potem wróciła do grupy młodszych ludzi. Rebekah zmarszczyła brwi. Gdy Brian położył dłoń na jej ramieniu, poderwała się nagle.

— O co chodzi, kochanie? — zapytał.

Potrząsnęła głową.

— Coś mi przyszło na myśl. Będziemy musieli później o tym pomówić.

Grabarze wyleźli z dołu, wyciągnęli za sobą drabinę i otarli czoła. Jeden z nich zatrzymał się i spojrzał na pot na swych dłoniach, jakby wstrząsnęła nim świadomość, że ta praca niczym się nie różni od innych. Reszta zgromadziła się wokół grobu, wystarczająco daleko, by jego niepewne ściany się nie osunęły. Strażnicy Billy'ego Boba obudzili go policzkiem i postawili na nogi. Próbował się wyrwać, ale trzymali go mocno.

Szarpał się zbyt gwałtownie, by mogli po prostu go położyć w wykopanym w wilgotnej, gliniastej glebie dole. Juniper podeszła bliżej i stanęła na północnym końcu grobu. Gdy strażnicy spojrzeli na nią z pytaniem, co robić dalej, rozpostarła dłonie.

— To brzemię Moce złożyły na wasze plecy, przyjaciele — rzekła cicho. Jej głos przebijał się przez ich stłumione stęknienia. — Ono należy do was.

Spojrzeli na siebie nawzajem, trzymając skazańca między sobą. Jeden z nich wskazał na drabinę leżącą na drugim końcu grobu. Kobieta i jeden z mężczyzn puścili Billy'ego Boba i zeszli na dół. Dwaj pozostali mężczyźni nagle złapali Peersa za ręce i nogi, zanieśli nad grób i puścili. Dwoje pozostałych strażników złapało go, kiedy spadał, a następnie wcisnęło w ziemię. Była wilgotna i brązowoszara, z jednej z brył wyłaziła dżdżownica. Od gleby biła intensywna, gliniasta woń. Wszystko to wydawało się w jakiś sposób właściwe.

Sznury i wbite w ziemię kołki unieruchomiły kończyny oraz ramiona skazańca.

— Pani? Czy mamy mu wyjąć knebel? — zadał pytanie jeden ze strażników. W tej samej chwili Judy przyniosła brudne ubranie oraz szmaty.

— Zapytajcie go. I zapytajcie samych siebie. Czy przeszkadza wam myśl, że umrze bez słowa, czy wolicie wysłuchać jego ostatnich krzyków? Z czym będzie wam łatwiej żyć?

Wszyscy poza jednym wyszli na powierzchnię.

— I co? — zapytał mężczyzna. Juniper stała obok. Od ciężaru dziewięciomiesięcznego chłopca rozboleły ją ręce... ale nie chciała go oddać Melissie. Całe ócnach szeptało i wierciło się, mruzczało i szeleściło.

Josh Heathrow ponownie wystąpił z grupy i zatrzymał się ostrożnie na skraju grobu.

— Co wolisz? — zapytał, spoglądając w dół. — Mamy ci wyjąć knebel przed śmiercią czy raczej go zostawić?

Rozległ się łoskot. Mężczyzna stojący na drabinie krzyknął niecierpliwie i zeskoczył na dół.

— Chce, żebyśmy go wyjęli, ale widać, że zachowa się paskudnie — zawołał po chwili.

— Nie ma klasy — stwierdził Chuck pełnym żalu półgłosem. — Gdzież się podziały wspaniałe tradycje dawnych angielskich rozbójników, przechwalających się pod szubienicą swymi czynami?

Juniper westchnęła i kopnęła go lekko w łydkę. Josh znowu zaczął się naradzać z ócnach

i ollam.

— Nie potrzebujemy jego przekleństw i nie powinniśmy mu dawać kolejnej szansy zaszkodzenia nam — stwierdził wreszcie. — Obejdziemy się też bez dodatkowego paliwa dla koszmarów. Zostawcie knebel na miejscu.

Judy zρέcznie upuściła brudne ubrania na nogi skazańca.

Brian wystąpił z grupy u boku Raya. Pobladł i drżał, ale zdołał zaczerpnąć głębszy oddech, gdy jego wuj przemówił.

— Óenach i ollam zgodzili się... — zerknął na Juniper — ...że ten człowiek sprofanował Wielki Rytuał oraz cenne misteria miłości, gwałcąc wczoraj kobietę z dunu. Zbrodnia przeciwko Mocom spada na niego, ale mamy prawo osądzić go za zbrodnię przeciwko naszej siostrze. Od tego czasu dowiedzieliśmy się, że próbował również znieprawić niektóre z naszych dzieci. Wściekłe psy muszą umrzeć. Nie ma dla niego lekarstwa, które byłoby warte ceny, jaką musielibyśmy zapłacić. Mairead, jesteś gotowa?

Kobieta, która wyciągnęła czarny kamyk, wystąpiła z grupy. Gdy tylko sobie uwiadomiła, co będzie musiała zrobić, jej twarz również pobladła.

To nie jest szal bitwy, gdy uderza się na oślep z furii i strachu — pomyślała Juniper. To nie jest gorąca krew sporu. Robimy to z namysłem i ceremonialnie. Mamy wątpliwości, ale je ukrywamy. Odwołujemy się do Mocy, mówimy „prawo”, mówimy „lud”, mówimy „państwo”. Ale czyn nadal spada na nasze ludzkie dusze.

Naczelniczka podeszła bliżej. Wspólnie z Chuckiem wzięli w ręce włócznię i podali ją wybranej. Juniper wciągnęła nagle powietrze. Dłoń wielkiego kapłana zeszywniała na jarzębinowym drzewcu. Eilir również odwróciła głowę, podobnie jak niektórzy ze świadków. Szarpnięcie, które poczuła, nadal było gorące i gniewne, ale przypominało raczej napięcie w przerwie między uderzeniami piorunów. Było w nim też coś jeszcze, zew...

— Ten człowiek był kiedyś dzieckiem — zaczęła, jakby słowa płynęły z najgłębszej części jej umysłu. — Wielka Matka dała mu byt, a jego matka go kochała. Otrzymał wspaniałe dary: silne, zdrowe ciało, sprytny umysł, zρέczny język a z pewnością również wielką wolę życia, bo w przeciwnym razie nie przetrwałby tak długo. Otrzymał życie, ale zmarnował ten dar i zaszkodził też innym.

Wszyscy wpatrywali się w nią, skupieni i pełni napięcia. Podniosła głos.

— Czujecie, jak Moce gniewają się na jego uczynek na profanację, jakiej się dopuścił? Spługawil misterium, które nam dały, byśmy się radowali i dołączyli do nich w tworzeniu życia.

Rozległ się dźwięk brząający jak wiatr szumiący wśród drzew. Ludzie pokiwali głowami.

— Teraz pomożemy mu dokonać zadośćuczynienia i przebłagamy Moce tą ofiarą. Jednakże nawet w gniewie Mrocznej Matki można znaleźć miłość. Stróż Praw jest surowy, ale

sprawiedliwy. Za Bramą, w Krainie Lata, prawda zostanie odsłonięta i ten człowiek pozna samego siebie. Sam postanowi, jak się uzdrowić, by mógł się narodzić ponownie poprzez Kociół tej, która jest Matką Wszecchrzeczy, do życia, jakie sobie wybierze. Niech to się ziści!

— Niech to się ziści!

Mairead zadrżała, gdy wielki kapłan i wielka kapłanka z powagą wręczyli jej włócznie.

— Tę broń wykonano tylko dla jednego celu — oznajmiła Juniper. — Pobłogosławiono ją i poświęcono z myślą o nim.

Drzewce zakąły sało się niebezpiecznie, ale Sam pośpieszył kobiecie z pomocą.

— Proszę — rzekł. — Trzymaj ją mocno, dziewczyno. Daj, odwrócę ją. A teraz unieś ją nad dołem. Danny, ustaw ją tak jak ci mówiłem. Tak jest. A teraz obie ręce na drzewcu... widzisz, owinąłem go jelenią skórą, żeby się nie ślizgało. Jedno mocne pchnięcie. Żeby nie cierpiał. Jest ustawiona pod odpowiednim kątem. Prosto w serce, szybko i celnie. Teraz!

Juniper wielkim wysiłkiem woli zapanowała nad wyrazem twarzy. *Czy zażądałam od nich zbyt wiele? Czy powinnam wprowadzić tradycję katów w czarnej masce? Nie! To jest nasza sprawiedliwość i musimy wziąć odpowiedzialność na siebie.*

Mairead nie przestawała drżeć. Brian podszedł do niej od lewej, a Josh od prawej. Zacisnęli swe dłonie na drzewcu, powyżej jej dłoni i pod nimi.

— Chodź — powiedział Josh. — Musimy to zrobić. Dodamy swoją siłę do twojej. To się stanie szybko.

Mairead przełknęła ślinę i wzmocniła uścisk. Sharon i Rebelah podeszły bliżej, kładąc dłonie na jej barkach. Juniper zauważyła, że kobieta zamknęła oczy... nie po to, by nic nie widzieć, ale po to, by lepiej wyczuć pozycję drzewca. Potem uderzyła, szybko i mocno.

Ostry jak brzytwa grot wbił się w pierś Billy'ego Boba, przeszywając serce. Ciało szarpnęło się jeden raz, a następnie znieruchomiało. Mężczyźni stojący w grobie, Sam i Brian, popchnęli jeszcze włócznie, by grot wbił się mocno w glebę pod ciałem.

Coś pękło z trzaskiem. Gorący gniew wnikał w nią przez stopy zniknął, pozostawiając tylko dmący przez chwilę krótki wietrzyk. Potem dzień stał się zwyczajnym dniem, a ona miała robotę do wykonania.

Wręczyła Rudy'ego Eilir, odwróciła się, wzięła do rąk łopatę i nabrała na nią ziemi.

Ostatni ze strażników wygramolił się z dołu, wyciągnięty przez przyjaciół. Łopaty ujęto w chętnie dłonie i ziemia zaczęła się sypać do grobu.

Odrzucam cię.

Bronię dzieci.

Odrzucam twoje bluźnierstwo.

Bronię siebie.

Juniper odsunęła się. Mairead nie przestawała drzeć. Ludzie ściskali ją kolejno, ale nastrój pozostawał poważny. Juniper skinęła głową do siebie, biorąc na ręce Rudy'ego. Poruszyła dłońmi, wykonując drobne znaki migowe, ograniczone przez ciężar dziecka.

Tak. W ten sposób bierzemy odpowiedzialność za swoje życie.

Grób wypełniono szybko. Nad ziemię wystawało tylko długie drzewce włóczni. Przywiązano do niego czerwone i czarne wstążki. Juniper ponownie zwróciła się twarzą na północ. Ciepłe promienie zachodzącego słońca grzały jej lewy bok. Eilir sięgnęła po Rudy'ego i oddała go jej.

Po lewej stronie Juniper stanęła Sharon, po prawej zaś, ku jej zaskoczeniu, nie Cynthia, lecz Rebekah.

Juniper uniosła ręce.

— *Manawyddan, Niespokojne Morze*, omyj i oczyść nas! Uczyniliśmy to w obronie naszego ludu. Takich uczynków nie podejmuje się lekko. Niespokojne Morze, oczyść nas!

Rhiannon, Biała Klaczy, zatrzymaj go głęboko pod ziemią, by miał czas na naukę, nim narodzi się na nowo, by podjąć kolejną próbę.

Arianrhod, Pani o Gwiazdzistych Warkoczach, przynieś nam Swe światło, światło rozumu. Obroń nas przed nocnymi strachami i daj nam oczy, byśmy mogli obronić tych, których kochamy, zanim spotka ich krzywda. Zgromadzenie dunu zwołane celem wymierzenia sprawiedliwości ogłaszam za zamknięte. Spotkaliśmy się w smutku, debatowaliśmy w bólu i odchodzimy z postanowieniem. Niech to się ziści!

— Niech to się ziści! — zawołało całe óenach. Wszyscy zabrali się za zbieranie skrzynek i koszy oraz ściąganie płacht, oferując jednocześnie gościnność sąsiadom.

Juniper skinęła z aprobatą głową, gdy wszyscy goście wykonali gest *namaste* i odmówili, dzieląc się cichymi słowami wsparcia i pomocy, zanim ruszą z powrotem do domów, gdzie czekała na nich praca, która po prostu nie mogła czekać.

— Pani, co mamy teraz zrobić? — zapytała Cynthia Carson.

— Pewnie urządzić nocne czuwanie — odparła Juniper. — Musicie się zdać na wycucie, ale myślę, że najbliższy dzień albo i dwa powinniście poświęcić na drobne zadania. Wszyscy jesteście wstrząśnięci i możecie popełniać błędy.

Brian, Ray i Sharon pokiwali głowami. Podnieśli płachty niezabrane przez pozostałych i powlekli się z powrotem do dunu.

— Dla nas również pora już wracać — rzekła z westchnieniem Juniper. — Może zdążymy do domu przed zachodem słońca.

Potarła z namysłem czoło.

— Szłoda, że pierwszy raz musieliśmy się uciec do kary śmierci w tak paskudnej sprawie.

Sam wzruszył ramionami, przytulając Melisę.

— Gdyby nie ona, wydarzyłoby się coś innego, pani. Tak czy inaczej, wydawałoby się nam, że nic nie mogłoby być gorsze.

Juniper westchnęła, również wzruszając ramionami. *Chcę wrócić do domu, do tych, których kocham. Myślę, że nas również czeka nieprzespana noc.*

Przetłumaczył Michał Jakuszewski

Imię Bestii

(NAME THE BEAST)

Czasem trzeba nasłuchiwać bardzo uważnie, jeśli chce się przeżyć...

Sam Sykes to młody autor. Do jego dotychczasowych utworów zalicza się *Tome of the Undergates*, *Black Halo* i *The Skybound Sea*, razem tworzące serię *Aeon's Gate*. Urodzony w Phoenix, w stanie Arizona, obecnie mieszka we Flagstaff.

IMIĘ BESTII

Gdy ognie obozowiska zgasły, a wrony usiadły na gałęziach drzew, usłyszała wszystko, co powiedział jej mąż.

— A dziecko? — spytał Rokuda. Odezwał się w tej samej chwili, gdy woda padła na płomień.

Jego słowa były jak para — równie ulotne, równie puste.

Rozmawiali tylko w nocy, gdy już zgaszono ogniska.

— Śpi — odparła Kalindris. W ciemności jej słowa były cięższe.

— Dobrze. Przyda jej się odpoczynek — Nie było mroku tak głębokiego, by ukrył błysk w jego zielonych oczach. — Ty się lepiej połóż. Chcę, żebyś była bystra i czujna.

Nie podniosła wzroku znad ostrzonego właśnie noża. Postanowiła też, że nie dźgnie go nożem za zwracanie się do niej w ten sposób. „Uczciwa wymiana” — stwierdziła. Przesunęła palcem po ostrzu, poczuła, jak rozcina skórę. Wsunęła go do pochwy i sięgnęła po buty, tam, gdzie zawsze stały.

— Niech odpoczywa. Wyruszę przed świtem. Wrócę przed zmrokiem. Nie musi wiedzieć.

— Nie.

Nie miała na grzbiecie piór, ale uszy stanęły jej na sztorc, ostro jak naostrzona broń. Potem

ułożyły się płasko na głowie. Rokuda nic nie widział. A nawet jeśli widział, to pewnie nie zwrócił uwagi. Taki już był.

— Nie zadałam żadnego pytania — odparła.

— Co mam jej powiedzieć?

— Co tylko chcesz. Że wyruszyłam bez niej. Bestia podeszła już za blisko. Plemię znalazło się w niebezpieczeństwie. Nie mogłam na nią zaczekać. — Wciągnęła buty. — Nie potrzeba mi twoich słów. Sam możesz je przekazać.

— Nie.

— Nie używaj wobec mnie tego słowa.

— Musi się nauczyć. Musi się dowiedzieć, jak polować na bestię, jak ją znienawidzić, jak ją zabić.

— Dlaczego?

— Bo jesteśmy szikłami. Nasze plemię przybyło do tego świata z Mrocznego Lasu. Zanim nadeszli ludzie, zanim nadeszli tulwarowie, zanim pierwsze małpy nauczyły się chodzić na dwóch nogach, my już tu byliśmy. I będziemy tu, gdy oni odejdą. Aby uchronić tę ziemię, wszyscy oni muszą zginąć.

Jego przemowy już jej nie drażniły. W jego słowach wyczuwała tylko chłód.

— Musi się nauczyć, jak być szikłem — nalegał Rokuda. — Musi poznać swoje dziedzictwo.

— Twoje.

Kalindris wyczuła go w ciemności, gdy usiadł koło niej. Poczula, że zbliża do niej rękę, jeszcze zanim jej dotknął. Ramiona pokryły się gęsią skórką, w brzuchu rozlało się zimno. Całe ciało zastygło, jakby w oczekiwaniu na czuły cios. Wyczuwała kostkę każdego palca, gdy przyłożył dłoń do jej boku.

Jakby tam było jej miejsce.

— Bądź rozsądna. — Jego głos brzmiał jak miód ściekający po korze drzewa.

— Nie dotykaj mnie.

— Inni mężczyźni z plemienia nie chcą na nią nawet patrzeć. Nie słuchają jej. Patrzą i zastanawiają się, od jakiej istoty pochodzi. Kto ją wychował. Musisz zabrać ją do lasu. Pokażesz jej, jak to się robi.

— Nic nie muszę. A ty nie zdołasz zmienić wszyściego, co ci się nie podoba.

— Owszem, zdołam.

Tym razem głos zabrzmiał jak kora oddzierana pasami. Zacisnął palce. Poczula, że podnoszą jej się włoski na całym ciele. Poczula nóż przy pasku. Usłyszała syk broni wysuwanej z pochwy. Usłyszała własny głos.

Para w ciemności. Ulotna. Pusta.

— Nie dotykaj mnie.

* * *

W promieniach słońca sączących się przez gałęzie słyszała głos lasu.

Kopyto sarny pocierające o mech na powalonym pniu. Gałąź drzewa drżąca, gdy siedzący na niej ptak zerwał się do lotu. Stado mrówek, tak słoczonych, iż zapominały, że są osobnymi istotami, maszerujące po martwym korzeniu.

Dźwięki życia. Zbyt daleko.

Uniosła uszy. Nasłuchiwała.

Ćma usilnie próbująca siedzieć bez ruchu, gdy jakiś borsuk obwąchiwał ułamaną gałąź, na której siedziała. Drzewo jęczące, czekając, aż próchnica pożerając jego pień, dotrze do korzeni. Trzeszczenie suchych liści pod ciężarem dzika, z ryjem ciężkim od flegmy i choroby, który kładł się na ziemi, by umrzeć.

Bliżej. Zaczepnęła tchu, pozwoliła, by ją wypełnił, odetchnęła.

A potem usłyszała.

Wycie mówiło Kalindris, kto ma umrzeć.

— To się nigdy nie skończy.

Opuściła uszy. Zmarszczyła brwi. Jeszcze bardziej.

Dziecko.

Znów coś mówiło.

— Już znalazłaś ślady — narzekało. — Dwie godziny temu. Do tej pory mogłybyśmy już znaleźć bestię. A jednak spędzam pół godziny na czekaniu, przez następne pół szukamy kolejnych śladów, potem pół godziny na strzelaniu z łuku pomiędzy gałęzie i następne pół na zastanawianiu, czy zdołam się zastrzelić z własnego łuku, zanim umrę z nudów.

Wycie odeszło, równie łatwo i szybko, jak przyszło. Szikowie nigdy nie prosili Riffid — swojej bogini — o nic. Dopraszanie się o uwagę oznaczało ściągnięcie na siebie gniewu. Nie dawała szikom nic prócz oddechu i Wycia, a potem pozostawiała ich na lasę Mrocznego Lasu. Spędzili całe pokolenia, doskonaląc ten zmysł, ten głos życia i śmierci.

— Kiedy będziemy polować?

Nieważne. Wycie położyło jej już dość. Pozostałe dźwięki życia i śmierci były nieistotne. Trzymała się tylko ostatniego z nich, uwięzionego pomiędzy jednym a drugim. Dźwięku niepewności. Dźwięku, który czekał, aż ona nadejdzie i przechyli równowagę w stronę mroku.

Kalindris wstała. Liście opadły z jej skórzanego łowieckiego stroju, zarzuciła łuk i kołczan na ramię. Skórzany pasek ułożył się w znajomą fałdę na ramieniu — była to jedyna rzecz, która miała prawo znaleźć się tak blisko jej gardła. Potarła bliznę na obojczyku. Już nigdy nie popełni

tego błędu. Poblizniona skóra wciąż odczuwała dotyk Każdą kostkę każdego palca zagłębiającą się w skórę.

Nie oglądając się za siebie, zeskoczyła z głazu i ruszyła za dźwiękiem. Las otaczał ją wyniosły mi kolumnami, nieprzypominającymi znajomej przytulnej ciasnoty wewnętrznego lasu, gdzie nie było miejsca na słońce. Tutaj, na obrzeżach morza drzew, było za dużo miejsca na światło. Za dużo patrzenia, za mało słuchania. Wycie brzmiało tu bardzo niewyraźnie. Musiała trzymać uszy otwarte.

Uniosły się jak włócznie i nasłuchiwały. Trzeszczące liście, urażony okrzyk, przyspieszony oddech.

Dziecko.

Szło za nią.

Nadał.

— Hej! Nie traktuj mnie jak głupią! — zaprotestowało. — Jeśli chcesz mnie porzucić, to chociaż zrób to bardziej niepostrzeżenie. Inaczej mogę się zorientować, pójść za tobą i może nawet coś dziś zrobić!

Porzucenie wymagało więcej, niż ona była w stanie dać. Wymagało złej woli i gniewu, a ona nie miała ich dla dziecka ani trochę. Wszystko to przeznaczyła dla czegoś innego, podobnie jak swe strzały i nóż.

— Czemu się nie odzywasz? — dopytywało się dziecko. — Zrobiłam wszystko, co kazałaś. Śledziłam trop, tak jak mi pokazałaś. Popełniłam jakiś błąd?

Dziecko za dużo mówiło. To dlatego Kalindris się nie odzywała — dziecko zużywało wszystkie słowa. Tu popełniała błąd. Nie potrzeba było aż tylu słów. Nie potrzeba było żadnych. To Wycie było językiem szkieł — nadchodziło wraz z oddechem i zawodzeniem, gdy tylko przychodzili na świat.

A dziecko go nie słyszało. Nie umiało z niego korzystać. Potrafiło tylko oddychać i zawodzić.

Kalindris czuła, że bolą ją uszy.

— Czy chociaż idziemy w dobrą stronę? — pytało znów dziecko. — Nie mogę wrócić, póki bestia nie zginie. Jeśli wrócę, nie dostanę piór. Nie zostaną przyjęta. — Zniżyła głos. — Ojciec tak mówił.

Rokuda. On mówił wiele rzeczy. Przedstawiał je, jakby były faktami, jakby liczyły się tylko jego słowa. Każdy, kto się z nim nie zgadzał, widział, jak jego jasne, zielone oczy otwierają się szerzej, jak usta rozciągają się w uśmiechu i słyszał jego miodowe słowa, gdy tamten tłumaczył innym, dlaczego się mylą.

Sama nie wiedziała, kiedy rozboleły ją plecy. Kręgosłup miała sztywny jak włócznia, wyraźnie widoczny pod skórą. Odwróciła się, kładąc po sobie uszy, obnażając zęby.

Dziecko stało za nią. Jej włosy były zbyt jasne, obcięte jak jakiś złocisty żywopłot, sterczały na wszystkie strony. Łuk zarzucony na chude ramię był źle naciągnięty, chude ręce były zbyt słabe, by odciągnąć cięciwę. Uszy sterczały niezgrabnie, jedno w górę, jedno w dół. Długie i gładkie, bez żadnych nacięć. Wiecznie nasłuchiwały czegoś, czego nie mogły usłyszeć.

Oczy były zbyt zielone.

— Twój ojciec — powiedziała w końcu — nie zawsze ma rację.

— Jeśli tak, to dlaczego wszyscy go słuchają? — zaprotestowało dziecko. Uniosła się pożyteczną dumą. — Gdy ojciec mówi, ludzie go słuchają. Gdy łaże im coś zrobić, oni to robią.

Słowa. Ciężkie słowa w ustach dziecka. Brzmiały, jakby naprawdę w nie wierzyła.

Kalindris dopiero po dłuższym skupieniu zdołała rozewrzeć wszystkie palce zaciśniętej pięści. Musiała się odwrócić od dziecka, by zamknąć uszy. Uniosła kołczan i znów ruszyła za dźwiękiem pomiędzy drzewami.

* * *

— Nie powinniśmy byli tu przychodzić. Trzeba było usłuchać.

— Nie mieliśmy wyboru. Musimy się przemieszczać.

Matka i ojciec znów się kłócili.

— Porwało Eadne. To coś porwało naszą Eadne, a my ją zostawiliśmy. Uciekliśmy. Z własnej ziemi!

— Boże, nie możesz zamilknąć i dać mi pomysłu?

Matka i ojciec najwyraźniej się nie bali, skoro się kłócili. Senny postanowiła, że też nie będzie.

Ileć się bała, patrzyła na rodziców. Matka patrzyła na ojca i wtedy on wpadał w złość. Ojciec patrzył na matkę i ona zaczynała krzyczeć. A wtedy byli zbyt rozłoszczeni, by się bać. A zatem ona ścisłała mały nóż ukryty przy pasku i była gotowa walczyć, i też się nie bała.

Nieważne, jak szybko biegli. Nieważne, jak mocno matka ciągnęła ją za rękę.

— Zabiło ją! Zostawiło ją na drzewie i pomalowało korę jej krwią. Trzeba było zostać, trzeba było ją pochować. Nie uciekać!

— Nie mieliśmy wyboru, głupia! My bylibyśmy następni. Teraz ściga nas. Pomyśl o niej.

Senny wiedziała, o kim mówią. Ojciec nazywał te istoty potworami. Przybyły do ich domku i kazały im odejść. Powiedziały, że to ich las. Ojciec odmówił, więc zabrały Eadne.

Potwory. Ich imię brzmiało prawie jak przekleństwo.

Ojciec wziął ją za drugą rękę i też pociągnął. Może chciał pokazać matce, że on potrafi ciągnąć mocniej, a to znaczy, że mniej się boi. Szarpnęła rękę w tył, w kierunku małego noża, by pokazać ojcu, że ona też się nie boi.

Ale on nie zauważył.

Patrzył przed siebie. Matka patrzyła w tył. Mówili, że jest tam Eadne, ale z nimi nie pójdzie. Może nie chcieli, żeby się przestraszyła, ale ona widziała. Widziała Eadne na drzewie, w gałęziach, między liśćmi, z nogami kołyszącymi się na wietrze.

Matka chciała wrócić, ale jednak szła razem z ojcem. Pomiędzy drzewami, do małego domku przy strumieniu.

Był to dobry dom. Wiedziała to, nawet jeśli ojciec nie powiedział tego wprost, gdy oznajmił matce, że tu zamieszkają. Nad strumieniem rosły krzaki pełne jagód. Były sidła, w które można było łapać króliki, a matka nauczyła ją, jak gotować z nich potrawkę. Las był straszny, ale ojciec dał jej mały nożyk. Powiedzieli, że ma tam nie chodzić.

Spojrzała pomiędzy drzewa, ponad ręką matki. Gdy tu przybyli, wydawały jej się ciemne i straszne. Ale kiedyś już weszła tam ze swoim małym nożykiem. Wiedziała, gdzie można się ukryć przed bestią... tym potworem, który porwał Eadne.

— Ojciec...

— Idź szybko.

— Ale ojciec, las...

— Wiem, wiem. Wiem.

Senny uniosła mały nóż.

— Są tam kryjówki i jagody. Możemy tam pójść, a ja nie...

— Do jasnej cholery, nie teraz, ty mała sikso!

Rzadko używał przy niej tego słowa. Myślał, że ona nie wie, co to znaczy. Ale użył go już wcześniej, gdy mówił o tych potworach, gdy powiedział, że przychodzą z lasu. Gdy zbudował dom, gdy przyszły do niego istoty z piórami we włosach i kazały mu odejść. On je tak nazywał. Wiedziała, co to znaczy.

— Nie obchodzi mnie, że siksa panikuje. Siedzimy po szyję w gównie, znacznie bardziej niż to konieczne, bo chociaż proszę cię, żebyś dała temu spokój, ty to olewasz ciepłym sikiem!

Matka już nic nie mówiła.

Może jednak się bała.

Senny ścisła swój mały nóż. Trzymała matkę za rękę.

* * *

Gdy księżyc zaczął zachodzić ponad morzem drzew, a wygłodzone sowy powróciły do dziupli nadal głodne, próbowała go nie słyszeć.

— Jeszcze jedno.

Rokuda mówił do niej tylko w ciemnościach. Tylko wtedy, gdy nie widział, jak próbuje go ignorować, gdy nie mogła się poświęcić innym zajęciom i przez chwilę udawać, że on nie należy

do niej. Tylko wtedy, gdy nie widział, jak Kalindris dotyka blizny na obojczyku.

— Chcę, byś przyniosła dowód.

— Dowód — powtórzyła.

— Trofeum. Coś, co przekona plemię, że rzeczywiście tego dokonała. Chcę, by okrwawiła sobie ręce.

— Chcesz, żeby ci to przyniosła.

— Tak Wepchnij jej to w ręce, jeśli musisz. Powiedz, że będę z niej dumny. Wtedy zdoła tego dokonać.

— Ona nie potrafi strzelać — zauważyła Kalindris. — Nie jest w stanie naciągnąć łuku i nie potrafi tropić. Jest głośna. Taka jak ty — ciągnęła, zawiązując buty. — Nie da rady.

— Musi.

Kalindris zamarła, gdy Rokuda usiadł na skórze obok niej. Futra były zimne już od wielu lat. Nigdy w nich nie spała, chyba że zima była naprawdę chłodna. Ale gdy leżała obok niego, nie czuła chłodu zimy. Czuła się spocona, zmarznięta, lepka. Chora.

Tak jak teraz.

— Patrz na nią jak na obcą. Nie mogę na to pozwolić. Musi się dowiedzieć, jak to jest być szkiem.

Zbyt łatwo to wymawiał. Jakby było to zwykłe słowo. Być szkiem to znaczyło coś więcej.

Kalindris pomyślała, że nie powinno się tego wymawiać w ciemnościach.

— Powinna to już wiedzieć — odparła, sznurując mocniej buty.

— Nikt jej nie nauczył. — Rokuda przysunął się bliżej.

— Nikt nie powinien. Rodzimy się z tą wiedzą. Wycie uczy nas tego, kim jesteśmy.

— Jej nie nauczono. Ty musisz to zrobić.

Kalindris nie odpowiedziała, wstała tylko i sięgnęła po łuk. Nigdy nie był daleko. W ciemności wolała go trzymać przy sobie.

Ale gdy wyciągnęła rękę, on po nią sięgnął. Chwycił ją za nadgarstek, a ona zamarła. Jej własna ręka była zimna jakich łóżko.

— Musisz jej pokazać — nalegał Rokuda.

— Nic nie muszę — próbowała odpowiedzieć. Ale słowa zginęły w ciemnościach.

Zacisnął palce, a wtedy znów przeszły ją zimno. Czuła każde miejsce, w którym ją dotykał, w każdym z nich utworzyła się kropla zimnego potu. Cała zastygła, sztywna, milcząca. A gdy on przemówił, jego głos zabrzmiał jak dźwięk sopła pękającego w zimowy dzień.

— Zrobisz to.

Patrzyła ponad polaną. Przemówiła łagodnie, jakby nie chciała poruszyć leżących przed nią liści.

— Wiesz chociaż dlaczego?

Jej własny głos.

Dziwny i niewygodny.

Ale dziecko od razu na nią spojrzało. W rękach trzymało łuk, strzała była nasadzona.

Kalindris wskazała na kłodę. Jeleń zdrapywał mech z pniaka, odrywał zielone pasy i zjadał je z ziemi. Jedząc, marnował wiele dźwięków — odgłos przeżuwania, mruczenie satysfakcji, siorbanie wilgotnej zieleni. Zwierzę nie słyszało, jak Kalindris przemawia do dziecka, ukryta w poszyciu.

— Dlaczego musimy go zabić?

Dziecko wpatrywało się w jelenia, mrużąc oczy. Kalindris prawie słyszała jego myśli, wyobrażając je sobie jako hałaśliwe, niezgrabne istoty. Nie było w nich Wycia dającego jasność i precyzję.

— Dla jedzenia?

— Nie.

— To nie wiem. Konkurencja. Musimy zabić albo zostaniemy zabite?

— Przez jelenia?

— Ma rogi! — zaprotestowało dziecko.

Zwierzę uniosło głowę, zaniepokojone hałasem. Kalindris i dziecko znieruchomiały. Jeleń był zbyt głodny, by odejść. Po chwili znów zaczął przeżuwać i wydawać dźwięki.

— Dlaczego musi umrzeć? — powtórzyła Kalindris.

Dziecko przemyślało to uważnie. Drgnęło, gdy znalazło odpowiedź.

— Bo żeby wiedzieć, kim jesteśmy, musimy wiedzieć, czym jest wszystko inne. Żeby się określić, musimy wiedzieć, że nie jesteśmy pozostali mi. A zatem zabijamy ich, żeby wiedzieć, kim jesteśmy i dlaczego tu jesteśmy i dlaczego Riffid dała nam życie i nic więcej. Zabijamy. I dlatego, że jesteśmy zabójcami, jesteśmy tym, czym jesteśmy.

Poczuła, jak uszy kładą jej się na głowie. Słowa jej ojca. Słowa powtarzane tysiącowi ludzi, którzy nigdy mu się nie sprzeciwili, nigdy nie odmówili. Ona też mu nie odmówiła. W każdym razie nie z początku. Dopiero wtedy, gdy było za późno.

— Nie.

— Ale ojciec mówił...

— Nie — powtórzyła z naciskiem. — Spójrz na niego. Dlaczego musi umrzeć?

Dziecko spojrzało na jelenia. A potem na nią.

— A musi?

Dźwięk dzwonienia w uszach. Dźwięk otwieranych oczu. Dźwięk urwanego tchu. Dźwięk

objawienia. Zrozumienia. Rezygnacji. Smutku.

Dziecko.

Słuchało.

Bez słów.

— Dlaczego musi umrzeć? — powtórzyła.

— Bo ja muszę go zabić.

Kalindris skinęła głową. Bez uśmiechu. Bez pochwał. Bez dźwięków.

Dziecko uniosło łuk, naciągnęło i przytrzymało. Ufała tylko oczom. Wycelowała raz, dwa razy, potem trzeci. Za czwartym razem, gdy ręce zaczęły jej drżeć z wysiłku, strzeliła.

Strzała trafiła zwierzę we wrażliwe miejsce pomiędzy nogą a podbrzuszem. Jeleń stęknął, oddech wzbil się obłokiem mgły. Zachwiał się, odwrócił, by uciec. Ale jego nogi nie pamiętały czasów sprzed uderzenia strzały. Krwawiąc, powlókł się do lasu.

Dziecko znów nasadziło strzałę. Teraz ufała tylko sercu. Strzała poleciała za daleko. Krzyknęła w panice, znów strzeliła. Słowa zanieczyściły powietrze, strzała wbiła się w ziemię, ciężka od strachu.

Jeleń przeszedł jeszcze krok, a potem padł. Strzała drżała w jego szyi. Zwierzę leżało na boku, dysząc ciężko, brocząc krwią.

Kalindris zbliżyła się do niego z dzieckiem za plecami. Sięgnęła ręką i chwyciła je, wypychając do przodu. Wpatrywało się w jelenia wielkimi oczami, widząc swoje odbicie w brązowych ślepiach.

Potem spojrzało na nią.

Kalindris sięgnęła do paska i wydobyla nóż. Podała go dziecku. Spojrzało na broń jak na coś, czego nie powinno tu być, coś, co wcześniej widywała tylko na ścianie w namiocie ojca.

Kalindris wepchnęła jej go do ręki.

— Dlaczego? — spytała.

Dziecko uniosło wzrok — przerażony i błagalny. Kalindris widziała w nim pogardę i nienawiść. I poczucie zdrady za to, że je do tego zmusiła.

Ale wzięło nóż i ukłękło przy rannym jeleniu. Przycisnęła mu ostrze do gardła. Skrzywiła się, a potem cięła, przecinając sierść, skórę i ścięgna.

Otworzyła zwierzę, a ono ją oblało. Wyciekło jej na ręce. A dziecko wciąż cięło, w milczeniu.

* * *

Szli brzegiem szemrzącego strumienia. Próbowwała dotrzymać kroku rodzicom.

— Boisz się, kochanie?

Senny chciała powiedzieć, że nie. W każdym razie próbowała się nie bać. Potrząsnęła głową

i wniosła mały nóż. Ojciec chyba nie zauważył.

— Nie musisz się bać — powiedział. — Jestem przy tobie. Damy sobie radę, jasne?

Skinęła głową. Wcale się nie bała.

— Przepraszam za to, co wcześniej powiedziałem, kochanie. Byłem zdenerwowany. Twoja matka tak głośno krzyczała.

Matka chyba nie zauważyła, że o niej mówią. Trzymała Senny za rękę i ciągnęła w stronę domku. Strumień szemrał. Nieopodal wiły się pnącza pełne jeżyn, dojrzałych i lśniących w słońcu.

Mogli wejść do lasu, by umknąć przed bestią. Może mogli tam zamieszkać razem. Domek był miły, a ona wiedziała, że będzie za nim tęsknić i że będzie tęsknić za Eadne. Bardzo próbowała nie myśleć o Eadne, bo robiło jej się niedobrze i mogłaby zwymiotować, a wtedy jej matka pewnie by płakała.

— Kochanie, wszystko będzie dobrze — zapewniał ojciec, ale na nią nie patrzył. — Wszystko będzie dobrze, nie martw się.

— Nie martwię się, ojcze — odparła. — Wciąż mam ten nóż, który mi dałeś. Zobacz.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie.

— Ojcze, moglibyśmy wejść do lasu. Tam umkniemy bestii, a potem wrócimy, gdy już sobie pójdzie. Ja tam byłam, ojcze. Nie jest tam wcale tak ciemno, jak się wydaje. Są tam jagody i jedzenie. Moglibyśmy zamieszkać tam, zamiast w domku.

— Tak, kochanie, las.

— Ojcze, matka się boi. Ścisła mnie za rękę tak mocno, że aż boli. Ojcze?

Ojciec znów powtórzył to samo. Ciągłe tylko mówił „kochanie” i „mhm” i „w porządku, dobrze”. Wkrótce przestała się odzywać. Ojciec jej nie słuchał. Gdyby słuchał, usłyszałby, że jej głos robi się zduszony, jak zawsze, gdy ścisła ją w gardle i chciała się rozpląkać.

A wtedy by się bał. A matka bałaby się jeszcze bardziej,

To dlatego powtarzał w kółko to samo — żeby jej nie słyszeć. Musiała być cicho. A matka musiała ścisnąć ją za rękę. Senny wiedziała, że nie może zwymiotować ani się rozpląkać, ani zrobić niczego, co zrobiłoby małe wystraszone dziecko.

Może gdyby była tu Eadne....

Ale Eadne nie żyła.

* * *

Gdy słońce zniżyło się nad ich namiotem i pierwsze wilki wyruszyły na łowy, Kalindris poczuła, że nienawidzi siebie tak, jak nienawidziła jego.

— Chcę cię o coś zapytać — powiedział Rokuda.

— Nie.

Ale dla niego był to pusty dźwięk. Nie wiedział, co oznacza.

— Dlaczego w ogóle ci to nie przeszkadza?

— Co?

— To, jak ją postrzegają. Uważają, że nie jest jednym z nas. Że nie jest szkiem. — Zmusił się do wypowiedzenia trudnych słów, zmienił je w warknięcie. — Że nie jest moja.

— Nie zwracam uwagi na to, co robi.

— Dlaczego? Nie widzisz, co o niej myślą? Jak na nią patrzą?

— Nie.

— Patrzą na nią, jakby nie była... nie była...

Zabrakło mu słów i po prostu zawarczał. Nienawidził, gdy to się działo, gdy zawodziły go jego własne słowa. Ponieważ gdy one nie działały, nie mówiło za niego Wycie. A gdy nie mógł mówić, zaczynał warczeć, ponieważ wtedy ludzie nie mogli się z nim odruchowo zgadzać. Mogli powiedzieć „nie”.

Wtedy zaczynał zostawiać blizny.

— Próbuje cię chwycić za rękę, gdy się boi. Ona... pyta o różne rzeczy, zamiast robić to, co każe jej Wycie. — Czula, jak jego pazury drą futro, ale to nie ukoiło jego gniewu. Usłyszała, jak włosy wyrywają się z czaszki, gdy je ciągnął. — Płacze, gdy coś ją boli. Warczy, gdy jest zła.

— Dzieci tak robią.

— Moja spadkobierczyni nie.

— Twoja spadkobierczyni jest dzieckiem.

— Naszym dzieckiem! Dzieckiem mego ludu. My... tego nie robimy.

— Ona takrobi.

— A ciebie to w ogóle nie obchodzi! Nawet na nią nie patrzysz. Nie wiesz, co o nas mówią? Jak na nas patrzą?

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Kiedyś było inaczej.

— Ale się zmieniło.

Wtedy to usłyszała. Cisza przed burzą. Grudki ziemi opadające z powrotem, poderwane kroplą deszczu. Jęk wiatru na zboczach wzgórz. Ta chwila, gdy zaczerpywał tchu, zanim przemówił tak, by go usłyszano.

— Kiedyś stałaś przed nimi u mojego boku, pamiętasz? Ty i twój łuk. Dumna łowczyni, taka dumna. Patrzyli na nas z podziwem. Słuchali mnie, a ja chciałem tylko, żebyś ty mnie usłyszała.

Miód fermentujący w bukłaku. Dmuchawce na wietrze. Para znad ugaszonego ognia. Słowa, które sprawiała, że słuchała, słowa, które dawały mu moc, słowa, które wypowiadał, gdy był

tylko Rokudą, a ona była Kalindris i nie potrzebowali słów.

— Kiedyś słuchałaś, co mówię, przytakiwałaś i wiwatowałaś razem z nimi. A gdy skończyłem i patrzyłem na ich uśmiechnięte twarze, patrzyłem na ciebie, a twój uśmiech zawsze był najszerszy i najlepszy.

Słowa, które wygłaszał, gdy myślała, że nie potrzeba jej na świecie niczego oprócz jego słów.

— Wciąż masz dużo słów — zauważyła.

— Mam. Wciąż mam wszystko. Wszystko prócz mojej łowczy ni. Dokąd odeszła?

Kalindris czekała przy wejściu do namiotu. Gdy odsunęła połowę i wyjrzała w chłodny świt. Świat milczał. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła jego oczy, tak przepastne i zielone. A potem kącikiem oka zobaczyła błysk. Ale blizna na obojczyku, którą jej zostawił, nie zniknęła.

— Zakochała się w kimś milczącym i łagodnym. Potem uciekli oboje i umarli gdzieś daleko w lesie, zostawiając tylko mnie i ciebie.

Przemówiła krótko. A następnie odeszła.

* * *

— Źle to robisz. Źle to robisz. — Zęby w paszczy szczenięcia. — Masz do mnie mówić. Miało być inaczej. — Palce grzebiące w ziemi w poszukiwaniu czegoś, czego tam nie było. — Przestań. Przestań i zrób to!

Noga złapana w potrzask, odgryzana z rozpacz.

Dziecko.

Rozmawiało z ziemią.

Nadal.

Patrzyła z założonymi rękami, obojętnie, jak dziecko czołga się po brzegu rzeki, idąc za zygakiem widocznym w błocie. Po piasku, gdzie rozlewała się woda, wokół drzew, z powrotem. Dziecko przeklinało, żądało, a teraz po prostu wypluwało z siebie słowa, zwracając się do swoich śladów, do ziemi, do siebie.

Jego ręce były lepkie od błota, brzuch umazany, twarz pokryta brązowymi smugami w miejscach, gdzie chwyciła ją, sfrustrowana. Czołgało się z rękami przy ziemi, jakby mogło wyduśić z niej odpowiedź.

Ziemia nie chciała z nim mówić.

Dziecko chciało mieć wszystko. Chciało dowiedzieć się ze śladów wszystkiego, nie musząc ich słuchać. Chciało, by ziemia mu się poddała tylko ze względu na jego wolę. Dziecko chciało. Mówiło. Jęczało i żądało, i nigdy nie słuchało.

Tak jak jego ojciec.

Kalindris ze zdziwieniem odkryła, że zacisnęła pięści.

— Powiedział, że to łatwe — jęczało dziecko. — Miało być łatwe. Dlaczego nie powiedział mi... — Płaszczyło się zabłoconą ręką w czoło, zostawiając błotnisty siniak — Nie, nie, to ty, nie on. Ty robisz coś nie tak To twoja wina, twoja porażka, dlatego cię nienawidzą.

Jego dziedzictwo. W tym błocie. W tym uderzeniu.

Kalindris próbowała bez słów wytłumaczyć sobie, że dziecko samo sobie na to zasłużyło. Nie potrafiło słuchać, wiecznie tylko mówiło. Jego miejsce było w błocie.

Ze zdziwieniem usłyszała własny głos.

— To metafora. Tak naprawdę ziemia nic do ciebie nie mówi. — Dziecko wciąż błagało i darło ziemię palcami. — Zobacz, co zrobiłaś. Zniszczyłaś ślady. Teraz musimy zacząć...

— Zamknij się!

Dziecko.

Obnażyło zęby.

Zawarczało.

— Nie chcę tego słyszeć. Chcę tylko znaleźć bestię i ją zabić, i przynieść z powrotem, i pokazać ojcu, a wtedy on znów będzie ze mną rozmawiał, a wtedy nie będę już potrzebować ciebie ani nikogo innego, i nie będę musiała cię więcej widzieć!

Dziecko spływało wodą. Białe krople śliny zebrały się w kącikach ust. W kącikach oczu zaślniły łzy. Śluz spływał z nozdrzy. Dziecko topniało, drżało, jakby miało zatrząść się na śmierć. Odwróciło się z powrotem do milczącej ziemi.

— Nie spałam.

Kalindris nie miała już dla niej żadnych słów. Dziecko właśnie przemówiło do niej tak, jakby to ona była wszystkim winna. Temu, że uszy dziecka nie potrafiły słuchać. Dziecko właśnie ją odprawiło. Zachowywało się, jakby to jej wina, jej problem, jej wady spowodowały ten moment, pełen błota, i śliny, i łez.

Takie jak jego ojciec. W każdym calu.

Ze zdziwieniem odkryła, że ma łzy w oczach.

Ona też się odwróciła, ale ziemia do niej przemówiła. Powiedziała jej, dokąd odeszła bestia. Powiedziała jej, jak pozostawić dziecko i jak to uzasadnić, tłumaczyła jej, że powinna być mściwa i zagniewana.

Dziecko. Płaczące.

Zamknęła uszy i odeszła.

* * *

Matka się bała. Ojciec także.

Senny wiedziała, że tak jest, bo już nikt nie krzychał.

Matka objęła ją ciasno ramionami i usiadła w łacie domku. Ojciec stał z siekierą w ręku, wyglądając przez okno. Matka miała ją. Ojciec miał siekierę. A jednak wciąż się bali.

Ale ona nie. Wciąż miała swój mały nóż. Ojciec dał jej go, żeby się nie bała. Mając ten nóż, nie mogła się bać, nawet jeśli ojciec był przerażony.

Zastanawiała się, czy nie oddać go ojcu i zobaczyć, czy to pomoże. Ale cofnęła rękę, gdy usłyszała głos, choć był to głos ojca.

— Wy chodzę.

— Co? Dlaczego?

— Poszukać tego czegoś. Może już go tu nie ma. Nie widzieliśmy go, kiedy ...

— Nie! Nie wychodź tam. Ten potwór już dopadł Eadne. Nie możesz pozwolić, żeby pożarł też nas, twoją córkę i mnie, musisz tu zostać, musisz...

— Muszę was chronić — powiedział ojciec. — Nie możemy tak żyć. Nie możemy pozwolić, by bestia wygnała nas z domu. Musimy ...

Musimy się nie bać — chciała dokończyć Senny. *Musimy być odważni.*

— Wyjdę — powtórzył ojciec. — Niedaleko. Tylko na chwilę. Zostańcie tu. Zaraz wrócę.

Senny przytaknęła. Mocno ścisnęła w rękę mały nóż. Matka trzymała ją mocno. Tak mocno, że aż bolało, ale poddała się temu dotykowi, pozwoliła się obejmować matce, bo matka nie miała małego noża.

Ojciec otworzył drzwi. Na zewnątrz śpiewały ptaki. Słońce świeciło na pomarańczowo, jak zawsze gdy zaczynało się chować za drzewa. Strumień szemrał, a czasem przemawiał głośniej i zastanawiał się, gdzie podziła się ta mała dziewczynka, która mu odpowiadała. Ojciec przeszedł dwa kroki i rozejrzał się wokół z siekierą w dłoni.

Ptaki wciąż śpiewały. Strumień szemrał. Słońce świeciło.

A jej ojciec nie żył.

Wiedziała. Zobaczyła strzałę, która przebiła jego bark, przyspilając go do drzwi domku. Zobaczyła drugą, która trafiła go w nadgarstek. Upuścił siekierę. Matka krzyknęła. Ojciec krzyknął. Zakrwawił całe drzwi. Senny ścisnęła swój mały nóż.

Potem nadeszła bestia. Była kobietą. Włosy miała długie i zmierzwione, jej ubranie było zniszczone i brudne, miała wielkie uszy, duże zęby i bliznę na szyi. W rękę trzymała wielki nóż. Przy cisnęła go do szyi ojca i rozcięła ją, a jego krew wyłała się na nią.

A ptaki wciąż śpiewały, choć jej ojciec nie żył.

* * *

Ptaki wciąż śpiewały, a kobieta nie przestawała płakać. W końcu spojrziała na bestię.

Nosili różne nazwy: ludzie, małpy, *kou'ru*. To Rokuda zaczęła nazywać ich bestiami, by uczynić

z nich zagrożenie, jakieś oderwane słowo, zamiast istot, które miały dzieci. Plemię kiwało wtedy głowami i mruczało, powtarzając, że to bestie, te istoty, które nadchodzą i zajmują ziemie szkitów.

Jednego już zabiła i powiesiła jego ciało na drzewie jako ostrzeżenie. Ale nawet wtedy wiedziała, że tych tutaj też będzie musiała zabić. Zabiła już wielu.

Zabijała ich, jeszcze zanim Rokuda nadał im nową nazwę. Byli zagrożeniem, wrogiem, zarazą. To zabijanie określało szkita. Te zabójstwa były przeznaczone dla dziecka. Krew zalewająca dłonie Kalindris powinna była spłynąć na dziecko. Miała wrócić do swojego plemienia z czerwonymi rękami i zamkniętymi oczami, a wtedy plemię wiedziałoby, że jest jedną z nich, a jej ojciec byłby dumny ze swojej spadkobierczynie.

Zabójstwo dziecka. Chwała Rokudy. Uniemościwiając jedno, uniemościwiła drugie.

Mała ludzka dziewczynka stała przed swą drzącą matką, nadstawiając mały nóż, jakby mogła się mierzyć z szerokim, czerwonym ostrzem w rękach Kalindris. Spojrzała na nią, z całych sił próbując nie okazywać strachu. Kalindris zamierzyła ją wzrokiem, zastanawiając się, jak zakończyć to szybko. Wystarczy jeden czysty cios, najpierw jedna, potem druga. W serce, żeby było jak najszybciej.

Czysto i szybko.

Jak tylko dziecko przestanie się w nią wpatrywać.

Jakby była mu winna jakieś wyjaśnienie.

— Wiesz dlaczego? — Ciężki, zdławiony, słaby głos. Jej własny.

Ludzkie dziecko nie odpowiedziało. Matka otoczyła je rękami, próbując je odciągnąć. Dziecko nie opuściło noża.

— Wiesz, dlaczego muszę cię zabić?

Dziecko nie odpowiedziało. Kalindris otworzyła usta, by mu to powiedzieć. Ale nie wydobły się z nich żadne słowa.

— Twój nóż jest za mały — powiedziała w końcu. — Nic z nim nie zrobisz. Nie nadaje się do walki. Odlóż go.

Dziecko nie odłożyło noża. Kalindris uniosła broń, postąpiła krok naprzód, jakby chciała obejść dziecko. Dziecko zastąpiło jej drogę i wyrzuciło nóż przed siebie, jakby mogło tym coś zdziałać. Jakby umiało się nim posługiwać. Jakby się nie bało.

Kalindris zawahała się. Zerknęła przez ramię, tak jakby spodziewała się, że zobaczy tam drugie dziecko — swoje.

— Nie musisz tu ginąć — powiedziała, nie patrząc na dziecko. Na ludzkie dziecko. — Twój... twój ojciec nie jest tobą. Twoja matka nie jest tobą. Ich zabiję. Ty możesz uciec.

Spojrzała na dziecko i jego mały nóż.

— Odejdź. Uciekaj.

Dziecko nie uciekło. Nie ruszyło się z miejsca.

— Dlaczego nie uciekasz?

— Nie mogę — odpowiedział dziecko przerażonym głosem.

— Dlaczego nie?

— Bo to moja matka.

Szelest stron książki spadającej z półki. Popiół w wygasłym palenisku, ścielący się pod spalonymi kłodami. Płacząca matka. Śpiew ptaków. Krew padająca na podłogę z dziury wyciętej w miękkim gardle, kropla po kropli.

Powolne dźwięki.

Ciche dźwięki.

Pełne pustki.

Kalindris usłyszała szept skóry, gdy wsunęła ostrze do pochwy. Potem dźwięk własnych butów na podłodze, gdy odwróciła się i wyszła z chaty. Usłyszała, jak ludzkie dziecko pada na podłogę i płacze.

Słyszała to przez całą drogę do lasu.

I swojego dziecka.

Płynąca rzeka. Wiatr szemrzący w liściach. Wycie willa.

I śpiew ptaków.

Nieważne, jak bardzo nadstawiała uszu, by usłyszeć coś więcej, coś, co miało znaczenie, ciągle słyszała tylko to. Te dźwięki, zwyczajne i bezsensowne, dźwięki, które słyszała każda istota.

Wycie do niej nie mówiło.

— Gdzie byłeś? — spytało dziecko.

Zatroskane.

Weszła na polanę z łukiem na plecach i nożem za paskiem. Dziecko siedziało na piętach, wodząc za nią wzrokiem.

— Umyłeś się — zauważyło, patrząc na jej czyste, nieokrwawione ręce. — Kiedy? Co zrobiłaś?

Nie odwróciła się do dziecka, gdy usiadło koło niej. Spuściła nogi w dół z niewielkiej skarpy, ponad potokiem, którego szemranie zmieniało się w poetycki szmer, gdy przechodził w wąski strumień. Spojrzała w prawo i zobaczyła stopy dziecka, buciki pokryte kroplami krwi zabitego jelenia.

Tylko kilka kropli czerwieni. Reszta zmieszała się z błotem. A jednak zdawały się tak wyraźne.

— Dlaczego zabijamy, dziecko?

— Już mnie o to pytałeś.

— Wiem. Powiedz mi to jeszcze raz.

Dziecko pomachało nogami. Kilka drobinek błota opadło. Krew nie.

— Chyba nie wiem — przyznało.

Nie odpowiedziała.

Razem wpatrywały się w las. Nadstawiały uszu, nasłuchując dźwięków. Ptaki śpiewały — jeszcze jeden dzień odmierzany hałas liwym jazgotem. Wiatr wiał jak zawsze. Gdzieś daleko jakiś jeleni wydał z siebie gardłowy, bulgoczący ryk

— Zabiłaś bestię? — spytało dziecko.

Nie odpowiedziała.

— To ja miałam ją zabić.

— Nie zabiłam.

— Nie jestem głupia!

— Nie.

Wyciągnęła rękę, otoczyła dziecko ramieniem i przyciągnęła do siebie. Szybko bijące serce, podniecenie. Szybko zaczerpnięty oddech. Dreszcz przenikający całe ciało, strach.

— Ale przez chwilę poudaję, że tak

Żadnych więcej hałasów. Żadnych dźwięków. Żadnych odległych krzyków i Wycia. Tylko słowa. Tylko głos dziecka.

— To ja miałam ją zabić. Ojciec tak powiedział.

— Twój ojciec nie zawsze ma rację.

— A ty masz?

— Nie.

— To dlaczego mam ci wierzyć?

— Bo tak

— To nie jest dobry powód.

Spojrzała na dziecko z uśmiechem.

— Później wymyślę lepszy.

Dziecko spojrzało jej w oczy. Jego uśmiech pojawił się wolniej, nerwowo, jakby obawiało się, że ktoś je spoliczkuje. Kalindris obwiniała się o to, o to, że słowa przychodziły jej z trudem i wolno. Musiała się nauczyć, jak ich używać, skoro jej dziecko mówiło tylko takim językiem.

Na wszystko będzie czas. Mniej krwi i zimnych nocy. Żadnych myśli o Rokudzie i jego słowach. Nauczy się ich sama. I przekaże je dziecku.

Jej dziecku.

Jej córce.

Nadejdzie czas, gdy będzie mogła spojrzeć córce w oczy — za jakiś czas, jeszcze nie teraz — i wiedzieć, jak to jest nie potrzebować słów. Nadejdzie czas, gdy spojrzy jej w oczy i będzie

wiedzieć.

Teraz miała tylko dźwięk jej uśmiechu. I całą wieczność.

Przetłumaczyła Krystyna Chodorowska

Opiekunki

(CARETAKERS)

Wszyscy wiedzą, czym piekło jest wybrukowane, prawda?

Pat Cadigan urodziła się w Schenectady, w stanie Nowy Jork, a teraz mieszka w Londynie ze swoją rodziną. Zadebiutowała w 1980 roku i od tego czasu została uznana za jednego z najważniejszych twórców swojego pokolenia. Jej opowiadanie *Pretty Boy Crossover* pojawiło się w kilku rankingach na najlepsze opowiadanie z lat 80., a opowiadanie *Anioł* zostało nominowane do nagrody Hugo, Nebula i World Fantasy Award (jedno z niewielu opowiadań, jakie spotkało podobne wyróżnienie). Jej opowiadania — publikowane w większości najważniejszych czasopism, w tym „Asimov’s Science Fiction” i „The Magazine of Fantasy & Science Fiction” — zostały zebrane w zbiorach *Wzorce* i *Dirty Work*. Pierwsza powieść, *Mindplayers*, wydana w 1987 roku, zyskała znakomite recenzje, a powieść *Wgrzesznicy*, wydana w 1991 roku, zdobyła Arthur C. Clarke Award za najlepszą powieść SF, podobnie jak jej trzecia powieść *Glupcy*, dzięki czemu została jedynym twórcą w historii, jaki kiedykolwiek dwukrotnie zdobył tę nagrodę. Jej pozostałe utwory to *Dervish Is Digital*, *Tea from an Empty Cup* i *Reality Used to Be a Friend of Mine*. Redagowała antologię *The Ultimate Cyberpunk*, a także dwie książki poświęcone kręceniu filmów i pięć powieści dotyczących mediów. Jej ostatni utwór to powieść *Cellular*.

OPIEKUNKI

ma żadnych kobiet seryjnych morderców?

Oglądałyśmy kolejny film dokumentalny na kanale Prime Crime Network. Od czasu, gdy się do mnie wprowadziła, oglądałyśmy ich wiele. Oprócz dwóch walizek pełnych specjalnych produktów do pielęgnacji kręconych, brązowych włosów i foliowego worka z dwoma zestawami kosztownych poszewek na pościel utkanych z wyjątkowo dużej liczby włókien, moja siostra przyniosła ze sobą fascynację zjawiskami makabrycznymi i odrażającymi, udającą zainteresowanie bieżącymi wydarzeniami. Można by rzec, że ta cecha stanowiła jakby przeciwieństwo drogich poszewek przyniesionych w torbie na śmieci.

— A Aileen Jakjejtam?

— Jedna. A poza tym szybko ją stracili. Na tyle szybko, że nawet nie pamiętasz jej nazwiska.

— Pamiętam — upierałam się. — Tylko nie umiem go wymówić. A poza tym nie było to tak szybko. Uplynęło przy najmniej dziesięć lat od czasu, gdy ją złapali. Bundy'ego też dość szybko stracili, prawda? Na Florydzie. Ona chyba też tam zginęła.

Gloria zaśmiała się zdziwiona.

— Nie wiedziałam, że jesteś taką ekspertką od seryjnych morderców.

— Obejrzałyśmy o nich mnóstwo filmów — stwierdziła, przechodząc do kuchni, żeby nalać sobie mrożonej herbaty. — Teraz pewnie sama mogłabym nakręcić taki film na iPadzie.

Trochę przesadzałam, ale nie tak bardzo. Programy były do siebie tak podobne, że czasem nie byłam pewna, który już oglądałyśmy. Ale tak naprawdę nie miałam nic przeciwko temu, by pójść Glorii na rękę. Była o piętnaście lat młodsza, więc byłam przyzwyczajona do tolerowania jej wybryków, a zamilowanie do filmów i programów kryminalnych stanowiło naprawdę drobną wadę. Co ważniejsze, Gloria odwiedzała mamę w domu opieki codziennie, bez wyjątku. Spodziewałam się, że po pierwszych dwóch tygodniach częstotliwość spadnie, ale ona wciąż codziennie grała z mamą w karty albo czytała jej książki, albo po prostu u niej przesiadywała (otwórz cudzy słów, zamknij cudzy słów). Musiałam to docenić, chociaż podejrzewałam, że Gloria uzna to za pretekst, by nie szukać sobie pracy.

Gdy wróciłam, bawiła się moim iPadem.

— Nie mów mi, że jest jakaś apka dla seryjnych morderców? — spytałam, trochę nerwowo.

— Wygooglałam ją i miałaś rację. Aileen Wuornos i Ted Bundy zostali straceni w więzieniu Florida State Prison. Pomiędzy egzekucjami minęło dwadzieścia lat. On trafił na krzesło elektryczne, ona dostała śmiertelny zastrzyk. Ale tak — Spojrzała na mnie. — Coś jest w tej Florydzie.

— Nie wiem dlaczego, ale wolałabym, żebyś nie robiła tego na moim iPadzie — stwierdziłam, odbierając jej urządzenie. — Google nie potrafi zatrzymać nic dla siebie. Teraz pewnie przyślą mi na skrzynkę mnóstwo zdjęć ze scen zbrodni.

Przy sięgłabym, że uszy poruszyły się jej jak u teriera.

— Dostajesz takie rzeczy?

— Nie. — Wyrwałam jej iPada. — Nie pozwalam. Musi ci wystarczyć zbrodnio-porno w telewizji.

— Psuja.

— Tak na mnie mówią. — Na ekranie pojawiły się napisy, przesuwały się w górę za szybko, by je odczytać. W tle wyświetlono zdjęcie poważnego człowieka, prawdopodobnie jakiegoś mordercy. Nagle napisy zmieniły kolor — teraz były czarne na czerwonym tle. U dołu wyświetlono zapowiedź: *ZA CHWILĘ: Groźniejsze od mężczyzn — zabójcze panie.*

Skrzywiłam się, patrząc na siostrę, która chwyciła pilot, szczerząc się szeroko jak wariatka... a może jak zabójcza pani.

— Daj spokój. Na jednym z kanałów filmowych akurat wyświetlają *Czerwony świt* — odczekałam chwilę i uniosłam pięść. — Rosomaki?

Gloria przewróciła oczami.

— A może obejrzymy coś, czego nie widziałyśmy już bazylion razy?

— Ile to jest bazylion?

— To liczba gwiazd we wszechświecie albo liczba określająca, ile razy widziałas *Czerwony świt*, nikt tego nie wie na pewno. — Wskazała na mojego iPada. — Nie martwisz się już o spam ze zbrodniczymi zdjęciami?

Twarz mnie zapiekła.

— Nie patrzyłam, w co klikam — powiedziałam, co było półprawdą albo półkłamstwem, zależy jak patrzeć.

— Tak jasne. W ogóle nie interesują cię takie makabreski.

— Mogłabyś chociaż zrobić popcorn — zauważyłam. — W szafce jest przynajmniej jedna paczka.

Skrzywiła się w udawanym szoku.

— Czy to ci nie odbiera apetytu?

— Może znajdę tam jakieś wskazówki, a wtedy cię zabiję.

Jak zwykle przerwa na reklamy okazała się dostatecznie długa, tak że Gloria zdążyła wrócić z dużą miską dobrze pomaślonego popcornu, zanim zaczęły się napisy. Zapowiedź głosiła, że *Zabójcze panie* to maraton trwający aż do rana. Po przerwie na reklamę telezakupów, od czwartej do szóstej, ranne ptaszki mogły obejrzeć do śniadania *Śmiertelne duety — Zabójcze pary.*

Zabójcze panie nakręcono zgodnie z obowiązującą formułą, ale podkreślono aspekt melodramatyczny. Rzeczony panie zawsze były do szpiku złe, nikczemne, zwyrodniałe, zimne i podstępne, podczas gdy większość ofiar stanowili ludzie spokojni, ufni, ciepłi, szczerzy, otwarci,

uczciwi, lubiani przez otoczenie — najlepsi przyjaciele, jakich można by sobie życzyć. Wszyscy — nie licząc paru odszczepieńców, którzy byli niewykształceni, głupi, niedojrzali, nierozważni, autoagresywni albo po prostu pechowi, a czasem trafiał się jakiś kryminalista z długą historią recydywy (nikt nie miał krótkiej historii recydywy).

Pomiędzy fragmentami pospiesznej narracji i ujęciami twarzy detektywów, zawsze mówiących monotonnym głosem, pojawiały się fragmenty prawdziwych informacji, z których większość była dla mnie nowa. Oczywiście, nigdy nie wiedziałam zbyt wiele na ten temat. Jedyłą morderczynią oprócz Aileen Wuornos, jaką kojarzyłam, była Lizzie Borden. Tytułowe zabójcze panie wydały mi się znacznie bardziej interesujące niż ich męscy koledzy. W przeciwieństwie do mężczyzn, którzy po prostu upajali się poczuciem władzy nad ofiarą, zabójcze panie przede wszystkim dbały o to, by wszystko uszło im na sucho. Planowały dokładnie, starannie doбираły ofiary i sytuacje, czekały na właściwy moment.

Były także mistrzyniami kamuflażu, w czym nieświadomie pomagały im społeczne przesady — nawet w tym niebezpiecznych czasach postrzegano kobiety jako opiekunki, nie morderczynie. W czasie wolnym od mordowania zabójcze panie bywały pielęgniarkami, terapeutkami, niańkami, asystentkami, nawet nauczycielkami (przy pominięciu sobie niektóre nauczycielki ze swojej szkoły i uznałam, że to dość prawdopodobne).

W końcu przysnęłam, a gdy się obudziłam, w telewizji powtarzano właśnie pierwszy odcinek cyklu. Glorii nie dało się obudzić, więc przykryłam ją narzutą ręcznie wydzierganą przez mamę. Potem coś mnie podkuśiło — podłożyłam jej pod łokieć poduszkę z przypiętą karteczką: *To jest poduszka, którą cię nie zadusiłam. Dzień dobry!*, po czym powlokłam się do sypialni.

Karteczka, którą znalazłam później na własnej poduszce, brzmiała: *Nadal żyjesz? (zaznacz tylko jedną odpowiedź) [] Tak (trzeba dokupić muesli) [] Nie (nie trzeba).*

* * *

Gdy usiadła do śniadania, zobaczyłam minę Glorii i aż się skrzywiłam.

— Nie mów mi, że znów przyszedł nakaz aresztowania, bo nie zapłaciłaś mandatu za złe parkowanie.

— Nie, oczywiście, że nie. Zająłam się tym. Ty się tym zająłeś — dodała szybko. — Kiepsko spałam.

— Próbowałam cię obudzić, żebyś mogła się przespać w normalnym łóżku. Chyba nie siedziałaś przez całą noc, prawda?

Siedzenie przez całą noc, a potem spanie przez cały dzień stanowiło ulubioną metodę Glorii na radzenie sobie z trudnymi sytuacjami, gdy życie zamiast pomarańczy dawało jej cytryny, a do tego żadnego cukru, wody ani szklanki. Ostrzegałam już wcześniej, że jej na to nie pozwolę.

— Nie. Przez te wszystkie zabójcze panie miałam złe sny.

Przez chwilę myślałam, że żartuje, ale oczy miała lekko nawiedzone jak osoba, która zobaczyła w swojej głowie coś bardzo nieprzyjemnego i wciąż miała to przed oczami.

— Oj, przepraszam, Glosiu. Może nie powinnam zostawiać tej kartki.

— Nie, to było zabawne — odparła i zaśmiała się cicho. — Znalazłaś moją?

— Tak Twoja była jeszcze zabawniejsza, bo prawdziwa.

— Zapamiętam, że to powiedziałaś. — Spojrzała na swoją miskę. — Nie jestem głodna. Przez całą noc śniłam o Aniołach Śmierci. Wiesz, tych podstępnych.

— Wszystkie były podstępne — stwierdziłam, ziewając. — Kobiety lepiej się maskują, pamiętasz?

— Tak ale te, które pracowały w opiece, wszystkie te pielęgniarki i sanitariuszki były najpodstępniejsze. — Przerwała. — Ciągłe myślę o mamie. Co właściwie wiemy o tym jej zakładzie?

Potrząsnęła głową.

— Wszystko przez te tandetne filmy. Teraz boisz się każdego cienia. Lepiej odstaw na jakiś czas kryminały.

— Val, przyznaj się. Te Anioły Śmierci cię nie przeraziły?

— To ty jesteś miłośniczką kryminałów — odparłam spokojnie. — Ja wolę MTV. A przy najmniej rosołaki.

— Wczoraj wieczorem naoglądałaś się ich z własnej woli — stwierdziła i zaśmiała się bez wesołości.

— Prawda. Ale kiedyś trzeba powiedzieć dość. Dzisiaj bierzemy się za zestawy DVD. To będzie jeden z tych filmów, gdzie nawet obsada nie wie, co się wydarzy. *Zaginieni bohaterowie Alcatraz* albo *4400 zdarzeń w 24 godziny*. Co ty na to?

Moje propozycje nie zaskczyły nawet na przewrócenie oczami, więc sprawdziłam poranne wiadomości na iPadzie, jedząc swoje muesli. Może gdyby Gloria miała własny tablet, poprawiłby się jej humor? Uwielbiała gry. Nie mówiąc już o kamerze, chociaż uznałam, że trzeba będzie ją zmusić, by zobowiązała się na piśmie, że nie będzie wrzucać do sieci żadnych kompromitujących filmików.

— Val? — powiedziała po chwili. — Nawet zakładając, że boję się każdego cienia, wysłuchaj mnie przez chwilę. Jak właściwie znalazłaś ten dom opieki?

Jedyny sposób, by pozbyć się cieni, to zapalić wszystkie światła, pomyślałam z rezygnacją. W końcu na tym polegała rola starszych siostr, chociaż nigdy nie przypuszczałam, że w wieku pięćdziesięciu trzech lat nadal będę musiała to robić.

— To miłe miejsce, prawda? — Przytaknęła. — Nawet nie ma tego szpitalnego zapachu,

a mieszańcy nie wólczą się wokół zdeorientowani ani nie są przypięci do łóżek, leżąc we własnych...

— Val — upomniała mnie, unosząc brew. — Nie odpowiedziałś na pytanie.

— Dobrze, już dobrze. Nie wyszukałam go sama. Mama je wybrała. Razem z tatą wykupili ubezpieczenie w Stillman Saw and Steel...

— Ale Stillman zamknął się dwadzieścia lat temu!

— Daj mi skończyć. Stillman się zamknął, ale firma ubezpieczeniowa nie. Mama i tata zachowali swoją polisę, a potem mama zatrzymała ją nawet po śmierci taty. Powiedziała, że nie chce, żebyśmy męczyły się z nią tak jak ona z babcią i wcześniej babcia z prababcią. Gdy babcia zmarła, byłaś jeszcze niemowlakiem, więc pewnie nie pamiętasz. Ale ja pamiętam.

Gloria spojrzała na mnie sceptycznie.

— Rodzice niektórych moich znajomych wydali fortunę na ubezpieczenia, z których nie zobaczyli potem ani centa.

— Mama pokazała mi kiedyś papiery. Wszystko oficjalne i legalne. Gdyby nie to ubezpieczenie, na pewno nie byłoby jej stać na pobyt w takim domu.

Postanowiłam nie wspominać, że choć na moje oko mama wyglądała wtedy w porządku, to sama czuła już pierwsze oznaki choroby.

— Ubezpieczenie płaci połowę kosztów. Emerytura mamy i zyski ze sprzedaży domu pokrywają resztę.

— A gdy skończą się zyski ze sprzedaży, to co?

— Wtedy do akcji wkraczamy my, siostrzyczko. A co myślałaś?

Wytrzeszczyła oczy.

— Ale ja jestem splotkana. Nie mam nic do sprzedania.

— No cóż, jeśli nie wygrasz na loterii, to będziesz musiała uruchomić Plan B i znaleźć sobie pracę — stwierdziłam radośnie. Gloria zrobiła tak zdeglustowaną minę, że nie wiedziałam, czy się roześmiać, czy tylko ją trzepnąć. — Ale nie będziemy się martwić na zapas. Może nawet do tego nie dojdzie.

— Co masz na myśli?

Miałam nadzieję, że zdołam odłożyć tę rozmowę w czasie, aż nie będzie już o czym dyskutować.

— Mama spisała testament. Wydała zakaz resuscytacji. Żadnych defibrylatorów, przewodów, nadzwyczajnych środków. Jej ciało, prócz przydatnych narządów, ma zostać przekazane miejscowej uczelni medycznej. To jej decyzja — dodałam, widząc minę Glorii, na wpół przerażoną, na wpół zdeglustowaną. — Znasz mamę. Nie lubiła niczego marnować. Ktoś inny pewnie chętnie przygarnie jej wątrobę.

Siostra zaśmiała się wbrew sobie.

— Wątrobę mamy? Mama na osiemdziesiąt cztery lata. W ogóle pobierają narządy od ludzi w tym wieku?

Wzruszyłam ramionami.

— Nie wiem. Jeśli nie, to więcej zostanie dla studentów.

— To trochę wygląda jak brak szacunku.

— Wprost przeciwnie, Glosiu. Dwa razy w roku odprawiają ceremonie, by upamiętnić ludzi, którzy przekazali szkole swoje zwłoki. Zapraszają ich rodziny, odczytują nazwiska i dziękuję za ten dar wspierający przyszłość medycyny.

Siostra zdawała się trochę mniej zbrzydzone, ale ani trochę szczęśliwsza.

— A co się dzieje, gdy już... skończą?

— Oferują kremację. Chociaż mama wspominała, że wolałaby kompost. Jest taka organizacja, która sadzi drzewa i kwitnące krzewy...

— Przestań!

— Przepraszam, może nie powinnam ci o tym mówić. Ale takie jest życzenie mamy.

— Mama ma alzheimera!

— Gdy to ustalała, była trzeźwa jak gwizdek.

Analizowałyśmy to w tę i z powrotem. Gloria jakoś nie mogła pogodzić się z poglądami mamy i jej alternatywnym podejściem do śmierci. Wikiński pogrzeb pewnie spodobałby się jej bardziej. Z różnych strzępków rozmowy zrozumiałam w końcu, że czuła się dotknięta, ale czy było to poczucie winy — zawsze była tą wiecznie nieobecną córką — czy żal, że nikt z nią tego nie skonsultował? Chyba po trochu jedno i drugie.

A może dużo jednego i drugiego. Przez tę różnicę wieku zawsze trudno mi było spojrzeć na pewne sprawy z perspektywy siostry. Gloria wciąż była w tym samym punkcie co kiedyś, w wieku dwudziestu pięciu lat — starała się zdecydować, kim będzie, gdy dorośnie.

— Przepraszam, Glosiu — powiedziałam w końcu, sprząając ze stołu po śniadaniu.

— Dyskusja zostaje odłożona z powodu mojej pracy.

— Nie wiem, jakty to robisz — powiedziała, patrząc, jak płuczę miski i wkładam do zmywarki.

— Co? Zarabiam na życie?

— Jakim cudem przez cały dzień możesz patrzeć w arkusze.

— Skupiam się na znaczkach dolara obok cyferek — odparłam. — Zawsze da się znaleźć coś, co pomaga zachować przytomność.

Chyba jeszcze nie nadszedł czas na Plan B — pomyślałam, gdy już zamknęłam się w biurze i włączyłam komputer.

Obliczanie podatków obcych ludzi to nie jest może najbardziej fascynująca praca na świecie,

ale za to odporna na kryzys i mniej wyczerpująca fizycznie niż sprzątanie toalet. Nie jest nawet taka trudna, gdy już się wie, co i jak — chociaż zdarzają się pułapki. Przy kolejnych zmianach ordynacji podatkowej — mniej więcej co trzecią — kupowałam nowy twardy dysk, by robić kopie kopii zapasowych. W dzisiejszych czasach nie trzeba było już używać tyle papieru, co przyjmowałam z dużą ulgą. Ale nie mogłam się zmusić, by polegać w pełni na kopiach w chmurze — kuszenie losu to jedna sprawa, ale to byłoby jak otwarta prowokacja, że los postanowiłby w końcu zadziałać i ukarać mnie pokazowo. Zazwyczaj trzymałam się płyt CD — na pendrive'ach nie było dość miejsca, by przykleić lepką karteczkę. Jedna z moich młodszych koleżanek używała karteczek z symbolami. Sprytny pomysł, ale ja byłam już za stara na tak ekstremalne zmiany. Zwłaszcza że w moim stylu życia zaszły ostatnio radykalne zmiany.

W ciągu tych dziesięciu lat, które minęły, od czasu gdy Lee i ja poszliśmy po rozum do głowy i uznaliśmy, że to już koniec, odkryłam, że odpowiada mi samotne życie. Ale właśnie dobiegło końca. Gloria z początku składała jakieś nieokreślone obietnice, że rozejrzy się za własnym kątem, jak już stanie na nogi — cokolwiekby to znaczyło — ale ja nie miałam złudzeń. Moja siostrzyczka zamierzała tu zostać. Nawet jeśli znalazłaby sobie chłopaka, to i tak by niewiele zmieniło. Gloria z reguły przyciągała facetów, którzy zawsze chcieli się wprowadzać do niej, a nie odwrotnie, głównie z braku innego wyjścia.

Tuż przed przerwą na lunch usłyszałam, jak z podjazdu wyjeżdża samochód — Gloria pewnie wyjechała w odwiedziny do domu opieki. Mama obecnie jadała niewiele, ale moja siostra zwykle potrafiła wmusić w nią kilka dodatkowych kęsów. To dlatego obsługa tak bardzo ją lubiła.

— Byłoby pięknie, gdyby wszyscy pacjenci mieli takich krewnych jak ona — powiedziała mi kiedyś pewna młoda pielęgniarka imieniem Jill Franklyn. — Nie traktuje pielęgniarzy jak służących i nie rozmawia przez telefon przez całą wizytę. Większość ludzi pewnie nie przychodziłaby tu codziennie, nawet gdyby mieli na to czas.

Poczułam się odrobinę urażona. Dwie wizyty tygodniowo stanowiły moje minimum, chociaż często starałam się dojsć do trzech. Nie zawsze mi się to udawało i często bywałam zbyt zmęczona, by mieć z tego powodu poczucie winy. Tymczasem mama ciągle powtarzała, że powinnam mniej myśleć o cotygodniowych wizytach, a więcej o dwutygodniowych wakacjach na Karaibach.

Kuszące, ale obecność Internetu oznaczała, że moja praca pewnie podążyłaby za mną wszędzie. Ostatnim razem, gdy wyjechałam na tydzień do leśnej chatki, dostałam spanikowanego SMS-a od klienta, którego dom spalił się do fundamentów tuż przed wyznaczonym terminem audytu. No cóż. Słyszałam, że komary w Maine osiągnęły rozmiary orłów i czasem porywają małe dzieci.

Oczywiście komar z dwumetrowymi skrzydłami to i tak małe piwo w porównaniu z dwoma

ty godniami zaległej pracy. A może nie? Istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

To dziwne, że zaczęłam myśleć o urlopie, odkąd zjawiała się Gloria. Nie miała pracy i prawdopodobnie zaczęłaby jej szukać dopiero pod pistoletem, ale od początku odwiedzała mamę i pomagała w domu. Jeśli tak dalej pójdzie, będę mogła zreanimować moje praktycznie nieistniejące życie towarzyskie. Zadzwoń do koleżanek, idź na zakupy. Wyjść do restauracji. Obejrzeć film w kinie. Sama myśl o tym podniosła mnie na duchu.

O piątej wciąż nie było ani śladu Glorii, więc spędziłam przy biurku dodatkową godzinę, kończąc rzeczy, które normalnie zostawiłabym do następnego dnia. Gdy o szóstej nadal nie wróciła, zaczęłam się denerwować. Mimo wszystkich swoich wad moja siostra była świetnym kierowcą, chociaż to oczywiście nie chroniło jej przed złymi kierowcami albo przed ludźmi o złych intencjach. Czy można było za opłatą zlokalizować samochód LoJackiem, czy najpierw trzeba było zgłosić kradzież na policję? Próbowałam sobie przypomnieć, jak rejestrowałam swoje oprogramowanie nawigacyjne. Czy była tam jakaś aplikacja Znajdź-Mój-Samochód, taka jak do znajdowania iPadów?

Na szczęście usłyszałam dźwięk silnika, zanim wymyśliłam coś głupiego.

— Jest tu kto? — zawołała Gloria, wchodząc do kuchni. — Jeśli jesteś włamywaczem, to zmykaj.

— Żadnych włamywaczy, tylko ja! — odkrzyknęłam.

Wpadła do środka bardzo podekscytowana, trzymając w ręku torbę z chińszczyzną na wynos.

— Nie uwierzysz, co zrobiłam.

— Nie uwierzę — zgodziłam się, sprzątając stół. — Więc lepiej mi powiedz.

— Dostałam pracę.

Opadła mi szczęka. Wszelkie nadzieje na weekendowy wyjazd wyparowały, a moje życie towarzyskie przewróciło się na drugi bok i znów zasnęło.

— Dostałaś... pracę?

Gloria wyjmowała z torby małe, białe kartoniki i ustawiała na stole.

— A co? Nie wierzyłaś, że to możliwe?

— Nie, po prostu... nie wiedziałam, że szukasz.

— Uspokój się, siostrzyczko — zaśmiała się. — To nie jest prawdziwa praca.

Zamrugalam.

— Dostałaś fikcyjną pracę?

— Co? Oczywiście, że nie. Od dzisiaj oficjalnie jestem wolontariuszką w zakładzie mamy!

— Oficjalnie... poważnie? — Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. — Masz odpowiednie kwalifikacje?

— Zaskoczę cię, ale tak

Rzeczywiście, była to najbardziej zaskakująca rzecz, jaką powiedziała przez ostatnie dwie minuty. A może kiedykolwiek — „kwalifikacje” to nie było słowo, które kojarzyłabym z moją siostrą.

— Jak to? — spytałam słabo.

— Gdy jeszcze byłam w szkole, każdego lata pracowałam jako ratowniczką. Zapomniałaś? — spytała z uśmiechem wyższości. Gdy Gloria chodziła do szkoły średniej, ja już od dawna nie mieszkalam w domu, więc nie tyle zapomniałam, co po prostu nie wiedziałam. Ale Gloria faktycznie chodziła w kostiumie kąpielowym od maja do września. Kiedyś wprawdzie sama nie wyglądałam źle w bikini, ale nigdy aż tak dobrze jak ona. — Po egzaminach uczyłam też pływania w Y i w Czerwonym Krzyżu — dodała. — Przez wiele lat pracowałam jako ratowniczką albo instruktorką.

Wciąż nie rozumiałam, dlaczego to ważne.

— Czy mieszkańcy domu opieki dużo płwają?

Przewróciła oczami.

— Umieć przeprowadzić resuscytację, głuptasie!

Zaczerwieniłam się. Poczulałam się jak dwóch głuptasów razem wziętych. Gloria znów się zaśmiała.

— Chyba jednak nie zemdlejesz. To dobrze, przez chwilę nie była pewna.

Weszła do kuchni po talerze, a ja siedziałam na kanapie i czułam się jak idiotka, do tego podła.

— Uczyłam też wodnego aerobiku — dodała siostra, stawiając mi talerz na kolanach.

— Właściwie to powinnam odnowić certyfikat instruktorki aerobiku, ale dbałam, żeby certyfikat ratownika był aktualny. To strasznie irytujące, gdy basen chce kogoś zatrudnić, ale nie mogą, bo przeterminował mu się certyfikat. — Nałożyła mi po trochę jedzenia z różnych kartoników i uniosła pałeczki. — Chcesz czy wolałabyś widelec?

— Mam kwalifikacje do obsługi pałeczek — odparłam. Podała mi je z uśmiechem. Wciąż nie byłam przekonana. — Co się stało? Wstałaś dziś rano i postanowiłaś zostać oficjalną wolontariuszką? Czy jakaś pielęgniarka usłyszała, jak wspominasz czasy szkolne i powiedziała: „Hej, pewnie umiesz przeprowadzać resuscytację, może zgłosisz się na ochotnika?”.

Jej uśmiezek stał się chytry, gdy nakładała jedzenie dla siebie.

— Wypełniłam wszystkie podania kilka tygodni temu.

Znów mnie zaskoczyła.

— Nic nie mówiłaś.

— Nie było potrzeby. To znaczy, gdyby mnie nie zatrudnili, to nie byłoby o czym rozmawiać.

A poza tym czy ty mówisz mi o wszystkich pomysłach, jakie przyjdą ci do głowy? — Jej szeroki uśmiech zdawał się teraz mniej niewinny i nie byłam pewna, czy miał to być przytyk czy nie. —

Oczywiście, że nie — odpowiedziała sama sobie. — Nikt tak nie robi.

Jadłam z milczeniem, powoli przetrawiając wizję mojej siostry — wykwalifikowanej wolontariuszki z umiejętnością resuscytacji. Sama nigdy tego nie opanowałam, co — jak odkryłam teraz — pewnie było trochę krótkowzroczne. Żaden z moich klientów nie dostał wprawdzie zawału, patrząc na to, ile jest winien rządowi, ale nie było to całkiem niemożliwe, wielu z nich było już w grupie podwyższonego ryzyka. Gloria tymczasem paplała o tym, jak rozpoznać objawy wylewu, jak wykonać manewr Heimlicha i jak to na kursach pierwszej pomocy można było spotkać przystojnych strażaków. *W końcu ta Gloria, którą znam i kocham* — pomyślałam z ulgą.

— Wiesz co, nie sądzę, żebyś spotkała wielu strażaków w domu opieki — zauważyłam, gdy przerwała dla zaczerpnięcia oddechu.

— No chyba, że się spali. Żartuję! — wykrzyknęła, po czym poważnie dodała: — Temu właśnie mam zapobiegać.

Znów nie rozumiałam.

— To jakaś akcja? „Tyłko ty możesz zapobiec pożarom w domu opieki”?

— Dopilnuję, by nie wkraść się tam żaden Anioł Śmierci.

Czekałam na śmiech, ale się nie doczekałam.

— Mówisz poważnie?

— Jestem poważna jak zawał serca, siostrzo. — Nadziała krewetkę na pałeczkę i włożyła do ust.

To chyba kolejny powód, by doceniać jej kwalifikacje, chociaż wciąż było to trochę surrealistyczne.

— Zamierzasz przebywać tam dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Uniosła brew.

— O czym ty mówisz?

— Większość tych Aniołów Śmierci działała, gdy wszyscy spali. Pamiętasz? A może przespałaś ten odcinek?

— Nie, pamiętam. To jasne, że nie będę tam ciągle, ale będę obserwować. Obejdę budynek, porozmawiam ze wszystkimi, zobaczę, jak sobie radzą. Dopilnuję, by dostawali właściwe leki we właściwych dawkach...

— Czy to nie jest przypadkiem zadanie dla lekarzy i pielęgniarek?

— Po prostu sprawdzę, jeśli coś wyda mi się podejrzane — odpowiedziała. — Wolontariusze nie wydają lekarstw. Nie wolno nam nawet nosić własnych leków przy sobie. Nawet aspiryny.

Ledwie ją usłyszałam, bo nagle zastanowiło mnie coś innego.

— Czy przez ten wolontariat nie zabraknie ci czasu na odwiedzanie mamy?

— Będzie wiedziała, że jestem w pobliżu.

Pomyślałam, że to będzie znacznie ciekawsze, niż mi się wydawało. I raczej w złym tego słowa znaczeniu.

Oczywiście, wtedy jeszcze nie wiedziałam, że już się zaczęło.

* * *

W ciągu kolejnych kilku dni stan zdrowia mamy wyraźnie się poprawił. Była radośniejsza i bardziej przytomna, poprawił się jej nawet apetyt. Cieszyłam się, ale z rozmów w lekarzem wynikało, że poprawa jest tylko chwilowa, a późniejsze pogorszenie może być stopniowe albo gwałtowne. A do tego okrutne.

— Przez te wszystkie seriale i filmy większość ludzi myśli, że pacjenci z demencją to tacy pogodni staruszkowie, którzy uśmiechają się do niewidocznych rzeczy i nie wiedzą, jaki dzisiaj dzień — powiedział doktor Li, a jego przyjazna twarz zachmurzyła się wyraźnie. — Pacjenci z demencją bywają wystraszeni i zagniewani i często okazują to w nieobliczalny sposób. Ludzie, którzy nigdy nie podnieśli na nikogo ręki, nagle zaczynają bić pielęgniarkę... albo krewnego. Albo próbują gryźć — a w obecnych czasach często miewają dość zębów, by zostawić rany. A czasem robią się lubieżni i molestują personel. Miałem tu kiedyś zakonnice, była profesor filologii klasycznej, która władała sześcioma językami. Przeklinała jak motocyklista we wszy stkich sześciu, a poza tym lubiła... eee, nieważne.

Powiedział jeszcze wiele rzeczy, których coraz trudniej było mi słuchać, ale pod koniec czułam się... może nie do końca przygotowana, bo człowiek nigdy nie jest przygotowany na takie wydarzenia, ale może trochę mniej naiwna. Jak dotąd moja matka pozostała sobą, nawet w tych trudniejszych dniach, gdy nie pamiętała, dlaczego już nie mieszka w swoim starym domu, albo nie wiedziała, ile mam lat. Odkąd zjawiła się Gloria, takie dni zdarzały się coraz rzadziej.

Dobra passa mamy trwała jakieś półtora miesiąca. Przy każdych odwiedzinach kazała mi wyjechać na urlop. Wkrótce zaczęłam przeglądać oferty biur podróży i robiłam to całkiem serio. Do diabła z pracą. Ale gdzieś w głębi duszy pozostawało pytanie, jak moja nieobecność wpłynie na stan zdrowia mamy.

Uznałam, że omówię to z nią, zanim się na coś zdecyduję. Podejrzywałam, że pewnie każe mi lecieć na Jamajkę na lunch — z jakiegoś powodu ostatnio polecała mi Jamajkę — ale co tam, pomyślałam, wchodząc do budynku w czwartkowe popołudnie. Mama — jak powiedział sanitariusz — siedziała na patio, ciesząc się piękną pogodą. Czy byłabym tak miła i przyniosła jej szklankę soku z żurawin?

Znalazłam ją pod parasolem przy stoliku. Siedziała na wózku, z dala od innych rezydentów. Najwyraźniej nie cieszyła się z ładnej pogody. Piorunowała wzrokiem broszurkę z zagadkami sudoku i zaciskała w rękę ołówek, jakby trzymała sztylet. Wózek oznaczał, że miała zawroty

głowy, pewnie przez zapalenie ucha środkowego. Ta dolegliwość bywała chroniczna u ludzi, którzy musieli nosić aparat słuchowy w obu uszach. Gdy podeszłam, zobaczyłam, że założyła dziś tylko jeden. Stąd sudoku, za które brała się tylko wtedy, gdy chciała pobyć sama.

— Nie spieszyłaś się, co? — stwierdziła zgryźliwie, gdy postawiłam na stoliku sok żurawinowy.
— Prosiłam cię o to już kilka godzin temu.

— Mamo, to ja, Valerie — powiedziałam ostrożnie. Miałam nadzieję, że nie słyszy rozpacz w moim głosie.

— Och, na rany boskie, przecież wiem, kim jesteś. — Mama chyba nie mogła uwierzyć w moją głupotę. — Sama powiedziałaś, że przyniesiesz mi soku. Czekam na niego już od kilku godzin. Co się stało, sama zbierałaś te żurawiny czy co?

— Przepraszam, że tyle czekałaś — powiedziałam łagodnie. — Ale dopiero przyjechałam. Mamy czwartek. Ostatni raz byłam tu w niedzielę.

Zaczęła coś mówić, ale przerwała. Położyła ołówek na stoliku i rozejrzała się po patio. Spojrzała na parasolkę, na sanitariusza i mężczyznę w niebieskim dresie, powoli idącego ścieżką z ogrodu w naszą stronę. Szukała czegoś, co doktor Li nazywał „mentalnym kierunkiem północnym” — jakiegoś elementu, który nie uległ nagłej zmianie, wraz z resztą tego zdradzieckiego świata. Jej wyraz twarzy nagle się zmienił — z zaskoczenia, poprzez strach i podejrzenia, aż w końcu odchyliła się ciężko na oparcie i zakryła twarz dłonią.

— W porządku, mamo — powiedziałam i objęłam ją ramieniem. Od dawna była bardzo chuda, ale ostatnie trzy dni najwyraźniej wyniszczyły ją jeszcze bardziej.

— Tu jesteś! — U boku mamy nagle zmaterializowała się Gloria. — Czemu nie powiedziałaś, gdy przyjechałaś? — Jej zbyt szeroki uśmiech zniknął, gdy mama zmierzyła ją krytycznym wzrokiem, cmokając na widok plamy na granatowym fartuchu. — Co się stało? Co jej powiedziałaś?

— Nic. Dopiero przyjechałam.

Gloria już miała coś powiedzieć, ale mama uniosła ręce.

— Tylko się nie kłóćcie! Nie znoszę babskich kłótni. Ciągle tylko skrzek-skrzek-skrzek. Jak wrony wrzeszczące na mewy. Czy dziś mamy czwartek?

Szybka zmiana tematu nie była u niej niczym niezwykłym. Tok myślenia mojej matki stanowiłby wyzwanie nawet dla polityków i gospodarzy talk-show.

— Tak, od rana — odparłam.

Odłożyła broszurkę i ołówek

— Nie lubię pisać na zewnątrz. Mówiłam im o tym, ale nigdy nie pamiętają. Może ten alzheimer jest zaraźliwy. Pomóżcie mi wrócić do środka.

Już miałam wstać, ale Gloria się zerwała, a w jej ruchu było coś desperackiego.

— Po to tu jestem — powiedziała, jakby chciała się wytłumaczyć.

Mama chciała się przespać, więc wraz z Gloria pomogłyśmy jej się położyć, uklepałyśmy poduszki i obiecałyśmy nie skrzeczeć, nawet z dala od niej. Usiadłam przy jej łóżku, żeby poczytać coś na iPadzie. Ale gdy tylko mama zasnęła, Gloria natychmiast wyciągnęła mnie na zewnątrz.

— Czy to potrwa długo? — spytałam.

— To ważne.

Poszłam za nią poprzez patio, teraz opustoszałe, aż do ławki pod rozłożystym klonem.

— Tylko szybko — ponagliłam. — Chciałabym wrócić, zanim mama się obudzi.

— Nie tak głośno. — Nachyliła się i przemówiła na wpół szeptem: — Jako wolontariuszka widzę znacznie więcej niż zwykli goście. I mam wrażenie, że dzieje się tu coś zabawnego. Zabawnego, ale nieśmiesznego.

Wreszcie ta Gloria, którą znałam i kochałam.

— Czemu tak mówisz? Coś się stało? — A gdy nie odpowiedziała, dodałam: — Czy ktoś po prostu na ciebie krzywo spojrział?

Odsunęła się i skrzyżowała ręce na piersiach.

— Wiedziałaś, że mi nie uwierzysz — stwierdziła z kamienną twarzą. — Nigdy nie traktowałaś mnie poważnie.

— To nieprawda — zaprotestowałam natychmiast, ale sama słyszałam kłamstwo w swoim głosie.

— Myślisz, że to tylko moja wyobraźnia, bo jestem twoją młodszą siostrą. Dla ciebie zawsze będę tylko smarkulą. Nie wiesz, jakie to uczucie dorastać w otoczeniu trójki dorosłych. Mama, tata i mama numer dwa. Zawsze wszystko wiedziałaś lepiej. Albo podkreślałaś, jak to musisz tolerować moją dziecinność — och, kolejna Gwiazdka, znów musimy udawać, że Mikołaj istnieje — albo zachowywałaś się, jakbyś nie chciała, żebym kiedykolwiek dorosła. Mama próbowała mnie zmusić, żebym usiadła Mikołajowi na kolanach, kiedy miałam osiem lat!

— Tylko do zdjęcia — odparłam. — A poza tym chciała, żebym ja usiadła mu na drugim kolanie, ale wtedy Mikołaj sam zaprotestował.

Gloria prawie uśmiechnęła się na to wspomnienie, potem otrzęźwiwała.

— Znów robisz to samo. Próbujesz mnie spacyfikować. Wysłuchaj mnie chociaż raz, dobrze? Tu się dzieje coś złego.

— Słucham, chciałam tylko wiedzieć, co podsunęło ci taki pomysł — odparłam, próbując nadać głosowi rozsądne brzmienie, ukrywając (drobny) ból spowodowany jej (odrobinę uzasadnionymi) wyrzutami. — To chyba uczciwe pytanie? Gdybym przyszła do ciebie z takimi rewelacjami, sama byś mnie o to zapytała. Zwłaszcza że pierwszy raz słyszę o czymś takim,

a przychodzę tu kilka razy w tygodniu, i to już od dawna.

— Mówiłam ci, to co innego niż odwiedziny — powtórzyła. Jakś ruch za plecami Glorii, wolontariuszka rozglądająca się po patio. Podniosła książeczkę z sudoku i włożyła do kieszeni fartucha, potem prysnęła, gdy nas zauważyła. Uśmiechnęła się i zamachała. Gloria spojrzała przez ramię, gdy odwróciła się do mnie, znów była zła.

— Niech ci będzie. Możesz mi nie wierzyć. Udowodnię ci to. Wtedy zobaczymy, kto tu się boi każdego cienia.

Wstała i odeszła. Nagle przypomniałam sobie, jak w dzieciństwie robiła to samo — przechodziła wtedy, jak to nazwała mama, „okres buntu dwulatka”. Ukryłam uśmiech na wypadek gdyby się obejrzała, ale nie zrobiła tego. Taksamo jak w dzieciństwie.

* * *

Od tamtego czasu nasze stosunki zrobiły się dość napięte. Wszelkie próby nawiązania rozmowy spełzały na niczym. Gloria odpowiadała zwykle nieokreślonym pomrukiem, żeby dać do zrozumienia, że jeszcze nie ogłuchła. W poniedziałek trochę odtajała i czasem zaczęła się odzywać pierwsza. Zachęcona, zaproponowała, byśmy wybrały się na zakupy i obejrzały film w prawdziwym kinie — ja stawiam — z prawdziwym popcornem polanym zatykającym arterie smarem o smaku masła. Odmówiła grzecznie, tłumacząc, że bołą ją stopy. Biorąc pod uwagę, że codziennie po powrocie z pracy szła prosto do wanny, pewnie bolały ją aż do bioder.

Pomyślałam, że gdy odkryje w domu specjalnie przygotowaną kąpiel, może udobrucha się jeszcze bardziej. Za pierwszym razem rzeczywiście była zaskoczona, podziękowała mi z zakłopotaniem, a potem spędziła cały wieczór, oglądając ze mną filmy w salonie, bez proszenia zrobiła nawet miskę popcornu. Za drugim razem nie była już tak zaskoczona, a za trzecim zapytała, czego chcę.

— A jak myślisz? — spytałam, podnosząc do ust pół plasterka pastrami na kromce pumpernika. Zrobiłam rano zakupy i trochę zaszalałam — miała to być nagroda za dodatkową pracę nad nowo otwartym rachunkiem. — Chcę, żebyśmy znowu były przyjaciółkami. Siostrami. Zachowujesz się, jakbym wisiała ci pieniądze, a do tego przeleciała twój chłopaka.

Spojrzała na mnie wzrokiem bez wyrazu.

— Ty naprawdę nie bierzesz niczego na serio, prawda?

— Och, na litość boską — westchnęłam. — Próbuję przełamać lody, zanim zamienią się w wieczną zmarzlinę. — Jej usta lekko skrzywiły się w uśmiechu, a wtedy poczułam przypływ irytacji. — Och, wybac. Czy było to nie dość poważne?

— Nie napełniaj mi więcej wanny — powiedziała. — Trzymam w pracy kostium kąpielowy, więc mogę korzystać z jacuzzi. Czasem wchodzimy tam razem z mamą.

Już miałam wygłosić jakąś uwagę na temat ratownika w wannie, ale się powstrzymałam i poczułam wstyd, że w ogóle o tym pomyślałam. Może rzeczywiście przyprawiałam ją o poczucie niższości, chociaż nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy.

— Chciałam tylko zrobić dla ciebie coś miłego — powiedziałam. — Widzę, jak ciężko pracujesz i...

— Miło, że zauważyłaś — odparła szywno. — Ale jako dorosła chyba poradzę sobie z napełnianiem wody do wanny. — Odwróciła się na pięcie i wyszła.

— Niech będzie — odparłam, czując, jak całe współczucie ze mnie wyparowuje. Jeśli moja siostra chciała być traktowana poważnie — jak dorosła! — powinna się zachowywać jak dorosła, nie jak trzynastolatka z PMS-em. *Chyba nie mówisz poważnie?* — ostrzegł mój mózg.

Twarz mnie zapiekła, chociaż byłam sama. No dobrze — może Gloria rzeczywiście przechodziła akurat te dni. Kiedyś, za czasów nastoletnich, też nie była wtedy promykiem słońca. Teraz sama zmagalam się z nadejściem menopauzy i dzięki hormonom radziłam sobie całkiem nieźle, ale niecodziennie był piknik.

Czułam, że moje myśli ganiają w kółko. Czy naprawdę przez całe życie traktowałam Głorię tak okropnie? A może po prostu byłyśmy skazane na wieczne niedostrojenie? Należałyśmy w końcu do różnych pokoleń, mówiłyśmy praktycznie różnymi językami. Ale z drugiej strony, gdybym to ja zachowała się tak okropnie po tym, jak siostra przygotowała mi kąpiel, sumienie nie dałoby mi żyć. Ale to, oczywiście, była cecha starszej siostry. Czy potrafiłaby spojrzeć na świat oczami młodszej siostry? I tak dalej, i tak dalej. Gdy w końcu przypomniałam sobie, że miałam zjeść kanapkę, kromka chleba zaległa mi w żołądku jak krążek kolejkowy.

Niestrawność minęła później, gdy usłyszałam, jak Gloria znów wychodzi, zamiast dbać o swoje obolałe stopy. Najwyraźniej nie pozwalała, żeby nasze nieporozumienia wpłynęły na jej relacje z moim samochodem.

* * *

Gloria nadal traktowała swój wolontariat z wielkim zaangażowaniem, jakiego nigdy nie okazała żadnemu płatnemu zajęciu (a przynajmniej takim, które nie wymagały noszenia kostiumu). Czasem zastanawiałam się, czy jej oddanie nie bierze się z niezdrowej obsesji, prób poszukiwania dowodów na coś, co nie istniało.

Tyle że czasem obserwowałam ją podczas wizyt i wcale nie wyglądała na obsesjonatkę. Krzątała się radośnie jak ludzie, którzy naprawdę lubią swoją pracę. Może próbując mi coś udowodnić, Gloria odnalazła jakąś część siebie, odkryła, że opieka nad starszymi to jak ratownictwo w codziennym stroju. Mało prawdopodobne, ale możliwe. A jeszcze bardziej prawdopodobne, że nie powiedziałyby mi o tym, nawet gdyby tak było.

Chyba że nadal podejrzewała jakieś ciemne sprawy i przez cały czas odgrywała rolę i była to gra według metody Stanisławskiego, jakiej nie powstydziliby się nawet Brando. Naprawdę nie byłam w stanie ocenić. Wobec mnie na zmianę okazywała wrogość albo rezerwę i nie miała mi nic do powiedzenia oprócz wiadomości o zdrowiu mamy.

Może to ja bałam się teraz każdego cienia. Po spędzeniu całego życia jako pieszczoszka rodziny, beztroski pasikonik otoczony przez mrówki, Gloria dopiero teraz w pełni zobaczyła, jak bardzo pogorszył się stan naszej matki. Pogodzenie się z taką sytuacją pewnie wstrząsnęłoby każdym. Chciałam, żeby porozmawiała o tym ze mną, ale jeśli zawsze miała wrażenie, iż traktuję ją z góry, to może lepiej, że trzymała się na dystans.

W końcu trochę się udobruchała, do tego stopnia, że czasem oglądaliśmy razem jakiś film albo wychodziłyśmy zjeść coś na mieście, ale mur pozostał. Bardzo chciałam go zburzyć, ale nie naciskałam. Częściowo dlatego, że bałam się ją znowu wystraszyć. Ale poza tym przyszła mi do głowy jakaś dziwna, przesądna myśl — miałam wrażenie, że zbytne analizowanie jej nowego, zdyscyplinowanego reżimu może go zniszczyć. Gloria przerwie swój wolontariat albo przestanie odwiedzać mamę częściej niż raz w miesiącu. Mimo wyznaczonych przeze mnie reguł zacznę przespiać całe dnie i siedzieć przed telewizorem nocami. Zdarzało się to już wcześniej. Niezależnie od tego, co dawało jej takie poczucie celu, nie chciałam, by je straciła. Nawet jeśli oznaczało to, że nigdy nie wyjdziemy poza „Będzie padać”, „Zgadnij, co będzie dziś w telewizji. Dam ci jedną wskazówkę: rosomaki!” już do końca życia.

* * *

Półtora miesiąca po wybuchu Glorii pan Santos i jego córka Lola odszukali mnie, by powiedzieć, że moja siostra jest bohaterką. Pan Santos był niskim, żyłastym człowieczkiem zbliżającym się do osiemdziesiątki i dzielił z moją matką zamiłowanie do zagadek i gier karcianych. Znałam Lolę z widzenia, ale najwyraźniej ona i jej ojciec poznali Głorię w innych okolicznościach.

— Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego — relacjonowała Lola Santos. Patrzyła na mnie wielkimi oczami, jakby pokrewieństwo z Głorią samo w sobie stanowiło osiągnięcie. — Wysłałam do łazienki może na dwie minuty. Gloria właśnie przyniosła mu soki...

— I gdyby nie ona, to by mnie tu nie było. — Pan Santos uderzył się w pierś kłóścistą pięścią. Córka złapała go za rękę.

— Tatusiu, nie rób tego. Nadal masz siniaki!

— I dobrze. Te siniaki przypominają mi tę bohaterską wolontariuszkę o brązowych lokach, z dołeczkiem w policzku, która ocaliła mi wtedy życie. — Pogroził mi palcem. — To cudowna kobieta. Nie wiem, co byśmy bez niej zrobili. To bohaterka. Moja osobista bohaterka.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc tylko uśmiechnęłam się szeroko i podziękowałam za to,

że mi o tym opowiedzieli. W domu próbowałam porozmawiać o tym z Glorią, ale najwyraźniej była temu niechętna. Gdy zaczęła się irytować, odpuściłam temat. Następnego dnia przestawiłam godziny pracy i wróciłam do domu opieki, by zobaczyć, czego jeszcze zdołam się dowiedzieć. Niestety, pan Santos nie był w stanie powiedzieć mi więcej niż wczoraj. Matka twierdziła, że akurat ucięła sobie drzemkę albo że siedziała w ogrodzie. Inni mieszkańcy nie mieli nic do dodania. Nawet gadatliwa Jill Franklyn była bardzo małomówna. Oczywiście pochwaliła Glorię, jej techniki resuscytacji i umiejętność zachowania zimnej krwi, ale potem grzecznie zasłoniła się tajemnicą lekarską. Nie naciskałam i spędziłam resztę wizyty przy mamie, nieco zdezorientowanej moją obecnością.

* * *

Następnie znów wróciłam do harmonogramu trzech wizyt tygodniowo, tłumacząc sobie, że robię to dla mamy, a nie po to, by dowiedzieć się czegoś więcej o heroicznym czynie Glorii. Nie miałyby to żadnego sensu — przecież otrzymałam pełną relację od pana Santosa i Loli. Szczęśliwe zakończenie, uśmiechy — czego jeszcze można by wymagać od tej historii? Jeśli rzeczywiście bałam się cieni, to nie umiałam ich nawet nazwać. Może wizja Glorii jako bohaterki nie dawała mi spokoju jeszcze przez wiele tygodni.

Czyżbyś była zazdrosna? — spytał głos w mojej głowie.

Byłam prawie pewna, że nie mam aż takiej neurozy. Ale nawet jeśli tak, to istniał tylko jeden sposób, by pozbyć się cieni. Mamie na pewno przydadzą się dodatkowe wizyty i mnie także — nie wiadomo, jak długo mama jeszcze będzie z nami. Dobre uczynki robione z głupich pobudek nadal są dobre, prawda?

— Nie byłaś tu wczoraj? — spytała mama, gdy usiadłam przy niej pod parasolką. Ku mojemu zdziwieniu wydawała się lekko rozdrażniona.

— Nie. Byłam tu w czwartek, a dziś jest sobota. Co się stało? Masz mnie dosyć?

— Nie, po prostu nie rozumiem, dlaczego nie wykorzystasz, że jest tu Gloria i nie wyjedziesz gdzieś na weekend — odparła. — Co się z tobą dzieje? Nie masz własnego życia?

— Nie — odparłam szczerze.

— A twoi znajomi?

— Oni też nie mają życia. To brutalna rzeczywistość. Może powinnam zamieszkać tu z tobą.

Zaśmiała się ponuro.

— Najpierw musisz wygrać na loterii. Nie pozwolą ci podzielić wydatków. — Rozejrzała się. — Gdzie jest ta rzecz? Wiesz, ta która ma w środku te wszystkie książki i ekran. Miałam ją jeszcze przed chwilą. Możesz zobaczyć, czy jest u mnie w pokoju? Skoro już tu jesteś...

Drzwi do pokoju mamy były otwarte, wolontariuszka stała zwrócona do mnie plecami,

układając coś na tacy obok łóżka. Po lewej stronie stał wózek pełen dzbanków z wodą.

— Dzień dobry — odezwała się wesoło. Dzbanek wypadł jej z rąk, rozlewając wodę na łóżko, nim stoczył się na podłogę. — Ojej! Przepraszam! — Rzuciłam się na pomoc.

— Nie, nie, w porządku, nic się nie stało... — W głosie wolontariuszki zabrzmiała niema desperacja. Jednocześnie próbowała mnie odepchnąć, chwycić dzbanek i zebrać kilka białych pigulek — To tylko woda, nie żaden uran. Dam sobie radę...

— Na pewno, ale proszę pozwolić mi pomóc — odparłam, kłęcząc na podłodze. Dzbanek rozpadł się na kawałki, a pokrywka wpadła pod łóżko. Użyłam jej, by zgarnąć kilka tabletek

— To moje, na ból głowy — wyjaśniła wolontariuszka, wrzucając tabletki do kieszeni fartucha, nie zwracając uwagi na kłęby kurzu. — Mam klafterowe bóle, to naprawdę coś strasznego.

— Pewnie tak — Nie wiedziałam, czym są klafterowe bóle głowy, ale sądząc po jej wyrazie twarzy, musiały być nieprzyjemne. Jej śniada, oliwkowa cera stała się niemal popielata. Jeszcze raz zamiotłam pokrywki pod łóżkiem, po czym wstałam. — Naprawdę mi przykro. Nie chciałam pani przestraszyć. Powinnam zmienić pościel...

— Nie, nie. Goście przecież nie przychodzą tu, żeby sprzątać. Ja się tym zajmę — Mówiła tak szybko, że niemal paplała. — Ja się tym zajmę, proszę się niczym nie martwić, proszę nie tracić czasu ze swojej wizyty, ale jeśli... — Nagle przerwała. Kolory trochę jej wróciły, ale teraz wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

— Co się stało? Ból głowy?

Już miałam zasugerować, żeby usiadła i napiła się wody, ale ona szybko dodała:

— Nic takiego. Proszę wracać do mamy. Dam sobie radę.

— Nawet nie pozwala mi pani zmienić pościeli, więc jeśli mogę w czymś pomóc, to proszę powiedzieć.

Spuściła wzrok

— To trochę głupie.

— „Trochę głupie” rzeczy to moja specjalność — odparłam, wywołując uśmiech.

— No dobrze, chodzi o to, że... — Nagle chwyciła pościel i zaczęła ściągać poszewki. — Nie, nie mogę. Chciałam tylko prosić, żeby nie wspominała pani o tym swojej mamie, ale proszę się mną nie przejmować. — Upuściła na podłogę kłęb mokrych poszewek i wzięła się za materac. — Czuję się jak idiotka. Ale nie mogę przecież prosić o...

— Nie ma problemu. — Uniosłam rękę. — Nie ma powodu, żebym o tym wspominała.

— Ale...

— Nic nie powiem. Nie zmusi mnie pani do tego.

Zaśmiała się nerwowo.

— Właściwie przyszedłam tu tylko po czytnik — Zauważyłam go na szafce i wskazałam ręką.

Wolontariuszka podała mi go z wyraźną ulgą. Na tabliczce przypiętej do piersi widniał napis: „Lily R.”.

— Dziękuję. Od czego to R?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

— Lily R. — Wskazałam na identyfikator. — R to od czego?

— Romano — przewróciła oczami. — Chce to pani zgłosić? Wiem, jestem straszną łamagą.

— Nie, nic podobnego.

Wracając do mamy, czułam się trochę winna, że zostawiłam Lily R-od-Romano, żeby sama zmieniała pościel. Potem mama poprosiła, żebym jej poczytała, a wtedy o wszystkim zapomniałam. Pewnie by tak zostało, gdybym później nie znalazła białej tabletki wciśniętej w podeszwę mojego bardzo drogiego sportowego buta. Nosilałam je, bo były wygodne. Poza tym były dostępne w jaskrawych, wesołych barwach, które ostatnio bardzo polubiłam. I... cóż, jeśli kiedykolwiek postanowiłabym wziąć udział w maratonie, to przynajmniej byłam to gotowa.

Udział w maratonie był prawdopodobnie ostatnią rzeczą — zaraz po Lily R. — o jakiej myślałam, gdy poczułam, że coś ugrzęzło mi w podeszwie. Przystanąłam przy drzwiach do kuchni i zdjęłam buty, żeby nie podrapać kafelków. Wyjęłam z szuflady szpikulec do lodu, wydłubałam mały kamyczek i wyrzuciłam za drzwi. Sprawdziłam też drugi but, na wszelki wypadek. Tabletką była mniej więcej rozmiarów kamyczka, ale wbiła się głębiej. Może to dlatego jeszcze była cała. Nie miałam pojęcia, dlaczego wyjmuję ją tak ostrożnie. Przecież nie mogłam tego oddać Lily Romano, mówiąc: „Hej, koleżanko, znalazłam to w podeszwie swojego buta, pomyślałam, że ci to zwrócę”. I kto teraz jest „trochę głupi”?

Włożyłam tabletkę do pustego pudełka na pierścionej stojącego na szafce. Mama zawsze powtarzała, że nie należy niczego marnować. Jeśli kiedyś dopadnie mnie klastrowy ból głowy, to będę zadowolona, że ją zachowałam.

* * *

Tydzień później Jill Franklyn zadzwoniła do mnie w środku popołudnia, przepaszając tak gorliwie, że z początku nie wiedziałam w ogóle, o co chodzi. Ale później wspomniała coś o tym, że niektórzy ludzie bardzo reagują na śmierć, zwłaszcza na pierwszą, jaką widzieli.

— Pierwsza śmierć? — przerwałam. — Mówi pani o mojej mamie?

— Och nie, pani mama czuje się świetnie — powiedziała szybko. — Chodzi o pani siostrę...

— Moja siostra? — Poczułam się, jakby brzuch wypełniała mi lodowata woda. — Coś się stało Glorii?

— Nie, nie, wszystko z nią w porządku. To znaczy, nie do końca w porządku, ale...

— Czy moja siostra żyje?

— Oczywiście, że żyje! — W jej przeproszającym tonie zabrzmiało zdumienie. — Ale... musi pani przyjechać i zabrać ją do domu. Naprawdę nie powinna teraz prowadzić.

Powiedziałam, że już jadę i odłożyłam słuchawkę, nie mówiąc, że to potrwa trochę dłużej, niż obie byśmy chciały, bo musiałam wziąć taksówkę. Nie mieszkałam wprawdzie w żadnej głuszy ani na najdalszym przedmieściu, ale mimo wszystko nie był to Manhattan. Dotarłam na miejsce w pół godziny.

Jill Franklyn czekała na mnie przy recepcji, trochę rozgorączkowana.

— Tak się cieszę, że już pani jest — powiedziała z uśmiechem, ale w jej głosie usłyszałam naganę. Recepcjonistka udawała, że wcale nie podsłuchuje.

— Przepraszam, musiałam wziąć taksówkę — odparłam, próbując przybrać przeproszający wyraz twarzy. — Nie jestem pewna, co się w ogóle stało. Mówiła pani, że z mamą wszystko w porządku.

— Tak, w porządku. — Jill Franklyn przytaknęła energicznie, popychając mnie przed sobą, poprzez zewnętrzne drzwi, korytarzem, w stronę pokoju mamy. — Gloria jest teraz przy niej.

Znalazłam je na łóżku mamy. Mama obejmowała ramieniem moją siostrę, która najwyraźniej płakała. Była tam też Lily Romano, zatroskana i niespokojna. Wyszła, gdy tylko przestąpiłam próg, kiwając mi głową w milczeniu. Zmarszczyłam brwi. Wołałabym, żeby została, ale nie mogłam znaleźć żadnego dobrego powodu.

— Co cię zatrzymało? — spytała niecierpliwie mama.

— Mamy na spółkę tylko jeden samochód — wyjaśniłam. — Gloria nim tu przyjechała. Co się stało, Glosiu?

Spojrzała na mnie i myślałam, że mnie zwymyśla za to, że użyłam publicznie jej przezwiska z dzieciństwa. A potem zerwała się, rzuciła mi się na szyję i zasłochała.

* * *

Gdy dotarłyśmy do samochodu, zdążyła się trochę uspokoić i aż do końca jazdy była cicho. Zaczynała się godzina szczytu i bardzo nie chciałam nawigować w korku, słuchając rozpaczliwego szlochania. Kilkanaście lat temu to właśnie konieczność stania w korkach skłoniła mnie do tego, by opuścić miejscowe biuro podatkowe i założyć własną działalność.

Dotarłyśmy do domu żywe. Zamiast ucałować ziemię w podzięce, wstawiłam pizzę do piecyka i dołączyłam do Glorii w salonie. Znalazłam ją wciśniętą w łóżko kanapy, z kolanami przyciągniętymi do piersi, jakby chciała się zrobić jak najmniejsza. Już miałam zażartować, że nie ma się czego bać, bo to tylko kanapa, a nie kolejka górską, ale przynajmniej raz w życiu zastanowiłam się przed otwarciem ust.

— Nie wiem, co się stało — powiedziałam tylko. — Jill Franklyn nic mi nie wyjaśniła.

Uznałam, że lepiej będzie odwiedzić cię do domu, zamiast wypytywać o wszystko na miejscu.

Rzuciła mi szybkie spojrzenie, ale żadna z nas się nie odezwała. Poczekałam jeszcze chwilę, a potem weszłam do kuchni, by zobaczyć, czy pizza już gotowa. Wyjmowałam ją z pieca, gdy Gloria powiedziała:

— Nie zdołałam jej uratować.

Odwrociłam się i zobaczyłam, że gdy mnie nie było, usiadła do stołu. Wzięłam dwa talerze z szafki, przecięłam pizzę na osiem kawałków i postawiłam na podgrzewaczu. Usiadłam po prawej stronie Glorii.

— Dali mi kawę z sześcioma kostkami cukru — dodała. Zmarszczyła brwi, patrząc w talerz, jakby widziała tam coś innego niż niebiesko-biały wzorek. Wychowałyśmy się na tej zastawie, w ciągu trzydziestu lat stłuły się najwyżej dwa. — Powiedzieli, że to dobre na szok. Nie wiedziałam, że jestem w szoku, ale chyba byłam. — Uniosła głowę. — Nigdy, nigdy w życiu nie wyobrażałam sobie, jak by to było reanimować kogoś i widzieć, że to nie... — Przełknęła ślinę. — Nie działa.

— Tak mi przykro. — Objęłam ją ramionami. Dopiero po chwili poczułam, że powoli odzwajemnia uścisk — Nawet sobie nie wyobrażam, co to za uczucie.

— Nie tak powinno być. Pani Boudreau powinna teraz grać w brydża z synem i koleżankami. Oglądać film. Wstać jutro na śniadanie, a potem... mieć przed sobą jeszcze parę lat. Jak pan Santos i inni.

Ostatnie słowa jakoś dziwnie zapadły mi w pamięć, ale teraz akurat gorączkowo próbowałam sobie przypomnieć tę zmarłą kobietę.

— Przykro mi, ale chyba jej sobie nie przypominam. Kim była ta pani Boudreau?

Moja siostra pokiwała smutno głową.

— Przyjęli ją dopiero kilka tygodni temu. Możliwe, że nigdy jej nie widziałas. — Odetchnęła z drżeniem. — Obiecałam jej synowi, że się nią zaopiekuję. Obiecałam to jej. A potem jej syn patrzył, jak złamałam tę obietnicę.

— Jesteś dobrym człowiekiem, kochanie. — Moje myśli przesypywały się jak puzzle, próbując się w coś poskładać. — Opiekowałeś się, jak umiałeś najlepiej. Ale nieważne, jak bardzo się starasz, nie zapobiegiesz wszystkiemu. Resuscytacja to nie jest panaceum na śmierć.

Poczułam się głupio, gdy tylko skończyłam mówić. Gloria zmarszczyła brwi i myślałam, że znów mnie obsobaczy za głupie żarty. Ale powiedziała tylko:

— Nie rozumiesz. Pani Boudreau naprawdę nie powinna była umrzeć. Nie była tam nawet na stałe, tylko do końca miesiąca. Miała zamieszkać z synem i jego rodziną — dodała, widząc mój pytający wzrok — Wybudowali dla niej osobny pokój. Jeszcze go nie skończyli. I teraz mają dodatkowe pomieszczenie i żadnego lokatora.

Już miałam powiedzieć, że w normalnym rodzinnym domu żadne pomieszczenie nigdy nie pozostaje nieużywane zbyt długo, ale ugryzłam się z język Gloria dorastała w zdecydowanie niezatoczonym domu i miała inne doświadczenia, a zresztą nie miało to znaczenia.

Kawałek po kawałku wyciągnęłam z niej całą historię. Przypominało to sytuację z panem Santosem, tylko że z inną obsadą i nieszczęśliwym zakończeniem, którego nie zmieniłby nawet przenośny defibrylator.

— To jedna z ostatnich desek ratunku — powiedziała Gloria, biorąc się za kawałek pizzy. Uznałam, że to dobry znak — Za łatwo tam coś zepsuć, nawet jeśli ktoś ma odpowiednie szkolenie. Ja przesłam szkolenie, ale nigdy tego nie robiłam. — Przekrzywiła głowę. — Jezu, jak to zabrzmiało. Przesłam szkolenie, ale nigdy tego nie zrobiłam. Tak jakby to było coś runowego. Póki nie zaczęłam tego wolontariatu, nigdy nie przeprowadzałam resuscytacji. Ani razu.

Zastanawiałam się, co powiedzieć, gdy Gloria upuściła kawałek pizzy i przycisnęła rękę do ust.

— I nie sądziłam, że ktoś tam naprawdę może umrzeć. Pan Santos i jego córka nazwali mnie bohaterką. Pielęgniarka wypisała mi pochwałę. Zostałam wybrana Wolontariuszem Miesiąca. Nie pomyślałam, co się stanie, jak ktoś umrze, bo nikt nigdy nie umierał. Ani przez chwilę nie sądziłam, że pani Boudreau może umrzeć. Czekałam tylko, kiedy pielęgniarka powie, że już wy czuwa puls.

Zmarszczyłam brwi. Czy Gloria przeprowadzała resuscytację na kimś oprócz zmarłej i pana Santosa?

— Gloria, ile razy właściwie...

Nie usłyszała.

— Przytknęli jej defibrylator i czekałam, aż ktoś powie, że wszystko w porządku. — Znów uniosła rękę. — Nawet teraz cały czas czekam, jakbym spodziewała się, że Jill zadzwoni i powie, że w szpitalu przeprowadzili ostatnią próbę i w końcu zreanimowali panią Boudreau.

A ja czekałam, aż moja siostra znów wybuchnie płaczem i zwymiotuje na stół. A jednak zjadła swój kawałek pizzy i sięgnęła po kolejny. Dobrze, że trochę wróciła do siebie. Za to ja straciłam apetyt.

* * *

Główna pielęgniarka, która zadzwoniła następnego ranka, by sprawdzić, co u Glorii, pracowała w zakładzie od niedawna. Celeste Akintola mówiła przyjaznym, ale rzeczowym głosem, charakteryzującym wszystkie pielęgniarki powyżej pewnego poziomu doświadczenia. Jill Franklyn go nie miała i wyglądało na to, że nigdy go nie osiągnie. Skupiłam się na swoim zadaniu: dowiedzieć się, jak często Gloria musiała używać swoich genialnych technik resuscytacyjnych, ale nie wzbudzać podejrzeń.

Celeste Akintola przyjaźnie, ale rzeczowo zasłoniła się tajemnicą lekarską, dodając, że wszyscy pracownicy, łącznie z wolontariuszami, muszą szanować prywatność rezydentów. Podałam się, przekazałam słuchawkę Glorii i stałam obok, podsłuchując. Po odłożeniu słuchawki siostra przyznała się, że kazano jej wziąć dwa tygodnie wolnego, zanim w ogóle pomyśli o powrocie do pracy. Nawet wtedy będzie musiała zacząć od trzech dni w tygodniu. Najwyraźniej nie miała nic przeciwko, co przyjąłam z ulgą. Było to trochę zaskakujące... a może nie. Była wyciszona, jakby zamyślona.

Jeśli mam być szczerą, musiałam przyznać, że sama miałam trochę do przemyślenia. Rzeczywiście powinnam zacząć traktować Głorię poważniej. Byłam starszą i podobno mądrzejszą siostrą, ale nigdy nie uratowałam nikomu życia ani nie widziałam ludzkiej śmierci. Gloria uratowała jedną osobę, a potem patrzyła, jak druga umiera jej na rękach i to w odstępie zaledwie kilku tygodni. Życie i śmierć... trudno o rzeczy poważniejsze.

Chciałam jej to powiedzieć, ale nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać. Wszystkò, co mówiłam, brzmiało banalnie albo pokrętnie. Gloria, dla odmiany, odkryła w sobie nowe pokłady elokwencji. A może były nowe tylko dla mnie.

— Bałam się tego, co powiesz — powiedziała później. — Tak dobrze sobie radziłam, wiesz? Wszyscy mnie potrzebowali. Mnie, konkretnie mnie. A potem doszło do czegoś takiego. Tak bardzo cię potrzebowałam, chciałam, żebyś była moją mamą numer dwa, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że to wstyd być taką słabeuszką w wieku trzydziestu ośmiu lat. A potem ty przysłaś i... — wzruszyła ramionami. — Obchodziło cię tylko to, co się ze mną dzieje. Wtedy zrozumiałam, że jest tylko jedna osoba, która zawsze zjawi się, żeby mnie wesprzeć, nieważne, jak będę słaba. Nie zgrywałeś mądrali, nie zachowywałeś się tak, jakby to wszystko było jednym wielkim żartem. — Przerwała. — Chociaż przyznam, że to „panaceum na śmierć” ci się udało.

— Niektórzy ludzie żartują, by ukryć nerwy.

— Tak, teraz już to wiem. Widzisz? Ja też dorastam.

Miałam nadzieję, że nigdy nie dorośnie aż tak, by zrozumieć, jak całkowicie przerosła tamtego dnia swoją starszą siostrę.

* * *

Kolejne dwa tygodnie były bardzo miłe. Wzięłam sobie trochę wolnego, a Gloria pokazała mi, jak się robi zakupy na pchlim targu, włącznie z lekcją targowania. Przyznałam nawet, że to całkiem zabawne, choć bez niej pewnie nigdy bym tego nie zrobiła. Powiedziała, że właśnie opisałam jej stosunek do oglądania *Czerwonego świtu*.

Odwiedzałam mamę sama i szybko nauczyłam się, że najlepiej przychodzić rano, gdy była przytomniejsza, pogodniejsza i bardziej przypominała siebie z dawnych czasów. Po południu

opuszczała ją energia i trudniej było jej się skupić, niezależnie od tego, czy zdrzemnęła się po lunchu, czy też nie. Jill Franklyn powiedziała, że określa się to mianem „niepokoju o zachodzie słońca”. Jej współczujący wyraz twarzy nie był nieszczerzy, ale widziałam w nim coś profesjonalnego, niemal wyćwiczonego. Może odbyła specjalne szkolenie, gdzie uczono, jak rozmawiać z rodzinami pacjentów.

A może — pomyślałam z nagłym zawstydzeniem — to wszystko kwestia powtarzalności. Jak często musiała tłumaczyć podobne rzeczy zaniepokojonym krewnym? Naprawdę powinnam zacząć doceniać ludzkie starania. Inaczej zacznę wrzeszczeć: „Złaźcie z mojego trawnika!” na wszystkich poniżej sześćdziesiątki.

Po dwutygodniowej przerwie Gloria była już gotowa na powrót do pracy — a raczej „pracy”. Uznałam, że dobrze jej to robi, choć miałam ochotę rzucić parę aluzji na temat zarabiania pieniędzy. Potem pomyślałam o mamie. Obecność Glorii pewnie dobrze na nią wpłynie, nawet jeśli nie będzie tam przychodziła tak często jak kiedyś.

Jednak po pierwszym tygodniu oznajmiła mi, że zamierza przychodzić tam codziennie.

— Akintola powiedziała, że mogę odbywać wolontariat trzy razy w tygodniu — przypomniała. — Niech będzie. Przez resztę dni będę po prostu odwiedzać mamę. — Uśmiechnęła się, jakby właśnie rozciąła węzeł gordyjski tępymi nożyczkami.

— Nie próbuję tu zgrywać mądrali — odparłam — ale jestem przekonana, że naruszasz ducha, nawet jeśli nie literę tego zakazu.

— Jeśli nie chcą, bym pracowała, to nie będę pracować — upierała się Gloria. — Przez cztery dni będę po prostu siedziała jak dama.

— Może nie powinnaś aż przez siedem dni...

Gloria prychnęła niecierpliwie.

— Widziałas, co się ostatnio dzieje z mamą?

Serce mi się ścisnęło.

— Wiem, co masz...

— Zawsze odwiedzasz ją rano, prawda? Kto ci powiedział o tym „niepokoju”? Jill, prawda? — Próbowałam coś powiedzieć, ale mnie zagłuszyła. — To taki kod. Z upływem dnia mamie robi się coraz gorzej. Używają określenie „niepokój o zachodzie słońca”, bo wywołuje to pozytywny obraz — ładny zachód słońca po miłym dniu. Tak jakby rano było dobrze. Ale to nieprawda. Rano jest lepiej, ale to nie znaczy, że dobrze.

Wpatrywałam się w nią oszołomiona, w końcu powiedziałam pierwsze, co przyszło mi do głowy:

— Myślałam, że dziś nie pracujesz.

Zmarszczyła brwi.

— Nie pracuję.

— A zatem co się stanie, jeśli pan Santos będzie miał kolejny zawał serca, albo ktoś inny dostanie zakrzepicy? Będziesz się trzymać z dala i pozwolisz to rozwiązać zawodowcom?

— Oszałałaś? Myślisz, że pozwolę komuś umrzeć tylko dlatego, że mam akurat wolne?

— Nie, tylko w przypadku, gdyby miał zakaz resuscytacji. Tak jak mama.

Była tak załamana, że miałam ochotę odgryźć sobie język

— Jeśli nie masz pewności, to zakładasz, że pacjent chce żyć — odparła sztywno i przysięgłaby mi, że próbuje naśladować rzeczowy głos Celeste Akintoli.

— A jeśli masz pewność?

Nie odpowiedziała.

— Wiesz, że możesz mieć kłopoty za nieuzasadnione przeprowadzanie resuscytacji? Nie tylko ty, ale i lekarze i pielęgniarki, i wszyscy, którzy tam pracują, nawet inni wolontariusze. — Nie byłam pewna, czy mówię prawdę, ale na pewno nie było to kompletne kłamstwo. — Mogą cię nawet aresztować za napaść, a rodzina zapewne nie poczeka nawet, aż wyjdiesz, zanim pozwa cię do sądu.

Gloria chyba jeszcze nigdy nie uniosła brwi tak wysoko.

— Wiem, że masz *Prawo i porządek* na DVD, ale to jednak nie to samo, co dyplom z prawa.

Robię to, co uważam za słuszne.

— Pytam tylko, co byś zrobiła, gdybyś miała pewność?

— Jak mama? — powtórzyła, prawie wypluwając te słowa. — Nie patyczkuj się i powiedz to wprost: mama. Co jest? Nie potrafisz powiedzieć, o co ci tak naprawdę chodzi? Zbyt okrutne? A może boisz się, że mama mnie pozwie? Zzna przeciwko mnie na policji? Jedno i drugie? — Zaśmiała się krótko. — Czy prosiłam cię może o pieniądze na kaucję? Ostatnio? — dodała szybko. — Nie, nie prosiłam. Koniec tematu.

— A zatem... jak to wyglądało? Zawsze odgadywałaś właściwie? — Zmarszczyła brwi. — Ile razy właściwie przeprowadzałaś resuscytację?

— Wliczając pana Santosa i panią Boudreau? Pięć razy.

Opadła mi szczęka.

— Czemu nic nie powiedziałaś?

— Byłam na ciebie zła?

— A zatem dlaczego mama... nie, nieważne. Czemu nikt mi nie powiedział?

— Może uznali, że wiesz — wzruszyła ramionami. — W końcu powtarzali, że jestem bohaterką.

Miałam ochotę walnąć głową w biurko.

— Nie sądzisz, że coś bym powiedziała, gdybym dowiedziała się czegoś takiego?

— Byłam na ciebie zła. Pamiętasz?

— Tak, pamiętasz też dlaczego. Spytałam, dlaczego sądzisz, że w tym zakładzie dzieje się coś złego. — Spojrzałam na nią z ukosa. — Zmieniłaś zdanie na ten temat?

Gloria przestąpiła z nogi na nogę i sapnęła.

— Musisz z tego robić takie wielkie halo?

— Hej, to przecież był twój pomysł! — zawołałam za nią.

* * *

Gloria może i zmieniła zdanie, ale ja na pewno, choć nie od razu zdałam sobie z tego sprawę. Przyszło to do mnie stopniowo, jakby w zwolnionym tempie. Zwiększyłam częstotliwość wizyt — z trzech tygodniowo do codziennych. Sądziłam, że to świadomość ulotności życia — zwłaszcza życia mojej matki — uwypuklona przez opowieść Glorii o jej resuscytacjach. Nie — poprawiałam się. Świadomość tego, ile razy przeprowadzała resuscytację. Traktowanie jej poważnie oznaczało, że muszę przestać żartować z życia i śmierci.

Mogłam nawet przyznać, że chętnie porozmawiałabym o tym z siostrą. Prawdopodobnie dziwiła się, czemu tak drastycznie zmieniłam harmonogram wizyt. Czeakałam na pytania, ale nie próbowałam ich zadać ani podczas wizyt, ani w domu, gdzie pracowałam czasem nawet w godzinach wieczornych, które kiedyś spędzałyśmy razem.

Po tygodniu nie mogłam już tego wytrzymać i zadzwoniłam do jednego z podwykonawców. Gloria uniosła brwi — nie była przecież pierwsza połowa kwietnia — ale znów nic nie powiedziała.

— Przyjedziesz po mnie czy mam wrócić z Lily? — spytała, gdy zaparkowałam na miejscu dla gości.

Westchnęłam męczeńsko.

— Próbujesz mnie oczarzyć?

— A co to znaczy? — Gloria była naprawdę zdziwiona.

— Chyba nie oglądasz starych filmów. Próbujesz mnie doprowadzić do szaleństwa.

— A czemu tak myślisz? — spytała grzecznie. Chyba zorientowała się, jak bardzo mam ochotę ją zrzepnąć, bo dodała: — No, poważnie. Przecież to ty się tak dziwnie zachowujesz. Pracujesz w nocy, żeby przyjeżdżać tu codziennie...

— A ty nigdy nie spytałaś dlaczego. Nie jesteś ciekawa?

— No tak — przyznała, jakby nigdy nie słyszała głębszego pytania. — Ale uznałam, że to strata czasu. Ty mi nigdy nic nie mówisz.

Twarz znów mnie zapiekła.

— No co? — spytała zniecierpliwiona. — To prawda!

Poddałam się.

— No dobrze, przyznam, że martwię się o mamę. Kiedy dowiedziałam się, ile razy przeprowadzałaś resuscytację.... Trochę spanikowałam.

— Doprawdy? — Gloria uniosła brew, tym razem sceptycznie. — Kiedy? Jak już rozważyłaś konsekwencje prawne zreanimowania mamy?

— Nigdy nie przeprowadzałam takiego zabiegu... nawet nie wiem jak. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że mama mogłaby... no wiesz. Umrzeć. — Ledwie zdołałam wymówić to słowo.

Siostra odetchnęła głęboko, wpatrując się przez szybę, nie patrząc na nic konkretnego.

— Jeśli cię to uspokoi, to mama raczej nie dostanie teraz zakrzepicy. Jej serce jest w bardzo dobrym stanie. Szczerze mówiąc, bardziej martwię się omdleniem. Czasem miewa zawroty głowy. Na szczęście już nie broni się tak bardzo przed korzystaniem z wózka. Ale jeśli chcesz tu przychodzić codziennie, to przecież ci nie zabronię — dodała z niespodziewanym uśmiechem. — To chyba naprawdę pomaga jej zachować jasność umysłu.

— A ten niepokój o zachodzie słońca?

— O to mi właśnie chodzi. W niektóre dni prawie go nie widać.

— Nowe leki?

— Nie, to samo co zwykle, ta sama dawka. Niektórzy rezydenci biorą znacznie więcej, a czują się znacznie gorzej.

— Może to dzięki temu, że mama więcej teraz je?

Gloria wzruszyła ramionami.

— To pewnie też nie wadzi. Co teraz zrobimy? Wejdziemy czy będziesz tu siedzieć i, jak to mówi mama, kiedy myśli, że nikt nie słyszy, zamartwiać się do usranej śmierci?

Miała rację, mama rzeczywiście była w lepszym stanie. Jednak doktor Li ostrzegał mnie, że to się zdarza — okresy zwiększonej jasności umysłu, gdy pacjenci nagle jakby otrząsają się z mgły, w której wcześniej błędzili. Twierdził, że nie są to oznaki poprawy, tylko normalne cechy tej chaotycznej choroby — jedno ze szczególnych okrucieństw demencji.

Ale mama wciąż zdawała się rozumować jasno. Znów namawiała mnie na wyjazd i denerwowała się, gdy odmawiałam. Czasem wpadała w taką złość, że musiałam odejść, żeby mogła się uspokoić.

— Chce pani znać prawdę? — spytała mnie kiedyś Lily Romano. — Trochę ją to niepokoi, że pani tak tu ciągle przychodzi. Myśli, że może umiera, a lekarze nic jej nie mówią.

— Naprawdę? — Byłam w szoku. — Nigdy bym na to nie wpadła. Gloria nic mi nie mówiła.

Lily Romano wzruszyła ramionami.

— Pewnie o tym nie wie. Pacjenci często nie mówią swoim rodzinom wszystkiego. Czasem

łatwiej jest im się zwierzyć komuś, z kim nie są tak blisko, zwłaszcza gdy ...

— Gdy ...? — przypomniałam po chwili.

Skrzywiła się.

— Zwłaszcza jeśli boją się, że rodzina ich zbędzie. Powiedzą, że to tylko urojenia albo paranoja.

Nie potraktuje ich poważnie — pomyślałam i sama się skrzywiłam..

— To znaczy, że mama się pani zwierza? — Zdawała się tak zakłopotana, że szybko dodałam:

— Proszę nie mówić, to w zasadzie nieważne. Jaktam bóle głowy?

Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną.

— Ach, tak Dobrze. Już od dawna ich nie miałam.

Zastanawiałam się, czy nie wspomnieć o tabletkę w podeszwie, tak dla żartu, ale byliśmy już prawie przy wejściu, a wolontariuszka tłumaczyła, że musi wracać do pracy. Pomyślałam, że powinnam porozmawiać z Głorią o obawach mamy. Ale potem dzień okazał się pracowity. Gloria miała wrócić do domu z inną wolontariuszką, więc zakupy zostały dla mnie. Gdzieś pomiędzy delikatesami i odwiecznym dylematem — torba papierowa czy plastikowa — zmęczenie wymazało mi te notatki z głowy.

Przypomniałam sobie o tym dopiero kilka godzin później, przy komputerze. Moja etyka pracy twierdziła, że to może zacząć, mój wewnętrzny leń stwierdził, że to świetna okazja. Tym razem, dla odmiany, posłuchałam tego drugiego.

Otworzyłam drzwi i odkryłam, że Gloria stoi za nimi z uniesioną ręką, jakby właśnie miała zapukać.

— Przepraszam. Wiem, że nie powinnam ci przeszkadzać....

— W porządku — odparłam. — Skończyłam na dzisiaj. Co tam słychać?

— Mam pewien dylemat — powiedziała. — Potrzebuję rady.

— Ja pójdę po wino, a ty zaklep mi miejsce na kanapie.

— Pewnie uznasz, że to głupie — zaczęła, gdy nalewałam jej kieliszek

— Często to ostatnio słyszę. Nieważne — dodałam, gdy spojrzała na mnie dziwnie. — Po prostu powiedz. Później się zastanowimy, czy to głupie.

Zawahała się, patrząc na mnie niepewnie. Wzięła głęboki oddech.

— Dobrze. Są pewne zasady, które obowiązują wszystkich w Brightside. Wszyscy muszą się stosować albo zostaną zwolnieni. Nawet pielęgniarki. Nawet dozorca. Nawet ogrodnicy.

Przytaknęłam.

— Te zasady są naprawdę rygorystyczne i jeśli zobaczy się choćby najmniejsze naruszenie — skrzywiła się, wymawiając to słowo — należy je zgłosić. A to trochę... — Przewróciła oczami. — Nikt nie chce być donosicielem, prawda? Gdybym zobaczyła, że ktoś krzywdzi

pacjentów, to wrzeszczałabym na całego. Ale...

— Widziałaś coś? — spytałam łagodnie.

Skinęła głową.

— To jedna z tych rzeczy, które mogą ci ująć na sucho, jeśli będziesz ostrożna. Każdy pewnie zrobił to chociaż raz, ale teoretycznie mają obowiązek zwolnić cię od ręki, jeśli to zauważą, nawet jeśli nic się nie stanie.

Potrząsnęła głową.

— Co to za nikczemne praktyki?

— Noszenie przy sobie niedozwolonych leków. — Zmarszczyła brwi. — Chyba ci o tym mówiłam. Nie wolno nam nawet mieć aspiryny w kieszeni.

— Dlaczego nie?

— Bo to stwarza niebezpieczeństwo dla pacjentów.

— Pod warunkiem, że dobiórą się wam do kieszeni — zauważyłam ze śmiechem.

— Ich to nie obchodzi. — Gloria potrząsnęła głową. — Zero tolerancji. Tylko w ten sposób mogą mieć pewność, że rezydenci nie wezmą niczego niewłaściwego. Po prostu nie powinni mieć do niczego dostępu.

— To chyba jeszcze surowsze zasady niż w szpitalu, prawda? — spytałam, głośno myśląc.

— Nie wiem. A poza tym to bez znaczenia. Takie mają zasady i już.

— A zatem widziałaś, jak ktoś... — Urwałam. Już wiedziałam, kto to był.

— Lily Romano — przyznała z ciężkim westchnieniem. — Złapałam ją na gorącym uczynku i to tak, że nawet nie mogłam udawać, że nic nie widziałam. Roznosiła wodę pacjentom.

Uniosłam rękę.

— Byłam przy tym.

— O czym ty mówisz? — spytała niepewnie. Wyglądała, jak znów miała się rozgniewać.

— Złapałam Lily Romano z tabletkami — przyznałam smutno. Szybko streściłam jej przebieg spotkania w pokoju mamy. — Nie pamiętałam wtedy o tej zasadzie dotyczącej leków.

— Prosiła, żebyś nikomu nie mówiła? — upewniła się Gloria.

— Tak, ale nie o tym — odparłam, streszczając resztę.

— To dziwne. Dlaczego bała się, że wspomnisz coś o zmienianiu pościeli, a nie o tabletkach?

Przemyślałam to.

— Bo zorientowała się, że nie mam pojęcia o tej zasadzie i nie chciała ściągać na siebie podejrzeń. Udawała, że jest po prostu zakłopotana swoją niezręcznością. Całkiem sprytne.

— Ale naprawdę zaryzykowała.

Potrząsnęłam głową.

— Przecież nie powiedziałam nawet tobie, prawda?

Gloria znów westchnęła.

— Kazała mi pójść za sobą do jej szafki i patrzeć, jak wkłada tabletki do torby, i cały czas błagała, żebym nic nie mówiła. Obiecała, że już tego więcej nie zrobi. Zrobiło mi się jej żal. Klasterowe bóle głowy są naprawdę straszne.

— Tak mnie też to powiedziała. Ale gdy spytałam ją o to dziś po południu, mówiła mi, że już od dawna ich nie miewa. — Przyniosłam tabletkę z pokoju. — Utkwiła mi w podeszwie — wyjaśniłam, podając ją Glorii. — Te, które widziałaś, wyglądały podobnie?

— Nie widziałam samych tabletek, tylko słoiczek — przyznała, podnosząc pigułkę. — To nie jest tabletką przeciwbólowa. To metylofenidat.

Zmarszczyłam brwi.

— Czy to to samo co metaamfetamina?

— Nie, to związek z którego robi się ritalin. Na ADHD, wiesz? Nie, nie wiesz. Wybacz, że to powiem, Val, ale jesteś za stara. Dorosłaś, zanim ludzie postanowili leczyć dzieci z dzieciństwa.

Połowa moich kolegów w szkole brała ritalin albo adderall czy inne świństwa.

Byłam przerażona.

— Czy mama i tata...

— Och, nie, w życiu! — zaśmiała się Gloria. — Ale sporo uczniów dorabiało sobie do kieszonek, sprzedając swoje leki dzieciakom bez recept. Kupowali to, żeby stracić na wadze albo móc uczyć się całą noc. Słyszałam, że jeden chłopak z szóstej klasy zaopatrywał też kilku nauczycieli. — Zmarszczyła brwi. — Nie chcesz brać takich rzeczy na ból głowy. Głowa sama może od nich rozboleć.

— No dobrze, może powiem teraz coś oczywistego. Lily Romano nie jest już dzieckiem. To po co jej takie leki?

— Może ma ADHD dorosłych?

— W sumie nieważne. Lepiej przejdźmy się do zakładu i pogadajmy z osobą, która ma teraz dyżur.

Gloria złapała mnie za ramię, gdy wstawałam.

— Dobrze, ale co im powiemy?

— Zaczniemy od tego, co wiemy, a potem niech sami się zastanowią.

* * *

Ze zdumieniem odkryłyśmy, że to Jill Franklyn nadzoruje nocną zmianę. Z drugiej strony wydawało się to całkiem logiczne: była niepozorna, ale na tyle kompetentna, że spokojnie można było powierzyć jej opiekę nad pacjentami w nocy. Ona za to była o wiele bardziej zaskoczona naszym widokiem. Słyszyliśmy właśnie głównym korytarzem w części mieszkalnej, w stronę

stanowiska pielęgniarek, gdy drzwi po lewej stronie otworzyły się szybko, ale bardzo cicho i Jill wyszła na zacieniony korytarz. Stała do nas plecami, ale poznałam tę szczupłą sylwetkę przywodzącą na myśl baletnicę. Znieruchomiała tyłem do nas. Wraz z Głorią zatrzymaliśmy się w pół kroku. Potem wzruszyłam ramionami i odkaślnęłam znacząco.

Jill Franklyn odwróciła się na pięcie i włączyła latarkę, na chwilę oślepiając nas obie.

— O Boże! — wykrztusiła piskliwym szeptem. Potem światło zgasło, co wcale nie poprawiło nam widoczności, a Jill ruszyła w naszą stronę. Podeszwy jej butów piszczały na linoleum.

— Co wy tu robicie o tej porze? Jest chyba po północy! Oszałałyście, kobiety?

— Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw? — zaśmiałam się nerwowo, ale Jill uciszyła mnie gestem. Popchnęła nas przed sobą korytarzem, kierując się w stronę stanowiska pielęgniarek. Ale nim tam dotarłyśmy, wepchnęła nas w jakieś drzwi po prawej stronie. Nigdy nie podejrzewałam, że tyle siły może kryć się w tych chudych ramionach baletnicy. Gloria była chyba równie zdumiona, widziałam, jak pociera przedramię.

— Wybaczcie — powiedziała w końcu Jill Franklyn. — Jeśli ktoś was zobaczy, wezwą Akintolę, a wtedy wszyscy będziemy mieć kłopoty. Co wy tu robicie?

Zamrugalam gwałtownie, próbując rozejrzeć się wokół, aż w końcu zorientowałam się, że jesteśmy w gabinecie głównej pielęgniarki. Jill Franklyn usiadła za biurkiem i gestem pokazała, że mamy zająć krzesła po przeciwnej stronie. Gloria i ja wymieniliśmy spojrzenia, siostra skinęła głową, jakby chciała powiedzieć „ty pierwsza”.

Jill Franklyn siedziała wyprostowana w wysokim fotelu, słuchając mnie z nachmurzoną miną, czasem kiwała głową, ale w ogóle się nie odzywała. Skończyłam i odwróciłam się do Głorii, która najwyraźniej czekała na jakąś odpowiedź, ale pielęgniarka pozostała całkowicie milcząca i nawet nie spojrzała na moją siostrę.

W końcu Gloria zaczęła mówić — cichym, niepewnym głosem, od czasu do czasu zerkając na mnie. Za każdym razem robiłam drobny gest, jakby zachęcając „mów dalej”. Może rzeczywiście bała się opinii kapusia. Tyle że to nie było zwykłe donosicielstwo. Lily Romano naprawdę nosiła przy sobie więcej leków, niż potrzebowała. Dużo, dużo więcej.

Gdy skończyła, pochyliłam się na krzesło i spytałam:

— Co by się stało, gdyby ktoś podał ten preparat któremuś z pacjentów?

Jill Franklyn w końcu uniosła wzrok i spojrzała mi w oczy.

— To zależy od pacjenta — powiedziała spokojnie i rzeczowo, jakbyśmy rozmawiały o zawartości kofeiny w filiżance kawy. — I od dawki. I, oczywiście, od tego, jakie jeszcze leki przyjmował w danej chwili pacjent. Na przykład ktoś przyjmujący wazopresynę mógłby stać się mniej otepiały. W dużej mierze zależy to od dawki. Należałoby pewnie podać od dwudziestu do trzydziestu miligramów. Ale pacjenci z demencją reagują na to najlepiej. Mam tu na myśli

pacjentów we wczesnym stadium. Dekstroamfetamina działa znacznie lepiej niż metylofenidat, ale trzeba sobie radzić z tym, co się ma. Nie podejrzewam, żeby któraś z was miała dostęp do dekstroamfetaminy?

Gloria i ja spojrzaliśmy po sobie.

— Czy pani w ogóle słyszała, co mówiłyśmy?

Jill Franklyn zmarszczyła nos, zdęgotowana.

— Tak, Lily Romano jest spalona. I ja też, prawda? — Pochyliła się, opierając się łokciami o biurko. — A może zamiast bawić się w harcerki, wspomóżecie rozwój medycyny i poprawicie los pacjentów z demencją na całym świecie?

— Jak? — spytałam, zastanawiając się, dlaczego jej wzrok nie jest szalony.

— Wracając do domu i odsypiając dzisiaj ciężki dzień, a gdy się jutro spotkamy, wszystko będzie po staremu. Ty — wskazała na Glorię — możesz pracować, kiedy tylko chcesz. Przekonam Akintolę, żeby to podpisała. Nie widzę powodu, dlaczego miałyby odmówić, w końcu uratowałaś cztery z pięciu osób. Chyba miło było zostać bohaterką, prawda? Trochę żal pani Boudreau, ale to się zdarza — czasem nie udaje się ich zreanimować, nieważne, jak zdrowo wyglądają. A ty... — wskazała na mnie. — Nie pamiętam, czym się zajmujesz, ale twoja matka ciągle powtarza, że powinnaś wyjechać na wakacje. A zatem wyjeżdż. Podczas twojej nieobecności nie powinno jej się wiele pogorszyć. Może nawet ani trochę.

— Ile osób jest w to zamieszanych? — spytałam z niedowierzaniem.

Jill Franklyn spojrzała w sufit.

— Trudno ocenić. Tutaj jestem tylko ja i Lily.

— Chce pani powiedzieć, że to... jakiś spisek? — wykrztusiła Gloria. Ostatnie słowo zabrzmiało jak skrzek

— Jaki spisek? — Jill Franklyn spojrzała na nas, jakbyśmy zwariowały. — Wy chyba korzystacie z Internetu. Czy to znaczy, że należycie do jakiegoś spisku? — Przez chwilę wodziła wzrokiem od jednej z nas do drugiej, po czym wstała. — Wy, harcerki, jak większość kobiet w średnim wieku prawdopodobnie nie macie najlepszej kondycji. Wiem, że nie wyglądam imponująco, ale jestem umięśniona. Potrafię unieść prawie każdego z naszych pacjentów bez pomocy. Albo obezwładnić ich, gdy dostaną ataku. A teraz po prostu zwinę swój namiot, a wy możecie sobie dzwonić po...

Nawet nie zauważyłam, kiedy Gloria zerwała się z miejsca. Jill Franklyn otwierała właśnie drzwi, a ja tylko poczułam, jak coś koło mnie przemyka. Zdjęcie dzieci Celeste Akintoli zsunęło się z biurka i spadło mi na kolana. Ledwie zauważyłam, że Gloria siedzi przykucnięta na biurku, nim skoczyła naprzód i wylądowała na Jill Franklyn i obie wypadły na korytarz przez otwarte drzwi.

W następnej chwili zapanował chaos. Jill Franklyn leżała na brzuchu, krzycząc z oburzeniem i wzywając pomocy, podczas gdy Gloria siedziała jej na plecach, odciągając rękę w tył tak, by ją unieruchomić, ale nie złamać. Stałam w drzwiach, mrugając z niedowierzaniem.

— Dzwonię po policję! — zawołała jakaś kobieta, prawdopodobnie Deirdre, od strony stanowiska pielęgniarek

— Powiedz, że mają się pospieszyć! — zawołała w odpowiedzi Gloria. — Nie ma tu ochrony?

— Cięcie kosztów — stęknęła Jill. — Widzicie, jak bezpieczna jest wasza matka? Żadnych strażników na terenie...

— Zamknij się — poleciła Gloria i lekko wykręciła jej rękę. — Pokażę ci, kto jest w średnim wieku, suko.

Bardzo chciałabym, powiedzieć, że Gloria przytrzymała Jill Franklyn do czasu, póki nie przybyła policja, a po wysłuchaniu naszych zeznań natychmiast wysłali radiowóz po Lily Romano, że postawiono im zarzuty i skazano na długie więzienie i tak dalej. Ale Deirdre — tak to była Deirdre — zobaczyła, że moja siostra zaatakowała pielęgniarkę i zareagowała instynktownie. Była wprawdzie niemal w moim wieku, ale jej pielęgniarskie mięśnie były bardziej wyćwiczone. Próbowалаm jej zastąpić drogę, ale przewróciła mnie bez trudu. Może wciąż miałabym szansę, ale tymczasem obudziłyśmy wszystkich mieszkańców, którzy wyszli, by zobaczyć, co się dzieje.

I nie byli to po prostu zaspani ludzie — była to duża grupa starszych, bardzo zaspanych ludzi, którzy nie za dobrze widzieli i słyszeli, i szybko zaczęli wpadać na siebie nawzajem, na Głorię i Jill, i krzyczeć z bólu albo paniki, albo jednego i drugiego. W całym tym zamieszaniu Jill Franklyn zdołała uciec na kilka minut przed nadejściem policji.

* * *

Nie wsadzono nas do więzienia, ale niewiele brakowało. Na szczęście Celeste Akintola nam uwiaryła.

Nie było zbyt wielu dowodów — ludzkie ciało bardzo szybko pozbywa się metylofenidatu. Celeste Akintola użyła chyba słowa „metabolizuje”. Nim zleciła lekarzowi wykonanie badań krwi, było już za późno. Przekazałam policji pigułkę Lily Romano, ale nie potrafiłam dowieść, że należała do niej, a gdy powiedziałam policjantce, jak ją znalazłam, ona tylko potrząsnęła głową. Nie trzeba chyba dodawać, że Lily i Jill zniknęły. Celeste Akintola podała się do dymisji.

Musiałam zaciągnąć drugi kredyt hipoteczny, żeby pokryć nasze wydatki związane z kwestiami prawnymi, a jednak wciąż miałam opory, by powiedzieć Głorii, że powinna znaleźć sobie pracę. Sama zaczęła jej szukać, co objawiało się tym, że umieściła swoje nieco upiększone CV na kilku stronach z ogłoszeniami o pracy i sprawdzała pocztę przed wizytą u mamy. Nie było już

wolontariatów, ale nadal odwiedzała ją codziennie.

Co ciekawe, firma, do której należał dom opieki, postanowiła nieco zmniejszyć mój rachunek za szkody. Ich dział prawny najwyraźniej uznał, że mimo braku konkretnych dowodów zniknięcie obu podejrzanych może wystarczyć, by obronić nasze stanowisko w sądzie. Radośnie podpisałam wszystkie zobowiązania, w tym klauzulę o poufności i zrzeczenie się wszelkiej odpowiedzialności (z ich strony, oczywiście). Mając na głowie drugą hipotekę, odczuwałam pewien brak płynności finansowej.

Zmiany w zachowaniu mamy były wyraźne, choć nie tak drastyczne, jak się spodziewałam. Skarżyła się, że ma za mało energii i że wszystko robi tak powoli. Część pozostałych mieszkańców zdradzała podobne objawy, w tym ludzie, o których wiedziałam, że nie chorują na demencję.

Spytałam Głorię, czy słyszała coś o jakichś nowych „bohaterach” w domu opieki. Ale nie, nie słyszała.

— Ale to nic nie znaczy — dodała. — Zwolnili większość obsługi i wolontariuszy i zastąpili nowymi. Wypadłam z obiegu.

Znalazła jakiś klub fitness, który szukał trenera aerobiku wodnego, ale nadal odwiedzała mamę prawie codziennie. Najwyraźniej aerobik wodny był mniej męczący niż jego lądowy odpowiednik. A może ćwiczenia naprawdę dodawały energii — nie pamiętam, bym kiedykolwiek była tak aktywna, dobiegając czterdziestki.

Upłynęło pół roku, nim zaczęłam się nad tym zastanawiać. Stan zdrowia mamy znów się ustabilizował, ale wciąż było w nim nieco więcej dobrych dni niż złych. A przynajmniej tak mi się wydawało. A wtedy w końcu zaczęłam myśleć o Głorii i jej energicznym stylu życia.

Uznałam, że to głupi pomysł i pewnie dlatego nie wpadłam na niego wcześniej. Ale jakiś głosik w mojej głowie wciąż upierał się, że już kiedyś przyszło mi to do głowy, a ja świadomie to zignorowałam. A zatem pomysł pyrkotał gdzieś na bocznym palniku, aż w końcu zaczęłam bać się każdego cienia.

Przypomniałam sobie, jak Gloria wskoczyła na biurko Celeste Akintoli i stamtąd przez pół pokoju, by wylądować na plecach Jill Franklyn. Na własne oczy zobaczyłam, jak siedzi jej na plecach i trzyma jej rękę w miazdzącym uścisku. Obie pamiętałyśmy, co się stało później. Jak mogłam sądzić, że Gloria przecierpi to wszystko tylko po to, bym ja zawróciła i zrobiła dokładnie to samo? *Nie to samo* — upierał się mój wewnętrzny głos. Jej kompleks Mesjasza ogranicza się tylko do niej i mamy. Nikogo więcej. Nawet ciebie. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Jedyny sposób, by pozbyć się cieni, to zapalić wszystkie światła. Zdołałam tworzyć drzwi do jej pokoju, ale nie byłam w stanie wejść dalej. Nie byłam pewna, czego boję się bardziej, że znajdę tam ritalin albo adderal, czy tego, że nie znajdę. Jeśli tak to wiedziałam, co będę musiała zrobić, tylko nie wiedziałam, czy zdołam.

Ale jeśli tego nie zrobię, to nikt nigdy się nie dowie... oprócz mnie, oczywiście. Uznałam, że wolę żyć w nieświadomości co do mojej siostry, niż zyskać pewność, jeśli chodzi o siebie. Zamknęłam drzwi.

Przez ostatnie półtora roku co noc dzieje się to samo. Na poziomie intelektualnym wiem, że mogę dać sobie spokój, bo nigdy nie zrobię nic innego. Ale na poziomie uczuć nie mam odwagi. Obawiam się tego, co się może stać, jeśli nie wrócę do tego pokoju i świadomie nie postanowię zostać złą, podstępą, niebezpieczną kobietą.

Przetłumaczyła Krystyna Chodorowska

Kłamstwa, które powiedziała mi matka

(LIES MY MOTHER TOLD ME)

Caroline Spector już od dwudziestu pięciu lat jest redaktorką i pisarką pracującą w dziedzinach science fiction, fantasy oraz RPG. Jest autorką trzech powieści: *Scars*, *Little Treasures* i *Worlds Without End*, a jej opowiadania ukazywały się w zbiorach z cyklu *Dziki karty* — *Inside Straight*, *Busted Flush* i *World Without End*. W świecie gier napisała kilka modułów oraz podręczników do niektórych gier wydawanych przez TSR, zwłaszcza *Top Secret/S.I.*, a także *Marvel Superheroes Advanced Roleplaying* — zarówno samodzielnie, jak i na spółkę z mężem, legendarnym twórcą gier Warrenem Spectorem.

Tutaj daje nam opowieść o śmiercionośnej zabawie w kotka i myszkę, rozgrywanej się między kobietą o nadludzkich zdolnościach a enigmatycznym przeciwnikiem bez twarzy, który może być zdolny wykorzystać jej talenty przeciwko niej. Opowiada o grze, której kobieta nie może przegrać, ponieważ na stole leżą najwyższe stawki, czekając na kolejne rozdanie kart.

KŁAMSTWA, KTÓRE POWIEDZIAŁA MI MATKA

Mózgi zombi latały w powietrzu, zostawiając plamy krwi i posoki na podwyższeniu dla tronu, ustawionym na platformie karnawałowej Michelle. Kobieta uśmiechnęła się, gdy w jej dłoni uformowała się kolejna bańka mydlana. Tym razem była cięższa i większa — wielkości piłki do bejsbolu. Michelle wypuściła bańkę, która trafiła zombi w pierś i eksplodowała. Martwiak spadł z platformy i stratował go spanikowany tłum.

Michelle zauważyła, że zbliżają się kolejne zombie. Właziły na platformy przed nią, spychając ludzi na ulicę. Wciąż napływały nowe. Następny wdrapał się na jej platformę, chwytając się markizy z papier mâché. Markiza się urwała i zatrwożona Michelle zauważyła, że napis „Zdumiewająca Bańczarka, zbawczyni Nowego Orleanu” oddala się od niej wzdłuż ulicy. Córka Michelle, Adesina, która schowała się pod jej tronem, wydała z siebie przeraźliwy krzyk. Michelle wypuściła kolejną bańkę, wiedząc, że na pewno trafi ona tam, gdzie ją skierowała. Kiedy uderzy w cel, eksploduje i na dekoracjach pojawiają się wielkie plamy kleistej zombicznej mazi. Jej piękna platforma była zniszczona i to naprawdę wkurzyło Michelle.

W całym Mardi Gras nienawidziła trzech rzeczy: zapachów, hałasów i ludzi. Jeśli dodać do tego atakzombi, chyba na dobre da sobie spokój z uczestnictwem w paradach.

* * *

Żeby się upewnić, że podczas parady będzie mogła wyprodukować tyle baniek, ile będzie potrzeba, przez cały rano skakała z balkonu pokoju hotelowego... aż wreszcie przyszedł kierownik i kazał jej przestać.

— Mam uczestniczyć w paradzie Bachusa — tłumaczyła mu. — Nie będę mogła produkować baniek podczas całej parady, jeśli nie nagromadzę tłuszczu. A to mogę zrobić tylko dzięki urazom. Całemu mnóstwu urazów. Upadek z trzeciego piętra jest dobry, ale nie nadzwyczajny.

W tej właśnie chwili twarz kierownika przybrała interesujący zielony kolor.

— Panno Pond — zaczął. — Wszyscy jesteśmy pani wdzięczni za uratowanie nas przed tym wybuchem jądrowym trzy lata temu, ale zaczyna pani straszyć innych gości. To po prostu nie jest normalne.

Popatrzyła na niego skonsternowana. *Pewnie, że to nie jest normalne* — pomyślała. Gdyby była normalna, Nowy Orlean byłby teraz radioaktywną dziurą w ziemi, a ty czarnym cieniem na jakiejś ścianie. Nie prosiłam o to. Nikt z zarażonych dziłą kartą o to prosił.

— No cóż — odparła, myśląc, że jeśli mu to wytłumaczy, nie będzie taki wystraszony. — Kiedy coś mnie uderza, spadam na ziemię, a nawet wtedy, kiedy wchłonęłam ten wybuch, nie czułam żadnego bólu. Po prostu zamieniam energię w tłuszcz. W gruncie rzeczy, to całkiem przyjemne. — *Czasami aż za przyjemne* — pomyślała. — Nie musi się pan martwić, że cierpię ból.

Mina hotelarza świadczyła jednak wyraźnie, że mężczyzna nie ma najmniejszej ochoty słuchać o jej mocy dzikiej karty. Chciał tylko, żeby przestała. Dlatego dała sobie spokój z wyjaśnieniami.

— Przykro mi, że przestraszyłam innych gości. To już się nie powtórzy.

To oznaczało, że będzie miała mniej tłuszczu, niżby tego chciała, ale jakoś sobie poradzi.

Gdy Michelle zamknęła drzwi po rozmowie z hotelarzem, Adesina nadal oglądała telewizję, przycupnięta na końcu łóżka. Opalizujące skrzydła złożyła na plecach, a brodę wsparła na przednich stopach. Michelle uśmiechnęła się na sam jej widok. Kochała to dziecko, odłład półtora roku temu wyciągnęła je z dołu z trupami w Ludowym Raju Afryki.

Nadal nie potrafiła uwierzyć, że Adesina przeżyła wstrzyknięcie wirusa dzikiej karty, nie wspominając już o ciśnięciu do rowu pełnego martwych i umierających dzieci, kiedy jej dzika karta okazała się dzokerem, nie asem. Potrząsnęła głową, by się w niej przejaśniło. Wspomnienie o ratowaniu dzieci, na których przeprowadzano eksperymenty w obozie w afrykańskiej dżungli, było zbyt świeże i bolesne. Nadal też prześladowała ją świadomość, że nie zdołała uratować wszystkich.

Co więcej, Michelle nie była pewna, jak będzie przebiegał rozwój Adesiny. W tej chwili dziewczynka była mała, wielkości średniego psa. Jej głowa o pięknej, dziecięcej twarzy była osadzona na ciele owada, nie sposób jednak było przewidzieć, czy na stałe zachowa ten kształt. Po wyciągnięciu dzikiej karty przepoczwarzyła się i wyszła z poczwarki w obecnej postaci. Niewykluczone, że zmieni się znowu. Wszystko zależało od tego, w jaki sposób podziałał na nią wirus.

— Co ty oglądasz, do licha? — zapytała Michelle.

— Najseksowniejsze i najbrzydsze dzikie karty — wyjaśniła Adesina. — Jesteś na obu listach. Na jednej, kiedy jesteś szczupła, a na drugiej, kiedy jesteś gruba.

— Jezu — pomyślała Michelle. *Uratowałam całe miasto, a ich opinia o mnie opiera się na tym, czy jestem „gorąca”?* Naprawdę?

— Wiesz co? Te listy są naprawdę głupie — zaczęła Michelle. — Każdemu podoba się co innego.

Adesina wzruszyła ramionami.

— Pewnie tak — odpowiedziała. — Ale ładniej wyglądasz, kiedy jesteś szczupła. Tylko wtedy chcą ci robić zdjęcia.

— Cholera — pomyślała Michelle. *To nie potrwało długo. Jesteśmy w Stanach dopiero od roku, a ona już myśli o tym, kto jest ładniejszy. I kto jest gruby, a kto szczupły.*

— Myślisz, że spodobał mi się kiedyś jakimś chłopakowi? — zapytała Adesina. Odwróciła głowę, spoglądając na Michelle. Minę miała poważną.

— O Boże — pomyślała Michelle. *Za wcześniej na taką rozmowę. Nie jestem na nią gotowa.*

— No cóż — zaczęła, siadając przy Adesinie. Udręczone sprężyny jęknęły pod jej ciężarem. — Hmm... nie... nie wiem. — Rewelacja. Szło jej doprawdy świetnie. — Czemu by nie? Jesteś naprawdę piękna.

— Musisz tak mówić — zauważyła Adesina. — Jesteś moją matką.

Potarła o siebie tyłne nogi, produkując ćwierkający dźwięk.

— No wiesz, nikt nie zakochuje się w kimś tylko z powodu wyglądu — odparła Michelle.

Adesina znowu zwróciła się w stronę telewizora.

— Nie bądź głupia, mamó. Wszyscy kochają ładne dziewczyny.

Michelle poczuła ucisk w gardle. Przełknęła z wysiłkiem ślinę, powstrzymując płacz. Nie sposób było tego zignorować. We wszystkich programach telewizyjnych i czasopismach, na wszystkich billboardach i stronach internetowych można było zobaczyć młodą, półnągą dziewczynę, ładną i chudą, która zachwalała jakiś towar. Jeszcze przed paru laty jedną z tych dziewczyn była Michelle — dopóki nie wyciągnęła swojej karty. A teraz Adesina gryzła się tym syfem. Michelle nie wiedziała, co robić.

Wlepiała wzrok w telewizor. Po przerwie na reklamy pojawiła się seria szybko zmieniających się obrazów. Był tam materiał z różnych sezonów *Amerykańskiego bohatera*. Czarno-białe zdjęcia z lat czterdziestych, gdy wirus dzikiej karty zaatakował po raz pierwszy. Potem fotografie Złotego Chłopca zeznającego przed Komisją ds. Działalności Antyamerykańskiej. Fotki Sokolicy u szczytu jej kariery modelki, gdy wyglądała jak wzorzec dziewczyny z dyskoteki, tylko ze skrzydłami. *Pewnie, że robili jej zdjęcia* — pomyślała Michelle. *Jest śliczna*.

— Chodzą między nami od roku 1946, gdy rzucona przez kosmitów bomba zawierająca wirusa dzikiej karty eksplodowała nad Manhattanem — zabrzmiał głos spikera. — Garstka fartownych asów i odrażająco okaleczeni dżokerzy. Ale co to ma za znaczenie? Jesteśmy tu po to, by wybrać najgorętszych i najpaskudniejszych, w stylu dzikiej karty!

Michelle złapała pilota.

— Dobra, starczy tego — oznajmiła, wyłączając telewizor. — Posłuchaj, kochanie, Ameryka czasami bywa głupim krajem. Wszystkich nas niekiedy zaprzętają kretyństwa takie jak ten show i zapominamy o tym, co naprawdę ważne. A ja w tej chwili kiepsko sobie radzę z rolą matki. Prawda wygląda tak, że świat czasami będzie dla ciebie okrutny, bo jesteś inna. Ale to nie ma nic wspólnego z tobą, kochanie. Po prostu na świecie jest pełno idiotów.

Adesina wpełza na kolana Michelle — takie, jakie miała, gdy była w fazie bańkowania — i umieściła dwie przednie stopy po obu stronach jej twarzy, odpychając na bok długie, srebrne włosy matki.

— Och, mamó — rzekła. — Tyle to już i tak wiedziałam. Czasami po prostu się boję.

Michelle pocałowała córkę w czubek głowy.

— Wiem, kochanie. Ja też.

* * *

Na platformie nie było tak źle. *Otwarty widok w wielu kierunkach* — pomyślała. *To i dobrze, i źle.*

Dobrze, bo zobaczy wszystko, co się zbliża, a źle, bo Adesina będzie narażona na niebezpieczeństwo. Ale jako córka Michelle i tak by tego nie uniknęła.

Na tym odcinku trasy tłum był szczególnie hałaśliwy, być może dlatego, że ludzie mieli więcej czasu, żeby pić. Parada trwała już parę godzin, a teraz zmierzała ku dzielnicy francuskiej.

Platforma Michelle miała srebrno-zielone dekoracje. Podwyższenie z tronem umieszczono z tyłu, nakryte piękną markizą z papier-mâché. Adesina zagarnęła tron dla siebie, Michelle zaś stała na dolnej części platformy, machając ręką, rzucając paciorki i produkując bańki. Uważała, że jej córka wygląda pięknie w jasnolawendowej sukni, nawet jeśli potrzebowała sześciu otworów na kończyny i dwóch dodatkowych na skrzydła. Suknia Michelle miała taki sam kolor, ale uszyto ją ze spandexu. W miarę jak kobieta zamieniała tłuszcz w bańki, suknia kurczyła się razem z nią.

— Bańczarka! — zawołały do niej dwie pijane blondyny. — Hej, Bańczarka! Rzuć nam parę paciorków.

Uniosły topy, odsłaniając jędrne piersi. Michelle to zbytnio nie zaimponowało, ale i tak rzuciła im paciorki.

— Mamo — odezwała się Adesina — dlaczego ciągle to robisz?

— Nie mam pojęcia — odparła Michelle. — Pewnie myślą, że dostaną więcej paciorków.

— To głupie.

Michelle cisnęła kolejną garść paciorków, a potem zaczęła produkować delikatne, miękkie bańki, pozwalając, by płynęły ku tłumowi.

— Skoro tak mówisz. Niestety, to działa. Sama przed chwilą rzuciłam im następne.

Gdzieś przed nimi doszło do zamieszania. Michelle przestała wydzielać bańki i spróbowała zobaczyć, co się dzieje. Tłum wpadł w panikę. Ludzie się przepychali albo tkwili uwięzieni w tłumie, nie mogąc się ruszyć.

Fala zaburzeń zmierzała w stronę Michelle. Część uczestników parady wylała się z chodników na ulice, przewracając barierki. Potem zaczęli wchodzić na platformy posuwające się przed platformą Michelle. Gliniarze próbowali uspokoić ludzi i zaczęli ich ściągać z platform, ale wkrótce tłum ich zalał.

Wtedy właśnie zobaczyła nadciągające ulicą martwiaki.

Joey — pomyślała. *Co ty wyprawiasz, do licha?*

Nagle zauważyła, jak zombi złapał człowieka w koszulce LSU i złamał mu kark. Była przerażona, ale natychmiast stłumiła to uczucie. Nie mogła mu pomóc. Miała zadanie do wykonania.

Omiotła tłum wzrokiem i zauważyła torujące sobie drogę przemocą zombi. Dwóch gliniarzy próbowało powstrzymać jednego z nich i otrzymało w nagrodę złamane ręce, nim Michelle

zdążyła załatwić stworzenie. Następnie uświadomiła sobie, że wszystkie kierują się ku jej platformie.

— Mamó! — dobiegł z tyłu przerażony głos Adesiny. Odwróciła się i zobaczyła, że na platformę wspinają się dwaj mężczyźni — jeden pęłaty i rumiany, a drugi chudszy, w koszulce polo w pasy.

— Hej! — zawołała Michelle. — Tu nie jest bezpiecznie. Im chodzi o mnie.

— Za tobą jest teraz najbezpieczniej — sprzeciwił się pęłaty mężczyzna. — Nigdzie stąd nie pójdziemy.

— Nie zostawiacie mi wyboru — stwierdziła z westchnieniem Michelle. Bańki już formowały się w jej rękach, wielkie i ciężkie jak piłki lekarskie. Wypuściła je i strąciły mężczyzn z platformy. Usłyszała ich przekleństwa.

— Hej! — zawołała. — Język! Tu jest dziecko!

Uniosła Adesinę, trzymając ją pod lewą pachą.

— Mamó — poskarżyła się dziewczynka. — Przynosisz mi wstyd.

— Przepraszam, kochanie — odparła Michelle. — A teraz bądź grzeczna i pozwól mi spokojnie załatwić zombi ciotki Joey.

Wypuściła w stronę najbliższego martwiaka bańkę maleńką jak kula pistoletowa. Głowa stworzenia eksplodowała. W powietrze posypały się strzępy mózgu, czaszki oraz gnijącego ciała. To sprawiło jej wielką satysfakcję, lecz niestety niektórzy ludzie w tłumie wpadli w jeszcze większą panikę. Michelle poczuła też, że jej suknia robi się luźniejsza. *Niech to szlag* — pomyślała. *Wiedziałam, że będę potrzebowała więcej tłuszczu.*

Zauważyła następnego zombiaka i wypuściła w niego bańkę. Rozległy się kolejne krzyki tych, do których dotarły kawałki mózgu i czaszki. Platforma kołysała się, gdy tłum na nią napierał. Michelle miała trudności z zachowaniem równowagi.

— Mamó, proszę, postaw mnie.

— Nigdy w życiu — odparła Michelle, przekrzykując rwetes. — Zombiaki i spanikowani natole to nie jest dobre połączenie. To byłoby zbyt niebezpieczne i dlatego się nie zdarzy.

Adesina westchnęła z irytacją.

— Jesteś niedobra — poskarżyła się.

Michelle wykończyła kolejnego zombiaka. Poczuła, że jej suknia zrobiła się trochę luźniejsza. Stworzenia napływały coraz szybciej i puszczanie baniek jedną ręką było zbyt wolne.

— A niech to — mruknęła i postawiła Adesinę na platformie. — Schowaj się pod tronem. I ostrzeż mnie, jeśli ktoś... albo coś... będzie się próbował wdrapać na górę.

Jeśli było coś, co Dan Turnbull lubił bardziej niż rozwalanie wszystkiego, co się da w grach FPS, to z pewnością robienie bałaganu, który później musiał sprzątać kto inny. Jego matka porzuciła rodzinę przed sześcioma miesiącami i od tego czasu ani Dan, ani jego ojciec nie przejmowali się zbyt wiele sprzątaniami. W różnych częściach domu walały się stopy brudnych ubrań, przywodzące na myśl indiańskie kurhany. Na talerzach w kuchni wyrosły najróżniejsze rodzaje pleśni, a główki sałaty w lodówce były teraz wielkości limonek. Zlew wypełniała tłusta, cuchnąca woda. Dan nie był pewien, czy odpły w się zatkał, czy też trzeba było wyciągnąć zatyckę. Wiedział tylko, że na pewno nie wsadzi tam ręki, żeby to sprawdzić.

Teraz jednak, gdy leżał na dachu hotelu „St. Louis” i patrzył z góry na zamieszanie, które przed chwilą wywołał, czuł się naprawdę szczęśliwy. Zombi rozganiały paradę Bachusa, a ta cała Bańczarka próbowała je powstrzymać.

Przyglądał się, jak wzięła pod pachę dziwoląga, którego zwała swoją córką, nie przestając metodycznie rozwalać zombiaków. Podziwiał ją, choć z niechęcią, za to, że potrafiła zachować spokój w podobnej sytuacji. Nie wpadała w histerię ani nie traciła głowy, jak większość kobiet. Po prostu kosiła zombiaki, nie trafiając ani jednego cywila. Zastanawiał się, jak to będzie, kiedy zwinie jej moc.

Kiedy ukradł moc Hoodoo Mamy, bardzo mu się śpieszyło. Oczywiście, przedtem przywłaszczył sobie moc tylko jednego asa, i to przez przypadek.

Szedł sobie ulicą i wpadł na jakąś nastolatkę. Odruchowo złapał ją za gołe ramię, żeby zachować równowagę. Mina dziewczyny w chwili, gdy dotknięcie Dana ukradło jej moc, była naprawdę bombowa. Był tak zaskoczony faktem, iż ją posiadała, że użył jej bez zastanowienia i przeteleportował się na drugą stronę ulicy, uderzając w mur w chwili materializacji.

Kiedy sobie uświadomił, że omal nie wylądował wewnątrz muru, zaczął dygotać. Po kilku chwilach, gdy już minął wypływ adrenaliny spowodowany strachem, rozejrzył się wkoło, wypatrując dziewczyny. Zniknęła. *Oczywiście — pomyślał. Cóż innego mogłaby zrobić?*

W przeciwieństwie do mocy teleporterki moc Hoodoo Mamy omal nie rozwaliła mu czaszki. Mógł jednak użyć jej tylko raz, nim wróci do prawowitej właścicielki, a rozkazano mu wywołać zamieszanie. To, co działo się teraz na ulicy, było totalnie ekstra. Dobrze wykonał zadanie.

Paradę filmowała cała masa lokalnych ekip reporterskich, ale Danowi zależało na tym punkcie widzenia. Stąd pięknie się ogarniało całą scenę. Przyniósł ze sobą kamerę wideo, ale wiedział, że mnóstwo cywilów również wszystko rejestruje. Ich relacje jeszcze dziś znajdą się na YouTube. Rzecz w tym, żeby jak najwięcej filmów pokazywało chwilę, gdy rozpętało się piekło. A ten, który pokaże to ze wszystkimi szczegółami, będzie ostateczną nagrodą.

Dana nie obchodziło, po co jego pracodawcy potrzebowali zamieszania. Pięć tysiaków za godzinę roboty — nie było się nad czym zastanawiać. Nie dbał nawet o to, skąd się dowiedzieli

o jego mocy. Ojciec zaczął się domagać, żeby Dan płacił czynsz, a on nie miał pracy. Nie zamierzał też rezygnować ze statusu najlepszego strzelca na swoim serwerze. Zbyt wiele czasu poświęcił na osiągnięcie tej pozycji i jego drużyna go potrzebowała. Robota by mu w tym przeszkadzała.

Schował kamerę wideo do kieszeni workowatych dżinsów, zszedł na dół schodami ewakuacyjnymi i skrył się w zaułku. Ruszyły ku niemu dwie osoby, które odłączyły się od parady. Gdy już były blisko, zorientował się, że to dziewczyny. Próbowaly biec, ale były tak pijane, że mogły tylko szybko się zataczać.

— O mój Boże — odezwała się jedna z nich. Miała na sobie chyba z funt paciorków. Długie ciemne włosy okalały jej twarz. Zastanawiał się, czy jest na tyle pijana, żeby się z nim pieprzyć.

— Widziałeś, co tam się stało?

Wzruszył ramionami.

— Wyglądało jak banda pijanych dupków. Jak zawsze w Mardi Gras.

Popatrzyły na niego ze zdziwieniem.

— Nie — sprzeciwiła się druga. Nie była tak atrakcyjna jak jej towarzysza. *Zawsze jest jeden paszтет i jedna ładna* — pomyślał. — Chodzi mi o Bańczarkę. Była niewiarygodna, cholera, po prostu rozwalila te zombiaki. Kurwa, mam na sobie ławalek jednego — dodała i otarła koszulę.

— Dla mnie to wyglądało, jakby tylko narobiła zamieszania — skwitował Dan. Żadna z dziewczyn nie spojrzała na niego z choćby najmniejszą dozą zainteresowania, i to go wkurzało. To on spowodował całe to szaleństwo, nie Bańczarka. Laski były pijane i głupie. Omijając je, pod wpływem impulsu złapał ciemnowłosą za ramię.

— Dupek! — pisnęła, wrywając mu się. Ale jemu nie chodziło o to, by ją pomacać. Chciał sprawdzić, czy ma moc. Nie znalazł nic. Dziewczyna była jak pusta bateria. To go zasmuciło, a tego uczucia nie cierpiał bardziej niż czeogołowiek innego.

— Cham! — warknęła brzydsza. Sprawiała wrażenie, że jest gotowa coś w tej sprawie zrobić.

On jednak uniósł rękę w uniwersalnym geście symbolizującym pistolet i spojrzał na dziewczyny wzdłuż palca.

— Bang — powiedział.

* * *

Zombi zmieniły się już w sterty martwych ciał. Ich gnijące fragmenty walały się wszędzie, ale na to nic nie można było poradzić. *Przy zabijaniu zombiaków nie uniknie się bałaganu* — pomyślała Michelle.

Paradę przerwano, ale niektórzy z tych, którzy wdrapali się na platformy, by umknąć przed martwiakami, nie mieli teraz zamiaru z nich schodzić. Reszta tłumu również wyległa na ulicę

i otoczyła platformy. Zator był totalny. Na ziemi siedzieli płaczący ludzie. Część z nich była ranna.

Adesina wyczołgała się spod tronu i Michelle wzięła ją na ręce.

— Nic ci się nie stało? — zapytała, całując dziewczynkę w czubek głowy. Mała dzokerka pokręciła głową. — Możesz usiąść na tronie?

— Tak — odpowiedziała Adesina. — Ale jacyś ludzie próbują tu wleźć.

Michelle posadziła ją na tronie i odwróciła się. Dwóch nieznanym ch mężczyźn próbowało się wgramolić na platformę.

— Panowie, inni potrzebują tego miejsca — ostrzegła ich, wytwarzając na dłoni nową bańkę. Podczas parady i walki z zombi straciła większą część tłuszczu, ale miała go jeszcze wystarczająco wiele, by poradzić sobie z dwoma pijanymi kutafonami.

— Hej, na dole jest okropny tłok — poskarżył się jeden z nich.

— Wszystko mi jedno — odparła Michelle, wzruszając ramionami. — W tej chwili to nie jest demokracja. Ja jestem królową tej platformy i odmawiam wam wstępu.

— Suka.

— Królowa Suka. Tu jest dziecko. Uważajcie na język. Poza tym ranni potrzebują miejsca na platformie bardziej niż wy.

Mężczyźni zeszli na dół, zrzędząc pod nosem, i zaczęli się przepychać przez tłum.

Gliniarze próbowali przywrócić porządek Michelle ich zawołała i zajęli się znoszeniem rannych na ich platformę. Jeden policjant został na miejscu i zaczął sprawdzać stan ofiar. Potem Michelle usłyszała syreny. Zalała ją fala ulgi. Rozwalka i przyjmowanie ciosów to były jej specjalności, ale następstwa zawsze były paskudniejsze i bardziej skomplikowane, niżby tego chciała.

Teraz, gdy sytuacja już się uspokajała, ktoś z kierującej paradą ekipy dorwał się do megafonu umieszczonego na platformie podążającej przed tą, która należała do Michelle. Dwóch nastolatków pomagało policji ustawiać barierki.

Wyjęła telefon z kieszeni sukni i odsunęła się od rannych. Nie zносиła torebek, a ponieważ wszystkie ubrania musiała szyć na zamówienie, zawsze kazała dodawać do nich kieszenie. Dlaczego kobiety stroje nigdy ich nie miały, pozostawało dla niej tajemnicą. Przewinęła listę i wcisnęła „połącz”, znalazłszy numer Joey.

— Co się z tobą dzieje, do cholery? — wysyczała Michelle, gdy druga kobieta odebrała rozmowę. — Masz pojęcie, jak pier... pieroński bałagan wywołałaś?

Na drugim końcu linii zapadła długa cisza.

— O czym ty gadasz? — zapytała wreszcie Joey.

Na Michelle opadła delikatna, czerwona kurty na furii.

— O zombiakach, które zaatakowały paradę — wyszeptała. — Zabiły ludzi w tłumie... chciały załatwić mnie i Adesinę.

— Kurwa, myślisz, że zrobiłabym coś takiego, Bańka? — odparła Joey drżącym głosem, brzęcącym gorzej niż wtedy, gdy były w Ludowym Raju Afryki i miała czterdzieści stopni gorączki. Włoski na ramionach Michelle stanęły dęba.

— Chcesz powiedzieć, że jest tu inna dzika karta, która potrafi wskrzeszać umarłych? Czy będę teraz miała do czynienia z dwiema takimi jak ty?

Czerwona kurtyna opadła na chwilę wystarczająco długi, by do jej umysłu zakradła się kolejna przerażająca myśl. Co, jeśli to była tylko pierwsza fala? *Daj spokój* — pomyślała. *Starczy już tych cholernych zombiaków.*

Śmiech, który jej odpowiedział, był głuchy i wyprany z wesołości.

— Jak na taką bystrą sukę, jesteś kurewsko głupia. Musimy pogadać, do chuja. Kiedy dasz radę do mnie dotrzeć?

— Jestem tu uwięziona — odparła Michelle. Rozejrzała się wkoło, spoglądając na rannych na platformie i na gliniarzy, próbujących rozproszyć tłum. Na chodnikach pełno było posok. Miała ochotę solidnie przywalić Joey. — Mam sporo roboty.

— Przyjeżdż, gdy tylko będziesz mogła — poprosiła Joey i przerwała połączenie. Michelle wpatrzyła się w pusty ekran.

— Pojedziemy teraz do cioci Joey? — zapytała Adesina, ciągnąc ją za suknię.

— Już niedługo — odparła Michelle, spoglądając na ruiny parady. — Już niedługo.

* * *

Jeśli Joey czegoś naprawdę nienawidziła, to wścibskich lachociągów wtrącających się w jej sprawy. Ale Bańczarka z reguły nie zaliczała się do tej grupy. Biorąc pod uwagę, co mówiła o wydarzeniach na paradzie, Joey potrafiła zrozumieć, dlaczego się tak wkurwiła. Teraz jednak będzie musiała wyjaśnić przyjaciółce, co się stało jej dzieciom.

Kłopot w tym, że nie miała pojęcia.

Wracała z pobliskiej cukierni — poszła tam wcześniej, bo było Mardi Gras i wkrótce miało się tu zaroić od popierdolonych turyistów — i nagle poczuła się tak, jakby światło zgasło w jej głowie. Z reguły wiedziała, gdzie się znajduje każde martwe ciało w promieniu kilku mil. Często wysyłała w teren owady i ptaki zombi, żeby miały na wszystko oko. Dzisiaj wyglądało to tak samo, ale nagle zapadła ciemność.

Była „ślepa” przez kilka godzin, a potem, równie niespodziewanie, jej moc wróciła. To ją wystraszyło. Naprawdę wystraszyło. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się bała. *Nieprawda, pamiętasz tę chwilę* — wyszeptał głos w głębi jej umysłu. Joey odepchnęła jednak od

siebie tę myśl, szybko i stanowczo. A przynajmniej spróbowała. *Co ci mówiła matka na temat kłamstwa?* — nie ustępował głos. *Ona również kłamała* — powiedziała sobie Joey. Jej matka kłamała, zostawiła ją samą, a to, co wydarzyło się potem...

Potem na jej komórce wyświetlił się numer Bańczarki i Joey poczuła ulgę. Bańczarka była najpotężniejszą osobą, jaką znała. Przy niej będzie bezpieczna.

Ale gdy odebrała, Bańczarka zaczęła jej wymyślać. Joey nie miała pojęcia, co się stało. Musiała też przyznać, że się boi. Co, jeśli traciła moc?

Bez dzieci nie mogła czuć się bezpieczna. Bez nich była tylko Joey Hebert, nie Hoodoo Mamą. A bez Hoodoo Mamy nikt, nawet Bańczarka, nie zdoła jej obronić.

Kiedy pomyślała o tym, co się stanie, jeśli przestanie być Hoo doo Mamą, zaczęła dygotać.

* * *

Nie było zbyt wielu rzeczy, których Adesina by nie lubiła. Lubiła amerykańskie lody, amerykańską telewizję i amerykańskie łóżka. Odkąd mama przywiozła ją do Ameryki, dziewczynka sporządzała listy wszystkiego, co jej się podoba,

Lubiła *Hello Kitty*, Cartoon Network i indywidualne lekcje (choć czasami żałowała, że nie chodzi do szkoły z innymi dziećmi). Podobał jej się nawet wygląd miast. Były wielkie i lśniące, wszyscy mówili bardzo szybko i poruszali się tak, jakby śpieszyli się w jakieś ważne miejsce, nawet jeśli szli tylko do sklepu spożywczego.

Lubiła też znajomych mamy. Ciocię Joey (nawet jeśli, gdy były w LRA, mama ciągle na nią krzyczała z powodu języka), ciocię Juliette, Drake'a (nawet jeśli został teraz bogiem i już się z nim nie widywała) oraz Niobe. Czasami zapraszano je na spotkania z uczestnikami *Amerykańskiego bohatera* i poznała jeszcze więcej dzikich kart. Najbardziej jednak lubiła Dżokerowo, bo tam nikt się nie odwracał, żeby się na nią gapić.

Podobało się jej też, gdy uczestniczyła z mamą w tamtejszej paradzie na Halloween, ale ta parada tutaj nie przypadła jej do gustu nawet w najmniejszym stopniu. Zombi cioci Joey zaatakowały i ludzie ucierpieli. Teraz wybierały się do cioci Joey i Adesina wiedziała, że mama jest wściekła. Nie musiała wnikać do jej umysłu, żeby zdać sobie z tego sprawę. To było oczywiste.

Kiedyś rozmawiały z mamą o tym, że Adesina potrafi wnikać do jej umysłu. Mama kazała jej obiecać, że już nigdy tego nie zrobi, ale dziewczynce trudno było nad tym zapanować. Gdy już znalazła się w czyimś umyśle, robiło się łatwiej. Nie potrafiła wnikać do umysłów natoli, tylko tych, którzy wy ciągnęli kartę. Dowiedziała się o tym już w LRA.

Nie zamierzała też się przyznać, że wnikała już w więcej umysłów, niż zdawało się mamie. Czasami robiła to we śnie, ale najczęściej wtedy, gdy naprawdę kogoś lubiła. Nim zdążyła się

zorientować, już wkrađała się w jego myśli.

Przyjechały radiowozy i pogotowie. Karetki zabrały rannych, a policja rozproszyła tłum, pozwalając paradzie na powrót do magazynów. Nie było już więcej muzyki, rzucania paciorków ani puszczania baniek.

Adesina nagle znalazła się w umyśle mamy, mimo że wcale tego nie chciała. Mama się martwiła. Martwiła się o ciocię Joey i o to, co będzie musiała jej zrobić, jeśli się okaże, że ciocia Joey rzeczywiście kazała swoim zombiakom zaatakować paradę. Martwiła się o przybraną córkę i o to, że otacza ją zbyt wiele przemocy, a także o ludzi, którzy ucierpieli podczas parady.

Dziewczynka chciała jej powiedzieć, że zombi nie były takie złe jak rów z trupami. A on nie był taki zły jak to, co się zdarzyło, gdy wszczepiono jej wirusa i wyciągnęła kartę. Choć umysł Adesiny pragnął umknąć od tego wspomnienia, ono ciągle powracało. Nie potrafiła — nie chciała — zapomnieć o tym, co się wydarzyło.

Lekarze złapali ją i przywiązali do stołu brązowymi skórzanymi pasami, pokrytymi gdzieś niemiędzy czarnymi plamami. Potem wzięli strzykawkę wypełnioną wirusem dzięki karcie i wstrzyknęli go jej w ramię. Odwróciła wzrok i patrzyła na cukierkowe, bajkowe obrazki, które umieścili na surowych białych ścianach. Ale wszystkie dziewczynki na nich były jasnoskóre, nie takie jak Adesina.

Wirus wtargnął do jej żył szybko niczym rakietą. Odwróciła wzrok od uśmiechniętych dzieci na obrazkach i wpatrzyła się w sufit. Były na nim czerwono-brązowe plamy. Następnie nadszedł osłepiający ból i Adesinę targnęły konwulsje. Jej leżące na stole ciało wygięło się w łuk. Choć bardzo się starała, nie była w stanie powstrzymać krzyku. Później nadeszły ciemność i ulga, gdy Adesina przeszła w stan poczwarki.

Lekarze nie chcieli dzókerów, a tylko asów, wyrzucili więc jej ciało do rowu razem z innymi martwymi i umierającymi dziećmi. Ale ona nie umierała. Ona się zmieniała. A kiedy tkwiła w łoknie, przekonała się, że potrafi wnikać w umysły innych ludzi zarażonych wirusem.

Tak właśnie odnalazła mamę. Obie unosiły się w morzu ciemności. Ale Adesina nie była już samotna, bo miała mamę.

Gdyby jednak wspomniała o tej chwili, mama dowiedziałaby się, że Adesina była w jej umyśle. Dlatego objęła ją, popchnęła na tron i skuliła się na jej kolanach, czekając, aż parada wreszcie dotrze do ostatniego postoju.

* * *

Kule świstały nad dymiącym krajobrazem, nad wypalonymi, poczerniałymi szczątkami czołgów i dżipów. Tuż obok Dana eksplodował granat, powodując poważne uszkodzenia. Jego pasek zdrowia mrugał na czerwono i zabrakło mu bandaży.

— Jezu, Rakietowiec, miałeś załatwić tę sukę granatnikiem — warknął do mikrofonu. Zalogował się, gdy tylko wrócił do domu z parady. — Ty jebany pedale.

— Ssij mi kutasa, CF — odparł Rakietowiec. W słuchawkach Dana zabrzmiały głośne zakłócenia. — Gdybyś osłaniał mnie ogniem, mógłbym się zbliżyć i wystrzelić. Idź ruhać kozę, dupku.

— Kurwa, wyłącz ten pierdolony mikrofon — powiedział Rakietowcowi Rekordowe Dziesięć Cali. — I cholerne głośniki też, ty wielka cioto. CF, powiedz mi jeszcze raz, czemu, do chuja, przyjęliśmy tego frajera do drużyny.

Dan się wycofał. Do tej pory krył się za ruinami zbombardowanego budynku, ale było oczywiste, że to nic nie daje. Musiał też znaleźć trochę bandaży. Jeśli wyjdą z tego, unikając porażki, wykopie z drużyny tego beużytecznego zasańca Rakietowca. Nie potrafił pojąć, jak to możliwe, że drużyna, o której nigdy nie słyszeli, kopie im tyłki. Zwłaszcza drużyna mająca totalnie pedalską nazwę „Wiemy, co lubią chłopaki”.

Przed ekranem telewizora przemknął jakiś cień. Dan podskoczył nagle, wypuszczając z ręki kontroler.

— Co jest, kurwa?

— Panie Turnbull, musimy porozmawiać — oznajmił pan Jones, podnosząc kontroler i podając go Danowi. Miał na sobie elegancki, ciemnoszary garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Dan był pewien, że Jones to nie jest jego prawdziwe nazwisko, potrafił jednak zrozumieć kogoś, kto nie chciał, by wszyscy wiedzieli, kim jest. Nie pragnął też wiedzieć o tym człowieku więcej niż to konieczne.

Bał się go, ponieważ pan Jones wyglądał, jakby mógł skrócić mu kark, nawet przy tym nie mrugając. Przypominał Danowi zwinętego grzechotnika.

Chłopak zdjął słuchawki i wyrwał ich przewód z komputera.

— To jest mikrofon aktywowany głosem — warknął, choć ręce mu drżały. — Nie chciałbym, żeby któryś z tych pojebów wiedział, kim jestem w realu. Powiedziałem też tacie, żeby nikt tu nie wchodził, kiedy na drzwiach jest wywieszka.

Pan Jones wzruszył ramionami.

— Twojego ojca nie ma w domu, a twoja mała gra nic mnie nie obchodzi — odparł.

— Zrobiłem, co pan chciał. — Głos Dana zabrzmiał bardziej defensywnie, niż było to jego zamiarem. — Mam film na tym pendrive.

Wstał, pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej pokryte kłaczkami urządzenie.

Pan Jones wyjął je z jego palców i delikatnie zdmuchnął kłaczki.

— Wątpię, byśmy mieli go potrzebować — stwierdził, wsuwając pendrive'a do kieszeni marynarki. — Na YouTube jest już ponad pięćdziesiąt relacji. Z każdą minutą robi się ich coraz

więcej. Lokalne wiadomości przerwały program, by pokazać, co się dzieje. CNN i Fox ciągle puszczają wstawki filmowe. Wiemy też, że przygotowują własne komentarze. Dobrze się spisales.

Dan nie był pewien, co powiedzieć. Schlebiało mu to, lecz jednocześnie się bał.

— Hmm, dziękuję — odparł i wsadził ręce do kieszeni. Kącikiem oka zauważył, że jego awatar CtrlFreak zniknął. *Niech to szlag.*

— Możemy mieć dla ciebie kolejne małe zlecenie — oznajmił pan Jones i wyciągnął grubą, szarą kopertę. — To zapłata. Z niewielką premią.

Gdy Dan przyjął kopertę, wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu lekki dreszcz. Przyszło mu do głowy, że mógłby dotknąć palców pana Jonesa, by się przekonać, czy jest asem, ale po raz pierwszy nasunęła mu się myśl, że wplątał się w coś, co wykracza poza jego możliwości.

— Jasne, nie ma sprawy — zgodził się. — Ale może nie u mnie w domu? Czy nie moglibyśmy... hmm... spotykać się gdzie indziej?

Uśmiech pana Jonesa wydawał się szokująco biały na tle jego ciemnej skóry.

— Twoja drużyna chyba przegrała — stwierdził, wskazując głową na monitor. Na ekranie rozbłysnął napis „Koniec walki”. — Sam trafię do drzwi.

Gdy Dan usłyszał, że drzwi frontowe się zamknęły, wypuścił z drżeniem powietrze z płuc. Potem otworzył kopertę i zaczął liczyć.

* * *

Taksówka zatrzymała się przed domem Joey. Michelle zapłaciła taksówkarzowi i obie z Adesiną wysiadły. Wałący się dom w stylu wiktoriańskim, z oblażąca farbą i zachwaszczonym ogrodem, był otoczony płotem z kutego żelaza. Na drzewach i na drutach elektrycznych siedziały martwe ptaki. Wszystkie jednocześnie skierowały głowy w lewo.

— Daj sobie z tym spokój, Joey — warknęła Michelle, popychając furtkę, która otworzyła się z przeraźliwym zgrzytem. *Czy ona nigdy nie słyszała o WD-40? Nawet ja je znam.* — Zachowaj te sztuczki dla turystów.

— Kra — odezwał się jeden z ptaków.

— Kretynka — burknęła Michelle.

Drzwi otworzyła jej stosunkowo świeża kobieta zombi. Miała na sobie drukowaną w kwiaty suknię w radosnych kolorach i wyglądała mniej paskudnie niż większość trupów należących do Joey. *Umarli nie dbają o siebie* — pomyślała Michelle. *Są naprawdę odrażający.*

— Idźcie za mną — powiedziała nieumarła kobieta. Michelle usłyszała jednak głos Joey. Wszystkie zombi przemawiały jej głosem. W przypadku kobiet to było w porządku, ale zdarzało się, że Michelle słyszała jej głos z ust byłego zawodowego futbolisty o wroście sześciu stóp i to wydawało się piekielnie dziwne.

— Na wszystkie świętości, Joey — odezwała się Michelle. — Znam każdy kąt tego mieszkania. Jesteś w salonie?

Nieumarła kobieta skinęła głową i Michelle odepchnęła ją na bok. Adesina podfrunęła do jej ramienia.

— Mamo, nie wściekaj się za bardzo — wyszeptała.

— Jestem tak wściekła, jak to potrzebne — burknęła Michelle. Następnie westchnęła, zatrzymała się i podjęła próbę zapanowania nad swym nastrojem. Adesina miała rację. Joey nigdy nie reagowała dobrze na gniewną konfrontację. Gniew był dla niej chlebem codziennym.

Salon był prawie pusty. Na oknie wisiały wystrzępione zasłony, a pod jedną ze ścian ustawiono zapadającą się kanapę. Nowym nabytkiem był tu wielki płaskoekranowy telewizor. Naprzeciwko niego stał tron Hoodoo Mamy. Siedziała na nim Joey. Była drobnej budowy. Miała na sobie luźną koszulkę z napisem Plaga Dżokerów oraz obcisłe dżinsy. W ciemnobrązowych włosach kobiety lśniło rude pasmo, a skóra miała piękny odcień karmelu. U jej stóp leżał pies zombi, a po obu stronach tronu stało dwóch potężnie zbudowanych nieumarłych mężczyzn.

Michelle i Adesina usiadły na kanapie. Joey zmarszczyła brwi, ale Michelle to zignorowała.

— Zechcesz mi wyjaśnić, co się stało? — zapytała.

Wszystkie zombiaki warknęły.

— Nie miałam z tym ni chuja wspólnego — oznajmiła Joey. Ścisnęła w dłoniach podłokietniki fotela tak mocno, że kostki jej dłoni pobieleały. — Nie potrafię uwierzyć, że mnie oskarżasz.

— Chcesz powiedzieć, że w Nowym Orleanie mieszka druga osoba, która wyciągnęła kartę i potrafi wskrzeszać umarłych, tak samo jak ty? — Michelle obrzuciła przyjaciółkę swym najlepszym spojrzeniem mówiącym „Co ty chrzaniasz?”. — To by był wyjątkowy zbieg okoliczności, Joey.

— Nie, do chuja. Nie ma nowej dzikiej karty, która potrafi panować nad zombi — odparła Joey, pochylając się do przodu na tronie. — Ale jest taka, która potrafi kurewsko skutecznie kraść moce.

— Jezu, Joey, język

Michelle zerknęła na Adesinę, ale dziewczynka zatopiła się już w grze na iPadzie.

— Pierdol się, Bańka — burknęła Joey. — Adesina słyszała już nie takie rzeczy. Prawda, Koteczku?

Dziewczynka uniosła wzrok i wrzuciła ramionami.

— Jasne. Ty przeklinasz. Okropnie. Ale ja nie będę.

Przez chwilę Joey sprawiała wrażenie urażonej.

— Michelle, czy wkładasz tej dziewczynce do głowy jakieś popierdalone pomysły?

— Nie. Tylko normalne.

— To cholernie głupie podejście w przypadku dzokerki.

Michelle zerknęła na Joeya.

— Wróćmy do tej tajemniczej dzikiej karty. Dlaczego uważasz, że ukradziono ci moce? Może po prostu utraciłaś nad nimi kontrolę?

Dwaj potężni nieumarli mężczyźni ruszyli w stronę Michelle. Załatwiła ich ze spokojem dwiema małymi eksplodującymi bańkami wymierzonymi w głowy. Zużyła na to ostatnie zapasy tłuszczu, ale nie zamierzała pozwolić, by Joey zastraszyła ją swą zombiczną agresją.

— Kurwa mać! Cholera, Bańka, popatrz na ten pierdolony syf! Jezu! — Kobieta zombi weszła do pokoju i zaczęła sprzątać szczątki. — Kurwa, nic mi nie jest — ciągnęła Joeya. — To, co się wydarzyło, nie jest moją winą, do chuja. Poszłam do cukierni kupić trochę ciastek i po drodze do domu wpadłam na kogoś, a potem, bach, moja moc po prostu zniknęła i nie widziałam już moich dzieci.

Jej głos ucichł. Wydawała się tak bardzo smutna i przerażona, że Michelle jej uwierzyła. Wiedziała, że Joey wyciągnęła kartę po tym, jak ją zgwałcono. Nie знаła jednak szczegółów i wcale nie chciała ich znać. Wyobrażała sobie, że jej przyjaciółka musiała się wtedy czuć równie bezradna, jak obecnie.

— Czy zapamiętałaś jakieś szczegóły z momentu kradzieży? — zapytała Michelle. Dzika karta zdolna zagarnąć moce innych. To była przerażająca myśl. Muszą się dowiedzieć, kto to jest. Przede wszystkim jednak pragnęła ochronić Joeya przed powtórką. Jej przyjaciółka nigdy nie była zbyt stabilna emocjonalnie. Michelle pomyślała, że większość dzikich kart, które znała, niewiele dzieliło od zamknięcia na stałe w wariatkowie. Mimo to przstraszyła się na widok reakcji Joeya. Kobieta źle przyjęła kradzież mocy. A Michelle zaczęła uważać, że pomoc przyjaciółce może być ważniejsza od ujęcia tego, kto jej to zrobił.

Joey potrząsnęła głową.

— Kurwa, próbowałam. Pamiętam tylko, że ktoś mnie potrafił, a potem... nic.

Adesina pociągnęła Michelle za ramię.

— Mamo, popatrz! — zawołała, wskazując na telewizor.

Na ekranie pokazywano plan ogólny ataku zombi na paradę Bachusa. Potem pojawiło się zbliżenie na Michelle w chwili, gdy zaczęła zabijać martwiaki. Joey zwiększyła głośność.

— ...ak na dzisiejszą paradę Bachusa. Michelle Pond, Zdumiewająca Bańczarka, jadąca na jednej z platform, najwyraźniej była celem napadu. Bardziej przerażający jest fakt, że pannie Pond towarzyszyła siedmioletnia córka. Pannie Pond udało się powstrzymać atak, ale niepokoi nas świadomość, że jej córka przebywała na uroczystości, na której była narażona na odpowiednie tylko dla dorosłych widoki, takie jak kobiety pokazujące nagie piersi w zamian za paciorek. To nie pierwszy przypadek, gdy podczas imprezy, na której występuje panna Pond,

dochodzi do aktów przemocy. Zmusza to do zastanowienia nad podejmowanymi przez nią decyzjami.

Michelle zerwała się z kanapy.

— Kurwa, co to ma znaczyć! — zawołała.

— Język — skarciła ją Joey.

* * *

Adesina się martwiła. Mama oglądała na laptopie filmy z parady. Ciocia Joey wyłączyła telewizor po wiadomościach, ale mama wyciągnęła komputer z torby i zaczęła szukać w sieci dalszych informacji.

Znalazła ich mnóstwo. Choć Adesina nie chciała tego robić, nie zdołała się powstrzymać przed wniknięciem do umysłu mamy. Zobaczyła tam strach, gniew i niepokój.

Dlatego wymknęła się stamtąd i znowu zaczęła grać w „Ocelot Nine” na iPadzie. Wydostanie Słodkiej Organzy Ocelot z niewoli u Wiśniowej Czarownicy było łatwiejsze niż zrozumienie świata dorosłych.

* * *

Komórka Michelle znowu się odezwała. Nie milkła ani na chwilę od czasu ataku na paradę. Ona jednak ignorowała wszystkie rozmowy. I tak już wiedziała, że ma przerąbane. Stare powiedzenie mówiące, że nie ma nic takiego jak zła publicity, było zgodne z jej doświadczeniem totalną bzdurą.

Nie zdawała sobie jednak sprawy z powagi sytuacji, dopóki nie zobaczyła wiadomości w mieszkaniu Joey. A potem weszła na YouTube i obejrzała te wszystkie amatorskie filmiki.

Zrobiło się jej od tego niedobrze. *Oczywiście, że wszędzie jest pełno filmików, idiotko. To było Mardi Gras. Do licha, tak to dzisiaj wygląda. Obserwuj cię na każdym kroku.*

Pozostawało jeszcze pytanie, w jaki sposób Joey utraciła moc. Co ważniejsze, nadal niepokoiła ją reakcja przyjaciółki. Nie mogła jej zostawić samej w takim stanie. Postanowiła, że obie z Adesiną zostaną dziś u niej na noc i spróbują ustalić, co właściwie się wydarzyło. Choć bardzo jej się ta myśl nie podobała, doszła do wniosku, że może poprosić Adesinę o pomoc. Boże, nie chciała tego robić. Nie chciała wysyłać swojego dziecka do umysłu Joey. Są rzeczy, których w tym wieku nie powinno się oglądać. Ani w żadnym, przy najmniej zdaniem Michelle.

Ponieważ była przekonana, że Joey nie powinna zostawać sama nawet na godzinę, wszystkie trzy pojechały taksówką do hotelu, w którym mieszkała Michelle. Joey i Adesina były głodne, zostawiła je więc w hotelowym barze kawowym, a sama poszła do pokoju spać w torbę.

Wysunęła się z sukni i rzuciła ją na łóżko. Następnie włożyła parę workowatych spodni

zawiązywane ch na sznurek oraz T-shirt. Musiała utyć — skłanianie z dachu domu Joey nie dało jej zbyt wiele — i potrzebowała ubrań zdolnych do współpracy z różnymi rozmiarami.

Kiedy się pakowała, komórka zadzwoniła znowu. Podniosła ją z łóżka i spojrzała na numer. Wyglądał znajomo, odebrała więc.

— Mówi Michelle.

Wrzuciła do torby bieliznę, spodnie oraz koszulki dla siebie, a potem dodała ulubioną suknię oraz koszulę nocną Adesiny.

Na drugim końcu linii nastała chwila ciszy.

— Hej, Michelle. To ja. — Na chwilę poczuła ucisk w żołądku. Nie rozmawiały ze sobą zbyt często, odkąd Juliette opuściła LRA, a gdy już to robiły, obie czuły się zażenowane. Michelle przespała się z Joey i to zniszczyło jej związek z Juliette. Wiedziała, że pewnych błędów nie można wybaczyć, bez względu na wszystkie jej starania. — Widziałam w sieci filmy z parady — oznajmiła Juliette.

Dłonie Michelle zaczęły drżeć. *Cholera, cholera, cholera* — pomyślała. *To nie jest czas na uleganie emocjom.*

— Ehe, to było, hmm, dramatyczne.

— Czy to rzeczywiście była Joey?

Michelle poszła do łazienki i zaczęła pakować przybory toaletowe.

— Mówi, że nie, i ja jej wierzę — odparła. — To po prostu nie jest w jej stylu. Zapewnia, że ktoś ukradł jej moc, a natychmiast po ataku ją odzyskała.

Znowu zapadła długa cisza.

— To znaczy, że nadal się z nią widujesz?

Cholera — pomyślała znowu Michelle, wysypując przybory do torby podróżnej. Potem wypuściła do wnętrza łazienki strumień gumowatych baniek. Parę z nich odbiło się od ścian i potoczyło po podłodze. Michelle je kopnęła i ponownie zrykoszetowały od ścian. Jedna uderzyła ją mocno w udo.

— Tak poszłam się z nią zobaczyć — odparła, odruchowo pocierając nogę. *Głupie bańki.*

— Halo? To był atak zombi. Do kogo niby miałam pójść? — Podeszła do lustra i przejrzała się w nim *Głupia dziewczyna.* — Nie pieprzy my się ze sobą, jeśli o to pytasz. To się zdarzyło tylko ten jeden raz. Zresztą zerwałaś ze mną i jestem pewna, że to znaczy, że mogę się spotykać, z kim zechcę. Nadal bardzo mi przykro.

Niech to szlag.

— Skończyłaś? — zapytała Juliette.

— Tak — odpowiedziała potulnie Michelle.

— Cieszę się, że do niej poszłaś. To PR-owska katastrofa dla was obu.

Te słowa zdezorientowały Michelle.

— Pomyślałam sobie, hmm, no wiesz...

— Posłuchaj, Michelle, tu nie chodzi o ciebie, Joey i o mnie. Tu chodzi o Adesinę. Jako partnerka jesteś do niczego, ale byłaś dla niej dobrą matką. I naprawdę nie podoba mi się myśl, że czyjeś polityczne gierki mogą zakłócić jej życie.

Michelle osunęła się w dół po ścianie łazienki i usiadła na podłodze. Kafelki pod jej tyłkiem były zimne.

— Nie jestem pewna, o co ci chodzi. Czemu to miałyby zakłócić jej życie?

Z ust Juliette wyrwało się pełne irytacji westchnienie, przypominające te, które często wydawała z siebie Adesina.

— Jak to możliwe, że nadal jesteś taka naiwna? Jesteś cholernie potężna i cholernie lubiana. Nie mogą zbyt wiele zrobić w sprawie mocy, ale z radością pozbawią cię sympatii ludzi. Muszą cię zmarginalizować.

Michelle otworzyła lewą dłoń i pozwoliła, by uformowała się w niej mała bańka. Kiedy ją wypuściła, bańka uniosła się w powietrze.

— Kto mógłby to zrobić? I dlaczego mieliby wykorzystać Joeya?

— Och, cała masa ludzi. Na początek NSA, CIA albo LRA. Komitet też może mieć coś z tym wspólnego, choć to mniej prawdopodobne. To może nawet być zupełnie nowa grupa, mająca własne cele. Trudno jest zaatakować cię bezpośrednio, ale jeśli wykorzystają się ludzi, których kochasz...

— Nie kocham Joeya — oznajmiła z emfazą Michelle. Miało to znaczyć: „Kocham ciebie. Proszę, wróć”. Na głos powiedziała jednak — Od prawie roku nie przyciągałam niczyjej uwagi. To nie ma sensu.

Potarła środkowym palcem miejsce między brwiami.

— Ale teraz wróciłaś i już uczestniczysz w paradach, przypominając ludziom, że to ty uratowałaś Nowy Orlean. Nie wspominając już o tym, że adoptowałaś Adesinę, która jest chyba najbardziej uroczą dzokerką na świecie.

— Tak jest, pełno w niej uroku, prawda? — odparła z uśmiechem Michelle. — Myślę też, że jest nazywana kremem czekoladowym.

Juliette roześmiała się i Michelle pomyślała, że serce jej pełnie.

— Przyślę ci linka do czegoś — obiecała Juliette. — Zobaczysz, jaka jest stawka i jak daleko są zdolni się posunąć, żeby cię zmarginalizować.

Czy ten syf nigdy się nie skończy? — pomyślała Michelle. *Chcę po prostu żyć po swojemu.*

— Dziękuję za pomoc, Juliette. I... przykro mi. Wiem, że to nie wystarczy, ale naprawdę mi przykro.

Znowu nastąpiła długa przerwa.

— Tak, wiem — odparła wreszcie Juliette i przerwała połączenie.

Rewelacja — pomyślała Michelle, ocierając łzy. *Po prostu rewelacja. Nigdy nie wybaczysz ci tego, co zrobiłaś z Joey, więc możesz przestać próbować. Masz szczęście, że w ogóle zadzwoniła.*

Wiedziała jednak, że Juliette nie zrobiła tego dla niej. Wstała, zmoczyła myjkę zimną wodą i wycierała nią twarz przez kilka minut. Z pewnością nie chciała, by Adesina zauważyła, że płakała. Jej córka i tak już widziała za dużo.

* * *

Mimo że jej moc wróciła, Joey cieszyła się, że Michelle postanowiła spać u niej. Oczywiście, miała swoje dzieci, ale nadal dręczył ją strach, że w każdej chwili ktoś może ukraść jej moc.

Adesina siedziała na kanapie, zajęta tą głupią grą. *Co to właściwie jest ocelot, do chuja?* — pomyślała Joey, siadając obok dziewczynki.

— Widzę, że bardzo lubisz tę grę — odezwała się. Sama nie była fanką gier wideo, ale zdarzało się jej zagrać w to i owo.

Adesina skinęła głową.

— Oceloty są śliczne, a Słodka Organza Ocelot jest naprawdę zdumiewająca. Ma mnóstwo fajnych mocy i bez wahania staje do walki z Wiśniową Czarownicą, która chce ukraść ocelotom całą żywność i ziemię...

Joey odgrodziła się od dziewczynki. To było coś, co czasami robiła. Po prostu przestawała słuchać i wymyślała się w swoje dzieci. Miała martwe psy i koty. Martwych ludzi. Martwe owady. Poruszała nimi wszystkimi, patrzyła przez ich nieżyjące oczy. Tylko dzięki swym dzieciom była bezpieczna. Nikt nie mógł się ukryć przed umarłymi. Byli wszędzie. Dlatego nikt nie był w stanie jej zaskoczyć.

Jednakże utrata mocy na kilka godzin była dla niej straszliwym przeżyciem. Próbowwała odepchnąć wspomnienia o utracie kontroli — ale to tylko spowodowało, że na powierzchnię wynurzyło się inne, mroczniejsze. Do gardła podeszła jej żółć, a plecy złał pot. Nie. Nie pozwoli mu wrócić. Była Hoodoo Mamą. Tamtego skurwysyna zabiła. Sprawa skończona. Nigdy już jej nie dotknie.

— Ciociu Joey! Ciociu Joey!

Otworzyła oczy. Minęła chwila, nim wynurzyła się ze wspomnień. Adesina siedziała na jej kolanach, wspierając przednie stopy o jej twarz. Po jej policzkach spływały łzy.

— Ciociu Joey, proszę przestań! — zawodziła.

— Co to, kurwa? — zapytała. — O co ci chodzi, Koteczku?

— Ugrzęzłaś — odpowiedziała Adesina. Zsunęła się z kolan Joey i otarła sobie łzy i nos

przednimi stopami, jak mogłaby to zrobić modliszka.

Joey wstała.

— Przyniosę ci chusteczki — powiedziała i pobiegła do łazienki. Wyjęła z komody pudełko chusteczek jednorazowych, po czym wróciła do salonu. W tej samej chwili z drugiej strony wpadła do niego Michelle.

— Kurczę, co tu się dzieje? — zapytała. — Usłyszałam na górze, że Adesina płacze.

Niech to jebane piekło! — pomyślała Joey. *Czy naprawdę dostaję świra? Niech mnie chuj!*

Michelle podeszła do córki, żeby ją pocieszyć. Skrępowana Joey podsunęła jej chusteczki. Przyjaciółka przeszła ją palącym spojrzeniem, zaczęła wyciągać serwetki i wycierać nimi twarz dziewczynki.

— Chcesz mi opowiedzieć, co się stało? — zapytała córkę, ale Adesina nie odpowiadała. Zwinęła się na kolanach matki i zamknęła oczy.

Gdy Michelle uniosła wzrok, Joey pomyślała, że wołałaby, żeby nie padł na nią. Mimo woli cofnęła się o krok *Co się stało?* — zapytała bezgłośnie matka Adesiny. Joey wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową. A potem się wkurzyła. Michelle świetnie wiedziała, że nigdy nie skrzywdziłaby jej córki.

— Adesino — odezwała się cicho Michelle. — Spójrz na mnie.

Przez chwilę dziewczynka leżała bez ruchu, ale potem otworzyła oczy. Na twarzy Michelle pojawił się surowy wyraz, który wydał się Joey okrutny.

— Adesino — ciągnęła. — Czy zaglądałaś bez pozwolenia do umysłu cioci Joey?

— Kurwa, o czym ty gadasz, Bańka? — obruszyła się Joey. Było zbyt wiele rzeczy, których nie chciałyby ujawniać przed nikim, a już zwłaszcza przed Koteczką.

— Ona potrafi wnikać do umysłów ludzi zakażonych wirusem — wyjaśniła Michelle.

— I wiem, że zaglądała już do twojego. Adesino, zabroniłam ci tego, prawda?

Dziewczynka skinęła głową. Po jej policzku spływała łza.

— Przepraszam, mamó — rzekła drżącym głosem.

— Są tam sprawy odpowiednie tylko dla dorosłych i nie powinnaś ich widzieć. Poza tym, to naruszenie prywatności. Jak wtedy, kiedy nie chcesz, żebyś wchodziła do twojego pokoju bez pytania.

Na te słowa Adesina załza się łzami. Michelle ją uściskała.

— Wszystko w porządku. Po prostu musisz być ostrożniejsza, kochanie. — Spojrzała na przyjaciółkę. — Chyba położę Adesinę do łóżka. To był długi dzień.

— Tak — zgodziła się Joey. — Naprawdę długi.

Michelle położyła córkę spać, a następnie wróciła na dół, by porozmawiać z Joey. Znalazła ją w kuchni, zajętą wyjmowaniem z lodówki butelek piwa.

— Kurwa, może zechcesz mi powiedzieć, czemu do chuja pana nic nie wspomniałaś o tym, że Adesina potrafi wniknąć do mojego jebanego umysłu? — zapytała Joey, wręczając przyjaciółce butelkę.

Michelle zerwała kapsel, wyrzuciła go do kosza i pociągnęła długi łyk.

— Wie, że nie wolno jej tego robić. Kiedy przedtem trafiła do twojej głowy, przeżyła to tak ciężko, że dała słowo, że to się już nie powtórzy.

Chciała przez to powiedzieć Joey, że po wejściu do jej umysłu dziewczynka gwałtownie się pochorowała. Że syf, który jej przyjaciółka dźwigała ze sobą, był toksyczny dla Adesiny, a zapewne również dla niej samej. Wiedziała jednak, że Joey nie ma sensu przekonywać.

Po kolejnym długim łyku piwa zaszumiało jej nieco w głowie. Pomijając skąkanie z dachu domu Joey przed wyjazdem do hotelu, nie zrobiła nic, by odzyskać wagę, mimo że miała taki zamiar. Zrobiła się chuda, jeszcze chudsza niż w czasach, gdy była modelką. A to znaczyło, że upijała się teraz szybciej. W tej chwili by najmniej nie wydawało się jej to złe.

— Powiedziała ci, co widziała? — zapytała Joey.

Michelle potrząsnęła głową.

— Właściwie jej o to nie pytałam. Ma dopiero siedem lat. Ale, szczerze, ile z tego, co jest w twojej głowie, powinna zobaczyć?

To były okrutne słowa, ale Michelle już o to nie dbała. Nie, to nieprawda. Po prostu czuła się zmęczona.

— Nie chcę, żeby Koteczek zobaczył... pewne rzeczy. — Joey wypila duszkiem piwo i postawiła w brzękiem flaszkę na blacie. Potem podeszła do jednej z szafek i wyciągnęła butelkę jacka danielsa. — Kurwa, nie znam lepszego sposobu, żeby zapomnieć. Chcesz kolejkę?

Michelle potrząsnęła głową, a potem dopiła piwo. Zalała ją złocista fala ciepła. Usta miała nieco odrętwiałe.

— To nam nie pomoże zrozumieć, co cię spotkało. Naprawdę rozważałam możliwość wysłania Adesiny do twojego umysłu, żeby to sprawdziła. Ale to na pewno był beznadziejny pomysł.

Michelle wyjęła z lodówki kolejne piwo. *Chrzanić to* — pomyślała. *Najwyżej się zaleję. I tak moje życie diabli biorą.*

— Aha, kiedy byliśmy w hotelu, rozmawiałam z Juliette — podjęła. — Podesłała mi kilka linków. Nowy mem głosi, że jestem okropną matką i rutynowo narażam życie swojego dziecka.

— Co to, kurwa, jest mem? — zapytała Joey, pociągnąwszy łyk

Dan wepchnął brudne łachy do pralki i położył na nich kawałek mydła do prania. Pranie go wkurzało. Gdyby matka nie odeszła, w mieszkaniu byłoby czysto, w lodówce leżałoby coś do jedzenia, na stole czekałby obiad, a on mógłby znaleźć czyste ubranie, kiedy go potrzebował. A tak będzie musiał założyć obdarte dzinsy na goły tyłek (nie znosił tego robić). W dodatku jego koszulka śmierdziała tak bardzo, że aż robiło mu się niedobrze.

Niemniej dnia nie można było uznać za całkowicie stracony. Razem z Rekordowymi Dziesięcioma Calami wykopali Rakietowca z Drużyny i już po godzinie zaczęli przeprowadzać rozmowy z lady datami na jego następcę. Wiedział, że potrzebują kogoś dobrego, ale będą mieli świetną zabawę, odsiewając tych wszystkich debiutantów i frajerów. Włączył pralkę i wrócił do piwnicy. Zastąpił starą kanapę wypasionym fotelem dla gracza, kupionym za część pieniędzy, które otrzymał za kradzież mocy Hoodoo Mamy. Fotel miał wbudowane głośniki, a jego ergonomiczna, obita czarną skórą sylwetka doskonale pasowała do tyłka chłopaka. Jego tata był w pracy i Dan cieszył się na myśl o długim graniu.

Ale gdy zszedł na dół, w fotelu siedział sobie pan Jones. *Niech go szlag* — pomyślał chłopak

— Większość ludzi puła do drzwi.

Pan Jones uśmiechnął się. Danowi nie spодobało się to nawet w najmniejszym stopniu.

— Dan, może pamiętasz, co ci ostatnio powiedziałem. Że będziemy cię znowu potrzebować. Okazało się, że stało się to szybciej, niż się spodziewaliśmy.

W pierwszej chwili Dan pomyślał, że mógłby tym razem zażądać więcej forsy, ale utrzymujący się na twarzy pana Jonesa uśmiešek skłaniał do ostrożności.

— Czego chcecie tym razem? Więcej tego samego?

Pan Jones miał w rękach kontroler Dana. Nacisnął start i chłopak pożałował, że nie może po prostu go zabić. Pojawiło się pytanie o hasło i pan Jones bezbłędnie wpisał to, które należało do Dana.

— Kurwa, co to ma znaczyć? — wybuchnął chłopak

— Naprawdę myślisz, że nie wiemy o tobie wszystkiego, Dan? Twoje hasło to nic. Miejsce pobytu twojej matki? To również było proste. W gruncie rzeczy, Dan, pomijając twoją moc, nie jesteś zbyt skomplikowany.

Pan Jones wprowadził do akcji awatar CtrlFreak I bez wysiłku kopał tyłki wszystkim przeciwnikom. Danowi zrobiło się niedobrze na ten widok.

— W takim razie czemu po prostu nie każecie mi ukraść mocy Bańczarki, a potem jej zabić? — zapytał.

— Dlatego, że w przyszłości może nam być potrzebna — wyjaśnił pan Jones. — W twoim scenariuszu mógłbyś użyć jej mocy tylko raz, a potem, gdyby Bańczarka nie żyła, ta moc by zniknęła. Nie mógłbyś ukraść jej znowu. Stracilibyśmy bezcenny zasób.

Pan Jones wykonał bezbłędny skok i przewrót CtrlFreakiem, a potem strzelił prosto w głowę dwóm przeciwnikom. Na ekranie rozbrzmiał napis „Bezbłędnie!”

— Nie wszyscy są tak nieskomplikowani jak ty, Dan — ciągnął pan Jones. — Na przykład piękna panna Pond. Jest absurdalnie potężna, ale w ogóle o to nie dba. Za to przyjaciele obchodzą ją bardzo. Mogłbym ci każąc ukraść jej moc, ale to nic by dla niej nie znaczyło. Zresztą nie zajmujemy się niszczeniem ludzi. Chodzi nam o to, żeby ich kontrolować.

Widząc, jak gra pan Jones, Dan miał ochotę wyskoczyć z własnej skóry. Co więcej, gówno go obchodziły motywy kierujące mężczyzną. Nie chciał wiedzieć, dlaczego każe mu robić te wszystkie rzeczy. Ważne, żeby mu płacił. Gorąco pragnął tylko tego, by odłożył kontroler, wstał z jego fotela i powiedział, czego, do cholery, chce od niego tym razem. Reszta była w jego opinii tylko trzepaniem konia.

— Ale jeśli będziemy dręczyć jej przyjaciółkę — podjął pan Jones, uśmiechając się błogo — no cóż, to będzie coś całkiem innego. W ten sposób otrzyma nauczkę, której pragnę jej udzielić. Przekona się, że nikt z tych, których kocha, nie jest bezpieczny. Że nie jest w stanie ich obronić. Na świecie jest teraz mnóstwo bardzo potężnych ludzi, Dan. Panowanie nad nimi nie zawsze musi się opierać na groźbach. Wystarczy zademonstrować im granice ich mocy. Świat mógł się zmienić z powodu wirusa, ale ludzie, no cóż, pozostają ludźmi.

Pan Jones każał CtrlFreakowi przeskoczyć nad kilkoma trupami. Potem przetoczył się do bezbłędnej pozycji kłęczącej, wyciągając pistolet przed siebie, i oddał jeden zabójczy strzał.

— Będziesz nam potrzebny jutro rano — oznajmił pan Jones, umieszczając kolejną kulę w głowie awataru następnego gracza. — Wyślę po ciebie furgonetkę o szóstej.

„Wygrałeś!” — zaświeciło na ekranie. Pan Jones wstał z fotela Dana i cisnął mu kontroler.

— Baw się dobrze — rzucił.

* * *

Michelle obudziła się z szumem w głowie. Wypiła tylko dwa piwa, ale przy jej obecnej wadze alkohol uderzył w nią z siłą ciężarówki firmy Mack. Szczerze mówiąc, to nie było takie złe. Kilkakrotnie zderzała się z takimi ciężarówkami. A raz nawet z autobusem. Czuła się sfrustrowana myślą, że nie ma pod ręką żadnego wielkiego pojazdu. Będzie się musiała zadowolić układaniem pięściami przez zombie Joey, dopóki nie odzyska zasobów tłuszczu.

Odwróciła się na drugi bok i zobaczyła, że Adesina leży zwinięta pośrodku dodatkowej poduszki. Uśmiechnęła się. Wyciągnęła rękę i dotknęła nowych warkoczy córki. Eksperymentowały z różnymi stylami, poszukując takiego, który spodoba się dziewczynce. Podejrzewała jednak, że Adesina po prostu lubi być czesana.

— Przestań się bawić moimi warkoczami, mamó — odezwała się mała dzokerka.

Michelle przyciągnęła ją do siebie.

— Ale one są takie piękne! Zazdroszczę ci!

Adesina zachichotała i otworzyła oczy.

— Mogłybyśmy zrobić ci takie same. Masz wystarczająco długie włosy.

— Tak, ale moje już następnego dnia wyglądałyby paskudnie, a twoje są śliczne. Zejdźmy na śniadanie. Przekonamy się, czy ciocia Joey ma w lodówce coś oprócz piwa.

* * *

Gdy zeszły na dół, Joey jednak nie było. W salonie i w kuchni nie widziały też żadnych zombi. A gdy Michelle wyszła na dwór, nie zobaczyła ani jednego martwego gołębia.

Cholera — pomyślała, otwierając furtkę. Wyszła na ulicę i rozejrzała się w obie strony. *Mówiłam jej, żeby nigdzie nie chodziła sama. Będę musiała zrobić coś, na co naprawdę nie mam ochoty. Kiedy ją znajdziemy, skopię jej tyłek.*

— Adesino — odezwała się. — Mówiłam ci, żebyś nie wchodziła do umysłu cioci Joey, ale teraz musimy ją szybko odnaleźć.

— W porządku, mamó — odparła dziewczynka i wleciała w jej ramiona. Gdy Michelle ją objęła, Adesina zamknęła oczy.

Po jakiejś minucie otworzyła je raptownie. Wysunęła się z ramion matki i sfrunęła na ziemię. Następnie zerwała się do biegu. Latać potrafiła tylko na krótkich dystansach, ale biegała szybko. Michelle pognąła za nią, po raz kolejny żałując, że nie nagromadziła więcej tłuszczu. Po chwili Adesina skręciła w prawo, a potem w lewo, po czym wpadła do zaułka. Michelle zalała fala smrodu rzygowin oraz rozkładających się odpadków. Na końcu zaułka przycupnęła wielki pojemnik na śmieci. Dziewczynka zwolniła, zbliżając się do niego, i Michelle usłyszała płacz. Przestała biec i podeszła ostrożnie do pojemnika.

Joey siedziała za nim, wsparta o ceglana ścianę budynku. Oplotła nogi ramionami, przycisnąjąc je kurczowo do ciała.

— Joey — rzekła cicho Michelle, zbliżając się ostrożnie. *O Boże* — pomyślała. *Powinnam była być przy niej.* — Joey, kochanie, to ja. Jestem Michelle.

Ramiona Joey zdrzętały. Potem spojrzała na nią.

— Jezu, Bańka — odezwała się głosem rwącym się od płaczu. — Nie powinnam była chodzić tu sama. Znowu ukradli mi moc. Nie widzę żadnego ze swoich dzieci.

Adesina podfrunęła na ramię Joey i pocałowała ją w policzek, po czym zeskokczyła na ziemię.

— Wszystko w porządku, ciociu Joey. Jesteśmy z tobą.

— Chciałam tylko kupić trochę ciastek na śniadanie — wyjaśniła kobieta, ocierając nos. — Croissanty i może trochę zawijanych. Wiem, że Koteczek je lubi. Chciałam kupić coś na

śniadanie. I nagle zrobiło się ciemno.

Michelle wyciągnęła rękę i dotknęła jej dłoni. Były drżące i zimne.

— Chodź — powiedziała, podnosząc ją na nogi. — Wracajmy do domu.

— Ale nie dostałam tych cholernych ciastek — upierała się Joey. — Nie mamy nic na śniadanie. Koteczek potrzebuje śniadania.

— Zjemy śniadanie później, Joey — odparła Michelle, powoli wyciągając przyjaciółkę z zaułka. — Adesina wytrzyma jeszcze chwilę bez niego. Prawda, maleńka?

Dziewczynka podfrunęła w ramiona Joey, która złapała ją odruchowo.

— W ogóle nie jestem głodna, ciociu.

— Ale musisz coś zjeść — nie ustępowała kobieta. — Miałam kupić ciastka. — Zaczęła się bawić warłoczkami Adesiny. — Matka zawsze plotła mi warłoczki.

Niech to diabli — pomyślała Michelle. *Traci zmysły. Musimy złapać tego, kto kradnie jej moc. A jeśli się nie uda, wymyślić coś, co pomoże jej radzić sobie z ich utratą. Dlaczego kradną moc Joey? Czemu nie mogą? Rzadko czuła się aż tak bezradna. Nie przychodził jej do głowy żaden sposób, by pomóc Joey, nie potrafiła też powstrzymać złodzieja jej mocy. Doprowadzało ją to do szaleństwa. Kiedy złapię tego, kto robi to Joey, wykończę go.* Wiedziała jednak, że to kłamstwo. Da sobie spokój z poszukiwaniem winnego, jeśli tylko zdoła zapewnić przyjaciółce bezpieczeństwo.

— Mogłybyśmy kupić zawijane ciastka po drodze do domu — zauważyła Joey. — Chcesz dostać coś na śniadanie, Koteczku?

Adesina zerknęła na Michelle.

— Najpierw odprowadzimy cię do domu — rzekła ta. — Później sama po coś wyjdę.

Joey przesunęła Adesinę na jedną rękę i złapała Michelle za nadgarstek

— Nie — sprzeciwiła się. — Kurwa, nie zostawiaj mnie samej. Proszę. Nie wtedy, gdy nie mam swoich dzieci.

— W porządku — zgodziła się Michelle, odpychając rękę Joey. — Nigdzie nie pójdę, jeśli tego nie chcesz. Coś wymyślimy.

Objęła przyjaciółkę ramieniem i zaprowadziła ją do domu.

* * *

— Gdzie mam wykorzystać te zombi? — zapytał Dan. Siedział w bagażówce z panem Jonesem i drugim facetem, który prowadził. Miał wrażenie, że głowa zaraz mu eksploduje. Moc Hoodoo Mamy miała się w jego czaszce i grzechotała jego kośćmi. Śpiewała w jego krwi. Pragnęła działać.

— Dan — odparł pan Jones ze zdumieniem w głosie. — Nie bądź niecierpliwy.

Chłopak drapał się po ramionach. Tym razem moc wydawała się inna. Bardziej gniewna.

Nigdy dotąd nie zwinął mocy potężnego asa więcej niż jeden raz. Myślał, że za drugim razem będzie tak samo, ale się mylił. Moc wydawała się niezależnym jestestwem. Jakby przełknął całą miszkę pszczoł.

— Panie Jones — odezwał się. — Nie czuję się za dobrze.

Jones obejrzał się na niego.

— Czy mógłbyś się wyrażać jaśniej? — zapytał pozbawionym wyrazu głosem.

— Nie... nie... nie jestem pewien — wyjąkał Dan. — Tym razem moc Hoodoo Mamy wydaje mi się inna. Trudno mi zatrzymać ją wewnątrz. Nigdy dotąd nie zwinąłem tak potężnej mocy więcej niż jeden raz.

Nie chciał, żeby pan Jones się dowiedział, jakdziwna wydaje się tym razem moc.

Zimne, ciemne oczy mężczyzny wpatrywały się uważnie w Dana. W normalnej sytuacji przestraszyłby się tego, ale moc, którą czuł, była zła i z każdą chwilą stawała się coraz gorsza.

— To bardzo irytujące — stwierdził pan Jones. — Nie spodziewaliśmy się, że twoja moc będzie tak... niekonsekwentna. — Odwrócił się w stronę kierowcy. — Jest jeszcze wcześnie, ale zróbmy już zrzut.

Bagażówka ruszyła gwałtownie naprzód. Dan uderzył głową w boczną szybę.

— Au — poskarżył się, ale pan Jones i kierowca pominęli to milczeniem.

Po kilku minutach pojazd się zatrzymał. Dan rozejrzał się wkoło. Przy ulicy stały domy w stylu wiktoriańskim. Większość była zaniedbana i w kiepskim stanie.

— Przeprowadź mi zombi — zażądał pan Jones, wyjmując kopertę z kieszeni marynarki. Pełen wdzięczności Dan sięgnął na zewnątrz skradzioną mocą i znalazł mnóstwo trupów.

— Co to ma być? — zapytał. — Szczur, pies, kot?

Pan Jones obejrzał się przez ramię z wyrazem pogardy na twarzy.

— Przeprowadź mi martwego człowieka, Dan.

Chłopak pochwycił najbliższego, którego znalazł. Użycie mocy przyniosło mu ulgę. Poczul, że zaczęła z niego odpływać. Jej gniewne brzęczenie przycichło.

— Gdzie ma pójść? — zapytał.

— Przeprowadź go tutaj, niech weźmie ten list i zanieś go do domu po drugiej stronie ulicy, dwa budynki od nas. Niech zadzwoni do drzwi i wręczy list temu, kto je otworzy.

— Ten z płotem z kutego żelaza? — zapytał Dan, żeby się upewnić. Nie chciałyby wkurzyć pana Jonesa.

— Tak

Chłopak zrobił, co mu kazano.

Zabrział dzwonek Joey podskoczyła nagle. Michelle wyciągnęła rękę i poklepała ją po ramieniu. Poczowała, że jej przyjaciółka drży.

Gdy otworzyła drzwi, na progu stał zombi z kopertą w dłoni. Michelle wzięła ją od niego i w tej samej chwili martwiak zwałił się na ziemię.

List był zaadresowany do niej. *W porządku — pomyślała. To wcale nie jest dziwaczne.*

W kopercie była pojedyncza kartka papieru.

Panno Pond

Nie przedstawiono nas sobie, ale moi pracodawcy są wielkimi Pani fanami. Już od lat podziwiali Pani liczne dobre uczynki. Uważają jednak, że miała Pani wspaniałą karierę, ale chyba już czas, by wycofała się Pani i zrobiła sobie długie wakacje.

Incydenty, które przytrafiły się Joey Hebert, są tylko drobną próbką tego, co możemy zrobić ludziom, którzy są Pani bliscy. Jeśli nadal będzie Pani przyciągać tak wiele uwagi, będziemy zmuszeni podjąć bardziej drastyczne kroki. Być może mające coś wspólnego z Pani dzieckiem.

Z niecierpliwością oczekuję naszego bliskiego spotkania.

Z wyrazami szacunku

Pan Jones

Gapiała się na list, próbując odgadnąć, kto mógł go wysłać. Nie ulegało wątpliwości, że „pan Jones” to pseudonim.

Czyżby Juliette miała rację? Czy chodziło o to, by ją zmarginalizować? Ale dlaczego atakowali Joey? Ona pomagała tym, którzy potrzebowali pomocy. Ludziom żyjącym na marginesie nowoorleańskiego społeczeństwa. Dlaczego ktoś miałby chcieć, żeby przestała? To prawda, że zdarzali się wśród nich kanciarze i inne podejrzane typy, ale większość stanowili bezdomni, którzy potrzebowali opieki.

A ja? — pomyślała Michelle. O co tu chodzi? Nie identyfikuję się już z żadną sprawą. Nie zwracam sobie głowy tym syfem z samoobroną obywatelską. Czemu miałabym kogokolwiek obchodzić?

— Michelle! — zawołała Joey, biegnąc ku niej korytarzem. — Moje dzieci! Kurwa, znowu je czuję! — Zatańczyła radośnie wokół przyjaciółki, a potem wyjrzała na zewnątrz. — Dlaczego na moim progu leży ciało?

Zwłoki usiadły, gdy Joey nad nimi zapanowała.

Michelle wręczyła list przyjaciółce, która szybko go przeczytała.

— Czy ten pan Jones to skurwysyn, który kradnie mi moc? — zapytała Joey, przeskakując z nogi na nogę, jakby cały dzień żłopała red bulla.

— Nie jestem pewna — odparła Michelle. — Może być tylko chłopcem na posyłki. Nie sposób tego odgadnąć. Podejrzewam, że znowu czegoś spróbują. Ale nie wiem, dlaczego uwzięli

się na ciebie.

Spojrzała na Joey i nie spodobało się jej to, co zobaczyła.

Jej przyjaciółka otwierała szeroko oczy i była piekielnie roztrzęsiona. Utrata mocy nie tylko ją denerwowała, lecz również budziła jej gniew.

— Joey — odezwała się Michelle. — Wiem, że to okropne utracić moc, ale kiedy byliśmy w LRA, powiedziałś mi, że czujesz się prawie szalona od tego, że zawsze wiesz, gdzie się znajdują wszystkie martwe ciała w okolicy. Czy trochę ci nie ulżyło, kiedy się od tego uwolniłaś?

Joey z drżeniem rąk oddała jej list.

— Nie, tak nie — odpowiedziała. — W LRA było bardzo dużo ciał. I bardzo wiele z nich to były martwe dzieci. Pamiętasz to, Bańka. Gdy moje moce zniknęły, zostałam tylko ja. Z początku to było przyjemne. Ale potem zaczęłam sobie przypominać, jak to było, zanim zostałam Hoodoo Mamą...

Jej głos ucichł.

Michelle zasępiła się, zamykając drzwi.

— Nie wiem, co robić. Nie ulega wątpliwości, że chcą, bym nie przyciągała uwagi, i są gotowi spier... zatruci ci życie, by mnie do tego zmusić. Może powinnam się skontaktować z kimś z Komitetu?

— Nie! — zawołała Joey. — Nie! Nie chcę, żeby ktoś się o tym dowiedział. Co, jeśli odbiorą mi moc na zawsze? Jezu, Bańka, co wtedy zrobię, do chuja? — Jej twarz się zmarszczyła, jakby kobieta zaraz miała się rozplakać, ale potem pojawiła się furia. — I, Bańka, chcę dorwać skurwysyna, który kradnie mi moc. Ten jebany, skurwysyński zasraniec pan Jones zapłaci mi za to.

— Też bardzo bym chciała, żeby tak się stało — przyznała Michelle. Musiała jakoś skłonić Joey, by sobie przypomniała, co się wydarzyło w chwili kradzieży mocy. Teraz właśnie to było najważniejsze. — Tym razem było taksamo jak przedtem, prawda?

Joey skinęła głową, ale nie przedstawiała dygotać.

— To znaczy, że kradną ci moc, używają jej, a potem ona wraca?

— Ehe.

— W takim razie podejrzewam, że nie potrafiaj jej zatrzymać. W przeciwnym razie po prostu ukradliby moce nam obu i do widzenia. Tak właśnie bym zrobiła na ich miejscu. I w obu przypadkach byłaś na dworze, więc może muszą cię widzieć albo być blisko?

Joey skinęła głową. Na jej twarzy pojawiła się ulga.

— Cieszę się, że tu jesteś, Bańka — wyznała z cieniem uśmiechu na twarzy. — No wiesz, nadal uważam, że jest z ciebie wredna obciągara.

— No cóż — odparła Michelle. — W połowie masz rację.

— Zapytamy Koteczkę, co chce dostać na śniadanie — zaproponowała Joey, gdy wróciły do salonu.

— Jeśli to nie piwo i burbon, będziemy musiały pójść do sklepu — zauważyła Michelle.

— Przeleć się tam — zaproponowała Joey. — Wytrzymam tu przez chwilę. Ale na pewno powie, że uwielbia burbona na śniadanie. Lubię tę dziewczynkę.

* * *

Mama i ciocia Joey się śmiały i Adesina poczuła, że ucisk w jej żołądku osłabł nieco — do chwili, gdy weszły do pokoju. Tylko udawały, że wszystko jest w porządku. Nie musiała wnikać do ich umysłów, żeby to zauważyć.

Na twarzy mamy widniał uśmiech, ale to nie był jeden z jej prawdziwych uśmiechów. Ciocia Joey również się uśmiechała, lecz Adesina dostrzegała duchy w jej oczach.

— Jesteś gotowa zjeść śniadanie? — zapytała mama, siadając na łanapie obok niej.

— Twoja mama mówi, że nie lubisz burbona na śniadanie — wtrąciła ciocia Joey. — Ciągle jej powtarzam, że jesteś moją najlepszą koleżanką, ale nie chce mi uwierzyć.

— Uwielbiam burbona na śniadanie, mamó — odparła Adesina ze szczerą miną.

— W porządku — zgodziła się mama. — Ale wyleję ci go na płatkę. Mniam-mniam.

— Błę — skrzywiła się Adesina. Kiedyś była bardzo niegrzeczna i wypila łyczek burbona cioci Joey. Był obrzydliwy. — Chcę francuską grzanekę.

— Pójdę do sklepu — obiecała Michelle. Pochyliła się i pocałowała Adesinę w czubek głowy.

— Uważaj na siebie, Bańka. Mogą ukraść ci moc — ostrzegła ją Joey i pochyliła się, by zawiązać sznurowadła starych tenisówek. Jej ręce nie przestawały drżeć. — Było paskudnie, kiedy ukradli moją pierdoloną moc. Kiedy zwiną twoją, będzie znacznie gorzej.

Mama wzruszyła ramionami.

— Pokazywałam się publicznie i mogli już to zrobić. Nie sądzę, by byli tym zainteresowani, Joey. — Pochyliła się i pocałowała Adesinę. — Nie pozwól cioci Joey zrobić nic głupiego, kochanie. Na przykład wychodzić z domu.

— Nie pozwolę, mamó — obiecała dziewczynka.

* * *

Dan potarł twarz. Omalże nie eksplodował od mocy Hoodoo Mamy. Nawet po jej użyciu nadal był diabelnie roztrzęsiony. Mogło jednak chodzić o to, że wciąż siedział w samochodzie z panem Jonesem i niesamowicie milczącym kierowcą.

— Hmm, czy moglibyście mnie wysadzić przy domu? — zapytał, wierząc się nerwowo.

— Tak, Dan, wysadzimy cię przy domu — odparł pan Jones z ledwie skrywanym

niesmakiem. — Bardzo mnie rozczarowałaś, Dan. W takim sprawach wybór odpowiedniej chwili jest bardzo ważny, a ty nie wykonałaś zadania.

Do brzucha chłopaka zakradł się chłód.

— Wiem — przyznał. — Już panu mówiłem, że nigdy jeszcze nie ukradłem mocy wielkiego asa więcej niż jeden raz. Nie spodziewałem się, że za drugim razem będzie tak dziwnie. Po prostu nie wiem, co się stało. To na pewno nic takiego.

Pan Jones nie odpowiedział.

Dan wytarł dłonie o spodnie. Milczący pan Jones był gorszy od mówiącego.

Postanowił, że gdy następnym razem pan Jones będzie czegoś od niego chciał, po prostu mu odmówi. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że jego możliwości mogą mieć ograniczenia, że dwukrotna kradzież potężnej mocy może spowodować skutki uboczne. Musiał się dowiedzieć, jak naprawdę wyglądają parametry jego talentu. Pan Jones z pewnością nie zechce mu w tym pomóc. Obchodziły go tylko jego własne, pojebane plany. I nic poza nimi.

Bagażówka zwołnła przed domem Dana. Chłopak sięgnął po kławkę, nim jeszcze się zatrzymała. Nie zdążył otworzyć drzwi, gdy pan Jones zacisnął rękę na jego nadgarstku.

— Chwileczkę, Dan — rzekł. — Zapomniałem ci zapłacić.

Trzymał w dłoni grubą, szarą kopertę.

Przez krótką chwilę chłopak miał ochotę nie przyjąć zapłaty. Potem jednak wziął kopertę.

— Skontaktuję się z tobą — zapowiedział pan Jones.

Chłopak skinął głową, choć miał ochotę odpowiedzieć: „Spierdalaj, ty zwariowany kutasie. Wolałbym zjeść sproszkowane szkło, niż znowu się z tobą spotkać”.

Dopiero gdy dotarł do frontowych drzwi, uświadomił sobie, że pan Jones nie ma absolutnie żadnych talentów dzięki karty.

* * *

Nie boję się — pomyślała Michelle. *No cóż, przynajmniej nie tak bardzo.* Pomimo Mardi Gras na ulicach nadal było dość pusto. Weszła do miejscowego sklepu na rogu i zaczęła łapać wszystko, czego potrzebowała, żeby zrobić francuskie grzanki.

— Hej, pani jest Zdumiewającą Bańczarką, prawda?

Michelle uniosła wzrok i zobaczyła młodą dziewczynę. Miała może z szesnacie lat, włosy ufarbowane na czarno, czarne ubranie, czarne martensy. We wszystko powbijiała sobie mnóstwo srebrnej biżuterii. Obrazu dopełniała blada twarz, grubo umalowane na czarno oczy oraz karmazynowe usta. Michelle zastanawiała się, jak to możliwe, że dziewczyna nie poci się pod tym wszystkim, wliczając w to gruby jak naleśnik makijaż.

— Ehe — zgodziła się. — To ja.

Wrzuciła bochenek chleba do koszyka i ruszyła w stronę naboju. Dziewczy na posłała za nią.

— Uważam, że to, co zrobiła pani na paradzie, to rewelacja — oznajmiła. — Była pani naprawdę świetna.

Do koszyka Michelle powędrowały jaja, chuda śmietana i masło.

— Dziękuję — odrzekała, przechodząc do działu warzywnego. — Robię, co mogę.

Co, jeśli to jest dzika karta, która kradnie moce? — pomyślała Michelle. *Jaki porqybany głqyb wysłałby przeciwko mnie dziewczynę?* Uświadomiła sobie jednak, że jeśli to właśnie była dzika karta, która ukradła moc Joey, będzie równie bezradna jak przy jaciółka.

— Chciałam pani powiedzieć, że naprawdę panią podziwiam — oznajmiła dziewczyna. — Od czasu *Amerykańskiego bohatera* jest pani moją ulubioną dziłą kartą.

Michelle uśmiechnęła się do dziewczyny. Jeśli chcieli ukraść jej moc, zrobią to wkrótce.

— Chciałabyś dostać autograf? — zapytała.

— Och, nie śmiałabym o to prosić — odparła dziewczyna. — Ale może pozwoli pani zrobić z sobą zdjęcie? — zapytała, unosząc komórkę.

— Jasne — zgodziła się Michelle. Objęła dziewczynę ramieniem i uśmiechnęła się. — A jak masz na imię?

— Dorothy — odpowiedziała dziewczyna, spoglądając na ekran. — Hej, wyszło rewelacyjnie.

— No cóż, jestem profesjonalistką — stwierdziła ze śmiechem Michelle. — A przynajmniej byłam.

— Hej, dziękuję — odparła Dorothy. — Hmm, chciałam pani powiedzieć, że nie uważam, że jest pani beznadziejną matką. Nie dbam o to, co gadają ludzie.

Michelle starała się zachować neutralny wyraz twarzy, ale poczuła się poirytowana. Potem jednak powiedziała sobie, że tak to już jest. Gdy człowiek staje się sławny, wyrzeka się jakiejś części siebie. Wiedziała też, że w gruncie rzeczy sprzyjało jej szczęście. Mimo że jej życie wypełniały dziwaczne wydarzenia, była w stanie płacić rachunki i zapewnić sobie oraz Adesinie porządek życia. Dlatego uśmiechnęła się i odpowiedziała:

— Jestem ci bardzo wdzięczna. Miło było cię poznać, Dorothy.

— Pan Jones chciałby się zobaczyć z panią i panią Hebert za dwa dni o dziewiątej rano na Jackson Square — dodała dziewczyna. — Uważa, że czas już, byście spotkali się osobiście.

Uśmiechnęła się radośnie i zniknęła.

Michelle przez pewien czas gapiła się tylko na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała Dorothy. *Ehe, tego się nie spodziewałam* — pomyślała. Potem wzięła w rękę butelkę ekstraktu waniliowego. Trafilo się jej ciężkie życie.

Joey myła naczynia po śniadaniu, a Michelle je wycierała. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie i to właśnie doprowadzało ją do szału. Nie wiedziała dlaczego. Rozumiała jednak, że nie tak powinna się czuć.

Gdy już skończyły jeść, Michelle poprosiła Joey, żeby parę jej zombi ją skopało, by mogła nabrać tłuszczu. Trwało to długo, ale w końcu przestała wyglądać jak na przerażającym zdjęciu reklamującym terapię odchudzającą i zrobiła się apetycznie pulchna. Joey uważała, że Michelle wygląda najładniej wtedy, kiedy jest pulchna. Podobały się jej dziewczyny z krągłościami.

Wróciły do środka i zaczęły sprzątać w kuchni. Adesina poszła na kanapę i zajęła swoją grą. Joey nie zwracała sobie głowy prośbami jej o pomoc. Jasne, jej matka mogłaby uznać, że rozpieszca dziewczynkę, ale Joey takna to nie patrzyła.

— Dostałam kolejną wiadomość od pana Jonesa — oznajmiła cicho Michelle, wycierając talerz.

Joey obejrzała się przez ramię, by sprawdzić, czy Adesina to usłyszała. Dziewczynka była jednakzaabsorbowana grą.

— Czego chciał, do chuja?

— Chce spotkać się z nami na Jackson Square, pojutrze o dziewiątej rano — odparła Michelle.

— Aha, i jego wysłannikiem była szesnastolatka, która potrafi się teleportować.

— Nie pójdziemy tam, prawda? — zapytała Joey. — To by było pierdolone szaleństwo.

Miała ochotę coś uderzyć. Mocno.

— Ja pójdę — wyszeptala Michelle. Wycierała naczynia, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie podczas rozmowy o jakimś zbirze, który chce ukraść ci moce. — Właściwie nie mamy innego wyjścia. Chyba że chcesz przejść do podziemia, opuścić dom i przybrać nową tożsamość. Unikanie tych ludzi, kimkolwiek są, da im władzę nad tobą.

— Ale oni już mają władzę nad nami, Michelle — wysyczała Joey. Woda z mydłem wylała się na podłogę, gdy gniewnie wrzuciła do niej patelnię. Zapomniałaś, że ukradli mi moc już dwa razy? Może teraz sięgną po twój.

Michelle skinęła głową, a potem otworzyła szufladę i zaczęła rozkładać sztućce.

— Mogą to zrobić — przyznała. — Ale to nie byłby dla mnie koniec życia. Wróciłabym do tego, kim byłam przedtem. Nie zmieniliby tego, co dokonałam, ani tego, kim jestem.

Zasunęła szufladę.

— Kurwa, łatwo ci mówić, Bańka — obruszyła się Joey. — Ty miałeś własne życie przed wyciągnięciem karty. Ja miałam gówno, pomijając tylko matkę. — Na myśl o matce poczuła w gardle paskudny ucisk. Przełknęła ślinę, próbując powstrzymać łzy. — Kiedy wyciągnęłam kartę, byłam jeszcze dzieckiem.

Mimo że Joey wygnała z pamięci niemal każdą chwilę owego dnia, rozbliski tego, co się wydarzyło, nadal wypływały od czasu do czasu na powierzchnię. Wiedziała też, że umarłaby wtedy, gdyby nie zmieniła się w Hoodoo Mamę.

— Wiem, że dla mnie to jest łatwe — przyznała łagodnym tonem Michelle. Rzuciła ścierkę na blat i zwróciła się w stronę Joey. — Dlatego właśnie muszę ci w jakiś sposób pomóc. Jeśli mi pozwolisz.

Joey cisnęła gąbkę do zlewu.

— A co, kurwa, możesz, swoim zdaniem, zrobić?

Michelle złapała jej dłonie.

— Mogę wysłać Adesinę to twojego umysłu... do twoich wspomnień, żeby... ci pomogła.

Joey znieruchomiała.

— Jak to pomogła?

— Wiesz, że potrafi wejść do twojego umysłu. No więc, kiedy byliśmy w LRA, gdy walki już się zakończyły, ale zostałyśmy na miejscu, by pomagać dzieciom, które tam znalazłyśmy, Adesina wnikała do umysłów niektórych z nich i... odbierała im ból. Sprawiała, że zapomniały, co im się stało. — Michelle przerwała. Wypuściła dłonie Joey, podniosła ścierkę, złożyła ją i powiesiła na wieszaku. — Kazałam jej przestać, bo robiła się potem bardzo przygnębiona.

— To, kurwa, dlaczego chcesz, żeby weszła do mojego umysłu, jeśli wiesz, że już raz tam była i to się jej kurewsko nie spodobało? — Ręce Joey drżały. Schowała je do kieszeni džinsów. — Nie chcę jej w swojej głowie. Nie chcę pamiętać. I nie będę. Po co miałybyśmy pamiętać?

— Długo się nad tym zastanawiałam — odparła Michelle. — Rozmawiałam też o tym z Adesiną, żeby się upewnić, czy mój plan jest realny. Ona będzie w twoim umyśle, ale nie w taki sposób, jak zwykle to się dzieje. Pójdę tam za nią. Czy raczej z nią. — Potarła z westchnieniem czoło. — Nie wiem, czy dobrze to opisuję. Adesina połączyła już raz ze sobą dwa różne umysły. Przy padkowo. To będzie trudne, ale pragnie ci pomóc. Biorąc pod uwagę, jak niewiele czasu mamy, nie widzę innego rozwiązania. Tak jest, zapewne w najbliższym czasie nie wybiorą mnie matką roku.

— Kurwa — warknęła Joey, kołysząc się na piętach. Potrząsnęła głową. — Nie sądzę, bym mogła pozwolić na to Adesinie. Co, jeśli zobaczy... coś, czego dzieci nie powinny widzieć? Co, jeśli ty to zobaczysz?

— Joey — zaczęła Michelle pełnym irytacji głosem. — Nie możemy uciekać przed tymi ludźmi. Jezus, nawet nie potrafisz odgadnąć, dla kogo pracują. Dostajesz świra, kiedy tracisz moc. Myślę, że potrafisz temu zaradzić. A przynajmniej uwolnić cię od wspomnień, które się wtedy budzą. Musisz się pogodzić z myślą o chwilowej utracie mocy. W przeciwnym razie zawsze będą mogli cię dorwać. A ja nie mogę bez przerwy być przy tobie. Tak to beznadziejne rozwiązanie,

ale nie mamy innego. Naprawdę myślisz, że zrobiłabym to własnej córce, gdybym miała jakiś inny pomysł? I czy mogę ci przypomnieć, że te skurczybyki zagrażają również Adesinie?

— Daj spokój, Bańka — odparła Joey, kołysząc się na palcach stóp. — Widziałam, jak robiłaś naprawdę paskudne rzeczy.

— Naprawdę? — mruknęła Michelle. Odwróciła się od Joey i zaczęła ustawiać naczynia w kredensie. — Witaj w świecie dorosłych.

* * *

Potrzeba było jeszcze dwóch godzin kłótni, nim Joey w końcu zgodziła się wpuścić Michelle i Adesinę do swego umysłu — i to tylko pod warunkiem, że zobowiążą się zakończyć eksperyment na jej żądanie.

— Gdzie chcesz to zrobić? — zapytała Joey. Były w salonie. Odesłała stojące tam zawsze na straży zombi, ponieważ Adesina uskarżała się na smród.

— Najłatwiej jest, kiedy ta druga osoba śpi — oznajmiła dziewczynka. — Tak właśnie znalazłam mamę. Była w śpiączce.

— Nie czuję się zmęczona — sprzeciwiła się Joey.

— Mogłybyśmy wejść na górę i skorzystać z sypialni dla gości — zasugerowała Michelle. — Połóżbyś się na łóżku i spróbowała odprężyć.

— Pierdol się — burknęła Joey. Odwróciła się i wyszła z pokoju. Michelle i Adesina podążyły za nią. Nie mogła też nie zauważyć, że przyjaciółka nie skarciła jej za język jakim posłużyła się w obecności dziecka.

* * *

Adesina czuła nerwowy ucisk w żołądku. Była przekonana, że potrafi wprowadzić mamę do umysłu cioci Joey. Ale czy mama będzie w stanie zapewnić jej bezpieczeństwo, gdy już się tam znajdzie? Dziewczynka kochała ciocię Joey, ale w mrocznych korytarzach i pokojach jej umysłu kryły się rzeczy, których się bała.

Ciocia Joey leżała na łóżku. Mama położyła się obok niej, a Adesina wskoczyła między nie i przytuliła się do nich. Ciało cioci Joey było sztywne, ręce mocno przyciskała do boków. Mama przetoczyła się na bok, wyciągnęła rękę i ujęła lewą dłoń cioci Joey. Ta westchnęła i odprężyła się nieco. I wtedy Adesina wśliznęła się do umysłu mamy.

W nim czuła się bezpiecznie. Umysł mamy był jak wielki, otwarty dom z pięknymi widokami za oknami i mnóstwem jasnych, przestronnych pokoi. Do kilku z nich mama nie chciała jej wpuścić, ale Adesina nie miała jej tego za złe. Mama tłumaczyła jej kiedyś, że w niektórych są rzeczy odpowiednie tylko dla dorosłych, a w innych te, które są prywatne.

W umyśle mamy były też króliki. Adesina je lubiła, ale nigdy nie potrafiła zrozumieć, po co mama trzyma ich tak wiele.

— Cześć, maleńka — odezwała się mama. Wyglądała przez okno, trzymając w dłoniach tłustego królika. — Jesteś gotowa?

Spojrzała na córkę, stawiając królika na podłodze. Dziewczynka podbiegła bliżej i skoczyła jej w ramiona.

— Jestem — zapewniła i sięgnęła ku ciotce Joey.

* * *

W jednej chwili Michelle znajdowała się we własnym umyśle — a przynajmniej w jego interpretacji stworzonej przez Adesinę — w następnej zaś obie stanęły przed drzwiami wejściowymi domu Joey w wersji ukształtowanej przez dziewczynkę. Był większy niż prawdziwy. Znajdowały się w nim korytarze odchodzące od głównego holu. Michelle zauważyła, że w każdym jest pełno zamkniętych drzwi.

— Joey? — zawołała, starając się nie krzyzczeć prosto w ucho Adesiny, mimo że wiedziała, iż w rzeczywistości wcale nie trzyma jej na rękach. — Joey, gdzie jesteś?

— Tutaj — dobiegła odpowiedź zza jej pleców. Zaskoczona Michelle odwróciła się błyskawicznie. Joey stała w wielobarwnym świetle napływającym do środka przez okno witrażowe. Wyglądała na młodszą i bardziej wstydliwą niż w realu.

— Diabelnie mnie przestraszyłaś — poskarżyła się Michelle. Wyciągnęła rękę i dotknęła zdobnej poręczy naściennej biegnącej wzdłuż korytarza. — Tutaj twój dom wygląda inaczej.

— Ehe. Nie wiem, czy to moja robota, czy Koteczka — odpowiedziała Joey. Obróciła się powoli, spoglądając na wejście i na korytarz. — Jeśli kiedyś się zdecyduję wyremontować tę rudere, może będzie wyglądała właśnie tak. Te drzwi wejściowe naprawdę są kurewsko fajne.

Michelle pocałowała Adesinę w czubek głowy i postawiła ją na podłodze.

— Tu się zatrzymasz, maleńka — oznajmiła. — Chcę, żebyś tu została, dobra? Ciocia Joey i ja resztę drogi pokonamy we dwie.

— Chwileczkę — odezwała się Joey. Odsunęła Michelle na bok i otworzyła pierwsze drzwi po lewej. — Przygotowałam coś dla Koteczka.

Adesina oraz Michelle odwróciły się i zajrzały do środka. Stały tam wyściełane kanapy obite wyblakłą tapicerką w chryzantemy. Ustawiono je przed wielkim płaskoekranowym telewizorem. Za stołem obok okna wykuszowego dwa zombi grały w warcaby. Na kanapach siedziało kilka wydr, jedzących prażoną kukurydzę i oglądających kreskówki. Adesina pisnęła z zachwytu, a potem wbiegła do pokoju i wskoczyła na kanapę obok najmniejszej wydry.

Michelle zerknęła na Joey, a następnie przechyliła głowę.

— Naprawdę? Czy wydry jedzą prażoną kukurydzę?

— Moja głowa, moje zasady — odparła Joey z uśmiechem, który zaskoczył jej przyjaciółkę.

— Poza tym, Adesina jest zachwycona tymi wydrami.

— Wiem — przyznała Michelle. — To dziwne, he? Chyba powinnyśmy już ruszać.

Z twarzy Joey zniknął uśmiech.

— Ehe, chyba powinnyśmy.

— Będziesz musiała iść pierwsza — stwierdziła Michelle. — Ja nie mam pojęcia, od czego zacząć.

— Ja mam — zapewniła Joey ze smutkiem w głosie. — Tędy.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Michelle przyjaciółka ujęła ją za rękę.

Weszły do przedostatniego z korytarzy odchodzących od głównego holu i ruszyły nim naprzód. Na ścianach umieszczono tu kinkiety, ale część żarówek się przepaliła. Ściany pomalowano na matowoszary kolor, a poręcze naścienne mogły się pochwalić falującym wzorcem barwy żółtozielonej, popielatej i brązowej. Po obu stronach było tu po troje drzwi, a na końcu ułożono siódme. Joey zwolniła. Michelle musiała złapać ją za dłoń i pociągnąć naprzód.

— Wiem, że nie chcesz tego robić — powiedziała. — Ale nie ma wyboru.

— Wiem — odpowiedziała, Joey, zatrzymując się przed pierwszymi drzwiami po prawej. Wyciągnęła rękę i otworzyła je.

Korytarz wypełnił blask słońca. Kobiety weszły do pokoju. Blask był tak jasny, że oślepił na moment Michelle. Zamrugała i zamazane plamy przerodziły się w ludzi.

Michelle i Joey stały na szczycie wzgórza. U jego stóp wysoka, gibka kobieta w niebieskiej letniej sukni na ramiączkach śmiała się z czegoś, co powiedział krzywonogi mężczyzna stojący obok. Pociągnęła długi łyk z wysokiego kieliszka, który trzymała w ręce. Wokół nich biegła niska, chuda dziewczynka.

— Mama — wyszeptła Joey. Potem wskazała na dziewczynkę. — A to jestem ja.

— Ile miałaś lat? — zapytała Michelle. Nie mogła oderwać spojrzenia od tej sceny. Wszystko było ciepłe i złociste.

— Jedenaście — odpowiedziała Joey drżącym głosem. Michelle zerknęła na nią.

— Czemu płaczesz? — zapytała skonsternowana. — Wyglądasz tu tak radośnie.

— Kurwa, to ostatnie szczęśliwe wspomnienie, jakie mam.

Michelle ponownie zerknęła na scenę. Włosy Joey spleciono w warkoczki. Miała na sobie różowy T-shirt i ogrodniczki. Odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się bez końca — żywy obraz matki.

— Pieprzyć to — powiedziała Joey. Wyciągnęła przyjaciółkę z pokoju i zatrzasnęła drzwi. Złociste światło zniknęło. Korytarz znowu zrobił się mroczny i ponury.

Joey wypuściła dłoń Michelle, podbiegła do kolejnych drzwi i otworzyła je szarpnięciem.

Przyjaciółka popędziła za nią. W środku matka Joey siedziała z nią na łóżku. Miała na sobie wystrzępioną domową suknię w kwiaty. Nie uczesała włosów. Joey wdziała niebieski T-shirt oraz wyblakłe, ale czyste dżinsy.

— Nigdy cię nie opuszczę, malutka — zapewniła matka Joey bełkotliwym głosem i pogłaskała córkę po głowie, bawiąc się jej warkoczami. — Nie wiem, skąd ci się biorą takie zwariowane pomysły.

Twarz Joey miała niezdrowy wyraz.

— Ostatnio bardzo często leżysz w łóżku, mamó — zauważyła dziewczynka, dotykając policzka matki. — Zapominasz o różnych rzeczach. I nie chcesz nic jeść...

Jej głos ucichł.

— Och, malutka, wiesz, że mama ma kiepską pamięć — mówiła kobieta, opierając się plecami o poduszki. Michelle zauważyła, że brzuch matki Joey jest rozdęty, a skóra ma popielatą barwę. Nawet białka jej oczu pożółkły. Była chora. Bardzo chora. — Zawsze miałam kiepską — ciągnęła. — To nic wielkiego. Wujek Earl John pomaga mi o wszystkim pamiętać.

— Mamó — powiedziała Joey, przysuwając się do niej. — Nie lubię wujka Earla Johna. Nie rozumiem, dlaczego z nim jesteś.

— Malutka — odpowiedziała jej matka, ponownie podnosząc się na poduszkach. Wyraźnie kosztowało ją to wiele wysiłku. — Kiedy będziesz większa, zrozumiesz, że życie jest ciężkie. Wujek Earl John opiekuje się nami. Kupuje nam to, czego potrzebujemy.

— Kurwa, nie chcę tego, co on kupuje — odburknęła ze złością Joey.

Matka uderzyła ją w twarz.

— Nie mów do mnie takim tonem — ostrzegła. Jej głos brzmiał gniewnie, ale w oczach błyszczał strach. — I nie używaj takiego języka.

Młoda Joey potarła policzek, a dorosła Joey skłopiowała ten ruch. Michelle chciała coś powiedzieć, żeby jej pomóc, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Jej rodzice byli okropni, ale przynajmniej nigdy jej nie bili.

Potem matka Joey zaczęła płakać.

— O Boże — mówiła, biorąc córkę w ramiona. — Tak mi przykro, malutka. Kocham cię i chcę, żebyś była bezpieczna po... Chcę, żebyś była bezpieczna. Wujek Earl John zapewni ci bezpieczeństwo. Obiecał.

— To był jedyny przypadek, gdy mnie uderzyła — odezwała się dorosła Joey tonem sugerującym łzy. — Nikomu nie pozwalała mnie dotknąć. Nigdy. Żadnemu z tych lachociągów, za których wychodziła za mąż. Ani tym, z którymi tylko się pierdoliła. Ją mogli stłuc na kwaśne jabłko, ale mnie nigdy nie powalała dotknąć.

Ponownie wyciągnęła Michelle na korytarz i zatrzasnęła drzwi.

— Dokąd teraz? — zapytała Michelle. Żarówki w kinkietach po obu stronach drzwi na końcu korytarza migotały słabo. Wskazała na nie. — A co powiesz na te?

— Nie — sprzeciwiła się Joey. Cofnęła się o krok ocierając łzy z policzków.

— Może ich właśnie szukamy — stwierdziła Michelle. Złapała przyjaciółkę za rękę i pociągnęła ku drzwiom.

— Michelle, nie! — zawołała Joey.

Było jednak za późno. Michelle otwierała już drzwi. Weszła do środka, ciągnąc przyjaciółkę za sobą, i znalazła się na szczycie wzgórza górującego nad cmentarzem. Wokół jednej z małych krypt zebrała się grupka żałobników.

Zauważyła wśród nich młodą Joey, odzianą w ciemnoniebieską suknię i płaczącą. Obok stał mężczyzna z pierwszego pokoju. Głaskał dziewczynkę po plecach. Na ten widok włoski na karku Michelle stanęły dęba.

Nagle znalazła się w salonie domu z amfiladą. Na stolikach do kart stały talerze z zapiekankami. Grupa kobiet kręciła się wokół nich i wokół Joey. Michelle mogła zajrzeć do kuchni, gdzie rozmawiali i pili mężczyźni. Kobiety w salonie skarzyły się na ich opilstwo w przerwach między próbami skłonienia Joey do jedzenia. Ale dziewczynka siedziała tylko na starej kanapie i płakała.

Scena znowu się zmieniła. Na dworze było ciemno. Michelle słyszała, że w głębi domu ktoś łązi. Joey nadal siedziała na kanapie, podciągając kolana pod brodę. Jej twarz miała nieobecny wyraz. Goście już poszli, a w salonie ktoś posprzątał.

— Hej, malutka — zabrzmiał donośny, bełkotliwy głos. Joey nie odpowiedziała, ale Michelle się odwróciła. O framugę opierał się niski, krzywonogi facet. Na koszuli miał plamy potu. Rozluźnił krawat. To był mężczyzna z pogrzebu — wujek Earl John.

— Malutka! — powtórzył głośniejszym głosem. Michelle czuła zapach alkoholu w jego oddechu. — Słyszysz mnie?

Przez chwilę Joey nie odpowiadała, ale potem zwróciła się ku niemu.

— Nie nazywaj mnie tak — zażądała pozbawionym wyrazu głosem. — Tylko matka może mnie tak nazywać.

— No cóż, twoja zapijaczona, zaćpana mamuska jest martwa jak kamień — odparł mężczyzna. Odsunął się od framugi i wszedł chwiejnym krokiem do pokoju. — Cała forsa, którą wydałem na tę pijacką, poszła do rysztoła. Ale ty mi to wynagrodzisz. Będziesz sprzątać, gotować obiady i spać ze mną.

Złapał ją. Joey krzyknęła, próbując uwolnić rękę, ale on nie puszczał. Pociągnął ją w górę.

Michelle odruchowo spróbowała puścić bańki, ale nic się nie wydarzyło.

Oczywiście. To było wspomnienie jej przyjaciółki, a ona była tu tylko widzem. Później sobie uświadomiła, że jej Joey — dorosła Joey — zniknęła.

— Puszczaj mnie! — krzyczała dziewczynka, ale jej głos i twarz zmieniały się ciągle. Raz była młoda, a raz dorosła. — Puszczaj!

Próbowała kopać, ale nic to nie dawało. Była tylko chudym dzieckiem.

Nie. Nie. Nie. Nie. Nie chcę tego widzieć — pomyślała Michelle. *Boże, nie chcę.*

Wspomnienie zaczęło się rozpadać. Michelle wróciła do sypialni. Przez otwarte drzwi łazienki na łóżko padał snop światła. Wszędzie unosił się intensywny zapach burbona.

* * *

Na suficie była plama. Brązowa plama od przeciekającego dachu. Joey świetnie pamiętała jej wygląd. Granice były ciemniejsze niż środek. Potem złapał ją za nogi i zaczął je rozciągać. Joey krzyczała. Puścił jedną z nóg i zaczął się szarpać z własnymi spodniami. Plama wyglądała jak Illinois.

Przygniatał ją wielki ciężar. Nie mogła się ruszyć. Świat kręcił się wokół. Pomyślała, że zaraz zwymiotuje. Odwróciła się na bok, targana mdłościami. Earl John zepchnął ją z łóżka.

— Idź rzygać do łazienki — rozkazał.

Doczołgała się tam. Kafelki na podłodze były niebieskie. Do tej pory uwielbiała ich kolor. Uniosła klapę i spróbowała zwymiotować, ale bez skutku, bo od dwóch dni nic nie jadła.

Coś spłynęło jej po nodze. Wytarła to. Kiedy cofnęła rękę, była lepka i pachniała rzeką.

* * *

Wspomnienie wróciło. Earl John unieruchomił ją na łóżku, brzuchem do dołu. Joey wtuliła twarz w poduszkę i wdychała zapach matki, który nadal tam zalegał. To były różane perfumy, mama lubiła je najbardziej. Joey słyszała swe żalosne krzyki oraz stękanie Earla Johna, miała jednak wrażenie, że te dźwięki dobiegają z jakiegoś innego miejsca. Z bardzo daleka.

Gdy skończył, stoczył się z niej i poszedł do kuchni. Usłyszała dźwięk otwieranej lodówki oraz kostek lodu wsypanych do szklanki.

Joey chciała umrzeć. To mogłoby się stać teraz, gdy jej nos wypełniał zapach matki. Byłyby razem i nie musiałyby już czuć też obrzydliwej lepkości między nogami.

— Nie ruszaj się, malutka — odezwał się Earl John. — Rozdzielwięz cię dziś we wszystkich otworach.

Joey nie rozumiała, co to znaczy. Wiedziała jednak, że mama nie chciała, by ją dotykał. Nigdy nie pozwalała żadnemu z nich tego robić. Żadnemu!

Earl John osuszył szklankę i postawił ją na komodzie. Ruszył w stronę Joey i czas znowu przeskoczył do przodu.

Ktoś łomotał w drzwi wejściowe. Potem rozległ się trzask pękającego drewna. Earl John

zerwał się nagle, podszedł do stolika i wyjął z szuflady pistolet.

— Co to, do diabła? — zawołał, odwracając się. Następnie krzyknął przeraźliwie. Joey odwróciła się i zobaczyła, że w drzwiach stoi mama.

— Skrzywdziłeś moje dziecko — rzekła, ale z jej ust dobiegał głos Joey. — Powiedziałam ci, żebyś się nią opiekował.

Earl John strzelił jej dwa razy w serce.

Ale ona tylko się uśmiechnęła.

— Nie zdołasz nas już więcej skrzywdzić, Earl John — oznajmiła. Te słowa również ukształtowały usta Joey. — Już nigdy więcej, ty skurwysynu.

Potem urwała mu głowę.

* * *

Joey siedziała pośrodku łóżka, podciągając kolana pod brodę. Wszystko miała obolałe. Mama usiadła obok niej.

— Przepraszam, malutka. Nie powinnam była zostawiać cię samej.

Nadal mówiła głosem Joey.

— W porządku, mamó. — Podczołgała się do niej, objęła ją i wsparła głowę na jej ramieniu. — Teraz jesteś ze mną. — Joey rozejrzała się po pokoju. Wszędzie walały się szczątki Earla Johna. Pościel pokrywały obrzydliwe plamy krwi. Spojrzała na siebie. Miała siniaki na nogach i rękach oraz krew na udach. Zaczęła dygotać. — Co mam zrobić? — zapytała. — Muszę coś zrobić.

Mama się roześmiała.

— Hej, malutka, musisz się ubrać. Ale przedtem powinnaś się umyć. Skorzystaj z mojego prysznicza.

Joey zsunęła się z łóżka, ale nogi miała tak słabe, że ledwie mogła się na nich utrzymać. Mama złapała ją i pomogła dojść do łazienki. Potem odkręciła wodę pod prysznicem i zaczęła, aż zrobi się ciepła, prawie gorąca. Następnie pomogła Joey wejść do kabiny. Dziewczynka wysmarowała się całą mydłem mamy, aż wreszcie czuła tylko jego zapach.

Potem mama pomogła jej się ubrać i znowu spłótła jej warkocz. Poszły razem do pokoju Joey i spały w walizkę. Później mama wróciła do swojej sypialni, przerzuciła rzeczy Earla Johna i znalazła całą jego gotówkę. Joey czekała, aż mama skończy.

— Dokąd pojedziemy, mamó? — zapytała po jej powrocie.

— Dokąd tylko zechcesz, malutka — odpowiedziała mama głosem Joey. — Dokąd tylko zechcesz.

* * *

Po tym, jak mama ją uratowała, wspomnienia rozpadły się na kawałki.

Po tej straszliwej nocy zawsze jednak miały w sobie jeden stały element. Zombi. Po ożywieniu matki Joey zaczęła wskrzeszać coraz więcej i więcej umarłych. Ciała często były w rozmaitych stadiach rozkładu, ale smród w ogóle jej nie przeszkadzał. Im więcej zombi gromadziła, tym silniejsza się czuła. Mama była z niej dumna.

Ale, jak wszystkie martwiaki, w końcu zaczęła się rozpadać. Dopiero wtedy Joey uświadomiła sobie, że jej matka naprawdę odeszła.

Odprowadziła ją z powrotem do krypty i zostawiła tam. Następnie zanurzyła się w półświatku Nowego Orleanu i została Hoodoo Mamą. Pod tą postacią władała drobnymi kanciarzami, ulicznymi dziwkami oraz ludźmi, którzy byli zagubieni i wypadli na margines. Joey była królową tego świata, a sprawiedliwość, jaką wymierzała mężczyznom krzywdzącym kobiety, była szybka i straszliwa.

Hoodoo Mama nikomu już nie pozwoliła skrzywdzić Joey.

* * *

Obserwując to wszystko, Michelle uświadomiła sobie, że była w błędzie. Choć najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnęła wymazać z umysłu przyjaciółka straszliwe wspomnienie tego, co wydarzyło się tamtej nocy, to nie byłby słuszny postęp. To wspomnienie stało się częścią Joey. Istniały sposoby mogące jej pomóc uporać się z bólem, ale gdyby Adesina po prostu usunęła tę część, to nie byłoby dobre. W ten sposób na zawsze wygnałaby Hoodoo Mamę.

Będą musiały jakoś inaczej poradzić sobie z panem Jonesem i jego kradnącym moce asem.

Gdy tylko Michelle to zrozumiała, znalazła się z powrotem w holu z Joey i Adesiną. Jej przyjaciółka siedziała na podłodze.

— Kochanie, skąd się tu wzięłaś? — zapytała Adesinę. — Chyba mówiłyśmy ci, że masz zostać w pokoju z wydrami.

— Wiem, mam — odpowiedziała dziewczynka. Siedziała na tylnych nogach, a przednie włożyła w dłonie Joey. Po policzkach kobiety spływały łzy. — Ale ciocia Joey mnie potrzebowała, a ty ugrzęzłaś.

— Widziałaś coś? — zapytała nerwowo Michelle.

Adesina potrząsnęła głową.

— Nie. Tylko trochę zombiaków. Ale one są tu wszędzie.

Michelle klapnęła na podłogę obok Joey.

— Nic ci się nie stało?

— Nie wiem — odparła jej przyjaciółka, potrząsając głową. Spojrzała na nią. Na policzkach miała ślady łez, a jej oczy były czerwone i podpuchnięte. — Matka do mnie wróciła i kazała mu

za to zapłacić. Obiecała, że zapewni mi bezpieczeństwo. — Po jej policzkach spływały łzy. — Kurwa, nienawidzę płakać — poskarżyła się. — I nigdy, przenigdy nie chciałam już o tym myśleć. Hoo doo Mama wszystko bezpiecznie zamknęła.

— Posłuchaj — zaczęła Michelle, ocierając łzy z jej twarzy. — To, co cię spotkało, było straszne. Byłaś jeszcze dzieckiem. Zrobiłaś to, żeby przetrwać.

— Skurwysyn sam się o to prosił — wyszczała Joey.

— Och, myślę, że to za mało powiedziane — odparła Michelle. Usiadła przed Joey i ujęła jej dłonie. — Ale byłaś wtedy jeszcze małą dziewczynką. Teraz jesteś dorosłą kobietą, nawet jeśli ukradną ci moc. Nie mogą nad tobą zapanować.

— Ale jeśli nie jestem Hoodoo Mamą, to kim jestem? — zawołała żałośnie Joey. — Widziałaś, co mnie spotkało. Jeśli nie jestem Hoodoo Mamą, jak mogę powstrzymać tych skurwysynów?

— Jesteś pierdoloną Joey Hebert — warknęła Michelle. — A pierdolona Joey Hebert jest Hoodoo Mamą bez względu na to, czy ma moc dzikiej karty, czy nie. Oto kim jesteś, do licha. A pojutrze powiemy panu Jonesowi, żeby się odpierdolił od nas obu.

— Mamó — odezwała się Adesina. — Język

* * *

Gdy ruszyły na spotkanie z panem Jonesem, było gorąco i parno. Joey szczypały oczy od niewyspania. Potarła powieki. Słyszała, że Michelle wstała pośrodku nocy i zeszła na dół. Gdzieś o czwartej wróciła do łóżka. Joey doszła do wniosku, że ona też nie może spać.

O ósmej rano ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Joey podeszła do nich w towarzystwie dwóch zombiaków o budowie zawodowych futbolistów. Na progu stała blondynka w schludnym granatowym kostiumie. Potem zobaczyła czarną terenówkę z półprzezroczystymi oknami, stojącą pod domem.

— Dzień dobry. Jestem Clarice Cummings. Przyjechałam po córkę panny Pond — przedstawiła się uprzejmie blondynka. — Mogłaby pani ją zawiadomić, że już jestem?

To kolejna sztuczka pana Jonesa — pomyślała natychmiast Joey. Jej zombi podeszły do kobiety.

— Nie dam się tak łatwo nabrać, moja pani. Może pani powiedzieć panu Jonesowi, żeby spierdalał do wszystkich diabłów. Albo odeślę mu panią w kawałkach.

— Joey, wszystko w porządku — zawołała Michelle, podbiegając do drzwi. — Poprosiłam ją o przysługę. Dziękuję za pomoc, panno Cummings. Adesina zaraz przyjdzie.

Kobieta się uśmiechnęła i Joey doszła do wniosku, że trochę ją polubiła.

— Z przyjemnością wam pomogę. Adesina to jedna z moich ulubionych uczennic.

— Panno Cummings! — zawołała dziewczynka, przepychając się między nogami Joey

i Michelle. — Mam, nie powiedziałaś mi, że panna Cummings tu przyjdzie!

— Chciałam ci zrobić niespodziankę — odparła z uśmiechem Michelle. — Zresztą w tym tygodniu opuściłaś już za dużo lekcji. Pójdiesz z panną Cummings, a po południu po ciebie przyjadę.

— Nie mam tornistra — zmartwiła się Adesina.

— Nic nie szkodzi — uspokoiła ją panna Cummings. — Wszystko na dzisiaj mamy w komputerze.

Dziewczynka zaczęła podskakiwać z radości. Panna Cummings roześmiała się, po czym odwróciła i zaczęła schodzić po schodach. Adesina podążyła za nią.

— Nie pocałujesz mnie na pożegnanie? — zapytała Michelle drwiąco smutnym tonem.

Dziewczynka odwróciła się i padła jej w ramiona.

— Przepraszam, mam — powiedziała i dała jej wielkiego całusa w policzek

Michelle pocałowała ją w czoło.

— Wkrótce się zobaczymy — obiecała i postawia dziewczynkę na ziemi.

Adesina podbiegła z powrotem do pani Cummings i zaczęła radośnie szczebiotać o lekcjach.

Joey potrząsnęła głową.

— Kurwa, nie rozumiem tego. Ja nienawidziłam szkoły.

— Ale Adesina ją kocha — stwierdziła Michelle. — A ja musiałam znaleźć dla niej jakieś bezpieczne miejsce na dziś. Przed powrotem do Stanów rozmawiałam z Juliette o tym, jak rozwiązać problem wykształcenia Adesiny. Nie chciałam jej posyłać do normalnej szkoły, ale głupio by było, gdybym uczyła ją sama. Myślałam nawet o tym, żeby się przenieść do Dżokrowa i wysłać ją tam do szkoły, ale bałam się, że tam będą ją uczyć tylko tego, jak być dżokrem. Chciałam, żeby odebrała możliwie normalne wykształcenie.

— Chciałaś powiedzieć, tak normalne, jak to możliwe w przypadku dżokerkę, która potrafi wnikać do umysłów innych dzikich kart? — zapytała ze śmiechem Joey. — A do tego jej matka jest jednym z najpotężniejszych asów na Ziemi? — Odwróciła się i weszła do środka. — Idziesz?

— Pewnie tak — odparła Michelle. Weszła za Joey do domu i zamknęła drzwi frontowe. — Potem Juliette dowiedziała się o tym programie dla dzieci z dziką kartą. Monitorują ich rozwój, mogą chodzić na lekcje i mają miejsce, gdzie nie są jedynymi dzikimi kartami. To mieszanka dwójek, asów i dzikich kart. Pozwalają na bardzo elastyczny program. Adesina rozpoczęła tam naukę zaraz po powrocie z Afryki.

Obie kobiety zeszły do kuchni. Joey wyciągnęła ekspres, a Michelle wyjęła kawę z kredensu, bawiąc się torebką.

— Jest jeszcze jedno — odezwała się. — Panna Cummings wie, że jeśli coś mi się stanie, po Adesinę przyjedzie Juliette.

— Nic ci się nie stanie — zapewniła Joey. — Co mogłoby ci się stać?

— Kto wie? — odparła Michelle, wzruszając ramionami.

Obie jednak wiedziały, że jeśli ukradną jej moc, będą mogli ją zabić.

* * *

Michelle nie była na Jackson Square od czasu, gdy wchłonęła energię jądrowej eksplozji Małego Grubaska. W narożniku parku zbudowano dla niej kapliczkę. Małą oficjalną plakietkę zdobiły kwiaty oraz ręcznie wykonane znaki.

Wiedziała, że pan Jones wybrał to miejsce, by zamieszać jej w głowie. Pochłonięcie energii wybuchu źle wpłynęło na Michelle. Doprowadziło ją niemalże do szaleństwa i sprawiło, że zapadła w śpiączkę, w której błąkała się przez z górą rok. Dopiero Adesina ją odnalazła i wyciągnęła z tego mrocznego, szalonego miejsca.

Na placu i w jego okolicach było dziwnie pusto. Michelle nie spodobało się to nawet w najmniejszym stopniu. Ona i Joey były tu jedynymi ludźmi. Nawet Café du Monde była nietypowo wyludniona. Zwykle też na ławkach leżało tu przynajmniej paru bezdomnych. Ale nie dzisiaj. Z pewnością to również zaaranżował pan Jones.

Rozejrzała się wkoło. Pan Jones jeszcze się nie zjawił, ale przyszły trochę przed terminem. Joey obserwowała cały plac za pomocą martwych ptaków oraz owadów. Zgodziły się, że nie będzie przesadnie eksponowała swej mocy. Nie tylko dlatego, że chciały zademonstrować panu Jonesowi, że są skłonne do współpracy, lecz również z uwagi na możliwość ponownej kradzieży mocy Joey. W takim przypadku druga dzika karta miałaby pod ręką mniej martwych ciał do wykorzystania.

— Jak, do licha, zdołali stąd wszystkich przegonić? — zapytała Joey. Wepchnęła ręce do kieszeni dżinsów i zaczęła się kłyssać na piętach.

— Nie mam pojęcia — odparła Michelle, wzruszając ramionami. — Muszą być cholernie wpływowi, jeśli zrobili to w trakcie Mardi Gras.

— Przyszłyście za wcześnie — odezwał się pan Jones.

Michelle podskoczyła nagle, a potem się odwróciła. Obok pana Jonesa stali Dorothy oraz młodzieniec w bluzie z kapturem. W jej ręce uformowała się bańka. Michelle nadała jej duży ciężar. Kiedy ją wypuści, stanie się szybka jak diabeł. A gdy uderzy, będzie jatka. Mogli ukraść jej moc, ale zdąży jeszcze wypuścić ostatnią bańkę. I postara się, by była skuteczna.

— Cześć, Michelle — zawołała radośnie Dorothy. Dzisiaj miała na sobie jasnoniebieską suknię z fartuszkami w paski, a włosy związała sobie w warkoczki.

— Obracasz się w złym towarzystwie — zauważyła Michelle. — Ale ubierasz się ładnie.

Dorothy wygładziła z uśmiechem spódnice.

— Dziękuję! Mama zawsze mi powtarza, że będę miała kłopoty.

Tworzyli dziwnie dobraną grupę: dziewczyna, chłopak w bluzie z kapturem oraz mężczyzna z pewnością zaliczający się do tych, którzy najpierw zabijają, a potem zadają pytania. Michelle wiedziała, że Dorothy jest teleporterką, nie mogła więc być złodziejką mocy. Zostawali tylko pan Jones i chłopak z niefortunną cerą.

— Chcę przeprowadzić z panią małą rozmowę — podjął pan Jones, odsłaniając zęby w szerokim uśmiechu. Choć było parno i robiło się coraz goręcej, nie sprawiał wrażenia zgrzanego. Michelle zastanawiała się, jak to możliwe. Nawet jego garnitur był świeży i nieskalany.

— Dorothy już pani poznała. To jest Dan. To on kradł moc panny Hebert.

— Pierdol się! — zawołała Joey.

— Och, to mało prawdopodobne — stwierdził pan Jones. — Gdyby stanęła pani pod wiatr od niego, zrozumiałaby pani dlaczego.

— Hej! — zaprotestował zakapturzony.

— Dlaczego pan nam to mówi? — zapytała Michelle. — Nie widzi pan tej bańki? Czy pański chłopak potrafi ukraść moc nas obu, zanim ją wypuszczę?

Pan Jones znowu się uśmiechnął. Michelle naprawdę wołałaby tego nie widzieć. Walczyła już z szaleńcami. A nawet z ludźmi, których z przekonaniem uważała za złych. Ale pan Jones był gorszy. Jego oczy były zimne i martwe. Garnitur i wszystkie uśmiechy nie mogły ukryć faktu, że jest całkowicie pozbawiony człowieczeństwa.

— Myślałem, że wyrażam się jasno, panno Pond — odrzekł. — Zabicie mnie, czy nawet nas trojga, nie powstrzyma mojej organizacji. Może mnie pani uznać za chłopca na posyłki. Dostarczam towar, wysyłam wiadomości i sprzątam śmieci. W ogólnym planie rzeczy nie jestem ważny.

Uśmiechnął się raz jeszcze. Powtórka nie wyglądała lepiej od oryginału.

— Na przykład — ciągnął — mógłbym zabić naszego młodego Dana.

Szybkim ruchem wyjął z kieszeni marynarki glocka i przystawił go do głowy zakapturzonego.

— Niech to chuj! — zawołała Joey.

— Kurwa! — zaprotestował zakapturzony.

Michelle wypuściła bańkę, ale Dorothy dotknęła pana Jonesa oraz zakapturzonego i przeteleportowała ich dziesięć stóp w lewo. Bańka uderzyła w otaczający park płot z kutego żelaza, wybijając w nim wielką dziurę.

— Spokojnie, panno Pond — rzekł pan Jones. — Po prostu próbuję zademonstrować, że nawet użyteczni ludzie z czasem tracą użyteczność. Dan się przydawał, ale jego moc, w przeciwieństwie do pani mocy, sprawia wrażenie nieprzewidywalnej. Ale możemy się

przy stosować.

— Jezu, facet — zawołał drżącym głosem zakapturzony. — Zrobię, co zechcesz, tylko mnie nie zabijaj.

— Panna Hebert ma bardzo sympatyczną moc, ale jej profil psychologiczny jest... niedoskonały — ciągnął pan Jones z bladym uśmiechem, ignorując Dana. — Jest zbyt niestabilny, byśmy mogli ją wykorzystać do czegokolwiek poza manipulacją panią.

Michelle pragnęła wybić w nim dziurę, ale wiedziała, że Dorothy znowu go przeteleportuje.

Wtedy właśnie usłyszała gdzieś w górze słaby szelest.

Uniosła wzrok i zobaczyła setki nieumarłych ptaków opadających ku nim po spirali.

— To bardzo irytujące — stwierdził pan Jones. — Dorothy...

Dziewczyna złapała Dana za tył bluzy. Oboje zniknęli. Zmaterializowali się w pobliżu Joey i zakapturzony złapał ją za rękę. Kobieta krzyknęła.

Ptaki nagle zaczęły latać bez ładu, zderzając się ze sobą.

Nagle Dan krzyknął. Twarz mu poczerwieniała. Na szyi uwydatniły się żyły.

— Dan — rzekł ze spokojem pan Jones. — Bardzo mnie rozczarowałaś.

Skrzywił się i ponownie wycelował w chłopaka. Jeden spleśniały gołąb uderzył pana Jonesa w twarz, a potem Dan i Joey westchnęli jednocześnie.

Stado nieumarłych ptaków odzyskało spoistość. Znowu zaczęło opadać na pana Jonesa i chłopaka.

— Bawiłeś się moim bólem, skurwysynu — oznajmiła Joey. — To nieładnie.

Dan podźwignął się na kolana i skoczył na Michelle. Gdy dotknął jej ramienia, poczuła w swym wnętrzu straszliwe szarpnięcie. Świat przechylił się i poszarzał na chwilę. Potem kontakt przerwano i kobieta zatoczyła się do tyłu. Czowała się pusta w środku, jakby ktoś wyrwał jakąś jej nieodłączną część. To było straszne.

Chłopak osunął się z jękiem na kolana. Bańki wypełniały jego ręce i unosiły się ku atakującym go ptakom. Ale zamiast eksplodować, po prostu ulatywały ku niebu, jakby zrobiono je z wody z mydłem.

Następnie moc Michelle wróciła do niej niczym fala przyływu. Wypełniła ją i uczyniła kompletną. Kobieta poczuła dojmującą ulgę. Znowu była Bańczarką.

Dan nadal leżał na ziemi. Michelle wyraźnie widziała, że jego moc się wyczerpała. Została tylko Dorothy i jej teleportacja oraz pan Jones i jego glock.

— Dziewczyno — odezwała się Joey zimnym głosem. — Nazywasz się Dorothy, tak? Sugeruję, żebyś zwała do skurwysynów, którzy cię tu przysłali, i powiedziała im, że jesteśmy nietykalne. Bo inaczej będzie więcej tego.

W mgnieniu oka stado skrzydlatych zombi opadło na pana Jonesa i Dana.

Chłopak leżał tylko na ziemi, drząc i łkając, gdy ptaki pokryły go w całości. Michelle przeszły krótkie ukłucie poczucia winy, ale potem przypomniała sobie, jak się czuła, kiedy ukradł jej moc, i wypełnił ją zimny gniew.

Pan Jones unosił pistolet w górę, lecz kule były bezużyteczne w starciu ze stadem martwych ptaków. Opuścił broń i wycelował w Joey, ale było już za późno.

Ptaki spowiły go szczerlnie. Krzyczał, gdy rozszarpywały jego ciało. Wypuścił pistolet i zaczął je zrywać ze swojej twarzy, rozdzierając je na strzępy. Było ich jednak za wiele. A z góry wciąż opadały nowe.

— Jestem Hoodoo Mama, skurwysyny — oznajmiła Joey lodowatym, władczym tonem.
— A to jest moja parafia.

Dorothy pisnęła, a potem zniknęła.

Zrobiło się ciemno. Michelle znowu uniosła wzrok. Tysiące martwych ptaków wypełniły niebo, przesłaniając słońce. Nigdy dotąd nie widziała, by Joey wskrzesiła jednocześnie tak wiele stworzeń.

Gdy spojrzała na przyjaciółkę, ogarnęła ją bojaźń. Przerazona, nerwowa dziewczyna, którą próbowała ochraniać, zniknęła. Oczy Joey przybrały nieprzenikniony czarny kolor, a jej twarz była pełna gniewu. Wydawało się, że kobieta rośnie z każdą chwilą, jakby stała się siłą natury.

Nie, ona stała się siłą wykraczającą poza naturę.

Mocą potężniejszą niż śmierć.

Hoodoo Mamą.

I niech Bóg pomoże każdemu, kto spróbuje ją skrzywdzić.

W następnej chwili pan Jones zniknął, przykryty przez martwe stworzenia. Nie przestawał krzyczeć. Pod stadem ptaków zbierała się kałuża krwi.

— O Jezu! — wrzeszczał. — Pomóż mi! Jezu, pomóż mi!

— Jezus cię nie uratuje, skurwysynu — oznajmiła zimnym głosem Joey. — Nikt cię nie uratuje.

Potem chmara ptaków upadła razem z panem Jonesem na ziemię. Mężczyzna nie przestawał wierzeć i krzyczeć.

— Mamo — wołał. — Mamo!

Jego głos przeszedł w wysokie zawodzenie.

Wreszcie pan Jones umilkł. Przez prawie minutę jedna z jego wystających spod masy ptaków nóg wierzyła bezładnie.

Później przestał robić nawet to.

Dan umilkł i znieruchomiał już jakiś czas temu.

Joey odwróciła się i spojrzała z błogim uśmiechem na Michelle.

— Chyba miałaś rację, Bańka — stwierdziła. — Myślę, że sobie poradzę.

Rozpostarła szeroko ręce i zakręciła się wkoło. Dziesięć tysięcy nieumarłych ptaków okrążyło ją i uleciało pod niebo.

Przetłumaczył Michał Jakuszewski

GEORGE R.R. MARTIN

Księżniczka i królowa

albo Czarni i Zieloni

czyli historia przyczyn, początków, bitew i zrad nadzwyczaj tragicznej rzezi znanej jako Taniec Smoków, zrelacjonowana przez arcymaestera Gyldayna z Cytadeli Starego Miasta

(THE PRINCESS AND THE QUEEN, OR, THE BLACK AND THE GREENS)

George'a R.R. Martina, zdobywcę nagród Hugo, Nebula i World Fantasy, autora sławnego cyklu fantasy *Pieśń lodu i ognia*, którego książki wielokrotnie trafiały na listę bestsellerów „New York Timesa”, często zwie się „amerykańskim Tolkienem”.

Martin urodził się w Bayonne, w stanie New Jersey. Pierwsze opowiadanie sprzedał w roku 1971 i szybko osiągnął pozycję jednego z najpopularniejszych pisarzy science fiction lat siedemdziesiątych. Stał się jednym z najważniejszych autorów „Analogu” redagowanego przez Bena Bove, dzięki takim opowiadaniom, jak *Mgły opadają o świat*, *Nie wolno zabijać człowieka*, *Drugi rodzaj samotności*, *Planeta burz* (napisana wspólnie z Lisą Tuttle i potem rozbudowana do powieści *Przystań wiatrów*) i innym, choć publikował też opowiadania w „Amazing”, „Fantastic”, „Galaxy”, „Orbit”, a także w innych czasopismach i antologiach. Jeden z utworów, które ukazały się w „Analogu”, zapadająca w pamięć nowela *Pieśń dla Lyanny*, zapewnił mu pierwszą nagrodę Hugo w roku 1974.

Pod koniec lat siedemdziesiątych Martin osiągnął szczytowy punkt swej kariery pisarza science fiction i wydał najlepsze utwory, jakie napisał w tej kategorii, jak *Piaseczniki*, jego najpopularniejsze opowiadanie, które zdobyło Nebulę i Hugo w roku 1980 (w roku 1985 Martin dodał do kolekcji jeszcze Nebulę za opowiadanie Portrety jego dzieci), *Droga krzyża i smoka*, która otrzymała w tym samym roku nagrodę Hugo (Martin był pierwszym autorem, który zdobył w jednym roku dwie nagrody Hugo za utwory literackie), *Mrożne kwiaty*, *Kamienne miasto*, *Gwiezdna pani* i inne. Te opowiadania wydano w zbiorze *Piaseczniki*, jednym z najlepszych opublikowanych w tym okresie. W owym czasie oddalił się już od „Analogu”, choć w latach osiemdziesiątych miał jeszcze wydać w prowadzonym wówczas przez Stanleya Schmidta piśmie długą serię opowiadań o zabawnych przygodach międzygwiazdowego podróżnika Havilanda Tufa (połączonych potem w książkę *Tuf Wędrowiec*), a także trochę dobrych samodzielnych opowiadań, jak nowela *Żeglarze nocy*. Większość jego najważniejszych utworów w późnych latach siedemdziesiątych i wczesnych osiemdziesiątych ukazywała się jednak w „Omni”. W tym okresie ukazała się też jego jedyna samodzielna powieść SF, zapadające w pamięć *Światło się mroczy*, opowiadania zaś zebrano w kolekcjach *A Song for Lya*, *Piaseczniki*, *Songs of Stars and Shadows*, *Songs the Dead Men Sings*, *Nightflyers* oraz *The Portraits of His Children*. Z początkiem lat osiemdziesiątych oddalił się od science fiction i zajął horrorem. Wydał powieść *Ostatni rejs „Fevre Dream”* i zdobył nagrodę Brama Stokera za opowiadanie *Człowiek w kształcie gruszki*, a także nagrodę World Fantasy za nowelę o wilkołakach *Obrót skórą*. Pod koniec dziesięciolecia załamanie się rynku horroru oraz komercyjne niepowodzenie jego ambitnej powieści grozy *Rockowy Armagedon* skłoniło Martina do porzucenia świata druku i rozpoczęcia udanej kariery w telewizji. Przez ponad dziesięć lat pracował jako scenarzysta albo producent seriali takich jak nowe *Twilight Zone* oraz *Piękna i bestia*.

Po wielu latach Martin powrócił triumfalnie do świata drukowanej literatury w roku 1996. Jego powieść fantasy *Gra o tron*, pierwsza część cyklu *Pieśń lodu i ognia*, odniosła ogromny sukces. Samodzielna nowela z tego świata *Krew smoka*, zapewniła Martinowi kolejną nagrodę Hugo w roku 1997. Dalsze książki z cyklu: *Starcie królów*, *Nawalnica mieczy*, *Uczta dla wron* i *Taniec ze smokami* uczyniły z *Pieśni lodu i ognia* jeden z najpopularniejszych cykli w całej współczesnej fantasy. Na podstawie tych książek

stacja HBO wyprodukowała serial *Gra o tron*, który stał się jednym z najpopularniejszych w całej telewizji i uczynił Martina postacią szeroko rozpoznawalną poza granicami gatunku, do tego stopnia, że doczekał się swej satyrycznej wersji w *Saturday Night Live*. Najnowsze książki Martina to kolejny tom *Pieśni lodu i ognia*, zatytułowany *Taniec ze smokami*, obszerny zbiór opowiadań *Retrospektywa*, obejmujący całą jego karierę, zbiór nowel *Gwiezdna pani/Szybki pomocnik* oraz powieść *Wyprawa łowcy*, napisana razem z Gardnerem Dozoisem i Danielem Abrahamem. Redagował też na spółkę z Dozoisem kilka antologii — *Warriors*, *Pieśni Umierającej Ziemi*, *Songs of Love and Death* i *Chodząc nędznymi ulicami*, a także kilka kolejnych tytułów w długiej serii antologii *Dziki karty*, jak *Wild Cards: Busted Flush* oraz *Wild Cards: Inside Straight*. W roku 2012 otrzymał na konwencie *World Fantasy* nagrodę za dorobek życiowy.

W niniejszej noweli Martin prowadzi nas do burzliwej krainy Westeros, domu cyklu *Pieśń lodu i ognia*. Ta krwawa opowieść mówi o starciu między dwiema nadzwyczaj niebezpiecznymi kobietami, których zawzięta rywalizacja oraz ambicja strąciły całe Westeros w otchłań katastrofalnej wojny.

KSIEŻNICZKA I KRÓLOWA ALBO CZARNI I ZIELONI

czyli historia przyczyn, początków, bitew i zrad
nadzwyczaj tragicznej rzezi znanej jako *Taniec Smoków*,
zrelacjonowana przez arcymaestera Gylday na
z Cytadeli Starego Miasta

(PRZEPISANA PRZEZ GEORGE'A R.R. MARTINA)

„*Taniec Smoków*” to górnolotna nazwa nadana gwałtownej bratobójczej wojnie o Żelazny Tron

Westeros, stoczony między dwiema konkurencyjnymi gałęziami rodu Targaryenów w latach 129 do 131 od Podboju. Przeważanie mrocznych, burzliwych i krwawych wydarzeń owego okresu „tańcem” wydaje się nam groteskowo nieadekwatne. Z pewnością ową frazę ukłął jakiś minstrel. Znacznie stosowniejsze byłoby określenie „Zagłada Smoków”, ale tradycja i czas wypaliły na kartach historii owo bardziej poetyckie sformułowanie, musimy więc tańczyć razem z resztą.

Po śmierci króla Viserysa I Targaryena o jego tron ubiegało się dwoje głównych pretendentów: jego córka Rhaenyra, jedyne żyjące dziecko z pierwszego małżeństwa, oraz Aegon, najstarszy z jego synów poczętych z drugą żoną. Pośród chaosu i rzezi wywołanych ich rywalizacją pojawili się też inni kandydaci na królów, paradytujący niczym komedianci na scenie przez dwa tygodnie albo cały cykl księżycy, by potem upaść równie szybko, jak się pojawili.

Taniec podzielił Siedem Królestw na dwie części. Lordowie, rycerze i prostaczkowie opowiadali się po jednej ze stron i chwytali za broń, by stanąć do bratobójczej walki. Nawet sam ród Targaryenów nie uniknął rozłamu. Do walk przyłączyli się krewni, powinowaci i dzieci obojga pretendentów. Dwa lata wojny przyniosły wielkim lordom Westeros straszliwe straty, podobnie jak ich chorążym, rycerzom oraz prostaczkom. Aczkolwiek dynastia przetrwała, po zakończeniu walk potęga Targaryenów była znacznie umniejszona, a liczebność ostatnich żyjących na świecie smoków drastycznie spadła.

Taniec był wojną niepodobną do żadnej, jakie stoczono w długiej historii Siedmiu Królestw. Choć armie maszerowały i toczyły zacięte boje, znaczną część krwi przelano na wodzie i — zwłaszcza — w powietrzu, gdzie smoki walczyły ze sobą na zęby, szpony oraz płomień. Owa wojna pełna przy tym była podstępów, morderstw i zdrad, toczono ją w cieniach i na schodach, w salach obrad i na zamkowych dziedzińcach, posługując się sztyletami, kłamstwami oraz trucizną.

Konflikt trwał się przez długi czas, aż wreszcie wyszedł na światło trzeciego dnia trzeciego księżycy roku 129 o.P., gdy schorowany, przykuty do łoża król Viserys I Targaryen zamknął oczy w Czerwonej Twierdzy w Królewskiej Przystani, by się zdrzemnąć, i zmarł we śnie. Jego ciało odnalazł sługa o godzinie nietoperza, gdy król miał w zwyczaju wypijać kielich hipokrasu. Mężczyzna pobiegnął zawiadomić królową Alicent, której komnaty znajdowały się piętro niżej.

Przekazał owe straszliwe wieści samej tylko królowej, nie chcąc wywoływać ogólnego alarmu. Królowa Alicent i jej partia, takzwani zieloni ¹, wydali wszystkim strażnikom i służącym w Visie rym polecenia mówiące, jak mają się zachować, gdy nadejdzie ów dzień.

Alicent natychmiast udała się do królewskiej sypialni. Towarzyszył jej ser Criston Cole, lord dowódca Gwardii Królewskiej. Gdy tylko się upewnili, że Viserys naprawdę nie żyje, Jej Miłość nakazała zamknąć drzwi komnaty i ustawić pod nimi strażę. Sługę, który znalazł ciało, uwięziono, by się upewnić, że nic nikomu nie wygada. Ser Criston wrócił zaś do Wieży Białego Miecza

i rozkazał swym braciom z Gwardii Królewskiej wezwać członków małej rady. Była godzina sowy.

Wówczas, podobnie jak obecnie, Zaprzysiężone Bractwo Gwardii Królewskiej składało się z siedmiu rycerzy, mężczyzn, którzy dowiedli swej wierności i biegłości w boju, a także solennie poprzysięgli poświęcić swe życie obronie osoby króla oraz jego rodziny. W chwili śmierci Viserysa w Królewskiej Przystani przebywało tylko pięć białych płaszczy: sam ser Criston, ser Arryk Cargyll, ser Rickard Thorne, ser Steffon Darklyn oraz ser Willis Fell. Ser Erryk Cargyll (bliźniaczy brat ser Arryka) i ser Lorent Marbrand, przebywający z księżniczką Rhaenyra na Smoczej Skale, o niczym nie wiedzieli i nie towarzyszyli swym braciom, gdy ci wyruszyli w noc, by obudzić członków małej rady.

Gdy ciało pana męża królowej stygło piętro wyżej, w jej komnacie zebrali się: sama królowa Alicent; jej ojciec ser Otto Hightower piastujący funkcję namiestnika królewskiego; ser Criston Cole, lord dowódca Gwardii Królewskiej; wielki maester Orwyle; osiemdziesięcioletni lord Lyman Beesbury, który był starszym nad monetą; ser Tyland Lannister, starszy nad okrętami, brat lorda Casterly Rock; Larys Strong zwany Larysem Szpotawą Stopą, lord Harrenhal i starszy nad szepczaczami; oraz lord Jasper Wyldę, zwany Żelaznym Prętem, starszy nad prawami.

Wielki maester Orwyle otworzył posiedzenie, wymieniając tradycyjne czynności i procedury wiążące się ze śmiercią króla.

— Należy wezwać septona Eustace'a, by dokonał ostatnich obrządków i pomodlił się za duszę króla — rzekł. — Trzeba bezzwłocznie wysłać kruka na Smoczą Skalę, by zawiadomić księżniczkę Rhaenyra o śmierci ojca. Być może Jej Miłość królowa zechce napisać wiadomość, by złagodzić te smutne wieści słowami współczucia? Zawsze bije się też w dzwony, by obwieścić śmierć króla. Ktoś powinien się tym zająć. Oczywiście, musimy też rozpocząć przygotowania do koronacji królowej Rhaenyry...

— Wszystko to musi zacząć, aż rozstrzygnie się kwestię sukcesji — przerwał mu ser Otto Hightower. Jako królewski namiestnik miał prawo przemawiać głosem króla, a nawet zasiadać na Żelaznym Tronie pod jego nieobecność. Viserys przyznał mu prawo sprawowania rządów Siedmioma Królestwami i będzie nimi władał „dopóki nie ukoronujemy nowego króla”.

— Dopóki nie ukoronujemy nowej królowej — poprawił go lord Beesbury z irytacją w głosie.

— Króla — nie ustępowała królowa Alicent. — Zgodnie z prawem Żelazny Tron musi przypaść najstarszemu prawowitemu synowi Jego Miłości.

Dyskusja trwała niemalże do świtu. Lord Beesbury bronił praw królowej Rhaenyry. Sędziwy starszy nad monetą, który służył Viserysowi przez cały czas jego panowania, a przedtem jego ojcu, Jaehaerysowi zwanemu Starym Królem, przypomniał radzie, że Rhaenyra jest starsza od braci, w jej żyłach płynie więcej krwi Targaryenów, zmarły król ją wybrał na następczynię

i wielokrotnie odmawiał zmiany kolejności sukcesji pomimo błagań królowej Alicent i jej zielonych, a w roku 105 o.P. setki rycerzy złożyły hołd księżniczce i uroczystie przysięgły bronić jej praw.

Te słowa wpadały jednak do uszu wykłuty ch z kamienia. Ser Tyland zauważył, że wielu lordów, którzy przysięgali bronić praw królowej Rhaenyry, dawno już nie żyje.

— Minęły dwadzieścia cztery lata — mówił. — Ja nie składałem takiej przysięgi. Byłem w owym czasie dzieckiem.

Żelazny Pręt, starszy nad prawami, zacytował uchwałę Wielkiej Rady z roku 101 i powołał się na fakt, że Stary Król wybrał Baelona przed Rhaenys w roku 92. Następnie długo rozwodził się nad Aegonem i jego siostrami oraz uświęconą andalską tradycją, zgodnie z którą prawowity syn miał pierwszeństwo przed każdą córką. Ser Otto przypominał zebranym, że mężem Rhaenyry jest nie kto inny, jak książę Daemon, a „wszyscy znamy jego naturę. Nie oszukujcie się, jeśli Rhaenyra kiedykolwiek zasiądzie na Żelaznym Tronie, to on będzie nami władał, jako książę małżonek równie okrutny i bezlitosny jak sam Maegor. Moja głowa z pewnością spadnie pierwsza, ale głowa waszej królowej, a mojej córki, wkrótce podąży w jej ślady”.

Poparła go królowa Alicent.

— Nie oszczędzi też moich dzieci — oznajmiła. — Aegon i jego bracia są prawowitymi synami króla i mają lepsze prawa do tronu niż jej bęłarci pomiot. Daemon znajdzie jakiś pretekst, by skazać wszystkich na śmierć. Nawet Helaenę i jej maleństwa. Nie zapominajcie, że jeden z tych Strongów wybił oko Aemondowi. Był jeszcze chłopcem, to prawda, ale chłopiec to ojciec mężczyzny, a bęłarty z natury są monstrualne.

Potem przemówił ser Criston Cole. Przypominał zebranym, że jeśli księżniczka zostanie królową, władzę przejmie po niej Jacaerys Velaryon.

— Niech Siedmiu zbawi ten kraj, jeśli posadzimy bęłarta na Żelaznym Tronie. — Opowiadał o nierządnych obyczajach Rhaenyry i o niesławie jej męża. — Zamienią Czerwoną Twierdzę w burdel. Niczyja córka nie będzie bezpieczna ani niczyja żona. Nawet chłopcy... wiemy, kim był Laenor.

Zapiski nie wspominają, by lord Larys Strong powiedział podczas debaty choć jedno słowo, w tym jednak nie było nic nadzwyczajnego. Choć starszy nad szeptaczami w razie potrzeby potrafił biegle obracać językiem, oszczędzał słowa, jak skłpiec ciuła monety, woląc słuchać, niż mówić.

— Jeśli to uczynimy — ostrzegł radę wielki maester Orwyle — z pewnością wywołamy wojnę. Księżniczka nie podda się bez walki, a ona ma smoki.

— I przyjaciół — oznajmił lord Beesbury. — Ludzi honoru, którzy nie zapomną o przysięgach, jakie złożyli jej i jej ojcu. Jestem już stary, ale nie aż tak stary, by słuchać biernie, jak tacy jak

wy spiskują, by skraść jej koronę.

Wstał i zwrócił się ku wyjściu.

Ale Ser Criston Cole pchnął go z powrotem na fotel i rozplątał mu gardło szytylem.

Tak oto pierwsza krew przelana w Tańcu Smoków należała do lorda Lymana Beesbury'ego, starszego nad monetą i lorda skarbnika Siedmiu Królestw.

Po jego śmierci nie słyszano już dalszych głosów sprzeciwu. Resztę nocy spędzono na planowaniu koronacji nowego króla (wszyscy się zgadzali, że trzeba ją przeprowadzić szybko) oraz sporządzaniu list potencjalnych sojuszników i wrogów, na wypadek gdyby Rhaenyra odmówiła uznania władzy króla Aegona. Ponieważ księżniczka przebywała na Smoczjej Skale, oczekując rozwiązania, przewaga leżała po stronie zielonych królowej Alicent; im dłużej Rhaenyra pozostanie nieświadoma śmierci króla, tym później wykona pierwszy ruch.

— Może ta kurwa zemrze w połogu — skwitowała królowa Alicent.

Tej nocy nie wysłano kruków. Nie zabito w dzwony. Tych spośród sług, którzy wiedzieli o śmierci króla, odesłano do lochów. Ser Cristonowi Cole'owi przydzielono zadanie zatrzymania nadal przebywających na dworze „czarnych”, tych lordów i rycerzy, którzy mogli być skłonni poprzeć księżniczkę Rhaenyre.

— Nie uciekaj się do przemocy, chyba że będą stawiać opór — rozkazał ser Otto Hightower. — Tym, którzy ugną kolana i poprzyścięgną wierność królowi Aegonowi, nie stanie się nic złego.

— A co z tymi, którzy tego nie uczynią? — zapytał wielki mae ster Orwyle.

— Są zdrajcami — odparł Żelazny Pręt — i muszą umrzeć śmiercią zdrajców.

Wtedy po raz pierwszy i jedyne odezwał się lord Larys Strong, starszy nad szepczaczami.

— Przyśięgnijmy pierwi — zaproponował — na wypadek, gdyby zdrajcy kryli się wśród nas. — Szpotawa Stopa wyciągnął szytylet i skaleczył się w wewnętrzną stronę dłoni. — Przyśięga krwi — zażądał — by uczyniła z nas braci aż po śmierć.

Pozostali spiskowcy również cięli się w dłonie i ucisnęli je sobie nawzajem, przysięgając braterstwo. Tylko królową Alicent zwolniono z tego obowiązku, z uwagi na jej płeć.

Nad miastem wstawał już świt, gdy królowa wysłała swych gwardzistów, by przyprowadzili przed oblicze rady jej synów. Księżę Daeron, najłagodniejszy z jej dzieci, płakał nad śmiercią ojca. Jednookiego księcia Aemonda, dziesiętnastolatka, znaleziono w zbrojowni, gdzie wdziewał zbroję pływacką i kółczugę przed porannymi ćwiczeniami na dziedzińcu.

— Czy Aegon jest królem? — zapytał ser Willisa Fella. — Czy też musimy kłęknąć przed starą kurwą i ucałować ją w cipę?

Księżna Helaena jadła śniadanie z dziećmi, gdy znalazł ją gwardzista... ale zapytana o miejsce pobytu księcia Aegona, jej brata i męża, odpowiedziała tylko:

— Możesz być pewien, że w moim łóżu go nie ma. Jeśli prag niesz, możesz go poszukać pod

locami.

Księcia Aegona znaleziono z faworytą. W pierwszej chwili odmówił uczestnictwa w planach matki.

— Tron ma przyspaść mojej siostrze, nie mnie — oznajmił. — Cóż to za brat, który kradnie dziedzictwo siostry?

Zawahał się dopiero wtedy, gdy ser Criston przekonał go, że jeśli księżniczka włoży na głowę koronę, z pewnością każe stracić jego i jego braci.

— Dopóki żyją prawowicie zrodzeni Targaryenowie, żaden Strong nie będzie mógł zasiąść na Żelaznym Tronie — zapewnił Cole. — Jeśli Rhaenyra pragnie, by jej bękarty władaly po niej, nie ma innego wyboru, jak ściąć was wszystkich.

To i wyłącznie to przekonało Aegona do przyjęcia korony, którą ofiarowała mu mała rada.

Ser Tyland Lannister, mianowany starszym nad monetą na miejsce zamordowanego lorda Beesbury 'ego, natychmiast przejął królewski skarbiec. Złoto korony podzielono na cztery części. Jedną oddano na przechowanie Żelaznemu Bankowi z Braavos, drugą wysłano pod silną strażą do Casterly Rock, trzecią zaś do Starego Miasta. Resztę miano wykorzystać na wziętki i dary, a także do opłacenia najemników, gdyby okazało się to konieczne. Poszukując nowego starszego nad okrętami na miejsce ser Tylanda, ser Otto zwrócił wzrok na Żelazne Wyspy. Wysłał kruka do Daltona Greyjoya, Czerwonego Krakena. W zamian za przysięgę wierności ofiarował śmiałemu i krwiożerczemu Lordowi Kosiarzowi Pykę admirałski tytuł i miejsce w radzie, choć miał on dopiero szesnaście lat.

Minął dzień, a potem następny. Do komnaty, w której leżał obrzękły, gnijący król Viserys, nie wezwano septonów ani milczących sióstr. Nie uderzono w dzwony. Kruki poleciały, ale nie na Smoczą Skałę, lecz do Starego Miasta, Casterly Rock, Riverrun, Wysogrodu oraz do wielu innych lordów i rycerzy, którzy zdaniem królowej Alicent mogli poprzeć sprawę jej syna.

Poddano badaniom zapiski z Wielkiej Rady w roku 101, zwracając uwagę na to, którzy lordowie opowiadali się za Viserysem, a którzy za Rhaenys, Laeną albo Laenorem. Zgromadzeni na radzie lordowie poparli męskich pretendentów przeciwko kobietom w stosunku dwadzieścia do jednego, ale znalazły się wyjątki i gdyby doszło do wojny, było prawdopodobne, że te same rody opowiedzą się za Rhaenyrą. Księżniczka będzie miała Węża Morskiego i jego floty, skonkludował ser Otto, a najpewniej również innych lordów ze wschodnich brzegów: Bar Emmona, Massey'a, Celtigara i Crabba, być może nawet Gwiazdę Zaranną z Tarthu. Wszyscy oni — pomijając Velaryonów — zaliczali się jednak do pomniejszych potęg. Większy niepokój budzili ludzie z północy: w Harrenhal lord Stark opowiedział się za Rhaenys, podobnie jak chorążowie Winterfell — Dustin z Barrowton i Manderly z Białego Portu. Nie można też było polegać na rodzie Arrynów, jako że Orlim Gniazdem władala obecnie kobieta, lady Jeyne, Dziewica

z Doliny, której prawa mogłyby również zostać podane w wątpliwość w przypadku pominięcia księżniczki Rhaenyry.

Za największe niebezpieczeństwo uznano jednak Koniec Burzy, ponieważ ród Baratheonów zawsze udzielał zdecydowanego poparcia pretensjom księżniczki Rhaenyry oraz jej dzieci. Stary lord Boremund umarł, ale jego syn Borros był jeszcze bardziej wojowniczy od ojca, pomniejsi lordowie burzy z pewnością zaś podążą za jego przewodnictwem.

— Zatem musimy dopilnować, by doprowadził ich do naszego króla — zdecydowała królowa Alicent i wysłała po swego drugiego syna.

Tak oto nie kruk odleciał owego dnia do Końca Burzy, ale Vhagar, najstarsza i największa ze wszystkich smoków w Westeros. Na jej grzbiecie siedział książę Aemond Targaryen, mający szafir w miejscu brakującego oka.

— Twoim zadaniem jest zdobycie ręki jednej z córek lorda Baratheona — oznajmił jego dziadek, ser Otto, nim Aemond odleciał. — Dowolna z czterech się nada. Jeśli ją uwiedziesz i poślubisz, lord Borros odda krainy burzy twojemu bratu. Jeśli ci się nie uda...

— Uda mi się — zapewnił śmiało książę Aemond. — Aegon dostanie Koniec Burzy, a ja zdobędę dziewczynę.

Po jego odlocie smród bijący z komnaty wypełnił już całą Warownię Maegara i na dworze oraz w zamku krążyły najdziwniejsze plotki i opowieści. Lochy położone pod Czerwoną Twierdzą połknęły tak wielu ludzi podejrzewanych o brak lojalności, że nawet wielki septon zaczął się zastanawiać nad tymi zniknięciami i przysłał z Gwiezdnego Septu w Starym Mieście list z zapytaniem o niektórych zaginionych. Ser Otto Hightower, najbardziej metodyczny ze wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek pełnili służbę namiestnika, pragnął mieć więcej czasu na przygotowania, ale królowa Alicent wiedziała, że nie mogą zwlekać dłużej. Książę Aegon zmęczony się już dochowywaniem tajemnicy.

— Jestem królem czy nie? — zapytał matkę. — Jeśli nim jestem, ukoronujcie mnie.

Dziesiątego dnia trzeciego miesiąca roku 129 o.P. uderzono w dzwony, oznajmiając koniec panowania Viserysa. Wielkiemu maesterowi Orwyle'owi pozwolono wreszcie wysłać kruki i w powietrze wzbily się setki czarnych ptaków, niosąc wieści o wstąpieniu Aegona na tron do wszystkich najdalszych zakątków krainy. Wysłano po milczące siostry, by przygotowały zwłoki do spalenia, a jeźdźcy na białych koniach zanieśli wiadomość ludziom z Królewskiej Przystani, wołając:

— Król Viserys nie żyje, niech żyje król Aegon!

Słyszac to, niektórzy płakali, inni krzyczyli radośnie, większość prostaczków jednak gapiała się tylko bez słowa, nieufna i zbita z tropu. Słyszało się też głosy krzyczące:

— Niech żyje nasza królowa!

Tymczasem pośpiesznie przygotowywano koronację. Na jej miejsce wybrano Smoczą Jamę. Pod jej potężną kopułą znajdowały się kamienne ławy, mogące pomieścić osiemdziesiąt tysięcy ludzi, a grube mury, mocny dach i wysokie drzwi z brązu czyniły ją łatwą do obrony, na wypadek gdyby zdrajcy próbowali zakłócić ceremonię.

Wyznaczonego dnia ser Criston Cole włożył żelazną, wysadzaną rubinami koronę Aegona Zdobywcy na głowę najstarszego syna króla Viserysa i królowej Alicent, ogłaszając go Aegonem z rodu Targaryenów, Drugim Tego Imienia, królem Andalów, Rhoynarów i Pierwszych Ludzi, władcą Siedmiu Królestw i Protektorem Królestwa. Jego matka, królowa Alicent, umiłowana przez prostaczków, włożyła własną koronę na głowę swej córki Helaeny, żony i siostry Aegona. Matka ucałowała policzki córki, a potem uklęknęła przed nią, pochyliła głowę i rzekła:

— Moja królowo.

Ponieważ Wielki Septon ze Starego Miasta był zbyt stary i słabowity na podróż do Królewskiej Przystani, zadanie namaszczenia czoła króla Aegona świętymi olejkami oraz pobłogosławienia go siedmioma imionami boga przypadło septonowi Eustace'owi. Nieliczni spośród obecnych, ci, którzy cieszyli się najbystrzejszym wzrokiem, mogli zauważyć, że nowemu królowi towarzyszą tylko cztery białe płaszcze, a nie pięć, jak dotąd. Poprzedniej nocy sprawę Aegona II porzucili pierwsi stronnicy. Ser Steffon Darklyn z Gwardii Królewskiej wymknął się z miasta razem z giermkim, dwoma zarządcami i czterema zbrojnymi. Pod osłoną ciemności wykradli się przez tylną bramę i dotarli do czekającego na nich rybackiego skłafu, którym popłynęli na Smoczą Skalę. Zabrali ze sobą ukradzioną koronę: taśmę z złotego złota ozdobioną siedmioma klejnotami w różnych kolorach. Tę koronę nosił król Viserys, a przed nim stary król Jaehaerys. Gdy książę Aegon zdecydował, że włoży żelazną, wysadzaną rubinami koronę swego imiennika, Zdobywcy, królowa Alicent rozkazała zamknąć koronę Viserysa w bezpiecznym miejscu, ale zarządca, któremu zlecono to zadanie, uciekł z drogocennym przedmiotem.

Po koronacji pozostali w mieście królewscy gwardziści odprowadzili Aegona do jego wierzchowca, wspaniałego stworzenia o lśniących złotych łuskach oraz bladoróżowych błonach skrzydeł. Smokowi złocistego świtu nadano imię Sunfyre. Munkun opowiada nam, że król trzykrotnie okrążył miasto, nim wylądował wewnątrz murów Czerwonej Twierdzy. Ser Arryk Cargyll wprowadził Jego Miłość do oświetlonej pochodniami sali tronowej. Tam Aegon II wstąpił na schody Żelaznego Tronu na oczach tysiąca lordów i rycerzy. Salę wypełniły radosne okrzyki.

Na Smoczjej Skale ich nie słyszano. W komnatach i klatkach schodowych Wieży Morskiego Smoka niesło się echem wycie bólu, docierające z komnat przeznaczonych dla królowej. Rhaenyra Targaryen drżała i wyteżała mięśnie podczas trwającego już trzeci dzień porodu. Dziecko miało przyjść na świat dopiero za cykl księżycy, ale wieści z Królewskiej Przystani sprawiły księżniczkę w złowrogi szał i ów gniew najwyraźniej przyśpieszył poród, jakby dziecko w jej łonie

również się wściekło i pragnęło jak najszybciej wy dostać się na zewnątrz. Księżniczka przez cały czas porodu wykrzykiwała przekleństwa, przywołując gniew bogów na głowy swych przyrodnych braci oraz ich matki, królowej, a także szczegółowo opisując męczarnie, którym wszystkich podda, zanim pozwoli im umrzeć. Przeklinała również dziecko w swym łonie.

— Wyłaź! — wrzeszczała, szarpiąc wielki brzuch, choć mae ster i położna próbowali ją powstrzymać. — Potworze, potworze, wyłaź, wyłaź, WYŁAŻ!

Gdy dziecko wreszcie wyszło na świat, okazało się, że rzeczywiście jest potworem, martwo urodzoną dziewczynką, pokręconą i zniekształconą. Miała dziurę w piersi tam, gdzie powinno być serce, oraz ogon, krótki, gruby i pokryty łuskami. Następnego dnia, gdy makowe mleko złagodziło już jej ból, księżniczka Rhae nyra oznajmiła, że nadała martwej dziewczynce imię Visenya.

— Była moją jedyną córką, a oni ją zabili. Ukradli mi koronę i zamordowali córkę. Odpowiedzą za to.

Tak oto zaczął się taniec. Księżniczka zwołała własną radę. „Czarna rada” sprzeciwiała się zielonej, która rezydowała w Królewskiej Przystani. Rhaenyra przewodziła jej osobiście, razem ze swym stryjem i mężem, księciem Daemonem. Towarzyszyli jej trzej synowie, mimo że żaden z nich nie wkroczył jeszcze w wiek męski (Jace miał piętnaście lat, Luke czternaście, a Joffrey dwanaście). Strzegli ich dwaj królewscy gwardziści: ser Erryk Cargyll, bliźniaczy brat ser Arryła, oraz człowiek z zachodu, ser Loren Marbrand. Na resztę garnizonu Smoczej Skały składało się trzydziestu rycerzy, stu kuszników oraz trzystu zbrojnych. Zawsze uważano, że to wystarczająca obsada dla tak potężnej fortecy.

— Jako instrument służący do podboju nasza armia pozostawia jednak wiele do życzenia — zauważył kwaśno książe Daemon.

W czarnej radzie zasiadł również tuzin pomniejszych lordów, wasali i chorążych Smoczej Skały. Byli wśród nich Celtigar ze Szczypcowej Wyspy, Staunton z Gawroniego Gniazda, Massey ze Stonedance, Bar Emmon z Ostrego Przylądka oraz Darklyn z Duskindale. Najpotężniejszym z lordów, którzy poprzysięgli oddać swe siły księżniczce, był jednak Corlys Velaryon z Driftmarku. Choć Wąż Morski już się postarzał, lubił powtarzać, że trzyma się życia jak „tonący marynarz czepia się szczątków zatopionego statku. Być może Siedmiu zachowało mnie na tę ostatnią walkę”. Lordowi Corlysowi towarzyszyła żona, księżniczka Rhaenys. Miała pięćdziesiąt pięć lat, jej szczupłą twarz nazaczyły zmarszczki, a srebrne włosy usiały białe nitki, pozostawała jednak równie gwałtowna i nieustraszona jak w wieku dwudziestu dwóch lat... kobieta zwana niekiedy przez prostaczków „Niedoszlą Królową”.

Ci, którzy zasiadali w czarnej radzie, uważali się za lojalistów, wiedzieli jednak doskonale, że król Aegon II nazwie ich zdrajcami. Do każdego z nich dotarło już wezwanie z Królewskiej Przystani. Mieli się stawić w Czerwonej Twierdzy i poprzysiąc wierność królowi. Połączone

zastępy ich wszystkich nie dorównałyby wojskom, które mogli wystawić sami tylko Hightowerowie. Stronnicy Aegona mieli przewagę również na innych polach. Największymi i najbogatszymi miastami w królestwie były Stare Miasto, Królewska Przystań oraz Lannisport; wszystkie trzy pozostawały w rękach zielonych. Wszelkie dostrzegalne symbole prawowitej władzy należały do Aegona. Zasiadał na Żelaznym Tronie. Mieszkał w Czerwonej Twierdzy. Nosił koronę Zdobywcy i dzierżył jego miecz. Septon Wiary namaścił go na oczach dziesiątków tysięcy świadków. W jego radach zasiadał wielki maester Orwyle, a koronę na jego książęcą głowę włożył lord dowódca Gwardii Królewskiej. Był też mężczyzną, co w oczach wielu czyniło go prawowitym królem, a jego przyrodnią siostrą uzurpatorką.

Przeciwko temu wszystkiemu Rhaenyra miała niewiele atutów. Niektórzy starsi lordowie mogli jeszcze pamiętać przysięgi, które złożyli, gdy mianowano ją księżniczką Smoczej Skąły i czyniono dziedziczką ojca. Były czasy, gdy kochali ją zarówno wysoko, jak i nisko urodzeni, i zwano ją Radością Królestwa. Wielu młodych lordów i szlachetnych rycerzy ubiegało się wówczas o jej łaski... choć nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, ilu z ich zechce za nią walczyć teraz, gdy była już zamężną kobietą, a jej ciało postarzało się i przybrało na wadze po sześciu porodach. Choć jej przyrodni brat obrabował skarbiec ich ojca, księżniczka miała do dyspozycji bogactwo rodu Velaryonów, a floty Węza Morskiego zapewnią jej przewagę na morzu. Co więcej, jej mąż, książę Daemon, poddany próbom na Stopniach, miał więcej wojennego doświadczenia niż wszyscy ich wrogowie razem wzięci. Co ostatnie, ale z pewnością nie najmniej ważne, Rhaenyra miała smoki.

— Aegon również je ma — zauważył lord Staunton.

— Ale naszych jest więcej — odparła księżniczka Rhaenys, Niedoszła Królowa, która była smoczym jeźdźcem najdłużej ze wszystkich obecnych. — Do tego są większe i silniejsze od tych, które należą do nich, pomijając tylko Vhagar. Smoki najlepiej się mają tutaj, na Smoczej Skale.

Wyliczyła je dla członków rady. Król Aegon miał swojego Sunfyre'a. To była wspaniała bestia, choć jeszcze młoda. Aemond Jednooki dosiadał Vhagar i nie sposób było przeczyć niebezpieczeństwu, jakie stanowi wierzchowiec Visenyi. Smokiem królowej Helaeny była Dreamfyre, smoczyca, która ongiś unosiła w chmury siostrę Starego Króla, Rhaenę. Wierzchowcem księcia Daerona była Tessarion o skrzydłach ciemnych jak kobalt, a szponach, grzebieniu i łuskach na brzuchu jasnym niby kuta miedź.

— To w sumie cztery smoki o rozmiarach czyniących je zdolnymi do walki — ciągnęła Rhaenys. Bliźniaki królowej Helaeny również miały własne smoki, ale to były zaledwie pisklęta, natomiast najmłodszy syn uzurpatora, Maelor, posiadał zaledwie jajo.

Po drugiej stronie książę Daemon miał Caraxes, a księżniczka Rhaenyra Syrax, dwie ogromne i straszliwe bestie. Szczególnie groźna była Caraxes, która w dodatku posmakowała już krwi i ognia

na Stopniach. Trzej synowie Rhaenyry z Laenorem Velaryonem również byli smoczyimi jeźdźcami; Vermax, Arrax i Tyraxes miały się świetnie i z każdym rokiem stawały się coraz większe. Aegonowi Młodszemu, starszemu z dwóch synów Rhaenyry z księciem Daemonem, przypadł młody smok zwany Chmurą, choć chłopak nigdy jeszcze go nie dosiadł. Jego młodszy brat, Viserys, wszędzie chodził ze swoim jajem. Smoczyca Rhaenys, Meleys Czerwona Królowa, stała się leniwa, ale w gniewie nadal była straszna. Bliźniaki, które książe Daemon miał z Laeną Velaryon, również mogły jeszcze zostać smoczyimi jeźdźcami. Smoczyca Bae li, wysmukła, jasnozielona Księżycowa Tancerka, wkrótce urośnie wystarczająco, by unieść dziewczynkę na grzbiecie... a choć z jaja jej siostry Rhaeny wykuło się kalekie stworzenie, które wyzionęło ducha po kilku godzinach, Syrax niedawno zniosła kolejny lęg. Jedno z jaj dano Rhaenie i księżniczka ponoć spała z nim co noc, modląc się o smoka dorównującego temu, który należał do jej siostry.

Co więcej, w wypełnionych dymem jaskiniach Smoczej Góry powyżej zamku miało swe leża sześć kolejnych smoków. Srebrnoskrzydła, dawny wierzchowiec Dobrej Królowej Alysanne; Morski Dym, jasnoszara bestia będąca ongiś dumą i pasją ser Laenora Velaryona; stary Vermithor, na którym nikt nie jeździł od czasu śmierci króla Jaehaerysa. Za górą mieszkały zaś trzy dzikie smoki, których nigdy nie dosiadł żaden człowiek, żyjący do dziś ani umarły. Prostackowie nazwali je Owcokradem, Szarym Duchem i Kanibalem.

— Znajdźcie jeźdźców, którzy zapanują nad Srebrnoskrzydłą, Vermithorem i Morskim Dymem, a będziemy mieli dziewięć smoków przeciwko czterem Aegona. Dosiądnijcie ich dzikich kuzynów i skłońcie ich do lotu, a będziemy mieli dwanaście, nawet bez Chmury — rzekła księżniczka Rhaenys. — To właśnie da nam zwycięstwo w tej wojnie.

Lordowie Celtigar i Staunton zgodzili się z nią. Aegon Zdobywca i jego siostry dowiedli, że rycerze i armie nie są w stanie oprzeć się smoczemu ogniovi. Celtigar namawiał księżniczkę, by natychmiast polecieli do Królewskiej Przystani, by obrócić miasto w popioły i kości.

— I co to nam da, wasza lordowska mość? — zapytał Wąż Morski. — Chcemy władać miastem, a nie puścić je z dymem.

— Nie dojdzie do tego — zapewnił Celtigar. — Uzurpator nie będzie miał innego wyboru, jak rzucić przeciwko nam własne smoki. Dziewięć naszych z pewnością zwycięży cztery należące do niego.

— Za jaką cenę? — zapytała księżniczka Rhaenyra. — Przypominam ci, że trzech z tych smoków będą dosiadali moi synowie. I to nie będzie dziewięć przeciwko czterem. Jeszcze przez długi czas nie będę miała sił, by latać. A kto ma dosiąść Srebrnoskrzydłej, Vermithora i Morskiego Dymu? Ty, wasza lordowska mość? Nie sądzę. To będzie pięć przeciwko czterem, a jedną z tych czterech będzie Vhagar. To nie jest korzystny stosunek sił.

Książę Daemon niespodziewanie zgodził się z żoną.

— Na Stopniach nieprzyjaciele szybko nauczyli się uciekać i ukrywać, gdy tylko zobaczyli skrzydła Caraxes albo usłyszeli jej ryk. Ale oni nie mieli własnych smoków. Człowiekowi niełatwo jest zostać smokobójcą, ale smoki mogą zabijać inne smoki i nieraz to robiły. Powie to wam każdy maester, który studiował historię Valyrii. Nie rzucę swoich smoków przeciwko bestiom uzurpatora, chyba że nie będę miał wyboru. Można je wykorzystać na inne, lepsze sposoby.

Książę przedstawił czarnej radzie swe plany strategiczne. Rhae nyrę trzeba ukoronować, w odpowiedzi na koronację Aegona. Potem wyśle się kruki, by wezwać lordów Siedmiu Królestw do złożenia przysięgi wierności prawowitej królowej.

— Musimy toczyć wojnę na słowa, nim staniemy do boju — oznajmił książę. Daemon zapewniał, że klucz do zwycięstwa trzymają w rękach lordowie z wielkich rodów. Ich chorążowie i wasale podążą za nimi. Aegon Uzurpator zdobył już poparcie Lannisterów i Casterly Rock, a lord Tyrell z Wysogrodu był beczącym dzieckiem w powijakach. Jego matka, która była regentką, z pewnością sprzymierzy Wysogród z jego przesadnie potężnymi chorążymi, Hightowerami. Reszta wielkich lordów królestwa nie opowiedziała się dotąd po żadnej ze stron.

— Koniec Burzy dołączy do nas — zapewniła księżniczka Rhae nys. Sama odziedziczyła po matce krew Baratheonów, a zmarły lord Boremund zawsze był jej wiernym przyjacielem.

Książę Daemon miał poważne powody do nadziei, że Dziewica z Doliny może oddać ich stronie Orle Gniazdo. Był też przekonany, że Aegon będzie szukał poparcia Pyke, ponieważ tylko Żelazne Wyspy mogły się mierzyć z morską potęgą rodu Velaryonów. Jednakże żelazni ludzie słynęli z nieśmiałości, a Dalton Greyjoy kochał krew i wojnę, z łatwością będzie więc można przeciągnąć go na stronę księżniczki.

Rada uznała, że północ jest zbyt odległa, by mogła odegrać poważną rolę w walkach. Nim Starkowie zdążą zwołać chorągwie i pomaszerować na południe, wojna może się już skończyć. Zostali jeszcze tylko lordowie dorzecza, słynąca ze swarliwości zgraja, którą władał — przynajmniej nominalnie — ród Tullych z Riverrun.

— Mamy w dorzeczu przyjaciół — oznajmił książę — choć nie wszyscy z nich odważyli się dotąd zdjąć maski. Potrzebujemy miejsca, w którym będą się mogli zebrać, przy czółka na lądzie stałym, wystarczająco wielkiego, by mógł na niej stacjonować liczny zastęp, i na tyle obronnego, by dał odpór siłom, jakie wyśle przeciwko nam uzurpator. — Pokazał lordom mapę. — Tutaj. W Harrenhal.

Tak też zdecydowano. Książę Daemon poprowadzi atak na Harrenhal, dosiadając Caraxes. Księżniczka Rhaenyra pozostanie na Smoczej Skale, dopóki nie odzyska sił. Flota Velaryonów zamknie Gardziel, wyruszając ze Smoczej Skály i Driftmarku, by zatrzymać wszystkie statki wypływające z Czarnej Zatoki bądź też wpływające do niej.

— Mamy za mało sił, by wziąć Królewską Przystań szturmem — stwierdził książe Daemon.
— Podobnie jak nasi wrogowie nie mają szans zdobycia Smoczjej Skały. Jednakże Aegon to niedoświadczony chłopak, a niedoświadczonych chłopaków łatwo można sprowokować. Być może uda się nam skłonić go do nieprzemysłanego ataku.

Wąż Morski miał dowodzić flotą, natomiast księżniczka Rhae nys będzie leciała nad nią, by nie pozwolić nieprzyjacielskim smokom atakować okrętów. Tymczasem wysła się kruki do Riverrun, Orlego Gniazda, Pykę oraz Końca Burzy, by zdobyć poparcie tamtejszych lordów.

Wtedy odezwał się najstarszy syn królowej, Jacaerys.

— To my powinniśmy zanieść te wiadomości — oznajmił. — Smoki przekonają lordów szybciej niż kruki.

Jego brat Lucerys zgodził się z tą opinią, zapewniając, że on i Jace są już mężczyznami, a przy najmniej prawie można ich za nich uważać.

— Wuj zwie nas Strongami i utrzymuje, że jesteśmy bękartami, ale kiedy lordowie zobaczą nas na smoczym grzbiecie, zrozumieją, że to kłamstwo. Tylko Targaryenowie jeżdżą na smokach.

Nawet mały Joffrey włączył się do dyskusji, proponując, że dołączy do braci na swym Tyraxesie.

Księżniczka Rhaenyra nie pozwoliła na to: Joffrey miał dopiero dwanaście lat. Jacaerys ukończył już jednak piętnaście, a Lucerys czternaście. Obaj byli silnymi, wyrosniętymi chłopakami, biegle władali bronią i wiele lat służyli jako giermkowie.

— Jeśli polecicie, to tylko jako posłańcy, nie jako rycerze — ostrzegła ich. — Nie możecie brać udziału w żadnych walkach.

Dopiero gdy obaj solennie przysięgli to na Siedmioramienną gwiazdę, Jej Miłość pozwoliła wykorzystać ich jako emisariuszy. Postanowiono, że Jace, który był starszy, wyruszy w dłuższą i bardziej niebezpieczną podróż — najpierw poleci do Orlego Gniazda, by pertraktować z panią Doliny, potem do Białego Portu, aby pozyskać lorda Manderly'ego, na koniec zaś do Winterfell, gdzie spotka się z lordem Starkiem. Misja Luke'a będzie krótsza i mniej ryzykowna. Miał polecieć do Końca Burzy i spodziewano się, że Borros Baratheon ciepło go tam przywita.

Następnego dnia urządzono pośpieszną koronację. Przybycie ser Steffona Darklyna, do niedawna członka Gwardii Królewskiej Aegona, wywołało na Smoczjej Skałe wielką radość, zwłaszcza gdy się dowiedziano, że on i towarzyszący mu lojaliści (ser Otto nazwał ich „sprzedawczykami” i wyznaczył nagrodę za ich pojmanie) przywieźli ze sobą skradzioną koronę króla Jaehaerysa Pojednawcy. Trzysta par oczu przyglądało się, jak książe Daemon Targaryen wkłada koronę Starego Króla na głowę żony i ogłasza ją Rhaenyrą z rodu Targaryenów, Pierwszą Tego Imienia, królową Andalów, Rhoynarów i Pierwszych Ludzi. Sobie książe przyznał tytuł protektora królestwa, a Rhaenyra mianowała swego najstarszego syna Jacaerysa księciem

Smoczej Skały i dziedzicem Żelaznego Tronu.

Pierwszym aktem, który wydała jako królowa, było uznanie ser Otto Hightowera oraz królowej Alicent za zdrajców i buntowników.

— Jeśli zaś chodzi o moich przyrodnich braci i siostrę Helaenę — oznajmiła — sprowadź ich na manowce rady złych ludzi. Niech przybędą na Smoczą Skałę, ugną kolana i poproszą mnie o wybaczenie, a z przyjemnością oszczędzę ich życie i przyjmę z powrotem do swego serca, albowiem są krwią z mojej krwi, a nikt nie jest przeklęty bardziej niż zabójca krewnych.

Wiści o koronacji Rhaenyry dotarły do Królewskiej Przystani następnego dnia, ku wielkiemu niezadowoleniu Aegona II.

— Moja przyrodnia siostra i stryj są winni zdrady stanu — oznajmił młody król. — Chcę, by wyjęto ich spod prawa. Chcę, by ich aresztowano. Chcę, by ich zabito.

Chłodniejsze głowy w zielonej radzie pragnęły negocjować.

— Księżniczka musi zrozumieć, że jej pozycja jest beznadziejna — stwierdził wielki maester Orwyle. — Brat nie powinien wojować z siostrą. Wyślijcie mnie do niej, byśmy mogli zawrzeć pokojowe porozumienie.

Aegon nie chciał o tym słyszeć. Septon Eustace mówi nam, że Jego Miłość oskarżył wielkiego maestra o nielojalność i zagroził mu zamknięciem w ciemnicy „razem z twoimi czarnymi przyjaciółmi”. Wtedy jednak obie królowe — jego matka, królowa Alicent, i jego żona, królowa Helaena — zabrały głos w obronie propozycji Orwyle’a i król z niechęcią ustąpił. Tak oto wielkiego maestra Orwyle’a wysłano na drugi brzeg Czarnej Zatoki pod flagą pokoju. W skład towarzyszącej mu świty wchodził ser Arryk Cargyll z Gwardii Królewskiej oraz ser Gwayne Hightower ze złotych płaszczy, wraz z około dwudziestoma skrybami i septonami.

Warunki zaofiarowane przez króla były szczodre. Jeśli księżniczka uzna go za króla i złoży mu hołd przed Żelaznym Tronem, Aegon uzna jej prawa do Smoczej Skały i pozwoli, by po śmierci Rhaenyry zamek przypadł jej najstarszemu synowi, Jacaerysowi. Jej drugi syn, Lucerys, zostanie zatwierdzony jako prawowity dziedzic Driftmarku oraz wszystkich ziem i posiadłości rodu Velaryonów; jej synowie z księciem Daemonem, Aegon Młodszy i Viserys, otrzymają honorowe miejsca na dworze, pierwszy jako giermek króla, drugi zaś jako jego podczaszny. Przyzna się też ułaskawienie wszystkim lordom i rycerzom, którzy uczestniczyli razem z nią w zdrazieckim spisku przeciwko prawowitemu królowi.

Rhaenyra wysłuchiwała tych warunków w głuchym milczeniu, a potem zapytała Orwyle’a, czy pamięta jej ojca, króla Viserysa.

— Oczywiście, Wasza Miłość — potwierdził maester.

— Może więc mógłbyś nam przypomnieć, kogo wybrał on na swego dziedzica i następcę?

— rzeka Rhaenyra. Na głowie miała koronę.

— Ciebie, Wasza Miłość — odparł Orwyle.

Rhaenyra skinęła głową.

— Własnym językiem przyznajesz, że jestem twoją prawowitą królową — oznajmiła.

— Czemu więc służysz mojemu przyrodniemu bratu, uzurpatorowi? Powiedz mu, że otrzymam swój tron albo pozbawię go głowy — zakończyła i odesłała posłów.

Aegon II miał dwadzieścia dwa lata i szybko wpadał w gniew, ale wybaczał powoli. Rozgniewał się, gdy Rhaenyra odmówiła uznania jego tytułu.

— Zaoferowałem jej honorowy pokój, a ta kurwa splunęła mi w twarz — oznajmił. — To, co się teraz wydarzy, spadnie na jej głowę.

Gdy wypowiadała te słowa, Taniec już się zaczynał. W Driftmarku okręty Węża Morskiego wypłynęły z Hull i Spicetown, by zamknąć Gardziel i odciąć Królewską Przystań od szlaków handlowych. Wkrótce potem Jacaerys Velaryon poleciał na północ na swym smoku, Vermaxie, jego brat Lucerys udał się na południe na Arraxie, natomiast książe Daemon dosiadł Caraxes i skierował się nad Trident.

Raz już się okazało, że Harrenhal jest odsłonięte przed atakiem z nieba, gdy zamek zniszczył Aegon Smok. Jego sędziwy kasztelan, ser Simon Strong, pośpiesznie ściągnął swe chorągwie, gdy Caraxes wylądowała na szczycie Królewskiego Stosu. Oprócz zamku książe Daemon za jednym zamachem zdobył też znaczne bogactwa rodu Strongów oraz kilkunastu wartościowych zakładników, między innymi samego ser Simona i jego wnuków.

Tymczasem książe Jacaerys poleciał na swym smoku na północ, by złożyć wizytę lady Arryn z Doliny, lordowi Manderly'emu z Białego Portu, lordom Borrellowi i Sunderlandowi z Sisterton oraz Creganowi Starkowi z Winterfell. Książe był tak czarujący, a jego smok tak straszliwy, że wszyscy, których odwiedził, przy sięg li poprzeć jego matkę.

Gdyby tylko „krótsza i bardziej bezpieczna” podróż jego brata zakończyła się równie pomyślnie, można by uniknąć wiele rozlewu krwi i żalu.

Wszystkie źródła zgadzają się co do tego, że nikt nie planował tragedii, jaka spotkała Lucerysa Velaryona w Końcu Burzy. Pierwsze bitwy Tańca Smoków toczono za pomocą piór i kruków, gróźb i obietnic, dekretów i pochlebstw. O zamordowaniu lorda Beesbury'ego na posiedzeniu zielonej rady nie wiedzano jeszcze powszechnie. Większość sądziła, że jego lordowska mość gnije w jakimś lochu. Choć na dworze nie widziało się wielu znajomych twarzy, nad bramą zamku nie zatknięto żadnych głów i wielu wciąż miało nadzieję, że kwestię sukcesji da się rozstrzygnąć pokojowo.

Niezajomy miał inne plany. Albowiem to z pewnością jego straszliwa dłoń kryła się za pechem, który sprawił, że dwa książątka spotkały się w Końcu Burzy, gdy Arrax umknął przed

nadciągającym sztormem, by bezpiecznie zanieść Lucerysa Velaryona na zamkowy dziedziniec i się przekonać, że Aemond Targaryen przybył tam przed nimi.

Potężna smoczyca Aemonda, Vhagar, pierwsza wyczuła, że się zbliżają. Wartownicy chodzący po szczycie potężnych murów kurtynowych zamku złapali za włócznie z nagłym strachem, gdy przebudziła się z rykiem, który wstrząsnął fundamentami Wyzwania Durrana. Nawet Arrax skulił się ponoć trwożnie, słysząc ów dźwięk. Luke po wielokroć uderzał biczem, zmuszając smoka do lądowania.

Gdy Lucerys zeskoczył z grzbietu smoka, ściskając w dłoni list od matki, na wschodzie szalały błyskawice i lał ulewny deszcz. Z pewnością musiał wiedzieć, co oznacza obecność Vhagar, nie był więc zaskoczony, gdy Aemond Targaryen stawił mu czoło w Okrągłej Komnacie, na oczach lorda Borrosa, jego czterech córek septona, maestra oraz czterdziestu rycerzy, strażników i służących.

— Spójrz na to żalosne stworzenie, wasza lordowska mość — zawołał książę Aemond. — To mały bękart, Luke Strong. Zmokieś, bękartcie — rzekł do Luke'a. — Pada deszcz czy zlałeś się ze strachu?

Lucerys Velaryon zwracał się wyłącznie do lorda Baratheona.

— Lordzie Borrosie, przynoszę ci wiadomość od mojej matki, królowej.

— Ma na myśli kurwę ze Smoczjej Skały — rzekł książę Aemond i podszedł bliżej, chcąc wyrwać list z ręki Lucerysa. Lord Borros wykrzyczał jednak rozkaz i jego rycerze rozdzielili książątka. Jeden z nich zaniósł list Rhaenyry na podwyższenie, gdzie jego lordowska mość zasiadała na tronie dawnych królów burzy.

Nikt nie wie, co naprawdę czuł w owej chwili Borros Baratheon. Relacje tych, którzy tam byli, różnią się od siebie znacznie. Niektórzy twierdzą, że jego lordowska mość poczerwieniała na twarzy ze wstydu, jak mężczyzna przyłapany przez prawowitą żonę w łóżu z inną kobietą. Inni zapewniają, że Borros napawał się ową chwilą, albowiem myśli, że zarówno król, jak i królowa proszą go o poparcie, lechtała jego próżność.

Wszyscy świadkowie zgadzają się jednak, co powiedział i zrobił lord Borros. Jako że nigdy nie opanował sztuki czytania, podał list swemu maesterowi, który złamał pieczęć i wyszeptał treść przelazu do ucha jego lordowskiej mości. Na twarzy Borrosa pojawił się mars. Lord Końca Burzy pogłaszał się po brodzie i łypnął spode łba na Lucerysa Velaryona.

— Którą z moich córek poślubisz, jeśli spełnię prośbę twojej matki, chłopcze? — zapytał. — Wybierz, którą zechcesz.

Książę Lucerys mógł tylko się zaczerwienić.

— Wasza lordowska mość, nie jestem wolny — odparł. — Zaręczyłem się ze swą kuzynką Rhaeną.

— Tak też myślałem — rzekł lord Borros. — Szczeniaku, wracaj do domu i powiedz tej suce, swojej matce, że lord Końca Burzy nie jest psem, który przybiega na gwizdnięcie, by mogła go poszczuć na swych wrogów.

Książę Lucerys odwrócił się i ruszył ku wyjściu z Okrągłej Komnaty.

— Stój, Strong! — zawołał jednak książę Aemond, wyciągając miecz.

— Nie będę z tobą walczył — odpowiedział książę Lucerys, przypominając sobie obietnicę złożoną matce. — Przybyłem tu jako poseł, nie jako rycerz.

— Przybyłeś tu jako tchórz i zdrajca — skwitował książę Aemond. — Odbiorę ci życie, Strong. To zaniepokoiło lorda Borrosa.

— Nie tutaj — rozkazał. — Przybył jako poseł. Nie chcę, by pod moim dachem przelano krew.

Jego strażnicy stanęli między książątkami i wyprowadzili Lucerysa Velaryona z Okrągłej Komnaty, zmierzając na zamkowy dziedziniec, gdzie smok chłopaka, Arrax, kulił się na deszczu, czekając na jego powrót.

Aemond Targaryen wykrzywił usta w grymasie gniewu i ponownie zwrócił się ku lordowi Borrosowi, prosząc go o pozwolenie. Lord Końca Burzy wzruszył ramionami.

— Nie do mnie należy mówić ci, co możesz robić, gdy nie jesteś pod moim dachem — odrzekł. Jego rycerze usunęli się na boki i książę Aemond popędził ku drzwiom.

Na dworze szalała burza. Nad zamkiem grzmiały pioruny, deszcz lał oślepiającymi strugami. Od czasu do czasu potężne, niebieskobiałe błyskawice przesywały niebo, aż robiło się jasno jak w dzień. To nie była dobra pogoda do latania, nawet dla smoków, i Arrax z trudem utrzymywał się w powietrzu, gdy książę Aemond dosiadł Vhagar i ruszył w pościg. Gdyby niebo było czyste, książę Lucerys miałby szansę umknąć ścigającemu, jako że Arrax był młodszy i szybszy... ale dzień był czarny i stało się tak, że oba smoki spotkały się ponad Zatoką Rozbitków. Obserwatorzy na zamkowych murach widzieli odległe rozbłyśki płomieni i usłyszeły krzyk, przebijający się przez uderzenia gromów. Potem dwie bestie zwarły się ze sobą. Wokół nich uderzały pioruny. Vhagar była pięciokrotnie większa od przeciwnika i przeżyła już setkę bitew. Nawet jeśli doszło do walki, nie mogła ona trwać długo.

Rozszarpany Arrax runął w dół i pochłonięty go burzliwe wody zatoki. Po trzech dniach jego głowę i szypę wody wyrzuciły na brzeg u podstawy klifów pod Końcem Burzy, by stały się uczną dla krabów i mew. Morze oddało również zwłoki księcia Lucerysa.

Z chwilą jego śmierci wojna kruków, posłów oraz paktów małżeńskich dobiegła końca i na dobre zaczęła się wojna ognia i krwi.

Na Smoczj Skale królowa Rhaenyra zemdliała, gdy opowiedziano jej o śmierci Luke'a. Jego młodszy brat Joffrey (Jace nie wrócił jeszcze z misji na północy) złożył straszną przysięgę

zemsty na księciu Aemondzie i lordzie Borrosie. Tyłko interwencja Węża Morskiego i księżniczki Rhaenyś nie pozwoliła chłopcu natychmiast dosiąść swego smoka. Gdy czarna rada zebrała się, by rozważyć możliwy odwet, przyleciał kruk z Harrenhal.

— Oko za oko, syn za syna — napisał książę Daemon. — Lucerys będzie pomszczony.

Gdy Daemon Targaryen był młody, jego twarz i śmiech znały wszystkie kurwy, rzezimieszki i hazardziści w Zapchlonym Tyłku. Książę nadal miał przyjaciół w podejrzanych zakamarkach Królewskiej Przystani i zwolenników wśród złotych płaszczy. Choć król Aegon, namiestnik i królowa wdowa o tym nie wiedzieli, miał też sojuszników na dworze, a nawet w zielonej radzie... a także jedną łączniczkę, specjalną przyjaciółkę, której ufał bez zastrzeżeń. Znała ona winne szynki i szcurze areny kryjące się w cieniu Czerwonej Twierdzy równie dobrze, jak ongiś sam Daemon, i swobodnie poruszała się w cienistych okolicach miasta. Książę zwrócił się teraz swymi sekretnymi drogami ku owej bladej nieznamomej, by przygotować akt straszliwej zemsty.

W garłuchniach Zapchlonego Tyłka pośredniczka księcia Daemona znalazła odpowiednie instrumenty. Jeden z mężczyzn, wielki i brutalny, był ongiś sierżantem w Straży Miejskiej. Stracił złoty płaszcz, gdy w pijackim szale zatłukł kurwę na śmierć. Drugi był szczurołapem w Czerwonej Twierdzy. Ich prawdziwe imiona zaginęły w pomrokach dziejów. Są znani jedynie jako Jucha i Twaróg.

Szczurołap znał ukryte drzwi i tajne tunele zbudowane przez Maegora Okrutnego równie dobrze, jak znały je szcury, na które polował. Wykorzystując zapomniany korytarz, Twaróg zaprowadził Juchę do samego serca zamku, niepostrzeżenie dla wszystkich strażników. Niektórzy powiadają, że ich celem był sam król, ale Aegonowi wszędzie towarzyszyli gwardziści królewscy, a nawet Twaróg nie znał żadnego wejścia do Warowni Maegora poza mostem zwodzonym, przerzuconym nad suchą fosą z jej strasliwymi żelaznymi szpikulcami.

Wieża Namiestnika nie była aż tak bezpieczna. Dwaj mężczyźni przemknęli się przez jej mury, omijając stojących u jej drzwi włóczników. Komnaty ser Ottona ich nie interesowały. Zakradli się do pokoiw jego córki, położonych piętro niżej. Królowa Alicent zamieszkała tu po śmierci króla Viserysa, podczas gdy jej syn Aegon przeniósł się ze swą królową do Warowni Maegora. Po wejściu do środka Twaróg związał i zakneblował królową wdowę, a Jucha udusił jej pokojówkę. Potem obaj usiedli i zaczęli czelać. Wiedzieli, że królowa Helaena ma w zwyczaju co wieczór przed snem przy prowadzać tu dzieci, żeby zobaczyły się z babcią.

Nieświadoma niebezpieczeństwa królowa zjawiała się, gdy nad zamkiem zapadał zmierzch. Towarzyszyło jej troje dzieci. Jaehae rys i Jaehaera mieli po sześć lat, Maelor zaś dwa. Gdy weszli do środka, Helaena złapała go za rączkę i zawołała matkę po imieniu. Jucha zarygował drzwi i zabił strażnika królowej, Twaróg zaś złapał w ręce Maelora.

— Jeśli krzykniesz, wszyscy zginiecie — ostrzegł Jej Miłość Jucha.

— Kim jesteście? — zapytała dwóch mężczyzn królowa Helaea, zachowując spokój.

— Ściągamy długi — odpowiedział Twaróg. — Oko za oko, syn za syna. Chcemy tylko jednego, żeby wyrównać rachunek. Reszcie szlachetnie urodzonych nie spadnie włos z głowy, bez obaw. Którego chcesz utracić, Wasza Miłość?

Gdy królowa Helaea zrozumiała sens jego słów, zaczęła błagać, żeby to ją zabił.

— Żona to nie syn — sprzeciwił się Jucha. — To musi być chłopiec.

Twaróg ostrzegł królową, by decydowała się szybko, bo inaczej Jucha się zdzubi i zgwałci jej córkę.

— Wybieraj albo wykończymy wszystkie — dodał.

Kłęcząca, zalana łzami Helaea wymieniła swe najmłodsze dziecko, Maelora. Być może uważała, że chłopiec jest jeszcze za mały, by mógł cokolwiek zrozumieć, a może chodziło o to, że jej pierwszy synek, Jaehaerys, był pierworodnym i dziedzicem Aegona, pierwszym w linii sukcesji do Żelaznego Tronu.

— Słyszałeś, chłopcze? — wyszeptał do Maelora Twaróg. — Mama chce, żebyś umarł.

Potem uśmiechnął się do Juchy i potężnie zbudowany rębajło zabił księcia Jaehaerysa, ścinając chłopcu głowę jednym uderzeniem. Królowa zaczęła krzyczeć.

O dziwo, szczyrołap i rzeźnik dotrzykali słowa. Nie skrzywdzili już więcej królowej Helaei ani jej ocalałych dzieci, lecz uciekli z głową księcia.

Mimo że Jucha i Twaróg darowali jej życie, nie można powiedzieć, by królowa Helaea przeżyła ów pamiętny wieczór. Nie chciała potem jeść ani się kąpać. Nie opuszczała komnaty i nie mogła znieść widoku swego synka Maelora, wiedząc, że wydała go na śmierć. Król nie miał innego wyjścia, jak zabrać jej chłopca i oddać go ich matce, królowej wdowie, by wychowała go jak swego. Aegon i jego żona od tej pory spali oddzielnie. Królowa Helaea zapadała coraz głębiej w obłąd, podczas gdy król wściekał się, upijał i znowu wściekał.

Rozlew krwi zaczął się na dobre.

Zdobycie Harrenhal przez księcia Daemona stało się wielkim szokiem dla Jego Miłości. Do tej chwili Aegon II był przekonany, że sprawa jego przyrodniej siostry jest beznadziejna. Po upadku Harrenhal Jego Miłość po raz pierwszy poczuł się zagrożony. Dwie szybkie porażki poniesione pod Płonącym Młynem i Kamiennym Płotem stały się kolejnymi ciosami. Król uświadomił sobie, że sytuacja jest bardziej niebezpieczna, niż mu się zdawało. Te obawy pogłębiły się jeszcze, gdy przyleciały kruk z Reach, gdzie zieloni uważali się za najsilniejszych. Ród Hightowerów i Stare Miasto wiernie stały za królem Aegonem, a Arbor również należało do Jego Miłości... ale inni południowi lordowie opowiedzieli się za Rhaenyra, wśród nich lord Costayne z Trzech Wież, lord Mullendore z Wyżyn, lord Tarly z Horn Hill, lord Rowan z Goldengrove oraz lord Grimm z Szarej Tarczy.

Potem nadeszły kolejne ciosy: Dolina, Biały Port, Winterfell. Blackwoodowie i inni lordowie dorzecza napływali do Harrenhal pod chorągwie księcia Daemona. Floty Węża Morskiego zamknęły Czarną Zatokę i co rano król Aegon musiał wysłuchiwać narzekań kupców. Jego Miłość nie miał na ich skargi innej odpowiedzi niż kolejny kielich wzmocnionego wina.

— Zrób coś — zażądał od ser Ottona. Namiestnik zapewnił go, że coś robi. Stworzył plan mający przerwać blokadę Velaryo na. Jednym z najważniejszych filarów poparcia dla sprawy Rhae nyry był jej małżonek, ale księżę Daemon zaliczał się również do jej najsłabszych punktów. W ciągu swych licznych przygód zrobił sobie więcej wrogów, niż pozyskał przyjaciół. Ser Otto Hightower, który zaliczał się do jego najbardziej nieprzejednanych nieprzyjaciół, sięgnął na drugi brzeg morza, do innego z nich, Królestwa Trzech Sióstr, licząc na to, że przekona je do zaatakowania Węża Morskiego.

Zwlekanie nie przypadło do gustu młodemu królowi. Aegon II miał już dość kunktatorstwa dziadka. Choć jego matka, królowa wdowa Alicent, przemawiała w obronie ser Ottona, Jego Miłość pozostał głuchy na jej błagania. Wezwał ser Ottona do sali tronowej, zerwał mu z szyi łańcuch symbolizujący jego urząd i cisnął go ser Cristonowi Cole'owi.

— Mój nowy namiestnik jest stalową pięścią — pochwalił się. — Skończyliśmy z pisaniem listów.

Ser Criston, nie tracąc czasu, dowiódł swej wojowniczości.

— Nie godzi się, byś błagał swych lordów o poparcie jak żebrak domagający się jałmużny — oznajmił Aegonowi. — Jesteś prawowitym królem Westeros, a ci, którzy temu przeczą, to zdrajcy. Pora już, by poznali cenę zdrady.

Starszy nad szeptaczami króla Aegona, Larys Strong Szpotawa Stopa, sporządził listę wszystkich lordów, którzy przybyli na Smoczą Skאלę, by uczestniczyć w koronacji królowej Rhaenyry i zasiadać w jej czarnej radzie. Lordowie Celtigar i Velaryon mieli swe siedziby na wyspach, a ponieważ Aegon II nie dysponował morskimi siłami, znajdowali się poza zasięgiem jego gniewu. Ci „czarni” lordowie, których ziemie leżały na lądzie stałym, nie mieli podobnej ochrony.

Duskendale padło łatwo, wzięte z zaskoczenia przez królewskie siły. Miasteczko złupiono, stojące w porcie okręty spalono, a lorda Darklyna ścięto. Następnym celem ser Cristona było Gawronie Gniazdo. Lord Staunton wiedział, że wróg się zbliża, zamknął więc bramy i stawiał opór napastnikom. Jego lordowska mość mógł tylko przyglądać się zza osłony murów, jak wrogowie palą jego pola, lasy i wioski, wyrzynają owce, bydło oraz prostaczków. Kiedy zapasy w zamku zaczęły się wyczerpywać, lord Staunton wysłał kruka na Smoczą Skאלę z prośbą o odsiecz.

Dziewięć dni później nad morzem rozległ się łopot skórzastych skrzydeł i nad Gawronim Gniazdem pojawiła się smoczyca Meleys, zwana Czerwoną Królową, ponieważ pokrywały ją

szarłatne łuski. Błony jej skrzydeł były różowe, natomiast grzebień, rogi i szpony miały barwę błyszczącej miedzi. Na jej grzbiecie, obleczone w stalowo-miedzianą zbroję lśniącą w promieniach słońca, siedziała Rhaenys Targaryen, Niedoszła Królowa.

Ser Criston Cole nie czuł trwogi. Niemiernik Aegona spodziewał się tego, a nawet na to liczył. Na rozkaz uderzono w bębny i pojawili się łucznicy oraz kusznicy, wypełniając powietrze strzałami oraz bełtami. Przygotowano skorpiony i wystrzelono z nich żelazne bełty, takie same jak te, które powaliły Meraxes w Dorne. Meleys trafiło może ze dwadzieścia pocisków, ale to tylko rozgniewało ją bardziej. Pomknęła w dół, ziejąc ogniem na prawo i lewo. Rycerze palili się w siodłach, płomienie trawiły włosy, skóry i uprzęże ich koni. Zbrojni porzucali włócznie i uciekali na wszystkie strony. Niektórzy próbowali kryć się za tarczami, ale ani dębina, ani żelazo nie były w stanie się oprzeć smoczemu tchnieniu.

— Celujcie w jeźdźca! — wołał pośród dymu i płomieni ser Criston, dosiadający białego wierzchowca. Meleys ryczała, z jej nozdrzy buchał dym. W jej paszczy wierzgał ogier, trawiony językami płomieni.

I nagle odpowiedziały jej ryki. Pojawiły się dwie inne skrzydlate sylwetki — król dosiadający Sunfyre'a Złotego oraz jego brat Aemond na Vhagar. Criston Cole zastawił pułapkę i Rhaenys połknęła przynętę. A teraz zęby zamknęły się wokół niej.

Księżniczka Rhaenys nie próbowała uciekać. Zakrzyknęła radośnie i strzeliła z biczem, zwracając Meleys w stronę wrogów. Gdyby miała do czynienia z samą tylko Vhagar, mogłaby mieć szansę, Czerwona Królowa była bowiem stara, sprytna i dobrze poznała walkę. W walce z Vhagar i Sunfyre'em jednocześnie śmierć była jednak pewna. Smoki starły się ze sobą gwałtownie tysiąc stóp nad polem bitwy. Kule ognia eksplodowały gwałtownie, tak jasne, że ludzie przy sięgali później, iż niebo było pełne słońc. Karmazynowe szczęki Meleys zacisnęły się na moment na złotej szyi Sunfyre'a. Następnie Vhagar runęła z góry na walczących. Wszystkie trzy bestie pomknęły ku ziemi i uderzyły w nią tak mocno, że z odległych o półtorej mili murów Gawroniego Gniazda posypały się kamienie.

Ci, którzy byli najbliżej smoków, nie przeżyli, by opowiedzieć, co się wydarzyło. Tym, którzy byli dalej, widok zasłoniły płomienie i dym. Minęły godziny, nim ognie wygasły całkowicie, ale z popiołów wyłoniła się bez szkody jedynie Vhagar. Meleys nie żyła, zmiażdżona przez upadek i rozdarta na strzępy na ziemi. Sunfyre'owi, wspaniałej, złotej bestii, w połowie urwano jedno ze skrzydeł, natomiast jego królewski jeździec miał złamane żebra i biodro, a połowę jego ciała pokrywały oparzenia. Najbardziej jednak ucierpiała lewa ręka. Spalił ją smoczy ogień, tak gorący, że metal zbroi stopił się i połączył z ciałem.

Zwłoki, które uznano za należące do Rhaenys Targaryen, znaleziono potem w pobliżu truchła jej smoka, poczerwiała jednak tak bardzo, że nikt nie mógł być pewien, czy to rzeczywiście ona.

Umiłowana córka lady Jocelyn Baratheon i księcia Aemona Targaryena, wierna żona lorda Corlysa Velaryona, matka i babcia, Niedoszła Królowa, żyła, nie znając strachu i zginęła pośród krwi i ognia. Miała pięćdziesiąt pięć lat.

Owego dnia postradało też życie ośmiuset rycerzy, giermków oraz nisko urodzonych. Stu następnych zginęło wkrótce potem, gdy księżę Aemond oraz ser Criston Cole zdobyli Gawronie Gniazdo i wycięli garnizon w pień. Głowę lorda Stauntona zabrano do Królewskiej Przystani i zatknięto nad Starą Bramą... ale to głowa smoczyicy Meleys, przewieziona przez miasto na wozie, wprawiła prostaczków w osłupienie. Tysiące ludzi uciekły potem ze stolicy, aż wreszcie królowa wdowa Alicent rozkazała zamknąć miejskie bramy.

Król Aegon II nie umarł, choć oparzenia sprawiały mu ból tak wielki, że niektórzy mówią, iż modlił się o śmierć. Wrócił do Królewskiej Przystani w zamkniętej lektyce, by nikt nie zobaczył, jak ciężkich obrażeń doznał. Jego Miłość aż do końca roku nie wstawał z łoża. Septonowie modlili się za niego, a maesterzy podawali mu eliksiry i makowe mleko, lecz Aegon przesympiał dziewięć godzin z dziesięciu, budził się tylko na chwilę, by spożyć skromny posiłek, i znowu zapadał w sen. Jego spoczynku nie pozwalano zakłócać nikomu poza matką, królową wdową oraz namiestnikiem, ser Cristonem Cole'em. Jego żona, Helaena, pogrążyła się w żalu i szaleństwie tak głęboko, że nawet nie próbowała go odwiedzać.

Smok króla, Sunfyre, był zbyt wielki i ciężki, by można go było ruszyć z miejsca, a zranione skrzydło nie pozwalało mu latać. Dlatego pozostawiono go na polach za Gawronim Gniazdem, gdzie pełzał przez popioły niby ogromna złota żmija. Z początku żywił się spalonymi ciałami poległych, a gdy tych zabrakło, ludzie, którym ser Criston rozkazał go strzec, przyносили mu cielęta i owce.

— Musisz władać królestwem do czasu, gdy twój brat odzyska siły i będzie mógł znowu włożyć koronę — oznajmił księciu Aemondowi królewski namiestnik Ser Criston nie musiał tego powtarzać dwa razy. Tak oto jednooki Aemond Zabójca Krewnych włożył na głowę złotą, wysadzaną rubinami koronę Aegona Zdobywcy.

— Na mnie wygląda lepiej niż na nim — oznajmił księżę. Nie przybrał jednak tytułu króla i kazał się zwać tylko protektorem królestwa oraz księciem regentem. Ser Criston Cole pozostał królewskim namiestnikiem.

Tymczasem nasiona zasiane przez Jacaerysa Velaryona podczas podróży na północ zaczęły wydawać owoce. Ludzie zbierali się w Białym Porcie, Winterfell, Barrowton, Sisterton, Gulltown oraz przy Księżycowych Bramach. Ser Criston ostrzegł nowego księcia regenta, że gdyby połączyli siły z lordami dorzecza gromadzącymi się w Harrenhal u boku księcia Daemona, nawet mocne mury Królewskiej Przystani mogłyby się im nie oprzeć.

Księżę Aemond niezachwianie wierzył w swą biegłość wojownika oraz moc Vhagar, pragnął

więc zanieść walkę do nieprzyjaciela.

— Kurwa ze Smoczej Skały nie jest zagrożeniem — oznajmił. — Podobnie jak Rowan i ci zdrajcy z Reach. Groźbę stanowi mój stryj. Gdy Daemon zginie, wszyscy głupcy, którzy wzniesli chorągwie naszej siostry, uciekną do swych zamków i przestaną nas kłopotać.

Na wschód od Czarnej Zatoki królowej Rhaenyrze również wiodło się źle. Śmierć syna, Lucerysa, stała się miażdżącym ciosem dla kobiety już przedtem zdruzgotanej przez ciążę, poród i wydanie na świat martwego dziecka. Gdy na Smoczą Skałę dotarły wieści o śmierci księżniczki Rhaenys, wymieniono ostre słowa między królową a lordem Velaryonem, który winił ją o los, jaki spotkał jego żonę.

— To powinnaś być ty — wykrzyczał do Jej Miłości Wąż Morski. — Staunton pisał do ciebie, a ty wysłałaś do niego moją żonę i zabroniłaś swym synom polecieć z nią!

Wszyscy na zamku wiedzieli, że księżęta Jace i Joff gorąco pragnęli polecieć na swych smokach do Gawroniego Gniazda, razem z księżniczką Rhaenys.

Pod koniec roku 129 o.P. to właśnie Jace wysunął się na czoło. Najpierw skłonił Lorda Przyływów do powrotu do owczarni, mianując go namiestnikiem królowej. Razem z lordem Corlysem zaczęli potem przygotowywać plany ataku na Królewską Przystań.

Pamiętając o obietnicy złożonej Dziewicy z Doliny, Jace rozkazał księciu Joffreyowi polecieć do Gulltown na Tyraxesie. Munkun sugeruje, że główną rolę w tej decyzji odegrało pragnienie trzymania młodszego brata jak najdalej od walk. To nie spodobało się Joffreyowi, zdeterminowanemu dowieść swej wartości w boju. Dopiero gdy mu powiedziano, że jego zadaniem będzie obrona Doliny przed smokami króla Aegona, zgodził się z niechęcią polecieć. Na jego towarzyszkę wybrano Rhaenę, trzynastoletnią córkę księcia Daemona i Laenys Velaryon. Znana jako Rhaena z Pentos, od miasta, w którym się urodziła, dziewczyna nie była smoczym jeźdźcem, ponieważ jej smoczątko umarło przed kilkoma laty, zabrała jednak ze sobą do Doliny trzy smocze jaja i co noc modliła się o wykucie się nowych smoczątek. Księżę Smoczey Skały obawiał się też o bezpieczeństwo swych przyrodnych braci, Aegona Młodszego oraz Viserysa. Pierwszy z nich miał dziewięć lat, drugi zaś siedem. Ich ojciec, księżę Daemon, pozyskał wielu przyjaciół w Wolnym Mieście Pentos, które wielokrotnie odwiedzał, Jacaerys sięgnął więc na drugi brzeg wąskiego morza, do księcia tego miasta, który zgodził się wziąć obu chłopców pod opiekę na czas, nim Rhaenyrza nie zasiądzie bezpiecznie na Żelaznym Tronie. W ostatnich dniach roku 129 młodzi księżęta wsiedli na pokład łogi „Beztroskie Zapamiętanie” — Aegon z Chmurą, a Viserys ściskający swe smocze jajo — i pożeglowali do Essos. Wąż Morski dał im eskortę złożoną z siedmiu okrętów, by się upewnić, że bezpiecznie dotrą na miejsce.

Ponieważ Sunfyre leżał ranny w pobliżu Gawroniego Gniazda i nie był w stanie latać, a Tessarion poleciała do Starego Miasta z księciem Daeronom, Królewskiej Przystani broniły

tylko dwa dorosłe smoki... a królowa Helaena, która była jeźdźcem Dream fyre, spędzała swe dni w ciemności, nie przestając płakać, i z pewnością nie można jej było uważać za groźbę. Zostawała tylko Vhagar. Żaden z żyjących smoków nie mógł się z nią równać rozmiarami ani gwałtownością, ale Jace doszedł do wniosku, że jeśli Vermax, Syrax i Caraxes zaatakują Królewską Przystań jednocześnie nie, nawet „ta okropna stara suka” nie zdoła się im oprzeć. Sława Vhagar była jednak tak wielka, że książe się wahał, zastanawiając się, jak wzmocnić swój atak dodatkowymi bestiami.

Ród Targaryenów władał Smoczą Skalą od z górą dwustu lat, odkąd lord Aenar Targaryen przybył tu z Valyrii ze swymi smokami. Choć zwyczajem Targaryenów było zawieranie małżeństw między rodzeństwem albo kuzynami, młoda krew jest gorąca i zdarzało się, że mężczyźni z rodu szukali przyjemności z córkami (a nawet żonami) swych poddanych, prostaczków mieszkających w wioskach pod Smoczą Górą, oraczy albo rybaków. W gruncie rzeczy aż do czasów panowania króla Jaehaerysa i Dobrej Królowej Alysanne na Smoczej Skale utrzymywało się starożytne prawo pierwszej nocy (podobnie jak w całym Westeros) i lord miał prawo spać z każdą dziewczyną w swej domenie w jej noc poślubną.

Książe Jacaerys potrzebował więcej smoczycich jeźdźców i więcej smoków, zwrócił się więc ku zrodzonym ze smoczego nasienia, przysięgając, że każdy, kto zdoła zapanować nad smokiem, otrzyma ziemię i bogactwa oraz zostanie pasowany na rycerza. Jego synowie będą uważani za szlachetnie urodzonych, córki poślubią lordów, on sam będzie miał zaś zaszczyt walczyć u boku księcia Smoczej Skąły przeciwko uzurpatorowi Aegonowi II Targaryenowi i jego zdrazieckim stronnikom.

Nie wszyscy, którzy zgłosili się na żądanie księcia, byli nasionami, czy nawet ich synami albo wnukami. Smoczyci jeźdźcami zapragnęło zostać dwudziestu domowych rycerzy Rhaenyry, między innymi lord dowódca jej Gwardii Królowej, ser Steffon Darklyn, a także giermkowie, pomywacze, marynarze, zbrojni, komedianci, a nawet dwie służki.

Smoki to nie konie. Niełatwo godzą się dźwigać ludzi na grzbiecie, a kiedy coś je rozgniewa albo przestraszy, atakują. Szesnastu ludzi straciło życie, próbując zostać smoczyci jeźdźcami. Trzykrotnie więcej zostało poparzonych lub okaleczonych. Steffon Darklyn spłonął, próbując osiąść Morskiego Dymu. Lorda Gormona Masseyę spotkał ten sam los, gdy podchodził Vermithora. Mężczyźni zwanemu Srebrnym Denysem, którego włosy i oczy przydawały wiarygodności jego twierdzeniom, że był bękartem króla Maegara Okrutnego, urwał rękę Owcokrad. Gdy synowie Denysa próbowali zatamować krwotok, Kanibal opadł na nich z góry, przegonił Owcokrada i pożarł ojca razem z synami.

Jednakże Morski Dym, Vermithor i Srebrnoskrzydła były przyzwyczajone do ludzi i tolerowały ich obecność. Kiedyś już ich dosiadano, były więc bardziej skłonne zaakceptować

nowych jeźdźców. Vermithor, bestia Starego Króla, ugiął szyi przed bękartem kowala, potężnym drągałem znanym jako Hugh Młot albo Twardy Hugh, natomiast jasnowłosy mężczyzna zwany Ulfem Białym (z powodu włosów) albo Ulfem Pijanicą (z powodu zwyczajów) dosiadł Srebrnoskrzydłej, ukochanej przez Dobrą Królową Alysanne.

Natomiast Morski Dym, który ongiś nosił Laenora Velaryona, przyjął na grzbiet piętnastoletniego chłopaka znanego jako Addam z Hull. Historycy po dziś dzień debatują nad jego pochodzeniem. Wkrótce po tym, jak Addam z Hull dowiódł swej wartości, dosiadając smoka, lord Corlys posunął się do tego, że wystąpił do królowej Rhaenyry z petycją o zdjęcie bękartiej skazy z chłopaka oraz jego brata. Gdy książę Jacaerys poparł tę prośbę, królowa się zgodziła. Addam z Hull, bękart i smocze nasienie, stał się Addamem Velaryonem, dziedzicem Driftmarku.

Nad trzema dzikimi smokami z wyspy trudniej było zapanować niż nad tymi, które znały już przedtem jeźdźców, ale i tak podejmowano próby. Owcokrad, wyjątkowo brzydki smok barwy „błotnistej brązu”, który wykuł się w czasach, gdy Stary Król był jeszcze młody, lubił baranię i atakował stada owiec od Driftmarku aż po Wendwater. Rzadko robił krzywdę pasterzom, chyba że próbowali mu przeszkodzić, ale zdarzało mu się pożreć owczarka. Szary Duch mieszkał w dymiącej szczelinie wysoko na wschodnim stoku Smoczej Góry, wolał ryby i najczęściej widywano go, gdy leciał nisko nad wąskim morzem, szukając zdobyczy w wodzie. Ten szarobiałły smok barwy porannej mgły był szczególnie płochliwy i nieraz udawało mu się przez całe lata unikać spotkania z ludźmi.

Największym i najstarszym z dzikich smoków był Kanibal, nazwany tak, ponieważ pożerał ciała martwych pobratymców, a niekiedy atakował wylegarnie Smoczej Skąły, by nasycić się jajami oraz świeżo wyklutymi smoczętami. Kandydaci na smoczycy jeźdźców tuzin razy próbowali nad nim zapanować. Jego leże było usłane ich kośćmi.

Nikt ze smoczycy nasion nie był na tyle głupi, by niepokoić Kanibala (a jeśli jacyś byli, nie wrócili, by o tym opowiedzieć). Niektórzy szukali Szarego Ducha, lecz bez powodzenia, ponieważ zawsze był nieuchwytnym stworzeniem. Owcokrada łatwiej było wypłoszyć, ale on również był okrutną, złośliwą bestią i zabił więcej nasion niż trzy smoki z zamku razem wzięte. Jednym z tych, którzy mieli nadzieję go okiełznać (po tym, jak ich poszukiwania Szarego Ducha zakończyły się niepowodzeniem) był Allyn z Hull. Owcokrad nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Gdy Allyn wyszedł ze smoczej jamy, jego płaszcz płonął. Tylko szybka reakcja brata uratowała mu życie. Morski Dym odpędził dzikiego smoka, a Addam zgasił płomień własnym płaszczem. Allyn Velaryon miał nosić blizny po tym spotkaniu na plecach i nogach aż po kres swego długiego życia. Uważał jednak, że mu się poszczęściło, albowiem ocalił życie. Wiele innych nasion oraz poszukiwaczy pragnących latać na grzbiecie Owcokrada skończyło w jego brzuchu.

Na koniec brązowego smoka zmusiła do posłuszeństwa, dzięki sprytowi i cierpliwości, „drobna,

smagła dziewczyna” w wieku szesnastu lat, zwana Netty. Co rano przynosiła mu świeżo zarżniętą owcę, aż Owcolrad nauczył się ją akceptować i spodziewać się jej wizyt. Netty miała czarne włosy, brązowe oczy, smagłą cerę i niewyparzony język, była chuda, brudna, nieustraszona... i jako pierwsza i ostatnia została jeźdźcem smoka zwanego Owcolradem.

Tak oto książę Jacaerys osiągnął swój cel. Za cenę wszystkich tych śmierci i całego bólu, wdów pozostawionych przez ofiary oraz poparzonych mężczyzn, którzy mieli nosić blizny aż do końca życia, znalazł czworo nowych smoczycich jeźdźców. Gdy zbliżał się koniec roku 129, książę przygotował się do lotu do Królewskiej Przystani. Datę ataku wyznaczył na pierwszą pełnię księżyca nowego roku.

Ale plany ludzi są tylko zabawką dla bogów. Gdy Jace planował akcję, ze wschodu nadciągało już nowe zagrożenie. Spiski Ottona Hightowera wydały owoce; na spotkaniu w Tyrosh Wielka Rada Triarchii zaakceptowała jego propozycję sojuszu. Dziewięćdziesiąt okrętów wypłynęło ze Stopni pod chorągwiami Trzech Córerek wiosłując ze wszystkich sił ku Gardzieli... i zrzędzeniem przypadku albo bogów pentoshijska koga „Beztroskie Zapamiętanie” wpłynęła prosto w ich paszczę. Okręty składające się na eskortę zatopiono albo zdobyto, a potem pojmano samą kogę.

Wieści dotarły na Smoczą Skałę dopiero wtedy, gdy przybył tam książę Aegon, rozpaczliwie trzymający się szyi swego smoka, Chmury. Chłopak był biały z przerażenia, drżał jak liść i śmierdział szczykami. Miał tylko dziewięć lat, nigdy przedtem nie latał... i nie miał polecieć już nigdy więcej, ponieważ Chmura odniósł straszliwe rany podczas ucieczki. W jego brzuch wbiły się niezliczone strzały, a szyję przeszył bełt wystrzelony ze skorpiona. Dokonał żywota przed upływem godziny, sycząc, gdy z jego ran trysnęła gorąca krew, czarna i dymiąca. Młodszy brat Aegona, książę Viserys, nie miał szans ucieczki z kogi. Był jednak sprytnym chłopakiem i ukrył swe smocze jajo, a potem przebrał się w podarty, brudny od soli strój, udając zwykłego chłopca okrętowego. Zdradził go jednak jeden z prawdziwych chłopców okrętowych i Viserysa wzięto do niewoli. Tyroshijski kapitan pierwszy sobie uświadomił, kto wpadł mu w ręce, ale admirał floty, Sharako Lohar z Lys, szybko pozabawił go łupu.

Gdy książę Jacaerys runął na szereg lyseńskich galer, dosiadając Vermaxa, napotkał go deszcz włóczyń i strzał. Marynarze Triarchii walczyli już przedtem ze smokami, podczas wojny z księciem Daemonem na Stopniach. Nikt nie mógłby ich oskarżać o brak odwagi. Byli gotowi stawić czoło smoczemu ognioniowi z taką bronią, jaką mieli pod ręką.

— Zabijcie jeźdźca, a smok odleci — powtarzali im kapitanowie i dowódcy. Jeden z okrętów stanął w płomieniach, a po nim następny, ale ludzie z Wolnych Miast walczyli dalej... aż wreszcie zabrzmiał krzyk, a gdy unieśli wzrok, zobaczyli kolejne skrzy dlate sylwetki, które okrążyły Smoczą Górę i skierowały się ku nim.

Co innego walczyć z jednym smokiem, a co innego z pięcioma. Gdy opadły na nich

Srebrnoskrzydła, Owocokrad, Morski Dym oraz Vermithor, ludzie z Triarchii poczuli, że odwaga ich opuszcza. Linia okrętów się rozproszyła. Galery zwracały jedna po drugiej. Smoki uderzały niczym pioruny, miotając kulami ognia, niebieskimi i pomarańczowymi, czerwonymi i złotymi, każda z nich jaśniejsza od poprzedniej. Kolejne okręty rozpadały się na kawałki albo pochłaniały je płomienie. Ludzie skakali z krzykiem do morza, spowici w ogień. Z wody wznosiły się ku niebu kolumny czarnego dymu. Wszystko wydawało się stracone... wszystko było stracone...

...aż nagle Vermax zanadto obniżył lot i runął do morza.

O tym, jak i dlaczego upadł smok, powtarzało potem kilka sprzecznych ze sobą opowieści. Niektórzy twierdzili, że jeden z kuszników trafił go w oko żelaznym bełtem, ale ta wersja podejrzanie przypomina okoliczności, w jakich Meraxes zginęła w Dorne, tak dawno temu. Inna relacja mówi nam, że marynarz siedzący na bocianim gnieździe myrijskiej galery rzucił drapak, gdy Vermax przelatywał nad flotą. Jeden z haków znalazł punkt zaczepienia między dwiema łuskami, a znaczna prędkość smoka sprawiła, że wbił się głęboko. Marynarz owinął swój koniec łańcucha wokół masztu i ciężar okrętu w połączeniu z siłą skrzydeł Vermaxa wyrwały w smoczym brzuchu długą, poszarpaną ranę. Pomimo zgiełku bitwy gniewny wrzask bestii usłyszano aż w Spicetown. Lot Vermaxa zatrzymał się gwałtownie i smok runął w dół, rycząc, buchając dymem i rozpryskując szponami wodę. Ocalali opowiadali, że bestia próbowała się podźwignąć, ale uderzyła głową w płonącą galerię. Drewno pękło, maszt się złamał, a miotający się smok zaplątał się w olinowanie. Gdy okręt odwrócił się do góry dnem i zatonął, smok podążył za nim na dno.

Powiadają, że Jaceaerys Velaryon zeskokczył z grzbietu Vermaxa i przez kilka uderzeń serca trzymał się dymiącego fragmentu kadłuba, ale potem kusznicy z najbliższego myrijskiego okrętu zaczęli go ostrzeliwać. Księżę oberwał bełtem raz, a potem drugi. Do ostrzału przyłączali się kolejni nieprzyjaciele, aż wreszcie jeden z bełtów trafił w szyję i Jace'a pochłonęło morze.

Bitwa w Gardzieli trwała nawet po zapadnięciu zmierzchu, na północ i na południe od Smoczjej Skały, i po dziś dzień pozostaje jedną z najkrwawszych morskich bitew w historii. Admirał Triarchii Sharako Lohar wypłynął ze Stopni z flotą złożoną z dziewięćdziesięciu myrijskich, lyseńskich i tyroshijskich okrętów, a tylko dwadzieścia osiem z nich zdołało się dowlec z powrotem do portu.

Choć napastnicy ominęli Smoczą Skałę, z pewnością sądząc, że starożytna twierdza Targaryenów jest za silna, by mogli ją zdobyć, spowodowali w Driftmarku straszliwe straty. Spicetown okrutnie splądrowano. Ciała pomordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci porzucono na ulicach jako karmę dla mew, szurków i czarnych wron, a budynki spalono. Miasteczka nigdy nie odbudowano. Wysoką Wodę również puszczono z dymem. Wszystkie skarby przywiezione przez Węża Morskiego ze wschodu pochłonął ogień, a jego służących wycięto w pień, gdy próbowali

uciekać przed pożarem. Flota Velaryonów utraciła niemal jedną trzecią swych sił. Zginęły tysiące ludzi. Niemniej żadnej z tych strat nie przeżyto tak ciężko jak straty Jacaerysa Velaryona, księcia Smoczęj Skąły i dziedzica Żelaznego Tronu.

Dwa tygodnie później, w Reach, Ormund Hightower został uwięziony między dwiema armiami. Thaddeus Rowan, lord Goldengrove, i Tom Flowers, bękart z Gorzkiego Mostu, nadsiedzieli z północnego wschodu, wiodąc wielki zastęp konnych rycerzy, natomiast ser Alan Beesbury, lord Alan Tarly i lord Owen Costayne połączyli siły, by odciąć mu drogę odwrotu do Starego Miasta. Gdy ich armie otoczyły go na brzegach Miodowiny, atakując jednocześnie od przodu i od tyłu, lord Hightower zobaczył, że jego linie zaczynają się załamywać. Klęska wydawała się nieunikniona... lecz nagle na pole bitwy padł cień i z góry dobiegł straszliwy ryk, przebijający się przez szcęk stali uderzającej o stal. Przybył smok

To była Tessarion, Niebieska Królowa, barwy kobaltu i miedzi. Dosiadał jej najmłodszy z trzech synów królowej Alicent, piętnastoletni Daeron Targaryen, giermek lorda Ormunda.

Pojawienie się księcia Daerona i jego smoka odwróciło losy bitwy. Teraz to ludzie lorda Ormunda ruszyli do ataku, wykrzykując przekleństwa pod adresem wrogów, a stronnicy królowej uciekali. Pod koniec dnia lord Rowan wycofał się na północ z niedobitkami swych sił, Tom Flowers leżał martwy i spalony pośród trzciny, obaj Alanowie dostali się do niewoli, a lord Costayne konał powoli od rany zadanej czarnym mieczem Śmiałego Jona Roxtona, Twórcą Sierot. Gdy wilki i kruki karmiły się ciałami poległych, lord Hightower ugościł księcia Daerona pieczenią z tura i wzmocnionym winem, a także pasował go na rycerza legendarnym valyriańskim mieczem zwanym Czujnością, zwać go „Daerone Dzielnym”.

— Wasza lordowska moc jest bardzo uprzejmy — odparł skromnie książę — ale zwycięstwo jest zasługą Tessarion.

Gdy na Smoczą Skąłę dotarły wieści o klęsce nad Miodowiną, nad czarnym dworem zawisł całun klęski i przygnębienia. Lord Bar Emmon posunął się nawet do zasugerowania, że być może nadszedł czas, by ugiąć kolana przed Aegonem II. Królowa nie chciała jednak o tym słyszeć. Tylko bogowie naprawdę znają serca mężczyzn, a kobiety są równie niezwykłe. Śmierć jednego syna złamała Rhaenyre Targaryen, lecz utrata drugiego najwyraźniej dała jej nowe siły. Uczyniła ją twardszą, wypaliła jej obawy, pozostawiając tylko gniew i nienawiść. Jej Miłość nadal miała więcej smoków od przyrodniego brata i postanowiła teraz ich użyć, bez względu na koszty. Oznajmiła czarnej radzie, że spuści na Aegona oraz wszystkich jego stronników deszcz ognia i śmierci, i strąci go z Żelaznego Tronu albo zginie.

Podobna determinacja zakorzeniła się na drugim brzegu zatoki, w piersi Aemonda Targaryena, który władał w imieniu brata, gdy Aemon leżał złożony niemocą. Aemond Jednooki gardził przyrodnią siostrą, uważając za poważniejszą groźbę stryja, księcia Daemona, oraz potężny

zastęp zgromadzony przez niego w Harrenhal. Książę zwołał swych chorążych oraz radę i oznajmił, że zamierza zaatakować stryja, a także ukarać zbuntowanych lordów dorzecza.

Nie wszystkim członkom zielonej rady przypadł do gustu śmiały plan księcia. Aemond miał poparcie ser Cristona Cole'a, który był namiestnikiem, oraz ser Tylanda Lannistera, ale wielki maester Orwyle namawiał go, by wysłał wiadomość do Końca Burzy, by dodać do swych sił potęgę rodu Baratheonów, natomiast Żelazny Pręt, lord Jasper Wylde, oznajmił, że powinno się wezwać z południa lorda Hightowera i księcia Daerona, ponieważ „dwa smoki są lepsze niż jeden”. Królowa wdowa również zalecała ostrożność, przekonując syna, by zaczekał, aż jego brat, król, i jego smok Sunfyre Złoty wrócą do zdrowia, by przyłączyć się do ataku.

Książę Aemond nie lubił jednak zwlekać. Oświadczył, że nie potrzebuje braci ani ich smoków: Aegon był zbyt ciężko ranny, a Daeron za młody. To prawda, Caraxes była straszliwą bestią — okrutną, sprytną i doświadczoną w walce, ale Vhagar była starsza, gwałtowniejsza i dwukrotnie większa. Septon Eustace mówi nam, że Zabójca Krewnych był zdeterminowany samodzielnie osiągnąć zwycięstwo. Nie chciał dzielić się chwałą z braćmi ani z nikim.

Nie sposób też było go powstrzymać, jako że dopóki Aegon II nie wstanie z łoża, by znowu ująć w dłoń miecz, regencja i władza należały do Aemonda. Wierny swemu postanowieniu książę przed upływem dwóch tygodni opuścił miasto przez Bramę Bogów, prowadząc ze sobą cztery tysiące ludzi.

Daemon Targaryen był zbyt starym i doświadczonym wojownikiem, by czekać biernie, aż zostanie uwięziony wewnątrz murów, choćby nawet tak potężnych jak mury Harrenhal. Książę nadal miał przyjaciół w Królewskiej Przystani i wieści o planach bratanka dotarły do niego, nim jeszcze ten wyruszył w drogę. Gdy powiedziano mu, że Aemond i ser Criston Cole opuścili Królewską Przystań, roześmiał się tylko i rzekł: „Najwyższy czas” — albowiem od dawna już czekał na tę chwilę. Z wypaczonych wież Harrenhal do lotu poderwało się stado kruków.

W innej części królestwa lord Walys Mooton wyruszył z setką rycerzy ze Stawu Dziewic, by połączyć siły z na wpół dzikimi Crabbami oraz Brune'ami ze Szczypcowego Przylądka oraz Celtigarami ze Szczypcowej Wyspy. Pomaszrowali pośpiesznie przez sosnowe lasy i spowite mgłą wzgórza do Gawroniego Gniazda. Ich nagłe przybycie zaskoczyło tamtejszy garnizon. Pod odzyśkaniem zamku lord Mooton ruszył z najodważniejszymi ze swych ludzi na spopielone pole na zachód od niego, by położyć kres życiu Sunfyre'a.

Kandydaci na smokobójców z łatwością odpendzili kordon strażników, którym nakazano karmić bestię, opiekować się nią i dbać o jej bezpieczeństwo, ale sam Sunfyre okazał się groźniejszy, niż oczekiwali. Smoki na ziemi poruszają się niezgrabnie, a rozdarte skrzydło nie pozwalało wielkiej złotej bestii zerwać się do lotu. Napastnicy sądzili, że smok będzie już bliski śmierci, ale on tylko spał. Szczęk mieczy i tętent kopyt szybko go obudziły, a pierwsza włócznia, która go uderzyła,

zrodziła w nim furię. Śliski od błota, pełzający między kośćmi niezliczonych owiec Sunfyre wiał się jak wąż, uderzając ogonem i wysyłając ku napastnikom tchnienia złotego ognia. Próbował zerwać się do lotu. Po trzykroć się podnosił i po trzykroć znowu opadał na ziemię. Ludzie Mootona rzucili się na smoka z mieczami, włóczniami i toporami, zadając mu wiele straszliwych ran, ale każdy cios rozjuszał go jeszcze bardziej. Liczba zabitych sięgła sześćdziesięciu, nim pozostali uciekli.

Wśród poległych był też Walys Mooton, lord Stawu Dziewic. Odnalazł go po dwóch tygodniach jego brat, Manfyrd. Nie pozostało nic poza zwęglonym, oblażym czerwiem ciałem w stopionej zbroi. Jednakże nigdzie na polu popiołów, usianym ciałami odważnych ludzi i spalonymi, gnijącymi szczątkami setki koni lord Manfyrd nie odnalazł smoka króla Aegona. Sunfyre zniknęła. Nie było też śladów, jakie z pewnością by pozostawił, gdyby gdzieś odpełznął. Najwyraźniej Sunfyre Złoty znowu zerwał się do lotu, ale nikt z żyjących nie potrafił odgadnąć, dokąd odleciał.

Tymczasem księżę Daemon Targaryen pomknął na południe, dosiadając Caraxes. Poleciał wzdłuż zachodniego brzegu Oła Boga, daleko od linii marszu ser Cristona, ominął nieprzyjacielski zastęp, przeleciał nad Czarnym Nurtem, po czym zawrócił na wschód, kierując się wzdłuż rzeki do Królewskiej Przystani. W tym samym czasie na Smoczej Skale Rhaenyra Targaryen wdziała zbroję łuskową barwy błyszczącej czerni, dosiadła Syrax i poleciała w ulewę smagającą wody Czarnej Zatoki. Wysoko nad miastem królowa i jej księżę małżonek spotkali się, zataczając kręgi nad Wielkim Wzgórzem Aegona.

Ich widok wzbudził grozę na ulicach miasta. Prostaczkowie szybko sobie uświadomili, że atak, którego się bali, wreszcie nadszedł. Księżę Aemond i ser Criston pozbawili miasto obrońców, wyruszając na Harrenhal... a Zabójca Krewnych zabrał ze sobą Vhagar, pozostawiając w Królewskiej Przystani jedynie Dreamfyre oraz garstkę niedojrzałych smoczątek. Na młodych smokach nikt nigdy nie latał, a jeźdźcem Dreamfyre była królowa Helaena, złamana kobieta. Miasto równie dobrze mogłoby nie mieć smoków.

Tysiące mieszkańców uciekły przez bramy, dźwigając na plecach dzieci oraz doczesny dobytek, by poszukać bezpieczeństwa poza miastem. Inni kopali doły i tunele pod swymi nędznymi domostwami, mając nadzieję ukryć się w nich, gdy miasto ogarnie pożar. W Zapchlonym Tyłku wybuchły rozruchy. Gdy na wschodzie, w Czarnej Zatoce, zauważono żagle okrętów Węża Morskiego, zmierzających ku rzece, we wszystkich septach w mieście uderzono w dzwony, a na ulice wypłynęły tłumy, pładując wszystko po drodze. Zginęły dziesiątki ludzi, nim złote płaszcze zdołały przywrócić spokój.

Ponieważ lord protektor i królewski namiestnik byli nieobecni, a sam król Aegon leżał w łożu, trawiony gorączką i pogrążony w makowych snach, odpowiedzialność za obronę Królewskiej

Przystani spadła na jego matkę, królową wdowę. Królowa Alicent sprostała temu wyzwaniu. Kazała zamknąć bramy zamku i miasta, skierowała złote płaszcze na mury i wysłała jeźdźców na szybkich koniach, by odnaleźli księcia Aemonda i sprowadzili go z powrotem.

Rozkazała też wielkiemu maesterowi Orwyle'owi wysłać kruki do „wszystkich naszych wiernych lordów”, by wezwać ich na odsiecz prawowitemu królowi. Gdy jednak Orwyle wrócił w pośpiechu do swych komnat, czekały tam na niego cztery złote płaszcze. Jeden z mężczyzn stłumił krzyki wielkiego maestera, pozostali zaś pobili go i związali. Potem założono mu worek na głowę i odprowadzono do ciemnicy.

Jeźdźcy królowej Alicent dotarli tylko do bram miejskich, gdzie ich również aresztowały złote płaszcze. Jej Miłość nie wiedziała, że siedmiu kapitanów bram, wybranych z uwagi na lojalność wobec króla Aegona, uwięziono bądź zamordowano, gdy tylko na niebie nad Czerwoną Twierdzą pojawiła się Caraxes... ponieważ szeregowi strażnicy miejscy nadal kochali Daemona Targaryena, który dowodził nimi w dawnych czasach.

Brat królowej, ser Gwayne Hightower, zastępca dowódcy złotych płaszczy, popędził do stajni, ale pojmano go, rozbrojono i zawleczono przed oblicze dowódcy, Luthora Largenta. Gdy Hightower oskarżył go, że zdradził swój złoty płaszcz, ser Luthor roześmiał się w głos.

— To Daemon dał nam te płaszcze — oznajmił. — Pozostaną one złote bez względu na to, komu będziemy służyć.

Potem wbił miecz w brzuch ser Gwayne'a i rozkazał otworzyć bramy przed ludźmi zsiadającymi z okrętów Węża Morskiego.

Choć Królewska Przystań służyła na potężnych murów, upadła w niespełna jeden dzień. Krótką, krwawą walkę stoczono przy Rzecznej Bramie, gdzie trzy nastu rycerzy i stu zbrojnych służących Hightowerom odparło złote płaszcze i broniło się przez niemal osiem godzin przed atakami z wewnątrz i z zewnątrz miasta. Ich bohaterstwo na nic się jednak nie zdało, albowiem żołnierze Rhaenyry bez przeszkód napłynęli do środka miasta przez sześć pozostałych bram. Widok smoków królowej unoszących się na niebie odebrał odwagę obrońcom i ci, którzy nadal pozostawali wierni królowi Aegonowi, uciekli, ukryli się bądź też ugięli kolan.

Smoki opadały na ziemię jeden po drugim. Owocokrad wylądował na wzgórzu Visenyi, a Srebrnoskrzydła i Vermithor na wzgórzu Rhaenys, pod Smoczą Jamą. Księżę Daemon okrążył wieże Czerwonej Twierdzy, a potem posadził Caraxes na zewnętrznym dziedzińcu. Dopiero gdy się upewnił, że obrońcy nie zrobią mu krzywdy, dał swej żonie, królowej, sygnał, by wylądowała na Syrax. Addam Velaryon pozostał w powietrzu, krążąc nad murami na Morskim Dymie. Łopot wielkich skórzastych skrzydeł smoka był dla tych na dole ostrzeżeniem, że odpowiedzią na próby stawiania oporu będzie ogień.

Ujrawszy, że opór jest bezcelowy, królowa wdowa Alicent wyszła z Warowni Maegora razem

ze swym ojcem ser Ottonem Hightowerem, ser Tylandem Lannisterem oraz lordem Jasperem Wyldem Żelaznym Prętem (lord Larys Strong im nie towarzyszył. Starszemu nad szeptaczami udało się w jakiś sposób zniknąć). Królowa Alicent próbowała pertraktować z pasierbicą.

— Zwolajmy wspólnie wielką radę, jak Stary Król w dawnych czasach — zaproponowała królowa wdowa — i pozwólmy lordom królestwa rozstrzygnąć sprawę sukcesji.

Królowa Rhaenyra odrzuciła jednakże wzgardą tę propozycję.

— Obie wiemy, co zdecydowałaby rada.

Potem dała macoszce wybór: poddać się albo spłonąć.

Pokonana królowa Alicent pochylała głowę, oddała klucze do zamku i rozkazała swym rycerzom oraz zbrojnym odłożyć miecze.

— Miasto należy do ciebie, księżniczko — rzekła ponoć — ale nie utrzymasz go długo. Szczury tańczą, kiedy kota nie ma, ale mój syn Aemond wkrótce wróci z krwią i ogniem.

Triumf Rhaenyry bynajmniej nie był jeszcze kompletny. Zbrojni znaleźli żonę jej rywala, szaloną królową Helaenę, zamkniętą w sypialni... ale gdy wyłamali drzwi komnat króla, odkryli tylko „puste łóżce i pełen nocnik”. Król Aegon II uciekł, podobnie jak jego dzieci, sześćioletnia księżniczka Jaehaera i dwuletni książę Maelor, razem z rycerzami Gwardii Królewskiej, Willisem Fellem i Rickardem Thorne'em. Nawet królowa wdowa najwyraźniej nie wiedziała, gdzie się podziali, a Luthor Largent przysięgał, że nie przeszli przez bramy miejskie.

Żelaznego Tronu nie sposób było jednak wykraść. Królowa Rhaenyra nie mogłaby też zasnąć, dopóki nie zasiądzie na stolcu ojca. Dlatego w sali tronowej zapalono pochodnie, a królowa wspięła się na żelazne stopnie i usiadła tam, gdzie przed nią siedział król Viserys, a przedtem Stary Król, Maegor, Aeny i Aegon Smok Nie zdjęła zbroi, a jej twarz miała srogi wyraz. Siedziała wysoko, gdy wszystkich mężczyzn i kobiety w Czerwonej Twierdzy przyprowadzono tam i kazano przed nią uklęknąć, błagać o przebaczenie i poprzysiąc swe życie, miecze oraz honor służbie swej królowej.

Ceremonia ciągnęła się przez całą noc. Było już dobrze po świcie, kiedy Rhaenyra Targaryen wreszcie wstała i zeszła na dół. Gdy jej pan mąż, książę Daemon, wyprowadzał ją z komnaty, na nogach i na wewnętrznej powierzchni lewej dłoni Jej Miłości zauważono skaleczenia. Kiedy szła, na posadzce ślapywały kropelki krwi. Mądrzy ludzie spoglądali na siebie nawzajem, choć nikt nie odważył się wypowiedzieć na głos prawdy: „Żelazny Tron nią wzgardził. Nie będzie zasiadała na nim długo”.

Gdy wszystko to się wydarzyło, książę Aemond i ser Criston Cole nadal maszerowali ku dorzeczu. Po dziewiętnastu dniach dotarli do Harrenhal... i przywitały ich otwarte bramy. Książę Daemon i wszyscy jego ludzie odeszli.

Książę Aemond przez całą drogę towarzyszył na Vhagar głównej kolumnie, sądząc, że jego

stryj może spróbować zaatakować ich na Caraxes. Dotarł do Harrenhal dzień po Cole'u i nocą wspólnie świętowali wielkie zwycięstwo. Aemond oznajmił, że Daemon i jego „rzeczna hołota” woleli uciec, niż stawić czoło jego gniewowi. Nic dziwnego, że gdy dotarły do niego wieści o upadku Królewskiej Przystani, książę poczuł się po trzykroć głupcem. Jego gniew wyglądał straszliwie.

Na zachód od Harrenhal w dorzeczu trwały walki. Zastęp Lannisterów wlokł się naprzód. Wiek i choroba jego dowódcy, lorda Lefforda, skrajnie spowolniły marsz, ale gdy Lannisterowie wreszcie dotarli do zachodnich brzegów Oka Boga, zobaczyli, że drogę zagroziła im nowa wielka armia.

Wilki Zimy Roddy'ego Burzyciela połączyły siły z Forrestem Freyem, lordem Przepawy, oraz Czerwonym Robbem Riversem, znanym jako Łucznicz z Raventree. Zastęp ludzi z północy liczył dwa tysiące wojowników, Frey miał dwustu rycerzy i trzykrotnie więcej piechoty, Rivers zaś przyprowadził ze sobą trzystu łuczników. Gdy tylko lord Lefford zdążył się zatrzymać, by stawić czoło wrogom, których miał przed sobą, na południe od niego pojawili się kolejni nieprzyjaciele. Do Longleafa Zabójcy Lwów i jego obdartej zgrai niedobitków z poprzednich bitew dołączyli lordowie Bigglestone, Chambers i Perryn.

Uwięziony między dwoma przeciwnikami Lefford nie mógł się zdecydować na zaatakowanie żadnego z nich, z obawy, że drugi uderzy nań od tyłu. Wycofał się więc nad jezioro, okopał i wysłał kruki do księcia Aemonda w Harrenhal, błagając go o odsiecz. Choć w drogę wyruszył tuzin ptaków, żaden nie dotarł do księcia. Czerwony Robb Rivers, ponoć najlepszy łucznicz w całym Westeros, strącił wszystkie w locie.

Następnego dnia zjawili się kolejni ludzie z dorzecza, prowadzeni przez ser Garibalda Greya, lorda Jona Charltona oraz nowego lorda Raventree, jedenastoletniego Benjicota Blackwooda. Wzmocnieni tymi posiłkami ludzie królowej zgodzili się, że nadszedł czas, by zaatakować.

— Lepiej skończmy z tymi lwami, zanim nadejdą smoki — stwierdził Roddy Burzyciel.

Najkrwawsza z lądowych bitew całego Tańca Smoków zaczęła się następnego dnia, gdy tylko weszło słońce. W annałach Cytadeli zwą ją Bitwą nad Jeziorem, ale dla tych, którzy ją przeżyli, zawsze była Karmieniem Ryb.

Zaatakowanych z trzech stron ludzi z zachodu zepchnięto krok po kroku w wody Oka Boga. Setki zginęły, walcząc pośród trzcin, dalsze setki zaś utonęły, próbując ucieczki. Do zmierzchu poległy dwa tysiące ludzi, w tym wielu notabli, takich jak lord Frey, lord Lefford, lord Bigglestone, lord Charlton, lord Swyft, lord Reyne, ser Clarent Craekhall oraz ser Tyler Hill, bękart z Lannisportu. Zastęp Lannisterów rozbito i wcięto w pień, ale kosztem tak wysokim, że Ben Blackwood, młodociany lord Raventree, zapłakał na widok stosów trupów. Największe straty ponieśli ludzie z północy, albowiem Wilki Zimy błagały o zaszczyt poprowadzenia ataku i pięciokrotnie

szarżowały prosto na włócznie Lannisterów. Z górą dwie trzecie ludzi, którzy ruszyli na południe z lordem Dustinem, zginęło lub odniosło rany.

Tymczasem w Harrenhal Aemond Targaryen i Criston Cole debatowali o tym, jak najlepiej odpowiedzieć na ataki królowej. Choć zamek Harrena Czarnego był zbyt potężny, by można go było wziąć szturmem, a lordowie dorzecza nie śmieli rozpoczynać oblężenia z obawy przed Vhagar, oddziałom króla zaczynało brakować żywności i paszy. Co więcej, głód i choroby odbierały im ludzi oraz konie. W zasięgu wzroku od potężnych murów Harrenhal pozostały tylko poczerwiałe pola i spalone wioski, a oddziały furazerów, które wysyłano dalej, nie wracały. Ser Criston nalegał, by wycofać się na południe, gdzie poparcie dla Aegona było najsilniejsze, książę jednak odmówił.

— Tylko tchórz ucieka przed zdrajcami — oznajmił. Utrata Królewskiej Przystani i Żelaznego Tronu wprawiała go w gniew, a gdy do Harrenhal dotarły wieści o Karmieniu Ryb, lord protektor o mało nie udusił giermka, który je przyniósł. Życie chłopakowi uratowało wstawiennictwo Alys Rivers, kochanki księcia. Aemond opowiadał się za natychmiastowym atakiem na Królewską Przystań, zapewniając, że żaden ze smoków królowej nie może się mierzyć z Vhagar.

Ser Criston uważał jednak, że to szaleństwo.

— Jeden przeciwko sześciu to walka dla głupców, mości książę — oznajmił. Raz jeszcze zaproponował, by pomaszerowali na południe i połączyli siły z lordem Hightowerem. Książę Aemond mógłby się spotkać ze swym bratem Daeronom i jego smokiem. Wiedzieli też, że królowi Aegonowi udało się umknąć z rąk Rhae nyry. Z pewnością odzyska Sunfyre'a i dołączy do braci. Być może ich przyjaciółom w mieście uda się również uwolnić królową Helaenę, by mogła poprowadzić do boju Dreamfyre. Cztery smoki mogłyby mieć szansę pokonania sześciu, jeśli jednym z tych czterech była Vhagar.

Książę Aemond odmówił wzięcia pod uwagę tego „godnego tchórzy rozwiązania”.

Ser Criston i książę Aemond postanowili się rozstać. Cole obejmie dowództwo nad ich zastępem i pomaszeruje na południe, by połączyć się z Ormundem Hightowerem i księciem Daeronom, ale książę regent nie będzie im towarzyszył. Zamierzał toczyć własną wojnę, spuszczając na zdrajców deszcz ognia z powietrza. Wkrótce „królowa suka” wyśle smoka albo i dwa, by go powstrzymać, a Vhagar się z nimi policzy.

— Nie odważy się wysłać wszystkich sześciu — zapewniał Aemond. — W ten sposób odsoniłaby Królewską Przystań przed atakiem. Nie zaryzykuje też Syrax i ostatniego z jej słodkich synów. Rhaenyra może zwać się królową, ale ma kobiece narządy, słabe, kobiece serce i dręczą ją matczyne obawy.

Tak oto Twórca Królów i Zabójca Krewnych rozstali się, ruszając każdy ku swemu losowi. Tymczasem w Czerwonej Twierdzy królowa Rhaenyra Targaryen przystąpiła do nagradzania

przyjaciół oraz wymierzania straszliwych kar tym, którzy służyli jej przyrodniemu bratu.

Wyznaczono olbrzymie nagrody za informacje wiodące do pojmania „uzurpatora każącego się zwać Aegonem II”, jego córki Jaehaery, jego syna Maelora, „falszywych rycerzy” Willisa Fella i Rickarda Thorne’a oraz Larysa Stronga Szpotawej Stopy. Gdy to nie przyniosło pożądaných rezultatów, Jej Miłość wysłała na łowy oddziały „rycerzy inkwizytorów”, poszukujących „zdrajców i łotrów”, którzy zdołali jej umknąć, a także karać wszystkich, którzy udzielali takim ludziom pomocy.

Królową Alicent skuto w nadgarstkach i kostkach złotymi łańcuchami, choć pasierbica darowała jej życie „z uwagi na naszego ojca, który kiedyś cię kochał”. Ojciec Alicent miał mniej szczęścia. Ser Otto Hightower, służący trzem królom jako namiestnik, był pierwszym zdrajcą, którego ścięto. Po nim głowę na pieńku położył Żelazny Pręt, do końca upierający się, że zgodnie z prawem królewski syn musi mieć pierwszeństwo przed córką. Natomiast ser Tylanda Lannistera poddano torturom, w nadziei, że uda się dowiedzieć czegoś o królewskim skarbie.

Mieszkańcy Królewskiej Przystani nigdy nie darzyli zbyt miłością Aegona ani jego brata Aemonda i wielu z nich ucieszyło się z powrotu królowej... ale miłość i nienawiść to dwie strony tej samej monety, a gdy na palikach nad miejskimi bramami zaczęły codziennie pojawiać się nowe głowy, a do tego wprowadzono bardziej drakońskie podatki, ta moneta się odwróciła. Dziewczyna, którą kiedyś zwali Radością Królestwa, wyrosła na chciwą i mściwą kobietę, powtarzali, królową nieustępującą okrucieństwem żadnemu z królów, którzy władali przed nią. Jakiś dowcipniś nazwał Rhaenyre „królem Maegorem z cyckami” i na całe stulecie „cycki Maegora” stały się w Królewskiej Przystani pospolitym przekleństwem.

Władając miastem, zamkiem oraz tronem i mając na swą obronę aż sześć smoków, Rhaenyra poczuła się na tyle bezpiecznie, że wysłała po swych synów. Ze Smoczej Skały wypłynął tuzin statków, wiozących damy dworu królowej oraz jej syna, Aegona Młodszego. Królowa uczyniła chłopca swym podczaszym, by zawsze był blisko niej. Druga flota wyruszyła z Gulltown z księciem Joffreyem, ostatnim z trzech synów Rhaenyry z Laenorem Velaryonem. Towarzyszył mu jego smok, Tyraxes. Jej Miłość zaczęła planować wspaniałą uroczystość, na której oficjalnie mianuje Joffreya księciem Smoczej Skały i dziedzicem Żelaznego Tronu.

W chwilach pełni swojego zwycięstwa Rhaenyra Targaryen nie podejrzewała, jak niewiele dni jej pozostało. Jednakże gdy tylko zasiadała na Żelaznym Tronie, jego okrutne ostrza zawsze wytaczały świeżą krew z jej dłoni, ramion i nóg. Ten znak wszyscy potrafili odczytać.

Poza miastem w całych Siedmiu Królestwach trwały walki, w dorzeczu ser Criston Cole opuścił Harrenhal i pomaszerował na południe wzdłuż zachodniego brzegu Oka Boga, prowadząc trzy tysiące sześćset ludzi (śmierć, choroby i dezercje przerzedziły szeregi armii, która wyruszyła z Królewskiej Przystani). Aemond już wcześniej odleciał na Vhagar. Jednookiego księcia nie

kępował już zamek ani armia, mógł więc latać, dołąd zechce. To była wojna taka, jaką ongiś prowadził Aegon Zdobywca i jego siostry, wojna smoczych płomieni. Vhagar raz po raz opadała z jesiennego nieba, pustosząc ziemie, wioski i zamki lordów dorzecza. Pierwszy smak księżęcego gniewu poczuł ród Darrych. Trudzący się na polach ludzie płonęli bądź uciekali, same plony zaś trawił ogień. Również zamek Darrych pochłonęła pożoga. Lady Darry i jej młodsze dzieci ocaleli, kryjąc się w kryptach pod donżonem, ale jej pan mąż i jego dziedzic zginęli na murach, razem z czterdziestoma zaprzysiężonymi mieczami oraz łucznikami. Trzy dni później spłonęły Miasteczko Lorda Harrowaya, a po nim Młyn Lordowski, Czarna Sprzączka, Sprzączka, Glinianka, Swynford, Pajęczy Las... furia Vhagar spadała na wszystkie te osady po kolei, aż wreszcie wydawało się, że płonie połowa dorzecza,

Ser Criston Cole również miał do czynienia z pożarami. Gdy gnał swych ludzi na południe przez dorzecze, przed nim i za nim wznosiły się kłęby dymu. Wszystkie wioski, do których dotarł, spalono i porzucono. Jego kolumna posuwała się przez lasy martwych drzew, które jeszcze przed kilkoma dniami były żywe. Lordowie z dorzecza palili wszystko na jego drodze. W każdym strumieniu, stawie i wioskowej studni również znajdował śmierć: martwe konie, martwe krowy, martwych ludzi. Obrzękłe, śmierdzące ciała zanieczyszczały wodę. W innych miejscach jego zwiadowcy natrafiali na upiorne sceny: zakute w zbroje i obleczone w butwiejące szaty trupy siedziały pod drzewami w groteskowej parodii uczt. Uczujący byli ludźmi zabitymi w boju. Pod rdzewiejącymi hełmami uśmiechały się czaszki, a zielone gnijące mięso odpadało od kości.

Cztery dni drogi od Harrenhal zaczęły się ataki. Łucznicy kryli się wśród drzew, szyjąc z długich łuków do zwiadowców i maruderów. Ludzie ginęli. Ludzie zostawali za tylną strażą i już nigdy więcej ich nie widziano. Ludzie uciekali, porzucając tarcze i włócznie, by zniknąć w lesie. Ludzie przechodzili na stronę nieprzyjaciela. Na błoniach w wiosce Skrzyżowane Wiązy znaleziono kolejną makabryczną ucztę. Oswojeni już z takimi widokami zwiadowcy ser Cristona skrzywili się tylko i ruszyli dalej, nie zwracając uwagi na gnijące trupy... aż nagle te ożyły i rzuciły się do ataku. Zginął tuzin, nim zdążyli się zorientować, że to od początku był podstęp.

Wszystko to jednak było tylko wstępem. Lordowie nad Tridentu gromadzili siły. Gdy ser Criston zostawił za sobą jezioro, zmierzając ku Czarnemu Nurtowi, czekali na niego na łańcuchu kamienistych wzgórz; trzystu konnych rycerzy w zbrojach, tyłuż ludzi z długimi łukami, trzy tysiące łuczników uzbrojonych w zwykłe łuki, trzy tysiące obdartych mieszkańców dorzecza z włóczniami oraz setki ludzi z północy dzierzących topory, młoty, nabijane kółkami maczugi oraz starożytne żelazne miecze. Nad ich głowami powiewały chorągwie królowej Rhaenyry.

Bitwa, do której doszło, była chyba najbardziej jednostronna w całym Tańcu. Lord Roderick Dustin uniósł róg i zagrał sygnał do ataku. Ludzie królowej zbiegli z wrzaskiem ze wzgórz, prowadzeni przez Wilki Zimy na ich kudłatych północnych koniach oraz rycerzy na

opancerzonych rumakach. Gdy ser Criston został strącony z siodła i padł martwy na ziemię, ludzi podążających za nim z Harrenhal opuściła odwaga. Poszli w rozsypkę, porzucając tarcze. Nieprzyjaciel ruszył w pościg, zabijając ich setkami.

W Dzień Dziewicy roku 130 o.P. z Cytadeli Starego Miasta wysłano trzysta białych kruków oznajmających nadejście zimy. Dla królowej Rhaenyry Targaryen trwał jednak środek lata. Choć mieszkańcy Królewskiej Przystani byli niezadowoleni, miasto i korona należały do niej. Na drugim brzegu wąskiego morza triarchia zaczęła rozdierać się na strzępy. Nad odmętami panował ród Velaryonów. Mimo że śniegi zamknęły przełęcz Górną Księżycową, Dziewica z Doliny dotrzymała słowa i wysłała ludzi drogą morską, by dołączyli do zastępu królowej. Inne floty przywoziły wojowników z Białego Portu pod dowództwem synów lorda Manderly'ego, Medricka i Torrrena. W całej krainie siły królowej Rhaenyry rosły, natomiast siły króla Aegona topniały.

Żadnej wojny nie można jednak uważać za wygraną, dopóki nie pokona się wszystkich wrogów. Twórcę Królów, ser Cristona Cole'a, zabito, ale król, którego stworzył, Aegon II, żył i przebywał na wolności gdzieś w królestwie. Córka Aegona, Jaehaera, również była wolna. Larys Strong Szpotawa Sztopa, najsprytniejszy i najbardziej enigmatyczny z członków zielonej rady, zniknął bez śladu. Koniec Burzy pozostawał w rękach lorda Borrosa Baratheona, który nie był przyjacielem królowej. Lannisterów również trzeba było uważać za jej wrogów, choć lord Jason nie żył, a większa część zachodniego rycerstwa zginęła bądź rozperszyła się na wszystkie strony, w Casterly Rock zapanował więc chaos.

Książę Aemond stał się postrachem Tridentu. Opadał z nieba, spuszczając na dorzecze ogień i śmierć, a potem zniknął, po to tylko, by następnego dnia uderzyć znowu, w miejscu odległym o sto pięćdziesiąt mil. Płomienie Vhagar obróciły Starą Wierzbę i Białą Wierzbę w popioły, Hogg Hall zaś w poczerwiałe kamienie. W Merrydown Dell od smoczego ognia zginęło trzydziestu ludzi i trzysta owiec. Potem Zabójca Krewnych wrócił nieoczekiwanie do Harrenhal i spalił wszystkie drewniane konstrukcje w zamku. Sześciu rycerzy i czterdziestu zbrojnych zginęło, próbując zabić smoka. Gdy wieści o tych atakach się rozeszły, inni lordowie zaczęli spoglądać ze strachem na niebo, zastanawiając się, kto będzie następnym. Lord Mooton ze Stawu Dziewic, lady Darklyn z Duskindale oraz lord Blackwood z Raventree wysłali do królowej pilne wiadomości, błagając, by wysłała swe smoki dla obrony ich włości.

Najpoważniejszym zagrożeniem dla władzy Rhaenyry nie był jednak Aemond Jednooki, lecz jego młodszy brat, książę Daemon Dzielnym oraz wielka południowa armia pod dowództwem lorda Ormunda Hightowera.

Jego oddziały przekroczyły Mander i maszerowały powoli na Królewską Przystań, miażdżąc stronników królowej, gdziekolwiek i kiedykolwiek próbowali je powstrzymać, oraz zmuszając wszystkich lordów, którzy ugięli kolana, do wsparcia ich swoimi siłami. Książę Daeron, który leciał

na Tesseract przed główną kolumną, okazał się nieoceniony jako zwiadowca, ostrzegający lorda Ormunda przed poruszeniami i okopami nieprzyjaciela. Stronnicy Rhaenyry nierzadko pierzchali na sam widok skrzydeł Niebieskiej Królowej, nie chcąc stawiać czoła w boju smoczemu ogniowi.

Świadomy wszystkich tych zagrożeń namiestnik królowej Rhaenyry, stary lord Corlys Velaryon, zasugerował Jej Miłości, że nadszedł czas na rozmowy. Namawiał królową, by oferowała ułaskawienie lordom Baratheonowi, Hightowerowi i Lannisterowi, jeśli tylko ugną kolan, przysięgną wierność i dadzą Żelaznemu Tronowi zakładników. Wąż Morski zaproponował oddanie królowej Alicent i królowej Helaeny pod opiekę Wiary, by mogły spędzić resztę życia na modlitwie i kontemplacji. Córka Helaeny, Jaehaera, zostałaby jego podopieczną, a w swoim czasie wysłaby za księcia Aegona Młodszego, by na nowo połączyć obie części rodu Targaryenów.

— A co z moimi przyrodnimi braćmi? — zapytała Rhaenyra, gdy Wąż Morski przedstawił jej ten plan. — Co z fałszywym królem Aegonem i zabójcą krewnych Aemondem? Czy ich również mam ułaskawić, mimo że ukradli mi tron i zamordowali synów?

— Oszczędź ich i wyślij na Mur — zaproponował lord Corlys. — Niech przywdzieją czerni i spędzą resztę życia jako ludzie z Nocnej Straży, związani świętymi ślubami.

— Cóż znaczą śluby dla wiarołomców? — zapytała w odpowiedzi Rhaenyra. — Nie przejmowali się nimi, kiedy sięgali po mój tron.

Księżę Daemon podzielał obawy królowej. Upierał się, że ułaskawienia dla buntowników i zdrajców zasieją tylko ziarno nowych rebelii.

— Wojna się nie zakończy, dopóki nie zatknemy głów zdrajców na palach nad Królewską Bramą — zapewnił Aegona II z czasem się odnajdzie, „ukrytego pod jakimś kamieniem”, ale Aemonda i Daerona mogli i powinni zaatakować. Lannisterów i Baratheonów również powinno się zniszczyć, by ich ziemie oraz zamki można było oddać tym, którzy okazali się bardziej lojalni. Przyznajmy Koniec Burzy Ulfowi Białemu, a Casterly Rock Twardemu Hugh Młotowi zaproponował księżę... ku przerażeniu Węża Morskiego.

— Połowa lordów Westeros zwróci się przeciwko nam, jeśli okażemy się aż tak okrutni, by zniszczyć dwa równie starożytne i szlachetne rody — oznajmił lord Corlys.

Królowa była zmuszona wybierać między swym małżonkiem a namiestnikiem. Zdecydowała się na kompromisowe rozwiązanie. Wyśle posłańców do Końca Burzy i Casterly Rock, proponując „uczciwe warunki” oraz ułaskawienia, ale najpierw musi się policzyć z braćmi uzurpatora, którzy stanęli do walki przeciwko niej.

— Gdy już będą martwi, reszta ugnie kolan. Zabijcie ich smoki, żebym mogła zatknąć ich głowy na ścianach swej sali tronowej. Niech ludzie oglądają je w latach, które nadejdą, by uświadomili sobie cenę zdrady.

Królewskiej Przystani z pewnością nie można było zostawić bez obrony. Królowa Rhaenyra pozostanie w mieście z Syrax oraz swymi synami, Aegonem i Joffreyem, których nie można było narażać. Joffrey, niespełna trzynastoletni, gorąco pragnął dowieść swej wartości jako wojownik, ale gdy mu powiedziano, że Tyraxes będzie potrzebny, by pomóc jego matce bronić Czerwonej Twierdzy, poprzysiął solennie, że to uczyni. Addam Velaryon, dziedzic Węza Morskiego, również został w mieście. Trzy smoki wystarczą, by bronić Królewskiej Przystani, reszta wyruszy do boju.

Książę Daemon poleci na Caraxes nad Trident, razem z młodą Nettles na Owcołradzie, by odnaleźć księcia Aemonda i Vhagar, a potem położyć kres ich życiu. Ulf Biały i Twardy Hugh Młot wyruszą do Tumbleton, położonego jakieś sto pięćdziesiąt mil na południowy zachód od Królewskiej Przystani, ostatniej wiernej Rhaenyry twierdzy między lordem Hightowerem a miastem, by pomóc w obronie miasteczka i zamku, a także zgładzić księcia Daemona i Tessarion.

Książę Daemon Targaryen i drobna smagła dziewczyna znana jako Nettles długo polowali na Aemonda Jednookiego bez powodzenia. Ich bazą był Staw Dziewic, gdzie zaprosił ich lord Manfred Mooton, żyjący w strachu przed tym, że Vhagar opadnie na jego miasteczko. Książę Aemond uderzył jednak na Stonehead, u podstaw Gór Księżycowych; na Słodką Wierzbę nad Zielonymi Widłami i Sallydance nad Czerwonymi Widłami; obrócił Most Łuczników w węgielki, spalił Stary Prom i Młyn Staruchy, po czym zniszczył dom Matki w Bechester. Po ataku zawsze znikał w przestworzach, nim zdążyli przybyć łowcy. Vhagar nigdy nie zwlekała, a ocalali nie potrafili się zgodzić, w którym kierunku odleciała.

Każdego świtu Caraxes i Owcołrad wylatywały ze Stawu Dziewic, wspinały się wysoko nad dorzecze i zataczały coraz szersze kręgi w nadziei, że wypatrzą na dole Vhagar... po to tylko, by o zmierzchu wrócić pokonane. Lord Mooton posunął się nawet do śmiałej sugestii, by smoczy jeźdźcy rozdzielili się podczas poszukiwań, badając w ten sposób dwukrotnie większy teren. Książę Daemon odmówił. Przypomniawszy jego lordowskiej mości, że Vhagar jest ostatnim z trzech smoków, które przybyły do Westeros z Aegonem Zdobywcą i jego siostrami. Choć była wolniejsza niż przed stuleciem, urosła prawie tak wielka jak ongiś Czarny Strach. Jej ogień był tak gorący, że topił kamień, i ani Caraxes, ani Owcołrad nie mogły się mierzyć z jej gwałtownością. Tylko razem mogli mieć szansę się jej oprzeć. Dlatego trzymał młodą Nettles u swego boku, za dnia i w nocy, pod niebem i w zamku.

Tymczasem na południu zaczęła się bitwa pod Tumbleton, kwitnącym miasteczkiem targowym nad Manderem. Zamek górujący nad osadą był mocny, ale niewielki, jego garnizon składał się najwyżej z czterdziestu ludzi. Tymczasem z Gorzkiego Mostu, Długiego Stołu i położonych dalej na południe osad napływały tysiące dalszych. Przybycie silnego oddziału z dorzecza dodatkowo zwiększyło liczbę obrońców i wzmocniło ich determinację. W sumie pod

chorągiewami Rhaenyry zgromadziło się w Tumbleton prawie dziewięć tysięcy ludzi. Mimo to siły lorda Hightowera miały znaczną przewagę liczebną. Z pewnością obrońcy Tumbleton bardzo się ucieszyli z widoku Vermithora i Srebrnoskrzydłej oraz ich jeźdźców. Nawet sobie nie wyobrażali grozy, jaka ich czekała.

Jak, kiedy i dlaczego zaczęło się to, co potem nazwano Zdradą w Tumbleton, pozostaje kwestią ożywionej dysputy. Zapewne nigdy nie poznamy całej prawdy o owych wydarzeniach. Wygląda na to, że niektórzy ludzie napływający do miasteczka w ucieczce przed armią lorda Hightowera byli w rzeczywistości żołnierzami tej armii i zlecono im infiltrację szeregów obrońców. Jednakże ich zdrada nie zdałaby się na wiele, gdyby ser Ulf Biały i ser Hugh Młot nie wybrali tej samej chwili, by przejść na drugą stronę.

Ponieważ żaden z nich nie umiał czytać ani pisać, nigdy się nie dowiemy, co skłoniło Dwóch Zdrajców (jak nazwała ich historia) do tego czynu. O samej bitwie pod Tumbleton wiemy jednak bardzo wiele. Sześć tysięcy ludzi królowej ustawiło się w szyk, by stawić czoło lordowi Hightowerowi, i przez pewien czas walczyło dzielnie, ale niszczycielski deszcz strzał wypuszczanych przez łuczników lorda Ormunda przerzedził szeregi obrońców, a straszliwa szarża ciężkiej jazdy rozbiła ich szeregi. Niedobitki umknęły w stronę murów miasteczka. Gdy większość z nich była już bezpieczna za bramami, Roddy Burzyciel wyjechał ze swymi Wilkami Zimy przez tylną bramę. Przy akompaniamencie swych straszliwych okrzyków wojennych ludzie z północy zaatakowali lewą flankę napastników. Zapanował chaos, podczas którego ludzie Roddy'ego przebili się przez dziesięciokrotnie liczniejsze szeregi nieprzyjaciela do miejsca, gdzie lord Ormund Hightower siedział na swym rumaku pod sztandarem króla Aegona ze złotym smokiem oraz chorągiewami Starego Miasta i Hightowerów. Jak opowiadają minstrele, lorda Rodericka od stóp aż po głowę zbryzgała krew, tarczę miał rozszerepioną, a hełm rozbity, lecz w szale bitewnym, który go ogarnął, nawet nie czuł ran. Ser Bryndon Hightower, kuzyn lorda Ormunda, stanął między człowiekiem z północy a swym seniorem i jednym straszliwym uderzeniem uciął w barku lewą rękę Burzyciela. Gwałtowny lord Barrowton nie zaprzestał jednak walki i przed śmiercią zdołał zabić zarówno ser Bryndona, jak i lorda Ormunda. Chorągwie Hightowerów upadły i mieszkańcy miasteczka zakrzyknęli radośnie, sądząc, że losy starcia się odwróciły. Nawet pojawienie się Teesarion nad polem bitwy nie zatrwożyło ich, wiedzieli bowiem, że mają dwa smoki... ale gdy Vermithor i Srebrnoskrzydła wzbily się ku niebu, by zesłać ogień na Tumbleton, ich radosne okrzyki przerodziły się we wrzaski przerażenia.

Miasteczko stanęło w płomieniach: sklepy, domy, septy, mieszkańcy, wszystko. Ludzie spadali z wieży bramnej i z murów albo biegli z krzykiem przez ulice niczym tłum żywych pochodni. Dwaj Zdrajcy smagali Tumbleton biczami płomienia od jednego końca aż po drugi. Grabieże, która nastąpiła potem, nie ustępują brutalnością żadnym w historii Westeros. Tumbleton, bogate

miasteczko targowe, obróciło się w popiół i węgle. Nigdy już go nie odbudowano. Tysiące ludzi spłonęły i równie wielu utonęło, próbując przepłynąć rzekę. Niektórzy mówili potem, że te ofiary miały szczęście, albowiem ocalałym nie okazano pardonu. Ludzie lorda Footly'ego odrzucili miecze i poddali się, tylko po to, by związano ich i ścięto. Ocalałe z pożaru kobiety wielokrotnie gwałcono, nawet zaledwie osiemnastoletnie dziewczyny. Starych mężczyzn i chłopców wyrznięto do nogi, a smoki karmiły się dymiącymi ciałami swych ofiar.

Mniej więcej w tym samym czasie do portu pod Smoczą Skalą dowlokła się sfatygowana łoga kupiecka o nazwie „Nessaria”, by dokonać napraw i uzupełnić zapasy. Załoga mówiła, że statek płynął z Pentos do Starego Volantis, gdy sztorm zepchnął go z kursu... ale do tej pospolitej piosenki o niebezpieczeństwach zagrażających żeglarzom Volanteńscy dodali nową nutę. Gdy „Nessaria” zawróciła na zachód, ujrzeli przed sobą ogromną sylwetkę Smoczej Góry, majaczącą na tle zachodzącego słońca... a także dwa walczące ze sobą smoki. Ich ryki odbijały się echem od stromych czarnych klifów po wschodniej stronie dymiącej góry. Tę opowieść opowiadano, powtarzano i upiększano we wszystkich tawernach, gospodach oraz burdelach w porcie, aż wreszcie usłyszeli ją wszyscy na Smoczej Skale.

Dla ludzi ze Starego Volantis smoki były cudem i ludzie z „Nessarii” nigdy nie mieli zapomnieć widoku dwóch walczących bestii. Ci, którzy urodzili się i wychowali na Smoczej Skale, świetnie znali te stworzenia... lecz mimo to opowieść marynarzy wzbudziła zainteresowanie. Następnego ranka niektórzy miejscowi rybacy opłynęli w swych łodziach Smoczą Górę, a po powrocie zameldowali, że widzieli u podstawy szczytu spalone szczątki smoka. Sądząc po kolorze jego skrzydeł i łusek, był to Szary Duch. Ciało rozdarto na dwie części i częściowo pożarto.

Usłyszawszy te wieści, ser Robert Quince, sympatyczny, słynący z otyłości rycerz, którego królowa, opuszczając wyspę, mianowała kasztelanem Smoczej Skały, szybko doszedł do wniosku, że zabójcą był Kanibal. Większość się z nim zgadzała, albowiem wiadano, że w przeszłości nieraz atakował on mniejsze smoki, choć rzadko z taką gwałtownością. Niektórzy rybacy, bojąc się, że zabójca może się teraz zwrócić przeciwko nim, nalegali, by Quince wysłał do leża bestii rycerzy, którzy położą kres jej życiu, ale kasztelan odmówił.

— Jeśli nie będziemy niepokoić Kanibala, on nie będzie niepokoił nas — oznajmił. Dla pewności zabronił jednak łowienia ryb w wodach pod wschodnią ścianą Smoczej Góry, gdzie leżało gnijące ścierwo smoka.

Tymczasem na zachodnim brzegu Czarnej Zatoki do Królewskiej Przystani dotarły wieści o bitwie i zdradzie pod Tumbleton. Powiadają, że królowa wdowa Alicent roześmiała się w głos, gdy o tym usłyszała.

— Wszystko, co zasiali, teraz zbiorą — zapowiedziała. Zasiadająca na Żelaznym Tronie królowa Rhaenyra pobladała i poczuła się słabo. Natychmiast nakazała zamknąć miejskie bramy.

Od tej pory nikt nie mógł przybywać do Królewskiej Przystani ani jej opuszczać.

— Nie pozwolę, by sprzedawczycy zakradli się do mojego miasta i otworzyli bramy buntownikom — oznajmiła. Wojska lorda Ormunda mogły się zjawić pod murami już rankiem następnego dnia, dosiadający smoków zdrajcy byli zaś w stanie dotrzeć tu jeszcze szybciej.

Ta perspektywa podekscytowała księcia Joffreya.

— Niech przybywają — rzekł chłopak. — Stawię im czoło na Tyraxesie.

Te słowa zaniepokoiły jego matkę.

— Nie zrobisz tego — sprzeciwiła się. — Jesteś za młody, by walczyć.

Pozwoliła jednak chłopcu zostać na posiedzeniu czarnej rady, debatującej o tym, jak najlepiej powstrzymać nadciągającego wroga.

W Królewskiej Przystani pozostało sześć smoków, ale tylko jeden z nich przebywał w obrębie murów Czerwonej Twierdzy — Syrax, smoczyca samej królowej. Stajnię na zewnętrznym dziedzińcu opróżniono z koni i oddano bestii. Przykuto ją do ziemi ciężkimi łańcuchami. Choć były wystarczająco długie, by mogła wychodzić na dziedziniec, nie pozwalały jej odlecieć bez jeźdźcy. Syrax dawno już przywykła do łańcuchów. Karmiono ją bardzo dobrze i nie polowała od lat.

Inne smoki przetrzymywano w Smoczej Jamie, kolosalnej budowli wzniesionej przez króla Maegora Okrutnego w tym właśnie celu. Pod jej ogromną kopułą w kościach wzgórze Rhaenyry wykuto czterdzieści wielkich krypt, tworzących szeroki pierścień. Na obu końcach tych stworzonych przez człowieka jaskiń ułożono masywne żelazne wrota. Wewnętrzne wychodziły na piasek samej jamy, zewnętrzne zaś na stok wzgórze. Caraxes, Vermithor, Srebrnoskrzydła i Owcoład miały tam swoje leża, nim odleciały na wojnę. W jamie zostało pięć bestii: Tyraxes księcia Joffreya, jasnoszary Morski Dym Addama Velaryona, młode smoki Morghul i Shrykos, połączone więziami z księżniczką Jaehaerą (która uciekła) i jej bliźniaczym bratem, księciem Jaehaerysem (który nie żył)... oraz Dreamfyre, ułożona przez królową Helaenę. Zwyczaj od dawna nakazywał, żeby w jamie mieszkał co najmniej jeden smoczy jeździec, który w razie potrzeby mógł wzbicić się do lotu i bronić miasta. Ponieważ królowa Rhaenyra wolała trzymać synów blisko siebie, ten obowiązek przypadł ser Addamowi Velaryonowi.

Teraz jednak w czarnej radzie pojawiły się głosy kwestionujące lojalność ser Addama. Smocze nasiona Ulf Biały i Hugh Młot przeszły na stronę nieprzyjaciela, czy jednak byli to jedyne zdrajcy ukrywający się wśród nich? Co z Addamem z Hull i młodą Nettles? Oni również urodzili się jako bękart. Czy można było im ufać?

Lord Bartimos Celtigar uważał, że nie można.

— Bękart są z natury zdradzieckie — oznajmił. — Mają to we krwi. Zdrada przychodzi im równie łatwo jak lojalność tym, którzy pochodzą z prawego łóża.

Nalegał, by Jej Miłość natychmiast kazała zatrzymać dwoje nieprawo urodzonych smoczycych jeźdźców, nim oni również przejdą na stronę nieprzyjaciela wraz ze swoimi smokami. Jego opinie wspierali inni, między innymi ser Luthor Largent, dowódca Straży Miejskiej, oraz ser Lorent Marbrand, lord dowódca Gwardii Królowej. Nawet dwaj ludzie z Białego Portu, budzący strach rycerz ser Medrick Manderly i jego sprytny, korpulentny brat, ser Torrhen, nakłaniali królową do nieufności.

— Lepiej nie ryzykować — stwierdził ser Torrhen. — Jeśli nieprzyjaciel zdobędzie dwa dodatkowe smoki, będziemy zgubieni.

Tylko lord Corlys przemówił w obronie smoczycy nasion, oznajmiając, że ser Addam i jego brat Alyn są „prawdziwymi Velaryonami”, godnymi dziedzicami Driftmarku. Jeśli zaś chodzi o dziewczynę, mogła być brudna i źle wychowana, ale dzielnie walczyła w bitwie w Gardzieli.

— Podobnie jak dwaj zdrajcy — sprzeciwił się lord Celtigar.

Pełne pasji sprzeciwy namiestnika nie zdały się na nic. Obudziły się wszystkie obawy i podejrzenia królowej. Zdradzano ją tak często i robiło to tak wielu, że była gotowa uwierzyć w najgorsze o każdym. Zdrada nie mogła już jej zaskoczyć. Spodziewała się jej, nawet od tych, których kochała najbardziej.

Królowa Rhaenyra rozkazała ser Luthorowi Largentowi udać się z dwudziestoma złotymi płaszczami do Smoczej Jamy i aresztować ser Addama Velaryona. Tak oto zdrada spłodziła kolejną zdradę, ku zgubie królowej. Gdy ser Luthor Largent i jego złote płaszcze wjeżdżali na wzgórze Rhaenys z podpisanym przez królową nakazem, drzwi Smoczej Jamy otworzyły się nad nimi. Morski Dym rozpostarł jasnoszare skrzydła i umknął, buchając dymem z nozdrzy. Ser Addama Velaryona ostrzeżono na czas i zdążył uciec. Ser Luthor natychmiast wrócił do Wieży Namiestnika i brutalnie pochwyił wielkiego lorda Corlysa, oskarżając o zdradę. Stary lord niczemu nie przeczył. Związany i pobity, zachował milczenie, gdy odprowadzono go do lochów i zamknięto w ciemnicy, by oczekiwał na proces i egzekucję.

Tymczasem w mieście szerzyły się wieści o rzezi w Tumbleton... a razem z nimi strach. Teraz kolej na Królewską Przystań, powtarzali sobie ludzie. Smoki będą walczyć ze smokami, a miasto z pewnością spłonie. Setki przerażonych zbliżaniem się nieprzyjaciela ludzi próbowały uciekać, ale u bram zatrzymały ich złote płaszcze. Niektórzy z uwięzionych wewnątrz miejskich murów mieszkańców szukali w głębokich piwnicach schronienia przed burzą ognia, której nadejścia się obawiali, inni zaś zwracali się ku modlitwie, trunkom bądź też przyjemnościom, jakie można znaleźć między łobiejymi udami. Gdy zapadł zmierzch, gospody, tawerny i burdele miasta całkowicie wypełnili ludzie szukający pocieszenia albo ucieczki, a także wymieniający się przerażającymi opowieściami.

W odległym o z górą sto pięćdziesiąt mil Tumbleton zapanował chaos innego rodzaju.

Królewska Przystań drżała z przerażenia, ale wzbudzający ów strach wrogowie nie postawili jeszcze ani kroku w stronę miasta. Lojaliści wspierający króla Aegona nie mieli dowódcy, dręczyły ich podziały, konflikty oraz zwątpienie. Ser Ormund Hightower poległ, podobnie jak jego kuzyn ser Bryndon, najlepszy rycerz w Starym Mieście. Jego synowie pozostali w odległej o tysiąc mil siedzibie rodu, a poza tym byli jeszcze zielonymi chłopcami. Co prawda, lord Ormund pasował Daerona Targaryena na rycerza i nazwał go Daeronom Dzielnym, wychwalając jego odwagę w walce, ale księżę również był jeszcze chłopcem. Najmłodszy z synów króla Viserysa wychowywał się w cieniu starszych braci i był przyzwyczajony raczej do wykonywania rozkazów niż do ich wydawania. Najstarszym rangą z nadal towarzyszących zastępowi Hightowerów był ser Hobert, kolejny kuzyn lorda Ormunda. Do tej pory powierzano mu jednak wyłącznie opiekę nad taborami. „Równie tęgi, co powolny” Hobert Hightower dożył sześćdziesiątki, nie wyróżniając się w żaden sposób, a teraz miał przejąć dowództwo nad armią z uwagi na pokrewieństwo z królową Alicent.

W całej historii Siedmiu Królestw rzadko się zdarzało, by jakieś miasto albo miasteczko splądrowano równie brutalnie jak Tumbleton po Zdradzie. Księciu Daeronowi zrobiło się niedobrze od wszystkiego, co ujrzał, i rozkazał ser Hobertowi natychmiast to powstrzymać, ale wysiłki Hightowera okazały się równie nieudolne jak on sam.

Najgorszych zbrodni dopuścili się Dwaj Zdrajcy, smoczy jeźdźcy nieprawego pochodzenia Hugh Młot i Ulf Biały. Ser Ulf całkowicie oddał się pijaństwu, utonął w winie i cielesnych przyjemnościach. Karą za nieuleganie jego żądom było oddanie smokowi na pożarcie. Nie wystarczał mu tytuł rycerski, który otrzymał od królowej Rhaenyry. Nie poczuł się też usatysfakcjonowany, gdy księżę Daemon mianował go lordem Gorzkiego Mostu. Ulf miał na oku wspanialszy cel: pragnął samego Wysogrodu. Oznajmił, że Tyrellowie nie uczestniczyli w Tańcu i w związku z tym powinni zostać pozbawieni praw za zdradę.

Ambicje ser Ulfa trzeba jednak uznać za skromne w porównaniu z tymi, które żywił drugi zdrajca, Hugh Młot. Ten syn prostego kowala był ogromnym mężczyzną, tak silnym w rękach, że ponoć potrafił wyginać stalowe sztaby w obręcz. Choć nie uczono go sztuki wojny, dzięki wielkiemu wzrostowi i sile był straszliwym przeciwnikiem. Jego ulubioną bronią był młot bojowy, którym zadawał miażdżące, zabójcze ciosy. Do walki ruszał na Vermithorze, który był ongiś wierzchowcem samego Starego Króla. Ze wszystkich smoków w Westeros tylko Vhagar była starsza i większa od niego. Z tych właśnie powodów lord Młot (jak kazał się teraz tytułować) zaczął marzyć o koronie.

— Po co być lordem, kiedy można zostać królem? — oznajmił ludziom, którzy zaczęli się gromadzić wokół niego.

Żaden z Dwóch Zdrajców nie kwapił się z pomocą księciu Daeronowi w ataku na Królewską

Przystań. Mieli potężny zastęp, a do tego trzy smoki, ale królowa również posiadała trzy (o ile wiedzieli), a po powrocie księcia Daemona i Nettles będzie ich pięć. Lord Peake wolał zwlekać z marszem na miasto, dopóki lord Baratheon nie przybędzie z Końca Burzy ze swoimi siłami, natomiast ser Hobert pragnął się wycofać do Reach, by uzupełnić szybko topniejące zapasy. Nikt nie przejmował się faktem, że liczebność armii zmniejsza się z dnia na dzień na podobieństwo parującej rankiem rosy. Coraz więcej ludzi dezercerowało, by wrócić do domu na żniwa z wszystkimi łupami, jakie zdołali uzyskać.

Wiele mil na północ, w zamku wzniesionym nad Zatoką Krabów, inny lord również ześlizgiwał się w dół po ostrzu miecza. Z Królewskiej Przystani przyleciał kruk niosący wiadomość od królowej, przeznaczoną dla Manfryda Mootona, lorda Stawu Dziewic. Miał on przysłać jej głowę bęłarcicy Nettles, która ponoć została kochanką księcia Daemona i w związku z tym królowa uznała ją za winną zdrady stanu.

— Mojemu panu mężowi, księciu Daemonowi z rodu Targaryenów nie może się stać żadna krzywda — rozkazała Jej Miłość. — Gdy już uczynisz, co ci nakazałam, przyślij go z powrotem do mnie, albowiem jest nam pilnie potrzebny.

Maester Norren, który prowadził *Kroniki Stawu Dziewic*, mówi, że po przeczytaniu listu królowej jego lordowska mość był tak wstrząśnięty, że aż odebrało mu mowę. Nie odzyskał jej, dopóki nie wypił trzech kielichów wina. Potem wysłał po kapitana swej straży, swego brata i swego obrońcę, ser Floriana Greysteela. Rozkazał pozostać również maesterowi. Gdy wszyscy już się zbrali, przeczytał na głos list i poprosił ich o radę.

— Łatwo będzie to zrobić — stwierdził kapitan straży. — Księżę sypia u jej boku, ale jest już stary. Trzech ludzi powinno wystarczyć, by go poskromić, jeśli spróbuje się sprzeciwić, ale na wszelki wypadek zabiorę sześcioro. Czy wasza lordowska mość chce, by uczyniono to dzisiaj?

— Sześcioro ludzi czy sześćdziesięciu, to nadal jest Daemon Targaryen — sprzeciwił się brat lorda Mootona. — Rozsądniej byłoby dodać mu do wina napoju nasennego. Kiedy się obudzi, będzie już martwa.

— To jeszcze dziecko, choćby nawet dopuściła się plugawej zdrady — zauważył ser Florian, stary rycerz, posiwiwały i poważny. — Stary Król nigdy nie zażądałby takiego czynu od żadnego człowieka honoru.

— Czaszy są plugawe — odparł lord Mooton — i ta królowa postawiła nas przed plugawym wyborem. Dziewczyna jest gościem pod moim dachem. Jeśli wykonam rozkaz, Staw Dziewic będzie przeklęty na wielki. Jeśli odmówię, czeka mnie pozbawienie praw i zagłada.

— Bardzo możliwe, że nie unikniemy zagłady, cokolwiek postanowimy — wtrącił jego brat. — Księżę bardzo lubi to smagłe dziecko, a jego smok jest pod ręką. Rozsądny lord zabiłby oboje, by rozniewany księżę nie spalił miasteczka.

— Królowa zabroniła go krzywdzić — przypomniał obecnym lord Mooton. — A poza tym zamordowanie dwojga gości w sypialni jest dwukrotnie bardziej plugawe niż zamordowanie jednego. Byłbym podwójnie przeklęty. — Westchnął. — Gdyby m tylko nie przeczytał tego listu.

— Być może go nie przeczytałeś — odezwał się maester Norren.

Nie wiemy, co powiedziano później. Wiadomo nam tylko, że maester, młody, dwudziestodwuletni mężczyzna, odnalazł księcia Daemona oraz Nettles podczas kolacji i pokazał im list Rhaenyry.

— Słowa królowej, ale czyn kurwy — stwierdził Daemon, przeczytawszy go. Wyciągnął miecz i zapytał, czy ludzie lorda Mootona czekają za drzwiami, by ich pojmać. Gdy maester odpowiedział, że przyszedł tu sam i w tajemnicy, księżę schował miecz.

— Jesteś złym maesterem, ale dobrym człowiekiem — rzekł, a potem rozkazał mu odejść i „do rana nie wspomnieć o tym ani słowem lordowi ni kochance”.

Nikt nie zapisał, jak księżę i jego bęłarcica spędzili ostatnią noc pod dachem lorda Mootona, o świcie pojawili się jednak na dziedzińcu i księżę Daemon pomógł Nettles po raz ostatni osiodłać Owcokrada. Dziewczyna miała w zwyczaju karmić go codziennie przed lotem, jako że smoki łatwiej poddawały się woli jeźdźca, gdy były syte. Tego ranka dała mu czarnego barana, największego w całym Stawie Dziewic. Sama poderznęła gardło zwierzęciu i gdy dosiadała smoka, jej skórzany strój był splamiony krwią, pisze maester Norren, „a policzki mokre od łez”. Mężczyzna i dziewczyna nie wymienili żadnych słów pożegnania, ale gdy Owcokrad załopotał brązowymi, skórzastymi skrzydłami i wzbił się pod poranne niebo, Caraxes uniosła głowę i wydała z siebie krzyk, od którego pękły wszystkie szyby w Wieży Jonquil. Wysoko nad miasteczkiem Nettles skierowała smoka ku Zatoce Krabów i zniknęła w porannych mgłach. Nigdy już nie widziano jej na żadnym zamku ani na dworze.

Daemon Targaryen wrócił na chwilę do zamku, by zjeść śniadanie z lordem Mootonem.

— Widzisz mnie po raz ostatni — oznajmił jego lordowskiej mości. — Dziękuję za gościnność. Niech wszyscy na twoich ziemiach się dowiedzą, że lecę do Harrenhal. Jeśli mój bratanek Aemond ma odwagę stawić mi czoło, znajdzie mnie tam. Samego.

Tak oto księżę Daemon opuścił Staw Dziewic po raz ostatni. Po jego odejściu maester Norren podszedł do swego lorda.

— Zdejmij mi łańcuch z szyi i zwiąż nim ręce — zażądał. — Musisz mnie wydać królowej. Ostrzegłem zdrajczynię i pozwoliłem jej uciec. W ten sposób sam stałem się zdrajcą.

Lord Mooton jednak odmówił.

— Zachowaj swój łańcuch — odrzekł. — Wszyscy tu jesteśmy zdrajcami.

Nocą tego dnia nad bram Stawu Dziewic ściągnięto podzielone na cztery pola chorągwie królowej Rhaenyry, zastępując je złotymi smokami króla Aegona II.

Gdy księżę Daemon opadł z nieba, by przejąć władzę nad Harrenhal, nad poczerńiałymi wieżami i zniszczonymi donżonami zamku nie powiewały żadne chorągwie. W głębokich kryptach i piwnicach znalazła schronienie garstka uchodźców, ale łopot skrzydeł Caraxes skłonił ich do ucieczki. Gdy wszyscy już opuścili zamek, Daemon Targaryen spacerował po ogromnych komnatach siedziby Harrena, mając za towarzystwo tylko swego smoka. Co dzień o zmierzchu wycinał znak na drzewie sercu w bożym gaju, by mierzyć upływający czas. Na pniu do dziś można zobaczyć trzynaście znaków. Choć głębokie rany są stare i ciemne, lordowie, którzy władali Harrenhal od czasów Daemona, powiadają, że każdej wiosny krwawią na nowo.

Czternastego dnia czuwania księcia nad zamkiem przemknął cień, czarniejszy niż wszelkie chmury. Wszystkie ptaki w bożym gaju zerwały się z przerażeniem do lotu, a gorący wiatr poruszył spadłymi liśćmi na dziedzińcu. Vhagar wreszcie się zjawiała, a na jej grzbiecie siedział jednooki księżę Aemond Targaryen, zakuty w czarną jaknoc zbroję inkrustowaną złotem.

Nie był sam. Przyleciała z nim Alys Rivers. Jej długie czarne włosy powiewały z tyłu, a brzuch miała wielki od dziecka, które nosiła. Księżę Aemond dwukrotnie okrążył wieżę Harrenhal, a potem posadził Vhagar na zewnętrznym dziedzińcu, zaledwie sto jardów od Caraxes. Smoki tylnęły na siebie złowróźnie. Caraxes rozpostarła skrzydła i syknęła, a na jej zębach zatańczyły płomienie.

Aemond pomógł swej kobiecie zsiąść ze smoka, a potem zwrócił się ku Daemonowi.

— Stryjaszku, słyshałem, że nas szukałeś.

— Tylko ciebie — odparł Daemon. — Kto ci powiedział, gdzie mnie znaleźć?

— Moja pani — wyjaśnił Aemond. — Widziała cię w burzowej chmurze, w górskim stawie o zmierzchu, w ogniu, na którym przygotowywaliśmy kolację. Moja Alys widzi bardzo wiele. Byłeś głupcem, przylatując tu sam.

— Gdybym nie był sam, nie przybyłbyś — stwierdził Daemon.

— Ale jesteś tu i ja też. Żyłeś za długo, stryjaszku.

— W tym się ze sobą zgadzamy — odparł Daemon. Potem stary księżę kazał Caraxes pochylić szyję i wspiął się sztywno na jej grzbiet. Młody księżę pocałował swoją kobietę i skoczył lekko na Vhagar, pamiętając, by zapiąć cztery krótkie łańcuchy łączące jego pas z siodłem. Daemon pozwolił swoim łańcuchom zwisać luźno. Caraxes syknęła raz jeszcze, wypełniając powietrze płomieniem, a Vhagar odpowiedziała jej rykiem. Obie bestie jednocześnie zerwały się do lotu.

Księżę Daemon szybko poprowadził Caraxes wysoko w górę, smagając ją biczem o stalowych końcówkach, aż wreszcie smok i jeździec zniknęli w lawicy chmur. Vhagar, starsza i znacznie większa, była zarazem wolniejsza. Wielkie rozmiary sprawiały, że poruszała się ociężale. Wznosiła się stopniowo nad wodami Okła Boga, zataczając coraz to szersze kręgi.

Godzina była późna, słońce skłaniało się ku zachodowi, a spokojna tafła jeziora lśniła w jego blasku niczym kuta miedź. Vhagar wzbijała się coraz wyżej, wypatrując Caraxes. Alys Rivers przyglądała się temu ze szczytu Królewskiego Stosu na dole.

Atak nadszedł niespodziewanie, jak uderzenie gromu. Caraxes opadła na Vhagar z przesywającym krzykiem, który słyszano w odległości kilkunastu mil. Oślaniał ją blask zachodzącego słońca i nadleciała od ślepej strony księcia Aemonda. Krwawa Żmija uderzyła w starszą smoczycę ze strasliwym impetem. Ryki niesły się echem nad całym Okiem Boga, gdy obie bestie zwarły się i szarpały ze sobą, ciemne na tle krwawoczerwonego nieba. Ich płomienie były tak jasne, że rybacy na dole obawiali się, że pożar ogarnął same chmury na niebie. Zwarte ze sobą smoki runęły ku jezioru. Szczęki Krwawej Żmii zaciskały się na szyi Vhagar, a jej czarne zęby wnikały głęboko w ciało większej smoczycy. Mimo że szpony Vhagar rozdarły jej brzuch, a zęby urwały skrzydło, Caraxes wgryzała się coraz głębiej, szarpiąc ranę. Powierzchnia jeziora zbliżała się do nich straszliwie szybko.

I właśnie wtedy, jak mówią nam opowieści, książe Daemon Targaryen przełożył nogę nad siodłem i przeskoczył z jednego smoka na drugiego. W ręce trzymał Mroczną Siostrę, miecz królowej Visenyi. Aemond Jednooki uniósł przerażone spojrzenie, próbując odpiąć łańcuchy łączące go z siodłem. Daemon zerwał bratankowi hełm i wbił klingę w jego ślepe oko, tak mocno, że sztych wyszedł na zewnątrz z tyłu szyi młodego księcia. Pół uderzenia serca później smoki uderzyły o powierzchnię jeziora, wzbijając w górę fontannę dorównującą ponoć wysokością Królewskiemu Stosowi.

Rybacy, którzy to widzieli, zapewniali, że ani człowiek, ani smok nie mogliby przeżyć takiego upadku. Tak też się stało. Caraxes pożyła wystarczająco długo, by wypełznąć na piasek. Choć miała wyprute wnętrzności i oderwane jedno skrzydło, a wokół niej z wód jeziora buchał dym, Krwawa Żmija znalazła jeszcze siły, by wyjść na brzeg i skonać pod murami Harrenhal. Ciało Vhagar opadło na dno jeziora, woda wokół miejsca jej ostatniego spoczynku wrzała od gorącej krwi wypływającej z ziejącej rany w szyi. Gdy odnaleziono ją kilka lat później, po zakończeniu Tańca Smoków, zakuty w zbroję szkielet księcia Aemonda nadal pozostawał przykuty do siodła, a Mroczna Siostra była wbita w oczdół aż po rękojęść.

Nie można wątpić, że książe Daemon również zginął. Jego szczątków nigdy nie odnaleziono, ale w jeziorze można natrafić na osobliwe prądy, a także głodne ryby. Minstrele mówią nam, że stary książe przeżył upadek i potem wrócił do młodej Nettles, by przeżyć resztę swych dni u jej boku. Podobne opowieści dają nam czarujące pieśni, ale kiepską historię.

Gdy smoki zatańczyły i zginęły ponad Okiem Boga, był dwudziesty drugi dzień piątego księżyca roku 130 o.P. Daemon Targaryen miał w chwili śmierci czterdzieści dziewięć lat; książe Aemond dopiero co ukończył dwadzieścia. Vhagar, największa ze smoków Targaryenów od

chwili śmierci Baleriona Czarnego Strachu, przeżyła ich na tym świecie sto osiemdziesiąt jeden. Tak oto, gdy nadszedł zmierzch i przekłętą siedzibę Harrena Czarnego pochłoniął mrok, dokonano żywota ostatnie stworzenie pamiętające dni Podboju Aegona. Świadców było jednak bardzo niewiele i miało minąć trochę czasu, nim opowieść o ostatniej walce księcia Daemona stała się powszechnie znana.

Tymczasem w Królewskiej Przystani każda kolejna zdrada pogłębiała izolację królowej Rhaenyry. Podejrzany o bycie sprzedawczykiem Addam Velaryon uciekł, nim zdołano go poddać przesłuchaniu. Nakazując go aresztować, Rhaenyra straciła nie tylko smoka i smoczego jeźdźcę, lecz również swego namiestnika królowej, a do tego ponad połowa armii, która przyłączyła się do Smoczego Skąły, by zdobyć Żelazny Tron, składała się z ludzi zaprzysiężonych rodowi Velaryonów. Gdy rozeszły się wieści, że lord Corlys gnije w lochu pod Czerwoną Twierdzą, zaczęli oni setkami porzucać sprawę królowej Rhaenyry. Niektórzy dotarli do Placu Szewskiego i dołączyli do gromadzących się tam tłumów, inni zaś wymknęli się przez bramy albo ponad murami, zdecydowani dotrzeć do Driftmarku. Tym, którzy pozostali, również nie można było ufać.

Tego samego dnia, wkrótce po zachodzie słońca, dwór królowej nawiedziła kolejna groza. Helaena Targaryen, siostra, żona i królowa Aegona II, matka jego dzieci, rzuciła się ze swego okna w Twierdzy Maegora i zginęła nadziana na żelazne szpikulce na dnie suchej fosy. Miała dopiero dwadzieścia jeden lat.

Po nadejściu nocy na ulicach i w zaułkach Królewskiej Przystani, w jej gospodach, burdelach, garkuchniach, a nawet świętych septach zaczęto powtarzać mroczniejszą opowieść. Królową Helaenę zamordowano, szepotali ludzie, podobnie jak jej synów przed nią. Książę Daeron i jego smoki wkrótce staną u bram, a wraz z nimi nadejdzie kres władztwa królowej Rhaenyry. Stara królowa nie chciała dopuścić, by młodsza przyrodnia siostra dożyła jej upadku, wysłała więc ser Luthora Largenta, by złapał ją w swe wielkie, twarde dłonie i cisnął na szpikulce na dole.

Wkrótce pogłoska o „zamordowaniu” królowej Helaeny znalazła się na ustach połowy Królewskiej Przystani. Fakt, że uwierzono w nią tak szybko, świadczy, jak całkowicie miasto obróciło się przeciwko umiłowanej ongiś królowej. Rhaenyry nienawidzono. Helaenę kochano. Prości mieszkańcy miasta nie zapomnieli też o okrutnym zamordowaniu księcia Jaehaerysa przez Juchę i Twaroga. Śmierć Helaeny na szczęście była szybka. Jeden ze szpikulców przebił jej gardło i królowa skonała bezgłośnie. W chwili śmierci Helaeny na szczycie wzgórza Rhaenyry na drugim końcu miasta jej smoczyca Dreamfyre podniosła się nagle z rykiem, który wstrząsnął Smoczą Jamą, i zerwała dwa krępujące ją łańcuchy. Gdy królową Alicent poinformowano o śmierci córki, zdarła szaty i rzuciła na rywalkę straszliwą kłutwę.

Nocą w Królewskiej Przystani wybuchły krwawe rozruchy.

Zamieszki rozpoczęły się w zaułkach i uliczkach Zapchlonego Tyłka, gdy mężczyźni i kobiety wypływali setkami z winnych szynków, szurzych aren oraz garłuchni, gniewni, pijani i przerażeni. Rozwścieczeni ludzie rozchodzili się po całym mieście, domagając się krzykiem sprawiedliwości dla martwych księżąt i ich zamordowanej matki. Przewracano wozy, plądrowano sklepy, okradano i podpalano domy. Złote płaszczki próbujące powstrzymać zaburzenia łapano i bito na kwaśne jabłko. Nie oszczędzano nikogo, wysoko ani nisko urodzonego. Lordów obrzucano śmieciami, rycerzy ściągano z siodła. Lady Darla Deddings widziała, jak jej brata Davosa pchnięto szyletem w oko, gdy próbował ją ratować przed trzema pijanymi stajennymi zamierzającymi ją zgwałcić. Marynarze, którym uniemożliwiono powrót na statki, zaatakowali Rzeczną Bramę i stoczyli walną bitwę ze Strażą Miejską. Potrzeba było ser Luthora Largenta i czterystu włóczników, żeby ich rozproszyć. Połowę bramy porąbano już wtedy na kawałki, a na ziemi leżało stu martwych i konających mężczyzn. Jedną czwartą z nich stanowiły złote płaszczki.

Na Placu Szewskim słyszano dobiegające ze wszystkich stron odgłosy rozruchów. Straż Miejska nadciągnęła wielkimi siłami — pięciuset ludzi w czarnych koczugach, stalowych hełmach i długich złotych płaszczach, uzbrojonych w krótkie miecze, włócznie oraz nabijane kółkami pałki. Zgromadzili się po południowej stronie placu, za ścianą z tarcz i włóczni. Na ich czele jechał ser Luthor Largent na zakutym w zbroję rumaku. W ręce dzierzył długi miecz. Sam widok ser Luthora wystarczył, by setki ludzi skryły się w zaułkach, zakamarkach i bocznych ulicach. Kolejne setki umknęły, gdy Largent wydał rozkaz ataku.

Ale dziesięć tysięcy zostało. Ścisk był tak wielki, że wielu z tych, którzy z chęcią by uciekli, nie było w stanie się poruszyć. Popychano ich, naciskano na nich i deptano im po nogach. Inni ruszyli naprzód, wzięwszy się pod ręce. Zaczęli krzyczeć i przeklinać, gdy włócznicy zbliżali się w rytm powolnych uderzeń bębna.

— Z drogi, cholerni głupcy! — ryknął ser Luthor. — Wracajcie do domów. Nic wam się nie stanie. Wracajcie do domów!

Niektórzy mówią, że pierwszym zabitym był piekarz, który chrząknął z zaskoczenia, gdy włócznia przebiła jego ciało i fartuch zabarwił się na czerwono. Inni twierdzą, że to była dziewczynka, stratowana przez rumaka ser Luthora. Z tłumy wyleciał pierwszy kamień i uderzył włócznika w czoło. Słyszano krzyki i przekleństwa, z dachów sypały się kawałki drewna, kamienie oraz nocniki, a jakiś łucznik na drugim końcu placu zaczął wypuszczać strzały. W jednego z miejskich strażników ciśnięto pochodnią i jego złoty płaszcz szybko zajął się ogniem.

Złote płaszczki były rośliymi mężczyznami, silnymi i zdyscyplinowanymi, mieli dobrą broń i zbroje. Przez jakieś dwadzieścia jardów ich ściana tarcz się utrzymywała i torowali sobie krwawą drogę przez tłum, zostawiając wokół martwych i konających. Było ich jednak ledwie pięciuset, a przeciwko nim zgromadził się z górą dziesięcioletni tłum. Padł pierwszy strażnik,

a po nim następny. Nagle prostaczkowie zaczęli przenikać przez lukę w ich szeregach, atakując nożami, kamieniami, a nawet zębami. Tłum zalewał Straż Miejską, otaczał jej flanki, atakował od tyłu, ciskał dachówki z dachów i balkonów.

Bitwa przerodziła się w chaos, a chaos w rzeź. Otoczone ze wszystkich stron, ciasno ściśnięte złote płaszcze nie miały miejsca, by zrobić użytek z broni. Wielu zginęło, przeszłytych własnymi mieczami. Innych rozerwano na strzępy, zabito kopniakami, stratowano, porąbano na kawałki motykami i rzeźnickimi tasakami. Nawet straszliwy ser Luthor Largent nie zdołał ująć przez rzeźnię. Wyrwano mu miecz, ściągnięto go z siodła, pchnięto w brzuch i załuczono brukowcem. Jego hełm i głowa były zmiażdżone tak doszczętnie, że gdy następnego dnia ładowano trupy na wozy, udało się go rozpoznać tylko dzięki wzrostowi.

Przez całą długą noc połową miasta władał chaos. Dziwaczeni lordowie i królowie zamętu walczyli ze sobą o władzę. Wędrowny rycerz zwany ser Perkinem Pchłą ukoronował swego giermka Trystane'a, szesnastoletniego chłopaka, zapewniając, że jest on naturalnym synem niezującego króla Viserysa. Każdy rycerz mógł pasować rycerza, a gdy ser Perkin zaczął czynić rycerzem każdego najemnika, złodzieja i ucznia rzeźnickiego, który napływał pod szmatławą chorągiew Trystane'a, zebrały się setki mężczyzn i chłopców przysięgających wierność jego sprawie.

O świcie w całym mieście szalały pożary. Plac Szewski pokrywały sterty trupów, a po Zapchlonym Tyłku krążyły bandy łotrów, włamujących się do sklepów i domów oraz traktujących brutalnie wszystkich uczciwych ludzi, których spotkały. Niedobitki złotych płaszczy wycofały się do koszar. Ulicami władali rynsztokowi rycerze, rycerze komedianci oraz szaleni prorocy. Niczym karaluchy, którym byli podobni, najgorsi z nich uciekali przed światłem, kryjąc się w swych norach bądź piwnicach, by odespać pijaństwo, podzielić się łupami i zmyć z rąk krew.

Złote Płaszcze ze Starej Bramy i Smoczej Bramy dokonały wypadów pod dowództwem swych kapitanów, ser Balona Byrcha i ser Gartha Zajęcej Wargi, i w południe udało im się przywrócić coś w rodzaju porządku na ulicach położonych na północ i na wschód od wzgórza Rhaenys. Ser Medrick Manderly, prowadzący setkę ludzi z Białego Portu, dokonał tego samego w rejonie położonym na północ od Wielkiego Wzgórza Aegona aż po Żelazną Bramę,

W pozostałych dzielnicach Królewskiej Przystani nadal panował chaos. Gdy ser Torrhen Manderly poprowadził swych ludzi z północy wzdłuż Haka, przekonał się że na Targu Rybnym i w Nadrzecznym Zaułku roi się od rynsztokowych rycerzy ser Perkina. Nad Rzeczną Bramą powiewała szmatława chorągiew „króla” Trystane'a, a z wieży bramnej zwisały ciała kapitana i trzech sierżantów. Reszta garnizonu „błotniaków” przeszła na stronę ser Perkina. Ser Torrhen stracił jedną czwartą ludzi, przebijając się z powrotem do Czerwonej Twierdzy, ale i tak miał

szczęście w porównaniu ser Lorentem Marbrandem, który poprowadził setkę rycerzy i zbrojnych do Zapchlonego Tyłka. Wróciło szesnastu. Nie było wśród nich ser Lorenta, lorda dowódcy Gwardii Królowej.

Z nastaniem wieczoru Rhaenyra Targaryen uświadomiła sobie, że wrogowie atakują ją ze wszystkich stron. Jej panowanie legło w gruzach. Królowa się wściekła, gdy usłyszała, że Staw Dziewic przeszedł na stronę wroga, Nettles uciekła i nawet ukochany małżonek ją zdradził. Zadrzała, gdy lady Mysaria ostrzegła ją przed zapadnięciem ciemności, że ta noc będzie gorsza od poprzedniej. O świcie w jej sali tronowej przebywało stu ludzi, ale wymykali się oni jeden po drugim.

Jej Miłość miotła się między gniewem a rozpaczą, czepiając się Żelaznego Tronu tak rozpaczliwie, że z chwilą zachodu słońca dłonie miała zbrukane krwią. Oddała dowództwo nad złotymi płaszczami ser Balonowi Byrchowi, kapitanowi z Żelaznej Bramy, wysłała do Winterfell i Orlego Gniazda kruki z błaganiami o dodatkową pomoc, nakazała przygotować dekret pozbawiający praw Mootonów ze Stawu Dziewic oraz mianowała młodego ser Glendona Goode'a lordem dowódcą Gwardii Królowej, choć miał on dopiero dwadzieścia lat i był członkiem Białych Mieczów od niespełna miesiąca. Wcześniej tego dnia Goode wyróżnił się podczas walk w Zapchlonym Tyłku. To on przyniósł ciało ser Lorenta, by buntownicy nie mogli go splugawić.

Aegon Młodszy nie oddalał się od matki ani o krok, lecz rzadko odzywał się choć słowem. Trzynastoletni książę Joffrey wdział zbroję giermka i błagał matkę, by pozwoliła mu pojechać do Smoczej Jamy, by dosiąść Tyraxesa.

— Chcę walczyć za ciebie, matko, tak samo, jak moi bracia. Pozwól mi udowodnić, że jestem równie odważny jak oni.

Jednakże jego słowa wzmocniły tylko determinację Rhaenyry.

— Tak jest, byli odważni, a teraz obaj nie żyją. Moi słodcy chłopcy.

Jej Miłość ponownie zabroniła księciu opuszczania zamku.

Po zachodzie słońca robactwo z Królewskiej Przystani ponownie wypełzło ze swych szczyrzych aren, nor i piwnic, jeszcze liczniejsze niż wczorajszej nocy.

Przy Rzecznej Bramie ser Perkin uraczył swych rynsztokowych rycerzy skradzionym jedzeniem, a potem poprowadził ich wzdłuż rzeki, rabując nabrzeża, magazyny oraz wszystkie statki, które jeszcze nie wypłynęły na morze. Choć Królewska Przystań mogła się pochwalić potężnymi murami i mocnymi wieżami, zbudowano je z myślą o odpieraniu ataków nadchodzących z zewnątrz, a nie z samego miasta. Garnizon Bramy Bogów był szczególnie słaby, ponieważ kapitan i jedna trzecia zbrojnych zginęli razem z ser Luthorem Largentem na Placu Szewskim, a wśród tych, którzy pozostali, było wielu rannych. Hordy ser Perkina pokonały ich

bez trudu.

Przed upływem godziny Królewska i Lwia Brama również były otwarte. Przy pierwszej złote płaszcze uciekły, natomiast „lwy” służące przy drugiej przeszły na stronę tłuszczy. Trzy z siedmiu bram Królewskiej Przystani stały otworem przed wrogami Rhae nyry.

Okazało się jednak, że najpoważniejsza groźba dla władzy królowej kryje się wewnątrz miasta. Gdy zapadła noc, na Placu Szewskim znowu zebrał się tłum, dwukrotnie liczniejszy i trzykrotnie straszliwszy niż poprzedniej nocy. Podobnie jak królowa, której tak nienawidzili, buntownicy ze strachem patrzyli na niebo, obawiając się, że smoki króla Aegona zjawią się, nim nadejdzie świt, a armia nadciągnie wkrótce po nich. Nie wierzyli już, że królowa potrafi ich obronić.

Gdy szalony, jednoręki prorok zwany Pasterzem rozpoczął mowę potępiającą smoki, nie tylko te, które miały ich zaatakować, lecz wszystkie na całym świecie, tłum, również na wpol oszalały, słuchał go z uwagą.

— Kiedy nadejdą smoki — wrzeszczał prorok — wasze ciała zapłoną, pokryją się pęcherzami i obrócą w popiół. Wasze żony zatańczą w sukniach z płomieni, krzycząc, gdy ogień będzie je trawił, nagie i lubieżne pod jego zasłoną. I ujrzycie, jak wasze małe dzieci płaczą, aż ich oczy się stopią i spłyną po policzkach niczym galareta, a różowe mięso zrobi się czarne i odpadnie od kości. Nieznajomy nadchodzi, nadchodzi, nadchodzi, by ukarać nas za grzechy. Modlitwy nie powstrzymają jego gniewu. Tylko krew może tego dokonać. Wasza, moja i ich. — Uniósł kikut prawej ręki i wskazał na czarną sylwetkę wzgórza Rhaenys, rysującą się na tle gwiazd za ich plecami. — Tam mieszkają demony, tam, na górze. To jest ich miasto. Jeśli chcecie uczynić je swoim, najpierw musicie zniszczyć potwory! Jeśli pragniecie się oczyścić od grzechu, najpierw musicie się wyłapać w smoczej krwi! Albowiem tylko krew może ugasić piekielny ogień!

— Zabić je! Zabić je! — popłynął krzyk z dziesięciu tysięcy gardeł. Niby jakaś ogromna bestia o dwudziestu tysiącach nóg baranki Pasterza ruszyły naprzód, przepychając się i wymachując pochodniami. W rękach dzierżyli miecze, noże oraz inną prostszą broń. Szli albo biegli ulicami i zaułkami w stronę Smoczej Jamy. Niektórzy byli rozsądniejsi i wymknęli się do domów, ale na każdego, który się oddalił, do smokobójców przyłączało się trzech nowych. Nim dotarli do wzgórza Rhaenys, ich liczebność wzrosła dwukrotnie.

Wysoko na Wzgórzu Aegona, położonym na drugim końcu miasta, królowa obserwowała atak z dachu Warowni Maegora, razem z synami i dworzanami. Noc była ciemna i pochmurna, a pochodnie tak liczne, że wyglądało to, jakby gwiazdy zstąpiły z nieba, by zaatakować Smoczą Jamę. Gdy tylko dotarły do niej wieści, że rozjuszony tłum ruszył naprzód, Rhaenyra wysłała jeźdźców do ser Balona przy Starej Bramie i ser Gartha przy Smoczej Bramie, rozkazując im rozproszyć tłum i bronić królewskich smoków... ale w mieście panowało tak wielkie zamieszanie, że nie było bynajmniej pewne, czy posłańcy zdołali dotrzeć do celu. A nawet jeśli im się udało,

zbyt mało złotych płaszczy dochowało wierności, by mogli mieć jakąkolwiek nadzieję na sukces. Książę Joffrey błagał matkę, by pozwoliła mu wyruszyć tam z ich rycerzami, a także tymi z Białego Portu, ale królowa odmówiła.

— Jeśli zdobędą tamto wzgórze, potem przyjdzie kolej na to — stwierdziła. — Będziemy potrzebowali wszystkich mieczy, by bronić zamku.

— Zabiją smoki — zaprotestował książę Joffrey z bólem w głosie.

— Albo smoki zabijają ich — odparła ze spokojem jego matka. — Niech spłoną. Królestwo nie będzie długo po nich płakać.

— Matko, co jeśli zabiją Tyraxesa? — zawołał młody książę.

Królowa nie chciała w to uwierzyć.

— To robactwo. Pijacy, głupcy i rynsztokowe szczury. Uciekną, gdy tylko posmakują smoczego ognia.

I wtedy przemówił nadworny błazen, Grzyb:

— Może i są pijakami, ale pijani nie znają strachu. Głupcami są z pewnością, ale nawet głupiec może zabić króla. Szczurami, tym również, ale tysiąc szczurów potrafi powalić niedźwiedzia. Widziałem to kiedyś w Zapchlonym Tyłku.

Jej Miłość odwróciła się plecami do blanków.

Dopiero gdy stojący na dachu obserwatorzy usłyszeli ryk Syrax, zorientowali się, że książę wymknął się niepostrzeżenie. Słyszano, jak królowa rzekła:

— Nie. Zabraniam mu. Zabraniam!

Jednakże w tej samej chwili jej smoczyca zerwała się z dziedzińca, zatrzymała na pół uderzenia serca nad murami, a potem pomknęła w noc. Syn królowej ucpił się grzbietu Syrax, trzymając w ręce miecz.

— Za nim! — zawołał Rhaenyra. — Wszyscy mężczyźni, wszyscy chłopcy, na koń, na koń, ścigajcie go! Sprowadźcie go z powrotem, sprowadźcie, on nic nie wie. Mój syn, mój słodki, mój syn...

Było już jednak za późno.

Nie będziemy udawać, że choć w najmniejszym stopniu rozumiemy więź, jaka istnieje między smokiem a smoczym jeźdźcą. Mądrzejsze głowy przez stulecia rozważały ten problem. Wiemy jednak, że smoki nie są końmi, na których może jeździć każdy, kto włoży im siodło na grzbiet. Syrax była smoczycą królowej. Nigdy nie nosiła innego jeźdźcy. Choć знаła księcia Joffreya z wyglądu i zapachu, była przyzwyczajona do jego bliskości i nie zaniepokoiła się, gdy manipulował jej łańcuchami, wielka żółta bestia nie miała najmniejszej ochoty, by jej dosiadał. Pragnąc odlecieć jak najszybciej, nim ktoś zdąży go powstrzymać, książę skoczył na jej grzbiet bez siodła i bicz. Musimy przyjąć założenie, że zamierzał polecieć na Syrax do walki albo — co

bardziej prawdopodobne — pomknąć do Smoczej Jamy i dosiąść swego Tyraxesa. Być może zamierzał uwolnić też inne smoki.

Joffrey nie dotarł do wzgórza Rhaenys. Gdy tylko Syrax znalazła się w powietrzu, wygięła się pod nim, próbując się uwolnić od nieznanego jeźdźcy. Z tłumy na dole pomknęły zaś ku niej kamienie, włócznie i strzały, jeszcze bardziej rozjuszając smoczycę. Dwieście stóp nad Zapchlonym Tyłkiem księżę Joffrey ześliznął się z grzbietu bestii i runął na ziemię.

W pobliżu miejsca, gdzie łączyło się ze sobą pięć zaułków, jego upadek zakończył się krwawo. Joffrey spadł na stromy dach, a potem stoczył się z niego i runął dalsze czterdzieści stóp w dół wraz z deszczem rozbitych dachówek. Powiadają nam, że upadek zламаł mu kręgosłup, kawałki łupka spadały nań niczym noże, a jego własny miecz wyrwał mu się z ręki i wbił w brzuch. W Zapchlonym Tyłku ludzie nadal mówią o córce producenta świec zwanej Robin, która tuliła konającego księcia, próbując go pocieszyć, ale ta opowieść ma w sobie więcej z legendy niż z historii.

— Matko, wybacz — rzekł ponoć Joffrey, wydając ostatnie tchnienie, choć ludzie do dziś spierają się o to, czy mówił o królowej, czy też modlił się do Matki na Górze.

Tak oto zginął Joffrey Velaryon, księżę Smoczej Skały i dziedzic Żelaznego Tronu, ostatni z synów królowej Rhaenyry z Lae norem Velaryonem... albo ostatni z jej bękartów z ser Harwinem Strongiem, zależnie od tego, w którą prawdę wolimy uwierzyć.

Gdy jego krew spływała zaułkami Zapchlonego Tyłka, wokół Smoczej Jamy na szczycie wzgórza Rhaenys trwała kolejna bitwa.

Grzyb się nie mylił: stada wygłodniałych szcurów zaiste potrafią powalić byki, niedźwiedzie i lwy, jeśli jest ich wystarczająco wiele. Bez względu na to, ile zabije byk albo niedźwiedź, wciąż nadchodzą następne. Gryzą wielką bestię w nogi, czepiają się jej brzucha, wspinają na grzbiet. Tak właśnie wyglądało to owej nocy. Ludzkie szcury były uzbrojone we włócznie, topory, nabijane kółkami maczugi oraz pięćdziesiąt innych rodzajów broni, w tym również łuki i kusze.

Złote płaszcze ze Smoczej Bramy, posłuszne rozkazowi królowej, opuściły koszary, by bronić wzgórza, ale nie były w stanie przebić się przez tłum i musiały zawrócić. Natomiast jeździec wysłany do Starej Bramy nie dotarł do celu. Smocza Jama miała własny kontyngent strażników, ale było ich niewiele, tłum więc wkrótce ich zalał i wymordował, wdzierając się do środka przez drzwi (wysoka brama główna, pokryta brązem i żelazem, była zbyt mocna, by można ją było sforsować, ale gmach miał około dwudziestu mniejszych wejść) albo wślaząc przez okna.

Być może napastnicy mieli nadzieję zaskoczyć smoki we śnie, jednakże uniemożliwił im to zgiewkowiarszący atakowi. Ci, którzy przeżyli, by o tym opowiedzieć, mówią o krzykach i wrzaskach, woni krwi unoszącej się w powietrzu, trzasku dębowych, okutych żelazem drzwi pękających pod ciosami prowizorycznych taranów oraz ciosach niezliczonych toporów.

— Rzadko się zdarza, by tak wielu ludzi z podobnym zapalem pędziło na własny stos — napisał później wielki maester Munkun. — Ich jednak ogarnął obłęd.

W Smoczzej Jamie mieszkaly cztery smoki. Kiedy na piasek wpadli pierwsi napastnicy, wszystkie bestie obudzily sie juz w pełni i byly wściekle.

Żaden z kronikarzy nie zgadza się z pozostałymi co do tego, jak wielu mężczyzn i kobiet zginęło owej nocy pod wielką kopułą Smoczzej Jamy. Podaje się liczby od dwustu do dwóch tysięcy. Na każdego zabitego przypada jednak dziesięciu takich, którzy przeżyli mimo poparzeń. Uwięzione w jamie, otoczone ścianami oraz kopułą i przykute łańcuchami smoki nie mogły odlecieć ani zrobić użytku ze skrzydeł, by wymknąć się atakującym, a potem uderzyć na nich z góry. Zamiast tego walczyły rogami, szponami i zębami, zwracając się to w tę, to w tamtą stronę, jak byki na szczyrzej arenie w Zapchlonym Tyłku... ale te byki potrafiły ziać ogniem. Smocza Jama przerodziła się w gorejące piekło. Płonący ludzie bładzili z krzykiem w obłokach dymu, ciało odpadało z ich poczerńiałych kości, ale na miejsce każdego, kto zginął, przybywało dziesięciu nowych, krzyżących, że smoki muszą zginąć. I zginęły, jeden po drugim.

Pierwsza padła Shrykos, zabita przez drwala znanego jako Hobb Rębacz, który skoczył na szyję bestii i zaczął walić toporem w jej czaszkę. Shrykos wyla się z rykiem, próbując go zrzucić. Hobb zadał siedem ciosów, zaciskając nogi wokół smoczjej szyi, a za każdym uderzeniem wykrzykiwał imię jednego z Siedmiu. Dopiero siódmy cios, cios Nieznajomego, zabił smoczącę, przebijając się przez łuski i czaszkę, by dotrzeć do mózgu.

Morghula, jak piszą, zabił Płonący Rycerz, ogromny mężczyzna w ciężkiej zbroi, który wpadł prosto w smocze płomienie, trzymając w ręce włócznię, i raz po raz wbijał ją w oko bestii, choć ogień topił stalowe płyty zbroi i pochłaniał osłonięte nimi ciało.

Tyraxes księcia Joffreya wycofał się, jak powiadają, do swego leża i upiekł tak wielu próbujących go dopaść kandydatów na smokobójców, że ich trupy wkrótce zablokowały przejście. Nie możemy jednak zapominać, że te wykute ludzką ręką jaskinie miały dwa wejścia, jedno wychodzące na piaski jamy, drugie zaś na stok wzgórza. Wkrótce napastnicy wyłamali „tylne drzwi” i wpadli z wyciem do wypełnionego dymem pomieszczenia, trzymając w rękach miecze, włócznie i topory. Tyraxes próbował się odwrócić, ale łańcuchy się splątały, spowijając smoka stalową pajęczyną, fatalnie krępującą jego ruchy. Pół tuzina mężczyzn (i jedna kobieta) przechwalało się potem, że zadało bestii śmiertelny cios.

Ostatnia z czterech smoków z jamy nie zginęła tak łatwo. Legenda mówi, że Dreamfyre uwolniła się od dwóch łańcuchów z chwilą śmierci królowej Helaeny. Teraz zerwała pozostałe, wyrывая paliki ze ścian, gdy tylko tłum ją zaatakował. Potem rzuciła się na napastników z zębami i szponami. Rozdzierała ludzi na strzępy i urywała im kończyny, ziejąc jednocześnie swym straszliwym ogniem. Gdy wrogowie ją okrążyli, zerwała się do lotu, krążąc po otchłannym

wnętrzu Smoczej Jamy i co chwila opadając na ludzi na dole. Nie sposób wątpić, że Tyraxes, Shrykos i Morghul zabiły wiele dziesiątków ludzi, ale Dreamfyre pozbawiła życia więcej napastników niż trzy pozostałe smoki razem wzięte.

Setki uciekały przed jej płomieniami, lecz kolejne setki — pijane, szalone albo opętane odwagą samego Wojownika — przepychały się naprzód. Nawet pod samym szczytem kopuły smoczyca była łatwym celem dla łuczników i kuszników. Pociski ścigały ją, dokądkolwiek się zwróciła, a przy tak niewielkiej odległości niektóre przebijały nawet jej łuski. Gdziekolwiek próbowała uisnąć, ludzie rzucali się na nią hurmem i znowu musiała wlatywać w górę. Dwukrotnie podleciała do wielkiej bramy z brązu, ale była ona zamknięta i zaryglowana, a do tego broniły jej szeregi włóczni.

Nie mogąc uciec, Dreamfyre ponownie ruszyła do ataku. Palila swych dręczycieli, aż piasek jamy uisnął zwęglone trupy, a w powietrzu unosiły się gęste obłoki dymu i odór spalonego mięsa. Nie położyło to jednak kresu włóczniom i strzałom. Koniec nadszedł, gdy bełt z kuszy wbił się w jedno z oczu bestii. Na wpół oślepiąca i rozjuszona kilkunastoma mniejszymi ranami Dreamfyre rozpostarła skrzydła i poleciała pionowo w górę, ku wielkiej kopule, w ostatniej, desperackiej próbie wyrwania się pod otwarte niebo. Osłabiona już przez smoczy ogień kopuła pękła od wstrząsu i po chwili jej połowa się zawałiła, miażdżąc zarówno smoka, jak i smokobójców pod tonami skruszonego kamienia i gruzu.

Szturm na Smoczą Jamę dobiegł końca. Cztery smoki Targaryenów zabito, choć straszliwym kosztem. Natomiast smoczyca królowej żyła i przebywała na wolności... a gdy poparzeni i zakrwawieni ludzie ocalali z rzezi w jamie wygramolili się z dymiących ruin, Syrax opadła na nich z góry.

Tysiąc krzyków i wrzasków poniósł się echem nad miastem, mieszając się ze smoczym rykiem. Wzniesioną na szczycie wzgórza Rhaenys Smoczą Jamę zwieńczyła korona złotego ognia, płonącego tak jasno, że wydawało się, iż to słońce wschodzi. Nawet królowa zadrżała na ten widok. Po jej policzkach spływały łzy. Wielu ludzi towarzyszących Rhaenyrze na dachu uciekło, obawiając się, że pożar wkrótce ogarnie całe miasto, nawet Czerwoną Twierdzę zbudowaną na szczycie Wielkiego Wzgórza Aegona. Inni udali się do zamkowego septu, by modlić się o wybawienie. Rhaenyra objęła ramionami ostatniego żyjącego syna, Aegona Młodszego, tuląc go gwałtownie do piersi. Nie zwalniała uścisku... aż do straszliwej chwili upadku Syrax.

Uwolniona od łańcuchów i pozbawiona jeźdźca smoczyca mogłaby z łatwością uciec od tego szaleństwa. Niebo należało do niej. Mogła wrócić do Czerwonej Twierdzy albo opuścić miasto i polecieć na Smoczą Skałę. Czy to hałas i ogień zwabiły ją do wzgórza Rhaenys, ryki i wrzaski konających smoków, woń płonących ciał? Nie wiemy tego, podobnie jak nie potrafimy odgadnąć, dlaczego Syrax postanowiła runąć na tłum, by rozszarpać ludzi zębami i szponami,

pożerając ich dziesiątkami, choć z łatwością mogłaby spuścić na nich z góry deszcz ognia, a dopóki szymbowała pod niebem, nikt nie mógł jej zagrozić. Możemy jedynie opisać, co się stało.

Istnieje wiele wzajemnie sprzecznych relacji o śmierci smoczy królowej. Niektórzy przyznają zasługę Hobbowi Rębaczowi, ale to niemal z pewnością fałsz. Czy to możliwe, by ten sam człowiek zabił jednej nocy dwa smoki i to w identyczny sposób? Inni wspominają o bezimiennym włóczęgu, „zbroczonym krwią olbrzymie”, który skoczył z rozbitej kopuły Smocznej Jamy prosto na grzbiet Syrax. Jeszcze inni opowiadają o tym, jak rycerz zwany ser Warrickiem Wheatonem uciął skrzydło bestii mieczem z valyriańskiej stali. Kuznierz imieniem Bean przechwalał się później, że to on zabił smoczycę, opowiadając o tym w wielu gospodach i winnych szynkach, aż w końcu jeden z ludzi wiernych królowej zmęczył się jego gadaniną i uciął mu język Prawdy nikt nigdy nie pozna. Wiemy tylko, że Syrax zginęła owej nocy.

Utrata zarówno smoka, jak i syna zdruzgotała Rhaenyre i pogrzyżała ją w rozpacz. Królowa wycofała się do swych komnat, podczas gdy jej doradcy zaczęli debatować. Wszyscy się zgadzali, że Królewska Przystań jest stracona i muszą opuścić miasto. Jej Miłość z niechęcią dała się przekonać, że muszą wyruszyć o świcie. Błotnista Brama była w rękach jej wrogów, a wszystkie statki stojące nad rzeką spłonęły albo zatoneły, Rhaenyra wymknęła się więc z grupką swych ludzi przez Smoczą Bramę, zamierzając dotrzeć brzegiem do Duskindale. Towarzyszyli jej bracia Manderly, czterech ocalałych rycerzy Gwardii Królewskiej, ser Balon Byrch z dwudziestoma złotymi płaszczami, cztery damy dworu królowej i jej ostatni żyjący syn, Aegon Młodszy.

* * *

Bardzo wiele działo się również w Tumbleton i tam właśnie musimy teraz skierować spojrzenie. Gdy wieści o niepokojach w Królewskiej Przystani dotarły do zastępu księcia Daerona, wielu młodych lordów niecierpliwie zapragnęło natychmiast wyruszyć na miasto. Najważniejszymi wśród nich byli ser Jon Roxton, ser Roger Corne i lord Unwin Peake... ale ser Hobert Hightower zalecał ostrożność, a Dwaj Zdraycy nie chcieli się przyłączyć do żadnego ataku, dopóki ich żądania nie zostaną spełnione. Przypomnijmy, że Ulf Biały pragnął, by przyznano mu wielki zamek Wysogród ze wszystkimi jego ziemiami i dochodami, natomiast Twardy Hugh Młot nie chciał się zadowolić niczym mniej niż koroną.

Wszystkie te konflikty osiągnęły stan wrzenia, gdy w Tumbleton z opóźnieniem dowiedziano się o śmierci Aemonda Targaryena w Harrenhal. Króla Aegona II nie widziano ani o nim nie słyszano od chwili zdobycia Królewskiej Przystani przez jego przyrodną siostrę Rhaenyre. Wielu się obawiało, że królowa rozkazała go zabić w tajemnicy i ukryła zwłoki, by nie uznano jej za zabójczynię krewnych. Ponieważ jego brat Aemond również poległ, zielonym zabrakło króla

i przywódcy. Następny w linii sukcesji był książę Daeron i lord Peake oznajmił, że chłopca powinno się natychmiast ogłosić księciem Smoczey Skały. Inni, przekonani, że Aegon II nie żyje, chcieli go ukoronować.

Dwaj Zdrajcy również czuli potrzebę posiadania króla... ale ich landydatem nie był Daeron Targaryen.

— Potrzebujemy silnego mężczyzny, który będzie nas prowadził, a nie chłopca — oznajmił Twardy Hugh Młot. — Tron powinien przyspaść mnie.

Gdy Śmiały Jon Roxton zapytał, jakim prawem chce się zwać królem, lord Młot odpowiedział:

— Takim samym, co Zdobywca. Mam smoka.

W rzeczy samej, po śmierci Vhagar najstarszym i największym żyjącym smokiem w całym Westeros był Vermithor, ongiś wierzchowiec Starego Króla, a teraz Twardego Hugh Bękart. Vermithor był trzykrotnie większy od smoczy cy księcia Daerona, Tessarion. Nikt, kto widział oba smoki razem, nie mógłby nie zauważyć, że Vermithor to znacznie straszliwsza bestia.

Choć ambicje Młota nie przystawały komuś tak niski urodzonemu, w żyłach Bękart z pewnością płynęło trochę krwi Targaryenów, dowiódł też swej waleczności i hojnie wynagradzał stronników, wykazując się szczodrością, która przyciąga ludzi do przywódców, jak trup przyciąga muchy. Rzecz jasna, byli to ludzie najgorszego rodzaju: najemnicy, rycerze rabusie i inna podobna hołota, mężczyźni o skażonej krwi i niepewnym pochodzeniu, którzy kochali walkę dla samej walki i żyli dla pładrowania i łupienia.

Lordowie i rycerze ze Starego Miasta oraz z Reach poczuli się jednak znieważeni aroganckimi pretensjami Zdrajcy. Nie kto inny, jak sam książę Daeron Targaryen wściekł się tak bardzo, że cisnął pucharem pełnym wina w twarz Twardemu Hugh. Lord Biały zlekceważył to jako marnotrawstwo dobrego trunku, lord Młot rzekł jednak

— Mali chłopcy powinni zachowywać się uprzejmiej, gdy mówią mężczyźni. Widzę, że ojciec za mało cię bił. Uważaj, bym nie nadrobił jego zaniedbania.

Dwaj Zdrajcy oddalili się razem i rozpoczęli przygotowania do koronacji Młota. Następnego dnia Twardy Hugh zjawił się z koroną z czarnego żelaza na głowie, ku wściekłości księcia Daerona oraz prawowitych lordów i rycerzy.

Jeden z nich, ser Roger Corne, ośmielił się nawet strącić koronę z głowy Młota.

— Korona nie czyni człowieka królem — oznajmił. — Powinieneś zamiast niej włożyć podkowę, kowalu.

To był głupi postępek. Lord Hugh nie był zadowolony. Na jego rozkaz towarzyszący mu ludzie obalili ser Rogera na ziemię, a kowalski Bękart przybił mu do głowy nie jedną, lecz trzy podkowy. Gdy przyjaciele Corne'a próbowali interweniować, wyciągnięto sztylety i miecze. Trzech ludzi zginęło, a dwunastu odniosło rany.

Tego już było za wiele dla lordów wiernych księciu Daeronowi. Lord Unwin Peake i Hobert Hightower — choć ten drugi z lekkimi oporami — wezwali jedenastu innych lordów i rycerzy na włościach na tajną naradę w piwnicy gospody w Tumbleton, by przedyskutować sposoby powstrzymania arogancji smoczycy jeźdźców nieprawego pochodzenia. Spiskowcy zgodzili się, że nie będzie trudno pozbyć się Białego, który częściej był pijany niż trzeźwy i nigdy nie władał biegle bronią. Młot był bardziej niebezpieczny, ostatnio bowiem wciąż otaczały go lizusy, markietanki i najemnicy, pragnący wkupić się w jego łaski. Lord Peake zauważył, że nie zda im się to na wiele, jeśli zabiją Białego, ale Młot pozostanie przy życiu. Twardy Hugh musiał zginąć pierwszy. Spory toczony w gospodzie „Pod Krwawymi Kruczymi Stopami” były długie i głośne. Lordowie debatowali o tym, jak najlepiej osiągnąć cel.

— Każdego człowieka można zabić — oznajmił ser Hobert Hightower — ale co ze smokami?

Ser Tyler Norcross zapewnił, że biorąc pod uwagę chaos panujący w Królewskiej Przystani, sama Tessarion powinna wystarczyć do odzyskania Żelaznego Tronu, ale lord Peake odparł, że z Vermithorem i Srebrnoskrzydłą zwycięstwo będzie znacznie pewniejsze. Marq Ambrose zasugerował, by najpierw zdobyli miasto, a dopiero po zapewnieniu sobie zwycięstwa pozbyli się Białego i Młota, Richard Rooden upierał się jednak, że podobny postępek byłby niehonorowy.

— Nie możemy prosić tych ludzi, by przelewali za nas krew, a następnie odebrać im życie — zakończył debatę Śmiały John Roxton. — Zabijemy bękartów teraz — skwitował. — Potem niech najodważniejsi z nas zdobędą ich smoki i polecą na nich do boju.

Nikt w piwnicy nie wątpił, że Roxton mówi o sobie.

Choć książę Daeron nie był obecny na radzie, Krucze Stopy (jak nazwano potem spiskowców) nie chciały przystąpić do akcji bez jego zgody i błogosławieństwa. Owena Fossowaya, lorda Cider Hall, wysłano pod osłoną ciemności, by obudził księcia i przyprowadził go do piwnicy, by konspiratorzy mogli go poinformować o swych planach. Łagodny ongiś książę nie zawahał się też, gdy lord Unwin Peake przedstawił mu nakazy egzekucji Twardego Hugh Młota i Ulfa Białego, lecz skwapliwie przywalił do nich swą pieczęć.

Ludzie mogą tworzyć plany, spiski i intrygi, ale lepiej, by również się modlili, albowiem żaden z planów stworzonych przez człowieka nigdy nie przetrwał kaprysów bogów na górze. Dwa dni później, tego samego dnia, gdy Krucze Stopy zamierzały zaatakować, wszystkich w Tumbleton obudziły ciemną nocą krzyki i wrzaski. Obozy położone za murami miasteczka płonęły. Z północy i z zachodu napływały kolumny zakutych w zbroje rycerzy, przynosząc ze sobą rzeź, z chmur sypał się deszcz strzał, a wraz z nim z nieba opadał smok, straszliwy i gwałtowny.

Tak oto zaczęła się druga bitwa pod Tumbleton.

Smokiem był Morski Dym. Jego jeździec, ser Addam Velaryon, był zdeterminowany dowieść, że nie wszystkie bękarty muszą być sprzedawczykami. Jak mogłoby dokonać tego

skuteczniej, niż odbierając Tumbleton Dwóm Zdrajcom, których czyn splamił również jego? Minstrele zapewniają, że ser Addam poleciał z Królewskiej Przystani do Oka Boga, gdzie wylądował na świętej Wyspie Bogów, by zaczerpnąć rady Zielonych Ludzi. Uczony musi jednak trzymać się znanych faktów, a wiemy tyle, że ser Addam poleciał szybko i daleko, lądując w zamkach, wielkich i małych, których lordowie dochowali wierności królowej, by w ten sposób zebrać armię.

Na ziemiach nawadnianych przez Trident stoczono już wiele bitew i niemal wszystkie tamtejsze twierdze i wioski zapłaciły daninę krwi... ale Addam Velaryon był nieustępliwy, zdeterminowany i gładki w mowie. Lordowie z dorzecza wiedzieli też bardzo wiele o okrucieństwach, do których doszło w Tumbleton. Gdy ser Addam był już gotowy zaatakować miasteczko, miał za sobą prawie cztery tysiące ludzi.

Wielki zastęp obozujący pod murami Tumbleton miał przewagę liczebną nad napastnikami, ale zbyt wiele czasu spędził w tym samym miejscu. Dyscyplina osłabła, w obozach pleniły się choroby, śmierć lorda Ormunda Hightowera odebrała ludziom przywódcę, a lordowie pragnący zająć jego miejsce byli skłóceni. Skłupili się na wewnętrznych konfliktach i rywalizacjach tak bardzo, że zapomnieli o prawdziwych wrogach. Nocny atak ser Addama zaskoczył ich całkowicie. Nim ludzie księcia Daerona zdążyli się zorientować, że trwa bitwa, nieprzyjacieli był już wśród nich, powalając ich, gdy wylazili z namiotów, dosiadali koni, próbowali włożyć broje czy zapinali pasy.

Największe zniszczenia spowodował jednak smok Morski Dym raz po raz opadał z góry na wrogów, ziejąc ogniem. Wkrótce w płomieniach stanęło sto namiotów, nawet wspaniałe jedwabne pawilony ser Hobarta Hightowera, lorda Unwina Peake'a i samego księcia Daerona. Miasteczko również nie uniknęło zniszczeń. Sklepy, domy i septy, które ocalały za pierwszym razem, ogarnął smoczy ogień.

Gdy zaczął się atak, Daeron Targaryen spał w swym namiocie. Ulf Biały przebywał w Tumbleton, odsypiając wieczorne pijaństwo w gospodzie Pod Sprośnym Borsukiem, którą zagarnął dla siebie. Twardy Hugh Młot również był w miasteczku. Spał z wdową po rycerzu zabitym w pierwszej bitwie. Wszystkie trzy smoki znajdowały się poza miejskimi murami, na polach położonych za obozami.

Choć podejmowano próby obudzenia Ulfa Białego z pijackiego snu, okazało się to niemożliwe. Potoczył się haniebnie pod stół i chrapał przez całą bitwę. Twardy Hugh Młot zareagował szybciej. Na wpół ubrany, zbiegł ze schodów i wypadł na dziedziniec, rozkazując krzykiem, by przyniesiono mu młot i przyprowadzono konia, żeby mógł wyjechać z miasteczka i dosięść Vermithora. Jego ludzie popędzili wykonać rozkaz, choć w tej samej chwili Morski Dym podpalił stajnię. Na dziedzińcu był już jednak lord Jon Roxton.

Ujrawszy Twardego Hugh, Roxton poczuł swą szansę.

— Lordzie Młocie, moje kondolencje — rzekł.

Młot odwrócił się, typiąc spode łba na Roxtona.

— Z jakiego powodu? — zapytał.

— Poległeś w bitwie — odparł Śmiały Jon. Wyciągnął Twórcę Sierot, wbił miecz w brzuch bękartu i rozpruł go od pachwiny aż po gardło.

Kilkunastu ludzi Twardego Hugh przybiegło na dziedziniec akurat na czas, by ujrzeć śmierć swego wodza. Nawet miecz z valyriańskiej stali, taki jak Twórca Sierot, nie zda się człowiekowi na wiele, gdy musi walczyć w pojedynkę z dziesięcioma wrogami. Śmiały Jon Roxton zdołał zabić trzech, nim sam również padł. Powiadają, że zginął, pośliznąwszy się na wnętrznościach Hugh Młota, ale być może w tym szczególnie jest zbyt wiele ironii, by mógł być prawdą.

Istnieją trzy sprzeczne ze sobą relacje o śmierci księcia Dae rona Targaryena. Najlepiej znana z nich podaje, że księżę wypadł z namiotu w płonącej pizamie i powalił go myrijski najemnik Czarny Trombo, rozbijając twarz chłopaka ciosem kółczastego morgenszterna. Tę wersję preferował sam Trombo, który powtarzał ją wszem wobec. Druga wersja przypomina pierwszą, ale księcia zabito w niej mieczem, nie morgenszternem, a jego zabójcą nie był Czarny Trombo, lecz jakiś nieznanymi zbrojny, który zapewne nawet sobie nie uświadamiał, kogo powalił. W trzeciej wersji odważny chłopak znany jako Daeron Dzielny nie zdołał się wydostać na zewnątrz, lecz zginął przygnieciony płonącym namiotem.

Krążący po niebie Addam Velaryon obserwował bitwę, zmieniającą się na jego oczach w kłęskę nieprzyjaciela. Dwóch z trzech smoczycy jeźdźców przeciwnika nie żyło, ale on nie mógł o tym wiedzieć. Z pewnością jednak widział same smoki. Nie skuto ich łańcuchami, przebywały poza miejskimi murami, mogły latać i polować do woli. Srebrnoskrzydła i Vermithor często kładły się splecione ze sobą na polach, natomiast Tessarion spała i jadła w obozie księcia Daerona położonym na zachód od miasteczka, nie dalej niż sto jardów od jego obozu.

Smoki są stworzeniami zrodzonymi z ognia i krwi. Wszystkie trzy podekscytowały się, gdy wokół szalała bitwa. Ponoć jakiś kusznik wypuścił bełt do Srebrnoskrzydłej, a czterdziestu konnych rycerzy ruszyło ku Vermithorowi z mieczami, kopiami i toporami w rękach, licząc na to, że uda się zabić bestię, nim obudzi się na dobre i odleci. Zapłacili za to szaleństwo życiem. Tymczasem Tessarion zerwała się do lotu, rycząc i plując ogniem. Addam Velaryon skierował się ku niej na Morskim Dymie.

Smocza łuska jest w znacznej części (choć nie całkowicie) odporna na ogień: chroni bardziej wrażliwe ciało i mięśnie ukryte pod spodem. W miarę starzenia się smoka jego łuski twardnieją i grubieją, zapewniając coraz lepszą ochronę, natomiast ogień staje się coraz gorętszy i straszliwszy (płomienie smoczątkła mogą podpalić słomę, natomiast ogień Baleriona czy Vhagar

u szczytu ich mocy topił stal i kamienie). Dlatego gdy smoki toczą walkę na śmierć i życie, często używają broni innej niż ogień: szponów czarnych niczym żelazo, długich jak miecze i ostrych niby brzytwy; paszcz tak potężnych, że potrafią przegryźć nawet płytową zbroję rycerza; podobnych biczom ogonów, których ciosy nieraz rozbijały kryte wozy na drobne kawałeczki, łamały kręgosłupy masywnym rumakom i ciskały ludźmi w powietrze na odległość pięćdziesięciu stóp.

Walka między Tessarion a Morskim Dymem wyglądała inaczej.

Historia zwie wojnę między królem Aegonem II a jego siostrą Rhaenyrą Tańcem Smoków, ale tylko nad Tumbleton smoki zatańczyły naprawdę. Tessarion i Morski Dym były jeszcze młode i bardziej zwinne w powietrzu od starszego rodzeństwa. Raz po raz próbowały ataku po to tylko, by przeciwnik w ostatniej chwili zrobił unik. Szybowały jak orły, nurkowały niczym jastrzębie, zataczały kręgi, kłapały paszczami i ryczały, pluły ogniem, ale nigdy nie zbliżyły się do siebie. W pewnej chwili Niebieska Królowa zniknęła w chmurze, ale zaraz pojawiła się znowu, opadając na przeciwnika od tyłu, by osmalić mu ogon płomieniem kobaltowej barwy. Tymczasem Morski Dym przetaczał się, zakręcał i zataczał kręgi. W jednej chwili był poniżej przeciwniczki, w następnej zaś wykonywał zwrot i znajdował się za nią. Smoki wzbijały się coraz wyżej, a setki ludzi przyglądały się im z dachów Tumbleton. Jeden z nich powiedział później, że bardziej przypominało to taniec godowy niż bitwę. Być może rzeczywiście nim było.

Taniec jednak się skończył, gdy do lotu wzbił się z rykiem Vermithor.

Miał już prawie sto lat i dorównywał wielkością obu młodszym smokom razem wziętym. Smok barwy spizu o potężnych jasnobrązowych skrzydłach wznosił się z furią nad ziemię. Z tuzina jego ran buchała dymiąca krew. Nie miał jeźdźca i nie odróżniał przyjaciół od wrogów, pluł ogniem na prawo i lewo, atakując z wściekłością każdego człowieka, który ośmielił się cisnąć w niego włócznią. Pewien rycerz próbował ucieczki, ale bestia złapała go w paszczę i ściągnęła z konia, który umknął cwałem. Lordowie Piper i Deddings, siedzący obok siebie na szczycie niskiego wzgórza, spłonęli razem ze swymi giermkami, sługami i zaprzysiężonymi tarczami, gdy Spizowy Gniew przypadkiem ich zauważył. Chwilę później opadł na niego Morski Dym.

On jeden z czterech smoków, które znalazły się owego dnia na polu bitwy, miał jeźdźca. Ser Addam Velaryon przybył tu po to, by dowieść swej lojalności, przynosząc zgubę Dwóm Zdrajcom oraz ich smokom, i nagle jeden z nich znalazł się poniżej niego i atakował ludzi, którzy ruszyli do boju u jego boku. Z pewnością uważał, że obowiązek łąże mu ich bronić, choć w głębi serca musiał wiedzieć, że Morski Dym nie może się mierzyć z większą bestią.

To nie był taniec, lecz walka na śmierć i życie. Vermithor leciał najwyżej dwadzieścia stóp nad polem bitwy, gdy Morski Dym uderzył w niego z góry i strącił z wrzaskiem w błoto. Mężczyźni i chłopcy uciekali panicznie albo byli miażdżeni, gdy dwa smoki przetaczały się po

ziemi, próbując się nawzajem rozszarpać. Ogony uderzały jak bicze, skrzydła łopotały w powietrzu, lecz bestie splotły się ze sobą tak mocno, że żadna z nich nie była w stanie się uwolnić. Benjicot Blackwood obserwował walkę z grzbietu konia, odległy o pięćdziesiąt jardów. Po wielu latach opowiadał, że Vermithor był zbyt wielki i ciężki, by Morski Dym mógł z nim walczyć, i srebrnoszary smok z pewnością zostałby rozerwany na strzępy, gdyby Tessarion nie opadła nagle z nieba, by przyłączyć się do starcia.

Któż może znać serce smoka? Czy to prosta żąda krwi skłoniła Niebieską Królową do ataku? A może smoczyca chciała pomóc jednemu z walczących? Jeśli tak, to któremu? Niektórzy będą zapewniać, że więź między smokiem a smoczym jeźdźcem sięga tak głęboko, że bestia dzieli miłości i nienawiści swego pana. Kto był tu sojusznikiem, a kto wrogiem? Czy pozbawiona jeźdźca Tessarion potrafiła ich od siebie odróżnić?

Odpowiedzi na te pytania nigdy nie poznamy. Historia mówi nam tylko, że trzy smoki walczyły ze sobą pośród błota, krwi i dymu podczas drugiej bitwy pod Tumbleton. Pierwszy zginął Morski Dym, gdy Vermithor zacisnął zęby na jego szyi i odgryzł mu głowę. Potem spiżowa bestia spróbowała odlecieć, ściskając zdobycz w paszczy, ale poszarpane skrzydła nie mogły udźwignąć jej ciężaru. Po chwili Vermithor runął na ziemię i zginął. Tessarion, Niebieska Królowa, dożyła zachodu słońca. Trzykrotnie próbowała ulecieć w przestworza i trzykrotnie jej się nie udało. Późnym popołudniem zaczęła sprawiać wrażenie, że cierpi ból, lord Blackwood wezwał więc swego najlepszego łuczniczkę, znanego jako Billy Burley. Uzbrojony w długi łuk mężczyzna zajął pozycję w odległości stu jardów (poza zasięgiem ognia konającej bestii) i wypuścił trzy strzały w oko leżącego bezradnie na ziemi stworzenia.

O zmierzchu walki dobiegły końca. Choć lordowie dorzecza stracili tylko niespełna stu ludzi i powalili z górą tysięcy przeciwników ze Starego Miasta i z Reach, drugą bitwę pod Tumbleton trudno uznać za całkowite zwycięstwo atakujących, ponieważ nie udało się im zdobyć miasteczka. Mury obronne nadal były nietknięte, zatem gdy ludzie króla wycofali się za ich osłonę i zamknęli za sobą bramy, siły królowej — pozbawione machin oblężniczych i smoków — nie były w stanie wdrzeć się do środka. Niemniej napastnicy dokonali straszliwej rzezi rozbitych i zdeorganizowanych wrogów, podpalili ich namioty, spalili bądź zdobyli prawie wszystkie wozy, zapasy i paszę nieprzyjaciół, zabrali trzy czwarte ich koni, zabili ich księcia i położyli kres życiu dwóch smoków króla.

Rankiem po bitwie obrońcy Tumbleton wyjrzel za mury i zobaczyli, że ich wrogowie odeszli. Wszędzie wokół miasteczka walały się ciała zabitych. Leżały wśród nich trupy trzech smoków. Przy życiu pozostał tylko jeden: Srebrnoskrzydła, w dawnych czasach nosząca na grzbiecie Dobrą Królową Alysanne. Gdy tylko zaczęła się rzeź, smoczyca uleciała wysoko i długimi godzinami krążyła nad polem bitwy, unosząc się na gorących wiatrach wywołanych przez

szalejące w dole pożary. Dopiero po zmierzchu obniżyła lot i wylądowała obok zabitych kuzynów. Później minstrele śpiewali o tym, że trzykrotnie próbowała wnieść nosem skrzydło Vermithora, jakby chciała sprawić, by ten znowu poleciał, ale to zapewne tylko bajka. Gdy wzeszło słońce, Srebrnoskrzydła polatywała apatycznie nad polem bitwy, karmiąc się spalonymi szczątkami koni, ludzi i wołów.

Zginęło ośmiu z trzynastu Kruczyc Stóp, między innymi lord Owen Fossoway, Marq Ambrose oraz Śmiały Jon Roxton. Richard Rodden oberwał strzałą w szyję i miał skonać następnego dnia. Jednakże czterech spiskowców ocalało, wśród nich ser Hobert Hightower i lord Unwin Peake. A choć Twardy Hugh Młot nie żył, a jego marzenia o koronie zginęły razem z nim, drugi Zdradca pozostał przy życiu. Ulf Biały obudził się z pijackiego snu jako ostatni smoczy jeździec, posiadacz ostatniego smoka.

— Młot nie żyje i wasz chłopak również — oznajmił jakoby lordowi Peake'owi. — Zostałem wam tylko ja. — Gdy Peake zapytał go, co zamierza, Biały odparł: — Wymaszerujemy, tak jak chcieliście. Wy zdobędziecie miasto, a ja otrzymam cholerny tron. Co ty na to?

Następnego ranka Ulfa odwiedził ser Hobert Hightower, pragnąc omówić szczegóły planowanego szturmu na Królewską Przystań. Przyniósł mu w darze dwie beczułki wina, jedną czerwonego dornijskiego i jedną złotego arborskiego. Choć Ulf Pijanica nigdy nie spotkał wina, które by mu nie smakowało, wiadano, że woli słodsze trunki. Ser Hobert z pewnością miał nadzieję, że będzie sączył kwaśne czerwone, pozwalając lordowi Ulfowi łąpać słodkie złote. Jednakże coś w zachowaniu Hightowera — giermek, który ich obsługiwał, zeznał później, że ser Hobert pocił się, jąkał i był stanowczo zbyt serdeczny — wzbudziło podejrzliwość Białego. Dlatego rozkazał zostawić czerwone dornijskie na później i zażądał, by Hightower pił wraz z nim złote arborskie.

Historia ma niewiele dobrego do powiedzenia o ser Hobercie Hightowerze, ale nikt nie może wątpić, że umarł dzielnie. Zamiast zdradzić współspiskowców, pozwolił, by giermek napełnił mu kielich, wy pił do dna i poprosił o więcej. Gdy Ulf Pijanica zobaczył, że Hightower pije wino bez obaw, udowodnił, że zasłużył na swój przydomek. Wychylił trzy kielichy, zanim zaczął ziewać. Trucizna w winie miała łagodne działanie. Gdy lord Ulf zasnął, by już się nie obudzić, ser Hobert wstał chwiejnie i spróbował wymusić wymioty. Było już jednak za późno. Po godzinie serce przestało mu bić.

Potem lord Unwin Peake zaferował tysiąc złotych smoków każdemu szlachetnie urodzonemu rycerzowi, który zdoła dosiąść Srebrnoskrzydłej. Zgłosiło się trzech mężczyzn. Gdy pierwszemu smoczyca urwała rękę, a drugiego spaliła, trzeci zrezygnował. W owej chwili armia Peake'a, niedobitki potężnego zastępu, przywiedzionego przez księcia Daerona i lorda Ormunda Hightowera aż ze Starego Miasta, już się rozpadała. Dezerterzy wymykali się dziesiątkami

z Tumbleton, dźwigając tyle łupów, ile tylko zdołali unieść. Lord Unwin pogodził się z porażką. Wezwał swych lordów oraz sierzantów i nakazał odwrót. Przekęty jako sprzedawczyk Addam Velaryon, urodzony jako Addam z Hull, uratował Królewską Przystań przed wrogami królowej... kosztem własnego życia.

Rhaenyra nic jednak nie wiedziała o jego odwadze. Jej ucieczka z Królewskiej Przystani była pełna przeszkód. W Rosby zamknięto przed nią bramy zamku. Kasztelan młodego lorda Stokewortha przyznał jej gościnę, ale tylko na jedną noc. Połowa jej złotych płaszczy zdezerterowała po drodze, a pewnej nocy obóz zaatakowali złamani. Choć ludzie Rhaenyry odparli napastników, ser Balon Byrch padł od strzały, a ser Lyonel Bentley, młody rycerz Gwardii Królowej, otrzymał cios w głowę, od którego pękł mu hełm. Zmarł następnego dnia, bredząc od rzeczy. Królowa szła dalej, w stronę Dusłendale.

Ród Darklynów zaliczał się do najwierniejszych stronników Rhaenyry, ale koszty tej wierności okazały się wysokie. Tylko wstawiennictwo ser Harrolda Darkę'a przekonało lady Meredith Darklyn do wpuszczenia królowej w obręb swych murów (Darkę'owie byli odległymi kuzynami Darklynów, a ser Harrold służył niegdyś jako giermek niezjącemu ser Steffonowi) i to pod warunkiem, że nie zostanie na długo.

Królowa Rhaenyra nie miała złota ani okrętów. Zamknąwszy lorda Corlysa w lochu, utraciła flotę, a gdy uciekała z Królewskiej Przystani, bojąc się o własne życie, nie miała przy sobie ani grosza. Zdesperowana, dręczona strachem Jej Miłość posiwała i wychudła. Nie mogła spać i nie chciała jeść. Nie rozstawała się też ani na moment z księciem Aegonem, swym ostatnim żyjącym synem. Chłopiec dniem i nocą pozostawał u jej boku „jak mały, bładny cień”.

Rhaenyra była zmuszona sprzedać koronę, by zebrać pieniądze na przejazd na braavoskim statku kupieckim „Violande”. Ser Harrold Darkę nakłaniał ją, by poszukała azylu u lady Arryn w Dolinie, natomiast ser Medrick Manderly próbował ją przekonać, by towarzyszyła jemu i jego bratu ser Torrhenowi do Białego Portu, ale Jej Miłość odmówiła obu. Była niezachwianie zdeterminowana wrócić na Smoczą Skałę. Tam znajdzie smocze jaja, powtarzała tym, którzy dochowali jej wierności. Musi mieć nowego smoka, bo inaczej wszystko będzie stracone.

Silne wiatry zaniósły „Violande” bliżej brzegów Driftmarku, niż mogłaby tego pragnąć królowa. Trzykrotnie przepływali w zasięgu głosu od okrętów Węża Morskiego, ale Rhaenyra pilnowała, by nikt jej nie zauważył. Wreszcie Braavosowie rzucili kotwicę w porcie pod Smoczą Górą. Był wieczór. Królowa wysłała kruka z wiadomością o swym przybyciu i gdy zesza na ląd, czekała na nią eskorta. Rhae nyrze towarzyszył jej syn Aegon, damy dworu oraz trzech rycerzy Gwardii Królowej — wszystko, co zostało z jej świty.

Łał deszcz i w porcie nie widziało się prawie nikogo. Nawet portowe burdele robiły wrażenie ciemnych i opustoszałych. Jej Miłość nie zwracała jednak na to uwagi. Chora na ciele i duchu,

złamana przez zdrady, Rhaenyra Targaryen pragnęła tylko wrócić do własnej siedziby, gdzie — jak sądziła — będzie z synem bezpieczna. Nawet się nie domyślała, że wkrótce spotka ją ostatnia i najgorsza zdrada.

Złożoną z czterdziestu ludzi eskortą dowodził ser Alfred Broome, jeden z ludzi pozostawionych na wyspie, gdy Rhaenyra wyruszyła do ataku na Królewską Przystań. Broome był najstarszym z rycerzy na Smoczej Skale, dołączył do garnizonu jeszcze za panowania Starego Króla. W związku z tym oczekiwał, że zostanie mianowany kasztelanem, gdy Rhaenyra wyruszyła po Żelazny Tron... ale ponure usposobienie i nieprzyjazne zachowanie ser Alfreda nie budziły sympatii ani zaufania. Dlatego królowa pominęła go na rzecz milszego ser Roberta Quince'a.

Gdy Rhaenyra zapytała, dlaczego ser Robert nie wyszedł jej na spotkanie, ser Alfred odpowiedział, że królowa spotka „naszego grubego przyjaciela” w zamku. Tak też się stało... choć zwęglonego trupa Quince'a trudno byłoby rozpoznać. Ciało zwisało z blanków wieży bramnej, razem z ciałem zarządcy Smoczej Skąły, dowódcy zbrojnych oraz kapitana straży. Tylko olbrzymia tusza świadczyła, że to rzeczywiście ser Robert.

Powiadają, że na widok trupów z policzków królowej odpłynęła krew, ale to młody książę Aegon pierwszy sobie uświadomił, co one oznaczają.

— Matko, uciekaj! — zawołał. Było już jednak za późno. Ludzie ser Alfreda zaatakowali obrońców królowej. Topór rozbił głowę ser Harrolda Darke'a, nim rycerz zdążył wydobyc miecz z pochwy, a ser Adrianowi Redfortowi wbito włócznię w plecy. Tylko ser Loreth Lansdale zareagował wystarczająco szybko, by zdążyć zadać cios w obronie królowej. Zanim sam zginął, powalił dwóch pierwszych ludzi, którzy go zaatakowali. Był ostatnim z Gwardii Królowej. Kiedy książę Aegon złapał miecz ser Harrolda, ser Alfred pogardliwie odrzucił klingę na bok.

Chłopca, królową i jej damy zaprowadzono pod groźbą włóczni na położony za bramą dziedziniec. Tam stanęli twarzą w twarz z martwym mężczyzną i konającym smokiem.

Luski Sunfyre'a nadal lśniły w blasku słońca niczym kute złoto, ale łatwo można było zauważyć, że leżąca na czarnym, stopionym walryriańskim ogniem, kamieniu dziedzińca bestia jest straszliwie okaleczona. Sunfyre był ongiś najwspanialszym smokiem, jaki kiedykolwiek wleciał pod niebo Westeros, teraz zaś skrzydło, niemal całkowicie urwane przez Meleys, odstawało do ciała pod nienaturalnym kątem, a świeże blizny na grzbiecie nadal dymiły i krwawiły, gdy się poruszał. Gdy królowa i jej towarzysze go ujrzeli, Sunfyre leżał zwinięty w kłębek. Nagle się poruszył i unióś głowę, odsłaniając straszliwe rany widoczne wzdłuż szyi, gdzie inny smok wyrwał mu kawały ciała. W niektórych miejscach na brzuchu łuski ustąpiły miejsca strupom, a tam, gdzie powinno być prawe oko, została tylko pusta dziura, pokryta czarną, zakrzepłą krwią.

Trzeba zapytać, jak z pewnością uczyniła to Rhaenyra, w jaki sposób do tego doszło.

Wiemy bardzo wiele rzeczy, o których królowa nie miała pojęcia. To lord Larys Strong Szpotawa Stopa wykradł króla i jego dzieci z miasta, gdy na niebie nad Królewską Przystanią pojawiły się smoki Rhaenyry. Nie chcąc przechodzić przez miejskie bramy, gdzie ktoś mógłby ich zauważyć i zapamiętać, lord Larys poprowadził zbiegów jakimś tajnym przejściem Maegora Okrutnego, znanym wyłącznie jemu.

Również on zdecydował, że uciekinierzy powinni się rozstać, by nawet jeśli któreś z nich zostanie pojmane, reszta zachowała wolność. Ser Rickardowi Thorne'owi rozkazano odprowadzić dwuletniego księcia Maelora do lorda Hightowera. Księżniczkę Jaehaerę, sześciolletnią dziewczynkę, prostą i słodką, powierzono opiece ser Willisa Fella, który przysiągł dostarczyć ją bezpiecznie do Końca Burzy. Żadne z dzieci nie wiedziało, dokąd wyruszyło drugie, by nie mogło go zdradzić w razie pojmania.

Tylko sam Larys wiedział, że król zdjął piękne szaty, przebrał się w splamiony solą płaszcz rybaka i ukrył w stertach dorszy na skłonie rybackim, pod opieką bękartiego rycerza, który miał krewnych na Smoczjej Skale. Szpotawa Stopa uważał, że gdy tylko Rhae nyra się dowie o zniknięciu króla, wyśle ludzi w pościg za nim... ale łódź nie zostawia śladów na wodzie i niewielu łowców wpadłoby na to, by szukać Aegona na wyspie jego siostry, w samym cieniu jej twierdzy.

Król mógłby tam pozostać, ukryty, lecz nieszkodliwy, uśmierzając ból winem i ukrywając blizny po oparzeniach pod grubym płaszczem, gdyby na Smoczą Skalę nie przybył Sunfyre. Możemy zapytać, co skłoniło bestię do powrotu na wyspę. Wielu to robiło. Czy rannym smokiem o złamanym, na wpół zagojonym skrzydle kierował jakiś pierwotny instynkt, nakazujący mu powrót do miejsca narodzin, dymiącej góry, gdzie wykłuł się z jaja? A może wyczuł w jakiś sposób, że wieloma milami burzliwych mórz, że na wyspie przebywa król Aegon, i poleciał tam, by połączyć się ze swym jeźdźcem? Niektórzy posuwają się nawet do sugestii, że Sunfyre wyczuł, iż Aegon rozpaczliwie go potrzebuje. Któż jednak może twierdzić, że zna serce smoka?

Po tym, jak pechowy atak lorda Walysa Mootona przegnał Sunfyre'a z pola popiołu i kości pod Gawronim Gniazdem, historia straciła smoka z oczu na ponad pół roku (pewne opowieści powtarzane na dworach Crabbów i Brune'ów sugerują, że przez pewien czas mógł się on ukrywać w mrocznych sosnowych lasach i jaskiniach na Szczypcowym Przylądku). Choć rozdarte skrzydło zagoiło się na tyle, że mógł latać, zrosło się pod paskudnym kątem i pozostało słabe. Sunfyre nie mógł już szybować ani utrzymywać się długo w powietrzu. Nawet pokonanie krótkiego odcinka sprawiało mu trudności. Zdołał jednak jakoś przemknąć nad wodami Czarnej Zatoki... albowiem to właśnie on był bestią, która zaatakowała Szarego Ducha na oczach marynarzy z „Nessarii”. Ser Robert Quince oskarżał Kanibala... ale Tom Splątany Język jąkała, który słyszał więcej, niż mówił, napił Volanteńczyków piwem, zwracając uwagę na to, jak często wspominali o złotych łuskach napastnika. Kanibal, o czym Tom świetnie wiedział, był

czarny jak węgiel. Dlatego Dwaj Tomowie i ich „kuzyni” (to była półprawda, albowiem tylko ser Marstona łączyły z nimi więzy krwi, jako że był bękartim synem siostry Toma Splątanej Brody z rycerzem, który pozbawił ją dziewictwa) wyruszyli w swej małej łodzi na poszukiwania zabójcy Szarego Ducha.

Poparzony król i kaleki smokdali sobie nawzajem nowy cel. Aegon co dzień o świcie opuszczał leże ukryte na opustoszałych wschodnich zboczach Smocznej Góry, wlatując pod niebo po raz pierwszy od Gawroniego Gniazda, podczas gdy Dwaj Tomowie i ich kuzyn Marston Waters wrócili na drugi koniec wyspy, by znaleźć ludzi, którzy zgodzą się pomóc im w zdobyciu zamku. Nawet na Smocznej Skale, która od dawna była siedzibą i twierdzą Rhae nyry, nie brakowało takich, którzy nie lubili królowej, czy to z dobrych, czy ze złych powodów. Niektórzy opłakiwali braci, synów i ojców zabitych podczas Posiewu albo w bitwie w Gardzieli, inni liczyli na nagrody bądź zaszczyty, jeszcze inni byli zaś przekonani, że syn musi mieć pierwszeństwo przed córką i w związku z tym prawa Aegona są lepsze.

Królowa zabrała swych najlepszych ludzi do Królewskiej Przystani. Smocza Skala, broniona przez okręty Węza Morskiego oraz wysokie valyriańskie mury, wydawała się niezdołana, Jej Miłość pozostawiła więc tu tylko niewielki garnizon, złożony z ludzi, którzy nie zdaliby się je na wiele: starszków i niedoświadczonych chłopaków; chromych, gapowatych i kalekich; zdrowiejących z ran, tych o niepewnej lojalności i podejrzewanych o tchórzostwo. Ich dowódcą Rhaenyra mianowała ser Roberta Quince’a, kompetentnego mężczyznę, który jednak zestarzał się już i utył.

Wszyscy się zgadzają, że Quince był wiernym stronnikiem królowej, jednakże część ludzi, którymi dowodził, nie cechowała się równie wielką lojalnością. Mieli żal i pretensje za dawne krzywdy, czy to prawdziwe, czy wymaginowane. Najważniejszym z nich był ser Alfred Broome. Broome okazał wielką chęć zdradzenia królowej w zamian za tytuł lordowski, ziemie i złoto, gdyby Aegon II odzyskał tron. Długa służba w garnizonie pozwoliła mu opowiedzieć ludziom króla o siłach i słabościach Smocznej Skali, o tym, których strażników można było przekupić bądź pozyskać, których zaś trzeba będzie zabić albo uwięzić.

Gdy upadek Smocznej Skali wreszcie nastąpił, trwał niespełna godzinę. Ludzie skłonieni do zdrady przez Broome’a otworzyli w godzinie duchów tylną bramę, by ser Marston Waters, Tom Splątany Język oraz ich ludzie mogli się wśliznąć do zamku niepostrzeżenie. Jedna grupa zajęła zbrojownię, druga zaś uwięziła wiernych królowej strażników oraz dowódcę zbrojnych. Ser Marston zastał maestra Hunnimore’a w krukarni, kruki nie mogły więc nikogo zawiadomić o ataku. Ser Alfred osobiście dowodził ludźmi, którzy wtargnęli do komnat kasztelana, by zaskoczyć ser Roberta Quince’a. Gdy ten próbował dźwignąć się z łoża, Broome wbił mu włócznię w potężne, blade brzuszysko z taką siłą, że broń wyszła plecami, przebiła puchowy

materac i siennik, a potem wbiła się w podłogę.

Tylko w jednym punkcie plan się nie powiódł. Gdy Tom Splątany Język i jego zbiry rozbili drzwi sypialni księżniczki Baeli, by wziąć ją do niewoli, dziewczynka wymknęła się przez okno i zeszła po dachach i murach na dziedziniec. Ludzie króla wystawili strażę przed stajniami, w których trzymano smoki, ale Baela wychowywała się na Smoczjej Skale i знаła przejścia, o których oni nie wiedzieli. Gdy ścigający ją dopadli, zdążyła już odpiąć łańcuchy Księżycowej Tancerki i włożyć siodło na jej grzbiet.

Tak oto, gdy król Aegon II przeleciał na Sunfyrze nad dymiącym szczytem Smoczjej Góry i zaczął opadać na dziedziniec, spodziewając się triumfalnego przywitania w zamku opanowanym przez jego ludzi, gdzie wszystkich wiernych stronników królowej zabito albo uwięziono, na spotkanie wyleciała mu księżniczka Baela Targaryen, córka księcia Daemona, równie nieustraszona jak jej ojciec.

Księżycowa Tancerka była młodym smokiem jasnozielonej barwy, o perłowych rogach, grzebieniu i kościach skrzydeł. Pomijając te ostatnie, nie była większa od bojowego rumaka, a ważyła mniej od niego. Była jednak bardzo szybka, natomiast Sunfyre, choć znacznie większy, miał kłopoty ze świeżo zrosniętym skrzydłem, a niedawno Szary Duch zadał mu nowe rany.

Smoki starły się w ciemności, jaka nadchodzi przed świtem, cienie krążące na niebie rozświetlały noc swym ogniem. Księżycowa Tancerka uchyliła się przed płomieniami Sunfyre'a, wymknęła jego szczękom, przemknęła pod wyciągniętymi szponami, a potem zawróciła, by zaatakować z góry większego smoka. Jej szpony na nowo otworzyły długą, dymiącą ranę na grzbiecie i rozszarpały zranione skrzydło. Ludzie obserwujący walkę z dołu opowiadali, że Sunfyre zachwiał się jak pijany, z trudem utrzymując się w powietrzu, Księżycowa Tancerka natomiast swobodnie zatoczyła krąg i ponowiła atak, plując ogniem. Sunfyre odpowiedział złotym płomieniem, gorącym jak żar z pieca, trafiając młodą smoczycę prosto w oczy. Najpewniej Księżycowa Tancerka natychmiast została oślepią, nie zatrzymała się jednak, lecz uderzyła prosto w przeciwnika, tworząc kłębowisko skrzydeł i pazurów. Kiedy smoki spadały na ziemię, raz po raz kasała szyję Sunfyre'a, wrywając wielkie kawały mięsa, podczas gdy starszy smok wbił szpony w jej podbrzusze. Spowita w ogień i dym, oślepią i krwawiąca, Księżycowa Tancerka łopotała rozpaczliwie skrzydłami, próbując się uwolnić, ale zdołała jedynie spowolnić upadek.

Obserwatorzy na dziedzińcu uciekli w bezpieczne miejsce, nim smoki runęły na twardy kamień. Na ziemi szybkość Księżycowej Tancerki nie zdała się na wiele w starciu z rozmiarami i ciężarem Sunfyre'a. Zielona smoczyca wkrótce znieruchomiała. Złoty smok zakrzyknął triumfalnie i spróbował zerwać się do lotu, ale zwałił się na dziedziniec. Z jego ran wypływała gorąca krew.

Król Aegon zeskokczył z siodła, gdy smoki były jeszcze dwadzieścia stóp nad ziemią i połamał

sobie obie nogi. Lady Baela została z Księżycową Tancerką aż do samego końca. Poparzona i posiniaczona dziewczynka zdołała jeszcze odpiąć łańcuchy siodła i odczołgać się od targanej śmiertelnymi konwulsjami bestii. Gdy Alfred Broome wyciągnął miecz, chcąc ją zabić, Marston Waters wyrwał mu broń z ręki. Tom Splątany Językzaniósł dziewczynkę do maestera.

Tak oto król Aegon II zdobył rodzową siedzibę Targaryenów, zapłacił jednak za to straszliwą cenę. Sunfyre nigdy już nie wzbił się w powietrze. Pozostał na dziedzińcu tam, gdzie upadł, żywiąc się ciałem Księżycowej Tancerki, a potem owcami, zarzynanymi dla niego przez żołnierzy z garnizonu. Jego Miłość zaś aż do końca życia cierpiał wielki ból... choć tym razem odmówił makowego mleka, co przynosi mu zaszczyt.

— Nie wejść drugi raz na tę drogę — oznajmił.

Wkrótce potem, gdy król leżał w wielkiej komnacie Kamiennego Bębna z obiema nogami unieruchomionymi bandażami i łubkami, z Duskindale przyleciał pierwszy z kruków królowej Rhaenyry. Kiedy Aegon usłyszał, że jego przyrodnia siostra wróci na „Violande”, rozkazał ser Alfredowi Broome'owi przygotować dla niej „należyte powitanie”.

O tym wszystkim teraz wiemy, ale królowa nie domyślała się niczego, gdy zeszła ze statku prosto w pułapkę zastawioną przez brata.

Rhaenyra roześmiała się na widok okaleczonego Sunfyre'a Złotego.

— Czy ja to robota? — zapytała. — Musimy mu podziękować.

— Siostro! — zawołał z balkonu król. Nie był w stanie chodzić ani nawet wstać, zatem przyniesiono go tam na krześle. Biodro zdruzgotał sobie w Gawronim Gnieździe i od tego czasu był zgarbiony i wykrzywiony. Jego przystojna ongiś twarz zrobiła się obrzękła od makowego mleka, a połowę ciała pokrywały blizny po oparzeniach. Mimo to Rhaenyra poznała go natychmiast.

— Drogi bracie — rzekła. — Miałam nadzieję, że umarłeś.

— Ty pierwsza — odparł Aegon. — W końcu jesteś starsza.

— Cieszę się, że o tym pamiętasz — stwierdziła Rhaenyra. — Wygląda na to, że jesteśmy twoimi więźniami... ale nie myśl, że zatrzymasz nas na długo. Wierni mi lordowie mnie znajdą.

— Być może, jeśli przeszkują siedem piekieł — stwierdził król. Jego ludzie wyrwali Rhaenyre z objęć syna. Niektórzy utrzymują, że to ser Alfred Broome trzymał ją za ramię, inni wymieniają dwóch Tomów — ojca, Splątana Brodę, i syna, Splątane Języka. Ser Marston Waters również się temu przyglądał, odziany w biały płaszcz, albowiem w nagrodę za odwagę król Aegon mianował go gwardzistą królewskim.

Jednakże ani Waters, ani żaden z innych rycerzy i lordów nie sprzeciwił się ani słowem, gdy król Aegon II oddał przyrodnią siostrę smokowi. Powiadają, że Sunfyre z początku nie był zbyt zainteresowany poczęstunkiem, ale potem Broome skaleczył królową w pierś sztyłem. Woń krwi

podlecycy towała smoka, który obwąchał Jej Miłość, a potem skąpał ją w płomieniach, tak nagle, że płaszcz ser Alfreda zajął się ogniem, nim ten zdążył odskoczyć. Rhaenyra Targaryen zdążyła jeszcze głowę ku niebu i po raz ostatni przekląć krzykiem przyrodniego brata, nim Sunfyre zacisnął szczęki i urwał jej rękę w barku.

Złoty smok pożarł królową w sześciu kęsach, pozostawiając tylko lewą nogę poniżej kolana „dla Nieznajomego”. Syn Rhaenyry patrzył na to z przerażeniem, nie mogąc się ruszyć. Rhaenyra Targaryen, Radość Królestwa i Półroczna Królowa, opuściła ten padół łez dwudziestego drugiego dnia dziesiątego księżyca 130 roku od Podboju Aegona. Miała trzydzieści trzy lata.

Ser Alfred Broome domagał się, by zabito również księcia Aegona, ale król tego zabronił, oznajmiając, że choć chłopiec ma dopiero dziesięć lat, może się okazać cennym zakładnikiem, a choć przyrodnia siostra Aegona II nie żyła, jej stronnicy nie złożyli broni i trzeba się będzie z nimi policzyć, nim Jego Miłość będzie mógł znowu zasiąść na Żelaznym Tronie. Księżciu założono więc okowy na szyję, nadgarstki i kostki, a potem poprowadzono go do lochów. Damy dworu nieżyjącej królowej jako szlachetnie urodzone otrzymały cele w Wieży Morskiego Smoka, gdzie miały czekać na wypłacenie okupu.

— Czas ukrywania się minął — oznajmił król Aegon II. — Wyślijcie kruki, by zawiadomić całe królestwo, że fałszywa królowa nie żyje, a prawowity monarcha wkrótce odzyska tron swego ojca.

Nawet prawowici monarchowie mogą się jednak przekonać, że pewne rzeczy łatwiej jest ogłosić, niż zrealizować.

W dniach, które nastąpiły po śmierci jego przyrodniej siostry, król nadal czepiał się nadziei, że Sunfyre może odzyskać siły w stopniu wystarczającym, by znowu polecieć. Smok jednak najwyraźniej słabł coraz bardziej i wkrótce rany na jego szyi zaczęły cuchnąć. Nawet dym buchający mu z paszczy śmierdział paskudnie. Pod koniec Sunfyre odmówił jedzenia. Dziesiątego dnia dwunastego księżyca roku 130 o.P. wspaniała złoty smok, który był chwałą króla Aegona, skonał na dziedzińcu Smoczjej Skąły tam, gdzie upadł. Jego Miłość płakał.

Kiedy żal minął, król Aegon II wezwał wiernych mu ludzi, by przygotować plany powrotu do Królewskiej Przystani, odzyskania Żelaznego Tronu i połączenia się z panią matką, królową wdową, która w końcu zatriumfowała nad rywalką, choćby tylko dzięki temu, że ją przeżyła.

— Rhaenyra nigdy nie była królową — oznajmił król, nalegając, by od tej pory we wszystkich kronikach i zapiskach dworskich jego przyrodnią siostrę tytułowano tylko „księżniczką”, rezerwując tytuł królowej dla jego matki, Alicent, oraz nieżyjącej żony, Helae ny, „prawdziwych królowych”. Tak też zarządzono.

Jednakże triumf Aegona okazał się nie tylko słodko-gorzki, lecz również krótkotrwały. Rhaenyra nie żyła, ale jej sprawa nie umarła razem z nią i gdy tylko król wrócił do Czerwonej Twierdzy,

w pole wyruszyły nowe „czarne” armie. Aegon II zasiadł znowu na Żelaznym Tronie, ale nigdy już nie wyzdrowiał z ran, nie zaznał radości ani pokoju. Restauracja jego rządów trwała zaledwie pół roku.

Opowieść o tym, jak Aegon Drugi upadł, ustępując miejsca Trzeciemu, należy jednak do innego czasu. Wojna o tron trwała nadal, ale rywalizacja, która zaczęła się na dworskim balu, gdy księżniczka ubrała się na czarno, a królowa na zielono, dobiegła czerwonego od krwi końca, a wraz z nią kończy się ta część naszej historii.

Przetłumaczył Michał Jakuszewski{: .right }

1. W roku 111 o.P. w Królewskiej Przystani urządzono wielki turniej dla uczczenia piątej rocznicy ślubu króla z królową Alicent. Na otwierającą turniej ucztę królowa wdziała zieloną suknię, podczas gdy księżniczka ostentacyjnie obleka się w czerwień i czern Targaryenów. Ów fakt zauważono i od tej pory zaczęto zwać partię królowej i stronników księżniczki „zielonymi” oraz „czarnymi”. Na samym turnieju czarnym powiodło się znacznie lepiej, jako że ser Criston Cole, noszący wstążkę księżniczki Rhaenyry, wysadził z siodła wszystkich rycerzy królowej, w tym również dwóch jej kuzynów oraz najmłodszego brata, ser Gwayne’a Hightowera (przy p. tłum.). [\[wróć\]](#)

NOTA

Some Desperado copyright © 2013 by Joe Abercrombie.

My Heart Is Either Broken copyright © 2013 by Megan Abbott.

Nora's Song copyright © 2013 by Cecelia Holland.

The Hands That Are Not There copyright © 2013 by Melinda Snodgrass.

Bombshells copyright © 2013 by Jim Butcher.

Raisa Stepanova copyright © 2013 by Carrie Vaughn.

Wrestling Jesus copyright © 2013 by Joe R. Lansdale.

Neighbors copyright © 2013 by Megan Lindholm.

I Know How to Pick 'Em copyright © 2013 by Lawrence Block

Shadows for Silence in the Forests of Hell copyright © 2013 by Brandon Sanderson.

A Queen in Exile copyright © 2013 by Sharon Kay Penman.

The Girl in the Mirror copyright © 2013 by Lev Grossman.

Second Arabesque, Very Slowly copyright © 2013 by Nancy Kress.

City Lazarus copyright © 2013 by Diana Rowland.

The Girl in the Mirror copyright © 2013 by Lev Grossman. *Virgins* copyright © 2013 by Diana

Gabalton.

Pronouncing Doom copyright © 2013 by S.M. Stirling.

Name the Beast copyright © 2013 by Sam Sykes.

Caregivers copyright © 2013 by Pat Cadigan.

Lies My Mother Told Me copyright © 2013 by Caroline Spector.

Hell Hath No Fury copyright © 2013 by Sherrilyn Kenyon.

The Princess and the Queen copyright © 2013 by George R. R. Martin.